

David Eddings

Polgara Czarodziejka

Dotychczas ukazały się następujące książki Davida Eddingsa:

„Belgarath Czarodziej”

„Czas niedoli”

„Tajemnica Kopyły ognia”

„Świetliści”

„Ukryte miasto”

PROLOG

Kail, Strażnik Rivy, zawzięcie protestował, gdy król Belgarion powiedział, że zamierza wyprawić się na północny kraniec Doliny Aldura jedynie w towarzystwie królowej. Jednakże Garion w nietypowy dla siebie sposób twardo obstawał przy swoim.

- To spotkanie rodzinne, Kail. Ce'Nedra i ja nie potrzebujemy kręcącej się pod nogami służby. Będą nam tylko zawadzać.

- Ale to niebezpieczne, wasza wysokość.

- Wątpię, aby przytrafiło nam się coś, z czym sobie nie poradzę, stary przyjacielu - odparł Garion. - Jedziemy sami.

Rivańską Królową nieco zaskoczyła stanowczość w głosie Gariona.

Potem posprzeczali się o futra. Królowa Ce'Nedra była z urodzenia Tolnedranką, ale w jej żyłach płynęła także krew Driad. Pochodziła z południa i na samą myśl o noszeniu zwierzęcego futra cierpła jej skóra. W żyłach Gariona jednak płynęła alornska krew i wiele podróżował zimą po północy.

- Włóżysz futro, Ce'Nedro - oświadczył stanowczo żonie - w przeciwnym razie nigdzie nie pojedziemy, dopóki się nie ociepli.

Garion rzadko stawiał jej ultimatum i Ce'Nedra była na tyle rozsądna, aby nie kłócić się dłużej. Posłusznie ubrała się w futrzane odzienie Alornów, przeprowadziła rozmowę z piastunką, która miała opiekować się królewskimi dziećmi podczas jej nieobecności, po czym wraz z mężem opuściła Wyspę Wiatrów na pokładzie podejrzanie zdezelowanego okrętu kapitana Gredlika.

W Camaar kupili konie i zapasy, a potem ruszyli na wschód. Tolnedrańskie zajazdy, regularnie rozmieszczone wzdłuż traktu do Mu-ros, zapewniały im godziwe kwatery każdej nocy, ale za Muros byli już zdani prawie wyłącznie na siebie. Rivańskiemu Królowi jednak nieraz już przychodziło spać pod gołym niebem i jego żona zmuszona była przyznać, że znał się na rzeczy, gdy przychodziło do rozbicia obozu.

Rivańska Królowa doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak śmiesznie wygląda, zbierając chrust. W obszernym futrzanym odzieniu, z płomiennie rudymi włosami spływającymi na plecy wyglądała z pewnością jak rudy niedźwiedź, mozolnie brnący przez zasy.

W górach Sendarii leżał głęboki śnieg. Ce'Nedrze wydawało się, że jej stopy na zawsze już zamieniły się w kawałki lodu. Nie mogła jednakże dać satysfakcji mężowi, skarżąc się na

zimno. Ta wyprawa była w końcu jej pomysłem i prędzej by umarła, niż przyznała, iż być może, nie był najtrafniejszy. Ce'Nedra taka już czasami była.

Po zejściu z gór pojechali na południe przez równiny Algarii. Śnieg lekko prószył i było mroźno. Choć zdecydowanie wbrew jej naturze było przyznanie tego, nawet w myślach, to Ce'Nedra była zadowolona, że jej mąż tak nalegał, by się ciepło ubrała.

A potem, gdy zimny wieczór zaczął zapadać nad południową Algarią, a niskie chmury wypływały drobniutkie płatki śniegu, wjechali na wzniesienie i ujrzeli dolinkę na północnym krańcu Doliny Aldura. Stała w niej chatka Poledry i otaczające ją zabudowania. Chatka była tam od tysiącleci, ale stodoły i szopy wzniosł Durnik, czym upodobił to gospodarstwo do sendarskiej farmy.

Ce'Nedra jednak nie była w tym momencie zbytnio zainteresowana architekturą porównawczą. Chciała jedynie jak najprędzej schronić się przed zimnem.

- Czy wiedzą, że przyjeżdżamy? - zapytała męża. Jej oddech parował na przejmującym chłodzie.

- Tak - odparł Garion. - Kilka dni temu powiedziałem cioci Poi, że jesteśmy w drodze.

- Użyteczny czasem gość z waszej wysokości - uśmiechnęła się Ce'Nedra.

- Wasza wysokość jest aż nazbyt uprzejma - odparł z lekką nonszalancją.

- Och, Garionie - westchnęła Ce'Nedra i oboje roześmieli się. A tymczasem ich znużone wierzchowce z trudem brnęły w dół zbocza.

Chatka - jak ją zawsze nazywali, choć w istocie urosła do całkiem okazałego domu - przycupnęła na brzegu skutego lodem strumyczka. Śnieg przysypał ją aż po parapety okien. Miękkie światło lampy zapraszająco złoćiło się na śniegu, a kolumna niebieskiego dymu wznosiła się z komina prosto ku groźnemu niebu. Rivańskiej Królowej zdecydowanie spodobał się ten zwiastun ciepła i wygody, odległych o nie więcej niż ćwierć mili.

Wtem niskie drzwi otworzyły się i na podwórzu wyszedł Durnik.

- Co was zatrzymało?! - zawołał ku nim. - Spodziewaliśmy się was około południa.

- Trafiliśmy na głęboki śnieg - odpowiedział Garion. - Przez jakiś czas posuwaliśmy się powoli.

- Pospiesz się, Garionie. Ce'Nedra marznie. Jakież on był kochany! Ce'Nedra i jej mąż wjechali na zaśnieżone podwórze i zeskoczyli z siodła.

- Idźcie do środka, oboje - polecił Durnik. - Ja zajmę się waszymi końmi.

- Pomogę ci - zaproponował Garion. - Potrafię rozsiedlać konia prawie tak dobrze jak ty, a poza tym muszę rozprostować nogi. - Ujął Ce'Nedrę pod ramię i zaprowadził do drzwi. - Zaraz wrócę, ciociu Pol! - zawołał do środka. - Chcę pomóc Durnikowi przy koniach.

- Jak sobie życzysz, kochanie - odparła lady Polgara. Jej głęboki głos przepęniała miłość. - Wejdz, Ce'Nedro. Ogrzej się.

Rivańska Królowa niemal wbiegła do środka, rzuciła się w ramiona czarodziejki i ucałowała ją serdecznie.

- Masz zimny nos, Ce'Nedro - zauważyła Polgara.

- Powinnaś dotknąć moich stóp, ciociu Poi - odparła Ce'Nedra z lekkim śmiechem. - Jak potrafisz wytrzymać tutejsze zimy?

- Wyrosłam tutaj, kochana, nie pamiętasz? Przyzwyczajona jestem do takiej pogody.

Ce'Nedra rozejrzała się.

- A gdzie bliźnięta?

- Ucinają sobie popołudniową drzemkę. Obudzę je na kolację. Wydostańmy cię z tych futer, a potem siądziesz przy kominku. Gdy tylko się nieco ogrzejesz, będziesz mogła wziąć gorącą kąpiel, nagrzałam wody.

- O tak! - zawołała gorliwie Rivańska Królowa.

Kłopot z alornską futrzaną odzieżą był również taki, że nie miała guzików. Zwyczajowo ją się sznurowało. Odwiązanie zamarznętych węzłów potrafi sprawić nie lada udrękę, szczególnie gdy się ma palce zgrabiące z zimna. Tak więc Ce'Nedra po prostu stała na środku pokoju z rozłożonymi ramionami, podczas gdy Polgara ją rozbierała. Potem, już bez futer, podeszła do paleniska i wyciągnęła ręce nad płomieniami.

- Nie za blisko, kochanie - ostrzegła Polgara. - Nie przypal się. Miałabyś ochotę na filiżankę gorącej herbaty?

- Nieziemską!

Po wypiciu herbaty i półgodzinnym moczeniu się w wannie pełnej parującej wody Ce'Nedra w końcu ponownie poczuła się rozgrzana. Potem ubrała się w prostą suknię i wróciła do kuchni, by pomóc nakarmić bliźnięta. Dzieci Polgary miały już roczek i zaczynały chodzić, choć nie szło im to jeszcze zbyt dobrze. Nie radziły sobie też zbyt sprawnie z łyżkami i spora część kolacji znalazła się na podłodze. Bliźnięta miały jasne kręcone włosy i były absolutnie rozkoszne. Z wielkim ożywieniem rozmawiały między sobą w jakimiś dziwnym języku.

- One mówią w „bliźniaczym” - wyjaśniła Polgara. - To nic nadzwyczajnego. Każda para bliźniąt rozwija swój własny język. Ja z Beldaran rozmawiałam w „bliźniaczym” do pięciu lat. To doprowadzało biednego wujka Beldina do szału.

Ce'Nedra rozejrzała się.

- A gdzie Garion i Durnik?

- Durnik znowu dokonał kilku ulepszeń - odparła Polgara. - Pewnie się nimi chwali. Dodał kilka pokoi na tyłach chatki, więc nie będziesz musiała z Garionem spać na stryżku. - Delikatnie otarła policzek jednego z bliźniąt. - Brudasek - strofowała go łagodnie. Dziecko zachichotało. - A zatem, Ce'Nedro, czemu wybrałaś się w tę podróż w środku zimy?

- Przeczytałaś już opowieść Belgaratha? - zapytała Ce'Nedra.

- Tak. Uważam, że była rozwlekła.

- W tej kwestii nie usłyszysz ode mnie słowa sprzeciwu. Jakim cudem mógł napisać tyle w ciągu roku?

- Ojciec ma pewne talenty, Ce'Nedro. Gdyby rzeczywiście miał wszystko spisać, zajęłoby mu to dużo więcej czasu.

- Może dlatego tak wiele spraw pominął.

- Nie rozumiem, skarbie. - Polgara delikatnie otarła twarz drugiemu z bliźniąt, po czym posadziła je na podłodze.

- Jak na kogoś, kto uważa się za zawodowego bajarza, zdecydowanie odwalił fuchę.

- Wydaje mi się, że w zasadzie opowiedział o wszystkim, co się wydarzyło.

- W tej opowieści są paskudne dziury, ciociu Poi.

- Ojciec ma siedem tysięcy lat, Ce'Nedro. W tak długim czasie musiały być okresy, w których nic się nie działo.

- Nie rozwodził się jednak zbyt nad tym, co tobie się przydarzyło. Niewiele powiedział o tych latach, które spędziłaś w Vo Wacune, i o tym, co robiłaś choćby w Gar og Nadrak. Chcę wiedzieć, co robiłaś.

- Po co, u licha?

- Chcę znać całą historię, ciociu Poi. On tak wiele pominął.

- Jesteś równie nieznośna jak Garion. Ciągłe zadręczał ojca prośbami o więcej szczegółów, gdy Stary Wilk opowiadał mu jakąś historię. - Polgara przerwała nagle. - Uciekać od kominka! - powiedziała ostro do bliźniąt.

Zachichotały, ale zrobiły, jak im kazano. Ce'Nedra domyśliła się, że był to rodzaj zabawy.

- Belgarath razem z ostatnimi rozdziałami przysłał do Rivy pewne listy. List, który skierował do mnie, podsunął mi właśnie pomysł przyjechania i porozmawiania z tobą. Wypominał nam, że wspólnie zmusiliśmy go do napisania tej opowieści. Pisał, że zdaje sobie sprawę, iż ta historia ma luki, ale zasugerował, że ty możesz je wypełnić.

- Jakież to dla niego typowe - mruknęła Polgara. - Mój ojciec jest ekspertem w zaczynaniu spraw, a potem spychaniu ich zakończenia na innych. No cóż, tym razem nie miał

szczęścia. Zapomnij o tym, Ce'Nedro. Nie pretenduję do miana bazarza i mam ciekawsze zajęcie.

- Ale...

- Żadnych ale, skarbie. Zawołaj Gariona i Durnika na kolację.

Ce'Nedra była na tyle roztropna, by dalej nie dyskutować na ten temat. W jej główce zaczął się jednak już rodzić sposób poradzenia sobie z odmową Polgary.

- Garionie, skarbie - powiedziała, gdy później tego wieczoru leżeli w łóżku w ciepłej i przytulnej ciemności.

- Słucham, Ce'Nedro?

- Potrafisz sięgnąć myślą i porozumieć się z dziadkiem, prawda?

- Pewnie tak. Dlaczego?

- Nie chciałbyś zobaczyć się z nim... i babcią? W końcu nie jesteśmy tak daleko od wieży Belgaratha. Pewnie poczuliby się bardzo rozczarowani, gdybyśmy przepuścili okazję do odwiedzin, prawda?

- Co ty knujesz, Ce'Nedro?

- Czemu miałabym zaraz coś knuć?

- Bo zwykle tak jest.

- To niezbyt miłe, Garionie. Czy nie mogę po prostu pragnąć rodzinnego spotkania?

- Przepraszam. Może źle cię oceniłem.

- Prawdę powiedziawszy, twoja ciocia Pol jest nieco uparta. Będę potrzebowała wsparcia w przekonaniu jej do spisania swej historii.

- Dziadek ci nie pomoże. Już powiedział o tym w liście.

- Nie mówię o pomocy z jego strony. Chcę porozmawiać z Poledrą. Ciocia Pol posłucha matki. Proszę, Garionie. - Powiedziała to swym najbardziej ujmującym i błagalnym tonem.

- No dobrze. Porozmawiam o tym z Durnikiem i zapytam, co o tym myśli.

- Czemu nie pozwolisz mi porozmawiać z Durnikiem? Jestem pewna, że potrafiłabym przekonać go do tego pomysłu. - Poglaskała czule kark męża. - Jestem już milutko ciepła, Garionie - powiedziała zachęcająco.

- Tak, zauważyłem.

- Czy naprawdę jesteś tak bardzo śpiący?

- Nie aż tak, kochanie - odparł i odwrócił się, by ją objąć.

To nie będzie szczególnie trudne, uznała Ce'Nedra. Była ekspertem w stawianiu na swoim. Z pewnością potrafi przekonać Gariona i Durnika do swego planu. Tylko Poledra może wymagać trochę więcej pracy...

Garion, tak jak zwykle, cicho wstał z łóżka, nim jeszcze się rozwidniło. Rivański Król wyrósł na farmie, a farmerzy z przyzwyczajenia wcześniej wstają. Ce'Nedra uznała, że dobrze byłoby śledzić go przez następne kilka dni. Przypadkowa rozmowa męża z Durnikiem mogła pokrzyżować jej plan - Ce'Nedra z rozmysłem unikała słowa „spisek”. Dotknęła więc palcami prawej dłoni amuletu Beldaran i poszukała myślami Gariona.

- Och, cicho - rozległ się głos Durnika, osobliwie delikatny. - To tylko ja. Śpijcie dalej. Później was nakarmię.

Odpowiedział mu szmer i ciche gderliwe dźwięki - jakieś ptaki. Potem rozćwierkały się i uspokoiły ponownie. Ce'Nedra usłyszała głos Gariona:

- Czy zawsze tak z nimi rozmawiasz?

- To je uspokaja, dzięki temu nie odlatują w ciemności, gdzie mogłyby sobie zrobić krzywdę - odparł Durnik. - Uparły się nocować na tym drzewie na podwórzu, a ja muszę każdego dnia pod nim przechodzić. Znają mnie, więc zwykle udaje mi się je przekonać, by się uspokoiły. Ptaki szybko się uczą. Z jeleniem trwa to trochę dłużej, a zające wymagają mnóstwo cierpliwości. Są płochliwe i bardzo kapryśne.

- Karmisz je wszystkie, prawda, Durniku?

- One też tu żyją, Garionie, a ta farma daje więcej pożywienia niż Pol, ja i dzieci moglibyśmy zjeść. Poza tym to jeden z powodów, dla których tu jesteśmy, prawda? Ptaki, jelenie i zające potrafią zatroszczyć się o siebie latem, ale zima to chudy czas, więc trochę im pomagam.

Był taki dobry! Ce'Nedrze niemal napłynęły do oczu łzy. Polgarda mogła wybrać dowolnego rycerza czy władcę na męża i żyć w pałacu. Wybrała prostego wiejskiego kowala i żyła na tej odległej farmie. Ce'Nedra wiedziała, dlaczego.

Jak się okazało, Durnikiem łatwo było manipulować. Sugestią o „małym rodzinnym spotkaniu, skoro już tu wszyscy jesteśmy” Ce'Nedra prawie natychmiast przeciągnęła go na swoją stronę. Durnik był zbyt prostoduszny, by podejrzewać innych o ukryte zamiary. To było tak łatwe, że Ce'Nedra niemal się za siebie wstydziła.

Garion nie był tak prostoduszny. W końcu już dość długo znał swoją przebiegłą małą Driadę. Nie miał jednak żadnego wyboru, gdy Durnik i Ce'Nedra wspólnie zaczęli obstawać przy spotkaniu. Choć, co prawda, rzucił kilka podejrzliwych spojrzeń na Ce'Nedrę, nim posłał swe myśli ku dziadkowi.

Belgarath i Poledra przybyli dzień później. Starzec, gdy witał się z Rivańską Królową, jasno dawał do zrozumienia, że wie, iż ona coś knuje. Ce'Nedra nie przejęła się tym jednak zbyt. To, co knuła, nie dotyczyło Belgaratha. Skupiła się więc na Poledrze.

Minęło kilka dni, nim Ce'Nedra miała okazję na poważniejszą rozmowę z babką swego męża. Spotkania rodzinne już to do siebie mają. Oczywiście w centrum uwagi wszystkich były bliźnięta Polgary. Dzieci to uszczęśliwiło, a Ce'Nedra była cierpliwa. Stosowny moment nadejdzie, była o tym przekonana, więc po prostu, uzbrojona w cierpliwość, cieszyła się bliskością tej osobliwej rodziny, w którą weszła dzięki małżeństwu.

Niezwykłość cechująca brązowowłosą Poledrę sprawiała, że Ce'Nedra czuła się trochę niepewnie w jej pobliżu. Kilkakrotnie przeczytała opowieść Belgaratha i w pełni zdawała sobie sprawę z osobliwego pochodzenia Poledry. Często łapała się na przyglądaniu się żonie Belgaratha, doszukiwaniu się w niej wilczych cech. Pewnie je miała, ale Ce'Nedra była Tolnedranką, a wilki nie są w Tolnedrze na tyle powszechne, by mogła rozpoznać ich cechy, nawet gdyby były bardziej widoczne. Najbardziej jednak zbijał ją z tropu sposób, w jaki Poledra patrzyła na ludzi. Cyradis nazwała Poledrę „Kobietą, Która Obserwuje” i Wyrocznia z Kell miała w tym względzie rację. Wydawało się, że złociste oczy Poledry potrafiły przebić się przez wszystkie kamuflaże i zajrzeć wprost do sekretnego miejsca, w którym Riviańska Królowa ukrywała swe pragnienia. Ce'Nedra naprawdę nie chciała, by ktokolwiek tam myszkował.

W końcu któregoś ranka zebrała się na odwagę i podeszła do złotoookiej matki Polgary. Garion, Belgarath i Durnik przeprowadzali niekończącą się lustrację farmy, a Polgarda kąpała bliźnięta.

- Chciałabym cię prosić o przysługę, lady Poledro. - Ce'Nedra nie była pewna, w jakiej formie ma się do niej zwracać, więc ratowała się jak najmniej niewłaściwym zwrotem.

- Tak podejrzewałam - odparła całkiem spokojnie Poledra. - Zadałaś sobie wiele trudu, aby zorganizować to spotkanie, i bacznie mnie obserwowałaś przez ostatnie kilka dni. Byłam pewna, że w końcu przejdziesz do rzeczy. Co cię gnębi, dziecko?

- Cóż... „gnębi” może nie jest najlepszym określeniem - sprostowała Ce'Nedra. Spojrzenie tych przenikliwych złocistych oczu ją krępowało. - Chciałabym coś od Polgary, ale ona z uporem mi odmawia. Wiesz, jaka potrafi czasami być.

- Tak. To cecha rodzinna.

- Tego nie powiedziałam - zastrzegła się Ce'Nedra. - Oczywiście ją kocham, ale...

- Czego od niej chcesz? Nie czaruj, Ce'Nedro. Przejdź do rzeczy.

Ce'Nedra nie była przyzwyczajona do tak bezceremonialnego traktowania, ale postanowiła nie reagować. Zaczęła więc z nieco innej beczki.

- Czy przeczytałaś tę historyczną książkę, którą napisał twój mąż? - zapytała.

- Nie czytam wiele - odparła Poledra. - To męczy oczy. A poza tym on jej wcale nie napisał. On opowiadał, a słowa po prostu pojawiały się na papierze, gdy mówił. Słyszałam większość, gdy opowiadał. Była to dość dokładna opowieść.

- O to mi właśnie chodzi. Sporo opuścił, prawda?

- Miejscami tak.

- Ale twoja córka potrafiłaby te miejsca uzupełnić, prawda?

- Czemu miałyby to zrobić?

- Aby opowieść była kompletna.

- Opowieści nie są naprawdę tak ważne, Ce'Nedro. Zauważyłam, że ludzie opowiadają historie nad kufkami piwa, by wypełnić czas pomiędzy kolacją i udaniem się na spoczynek. - Spojrzenie Poledry było rozbawione. - Naprawdę przebyłaś całą tę drogę, by zdobyć opowieść? Nie mogłaś znaleźć nic lepszego do roboty... na przykład urodzić jeszcze jedno dziecko?

Ce'Nedra ponownie zmieniła front.

- Ta opowieść nie jest dla mnie - skłamała - ale dla mojego syna. Pewnego dnia on będzie Rivańskim Królem.

- Tak, jest to mi wiadome. Powiedziano mi o tym zwyczaju. Jednakże i osobliwych zwyczajów powinno się przestrzegać. Ce'Nedra wykorzystała okazję.

- Mój syn, Geran, pewnego dnia zostanie przywódcą i musi wiedzieć, gdzie się znajduje i jak się tam dostał. Ta historia mu to powie. Poledra wzruszyła ramionami.

- Czemu to takie ważne? To, co wydarzyło się wczoraj... czy tysiąc lat temu... nie zmieni tego, co wydarzy się jutro, prawda?

- Może. W opowieści Belgaratha są aluzje do wydarzeń, o których nie miałam pojęcia. Tam są dwa światy, biegnące obok siebie. Jeśli Geran nie będzie znał ich obu, popełni błędy. Dlatego potrzebna mi opowieść Polgary, dla dobra moich dzieci i jej... - Ce'Nedra w ostatniej chwili ugryzła się w język przed użyciem określenia „szczenięta”. - Czyż troska o nasze potomstwo nie jest sprawą najważniejszą? - Wtem przyszła jej do głowy myśl. - Ty mogłabyś opowiedzieć historię, wiesz.

- Wilki nie opowiadają historii, Ce'Nedro. Jesteśmy zbyt zajęte wilczymi sprawami.

- A zatem pozostaje Polgarda. Mojemu synowi będzie potrzebna reszta opowieści. Dobro jego ludu może zależeć od jego wiedzy. Nie wiem, co Aldur zaplanował dla dzieci Polgardy, ale jest bardzo prawdopodobne, że i im także będzie potrzebna ta opowieść. - Ce'Nedra była z siebie dumna. Odwołanie się do wrodzonego poczucia lojalności Poledry

względem sfory gwarantowało powodzenie podstępu. -Czy pomożesz mi przekonać Polgardę?

- Pomyślę nad tym - powiedziała Poledra.

Nie było to zdecydowane przyrzeczenie, na jakie Ce'Nedra liczyła, ale Polgarda wniosła właśnie bliźnięta, więc Rivańska Królowa nie mogła dłużej drążyć tego tematu.

Gdy Ce'Nedra obudziła się następnego ranka, Gariona już nie było, jak zwykle. Jak zwykle również zapomniał dołożyć drewna do ognia i w pokoju było bardzo zimno. Trzęsąc się, Ce'Nedra wstała z łóżka i ruszyła w poszukiwaniu ciepła. Uznała, że skoro Garion wstał, to i Durnik jest już na nogach, więc skierowała się prosto do sypialni Polgardy i cicho zapukała.

- Słucham, Ce'Nedro - odpowiedziała ciocia Pol. Zawsze wiedziała, kto stoi za drzwiami.

- Czy mogę wejść? - zapytała Ce'Nedra. - Garion pozwolił wygasnąć ogniowi i w naszym pokoju jest lodownia.

- Oczywiście, skarbie - odparła ciocia Poi. Ce'Nedra otworzyła drzwi, pobiegła do łóżka i schowała się pod kołdrę obok cioci Pol i jej dzieci.

- Zawsze tak robi - skarżyła się. - Nawet nie pomyśli o dołożeniu do ognia.

- Nie chce cię obudzić, skarbie.

- Przecież mogę znowu zasnąć, jeśli zechcę, a nie cierpię budzić się w zimnym pokoju. - Przytuliła jedno z bliźnięt. Była matką, więc potrafiła bardzo dobrze tulić. Zdała sobie sprawę, jak bardzo tęskniła za własnymi dziećmi. Zaczynała mieć wątpliwości, czy mądrze było ruszać w tę podróż w środku zimy, jedynie dla zachcianki.

Rivańska Królowa i ciocia jej męża rozmawiały jakiś czas o różnych nieważnych sprawach, a potem weszła matka Polgardy, niosąc tacę z trzema kubkami parującej herbaty.

- Dzień dobry, mam - powiedziała Polgarda.

- Nie najgorszy, choć trochę chłodny. - Poledra była czasami taka dosłowna.

- Co porabiają nasi mężczyźni? - zapytała ciocia Poi.

- Garion i Durnik karmią zwierzęta - odrzekła Poledra. - On nadal śpi. - Poledra prawie nigdy nie wymawiała imienia swego męża. Postawiła tacę na małym stoliku przy kominku. - Musimy porozmawiać - stwierdziła. Podeszła do łóżka, wzięła bliźnięta i odniosła je z powrotem do osobliwie skonstruowanej kołyski, którą Durnik zbudował dla swych dzieci. Potem podała Polgardzie i Ce'Nedrze kubki z herbatą, ostatni zostawiając dla siebie, i usiadła na krześle przy ogniu.

- Co to za ważna sprawa, mam? - zapytała Polgarda. Poledra wskazała na Ce'Nedrę.

- Rozmawiała wczoraj ze mną i myślę, że postawiła problem, który powinniśmy przemyśleć.

- Jaki?

- Powiedziała, że jej syn i jego synowie pewnego dnia będą przewodzić Rivanom, a są pewne sprawy, o których powinni wiedzieć. Dobro Rivan może zależeć od ich wiedzy. To pierwsza powinność przywódców, bez względu na to, czy przewodzą ludziom, czy wilkom.

Ce'Nedra w duchu nie posiadała się z radości. Jej argumenty z minionego ranka najwyraźniej przekonały Poledrę.

- Do czego zmierzamy, mamó? - zapytała Polgara.

- Ty również masz swoje powinności, Polgadro, wobec młodych - odparła matka. - To nasz pierwszy obowiązek. Mistrz powierzył ci zadanie i jeszcze go nie wykonałaś do końca.

Polgadra rzuciła Ce'Nedrze twarde spojrzenie.

- Ja nic nie zrobiłam, ciociu Pol - zaszczebiotała Ce'Nedra z udawaną niewinnością. - Poprosiłam tylko twoją matkę o radę, to wszystko.

Dwie pary oczu - jedne brązowożółte, drugie błękitne - utkwily w niej swoje spojrzenie.

Ce'Nedra poczerwieniała.

- Ona czegoś chce, Polgadro - powiedziała Poledra. - Daj jej to. To ci nie zaszkodzi, a do tego jest częścią zadania, które dobrowolnie na siebie wzięłaś. My, wilki, naprawdę troszczymy się o młode. Po prostu spisz, co naprawdę się wydarzyło, i miej to za sobą.

- Z pewnością nie wszystko mogę opisać! - Polgara wydawała się wstrząśnięta. - Niektóre z tych spraw są zbyt prywatne. Poledra roześmiała się.

- Nadal musisz się jeszcze wiele nauczyć, moja córko. Czyż nie wiesz jeszcze, że coś takiego jak prywatność pomiędzy wilkami nie istnieje? Dzielimy wszystko. Te informacje mogą być któregoś dnia użyteczne dla przywódcy Rivan, a także dla twoich dzieci. Zrób to, Polgadro. Jesteś za mądra, żeby ze mną dyskutować. Polgadra westchnęła. - Tak, mamó - zgodziła się posłusznie.

Ce'Nedrę olśniła myśl, która wcale jej się nie podobała. Polgadra Czarodziejka była wybitną kobietą tego świata. Miała niezliczone tytuły i cały świat u swych stóp, a jednak jakimś tajemniczym sposobem pozostała wilkiem i gdy dominująca wilczyca - w tym wypadku jej matka - wyda polecenie, ona się nigdy nie sprzeciwi. Ce'Nedra, sama mieszanego pochodzenia - wywodziła się z Borunów i z Driad - kłóciła się zawzięcie ze swym ojcem, imperatorem Tolnedry, ale gdy Xantha, królowa Driad, przemówiła, Ce'Nedra ponarzekwała, lecz instynktownie była jej posłuszna. Miała to już wrodzone. Zaczęła patrzeć na Polgadrę w nieco inny sposób, a co za tym szło, i siebie zobaczyła w innym świetle.

- To początek - powiedziała tajemniczo Poledra. - A zatem, córko - zwróciła się do Polgadry - to nie będzie wcale takie trudne. Porozmawiam z nim. Niech ci pokaże, jak to zrobić bez pióra i atramentu. To twoja powinność, więc przestań narzekać.

- Będzie tak, jak życzy sobie moja matka - odparła Polgadra.

- A zatem dobrze - powiedziała Poledra - skoro to już ustaliliśmy, czy nie miałyby panie ochoty na jeszcze jeden kubek herbaty? Polgadra i Ce'Nedra wymieniły szybkie spojrzenia.

- Czemu nie - westchnęła Polgadra.

CZĘŚĆ PIERWSZA

BELDARAN

ROZDZIAŁ PIERWSZY

To nie był mój pomysł. Chcę, aby to było jasne od samego początku. Pogląd, iż ktokolwiek potrafi opisać, „co się naprawdę wydarzyło”, jest zupełnie niedorzeczny. Jeśli dziesięciu, czy stu, ludzi będzie świadkami jakiegoś zdarzenia, to będzie dziesięć, czy sto, różnych wersji tego, co zaszło. To, co widzimy i jak to interpretujemy, całkowicie zależy od naszego indywidualnego doświadczenia. Matka nalegała jednak, abym podjęła się tego absurdalnego zadania, a ja, jak zawsze, jestem jej posłuszna.

Im więcej jednak o tym myślę, tym bardziej rozumiem, że w przewrotnej argumentacji Ce'Nedry o „dobru potomstwa”, której użyła podczas pierwszej rozmowy ze mną, a potem z moją matką na ten temat, było więcej słuszności, niż ta dziewczyna mogła sobie wyobrażać. Pewnego dnia Geran zostanie Riviańskim Królem i Strażnikiem Klejnotu. Przez te wszystkie stulecia przekonałam się, że lepszymi władcami są ludzie, którzy choć trochę znają historię. Przynajmniej nie powtarzają błędów z przeszłości.

Gdyby Geranowi i jego synom w sprawowaniu władzy miało pomóc jedynie monotonne wyliczenie dokonań poszczególnych władców na przestrzeni wieków, to nudne wyliczanie „a potem... a potem...”, które tak zachwyca napuszonych członków Tolnedrańskiego Towarzystwa Historycznego, wystarczyłoby w zupełności.

Jednakże, jak małżonka mego siostrzeńca sprytnie zauważyła, „a potem” owych tolnedrańskich uczonych dotyczy jedynie części świata. A przecież jest jeszcze inny świat, w którym dzieją się rzeczy, jakich Tolnedranie nie są w stanie pojąć. Ten świat Rivański Król musi poznać, jeśli ma właściwie wypełnić swe zadanie.

Bardzo jednak pragnęłam przekonać samą siebie, że ojciec swą rozwlekłą historią naszego osobliwego świata już wypełnił tę oczywistą lukę. Posunęłam się nawet do tego, że ponownie przeczytałam jego nudną opowieść, usilnie próbując udowodnić sobie, i matce, iż

istotnie nie mam nic do dodania. Szybko jednak uwagę moją zwróciły rażące przemilczenia. Stary szalbierz nie opowiedział całej historii i matka o tym wiedziała.

Na usprawiedliwienie ojca muszę jednak przyznać, że pewne wydarzenia zaszły pod jego nieobecność, a w trakcie innych nie rozumiał w pełni, co się naprawdę działo. Ponadto niektóre z pominięć, które tak mnie irytowały w trakcie czytania, wzięły się z pragnienia ściśnięcia siedmiu tysięcy lat historii do dających się ogarnąć rozmiarów. Mogę wybaczyć mu te luki, ale czy nie mógł przynajmniej podać poprawnych imion i dat? Dla zachowania spokoju w rodzinie podam swoją wersję pewnych rozmów. Ludzka pamięć - przyjmując, że mój ojciec jest człowiekiem - nigdy nie była zbyt doskonała. Mówiąc wprost, ojciec i ja pamiętamy wydarzenia trochę inaczej i niech tak już zostanie. Pamiętajcie o tym, gdy będziecie czytać moją opowieść. Nie traćcie swojego - i mojego - czasu na doszukiwanie się różnic.

Im dłużej czytam, tym mocniej zaczynam sobie uświadamiać, że sprawy, o których ja wiem, a ojciec nie, będą istotną częścią edukacji Gerana. Ponadto zaczął mnie ogarniać chyba rodzinny zapał do uzupełniania luk w historii. Próbowałam z nim walczyć, ale wkrótce mnie zwyciężył. Odkryłam, że naprawdę pragnę opowiedzieć swoją wersję tej historii.

Mam pewne podejrzenia co do natury zmian mego nastawienia, ale nie sądzę, by to było odpowiednie miejsce na ich omawianie.

We wczesnym okresie całe moje życie koncentrowało się wokół mej siostry, Beldaran. Byłyśmy bliźniaczkami, a pod pewnymi względami byłyśmy sobie nawet bliższe niż bliźniaczki. Po dziś dzień nadal jesteśmy razem. Beldaran, choć umarła ponad trzy tysiące lat temu, wciąż jest we mnie. Każdego dnia boleję nad jej odejściem. To dlatego bywam czasami taka smutna i zamknięta w sobie. Ojciec wspominał w swej opowieści, że rzadko się uśmiecham. A z czego tu się śmiać, Stary Wilku?

Jak już ojciec pisał, wiele czytałam, toteż zauważyłam, że biografie normalnie zaczynają się od momentu przyjścia na świat. Jednakże biografia Beldaran i moja powinna zacząć się nieco wcześniej. Postarała się o to nasza matka, z sobie tylko znanych powodów. A zatem możemy chyba zaczynać.

Było ciepło i ciemno. Pływałyśmy w absolutnej błogości, przysłuchując się biciu matczynego serca i pulsowaniu krwi w jej żyłach. To moje pierwsze wspomnienia - i myśl matki, delikatnie nakazująca nam: „Obudźcie się”.

Pochodzenie naszej matki nie jest tajemnicą. Jednak nie wszyscy wiedzą, że Mistrz wezwał ją do siebie, podobnie jak pozostałych z nas. Ona jest uczniem Aldura, tak jak pozostali z nas. Wszyscy mu służymy na swój sposób. Matka jednakże nie urodziła się jak

człowiek i już we wczesnym okresie ciąży spostrzegła, że nie mamy z Beldaran żadnych wrodzonych wilkom instynktów. Wzbudziło to jej niepokój, więc poradziła się Mistrza, a właściwie zaproponowała mu, iż mogłaby rozpocząć naszą edukację jeszcze w swoim łonie. Propozycja pewnie zaskoczyła Aldura, ale szybko dostrzegł jej zalety. Tak więc matka zadbała, abyśmy posiadały potrzebną wiedzę jeszcze przed przyjściem na świat.

W trakcie ciąży nienarodzone dzieci żyją w świecie wyłącznie fizycznych doznań. Beldaran i mnie poprowadzono ostrożnie nieco dalej. Ojciec butnie utrzymuje, że to on, po ślubie Beldaran, zaczął moją naukę, ale niewiele w tym prawdy. Czy jemu naprawdę się zdaje, że przedtem byłam warzywem? Moja - i Beldaran - edukacja rozpoczęła się, nim jeszcze ujrzałyśmy światło dnia.

Nauczanie ojca polega na dyskusjach. Jako pierwszy uczeń musiał pokierować wstępną edukacją moich wujków. Dyskutując z nimi, zmuszał ich do myślenia, prowadząc ciernistą ścieżką ku samodzielnemu rozumowaniu - choć czasami imał się bardzo skrajnych metod. Matka urodziła się jako wilk i miała bardziej zasadnicze podejście do wszystkiego. Wilki są zwierzętami stadnymi, nie myślą niezależnie. Matka po prostu powiedziała nam: „W taki sposób to się dzieje. W taki sposób zawsze się działo i zawsze będzie się dziać”. Ojciec uczył zadawania pytań; matka - akceptacji. To interesująca różnica.

Początkowo byłyśmy z Beldaran tak identyczne, jak tylko bliźnięta potrafią być. Matka jednak, po obudzeniu nas myślą, zaczęła nas ostrożnie rozdzielać. Mnie udzieliła pewnych nauk, których Beldaran nie pobrała, a jej udzielono lekcji, których ja nie otrzymałam. Myślę, że ja bardziej boleśnie odczułam to rozstanie niż Beldaran. Ona poznała swe przeznaczenie, ja zaś całe lata musiałam szukać po omacku. Rozdzielenie było dla mnie bardzo bolesne. Wydaje mi się, że pamiętam, jak wyciągałam ręce do mej siostry i mówiłam w języku, który stał się naszą prywatną mową: „Jesteś teraz tak daleko”. Oczywiście tak naprawdę wcale nie byłyśmy daleko; nadal obie byłyśmy zamknięte w małym, ciepłym miejscu pod matczynym sercem. Ale zaczęłyśmy nieubłaganie oddalać się od siebie. Zastanówcie się chwilę, a na pewno zrozumiecie, o co chodzi.

Po naszym przebudzeniu myśli matki stale nam towarzyszyły. Ich brzmienie było ciepłe i kojące, podobnie jak miejsce, w którym się unosiłyśmy. Ono jednak dostarczało pożywki tylko naszym ciałom. Myśli matki zaś były pożywką dla naszych umysłów - z tymi subtelnymi różnicami, o których już wcześniej wspominałam. Podejrzewam, że to, kim byłam i kim się stałam, było wynikiem owego spowitego ciemnościami okresu mego życia, gdy wraz z Beldaran dryfowałyśmy w idealnej siostrzanej więzi - dopóki myśl matki nas nie rozdzieliła. Potem pojawiła się jeszcze jedna myśl. Matka przygotowała nas na jej wtargnięcie

w nasz mały świat. Gdy byliśmy już bardziej świadome swej separacji i pewnych jej powodów, do myśli matki dołączył myśli Aldur, by pomagać w naszej edukacji. Na początku cierpliwie tłumaczył nam konieczność pewnych zmian. Byliśmy z siostrą identyczne. Aldur to zmienił, a większość tych zmian była moim udziałem. Niektóre zmiany były natury fizycznej - na przykład przyciemnienie moich włosów - a inne mentalnej. Matka rozpoczęła nasz mentalny rozdział, Aldur go pogłębił. Nie stanowiłyśmy już z Beldaran jedności. Byliśmy dwiema różnymi osobami. Beldaran przyjęła naszą dalszą separację z lekkim żalem. Ja z gniewem.

Podejrzewam, że mój gniew był odbiciem reakcji matki na wyprawę ojca z paroma Alornami do Mallorei po Klejnot, który Torak ukradł Aldurowi. Teraz doskonale rozumiem, czemu to było konieczne i dlaczego mój ojciec nie miał wyboru. Matka też rozumie, wówczas jednak rozwścieczyło ją to porzucenie, które w społeczności wilków uważane jest za niezgodne z naturą. Być może mój szczególny stosunek do ojca w dzieciństwie wynikał ze świadomości matczynej wściekłości. Beldaran nie była nią dotknięta, ponieważ matka mądrze postanowiła osłonić ją przed tym uczuciem.

Właśnie przyszła mi do głowy pewna niepokojąca myśl. Jak już wcześniej wspominałam, metody nauczania mego ojca wiązały się z zadawaniem pytań i dyskusją, a ja byłam pewnie jego najlepszym uczniem. Beldaran była córką matki tak jak ja byłam córką ojca.

Pewne powody wymagały, abym urodziła się pierwsza. Poza tym zmiany, których Aldur dokonał w moim umyśle i osobowości, czyniły mnie bardziej żądną przygód niż Beldaran, więc było naturalne, że przejęłam przewodnictwo.

To był łatwy poród, ale światło mnie oślepiło, a separacja z siostrą była bardzo bolesna. Beldaran po chwili jednak znalazła się obok mnie i wszystko znowu było dobrze. Myśli matki - i Aldura - nadal były z nami, więc zasnęliśmy w poczuciu całkowitej błogości.

Zakładam, że większość z was czytała „Historię świata” mego ojca. W tym chwilami nadętym monologu często wspominał o barwnym staruszku na rozklekotanym wozie”. Wkrótce po naszych narodzinach właśnie on złożył nam wizytę. Gdy już udało mu się zapanować nad uczuciami, próbował się z nami skontaktować. Jeśli mam być szczerą, początkowo był żałośnie nieudolny. Mistrz jednak nim pokierował i z czasem wujek nabrał wprawy.

W życiu moim i siostry zaczynało się robić tłoczno. Z początku wiele spałyśmy. Wujek Beldin był na tyle mądry, aby położyć nas do tej samej kołyski. Nadal towarzyszyły nam myśli matki i Aldura, a teraz dołączył jeszcze wujek Beldin, więc nadal byliśmy zadowolone.

Przez pierwsze miesiące nie miałyśmy z siostrą poczucia upływającego czasu. Czasami robiło się jasno, czasami ciemno. Beldin był zawsze z nami i byłyśmy razem, więc czas naprawdę nie znaczył dla nas wiele.

Potem, prawdopodobnie po kilku tygodniach, pojawiło się dwóch ludzi i ich myśli dołączyły do tych, które już znałyśmy. Nasi kolejni dwaj wujkowie, Beltira i Belkira, wkroczyli w nasze życie.

Urodziłyśmy się w środku zimy. Wkrótce potem wujek Beldin przeniósł nas do swej wieży, w której spędziłyśmy dzieciństwo. Latem, naszego pierwszego roku życia, do Doliny Aldura wrócił ojciec. Miałyśmy wtedy pół roku, ale obie natychmiast go rozpoznałyśmy. Matka, za pośrednictwem swych myśli, przekazała nam jego obraz jeszcze przed naszym przyjściem na świat. Wspomnienie gniewu matki nadal żywe było w mej pamięci, gdy Beldin wyjął mnie z kołyski i podał włóczędze, który mnie spłodził. Ojciec nie wywarł na mnie specjalnego wrażenia, jeśli mam być szczerą, ale to uprzedzenie mogło być wynikiem rozgoryczenia matki z powodu sposobu, w jaki ją opuścił. Potem położył mi dłoń na głowie w jakimś prastarym rytuale błogosławieństwa i pod wpływem jego myśli, które mnie nagle zalały, reszta mego umysłu doznała nagłego przebudzenia. Czułam moc płynącą z jego dłoni i skwapliwie ją przejęłam. Dlatego zostałam oddzielona od Beldaran! Przynajmniej rozumiałam znaczenie tej separacji. Ona miała być naczyniem miłości; ja miałam być naczyniem mocy!

Pod pewnymi względami umysł jest nieograniczony i może dlatego mój ojciec nie uświadamiał sobie, ile przejęłam od niego w chwili, gdy dotknął mojej głowy. Jestem prawie pewna, że nadal nie w pełni rozumie, co właściwie mi wówczas przekazał. To, co od niego przejęłam, w żadnym razie nie osłabiło go, ale mnie wzmocniło stokrotnie.

Potem wziął na ręce Beldaran, a moja wściekłość sięgnęła zenitu. Jak ten zdrajca ośmielał się dotykać mojej siostry? Nie mieliśmy z ojcem dobrych kontaktów na początku.

A potem nastął czas jego szaleństwa. Nie rozumiałam jeszcze na tyle ludzkiej mowy, więc nie wiedziałam, co takiego powiedział mu wujek Beldin, że wpędził go w szaleństwo, ale matka w myślach zapewniła mnie, że z tego wyjdzie - ostatecznie.

Kiedy teraz spoglądam wstecz, uświadamiam sobie, że rozdzielenie ojca i matki było dla nich wydarzeniem zasadniczej wagi. Wówczas tego nie rozumiałam, lecz matka w myślach pouczyła mnie, że akceptacja jest ważniejsza od zrozumienia.

W czasie szaleństwa mego ojca wujkowie często zabierali do niego moją siostrę, co wcale nie poprawiło mojej o nim opinii. W moich oczach stał się uzurpatorem, niegodziwcem, który chce mnie okraść z uczucia Beldaran. Zazdrość nie jest przyjemnym

uczuciem, choć u dzieci jest bardzo naturalna. Nie będę jednak roztrząsać tego, jak się czułam, gdy któryś z wujków zabierał ode mnie Beldaran w odwiedzinie do szaleńca, przykutego w swej wieży łańcuchami do łóżka. Pamiętam jednak, że żywiłowo protestowałam, co sił w płucach, gdy zabierali Beldaran.

Wówczas to Beldin dał mi „łamiągówkę”. Zawsze tak to nazywałam. W pewien osobliwy sposób „łamiągówka” prawie zaczęła żyć własnym życiem. Nie mam pewności, jak Beldinowi udało się ją zrobić, ale „łamiągówka” była sękatym i poskręcany korzeniem jakiegoś krzewu - może wrzosu - który wydawał się zmieniać kształt za każdym razem, gdy zabierałam się za jego badanie. Myślę, że „łamiągówka” pomogła mi ukształtować moje wyobrażenie o świecie i życiu. Wiemy, gdzie jest jeden koniec - początek - ale nigdy nie potrafimy dostrzec drugiego końca. Byłam nią zajęta przez długie godziny, co dawało wujkowi Beldinowi szansę na odpoczynek.

Studiowałam właśnie „łamiągówkę”, gdy do wieży wujka Beldina przyszedł ojciec, aby się pożegnać. Miałyśmy wtedy z Beldaran chyba z półtora roczku - a może trochę mniej - gdy wszedł do wieży i pocałował Beldaran. Jak zwykle poczułam ukłucie zazdrości, ale nie oderwałam wzroku od „łamiągówki” w nadziei, że ojciec sobie Pójdzie. On jednak podniósł mnie, przerywając mi ulubione zajęcie. Próbowałam się wyrwać, lecz był ode mnie silniejszy. Byłam w końcu prawie niemowlęciem, choć czułam się o wiele starsza.

- Przestań - powiedział poirytowanym tonem. - Możesz o to nie dbać, Pol, ale jestem twoim ojcem i jesteś na mnie skazana.

Potem pocałował mnie, czego nigdy przedtem nie robił. Przez chwilę - jedynie przez chwilę - poczułam jego ból i serce mi zmiękło.

- Nie - usłyszałam w myślach matkę - jeszcze nie teraz.

Pomyślałam wówczas, że nadal się na niego gniewa i dlatego tak powiedziała, a ja mam być narzędziem jej gniewu. Teraz wiem, że się myliłam. Wilki po prostu nie tracą czasu na gniew. Ojciec jeszcze nie uporał się z żalem i wyrzutami sumienia, a Mistrz nadal miał dla niego wiele zadań. Nie mógł tym zadaniom sprostać, dopóki nie odpokutuje za winy, które wedle własnego mniemania popełnił. Opaczne rozumienie intencji matki prawdopodobnie sprawiło, że zrobiłam coś, czego nie powinnam. Uderzyłam go swoją „łamiągówką”.

- Ma charakterek, co? - mruknął do wujka Beldina. Potem postawił mnie na ziemi, dał mi lekkiego klapsa, który ledwie poczułam, i przykazał, bym była grzeczna.

Nie chciałam, aby pomyślał sobie, że jego kara w jakikolwiek sposób wpłynęła na zmianę mojej opinii o nim, więc odwróciłam się, trzymając „łamiągówkę” niczym maczugę i utkwiałam w nim gniewne spojrzenie.

- Bądź zdrowa, Polgaro - powiedział niewyobrażalnie łagodnie.

- A teraz idź się bawić.

Pewnie nadal nie zdaje sobie z tego sprawy, ale prawie pokochałam go w tamtej chwili - prawie. Miłość przyszła później.

Wkrótce potem ojciec opuścił Dolinę Aldura i nie widziałam go przez wiele lat.

ROZDZIAŁ DRUGI

Żadne wydarzenie nie jest na tyle nieistotne, aby nie miało wpływu na bieg spraw. Wtargnięcie ojca w nasze życie trudno nazwać nieistotnym. W tym przypadku zmiana nastąpiła w mej siostrze, Beldaran, i nie podobała mi się. Przed powrotem ojca z wyprawy do Mallorei Beldaran była niemal wyłącznie moja. Powrót ojca to zmienił. Przedtem wszystkie jej myśli ja zajmowałam, teraz często myślała o tym przesiąkniętym piwem włóczędzie, a ja czułam się tym gorzko dotknięta.

Beldaran, nawet gdy byłyśmy małe, miała obsesję na punkcie czystości i moja niedbałość o wygląd bardzo ją denerwowała.

- Nie mogłabyś przynajmniej się uczesać, Pol? - zapytała pewnego wieczoru w „bliźniaczym”, naszym osobistym języku, który rozwinęłyśmy jeszcze w kołysce.

- Po co? To tylko strata czasu.

- Paskudnie wyglądasz.

- A kogo obchodzi, jak wyglądam?

- Mnie. Siadaj, uczeszę cię.

Pozwoliłam siostrze zająć się moimi włosami. Traktowała to bardzo poważnie. Jej błękitne oczy miały skupiony wyraz, a paluszki nie próżnowały ani chwili. Oczywiście jej wysiłki były daremne, ponieważ niczyje włosy nie pozostają zbyt długo uczesane; ale dopóki to sprawiało jej przyjemność, nie miałam nic przeciwko tym staraniom. Przyznaję, że nawet polubiłam ów wieczorny rytuał. Gdy była zajęta moimi włosami, przynajmniej skupiała uwagę na mnie, zamiast dumać nad ojcem.

Uraza, którą żywiłam do ojca, miała wpływ na całe moje życie, za każdym razem, gdy spojrzenie Beldaran robiło się zamglone i nieobecne, wiedziałam, gdzie wędrowały jej myśli, i nie potrafiłam znieść rozłąki bijącej z tego mglistego spojrzenia. Zapewne dlatego, gdy tylko nauczyłam się chodzić, zaczęłam wędrować. Czułam przemożną potrzebę ucieczki od melancholijnej pustki w oczach siostry. Wujek Beldin jednak mało nie postradał przez to zmysłów. Nie potrafił wymyślić takiego zamknięcia bramki blokującej szczyt schodów, którego ja nie potrafiłabym otworzyć. Palce wujka Beldina były grube i sękaty, a jego zamki duże i toporne. Ja miałam paluszki małe i bardzo zręczne, więc potrafiłam szybko uporać się z

jego mechanizmami, gdy naszła mnie ochota na wędrówkę. Byłam - zdaje mi się, nadal jestem - z natury niezależna i nikt nie będzie mi mówił, co mam robić.

Zauważyłeś to, ojczu? Wydaje mi się, iż zauważyłeś.

Początkowo ja uciekałam, wujek Beldin ruszał na szaleńcze poszukiwania, a potem zdrowo mnie rugał. Z pewnym wstydem muszę przyznać, że po pewnym czasie stało się to rodzajem zabawy. Wyczekiwałam, aż wujek będzie czymś głęboko pochłonięty, szybko otwierałam sobie furtkę, po czym zmykałam w dół schodów. Potem znajdowałam sobie jakąś kryjówkę, z której mogłam obserwować jego rozpaczliwe poszukiwania. Myślę, że z czasem i jemu ta zabawa zaczęła sprawiać przyjemność, ponieważ beształ mnie z coraz mniejszym zapamiętaniem. Dość szybko chyba zrozumiał, że w żaden sposób mnie nie powstrzyma od wycieczek poza wieżę. Jednocześnie uświadomił sobie, że nie odejdę zbyt daleko.

Moje wyprawy służyły kilku celom. Początkowo były tylko ucieczką od cikliwych rozmyślań siostry o ojcu. Potem stały się zabawą, w której zamęczałam wujka Beldina odnajdowaniem moich kryjówek. Był to w końcu sposób, choć niezbyt ładny, na zwrócenie czyjejś uwagi.

Z upływem czasu coraz bardziej lubiłam brzydkiego, pokracznego karła, który został moim zastępczym rodzicem. Przejawy jakiegokolwiek uczucia wprawiały wujka Beldina w zakłopotanie, ale myślę, że to powiem: Kocham cię i żadne napady złego humoru czy paskudny język tego nigdy nie zmieniają.

Jeśli kiedyś to przeczytasz, wujku Beldinie, na pewno poczujesz się urażony.

Mogłabym różnie tłumaczyć swoje zachowanie w dzieciństwie, ale szczerze mówiąc, po prostu uważałam, że jestem brzydka. Nie byłyśmy z Beldaran identyczne. Rysy miałyśmy podobne, ale nie byłyśmy swoim zwierciadlanym odbiciem. Były między nami pewne subtelne różnice, choć większość z nich istniała zapewne tylko w mojej wyobraźni. Podczas swoich wycieczek wystawiałam skórę na działanie słońca. Miałyśmy z Beldaran bardzo jasną cerę, toteż moja skóra, zamiast nabrać zdrowej opalenizny, najpierw czerwieniała, a potem zaczęła schodzić. Przypominałam węża lub jaszczurkę w czasie linienia. Beldaran nie wychodziła z wieży, więc jej skóra była jak alabaster. Porównanie nie wypadło zatem dla mnie zbyt korzystnie.

Do tego dochodził jeszcze ten przeklęty biały lok w moich włosach, którym ojciec obdarzył mnie przy pierwszym dotknięciu. Jak ja nienawidziłam tego pasemka włosów! Raz w przyływie złości próbowałam go przyciąć nożem. Nóż był bardzo ostry, ale niewystarczająco. Nie udało mi się włosów ściąć ani wyszarpać, jedynie stępiłam nóż. Nie,

nie był wadliwy. Zostawił bardzo zgrabne rozcięcie na moim kciuku, gdy z zapamiętaniem usiłowałam pozbyć się nienawistnego loka.

W końcu dałam za wygraną. Skoro brzydota była moim przeznaczeniem, po co miałam zwracać uwagę na swój wygląd. Kąpiele były stratą czasu, a czesanie tylko podkreślało kontrast pomiędzy lokiem i resztą moich włosów. Byłam w tym wieku niezdarna i często się przewracałam, więc zwykle miałam poobcierane kolana i łokcie. Miałam też zwyczaj zdzierania strupów, przez co łydki i przedramiona znaczyły mi strużki zaschniętej krwi. Na domiar złego nieustannie obgryzałam paznokcie.

Mówiąc wprost, wyglądałam paskudnie i zupełnie się tym nie przejmowałam.

Na różne sposoby dawałam wyraz swemu niezadowoleniu. Czasami nie odzywałam się do Beldaran, gdy próbowała mnie zagadnąć. Miałam też dziecinny zwyczaj czekać, aż zaśnie, by potem wygodnie ułożyć się w naszym łóżku i ściągnąć z niej kołdrę. To zawsze kończyło się przynajmniej półgodzinną szarpaniną. Zaprzestałam tego, gdy wujek Beldin postraszył, że każe Belkirze i Beltirze zrobić drugie łóżko i będzie nas kładł spać oddzielnie. Złościło mnie, że siostra wciąż myśli o ojcu. Im byłam starsza, tym dalej zapuszczałam się na swoich wyprawy. Wujkowi Beldinowi znudziło się już chyba mnie szukać, a może Mistrz poradził, aby nie przeszkadzał mi w wędrówkach. Najwyraźniej ważne było, abym rozwinęła swą niezależność.

Miałam chyba sześć lat, gdy odkryłam Drzewo, które rośnie na środku Doliny Aldura. Moja rodzina darzy to Drzewo osobliwym przywiązaniem. To ono wprowadziło ojca w rodzaj letargu, gdy po raz pierwszy przybył do Doliny. Utrzymywało go w tym stanie, dopóki pogoda zupełnie się nie popsuła. Ce'Nedra, która przecież była Driadą, była nim zupełnie zauroczona i spędziła przy nim wiele godzin. Garion nigdy nie wspominał, co poczuł na widok Drzewa, ale miał wtedy inne rzeczy w głowie. Eriond zaś, jeszcze jako młody chłopak, wybrał się wspólnie z Koniem w specjalną podróż tylko po to, by je odwiedzić.

Ja byłam zaskoczona, gdy pierwszy raz ujrzałam Drzewo. Nie mogłam uwierzyć, że coś żywego może być tak ogromne. Bardzo dobrze pamiętam tamten dzień. Była wczesna wiosna. Zawadiacki wiaterek falował w trawach na szczytach pagórków i pędził brudne szare chmury po niebie. Czułam się dziwnie wolna. Odeszłam spory kawałek od wieży wujka Beldina. Wspięłam się na długie, trawiaste zbocze i wówczas ujrzałam Drzewo. Stało samotnie w następnej dolince. W tym momencie przez lukę w chmurach wprost na Drzewo spłynął snop słonecznego blasku.

Pień był o wiele szerszy niż wieża wujka Beldina, konary rozpościerały się na setki stóp, a boczne gałęzie ocieniały całe akry. Dłuższy czas przypatrywałam się Drzewu w osłupieniu, a potem bardzo j wyraźnie usłyszałam - lub poczułam - że mnie przywołuje.

Z pewnym wahaniem zesłam ze zbocza. To osobliwe wezwanie obudziło mą czujność. Krzaki do mnie nie przemawiały, trawa też nie. Mój jeszcze nieukształtowany umysł podejrzliwie traktował wszelkie niezwykłości.

Wesłam w cień rozłożystych konarów. Wówczas ogarnął mnie rodzaj dziwnego, ciepłego, promiennego spokoju. Drzewo nie chciało mnie skrzywdzić, tego byłam pewna. Podeszłam śmiało do ogromnego, sękatego pnia.

A potem wyciągnęłam rękę i dotknęłam kory.

Wówczas po raz drugi doznałam przebudzenia. Pierwsze przeżyłam, gdy ojciec w geście błogosławieństwa położył mi dłoń na głowie. To przebudzenie jednak było bardziej dojmujące.

Drzewo powiedziało mi - choć „powiedziało” nie jest najodpowiedniejszym określeniem, skoro Drzewo tak naprawdę nie mówi że było - jest, jak mi się zdaje - najstarszą żywą istotą na świecie. Stało samotne w środku Doliny, strzepując lata niczym krople deszczu ze swych szeroko rozłożonych liści. A skoro jest starsze od nas wszystkich i nadal żyje, to w pewien osobliwy sposób wszyscy jesteśmy jego dziećmi. Pierwsza nauka, jakiej mi udzieliło - pierwsza nauka, jakiej udziela każdemu, kto je dotknie - była o naturze czasu. Czas nie jest dokładnie taki, jak nam się zdaje. Ludzie mają zwyczaj dzielić czas na wygodne kawałki - noc i dzień, zmiana pór roku, upływ lat, wieków, tysiącleci - ale w rzeczywistości czas jest jednym kawałkiem, rzeką płynącą bez końca od początku ku pewnemu niepojętemu celowi. Drzewo ostrożnie wyjaśniło mi to skrajnie trudne pojęcie.

Spotkanie z Drzewem było konieczne, abym zrozumiała znaczenie niezwyklej długości mego życia. Sądzę, że bez tego nie byłoby to możliwe. Trzymałam dłonie na szorstkiej korze Drzewa i powoli zaczynałam pojmować, że będę żyła tak długo, jak to będzie konieczne. Drzewo nie określiło precyzyjnie czekających mnie zadań, ale dało do zrozumienia, że ich wypełnienie potrwa bardzo długo.

Potem usłyszałam głos, a raczej kilka głosów. Rozumiałam, co mówiły, ale jakimś sposobem wiedziałam, że to nie są ludzkie głosy. Dopiero po chwili udało mi zlokalizować ich źródło. Wówczas spomiędzy potężnych konarów sfrunął zuchwały wróbel, wczepił pazurki w szorstką korę Drzewa kilka stóp od mej twarzy i zaczął mi się uważnie przyglądać błyszczącymi oczkami.

- Witaj, Polgardo - zaczął. - Czemu znalezienie nas zabrało ci tyle czasu?

Dzieci często bez oporów akceptują rzeczy niezwykle czy dziwne, ale tego było już za wiele nawet jak dla mnie. Gapiłam się na gadatliwego ptaszka w całkowitym osłupieniu.

- Czemu tak na mnie patrzysz? - zapytał.

- Ty mówisz! - wyrzuciłam z siebie.

- Oczywiście. Wszystkie mówimy. Po prostu wcześniej nie słuchałaś. Powinnaś baczniejszą uwagę zwracać na to, co dzieje się wokół ciebie. Chcesz mnie skrzywdzić, co? Odrnęę, jeśli tylko spróbujesz.

- Nie... nie - wyjąkałam. - Nie zrobię ci krzywdy.

- Dobrze. Zatem możemy porozmawiać. Czy widziałaś może po drodze jakieś nasiona?

- Nie. Ale nie szukałam nasion.

- Szkoda. Moja żona ma trzy maleństwa w gnieździe, a ja powinienem szukać nasion, aby je nakarmić. Co masz na rękawie? Spojrzałam na rękaw mej koszuli.

- To wygląda na nasionko trawy.

- No to nie stój tak. Daj mi je.

Zdjęłam ziarnko z rękawa i podałam mu. Wróbelek zeskoczył z Drzewa, przysiadł na moim palcu. Przekrzywił główkę i błyszczącymi oczkami przyglądał się memu podarunkowi.

- Tak, to trawa - przyznał. Potem wydało mi się, że westchnął. - Teraz do jedzenia są tylko niedojrzałe nasionka trawy. Za wcześniej jeszcze, są takie drobne. - Wziął nasionko w dziób. - Nie odchodź. Zaraz wrócę - dodał, po czym odrnęął.

Przez kilka chwil myślałam, że śnię. Potem mój wróbel wrócił w towarzystwie innego wróbla.

- To moja żona - przedstawił ją.

- Witaj, Polgardo - powiedziała. - Gdzie znalazłaś to nasionko? Moje dzieci są bardzo głodne.

- Pewnie przyczepiło mi się do rękawa na szczycie tamtego wzgórza.

- W takim razie chodźmy to sprawdzić - zaproponowała, beczelnie sadowiąc się na moim ramieniu. Na drugim przysiadł jej mąż. Zupełnie oszołomiona tym cudem, odwróciłam się i ruszyłam w górę trawiastego zbocza.

- Nie idziesz zbyt szybko - zauważyła krytycznie wróblica.

- Nie mam skrzydeł - odparłam.

- To musi być okropnie nudne.

- Dostaję się tam, dokąd chcę.

- Gdy tylko znajdziemy te nasionka, poznam cię z innymi - zaproponował wróbel. -
Moja towarzyszka jakiś czas będzie zajęta karmieniem maleństw.

- Potrafisz rozmawiać z innymi ptakami? - To był wstrząsający pomysł.

- No cóż - odparł lekceważąco - można tak powiedzieć. Skowronki zawsze silą się na poetyckość, drozdy za dużo mówią i zawsze usiłują wepchać się, gdy znajdę jedzenie. Nie przepadam za drozdami. Straszne z nich natręty. Wtem z nieba spadł skowronek i zawisł nad moją głową.

- Dokąd idziecie? - zapytał wróbla.

- Tam - odparł wróbelek, przekrzywiając główkę w kierunku marszu. Jesteśmy zajęci.

Dobrze - zgodził się skowronek. - Moja towarzyszka nadal wysiaduje jajka, więc mam aż nadto czasu, by być przewodnikiem naszej siostry.

- Tam jest nasionko! - zaczęła z podnieceniem wróblica i sfrunęła z mego ramienia, by je podnieść. Jej towarzysz wkrótce dostrzegł następne i oboje odlecieli.

- Wróble, jak mniemam, nadto są nerwowe - zauważył skowronek. - Dokąd to życzysz sobie pójść, siostrze?

- Zdamę się na ciebie - odparłam. - Miałabym ochotę poznać więcej ptaków.

I tak rozpoczęłam swoją ornitologiczną edukację. Tego przedpołudnia spotkałam ptaki wszelkiego rodzaju. Skowronek przedstawił mnie wszystkim. Jego poetycka ocena różnych gatunków była zaskakująco trafna. Mówił, że wróble są nerwowe i gadatliwe, drozdy agresywne i mają skłonność powtarzać w kółko to samo. Sójki są wrzaskliwe. Jaskółki popisują się bez przerwy. Kruki to złodzieje. Sępy cuchną. Kolibry nie grzeszą inteligencją. Przeciętny koliber zmuszony do zastanowienia się nad czymś wpadnie w takie zakłopotanie, że zapomni, jak się lata. Sowy wcale nie są takie mądre, jak się sądzi, a mój przewodnik z pewnym lekceważeniem nazwał je latającymi pułapkami na myszy. Mewy mają zdecydowanie wygórowane mniemanie o swym miejscu w ogólnym porządku rzeczy. Przeciętna mewa wiele czasu spędza na udawaniu, że jest orłem. Zwykle nie widywałam mew w Dolinie, ale porywisty wiatr czasami przygnał je w głąb łądu. Różne ptactwo wodne tyle samo czasu spędza w powietrzu co na wodzie, do tego ma silne poczucie grupowych więzi. Nie przepadam zbyt za kaczkami i gęsiami. Z pewnością są ładne, ale ich głosy doprowadzają mnie do pasji. Drapieżniki to arystokracja wśród ptaków. Wśród jastrzębi obowiązuje złożona hierarchia, w której pozycja ptaka zależy od jego wielkości. Na samym szczycie drabiny ptaków drapieżnych znajduje się orzeł. Przez resztę dnia bratałam się z różnymi ptakami i do wieczora niektóre z nich tak się ze mną oswoiły, że podobnie jak mój gadatliwy wróbelek i jego towarzyszka przysiadły na mnie. Gdy nad dolinę zapadł

wieczór, przyrzekłam wrócić następnego dnia i skowronek odprowadził mnie do wieży wujka Beldina.

- Co robiłaś, Polgaro? - zapytała zaciekawiona Beldaran, gdy weszłam na górę. Jak zwykle, gdy z sobą rozmawialiśmy, zwróciła się do mnie w „bliźniaczym”.

- Spotkałam się z kilkoma ptakami - odparłam.

- Spotkałaś się? A jak wygląda spotkanie z ptakami?

- Rozmawia się z nimi, Beldaran.

- A one odpowiadają? - ciągnęła z rozbawieniem.

- Tak - odpowiedziałam niedbałym tonem. - W istocie odpowiadają. - Skoro chce być zgryźliwa i wywyższać się, to ja też mogę.

Rozzłościła się po mojej wyniosłej odpowiedzi, ale wkrótce ciekawość wzięła górę.

- A o czym mówiły?

- O nasionach i podobnych sprawach. Ptaki bardzo interesują się jedzeniem. Rozmawiają także o lataniu. Nie potrafią zrozumieć, czemu ja nie umiem latać. Potem mówiły o swych gniazdach. Tak naprawdę ptaki nie mieszkają w swych gniazdach, wiesz? To jest tylko miejsce na złożenie jaj i wychowanie piskląt.

- Nigdy o tym nie pomyślałam - przyznała siostra.

- Ani ja, dopóki mi o tym nie powiedziały. Zdaje się, że ptak nie potrzebuje domu. Ptaki mają też swoje sympatie.

- Swoje sympatie?

- Ptaki jednego rodzaju tak naprawdę nie lubią ptaków innego rodzaju. Wróble nie lubią drozdów, a mewy kaczek.

- Jakże to niezwykle! - wykrzyknęła Beldaran.

- O czym tak obie paplacie? - zapytał wujek Beldin, podnosząc oczy znad zwoju, który studiował.

- O ptakach - powiedziałam. Wujek chrząknął w odpowiedzi.

- Może byś się wykąpała i zmieniła ubranie, Poi - zaproponowała nieco zgryźliwie Beldaran. - Cała jesteś w ptasich kupach.

- Wyschną, to dadzą się strzepać - odpowiedziałam ze wzruszeniem ramion.

Moja siostra wzniosła oczy do góry.

Następnego dnia wczesnym rankiem poszłam do małego spichlerza, w którym bliźniaki przechowywali zapasy. Byli Alornami i lubili piwo. Jednym z głównych składników piwa jest jęczmień. Byłam przekonana, że nie zauważą zniknięcia jednego woreczka. Otworzyłam

skrzynię, w której przechowywali ziarno, i nagarnęłam jęczmienia do kilku płóciennych toreb, które zdjęłam z tylnej ściany spichrza, potem ruszyłam w kierunku Drzewa.

- Dokąd to idziesz, siostrze? - To znowu był ów skowronek. Być może, moje upodobanie do wyszukanej mowy wacuńskich Aledów zrodziło się z rozmów z tym skowronkiem.

- Wracam do Drzewa - odparłam.

- A co to jest? - dopytywał się, wskazując główką niesione przez ze mnie torby.

- Prezent dla moich nowych przyjaciół - odparłam.

- Prezent? Co to jest prezent?

- Zobaczysz.

Ptaki bywają równie ciekawskie jak koty. Skowronek przez całą drogę do Drzewa zadreślał mnie pytaniami o to, co jest w torbach. Moje ptaki nie posiadały się z zachwytem, gdy otworzyłam torby i rozsypałam ziarno wokół Drzewa. Zleciały się na ucztę z wielu mil. Przyglądałam się im z czułością jakiś czas, a potem wdrapałam się na Drzewo i wyciągnęłam na jednym z ogromnych konarów. Wydawało mi się, że Drzewo pochwalało to, co zrobiłam.

Długo rozmyślałam tego ranka nad tym, skąd wziął się u mnie talent rozumienia ptasiej mowy.

- To dar Drzewa dla ciebie, Polgaro - usłyszałam głos matki i nagle wszystko stało się jasne. Oczywiście! Czemu o tym nie pomyślałam?

- Zapewne dlatego że nie zwracałaś uwagi - zauważyła matka.

W ciągu następnych lat Drzewo stało się moim drugim domem. Dnie spędzałam na ulubionej gałęzi, oparta plecami o masywny pień. Karmiłam ptaki i rozmawiałam z nimi. Poznawaliśmy się coraz lepiej. Ptaki przynosiły mi informacje o pogodzie, pożarach lasu i podróznym przechodzących przez Dolinę Aldura. Rodzina nadal dokuczała mi z powodu niechlujnego wyglądu, ale ptakom zdawał się on nie przeszkadzać. Czasami mam niewyparzony język. Mogą to potwierdzić ci, którzy mnie znają. Dzięki memu umiłowaniu Drzewa i jego skrzydlatych mieszkańców rodzinie oszczędzone zostało mnóstwo nieprzyjemności.

Pory roku mijały. Wkroczyliśmy z Beldaran w okres żrebięcej niezdarności. A potem, pewnego ranka, odkryliśmy, że w ciągu nocy stałyśmy się kobietami. Dowody widoczne były na naszej pościeli.

- Czy my umieramy? - zapytała przerażona Beldaran.

- Powiedz, żeby przestała, Polgardo! - usłyszałam ostry głos matki. Nigdy tego nie potrafiłam zrozumieć. Mama zwracała się bezpośrednio do mnie, ale nigdy nie wkroczyła w umysł Beldaran. Z całą pewnością był po temu powód, ale mama nigdy mi tego nie wyjaśniła.

- Co się dzieje, mamó? - zapytałam. Jeśli mam być szczerą, to byłam niemal równie wystraszona jak moja siostra.

- To naturalny proces, Polgardo. Tak dzieje się ze wszystkimi kobietami.

- My tego nie chcemy!

- Nic nie poradzę. Tak być musi. Powiedz Beldaran, że nie ma się czym przejmować.

- Mama mówi, że wszystko jest w porządku - powiedziałam siostrze.

- Jak może być w porządku?

- Cicho. Usiłuję słuchać mamy.

- Nie uciszaj mnie, Polgardo!

- A więc nic nie mów. - Skierowałam swoją uwagę do wnętrza. - Lepiej to wytłumacz, mamó. Beldaran zaraz postrada zmysły. - Nie uważałam za konieczne przyznać, że ja również byłam o krok od tego.

Wówczas mama udzieliła medycznego wyjaśnienia krwawych plam na naszej pościeli, a ja przekazałam tę informację zdenerwowanej siostrze.

- I tak już będzie zawsze? - zapytała Beldaran drżącym głosem.

- Nie, tylko przez kilka dni. Mama powiedziała, że powinnyśmy się do tego przyzwyczaić, ponieważ to będzie przydarzać się nam co miesiąc.

- Co miesiąc?! - Beldaran była wstrząśnięta.

- Tak powiedziała. - Uniosłam się na łóżku i spojrzałam w kierunku pościeli wujka Beldina. - Posprzątajmy to, dopóki śpi - zaproponowałam.

- Dobry Boże, tak! - przystała żarliwie. - Umrę, jeśli on się o tym dowie.

Jestem całkiem pewna, że nasz pokraczny wujek zdawał sobie sprawę, co się działo, ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Wujek Beldin miał własną teorię na temat tego, kiedy członkowie mojej rodziny ujawniali to, co mój ojciec nazywał „talentem”- twierdził, że „talent” ujawnia się wraz z nastaniem okresu dojrzewania. Być może, ja przyczyniłam się do tego. Miałam chyba ze dwanaście lat. To był „ten czas miesiąca”. Beldaran była osowiała, ja - rozdrażniona. Matka wspomniała, że „coś może się wydarzyć” osiągnęłyśmy z Beldaran pewien stopień dorosłości, ale mówi o tym dość niejasno. Najwyraźniej pierwszy kontakt z „talentem” musiał być spontaniczny. Nie pytajcie mnie, nie mam najmniejszego pojęcia, jak rozsądnie wytłumaczyć. Pamiętam okoliczności tego pierwszego wypadku. Niosłam torbę z ziarnem do Drzewa. Utyskiwałam pod nosem. Z upływem czasu ptaki stały się ode mnie zależne i bez skrpułów wykorzystywały moją hojność. Ptaki, podobnie jak inne stworzenia, jeśli tylko zjedzą, bywają leniwe. Pod Drzewem przywitał mnie harmider. Ptaki domagały się nasion. To rozdrażniło

mnie jeszcze bardziej. O ile wiem, żaden nauczył się mówić „dziękuję”. Były ich tam teraz całe stada i w krótkim czasie uporały się z dzienną porcją. Potem zaczęły skrzeczeć o więcej.

Siedziałam na swym ulubionym konarze i natrętnie wrzaski złościły mnie jeszcze bardziej. Pomyślałam wówczas chciałabym mieć pod ręką niewyczerpalny zapas ziarna, żeby je uciszyć. Sójki były szczególnie napastliwe. Ich skrzek doprowadzał mnie do pasji. W końcu, u granic wytrzymałości, krzyknęłam: - Więcej ziarna!

I nagle ziarno pojawiło się - całe jego sterty! Byłam oszołomiona. Nawet ptaki wydawały się zaskoczone. A ja do tego poczułam się absolutnie wyczerpana.

Ojciec zawsze używał wyrażenia „Wola i Słowo”, by opis robił, ale myślę, że jest ono zbyt zawężone. Z mojego doświadczenia wynika, że „Życzenie i Słowo” również dobrze pasuje.

Pewnego dnia muszę o tym z ojcem porozmawiać. Jak często się dzieje w takich wypadkach, mój pierwszy czar narobił wiele hałasu. Jeszcze nie skończyłam sobie gratulować, gdy przyfrunął jastrząb z niebieską obrączką i dwa gołębice. Jastrzębie i gołębice zwykle nie fruwać razem - chyba że jastrząb jest głodny - więc natychmiast wydało mi się to podejrzane. Całość wylądowała na moim konarze, po czym zamigotała i na moich zmieniła postać.

- Ziarno, Polgardo? - zapytał słodko Beltira. - Ziarno?

- Ptaki były głodne - powiedziałam. Cóż za głupie wyjaśnienie dla cudu!

- Nad wiek rozwinięta, prawda? - mruknął Belkira do wujka Beldina.

- Pewnie mogliśmy się tego spodziewać - burknął Beldin. - Pol nigdy niczego nie robi w normalny sposób. - Potem spojrział na mnie surowo. - Nie rób tego więcej, Poi! - polecił ostrym tonem. - Nie rób tego, dopóki nie wytłumaczymy ci kilku rzeczy. To jest bardzo niebezpieczne.

- Niebezpieczne? - Byłam zaskoczona.

- Możesz zrobić niemal wszystko, co przyjdzie ci do głowy, Pol - wyjaśnił Beltira - ale nie możesz unicestwiać rzeczy. Nigdy nie mów „Nie bądź”. Jeśli to uczynisz, siły, które wyzwolisz, obrócą się przeciwko tobie i to ty zostaniesz zniszczona.

- A czemu miałabym pragnąć zniszczenia czegoś?

- Do tego dojdzie - zapewnił mnie Beldin swym burkliwym głosem. - Jesteś prawie tak skora do gniewu jak ja i wcześniej czy później coś na tyle cię rozzłości, że zapragniesz, by znikło. Zapragniesz to zniszczyć, a wtedy sama zginiesz.

- Zginę?!

- Wszechświat ma na celu tworzenie. Nie pozwoli, byś niszczyła jego dzieło.

- Czy nie mogę także nic stwarzać?
- Skąd przyszło ci to do głowy?
- Jeśli niszczenie rzeczy jest zabronione, to logiczne wydaje się, że ich tworzenie również.

- Tworzenie rzeczy jest w porządku - zapewnił mnie Beldin. - Właśnie zrobiłaś pół tony ziarna i nadal tu jesteś. Ale nigdy nie próbuj wymazać tego, co zrobiłaś. Jeśli stworzysz coś marnego, to już twoje zmartwienie. Co raz zrobisz, przylgnie do ciebie na zawsze.

- To niesprawiedliwe! - zaprotestowałam.
- Oczekiwałaś, że życie będzie względem ciebie sprawiedliwe, Pol?
- Ale skoro coś zrobię, to jest moje, prawda? Powinnam móc zrobić z tym, co będę chciała, prawda?

- Nie na tym to polega, Pol - tłumaczył Beltira. - Nie eksperymentuj. Kochamy cię bardzo, nie chcemy cię stracić.

- Czego jeszcze nie powinnam robić?
- Nie porywaj się na niemożliwe - powiedział Belkira. - Gdy już raz zaangażujesz swą wolę w robienie czegoś, musisz doprowadzić do końca. Raz uwolnionej woli nie można po prostu wyłączyć. Będzie wysysać z ciebie coraz więcej siły, by wykonać zadanie, aż w końcu tyle z ciebie wyciągnie, że serce przestanie ci bić, a wówczas umrzesz. A skąd mam wiedzieć, co jest możliwe, a co nie?

- Poradz się któregoś z nas, nim zaczniesz - powiedział Beltir
- Nikt nie będzie mi mówił, co robić! - wybuchłam.
- Chcesz umrzeć? - zapytał brutalnie Beldin.
- Oczywiście, że nie.
- Więc słuchaj nas! - warknął. - Żadnych eksperymentów na własną rękę. Niczego nie rób bez wcześniejszego poradzenia się któregoś z nas. Nie próbuj podnieść gór czy zatrzymać słońca. Wszyscy pragniemy cię ochronić, Pol. Nie utrudniaj nam zadania.

- Coś jeszcze? - Nieco zmarkotniałam.
- Jesteś bardzo głośna - powiedział bez ogródek Belkira.
- Co chcesz powiedzieć przez „głośna“?
- Robienie czegoś tym sposobem wydaje dźwięk, który słyszymy. Zrobieniu tego ziarna towarzyszył dźwięk podobny do uderzenia pioruna. Pamiętaj, że nie my jedni na świecie posiadamy ten dar. I że się zdarzyć, że nie będziesz chciała ogłaszać wszystkim swojej obecności. Posłuchaj, pokażę ci. Niedaleko Drzewa leżał duży kamień. Wujek Belkira spojrział niego i lekko zmarszczył brwi. Potem kamień zniknął i pojawił o sto kroków dalej.

To nie był dokładnie hałas. Bardziej to poczułam, niż usłyszałam.

- Teraz rozumiesz, co miałem na myśli? - zapytał Belkira.

- Tak. To dźwięk, tylko bardzo cichy.

- Cieszę się, że ci się podobał.

Jeszcze przez jakiś czas piętrzyli przede mną zakazy.

- Czy to wszystko? - zapytałam w końcu. Zaczynali mnie nużyć?

- Będzie więcej, Pol - powiedział Beltira. - To są sprawy, o których powinnaś wiedzieć już teraz. Czy ci się to podoba, czy nie, właśnie rozpoczęła się twoja edukacja. Musisz nauczyć się kontrolować swój dar. Ucz się bardzo pilnie, Pol. Twoje życie może od tego zależeć.

- Po prostu się uśmiechaj i przytakuj im, Polgardo - poradziła matka. - Sama się zajmę twoją edukacją. Uśmiechaj się, kiwaj głową i spokojnie przyjmuj instrukcje. Nie drażnij wujów robieniem niezwykłych rzeczy w ich obecności.

- Jak sobie życzysz, mamó - zgodziłam się.

Oto jak naprawdę rozpoczęłam swą edukację. Często zaskakiwałam wujków tym, jak szybko się uczę. Nie mówili mi o pewnych sztuczkach, dopóki ich sama nie zrobiłam - bez zarzutu. Jestem pewna, że myśleli, iż trafił im się obiecujący - choć bardzo brudny - geniusz. Prawda natomiast jest taka, że matka zdążyła mnie już nauczyć tych prymitywnych sztuczek. Mój umysł był połączony z umysłem matki, jeszcze zanim przyszłam na świat, więc miała okazję ocenić skalę mego zrozumienia. To czyniło z niej o wiele lepszego nauczyciela niż wujkowie.

Wówczas właśnie wujek Beldin wyruszył załatwić jakąś tajemniczą sprawę i moja edukacja spadła na barki bliźniaków - a przynajmniej tak sądzili. W rzeczywistości matka nauczyła mnie większości tego, co wiem.

Oczywiście opowiedziałam o wszystkim siostrze. Nie miałyśmy z Beldaran przed sobą tajemnic.

- Jakie to uczucie? - zapytała.

- Pokażę ci. Sama będziesz mogła się przekonać.

- Nie, Pol - westchnęła. - Mama powiedziała, bym tego nie robiła.

- Powiedziała? To znaczy, że w końcu z tobą rozmawia?

- Nigdy, kiedy jestem świadoma - wyjaśniła Beldaran. - Jej głos przychodzi do mnie we śnie.

- To bardzo niewygodny sposób.

- Wiem, ale ona ma po temu powody. Powiedziała mi, że ty masz robić różne rzeczy. Ja mam po prostu być.

- Być kim?

- Nie powiedziała mi jeszcze. Zapewne kiedyś mi to wyjaśni.

Odeszłam, mruczając coś pod nosem.

Matka powiedziała mi o tym, co mogę robić, i wszystkiego spróbowałam. Translokacja była bardzo zabawna i pozwoliła mi nauczyć się tłumić dźwięk. Całe dni spędzałam na przrzucaniu kamieni z jednego końca Doliny Aldura w drugi.

Wielu ze sztuczek, których wykonanie matka mi wyjaśniła, nie mogłam ćwiczyć, ponieważ wymagały obecności innych ludzi, a poza bliźniakami i Beldaran nikogo w pobliżu nie było. Mama stanowczo zakazała mi eksperymentów z Beldaran.

To, co moi wujkowie nazywali edukacją, odciągało mnie od Drzewa i ptaków na długi czas. Całkiem mi się to nie podobało. Znałam już prawie wszystko, o czym mówili, więc bardzo się nudziłam.

- Trzymaj nerwy na wodzy, Polgardo - powiedziała mi raz matka gdy byłam na granicy wybuchu.

- Ale to takie nudne! - zaprotestowałam.

- To myśl o czymś innym.

- O czym mam myśleć?

- Niech bliźniaki nauczą cię gotować - zaproponowała. - Ludzie lubią wsadzać swoje jedzenie do ognia, nim je zjedzą. Mnie zawsze u dawało się to stratą czasu, ale oni tacy już są.

W taki sposób zaczęłam pobierać dwie nauki zamiast jednej. Nauczyłam się wszystkiego o translokacji i przyprawach niemal w ty samym czasie. Jedną z osobliwości naszego talentu jest fakt, że wyobraźnia odgrywa w nim bardzo dużą rolę. Szybko przekonałam się, że potrafię wyobrazić sobie, ile danej przyprawy należy dodać do przygotowywanego dania. Pod tym względem prześcignęłam nawet bliźniaków. Oni odmierzali wszystko dość skrupulatnie. Ja doprawiałam jedzenie instynktownie - szczypta, kawałek, garść przypraw zawsze wiedziałam ile.

- Za dużo szałwi, Poi - zaprotestował Beltira, gdy zanurzałam dłoń w słoju z przyprawami.

- Poczekaj, wujku - powiedziałam. - Nie krytykuj, zanim spróbujesz.

I jak zwykle ugotowany przeze mnie gulasz był doskonały. Przypominam sobie, że Beltira miał trochę markotną minę.

Potem nadszedł bardzo ważny dzień w moim życiu. To był dzień, a właściwie noc, w którym matka wyjawiała mi sekret zmiany postaci.

- To naprawdę bardzo proste, Polgardo - powiedziała. - Musisz tylko wyobrazić sobie ten inny kształt, a potem się w niego wcielić.

Jednakże mamy pojęcie „prostego” zasadniczo różniło się od mojego.

- Pióra w ogonie są za krótkie - skrytykowała po mojej trzeciej Próbie. - Spróbuj jeszcze raz.

Wiele godzin zajęło mi prawidłowe wyobrażenie sobie kształtu, byłam o krok od poddania się. Gdy udało mi się z ogonem, dziób był zły lub szpony. Potem pióra na skrzydłach nie były wystarczająco miękkie albo klatka piersiowa nie dość silna. Potem oczy za małe. Miałam już zrezygnować, gdy matka powiedziała:

- To już coś przypomina. Teraz wciel się w ten kształt. - Zdolność mamy do zaglądania w mój umysł czyniła z niej najlepszego nauczyciela, jakiego mogłam mieć.

Zaczęłam wnikać w stworzone przez siebie wyobrażenie. Poczułam, jak moje ciało staje się niemal płynne - niczym miód. Dosłownie wsączyłam się w wyobrażony kształt.

A wówczas dokonało się. Byłam sową śnieżną. Znowu nieustanny kontakt mamy z moim umysłem ogromnie uprościł sprawę. O zbyt wielu rzeczach trzeba wiedzieć, aby od razu nauczyć się latania, więc matka po prostu wprowadziła tę wiedzę do mego umysłu. Machnęłam skrzydłami i natychmiast uniosłam się w powietrze. Przeleciałam kilka razy wokół wieży. Z każdym cichym machnięciem skrzydeł nabierałam większej wprawy i zataczałam coraz szersze kręgi.

Latanie ma w sobie coś tak ekstatycznego, że nawet nie próbuję tego opisać. Zanim świt zaczął znaczyć wschodni horyzont, byłam bardzo sprawnym ptakiem, a przepelniała mnie radość, jakiej nigdy jeszcze nie znałam.

- Wracaj do wieży, Poi - poradziła mama. - Sowy zwykle nie latają w dzień.

- Muszę?

- Tak. Nie wyjawiaj jeszcze tej naszej małej tajemnicy. Musisz powrócić do własnej postaci.

- Nie chcę! - zaprotestowałam gwałtownie.

- Jutro w nocy możemy pobawić się znowu, Pol. Teraz wracaj domu i wróć do własnej postaci, zanim się ktokolwiek obudzi. Nie miałam na to ochoty, ale usłuchałam. Wkrótce potem Beldaran odciągnęła mnie na stronę.

- Wujek Beldin sprowadza ojca z powrotem do Doliny - powiedziała.

- Tak? Skąd wiesz?

- Mama mi powiedziała we śnie.

- We śnie? - To mnie zaskoczyło.

- Zawsze przychodzi do mnie we śnie. Już ci o tym mówiłam Postanowiłam nie wdawać się z nią w dyskusje, ale porozmawiaj o tym z mamą. Do mnie zawsze przychodziła, gdy nie spałam. Z moją siostrą rozmawiała tylko w mglistym świecie snów. Ciekawiło mnie, dlaczego. Zastanawiałam się również, czemu matka powiedziała Beldaran o powrocie ojca, a mi o tym nie wspomniała. Było wczesne lato, gdy wujek Beldin w końcu sprowadził ojca do domu. Przez te wszystkie lata wujek Beldin śledził ojca i donosił o jego rozlicznych eskapadach, więc nie byłam podekscytowana. Namiast nie miałam ochoty uznać tego przesiąkniętego piwem rozpustnika i włóczęgi za swego ojca.

Nie wyglądał najgorzej, gdy wszedł na górę ale wiedziałam, że wygląd może być zwodniczy.

- Ojcie! - wykrzyknęła Beldaran, rzucając mu się w objęcia Przebaczenie jest cnotą, ale Beldaran chyba przesadziła ?

Ja me zachowałam się zbyt miło. Usprawiedliwić mogło mnie tylko to że me chciałam, aby ojciec nabrał mylnego wrażenia że jego powrót do domu jest powodem do świętowania. To nie była nienawiść, ale zdecydowanie go nie lubiłam

-Postanowiłeś wrócić na miejsce zbrodni.

Powiedziałam ojcu - ze szczegółami - co o nim myślę. Nie chciałam, by przypadkiem doszedł do wniosku, że słodycz i beztroska Beldaran charakterystyczna jest dla nas obu. Chciałam również dać wyraz swej niezależności i jestem pewna, że to do niego dotarło. Nie byłam sympatyczna, ale miałam wówczas dopiero trzynaście lat i brakowało mi oglądy.

W porządku, powiedzmy otwarcie. Nie jestem święta i nigdy nie rościłam sobie do tego pretensji. Czasami określano mnie mianem „świętobliwa Polgarda”, ale to czysty nonsens. Zapewne tylko bliźnięta potrafią zrozumieć, co czułam w dzieciństwie. Beldaran była absolutnym centrum mego życia, nim jeszcze przyszłyśmy na świat. Beldaran należała do mnie. Zazdrością i bezgranicznym oburzeniem zareagowałam więc na „zawłaszczenie” przez ojca uczuć Beldaran. Należała do mnie, a on ją ukradł! Moja uwaga o „miejscu zbrodni” zapoczątkowała coś, co ciągnęło się przez tysiąclecia.

Wielu z was zapewne zauważyło, że moje stosunki z ojcem cechowała niechęć. Ja mu dogryzałam, a on nie pozostawał mi dłużny. W krótkim czasie stało się to przyzwyczajeniem, które zakorzeniło się we mnie tak głęboko, że teraz robię to już automatycznie. Jeszcze jedna sprawa. Wszyscy, którzy nas znali od dzieciństwa, zawsze przyjmowali, że to ja jestem dominującym bliźniakiem, Ja przewodzę we wszystkich bliźniaczych sprawach. W

rzeczywistości to Beldaran była dominującym bliźniakiem. Ja robiłam wszystko z myślą o zaskarbieniu sobie jej przychylności i w pewnym sensie nadal tak jest. Beldaran miała w sobie pogodny spokój, którego mogłam jej tylko zazdrościć. Matka wprowadziła w jej umysł cel życia, zanim jeszcze przyszliśmy na świat, może to właśnie było powodem stanu ducha mojej siostry. Beldaran wiedziała, dokąd zmierza. Ja nie miałam nawet mglistego pojęcia o swoim przeznaczeniu. Ojciec zniósł popis mego złego humoru ze spokojną dobrotliwością, która rozżłościła mnie jeszcze bardziej. W końcu sięgnęłam nawet po barwne zwroty ze słownictwa wujka Beldina. Nie gustowałam specjalnie w przekleństwach, ale chciałam sprawdzić, czy potrafi sprowokować ojca do jakiejś reakcji. Poirytowała mnie jego obojętność na moje najostre przytyki. Potem ojciec bezceremonialnie oznajmił, że przeprowadzamy się do jego wieży. W tym momencie moje słownictwo wyraźnie się pogorszyło. Ojciec wyszedł, a ja odbyłam z Beldaran rozmowę w „bliźniaczym”.

- Jeśli ten dureń choćby przez minutę myślał, że przeprowadzimy się do niego, to czeka go bardzo przykra niespodzianka - oznajmiłam.

- On jest naszym ojcem, Polgaro - zauważyła Beldaran.

- To nie moja wina.

- Musimy być mu posłuszne.

- Czyś ty postradała rozum?

- Nie. - Beldaran rozejrzała się po wieży wujka Beldina. - Zaczniemy się pakować.

- Ja nigdzie się nie ruszam - powiedziałam.

- Oczywiście, to już zależy od ciebie. Byłam więcej niż trochę zaskoczona.

- Wyprowadzisz się i zostawisz mnie samą? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Ty mnie zostawiałaś samą, odkąd znalazłaś Drzewo, Pol - przypomniała mi. - Pakujesz się czy nie?

Siostra bardzo rzadko tak otwarcie korzystała ze swej władzy nade mną. Zwykle osiągała to, co chciała, bardziej subtelными sposobami. Beldaran poszła do graciarni Beldina i zaczęła przebierać w pustych drewnianych skrzyniach, które wujek tam zgromadził.

- Po waszym tonie domyślam się, że miałyście drobną sprzeczkę - Powiedział przymilnie wujek.

- To raczej całkowite zerwanie - odparłam. - Beldaran ma zamiar być posłuszna ojcu, ja nie.

- Nie szedłbym o zakład, Pol, że wygrasz. - Wujek Beldin wychował nas i rozumiał naszą strukturę władzy.

- To jest właściwe i odpowiednie, Pol - rzuciła przez ramię Beldaran. - Szacunek, jeśli nie miłość, zmusza nas do posłuszeństwa.

- Szacunek?! Ja mam szanować tego cuchnącego piwskim wólcę?!

- Powinnaś, Pol. Rób jednak, jak uważasz. Ja będę mu posłuszna. Możesz zrobić, jak ci się podoba. Będiesz mnie czasami odwiedzać, prawda?

Co miałam na to odpowiedzieć? Teraz, być może, zrozumiecie źródło władzy Beldaran nade mną. Ona prawie nigdy nie traciła panowania nad sobą i zawsze mówiła z tak rozsądną słodyczą w głosie, ale to było bardzo zwodnicze. Ultimatum jest ultimatum, bez względu na to jak je postawiono. Gapiłam się na nią bezradnie.

- Nie sądzisz, że czas się pakować, siostrzyczko? – zapytała słodko.

Wypadłam z wieży wujka Beldina i pognałam do Drzewa, by tam się dąsać. Kilka ostrych odpowiedzi przekonało nawet ptaki, by zostawiły mnie w spokoju.

Spędziłam na Drzewie całą noc, w nadziei, że swą nieobecnością przywiodę Beldaran do opamiętania. Jednakże moja siostra miała żelazną wolę. Przeprowadziła się do ojca, a ja, po kilku dniach samotności niemal nie do zniesienia, dołączyłam do nich z posępną miną. Nie znaczy to jednak, że wiele czasu spędzałam w zagraconej wieży ojca. Sypiałam tam i czasami jadłam. Było lato. Drzewo wystarczało mi za dom, a ptaki zapewniały towarzystwo.

Gdy teraz wracam do tamtych czasów myślami, dostrzegam osobliwą dychotomię motywów kryjących się za owymi wakacjami w konarach Drzewa. Oczywiście, początkowo próbowałam ukarać Beldaran za jej zdradę wobec mnie. Prawdę powiedziawszy jednak, przebywałam na Drzewie, ponieważ mi się tam podobało. Kochałam ptaki a matka niemal nieustannie dotrzymywała mi towarzystwa. Bardzo często używałam postaci innej niż moja własna. Odkryłam, że wiewiórki są bardzo zwinne. Oczywiście mogłam zawsze przybrać postać ptaka i po prostu pofrunąć na najwyższe konary, ale wspinaczka daje większą satysfakcję. Lato było w pełni, gdy uświadomiłam sobie niebezpieczeństw związane z przybieraniem postaci gryzonia. Gryzonie traktowane są przez niemal wszystkie inne stworzenia na świecie, być może z wyjątkiem złotej rybki, za źródło pożywienia. Pewnego pogodnego letniego ranka skakałam pomiędzy najwyższymi konarami Drzewa, gdy przelatujący jastrząb postanowił zrobić sobie ze mnie śniadanie.

-Nie rób tego - powiedziałam z oburzeniem, gdy pikował ku mnie.

Ptak odskoczył zdumiony.

- Polgara? Czy to naprawdę ty?

- Oczywiście, że ja, ty tępaku.

- Przepraszam, nie poznałem cię - tłumaczył.

- Powinieneś być bardziej uważny. Łatwo wpadniesz w pułapkę, kiedy myślisz, że trafiłeś na darmowy posiłek.

- A kto chciałby mnie schwytać w pułapkę?

- Nie chciałbyś tego wiedzieć.

- Polatasz ze mną? - zaproponował.

- Skąd wiesz, że potrafię latać?

- To nie każdy potrafi? - zapytał. Wydawał się lekko zaskoczony. Był najwyraźniej bardzo młodym jastrzębiem.

Szczerze mówiąc, wspólny lot sprawił mi wielką przyjemność. Każdy ptak lata trochę inaczej. Jastrzębie potrafią bez wysiłku wznosić się dzięki niewidocznym kominom ciepłego powietrza, co daje poczucie niewiarygodnej wolności.

W porządku, lubię latać. I co z tego?

Tego lata ojciec pozostawił mnie samej sobie, bo prawdopodobnie samo brzmienie mego głosu działało mu na nerwy. Raz jednak przyszedł pod Drzewo - pewnie za namowami Beldaran - by mnie przekonać do powrotu do domu. Jednakże to on otrzymał porządną lekcję przekonywania. Moje ptaki go odpędziły.

W ciągu następnych tygodni sporadycznie widywałam ojca i siostrę. Zaglądałam do nich co jakiś czas, aby sprawdzić, czy siostra nie wykazuje przypadkiem oznak cierpienia. Jeśli jednak Beldaran cierpiała, potrafiła to całkiem dobrze ukrywać. W czasie moich wizyt ojciec siadywał zwykle w kącie. Zajęty był robieniem czegoś małego, ale nie byłam ciekawa czego.

Była wczesna jesień, gdy w końcu dowiedziałam się, nad czym mozolnie pracował. Pewnego ranka przyszedł pod moje Drzewo. Beldaran była z nim.

- Mam coś dla ciebie, Pol - powiedział.

- Nie chcę tego - odparłam z bezpieczeństwa swej grzędy.

- Czy ty się trochę nie wygłupiasz, Pol? - zapytała Beldaran.

- To u nas rodzinne - odparłam.

Wówczas ojciec uczynił coś, co robił bardzo rzadko. W jednej chwili siedziałam wygodnie na swym konarze, ponad dwadzieścia stóp nad ziemią, a w następnej leżałam rozciągnięta na ziemi u jego stóp. Ten stary szelma mnie przemieścił!

- Tak lepiej - powiedział. - Teraz możemy porozmawiać. - Wyciągnął rękę ze srebrnym medalionem na srebrnym łańcuszku. - To dla ciebie - powiedział.

Wzięłam podarunek z pewnym ociąganiem.

- Co mam z nim zrobić? - zapytałam.

- Zawiesić sobie na szyi,

- Po co?

- Ponieważ Mistrz tak kazał. Jeśli chcesz się z nim kłócić, to proszę bardzo. Przestań się wygłupiać. Czas, byśmy wszyscy dorośli.

Na medalionie zobaczyłam wizerunek sowy. Przez myśl przemknęło mi, że ten bardzo stosowny prezent może pochodzić od Aldura, a nie od ojca. W owym czasie wszelkie ozdoby uważałam za bardzo niestosowne, ta jednak od razu wydała mi się użyteczna. Na amulecie był wizerunek sowy, mojej, a także mamy ulubionej, alternatywnej postaci. Trudność ze zmianą postaci polegała na stworzeniu właściwego wizerunku. Ojciec okazał się bardzo uzdolnionym rzeźbiarzem. Sowa była jak żywa. Wydawało się, że zaraz odleci, ozdoba będzie bardzo użyteczna, uznałam. Po zawieszeniu medalionu na szyi doznałam dziwnego uczucia. Nagle poczułam się dopełniona. Miałam wrażenie, że dotychczas czegoś brakowało.

- Teraz jest nas troje - powiedziała czule Beldaran.

- Niesamowite - odparłam cierpko. - Umiesz liczyć. - Moja spodziewana reakcja na dar ojca wytrąciła mnie z równowagi i musiałam się na kimś wyżyć.

- Nie bądź złośliwa - poprosiła Beldaran. - Wiem, że jesteś mądrzejsza ode mnie, Pol. Nie musisz mi tego wytykać. A teraz wracaj do domu, gdzie twoje miejsce.

W owym czasie byłam na tyle próżna, by kierować się zasadą że nikt nie będzie mi mówił, co mam robić. Beldaran jednak systematycznie wyprowadzała mnie z błędu. Potrafiła mi rozkazywać. Czasami to robiła. Szybko pokorniałam z lęku przed utratą jej miłości.

Wróciliśmy we trójkę do wieży. Ojciec wydawał się nieco zaskoczony nagłą zmianą mego zachowania. Myślę, że po dziś dzień nie rozumie w pełni, jaką władzę miała nade mną Beldaran.

Zaproponował mi śniadanie. Wtedy odkryłam, że ten najpotężniejszy z czarodziejów jest bardzo marnym kucharzem.

- Czy celowo przyrządziłeś tak niesmaczne jedzenie, ojcze? - zapytałam. - Nikt by nie ugotował czegoś tak paskudnego przez przypadek.

- Jeśli ci nie smakuje, Pol, to tam jest kuchnia.

- Masz rację, ojcze - odparłam z udanym zdumieniem. - Jakie to dziwne, że sama tego nie zauważyłam. Chyba dlatego że cały kuchenny blat zavalony jest twoimi książkami i zwojami.

- Lubię czytać, gdy gotuję.

- Wiedziałam, że coś musiało cię rozpraszać. Nie zmarnowałbyś jedzenia, gdybyś był uważny - powiedziałam, po czym zmiotłam ręką z blatu wszystkie jego książki i zwoje. - Od teraz trzymaj swoje zabawki z dala od mej kuchni, ojciec. Następnym razem je spalę.

- Twojej kuchni? Twojej?!

- Ktoś musi gotować, a ciebie nie można dopuszczać w pobliże kuchni.

Ojciec był zbyt zajęty zbieraniem swych ksiąg, by odpowiedzieć.

To ustaliło moje miejsce w naszej osobliwej rodzinie. Lubiłam gotować, więc nie miałam nic przeciwko temu. Po pewnym jednak czasie zaczęłam się zastanawiać, czy aby nie poniżam się przejęciem na siebie tych codziennych trudów. Po kilku tygodniach sprawy się ułożyły i nasze pozycje w rodzinie utwierdziły się na dobre. Niekiedy narzekałam trochę, ale w rzeczywistości nie byłam z tego powodu nieszczęśliwa.

Nie podobało mi się co innego. Szybko odkryłam, że nie mogę odpiąć zapinki przy amulecie, który ojciec dla mnie zrobił. Byłam jednak ekspertem w otwieraniu zamków, więc wkrótce sobie z tym poradziłam. Zapinka była bardzo skomplikowana, a jej sekret wiązał się z czasem. To mnie przekonało, że ojciec sam tego nie wymyślił. Wyrzeźbił amulet zgodnie z instrukcjami Aldura, a tylko bóg mógł, wpaść na pomysł zamknięcia, które istniałoby równocześnie w dwóch różnych czasach.

Nie będzie mi się w to zagłębiać, dobrze? Na samą myśl o tym zaczyna mnie znowu boleć głowa. Kuchenne obowiązki nie wypełniały mi całego dnia. Wkrótce udało mi się nakłonić Beldaran do zmywania naczyń po śniadaniu. Ja w tym czasie przygotowywałam obiad, który zwykle był na zimno, jako że zimny obiad jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodził. Po obiedzie mogłam wrócić do swego Drzewa i ptaków. Ani ojciec, ani siostra niej sprzeciwiali się moim codziennym wycieczkom. Dzięki nim nie miałam okazji docinać ojcu. Pory roku mijały tak, jak to mają w zwyczaju. Następnego roku, gdy w naszym życiu nastąpiła pewna stabilizacja, ojciec zaprosił swych braci. Bardzo dobrze pamiętam ten wieczór. Tego dnia zdałam sobie sprawę z czegoś, co trudno było mi wówczas zaakceptować. To, że moi wujkowie są mądrymi ludźmi, przyjmowałam zawsze za oczywiste. Oni jednak traktowali mego niegodziwego ojca z szacunkiem godnym jakiegoś bóstwa, o czym miałam się przekonać w trakcie przygotowywania sutej kolacji. Nie pamiętam dokładnie, o czym rozmawiali - może o Ctuchil lub Zedarze - gdy wujek Beldin zapytał mego ojca:

- A co ty myślisz, Belgaracie? W końcu jesteś pierwszym uczniem, więc lepiej od nas znasz zamysły Mistrza.

- A jeśli okaże się, że nie miałem racji, będziecie mi to wymawiać, co? - zapytał kwaśno ojciec.

- Naturalnie - odparł Beldin z uśmiechem.

- Nie cierpię cię - powiedział ojciec.

- Wcale nie, Belgaracie - powiedział Beldin z jeszcze szerszym uśmiechem. - Mówisz tak, by mi sprawić przyjemność.

Mnóstwo razy słyszałam, jak się przekomarzali. Wydawało się, że uważali taką rozmowę za zabawną. Następnego ranka udałam się do Drzewa, aby przemyśleć osobliwe zachowanie wujków. Najwyraźniej ojciec dokonał w zamierzchłej przeszłości jakichś spektakularnych czynów. Najdelikatniej mówiąc, nie darzyłam ojca ciepłymi uczuciami. Uważałam, że jest leniwy, bardziej niż trochę głupi i bardzo niesolidny. Powoli zaczynała jednak sobie uświadamiać złożoność jego natury. Owszem, był kłamcą, złodziejem, rozpustnikiem i pijaczną. A jednocześnie - pierwszym uczniem Aldura. Prawdopodobnie potrafiłby zatrzymać słońce gdyby zechciał. Zazdrość pozwalała mi dostrzec tylko jedną stronę natury. Teraz musiałam przyjąć do wiadomości istnienie również drugiej strony. Czułam się przy tym głęboko dotknięta rozwianiem swoich złudzeń. Po powrocie do domu zaczęłam się mu baczniej przyglądać. Miałam nadzieję doszukać się jakichś oznak jego podwójnej natury, choć jeszcze goręcej pragnęłam, aby tak się nie stało. Utrata złudzeń jest zawsze bardzo bolesna. Widziałam jedynie starca w podniszczonym ubraniu, z zajęciem studiującego pergaminowy zwój.

- Nie rób tego, Polgardo - powiedział, nawet nie podnosząc głowy.

- Czego?

- Nie gap się tak na mnie.

- Skąd wiedziałeś, że się gapię?

- Czuję to, Pol. Przestań.

Ta krótka wymiana zadań poruszyła mnie bardziej, niż byłam skłonna przyznać. Najwyraźniej Beldin i bliźniaki mieli rację. Z moim ojcem związane były różne niezwykle sprawy. Postanowiłam porozmawiać o tym z mamą.

- On jest wilkiem, Pol - powiedziała mi mama - a wilki swawolą. Ty bierzesz życie zbyt poważnie i jego swawola cię drażni. On potrafi być poważny, gdy to jest konieczne, ale gdy nie jest, swawoli. Tak robią wilki.

- Ale on się poniża tymi wygłupami.

- A czy twoje wygłupy ciebie nie poniżają? Jesteś zbyt smutna, Poi. Naucz się śmiać i bawić.

- Życie to poważna sprawa, mamó.

- Wiem, ale powinno również być zabawne. Naucz się cieszyć życiem od swego ojca, Polgardo. Dość będzie czasu na płacz. Śmiać też powinnaś się nauczyć.

Tolerancja mamy bardzo mnie zaniepokoiła. Uwagi na temat mojej natury uznałam za jeszcze bardziej niepokojące. W ciągu stuleci zdążyłam poznać naturę nastolatków. Odkryłam, że biorą życie zbyt poważnie. Przy tym najważniejszy jest dla nich wygląd zewnętrzny. Zdaje mi się, że to forma udawania. Nastolatki wiedzą, że tuż pod skórą czai się w nich dziecko, ale za żadne skarby nie pozwoliliby mu wyjść. Ja wówczas nie byłam inna. Tak mnie pochłonęło dorastanie, że po prostu nie potrafiłam cieszyć się życiem. Większość ludzi przechodzi ten okres i z niego wyrasta. Wielu jednak nie. Poza staje się ważniejsza od rzeczywistości i biedacy stali się fałszywi, wiecznie usiłują wpasować się w jakieś ramy.

Dość. Nie mam zamiaru obrócić tego w rozprawę na temat problemów ludzkiego rozwoju. Jednakże dopóki człowiek nie nauczy się śmiać z siebie, jego życie będzie tragedią, a przynajmniej on za takie będzie je uważał.

Pory roku mijały jedna za drugą. Mały wykład, udzielony przez matkę, osłabił moją wewnętrzną niechęć wobec ojca. Zewnętrzną fasadę jednak zachowałam. Zdecydowanie nie chciałam, by stary głupiec pomyślał, że zaczynani go lubić. Na krótko przed ukończeniem przez nas szesnastu lat Mistrz odwiedził mego ojca i udzielił mu pewnych wyraźnych instrukcji. Jedną z nas - Beldaran lub ja - miała zostać żoną Rivy o Żelaznej Dłoni, a tym samym Riviańską Królową. Ojciec, z dość nietypową dla siebie mądrością, postanowił nikomu nic nie mówić o tych odwiedzinach. Małżeństwo zupełnie mnie wówczas nie interesowało, ale zapal do współzawodnictwa mógł skłonić mnie do różnych głupich pomysłów.

Ojciec całkiem szczerze przyznaje, że czuł mocną pokusę pozbycia się mnie. Wystarczyło oddać mnie za żonę biednemu Rivie. Jednak Cel - Przeznaczenie, jeśli wolicie - który kieruje nami wszystkimi, nie dopuścił do tego. Beldaran była przygotowywana do poślubienia Rivy, nim jeszcze przyszła na świat. Ja oczywiście nie.

Czułam się urażona odrzuceniem mojej kandydatury. Czy to nie idiotyczne? Brałam udział we współzawodnictwie o nagrodę, której nie chciałam, ale gdy przegrałam, dotkliwie odczułam porażkę. Przez kilka tygodni nie rozmawiałam z ojcem i byłam bardzo oschła wobec siostry. Potem do Doliny przybył Anrak, by towarzyszyć nam w drodze. Z wyjątkiem przypadkowo przechodzących Ulgosów i kilku posłańców od króla Algara, Anrak był pierwszym przybyszem z, zewnątrz, jakiego osobiście spotkałam, i z pewnością pierwszym, który się mną zainteresował. Prawdę powiedziawszy, nawet go lubiłam. Oświadczył mi się, a dziewczyna zawsze darzy sympatią młodzieńca, który oświadczył się jako pierwszy. Anrak

był prawdziwym Alornem - wielki, krzepki, brodaty i obdarzony prostodusznością, która mi się spodobała. Nie podobało mi się jednak to, jak cuchnął piwskim.

Gdy przybył do Doliny, właśnie dąsałam się na Drzewie, więc me miałam okazji go poznać, nim przyszedł mi się oświadczyć. Było to pewnego pięknego ranka, wczesną wiosną. Nadszedł z buńczuczna. Ptaki mnie ostrzegły, więc nie byłam zaskoczona, gdy zjawił się pod konarami Drzewa.

- Hej, tam na górze! - zawołał do mnie. Spojrzałam na niego z mojej grzędę - Czego chcesz? To nie było najuprzejmiejsze powitanie.

- Jestem Anrak, kuzyn Rivy. Przybyłem, aby eskortować twą siostrę na Wyspę Wiatrów, gdzie Riva ją poślubi. Natychmiast uznałam go za wroga.

- Odejdź - powiedziałam opryskliwie.

- Najpierw muszę cię o coś spytać.

- O co?

- Cóż, jak powiedziałem, jestem kuzynem Rivy. Zwykle robimy wszystko razem. Razem upiliśmy się po raz pierwszy, razem odwiedziliśmy burdel pierwszy raz, a nawet obaj zabiliśmy swego pierwszego człowieka w tej samej bitwie, więc jak widzisz, jesteśmy dość bliscy sobie.

- I co?

- Riva ma poślubić twoją siostrę, więc pomyślałem sobie, że miło by było, gdybym i ja się ożenił. Co ty na to?

- Proponujesz mi małżeństwo?

- Myślałem, że to powiedziałem. Pierwszy raz się oświadczam, więc pewnie nie spisałem się najlepiej. Co o tym myślisz?

- Myślę, że masz nie wszystko po kolei. My się nawet nie znamy.

- Będziemy mieli dość czasu na poznanie się po ceremonii. No więc jak, tak czy nie?

Nie mogłam winić Anraka za jego bezpośredniość. Oto był człowiek, który od razu przeszedł do sprawy. Wybuchłam śmiechem.

- Co w tym zabawnego? - zapytał urażonym tonem.

- Ty. Naprawdę pomyślałaś, że poślubiłabym kogoś kompletnie obcego? Kogoś, kto przypomina wyglądem szczura kryjącego się w krzakach?

- O co ci chodzi?

- Całą twarz masz zarośniętą włosami.

- To moja broda. Wszyscy Alornowie noszą brody.

- Czyżby nie wynaleźli jeszcze brzytwy? Powiedz mi, Anraku, czy wasz lud wpadł już na pomysł koła? A może przypadkiem odkryliście ogień?

- Nie musisz mnie obrażać. Po prostu powiedz, tak czy nie.

- W porządku. Nie! Nie rozumiesz tu czegoś? - Potem nieco złagodziłam ton. - Cały ten pomysł to czysty absurd. Nie znam cię i nie lubię. Nie znam twego kuzyna i jego również nie lubię. Jeśli mam być szczerą, to nie lubię całej twojej cuchnącej rasy. Wszystkie niedole w moim życiu spowodowali Alornowie. Naprawdę pomyślałeś, że poślubiłabym któregoś z was? Wynoś się stąd, Anraku, bo inaczej za mienię cię w ropuchę.

- Nie musisz być niemila. Z ciebie też żadne чудо.

Nie powtórzę, co mu potem powiedziałam - ten dokument mógłby wpaść w ręce dzieci. Przez jakiś czas mówiłam o jego rodzicach, dalszej rodzinie, jego rasie, jego przodkach i prawdopodobnych potomkach. W miarę mówienia coraz szcudziej korzystałam ze słownictwa wujka Beldina. Anrak sprawiał wrażenie zaskoczonego moim rozległym opanowaniem barwniejszej strony mowy.

- No cóż, skoro tak do tego podchodzisz, to chyba nie ma co ciągnąć tej rozmowy - powiedział i odszedł, mruczając coś pod nosem.

Biedny Anrak. Czułam się bardzo urażona, że jakiś obcy Alorn wywiezie gdzieś daleko moją siostrę, więc przypadł mu w udziale przywilej odczucia mojego niezadowolenia. Ponadto matka stanowczo odradzała mi uczuciowe angażowanie się na tym etapie życia. Podlotki mają problemy hormonalne, które czasami doprowadzają je do popełnienia poważnych błędów.

Może po prostu na tym skończmy?

Nie miałam najmniejszego zamiaru jechać na Wyspę Wiatrów i być świadkiem uroczystości. Uznałam, że jeśli Beldaran chce poślubić tego alornskiego rzeźnika, musi obejść się bez mojego błogosławieństwa i mej obecności.

Jednak gdy byli już gotowi do drogi, siostra przyszła pod Drzewo i „przekonała” mnie do zmiany zdania. Pomimo słodkiej powierzchowności, którą zwodziła wszystkich innych, potrafiła być bezlitosna, gdy czegoś chciała. Znała mnie lepiej niż ktokolwiek inny, wiedziała dokładnie wiedziała, gdzie są moje czułe miejsca. Rozpoczęła rozmowę w „bliźniaczym”, języku, który prawie zapomniałam. W „bliźniaczym” były subtelności - głównie z inwencji Beldaran - których żaden, nawet najbardziej utalentowany lingwista nie potrafiłby rozwikłać. Większość z nich podkreślała jej dominującą pozycję. Beldara przyzwyczajona była do rozkazywania mi, a ja byłam przyzwyczajona do słuchania jej rozkazów. Jej „przekonywanie”

mnie, jeśli mam być szczerą, było dość brutalne. Przypomniała mi momenty w naszym życiu, kiedy byliśmy sobie szczególnie bliskie, i mówiła o nich w czasie przeszłym.

W ciągu pięciu minut doprowadziła mnie do łez, a do skrajnej udręki w ciągu dziesięciu.

- Przestań! - krzyknęłam w końcu, nie mogąc dłużej znieść jawnej groźby zerwania wszelkich kontaktów.

- Zatem pójdziesz ze mną? - zapytała, wracając do zwykłej, mowy.

- Tak! Tak! Tak! Ale proszę, przestań!

- Jak mnie uszczęśliwiłaś, Poi! - powiedziała, a potem przeprosiła. Czemu nie? Wygrała, więc mogła sobie pozwolić na uprzejmości.

Zostałam pokonana. Nie byłam nawet szczególnie zaskoczona, gdy po powrocie do wieży ojca stwierdziłam, że siostra już mnie spakowała. Dobrze wiedziała, jak potoczą się sprawy.

Wyruszyliśmy następnego ranka. Dotarcie do Muros zajęło nam kilka tygodni, jako że podróżowaliśmy pieszo. W Muros czułyśmy się z Beldaran nieswojo. Nigdy nie byliśmy wśród tylu ludzi. Pierwszy raz zobaczyłam Sendarów. Wydawali się owładnięci obsesją kupowania i sprzedawania, która była niemal śmieszna.

Anrak zostawił nas w Muros i ruszył przodem, by powiadomić Rivię o naszym przybyciu. Wynajęliśmy powóz i cała nasz czwórka, ojciec, wujek Beldin, Beldaran i ja, pojechaliśmy do Camaar. Szczerze mówiąc, wolałabym iść piechotą. Przysadziste koniki ciągnące nasz powóz nie omijały żadnego kamienia ani dziury w drodze. Jazda powozami nie należała do przyjemności, dopóki jakiś sprytny gość nie wpadł na pomysł zamontowania w nich resorów.

Camaar było jeszcze bardziej zatłoczone niż Muros. Wynajęliśmy pokoje w zajeździe i czekaliśmy na przybycie Rivy. Widok domów za oknem budził we mnie niepokój. Sendarowie chyba czuli niechęć do otwartej przestrzeni. Wydawało się, że wszystko chcą „ucywilizować”. Żona właściciela zajazdu przejawiała zapędy do „ucywilizowania” mnie. Sugerowała wprost, że pachnę nie najlepiej. Odpowiedziałam na tę uwagę wzruszeniem ramion.

- Kąpiel to strata czasu - stwierdziłam. - Zaraz potem znowu będę brudna. Przy następnym deszczu wyjdę na dwór. To powinno załatwić sprawę mego zapachu i najgorszego brudu.

Proponowała mi szczotkę i grzebień - również odmówiłam. Nie chciałam, by Alornowie, którzy ukradli moją siostrę, pomyśleli, że przez wzgląd na nią staram się lepiej wyglądać.

Wścibska żona właściciela zajazdu posunęła się nawet do tego, że zaproponowała mi wizytę u krawca. W przeciwieństwie do niej, na mnie nie robił specjalnego wrażenia fakt, że wkrótce znajdziemy się w obecności króla.

- A czego brakuje ubrani, które mam na sobie? - zapytałam wojowniczo.

- Różne okazje wymagają różnych strojów, moja droga - odparła.

- Głupota - powiedziałam. - Sprawię sobie nowy chałat, gdy ten się znośi.

W tym momencie dała za wygraną. Z pewnością uznała mnie za niepoprawną dzikuskę.

A potem Anrak przyprowadził Rivę. Przyznaję, że pod względem fizycznym robił wrażenie. Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałam kogoś - nie licząc innych mężczyzn z jego rodziny - tak wysokiego. Miał niebieskie oczy i czarną brodę. Nienawidziłam go. Wymamrotał krótkie powitanie do mego ojca, a potem usiadł i utkwiał wzrok w Beldaran.

Beldaran zaś nie odrywała od niego oczu. To było chyba najbardziej przykre popołudnie w moim życiu. Miałam nadzieję, że Riva będzie bardziej przypominał swego kuzyna, Anraka, że zacznie pleść bzdury, które mogłyby obrazić moją siostrę, ale ten dureń nic nie powiedział! Gapił się jedynie z wyrazem uwielbienia na twarzy, a Beldaran odwzajemniała się mu spojrzeniem pełnym jawnej adoracji. Ja grałam tu zdecydowanie drugoplanową rolę.

Siedzieliśmy wszyscy w absolutnym milczeniu, przyglądając się jak tych dwoje wyznaje sobie bez słów miłość, a każda chwila była niczym nóż wbijany w me serce. Straciłam siostrę, co do tego nie było wątpliwości. Nie miałam jednak zamiaru dać im satysfakcji oglądania mej rozpaczki, więc ją skrywałam. Chciałam umrzeć. Był niemal wieczór, gdy moje ostatnie nadzieje umarły. Poczułam w oczach łzy. O dziwo, ojciec przyszedł mi z pomocą. Podszedł i ujął mnie za rękę.

- Może byśmy się przeszli, Poi? - zaproponował delikatnie. Jego współczucie mnie zaskoczyło. Ojciec do dziś czasami zaskakuje.

Wyprowadził mnie z pokoju. Zauważyłam, że Beldaran nawet na chwilę nie oderwała wzroku od Rivy. Myślę, że to dopełniło miary. Ojciec zaprowadził mnie na balkon, który znajdował się na końcu korytarza, i zamknął za nami drzwi. Staralam się ze wszystkich sił panować nad uczuciami.

- No cóż - powiedziałam swym najbardziej zasadniczym tonem - to chyba przesądza sprawę?

Ojciec wymamrotał kilka banałów o Przeznaczeniu, ale nie słuchałam. Do licha z Przeznaczeniem! Właśnie straciłam siostrę! Nie byłam w stanie dłużej nad sobą panować. Ze szlochem zarzuciłam ojcu ramiona na szyję, przytuliłam się do niego i wybuchłam płaczem. W końcu jakoś się uspokoiłam. Postanowiłam, że nie pozwolę aby Riva czy Beldaran byli świadkami mego cierpienia. Zdecydowałam się im pokazać, że tak naprawdę nie przejmuję się porzuceniem przez siostrę. Poprosiłam ojca o kilka rzeczy - załatwienie kąpielni, krawca, grzebieni i tym podobnych spraw. Pokażę siostrze, jak naprawdę mało się przejmuję. Skoro cierpię, dołożę starań, aby i ona cierpiała. Najtrudniej było zdecydować się na kąpiel, ale skoro czułam się jak przed własnym pogrzebem, postanowiłam pójść na całość. Nagle spostrzegłam swoje poobgryzane paznokcie i zaraz przypomniałam sobie nasz dar. Powiedziałam: Rośnijcie.

To załatwiło sprawę.

Potem rozkoszowałam się kąpielą przez prawie godzinę. Chciałam oczywiście zmyć z siebie brud, ale ze zdumieniem stwierdziłam, że kąpiel jest przyjemna.

Po wyjściu z przypominającej beczkę drewnianej wanny ubrałam się i zaczęłam czesać. To nie było łatwe. Moje włosy nie zaznały wody od czasu ostatniej ulewy w Dolinie. Były tak splątane i skołtunione, że prawie dałam za wygraną. Kosztowało mnie to sporo wysiłku i było bardzo bolesne, ale w końcu udało mi się doprowadzić je do takiego stanu, że mogłam przeciągnąć przez nie grzebień. Nie spałam wiele tej nocy. Wstałam wcześniej, by kontynuować przygotowania. Usiadłam przed lustrem z polerowanego mosiądzu i przyjrzałam się swemu odbiciu. Z pewnym zdumieniem stwierdziłam, że nie jestem tak brzydka, jak sobie zawsze wyobrażałam. Prawdę powiedziawszy, byłam całkiem ładna.

- Nie mów, że jesteś zaskoczona, Pol - odezwał się głos mamy. - Nie myślisz chyba, że urodziłabym brzydką córkę?

- Zawsze myślałam, że jestem paskudna, mamó - powiedziałam.

- Myliłaś się. Tylko nie przesadz z włosami. Biały lok wystarczy ci za całą ozdobę.

Niebieska suknia, którą ojciec dla mnie zamówił, była naprawdę całkiem ładna. Włożyłam ją i przejrzałam się w lustrze. Odczułam lekkie zakłopotanie. Do tej pory ignorowałam pewne dowody swej kobiecości, ale teraz było to już niemożliwe. Suknia wydatnie podkreślała ten fakt. Włożyłam też buty z obcasami. Cisnęły mnie, ale postanowiłam, że zniosę wszystko.

Im dłużej przyglądałam się swemu odbiciu, tym bardziej mi się podobało. Poczwarzka, którą do tej pory byłam, zmieniła się właśnie w motyla. Nadal nienawidziłam Rivy, lecz moja nienawiść nieco osłabła. Jego przybycie do Camaar pozwoliło mi odkryć samą siebie.

Byłam ładna! Nawet więcej niż ładna!

- A to zdumiewająca sprawa - mruknęłam pod nosem.

Moje zwycięstwo się dopełniło, gdy rankiem wkroczyłam dostojnie - ćwiczyłam to przez kilka godzin - do pokoju, w którym wszyscy siedzieli. Reakcji Rivy i Anraka byłam w zasadzie pewna. Pomimo braku doświadczenia wiedziałam, co oznaczały ich spojrzenia. Pragnęłam zobaczyć wyraz twarzy Beldaran. Miałam nadzieję dostrzec choć cień zawiści. Powinnam mieć więcej rozumu w głowie. Siostra z nieco figlarną miną odezwała się do mnie w „bliźniaczym”.

- Nareszcie!

Tylko tyle powiedziała, po czym przytuliła mnie czule.

Przyznaję, byłam nieco rozczarowana tym, że moja siostra nie pozieleniała z zazdrości, ale żadne zwycięstwo nie jest totalne. Anrak wzdychał ze smutkiem. Wyjaśnił Rivie, jak bardzo żałuje, że nie był bardziej stanowczy podczas oświadczeń. Jego ponure wyznanie było ukoronowaniem ranka i odłoniło przede mną całkiem nowe perspektywy. Miło być adorowaną. Anrak z kuzynem traktowali mnie z należnym szacunkiem, mówili „lady Polgardo”, co brzmiało bardzo przyjemnie.

Kuzyn Rivy zupełnie błędnie rozumiał to, co ojciec nazywał naszym „talentem”. Najwyraźniej wierzył, że moja przemiana była dziełem magii. Wydawało mu się nawet, że potrafię być w dwóch miejscach jednocześnie. Wytarnosiłam go delikatnie za brodę. Zaczynałam coraz bardziej lubić Anraka. Mówił o mnie takie miłe rzeczy. Około południa udaliśmy się do portu, by wsiąść na okręt Rivy. Beldaran i ja nigdy przedtem nie widziałyśmy morza ani okrętu i obie trochę obawiałyśmy się podróży. Pogoda nam sprzyjała, choć na morzu były fale. Wszystkie stawy w Dolinie Aldura miały absolutnie gładkie powierzchnie, więc morskie fale nas zadziwiły. Do tego woda osobliwie cuchnęła. To była ostra woń, dominująca w charakterystycznym zapachu każdego portu świata. W ludzkiej naturze leży chyba pozbywanie się odpadków w możliwie najprostszy sposób. Wydaje mi się jednak brakiem zapobiegliwości wyrzucanie ich do wody, gdy mogły powrócić z przyływem.

Okręt był spory, ale kajuty pod pokładem małe i ciasne, do tego wszystko pokrywała jakaś czarna, tłusta substancja.

- Czym wysmarowane są ściany? - zapytałam wujka Beldina.

- Dziegiem - odparł obojętnie. - Zapobiega przesiąkaniu wody. To mnie nieco zaniepokoiło.

- Statek jest zrobiony z drewna - powiedziałam. - Czy drewno nie powinno pływać?

- Tylko gdy jest w jednym kawałku, Pol. Wodę puste przestrzenie drażnią, więc usiłuje przesiąknąć do środka i je wypełnić. A dziegć dodatkowo chroni drewno przed gniciem.

- Nie podoba mi się to.

- Z pewnością twoje zdanie urazi uczucia morza.

- Ty zawsze musisz się wymądrzać, prawda, wujku?

- Jeśli chcesz, możesz to potraktować za wadę mego charakteru. - Uśmiechnął się.

Po złożeniu rzeczy w naszej kajucie wyszliśmy z Beldaran na pokład. Marynarze Rivy przygotowywali okręt do wypłynięcia. Byli krzepcy, brodaci, nadzy do pasa. Na widok ich nagości poczułam nerwowy dreszczyk.

Wszędzie było pełno lin, niemożliwie splątane biegły przez kil w górę. Marynarze odwiązali liny, które trzymały statek przy wybrzeżu. Potem odepchnęli nas i zajęli miejsca przy wiosłach. Jeden z nich zasiadł ze skrzyżowanymi nogami na rufie i zaczął rytmie; uderzać w bęben, wyznaczając tempo dla wiosłarzy. Okręt powoli płynął z zatłoczonego portu na otwarte morze.

Po minięciu falochronów marynarze złożyli wiosła i zaczęli ciągnąć za liny. Nie miałam pojęcia, jakim cudem każdy marynarz rozpoznaje, za jaką linę ciągnąć. Wielkie poziome belki owinięte ciasno płótnem zaczęły piąć się po masztach. Krążki skrzypiał a dźwigające żagle belki wznosiły się na szczyty masztów. Potem wysoko w górze, inni marynarze, zwinni jak małpy, rozwiązali płótno i pozwolili mu spłynąć w dół. Żagle przez kilka chwil zwiślały luźno. Potem uderzył w nie powiew wiatru i wydęły się z głośnym dźwiękiem.

Często robiłam uszczypliwe uwagi na temat fascynacji morzem. Marynarze się z tym rodzą, czczą i szanują morze jak boga. Oni je kochają

- Nie widzę już lądu! - zawołała Beldaran spoglądając z lękiem za rufę.

-I nie powinnaś, ukochana - odparł Riva – nie dotarlibyśmy do domu, gdybyś chciała przez cały czas widzieć wybrzeże Sendarii.

Zupełnie oszołomiona tym co się dzieje na pokładzie, skrzyżowałam ramiona. Usiadłam na linach i wszystkimi zmysłami chłonełam nowe doznania. Popatrzyłam na morze w zadumie i morze uznało mnie. Wszystkie zaborcze i złośliwe myśli z dzieciństwa wydały mi się mało ważne. Pełne Morze wyciszyło te irracjonalne dziecinności. Dziwiłam się że świat nie przepada wraz z nastaniem ciemności, a ciemność pozwoliła pozostać mi sam na sam z moimi myślami. A gdy świt zaczął się srebrzyć doznałam tak wielkiej radości jak jeszcze nigdy przedtem.

Okręt przechylił się nieznacznie na jeden bok, a potem ruszył. Dziób statku pruć fale otoczony wianuszkami spienionej wody, a wiat muskał mą twarz i rozwiewał włosy. Fale nie

były na tyle wysokiej budzić niepokój. Okręt Rivy wspinał się na nie w równym rytmie a potem majestatycznie zjeżdżał w dół.

Jak mi się to podobało!

Okręt i morze zjednoczyły się, czemu towarzyszyła muzyka szeleszczącego drewna, skrzypiących lin i wydymających się żagli, Płynęliśmy przez znaczone słońcem fale z pieśnią morza w uszach.

- Wieloryby?

- Duże ryby, miłościwa pani. - Ponownie spojrział na morze. -To czas, gdy zbierają się w stada. Chyba jest ich tam sporo.

- To dlatego woda tak bulgocze? Bo jest ich wiele?

- Nie, miłościwa pani. Już jeden wieloryb potrafi tak wzburzyć morze.

Byłam przekonana, że przesadzał, ale wtem ciemny kolos Wystrzelił z wody niczym rodząca się góra. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom! Żadna żywa istota nie może być tak ogromna! Potem cielsko zważyło się z powrotem do wody, rozpryskując ją na wszystkie strony, uderzyło ogonem o powierzchnię morza z ogromnym hałasem i znikło.

Wieloryb wyskoczył znowu, i znowu. Bawił się!

A potem nie był już sam. Inne wieloryby wypłynęły z morza, i zaczęły skakać i bawić się w porannym słońcu, niczym zgraja dzieciaków swawolących na podwórku. I śmiały się! Głosy miały wysokie, ale nie piskliwe. Była w nich niesamowita głębia i rodzaj tęsknoty.

Jeden z nich - myślę, że ten pierwszy - przewrócił się na grzbiet i spojrział na mnie swym ogromnym okiem. Wokół oka miał zmarszczki, jakby był bardzo stary. Biła z niego wielka mądrość. Wtem mrugnął do mnie i wrócił w głębiny. Do końca życia pamiętać będę to niesamowite spotkanie. W pewien tajemniczy sposób ukształtowało ono moje spojrzenie na świat i na wszystko, co kryje się pod powierzchnią zwyczajnej rzeczywistości. Dla tego wydarzenia warto było podjąć podróż i nudną wędrówkę z Doliny.

Dotarcie do Rivy zajęło nam jeszcze dwa dni, które spędziłam na podziwianiu morza. Wyspa Wiatrów jest ponura, niegościnna. Miasto nie zachęca do odwiedzin, podobnie jak skała, na której je wzniesiono. Domy wybudowano na krawędziach wąskich tarasów wznoszących się stromo nad portem. Ściany domów od strony morza są grube i pozbawione okien, otaczają je mury obronne. W efekcie miasto wygląda jak ciąg murów nie do przebycia, wznoszących się jeden nad drugim aż do cytadeli, która góruje nad miastem. Całe armie nie uczyniłyby mu większej szkody niż fale, rozbijające się o strome urwiska, jak powiedział Mistrz: „Nawet potop Angaraków nie pokonałby tych murów”

Jeśli do tego dodać flotę Chereku patrolującą przybrzeżne tylko samobójcy zdecydowaliby się na wojnę z mieszkańcami Rivy. Torak był szalony, ale nie aż tak. Zadałyśmy sobie z Beldaran sporo trudu, aby wypaść jak najlepiej tego ranka. Beldaran miała zostać królową Rivy i chciała zrobić dobre wrażenie na swych przyszłych poddanych. Ja nie miałam być królową, a moje przygotowania wymierzone były w konkretną grupę mieszkańców wyspy. Skoncentrowałam się na młodzieńcach i myślę, że zwróciłam uwagę większości z nich. Jakąż wspaniałą rzeczą jest powszechna adoracja! Lekko zaniepokojony wyraz twarzy mego ojca był ukoronowaniem tego ranka.

- Niech ci to nie uderzy do głowy, Pol - ostrzegła mnie matka. -Młode samce wszystkich gatunków mają popędy, nad którymi nie potrafią zapanować. W ich oczach nie jesteś osobą; jesteś obiektem. Nie chcesz chyba zostać jedynie przedmiotem? Ta perspektywa nieco ostudziła me radosne podniecenie. Rivianie tradycyjnie ubierają się na szaro. Pozostałe narody nazywają ich nawet szarakami. Jednakże młodzież ma skłonność do ignorowania zwyczajów starszych. Wymysłem zbuntowanych podlotków są najbardziej absurdalne ubiory. Im bardziej komiczna jest moda, tym większym będzie się cieszyć powodzeniem u młodzieży. Młodzieńcy, tłoczący się na nabrzeżu z pożądanym wyrazem oczu, przypominali ogród kwiatowy jakiegoś zupełnie pozbawionego smaku ogrodnika. Widziałam kaftany w odcieniach, których nawet nie potrafiłam nazwać, niekiedy wielobarwne, w okropnie gryzących się kolorach. Każdy z młodzieńców był przy tym absolutnie przekonany, iż jego ubiór jest tak wspaniały, że żadna dziewczyna przy zdrowych zmysłach mu się nie oprze.

Miałam wielką ochotę wybuchnąć śmiechem. Obawy ojca o moją kruchą, według niego, niewinność były zupełnie nieuzasadnione. Wcale miałam zamiaru ulec młodzieńcowi, którego już sam widok mnie śmieszył. Zeszliśmy na brzeg i ruszyliśmy schodami wiodącymi do Cytadeli. Mury były częścią systemu obronnego miasta i murami domów zarazem. Domy z zewnątrz wyglądały ponuro, ale z czasem odkryłam, ile piękna kryły w swych wnętrzach. Pod wieloma względami Przypominały samych Rivian. Całe piękno jest wewnątrz. Ulice Rivy były monotonnie Proste. Podejrzewałam, że Riva budował miasto ściśle według wskazówek Belara. Wszystko w nim było podporządkowane Jednemu celowi: obronności.

Na szczycie schodów był podwórzec otoczony grubymi murami Zaskoczyła mnie wielkość kamiennych bloków, z których zbudowane były te mury. Ogrom fizycznego wysiłku, jaki musiało kosztować wzniesienie miasta, był oszałamiający. Weszliśmy do Cytadeli przez ogromne, okute żelazem wrota. Stwierdziłam, że wnętrze nowego domu mej siostry było ponure. Dotarcie do naszych kwater zajęło nam sporo czasu. Beldaran i mnie

umieszczono w całkiem przyjemnych komnatach. Czasowo, ponieważ Beldaran wkrótce miała się przeprowadzić do królewskich apartamentów.

- Dobrze się bawisz, prawda, Pol? - zapytała siostra, gdy zostałyśmy same. Była zadumana i mówiła w „bliźniaczym”.

- Nie bardzo rozumiem - odparłam.

- Teraz, gdy zdecydowałaś się być ładna, rzucasz na kolana każdego napotkanego młodzieńca.

- Ty zawsze byłaś ładna, Beldaran - przypomniałam jej.

- Wiem - westchnęła lekko - ale nigdy nie miałam okazji tego wykorzystać. Co czujesz, wzbudzając powszechne uwielbienie?

- Nawet to lubię. - Roześmiałam się. - Choć chłopcy mają bardzo niemądre miny. Jeśli pragniesz uwielbienia, spraw sobie szczeniaka.

- Ciekawa jestem, czy wszyscy młodzieńcy zachowują się równie głupio jak Rivianie. - Również się roześmiała. - Wzdrygam się na myśl, że miałabym być królową durniów.

- Mama mówiła, że to dość powszechne zachowanie - powiedziałam. -1 typowe nie tylko dla ludzi. Wilki zachowują się tak samo, podobnie króliki. Mówiła, że wszystkimi wyrostkami kieruje coś, co na zwała popędami. Bogowie tak już to zorganizowali, zdaje mi się... żeby zawsze było mnóstwo szceniąt.

- To przygnębiające stwierdzenie, Poi. Wynikałoby z tego, że znalazłam się tu jedynie po to, by rodzić dzieci.

- Mama mówiła, że to mija po jakimś czasie. To zdaje się powinno być przyjemne, więc używaj do woli. - Beldaran się zarumieniła a ja rzekłam na pożegnanie: -Wybacz mi, pójdę złamać kilka serc

W centrum Cytadeli znajdowała się wielka sala; w niej członkowie riviańskiego dworu spędzali czas na zabawach. Sala tronowa była zarezerwowana na oficjalne okazje, w przeciwieństwie do zatłoczonej sali tronowej wVal Alorn, gdzie Cherekowie i bawili się, i załatwiali sprawy wagi państwowej. Drzwi do sali były otwarte i zajrzałam przez nie, by ocenić swoją konkurencję. Rivańskie dziewczęta, podobnie jak wszyscy Alornowie, były jasnowłose. Natychmiast ucieszyłam się, że dzięki swym ciemnym włosom będę wyglądała, jakbym stała pośrodku pszenicznego pola. Młodzi byli zajęci flirtami. Czekałam, by paplanina na chwilę ucichła. Instynktownie wiedziałam, że w sali musi choć na chwilę zapaść cisza. Zamierzałam wówczas wkroczyć do sali. Wejście jest bardzo ważne w pewnych okolicznościach. W końcu czekanie trochę mi się znudziło.

- Ucisz ich, mamó - zwróciłam się do tej, która była zawsze obecna w mych myślach.

- O mój Boże! - westchnęła mama.

Potem w jaskrawo ubranym tłumie zapadła cisza.

Zastanawiałam się nawet nad jakąś fanfara, ale uznałam, że to byłoby trochę zbyt ostentacyjne. Zamiast tego stanęłam dokładnie na środku wejścia, czekając, by wszyscy mnie zauważyli. Moja błękitna suknia była niczego sobie, więc wiedziałam, że zwrócę uwagę.

Myślę, że mama, a może i sam Aldura, dali się wciągnąć w mój plan. Na ścianie naprzeciw wejścia było okno. Gdy na chwilę zatrzymałam się w wejściu, słońce przedarło się przez chmury, które niemal ciągle przesłaniają niebo nad Wyspą Wiatrów, i spłynął na mnie jego blask.

To było nawet lepsze od fanfar. Stałam z królewskim dostojeństwem w zalanym słonecznym blaskiem wejściu, pozwalając wszystkim nacieszyć się moim widokiem.

O bogowie, to było przyjemne!

W porządku, to było próżne i głupie. I co z tego? Byłam młoda.

W drugim końcu sali stała grupka muzyków - trudno byłoby ich nazwać orkiestrą. Zaczęli grać, gdy z królewskim dostojeństwem wkroczyłam do sali. Tak jak się spodziewałam, większość młodzieńców skierowała się w moją stronę. W myślach zapewne przepowiadali sobie rozpoczęcie rozmowy, którą mieli nadzieję zwrócić mą uwagę. Nie macie pojęcia, w jak nienaturalny i głupi sposób mnie zagadywali. Gdy po raz czwarty ktoś przyrównał moje oczy do wiosennego nieba, zdałam sobie sprawę, że błyskotliwość nie jest cechą powszechną młodzieży. Miałam wrażenie, że pogrążam się w morzu banału. Byłam porównywana do letnich dni, nocnego nieba, ośnieżonych ciemnych szczytów - co było oczywistym odniesieniem do białego pasma w moich włosach. Tłoczyli się wokół mnie niczym stado

wróbli. Riviańskie dziewczęta zaczynały mieć coraz bardziej nadąsane miny.

Młodzieniec w zielonym kaftanie - całkiem przystojny, prawdę mówiąc - przepchał się na czoło moich adoratorów i skłonił się wytwornie.

- Lady Polgara, jak mniemam? - Cóż za nowatorskie rozpoczęcie rozmowy. Uśmiechnął się dość głupio. - Nudno tu, prawda? Czcza paplanina. Ileż czasu można rozmawiać o pogodzie?

To kosztowało go kilka ponurych spojrzeń ze strony moich adoratorów, którzy pospiesznie przebiegali w myślach swe słowa.

- Z pewnością moglibyśmy znaleźć przyjemniejsze tematy do rozmowy - ciągnął dalej gładko - politykę, teologię czy współczesną modę. - Wydawało się, że naprawdę miał rozum.

- Można się nad tym zastanowić - odparłam. - Jak się nazywasz - Uderzył się w czoło z udawanym zatroskaniem.

- Ależ ze mnie głupiec! Jak mogłem być tak roztargniony? - Westchnął teatralnie. - Czasami zdaje mi się, że potrzebuję opiekuna - Spojrzał na mnie z głupkowskim uśmiechem.

- Może ty chciałabyś objąć tę posadę?

- Nadal nie powiedziałaś mi, jak się nazywasz – przypomniałam ignorując jego propozycję.

- Doprawdy nie powinnaś pozwalać mi tak odbiegać od tematu lady Polgaro - strofował mnie delikatnie. - Nim ponownie zapomnę jestem Kamion, a będę baronem, gdy tylko umrze mój bezdzielny wuj. Na czym stanęliśmy? Muszę przyznać, że go polubiłam. Wydał mi się oryginalny, a nawet uroczy. W tym momencie uprzytomniłam sobie, że to wszystko może być trochę bardziej wciągające, niż się spodziewałam. Nie wszyscy z mych adoratorów byli świeżo odstawionymi od piersi szczeniakami. Niektórzy mieli nawet mózgi. To było dość pocieszające, ponieważ gdy już widziało się jeden merdający psi ogon, to tak jakby widziało się wszystkie. Prawdę powiedziawszy, poczułam nawet lekkie rozczarowanie, gdy tłoczący się wokół mnie adoratorzy odepchnęli Kamiona. Banały padały jeden za drugim, ale nikt już nie poruszał tematu pogody. Rivańskie dziewczęta stroiły fochy. Aby dokuczyć im jeszcze bardziej, rozdzieliłam kilka oszałamiających uśmiechów. Moi adoratorzy uznali je za absolutnie czarujące; dziewczęta nie.

Czas upływał miło, gdy nagle muzycy - w większości lutniści -

Uderzyli w nowy ton. Wówczas przez tłum przepchał się cherlawy młodzieniec w czerni i z wyrazem wystudiowanej melancholii na twarzy powiedział

- Czy masz ochotę zatańczyć, lady Polgaro? - spytał załamującym się głosem. Skłonił się. - Pozwól, że się przedstawię. Jestem Merot - poeta i mogę w czasie tańca ułożyć sonet dla ciebie.

-Bardzo mi przykro, panie Merot - odparłam - ale wychowywałam się z dala od ludzi więc nie umiem tańczyć. - Oczywiście, nie było to prawda. Wymyślałyśmy z Beldaran różne tańce, lecz uznałam, że ten samozwańczy poeta miałby pewne trudności z wyczuciem rytmu piosenki skowronka.

Merot bez wątpienia był pozerem, podobnie jak inni. Wydawało mu się chyba, że dzięki swej starannie przyszytyj bródce i tragicznemu wyrazowi twarzy nikt nie jest mu się w stanie oprzeć. Mylił się. W dodatku brzydki mu pachniało z ust.

- Jaka szkoda - wyraził ubolewanie dla mej nieudolności. Nagle jego smutne oczy pojaśniały. - Nauczę cię, jeśli chcesz.

- Możemy o tym kiedyś pomówić - odparłam, nadal trzymając się z dala od jego nieświeżego oddechu.

- Czy przyjmiesz ode mnie poemat? - zaproponował.

- Byłoby mi bardzo miło.

Jakiż błąd popełniłam! Merot przyjął postawę mówcy i zaczął recytować z nużącą powolną manierą. Mówił tak, jakby od jego słów zależał los wszechświata. Jednak nie zauważyłam, by słońce gasło czy ziemia zaczęła drżeć. Mówił dalej, a jego poza poety była o wiele lepsza od jego wersów. Oczywiście w owym czasie nie byłam jeszcze obeznana z poezją, ale miałam wrażenie, że tęskne przeciąganie sylab nie jest najlepszym sposobem na przykucie uwagi słuchaczy. Najpierw mnie nudził. Nuda szybko ustąpiła miejsca złości. Teatralnie wywróciłam oczy. Kilku mych adoratorów natychmiast pochwyciło ten znak i ruszyło mi z pomocą. Merot dalej stał w tym samym miejscu, recytując, gdy tymczasem tłum wraz ze mną odpłynął na bok. Może i mnie kochał, ale oczywiste było, że siebie kocha bardziej.

Zauważyłam że inne damy w sali stają się coraz bardziej niezadowolone. Pomimo ich jawnych zachęt parkiet wciąż pozostawał pusty adoratorzy najwyraźniej nie chcieli się rozpraszać. Kilka z dam, skarżąc się na ból głowy, opuściło salę. Gdy wychodziły, wydawało mi się, że słyszę zgrzytanie zębów. Dla mych uszu brzmiało to jak muzyka. Potem, gdy wieczór zaczął już zapadać nad Wyspą Wiatrów, do mojego towarzystwa dołączył Taygon. Taygon nie musiał przepychać się łokciami przez tłum. Wszyscy schodzili mu z drogi. Był wielki. Był krzepki. Był ubrany w kolczugę. Miał ogromną jasną brodę. Nosił miecz.

- Lady Polgarda! - zagrzmiął. - Szukałem cię, pani! Zabrzmiąło to złowieszczo.

- Jestem Taygon Wojownik. Z pewnością o mnie słyszałaś, pani, Moje czyny sławne są w całej Alornii.

- Bardzo mi przykro, lordzie Taygonie - przeprosiłam z udanym zmieszaniem. - Dorastałam na odludziu, więc nie wiem, co dzieje się na świecie. Jestem w końcu tylko głupiutkim dziewczęciem.

- Zabiję każdego, kto coś takiego powie! - zmierzył pozostałych straszliwym wzrokiem.

Co ja miałam począć z tym barbarzyńcą? Potem popełniłam błąd

- kolejny tego dnia.

- Byłabym oczarowana, gdybyś opowiedział mi o twych bohaterskich czynach. Proszę, błądzcie trochę bardziej wyrozumiali. W końcu byłam zupełną gąską w tych sprawach.

Może jemu to sprawiło przyjemność, mnie z całą pewnością nie. Czy musiał mówić w tak obrazowy sposób? Poczulałam się nagle skąpana w morzu krwi, przed oczyma miałam

stosy odciętych głów. Jaskrawe wnętrzości oplatały mi stopy, a drgające kończyny przelatwały obok. Jedynie dzięki wielkiemu wysiłkowi woli udało mi się powstrzymać przed zwymiotowaniem na jego kolczugę. Wówczas kochany Kamion przyszedł mi na ratunek.

- Wybacz mi, lordzie Taygonie, ale nasza przyszła królowa chce widzieć siostrę. Wiem, iż wszyscy pocujemy się osamotnieni po odejściu lady Polgardy, ale nie wolno się sprzeciwiać królewskim rozkazom. Jestem pewny, że wojownik z twym doświadczeniem rozumie jak ważne jest posłuszeństwo.

- Oczywiście, Kamionie. - Taygon skłonił się przede mną niezdarnie. - Nie możemy pozwolić, by królowa czekała.

Oddałam mu ukłon, bojąc się otworzyć usta. Potem Kamion ujął mnie pod ramię i wyprowadził z sali.

- Gdy wrócisz, pani! - zawołał za mną Taygon - opowiem ci, jak bałam się pewnego wściekłego Arenda.

- Nie mogę się doczekać - rzuciłam przez ramię słabym głosem.

- Naprawdę chcesz o tym usłyszeć, pani? - szepnął do mnie Kamion

- Prawdę powiedziawszy, mój drogi Kamionie, wołałabym się otruć.

- Podejrzewałem, że tak możesz się czuć. Twoja twarz zaczynała już wyraźnie zielenieć.

Kamion był dobrze wychowany. Zaczynałam go lubić niemal wbrew samej sobie.

- No i co? - zapytała siostra. - Jak było?

- Po prostu cudownie! - wykrzyknęłam z triumfem. - Podbiłam wszystkich. Byłam w centrum uwagi.

- Jesteś okrutna, Polgardo.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Siedziałam tu całe popołudnie, a ty wracasz, by przechwalać się swymi podbojami. - Potem roześmiała się. - Przepraszani, Pol. Nie mogłam się powstrzymać.

- Ty jesteś teraz ponad to, Beldaran - powiedziałam. - Już złapałaś tego, kogo chciałaś. Ja nadal muszę polować.

- Nie jestem pewna, że to właśnie ja go złapałam. W tych łowach brało udział zbyt wielu innych ludzi: Aldur, ojciec, pewnie matka też. Myślę, że to małżeństwo jest zaaranżowane, wydaje mi się trochę upokarzająca.

- Kochasz przecież Rivę, prawda?

- Oczywiście. Ale i tak to jest upokarzające. No dobrze, opowiedz mi, jak było. Ze wszystkimi szczegółami. Opisałam jej całe popołudnie. Zaśmiewaliśmy się obie. Beldaran

podzielała moje zadowolenie z reakcji riviańskich dziewcząt. Wtedy to po raz ostatni zapuściłam się bez dozoru w dżunglę młodzieńczych zalotników. Od tej pory ojciec siadywał ze srogą miną gdzieś w pobliżu. Doprawdy to nie było konieczne, ale ojciec nie mógł

wiedzieć, że mama ma mnie cały czas na oku. Jednakże jego obecność ostudziła zapęły moich adoratorów, a to obudziło we mnie wątpliwości co do szczerości ich uczuć. Z jakiegoś powodu Kamion szczególnie niepokoił ojca i nie mogę zrozumieć dlaczego. Kamion miał nienaganne maniere i nigdy nie pozwalał sobie na żadne nieprzyzwoitości. Dlaczego mój wiekowy ojciec tak bardzo go nie lubił? Dostałam cię tym razem, prawda, Stary Wilku? Potem przybył król Cherek z synami, Drasenem o Byczym Karku i Algarem o Chyżych Stopach i sprawy zaczęły przybierać trochę poważniejszy obrót. Pomimo uczuć, jakie żywili wobec siebie Beldaran i Riva, moja siostra miała rację. Ich małżeństwo zostało zaaranżowane. Zaczęłam podejrzewać, że ojciec mógłby zaaranżować także i moje małżeństwo, po prostu dla ochrony przed adoratorami. W owych czasach panował pogląd - a prawdopodobnie panuje do teraz - że kobiety pod względem intelektualnym stoją niżej od mężczyzn. Mężczyźni uważali - i wielu nadal tak sądzi - że kobiety są głupie i padną ofiarą pierwszego młodziana, który się sprytnie koło nich zakręci. W efekcie niemal wszystkie kobiety o pewnej pozycji czują się jak w więzieniu. Najwyraźniej mężczyźni nie zdawali sobie sprawy, że to więzienie poczytamy za obrazę i wszelkimi sposobami będziemy starały się im wymknąć. To mogłoby tłumaczyć, dlaczego tak wiele dziewcząt wiąże się z nieodpowiednimi młodzieńcami. W większości przypadków charakter młodzieńca nie ma najmniejszego znaczenia. Dziewczyna kieruje się raczej chęcią udowodnienia, że potrafi wyrwać się spod kurateli, a nie pustą żądzą.

To jest najczęściej przyczyna tak wielu aranżowanych małżeństw. Ojcowie wydają swe córki za mąż możliwie jak najszybciej, by je „ochronić”. Po ślubie wszelkie flirty będą już problemem męża. Możliwość, że ojciec mógłby oddać mnie w jasyr Drasowi lub Agarowi, mocno mnie niepokoiła.

Mama zawsze dość wymijająco zbywała pytania o słynną wyprawę ojca do Mallorei. Uznałam jednak, że przyda mi się więcej informacji o tym, na wypadek gdyby przyszedł ojcu do głowy jakiś absurdalny pomysł. Poszłam więc poszukać wujka Beldina.

Znalazłam go w jednej z wysokich wież Cytadeli. Piastował kufel z piwem, spoglądając na ciemne fale i groźne niebo. Przeszłam wprost do rzeczy.

- Co możesz mi opowiedzieć o wyprawie ojca do Mallorei? - zapytałam.

- Niewiele - odparł. - Nie było mnie w Dolinie, gdy Cherek z chłopcami po niego przyszedł.

- Ale wiesz, co się wydarzyło, prawda?

- Bliźniaki mi opowiedzieli - odparł ze wzruszeniem ramion. - Podobno Cherek i chłopcy przybrnęli przez śnieg w środku zimy z wieścią, że kapłani Belara odczytali pewne znaki z tego, co Alorni nazywają augurami. Cherekowie potrafią być okropnie łatwowierni.

- Co to są augury?

- Jakoby sposób przepowiadania przyszłości. Kapłani Belara upijają się do nieprzytomności, potem zarzynają owcę, patroszą i bawią się Jej wnętrznościami. Alornowie wierzą, że owcze wnętrzności potrafią powiedzieć, co wydarzy się w następnym tygodniu. Podejrzewam że,

znaczącą rolę w tej ceremonii odgrywa piwo. Alornowie bardzo się pasjonują. Nie myślę jednak, aby owcy to się zbyt podobało.

- A któż może być na tyle naiwny, by wierzyć w takie bzdury?

- Na przykład twój przyszły szwagier.

- Biedna Beldaran.

- Czemu pałasz zainteresowaniem osobliwymi zwyczajami Alornów - zapytał.

- Przyszło mi na myśl, że ojciec może zechce się mnie pozbyć i wydać za Algara lub Drasa. Mnie się wydaje, że nie jestem jeszcze gotowa do małżeństwa.

Beldin wybuchnął śmiechem.

- O to się nie martw, Poi - powiedział. - Belgarath czasami zachowuje się dziwacznie, ale nie aż tak. Poza tym Mistrz by mu na nie pozwolił. Jestem pewny, że ma inne plany względem ciebie. Jak się okazało, było to skromnie powiedziane. Choć ja wiedziałam, że w najbliższej przyszłości nie grozi alornski mąż, to Dras i Algar jeszcze o tym nie wiedzieli, więc ochoczo dołączyli do korowodu moich adoratorów. Dras, starszy, bardziej aktywny. Przyjęłam jednak z ulgą sposób w jaki okazywał mi swoje względy. Był bezpośredni i szczery, w o różnieniu od riviańskich młodzików. Znał swoją wartość, nie musiał zmyślać na swój temat.

- A zatem - zwrócił się do mnie kilka dni po przybyciu Wyspę Wiatrów - czy mam poprosić ojca, by porozmawiał z twoim ojcem?

- O czym, wasza wysokość? - zapytałam z udawaną niewinnością

- O naszym ślubie, oczywiście. Moglibyśmy się pobrać w tym są mym czasie co twoja siostra i Riva.

Otwarte postawienie sprawy nie zostawiało mi wielkiego pola do manewru.

- Czy to wszystko nie dzieje się trochę zbyt szybko, Drasie?

- Po co tracić czas, Polgaro? To małżeństwo byłoby korzystne nas obojga. Ty zostałąbyś królową, a ja miałbym żonę. Nie musi byśmy już zwracać sobie głowy bzdurnymi zalotami.

Czułam się nieco urażona jego lekceważącym stosunkiem do jej głównej rozrywki. Dobrze się bawiłam, a on chciał pozbawić mnie tej przyjemności.

- Pozwól mi się zastanowić, Drasie - zaproponowałam.

- Oczywiście - oświadczył wspaniałomyślnie. - Do dzisiejszego wieczoru?

Dacie wiarę, że nie roześmiałam mu się w twarz?

Zaloty Algara były bardziej męczące. Najmilszą częścią zalotów są umizgi samca do samicy. Obserwowałam to nieraz u ptaków. Samiec ma zawsze jaskrawsze upierzenie. To on stroszy pióra przed wybraną samicą. Ludzie zachowują się bardzo podobnie. Mężczyźni wydziwiają, popisują się a kobiety okazują im zainteresowanie. Ale jak można okazać zainteresowanie komuś, kto przez cały dzień milczy? Był bardzo inteligentny, lecz przeważnie milczał jak głaz. Jego milczenie intrygowało mnie i drażniło jednocześnie.

- Nie rozmawiasz nigdy o pogodzie, Algarze? - zapytałam go, wyprowadzona z równowagi.

- Po co? - odparł, po czym wskazał okno. - Jeśli chcesz wiedzieć, jaka jest pogoda, wyrzuj.

Rozumiecie teraz, jaki był Algar?

Zaloty obu królów budziły we mnie mieszane uczucia. Byli potężnymi mężczyznami, zarówno w kategoriach tężyzny fizycznej, jak i swej pozycji społecznej. Odstraszaali innych adoratorów. Dobrze się bawiłam, aż tu oni się zjawili i wszystko popsuli. Z drugiej jednak strony ich obecność oszczędziła mi wysłuchiwanie całych godzin paplaniny młodzieńców, których mózgi zostały wyłączone za sprawą egzotycznych substancji płynących w ich żyłach.

Chłodna logika - i ciągła obecność matki w mym umyśle - mówiła mi, że ten pobyt na Wyspie Wiatrów jest okresem ćwiczeń, przygotowującym mnie do przyszłych zadań. Jako córka Belgaratha Czarodzieja z pewnością będę niejeden raz gościć na królewskich dworach. Musiałam nauczyć się radzić sobie w różnych sytuacjach. Samochwalcza paplanina młodych adoratorów nauczyła mnie znosić czczą gadaninę - młodzik w zalotach jest w niej prawdziwym mistrzem. Dras i Algar uświadomili mi, że oprócz zajętych podziwianiem siebie motylków są jeszcze młodzieńcy, którzy myślą o sprawach wagi państwowe j.

Na szczęście wujek Beldin zwrócił uwagę ojca na tę sytuację. Potem ojciec rozmówił się z królem Cherekiem, zapewniając go, że nie jestem dobrą kandydatką na królową ani Drasni, ani Algarii. Cóż, zostali mi na pociechę te wszystkie stroszące pióra pawie. Peownego

ranka, gdy szłam do sali, gdzie zwykle przyjmowałam mama przemówiła do mnie stanowczym tonem.

- Nie masz już tego dość, Pol?

- Ja tylko zabijam czas, mam - odparłam.

- To są kiepskie wykręty, Pol. Potrafiłaś porzucić fascynację drzewem teraz czas porzucić również i te gierki.

- Psujesz mi zabawę.

- Dość tego, Polgaro!

- No dobrze - westchnęłam.

Nie byłam jej wdzięczna. Uznałam, że potrzebny mi ostatni triumf. Odgrywałam rolę słodkiej idiotki - godnego pożądanego obiektu w oczach mych adoratorów. Jak mama zauważyła, uprzedmiotowienie jest poniżające. Skoro miałam to wszystko porzucić, dobrze by było pokazać pozostałym uczestnikom gry, kim naprawdę jestem. Krążyłam po korytarzu, rozważając różne możliwości.

Oczywiście najprościej byłoby dać pokaz mego „talentu”. Zastanawiałam się przez chwilę nad lewitacją. Byłam niemal pewna, że nawet bufona Taygona zatkałoby z wrażenia, gdybym wpłynęła do sal dziesięć stóp nad ziemią, ciągnąc za sobą obłok chwały. Natychmiast porzuciłam jednak tę myśl. To było zbyt dziecinne. Chciałam, li uświadomili sobie, że góruję nad nimi, ale...

Potem sobie coś przypomniałam. W Dolinie często śpiewała w chórze z ptakami i nauczyłam się kilku sztuczek.

Wkroczyłam do sali, udając zadumę. Podeszłam do muzyków i powiedziałam, o co mi chodzi. Lutnista, który przewodził zespołowi, był zachwycony. Podejrzewam, że miał już dość ignorowania przez stadko paw. Stał na skraju małego podium dla muzykantów.

- Panie i panowie - oznajmił - lady Polgarda łaskawie zgodzi się zaszczyścić nas pieśnią w swym wykonaniu. Rozległy się oklaski. Nikt z obecnych nigdy przedtem nie słyszał jak śpiewam, ale moi pustogłowi adoratorzy oklaskiwali by mnie nawet wówczas, gdybym krakała jak wrona.

Lutnista zagrał melodię o arendyjskim brzmieniu. W każdym razie była w tonacji molowej, co pasowało do arendyjskiej skłonności traktowania życia w kategoriach klasycznej tragedii. Nie znałam tej pieśni, więc improwizowałam. Lubię śpiewać - jak Durnik pewnie zauważył - i rozpoczęłam czystym, dziewczęcym sopranem. W drugiej zwrotce dodałam głos, kontralt. Śpiewanie dwoma głosami naraz jest bardzo trudne, ale publiczność nie była na to przygotowana. Sporo było przerażonych westchnień, wytrzeszczonych oczu i, co

najważniejsze, absolutna cisza. Przy trzeciej zwrotce dodałam koloraturę, która wzniosła nad sopranem i kontraltem w trzecim głosie. W czwartej zwrotce, by uczynić moje zwycięstwo zupełnym rozdzieliłam swoje trzy głosy i zaśpiewałam każdym głosem zarówno inną linię melodyczną, ale i słowa. Przypominało to konkurs którym każdy ze śpiewaków powtarza pierwszą frazę taktu swego przeciwnika z zachowaniem harmonii. Śpiewałam trzema różnymi głosami, a każdy z nich śpiewał inne słowa. Zakończeniu mej pieśni towarzyszyło powszechne osłupienie. Skłoniłam się słuchaczom, po czym wolnym krokiem ruszyłam ku

drzwiom. Z jakiegoś powodu moi adoratorzy tym razem nie pospieszyli za mną tłumnie. Czyż to nie dziwne? Rozstąpili się przede mną, a na ich obliczach malował się wyraz niemal religijnego uniesienia. Kamion, mój wytworny jasnowłosy adorator, stał w pobliżu drzwi. Na jego twarzy malował się tęskny żal. Na zawsze odchodziłam z jego życia. Skłonił się z ogromnym wdziękiem, gdy opuszczałam tę salę, by nigdy doń nie powrócić. Ślub mojej siostry szybko się zbliżał i choć o tym nie rozmawiałyśmy, obie chciałyśmy spędzić ze sobą możliwie jak najwięcej czasu. Ponieważ Beldaran miała być królową, już teraz otaczał ją wianuszek młodych riviańskich dam. Po ślubie i późniejszej koronacji będą jej damami dworu. Król może zachowywać dystans wobec ludzi czy nawet pozostawać w izolacji, gdyż władza jest jedynym towarzystwem, którego mu trzeba. Królowe jednak, podobnie jak inne kobiety, nie lubią samotności. Zauważyłam, że moja obecność nieco denerwuje towarzyszkę mej siostry. Nie było w tym jednak nic szczególnie dziwnego. Beldaran miała pogodne usposobienie, ja nie, to po pierwsze. Beldaran miała wkrótce poślubić mężczyznę, którego kochała ponad wszystko, a mnie w najbliższej przyszłości nie czekała żadna podniosła ceremonia. Poza tym towarzyszkę Beldaran słyszały o moim Pożegnalnym występie, a czarodziejce - czarodziejki w moim przypadku - zawsze budzą w ludziach lęk.

Naszym głównym zajęciem było szycie ślubnej sukni Beldaran. Wprowadziło to w nasze życie Arell. To popularne riviańskie imię. Była krawcową. Kobiety tej profesji zwykle są niewielkie i małowówne. Ta w ogóle ich nie przypominała - podobna do sierżanta prowadzącego musztrę. Wydawała polecenia szorstkim, nie znoszącym sprzeciwu tonem. Była jak to mówią, proporcjonalnej budowy ciała. Choć dopiero po trzydziestce, miała wygląd matrony. Była też obeznana ze sprawami świata doczesnego. Ponieważ dodatkowo zajmowała się położnictwem, łono ludzkie nie miało przed nią sekretów. Pod wieloma względami przypominała przyszłą królową Laylę z Sendarii.

Opowieści o fizycznej stronie małżeństwa, które snuła, podczas gdy jej igła śmigała tam i z powrotem po błyszczącym materiale, wywoływały rumieńce na twarzach słuchaczek.

- Mężczyźni przesadnie przejmują się tymi sprawami - powiedziała przy jednej okazji, odgryzając nitkę z rąbka ślubnej sukni Beldaran. - Choćby nie wiem jak wielcy i ważni wydawali się dla zewnętrznego świata, w sypialni wszyscy zmieniają się w małych chłopców. Obchodźcie się z nimi delikatnie i nigdy się z nich nie śmieję. Możecie się śmiać później, gdy będziecie same. Mojej siostrze i mnie tak naprawdę nie były potrzebne wiadomości Arell. Mama starannie wyjaśniła nam całą procedurę. Ale skąd mogła o tym wiedzieć?

- Czy to boli? - zapytała z lękiem jedna z jasnowłosych towarzyszek Beldaran. To pytanie zawsze pojawiało się w rozmowach młodych kobiet.

- Nie bardzo - odparła Arell ze wzruszeniem ramion. - Musisz się tylko rozluźnić i wszystko będzie dobrze. Nie muszę chyba przytaczać szczegółów?

Ręce miałyśmy zajęte szyciem, a myśli - opisami intymnych związków. Tak naprawdę jednak było to pożegnanie pomiędzy mną i moją siostrą. Rozmawiałyśmy z sobą niemal wyłącznie w „bliźniaczym”. Apartament, który dzieliłyśmy, składał się z jasnych, słonecznych pokoi wychodzących na ogród. Żadne z okien naszego mieszkania nie wychodziło na morze, więc nie było wąskim otworem niczym w grubych murach twierdzy. Gdy tylko chmury na chwilę rozstępowały, do komnaty pełnej skrawków materiałów i owych niezbędnych drewnianych stojaków, na których wisały nasze stroje, wpadało słońce. Gdyby nie te stojaki, każda z nas mogłaby całe dni wystawać przy nudnych przymiarkach.

Mury Cytadeli są szare, zarówno na zewnątrz, jak i od środka. Szary to przygnębiający kolor. Najwyraźniej jakaś roztropna rivańska królowa trzęsła się w tych szarościach, więc surowy charakter kobiecych komnat łagodziły masywne draperie. Zasłony w naszych komnatkach były ciemnoniebieskie i złociste. Kamienną posadzkę przykrywały złociste dywaniki - prawdziwe błogosławieństwo dla nas, bo lubiłyśmy chodzić boso. Kobięce buty ładnie wyglądają, ale nie służą wygodzie. Z głównego pokoju naszego apartamentu mogłyśmy wyjść na balkon, w jego balustradę wbudowana była kamienna ławka. Przy dobrej pogodzie spędzałyśmy na nim dużo czasu, siedząc przytulone do siebie. Nie rozmawiałyśmy wiele, jako że tak naprawdę słowa nie były potrzebne. Pozostawałyśmy jednak w niemal ciągłym fizycznym kontakcie. To charakterystyczne dla bliźniąt. Jeśli będziecie mieli okazję obserwować bliźnięta, to z pewnością zauważycie, że dotykają się częściej niż zwykli bracia czy siostry. Towarzyszył nam głęboki smutek. Zawsze byłyśmy razem, a ślub Beldaran miał nas nieodwołalnie rozdzielić. Gdy suknia Beldaran została ukończona, Arell skierowała uwagę na resztę z nas. A ponieważ ja byłam siostrą panny młodej, przysłała kolej na mnie.

- Rozbierz się - poleciła Arell.

- Co takiego?! - wykrzyknęłam. Nie sądziłam, że można mnie jeszcze czymś zszokować, ale się myliłam.

- Zdejmij ubranie, Polgaro - odparła stanowczym tonem. - Muszę zobaczyć, z kim mam pracować. Zarumieniłam się, lecz usłuchałam.

Arell przyglądała się memu prawie nagiemu ciału ze ściągniętymi ustami.

- Nieźle - zauważyła.

Trudno to było uznać za komplement.

- Masz szczęście, Polgardo - powiedziała. - Większość dziewcząt w twoim wieku jest raczej płaska. Myślę, że wykorzystamy to, by odwrócić uwagę od faktu, że jesteś nieco rozłożysta w biodrach.

- Jaka jestem?! - wykrzyknęłam.

- Masz dobrą budowę do rodzenia dzieci, Polgardo, ale przez to stroje źle na tobie leżą.

- Czy ona mówi prawdę? - zapytałam Beldaran w „bliźniaczym”, żeby Arell mnie nie zrozumiała.

- Jesteś tam dość krągła, Pol - odparła Beldaran. Potem rzuciła z nieprzyzwoitym uśmiechem - Jeśli dostatecznie nisko wytniesz suknię to będziesz mogła pokazać dołeczki na pupie.

- Dopadnę cię za to, Beldaran - postraszyłam ją.

- Nie dopadniesz, Pol - odparła. - Mówisz tak tylko dlatego żeby mi poprawić samopoczucie.

Moja suknia była błękitna. Arell zaprojektowała ją tak, by odsłonić mi ramiona i znaczne partie piersi. Dekolt obszyła śnieżnobiałą koronką. To była naprawdę bardzo miła suknia. Jednak na widok swego odbicia w lustrze przy pierwszej przymiarce niemal mnie za-
tknęło.

- Nie mogę tak wystąpić publicznie! - wykrzyknęłam. - Jestem półnaga.

- Nie bądź głupią gąską, Polgardo - powiedziała Arell. - Dobrze skrojona suknia powinna podkreślać zalety kobiecej figury. Masz kształtną pierś. Nie pozwolę ci jej chować pod płóciennym workiem.

- Naprawdę ładnie wyglądasz, Pol - zapewniła mnie Beldar - Nikt nawet nie spojrzy na twe biodra, jeśli się tak ubierzesz.

- Zaczynam mieć dość tej gadaniny o biodrach, Beldaran oświadczyłam kwaśno. - Sama nie jesteś najchudsza, wiesz.

- Masz dobrą figurę - powiedziała mi Arell. - Pokazuj ją z dumą

- To uroczystość Beldaran - zaprotestowałam. -To ona ma przykuwać uwagę wszystkich, nie ja.

- Nie bądź taka skromna, Polgardo - skarciła mnie szwaczka. Słyszałam o twych popisach w wielkiej sali, więc nie udawaj przy mnie niewiniątka.

- Przynajmniej nie zdejmowałam ubrania.

- Szkoda. Kto zaprojektował ci te okropne suknie, które nosisz.

- No cóż... w Camaar potrzebna mi była suknia, więc ojciec kazał krawcowi mi ją uszyć. Po przybyciu tutaj kazałam innemu krawcowi uszyć suknie na jej wzór.

- Powinnam się domyślić - prychnęła. - Nigdy nie pozwól ojcowi projektować twoich strojów. To najzaciejsi ludzie na świecie. No dobrze - westchnęła - zabierzmy się za stroje dla pozostałych pań. - Popatrzyła po otaczających Beldaran damach. - Zielony powiedziała w zamyśleniu. - Nie chcemy, by stroje pozostałych uczestników ślubu gryzły się z sukniami panny młodej i jej siostry.

Arell czasami mnie zastanawiała. Była zbyt apodyktyczna jak alornską damę. Muszę porozmawiać o tym z mamą, ona czasami zbyt waha się wpływać na innych ludzi.

- Oczywiście Beldaran denerwowała się w noc poprzedzającą ślub. Młode denerwują się tak samo jak ich przyszli mężowie w tę szczególną noc, jednak lepiej to ukrywają.

- Nie bierz tego tak poważnie, Beldaran - radziła mej siostrze - ślub to okazja dla innych do pokazania się. Państwo młodzi są jedynie ozdobą.

- Nie czuję się zbyt ozdobnie, Arell - odparła Beldaran. - Czy mogę cię przeprosić? Chyba pójde wymiotować.

Noc minęła, jak noce mają w zwyczaju. Wstał pogodny, słoneczny dzień - rzadkość na Wyspie Wiatrów. To ładna wyspa, ale klimat ma nieznośny.

Ślub ustalono na południe, głównie dlatego że alornscy mężczyźni całą poprzednią noc świętowali i następnego ranka nie czuli się zbyt dobrze, więc potrzebowali czasu na przyjście do siebie. My miałyśmy zajęć pod dostatkiem. Beldaran wzięła rytualną przedślubną kąpiel, po której towarzyszki natarły jej ciało różaną wodą. Następnie przyszła kolej na ułożenie włosów i to zajęło nam większość ranka. Potem wszystkie siedziałyśmy w bieliźnie, by nie pognieść sukien. W ostatniej chwili ubrałyśmy się i Arell obejrzała nas z krytycznym wzrokiem.

- Ujdzie - uznała. - Bawcie się dobrze na weselu, dziewczęta. A teraz sio!

Zeszłyśmy grupką do przedpokoju przy Dworze Rivańskiego Króla. Ślub miał się odbyć bowiem w sali tronowej.

Zaintrygowało mnie zachowanie siostry po wejściu do tej komnaty. Wydawała się niemal nieludzko opanowana. Wszelkie ślady poprzedniego zdenerwowania znikły. Sprawiała wrażenie nieobecnej myślami. Matka wyjaśniła mi później zachowanie siostry. Większość wydarzeń miała tego dnia znaczenie symboliczne i Beldaran postępowała wedle pewnych bardzo szczegółowych instrukcji. Trzymałam straż u drzwi, więc widziałam przybycie Rivy, jego ojca i braci. Wszyscy mieli na sobie kolczugi, a u pasa miecze! Wiem, że Alornowie to

urodzeni wojownicy, ale doprawdy...! Dla podkreślenia uroczystego charakteru tej uroczystości ich kolczugi były wypolerowane na błysk. Miałam nadzieję, że zrobili też coś w sprawie owego charakterystycznego zapaszku zbroi. Zbroja każdego rodzaju ma bardzo niemiły zapach. Jak by to wyglądało, gdyby damy z otoczenia Beldaran zaczęły mdleć w czasie uroczystości?

Potem przyszedł ojciec i nie zalatywało od niego mocno piwem. Często wytykam ojcu złe nawyki, ale muszę przyznać, że napraw nie pije zbyt wiele. Najwyraźniej lata spędzone na wybrzeżu zrobiły swoje.

- Dzień dobry paniom - pozdrowił nas. - Wyglądacie pięknie. Gotowe?

- Gotowe jak zawsze - odparłam. - Upilnowałeś, by Riva nie upił się zeszłej nocy?

- Nie musiałem, Pol. Obserwowałem go uważnie, ale on prawie nie pił.

- Alorn, który nie skacze na głowę do każdej beczki z piwem po drodze? Zdumiewające!

- Przepraszam - powiedział. - Muszę porozmawiać z Beldaran. Poczyniliśmy z Beldinem pewne przygotowania, o których powinnaś wiedzieć. Wkrótce dowiedziałam się, co miał na myśli. Ojciec ma doskonale wycucie czasu. Odczekał, aż tłum w są tronowej usadowi się, a potem całkiem wyraźnie usłyszałam myśl którą przesłał wujkowi Beldinowi.

- W porządku. Możemy zaczynać.

Wujek Beldin odpowiedział srebrzystymi fanfarami z setek działnych trąbek. Ten dźwięk był wystarczająco imponujący, dla weselnych gości. Po fanfarach rozległ się hymn weselny, śpiewany bardzo cicho przez nieziemski chór. Sama trochę zajmuję się muzyką więc harmonia tego hymnu zrobiła na mnie głębokie wrażenie. Potem, na znak ojca, Beldaran stanęła w środku wejścia do Sali tronowej Rivańskiego Króla. Stała tam, dając się podziwiać, a potem Mistrz obdarzył ją błogosławieństwem, oblewając smugą jasnego światła

Teraz wiem, że Mistrz błogosławił tym samym całą rivańską linię, która ostatecznie wydała Pogromcę Boga.

Zdjęłam płaszcz i oczy ojca przybrały nieco błędny wyraz.

- Ładna sukienka - wydusił przez zaciśnięte zęby.

Czasami ojciec bywa bardzo niekonsekwentny. Podziwia przymioty innych kobiet, ale wścieka się, gdy ja odsłaniam swoje. Stanęliśmy po obu stronach Beldaran i dostojnym krokiem prowadziliśmy ją do miejsca, w którym czekał Riva ze swoją rodziną

- Gaikiem dobrze idzie, nie sądzisz? - zapytała mnie matka

- Jeszcze się nie skończyło, mam - odparłam. - W końcu to Alornowie, więc widmo katastrofy nadal nad nami wisi.

- Pesymistyczka - powiedziała z wyrzutem.

Za jakiś czas zauważyłam Klejnot Mistrza na gałce masywnego miecza który wisiał ostrzem w dół za tronem. Trudno było go nie zauważyć zwłaszcza, kiedy żarzył się intensywnym błękitnym blaskiem. Po raz pierwszy zobaczyłam wtedy Klejnot. Zrobił na mnie wrażenie. Od tamtego czasu wielokrotnie widywałam, jak promieniuje ale dopiero gdy Garion zdjął go ze ściany, był równie jasny. Na swój własny sposób Klejnot również błogosławił ślub Beldaran

i Rivy. Powierziliśmy Beldaran opiece Rivy i cofnęliśmy się o krok.

Wówczas wystąpił kapłan i rozpoczęła się ceremonia.

Moja siostra promieniała, a Riva nawet na chwilę nie odrywał d niej pełnego uwielbienia wzroku. Ponieważ był to ślub wagi państwowej, kapłan strasznie rozbudował ceremonię. Po pierwszej godzinie weselni goście zaczęli się niecierpliwić. Ławki we Dworze Rivańskiego Króla są kamienne, więc niezbyt wygodne dla dam. Panowie mieli już przed oczyma hulankę, która nierozzerwalnie wiązała się z alornskimi weselami. Jednak wszyscy przez szacunek tłumiliśmy ziewanie. Moja siostra i Riva cierpliwie wysłuchali kazania, w którym duchowny pouczał ich o powinnościach małżeńskich. Zauważyłam, że wszystkie prawa przypadały panu młodemu, a obowiązki były domeną panny młodej. Po kolejnych trzech kwadransach kapłan przyspieszył rytm mowy, co wskazywało, że zbliżał się do zakończenia. Dzielny był z niego człowiek, muszę przyznać. Każdy mężczyzna na tej sali miał przypasany miecz, a on wystawiał cierpliwość zebranych na bardzo poważną próbę. Dawno przestałam zwracać na niego uwagę, gdy wtem głos matki obudził moją czujność.

- Polgaro - powiedziała. - Trzymaj nerwy na wodzy.

- O co chodzi?

- Nie ekscytuj się. Coś się w tym momencie z tobą wydarzy. To ma znaczenie symboliczne, ale dość ważne. Chwilę później znaczenie jej słów stało się jasne. Poczułam delikatne jak dotyk matki ciepło a potem jak Klejnot, zaczęłam jarzyć się błękitem. Matka gdy byłam starsza wyjaśniła mi, że ten blask był błogosławieństwem Mistrza dla czegoś, co uczynię w odległej przyszłości.

- Słuchaj bardzo uważnie, Polgardo - odezwał się ponownie głos matki. - To najważniejsze wydarzenie w historii Zachodu. Ludzie skupili swą uwagę na Beldaran, ale bogowie obserwują ciebie.

- Mnie? Po cóż, u licha, mammo?

- Dokładnie w chwili gdy Beldaran i Riva zostaną ogłoszeni mężem i żoną, ty będziesz musiała podjąć decyzję. Bogowie wybrali cię na instrument swej woli, ale musisz to zaakceptować.

- Co zaakceptować?

- Zadanie, Polgardo, i musisz zaakceptować lub odrzucić je tu i teraz.

- Zadanie jakiego rodzaju?

- Jeśli je zaakceptujesz, zostaniesz strażnikiem i opiekunem linii rodowej, której początek dadzą Beldaran i Riva.

- Nie jestem żołnierzem, mammo.

- Nikt tego od ciebie nie oczekuje, Polgardo. Do tego zadania nie potrzebny ci miecz. Starannie rozważ decyzję, córko. Natychmiast poznasz, kiedy postawią przed tobą zadanie; jeśli je przyjmiesz, poświęcisz mu całe życie. Kapłan nareszcie dobrnął do końca ceremonii.

Usłyszałam nad sobą delikatny trzepot skrzydeł. Spojrzałam góry. Matka, śnieżnobiała, unosiła się w nieruchomym powietrzu, potem odleciała w głąb sali i usiadła na krokwi.

A gdy kapłan wygłosił słowa, które na zawsze odebrały mi siostrę, matka powiedziała:

- Zgadzasz się, Polgardo?

Oficjalność pytania wymagała oficjalnej odpowiedzi, więc ujęłam brzegi sukni, rozłożyłam ją lekko i ukłonem wyraziłam swoją akceptację. W tym samym czasie Riva pocałował pannę młodą.

- Tak będzie! Tak będzie! - dziwny nowy głos wykrzyknął, gdy przeznaczenie wzięło mnie w posiadanie.

CZĘŚĆ DRUGA

OJCIEC

Hak Arendii

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wówczas po raz pierwszy miałam kontakt z „przyjacielem Gariona”, jak zwykł nazywać go ojciec. Nie rozumiałam, skąd pochodziło owe „Tak będzie! Tak będzie!”, które radośnie rozbrzmiało w mych myślach. Może dlatego nie pojęłam od razu, że nikt tak

naprawdę nie jest przygotowany do pierwszego spotkania z Celem Wszechświata. Gdybym zemdlą z wrażenia, mogłabym zakłócić ceremonię ślubną siostry.

Po zaślubinach para młoda i goście przeszli korytarzem do wielkiej sali bankietowej na tradycyjną ucztę weselną. Gdy zasiedliśmy na ławach za stołami uginającymi się od mięsiwa, dzikiego ptactwa i różnych smakołyków, wstał król Cherek.

- Panie i panowie - powiedział - wznoszę toast za pannę i pana młodego.

Alornowie z powagą wstali, wzniesli kufle i zaintonowali zgodnym chórem:

- Państwo młodzi!

Pomyślałam, że to bardzo miłe. Potem Dras wznosił toast za swego ojca. Następnie Algar wznosił toast za brata, Drasa, który odpowiedział toastem na jego cześć. Powaga tego zgromadzenia zaczęła gwałtownie słabnąć, a trzeźwość razem z nią. Każdy zdawał się poczuwać do obowiązku wzniesienia toastu na czyjąś cześć, stół zaś był bardzo długi. O ile sobie Przypominam, nie udało im się uczcić wszystkich.

- To odrażające - mruknęłam do wujka Beldina, który siedział obok mnie. - Wyjeżdżam. Miałam właśnie zamiar im to triumfalnie wytknąć, gdy matka mnie powstrzymała.

- Nie tędy droga, Poi - powiedziała. - Mężczyźni lękają się inteligentnych kobiet, więc sugeruj, zamiast oznajmiać. Zasier ziarno idei w ich umysłach i pozwól mu wykiełkować. Niech uznają, że to był ich pomysł.

- Ale... - zaczęłam protestować.

- Spróbuj mojego sposobu, Poi - przerwała mi matka. - Skieruj ich we właściwą stronę, a potem chwal.

- Myślę, że to głupie, mamó, ale spróbuję.

Moja pierwsza skromna sugestia dotyczyła nawiązania handlu z Nadrakami i ku memu zaskoczeniu wszystko poszło gładko. Siedziałam skromnie z tyłu i pozwoliłam Alornom tak długo dyskutować nad tym pomysłem, że w końcu zapomnieli, od kogo pochodził, po czym postanowili wcielić go w życie. Potem zasiałam pomysł wszczęcia wstępnych rokowań z Tolnedranami i Arendami, co również spotkało się z akceptacją Chereka i jego synów.

W swej czasami błędnie przedstawionej historii świata ojciec zanotował, że lubiłam politykę. Miał rację, ale całkowicie błędnie to rozumiał. W pojęciu ojca „polityka” dotyczyła stosunków pomiędzy narodami. Ja używałam tego słowa na określenie różnych subtelnych sposobów, jakimi kobieta potrafi skłonić mężczyznę do zrobienia tego, co ona chce.

Jeśli chcecie poznać eksperta w tej sztuce, to przyjrzyjcie się królowej Poren w akcji. Jednakże prawdziwym geniuszem jest królowa Layla z Sendarii.

Spotykaliśmy jeszcze kilka razy tego tygodnia, ale najważniejsze decyzje zostały podjęte na pierwszym posiedzeniu rady. Kiedy uświadomiłam sobie, że mężczyźni mają zamiar przez większość czasu rozpamiętywać stare sprawy, pozwoliłam swym myślom błądzić. Zastanawiałam się na tym, co powiedziała mi mama. Im dłużej o tym myślałam, tym lepiej zaczynałam rozumieć jej słowa. Mężczyźni i kobiety różnią się, a oczywiste różnice w budowie fizycznej są tu najmniej ważne. O wiele istotniejsze są różnice w naszym rozumowaniu.

Cherek zaofiarował się, że wojennym okrętem przewiezie ojca, wujka Beldina i mnie na wybrzeże Sendarii, ale w nocy przed wypłynięciem wujek Beldin zmienił zdanie.

- Raczej wrócę do Mallorei i będę miał oko na Spaloną Gębę -owiedział. - Myślę, że Murgowie, Nadrakowie i Thulowie to tylko oddział czołowy. Nie osiągną wiele bez wsparcia z Mallorei. Nic się nie wydarzy po tej stronie Morza Wschodu, dopóki Torak nie rozkaże swym armiom wymaszerować z Mal Zeth na północ.

- Informuj mnie - rzekł ojciec.

- Naturalnie, stary łachudro. Myślisz, że wybieram się do Mallorei tylko po to, aby odnowić stare znajomości z Urvonem i Zedarem? Dani ci znać, jeśli Spalona Gęba zacznie działać.

Lato było w pełni, gdy dotarliśmy z ojcem do Doliny. Bliźniaki niecierpliwie wyczekiwali naszego powrotu. Przygotowali ucztę powitalną. Zasiadliśmy do niej w przestronnej, miłej wieży. Nad Doliną zapadał złocisty zmierzch. Zawsze lubiłam wieżę bliźniaków. Wieża ojca jest zagracona; wieża wujka Beldina z zewnątrz jest bardzo fikuśna, ale w środku równie zagracona jak wieża ojca. Bliźniacy byli na tyle zapobiegliwi, by zbudować szafy i schowki na niższych poziomach wieży, więc mieli gdzie chować swoje rzeczy. Ojciec pewnie niewiele robi sobie z tego porównania, ale jego wieża bardzo przypomina pokój na wierzchołku słupa. To solidny kamienny pniak z pokojem na najwyższym piętrze. Wieża wujka Beldina jest niewiele lepsza.

Skończyliśmy jeść i wujek Belkira odsunął talerz.

- Dobrze było - rzekł. - A teraz opowiedzcie o ślubie i tej wielkiej przemianie Polgary.

- Przemiana Polgary to prosta sprawa - odparł ojciec. - Po prostu Polgara cichaczem dorosła.

- Młodzi ludzie mają zwyczaj tak robić - zauważył wujek Belkira.

- Tu chodziło o coś więcej, ojciec - powiedziałam. - Beldaran była zawsze tą ładną.

- Nieprawda, Poi - zaprzeczył wujek Belkira. - Ona jest blondynką, a ty brunetką. To jedyna różnica. Obie jesteście piękne.

- Wszystkie dziewczęta chcą mieć jasne włosy - odparłam ze wzruszeniem ramion. - To może trochę głupie, ale tak jest. Kiedy uświadomiłam sobie, że nigdy nie będę tak ładna jak ona, spróbowałam innej drogi. W Camaar, gdy w końcu moja siostra spotkała Rivę, zobaczyłam, że nie w głowie jej mój wygląd, więc się umyłam. - Roześmiałam się trochę smętnie. - Całe godziny zajęło mi wyczesywanie kołtunów z włosów. Potem przybyliśmy na Wyspę Wiatrów sierznią stwierdziłam, że wcale nie jestem tak brzydka, jak myślałam.

- To zdaje się przejaw największej skromności w historii - powiedział ojciec. - Teraz, gdy zmyła z siebie brud, prezentuje się całkiem nieźle.

- Bardziej niż nieźle, Belgaracie - powiedział Beltira.

- W każdym razie - ciągnął dalej ojciec - po dotarciu na Wyspę Wiatrów przyprawiła wszystkich młodych Rivan niemal o utratę zmysłów. Bezgranicznie ją ubóstwiali.

- Czy miło być ubóstwianą, Pol? - zapytał Belkira.

- Owszem, całkiem przyjemnie - przyznałam - ale ojca bardzo to niepokoiło. Zupełnie nie rozumiem dlaczego.

- Bardzo zabawne, Poi - powiedział ojciec. - Po ślubie odbyliśmy naradę z Cherekiem i jego synami. Mieli już parę razy do czynienia z Angarakami. Chcemy lepiej poznać różnice pomiędzy Murgami, Thullami i Nadrakami. Możemy za to podziękować Pol. - Rzucił mi równie łobuzerskie spojrzenie jak ja jemu. - Nie myślisz chyba, że nie zauważyłem, co robisz, Pol? Dobrze sobie poradziłaś. - Potem spojrział w zamyśleniu w sufit. - Prawdopodobnie łatwiej nawiązać kontakt z Nadrakami niż Murgami czy Thullami, jak zauważyła Pol. Thullowie są zbyt głupi i zbyt boją się Grolimów, by na wiele się zdali. Murgami zaś kieruje żelazną ręką Ctuchik. Nadrakowie są zachłanni, więc odrobiną rozsądnego przekupstwa można by uczynić z nich użyteczne źródło informacji.

- Czy jakieś znaki wskazują, że więcej Angaraków ma zamiar przedostać się drogą lądową? - zapytał Beltira.

- Obserwacje Chereka na to nie wskazują. Torak najwyraźniej uzbroił się w cierpliwość. Czeka na odpowiedni moment. Beldin wrócił do Mallorei, podobno żeby mieć go na oku, ja jednak myślę, że chce powrócić do dyskusji z Urvonem o rozpalonym do białości haku. W każdym razie zwrócił nam uwagę, że Murgowie, Nadrakowie i Thullowie to tylko forpoczta. Zabawa nie rozpocznie się na dobre, dopóki Torak nie postanowi opuścić swej samotni w Ashabie.

- Dla mnie spieszyc się nie musi - powiedział Belkira.

Przez następne kilka tygodni opowiadaliśmy bliźniakom z coraz większymi szczegółami o naszej wizycie na Wyspie Wiatrów i ślubie Beldaran. Od niepamiętnych

czasów bliźniaki bardzo rzadko opuszczali Dolinę, głównie dlatego, jak dowcipnie zauważył Beltira, że „ktoś musi pilnować interesu”. Są jednak członkami rodziny, więc czują naturalny głód wiedzy o naszych przygodach w świecie.

Przez parę tygodni męczyła mnie melancholia. Nadal czułam dotkliwy ból z powodu rozdzielenia z siostrą. O dziwo, ta separacja zbliżyła mnie do ojca. W moim odczuciu współzawodniczyliśmy z ojcem czucia Beldaran od czasu jego powrotu do Doliny. Ślub położył kres temu współzawodnictwu. Nadal dogryzałam mu, ale myślę, że robiłam to z przyzwyczajenia. Zaczęło się we mnie rodzić ciepłe uczucie i szacunek. Jeśli ojciec się starał, potrafił być sympatycznym starszym opojem.

Nasze życie zaczęło się toczyć wedle pewnego schematu, co było bardzo wygodne. W dużej mierze było to zasługą tego, że ja lubiłam gotować, a on jeść. Nastął czas spokoju. Nasze wieczorne rozmowy były inspirujące, bardzo je lubiłam.

Młodzi ludzie zwykle są przekonani, że wiedzą o wiele więcej od rodziców. Na w pół ukształtowany umysł niemal z zachwytem pada ofiarą głupoty. Wieczorne rozmowy z ojcem szybko pozbawiły mnie tego złudzenia. Głębia jego umysłu czasami przyprawiała mnie o zawrót głowy. Ten starzec wiele wiedział!

Jednakże nie tylko rosnący szacunek dla jego rozległej wiedzy kazał mi pewnego wieczoru, podczas zmywania naczyń, zaproponować, by wziął mnie za uczennicę. Mistrz i mama również mieli wpływ na tę decyzję. Zbyt często wytykali mi, że jestem niewykształconym głuptasem.

Pierwsza propozycja ojca natychmiast stała się przyczyną sporu.

- Po co mi te bzdury? - dopytywałam się. - Nie możesz mi po prostu powiedzieć tego, co powinnam wiedzieć? Dlaczego muszę się nauczyć czytać?

Ojciec zachował się dyplomatycznie, nie roześmiał mi się w twarz. Potem cierpliwie wyjaśnił, czemu absolutnie muszę nauczyć się czytać.

- Ponieważ w książkach i zwojach zawarta jest suma ludzkiej wiedzy, Pol - powiedział na koniec. - Będzie ci ona potrzebna.

- Po co, u licha? Jesteśmy przecież obdarzeni „talentem”, ojczcie. Ten stek bzdur spisali zwykli ludzie. Cóż użytecznego może być w ich Pisaninie?

Ojciec westchnął i przewrócił oczyma.

- Dlaczego ja? - zapytał i najwyraźniej to pytanie nie było skierowane do mnie. - No dobrze, Pol - westchnął - skoro jesteś na tyle inteligentna, że nie potrzebujesz uczyć się czytania, to może odpowiesz mi na parę pytań, które nurtują mnie od pewnego czasu.

- Oczywiście, ojciec - odparłam. - Z przyjemnością. - Zauważcie, że sama weszłam w pułapkę, którą na mnie zastawił.

- Jeśli mamy dwa jabłka i dwa jabłka, to ile mamy razem? - Ojciec zawsze od tego zaczyna, gdy chce przyszłego ucznia nauczyć pokory.

- Oczywiście cztery - odpowiedziałam szybko; zbyt szybko, jak się okazało.

- Dlaczego?

- Co „dlaczego”? Tak po prostu jest. Dwa jabłka i dwa jabłka to cztery jabłka. Każdy głupiec to wie.

- Ale ty nie jesteś głupcem, więc bez trudu powinnaś mi to wytłumaczyć, prawda?

Gapiałam się na niego bezradnie.

- Możemy do tego wrócić później. Następne pytanie. Gdy przewraca się drzewo w lesie, robi hałas, prawda?

- Oczywiście, ojciec.

- Bardzo dobrze, Poi. Co to jest hałas?

- Coś co słyszymy.

- Doskonale. Jesteś naprawdę bardzo spostrzegawcza, moja córko. - Zmarszczył brwi, trochę udawanie, jak sądzę. - Jest jednak pewien problem. A jeśli w pobliżu nikogo nie ma, czy wówczas hałas też powstaje?

- Z pewnością.

- Dlaczego?

- Ponieważ... - w tym miejscu ugrzęzłam.

- To także odłóżmy na bok i przejdźmy do następnego pytania. Sądzisz, że słońce wzejdzie jutro rano?

- Naturalnie.

- Dlaczego?

Mogłam się spodziewać tego „dlaczego”, ale jego z pozoru proste pytania wytrąciły mnie z równowagi, więc odparłam bez namysłu:

- Zawsze wschodzi, prawda?

W tym momencie dostałam szybką i bardzo upokarzającą lekcję z teorii prawdopodobieństwa.

- Pójdźmy zatem dalej za ciosem - powiedział ojciec. - Dlaczego księżyc zmienia kształt z biegiem miesiąca? Wpatrywałam się w niego bezradnie.

- Dlaczego woda bulgocze, gdy się gotuje? - spytał zaraz. Nie potrafiłam odpowiedzieć, a przecież to ja gotowałam. A ojciec pytał dalej:

- Dlaczego w ciemności nie widzimy barw?... Dlaczego liście drzew zmieniają jesienią kolor?... Dlaczego woda twardnieje na chłodzie? I dlaczego zmienia się w parę, gdy ją podgrzać?... Jeśli tutaj jest południe, to dlaczego w Mallorei jest północ?... Czy Słońce kręci się wokół Ziemi, czy Ziemia wokół Słońca?... Skąd wzięły się góry?— Co sprawia, że drzewa rosną?

- Dość, ojcze! - krzyknęłam. - Wystarczy! Naucz mnie czytać!

- Ależ oczywiście, Pol. Skoro tak bardzo chcesz się uczyć, czemu od razu nie powiedziałaś?

I tak wzięłam się do pracy. Mój ojciec jest uczniem, czarodziejem, politykiem, czasami generałem, ale przede wszystkim jest nauczycielem - prawdopodobnie najlepszym na świecie. Nauczył mnie czytać i pisać w zdumiewająco krótkim czasie. Pierwszym słowem, które napisał, było moje imię. Uznałam, że ładnie wygląda na kartce papieru. Wkrótce zaczęłam zgłębiać jego książki i zwoje z rosnącym głodem wiedzy. Miałam przy tym zwyczaj komentowania książek, co było nieco kłopotliwe dla ojca, bo komentowałam zbyt głośno. Nic na to nie mogłam poradzić. Ojciec jednak chciał oddawać się własnym studiom. Pamiętam, że sporo na ten temat dyskutowaliśmy.

Czytanie było bardzo pobudzające, ale jeszcze bardziej stymulujące były nasze wieczorne dyskusje na różne tematy, które wypłynęły w ciągu dnia. Wszystko zaczęło się pewnego wieczoru od raczej niewinnego pytania ojca.

- Czego się dziś nauczyłaś, Poi?

Powiedziałam mu. Potem wyjawiałam wątpliwości, jakie obudziła we mnie lektura. Oznajmiłam to stanowczym, a nawet wyzywającym tonem.

Ojciec nigdy nie przegapił okazji do dobrej sprzeczki, więc automatycznie stanął w obronie atakowanych przeze mnie tekstów. Po kilku wieczorach te dyskusje stały się rytuałem. To miły sposób na zakończenie dnia.

Nasze sprzeczki nie zawsze miały czysto intelektualny charakter. Wizyta na Wyspie Wiatrów sprawiła, że zaczęłam większą wagę Przykładać do swego wyglądu. Ojciec zwykł to nazywać próżnością. Co stało się kolejnym powodem do ciągłych sprzeczek.

Pewnego wiosennego ranka, nim jeszcze zrobiłam śniadanie, Usłyszałam głos matki.

- Wszystko to bardzo ładnie, Pol - usłyszałam -ale są jeszcze inne rzeczy, których powinnaś się nauczyć. Odłóż dziś książki i przyjdź do Drzewa. On uczy cię korzystać z umysłu. Ja nauczę cię, jak posługiwać się wolą.

- Chyba się przejdę, ojciec - powiedziałam, wstając od stołu po śniadaniu. - Zaczynam się czuć w wieży trochę jak w klatce. Potrzeba mi świeżego powietrza. Pójdę poszukać ziół na dzisiejszą kolację.

- To niezły pomysł - przyznał. - Twoje klótnie zaczynają się robić trochę monotonne. Może świeży powiew uporządkuje ci myśli.

- Może - odparłam, powstrzymując się przed odcięciem się na ten zawołany przytyk.

Był wspaniały dzień, a Dolina to najpiękniejsze miejsce na ziemi, więc nie spiesząc się, powędrowałam przez soczyscie zielone, wysokie po kolana trawy do owej świętej dolinki, w której Drzewo rozpościerało swe ogromne konary. Gdy podeszłam bliżej, ptaki przywitały mnie śpiewem.

- Czemu to tak długo trwało, Poi? - zapytała matka.

- Cieszyłam się porankiem - odparłam głośno, bo wokół nie było nikogo. - Co będziemy dziś robić, mamo?

- Kontynuować twoją edukację, oczywiście.

- Mam nadzieję, że twoje nauki nie będą tak nudne jak ojca.

- Myślę, że ci się spodobają. Choć zasadniczo dotyczą tego samego obszaru.

- O jakim obszarze mówimy?

- O umyśle, Poi. Do tej pory uczyłaś się wykorzystywać swój talent w zewnętrznym świecie. Teraz przejdziemy do świata wewnętrznego. - Przerwała, jakby zastanawiała się, jak wyjaśnić bardzo trudną koncepcję. - Każdy człowiek jest inny - zaczęła - ale poszczególne rasy mają pewne cechy charakterystyczne. Poznasz Alorna po wyglądzie. Można go również rozpoznać po umyśle.

- Nauczysz mnie słuchać myśli innych ludzi?

- Do tego możemy dojść później. To jest trudniejsze, więc skoncentrujmy się najpierw na tym pierwszym. Kiedy chcesz określić, do jakiej rasy lub plemienia należy nieznajomy, nie skupiaj się na tym, co on myśli, ale bardziej na tym, jak myśli.

- Czemu to takie ważne, mamo?

- Mamy na świecie wrogów, Poi. Umiejętność rozpoznawania ich będzie ci potrzebna. Mistrz nauczył mnie, jak naśladować sposób myślenia różnych ras, więc będę mogła pokazać ci różnicę pomiędzy Murgiem i Grolimem czy pomiędzy Arendem i Morągiem. Przyjdzie czas, że twoje bezpieczeństwo i bezpieczeństwo tych, którymi się będziesz opiekować, będzie zależało od tego, czy potrafisz rozpoznać, kto znajduje się w twoim otoczeniu.

-To chyba zrozumiałe. Jak się do tego zabierzemy?

- Po prostu otwórz swój umysł. Odsuń na bok swoją osobowość i wczuj się w naturę różnych umysłów, które ci będą pokazywać.

- Spróbuję - westchnęłam pełna wątpliwości - ale to wydaje się okropnie skomplikowane.

- Nie powiedziałam, że to będzie łatwe, Pol. Możemy zaczynać?

Początkowo nie widziałam w tym większego sensu; matka rzucała mi wciąż tę samą myśl, zmieniając tylko sposób jej przedstawienia. Przełom nastąpił dopiero wówczas, gdy zdałam sobie sprawę, że różnym wzorom myśli odpowiadają różne kolory. To było zauważalne, choć nikłe zabarwienie. Jednak z czasem owe kolory stały się bardziej wyraziste i prawie natychmiast potrafiłam rozpoznać myśli Murga, Alorna czy Tolnedranina.

Imitacja umysłu Murga, który matka dla mnie wyczarowała, była bardzo ciemna, koloru matowej czerni. Umysł Grolima dla kontrastu jest twardy, połyskliwie czarny i natychmiast dostrzegłam - czy poczułam - różnicę między nimi.

Umysły Sendarów są zielone. Tolnedran czerwone. Rivan, oczywiście, niebieskie. Coraz lepiej rozpoznawałam te kolory i nim nadeszło południe, radziłam sobie z tym całkiem dobrze.

- Na dzisiaj wystarczy, Pol - powiedziała mama. - Wracaj do wieży i resztę dnia poświęć książkom. Niech twój ojciec nie nabierze żadnych podejrzeń.

Wróciłam więc do wieży. Taki schemat dnia utrzymywał się przez dobre kilka lat - ranki należały do matki, a popołudnia do ojca. Pobierałam dwie bardzo odmienne nauki w tym samym czasie, co było dość śmiałym przedsięwzięciem.

Następnego ranka matka powtórzyła ze mną to, czego nauczyłam się poprzedniego dnia, demonstrując mi schematy myślenia różnych nacji.

- Sendar - powiedziałam, dostrzegając zabarwiony zielono umysł. - Murgo - rozpoznałam matową czerń myśli. - Arend - stwierdziłam, a potem: - Tolnedranin. - Im więcej ćwiczyłam, tym szybciej rozpoznawałam.

- Przejdźmy zatem dalej - zdecydowała matka. - Przyjdzie czas, gdy będziesz musiała wyłączyć umysły swych przyjaciół, uśpić je, można powiedzieć, choć to nie będzie w zasadzie uśpienie.

- Z jakiego powodu?

- Nie my jedni na świecie potrafimy rozpoznać wzór myślenia, Pol Grolimowie również to potrafia, a każdy, kto to potrafi, może po myśli trafić do jej źródła. Gdy próbujesz się ukryć, chcesz, by ktoś obok ciebie krzyczał myślami?

- Zapewne nie. Co miałabym zrobić, aby wrzaskliwego durnia uśpić?

- To nie jest w rzeczywistości sen, Pól - poprawiła mnie. - Wzorzec myślenia, który można rozpoznać, nie opuszcza śpiącego umysłu. Musisz nauczyć się całkowicie wyłączać czyjś mózg.

- Czy wtedy zabiję tego kogoś? Czy zatrzymam jego serce?

- Nie. Część mózgu odpowiedzialna za bicie serca jest tak głęboko pod powierzchnią, że nie posiada identyfikacyjnego koloru.

- A jeśli nie potrafię cię ponownie obudzić ?

- Nie będziesz ćwiczyła na mnie. Gdzie jest najbliższy Alom?

- Bliźniaki są Alornami - odparłam.

- Nie zastanawiaj się na tym, Poi. Odszukaj ich myślami.

- Spróbuję. - Wysłałam swe myśli na poszukiwanie charakterystycznego turkusu, który identyfikował Alorna nie-Rivanina. Nie zajęło mi to wiele czasu. Oczywiście wiedziałam, gdzie byli.

- Dobrze - powiedziała matka. - Teraz wyobraź sobie gruby wełniany koc.

Nie pytałam dlaczego; po prostu tak zrobiłam.

- Dlaczego biały? - zapytała zaciekawiona matka.

- To ich ulubiony kolor.

- Aha. Dobrze, przykryj ich nim.

Uczyniłam to i zauważyłam, że dłonie zaczynają mi się pocić. Praca myślami jest niemal tak ciężka jak rękoma.

- Śpią?

- Tak sądzę.

- Lepiej się upewnij.

Użyłam postaci zwykłej jaskółki. Przy dobrej pogodzie bliźniaki nie zamykają okien i wielokrotnie widywałam wlatujące i wylatujące z ich wieży jaskółki. Pofrunęłam do wieży i wleciałam przez okno.

- I co?- usłyszałam głos matki. - Śpią?

- Nie udało się, mamó. Oczy nadał mają otwarte. - Odpowiedziałam w myślach. Nie chciałam niepokoić bliźniaków swą obecnością.

- Ruszają się?

- Nie. Przypominają parę posągów.

- Prześruń tuż przed ich twarzami. Sprawdź, czy zrobią unik.

Zrobiłam tak.

- Ani drgnęli - doniosłam matce.

- A zatem się udało. Spróbuj odnaleźć ich umysły swoim.

Próbowałam, ale wokół mnie była tylko cicha pustka.

- Nic nie znajduję, mammo.

- Bardzo szybko to pojęłaś. Wracaj do Drzewa, a potem ich uwolnimy.

- Za chwilę - powiedziałam. Potem odszukałam ojca i jego umysł również wyłączyłam.

- Po co to zrobiłaś? - zapytała matka.

- Dla wprawy, mammo - odparłam niewinnie. Wiedziałam, że to nie było specjalnie miłe, ale nie mogłam się powstrzymać.

W ciągu następnych tygodni matka nauczyła mnie wielu sposobów manipulowania ludzkimi umysłami. Poznałam bardzo użyteczną sztuczkę z wymazywaniem pamięci. Korzystałam z niej wiele razy. W pewnych okolicznościach byłam zmuszona załatwiać sprawy niecodziennymi sposobami, a nie chciałam, aby świadkowie zaczęli opowiadać niestworzone historie na mój temat. Czasami prościej po prostu wymazać pamięć o jakimś zdarzeniu, niż wymyślać wiarygodne wyjaśnienie.

Sztuczką bardzo podobną jest wprowadzanie fałszywych wspomnień. Posługując się tymi dwiema sztuczkami można znacząco zmienić czyjś sąd o tym, co się naprawdę wydarzyło.

Matka nauczyła mnie również „rosnąć” - powiększać się do ogromnych rozmiarów. Nie korzystałam z tego często, ponieważ to wzbudza podejrzenia.

Potem, jako że do każdej sztuczki jest odwrotna, nauczyła mnie „kurczyć się” - zmniejszać się do niemal niewidzialnego punktu. To była bardzo użyteczna umiejętność, szczególnie gdy chciałam coś podsłuchać. Te umiejętności są podobne do procesów zmiany postaci, więc dość łatwo je opanowałam. Nauczyłam się również, jak zmuszać ludzi, by ignorowali moją obecność. To inny sposób na osiągnięcie pewnego rodzaju niewidzialności. Ponieważ nie wyrosłam jeszcze z wieku młodzieńczego, pomysł chowania się w tle nie wydawał się zbyt kuszący. Młódzież pragnie być zauważana. Wszystko robi z krzykliwą ostentacją „Spójrzcie na mnie! Zobaczcie, jaki jestem ważny!” Niewidzialność nie jest najlepszym sposobem zaspokojenia tych pragnień.

Sztuka „robienia rzeczy” - tworzenia, jeśli wolicie - była ukoronowaniem tego etapu mojej edukacji, ponieważ wiązała się z wkroczeniem na tereny bogów. Zaczęłam od robienia kwiatów. Chyba wszyscy od tego zaczynamy. Tworzenie jest ściśle powiązane z poczuciem piękna, ale też tworzenie kwiatów jest łatwe, i logicznie jest od nich zacząć. Początkowo nieco oszukiwałam, oczywiście. Okręcałam gałązki trawą, a potem zamieniałam je w kwiaty. Zmiana nie jest jednak prawdziwym tworzeniem, więc w końcu zabrałam się za robienie

kwiatów tylko z powietrza. Tworzeniu rzeczy towarzyszy rodzaj ekstazy. To dlatego pokryłam dolinę, w której rosło Drzewo, dywanem kolorowego kwiecia. Usprawiedliwiałam się, że to tylko dla wprawy, ale prawda była inna...

Pewnego ranka, późną wiosną mego osiemnastego roku życia, matka powiedziała:

- Może byśmy dziś porozmawiały, Poi?

- Oczywiście. - Usiadłam plecami oparta o Drzewo, odpędzając kilka ptaków. Wiedziałam, że gdy matka proponuje rozmowę, to tak naprawdę mam słuchać.

- Już czas, by twój ojciec dowiedział się, co potrafisz, Polgaro. Jeszcze do niego w pełni nie dotarło, jak szybko dorastasz. Czekają cię trudne zadania, a on nie przestanie wchodzić ci w paradę, dopóki nie uświadomi sobie, że nie jesteś już dzieckiem.

- Wielokrotnie zwracałam mu już na to uwagę, mamó, ale nie potrafię sprawić, by to do niego dotarło.

- Ojciec ma do czynienia z absolutem, Pol. Bardzo trudno mu pojąć, że coś- czy ktoś- się zmienia. Najprostszym sposobem zwrócenia mu uwagi jest zademonstrowanie twoich umiejętności. W końcu i tak musiałabyś to zrobić, a teraz jest prawdopodobnie najlepszy po temu czas.

- Jak najlepiej to zrobić, mamó? Czy mam zaprosić go, by wyszedł i obejrzał moje przedstawienie?

- To by było zbyt ostentacyjne. Czy nie lepiej zrobić coś w trakcie zwykłych zajęć? Zaimprovizowany pokaz wywoła pewnie większe wrażenie. Zrób coś po prostu, zwyczajnie. Znam go, moja droga, i wiem, jak najlepiej zwrócić jego uwagę.

- Pójdę za twym przykładem, mamó.

- Bardzo zabawne, Polgaro. - Jednak w jej głosie nie było rozbawienia.

Chyba wszystkich korci robienie teatralnych gestów, więc mój pokaz był starannie przygotowany. Pozwoliłam, by ojciec wygłodniał przez kilka dni, podczas gdy ja udawałam, że jestem pochłonięta zgłębianiem filozoficznej książki. Ojciec myszkował po kuchni, dopóki nie wyczerpały się zapasy wszystkiego, co choć trochę było jadalne. Nie wiedział przy tym, gdzie mam spiżarnię. W końcu zwrócił mi uwagę, że jest głodny.

- Och, bracie - powiedziałam z wystudiowanym zaabsorbowaniem. Potem, nawet nie podnosząc oczu znad książki, stworzyłam kawał na wpeł upieczonej wołowej łopatki. Nie była tak piękna jak kwiat, ale wiem, że zrobiła na ojcu wrażenie.

W wigilię naszych osiemnastych urodzin padał śnieg. Nie było wiatru, delikatne płatki miękko osiadały na ziemi. Zamiecie są bardzo widowiskowe, ale jest coś kojącego w spokojnie opadających płatkach śniegu. Otulają świat, tak jak matka otula dziecko w łóeczku

po pełnym wrażeń dniu. Obudziłam się wcześniej. Po rozpaleniu ognia stanęłam przy oknie. Szczotkowałam włosy i przyglądałam się, jak ostatnie chmury ociężałe odpływają na północny wschód. Słońce wzniosło się ponad nie, wydobywając z mroku czysty, biały świat, nieznaczony śladami ludzkich stóp. Ciekawa byłam, czy na Wyspie Wiatrów też pada śnieg i co Beldaran robi w „nasz” dzień.

Ojciec jeszcze spał, jak zwykle. Nigdy nie był rannym ptaszkiem. Na szczęście nie chrapał, więc poranek wypełniała cudowna cisza. Przygotowałam proste śniadanie: owsiankę, herbatę i chleb. Zjadłam i zawiesiłam garnek na metalowym haku nad paleniskiem, aby ojciec miał ciepłe jedzenie. Potem włożyłam futrzany płaszcz i wyszłam.

Nie było bardzo zimno. Wilgotny śnieg okrywał każdy konar sosen porastających z rzadka Dolinę. Brnęłam przez zasy ku Drzewu na swe poranne spotkanie z matką. Wysoko nad Doliną szybował orzeł, robił to z czystej radości latania, gdyż żadne inne ptaki czy zwierzęta nie opuściły jeszcze swych kryjówek. „Polgarda!” - krzyknął mi na powitanie. Pomachałam mu. Był starym przyjacielem. Orzeł odfrunął, a ja powędrowałam dalej.

Przedwieczne Drzewo zapadło w drzemkę na zimowe miesiące, ale nie spało twardym snem. Wyczuwałam jego senną świadomość ze szczytu wzniesienia.

- Spóźniłaś się, Pol - zauważyła matka.
- Podziwiałam widoki - wyjaśniłam, oglądając się na samotną linię śladów, jakie zostawiłam na świeżym śniegu. - Co Beldaran robi tego ranka?
- Jeszcze śpi. Rivanie wydali wczoraj bal na jej cześć i poszła z Rivą późno spać.
- Świętowali jej urodziny?
- Niezupełnie. Alornowie nie robią tyle hałasu wokół urodzin. Świętowali jej stan.
- Jaki stan?
- Beldaran spodziewa się dziecka.
- Co takiego?!
- Twoja siostra jest w ciąży, Polgaro.
- Czemu mi nie powiedziałaś?
- Właśnie to zrobiłam.
- Czemu nie powiedziałaś mi wcześniej?
- Po co? Ona jest teraz zameżna, a zameżne kobiety wydają na świat dzieci. Myślałam, że wszystko o tym wiesz.

Podniosłam ręce w geście skrajnego poirytowania. Czasami poglądy matki doprowadzały mnie do szaleństwa.

- Nie wiem, czy powinnaś jemu o tym powiedzieć. Zacznie być ciekawy, skąd się o tym dowiedziałaś. Prościej milczeć, niż wymyślać wyjaśnienie. Uważam, że powinniśmy dzisiejszego ranka skupić się na czymś innym. Ludzie mają swoje wyobrażenia na temat okropieństw. Najbardziej się boją tego, co czai się w ich podświadomości, a nietrudno się do niej dostać. Jeśli wiesz, czego naprawdę boi się dany człowiek, możesz go zmusić do współpracy, pokazując mu to.

- Współpracy?

- Zrobi, co mu każesz, albo opowie ci o tym, co chcesz wiedzieć. To łatwiejsze niż przypalanie mu stóp. Możemy zaczynać?

Przez całą zimę nie opuszczała mnie melancholia. Cięża Beldaran była kolejnym dowodem naszej separacji i nie widziałam powodu, by się tym cieszyć. W samotności często wzdychałam, ale starałam się skrywać swe uczucia, gdy w pobliżu był ojciec lub bliźniaki. Chciałam zachować w tajemnicy ciężą obecność mamy w moim umyśle.

Wiosną do Doliny przybyli Algar i Anrak. Przynieśli wieści i mieli nam towarzyszyć w podróży na Wyspę Wiatrów. Dotarcie tam zajęło prawie miesiąc. Riva osobiście oczekiwał nas na kamiennym nabrzeżu. Zauważyłam, że Beldaran w końcu przekonała go do zgolenia brody, i uznałam to za krok ku lepszemu. Wspięliśmy się schodami do Cytadeli i spotkałam się z siostrą. Wyglądała niezgrabnie, ale wydawała się bardzo szczęśliwa.

Z dumą pokazali nam pokój dziecinny, potem zjedliśmy sutą kolację i w końcu miałyśmy z Beldaran okazję zostać same. Poprowadziła mnie korytarzem biegnącym od królewskich apartamentów do komnat, które zajmowałyśmy z Beldaran przed jej ślubem. Spozregłam, że dokonano w nich licznych zmian. Ponure kamienne mury skrywały niebieskie draperie, złociste dywaniki z owczej skóry zastąpiono białymi. Meble były wykonane z masywnego ciemnego drewna, a wszystkie siedzenia solidnie wymoszczono. Kominek nie był już zwykłą dziurą w murze, ale został obudowany i osłonięty. Świece zapewniały łagodne, złociste światło i wszystko sprawiało bardzo przyjemne wrażenie.

- Podoba ci się, Pol? - zapytała Beldaran.

- Absolutnie urocze - odparłam.

- Teraz to twoje komnaty - powiedziała. - Zawsze będą na ciebie czekały. Mam nadzieję, że często będziesz z nich korzystać.

- Kiedy tylko będę mogła - zapewniłam. Potem przeszłam do sprawy. - Jak to jest? - zapytałam, gdy usadowiłyśmy się na miękkiej kanapie.

- Niewygodnie - odpowiedziała. Położyła dłoń na wydętym brzuchu. - Nie masz pojęcia, jak to przeszkadza.

- Masz poranne mdłości? Słyszałam o nich.
- Początkowo miałam. Z czasem mi przeszły. Ból pleców pojawił się dopiero niedawno.
- Ból pleców?
- Dźwigam spory ciężar, Poi - zauważyła. - Czasami mam wrażenie, że tak już będzie zawsze.

- To minie, skarbie.
- Arell też mi to powtarza. Pamiętasz ją?
- To ona nadzorowała szycie sukien, prawda? Beldaran kiwnęła głową.
- Jest także bardzo dobrą akuszerką. Opowiedziała mi wszystko o porodzie i nie wyczekuję go ze szczególnym utęsknieniem.
- Przykro ci?
- Z powodu ciąży? Oczywiście, że nie. Chciałabym tylko, żeby to nie trwało tak długo, to wszystko. A co ty robiłaś?

- Zdobywałam wykształcenie. Ojciec nauczył mnie czytać i teraz przekopuję się przez jego bibliotekę. Nie uwierzysz, ile bzdur już znalazłam. Czasami mam wrażenie, że Tolnedranie i Melcenowie biorą udział w jakimś wyścigu, którego główną nagrodą jest kompletne zidiocenie. Teraz czytam Księgę Toraka. Brat Mistrza ma chyba pokaźne problemy.

Beldaran wzdrygnęła się.

- To okropne! Jak możesz czytać coś takiego?
- Tego nie robi się dla rozrywki. Księgę napisano w starym języku angarackim i nawet język jest wstrętny. Myśl o szaleństwie boga budzi przerażenie.

- Szaleństwie?
- Totalnym. Matka mówiła, że zawsze taki był.
- Czy mama często cię odwiedza?
- Każdego dnia. Ojciec ma zwyczaj długo spać, więc poranki spędzam z mamą przy Drzewie. Ona także mnie uczy, więc można powiedzieć, że zdobywam wszechstronne wykształcenie.

- Oddalamy się od siebie coraz bardziej, prawda, Poi? - westchnęła Beldaran.

- Tak już bywa, Beldaran - powiedziałam. - To się nazywa dorastaniem.

- Nie podoba mi się to.

- Ani mnie, ale niewiele możemy na to poradzić.

Następny ranek był deszczowy i wietrzny, ale otuliłam się płaszczem i zeszłam do miasta. Chciałam porozmawiać z Arell. Jej zakład krawiecki znalazłam w małej ślepej uliczce

w pobliżu portu. Była to ciasna, zagrożona pracownia, zavalona materiałami, zwojami koronek i motkami nici. Dzwonek u drzwi oznajmił moje wejście i Arell poniosła głowę nad robótki.

- Polgara! - zawołała, podrywając się na nogi i zamykając mnie w matczynym uścisku. - Dobrze wyglądasz - powiedziała.

-Ty też, Arell.

- Potrzebna ci nowa suknia? Po to przyszłaś?

- Nie. Prawdę powiedziawszy, chciałam zasięgnąć informacji o stanie Beldaran.

- Jest w ciąży. Z pewnością to zauważyłaś.

- Bardzo zabawne, Arell. Co wiąże się z porodem?

- Ból, zamieszanie i wyczerpanie. Nie chcesz chyba znać wszystkich szczegółów?

- Chcę.

- Zamierzasz zostać akuszerką?

- Prawdopodobnie nie. Moje zainteresowania są bardziej ogólnej natury. Ludziom przydarzają się różne choroby, które trzeba leczyć. Chcę się nauczyć, jak to robić.

- Kobiety nie zostają lekarzami, Pol. Mężczyźni tego nie pochwalają.

- Wielka szkoda. Nie wyobrażasz sobie, jak mało mnie obchodzi aprobata lub dezaprobata mężczyzn.

- Napytasz sobie biedy - ostrzegła. - My powinniśmy jedynie gotować, sprzątać i rodzić dzieci.

- To już wiem. Chciałabym jednak wiedzieć troszeczkę więcej. Arell ściągnęła usta.

- Poważnie o tym myślisz, prawda?

- Tak.

- Mogę nauczyć cię tego, co powinnaś wiedzieć o rodzeniu dzieci, ale... - przerwała. - Potrafisz dochować tajemnicy?

- Wielu tajemnic, Arell. Wiem nieco o sprawach, o jakich się mojemu ojcu nawet nie śniło, i od lat mu nic nie zdradziłam.

- Jest tu w Rivie pewien zielarz. To zrzęda i nie pachnie zbyt miło, ale wie, jakimi ziołami leczyć pewne dolegliwości. Na drugim końcu miasta mieszka nastawiacz kości. Chirurgii też chcesz się nauczyć?

- Co to chirurgia?

- Rozcinanie ludzi, żeby naprawić im wnętrzości. Sama jestem w tym niezła, choć się tym nie chwale. Na Wyspie oprócz zielarza i nastawiacza kości jest również chirurg. Lubi mnie, bo nauczyłam go szyc.

- A co szycie ma wspólnego z rozcinaniem ludzi? Arell przewróciła oczyma i westchnęła.

- Co robisz z rozdartą tuniką?

- Oczywiście ją zaszywam.

- No właśnie. To samo robimy z ludźmi, Poi. Jeśli tego nie zrobisz, wypadną im wnętrzności.

Na myśl o tym zrobiło mi się niedobrze.

- Zaczniemy od rodzenia dzieci - zaproponowała Arell. - Jeśli to cię nie zniechęci, przejdziemy do innych specjalności.

Dowiedziałam się o bólach porodowych, odejściu wód płodowych i łożysku. Usłyszałam również, że wiąże się z tym krwawienie, ale to nie jest nic niepokojącego.

Potem Arell poznała mnie ze swymi kolegami po fachu, przedstawiając mnie jako swą uczennicę. W zielarni Argaka półki zastawione były słojami z jego skarbami. W sklepiku nie było zbyt czysto, ale Argak też nie grzeszył czystością. Pod tym względem bardzo przypominał mi wujka Beldina. Był rzeczywiście zręczliwy i cuchnący, jak powiedziała Arell, ale przyszedłam tam, by się od niego uczyć, a nie rozkoszować jego towarzystwem. Odrobina pochlebstw wystarczyła do wyciągnięcia jego tajemnic. Wiele się nauczyłam o łagodzeniu bólu i cierpienia, o tym jak leczyć za pomocą różnych liści, korzeni i suszonych jagód.

Nastawiacz kości Salheim był kowalem, potężnym, brodatym i bardzo bezpośrednim. Nie wahał się przed ponownym złamaniem ramienia, które się źle zrosło - zwykle kładł je na kowadle i uderzał w nie młotem. Salheim naprawiał wszystko, co się połamało - krzesła, ludzkie nogi i ręce, koła i narzędzia rolnicze. Zwykle nawet nie trudził się zdejmowaniem swego poprzypalanego skórzanego fartucha, gdy nastawiał kości. Jak to kowal, był niesamowicie silny. Raz widziałam, że zaparł się nogą o kowadło i jednym szarpnięciem wprowadził złamaną nogę na miejsce.

- Przywiąż tę deszczułkę, żeby go unieruchomić, Poi - powiedział do mnie, z wysiłkiem przytrzymując we właściwej pozycji nogę wrzeszczącego pacjenta.

- Sprawiasz mu ból - zaprotestowałam.

- Złamana kość wbijająca się w ciało sprawia większy ból - odparł. - Zawsze krzyczą, gdy nastawiam kość. To nieistotne. Naucz się to ignorować.

Chirurg Balten był tak naprawdę fryzjerem. Miał szczupłe, delikatne dłonie i nieco podejrzliwe spojrzenie. Rozcinanie ludzi - jeśli nie robiono tego dla zabawy - było w owych czasach nielegalne w większości alornskich społeczeństwach, więc Balten praktykował potajemnie, zwykle na kuchennym blacie swej żony. Ponieważ zaś musiał znać lokalizację

ludzkich organów w ciele, przeprowadzał sekcje niedawno zmarłych. Chyba równie często posługiwał się łopataą na miejscowym cmentarzu, co chirurgicznymi nożami w kuchni. Anatomiczne badania prowadził pospiesznie, bo musiał zwłoki odnieść do grobu przed wschodem słońca. Jako jego uczennica, często brałam udział w tych upiornych zajęciach.

Przyznaję, że nie przykładałam się zbytnio do tej części medycznych studiów. Lubię uprawianie ogródka, ale wykopywanie ciał podczas nocnych eskapad nie było zbyt przyjemne. To kolejny z mych „talentów”, ojcze. Wiedziałaś, że twoja córka jest fachowcem w plądrowaniu grobów? Gdy wpadniesz następnym razem, wykopię ci kogoś, żeby pokazać, jak to się robi.

- Lepiej ich upić przed przystąpieniem do krojenia, Pol - powiedział mi Balten pewnego wieczoru, napełniając kufel mocnym piwem dla naszego spóźnionego pacjenta.

- Po to, by nie czuł bólu? - zapytałam.

- Nie. Żeby nie rzucał się, gdy będziesz go kroić. Kiedy trzymasz nóż w ludzkich wnętrznościach, pacjent powinien leżeć nieruchomo. W przeciwnym razie można przeciąć coś, co nie powinno być przecięte. - Schwycił mnie za nadgarstek, gdy sięgałam po jeden z jego zakrzywionych noży. - Ostrożnie, Pol! Są bardzo ostre. Ostry nóż to podstawowe narzędzie dobrego chirurga. Tępym zrobisz tylko fuszerkę.

Tak wyglądało moje wprowadzenie w nauki medyczne. Alornowie są otwartymi, praktycznymi ludźmi i moi czterej nauczyciele -Arell, Argak, Salheim i Balten - nauczyli mnie pozbawionego zabobonu podejścia do leczenia. Przyjęłam dewizę brutalnego nastawiacza kości. „Jeśli jest złamane, napraw to. Jeśli nie, nie naprawiaj”. Studiowałam medyczne teksty ze wszystkich zakątków świata i dotąd nie znalazłam trafniejszej wskazówki.

To nie znaczy, że cały czas pochłaniały mi łożyska, złamane kości i wnętrzności. Spędzałam wiele godzin z siostrą, a poza tym musiałam przekonać swych byłych adoratorów, że nie mam już ochoty na te zabawy. Z Merotem Poetą łatwo było sobie poradzić. Z pewną dumą oznajmił mi, że obecnie zajęty jest pisaniem największego eposu w dziejach ludzkości.

- Chciałabyś wysłuchać kilku wersów, lady Polgaro? - zaproponował.

- Z przyjemnością - skłamałam z kamienną twarzą, odsuwając się przed jego cuchnącym oddechem. Merot cofnął się, przybrał dramatyczną pozę, kładąc brudną od atramentu rękę na piersi i zaczął recytować. Jego deklamacja była jeszcze nudniejsza i przewlekła niż za ostatnim razem. Odczekałam dłuższą chwilę, aż całkowicie pogrążył się w wytworze własnego geniuszu, a potem odwróciłam się i odeszłam, zostawiając go recytującego swoje dzieło do pustej ściany. Nie jestem pewna, czy na ścianie zrobiło

wrażenie; nigdy nie miałam okazji jej o to zapytać. Myślę jednak, że Merot przejmował się za dwoje.

Moja nowo zdobyta znajomość funkcjonowania ludzkiego ciała mogła mi uwolnić się od „mocarnego Taygona”. Z niewinną miną wypytywałam go o treść różnych organów trawiennych, które tak chętnie rozrzucał po okolicy. Na mój obrazowy opis na w pół strawionej baraniny pozieleniał na twarzy i uciekł, przyciskając dłonie do ust. Najwyraźniej łatwo znosił widok krwi, ale inne płyny z ludzkiego ciała silnie na niego działały.

Potem zawędrowałam do wesoło przystrojonej komnaty, w której bawiła się młodzież. Większość z obecnych znałam z czasów ostatniej wizyty. Tutaj młodzi łączyli się w pary, z których wiele kończyło później na ślubnym kobiercu. Na ich miejsce pojawiali się nowi, więc liczba bawiących się była mniej więcej stała.

- Ach, tu jesteś, pani - usłyszałam. Słowa te wypowiedział jasnowłosy, układny baron Kamion. Miał na sobie aksamitny śliwkowy kaftan i był jeszcze przystojniejszy niż poprzednio. - Miło cię znowu widzieć, Polgardo - powiedział z głębokim, wdzięcznym ukłonem. - Widzę, że powróciłaś na scenę swych poprzednich podbojów.

- Chyba nie, drogi baronie - odparłam z uśmiechem. - Jak ci się wiedzie?

- Byłem bardzo samotny podczas twojej nieobecności, pani.

- Czy ty nigdy nie możesz być poważny, Kamienie?

- Co zrobiłaś temu biednemu Taygonowi? - zgrabnie zmienił temat. - Nigdy nie widziałem go jeszcze w takim stanie.

- Taygon chce uchodzić za prawdziwego okrutnika, ale ma trochę wrażliwy żołądek - odparłam ze wzruszeniem ramion.

Kamion wybuchnął śmiechem. Potem na jego twarzy pojawiła się melancholijna zaduma.

- Może przeszlibyśmy się trochę, pani? - zaproponował. - Chciałbym z tobą porozmawiać o kilku sprawach.

- Oczywiście, baronie.

Opuściliśmy komnatę pod rękę i powędrowaliśmy krużgankiem biegnącym wzdłuż ogrodu, przystając co jakiś czas, by podziwiać róże.

- Nie wiem, czy słyszałaś, Polgardo - powiedział - ale jestem zaręczony.

- Moje gratulacje, Kamienie. - Przyznaję, że ta wiadomość sprawiła mi przykrość. Lubiłam Kamiona i w innych okolicznościach moje uczucia mogły stać się bardziej gorące.

- To bardzo ładna dziewczyna i darzy mnie absolutnym uwielbieniem.

- Jesteś czarującym dżentelmenem.

- To głównie poza - przyznał. - Pod tą całą ogładą nadal kryje się nietaktowny, niepewny wyrostek. Dorastanie jest trudne, zauważyłaś?

- Nie masz nawet pojęcia, jakie dla mnie okazało się trudne, Kamionie - odparłam ze śmiechem.

Westchnął i wiedziałam, że to nie było teatralne westchnięcie.

- Bardzo lubię moją przyszłą żonę, oczywiście - powiedział - ale szczerść każe mi przyznać, że jedno twoje słowo wystarczy, by zerwać zaręczyny.

- Wiesz, że go nie wypowiem, drogi Kamionie - powiedziałam, ujmując go czule za rękę. - Zbyt wiele jeszcze przede mną.

- Spodziewałem się tego - przyznał. - Zaprosiłem cię do tej pogawędki, ponieważ pragnę, byśmy byli przyjaciółmi. Zdaję sobie sprawę, że przyjaźń pomiędzy kobietą i mężczyzną jest czymś nienaturalnym - i pewnie niemoralnym - ale my nie jesteśmy chyba zwykłymi ludźmi, prawda?

-Nie.

- Obowiązek jest okrutnym panem, prawda, Polgardo? Oboje jesteśmy pochwyceni w sploty Przeznaczenia. Ty musisz służyć swemu ojcu, a mnie Riva poprosił do swej rady. Oboje jesteśmy uwikłani w sprawy wagi państwowej, choć dla każdego z nas znaczy to co innego. Chciałbym więc mieć w tobie przyjaciółkę.

- I ją masz, Kamionie. Z czasem możesz tego pożałować, ale pierwszy to zaproponowałeś.

- Nigdy nie będę tego żałował, Pol.

I wtedy go pocałowałam, a przed oczyma przemknęły mi piękne ułudy tego, co mogło się zdarzyć.

Nigdy potem o tym nie rozmawialiśmy, Kamion z zakłopotaniem mnie odprowadził, ucałował mi dłoń i odszedł.

Nie widziałam powodu, by wspominać o tym Beldaran.

To ja podsunęłam ojcu myśl, aby na ostatnie dni ciąży Beldaran zabrał Rivę, Anraka i Algara do jednej z wież Cytadeli „na naradę”. To nie był najlepszy czas, by mężczyźni kręcili się pod nogami.

Poród Beldaran był lekki - a przynajmniej tak zapewniała mnie Arell. Po raz pierwszy jednak stałam się świadkiem takiego wydarzenia, więc wydawało mi się straszliwe; w końcu Beldaran była moją siostrą. W odpowiednim czasie Beldaran urodziła. Umyłyśmy z Arell chłopczyka i zaniósłam go Rivie. Dacie wiarę, że ten „potężny król” bał się wziąć dziecko na ręce?

Mężczyźni!

Noworodek, Daran, miał osobliwe białe znamię na prawej dłoni, co wzbudziło w Rivie pewien niepokój. Ojciec jednak nam to wyjaśnił, więc wiedziałam, co ono znaczy.

Ceremonia przedstawienia spadkobiercy Rivy Klejnotowi Mistrza bardzo mną poruszyła. Dziwne uczucie owładnęło mną, gdy maleńki następca tronu, którego trzymałam w ramionach, położył dłoń na Klejnocie w geście pozdrowienia. Oboje zostaliśmy spowici osobliwą błękitną poświatą. W tajemniczy sposób Klejnot pozdrawiał mnie tak samo jak Darana i przed oczyma mignęła mi jego obca świadomość. Klejnot i jego odpowiednik, Sardion, były w samym centrum stworzenia i nim za sprawą „przypadku” zostały rozdzielone, stanowiły fizyczne naczynie Celu Wszechświata. Ja zaś byłam częścią tego Celu, a ponieważ umysł matki był połączony z moim, ona również była w to włączona.

Zostaliśmy z ojcem na Wyspie jeszcze przez miesiąc, ale potem Stary Wilk zaczął być niespokojny. Musiał załatwić pewne sprawy, a nie cierpiał, gdy mu coś wisiało nad głową. Bogowie Zachodu odeszli i teraz mieliśmy otrzymywać instrukcje za pośrednictwem prorocत्व. Ojciec pragnął więc zajrzeć do dwóch obecnych proroków - jednego w Darine, drugiego na drasniankich moczarach. Mistrz uprzedził go, że termin „Dziecko Światła” będzie kluczem, który pozwoli rozpoznać prawdziwych proroków pośród rozlicznych bełkoczących szaleńców. Ojciec niecierpliwił się, pragnął jak najszybciej usłyszeć ten osobliwy znak będący potwierdzeniem autentyczności proroków.

Pożeglowaliśmy do wybrzeża Sendarii. Anrak wysadził nas na ląd w pobliżu miejsca, w którym teraz znajduje się miasto Sendar.

Przedzieranie się przez prastary las uznałam za zdecydowanie nieprzyjemne. Gdyby nasza wyprawa do Darine miała miejsce kilka lat wcześniej, gdy jeszcze byłam brudna i potargana, może sprawiłaby mi przyjemność. Teraz tęskniłam za wanną, a w dodatku tyle tam było robactwa... Potrafię przetrwać w lesie, gdy to konieczne, ale doprawdy...!

Oczywiście znałam inny sposób na przemierzanie lasu niż przedzieranie się przez gęste zarośla, ale problem polegał na tym, jak poruszyć ten temat, nie ujawniając mego drugiego wykształcenia - i mojego źródła. Kilkakrotnie robiłam aluzje, ale do ojca nic nie docierało, więc w końcu zapytałam go wprost:

- Dlaczego muszę iść, skoro mogę lecieć?

Trochę protestował. Chyba nie chciał, abym dorosła. Rodzice czasami już tacy są. W końcu się zgodził i przez jakiś czas wyjaśniał mi procedurę zmiany postaci. Potem wyjaśnił jeszcze raz, i jeszcze raz. Robił to tak długo, że prawie chciałam krzyknąć z irytacji.

Ostatecznie przeszliśmy do rzeczy i odruchowo przybrałam znajomą mi postać śnieżnej sowy.

Nie spodziewałam się z jego strony takiej reakcji. Ojciec zwykle panował nad emocjami, ale tym razem wzięły nad nim górę. Dacie wiarę, że płakał? Zaczęłam mu nagle współczuć, bo uświadomiłam sobie, jak bardzo cierpiał myśląc, że matka umarła.

Wybrałam postać innej sowy, a ojciec zmienił się w wilka. Był imponującym wilkiem, muszę to przyznać, i prawie za mną nadażał.

Po trzech dniach dotarliśmy do Darine. Przed udaniem się do miasta wróciliśmy do ludzkich postaci i ruszyliśmy na poszukiwanie Hatturka, miejscowego przywódcy klanu. Po drodze ojciec pokrótce zapoznał mnie z historią kultu niedźwiedzia. W każdej religii co jakiś czas pojawiają się anomalie, ale herezje, na których opiera się kult niedźwiedzia, są tak absurdalne, że żaden racjonalny człowiek czegoś takiego by nie przełknął.

- Kto powiedział, że czciciele niedźwiedzia są racjonalistami? -zapytał ojciec ze wzruszeniem ramion.

- Czy na pewno Hatturk jest wyznawcą tego kultu?

- Tak uważa Algar, a ja cenię jego sądy. Szczerze mówiąc, Pol, nie obchodzi mnie, co czei Hatturk, dopóki jest posłuszny rozkazom Algara i każe skrybom spisywać wszystko, co powie ten prorok.

Brnęliśmy przez błotniste ulice w zadymionym blasku poranka. Wszystkie miasta północy wiecznie spowija całun dymu. Tysiące kominów produkują mnóstwo dymu, a ponieważ o poranku zwykle nie ma wiatru, nad miastem wisi dymna zasłona.

Dom Hatturka był pretensjonalną budowlą z bali, w której dosłownie tłoczyli się wyrośnięci, brodaci Alornowie w niedźwiedzych skórkach, uzbrojeni po zęby. Śmierdziało tam okropnie - rozlanym piwem, kloacznym dołem, niedźwiedzimi skórkami, brudnymi psami myśliwskimi i zapotniałymi pachami.

Pijany Alorn obudził swego wodza i oznajmił mu przybycie ojca. Hatturk zszedł, zataczając się po schodach. Był gruby, miał przekrwione oczy i zmierzwione włosy.

Ojciec dość szorstko powiedział mu, po co przybyliśmy do Darine. Ów „przywódca ludzi” zaproponował, iż nas zaprowadzi do domu Bormika, przypuszczalnego proroka z Darine. Hatturk nadal jeszcze nie wytrzeźwiał po zeszłej nocy. Powiedział o wiele więcej, niż gdyby był trzeźwy. Piwo też bywa użyteczne.

Najbardziej zaniepokoiła nas informacja, że postanowił nie wypełniać polecenia króla w sprawie skrybów. Bormik przekazywał nam instrukcje, a ten cuchnący kretyn samowolnie pozwolił, by nam umknęły!

Chatka Bormika znajdowała się na wschodnim skraju Darine. Mieszkał w niej ze swą dorosłą córką, Luaną, która się nim opiekowała. Luana była starą panną, pewnie dlatego że ciągle zdawała się patrzeć na czubek własnego nosa. Jednakże dbała o porządek w ojcowskiej chacie. Zauważyłam nawet kwiaty na stole.

- Polgardo - zabrzmiał głos matki w ciszy mego umysłu - ona będzie wiedziała, co powiedział jej ojciec. Ona jest kluczem do tego problemu. Nie zwracaj uwagi na to, co robią mężczyźni. Skup się na Luanie. Możesz potrzebować pieniędzy. Ukradnij ojcu sakiewkę.

Musiałam stłumić śmiech, gdy to usłyszałam.

Gdy Bormik zaczął prorokować, ojciec tak był pochłonięty przysłuchiwaniami się jego słowom, że nie zauważył, jak zwędziłam mu skórzany trzosik.

Wiem, nieładnie jest okradać ludzi, ale ojciec sam był w młodości złodziejem, więc pewnie to zrozumie. Później podeszłam do Luany, która siedziała z boku, cerując wełniane skarpety ojca.

- Masz miły dom, Luano - zagadnęłam.

- Chroni nas od niepogody - odparła obojętnie. Ubrana była w prostą szarą suknię, włosy miała zebrane w węzeł na karku. Fakt, że była zezowata, miał wpływ na całe jej życie. Nie wyszła za męża. Choć była ładna, nie starała się być atrakcyjna. Sama dopiero co przestałam być „brzydka”, więc doskonale pamiętałam, co się wówczas czuje.

rozlanym piwem, kloacznym dołem, niedźwiedzimi skórami, brudnymi psami myśliwskimi i

- Cały czas - odparła. - Niekiedy gada tak przez wiele godzin,

- Chyba się powtarza?

- Tak, dlatego to takie nudne, lady Polgardo. Słyszałam te przemowy już tyle razy, że mogłabym je sama wygłosić... choć naprawdę nie muszę.

- Nie rozumiem cię, Luano.

- Pewne słowa wprawiają go w ruch. Jeśli powiem „stół”, usłyszę jedną mowę. Jeśli powiem „okno”, usłyszę inną, którą również słyszałam więcej razy, niż mogę spamiętać.

Byliśmy więc uratowani! Mama miała rację! Luana mogła przywołać cały Kodeks Dariński za pomocą serii słów. Musiałam tylko znaleźć sposób na skłonienie jej do współpracy.

- Czy twoje oczy zawsze takie były? - zapytałam. Podejrzywałam, że mama miała wpływ na otwartość, z jaką zadałam to pytanie. Luana pobladła z gniewu.

- Nie twoja sprawa - odparła porywczo.

- Nie chciałam cię urazić. Mam pewne medyczne wykształcenie i myślę, że mogłabym ci pomóc.

Spojrzała na mnie zaskoczona - no cóż, prawdę powiedziawszy, spojrzała na swój nos, ale wiecie przecież, co miałam na myśli.

- Potrafiłabyś to zrobić? - zapytała pełnym nieskrywanej tęsknoty głosem.

- Powiedz jej, że tak - poradziła mi matka.

- Z pewnością - odparłam.

- Wszystko bym za to dała, wszystko! Lady Polgardo, ja nie potrafię nawet spojrzeć w lustro. Nie opuszczam domu, bo nie mogę znieść tych wszystkich śmiechów.

- Powiedziałaś, że potrafisz nakłonić ojca do powtórzenia wszystkich przemów?

- A czemu miałabym tego wysłuchiwać?

- Żebyś mogła spojrzeć na siebie bez wstydu, Luano. Dam ci pieniądze na wynajęcie skrybów, którzy spiszą słowa ojca. Potrafisz czytać i pisać?

- Tak. Czytanie wypełnia puste godziny, a brzydka kobieta ma ich wiele.

- Dobrze. Chcę, żebyś dla pewności czytała to, co spiszą skrybowie.

- Mogę to zrobić, lady Polgardo. Jak już powiedziałam, mogłabym pewnie wyrecytować z pamięci mowy mego ojca.

- Lepiej niech to będzie prosto z jego ust.

- Czemu bełkot tego starego szaleńca jest taki ważny, lady Polgardo?

- Twój ojciec może jest, a może nie jest szaleńcem, Luano, ale to tak naprawdę nieważne. Jego słowa pochodzą od Belara i innych bogów. One mówią memu ojcu i mnie, co mamy robić. Zezowate oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia.

- Pomożesz nam, Luano?

- Pomogę, lady Polgardo... jeśli ty naprawisz mi oczy.

- Czemu nie miałybyśmy zająć się tym od razu? - zaproponowałam.

- Tutaj? Przy ludziach?

- Nawet nie zauważą, co robimy.

- Czy to będzie bolało?

- Będzie? - zapytałam matkę.

- Nie - odpowiedziała i przekazała mi bardzo szczegółowe instrukcje.

To nie był zabieg chirurgiczny. Narzędzia Baltena nie były wystarczająco miniaturowe dla tak precyzyjnej operacji, więc zrobiłam to w „inny sposób”. Miały w tym udział mięśnie, które kierowały gałkami ocznymi Luany, i kilka innych spraw, związanych z prawidłowym

ustawieniem oczu. Najbardziej pracochłonne były drobne poprawki, które całkowicie eliminowały ślady po zezie.

- Myślę, że jest dobrze - uznałam.

Wtedy Bormik skończył mówić i zawołał mnie ojciec.

- Za chwilę, ojcie - odparłam, odpędzając go machnięciem ręki. Spojrzałam uważnie w patrzącą teraz prosto oczy Luany. - Gotowe - powiedziałam tylko.

- Mogę wziąć lustro?

- Naturalnie. Masz bardzo ładne oczy, Luano. Spełnisz teraz swoją część umowy?

- Nawet jeśli miałyby to mnie kosztować życie - odparła żarliwie. Potem sięgnęła po lustro. - Och, lady Polgardo! - wykrzyknęła z oczyma pełnymi łez radości. - Dziękuję!

- Cieszę się, że ci się podoba, moja droga - powiedziałam, po czym wstałam. - Będę zaglądać do ciebie od czasu do czasu. Bądź zdrowa. - Potem wyszłam za ojcem z chaty.

- Chyba zamienię tego Hatturka w ropuchę - mruknął ojciec.

- Po co? - zapytałam, po czym zmarszczyłam brwi w zamyśleniu. - Naprawdę to potrafimy?

- Nie jestem pewny. Może już czas to sprawdzić, a Hatturk jest doskonałym obiektem. Straciliśmy ponad połowę proroctwa z powodu głupoty tego człowieka.

- Uspokój się, ojcie - powiedziałam. - Niczego nie straciliśmy. Luana się tym zajmie. Wszystko załatwiłam.

- Co zrobiłaś, Pol?

- Naprawiłam jej wzrok. Odwdzięczy mi się za to, najmując skrybów do spisania całego proroctwa.

- Ale część z niego już nam umknęła.

- Spokojnie, ojcie. Luana wie, jak nakłonić Bormika do powtórzenia tego, co już mówił. Będziemy mieli całe proroctwo - przerwałam na chwilę. - Drugie jest w Drasni, prawda?

Wytrzeszczył na mnie oczy.

- Zamknij usta, ojcie. Wyglądasz jak głupek. Ruszamy zatem do tej Drasni czy nie?

- Tak - odparł poirytowanym tonem - ruszamy do Drasni. Uśmiechnęłam się do niego słodko, czym zawsze doprowadzałam go do szału.

- Wynajmiesz łódź? - zapytałam. - Czy raczej polecisz? To, co wówczas powiedział, nie nadaje się do powtórzenia.

Zatoka Chereku to w zasadzie alornskie jezioro. Tylko Alornowie byli na tyle odważni - albo wystarczająco głupi - by przeprować się przez wyjący wir, jakim był Przesmyk Chereku,

jedyna droga do zatoki. W zamierzonych czasach owa izolacja zatoki spełniła swoje zadanie. Alornowie mieli miejsce do zabawy i nie psocili w pozostałych królestwach Zachodu.

Port Kotu u ujścia rzeki Mrin był, jak wszystkie alornskie miasta w owym czasie, zbudowany głównie z bali. Ojciec nie lubił takich miast, gdyż często wybuchały w nich pożary. Ja natomiast miałam zastrzeżenia głównie natury estetycznej. Dom z bali jest brzydki. Odstępy między balami uszczelnia się wysuszonym błotem. Kotu zbudowano na wyspie, więc nie mogło się zbytnio rozrosnąć. Ulice były wąskie, błotniste i kręte. Górne piętra stłoczonych domów sterczały wysunięte niczym krzaczaste brwi. Port, jak każdy port na świecie, cuchnął niczym otwarty dół kloaczny.

Okręt, który przywiózł nas z Darine do Kotu, był chereckim okrętem handlowym, co znaczyło tyle, że ciężka broń nie była otwarcie wystawiana na pokład. Dotarliśmy do Kotu późnym popołudniem pochmurnego dnia. Król Drasni na nas czekał w otoczeniu barwnego tłumu młodych Drasnian, którzy z pewnością nie odbyli podróży z Boktoru dla przyjemności podziwiania mokradeł. Kilku z nich rozpoznałam - byli na ślubie Beldaran i najwyraźniej opowiedzieli o mnie Przyjaciołom.

Przenocowaliśmy w hałaśliwym alornskim zajeździe, w którym cuchnęło rozlanym piwem. Późnym rankiem następnego dnia ruszyliśmy w górę rzeki, do wioski Braca, w której trzymano darińskiego Proroka.

Większość dnia spędziłam na pokładzie, zwracając w głowach młodym Drasnianom. W końcu specjalnie dla mnie wyprawili się w tę podróż, więc uznałam, że jestem im to winna. Nie traktowałam tego zbyt poważnie, ale dziewczęta powinny ćwiczyć, by nie wyjść z wprawy. Złamałam kilka serc - z uprzejmości. Bardzo mnie zainteresowało ukradkowe gestykulowanie palcami młodych panów. Byłam pewna, że to nie jest zwykły tik. Ostrożnie zbadałam ich myśli. To rzeczywiście nie była gimnastyka palców, ale bardzo wyrafinowany język migowy. Ruchy palców były tak szybkie i subtelne, że nie chciało mi się wierzyć, iż ten sposób porozumiewania wynalazł jakiś grubopalczasty Alorn.

- Drasie, dlaczego twoi ludzie cały czas gestykują do siebie palcami? - zapytałam tego wieczoru. Oczywiście wiedziałam już dlaczego, ale to był sposób na zagajenie rozmowy.

- Och, to tylko tajemny język - odparł. - Kupcy go wynaleźli, żeby porozumiewać się, gdy kogoś oszukują.

- Nie masz najlepszego zdania o kupcach, Drasie - zauważył ojciec.

- Nie lubię krętaczy - odrzekł ze wzruszeniem ramion.

- Dopóki nie zapłacą podatków? - zapytałam.

- To zupełnie inna sprawa, Poi.

- Oczywiście, Drasie. Oczywiście. Czy jest wśród twoich ludzi ktoś szczególnie biegły w tym języku? Dras zastanowił się chwilę.

- Słyszałem, że najbardziej biegły jest Khadon. Chyba spotkałaś go na ślubie siostry.

- Taki niski? Niewiele wyższy ode mnie? Jasne, kręcone włosy i nerwowy tik W lewej powiece?

- To on.

- Poszukani go jutro. Chciałabym się zapoznać z tym tajemnym językiem.

- Po co, Pol? - zapytał ojciec.

- Jestem ciekawa, ojczu. Poza tym miałam zdobywać wykształcenie, więc może powinnam nauczyć się czegoś nowego?

Następnego ranka wczesnie wstałam i wyszłam na pokład, by poszukać Khadona- Stał w pobliżu dziobu i z niesmakiem spoglądał na mokradła. Przybrałam szczególnie czarujący wyraz twarzy i podeszłam do niego.

- O, tu jesteś, lordzie Khadonie - powiedziałam. - Wszędzie cię szukałam.

- Jestem zaszczycony - odparł, skłaniając się z wdziękiem. - Czy mógłbym coś dla ciebie zrobić?

- Owszem. Król Dras powiedział mi, że jesteś szczególnie biegły w posługiwaniu się tajemnym językiem.

- Król mi schlebia, lady Polgaro - powiedział skromnie.

- Sądzisz, że potrafiłbyś mnie go nauczyć?

- Taka nauka wymaga sporo czasu.

- A masz dziś co innego do roboty? - zapytałam niewinnie.

- Nic a nic, lady Polgaro - odparł ze śmiechem. - Z radością cię pouczę.

- A zatem zaczynamy.

- Oczywiście. Wolę patrzeć na ciebie niż na to przekłete bagno. - Wskazał ponure mokradła. Nigdy chyba jeszcze nie spotkałam Drasnianina, który by lubił mokradła.

Usiedliśmy z Khadonem na ławce ustawionej na dziobie tego szerokiego rzeczno- statku i zaczęliśmy. Poruszył lekko palcami prawej dłoni.

- To znaczy „dzień dobry” - powiedział.

Wkrótce na pokład wyszli inni młodzieńcy. Spostrzegłam, że niektórzy rzucali niechętnie spojrzenia Khadonowi, ale się tym specjalnie nie przejęłam. Jestem pewna, że mój nauczyciel również się nimi nie przejmował.

Khadon był nieco zaskoczony tym, jak szybko uczyłam się języka migowego. Nie sądzę jednak, aby zdawał sobie sprawę, ile rzeczywiście nauczyłam się w ciągu tych kilku dni.

Khadon miał w głowie cały słownik tajemnego języka, a matka nauczyła mnie, jak delikatnie wydobywać z ludzkich umysłów tego typu wiadomości.

Wioska Braca znajdowała się mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Kotu i Boktorem. Wzniesiono ją na błotnistym południowym brzegu leniwie tu płynącej rzeki Mrin. Składała się z kilkunastu chat skleconych z przyniesionego przez wodę drewna. Większość z nich była na palach, ponieważ Mrin wylewała każdej wiosny. W pobliżu wody porozwieszano rybackie sieci, a zabłocone łodzie stały przycumowane do koślawych pomostów, również zbudowanych z przyniesionego przez rzekę drewna. W pewnym oddaleniu od brzegu rzeki stała byle jak zbudowana świątynia Belara. Dras zapewnił nas, że w niej Jest trzymany prorok mriński. Rzeka Mrin była błotniście brunatna, bezkresne morze traw i trzciny, które znaczyły bagniska, ciągnęło się od horyzontu po horyzont. Odór gnijących ryb wisiał nad wioską niczym kłątwa, chmury komarów zaś były czasami tak gęste, że niemal przesłaniały słońce.

Dras z miejscowym kapłanem Belara poprowadzili mojego ojca rozklekotanym pomostem, do którego przycumowano naszą łódź, a potem błotnistym, wyboistym traktem do świątyni.

- To wioskowy idiota - powiedział kapłan ze smutkiem. - Wkrótce po jego narodzinach rodzice utonęli w powodzi i nikt nie wie, jak mu na imię. Ponieważ jestem kapłanem, przynieśli go do mnie. Zadbalem, żeby miał co jeść, ale niewiele więcej mogę dla niego zrobić.

- Idiota? - zapytał ostro ojciec. - Myślałem, że to szaleniec.

- Nie, prastary Belgaracie - westchnął kapłan, dobrotliwy staruszek. - Szaleństwo jest zaburzeniem normalnego ludzkiego umysłu. Ten biedak nie ma umysłu. Nie potrafi nawet mówić.

- Jak to?! - oburzył się ojciec.

- Nigdy nie wydał z siebie zrozumiałego dźwięku, prastary. A kilka lat temu zaszła w nim zmiana. Zaczął nagle mówić. Właściwie przypomina to recytację. Za każdym razem wyławiam zwroty z Księgi Alornów. Król Dras kazał nam zwracać uwagę na różnych szaleńców, ponieważ mogą powiedzieć coś użytecznego dla ciebie. Gdy nasz miejscowy idiota zaczął mówić, uznałem, że to może być coś istotnego.

- Kiedy dotarły do mnie wieści od wielebnego, przybyłem tu i sam się temu przyjrzałem - przejął opowieść Dras. - Posłuchałem tego biednego bydlęcia, a potem nająłem skrybów, aby przybyli tutaj i go obserwowali, tak jak poinstruowałeś nas tamtego dnia na brzegu rzeki Aldura, gdy podzieliłeś ojcowskie królestwo. Jeśli okaże się, że to nie jest prawdziwy prorok,

odeślę skrybów z powrotem do Boktoru. Mój tegoroczny budżet jest skromny, więc ograniczam wydatki.

- Pozwól mi najpierw go wysłuchać, nim ich odeślesz, Drasie -powiedział ojciec. - Jego wielebność ma rację. Idiota, który nagle zaczyna mówić, jest niecodziennym zjawiskiem.

Poszliśmy za byle jak skleconą niedużą świątynię i po raz pierwszy zobaczyłam to zwierzę.

Był brudny. Zdawał się czerpać przyjemność z tarzania w błocie, podobnie jak świnia, i pewnie z tej samej przyczyny. Moskity nie potrafią ukąsić przez grubą warstwę błota. W zasadzie nie miał czoła, ponieważ linia włosów niemal zlewała się z krzaczastymi brwiami. Jego głowa była osobliwie zdeformowana, ukośnie ścięta z tyłu. W głęboko osadzonych oczach nie było nawet iskierki ludzkiej inteligencji. Ślinił się, jęczał i rytmicznie szarpał łańcuchem, który nie pozwalał mu uciec na mokradła.

Ogarnęło mnie współczucie. Nawet śmierć byłaby lepsza od tego co znosiło to biedne stworzenie.

- Nie, Poi - powiedział mi głos matki. - Życie jest cenne nawet dla kogoś takiego jak on. Podobnie jak ty, ja i wszyscy inni, on również ma do wypełnienia zadanie.

Ojciec rozmawiał chwilę ze skrybami i przeczytał kilka stron tego, co spisali. Potem wróciliśmy na statek, a ja poszłam poszukać Khadona.

Około południa następnego dnia przyszedł nad rzekę jeden ze skrybów i powiadomił nas, że prorok znowu mówi. Nasza gromadka ruszyła więc znowu do prymitywnej świątyni, by wysłuchać słów boga.

Zaskoczyła mnie zmiana, jaka zaszła w tym człekokształtnym stworzeniu, skulonym w błocie obok swej budy. Na jego zwierzęcym obliczu malowało się uniesienie, a słowa płynące z jego ust - słów tych nie potrafił zrozumieć - były wymawiane wyraźnym, głębokim głosem, w którym zdawało się pobrzmiwać echo.

Po jakimś czasie przerwał i ponownie zaczął jęczeć i szarpać rytmicznie łańcuch.

- Wystarczy - powiedział ojciec. - Jest prawdziwy.

- Jak możesz to tak szybko stwierdzić? - zapytał Dras.

- Mówił o Dziecku Światła. Bornik robił to samo. Spędziłem jakiś czas z Koniecznością, która kieruje tymi prorokami i używa ich dla przekazania nam wskazówek. Określenie „Dziecko Światła” jest mi bardzo dobrze znane. Przekaż to swemu ojcu i braciom. Jeśli jakiś szaleniec zacznie mówić o Dziecku Światła, trzeba posadzić przy nim skrybów. - Spojrzał na ponure mokradła. - Niech twoi skrybowie sporządzą dla mnie kopię wszystkiego, co do tej pory powiedział i przyslij mi to do Doliny.

Po powrocie na statek Drasa ojciec postanowił, że zamiast wracać do Darine, ruszymy na południe przez mokradła. Energicznie protestowałam, ale na niewiele to się zdało. Dras znalazł nam usłużnego rybaka i popłynęliśmy z nim na południe przez te cuchnące, pełne robactwa bagniska.

Nie trzeba dodawać, że podróż nie sprawiła mi przyjemności.

Dotarliśmy na południowy kraniec mokradeł trochę na zachód od miejsca, w którym dziś znajduje się Bród Aldura. Z radością stanęliśmy ponownie na twardym gruncie. Usłużny rybak odpłynął, a na obliczu ojca pojawił się wyraz rosnącego zakłopotania.

- Myślę, że czas już na ważną rozmowę, Pol - powiedział, unikając starannie moich oczu.

- O czym?

- Dorastas i powinnaś wiedzieć o pewnych sprawach.

Wiedziałałam, do czego zmierzał. Powiedziałabym mu, że już to wszystko wiem, ale on ciągnął mnie przez te bagniska, więc nie czułam w sobie miłosierdzia. Zrobiłam znudzoną minę i pozwoliłam, by brnął dalej przez zawołany opis procesu rozmnażania się człowieka. Robił się coraz bardziej czerwony, aż w końcu nagle przerwał.

- Ty już o wszystkim wiesz, prawda? - zapytał z wyrzutem.

Zatrzepotałam niewinnie rzęsami. Przez resztę podróży Algarią do Doliny wciąż miał markotny wyraz twarzy.

Wujek Beldin wrócił z Mallorei, gdy my dotarliśmy do domu. Opowiedział nam, że po drugiej stronie Morza Wschodu panuje absolutny chaos.

- Dlaczego, wujku? - zapytałam.

- Ponieważ nikt tam nie dowodzi. Angarakowie są bardzo karni, ale gdy nie ma kto dowodzić, idą w rozsypkę. Torak nadal przeżywa religijne uniesienia w Ashabie, a Zedar nie odstępował go na krok, zapisując każde słowo. Ctuchik jest w Cthol Murgos. Urvon boi się wytknąć nosa z Mai Yaska, ponieważ myśli, że czają się gdzieś w pobliżu, wypatrując okazji do wyprucia z niego flaków.

- A co z generałami w Mal Zeth? - zapytał ojciec. - Myślałem, że skorzystają z okazji, by przejąć władzę.

- Nic nie zrobią, dopóki Torak tam będzie. Starłby z powierzchni ziemi Mal Zeth ze wszystkimi w środku, gdyby po wyjściu z transu odkrył, że generałowie sprzeniewierzyli się rozkazom. Torak nigdy nie pochwali czyjejś inicjatywy.

- A zatem powinniśmy się martwić tylko o Zedara - zadumał się ojciec.

- I to pewnie wystarczy - powiedział Beldin. - Przy okazji, on się przemieszcza.

Mój ojciec kiwnął głową.

- Słyszałem o tym. Powinien być teraz w Rak Cthol.

- Przelatywałem tamtędy w drodze do domu. Urocze miejsce. Powinno w zupełności zaspokoić umiłowanie ohydy u Ctuchika. Pamiętasz to wielkie jezioro, które było kiedyś na zachód od Karnath?

- Chyba tak.

- Całe wyschło, gdy Spalona Gęba rozłupał świat. Teraz jest tam pustynia z czarnego piasku. Rak Cthol zbudowano pośrodku niej, na szczycie góry.

- Dzięki - powiedział ojciec. - Za co?

- Chciałem uciąć sobie pogawędkę z Ctuchikiem. Teraz wiem, gdzie go szukać.

- Zabijesz go? - zapytał z ożywieniem wujek.

- Wątpię. Nie sądzę, aby ktokolwiek - z naszej czy ich strony powinien podejmować ostateczne działania, dopóki wszystkie proroctwa nie będą kompletne. O tym właśnie chciałem porozmawiać z Ctuchikiem. Żeby nie było więcej „wypadków”, takich jak ten, który podzielił wszechświat.

- Chyba się z tobą zgodzę.

- Miej oko na Polgardę.

- Oczywiście.

- Niepotrzebny mi opiekun, ojczy - powiedziałam opryskliwie.

- Mylisz się, Pol. Lubisz eksperymentować, a na pewne obszary nie powinnaś wkraczać. Ustąp mi tym razem. Dość będę miał na głowie. Wybieram się do Rak Cthol i wolałbym nie martwić się o ciebie.

Po odejściu ojca życie w Dolinie toczyło się w rodzinnej atmosferze. Gotowałam na zmianę z bliźniakami, a Beldin spędzał czas na przekopywaniu się przez swój obszerny księgozbiór. Nadal w ciągu dnia odwiedzałam Drzewo, i matkę, ale wieczory były czasem rozmów. Po zachodzie słońca Beldin, bliźniaki i ja zbieraliśmy się w którejś z wież na kolację i pogawędkę.

Pewnego pogodnego wieczoru siedzieliśmy w wieży Beldina. Przyglądałam się przez okno gwiazdom.

- Skąd to całe zainteresowanie leczeniem, Pol? - zapytał mnie Beldin.

- Pewnie z powodu ciąży Beldaran - odpowiedziałam. - W końcu jest moją siostrą. Chciałam wszystko o tym wiedzieć, więc udałam się do zakładu Arell po informacje z pierwszej ręki.

- Kto to jest Arell? - zapytał Belkira.

- Akuszerka Beldaran - odparłam, odwracając się od gwiazd.

- Ma zakład jako akuszerka?

- Nie. Jest także krawcową. Poznałyśmy ją w trakcie przygotowań do ślubu Beldaran. Arell to bardzo trzeźwo myśląca osoba. Wyjaśniła mi wszystko.

- Co cię do tego skłoniło? - zainteresował się Beldin.

- Wy, panowie, wyrobiliście we mnie fałszywy obraz świata - odparłam z uśmiechem. - Poznawanie czegoś z jednej strony nigdy nie jest wystarczające, więc postanowiłam zgłębiać temat aż do jego wyczerpania. Arell powiedziała mi, że pewne zioła uśmierają bóle porodowe, a to zaprowadziło mnie do ziołarza Argaka. Całe życie badał działanie różnych ziół. Miał nawet pokaźną kolekcję nyissańskich trucizn. Z Argakiem trudno nawiązać kontakt, ale pochlebstwami wkupiłam się w jego łaski i teraz pewnie poradziłabym sobie z większością zwyczajnych dolegliwości. Zioła zapewne są istotnym elementem sztuki lekarskiej, lecz pewnych chorób nie można uleczyć samymi ziołami. Arell i Argak zaprowadzili mnie do kowala Salheima, który nauczył mnie, jak składać złamane kości. Od niego udałam się do golarza o imieniu Balten, by nauczyć się chirurgii.

- Do golarza? - zapytał z niedowierzaniem Belkira.

- Do operacji potrzebne są ostre narzędzia, wujku - odparłam, wzruszając ramionami - a golarz zawsze dba, by jego brzytwy były ostre. - Uśmiechnęłam się lekko. - Może nawet sama wniosłam pewien wkład w rozwój chirurgii. Balten zwykle przed rozpoczęciem operacji upijał swych pacjentów do nieprzytomności, ale ja porozmawiałam o tym z Argakiem i on sporządził z ziół mieszankę usypiającą. To szybszy i bardziej pewny sposób od kilku galonów piwa. W czasie nauki chirurgii nie przepadałam jedynie za rozkopywaniem grobów.

- Rozkopywanie grobów?! - wykrzyknął poruszony Beltira.

- To wchodzi w skład nauki anatomii, wujku. Trzeba wiedzieć, gdzie jakie organy się znajdują, nim się kogoś rozkroi, więc chirurdzy wykopują ciała zmarłych, by je badać i pogłębiać swą wiedzę.

Wujek Beldin powiódł wzrokiem po przepelnionych półkach z książkami, które zajmowały prawie każdą wolną ścianę w jego wieży.

- Zdaje mi się, Pol, że mam tu gdzieś melceński tekst o anatomii - powiedział. - Spróbuję go dla ciebie odnaleźć.

- Byłbyś tak miły, wujku? Zdecydowanie wolałabym zdobywać te informacje z książki, niż wycinać je z trupa.

Zakrztusili się nieco, słysząc te słowa.

Wujków interesowało oczywiście, co wydarzyło się na Wyspie Wiatrów, ponieważ wszystkim nam Beldaran była bardzo bliska, ale dwaj prorocy rozpalili ich ciekawość do białości. Wkroczyliśmy w czas, który Wyrocznia z Kell nazywa „wiekiem Prooctwa”. Mistrz zapewnił mego ojca, że dwie Konieczności przemówią do nas ustami szaleńców. Oczywiście cały problem polegał na zdecydowaniu, którego szaleńca słuchać.

- Ojcu wydaje się, że znalazł rozwiązanie tego problemu - posiedziałam im pewnego wieczoru, gdy zebraliśmy się w wieży bliźniaków - Uważa, że Konieczności wkładają w usta prawdziwych proroków słowa „Dziecko Światła”. Wszyscy wiemy, co znaczy to określenie, w przeciwieństwie do zwykłych ludzi. W każdym razie Bormik i idiota z Braca używali tego określenia.

- To proste rozwiązanie - zauważył Belkira.

- Ekonomiczne też - dodałam. - Dras nie był zbyt szczęśliwy z powodu kosztów ponoszonych na opłacenie skrybów, czuwających przy każdym szaleńcu w królestwie.

Pewnego razu matka wyjaśniła mi znaczenie srebrnego amuletu, który ojciec dla mnie zrobił.

- To sposób na skupienie twojej mocy, Pol - powiedziała. - Gdy formujesz pomysł tego, co chcesz zrobić, a nie jesteś pewna, czy potrafisz, prześlij tę myśl przez amulet. To wzmocni twą wolę.

- Czemu więc Beldaran ma taki amulet? Kocham ją, ale ona chyba nie jest obdarzona „talentem”.

- Och, Polgardo! - roześmiała się matka. - Pod pewnymi względami Beldaran jest nawet bardziej utalentowana od ciebie.

- O czym ty mówisz, mamó? Nigdy nie widziałam, aby ona cokolwiek robiła.

- Wiem. I pewnie nigdy nie zobaczysz. Zawsze jednak robisz to, co ona ci powie, prawda?

- No cóż... - Przerwałam, gdy dotarło do mnie znaczenie tych słów. Słodka, delikatna Beldaran dominowała nade mną, jeszcze nim przyszłyśmy na świat. - To niesprawiedliwe, mamó! - zaprotestowałam.

- Co jest niesprawiedliwe?

- Najpierw była ładniejsza ode mnie, a teraz ty mi mówisz, że ma również większą moc. Nie mogę być w czymś lepsza od niej?

- To nie zawody, Polgaro. Każdy z nas jest inny, to wszystko. Każdy z nas ma inne zadania do wykonania. To nie gonitwa, więc nie ma nagród.

W tym momencie poczułam się trochę głupio.

Potem matka wyjaśniła mi, że moc Beldaran była bierna.

- Ona sprawia, że wszyscy ją kochają, Poi, a nie ma nad to większej potęgi. Pod pewnymi względami ona jest jak to Drzewo. Zmienia ludzi samą swą obecnością. Potrafi również słuchać amuletem.

- Słuchać?

- Słuchać, co ludzie mówią, nawet gdy są oddaleni o wiele mil. Przyjdzie czas, gdy to będzie bardzo użyteczne.

Ce'Nedra odkryła to jakiś czas potem.

Była prawie jesień, gdy ojciec wrócił do Doliny. Tupał na schodach, aż echo szło. Przygotowywałam właśnie kolację i rozmawiałam z wujkiem Beldinem. Zdrowy rozsądek nakazuje głośno wchodzić do pomieszczenia, w którym znajduje się osoba obdarzona „talentem”. Lepiej nie przestraszyć kogoś, kto ma do dyspozycji niezwykle zdolności.

- Co cię zatrzymało? - zapytał wujek Beldin.

- Rak Cthol jest daleko, Beldinie. - Ojciec rozejrzał się. - Gdzie bliźniaki?

- Są teraz zajęci, ojczu - powiedziałam. - Przyjdą później.

- Jak poszło w Rak Cthol? - zapytał Beldin.

- Nieźle.

Potem przeszli do szczegółów.

Mój sąd o ojcu wyrobiłam sobie na podstawie mniej zachwycającej strony jego natury. Bez względu na wszystko w głębi duszy nadal był Garathem - leniwym, podstępny i bardzo niesolidnym. Jednak gdy sytuacja tego wymagała, Stary Wilk potrafił z Garatha stać się Belgarathem. Najwyraźniej Ctuchik znał go właśnie z tej strony. Ojciec nie powiedział tego wprost, ale Ctuchik bał się go, a to wystarczało, bym przemyślała swoją opinię o człowieku, który mnie spłodził.

- Co teraz, Belgaracie? - zapytał wujek Beldin, gdy ojciec skończył.

Ojciec zadumał się na chwilę.

- Wezwijmy bliźniaków. Gonimy bez instrukcji, a czułbym się o wiele pewniej, gdybym przynajmniej wiedział, że gonimy w dobrym kierunku. To, że w naszej grze może maczać palce trzecie Przeznaczenie, nie było zwykłym straszaniem Ctuchika. Jeśli Torakowi uda się zmienić wszystkie kopie Prooctwa Ashabińskiego, to znowu będziemy zawieszani w próżni. Dwie możliwości już wystarczą. Naprawdę wolę nie stanąć w obliczu trzeciej.

Wezwaliśmy też bliźniaków i zaprosiliśmy mistrza. To że ja też otrzymałam zaproszenie aby przyjść było dla nich jeszcze większym zaskoczeniem niż dla mnie. Byli bardzo mądrzy, ale byli mężczyznami. Myśl, że ja również jestem uczniem Mistrza, budziła w

nich niepewność. Większość mężczyzn nie potrafi zaakceptować faktu, że kobiety posiadają duszę, nie mówiąc już o rozumie.

Mistrz uspokoił ojca, zapewniając go, że Torak nie może zmienić Proroctwa Ashabińskiego i skierować Zedara, Ctuchika i Urvona na niewłaściwą ścieżkę. Bez względu na to, jak bardzo Torakowi nie podobała się ta wizja, nie będzie mógł w znaczący sposób jej zmienić. Zedar był z nim w Ashabie i można powiedzieć, że do pewnego stopnia Zedar nadal pracował dla nas, dbając o zachowanie integralności proroctw. A gdyby i Zedar zawiódł, to na pewno nie zawiodą Dallowie.

Potem Mistrz nas opuścił. Pozostawił po sobie uczucie ogromnej pustki.

Przez kilka następnych lat życie w Dolinie toczyło się spokojnie. Nasze osobliwe bractwo zawsze lubiło te spokojne okresy w historii. Mieliśmy okazję do studiowania, a w końcu pogłębianie wiedzy było naszym głównym zajęciem.

Była chyba wiosna roku 2025 - według alornskiego kalendarza - gdy Algar przyniósł nam kopie kompletnych wyroczni. Ojciec chciwie pochwyił zwoje i pewnie zaraz zaszyłyby się z nimi na osobności, gdyby Algar mimochodem nie wspomniał o zbliżającym się spotkaniu Rady Alornów. Tak długo wierciłam dziurę brzuchu memu wiekowemu rodzicielowi, że w końcu przyznał, iż należy złożyć wizytę na Wyspie Wiatrów.

Algar towarzyszył ojcu, Beldinowi i mnie do Rivy na zebranie rady. Prawdę powiedziawszy jednak, to nie sprawy wagi państwowej nas zaprzętały. Owe „narady głów państw” były w owych czasach jedynie wymówką dla spotkań rodzinnych. Wszystkie sprawy natury oficjalnej mogliśmy przecież załatwić kilkoma listami. Ja chciałam po prostu spędzić trochę czasu z siostrą. Ojciec zaś dał się przekonać, gdy zasugerowałam, że powinien poznać wnuka.

Połąknął przynętę. Daran miał około siedmiu lat, a ojciec czuł szczególny sentyment do chłopców w tym wieku. Myślę, że w grę wchodziło jeszcze coś więcej. Zauważyłam, że mężczyźni mają słabość do wnuków i mój ojciec nie był w tym względzie wyjątkiem. Natychmiast przypadli sobie z Daranem do gustu. A choć wiosną pogoda na wyspie jest paskudna, postanowili się wyprawić na ryby. Co takiego jest w wędkowaniu? Czy wszyscy mężczyźni tracą zdolność racjonalnego myślenia na dźwięk słowa „ryba”?

W liście, który nam ojciec zostawił, wspominał coś o celu, ekwipunku i zapasach. Biedna Beldaran zamartwiała się na śmierć pomysłem ojca, ale nic nie mogła poradzić. Ojciec potrafił wymknąć się nawet najbardziej zawziętym poszukiwaczom. Mnie bardziej martwiło co innego. Moja siostra była bardzo blada i miała podkrążone oczy. Często kaszlała i czasami bywała apatyczna. Wiele czasu spędziłam z Arell i zielarzem, który przygotował dla swej

królowej kilka lekarstw. Zaobserwowałam po nich nieznaczną poprawę, ale nadal bardzo mnie niepokoił jej stan zdrowia. Nieuchronnie coraz bardziej oddalałyśmy się od siebie. W dzieciństwie byłyśmy tak sobie bliskie, stanowiłyśmy niemal jedną osobę. Po ślubie nasze drogi się rozeszły. Beldaran całkowicie pochłonęło życie rodzinne, mnie - moje studia. Gdybyśmy mieszkaly bliżej siebie, nasza separacja może nie byłaby tak jawna i bolesna, ale dzielił nas szmat ziemi i morze, więc nie miałyśmy wielu okazji do bezpośrednich kontaktów.

To dla mnie bardzo bolesne wspomnienia, więc myślę, że nie będę się dalej w nie zagłębiać.

Po miesiącu ojciec, Beldin i ja wróciliśmy do Doliny i czekającego Kodeksu Darińskiego.

Było późne lato, gdy wróciliśmy do domu z Wyspy Wiatrów. Miło jest odwiedzić tych, których się kocha, ale zawsze dobrze wrócić do Doliny. Takiego spokoju jak tam nie znajdziemy nigdzie indziej. Dolina Aldura jest jedynie przedłużeniem koniuszka Algarii, ale gdybyście tu przybyli, natychmiast spostrzeżlibyście różnicę. U nas trawa jest bardziej zielona, a niebo bardziej błękitne. Łagodnie pofałdowane łąki znaczą ciemne plamki sosen oraz zagajniki brzoź i osik o białawych pniach. Szczyty gór Ulgolandu, ciągnących się od zachodu, wieńczą wieczne śniegi, które rankami zawsze zabarwiają się na błękitno. Potężne szczyty Mishtak ac Thull, które rozdzierają niebo za Wschodnim Szańcem, sinieją w oddali. Wieża mego ojca i wieże wujków to solidne budowle. Wznosili je bez pośpiechu. Mieli pod dostatkiem czasu, by tak dopasować kamienie, że wieże bardziej przypominały naturalne wypiętrzenia skał niż dzieło ludzkich rąk. Wszystko tutaj jest doskonale, bez wad. Nie ma nawet śladu brzydoty.

Jelenie są tu tak oswojone, że aż czasami się naprzykrzają. Pod nogami zawsze kręcą się zające o puchatych białych ogonkach. Pewnie dlatego że bliźniaki zawsze je karmią. Ja karmię ptaki, ale to całkiem inna sprawa.

Dolina leży w miejscu spotkania dwóch łańcuchów górskich, dlatego zawsze wieje w niej delikatny wietrzyk. Za sprawą jego podmuchów trawy falują niczym morze.

Po powrocie do domu ojciec chciał natychmiast zaszyć się w kącie z Kodeksem Darińskim. Wujkowie nie mieli jednak zamiaru mu na to pozwolić.

- Do licha, Belgaracie - powiedział pewnego wieczoru Beltira z nietypowym dla siebie uniesieniem, gdy słońce rozpałiło ogień na niebie nad Ulgo. - Nie tylko ciebie to interesuje. Każdy z nas chce mieć kopię.

Ojciec zmarkotniał.

- Możecie przeczytać, jak skończę. Teraz nie mam czasu na zabawy z piórem i atramentem.

- Samolub z ciebie, Belgaracie - warknął wujek Beldin, drapiąc się po zmierzwionej brodzie. Rozsiadł się wygodniej w fotelu przy ogniu. -To zawsze było twoją największą wadą. Tym razem ci się nie uda. Nie zaznasz spokoju, dopóki wszyscy nie będziemy mieć swoich kopii.

Ojciec burknął coś do niego.

- Trzymasz jedyną kopię, Belgaracie - zauważył Belkira. - Jeśli coś się z nią stanie, zdobycie następnego egzemplarza może potrwać całe miesiące.

- Będę bardzo ostrożny.

- Ty po prostu chcesz go zatrzymać dla siebie - oskarżył go Beltira. - Od lat wykorzystujesz swoją pozycję pierwszego ucznia.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Och, doprawdy?

- To śmieszne! - wybuchnął Beldin. - Daj mi to, Belgaracie.

- Ale...

- Daj, bo odbiorę siłą. Jestem od ciebie silniejszy i mogę ci go zabrać, jeśli będę musiał. Ojciec z niechęcią podał mu zwój.

- Nie zgub miejsca, w którym skończyłem - poprosił tylko. Beldin spojrzął na bliźniaków.

- Ile kopii nam potrzeba?

- Po jednej dla każdego - odparł Beltira. - Gdzie trzymasz atrament, Belgaracie?

- Nie będzie nam potrzebny - rzekł Beldin. Rozejrzał się i wskazał jeden ze stołów do pracy ojca, obok miejsca, gdzie przygotowywała kolację. - Sprzątnijcie tu - polecił.

- Ja nad tym pracuję - zaprotestował ojciec.

- Jak widzę, niezbyt ciężko. Na wszystkim aż grubo kurzu i pajęczyn.

Bliźniaki już sprząтали ze stołu ojca książki, notatki i misterne modele jakiś tajemniczych urządzeń mechanicznych.

Ojciec potem sobie przypisał zasługę tego, co Beldin zrobił owego pogodnego wieczoru. Potrafi przywłaszczać sobie cudze pomysły szybko jak cudzą własność. Ja jednak doskonale pamiętam tamto wydarzenie. Beldin położył na stole gruby zwój, który Luana dla nas przygotowała, i zdjął przytrzymującą go gumę.

- Będzie mi potrzebne światło - oznajmił.

Beltira wyciągnął rękę dłonią ku górze. Przez chwilę się koncentrował. Potem pojawiła się jaskrawa kula czystej energii i zawisła nad stołem niczym miniaturowe słońce.

- Popisuje się - mruknął ojciec.

- Cicho bądź! - skarcił go Beldin. Potem zmarszczył twarz w zamyśleniu. Poczuliśmy i usłyszeliśmy, gdy uwalniał swą Wolę.

Sześć pustych zwojów pojawiło się na stole, po trzy z każdej strony oryginalnego Kodeksu Darińskiego. Potem mój wujek zaczął rozwijać kodeks z oczyma utkwionymi w tekście. Puste zwoje, które teraz przestały już być puste, rozwijały się z tą samą szybkością, z jaką przesuwiał wzrok wzdłuż długiego pergaminu przysłanego przez Algara.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy - powiedział Beltira z podziwem. - Kiedy na to wpadłeś?

- Teraz - przyznał Beldin. - Podnieś to światło nieco wyżej, proszę.

Twarz ojca posepniała z minuty na minutę.

- Co cię martwi? - zapytał Beldin.

- Oszukujesz.

- Oczywiście. Wszyscy oszukujemy. Dopiero teraz to do ciebie dotarło?

Ojciec aż warknął z wściekłości, a ja ostentacyjnie westchnęłam.

- O co chodzi, Poi? - zapytał Belkira.

- Mieszkam z gromadką posiwiiałych chłopców, wujku. Czy wy, staruchy, kiedyś dorośnięcie?

Wydawali się nieco urażeni. Zauważyłam, że mężczyźni zwykle tak reagują na tego typu uwagi.

Beldin dalej rozwijał oryginał kodeksu, podczas gdy bliźniaki błyskawicznie, linijka po linijce, porównywali kopie.

- Są jakieś pomyłki? - zapytał karzeł.

- Ani jednej - odparł Beltira.

- Może mi się udało.

- Hę jeszcze czasu ci to zajmie? - dopytywał się ojciec.

- Tyle, ile będzie trzeba. Daj mu jeść, Pol. Zabierz mi go z oczu.

Ojciec odszedł na bok, mruczając coś pod nosem.

W rzeczywistości zajęło to Beldinowi nie więcej niż godzinę, ponieważ tak naprawdę nie czytał kopiowanego tekstu. Później, tego samego wieczoru, wytłumaczył nam, że proces polega na przenoszeniu obrazu oryginału na puste zwoje.

- To wszystko - powiedział w końcu. - Teraz każdy z nas może w swoim zaciszu rozkoszować się tymi głupotami.

- Który jest prawdziwy? - dopytywał się ojciec, spoglądając na siedem zwojów leżących na stole.

- A co za różnica? - warknął Beldin.

- Ja chcę oryginał.

Wybuchłam śmiechem, choć właśnie kroiłam szynkę, którą mieliśmy zjeść na kolację.

- To nie jest zabawne, Pol - skarcił mnie ojciec.

- Mnie wydaje się śmieszne. Idźcie się umyć. Kolacja prawie gotowa.

Po jedzeniu każdy z nas wziął swoją kopię bełkotu Bormika i zasiadł w którymś z foteli stojących w ojcowskiej wieży, by samotnie zabrać się za czytanie słów bogów, a może słów owej niewidzialnej Konieczności, która kieruje życiem wszystkich stworzeń na ziemi.

Ja ze swoją kopią usiadłam w obszernym fotelu obok paleniska w kuchni i zdjęłam gumkę ze zwoju. W środku był krótki list od Luany.

„Lady Polgardo, dotrzymałam swej części umowy. Muszę ci jednak jeszcze raz podziękować za twój dar. Mieszkam teraz w centralnej Algarii. Dasz wiarę, że mam nawet adoratora? Nie jest młody, ale miły, dobry, solidny. Myślałam, że nigdy nie wyjdę za mąż, lecz Belar dał mi szansę na zasmakowanie tego szczęścia. Nie wiem, jak ci dziękować”.

Oczywiście to nie Belar nagroził Luanę. Z biegiem lat przekonałam się, że Cel, który stwarza wszystko, co jest, było lub będzie, zawsze nagradza za wierną służbę. Mnie wystarczy spojrzeć na twarze mych dzieci i męża, by zobaczyć swoją nagrodę.

Charakter pisma w liście Luany było identyczny z tym na zwoju. Skrupulatnie przepisała więc cały dokument sporządzony przez skrybów. Oczywiście to nie było konieczne, ale Luana bardzo poważnie traktowała swoje zobowiązania.

Kodeks Dariński, pomijając jego czasami górnolotny styl, był raczej nudnym dokumentem. Wszystko było w nim podporządkowane potrzebie zachowania chronologii. Teraz wiem dlaczego, ale gdy czytałam go po raz pierwszy, po prostu mnie nudził. Sądziłam, że jest odbiciem obłąkanego umysłu Bormika. Teraz wiem, że było inaczej.

Wujek Beldin przebrnął przez swoją kopię w sześć miesięcy i pewnego zimowego wieczoru przywłókł się przez zasy do wieży ojca.

- Zaczyna mnie nosić - oznajmił. - Chyba wrócę do Mallorei. Może uda mi zaskoczyć Urvona i trochę go wypatroszę.

- Jak można kogoś trochę wypatroszyć? - zaciekał się ojciec.

- Pomyślałem, że zabiorę Urvona na szczyt urwiska, rozpruję mu brzuch, okręcę flaki wokół pnia, a potem zepchnę bydlaka z krawędzi.

- Wujku, proszę! - zaprotestowałam z obrzydzeniem.

- To coś w rodzaju eksperymentu naukowego, Poi - wyjaśnił z drapieżnym uśmiechem. - Chcę sprawdzić, czy flaki pękną, gdy rozwiną się do końca, czy będą sprężynować.

- Dość już tego, wujku!

Schodząc po schodach, nie przestawał się śmiać.

- To zły człowiek - powiedziałam.

- Ale zabawny - rzekł ojciec.

Bliźniaki bardzo uważnie obserwowali sposób, w jaki Beldin skopiował Kodeks Dariński, i tą samą metodą skopiowali niekompletny Kodeks Mriński. Myślę, że właśnie z powodu owej niekompletności zainteresowaliśmy się nim jedynie przelotnie, a także dlatego, że był niezrozumiały.

- Wszystko jest pomieszane - skarżył się ojciec bliźniakom i mnie pewnego wieczoru, gdy po kolacji siedzieliśmy przy kominku w jego wieży. - Ten dureń Braca nie ma absolutnie poczucia czasu. Zaczyna opowiadać o sprawach, które wydarzyły się jeszcze przed rozłupaniem świata, a zaraz potem bełkocze o tym, co wydarzy się w tak odległej przyszłości, że aż kręci mi się w głowie. Nie potrafię oddzielić jednego ciągu zdarzeń od innego.

- Myślę, że to jeden z objawów szaleństwa, bracie - powiedział Beltira. - Byliśmy z Belkirą jeszcze dziećmi, kiedy w naszej wiosce był jeden głupek. Zawsze wpadał w przestrah, gdy słońce zachodziło i zapadała ciemność. Nie pamiętał, że tak dzieje się każdego dnia.

- W Kodeksie Mrińskim często są wzmianki o tobie, Belgaracie

- zauważył Belkirą.

- I zwykle niezbyt pochlebne - mruknął kwaśno ojciec. - Za to o Polgadrze same miłe rzeczy.

- Jestem sympatyczniejsza od ciebie, ojczu - dogryzłam mu.

- Nie, gdy tak się odzywasz.

Sama od czasu do czasu wertowałam Kodeks Mriński. Prorok najczęściej używał w odniesieniu do ojca określenia „prastary i ukochany”. Były też wzmianki o „córce prastarego i ukochanego”, czyli o mnie, jak przypuszczam, gdyż wspomniana córka miała robić rzeczy, których Beldaran z pewnością nie potrafiła. Niespójne ramy czasowe proroctwa uniemożliwiały określenie daty owych wydarzeń. Dawało się jednak wyczuć, że były bardzo

oddalone w czasie. Wiedziałam, że moje życie będzie anormalnie długie, ale Kodeks Mriński rysował przede mną bardziej niepokojącą rzeczywistość. Najwyraźniej czekały mnie tysiące lat, ale gdy spoglądałam na tych trzech starców, coraz mniej podobał mi się ten pomysł.

„Sędziwy” to określenie często używane w odniesieniu do mężczyzn w pewnym wieku i wiąże się z nim spora doza szacunku. Nigdy jednak nie słyszałam, by ktoś mówił o sędziwej kobiecie. Zwykle określa się ją mianem starowiny, co nie wydawało mi się szczególnie mile. Jak tylko pomyślałam o starowinie, moja próżność wzięła górę i rzuciłam się do lustra. Przyjrzałam się uważnie, ale nie znalazłam zmarszczek na swej twarzy - przynajmniej na razie.

Przez dziesięć lat cała nasza czwórka z wielką uwagą studiowała Kodeks Dariński. Potem Mistrz wysłał ojca do Tolnedry, by zajął się połączeniem rodziny Borune z Driadami. Posłużenie się przez ojca czekoladą w celu nakłonienia do współpracy księżniczki Driad, Xorii, zawsze wydawało mi się niemoralne. Nie, nie zamierzam iść dalej tym tropem.

Bliźniaki i ja pozostaliśmy w Dolinie. Pracowaliśmy nad Kodeksem Darińskim. Powoli wyłaniało nam się ogólne pojęcie tego, co czeka ludzkość. Było tam wiele zamieszania, częste wojny i niewysłowione ludzkie cierpienia.

Minęły kolejne trzy lata. Pewnego wieczoru usłyszałam głos matki. Wyczuwałam w nim nutę nagłej potrzeby.

- Polgaro! Ruszaj do Beldaran, natychmiast! Jest bardzo chora! Potrzebuje cię!

- Co jej jest, mammo?

- Nie wiem. Pospiesz się! Ona umiera, Polgaro!

Poczułam mrozący chłód w sercu i pobiegłam do wieży bliźniaków.

- Muszę was opuścić! - krzyknęłam w górę schodów.

_ Co się stało, Pol?! - odkrzyknął Beltira.

_ Beldaran jest chora. Muszę do niej lecieć. Będę z wami w kontakcie- - Potem wyszłam, nim zdążyli zapytać, skąd wiem o chorobie mojej siostry. Tajemnica matki musiała być absolutnie zachowana. Na czas podróży wybrałam postać sokoła. Szybkość była najistotniejsza, a sowy nie fruują zbyt szybko.

Zima była w pełni, gdy opuszczałam Dolinę. Pognałam na północ wzdłuż wschodniego krańca gór Ulgolandu. Wybrałam tę drogę, ponieważ wiedziałam, że nad górami napotkam burze śnieżne, a chciałam uniknąć opóźnienia. Poleciałam na północ prawie do Brodu Alidura. Cały czas nie spuszczałam z oka pasma szczytów oddzielających Algarię od równin Sendarii. Nie ulegało wątpliwości, że nad górami pogoda jest paskudna. W końcu nie było rady. Musiałam skrócić na zachód i polecieć prosto w paszczę wyjącej zamieci.

Czasami można przefrunąć nad burzą. Letnie nawałnice i wiosenne ulewy mają zwykle lokalny charakter. Zimowe burze angażują jednakże wielkie masy powietrza, które wznoszą się tak wysoko, że przelecenie nad nimi jest niemożliwe. Parłam naprzód, choć wichry szarpały mi pióra, a zacinający śnieg oślepił. Wkrótce poczułam się wyczerpana. Nie miałam wyjścia. Musiałam opaść na dół, by w zacisznej dolince odpocząć i odzyskać siły.

Następnego dnia usiłowałam trzymać się nisko. Poleciałam dolinami, by uniknąć spotkania z czołem burzy. Szybko jednak zdałam sobie sprawę, że przebijam się przez kleisty śnieg i mimo trudu wolno pokonuję drogę. Z desperacją wzbiłam się wyżej, tam gdzie wichry szalały z całą siłą.

W końcu przeleciałam nad szczytami i poszybowałam w dół zachodniego zbocza, ku równinom Sendarii. Nadal padał śnieg, ale wichry ucichły. Potem dotarłam do wybrzeża i walka z wichrem zaczęła się od nowa. Zawierucha szalejąca nad Morzem Wiatrów nie ustępowała siłą wichrowi nad górami, a do tego pośród wysokich fal nie było miejsca na wytchnienie.

Dotarcie do Wyspy Wiatrów zajęło mi pięć dni. Rankiem szóstego dnia, drżąc z wyczerpania, w końcu wylądowałam na murach Cytadeli. Moje ciało krzyczało o odpoczynek, ale nie było na to czasu, ponurymi korytarzami pognałam do królewskich apartamentów.

Główna komnata zarzucona była ubraniami, a stół zawałony resztkami posiłków. Riva, w pomiętym ubraniu i z nie ogoloną twarzą poderwał się z drzemki.

- Dzięki bogom! - zawołał.

- Ciocia Pol! - wykrzyknął Daran, który wyglądał równie mizernie jak jego ojciec. Mój siostrzeniec miał już dwadzieścia lat. Byłam zdumiona, jak bardzo wyrósł.

- Gdzie ona jest? - zapytałam.

- W łóżku - powiedział Riva. - Miała ciężką noc i jest wyczerpana. Cały czas kaszle i trudno jej złapać oddech.

- Muszę porozmawiać z jej lekarzami. Potem ją obejrzę.

- Och... - Riva się zająknął. - Nie wezwaliśmy do niej żadnych lekarzy, Pol. Elthek, rivański diakon, modlił się nad nią. Mówił, że wołanie lekarzy byłoby tylko stratą czasu i pieniędzy.

- Powiedział nam jednak, że mamie się poprawia - dodał Daran.

- A skąd to wie?

- On jest kapłanem, ciociu Pol. Kapłani są bardzo mądrzy.

- Nie znałam jeszcze kapłana, który potrafiłby odróżnić prawą rękę od lewej. Natychmiast zaprowadź mnie do swojej matki. - Rozejrzałam się po zabałaganionym wnętrzu.
- Posprzątajcie tu - powiedziałam.

Daran otworzył drzwi sypialni i zajrzał do środka.

- Śpi - szepnął.

- Dobrze. Przynajmniej wasz kapłan nie zamęcza jej swym mamrotaniem. Od teraz trzymajcie go z dala od niej.

- Ty potrafisz ją uzdrowić, prawda, ciociu Poi?

Ledwie poznałam swoją siostrę, gdy podeszłam do łóżka. Jak bardzo schudła! Podkrążone oczy wyglądały jak podsiniaczone. Oddychała z wielkim trudem. Dotknęłam jej wymizerowanej twarzy i stwierdziłam, że Beldaran płonie od gorączki. Potem zrobiłam coś, czego nigdy dotąd nie robiłam. Połączyłam swe myśli z jej myślami.

- Polgardo? - dotarła do mnie jej myśl. - Nie czuję się dobrze.

- Gdzie to jest, Beldaran? - zapytałam ostrożnie.

- W mojej piersi. Czuję w nich ucisk. - Potem jej na wpół drzemiąca myśl znikła.

Tego można się było spodziewać. Przeklęty klimat Wyspy Wiatrów zabijał moją siostrę.

Badałam dalej, sięgnęłam głębiej w jej ciało. Tak jak się spodziewałam, centrum choroby umiejscowione było w płucach.

Wyszłam z sypialni i cicho zamknęłam za sobą drzwi.

- Muszę teraz wyjść do miasta - powiedziałam Rivie i Daranowi-

- Dlaczego? - zapytał Riva.

- Potrzebne mi pewne lekarstwa.

- Elthek mówi, że to wytwory czarnej magii, Pol - rzekł Riva. - Twierdzi, że jedynie modlitwy do Belara mogą uzdrowić Beldaran.

Wypowiedziałam słowa, których pewnie nie powinnam była w takiej chwili mówić. Riva spojrział zaskoczony, a Daran upuścił ubrania, które pozbierał.

- Gdy tylko moja siostra otrzyma leki, utnę sobie długą pogawędkę z tym skończonym durniem, rivańskim diakonem - syknęłam przez zaciśnięte zęby. - Powiedz mu, aby od tej chwili nie zbliżał się do Beldaran. Powiedz mu, że jeśli jeszcze raz wejdzie do jej sypialni, to pożałuje, iż się w ogóle narodził. Niedługo wrócę.

- Poślę z tobą Branda - zaproponował Riva.

- Branda? Kto to?

- Baron Kamion. Jest moim głównym doradcą i pomaga mi dźwigać ciężar korony. - Riva posmutniał. - Pewnie trzeba mi było go posłuchać tym razem. Mówił o diakonie to samo co ty.

- Och, czemu go nie posłuchałeś? Powiedz, żeby mnie dogonił.

Wypadłam jak burza z królewskich apartamentów i ponurym, oświetlonym pochodniami korytarzem udałam się w kierunku głównego wejścia z Cytadeli, mruczając pod nosem najbarwniejsze z epitetów wujka Beldina.

Kamion dogonił mnie tuż przed masywnymi wrotami, które wychodziły na zaśnieżony dziedziniec. Był oczywiście starszy i wydawał się bardziej stateczny i poważny niż wówczas, gdy widziałam go po raz ostatni. Jasne włosy miał na skroniach przyprószone siwizną, ale zauważyłam z zadowoleniem, że nie zapuścił brody na alornską modłę. Miał na sobie szary wełniany płaszcz, a pod pachą niósł drugi.

- Miło cię znowu widzieć, Poi - powiedział. Potem podał mi płaszcz. - Proszę. Włóż. Na dworze jest zimno.

- Zrobiło mi się gorąco, Kamienie - powiedziałam. - Nie mogłeś trzymać tego durnego kapłana z dala od Rivy?

- Próbowałem, Pol - odparł z westchnieniem. - Wierz mi, próbowałem, ale jego królewska mość lubi dobrze żyć z ludźmi, a Elthek obnosi się ze swoim religijnym urzędem jak z wojennym sztandarem. Przekonał większość mieszkańców, że przemawia w imieniu Belara, a to bardzo trudno odeprzeć. Jego królewska mość jest Strażnikiem klejnotu i to czyni z niego w oczach kapłanów obiekt świętości. Pewnym sensie kapłanom się wydaje, że mają go na własność. Nie rozumieją istoty Klejnotu, więc uważają, że on zrobi wszystko, co mu każe. Nie pojmują ograniczeń. Uwierzysz, że Elthek zaproponował nawet królowi, by spróbował wyleczyć swą żonę dotknięcie Klejnotu?

- To by ją zabiło!

- Tak, wiem. Udało mi się go przekonać, by nie próbował nic robić bez rady twojej lub twego ojca.

- Miał przynajmniej dość rozumu, by cię posłuchać.

- Czy potrafisz uleczyć królową, Pol? - zapytał, gdy wyszliśmy na dziedziniec.

Spojrzałam w jego przystojną twarz i wiedziałam, że mogę powiedzieć mu prawdę, którą skrywałam przed Rivą i Daranem.

- Nie jestem pewna, Kamionie - przyznałam.

- Obawiałem się, że to jest poważniejsza choroba, niż początkowo myśleliśmy - powiedział wzdychając. - Co jest jej powodem?

- Ohydny klimat tej zapadłej wyspy! - wybuchłam. - Niszczy mej siostrze płuca. Beldaran nie może tu oddychać.

- Od kilku lat królowa chorowała każdej zimy - przyznał. - Czego potrzebujemy z miasta?

- Muszę porozmawiać z Arell, a potem przetrząsnę sklep zielarza Argaka. Może będę chciała również porozmawiać z człowiekiem o imieniu Balten.

- Chyba go znam. Jest golarzem, prawda?

- Tym się zajmuje za dnia, Kamionie. Nocami jest rabusiem grobów.

- Kim?!

- Prawdę mówiąc, jest chirurgiem i wykopuje ciała zmarłych, żeby je badać. Trzeba wiedzieć, co się robi, gdy się kroi ludzi.

- Nie zamierzasz chyba kroić królowej! - wykrzyknął.

- Rozbiorę ją na kawałki i złożę ponownie, jeśli tym uratuję jej życie, Kamionie. Nie sądzę, aby Balten na wiele się przydał, ale może wiedzieć coś na temat płuc, czego ja nie wiem. Gotowa jestem dobie targu nawet z samym Torakiem, gdyby pomógł mi uratować Beldaran.

Oczywiście Arell się postarzała. Włosy miała siwe, ale z jej oczu nadal biła mądrość.

- Czemu przybyłaś tak późno, Poi? - dopytywała się, gdy weszliśmy z Kamionem do jej zagraconej pracowni krawieckiej.

- Dopiero co dowiedziałam się o chorobie Beldaran - odparłam - Czy Argak nadal przygotowuje zioła?

- Dziwadło z niego jak zawsze - odparła kiwając głową. - Nie lubi gdy budzić go przed południem.

- No to ma pecha. Potrzebuję kilku rzeczy z jego sklepu i jeśli nie zechce się obudzić, to lord Brand rozłupie jego drzwi mieczem.

- Z przyjemnością, Pol - powiedział z uśmiechem Kamion.

- I jeszcze jedno, Arell - powiedziałam. - Możesz posłać także po Baltena?

- Balten siedzi w lochach pod świątynią Belara, Pol. Kapłani Przyłapali go na cmentarzu zeszłej nocy. Miał na taczkach nieboszczyka, a w rękach łopatę. Pewnie spala go na stosie za czary.

- Nie. Tego nie zrobią. Wyciągnij go z lochu, Kamionie, dobrze?

- Oczywiście, Pol. Chcesz, bym porąbał świątynię?

- Nie sil się na dowcipy - powiedziałam mu opryskliwie.

- Odrobina żartu dla odprężenia, miłościwa pani.

- Żartuj sobie gdzie indziej. Bierzmy się do dzieła.

Kamion ruszył do świątyni Belara, podczas gdy ja z Arell udałyśmy się do sklepu Argaka. Nie byłam zbyt delikatna, gdy budziłam mego byłego nauczyciela. Waliłam w drzwi przez pięć minut, po czym uwolniłam w sypialni na górze grom. Gromy robią ogromne wrażenie w zamkniętych pomieszczeniach. Jeśli który zawita do twego pokoju, z pewnością cię obudzi. Kamienny budynek nadal drżał w posadach, gdy okno otworzyło się i nad nami pojawił się Argak.

- Co to było? - zapytał. Trząśł się okropnie, oczy wyłaziły mu z orbit, włosy stały dęba.

- Dzwonek na przebudzenie, drogi nauczycielu - powiedziałam. - Zejdź na dół i otwórz drzwi, bo inaczej roztrzaskani je na drzazgi.

- Nie ma potrzeby używać przemocy, Poi - powiedział pojednawczo.

- Chyba że spróbujesz wrócić do łóżka, przyjacielu. Prawie godzinę zabrało mi wyszukanie wszystkich potrzebnych lekarstw. Argak polecił mi również inne. Niektóre z tych ziół były bardzo egzotyczne, a pewne nawet niebezpieczne, wymagające starannego odmierzania.

Potem wrócił Kamion z Baltenem. Najwyraźniej nawet zrozumieli kapłani Belara mieli dość rozumu, by nie dyskutować z Rivańskim Strażnikiem.

- Czemu kapłani wtrącają się do nie swoich spraw? - zapytałam - Tego nie było tu w czasach moich studiów.

- To sprawka Elthecka, diakona Rivy, Poi - wyjaśniła Arell. - Dostaje hysterii na myśl o czarach.

- To tylko poza, Arell - powiedział Balten. - Eltheck stara się zachować to w tajemnicy, ale jest wyznawcą kultu niedźwiedzia. Regularnie otrzymuje instrukcje od Najwyższego Kapłana Belara z Val Alorn. Celem kultu zawsze było zdobycie absolutnej dominacji w społeczności Alornów. Całe to bzdurne gadanie o czarach nie jest niczym więcej, jak tylko wymówką dla wyeliminowania konkurencji. Eltheck chce, aby tutejsi mieszkańcy zwracali się ze wszystkim do kapłanów, nawet z chorobą. Stosowanie środków medycznych mogłoby doprowadzić do uzdrowień, które zwykły Alorn mógłby uznać za cud. Elthekowi nie na rękę cuda, których autorem byłby ktoś inny niż kapłani. To właśnie kryje się za rozwlekłymi kazaniami na temat czarów. Próbuje zdyskredytować tych, którzy zajmują się medycyną.

- Być może - mruknął ponuro Argak - ale wszystkie wymierzone przeciwko nam prawa pochodzą prosto od tronu.

- Jego królewska moc nie ponosi za to winy - powiedział Kamion. - Alornski zwyczaj każe, by wszystkie sprawy natury religijnej były w gestii kapłanów. Jeśli Eltheck przedłoży

propozycję ustanowienia prawa natury religijnej, to Riva automatycznie je podpisze i opieczętuje, zwykle nie zwracając sobie głowy czytaniem całego dokumentu. Sprzeczałyśmy się o to nieraz. Elthek w pierwszym paragrafie projektu zawsze umieszcza formułkę „rozporządzenie kościelne” i różnego rodzaju bzdury religijnej natury, a naszemu królowi oczy robią się szkliste, nim dojdzie do zasadniczej części dokumentu. Elthek utrzymuje, że jedynym lekarstwem na wszelkie choroby jest modlitwa.

- Więc poświęciłby moją siostrę w imię politycznej idei?! - wykrzyknęłam.

- Oczywiście, Pol. On nie oddaje czci Belfrowi, on czci swą własną moc.

- Chyba Algar ma rację - mruknęłam posepnie. - Gdy tylko Beldaran wyzdrowieje, zajmiemy się kultem niedźwiedzia na Wyspie.

- To z pewnością uczyniłoby nasze życie łatwiejszym - zauważyła Arell. - Zaczynam mieć dość posądzania o czary.

- A może wszyscy razem udamy się do Cytadeli? - zaproponowałam.

- Skażesz nas na spalenie na stosie, Pol - zaprotestował Argak. - Jeśli otwarcie będziemy praktykować medycynę, zwłaszcza w Cytadeli, kapłani wtrącają nas do lochów i zaczęli zbierać drewno na podpałkę

- Nie martw się, Argaku - powiedziałam ponuro. - Jeśli ktokolwiek miałby spłonąć, będzie to sam Elthek.

Tak więc wszyscy wspięliśmy się do Cytadeli. Teraz, gdy zdawałam sobie już sprawę z sytuacji i baczniej obserwowałam otoczenie. Zauważyłam, że w twierdzy mieszkało o wiele więcej kapłanów, niż to było naprawdę konieczne. Beldaran już nie spała. Zbadaliśmy ją i zebraliśmy się na konsultację w pokoju obok.

- To wygląda na chroniczną dolegliwość - zauważył Balten. - Trzeba było zająć się tym dawno temu.

- No cóż, nie możemy cofnąć czasu - stwierdziła Arell. - Co ty myślisz, Argaku?

- Szkoda, że jest taka słaba - rzekł Argak. - Znam bardzo skuteczne mikstury, ale w tej sytuacji są zbyt niebezpieczne.

- Musimy coś wymyślić, Argaku - powiedziałam.

- Daj mi trochę czasu, Poi. - Zaczął szperać pośród słoiczeków, które zabrał z sobą ze sklepu. Wybrał jeden i podał go mnie. - Na razie dawaj to królowej co kilka godzin. Dzięki temu jej stan się nie pogorszy, dopóki nie postanowimy, co robić dalej.

Weszłam z Arell do sypialni Beldaran.

- Przewietrzmy tu, umyj ją, zmień pościel i uczesz włosy, Poi - poradziła Arell. - To zawsze poprawia ludziom samopoczucie.

- Słusznie - zgodziłam się. - Przyniosę więcej poduszek. Może będzie łatwiej oddychała, gdy ją podeprzemy.

Wydawało się, że Beldaran poczuła się o wiele lepiej, gdy zajęliśmy się z Arell drobiazgami, o których mężczyźni nigdy nie myślą. Nie smakowało jej jednak lekarstwo Argaka.

- To wstrętne, Pol - skarżyła się.

- O to właśnie chodzi, Beldaran - powiedziałam wesoło, starając się ukryć z troską. - Lekarstwo powinno źle smakować. Jeśli jest dostatecznie paskudne, wyzdrowiejesz, żeby go tylko więcej nie pić.

Roześmiała się słabo, a potem miała długi napad kaszlu.

Siedziałam przy jej łóżku przez następny dzień, podczas gdy Argak, Arell i Balten przyrządzali inne lekarstwa. Pierwsza mikstura Argaka złagodziła jedynie niektóre z objawów, więc uznaliśmy, że powinniśmy sięgnąć po bardziej zdecydowane środki.

Następna mikstura Argaka sprowadziła na Beldaran głęboki sen.

- To naturalna część procesu leczniczego - skłamałam Rivie i Daran. Mieliśmy już dość zmartwień bez ich obu kręcących się wokół.

Sprawy nie toczyły się po naszej myśli. Moje studia uczyniły mnie arogancką. Byłam przekonana, że z niewielką pomocą moich nauczycieli potrafię wyleczyć każdą dolegliwość. Jednakże choroba Beldaran uparcie opierała się wszystkim środkom, które potrafiliśmy wymyślić. Nocami obywałam się bez snu, ucinając sobie jedynie krótkie drzemki. Zaczynałam nabierać irracjonalnego przekonania, że choroba siostry ma świadomość, zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co usiłujemy robić, i za każdym razem psuje nam szyki. W końcu uznałam, że musimy wykroczyć poza ograniczenia sztuki lekarskiej, by ocalić Beldaran. W rozpaczę wysłałam w myślach wołanie do bliźniaków.

- Proszę! - wołałam w milczeniu poprzez niezliczone mile dzielące Wyspę od Doliny. - Proszę! Tracę ją! Przekażcie wieść memu ojcu! Potrzebuję jego pomocy, i to szybko!

- Potrafisz powstrzymać chorobę do przybycia ojca? - zapytał Beltira.

- Nie wiem. Wszystkiego już próbowaliśmy. Beldaran nie reaguje na żaden środek. Ona tonie, wujku. Skontaktujcie się natychmiast z ojcem. Sprowadźcie go tutaj jak najszybciej.

- Próbuj zachować spokój, Polgaro - powiedział Belkira bardzo szorstkim tonem. - Jest sposób, byś mogła ją wspomóc, nim ojciec przybędzie. Użyj swej Woli. Przekaż Beldaran część swej siły. Potrafimy robić rzeczy, których inni nie potrafią.

To mi nawet nie przyszło do głowy. Imaliśmy się coraz bardziej skrajnych środków, niemal eksperymentowaliśmy. Niektóre z lekarstw aplikowanych Beldaran były wyjątkowo niebezpieczne, zwłaszcza przy jej osłabieniu. 1

Popędziłam korytarzem do królewskich apartamentów. Tymczasem alornskiemu kapłanowi jakoś udało się przemknąć obok straży. Odprawiał właśnie jakąś tajemniczą ceremonię. Spalał coś, z czego wydzielala się chmura zielonego cuchnącego dymu. Dym?! Dym w pokoju chorego na płuca!

- Co ty wyprawiasz, durniu! - krzyknęłam na niego.

- To tajemny obrzęd - odparł wyniośle. - Zwykła kobieta tego nie zrozumie. Wyjdź natychmiast.

- Nie! To ty wyjdiesz. Wynoś się stąd! Wybałuszył oczy w świętym oburzeniu.

- Jak śmiesz?!

Zduśliłam jego dymiący ogień i wypędziłam cuchnące powietrze jedną myślą.

- Czary - wrzasnął.

- Skoro tak chcesz to nazywać - wycedziłam przez zaciśnięte zęby - posmakuj trochę tego, ty niedorozwinięty durniu. - Skupiłam swoją Wole i uniosłam go sześć stóp nad podłogę. Zostawiłam go tak, by powisiał sobie chwilę. Potem przemieściłam go daleko poza mury Cytadeli.

Chciałam pozwolić, by sobie tam spadł. Był setki stóp ponad ośnieżonym miastem i z pewnością miałby pod dostatkiem czasu na żałowanie tego, co zrobił, lecąc ku pewnej śmierci.

- Poi! Nie! - To był głos matki. Rozległ się w mojej głowie niczym trzaśnięcie bicia.

-Ale...

- Powiedziałam nie! Opuść go! - Potem na chwilę umilkła. - Oczywiście w stosownej chwili - dodała.

- Będzie, jak życzy sobie moja matka - powiedziałał posłusznie. Wróciłam do siostry i delikatnie wypełniłam jej słabe ciało swą Wolą. Kapłan Belara tymczasem wisiał nad miastem, wrzeszcząc i skomląc na przemian. Zostawiłam go tam na kilka godzin, sześć, osiem, a może dziesięć, by dać mu czas na przemyślenie błędów. Wzbudził spore zainteresowanie, gdy tak kołował niczym roztargniony sęp. Kapłani uwielbiają być w centrum uwagi, więc mu to nie zaszkodziło.

Podtrzymywałam Beldaran siłą swej Woli przez prawie dziesięć dni, ale pomimo moich największych wysiłków i wszelkich lekarstw, jakie mogłam wraz z moimi nauczycielami wymyślić, jej stan nadal się pogarszał. Wymykała mi się i w żaden sposób nie mogłam temu

zaradzić. Byłam już wyczerpana i myśli zaczęły mi się dziwnie mącić. Niewiele pamiętam z tych straszliwych dni, ale pamiętam, że około północy, gdy za oknem szalała śnieżycą, dobiegł mnie głos Beltiry.

- Poi! Znaleźliśmy Belgaratha! Już jest w drodze na Wyspę!

- Dzięki bogom!

- Co z nią?

- Niedobrze, wujku, a ja zaczynam tracić siły.

- Wytrzymaj jeszcze kilka dni, Pol. Ojciec przybywa.

Ale nie mieliśmy już kilku dni. Siedziałam osłabiona przy łóżku siostry przez niekończące się godziny tej długiej, przeraźliwej nocy i pomimo że przekazywałam jej niemal całą swe Wolę, czułam, jak nikła coraz głębiej i głębiej w ciemnościach.

Nagle matka pojawiła się u mego boku. Tym razem to nie był to tylko głos. Była tam naprawdę i powiedziała:

- Zostaw ją, Pol.

- Nie! Nie pozwolę jej umrzeć!

- Ona wypełniła swe zadanie, Polgardo. Musisz jej pozwolić odejść. Jeśli nie, stracimy was obie.

- Nie potrafię bez niej żyć, mamó. Jeśli ona odejdzie, ja odejdę razem z nią.

- Nie, nie możesz. To niedozwolone. Uwolnij swą Wolę.

- Nie mogę, mamó. Nie mogę. Ona jest istotą mego życia.

- Uczyn to, córko. Mistrz tak nakazuje... i UL także. Nigdy przedtem nie słyszałam o ULu. Dziwne, nikt z mojej rodziny nigdy o nim nie wspominał.

Uparcie nadal skupiałam swą Wolę na swej umierającej siostrze, a wówczas ściana za łóżkiem Beldaran zaczęła migotać i zobaczyłam niewyraźną postać pomiędzy kamieniami. Przypominało to bardzo wypatrywanie w migotliwej głębi leśnego jeziora tego, co jest pod jego powierzchnią. Postać, którą ujrzałam, była ubrana w białe szaty i sprawiała przytłaczające wrażenie. Wielokrotnie już w swym życiu znajdowałam się w obecności bogów, ale nigdy nie stałam przed obliczem kogoś takiego jak UL.

Potem migotanie zniknęło i UL we własnej osobie stanął po przeciwnej stronie łóżka mej siostry. Włosy i brodę miał białą jak śnieg, ale jego wiekuiste oblicze nie nosiło innych śladów czasu. Wyciągnął rękę nad Beldaran, a gdy tak uczynił, poczułam, jak moja Wola wraca do mnie.

- Nie! - zawołałam. - Proszę! Nie!

Ale on zignorował mój rozdzierający protest.

- Chodź ze mną, ukochana Beldaran - powiedział łagodnie. - Czas już odejść.

Światło wypełniło mą siostrę. Blask unosił się, jakby coś wysysało go z osłabionego, niepotrzebnego już ciała. Blask miał postać i twarz Beldaran. Świetlista postać wyciągnęła rękę, by ująć dłoń ULa.

A potem ojciec bogów spojrział prosto w mą twarz.

- Bądź zdrowa, ukochana Polgardo - rzekł do mnie, po czym obie jaśniejące postaci rozplynęły się w powietrzu.

- Teraz nasza Beldaran jest z UŁem - westchnęła matka.

A ja rzuciłam się na ciało mej zmarłej siostry i wybuchłam płaczem.

Matki już ze mną nie było. Czułam straszliwą pustkę. Tuliłam się do swej zmarłej siostry, szlochając i krzycząc ze smutku. Niewiele pamiętam z tego, co działo się tej straszliwej nocy. Do komnaty weszli jacyś ludzie, ale nie poznawałam ich twarzy. Sporo było lamentów, jak mi się zdaje, lecz zupełnej pewności nie mam. Potem pojawiła się Arell, solidna jak skała, której mogłam się uchwycić. Trzymała mnie w ramionach i kołysała, dopóki ktoś, chyba Argak, nie podał jej filiżanki.

- Wypij, Poi - poleciła, przysuwając mi filiżankę do ust. Napój był gorzki. Przez myśl przemknęło mi, że to trucizna. Wypiłam z ochotą. Teraz cały ból zniknie. Mój płacz powoli cichł, stopniowo ogarniało mnie puste zapomnienie.

Gdy się obudziłam, leżałam we własnym łóżku. Nie potrafiłam powiedzieć, ile minęło czasu. Arell siedziała obok. Mglisto uświadomiłam sobie, że podczas gdy spałam, okratowano okna.

- Twój ojciec tu jest, Pol - powiedziała Arell, gdy otworzyłam oczy.

- Jak miło z jego strony, że zadał sobie tyle trudu - odparłam z goryczą. Arell mnie nie otruła. Czułam się oszukana.

- Dość już tego, Polgardo - odparła Arell szorstkim tonem. - Ludzie umierają. To nie czas na wzajemne oskarżenia. Śmierć ukochanej osoby może rodzinę podzielić lub zbliżyć. Co ty wolisz, Pol? - Potem wstała i wygładziła swą szarą suknię. - Nie szukaj niczego ostrego skarbie. Oczyszczałam twą komnatę ze wszystkiego, co ma ostre końce. I trzymaj się z dala od okien. A teraz umyj twarz zimną wodą, ubierz się, uczesz. Okropnie wyglądasz. - Wyszła.

Znowu był wieczór, choć nie potrafiłam powiedzieć, jaki mieliśmy dzień. Do moich drzwi zapukał ojciec.

- To ja, Pol. Otwórz.

- Odejdź - odparłam.

- Otwórz drzwi, Pol. Muszę z tobą porozmawiać.

- Odejdź ode mnie, ojcze. - Wypowiadając te słowa, zdałam sobie sprawę z ich bezsensowności. Żadne zamknięcie na świecie nie stanowiło dla ojca przeszkody. Podałam się i otworzyłam drzwi.

Ton miał rzeczowy, choć twarz pobladła. Bez ogródek przypomniał mi, że teraz naszą nadrzędną troską musi być zachowanie rivańskiej linii rodowej. Riva był zupełnie otępieły z rozpaczy, niezdolny do jakiegokolwiek działania. Ktoś musiał przejąć jego obowiązki króla i Strażnika Klejnotu. Daran miał dopiero dwadzieścia lat, ale jako spadkobierca Rivy tylko on mógł go zastąpić.

- Angarakowie są wszędzie, Poi - przypomniał mi ojciec. - Przy najmniejszych oznakach słabości możesz się spodziewać wizyty Ctuchika, a może i samego Toraka.

To mnie szybko postawiło na nogi. Musiałam zapomnieć o rozpaczy.

- Co zrobimy?

- Weźmiesz się w garść i przejmiesz tu kontrolę nad wszystkim. Oddaję Darana w twoje ręce. Rozmawiałem z Brandem. On w pełni rozumie sytuację. Pomoże ci, ale ostateczna odpowiedzialność nadal spoczywa na tobie. Nie zawiedz mnie, Pol. Zaprowadzę cię do kwatery Branda. Rozmawia teraz z Daranem. To Alornowie, więc trzymaj ich krótko na wodzy.

- Ty tu będziesz, prawda?

- Nie. Muszę odejść.

- Nie zostaniesz nawet na pogrzeb? -To mną wstrząsnęło. Ojciec zawsze zachowywał się dość bezceremonialnie, ale...

- Ja już pogrzebałem ją w swym sercu, Pol, i żadne ceremonie czy kazania nudnego kapłana tego nie zmienią.

Ta uwaga przypomniała mi o porachunkach, jakie miałam z pewnym kapłanem Belara. Gdyby Elthek, rivański diakon, nie przejawiał histerycznego lęku przed czarami, moja siostra mogła na czas otrzymać właściwe lekarstwo i wyzdrowieć. Pragnienie zemsty nie jest godne podziwu, ale pozwala okrzepnąć w obliczu smutku. Teraz miałam dwa powody, by wziąć się w garść - Elthek i Ctuchik. Miałam wrogów po obu stronach teologicznego muru.

Ojciec zaprowadził mnie do zastawionego książkami gabinetu Kamiona, po czym nas opuścił.

- Są precedensy na ustanowienie regencji - mówił Kamion memu zasmuconemu siostrzeńcowi. - Nawet królowie bywają jak zwykli ludzie niezdolni do pełnienia obowiązków.

- Lordzie Brand - zaprotestował Daran - ludzie nie zaakceptują mnie jako swego władcy. Jestem za młody.

- Twój ojciec był jeszcze młodszy, gdy zakładał to królestwo, Daranie - przypomniałam mu.

- Ale on miał Klejnot, ciociu Poi.

- To prawda. A teraz ty go masz.

- Nikt poza ojcem nie może dotknąć Klejnotu - odparł zdumiony. Uśmiechnęłam się do niego. Zdaje się, że to był smutny uśmiech, ale i tak był dla mnie zaskoczeniem.

- Daranie - powiedziałam - twój ojciec położył ci dłoń na Klejnocie, nim jeszcze skończyłeś dwadzieścia cztery godziny. Klejnot wie, kim jesteś.

- Czy potrafiłby zdjąć miecz ze ściany? - zapytał Kamion z przejęciem.

- Nie jestem pewna. Sprawdź.

- Byłoby to widomą oznaką prawa do sprawowania władzy przez jego wysokość regenta i ucięłoby wszelkie sprzeciwy.

- Chyba zaczyna mi się rysować pewien pomysł, panowie - powiedziałam. - Muszę o tym porozmawiać z moim Mistrzem i Riwą, ale jeśli mam rację, nie będzie więcej żadnych sprzeciwów wobec regencji Darana.

- A potem rozprawię się z rivańskim diakonem - powiedział Daran z kamienną twarzą.

- Czy zechciałbyś, wasza wysokość, sprecyzować owo „rozprawię się”? - zapytał grzecznie Kamion.

- Jeszcze nie zdecydowałem, lordzie Brand. Waham się pomiędzy wypatroszeniem go i spaleniem na stosie. Co ty byś wolała, ciociu Poi?

Ach, ci Alornowie!

- Najpierw dowiedzmy twego prawa do władzy, nim rozpoczniesz krwawą łaźnię, Daranie - zaproponowałam. - Niech się Elthek trochę pomartwi, nim wbijesz mu miecz w brzuch lub zaczniesz szykować podpałkę. Najpierw musimy zająć się innymi sprawami.

- Zdaje się, że słusznie mówisz, ciociu Poi - przyznał. - Czy masz Prawo zamknąć port, lordzie Brand?

- Tak mi się zdaje, wasza wysokość - odparł Kamion. - Ale po co?

- To jest wyspa, lordzie Brand. Jeśli zamkniemy port, Elthek nie będzie mógł przede mną uciec.

Później znalazłam się w końcu sama w swej komnacie i nareszcie mogłam skontaktować się w myślach z matką.

- Mamo, potrzebuję cię - powiedziałam, a potem czekałam, z każdą chwilą bardziej się bojąc.

- Słucham, Pol? - Jej głos przepełniał bezdenny smutek.

- Czy Daran może zdjąć miecz swego ojca?

- Oczywiście, Pol.

- I miecz potraktuje go tak samo jak Rive?

- Naturalnie. O co chodzi, Pol?

- Alornska polityka, mamo. Riva nie jest w stanie sprawować władzy, więc Daran będzie musiał rządzić na Wyspie, dopóki jego ojciec nie otrząśnie się z rozpacz. Chciałabym z miejsca uciąć wszelkie dyskusje na ten temat.

- Tylko nie przesadz, Pol.

- Oczywiście, mamo.

Zawsze uważałam, że pogrzeby to uroczystości rodzinne. Moja siostra była jednak królową Rivan, a to wymagało pogrzebu państwowego.

- Oczywiście uroczystość poprowadzi rivański diakon - poradził memu siostrzeńcowi Kamion. -To niezbyt fortunate, ale...

- Nie, nie poprowadzi - oświadczył zdecydowanym tonem Daran. - Elthek zabił moją matkę. Jeśli choć zbliży się do miejsca pogrzebu, porąbię go na kawałki. W Cytadeli jest kapelan, prawda? On poprowadzi ceremonię.

- Czy to ostatnie słowo w tej sprawie, wasza wysokość?

- Tak jest, lordzie Brand - oznajmił Daran, po czym jak burza opuścił komnatę.

- Porozmawiam z nim, Kamienie – powiedziałam cicho. - Diakon nie będzie prowadził ceremonii, ale chcę, aby był na niej obecny. Wydarzy się coś, czego powinien być świadkiem.

- Tajemnice, Pol?

- Tylko mała niespodzianka, stary przyjacielu. Mam zamiar nadać przekazaniu władzy widowiskową oprawę.

Naturalnie Elthek był obrażony, ale Kamion zręcznie przyglądał jego nastroszone piórka, wspominając o „osobistym duchowym doradcy” i „życzeniach najbliższej rodziny”.

Ceremonia pogrzebowa odbywała się w Dworze Rivańskiego Króla. Mary były ustawione tuż przed tronem, na którym siedział porażony w bezdennym smutku Riva.

przewodniczył ceremonii łagodny, dobrotliwy stary kapłan, który pewnością nie był wyznawcą kultu. Starał się nas pocieszyć, ale nikt chyba go nie słuchał. Elthek siedział w pierwszym rzędzie z wyrazem urażonej dumy na twarzy. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o płonących oczach i posiwiałej brodzie sięgającej niemal do pasa. W pewnym

momencie uroczystości pochwyciłam jego spojrzenie, a wówczas wykrzywił się w wiele mówiącym uśmiešku. Wyglądał na zachwyconego tym, że nie udało mi się uratować życia siostrze. Wyobrażałam sobie, jak odsyłam go do nieba, do Belara.

Beldaran pochowano w naprędce przygotowanym królewskim mauzoleum w Cytadeli. Riva płakał, gdy ciężki kamień przesłonił kryptę. Potem Kamion i ja odprowadziliśmy króla do sali tronowej. Przed pogrzebem rozmawiałam ze swoim szwagrem, więc wiedział, co ma zrobić.

- Przyjaciele - zwrócił się do zgromadzonej szlachty i duchowieństwa. - Na pewien czas udam się na odosobnienie. Jednakże królestwo będzie bezpieczne. - Podszedł do tronu i zdjął ze ściany ogromny miecz. Jak zawsze, gdy brał go w dłonie, miecz rozjarzył się błękitnym, choć lekko przygaszonym blaskiem. Nawet Klejnot Mistrza smucił się odejściem mej siostry. Pograżony w żalu król odwrócił się ku zebrany, wznosząc wysoko symbol swej władzy.

Wśród uczestników pogrzebu zapanowała absolutna, niemal przerażająca cisza.

- Mój syn, książę Daran, zastąpi mnie - oznajmił Riva tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Będziecie mu posłuszni, tak jakbyście byli posłuszni mnie samemu. - Potem odwrócił miecz w swych ogromnych dłoniach, ujmując go za płonące ostrze i wyciągając rękojeść ku Daranowi. - Przekazuję całą władzę memu synowi! - zakrzyknął.

Rozległ się głęboki dźwięk dzwonu, który wstrząsnął nawet kamiennymi murami wokół nas. Na Wyspie nie było tak wielkiego dzwonu, tego byłam pewna. Daran z czcią wziął miecz od ojca i wznosił 8° nad głowę. Klejnot rozjarzył się płomiennym blaskiem, który spłynął po masywnym ostrzu i oblał młodego księcia aureolą błękitnego światła.

- Wszyscy pozdrówmy Darana - zakomenderował Kamion gromkim głosem - Regenta Wyspy Wiatrów!

- Bądź pozdrowiony, Daranie! - odkrzyknął tłum.

Elthek pobladł z wściekłości, ręce mu drżały. Najwyraźniej nie brał pod uwagę możliwości ustanowienia regencji. Zakładał, że pogrążony w smutku Riva będzie nadal próbował pełnić swe obowiązki, co byłoby wręcz wymarzoną okazją do stopniowego przejęcia władzy. Odsunąłby Kamiona i rządził sam, przemawiając w imieniu oszalałego z rozpaczki Rivy. Bijący blaskiem miecz Rivańskiego Króla w rękach Darana skutecznie odciął mu ścieżkę do zdobycia władzy i widać było, że Elthek nie jest z tego powodu szczęśliwy. Udało mi się pochwycić jego spojrzenie i by jeszcze bardziej mu dopiec uśmiechnęłam się złośliwie.

Riva, tak jak ogłosił, udał się na odosobnienie. Daran, Kamion i ja przejęliśmy ster rządów. Daran stanowczo - i mądrze, jak sądzę odmówił zasiadania na tronie ojca. Sprawował

władzę z prostego fotela ustawionego za zwykłym stołem zasłanym stosami dokumentów, które są przekleństwem każdego władcy świata.

Tej zimy i wiosny miałam się okazję przekonać, jak nudne potrafią być sprawy państwowej natury. Zdumiewała mnie żądza tronu, jakiegokolwiek tronu, u niektórych ludzi. Alornowie to ludzie bezceremonialni. Alornski król to tylko wódz klanu w koronie. Poddani mają do niego wolny dostęp. Zapewne był to dobry zwyczaj w czasach, gdy król rządził z siodła, ale kiedy przeniósł się do zamku, pojawiły się problemy. Oficjalne audiencje w sali tronowej wymagały oficjalnych przemówień, a to niestety w pewnych ludziach wyzwało przykre zapędy. Krasomówstwo, choćby najświetniejsze, jest jedynie sposobem zwrócenia na siebie uwagi, nadętym: „Patrzcie na mnie”. Większość z „petycji do tronu”, których regent musiał wysłuchiwać, była istnym stekiem bzdur.

- Czy oni muszą tak głądzić bez końca? - zniecierpliwił się Daran pewnego deszczowego wieczoru po zakończeniu urzędowania.

- To sposób na pokazanie się, wasza wysokość - wyjaśnił Kamion.

- Przecież ich widzę, Kamionie. Nie muszą wymachiwać rękoma i wygłaszać mów. Nie możemy jakoś tego ukrócić?

- Skróć dzień pracy, kochanie - zasugerowałam.

- Słucham?

- Udzielaj audiencji przez godzinę każdego ranka, a potem wracaj do swego gabinetu. Fakt, że inni czekają w kolejce i czas jest ograniczony, może zachęcić krasomówców do streszczania się.

Wtem przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Możesz też nakazać, by mów-w dłoniach żelazny pręt.

- A to po co?

- Będę stopniowo rozgrzewać pręt - wyjaśniłam z uśmiechem - Rozpali się do białości. Myślę, że mówca będzie się spieszył, gdy ręce zaczną mu dymić.

- To mi się podoba - powiedział Daran.

- Niestety, to pachnie czarami - zauważył Kamion - i Elthek może zrobić z tego sprawę. Myślę, że możemy sobie poradzić inaczej.

To, co obmyślił Kamion, trąciło geniuszem. Następnego ranka dostojny baron mozolnie odczytywał petycję, wyluszczając powody konieczności zwolnienia go z płacenia podatków.

- Zdaje się, że znalazłem rozwiązanie naszego problemu - mruknął Kamion do mnie i Darana. Zszedł z podium i niedbałym krokiem podszedł do mówcy. - Mogę to zobaczyć, stary? - zapytał uprzejmie, wyciągając rękę po arkusz papieru w dłoni barona. Potem

zdecydowanym ruchem wziął dokument od zaskoczonego szlachcica i spojrzał na nań. - Bardzo interesujące - oznajmił. - Jego wysokość rozważy to i powiadomi cię o swej decyzji w ciągu miesiąca.

- Ale... - zaczął protestować baron.

- Książę regent z całą uwagą zajmie się tą sprawą, stary. Coś jeszcze?

Zbity z tropu baron zaczął coś bełkotać.

- Kapralu - zawrócił się Kamion do jednego z żołnierzy przy drzwiach.

- Słucham, lordzie Brand?

- Mógłbyś mi znaleźć gdzieś kosz?

- Sądzę, że tak, panie.

- Bądź więc tak dobry i zajmij się tym.

- Oczywiście.

Kamion wrócił na podium i stanął twarzą do zebranych.

- Jego królewską wysokość trapi to, że istota waszych petycji gubi się często podczas głośnego odczytywania, panowie, a to, co macie do powiedzenia, zasługuje na lepsze zrozumienie. Gdy tylko kapral, przejdzie pomiędzy wami. Włóżcie petycje do kosza. Tym sposobem będziecie mogli wrócić do swoich spraw, nie marnując czasu na oczekiwanie na głos. Pomyślcie, ile godzin oszczędzicie i ile ważnych spraw będziecie mogli załatwić.

Zebrani gapili się na niego w osłupieniu. Wiedziała, że większość z nich nie ma nic do roboty. Godziny spędzone w sali tronowej nadawały sens ich istnieniu.

Potem kapral wrócił z koszem i na polecenie Kamiona przeszedł pomiędzy zgromadzonymi. Zebrał wszystkie pracowicie przygotowane petycje, choć niechętnie mu je oddawano.

- Doskonale, panowie! - oznajmił Kamion. - Wspaniale! A teraz wracajmy do pracy. - Spojrzał w okno. - Pada - zauważył. - Szkoda, bo moglibyśmy pójść na ryby. Możemy uznać audiencję za zakończoną?

Daran wstał z fotela, po czym wraz z Kamionem wyszliście za nim z sali.

- Wcale mi się nie przysłużyłeś, Kamienie - poskarżył się Daran. - Teraz muszę przeczytać te wszystkie bzdury.

- To nie zajmie waszej wysokości wiele czasu - zapewnił go Kamion. Podeszedł do kominka i wrzucił zawartość kosza do ognia. - Och, ale ze mnie niezłoda!

Nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu.

Uważam, że dworne i uprzejme maniery Kamiona bardzo pomogły mi przetrwać trudny okres po śmierci Beldaran. Był mądry, absolutnie lojalny i pełen osobistego uroku, który

sprawiał, że wszystko, czego się dotknął, szło gładko. Jego żonę znałam całkiem dobrze. Choć niechętnie rozstawała się z mężem, rozumiała, że jego pozycja wymaga spędzania długich godzin ze mną i Daranem. W relacjach pomiędzy mną i Kamionem nigdy do niczego niewłaściwego nie doszło, ale gdyby sytuacja była inna...

No cóż, nie ma chyba potrzeby roztrząsania tego tematu?

Był początek lata 2038 roku, gdy pojawił się problem o wiele poważniejszy od rozwlekłych petycji dostarczanych władcy. Choć wybrzeża Wyspy Wiatrów wyglądają na nagie i wrogie, to wewnętrzne doliny są urodzajne i porośnięte bujną roślinnością - szczególnie w południowej części wyspy. Pozycja w alornskim społeczeństwie zależała - i pewnie nadal zależy - od posiadanego areału nadającej się do uprawy ziemi i owe południowe doliny były bardzo łakomym kąskiem. W jednej z nich żył wówczas baron Garhein, typowy alornski tyran który miał syna, Karaka, jak się okazało, pijaka i brutala. Ich sąsiad, baron Altor, był ojcem Cellan, pięknej, delikatnej i kulturalnej dziewczyny. Po długich targach Garhein i Altor doprowadzili do związku pomiędzy swymi dziećmi. Panna otrzymała zgodę na małżeństwo.

To nie był szczęśliwy związek. Karak do komnaty panny młodej wszedł kompletnie pijany i bliższą znajomość z Cellan zawarł w najbardziej brutalny sposób, jaki można sobie wyobrazić. Potem o już tylko gorzej. Okazało się, że Karak, typowy podlec i bije żonę. Wieść o tym dotarła do Altora, który na czele swych ludzi przybył córce z pomocą. Po obu stronach było kilka ofiar, ale Altorowi udało się zabrać Cellan do domu. Potem oznajmił, że uznaje małżeństwo za nieważne, i zabrał posag. Garhein zapłonął gniewem, nie z powodu rozbicia małżeństwa, ale straty ziemi. Działania zbrojne nabierały coraz większego rozmachu, ponieważ kolejni kuzynowie, wujkowie, siostrzeńcy i dalsi członkowie rodzin opowiadali się po jednej ze stron. Zabito mieszkającego samotnie oracza, a zbiory i zabudowania spalono.

W końcu wieści o tym dotarły do Cytadeli i zebraliśmy się w gabinecie Kamiona na naradę.

- Obaj są bardzo wpływowi - powiedział ponuro Kamion - i mają bogato rozgałęzione rodziny. Będziemy musieli podjąć jakieś kroki, w przeciwnym zrobi nam się tu druga Arendia.

- Czy rzeczywiście można w ten sposób unieważnić małżeństwo? - zapytał Daran.

- Na ten temat opinie są podzielone, wasza wysokość - odparł Kamion. - W większości przypadków jest to zależne od władzy, jaką posiadają obaj ojcowie. Jeśli ojciec pana młodego ma większą władzę, żona jest uznawana za własność. W przeciwnym wypadku, nie. Daran zmarszczył brwi.

- Czy mam wystarczająco dużą armię, aby wymusić ugodę na tych dwóch zapaleńcach?
- To zostawiłbym sobie w rezerwie, wasza wysokość. Spróbujmy najpierw z nimi porozmawiać. Choć ogólna mobilizacja pewnie nie zawadzi. Dałbyś w ten sposób wyraz swego niezadowolenia.

- W jakim stanie jest skarbiec, ciociu Pol? - zapytał Daran. - Czy mogę sobie pozwolić na mobilizację?

- Myślę, że tak, jeśli nie będziesz jej zbyt długo przeciągał. - wtem przyszedł mi do głowy pewien pomysł. - A może zamiast tego urządzmy turniej?

- Przepraszam, ciociu Poi, ale nie rozumiem.

- To arendyjski zwyczaj, wasza wysokość - wyjaśnił Kamion. - Rodzaj militarnych zawodów, na które składają się konkursy łucznicze, pozorowane walki na miecze, rzucanie toporami, potyczki kopie...

- Na czym polegają potyczki na kopie?

- Dwóch zbrojnych usiłuje się wysadzić z siodła ostrym, na dwadzieścia stóp drągiem.

- Cóż za dziwaczny wymysł.

- To możemy sobie darować - powiedział Kamion. - Alornowie zwykle nie walczą konno. - Spojrzał na mnie. - Miałaś dobry pomysł, Pol. Garhein i Altor przekonają się, jakie siły potrafi zgromadzić król, a do tego jeszcze szlachta z własnej kieszeni pokryje koszty przybycia. Dzięki temu osiągniemy cel, nie opróżniając skarbcza.

- A jeśli nikt nie przybędzie? - zaniepokoił się Daran.

- Przybędą, kochanie - zapewniłam go. - To okazja do pokazania się. Pola już obsiane, więc nic ludzi nie trzyma. Zaproszenie to zaszczyt, więc możemy być pewni, iż każdy szlachcic pokaże się na turnieju.

- Włączając w to Garheina i Altora?

- Oczywiście. Wezwiemy ich do Cytadeli. Będą w mieście, więc nie zdołają się wykręcić.

- I damy im lekcję - dodał Kamion. - W innych częściach Wyspy też dochodzi do drobnych waśni. Jeśli surowo rozprawimy się z Garheinem i Altorem, inni zyskają powód do namysłu.

- To może trochę zbyt optymistyczny pogląd, Kamionie - powiedziałam. - W końcu mówimy o Alornach.

Zaproszenia na zawody zostały rozesłane. W mieście zaroilo się od krzepkich Alornów. Uwagi Altora i Garheina nie uszło, że na wezwanie księcia odpowiedzieli prawie wszyscy zdolni nosić broń. Regencja nie miała jeszcze roku, ale władza Darana była już dobrze

umocniona. Zostawiliśmy obu zwaśnionym baronom nieco czasu na lepsze zrozumienie sytuacji, a potem Daran wezwał ich do Cytadeli. Spotkanie miało się odbyć w sali tronowej, gdzie wszystkie symbole władzy były dobrze widoczne.

Moja sympatia była całkowicie po stronie barona Altora i jego córki, jawna brutalność Karaka napawała mnie odrazą. Muszę jednak przyznać, że Garhein i Altor niewiele się od siebie różnili. Obaj byli potężni, krzepcy, brodaci i niezbyt bystrzy. Mieli na sobie kolczugi, ale byli bez mieczy, ponieważ Kamion przezornie zarządził, iż każdy przed wejściem do sali tronowej zostawia broń. Garhein miał rozczochrane włosy, Altor - czarne, tłuste, które przypominały mokry koński ogon. Choć pora była jeszcze wczesna, Karak zdążył się już upić. Był to ślamazarny młodzian, z rzadkim zarostem i nie uczesаныmi włosami. Cuchnął na całą salę tronową. Córka Altora, Cellan, wydawała się w tej grupie jedyną trochę cywilizowaną osobą. Była ładna o typowej alornskiej, pszenno-buraczanej urody, ale jej błękitne oczy spoglądały równie twardo jak ojcowskie.

Zwaśnione rodziny zajęły miejsca po przeciwnych stronach sali tronowej- Wieść o spotkaniu rozeszła się po mieście, więc sala pełna była ciekawskich.

Daran, Kamion i ja mieliśmy pod dostatkiem czasu, by ustalić plan działania, więc całe wydarzenie było starannie przygotowane. Gwardia pałacowa - uzbrojeni, krzepcy wojacy w kolczugach - obstawiała ściany, by nikt nam nie przeszkadzał. Usunęliśmy z podium fotel i stół Darana. Po wkroczeniu do sali mój siostrzeniec podszedł prosto do ojcowskiego tronu i na nim zasiadł.

To wywołało pewne poruszenie.

- Przystąpmy do sprawy - oznajmił lakonicznie. Ton jego głosu nie zostawiał wątpliwości, kto tu rządzi. - Mój ojciec zaniepokojony jest pewnymi wydarzeniami, do których doszło na południowym krańcu Wyspy. Nie chcemy chyba, aby dłużej się niepokoił? - Pochylił się do przodu. - Baronie Garheinie i baronie Altorze, podejdźcie tutaj. - Władczym gestem wskazał miejsce tuż przed podwyższeniem.

Obaj zwaśnieni baronowie zbliżyli się ostrożnie.

- Mam zamiar tu i teraz położyć kres rym idiotyzmom - poinformował ich mój jasnowłosy siostrzeniec. - Każdy, kto potem zakłóci królewski spokój, niech się lepiej od razu zacznie pakować, ponieważ natychmiast przeprowadzi się na północny kraniec Wyspy.

- Wasza wysokość! - zaprotestował Garhein. - Tam są tylko skały. Nikt nie wyżyje na północnym krańcu Wyspy Wiatrów!

- Jeśli jeszcze raz wyciągniesz miecz, Garheinie, będziesz miał okazję się o tym przekonać. Mógłbyś hodować kozy. Kozy jedzą prawie wszystko.

Karak poderwał się chwiejnie na nogi.

- Nie możesz tego zrobić! - ryknął na Darana pijackim głosem.
- Czy możesz sprawić, by ten głupiec wytrzeźwiał, ciociu Pol? -Daran.
- Oczywiście - odparłam.
- Bardzo cię proszę.

Byliśmy pewni, że pijany Karak w którymś momencie się wtrąci, więc się na to przygotowaliśmy.

Daran już zademonstrował swą moc. Teraz była kolej na mnie Fakt, że Elthek był przy tym obecny, sprawił, iż nieco przesadziłam ze swoim występem. Tego dnia Daran, Kamion i ja nie szczędziliśmy pokazowych lekcji.

- Przyrowadź tu tego pijaka - poleciłam potężnemu dowódcy straży.
- W tej chwili, lady Polgardo - odparł barczysty wojak. Bezceremonialnie utorował sobie drogę w zdumionym tłumie, pochwycił Karaka za kark i zaciągnął go przed tron.

Wyciągnęłam rękę, pstryknęłam palcami i zażyczyłam sobie pojawienia się kufla. Potem wyciągnęłam szklany flakonik z rękawa i wlałam jego zawartość do naczynia. Uniosłam je i powiedziałam:

- Piwo.

W sali zapadła kompletna cisza, więc dźwięk wydawany przez strumień spienionego, bursztynowego piwa, lejącego się z powietrza, był doskonale słyszalny. Spojrzałam na Eltheka i z pewną satysfakcją zauważyłam, że oczy wyszły mu na wierzch. Ludzi udających, że znają się na magii, zawsze zaskakuje zetknięcie z prawdziwymi czarami. Potem podeszłam do wrywającego się, cuchnącego Karaka.

- Bądź grzecznym chłopcem i wypij to - poleciłam. Spojrzał na kufel, jakby to był wąż, i schował ręce za plecy.

- Zmusz go, żeby to wypił, sierzancie - polecił Daran dowódcy straży.
- Z przyjemnością, wasza wysokość - odparł barczysty wojak. Bezceremonialnie schwycił rękę pijaka i zacisnął jego palce w swojej dłoni. -Wypij to! - zagrział.

Karak wrywał się słabo.

Potem wojak zaczął ścisnąć - powoli. Miał potężne bary i dłonie jak balerony. Pewnie z kamienia potrafiłby wycisnąć krew.

Karak stanął na palcach, kwicząc jak prosiak.

- Wypij to! - powtórzył sierżant.
- Wasza wysokość! - zaprotestował Garhein.

- Cisz! - rzucił surowo Daran. - Nauczycie się mnie słuchać! Sierżant nadal ścisnął dłoń Karaka w swych mocarnych palcach. W końcu pijaczyna wyrwał mi kufel z ręki i wypił.

- Sierżancie - zwróciłam się do żołnierza - spodziewam się, że młody przyjaciel może się poczuć niedobrze za kilka minut. Zaprowadź go pod ścianę, żeby wszystkich nie ochlapał.

Sierżant uśmiechnął się szeroko i odciągnął Karaka na bok, gdzie zapity młodzian zaczął głośno wymiotować.

- Lady Cellan - powiedział wówczas Daran - czy zechciałabyś na chwilę zbliżyć się do tronu?

Cellan posłusznie, choć z lekkim wahaniem, podeszła do podwyższenia.

- Czy chcesz wrócić do swego męża? - zapytał Daran.

- Nigdy! - wybuchła. - Prędeż się zabiję! On mnie bił, wasza wysokość. Za każdym razem, gdy się upił, to znaczy codziennie, szedł do mnie z pięściami.

- Rozumiem. - Daran miał twarz niczym z kamienia. - Żaden przyzwoity człowiek nie bije kobiety - oznajmił - zatem, na mocy królewskiej władzy, małżeństwo Karaka i Cellan niniejszym uważam za rozwiązane.

- Nie możesz tego zrobić! - ryknął Garhein. - Obowiązkiem kobiety jest poddanie się mężowskiej karze, gdy na to zasłuży.

- Jest także obowiązkiem szlachcica poddanie się karze swego władcy, gdy na to zasłuży - zapewnił go Kamion. - Korcisz los, baronie Garheinie.

- Doszliśmy do kwestii własności tego gruntu - powiedział Daran.

- Ziemia jest moja! - wrzasnął Garhein.

- Moja! - odkrzyknął Altor. - Wróciła do mnie w całości, gdy jego wysokość rozwiązał małżeństwo.

- Prawdę mówiąc, stary - wszedł mu gładko w słowo Kamion - ziemia należy do Korony. Cała Wyspa należy do Korony. Ty jedynie zarządzasz swoim gruntem z woli króla.

- Całymi tygodniami moglibyśmy dyskutować nad prawnymi niuansami - powiedział Daran - ale prawne dyskusje są nudne, więc żeby nie marnować czasu i... krwi... po prostu podzielimy sporną działkę na pół. Połowa będzie barona Garheina, a połowa barona Altora.

- Nie do pomyslenia! - zaprotestował Garhein.

- A zatem zacznij myśleć o kozach, Garheinie, lub banicji. Zrobisz jak ci kazałem. - Potem mój siostrzeniec zmrużył oczy. - Żeby was uchronić was, waszych rozlicznych stronników i krewnych od robienia głupstw, zbudujecie mur wysoki na piętnaście stóp przez środek tej działki. To wam da zajęcie i będzie trzymać z dala od siebie. Chcę widzieć szybkie

postępy przy budowie tego muru, panowie, i chcę obu was widzieć przy noszeniu kamieni. Nie zwalicie tego na swych poddanych.

- To dwadzieścia mil, wasza wysokość! - wykrzyknął zdumiony Altor.

- Tylko tyle? Powinniście zatem skończyć budowę w ciągu kilkudziesięciu lat. Chcę, abyście stanęli na przeciwnych krańcach i rozpoczęli budowę. Sierżant wyznaczy wam środek. Potraktujcie to jak zawody. Może nawet pozwolę zwycięzcy w nagrodę zachować głowę. Lord Brand zna imiona wszystkich waszych stronników, wesprą was w tym wielkim dziele, dobrowolnie lub w łańcuchach. Czy jasno się wyraziłem?

Obaj spojłali na niego płonącem wzrokiem, ale mądrze postanowili się nie odzywać.

- Podejrzewam, panowie, że nie będziecie cieszyć się zbyt wielką sympatią krewnych - zauważył Kamion. - Radziłbym wam w czasie budowy nosić kolczugi, z przezorności.

- Zajmijmy się teraz tym zarzygancem w kącie - powiedział Daran, wstając z posępną miną z tronu swego ojca.

Karak zdążył już opróżnić żołądek ze wszystkiego, co zjadł w ciągu kilku minionych tygodni. Był blady i trząsał się okropnie, gdy barczysty sierżant przywłókł go przed podwyższenie.

- Porządny człowiek nie bije żony, Karaku - powiedział Daran -więc nauczę cię dobrych obyczajów. - Sięgnął za tron i wyciągnął długi, giętki bicz.

- Nie możesz! - niemal wrzasnął Garhein. - Mój syn jest szlachcicem!

- Chyba odmiennie rozumiemy pojęcie szlachetności, Garheinie

- powiedział mu Daran. - Ponieważ jednak ten zapijaczony łajdak jest twoim synem, tobie zostawię wybór. Mam zamiar go wychłostać albo odrąbać mu ręce. Wybieraj.

- Pozbawienie Karaka rąk na zawsze ustrzeże go przed biciem kobiet, wasza wysokość - zauważył rzeczowo Kamion. - Może też raz na zawsze ukrócić jego pijaństwo, chyba że chciałby chleptać piwo z miski jak pies.

- Słuszne spostrzeżenie, lordzie Brand - zauważył Daran. Sięgnął po miecz swego ojca, który rozbłysnął radośnie błękitnym blaskiem.

-A zatem, Garheinie? Co wybierasz? -W jednej ręce wyciągnął płonący miecz, w drugiej bicz.

Garhein gapił się na niego w niemym osłupieniu.

- Odpowiadaj! - ryknął Daran.

- Ba-ba-bat, wasza wysokość - wyjąkał.

- Mądra decyzja - mruknął Kamion.

Potem dowódca straży, który najwyraźniej był wcześniej wszystkim poinstruowany, ściągnął z Karaka kolczugę, rzucił go na kolana i złapał za kostkę.

- Żeby nie uciekł na czworakach pod meble, wasza wysokość - wyjaśnił, stawiając nogę na drugiej kostce Karaka.

- Dziękuję, sierżancie - powiedział Daran. Potem powiesił miecz z powrotem na ścianie, zrzucił płaszcz na podłogę, zdjął kaftan i podwinął rękawy. - No, do roboty - powiedział i zaczął chłostać wrzeszczącego, wrywającego się pijaczynę. Zauważyłam, że Cellan rozkoszowała się każdą minutą. Jak już wspominałam, Alornowie są prostymi ludźmi.

Daran skończył, odrzucił bicz.

- Myślę, że to kończy na dziś nasze sprawy, przyjaciele - oznajmił zszokowanemu zgromadzeniu. - Jeśli dobrze pamiętam, po południu zaczynają się zawody łucznicze. Może sam nawet wypuszczę kilka strzał. A zatem do zobaczenia na zawodach.

Po powrocie do gabinetu Kamiona od razu przeszłam do rzeczy.

- Chłostę zaplanowaliście zawczasu, prawda?

- Oczywiście, ciociu Pol - odparł z uśmiechem Daran.

- Bez porozumienia ze mną?

- Nie chcieliśmy ci zawracać głowy, Pol - powiedział Kamion. - Naprawdę uważasz, że to była zbyt obraźliwa kara? Udałam, że się zastanawiam.

- W zasadzie nie - przyznałam. - Biorąc pod uwagę zachowanie Karaka, była najzupełniej właściwa.

- Rozważaliśmy również inne możliwości - powiedział Kamion. - Pomyślałem, że uprzejmię byłoby z mojej strony wyzwać tego zapijaczonego bydlaka na miecze, a potem posiekać go na kawałki, ale Jego królewska wysokość uznał, że to mogłoby cię zdenerwować, więc zostaliśmy przy chłości. Mniej przy niej bałaganu, rozumiesz.

- A groźba obcięcia rąk?

- Wymyśliłem to na poczekaniu, ciociu Pol - przyznał Daran. - Chciałem dać do zrozumienia, co sędzę o biciu żony. - Potem strzelił pacami. - Czemu nie usankcjonować prawem takiej kary za podobne Przepięstwo, Kamionie?

- Jesteś barbarzyńcą, Daranie - oskarżyłam go.

- Nie, ciociu Pol, jestem Alornem. Znam swój lud i wiem, czego się boją. Nie chcę rządzić strachem, ale chcę, aby Rivanie zrozumieli, że sprawy mogą przybrać dla nich bardzo paskudny obrót, jeśli zrobią coś, czego nie pochwalam, a naprawdę nie pochwalam bicia żon - Usiadł wygodniej w swym fotelu i w zamyśleniu popatrzył przez okno na słoneczny, jasny dzień. - To istota całej władzy, ciociu Pol - powiedział w zamyśleniu. - Możemy zachowywać

się kulturalnie i uprzejmie, ale władza zawsze opiera się na strachu. Na szczęście nie musimy się zbyt często do niego odwoływać. Gdybym wcześniej wiedział, co wiąże się z zasiadaniem na ojcowskim tronie, to by mnie tu nie było. Uciekłbym, i nikt, ani ty, ani dziadek, nigdy byście mnie nie odnaleźli.

W tym momencie byłam z niego naprawdę dumna. Wieści o sposobie załatwienia waśni pomiędzy Garheinem i Altorem szybko rozeszły się po Wyspie. Rivanie zaczęli spoglądać na swego młodego księcia regenta z nowym szacunkiem. Daran radził sobie świetnie.

Z końcem następnego lata do portu zawinął Anrak, kuzyn Rivy i Algara. Anrak sporo podróżował. Większość ludzi w końcu gdzieś osiada, ale on był urodzonym wędrowcem. Posiwał, lecz nadal wyglądał młodzieńczo. Długo rozmawiał z Rivą, a potem wraz ze mną, Kamionem i Daranem zasiadł w błękitnej komnacie narad, wysoko w jednej z wież Cytadeli. Postanowiliśmy bowiem poszukać sobie innego miejsca pracy, gdy dzieci Kamiona zaczęły coraz częściej plątać się po jego gabinecie.

- Mój kuzyn nigdy nie pogodzi się ze śmiercią żony, prawda, Pol? - zapytał Anrak, gdy usiedliśmy przy długim konferencyjnym stole.

- Opowiada o dawnych czasach, ale nie ma pojęcia, co dzieje się teraz. Zachowuje się tak, jakby jego życie skończyło się wraz ze śmiercią twojej siostry.

- Tak właśnie się stało - powiedziałam mu. - Z moim życiem wcale nie jest inaczej.

- Widywałem już podobne przypadki, Pol - odparł z westchnieniem. - To nie wróży nic dobrego. - Ponownie westchnął i spojrzął na Darana. - Jak on sobie radzi? - zapytał, jakby Daran był nieobecny.

- Wiążemy z nim pewne nadzieje - odparł Kamion i opowiedział historię pogodzenia zwaśnionych baronów.

- Dobrze się spisałeś, Daranie - powiedział z aprobatą Anrak. - Ach, zanim zapomnę, wujek Cherek prosił, żebym wam coś przekazał.

- Co u niego? - zapytał Daran.

- Starzeje się - odparł Anrak ze wzruszeniem ramion. - Ale nadal lepiej mu nie wchodzić w drogę. Ma kłopoty z kultem niedźwiedzia i chciał, abym was ostrzegł. - Na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. - W dawnych czasach kult nie miał żadnego spójnego systemu wierzeń. Wyznawcy szukali jedynie teologicznego usprawiedliwienia dla plądrowania południowych królestw. Wszystko się zmieniło, gdy Belgarath z kompanami odebrali Torakowi Klejnot. Teraz wyznawcy kultu pragną, aby Riva - lub jego następca - poprowadził ich na południe ze swym płonącym mieczem. Riva stała się dla wyznawców kultu najważniejszym miejscem.

- My też mamy tu pewne problemy - zauważył Kamion. - Elthelc, miejscowy kapłan, przewodzi na Wyspie wyznawcom kultu. A ponieważ jest najwyższym kapłanem Belara, musimy obchodzić się z nim ostrożnie. Riva nie chciał żadnych bezpośrednich konfrontacji z Kościołem, więc nie wziął diakona za kark, choć pewnie powinien.

- Ja nie jestem tak ugodowy jak mój ojciec - zauważył Daran. - Już wkrótce zabiję Eltheka.

- Czy to nie jest nielegalne? - zapytał Anrak.

- Zmienię prawo - odparł Daran.

Przyjrzałam mu się uważniej. Chyba był najwyższy czas trochę go utemperować. Mój siostrzeniec, ośmielony sukcesem, jakim zakończyła się rozprawa między Garheinem i Altorem, szybkimi krokami zmierzał ku tyranii.

- Czy Dras ma te same problemy? - zapytał Kamion Anraka.

- Tam jest nawet gorzej - odparł markotnie Anrak. - Po tym jak Algar bez litości rozprawił się z kultem w Algarii, ocaleni z pogromu uciekli na mokradła, a potem na tereny przygraniczne, w kierunku Gar og Nadrak. Kult kontroluje cały obszar na wschód od Boktoru.

- A zatem można powiedzieć, że tu tkwi istota problemu - zauważył Kamion. - Tu jest Klejnot i jeśli kult zdobędzie kontrolę nad Strażnikiem Klejnotu, wszyscy pomaszujemy na południe.

- Możesz ten problem rozwiązać, każąc wszystkim kapłanom Belara płynąć z powrotem do Val Alorn - rzekł Anrak z drapieżnym uśmiechem.

- W pełnej zbroi - dodał Daran.

- Nie - powiedziałam stanowczo. - Niektórzy z tych kapłanów są niewinni, a ludziom potrzebne jest religijne wsparcie. Myślę jednak, że Kamion ma rację. Wolałabym, żeby kult nie rozkwitał tak blisko Klejnotu.

- Co innego możemy zrobić, ciociu Pol? - zapytał Daran.

- Wyznanie? - zaproponował Kamion.

- Nie zyskasz wielkiej popularności w Val Alorn i Boktorze, Jeśli wyślesz do nich nową falę fanatyków - powiedział Anrak.

- Nie o tym myślałem - powiedział Kamion. - Chciałbym wysłać tutejszych wyznawców kultu tam, gdzie moglibyśmy mieć ich na oku.

- Świetnie, do lochów z nimi! - zakrzyknął Anrak.

- Trzymanie ludzi w zamknięciu za dużo kosztuje - zaprotestował Daran. Dlaczego wszyscy władcy świata cały czas martwią się o pieniądze? Wtem memu siostrzeńcowi oczy rozbłysły. - Lordzie grand, pamiętasz, czym straszylem Garheina i Altora zeszłego lata?

- Wysłaniem ich na północny kraniec Wyspy, czy o to chodzi waszej wysokości?

- Właśnie.

- Wyznawcy kultu zrzucą swe ceremonialne szaty i z powrotem przekradną się do miasta, wasza wysokość.

- Trudno przekraść się przez otwarte morze, Kamionie - roześmiał się Daran. - Główna wyspa otoczona jest wysepkami. Jeśli wyślemy tam wszystkich wyznawców kultu, to nie będziemy się musieli już więcej nimi martwić.

- To są Alornowie, wasza wysokość - przypomniał mu Kamion. - Budowanie łodzi mają we krwi.

- A z czego mieliby zbudować te łodzie?

- Z drewna.

- Na tych wysepkach nie będzie żadnych drzew, Kamionie. Każę ściąć wszystkie drzewa, nim ześlę tam wyznawców kultu.

- Będziesz ich musiał jakoś wyżywić, Daranie - powiedział Anrak.

- Mogą się wyżywić sami. Damy im nasiona, zwierzęta i narzędzia rolnicze. Albo się wezmą do uprawy roli, albo zginą z głodu. Anrak uśmiechnął się.

- To może się powieść - przyznał. - Musicie jednak patrolować wybrzeża, żeby poplecznicy więźniów nie przyłynęli im na ratunek.

- Myślę, że zdołam przekonać dziadka Chereka, aby mnie w tym wyręczył. On nie zamierza znosić wyznawców kultu w Val Alorn, więc z pewnością zechce naszych wyznawców zatrzymać tutaj. Jego okręty i tak patrolują wody, by nie dopuścić tu Angaraków, więc nie będzie go to nic dodatkowo kosztowało.

- Teraz trzeba jedynie znaleźć jakiś pretekst - powiedział Kamion

- Żadna zmyślona historia na nic się nie zda, prawda? - zapytał

- Spróbujmy trzymać się prawdy, Anraku. Kłamstwo czasami żyje własnym życiem. Trzeba ciągle coś do niego dodawać.

- Może udałoby nam się dopaść ich w czasie jednej z sekretnej ceremonii - zaproponował Anrak. - Przyzwoitym ludziom wydają się dość odrażające.

- Tak? - zapytał Daran. - A jak wyglądają?

- Wszyscy przywdziewają niedźwiedzie skóry i upijają się do nieprzytomności - odrzekł Anrak ze wzruszeniem ramion. - Ich żony i córki nic nie mają na sobie i nie robi im różnicy, z

kim... - zawahaj się, spojrzal na mnie i poczerwieniał. - W każdym razie - szybko przeszedł dalej - kapłani popisują się tym, co nazywają magią. To jednak tylko prymitywne jarmarczne sztuczki i...

- Doskonale! - wykrzyknęłam.

- Nie rozumiem, ciociu Pol - powiedział Daran.

- Czyż Elthek nie nakłonił twego ojca do wyjęcia czarów spod prawa?

- No cóż... zdaje się, że tak.

- Ścisłe przestrzeganie tego prawa każe potraktować owe tajemne obrzędy wraz z całą imitacją magii za przejaw uprawiania czarów przez wyznawców kultu, prawda?

- To jest piękne, Pol! - wykrzyknął z zachwytem Kamion.

- Jeśli dowiemy się, gdzie i kiedy jakiś obrzęd będzie miał miejsce, uderzymy i zgarniemy wszystkich - powiedział Anrak. - Będziemy mieli dość dowodów, by postawić w stan oskarżenia cały kult. - Myślał przez chwilę. - Jeśli poczekać do przesilenia jesiennego, pewnie złapiecie wszystkich wyznawców kultu na Wyspie Wiatrów. To dla nich wielki dzień.

- Tak? - zapytał Daran. - Dlaczego?

- Podanie mówi, że Torak rozłupał świat w równonoc jesienną. Wyznawcy kultu zawsze świętują to wydarzenie. Każdy okręg w Chereku, Drasni i Algarii urządza tej nocy własne święto.

- Mam swoich informatorów - dumal Kamion. - Powinni bez trudu wywiedzieć się, gdzie mają się odbyć uroczystości. Dam im znać i w ciągu tygodnia będziemy wszystko wiedzieć.

Daran westchnął niepokieszony.

- Kolejny dobry pomysł wziął w łeb - powiedział ponuro.

- Jaki to był pomysł, mój drogi? - zapytałam.

- Miałem nadzieję, że uda mi się zmusić Eltheke do własnoręcznej uprawy roli, ale jeśli ześlemy go na wyspę wraz ze wszystkimi, to pewnie zwykli członkowie kultu będą musieli pracować na kapłanów

- Nie przejmowałbym się tym zbytnio, Daranie - rzekł Anrak. - Pływałem wzdłuż północnego wybrzeża Wyspy Wiatrów. Tam jest mnóstwo wysepek, ale żadna nie jest na tyle duża, by zapewnić byt więcej niż kilku ludziom. Elthek ubrudzi sobie ręczki, jeśli będzie chciał jeść-

- Cudownie! - rozpromienił się Daran.

Szpiedzy Kamiona donieśli nam, że w odróżnieniu od praktyk wyznawców kultu w innych alornskich królestwach, tutejsi wyznawcy zbierali się w wąskim wąwozie, w górach

wznoszących się nad Cytadelą. Najwyraźniej nasz diakon lubił mieć ścisłą kontrolę nad swymi popiecznikami.

Na tydzień przed jesiennym przesileniem doszło pomiędzy mną i Kamionem do małej sprzeczki. Bardzo się zdenerwował, gdy oznajmiłam, że wraz z nim udam się do wąwozu.

- Wykluczone - powiedział. - To będzie zbyt niebezpieczne.

- A co zrobisz, jeśli się okaże, że diakon zna się na prawdziwej magii, Kamionie? Niewiele pomożesz Daranowi, jeśli Eltheck zamieni cię w ropuchę.

- To absurd, Pol. Nikt tego nie potrafi.

- Nie bądź tego taki pewny, Kamionie. Ja chyba potrafiłabym... gdybym się do tego przyłożyła. Jeśli Eltheck posiada tego rodzaju talent, to tylko ja potrafię się mu przeciwstawić. Idę z tobą, Kamionie, więc się ze mną nie sprzeczasz.

Żołnierzy, którzy mieli aresztować wyznawców kultu, wybrano bardzo starannie. Ze względów bezpieczeństwa nie wyjawiono, na czym misja ma polegać. Kamion rozmieścił ich grupami w górach i kazał pozostawać w ukryciu. Wyznawcy kultu zaczęli ściągać do miasta w ostatnie dni lata. Potem Eltheck wysłał ich do wąwozu, by poczynili przygotowania do święta. Cała ta sprawa przybrała wręcz komiczny obrót. Grupki uzbrojonych mężczyzn czaiły się w lasach, unikając się nawzajem jak zarazy. Ja sporo czasu w ciągu tych dwóch tygodni spędziłam, fruując pomiędzy drzewami i upewniam się, że wyznawcy kultu nie zmieniają planów w ostatniej chwili.

Nasz plan był prosty: Ukryjemy na stromych zboczach wąwozu znaczną liczbę wielce szanowanych szlachciców i zwykłych obywateli by obserwowali ceremonię Elthecka. Gdy zgromadzimy już dość odrażających dowodów, a wyznawcy kultu będą zbyt pijani, by się opierać, wyślemy żołnierzy, by ich wyłapali. Dopiero w przeddzień jesiennej równonocy stanowczo oświadczyliśmy Daranowi, że nie wyruszy z nami.

- Ty będziesz ich sądził, wasza wysokość - powiedział Kamion. - Utracisz pozory bezstronności, jeśli będziesz przewodził atakowi.

- Ale...

- Żadnych ale, mój drogi - ucięłam protesty Darana. - Gdybyś naprawdę był królem, to co innego, ale jesteś tylko regentem, więc musisz być ostrożny. Bronisz tronu ojca, nie swego.

- On będzie mój.

- Widzę sporą różnicę między „będzie” a „jest”, Daranie. W tej sytuacji musisz stwarzać wrażenie bezstronnego. Możesz jutrzejszy wieczór spędzić przed lustrem, ćwicząc wyrazy oburzenia. Potem, gdy Anrak, Kamion i ja zaciągniemy wyznawców kultu przed twoje

oblicze i przedstawimy zarzuty, nikt nie będzie mógł posądzić cię o uczestnictwo w naszym spisku. Wrażenie jest bardzo ważne w takich sytuacjach.

- Niech wasza wysokość ma na uwadze fakt, że uprawianie czarów jest przestępstwem wobec państwa - zwrócił mu uwagę Kamion. - Prawdę powiedziawszy, możesz wielu z nich spalić na stosie.

- Czy rzeczywiście mogę, ciociu Pol? - zapytał mnie Daran.

- Nie daj się ponieść, mój drogi. Skazanie ich na banicję jest jednak rzeczywiście aktem miłosierdzia.

- Naszym zamysłem jest podbudowanie przy okazji twojej reputacji, wasza wysokość - wyjaśnił Kamion.

- Nie wydaje mi się to sprawiedliwe - rzekł Daran.

- Racja, wasza wysokość. To polityka, a polityka nie jest sprawiedliwa. A przy okazji, po rozprawie nie byłoby źle, gdybyś przez jakiś tydzień zastanawiał się nad wyrokiem.

Daran spojrział na niego z zakłopotaniem.

- Dasz mi czas na rozpuszczenie po Wyspie wieści o zarzutach i naszych dowodach - tłumaczył Kamion. - To kwestia opinii publicznej, rozumiesz.

- Wiem, co z nimi zrobię, Brandzie.

- Oczywiście, mój drogi - powiedziałam. - Po prostu nie spiesz się z tym. Zostaw Elthekowi i jego poplecznikom czas na zamartwianie się, nim przekażesz im swój wyrok.

- A gdzie ich będę trzymał w tym czasie?

- Elthek ma dość obszerne lochy pod świątynią Belara, wasza wysokość - zasugerował Kamion bez cienia uśmiechu. - A skoro już tam są...

W tym momencie Daran wybuchł śmiechem.

Potem nastał ów dzień. Wstał pochmurny, groził deszczem.

- Cudownie - powiedział z goryczą Anrak, spoglądając przez naszej błękitnej komnaty narad, gdy świt naznaczył niebo nad W P4 wiatrów. - Nie cierpię przekradania się przez las w deszczu.

- Nie rozpuścisz się - zapewniłam go. - Jeśli chcesz, możesz zabrać z sobą kostkę mydła. Już czas na twą doroczną kąpiel.

- Wyświadczyłaś mi wielką przysługę tamtego dnia w Dolinie, odrzucając moje oświadczenia, Pol.

- O co wam chodzi? - zapytał Daran.

- Byłem wtedy młody i głupi, Daranie - wyjaśnił Anrak. - Niektórym mężczyznom małżeństwo nie jest pisane.

Ta uwaga dała mi do myślenia. Daran kończył w tym roku dwadzieścia trzy lata i wolałabym, aby zbytnio nie przyzwyczał się do kawalerskiego stanu.

Padało cały dzień. Drobną mżawką spowiła wieże Cytadeli i przesłoniła miasto oraz port. Jednak późnym popołudniem niebo przejaśniło się i wszyscy zostaliśmy uraczeni jednym z owych wspaniałych zachodów słońca, dla których warto żyć w deszczowej krainie.

Nie, nie miałam z tym nic wspólnego. Wiecie, co mój ojciec sądzi o mieszanii się do pogody.

Przedstawiciele dobrze urodzonych i zwyczajnych obywateli, którzy towarzyszyli nam tego wieczoru jako świadkowie, byli ludźmi o nieskazitelnej reputacji. Pomimo sprzeciwów Anraka nikt ich nie podzegał ani wrogo nastawiał. Nawet ich nie uprzedzono, że spędzą zajmujący wieczór w ociekającym deszczem lesie. Kamion, działając z ramienia swego urzędu Rivańskiego Strażnika, po prostu wysłał po nich ludzi o zachodzie słońca. Większość z nich w momencie otrzymania wezwania do Cytadeli siedziała właśnie przy kolacji i nie obyło się bez marudzenia.

- O co w tym chodzi, Kamienie? - dopytywał się siwobrody earl, gdy zebraliśmy się wszyscy w stajniach. Earl nazywał się Jarok, to było dość popularne imię wśród Alornów.

- Chcę, abyście byli świadkami pewnego wydarzenia, lordzie Jarok - odparł Kamion.

- Na co mamy patrzeć? - Najwyraźniej Jarok nie był zbyt szczęśliwy w naszym towarzystwie. Miał młodą żonę i chyba planował inaczej spędzić wieczór.

- Nie wolno mi o tym rozmawiać - powiedział Kamion. - tobie, panie, i pozostałym musi wystarczyć informacja, że będziecie świadkami przestępstwa, które zostanie popełnione dziś wieczorem. Przestępcy zostaną pojmاني, a później osądzeni. Wy, panowie, niecie swój obywatelski obowiązek i wystąpicie na procesie j świadkowie.

- A niech to, Kamienie! - oburzył się Jarok. - Powieście ich i po wszystkim.

- Nie mówimy tu o pospolitym włamaniu czy morderstwie w afekcie, panie. To spisek zakrojony na szeroką skalę, który zagraża bezpieczeństwu tronu i całemu królestwu. Chcemy go stłumić w zarodku, więc musimy mieć niepodważalne dowody, by wnieść sprawę pod osąd księcia regenta.

- Aż tak źle? - spytał zaskoczony Jarok. - Naprawdę sprawa jest na tyle poważna, by jej osądem zajął się Daran, a nie zwykły sędzia?

- Jest nawet jeszcze gorzej. Gdyby to było możliwe, postawiłbym tę sprawę przed samym Riwą.

- Na co więc czekamy? Ruszajmy!

Uwielbiam Alornów, kiedy zmieniają zdanie w mgnieniu oka, a wy?

Jazda ku wąwozowi, w którym odbywało się spotkanie wyznawców kultu niedźwiedzia, nikomu nie sprawiła przyjemności. Księżyc i gwiazdy świeciły na niebie, ale las był mokry po deszczu i nim dotarliśmy do wąskiego przejścia łączącego dwie głębokie doliny, zdążyliśmy kompletnie przemoknąć. Zsiadliśmy z koni i zaczęliśmy brnąć w górę zbocza w mokrym poszyciu lasu.

Ze szczytu, na który w końcu dotarliśmy, wyraźnie było widać płonące na dnie wąwozu ognisko wyznawców kultu. Straciliśmy je jednak z oczu, gdy zaczęliśmy czołgać się w dół pomiędzy drzewami.

- Od lat nie bawiłem się tak świetnie, Pol - szepnął Anrak.

- Czy ty kiedyś dorośniesz, Anraku? - zapytałam go dość zgryźliwie, usiłując odczepić kraj sukni z ciernistego krzewu.

- Nigdy, gdyby to ode mnie zależało, szanowna pani. - Jego chichot był zaraźliwy i musiałam zdusić śmiech. Ognisko płonęło na sporej polanie.

- Rozproście się, panowie. - Polecenie Kamiona przekazywano sobie szeptem. - Postarajmy się zobaczyć wszystko, co się będzie działo. - Szlachta, kupcy, rzemieślnicy, którzy stanowili naszą grupę świadków, posłusznie rozdzielili się, czołgając się możliwie jak najciszej abt ich nie dostrzeżono. Potem wszyscy przypadliśmy do mokrej ziemi i rozpoczęliśmy obserwację.

Elthek się jeszcze nie pokazał. Wyznawcy kultu, wszyscy w niedźwiedzych skórkach, zgromadzili się wokół ogniska. Pili mocne piwo i śpiewali - fałszując - stare alornskie pieśni ludowe. Jeden z żołnierzy rozstawionych przez Kamiona w lesie przyczołgał się do nas. Był barczysty mężczyzna ze śmieszoną twarzą.

- Jakie są twoje rozkazy, lordzie Brand? - zapytał szeptem.

- Powiedz swoim wojakom, aby pozostawali w ukryciu, sierżancie - polecił mu Kamion. - Czy ci ludzie przy ognisku rozstawili jakieś straże w lesie?

- Nie, lordzie Strażniku. Gdy tylko odszypuntowano pierwszą beczkę piwa, wszyscy wyszli z lasu. - Żołnierz odchrząknął z lekkim zakłopotaniem. - Ach... lordzie Brand...

- Słucham, sierżancie?

- Wiem, że nie powinienem podejmować żadnych decyzji, tylko słuchać rozkazów, ale coś się wydarzyło i sam musiałem sobie z tym poradzić.

- Co takiego?

- Gdy ci ludzie wokół ogniska schodzili do wąwozu, stało się jasne, że to wyznawcy kultu niedźwiedzia. Niektórzy z moich ludzi przejawiają sympatie wobec tego kultu, więc uznałem za stosowne podjąć pewne kroki. Nikt nie cierpiał - zawahał się, po czym dodał:

- Przynajmniej nie za bardzo. Kazałem tych ludzi przywiązać do drzew kilka mil w górę wąwozu, usta zapchałem im starymi skarpetkami, by nie mogli tamtych ostrzec krzykiem. Czy dobrze postąpiłem, panie?

- Doskonale, kapitanie.

- Jestem tylko sierżantem, panie.

- Już nie. Jak się nazywasz, kapitanie?

- Torgun, panie.

- Dobrze więc, kapitanie Torgunie. Wracaj do swych chłopaków i rozstaw ich tak, by odciąć wszystkie możliwe drogi ucieczki. - Kanion podniósł swój zakrzywiony róg myśliwski. - Gdy go usłyszysz, Każ ludziom atakować. Wszyscy w niedźwiedzich skórach mają zostać zakuci w łańcuchy.

- Zapewne będą próbowali walczyć, panie. Czy mam pozwolenie na użycie siły?

- Rób, co uznasz za konieczne, kapitanie Torgunie.

Na twarzy nowo awansowanego żołnierza pojawił się drapieżny uśmiech.

- Postaraj się nie zabić zbyt wielu, kapitanie - dodałam na wszelki wypadek.

Spojrzał na mnie z wyrazem takiej niewinności, że o mało nie wybuchłam śmiechem.

- Oczywiście, lady Polgardo. Nawet mi się to nie śniło - rzekł, po czym odczołgał się bezszelestnie.

- Dobre posunięcie, Kamienie - szepnął ochryple earl Jarok. - Frontowe awanse to najlepszy sposób na zdobycie dobrych oficerów. Ten żołnierz pójdzie teraz za tobą w ogień.

- Miejmy nadzieję, że to nie będzie konieczne. Wystarczająco paskudnie jest już być przemoczonym do suchej nitki.

Zabawa wokół ogniska stawała się bardziej hałaśliwa, w miarę jak piwo lało się coraz szerszym strumieniem. Wyznawcy kultu kręcili się wokół ogniska z kuflami w dłoniach, usiłując naśladować chód swego totemu. Potem do wąwozu przyszedł Elthek, a za nim nadciągnęli prawie wszyscy kapłani Belara z Wyspy Wiatrów.

- Obawiam się, że będziemy musieli zdziśiatkować duchowieństwo - szepnął Kamion do mnie i Anraka.

- Nie będzie trudno znaleźć zastępców, Kamionie - zapewnił go Anrak. - Kapłani wiodą wygodne życie, nie muszą się wiele pocić.

Potem Elthek przez około godzinę przemawiał do zgromadzonych, okraszając swą przemowę prostymi sztuczkami „magicznymi”. Płomienie kilkakrotnie zmieniały kolory, gdy podwładni diakona ukradkiem wrzucali do ogniska różnorodne proszki. „Duch”, który nie był niczym więcej jak tylko gazą zawieszoną na czarnym sznurku, pojawił się, falując w gorącu

bijącym od ognia. Drugi księżyc, tak naprawdę wielka szklana kula wypełniona świetlikami, wzeszedł nad wąwozem. Skały zaczęły krwawić, a „martwa” owca została wskrzeszona. Wszystko było grubymi niemi szyte, ale Elthek świetnie to udratyzował i pijani wyznawcy kultu otwierali gęby z wrażenia.

- Jak sądzisz, Pol? - zapytał Kamion. - Czy tego czarowania wystarczy już dla naszych celów?

- Czarowania? - zapytałam z pewnym rozbawieniem.

- Zawsze dobrze radziłem sobie ze słowami - odparł skromnie

- Jesteś ekspertem w tej dziedzinie, Pol - powiedział Anrak- Czy Elthek rzeczywiście dał pokaz magii?

To zwykle oszukaństwo. Jednakże do skazania go powinno wystarczyć.

- Sądzę dokładnie tak samo - powiedział Kamion. Sięgnął po swój róg.

- Nie poczekaś na nagie dziewczęta? - Anrak wydawał się rozczarowany.

- Nie, Anraku. Nie komplikujmy śledztwa przez dołączenie do listy oskarżonych kobiet.

- Uniósł róg i zadał, wzywając kapitana Torguna i jego ludzi.

Żołnierze byli dobrze wyszkoleni, a wyznawcy kultu już solidnie podpici, więc obyło się bez większej walki i ofiar.

Elthek nie przestawał krzyżeć: „Jak śmiesz?”, ale zauważyłam, że po miecz nie sięgnął. W końcu kapitan Torgun miał dość wrzasków i uciszył protesty diakona pięścią.

Świtało już, gdy skutych łańcuchami wyznawców kultu przywleczono do miasta Rivy. Wtrąciliśmy ich do lochów pod świątynią Belara. Kamion rozmówił się krótko z kapitanem Torgunem, po czym wraz z Anrakiem i mną odprowadził grupę naszych świadków do Cytadeli, by powiadomić Darana o powodzeniu naszej małej wycieczki.

„Rozprawa” odbyła się następnego dnia na placu przed świątynią. Zauważyłam, że ludzie kapitana Torguna postawili już na placu kilka słupów i wzniesli wokół nich stosy.

- Czemu robimy to tutaj, zamiast w sali tronowej? - zapytałam Darana przed rozpoczęciem rozprawy.

- Chcę, aby wszyscy w mieście słyszeli wyrok, ciociu Pol - wyjaśnił. - Załatwmy to tak, żeby kult niedźwiedzia nie odrodził się, gdy tylko odwrócę wzrok.

Daran zasiadł w wielkim, bogato zdobionym fotelu - należącym do Eltheke - który żołnierze Torguna przytargali ze świątyni. Potem wyznawcy kultu, nadal w łańcuchach, potargani i w poszarpanych ubraniach, zostali wywleczeni ze świątynnych lochów. Kazano

im usiąść w zbitej gromadzie u stóp szerokich schodów wiodących do wrót i rozprawa rozpoczęła się w obecności ludzi tłumnie zgromadzonych na placu.

Kamion, Strażnik Rivy, powstał z miejsca, by przemówić do obywateli miasta.

- Na naszej Wyspie dopuszczono się przestępstwa, przyjaciele, i zebraliśmy się tutaj, by osądzić winnych.

- O jakim przestępstwie tu mówimy, lordzie Brand? - zapytał gromkim głosem odpowiednio zachęcony mieszkaniec miasta, tak by słyszano go na całym placu. Zauważyłam, że Rivański Strażnik nie zostawiał niczego przypadkowi.

- Przestępstwo uprawiania czarów - odparł Kamion.

Elthek, posiniaczony pięściami kapitana Torguna, usiłował poderwać się na nogi, ale przytrzymały go w miejscu łańcuchy, którymi był skuty z innymi ludźmi.

Proces przebiegał gładko. Kamion po mistrzowsku przepytывał świadków i uzyskał zgodne zeznania, że Elthek uprawiał „magię” podczas zgromadzenia w wąwozie. Potem kapitan Torgun podciągnął diakona na nogi.

- Co powiesz na te zarzuty? - zapytał Kamion.

- Kłamstwa! Wszystko kłamstwa! - Elthek niemal wrzeszczał.- I to prawo mnie nie dotyczy!

- Prawo dotyczy wszystkich - rzekł stanowczo Daran.

- Jestem kapłanem! Jestem diakonem Kościoła Belara!

- Tym bardziej powinieneś przestrzegać prawa.

- To nie były prawdziwe czary!

- Tak? - zadziwił się Daran. - Ja nie potrafię przywoływać duchów, stworzyć drugiego księżycy ani sprawić, by skały krwawiły. A ty potrafisz, lordzie Brand?

- Nie chciałbym nawet próbować, wasza wysokość - odparł Kamion.

- Przejdźmy do sprawy! - huknął earl Jarok.

- A co powie lud? - zapytał donośnym głosem Daran. - Czy ten człowiek jest winny uprawiania czarów?

- Tak!!! - wrzasnął tłum. Wcale nie byłabym zaskoczona, gdyby jeleń na drugim końcu Wyspy poderwał się spłoszony.

- Odprowadźcie więźniów do lochów - polecił Daran. - Rozważę sprawę i obmyślę stosowną karę dla tego przestępstwa.

Muszę przyznać, że cały proces był grubymi nićmi szyty, ale mówimy tu o Alornach, a subtelność nigdy nie była ich mocną stroną.

Daran nie spieszył się z „rozważeniem” wyroku, dzięki temu więźniowie mieli dość czasu, by napatrzeć się przez małe, zakratowane okienka na ponure stopy na palcu.

Dzień, w którym Daran ogłosił wyrok, wstał pochmurny. Był to jeden z owych zimnych, suchych dni, gdy chmury przesłaniające niebo nie zwiastowały deszczu, ale nic nie rzucało cienia. Ponownie wyszliśmy na plac przed świątynią, a skazańców wyciągnięto z lochów, by poznali swój los. Stopy, chytrze przygotowane wokół palcu, jasno dawały do zrozumienia, co czeka pojmanych. Wszyscy więźniowie wydawali się solidnie przerażeni.

Daran zajął swoje miejsce sędziego i w tłumie zapadła pełna oczekiwania cisza. Choć nie było mroczno, wielu ludzi przyniosło na plac płonące pochodnie.

- Rozważyłem tę sprawę, przyjaciele - oznajmił Daran - i po długich przemyśleniach podjąłem decyzję. Przepięstwo uprawiania czarów odrazę budzi u porządnego człowieka, toteż zadbać należy, by więcej nie miało miejsca. Występek ten jednak jest bardziej wynikiem uporczywej głupoty niż rozmyślnego igrania z ciemnymi mocami. Kult niedźwiedzia zбочzył na niewłaściwą drogę, lecz raczej nie sprzyścił się ze złymi siłami. Te pochodnie nie będą nam potrzebne, przyjaciele, więc je odłóżcie.

W odpowiedzi rozległy się pomruki rozczarowania.

- Rozmawiałem o tym ze swym ojcem, królem - ciągnął dalej Daran - i zgodził się ze mną, iż w tym przypadku najważniejsze jest odseparowanie wyznawców kultu od reszty ludu. Ojciec zgodził się ze mną, że spalenie ich byłoby zbyt skrajnym rozwiązaniem. Toteż postanowieniem naszym przestępców skazujemy na dożywotnią banicję. Zostaną niezwłocznie zabrani na archipelag ciągnący się za północnym krańcem Wyspy Wiatrów i pozostaną tam do końca swego żywota. Nasza decyzja jest ostateczna i uważamy tę sprawę za zamkniętą.

Z tłumu rozległy się okrzyki protestu, ale kapitan Torgun kazał swym ludziom zająć widoczne pozycje.

Elthek, były diakon Rivy, uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie ciesz się zbyt, Eltheke - powiedział Kamion. - Jego wysokość powiadomił swego dziadka i flota Chereków zadba o to, by żaden z wyznawców kultu, którzy uniknęli pojmania, nie był w stanie Przyjść ci z pomocą. Zostaniesz tam przez resztę swego życia, stary. A że zima nadchodzi, zaraz po przybyciu na wyspę zabierz się do roboty i zbuduj sobie jakieś schronienie. Zima wcześniej się tam zaczyna więc nie zostało ci wiele czasu.

- Co będziemy jeść? - dopytywał się jeden z więźniów.

- To już zależy od was. Dostaniecie trochę haczyków na ryby, są tam też dzikie kozy. To powinno wam wystarczyć, by przetrwać zimę. Gdy nadejdzie wiosna, podrzucimy wam trochę narzędzi rolniczych, kurcząt i ziarna do posiania.

- To dobre dla wieśniaków - zaprotestował Elthek - ale co z na mi? Nie oczekujesz chyba, że duchowni będą się grzebać w ziemi?

- Nie jesteś już kapłanem, stary - poinformował go Kamion - Jesteś skazańcem, przestępcą i Korona nie ma wobec ciebie żadnym zobowiązań. Grzeb w ziemi lub zgiń, Eltheku. To już twoja sprawa. Żyj tam kolonie gawronów, a mówiono mi, że ptasie odchody są doskonałym nawozem. Bardzo pomysłowy z ciebie człowiek, więc jestem pewny, że sobie poradzisz. - Uśmiechnął się lekko, gdyż po minie Eltheka poznał, iż niedawny diakon stopniowo zaczyna pojmować, co naprawdę oznacza pozorna łagodność Darana. - Z przyjemnością bym sobie jeszcze tu z tobą gawędził, chłopie - powiedział Strażnik Rivy - ale na jego wysokość i mnie czekają w Cytadeli sprawy nie cierpiące zwłoki. Sprawy państwowej natury, rozumiesz. - Lekko uniósł głos.

- Kapitanie Torgunie, czy byłbyś tak uprzejmy i odprowadził więźniów na statki? Czeka ich wiele pracy i z pewnością chcą już zacząć.

- Natychmiast, lordzie Brand! - odparł Torgun, salutując rezolutnie.

- Eltheku - słodko zagadnęłam zbitego z tropu duchownego.

- Czego? - zapytał gburowato.

- Miłej podróży i mam nadzieję, że spodoba ci się twój nowy dom i nowe zajęcie.

Wówczas po raz ostatni kult niedźwiedzia podniósł głowę na Wyspie Wiatrów. Minęło już ponad trzy tysiące lat, odkąd Elthek i jego gromadka rozpoczęli uprawę skalistych wysepek, ale Rivanie, choć są Alornami, bardzo wzięli sobie do serca lekcję Darana. Myśl o przekopywaniu kamienistej ziemi z ptasim nawozem, by zapewnić sobie nędzną egzystencję, nie pociągała wielu. Owe chłostane wiatrem wysepki nadal tam są - czekają na nowych lokatorów.

Następna wiosna nadeszła późno. Zaczął mnie ogarniać coraz większy niepokój. W końcu pewnej nocy, gdy targana wichrem ulewa uderzała w wieże Cytadeli, a ja przewracałam się niespokojnie w łóżku, dotarła do mnie myśl matki.

- Polgardo, nie sądzisz, że już czas, by Daran się ożenił?

Pytanie matki zaskoczyło mnie, ponieważ nadal - irracjonalnie, jak mniemam - uważałam siostrzeńca za dziecko. Przyznanie, że dorósł, jeszcze bardziej rozdzieliłoby mnie z Beldaran. Każdy chętnie ulega złudzeniom. Jednakże następnego dnia, gdy Daran, Kamion i ja spotkaliśmy się, by jak zwykle omówić sprawy zasadniczej wagi dla królestwa,

przyjrzałam się siostrzeńcowi uważnie. Musiałam przyznać matce Daran miał jasne włosy, a jasnowłosi zawsze wyglądają młodziej niż bruneci. Mocowanie się z trudami regencji przydało mu dojrzałości ponad jego wiek.

- Czemu mi się tak przyglądasz, ciociu Pol? - zapytał z ciekawością. - Bez szczególnego powodu. Zdaje mi się, że przegapiłeś jedno miejsce pod brodą przy porannym goleniu, to wszystko. Daran przejechał palcami po szyi.

- Tak - przyznał - zostało tam trochę włosków. Myślisz, że powinienem zapuścić brodę?

- Nie, zdecydowanie nie. I bez ciebie dość już tutaj brodaczy. Co zatem postanowimy w związku z brakiem kapłanów? Większość z nich jest na północy z Elthekiem.

- Możemy obejść się bez kapłanów, ciociu Pol. Kapłani Belara zawsze sympatyzowali z kultem niedźwiedzia. Nie chcę znowu mieć problemów z tego powodu.

- Kapłani są nam potrzebni, Daranie.

- Do czego?

- By udzielać ślubów i odprawiać pogrzeby - odparłam dość obcesowo. - Młodzi ludzie zaczynają znajdować sobie inne rozwiązania zamiast małżeństwa i trzeba ich od tego odwieść. Czy nie sądzisz, że morale twego ludu jest zagrożone?

Daran zaczerwienił się jak piwonia.

- Może wasza wysokość pozwoli mi zająć się tą sprawą? - zaproponował Kamion. - Moglibyśmy zwerbować kapłanów Belara w Che-reku i Drasni, ale wówczas istnieje możliwość ponownego sprowadzenia kultu niedźwiedzia na Wyspę Wiatrów. Porozmawiam o tym z kapelanem pałacowym i zapewne uda nam się otworzyć w świątyni seminarium. Opracuję program, żeby ustrzec się niepożądanych idei.

- Jesteś wykształcony, Kamienie - odparł Daran ze wzruszeniem ramion. - Rób, co uznasz za najlepsze. - Spojrzał w okno. - Jak sądzisz, ciociu, która może być godzina? - zapytał mnie. - Jestem dziś umówiony ze swoim krawcem.

- Cztery godziny po wschodzie słońca, mój drogi - powiedziałam.

- Wydaje się, że jest później.

- Zaufaj mi, Daranie.

- Oczywiście, ciociu Pol. - Wstał. - Wrócę po obiedzie. - Zgiął ramiona. - Ten kaftan robi się trochę za ciasny. Może krawiec potrafi nieco popuścić szwy... - Wyszedł z komnaty.

- Kamienie, znajdziemy mu żonę - powiedziałam. - Zauważyłam że nabiera już starokawalerskich przyzwyczajęń. Kamion wybuchnął śmiechem.

- Co w tym jest tak zabawnego? - zdziwiłam się.

- Nigdy nie słyszałem, aby ktoś ujął to w ten sposób, Pol. Może w takim razie sporządzą listę nadających się szlachcianek?

- Nie tylko szlachcianek, Kamienie - oświadczyłam zdecydowanym tonem.

- Czy księciu wolno poślubić prostą dziewczynę? - Kamion był zaskoczony.

- Wolno mu poślubić każdą, którą każe mu poślubić, Kamienie - odparłam. - Mamy tu do czynienia z bardzo niezwykłą rodziną, więc normalne zasady nie wchodzą w grę. My nie będziemy wybierać żony dla Darana. Ta decyzja zostanie podjęta przez kogoś innego.

- Tak? Kogo?

- Nie wolno mi o tym mówić i nie uwierzyłbyś mi, gdybym ci powiedziała.

- Jedna z tych spraw? - zapytał z pewnym niesmakiem.

- Właśnie. Sporządź swoją listę, ja tymczasem zdobędę instrukcje.

Kamion westchnął.

- Nie cierpię tego, Pol. Lubię, gdy sprawy mają charakter racjonalny.

Tym razem ja wybuchłam śmiechem.

- Naprawdę wierzysz, że miłość i małżeństwo to sprawy o charakterze racjonalnym, Kamienie? My, ludzie, nie różnimy się zbytnio od ptaków mamiących się pokazem barwnych piórek. Zaufaj mi, przyjacielu.

- Często używasz tego wyrażenia dziś rano, Pol.

- Gdybyście z Daranem mnie słuchali, to nie musiałabym się tak często powtarzać. A teraz muszę się zabrać do pracy.

Wróciłam do swych pokoi i zaczęłam myślnie szukać matki.

- Słucham, Polgaro?- dotarła do mnie jej myśl.

- Kamion wyszukuje wszystkie wolne dziewczęta na Wyspie Wiatrów, mamó. Jak ustalimy, którą z nich wybrać?

- Będziesz wiedziała. I Daran też.

- Nie pozwolimy chyba jemu podjąć decyzji, prawda? Jest miłym chłopcem, ale to zbyt ważne. Mama się roześmiała.

- Po prostu sprowadź je kolejno na Dwór Rivańskiego Króla - Powiedziała. - Poznasz ją natychmiast, tak samo jak Daran.

Tak więc postąpiliśmy wedle jej rady. Nasze metody nie były zbyt subtelne. Kamion oznajmił wszem wobec, że Daran szuka żony, choć pewnie księciu regentowi nawet to nie przyszło do głowy. Panny z całej Wyspy paradowały, jedna po drugiej, przed tronem na Dworze Rivańskiego Króla. Wszystkie miały na sobie swe najlepsze stroje i każdej dano pięć

minut na próbę usidlenia naszego, coraz bardziej nerwowego - a nawet wystraszonego - kawalera.

Trwało to już cztery dni. Biedny Daran rozplątywał się w uprzejmych uśmiechach, ale rzedła mu mina.

- Jeśli to potrwa jeszcze trochę, ciociu Poi, ucieknę - postraszył mnie pewnego wieczoru.

- Nie rób tego, mój drogi - powiedziałam. - Musiałabym cię dogonić i sprowadzić z powrotem. Musisz się ożenić, Daranie, ponieważ musisz spłodzić dziedzica tronu twego ojca. Ta powinność jest ponad wszystkimi innymi. Teraz idź spać. Mizernie wyglądasz.

- Ty też byś tak wyglądała, gdyby ludzie patrzyli na ciebie jak na kawał mięsa.

Zdaje mi się, że oczekiwana wybranka następnego dnia przybyła do sali tronowej. Była dość niska, włosy miała prawie tak ciemne jak moje, a ogromne, promienne oczy niemal czarne. Jej ojciec był drobnym szlachcicem, właścicielem niewielkiej posiadłości w górach. Na imię miała Larana. Ubrana była w prostą suknię. Weszła do sali raczej niepewnie. Oczy miała spuszczone, a na alabastrowych policzkach delikatny rumieniec.

Usłyszałam, że Daran wstrzymuje oddech. Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Twarz mu bardzo pobraźla, a ręce drżały. Jednakże ważniejsze było to, że Klejnot Mistrza na gałce miecza rozjarzył się delikatnym różem, kolorem policzków Larany.

Podeszłam do Strażnika Rivy.

- Odeślij pozostałe dziewczęta, Kamionie - poradziłam mu. - Znaleźliśmy tę, której szukaliśmy.

Kamion wpatrywał się z niedowierzaniem w Klejnot.

- Czy to właśnie miało się wydarzyć, Pol? - zapytał nieco zduszonym głosem.

- = Oczywiście - odparłam niedbale. - Nie myślałeś chyba, że każemy dziewczętom ciągnąć słomki? - Podeszłam do przyszłej panny młodej. - Dzień dobry, Larano.

- Lady Polgaro - odpowiedziała z wdzięcznym ukłonem.

- Chodź ze mną, moja droga.

- Ale... - spojrzała na Darana niemal z jawną tęsknotą.

- Będiesz miała czas porozmawiać z nim później - zapewniłam ją. - Mnóstwo czasu.

Pewne sprawy musimy wyjaśnić sobie od razu

- Zdecydowanym ruchem ujęłam ją pod ramię i poprowadziłam do drzwi.

- Ciociu Pol! -W głosie Darana słychać było nutę paniki.

- Później, mój drogi - powiedziałam. - Idź z lordem Brandem do sali narad. Przyjdziemy tam z Laraną za chwilę.

Zabrałam dziewczynę do swych komnat, posadziłam i podałam filiżankę herbaty, by ukoić jej nerwy. Potem dość ogólnikowo opowiedziałam jej o tej osobliwej rodzinie, do której wkrótce miała wejść.

- Myślałam, że te opowieści są tylko wytworem fantazji, lady Polgardo. Mówisz, że wszystkie są prawdziwe?

- Zapewne trochę w nich przesady, moja droga – powiedziałam - ale mniej więcej są prawdziwe.

- Czy księżę wie? To znaczy, czy wie, że zostałam wybrana?

- Och, moja droga! Nie widziałas jego twarzy? Gotów by za tobą pójść w ogień.

- Ale ja jestem taka zwyczajna...

- Nie, moja droga - powiedziałam stanowczo. - Nigdy nie byłaś zwyczajna i nigdy nie będziesz. Wypij herbatę, a potem dołączymy do panów. Laraną odstawiła filiżankę.

- Czy nie powinnyśmy się pospieszyć, lady Polgardo? - zapytała. - Nie chciałabym, żeby uciekł.

- Nie martw się, on od ciebie nie ucieknie. Niech sobie trochę potęskni. Dobrze mu to zrobi.

W sali narad, gdzie czekali Kamion i Daran, zostałam uraczona powtórką owego dnia w zajeździe w Camaar, kiedy moja siostra po raz pierwszy spotkała się z Rivą.

- Czy oni nie mają zamiaru się do siebie odezwać, Poi? - szepnęła Kamion, gdy minęło pół godziny absolutnej ciszy.

- Oni odzywają się do siebie, Kamionie. Słuchaj oczyma, nie uszami.

Kamion spojrzał na szczęśliwą parę i spostrzegł absolutne uwielbienie malujące się na ich twarzach.

- Zdaje się, że wiem, co masz na myśli, Poi. To niemal krępujące siedzieć z nimi w jednym pokoju.

- Tak - przyznałam. Potem spojrzałam w zamyśleniu na Laranę. Zostaw mi dziesięć dni, gdy będziesz planował termin ślubu, Kamionie. Muszę odbyć dłuższą naradę z Arell na temat sukni ślubnej Larany i kilku innych drobiazgów.

- A zatem wszystko już ustalone? Tak szybko? Moje zaloty ciągnęły się ponad pół roku. Poklepałam go po policzku.

- To jest bardziej skuteczne, drogi chłopcze - powiedziałam. -prawdopodobnie przez następne kilka miesięcy będziesz musiał sam podejmować większość decyzji na Wyspie Wiatrów. Przez jakiś czas Daran nie będzie zachowywał się racjonalnie. Porozmawiaj też z

Rivą i uprzedź go, co się szykuje. Będzie musiał oczywiście być obecny i pragnę mu dać czas na przygotowanie się do publicznego wystąpienia.

- To może być nieco ryzykowne, Pol. Przez ostatni rok zrobił się strasznym samotnikiem. Gdybym go nie znał lepiej, powiedziałbym, że boi się ludzi.

- Uprzedź go, co się dzieje, Kamionie, a potem ja z nim porozmawiam.

Kamion ponownie spojrzał na młodych.

- Następny problem, to jak rozdzielimy tych dwoje. Poza tym zaczyna się ściemniać i powinniśmy ich nakarmić.

- Nie są głodni, Kamionie. Daj im jeszcze kilka godzin, a potem zabiorę Laranę do swych komnat na noc.

- Tylko upewnij się, czy dobrze zamknęłaś drzwi. Utrzymanie Darana z dala od niej może być trudne.

- Zajmę się tym, Brandzie. Poślij po Arell, proszę. Potrzebuję jej z samego rana. - Potem podeszłam do młodych, którzy nadal wpatrywali się sobie w oczy. - Czy już ją poprosiłeś? - zapytałam Darana, Potrząsając go za ramię, by zwrócić jego uwagę.

- Poprosić o co, ciociu Pol?

Spojrzałam na niego przeciągle i znacząco.

- Och, o to - powiedział nieco się rumieniając. - To nie jest naprawdę konieczne, ciociu Pol.

- Czemu jednak nie zrobisz tego mimo wszystko? Te drobne formalności są ważnym składnikiem kulturalnego zachowania.

- Skoro uważasz, że powinienem... Jednak to już zostało postanowione. - Spojrzał na dziewczynę. - Ty chcesz, prawda, Larano?

- O co pytasz, panie?

- Czy chcesz mnie poślubić, naturalnie.

- Oczywiście, że chcę, panie.

- Widzisz? - powiedziałam. - To wcale nie takie trudne, prawda?

Było sporo krzyków ze strony urażonych dziewcząt, które czekały na spotkanie z następcą tronu i zostały zbiorowo odprawione. My zaś z Kamionem musieliśmy odeprzeć szturm równie oburzonych ojców, głośno protestujących nie tyle z powodu rozczarowania swych córek, ile utraty okazji do poprawiania swej pozycji społecznej i uzyskania dostępu do tronu. Udało nam się jednak przygładzić wszystkie nastroszone piórka tajemniczym odwoływaniem się do „Losu”, „Przeznaczenia” i „Siły Wyższej”. Nasze argumenty były nieco

naciągane, muszę przyznać, ale przekonujące kłamstwa stanowią istotę dyplomatycznych wykrętów.

Arell przeszła sama siebie przy sukni ślubnej Larany, bladoniebieskiej, koronkowej fantazji. Ja też lubiłam niebieski kolor. Całym sercem pochwalałam dobry gust dziewczyny.

Ślub odbył się około południa pewnego słonecznego wiosennego dnia. Dwór Rivańskiego Króla, odpowiednio przystrojony na tę okazję, był zalany słonecznym blaskiem.

Nie wiem, kto to zaaranżował. Na pewno nie ja. Po ślubie odbyła się tradycyjna uczta, ale przed świtem odwiedziłam browar i wprowadziłam kilka modyfikacji w ulubionym napoju wszystkich Alornów. Piwo smakowało jak piwo, wyglądało i pachniało jak piwo, ale nie powodowało zwykłych skutków. Weselni goście, jak wszyscy weselni gości, pili w nadmiarze, a nie było kłótni, bijatyk, nieprzytomnych pod stołami ani wymiotujących po łąkach. Jednakże następnego ranka niektórych trapiła migrena. Nie byłam na tyle okrutna, by pozbawić pijaństwo wszelkich przyjemności.

Po ceremonii spędziłam trochę czasu ze szwagrem. Nie wyglądał zdrowo, włosy mu pobielały niemal jak śnieg.

- Już prawie wszystko dobiegło końca, prawda, Poi? - powiedział ze smutkiem.

- Nie rozumiem, Rivo.

- Moje dzieło prawie ukończone. Jestem bardzo zmęczony. Gdy tylko Larana wyda na świat następcę, będę mógł odpocząć. Czy wyświadczysz mi przysługę?

- Oczywiście.

- Każ robotnikom zbudować nową kryptę dla mnie i Beldaran. Chciałbym spocząć obok żony.

Naturalną reakcją na tego typu prośbę byłoby ofuknięcie za gadanie bzdur słowami w rodzaju: „Jeszcze długo nie będzie ci potrzebne miejsce pochówku”, ale zbyt kochałam i szanowałam Rive, aby obrażać go w ten sposób.

- Zajmę się tym - obiecałam.

Przez kilka lat po ślubie sprawy na Wyspie Wiatrów toczyły się gładko. Pewien niepokój budził fakt, iż Larana natychmiast nie znalazła się przy nadziei, ale starałam się wszystkich uspokajać.

- Te sprawy wymagają czasu - mówiłam.

Powtarzałam to tak często, że robiło mi się niedobrze na dźwięk tych słów.

Potem, w roku 2044 według kalendarza arendyjskiego, zmarł Cherek o Niedźwiedzych Barach, pogrążając całą Alorię w żałobie. Cherek był tytanem i jego śmierć pozostawiła uczucie ogromnej straty.

Tej zimy Larana dyskretnie powiadomiła nas, że jest przy nadziei. Daran dał synowi na imię Cherek, na cześć zmarłego dziadka. Dłoń noworodka położono na Klejnocie, który odpowiedział w zwykły sposób, a po ceremonii zabraliśmy dziecko do komnat Rivy, by król mógł zobaczyć wnuka.

- Dobrze zrobiłem, ojczy? - zapytał Daran. - Nazywając go po twoim ojcu?

- Ojciec by się ucieszył - powiedział Riva bardzo znużonym głosem. Wyciągnął ręce i podałam mu wnuka. Trzymał dziecko przez jakiś czas z łagodnym uśmiechem na twarzy. Potem zapadł w sen.

Nigdy się nie obudził.

Pogrzeb był pełną powagi uroczystością, ale bez okazywania przesadnego smutku. Odosobnienie Rivy sprawiło, że wielu na Wyspie Wiatrów było zaskoczonych odkryciem, iż żył tak długo.

Po pogrzebie usiadłam i zastanowiłam się nad swoją sytuacją, Daran i Kamion dobrze sobie radzili i nie było powodu, bym nadal to pozostawała. Tak więc wiosną 2046 roku spakowałam wszystkie swoje rzeczy, Przygotowując się do powrotu do Doliny.

CZĘŚĆ TRZECIA

VO WACUNE

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Tak się szczęśliwie złożyło - choć prawdopodobnie szczęście nie miało z tym nic wspólnego - że gdy zbierałam się do odjazdu, na Wyspę Wiatrów zawitał Anrak i zaproponował, że zabierze mnie do Camaar. Nigdy tak naprawdę nie rozumiałam Anraka. W co drugą podróż wypływał bez ładunku. Jego przybycie było dla mnie doskonałą wymówką na skrócenie nużących pożegnań. Dlaczego ludzie zawsze tak to przeciągają? Wystarczy chyba powiedzieć kilka razy „do widzenia”, co tu więcej mówić?

Niebo było trochę zachmurzone, gdy marynarze Anraka wybrali cumy i postawili żagle. Stałam na rufie i patrzyłam, jak Wyspa Wiatrów powoli odpływa w dal. Wydorosłam na tej Wyspie. Przeżyłam tam chwile radości i chwile smutku nie do zniesienia, ale takie jest już życie, prawda?

Skalista Wyspa nadal majaczyła na horyzoncie za rufą, gdy poczułam przyplływ szczególnej pewności. Nie tylko pożegnałam się z przyjaciółmi i krewnymi, gdy weszłam na pokład okrętu Anraka. Pożegnałam się również z tym, co większość ludzi nazwałaby normalnym życiem. Miałam czterdzieści sześć lat, a jeśli życie ojca i wujków mogłam uznać za wskazówkę tego, co mnie czeka, to wkraczałam na niezbadane tereny. Poznam i pokocham wielu ludzi, a potem będę Przyglądać się, jak po kolei zostają w tyle, podczas gdy ja pójdę

dalej. Ta świadomość pociągała za sobą straszliwy rodzaj samotności. Odejdą, ale ja będę dalej podążać przez pełne niepewności, niekończące się lata.

- Czemu jesteś taka smutna, Pol? - zapytał mnie Anrak.

- Bez szczególnego powodu.

- Wkrótce wypłyniemy na otwarte wody. Wtedy poczujesz się lepiej.- Wpatrywał się w promienie słońca tańczące na falach.

- Nie rozumiem, Anraku.

- Ono zmyje z ciebie melancholię.

- Ono? Jakie ono?

- Morze, Pol. Zawsze zmyje smutek i rozjaśni myśli. Szczury lądowe tego nie rozumieją.

- Kochasz morze, prawda, Anraku?

- Oczywiście. Czasami mnie zaskakuje, czasami miewa zły humor, ale zwykle dobrze nam razem. Kocham je, Pol. To jedyna żona jakiej kiedykolwiek potrzebowałem.

Zawsze wspominam tę rozmowę, gdy muszę mieć do czynienia z tym grubianinem, kapitanem Gredikiem. Gredik i Anrak, choć dzielą ich trzy tysiąclecia, skrojeni są z tej samej beli płótna. Traktują morze jak żywą istotę.

W Camaar kupiłam sobie konia. Baron, bo tak się nazywał, był gniadoszem na tyle starym, że wyrósł już z beztroski charakterystycznej dla młodszych koni i dobrze się rozumieliśmy. Prawdę powiedziawszy, nie spieszyło mi się, więc nie popędzałam go i Baron był z tego powodu zadowolony. Spacerkiem podążaliśmy przez porządnie utrzymane pola południowej Sendarii w kierunku Muros. Po drodze zatrzymywaliśmy się w wiejskich zajazdach, a gdy nie było zajazdu, spaliśmy pod gołym niebem. Z wyjątkiem osobiście kosmopolitycznego portu w Camaar, południową Sendarię w owych czasach zamieszkiwali głównie wacuńscy Arendowie. Śpiewny akcent tutejszych wieśniaków uznałam za czarujący, czego nie można powiedzieć o powtarzających się ostrzeżeniach właścicieli zajazdów i stajennych przed rozbójnikami na drogach.

- Ależ jaśnie pani - przestrzegł mnie pewien nadgorliwy właściciel wiejskiego zajazdu, gdy powiedziałam mu, że podróżuję samotnie - to bardzo niebezpieczne dla kobiety. Rabusie to niegodziwcy, którzy nie omieszkają wykorzystać tego, że nie masz, pani, ochrony.

- Potrafię sobie poradzić, dobry człowieku - oświadczyłam stanowczo. Te ciągle ostrzeżenia zaczynały mnie już męczyć.

W połowie drogi do Muros rzeka Camaar się rozgałęzia. Wkroczyłam na tereny równie gęsto porośnięte lasami, jak dzisiejsza północna Arendia. Dla większości ludzi w czasach

współczesnych określenie „pierwotna puszcza” brzmi poetycko, przywołuje na myśl park zamieszany przez wróżki, elfy i czasami trolle. Rzeczywistość była daleko bardziej przygnębiająca. Drzewo zostawione samemu sobie pięćset lat po prostu się rozrasta. Widywałam drzewa o pniach grubych na osiemnaście, dwadzieścia stóp, drzewa, które wyrastały na sto pięćdziesiąt stóp w górę, nim wypuściły konary. A konar, jednego drzewa splatały się z konarami sąsiada, tworząc wyścig sklepienia które przesłaniało słońce i niebo, i sprawiało, że na dnie lasu panował wieczny, wilgotny zielony mrok. Poszycie było bar-, gęste, a w przyćmionym świetle roilo się od dzikich stworzeń - a także dzikich ludzi.

Wacuńscy Arendowie sprowadzili ze sobą na tereny na północ od rzeki Camaar smutną instytucję niewolnictwa, a niewolnik, który mieszka w pobliżu lasu, ma łatwą drogę ucieczki. W lesie byłemu niewolnikowi pozostaje jednak tylko jedno zajęcie - zbójnictwo, podróżni zaś stanowią jego naturalne ofiary.

Tych dwóch, których spotkałam na błotnistej leśnej drodze do Muros pewnego późnego popołudnia, było wynędzniałych, zarośniętych i na wpół pijanych. Wyszli z krzaków rosnących wzdłuż drogi, wymachując zardzewiałymi rzeźnickimi nożami.

- Ja obstaję przy koniu, Ferdish - powiedział jeden.

- Uczciwie, Selt - odparł Ferdish, drapiąc się zapamiętałe pod pachą i łypiąc na mnie pożądliwie. - A ja obstaję przy kobiecie, jak wiesz.

- Jak zawsze - zauważył Selt. - Umiesz się poznać na kobietach.

Oczywiście mogłam zrobić całą masę rzeczy, ale tak naprawdę nie dbałam o ich dobre wychowanie. Pomyślałam jednak, że odrobina nauki im nie zawadzi. Poza tym chciałam coś sprawdzić, przekonać się, czy to naprawdę działa.

- A zatem wszystko ustalone, panowie? - zapytałam niedbałym tonem.

- Wszystko ustalone, kochaneczko. - Ferdish uśmiechnął się głupio. - Bądź więc tak dobra i zsiądź z konia, aby Selt mógł wypróbować swego nowego wierzchowca, podczas gdy ja i ty trochę się zabawimy.

- Jesteście pewni, że tego właśnie chcecie?

- To właśnie dostaniemy, kochaneczko - roześmiał się ochry-Ple Selt.

- Och, to dobrze - powiedziałam. - Moja bestia i ja jesteśmy głodne, zastanawialiśmy się właśnie, co zjemy na kolację. Para obszarpańców gapiała się na mnie całkowicie zdezorientowanym wzrokiem.

- Chciałabym podziękować wam, że pojawiliście się właśnie wtedy, gdy kiszki zaczęły nam grać marsza. - Przyjrzałam im się krytycznie. - Trochę za kościści - zauważyłam - ale podróżni powinni być przyzwyczajeni do skromnych racji.

Uwolniłam powoli swą Wolę, by dać im okazję do nacieszenia się przemianą, jaka dokona się na ich oczach. Baron, który spokojni skubał kępkę trawy na poboczu drogi, podniósł łeb, a jego szyja zaczęła się wydłużać. Niespiesznie uczyniłam z niego smoka - wiecie łuski, szpony, skrzydła... Moja własna przemiana była równie powolna. Ramiona mi się wydłużyły, kły zaczęły wysuwać się spomiędzy warg, a twarz przybrała wygląd oblicza eldraka. Para obdartych rzezimieszków zastygła w przerażeniu, gapiąc się na potwornego ogra o płonących oczach i szponiastych rękach, dosiadającego smoka.

- Czas karmienia, Baronie! - warknęłam ochryple. - Jak myślisz? zabijemy ich czy zjemy żywcem?

Ferdish i Selt zastygli w przerażeniu.

Wtem Baron beknął i z jego paszczy wydobył się wielki obłok dymiącego ognia.

- Czemu o tym nie pomyślałam! - ryknęłam. - Cóż za wspaniałe pomysły, Baronie. Dalej, podpiecz ich trochę przed zjedzeniem. Wieczór już, lepiej nam się będzie spało z ciepłą strawą w brzuchach.

Ferdish i Selt musieli sobie nagle przypomnieć o pilnych zajęciach, ponieważ uciekli bez pożegnania. Sporo przy tym było krzyków, przepychanek i szamotaniny.

A my z Baronem ruszyliśmy w dalszą powolną wędrówkę przez wilgotną, ponurą puszcę.

Och, nie bądźcie tacy naiwni. Oczywiście, tak naprawdę nie zmieniałam Barona i siebie w potworów. Ferdish i Selt nie byli warci takiego zachodu, a złudzenie jest najczęściej równie skuteczne jak rzeczywistość. Poza tym, jeśli mam być absolutnie szczerą, w owych czasach nie miałam najmniejszego pojęcia, jak naprawdę wygląda smok czy ogr, więc improwizowałam. Dotarliśmy do Muros następnego dnia i tam odnowiłam zapasy. Następnego ranka o świcie ruszyliśmy w kierunku gór Sendarii. Jeśli rzeczywiście tęsknicie za samotnością na łonie natury, polecam góry. W górach sływa na mnie spokój, jakiego nie można doświadczać gdzieś indziej. Marudziłam po drodze, często rozbijając obóz dużo wcześniej niż to było konieczne. Pływałam w lodowatych górskich wodach, płosząc pstrągi. Buszowałam w malinowej gęstwinie, gdy wjechałam na nią po drodze. Z pewnym żalem zjechałam z gór na bezkresne morze traw na równinach Algarii. Pogoda dopisywała i kilka dni później przybyliśmy do Doliny. Ojciec i bliźniaki powitali mnie ciepło. Wujek Beldin, jak zwykle, był Mallorei, pilnując wroga i usiłując wynaleźć sposób na wywabienie Urvona z Mal Yaska.

Dziwnie było znaleźć się z powrotem w Dolinie po latach spędzonych na Wyspie Wiatrów. W Cytadeli znajdowałam się w centrum wszystkich spraw, zawsze działało się coś,

co wymagało ode mnie natychmiastowego działania. Jeśli mam być szczerą, to brakowało mi tych spraw państwowej wagi. Ojciec, który jest bardziej spostrzegawczy, niż się może czasami wydawać, zauważył moje niezadowolenie.

- Jesteś zajęta, Pol? - zapytał mnie pewnego jesiennego wieczoru po kolacji.

- Właściwie nie - odparłam, odkładając tekst medyczny, który czytałam.

- Coś cię dręczy? - zapytał. W blasku ognia jego białe włosy i broda wydawały się rudawe.

- Trudno mi spokojnie usiedzieć - przyznałam.

- To się zdarza. Mnie zwykle rok zabiera ponowne zadomowienie się w Dolinie po dłuższym pobycie na świecie. Studiowanie to zajęcie wymagające systematyczności. Jeśli je na jakiś czas porzucisz, od nowa musisz się go uczyć. Bądź po prostu cierpliwa, Pol. Po jakimś czasie wszystko wróci do normy. - Usiadł wygodnie, wpatrując się z zamyśleniem w płomienie. - Nie jesteśmy tacy jak inni ludzie, Pol. Nie jesteśmy tu po to, by mieszać się w rządzenie światem. Po to są królowie i, jeśli o mnie chodzi, niech sobie rządzą. Nasze sprawy są tutaj, a to, co dzieje się tam, nie ma dla nas tak naprawdę żadnego znaczenia.

- Ale my też żyjemy na tym świecie, ojczu.

- Nie, Pol, a przynajmniej nie na tym samym świecie, na którym są ludzie. Nasz świat jest światem pierwotnych przyczyn i owego nieuchronnego ciągu zdarzeń, który wypływa z tych przyczyn od chwili rozdzielenia Celu Wszechświata. Naszym jedynym zadaniem jest rozpoznanie pewnych wydarzeń, które są tak krótkie i niezauważalne, że zwykli ludzie nawet nie zdadzą sobie z nich sprawy. - Przerwał - Co teraz studiujesz?

- Tekst medyczny.

- Po co? Ludzie będą umierać bez względu na to, jak bardzo będziesz się starała temu zaradzić.

- Mówimy o naszej rodzinie i przyjaciółach, ojczu.

- Tak - westchnął. - Jednak to nie zmienia faktu. Oni są śmiertelni my nie - no, jeszcze nie teraz. Odłóż na bok swoje hobby, Polgardo, i zabierz się do pracy. Masz. - Podał mi gruby, ciężki zwój. - To twoja kopia Kodeksu Mrińskiego. Bierz się do czytania. Prawdopodobnie później czekają nas sprawdziany.

- Och, ojczu, bądź poważny.

- Nie żartuję. Sprawdziany, które pojawią się w toku tych studiów, będą zapewne miały bardzo poważne konsekwencje.

- Jakież?

- Nie mam pojęcia, mogą dotyczyć końca świata lub nadejścia tego, który nas przed tym uratuje. - Spojrzał na mnie tajemniczo. - Przyjemnej pracy, Pol - powiedział, wracając do swej kopii bredni wariata znad brzegów Mrin.

Następnego ranka włożyłam swój szary riykański płaszcz, osiodłałam Barona i wybrałam się na przejażdżkę. Drzewo, stojące w aurze wieczności, zaczęło właśnie przywdziewać jesienny strój i wyglądało przepięknie. Ptaki, pewnie potomkowie mojego zuchwałego wróbelka i lirycznego skowronka, przyfrunęły na powitanie, gdy się zbliżyłam. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi spotkać ptaka, który nie zawołałby mnie po imieniu.

Matka nie odpowiedziała, gdy wysłałam swe myśli na jej poszukiwanie, ale nie spodziewałam się, że odpowie. Mama nadal była pogrążona w żałobie po śmierci mojej siostry.

Nie naciskałam więc, gdyż tak naprawdę przyszedłam odwiedzić Drzewo. Nie rozmawialiśmy z sobą, ale tego nie robiliśmy nigdy. Naszego zjednoczenia nie można ubrać w słowa. Zanurzyłam się w aurze odwieczności, chłonąc jego wieczną obecność, a ono, na swój delikatny sposób, potwierdziło słowa ojca z poprzedniego wieczoru. Ojciec, Beldin, bliźniaki i ja nie byliśmy jak inni ludzie i nasze cele były inne.

Po pewnym czasie wyciągnęłam rękę, położyłam na chropowatej korze Drzewa, westchnęłam i wróciłam do wieży ojca oraz czekającego na mnie Kodeksu Mrińskiego.

W ciągu następnego półwiecza co jakiś czas odwiedzaliśmy z ojcem Wyspę Wiatrów - zwykle by wziąć udział w Radzie Alornów. W Chereku, Drasni i Algarii panowali nowi królowie, ale nie byli już tak bliscy jak Cherek, Dras czy Algar. Ponieważ pomiędzy tymi wizytami upływało sporo czasu, z całą ostrością uświadomiłam sobie fakt, iż Daran i Kamion z każdą naszą wizytą robią się wyraźnie starsi. Ojciec o tym napomykał, ale ktoś musi to chyba powiedzieć wyraźnie - nasza sytuacja była bardzo szczególna i wymagała szczególnego nastawienia. Zdecydowanie musieliśmy dystansować się od tych, których znaliśmy i kochaliśmy, w miarę jak się starzeli. W przeciwnym wypadku groziło nam prawdopodobnie szaleństwo. Wieczny smutek potrafi w końcu zniszczyć umysł. Nie jesteśmy bez serca, ale nasze obowiązki wymagają, byśmy chronili się przed zwykłymi ludzkimi uczuciami. Inaczej nie moglibyśmy prawidłowo funkcjonować. Widziałam, jak Daran i Kamion stawali się zdziwaczalnymi, gderliwymi starcami. Zdawałam sobie sprawę, że w końcu nas opuszczą, i nic na to nie mogłam poradzić.

Dolina była dla nas rodzajem sanktuarium - miejscem, w którym mogliśmy uporać się z własnym smutkiem, i obecność Drzewa była absolutnie niezbędna.

Jeśli chwilę nad tym pomyślicie, z pewnością zrozumiecie.

Po pewnym czasie dotarła do nas wieść o odejściu Darana i Kamiona.

- Byli już bardzo zmęczeni, Pol. - Tylko tyle powiedział ojciec przed powrotem do swych badań.

Zbliżało się moje pierwsze stulecie, gdy wujek Beldin wrócił z Mallorei.

- Spalona Gęba nadal jest w Ashabie - opowiadał - i nic się tam nie wydarzy, dopóki nie opuści swego odosobnienia.

- Czy Zedar nadal z nim jest? - zapytał ojciec.

- O tak. Zedar uczepił się Toraka jak pijawka. Bliskość boga wyraźnie uderza mu do głowy.

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- A przynajmniej nie te, które dotyczą Zedara. Czy Ctuchik robi coś interesującego?

- Chwilowo nic na tyle interesującego, by budzić niepokój. Czy Urvon nadal ukrywa się w Mal Yaska? Beldin zachichotał paskudnie.

- Och, w rzeczy samej, Belgaracie, ukrywa się. Co jakiś czas zaglądam w jego sąsiedztwo i zarzynam kilku Grolimów. Zawsze zostawiam jednego czy dwóch przy życiu, aby mieć pewność, że Urvon dowie się, iż nadal czekam na jego przemiłe towarzystwo. Słyszałem, że zwykle w takich wypadkach zaszywa się w lochach. Myśli chyba, że grube mury go przede mną osłonią. - Rozmarzył się. - Może po powrocie zakradnę się do jego świątyni i ustroję ją martwymi Grolimami, by zrozumiał, że nigdzie się przede mną nie ukryje. Bardzo lubię drażnić Unrona. Co zaplanowaliście na uroczystość?

- Uroczystość? Jaką uroczystość?

- Setne urodziny Polgardy, ty stary grzybie. Nie myślisz chyba, że wróciłem ten szmat drogi tylko po to, by cieszyć się twym towarzystwem?

Moje urodziny obchodziliśmy aż przesadnie uroczyście. Byliśmy nieliczną, wielce wyjątkową społecznością, a ponieważ ojciec, Beldin i ja dużo podróżowaliśmy i przez długie okresy przebywaliśmy poza Doliną, rzadko mieliśmy okazję odczuwać wspólnotę z bliźniakami. Czasami bardzo się różnimy, ale wszyscy jesteśmy członkami małej, zamkniętej społeczności, którą łączą doświadczenia i przemyślenia dla reszty świata niepojęte. Pod koniec uczty, gdy moi starszycy byli już nieźle podchmieleni, zaczęłam sprzątać. Wówczas w moich myślach zadźwięczał cicho głos matki.

Wszystkiego najlepszego, Poi - powiedziała tylko, ale miło było wiedzieć, że ostatni członek naszej rodziny też pamięta o moich urodzinach.

Kilka lat później niełatwy rozejm pomiędzy Drasnią i Gar og Nadrak został zerwany. Nadrakowie - prawdopodobnie za podszeptem Ctuchika - zaczęli robić wypady na drugą

stronę granicy. Ctuchik zdecydowanie nie popierał żadnych pokojowych kontaktów Angaraków z innymi rasami. Wymiana handlowa budziła w nim największy wstręt, ponieważ wraz z wymianą dóbr dochodziło do wymiany poglądów, a nowe poglądy nie były mile widziane w angarackiej społeczności.

Tymczasem na południu bogaci kupcy z Tol Honeth denerwowali się coraz bardziej, bo Maragowie uparcie odmawiali nawiązania jakichkolwiek handlowych stosunków. Maragowie nie używali pieniędzy i zupełnie nie rozumieli ich znaczenia. Mieli jednak dostęp do niemal niewyczerpanych bogactw, gdyż dna strumieni w Maragorz były zasłane złotem. Złoto jest ładne, ale gdy się nad tym zastanowi ma niewielką wartość. Nie można z niego zrobić nawet garnków, bo topi się w ogniu. Myślę, że Maragów rozbawiło odkrycie, iż Tolnedrowie oddaliby niemal wszystko za coś, co w ich mniemaniu prawie nie różniło się od błota. Problem według mnie polegał na tym, że kupcy Tolnedry nie mieli do zaoferowania niczego na tyle dla Maragów cennego, by chciało im się trudzić wybieraniem złota ze strumieni.

Myśl o złocie, do którego nie mogli się dostać, doprowadziła Tolnedran na skraj desperacji. Kilkoro z dzieci Nedry postanowiło ominąć nudny proceder oszukiwania Maragów i dostać się prosto do źródła. Oczywiście te wyprawy do Maragoru były błędem, gdyż Marago-vne praktykują rytualny kanibalizm. Tolnedranie, którzy przedostali się przez granicę w poszukiwaniu złota, natykali się na Maragów szukających czegoś do zjedzenia.

Gdy kilku bogatych, ale pomimo to zachłannych tolnedrańskich kupców trafiło do kotłów Maragów, ich powinowaci zaczęli wywierać naciski na imperatora, by bronił uczciwych złodziei. Na nieszczęście imperator Ran Yordue dopiero niedawno zasiadł na tronie i w końcu uległ naciskom kupców. W 2115 roku legiony tolnedrańskie przekroczyły granicę z Maragorem, by wyniszczyć cały naród Maragów.

Mój ojciec zawsze lubił Maragów i przygotowywał się właśnie do „podjęcia odpowiednich kroków, gdy Mistrz złożył mu niespodziewaną wizytę i polecił nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. Ojciec protestował długo i głośno, ale Aldur był nieugięty.

- To musi się stać, mój synu - powiedział ojcu. - To niezbędna część Celu, ku któremu zmierzamy wszyscy.

- Ale... - zaczął protestować ojciec.

- Nie chcę więcej tego słuchać! - zagrzemiał Mistrz. - Zostań w domu, Belgaracie!

Ojciec zamruczał coś pod nosem.

- Coś powiedział? - dopytywał się Mistrz.

- Nic, Mistrzu.

Bardzo się starałam, żeby być świadkiem tej rozmowy. I tak Maragowie wyginęli, tylko nieliczni pojmani zostali sprzedani Nyissanom na niewolników. Ale to już inna opowieść.

Najazd na Maragor i masakra wszystkich jego mieszkańców zmusiła bogów do spełnienia smutnych obowiązków. Nedra ukarał najbardziej winne ze swych dzieci, a porażony smutkiem Mara powołał zastępy straszyleł, by strzegły Maragoru przed dalszymi najazdami, Toleedran. Już samo to byłoby wystarczającą karą, ale potem Belar, by ukarać zachłannych Tolnedran, zachęcił Chereków do napadów na a Tolnedry. Chereków nie trzeba było specjalnie namawiać.

W każdym Chereku drzemie pirat. Tolnedranie mieli więc pod dostatkiem zajęć, by nie rozmyślać nad złotem w Maragorze czy wycieczek do klasztoru w Mar Terrin. Nie muszę już chyba dalej zagłębiać się w ten smutny ciąg wydarzeń.

Jestem jednak przekonana, że ojciec wyolbrzymił spór pomiędzy bogami, który rzekomo wybuchł po wyniszczeniu Maragów. Nedra był wyraźnie niezadowolony ze swego okrutnego ludu i wcale nie zaskoczyłoby mnie, gdyby Belar wysłał swych Chereków ku wybrzeżom Tolnedry na zaproszenie swego brata. By ukarać Tolnedran, wystarczy zabrać im owoce ich złodziejskiej działalności.

Wypadki pirackie trwały przez kilka stuleci. W końcu, w połowie dwudziestego szóstego wieku, Ran Borune wygnał swe tłuste, leniwe legiony z koszar i rozkazał im zarabiać na utrzymanie.

Mój ojciec, wujkowie i ja nie zajmowaliśmy się zbytnio waśniami pomiędzy Tolnedranami i Cherekami. Kontynuowaliśmy własne zmagania z Kodeksem Mrińskim. Nie uszło jednak naszej uwagi, gdy Ctuchik zaczął wysyłać patrole Murgów w dół Wschodniego Szańca na zwiady. Ctuchik chciał sprawdzić przygotowanie obronne Algarów, to nie ulegało wątpliwości, ale chciał również zdobyć lepsze konie dla swych wojowników. Koniki Murgów były wielkości dużych psów. Konie Algarów zdecydowanie nad nimi górowały pod każdym względem. Ojciec spędził wiele lat w Algarii w dwudziestym drugim i dwudziestym trzecim wieku. Opracował wówczas dla jazdy taktykę, której Algarowie używają po dziś dzień. Ctuchik zaniechał wypadów, gdy zaczął ponosić straty przekraczające rozsądne rozmiary. Torak traktował swych Angaraków jak inwentarz. Ctuchik pogląd ten podzielał. Trzeci uczeń Toraka chciał powiększać swe stado, nie je wyniszczyć.

Niekończąca się wojna domowa w Arendii ciągnęła się dalej... i dalej, i dalej, w miarę jak trzy walczące księstwa manewrowały, zmawiały się i zawierały chwiejne sojusze, które często rozpadały się w trakcie bitwy. Ostatecznie niepokoje w Arendii kazały mi opuścić Dolinę i wciągnąć się w wir światowych spraw.

Moje trzechsetne urodziny przeszły w zasadzie niezauważone. Ojciec utrzymuje, że wyruszyłam do Vo Wacune w dwudziestym piątym wieku, co pewnie jest prawdą. Pomylił się tylko o sto lat, ale starzy ludzie często mają kłopoty z datami.

To było zabawne, prawda, ojczy?

Prawdę powiedziawszy, moja wycieczka do Arendii zaczęła się oku 2312. Pewnej nocy obudziłam się z dziwnym uczuciem, że ktoś na mnie patrzy. Przewróciłam się na bok i ujrzałam widmową stać śnieżnej sowy mającą w księżycowym blasku w oknie. To była mama.

- Pakuj się, Polgardo - powiedziała szorstko. - Jedziesz do Vo Wacune.

- Po co? - zapytałam.

- Ctuchik sieje niepokój w Arendii.

- Arendowie nie potrzebują niczyjej pomocy, mamu. Sami potrafią narobić dość zamieszania.

- Tym razem sprawy wyglądają nieco poważniej, Pol. Ctuchik ma we wszystkich księstwach swych ludzi udających kupców tolnedrańskich. Różnymi opowieściami przekonują trzech książąt, że Ran Yordue proponuje im sojusz, ale Ran Yordue o niczym nie wie. Jeśli plan Ctuchika się powiedzie, wybuchnie wojna pomiędzy Arendią a Tolnedrą. Ze wszystkich trzech książąt wacuński jest najinteligentniejszy, więc jedź do Vo Wacune, sprawdź, co się tam dzieje, i połóż kres knowaniom Ctuchika. Mistrz polega na tobie, Pol.

- Wyruszę natychmiast, mamu - obiecałam. Następnego ranka zaczęłam pakowanie.

- Przeprowadzasz się, Pol? - zapytał przymilnie ojciec. - Czyżbym coś powiedział?

- Mam coś do załatwienia w Arendii, ojczy.

- Tak? Co takiego?

- To nie twoja sprawa, staruszk - powiedziała. - Zdobądź mi jakiegoś konia. Będzie mi potrzebny.

- Posłuchaj, Pol...

- Nawet o tym nie myśl. Sama to zrobię.

- Chcę wiedzieć, co zamierzasz robić w Arendii, Pol.

- Chcieć i wiedzieć to dwie różne sprawy, ojczy. Mistrz kazał mi pojechać do Arendii i coś załatwić. Wiem, jak to zrobić, więc nie będziesz musiał ze mną jechać. Postarasz mi się o konia od Algarów, czy sama mam się tym zająć?

Pomamrotał, ale przed nadejściem południa czekała na mnie u Podnóża wieży osiodłana kasztanka, Lady. Nie dorównywała Baronowi wielkością, ale dobrze się rozumiałyśmy.

Było już dobrze po południu, nim pochwyciłam znajome poczucie obecności ojca kilka mil za mną. Prawdę powiedziawszy, zastanawiałam się, co go zatrzymało.

Pojechałam wschodnim skrajem Ulgolandu, a potem przez góry Sendarii na terytorium wacuńskich Arendów. Ojciec podążał za mną zmieniając postać co godzinę.

Przeprawiłam się w górnym biegu przez rzekę Camaar i wjechałam do rozległego lasu porastającego północną Arendię. Wkrótce na tknęłam się na patrol wacuńskich Arendów pod komendą wyraźnie niedoświadczonego młodzieńca o agresywnym usposobieniu.

- Stój, dziewczko! - rozkazał wyniośle, wypadając ze swymi ludźmi z zarośli. Dziewka? To nie był dobry początek. - Dokąd zmierzasz? - zapytał arogancko.

- Do Vo Wacune, panie - odparłam uprzejmie.

Pragnę byście wszyscy docenili - i podziwiali - moje prawie nieludzkie opanowanie w trakcie tego zajścia. Nie pomyślałam nawet o zamienieniu go w ropuchę - no, w każdym razie nie rozważałam tego poważnie.

- Jaką masz sprawę w naszym pięknym mieście? - dopytywał się dalej.

- Otóż to, panie, mam sprawę.

- Nie wynoś się ponad swój stan, dziewczko. Pospółstwo nie zwraca się tak do stojących wyżej. Zdaje mi się przeto, iż lepiej będzie, jeśli w areszt cię wezmę, albowiem mowa ta zdradza obcego, a obcy nie są mile widziani w tych włościach.

- To może tłumaczyć twój brak dobrego wychowania, gburze - powiedziałam bez ogródek. - Kontakt z cywilizowanymi ludźmi poprawiłby twoje maniery, choć pewnie próżna to nadzieja. - Westchnęłam. - Cóż, niewdzięczne zadanie nauczania cię grzecznego zachowania mnie przypadło w udziale. Zważaj baczenie na me słowa, nieokrzesany łotrze, albowiem odkryjesz we mnie bardzo wymagającego nauczyciela. - Zebrałam swą Wolę.

Dowódca patrolu gapił się na mnie w osłupieniu. Najwyraźniej nikt nigdy nie karmił go za brak dobrych manier. Potem odwrócił się, widocznie zamierzając ostro przemówić do swych parsających ze śmiechu ludzi.

- Na wstępie powiedziec muszę, żeś winien mi okazywać niepodzielną uwagę w trakcie mego pouczenia - oświadczyłam zimno.

Byłam od niego oddalona o kilkanaście stóp, ale nie znalazło się pomiędzy nami nic, co można by obarczyć odpowiedzialnością za potężny cios, jaki wylądował mu na twarzy. To nie był zwykły policzek. Irytujący młodzian zakołysał się w siodle, jego oczy stały się trochę szkliste.

- Co więcej - ciągnęłam dalej srogo - od tej pory zwracać się do mnie winienes „pani”. Jeśli określenie „dziewka” jeszcze raz z ust twych wyjdzie, zadbam, abyś żałował tego po dzień śmierci swojej.

Kolejny cios trafił go prosto w usta. Młodzian zwałił się z siodła, po długiej chwili podniósł się, plując krwią i zębami.

- Azaliż zaskarbiłam sobie twą uwagę, łotrze? - zapytałam go uprzejmie. Potem powiedziałam półgłosem: „Śpij!” i dowódca oraz jego chichoczący ludzie ucichli, zamarli w bezruchu. Pojechałam dalej, zostawiając grupkę żołnierzy wpatrzonych w puste miejsce, w którym dopiero co byłam. Utrzymałam ich w tym sennym odrętwieniu przez prawie godzinę. Do tego czasu byliśmy już z Lady kilka mil dalej. Potem wysłałam im swą myśl. „Obudźcie się”, nakazałam.

Nie byli świadomi tego, że drzemali, więc wydało im się, że po prostu znikłam. Jakiś czas później dowiedziałam się, że nieokrzesany młodzieniec wstąpił do klasztoru wkrótce po naszym spotkaniu, a jego ludzie rozpierchli się i nigdzie nie można ich było znaleźć. Przynajmniej jedno źródło złych manier w księstwie Wacune zostało osuszone.

Miasto Vo Wacune wznosiło się wdzięcznie ponad lasami. Jego uroda zapała mi dech w piersiach. Nigdy nie widziałam tak pięknego miasta. Vo Astur było szare, podobnie Val Alorn, a Vo Mimbre żółte. Mimbraci nazywają je „złotym”, ale to nie zmienia faktu, że jest po prostu żółte. Vo Wacune było całe wykładane marmurem, prawie jak Tol Honeth. Jednakże Tol Honeth siliło się na majestatyczność, podczas gdy Vo Wacune starało się być piękne. Jego smukłe białe wieże wznosiły się wysoko ku niebu, które łaskawym uśmiechem obdarzało najpiękniejsze miasto na świecie.

Nim podążyłam do miasta łagodnie wijącą się drogą, zatrzymałam się w lesie, by zmienić odzienie. Włożyłam aksamitną niebieską suknię i pelerynę, którą nosiłam przy uroczystych okazjach na Wyspie Wiatrów. Po namyśle strój uzupełniłam srebrnym diademem, by Przekonać wszystkich, że określenie „dziewka” naprawdę było niestosowne.

Strażnicy przy miejskiej bramie potraktowali mnie uprzejmie i wjechałam do Vo Wacune, a za mną ciągnął ojciec, starając się nie wyglądać podejrzanie.

Lata spędzone na Wyspie Wiatrów nauczyły mnie, jak przyjmować władcą pozę, i wkrótce zaprowadzono mnie do wielkiej sali w której w ńście królewskim przepychu zasiadał książę.

- Wasza miłość - pozdrowiłam go z głębokim ukłonem. - Koniecznie musimy porozmawiać na osobności. Swe myśli muszę ci wyjawić z dala od uszu innych. - Ja po wprost uwielbiam tę archaiczną mowę a wy?

- To nie leży w zwyczaju, lady...? - odparł, szukając w myślach mego imienia. Książę był przystojnym jegomościem o falistych, brązowych włosach. Miał na sobie aksamitny kaftan w królewskiej purpurze i diadem, który tylko troszeczkę ustępował koronie.

- Przedstawię się, gdy zostaniemy sami, wasza miłość - zapewniłam go, sugerując przy tym szpiegów czających się za plecami. Arendowie wprost kochają intrygi, więc książę natychmiast połknął haczyk. Wstał, podał mi ramię i poprowadził do prywatnej komnaty, w której mogliśmy porozmawiać. Ojciec pod postacią zapchlonego psa powlókł się za nami.

Książę wprowadził mnie do miłej komnaty, w której delikatne zasłonki wydymały się w podmuchach wiatru wpadającego przez otwarte okna. Odgonił ojca, zamknął drzwi, po czym odwrócił się do mnie.

- A teraz, lady - powiedział - proszę, wyjaw mi swe imię.

- Nazywam się Polgarda, wasza miłość - odparłam. - Może o mnie słyszałeś. - Porzuciłam kwiecistą mowę. Archaizmy, choć urocze, mają tendencję do usypiania umysłu, a ja chciałam, aby jego miłość był bardzo czujny.

- Córka prastarego Belgaratha? - zapytał oszołomiony.

- Zgadza się, wasza miłość. - Byłam zaskoczona, że coś o mnie wiedział. Zapewne nie powinno mnie to dziwić. Niektóre opowieści o naszym „bractwie czarodziejów” przypominają mity i legendy, które Arendowie wręcz uwielbiają.

- To wielki splendor dla mego biednego domu, pani, iż byłaś łaskawa zaszczycić nas swą obecnością.

- Proszę, wasza miłość - odparłam z nieco kapryśnym uśmiechem. - Bez fałszywej skromności. Nie widziałam domu piękniejszego od twego i to ja jestem zaszczycona, mogąc w nim gościć.

- Nieco przesadziłem, prawda? - przyznał ze smutną, zupełnie nie arendyjską szczerością. - Oświadczenie twe było jednakże dla mnie zaskoczeniem i przesadną dwornością chciałem ukryć swe zmieszanie. Czemu zawdzięczamy przyjemność twego boskiego towarzystwa?

- Trudno je uznać za boskie, wasza miłość. Ostatnio otrzymywałeś złe rady. W Vo Wacune przebywa tolnedrański kupiec, który jakoby przemawia w imieniu Rana Yordue, ale to kłamstwo. Ran Yordue pewnie nawet go nie zna. Ród Yordue nie proponuje ci przymierza.

- Sądziłem, że moje rozmowy z kupcem Haldonem miały bardzo prywatny charakter, lady Polgaro.

_ Mam swoje źródła informacji, wasza miłość. Sprawy w Arendii zmieniają się co godzina, więc może mi powiedz, z kim obecnie prowadzisz wojnę.

_ Z Asturianami... w tym tygodniu - odparł z kwaśną miną. - Jeśli ta wojna zacznie robić się nudna, znajdziemy jakiś pretekst, by wypowiedzieć wojnę Mimbre. Od blisko dwóch lat nie mieliśmy porządnej wojny z Mimbratami. - Byłam niemal pewna, że żartował.

- Czy jesteście z kimś sprzymierzeni? - zapytałam.

- Mamy dość luźne porozumienie z Mimbratami. Mimbraci podobnie jak my nie lubią Asturian. Jednakże, jeśli mam mówić szczerze, to moje przymierze z Mimbre jest zaledwie przyrzeczeniem, iż Corrolin nie zaatakuje moich południowych granic w czasie, gdy ja rozprawiam się z tym pijaczkiem, Oldoranem z Asturii. Miałem nadzieję na przymierze z Tolnedrą, ale jeśli twoje informacje, pani, okażą się prawdziwe, to były płonne nadzieje. - Uderzył pięścią w stół. - Co ten Haldon chciał osiągnąć swoim szachrajstwem! - wybuchnął. - Czemu przyniósł tę nieprawdziwą propozycję od swego imperatora?

- Ran Yordue nie jest panem Haldona, wasza miłość. Haldon mówił w imieniu Ctuchika.

- Murga?

- Pochodzenie Ctuchika jest trochę bardziej skomplikowane, ale uznajmy go za Murga.

- Czemu wewnętrzne sprawy Arendii miałyby interesować Murgów?

- Wewnętrzne sprawy Arendów interesują wszystkich, wasza miłość. Wasza biedna Arendia to istne nieszczęście, a nieszczęścia są zaraźliwe. W tym przypadku jednak Ctuchik pragnie rozprzestrzenienia tutejszych niesnasek. Pragnie wszcząć na zachodzie zamieszanie, aby otworzyć drogę dla swego Mistrza.

- Swego Mistrza?

- Ctuchik jest jednym z uczniów Toraka, a czas najazdu Boga na zachodnie królestwa wcale nie jest odległy. Haldon jest tylko jednym z ludzi, których Ctuchik wysłał do Arendii. Są jeszcze inni, którzy sięgają podobne kłamstwa w Asturii i Mimbre. Jeśli każdy z książąt da się przekonać, że ma w Tolnedranach sprzymierzeńców a spodziewane legiony się nie pojawią na czas, to ty, panie, Corrolii, i Oldoran prawdopodobnie zaatakujecie Tolnedrę, w pojedynkę lub w jakimś naprędce utworzonym sojuszu. To ostateczny cel Ctuchilca wojna pomiędzy Arendią i Tolnedrą.

- Cóż za upiorny pomysł! - krzyknął. - Żaden sojusz pomiędzy Corrolinem, Oldoranem i mną nie będzie nigdy na tyle trwały, byśmy mogli stawić czoło imperialnym legionom! Zetrą nas w proch!

- Otóż to. A jeśli Tolneda pobije i zaanektuje Arendię, to do wojny zostaną wciągnięci Alornowie, którzy będą chcieli bronić swoich interesów. Tym sposobem wszystkie królestwa Zachodu ogarnie wojenna pożoga. - W tym momencie przyszła mi do głowy pewna myśl. - Powinnam poradzić ojcu, aby zajrzał do Alornii. Jeśli Ctuchik sieje niepokój tu, na południu, równie dobrze może to samo robić na północy. Niepotrzebny nam wybuch kolejnej wojny klanów w królestwach Alornów. Gdy wszyscy na zachodzie będą walczyć ze wszystkimi, nikt nie odeprze inwazji z Mallorei.

- Za nic na świecie nie chciałbym cię obrazić, lady Polgardo, ale Haldon miał dokumenty opatrzone pieczęcią i podpisem Rana Yordue.

- Nie tak trudno podrobić imperialną pieczęć, wasza miłość. Mogę ci taką zrobić choćby zaraz.

- Świetnie radzisz sobie na krętych ścieżkach dyplomacji, lady Polgardo.

- Mam trochę praktyki, wasza miłość. - Zastanowiłam się chwilę. - Jeśli dobrze to rozegramy, może uda się obrócić spisek Ctuchika na naszą korzyść. Nie chcę cię urazić, ale w naturze Arendów leży potrzeba jasnego określenia, kto jest wrogiem. Czy nie byłoby milej nienawidzić Murgów zamiast jeden drugiego?

- O wiele milej, pani. Spotkałem kilku Murgów, ale nigdy takiego, którego bym lubił. Zdaje mi się, że to najmniej budzący sympatię naród na świecie.

- W rzeczy samej, wasza miłość, a ich bóg jest jeszcze gorszy.

- Czy Torak planuje natychmiastowe działania przeciwko zachodowi?

- Chyba nawet Torak nie wie, co sam planuje, wasza miłość.

- Lady Polgardo, przyjaciele zwracają się do mnie Kathandrion, a wieści, które mi przyniosłaś, czynią z ciebie mego przyjaciela.

- Jak sobie życzysz, lordzie Kathandrionie - powiedziałam uprzejmym ukłonem.

On skłonił mi się w odpowiedzi, po czym się roześmiał.

- Dobrze sobie radzimy, prawda, Polgardo? - zapytał.

- Też tak pomyślałam - przyznałam, lekko zaskoczona przejściem księcia na normalny język. W miarę jak poznawaliśmy się coraz lepiej Kathandrion coraz częściej porzucał kwiecistą mowę, co uznałam za oznakę pewnej inteligencji. Potrafił, i często to czynił, wprowadzić słuchaczy w stan kompletnego oszołomienia wyszukany słownictwem, ale za tymi wszystkimi „zaiste”, „albowiem”, „zważywszy” krył się prawdziwy intelekt, a nawet bardzo niearendyjskie poczucie humoru. - Cieszę się z tego, Kathandrionie - powiedziałam. - Podejrzewam, że czeka nas daleka droga.

- Nie mógłbym sobie życzyć lepszego towarzystwa, droga lady. - Wrócił do kwiecistego stylu, ale chichot nadal się w nim czaił. To był bardzo skomplikowany człowiek. Potem westchnął, odrobinę zbyt teatralnie.

- Skąd to westchnienie, przyjacielu?

- Jeśli chcesz znać prawdę, to dałaś mi powód do rozważenia abdykacji, Polgardo - biadał. - Przyzywa mnie pokój i cisza klasztornych murów. Czy polityka międzynarodowa zawsze jest taka mroczna?

- Zwykle. Czasami bywa jeszcze gorzej.

- Ciekaw jestem, czy kazaliby mi ogolić głowę - zastanawiał się, oglądając długie pasemko swych włosów.

- Słucham?

- Gdy wstąpię do klasztoru.

- Daj spokój, Kathandrionie. Przecież dobrze się bawimy, prawda?

- Osobliwie rozumiesz to słowo, Polgardo. Całkiem kontent byłem nienawidząc Asturian i Mimbratów. Życie było takie proste. Teraz nabiłaś mi głowę innymi godnymi rozważenia możliwościami, a nie jest ona zbyt pojemna.

- Poradzisz sobie, Kathandrionie - powiedziałam, kładąc rękę na jego ramieniu. - Zatrąszę się o to, byś nie popełnił wielu błędów. Powiedz mi, jak wielką wagę przykładają się w tutejszym prawie do dowodów?

- Dowodów?

- Jak daleko będziesz musiał się posunąć, aby dowieść łotrostwa owego Tolnedranina?

Książę wybuchnął śmiechem.

- Nie znasz arendyjskich zwyczajów, jak widzę - powiedział Jesteśmy Arendami, Polgardo. Dowody i świadkowie są ponad naszych możliwości. Władam tutaj za pomocą dekretów. Jeśli powiem, że ten człowiek jest łajdakiem, to jest łajdakiem i natychmiast lądaj w moich lochach. Już taką mamy naturę, że musimy upraszczać sobie sprawy.

- Bardzo to wygodne. Jednakże potrzeba mi więcej informacji. Zatem każ go, proszę, pojmać. Pragnę mu zadać kilka pytań, nim zamieszka w lochu. Pragnę wiedzieć, jak szeroki zasięg ma ten spisek nim udam się do Vo Astur i Vo Mimbre.

- Czy zyczysz sobie, pani, usług śledczego?

- Kata masz na myśli? Nie, Kathandrionie. Są inne sposoby na wydobywanie z ludzi prawdy. Gdy już poznam pełny zasięg spisku Ctuchika, będę mogła pokrzyżować jego plany.

- Czy kiedykolwiek spotkałaś owego łotra, Ctuchika, pani?

- Jeszcze nie, wasza miłość - odparłam ponuro. - Spodziewam się jednak, że ta chwila nadejdzie i wypatruję jej z niecierpliwością. Możemy już iść?

Zatrzymałam się na chwilę w drzwiach i spojrzałam krytycznie na psa rozciągniętego w progu.

- W porządku, ojcze - powiedziałam. - Możesz wracać do domu. Całkiem dobrze poradzę sobie tutaj bez ciebie.

Ojcu udało się nawet sprawić wrażenie nieco skruszonego.

Im lepiej poznawałam Arendów, tym wyżej ceniłam Kathandriona. Całe tomy zapisano błędną interpretacją natury Arendów. Pasma nieustannych nieszczęść, które ludzie zwali Arendią, brało się nie z wrodzonej głupoty, lecz bardziej osobliwego połączenia ślepej popędliwości, nieodpartej skłonności do dramatyzowania i niezdolności do wycofania się z raz podjętych działań. Szczęśliwie Kathandrion potrafił wysłuchać rad, nim się za coś zabrał. Naturalnie w pierwszym odruchu chciał pojmać podwładnego Ctuchika i w łańcuchach przepędzić go ulicami Vo Wacune, najlepiej w samo południe. Chciał już nawet wydać stosowne rozkazy.

- Mamy do czynienia ze spiskiem - tłumaczyłam mu łagodnie w drodze powrotnej do sali tronowej. - Czy naprawdę chcemy otwartymi działaniami ostrzec innych spiskowców?

Księżę rzucił mi spojrzenie z ukosa.

- Niezbyt błyskotliwy pomysł, prawda? - zapytał.

- Słyszałam lepsze.

- Trzeba mi chyba pierwej pomyśleć, nim zamiar w czyn wprawi? - powiedział.

- Ja bym tak zrobiła na twoim miejscu.

- Będę nad tym pracował. Jak ty podeszłabyś do tej sprawy, pani?

- Posłużyłabym się małym kłamstewkiem. Wyślij do Haldona liścik z zaproszeniem na prywatną rozmowę przy najbliższej okazji.

- A jeśli nie znajdzie okazji aż do przyszłego tygodnia?

- Zjawi się tutaj natychmiast, Kathandrionie. Zaufaj mi. Korzyłam już z tego sposobu. On uzna, że „przy najbliższej okazji” oznacza: „gdy tylko się ubierzesz”. Jest wiele sposobów użycia władzy, usunięcie jest o wiele lepsze od druzgocącego ciosu.

- Cóż za oryginalna sugestia. To jest Arendią, Polgardo. Tu rozkazy powinny być wydawane w zwięzłym, łatwym do zrozumienia języku, najlepiej w jednosylabowych słowach.

Coraz bardziej zaczynałam lubić księcia Kathandriona. Zaproszenie, które podyktował skrybie po powrocie do sali tronowej, było mistrzowsko niewinne i jak przewidywałam, Haldon przybył w ciągu godziny.

Wieczór zapadał nad baśniowym miastem Vo Wacune, gdy Kathandrión przyprowadził naszego gościa do komnaty w pobliżu schodów wiodących do lochów. Paliła się tu tylko jedna lampa. Ja siedziałam w fotelu z wysokim oparciem, zwrócona twarzą ku oknu. Dzięki temu byłam prawie niewidoczna.

Gdy weszli, ostrożnie wysłałam swą myśl. Kolor, który zobaczyłam, nie był czerwienią, charakterystyczną dla tolnedrańskiego kupca, lecz ponurą czernią. Człowiek podający się za Haldona był Murgiem. Widziałam jego odbicie w szybie. Nie miał rysów charakterystycznych dla Angaraków. To wiele wyjaśniało.

- Miło z twej strony, iż przybyłeś w tak krótkim czasie, zacy Haldonie - mówił Kathandrión.

- Jestem zawsze na wezwanie waszej miłości - odparł człowiek w zielonym płaszczu, kłaniając się.

- Proszę, spocznij, przyjacielu. Jesteśmy sami, toteż ceremonie są zbędne. - Kathandrión zrobił teatralną przerwę. - Niedawno rozważyłem mej poddano myśl, iż księstwo Wacune mogłoby odnieść pewne ekonomiczne korzyści, gdybym polecił pobudowanie w granicach moich włości urządzeń portowych na południowym brzegu rzeki Camaar. Tuszę, iż ty najbardziej kompetentny jesteś, by ocenić ów zamysł. Czy w rzeczy samej urządzenie owe zwiększyłyby wymianę handlową pomiędzy Wacune a imperium?

- W rzeczy samej, wasza miłość! - fałszywy Tolnedranin odparł z entuzjazmem. - Sam imperator często wyrażał swe zainteresowanie tym projektem.

- Znakomicie! - powiedział Kathandrión. - Kapitalnie! Czy mając na względzie nasze przyszłe przymierze, mógłbym nakłonić go do zasugerowania swemu władcy udziału w kosztach wznoszenia owych udogodnień?

- Jestem pewny, że imperator bardzo łaskawym okiem spojrzy na taką propozycję.

Tolnedranin z ochotą wydający pieniądze? Już to powinno już starczyć, by zdemaskować w Haldonie oszusta.

poradziłam księciu, aby wciągnął naszego podejrzanego w jakąś błahą dyskusję, która osłabiłaby jego czujność. Potrzebowałam chwili by dotknąć umysłu Haldona i potwierdzić jego pochodzenie. Urządzenia portowe były całkowicie wymysłem Kathandriona i utwierdziły mnie w mej wcześniejszej ocenie jego inteligencji. Pozwoliłam im jakiś czas gawędzić, a potem wstałam z fotela i weszłam w krąg światła lampy.

- Z niechęcią przerywam tak miłą pogawędkę, panowie - powiedziałam - ale czeka nas jeszcze sporo spraw do załatwienia przed świtem, więc zacznijmy.

Ani Arendowie, ani Murgowie nie są przyzwyczajeni, by kobiety wtrącały się do spraw wagi państwowej, więc moje nagłe wkroczenie do akcji zaskoczyło ich obu.

Murgo rzucił mi krótkie spojrzenie i jego twarz śmiertelnie pobladła.

- Ty! - wykrzyknął.

Po raz pierwszy spotkałam się z taką reakcją na moją obecność. Przyglądałam mu się z zaciekawieniem.

- Jak udało ci się zmienić rysy, Haldonie? - zapytałam. - W najmniejszym stopniu nie przypominasz Angaraka. Czy to sprawka Ctuchika? Zmiana musiała być strasznie bolesna. , W jego spojrzeniu pojawiła się czujność.

- Wybacz, pani - powiedział, szybko odzyskując panowanie nad sobą. - Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz.

- Czy będziemy odgrywać tę nudną grę aż do jej nieuniknionego końca? - westchnęłam. - Jakież to nudne! - Mówiąc to, delikatnie badałam ciemne zakamarki umysłu fałszywego Tolnedranina. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziłam, że najbardziej bał się mojego ojca! To czyniło całą sprawę nadspodziewanie łatwą.

- Tak wiele się tu dzieje, że tego nie rozumiem - przyznał Kahandrion, sprawiając wrażenie zbitego z tropu.

- To całkiem proste, wasza miłość - powiedziałam. - Ten dżentelmen, który nazywa siebie Haldonem, naprawdę jest Murgiem, którego prawdziwego imienia nie da się pewnie wymówić. Czy to wyjaśnia sprawę?

- Ale on nie wygląda na Murga, pani.

- Tak, zauważyłam. Będziemy musieli zapytać, jak mu się udało to osiągnąć.

- Ona kłamie! - warknął Murgo.

- To wielce nieprawdopodobne - odparł Kathandrion tonem. Potem zwrócił się do mnie. - Wygląda na to, iż znana mu jesteś, pani.

- Tak - przyznałam. - Najwyraźniej Ctuchik przestrzegł go przede mną. - Spojrzałam surowo na naszego gościa. - Obawiam się, że doszliśmy teraz do najmniej przyjemnej części tej rozmowy, wolisz powiedzieć nam od razu wszystko, co wiesz o planie swego mistrza? Czy też mam cię do tego przekonać? Powiesz mi, co wiesz, w końcu. Wybieraj, jaką metodę wolisz.

Jego oczy przybrały stanowczy wyraz i nagle przepełniła je nienawiść.

- Rób, co chcesz, czarownico - oświadczył wyzywająco. - Jestem Dagashi i wytrzymam każde męczarnie, jakie wymyślisz.

- Cieszę się, że porzuciłeś maskaradę - stwierdziłam. - Przy okazji, pozwól, że uwolnię cię od tego ukrytego pod płaszczem sztyletu. Bylibyśmy niepokieszeni, gdybyś postanowił się zabić, nie wspominając już o plamach, jakich narobiłbyś na dywanie. - Odebrałam mu sztylet. - Cóż za osobliwe narzędzie - zauważyłam, nieco marszcząc brwi. - A, rozumiem. To nóż do rzucania. Możemy kontynuować? - Wpatrywałam się bacznie w jego oczy, zbierając swoją Wole. Przyznaję, miałam pewną przewagę w tej sytuacji. Chciałam pokazać mu obraz tego, czego bał się najbardziej, ale gdyby to nie poskutkowało, prawdziwy powód jego lęku nie był zbyt daleko. Wykonałam drobny gest prawą ręką i uwolniłam Wolę.

Tak, wiem. Ojciec strofuje mnie za te gesty od trzydziestu wieków, a ja równie długo nic sobie z tego nie robię. To kwestia stylu. Mnie się ten podoba, więc będę tak robić.

Ci z was, którzy znają mego ojca, wiedzą, że lubi się popisywać. To nie znaczy, że nie potrafiłby przewrócić gór na lewą stronę, gdyby zechciał, ale zawsze robi wszystko z pewną ostentacją, w paradnym i kwiecistym stylu, który wywiera wielkie wrażenie. Jego twarz jest przy tym jedynie narzędziem, ale jej wyraz bardzo wiele mówi. Wierzcie mi, widywałam już wszystkie wyrazy jego twarzy w ciągu stuleci więc wizerunek, który stworzyłam dla Murgo, był jak żywy. Początkowo ojciec miał minę surową. Murgo pobladł i cofnął się o krok.

Potem ojciec zmarszczył brwi, a Murgo zapiszczał i usiłował zakryć głowę rękoma.

potem iluzoryczna twarz mego ojca skrzywiła się w wyrazie, który ćwiczył przed lustrem, gdy myślał, że na niego nie patrzę. Oczy zwęził w szparki, głowę odchylił nieco do tyłu i spoglądał z wściekłością spod powiek. Jeśli mam być szczerą, ten wyraz twarzy upodabniał go do szaleńca, który gotów był rozszarpać kogoś zębami na strzępy.

Potem wzmocniłam obraz, przydając mu migotliwego błysku zdecydowania, który pojawia się tuż przed uwolnieniem Woli.

Murgo wrzasnął i usiłował w panice wgramolić się pod fotel.

- Nie! - wołał. - Przestań!

Zamroziłam go w miejscu, a on tymczasem wyl i skomlał w absolutnym przerażeniu.

- Proszę! - wrzeszczał. - Proszę, spraw, żeby zniknął, Polgardo! Zrobię wszystko. Wszystko! Tylko spraw, żeby zniknął!

Krążyły o mnie różne niestworzone opowieści, ale nie sądzę, aby Kathandrion rzeczywiście w nie przedtem wierzył. Teraz jednak uwierzył i cofnął się, sprawiając wrażenie nieco wystraszonego.

- Najpierw wyjaw swe imię, Murgu - zaproponowałam. - A potem wyjaśnij mi, co to jest Dagasni. Od tego zaczniemy. Nie zapominaj przy tym, że w każdej chwili mogę sprowadzić ojca z powrotem, jeśli odmówisz współpracy.

- Zwą mnie Krachack - odparł Murgu drżącym głosem - a Dagashi to członkowie tajemnego zakonu w Cthol Murgos. Zbieramy informacje i eliminujemy ludzi niewygodnych dla tych, którzy nas zatrudniają.

- Szpiedzy i płatni zabójcy?

- Możesz nas tak nazywać, jeśli chcesz.

- A dlaczego nie masz rysów Murga?

- Nasze matki i babki były niewolnicami z innych ras. Zostały zabite po naszych narodzinach. Ja jestem w jednej czwartej Murgiem.

- Osobliwe - zauważyłam - szczególnie biorąc pod uwagę obsesje czystości rasowej Ctuchika. Zostawmy to jednak teraz. Jaki jest dokładnie cel twej misji w Arendii?

- Polecono mi przekonać księcia Kathandriona, że gdy zaatakuje vb Astur, Ran Vordue przyjdzie mu z pomocą. Z legionami Kathandrion byłby w stanie zetrzeć w proch Asturię. Potem mam dać do zrozumienia, że połączone siły wacuńskich Arendów i tolnedrańskich legionów skierują się na południe i to samo zrobią z Mimbre.

- Absurd! - powiedziałam. - Co Ran Vordue miałby z tego mieć?

- Południowe Mimbre - odparł Krachack ze wzruszeniem ramion - tę część, gdzie znajduje się większość miast. Spojrzałam na Kathandriona.

- Czy ta propozycja by cię skusiła? - zapytałam bez ogródek W spojrzeniu mego przyjaciela dostrzegłam lekkie poczucie winy

- Obawiam się, że mogłaby, Polgardo. Oczyma duszy zobaczyłbym siebie w roli króla Arendii i koniec domowych wojen, które targają naszą ukochaną ojczyznę.

- Wątpię, by tak się stało. Pokój zbudowany na takiej zmowie nie utrzymałby się długo.
- Odwróciłam się do Krachacka. - Domyślam się, że podobne spiski zawiązano w Vo Astur i Vo Mimbre? - zapytałam.

Krachack skinął głową.

- Oczywiście trochę się między sobą różnią, wszystko zależy od strategicznej pozycji każdego z trzech książąt. Powiedziano mi, że w Vo Mimbre jest kilku przekupionych Tolnedran, którzy sprzyjają naszym planom, ale to nie moja sprawa. Końcowy rezultat naszych działań ma być taki sam. Trzej książęta zaatakują się wzajemnie, spodziewając się pomocy legionów. Potem, gdy pomoc nie nadejdzie, książęta uznają, że zostali zdradzeni. Inni Dagashi, udający arendyjskich patriotów, będą nakłaniać każdego z książąt do

sprzymierzenia się z pozostałymi dwoma i marszu na imperium. Oto cel Ctuchika, wywołanie wojny pomiędzy Tolnedrą a Arendią.

- Tolnedrą rozbiłaby nas w proch! - krzyknął Kathandrion. Krachack wzruszył ramionami.

- I co z tego? Ctuchik nie dba o was. Jednakże jeśli Tolnedrą zaanektuje Arendię, do sprawy zostaną wciągnięci Alornowie, a o to właśnie tak naprawdę chodzi Ctuchikowi - o wojnę pomiędzy Tolnedrą i Alorią. Po jej wybuchu Ctuchik będzie mógł pojechać do Ashaby i podać Torakowi podzielony Zachód na talerzu. Ctuchik zostanie wówczas ulubionym uczniem Toraka, znajdzie się ponad Zedarem i Urvonem, a Malloreanie będą mogli przekroczyć Morze Wschodu. Angarakowie całą potęgą runą na poróżnione królestwa i zetrą Je w proch. Torak zostanie bogiem całej ludzkości.

Z pewnością Lelldorin poznaje ogólny schemat tego spisku. Murggo Nachak próbował zrobić coś bardzo podobnego w Arendii kilka lat temu. Ctuchik powtarza się, rzadko kiedy wymyśli coś nowego.

Przepytywaliśmy Krachacka prawie do świtu, a potem kazaliśmy po cichu wsadzić do najgłębszego lochu. Wacuński książę był zaskoczony zawilnością spisku Ctuchika.

- Zdumiewające, że ktoś potrafi być tak przebiegły, Polgardo - przyznał. - Czy umysły wszystkich Murgów są takie?

- Raczej wątpię, przyjacielu - odparłam. - Ctuchik uczył się u samego Toraka, a potem całe wieki wprawiał się na swych kolegach uczniach, Urvonie i Zedarze. Pomiędzy tymi trzema nie ma miejsca na miłość i Torak woli, aby tak pozostało. Bóg Smok wyciąga i wykorzystuje najgorsze cechy ludzkiej natury. - Zastanowiłam się chwilę nad sytuacją. - Myślę, że będzie lepiej, jeśli pojedę prosto do Vo Astur - powiedziałam w zamyśleniu. - Obawiam się, że wydarzenia tam posuwają się równie szybko jak tutaj i w Vo Mimbre. Spiski muszą być z sobą powiązane, aby osiągnąć punkt kulminacyjny w tym samym czasie. Wydarzenia tutaj szybko zbliżają się do punktu kulminacyjnego.

- Powiniennem zapewnić ci eskortę, Polgardo.

- Kathandrionie - przypomniałam mu delikatnie - nie zapominaj, że z formalnego punktu widzenia jesteś w stanie wojny z Asturią. Czy ludzie nie zaczną gadać, jeśli pojedę do Vo Astur z wacuńską eskortą?

- Znowu się nie popisałem, prawda? - Wyglądał na nieco zakłopotanego.

- Co racja, to racja, przyjacielu. Będziemy musieli nad tym popracować. Nie martw się. Asturianie nawet mnie zobaczą... dopóki ja tego nie zechcę.

Wyjechałam na Lady jeszcze tego samego dnia. Po godzinie podróży zbadalam myślą otaczający las. W pobliżu nie było żadnych Arendów, ale był ktoś inny.

- No dobrze, ojcze - powiedziałam - idziesz ze mną czy nie? W jego milczeniu było poczucie winy.

- Nie wtykaj w to nosa, staruszk - powiedziałam. - Myślę, że to Jeden z tych „sprawdzianów”, o których tak lubiłeś rozprawiać. Ruszam przodem, a skoro nalegasz na podróżowanie za mną, to zabierz ze sobą Lady.

Uwielbiam robić mu coś takiego.

Wydarzenia toczyły się coraz prędzej, więc szybkość działania była istotna. Postanowiłam nie przybierać swej ulubionej postaci, więc przemieniłam się w sokoła.

Vo Astur było zbudowane z granitu. Jego szare mury były grube, wysokie i zwieńczone ponurymi blankami. Wojny między rodami ciągnęły się w Asturii od stuleci i każdy znaczniejszy szlachcic mieszkał w forcie. Siedziba asturiańskiego rządu nie stanowiła w tym względzie wyjątku. Asturia pełna była intryg, spisków, zasadzek, trucicielstwa i niespodziewanych ataków, więc rozwaga nakazywała przezorność. Nie miałam zamiaru poddawać się nieuniknionemu przepytywaniu przy miejskich bramach, więc poszybowałam prosto do książęcego pałacu. Zmierzch właśnie zapadał nad warownym grodem. Wylądowałam w dalekim kącie pałacowego dziedzińca i wróciłam do własnej postaci. Potem przemknęłam skrajem wybrukowanego placu do bogato zdobionych pałacowych wrót. „Zachęciłam” strażników do drzemki i weszłam do środka.

Ojciec często mnie przekonywał, że czasami lepiej pozostawać nie zauważonym. Obmyślił na to wiele sposobów. Moim ulubionym jest sprawianie wrażenia osoby dobrze znajomej. To sposób subtelny. Ludzie są pewni, że mnie znają, ale nie potrafią sobie przypomnieć mego imienia. W towarzystwie bywa to bardzo użyteczne. Po prostu wtapiam się w tło.

Kathandrion uprzedził mnie, że Asturianie mówią w „cudzoziemskim dialekcie”, więc krążyłam po długim, mrocznym korytarzu, dopóki nie spotkałam grupy wystrojonych dworzan - mężczyzn i kobiet. Dołączyłam do nich i uważnie zaczęłam przysłuchiwać się rozmowom. Zauważyłam, że Asturianie porzucili kwiecisty styl i posługiwali się bardziej pospolitym językiem. Z jednej strony granicę Asturii stanowiło Morze Zachodu, toteż jej mieszkańcy mieli częstsze kontakty z obcymi niż wacuńscy czy mimbrańscy Arendowie. Tutejsi ludzie pragnęli być „nowocześni”, więc niewolniczo naśladowali mowę obcych. Niestety, miewali kontakty głównie z marynarzami, a marynarze nie są najlepszymi

nauczycielami eleganckiego języka. Mam nadzieję, że trzpiotowate panny z grupy, do której dołączyłam, nie rozumiały w pełni znaczenia pewnych słów i wyrażań, jakie padały z ich ust.

Ponieważ każdy z trzech arendyjskich książąt miał pretensje do królewskiego tronu, w pałacu każdego z nich znajdowała się sala tronowa. Grupa weszła do takiej właśnie gdzie każdy zdawał się być bardziej niż zalanym winem. Oldoran, książę Asturii, musiał już sporo wypić. Siedział rozparty na swym tronie z wyrazem głębokiego cierpienia na drobnej twarzy o podkrążonych oczach. Mężczyzna w tolnedrańskim płaszczu nieapetycznie żółtego koloru stał po jego prawej ręce. Często pochylał się nad księciem i szeptał mu do ucha. Ostrożnie wysłałam badającą myśl. Kolor, który zobaczyłam u tego niby-Tolnedranina, nie był czerwony. Wyglądało na to, że miałam do czynienia z kolejnym Murgiem. Następne kilka godzin spędziłam na wędrowaniu po sali i przysłuchiwaniu się strzępom rozmów. Szybko spostrzegłam, że książę nie cieszy się wielkim poważaniem. „Zapijaczony szcurek” to chyba najprzejmniejsze określenie, które o nim słyszałam. Następnie zrozumiałam, że fałszywy Tolnedranin miał nad Oldoranem niemal całkowitą władzę. Bez trudu mogłabym oczywiście zerwać te powiązania, ale jaki byłby z tego pożytek? Nawet gdybym zmieniła poglądy Oldorana, nie zmieniłabym jego samego. Był użalającym się nad sobą pijackiem o szczątkowej inteligencji i owym zarozumiałym mniemaniu, tak popularnym pomiędzy prawdziwymi głupcami, że jest najmądrzejszym człowiekiem na świecie. Tak więc stanęłam przed prawdziwym problemem. Pijany Oldoran ciągle wołał o więcej wina i w końcu padł nieprzytomny.

- Wygląda na to, że nasz ukochany książę jest lekko niedysponowany - zauważył z ironią starszawy dworzanin o białych jak śnieg włosach, ale zaskakująco młodzieńczym spojrzeniu. - Jak według Was, panie i panowie, powinniśmy postąpić? Położyć go do łóżka? Czy moczyć w ogrodowym stawie, dopóki nie oprzytomnieje? A może powinniśmy umieścić go gdzieś indziej, gdzie nasze harce nie przeszkadzałyby mu w chrapaniu? - Kpiąco się skłonił roześmianemu tłumowi - Chciałbym w tym względzie kierować się zbiorową mądrością dworu- Co na to powiecie, szlachetnie urodzeni?

- Mnie podoba się pomysł ze stawem - zaproponowała jedna

- Ależ kochana baronowo! - zaprotestowała młoda, ciemnowłosa kobieta o figlarnym spojrzeniu. - Pomyśl, czym by to się skończyło dla biednego karpia, który tam żyje.

- Jeśli mamy zamiar wrzucić Oldorana do łóżka, lepiej będzie go przedtem trochę wyżąć, lordzie Mangaran! - krzyknął do starego szlachcica na wpół pijany dworzanin. - Ten opój tak nasiąknął winem, że niemal w nim pływa.

- Tak - mruknął lord Mangaran. - Sam to zauważyłem. Jego miłość ma zdumiewającą pojemność jak na kogoś tych rozmiarów.

Wówczas piękna dama o figlarnym spojrzeniu przybrała przesadnie dramatyczną pozę.

- Panowie i panie - wydekłamała - proponuję chwilę ciszy jako wyraz naszego szacunku dla biednego Oldorana. Potem zostawmy go we wprawnych rękach lorda Mangarana, który tak często pełnił tę służbę, że nie potrzebuje naszych rad. Następnie, gdy jego miłość zostanie wyżęty i wrzucony do łoża, będziemy mogli wnieść toast za łaskawy los, który uwolnił nas od jego towarzystwa. Wszyscy skłonili głowy, ale „chwilę ciszy” zakłóciły zduszone śmiechy. Z pewnością Lelldorin, a w rzeczy samej wszyscy Asturianie, po czują się urażeni tym, co właśnie opisałam, ale taka jest prawda. Całe stulecia cierpień kosztowało oszlifowanie okrutnych, pozbawionych wszelkich skrupułów Asturian. To było moje pierwsze spotkanie z nimi. Pod wieloma względami przypominali Alornów z południa.

Młoda dama, która zaproponowała chwilę ciszy, przyłożyła teatralnym gestem dłoni do czoła.

- Podajcie mi puchar wina! - zawołała jak aktorka na scenie - Publiczne przemowy zupełnie mnie wyczerpują.

Murgo, który stał przy boku Oldorana, zniknął w tłumie. Nie było go nigdzie widać, gdy dwóch krzepkich służących wynosiło chrapiącego księcia z sali tronowej.

Ja sama schowałam się w małej alkwie, by przemyśleć sytuację. Plan, z jakim opuszczałam Vo Wacune, przewidywał zdemaskowanie Murga przed księciem. Potem miałam pozwolić, by książę sam się z nim rozprawił. Oldoran nie dorównywał jednak klasą Kathandnowi. Z doświadczenia wiedziałam, że głupcy rzadko zmieniają swe sądy. W tej sytuacji odwołałam się do logiki. Jeśli Oldoran nie nada je się do mych celów, najprościej będzie zastąpić go kimś innym. Im więcej o tym myślałam, tym bardziej podobał mi się ten pomysł. Murgo nie będzie się tego spodziewał, to po pierwsze. Ojciec i wujek Beldin przy wielu okazjach opisywali mi charakter Angaraków. Angarakowie byli organicznie niezdolni do kwestionowania jakiegokolwiek rodzaju władzy. Słowa „rewolucja” po prostu nie ma w ich słowniku.

Schemat działań, nad którym się zastanawiałam, nie był z pewnością niczym nowym. Arendyjska historia pełna jest wzmianek o tak zwanych przewrotach pałacowych, drobnych niepokojach, które zwykle prowadziły do śmierci władcy. Nie zamierzałam posuwać się aż tak daleko, ale chciałam pozbyć się Oldorana z tronu. To, czego byłam świadkiem tego wieczoru, sugerowało, iż większość przebywającej na dworze szlachty podziela to pragnienie.

Teraz jedynym problemem było wybranie następcy Qldorana i znalezienie sposobu na możliwie najszybsze pozyskanie jego zaufania.

Zdrzemnąłam się krótko w pustym salonie i wczesnym rankiem wróciłam do sali tronowej, aby zasięgnąć języka w sprawie owej bystrej młodej damy, która tak dowcipnie zaproponowała chwilę ciszy. Opisałam ją służącemu sprzątającemu po wieczornej uczcie.

- To hrabina Asrana, pani - powiedział z kamienną twarzą. - Nałogowa kokietka i wielka dowcipnisia.

- Tak, to ona - ucieszyłam się. - Zostałyśmy przedstawione sobie kilka lat temu i chciałabym ją odszukać. Gdzie ją znajdę?

- W jej apartamentach w zachodniej wieży, pani, na parterze.

- Dziękuję - mruknęłam, dałam mu drobną monetę i poszłam szukać zachodniej wieży.

Gdy pokojówka wprowadziła mnie do komnaty, hrabina, lekko niedysponowana, leżała na sofie. Spojrzenie miała zamglone, a na czole zimny okład.

- Chyba cię nie znam - powiedziała zbolonym głosem.

- Źle się czujesz? - zapytałam.

- Jestem nieco słaba - przyznała. - Szkoda, że to nie zima. Wyszłabym na dziedziniec i wsadziłabym głowę w śnieg. - Potem przyjrzała mi się bardziej uważnie. - Wyglądasz jakoś znajomo.

- Nie sędzę, byśmy się kiedykolwiek spotkały, hrabino.

- Może, ale coś na pewno o tobie słyszałam. - Przyłożyła palce do skroni. - Moja głowa! - jęknęła.

- Musimy porozmawiać, Asrano - powiedziałam - ale najpierw yba zajmę się twoim stanem. - Wyciągnęłam z torebki flakonik.

Wlałam jego zawartość do filiżanki, która stała na kredensie, i dodałam wody. -To nie będzie smaczne - ostrzegłam.

- A czy poczuje się po tym lepiej?

- Powinnaś.

- Zatem nie dbam, jak to smakuje. - Wypiła i wzdrygnęła się ..

Paskudne - stwierdziła. - Jesteś lekarzem?

- Mam pewne wykształcenie w tym kierunku - przyznałam.

- Cóż za osobliwe zajęcie dla kobiety twego stanu... Chyba już mi się robi lepiej.

- O to przecież chodziło, hrabino. Poczekajmy, niech mikstura zadziała w pełni.

- Zawdzięczam ci życie, pani - powiedziała z egzaltacją. - Nadal wydajesz mi się znajoma. - Wtem zrobiła kpiącą minę. - Oczywiście, w takie ranki jak dzisiejszy nachodzą

mnie różne dziwne myśli... Zdumiewające! Głowa mi nie odpadła. Mogłabyś wVo Astur zbić fortunę na tej miksturze. Każdy w pałacu zapewne czuje się równie okropnie jak ja przed chwilą. To cudowny środek. Wrócił mi życie. To niemal jak magia. - Nagle przerwała i spojrzała na mnie, jakby zobaczyła mnie po raz pierwszy. Potem zaczęła się trząść. - To była magia, prawda?

- Nie, moja droga. Niezupełnie.

- Ależ tak, była! Masz biały lok i jesteś lekarzem. Jesteś Polgardą Czarodziejką, prawda? Jesteś córką Belgaratha!

- Widzę, że mój straszliwy sekret wyszedł na jaw – westchnęłam z udawanym żalem.

- Ty masz milion lat! Dotknęłam swego policzka.

- Czy to naprawdę tak rzuca się w oczy, Asrano?

- Oczywiście, że nie, lady Polgardo - odparła. - Nie wyglądasz nawet na o dzień starszą niż sto tysięcy lat. - Obie wybuchłyśmy śmiechem, a ona nieco się skrzywiła. - Trochę mi tu jeszcze pulsuje - zauważyła, dotykając czoła. - Proszę, nie zmuszaj mnie jeszcze przez chwilę do śmiechu. Twoje zaklęcie nie zdążyło jeszcze dotrzeć do korzeni tego bólu.

- Tak naprawdę to nie było zaklęcie, Asrano, jedynie mikstura z pewnych pospolitych ziół. - Postanowiłam dać spokój uwagom, że jej ranki mogłyby być o wiele przyjemniejsze, gdyby nie piła tyle wina co wieczór. - Czy mogłabyś posłać po coś swoją pokojówkę? - zapytałam. - Chciałabym porozmawiać z tobą na osobności.

- Chyba po śniadanie. Nagle zrobiłam się głodna. Zjesz ze mną?

- Będę zachwycona, moja droga.

Po wyjściu dziewczki przystąpiłyśmy z Asraną do sprawy.

- Nie chciałam cię urazić, hrabino, ale wasz książę nie zrobił na mnie dobrego wrażenia.

- A na kim robi? Wszyscy musimy uważać, żeby nie nadepnąć na niego w sali tronowej. Masz może przypadkiem lekarstwo na miernotę? Oldoran powinien pewnie wziąć podwójną dawkę. Życie tutaj byłoby o wiele prostsze, gdyby ktoś rozduśił tego robaka. Napijesz się wina?

- Nie teraz, Asrano, ty też napij się wody tego ranka. Mieszanie wina z miksturą, którą ci podałam, wywoła okropne mdłości.

- Wiedziałam, że to musi mieć jakiś skutek uboczny. Na czym skończyłyśmy?

- Omawialiśmy wady księcia Oldorana.

- I jego słabe strony, jeśli sobie przypominam. - Hrabina Asrana miała ostry języczek. Polubiłam ją.

- Który z dworzan najlepiej nadawałby się do zastąpienia księcia, gdyby nadarzyła się po temu okazja?

- Lord Mangaran, oczywiście. Spotkałaś go?

- Widziałam go zeszłego wieczoru. Chyba nie ma najlepszej opinii o waszym księciu.

- Nie jest w tym osamotniony. Któż mógłby lubić jego robaczywość?

- Kim jest ten Tolnedranin nie odstępujący księcia?

- Chodzi ci o Gadona? To kupiec. Zdaje się, że złożył Oldoranowi jakąś propozycję, zapewne hańbiącą i z pewnością odrażającą. Gadon kręci się po pałacu od pół roku, przekupując dworskich oficjeli. Nikt go nie lubi, ale ma posłuch u księcia, więc musimy być uprzejmi.

- Czy jesteś tego ranka w nastroju na poważny spisek, Asrano?

- Teraz, gdy przestała mnie boleć głowa, jestem w nastroju niemal na wszystko. Spiskujemy!

- Co powiesz o przewrocie, hrabino?

- Ależ to zabawne! - krzyknęła, klaszcząc w dłonie. - Z radością chcę uczestniczyć w obaleniu robaka. Zabijesz go, Polgaro? A jeśli, czy mogę się temu przyglądać?

- Niegrzeczna z ciebie dziewczynka, Asrano.

- Wiem, ale to takie zabawne. Czy będziemy skradać się w środku nocy, szepcząc i przemycając broń do pałacu?

- Czytałaś za dużo marnych powieści, Asrano. Dobry spisek nie na tym polega. Myślę, że powinniśmy porozmawiać z lordem Mangaranem, nim wyniesiemy go na tron. Ma już swoje lata i tego typu niespodzianka mogłaby mu zaszkodzić.

- Popsujesz tym całą zabawę. Moglibyśmy mu ofiarować tron na urodziny.

- Czy powinniśmy się spodziewać dużego oporu, gdy wystąpimy przeciwko księciu? Czy ma na dworze jakichś zwolenników? Krewnych czy urzędników, którzy straciliby na usunięciu go z tronu?

- Pozwól mi się tym zająć, lady Polgaro. Jeśli zechcę, potrafię sobie okręcić wokół małego palca każdego na dworze.

Zdarzyło mi łącać serca przy różnych okazjach i poznałam kilka największych flirciarek w historii, ale hrabina Asrana była w tej dziedzinie prawdziwą mistrzynią.

Po śniadaniu posłała lordowi Mangaranowi liścik z prośbą o spotkanie w ogrodzie różanym. Po wejściu do ogrodu dla pewności posłałam badającą myśl. Wolałam, aby tej rozmowy nikt nie podsłuchał.

Lord Mangaran sprawiał wrażenie zmęczonego, ale w jego oczach nadal pobłyskiwały figlarne iskierki.

- Mam mu powiedzieć? - zapytała mnie Asrana.

- Powinnaś - odparłam. - Nie zajdziemy daleko, jeśli nie będzie wiedział.

- Mam dla ciebie niespodziankę, wasza lordowska mość - zaczęła Asrana, udatnie naśladowując gwarę wacuńskich wieśniaków. - Wystaw sobie, że to oto dziewczę niewypowiedzianej urody jest lady Polgardą. Czyż nie czujesz się zaszczycony? Czemu nie padasz zemdłony?

- Proszę, hrabino... - Mangaran przetarł dłonią oczy. - Miałem bardzo męczący ranek. Jego miłość jest teraz zupełnie nie do wytrzymania. Nie wstał jeszcze z łóżka, a już jest pijany. Nie dobijaj mnie bajkami.

- To naprawdę jest Polgarda Czarodziejka. - Asrana spojrzała na mnie. - Zaczaruj go. Zamień go w ropuchę albo w coś innego. To niedowiarek, Polly. Spraw, żeby wypadły mu wszystkie włosy.

Nikt nie nazywał mnie dotąd „Polly” i lepiej niech nikt tego nigdy nie robi.

- Proszę, wybacz naszej hrabinie, pani - powiedział Mangaran - Czasami ponosi ją fantazja.

- Zauważyłam to - rzekłam z uśmiechem. - Tym jednak razem mówi prawdę. - Niedbałym ruchem zerwałam czerwoną różę z pobliskiego krzaka. - By zaoszczędzić nam czasu... Patrz uważnie.

Zrobiłam to powoli, po części dla większego wrażenia, a po części by nie ostrzec Murga, który kręcił się gdzieś po pałacu. Róża na mej dłoni skurczyła się do punkcika, a potem wypuściła maleńki, wijący się Pęd, który szybko rósł, rozgałęziając się w drodze ku słońcu. Najpierw pojawiły się listki, potem pączki na koniuszkach gałązek, pączki rozwinęły się, a każda z różyczek była innego koloru.

- Czegoś takiego nie widzisz chyba codziennie, Mangaranie? -zapytała przymilnie Asrana.

Lord Mangaran wyglądał na zaskoczonego, szybko jednak odzyskał panowanie nad sobą.

- Witaj w Vo Astur, lady Polgardo. - Skłonił się z wyjątkowym wdziękiem.

Przemieściłam tęczy krzaczek róży na najbliższą grządkę i odpowiedziałam równie dwornym ukłonem.

- Skoro to już załatwiliśmy, musimy teraz porozmawiać, lordzie.

- Udało ci się zdobyć moją niepodzielną uwagę, lady Polgardo. Rozporządzaj mną, pani.

- Och, proszę, nie niszczyć go, Polly - powiedziała Asrana z błyszczącymi oczyma. - Jeśli ci niepotrzebny, pozwól mi go sobie wziąć.

- Dość już, Asrano! - skarciłam ją. Potem spojrzałam na Mangarana. - Czy jesteś tego ranka w nastroju do spisku, panie?

- Jestem Arendem, lady Polgardo - odparł z nikłym uśmiechem. - Zawsze jestem w nastroju do psot.

- Polly ma zamiar zabić naszego księcia - wyrzuciła jednym tchem Asrana - a ja będę patrzeć, jak ona to robi.

- Ja również? - zapytał równie wesołym tonem Mangaran.

- O nie! - westchnęłam. - W co ja się wpakowałam?

- Będziemy grzeczni, Polly - obiecała Asrana. - Jak wytępijemy robaka?

- Prawdopodobnie to nie będzie konieczne - powiedziałam. - może wie o czymś, co będzie mi potrzebne. Kieruje nim Murgo, który usiłuje wywołać wojnę pomiędzy Arendią i Tolnedrą.

- Wielki Chaldanie! - wykrzyknął Mangaran. - Nasz księżę to hultaj, ale...

- Nie tylko on został zwiedziony, panie - przerwałam mu. - Przybywam właśnie z Vo Wacune i to samo dzieje się tam, a zapewne też w Vo Mimbre. Angarakowie usiłują wszczynać wojny na zachodzie, przygotowując teren do inwazji z Mallorei. Ojciec przysłał rennie do Arendii, abym położyła temu kres. Uznałam, że wasz księżę jest zbyt głupi, by dać posłuch logicznym argumentom, więc nie mamy innego wyboru, musimy się go pozbyć, a ciebie postawić na jego miejsce

- Mnie? Dlaczego mnie?

Czemu wszyscy to powtarzają?

Wyjaśniłam mu to w najbardziej obcesowy sposób i nawet rezolutna hrabina wydawała się nieco zakłopotana.

- Księżę ma sporą gwardię, lady Polgardo - powiedział z powątpiewaniem lord Mangaran - która dostaje żołd nawet wówczas, gdy reszta armii głoduje. Będą bronić go jak własnego życia.

- Możemy ich przekupić - zasugerowała Asrana.

- Człowiekowi, którego można przekupić, zwykle nie starcza honoru, by dochować wierności. Asrana wzruszyła ramionami.

- Wytrujemy ich, Polly. Jestem pewna, że masz coś na tę okazję w swej torebce.

- To nie najlepszy pomysł, moja droga - stwierdziłam. - Jesteśmy w Arendii, a ci gwardziści mają rodziny. Jeśli ich zabijemy, oboje do końca życia będziecie się lękać zemsty. Ja zajmę się gwardzistami.

- Kiedy masz zamiar to zrobić? - zapytał lord Mangaran.

- Czy zaplanowałaś coś na ten wieczór, panie?

- Nic, czego nie mógłbym odłożyć. Czy nie działamy jednak zbyt szybko?

- Musimy, panie. W Arendii żaden spisek nie jest bezpieczny dłużej niż kilka godzin.

- To prawda - westchnął. - Smutna, ale prawda.

- Nie trać otuchy, panie... księżę - powiedziała z łobuzerskim uśmiechem Asrana. - Będę cię podtrzymywać na duchu, podczas gdy Polly wykona brudną robotę.

Historia ma zwyczaj koloryzować rewolucje, ponieważ świadczą one o wewnętrznych konfliktach, które wprowadzają jedynie niepokojący bałagan w naukowych rozprawach. Jednakże raz po raz dochodzi do przewrotów, a Arendia jest dla nich idealnym miejscem. Z rewolucji, którą wywołałam w Asturii tego lata, jestem wręcz dumna. Była wyjątkowa, bo od pomysłu do realizacji zajęła jeden dzień. I to w Arendii, gdzie ludzie wprost uwielbiają wszystko przeciągać w nieskończoność. Arendowie mają chorobliwą skłonność do dramatyzowania, a to zawsze pochłania czas. Gdyby nie obecność w Vo Astur odpowiednika Krachacka, moglibyśmy działać w bardziej leniwym tempie. Jednakże w tej sytuacji wystarczyłoby przypadkowe słowo w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie, by wszystko poszło na marne. Asrana rozejrzała się ukradkiem, a potem odezwała się konspiracyjnym szeptem:

- Od czego zaczynamy, Polly?

Dobra rada dla mojej rodziny. Jeśli ktokolwiek z was kiedykolwiek nazwie mnie „Polly”, przez tydzień będzie dostawał gotowane siano na kolację. Pozwoliłam na to Asranie z bardzo szczególnego powodu.

- Po pierwsze, Asrano, przestań skradać się, chodzić na paluszkach po ciemnych korytarzach i szeptać. Mów normalnym głosem rozglądaj się niczym złodziej z torbą pełną łupów. W przeciwnym razie lepiej od razu wywieś flagę, zadmij w trąbę i powieś sobie na szyi napis „spiskowiec”.

- Odbierasz mi całą przyjemność, Polly - powiedziała z nadąsaną miną.

- A jak wielką przyjemnością według ciebie będzie przesiedzieć nie czterdziestu lat w lochach?

- Chyba niewielką - przyznała.

- Miej to na uwadze, moja droga. Dzisiaj cały dzień myśl o spaniu na zbutwiałej słomie w towarzystwie szczurów. - Spojrzałam na lorda Mangarana. - Domyślam się, że Oldoran nie cieszy się w Vo Astur wielkim poparciem?

- Prawie żadnym, lady Polgardo - odparł. - Oczywiście ma popleczników we własnej rodzinie i kilku pośród szlachty, którzy czerpią zyski z jego złych rządów. To w zasadzie wszyscy, nie licząc gwardzistów.

- Ja zajmę się gwardzistami. Czy jest ktoś, na kim możesz polegać i kto ma dom w pewnym oddaleniu od pałacu?

- Baron Torandin pasowałby do tego opisu, lady Polgardo.

- Potrafi trzymać język za zębami? I czy zechce cię słuchać bez zadawania zbędnych pytań?

- Myślę, że tak.

- Dobrze. Poproś go, aby dziś wydał w swym domu przyjęcie. Sporządź listę gości, na której znajdą się wszyscy krewni księcia i ci, którzy mają interes w jego pozostaniu na tronie. Dorzuć trochę przypadkowych nazwisk, aby sprawa nie wydawała się zbyt oczywista. Niech mi się tutaj nie kręci żaden poplecznik księcia.

Lord Mangaran uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Przyjęcia Torandina są słynne w całym państwie. Przyjdzie każdy, kogo zaprosi.

- Dobrze. Teraz przejdźmy do naszych sojuszników. Postarajmy się, by ta grupa była jak najmniejsza. Im więcej osób wie o naszym spisku, tym większa jest szansa, że wieść o nim dotrze do niepowołanych uszu. Nie chcę, by o tym, co robimy, wiedziało więcej niż kilkunastu ludzi.

- Nie obalisz rządu jedynie z kilkunastoma ludźmi, pani!

- Ależ tak, jeśli właściwie do tego podejść. Nie będziemy przecież uganiać się z mieczami i wykrzykiwać hasła. Nasz spisek jest o wiele bardziej subtelny.

- To niemiłe słowo, Polly - narzekła Asrana.

- Które słowo, moja droga?

- „Spisek”. Nie można by znaleźć jakiegoś bardziej podnoszącego na duchu określenia?

- Pomyślmy. Co powiesz na „intrygę”? A może lepsze „knowania”? „Zdrada”? „Zdrada stanu”? „Złamanie świętej przysięgi”?

- Żadne z nich również nie brzmi miło - zaprotestowała.

- To, co robimy, nie jest miłe, Asrano. Oldoran sprawuje w Asturi legalną władzę, a my planujemy, jak go obalić. Jesteśmy przestępcami, lub patriotami.

- To miłsze słowo. Podoba mi się.

- Bardzo dobrze. Patriotko Asrano, powiedziałaś, że potrafisz sobie każdego mężczyznę w Vo Astur okręcić wokół palca. Bierz się zatem do pracy.

- Przepraszam, co takiego?!

- Idź i zacznij łamać serca. Trzepocz rzęsami, rozsiewaj wokół powłóczyście spojrzenia, dużo wzdychaj i wypinaj pierś. Twe oczy mają lśnić od łez.

- Ależ to będzie zabawa! - krzyknęła, klaszcząc z uciechą. - Ty również będziesz łamać serca, Polly? Pokręciłam głową.

- Nikt mnie tu nie zna, więc ludzie, których będziemy próbowali przeciągnąć na naszą stronę, nie chcieliby mnie słuchać. Poza tym muszę się zatroszczyć o inne sprawy. To oznacza, że wy dwoje będzie musieli nawiązać wszystkie konieczne kontakty. Chcę, aby tego wieczoru odpowiedni ludzie znaleźli się w odpowiednich miejscach i we właściwym czasie. Zajmij się tym.

- Czy przypadkiem nie dowodziłaś już kiedyś oddziałami, lady Polgardo? - zapytał z ciekawością lord Mangaran.

- Jeszcze nie, panie, zwykle udaje mi się załatwiać sprawy bez przelewu krwi. To mi o czymś przypominało. Będzie mi potrzebny łucznik, jak najlepszy. Będę potrzebowała strzały w bardzo określonym miejscu i w bardzo określonym czasie.

- Wiedziałam! Chcesz zabić księcia! - wykrzyknęła z zachwytem Asrana.

- Nie, moja droga. Chcę, aby książę wyszedł z tego żywy. Jeśli go zabijemy, wszyscy uczestnicy przyjęcia barona Torandina chwycą jutro rano za broń. Strzała jest przeznaczona dla kogoś innego. Zaczynajmy. Ten dzień nie będzie trwał wiecznie, a mamy sporo do zrobienia. Tylko nie skradajcie się i nie sprawiajcie wrażenia winnych. Niech wam w uszach nie przestaje brzmieć słowo „patriota”. Koło poszło w ruch, ale dzięki moim przestrogom obyło się bez większych zawirowań. Pomimo swoich licznych wad Arendowie są najlepszymi spiskowcami na świecie. Asrana i Mangaran bez zbędnego hałasu wyławiali spośród dworzan osoby ważne dla naszej sprawy, pozostałych w nic nie wtajemniczając. Naturalnie wymuszali przysięgi milczenia i wbijali do głów spiskowcom jakieś idiotyczne hasła rozpoznawcze. Jedyny sprzeciw, z jakim spotkały się ich działania dotyczył pośpiechu. Jednodniowy zamach nie bardzo pasowały arendyjskiego wyobrażenia o tym, jak to się powinno zrobić.

Do południa nasz spisek był już dobrze zorganizowany. Mangaran przyciągnął kilku starszych, bardziej znaczących członków dworu, a Asrana zebrała wokół siebie śmietankę młodych zapaleńców. Mój wkład był chemicznej natury. Wino, które nasi współspiskowcy mieli pić tego dnia, nie straciłoby muchy ze ściany. Dla lojalnych wobec księcia przygotowałam trunki, który nie tylko muchę straciłby ze ściany, ale i samą ścianę by

powalił. Tuż po południu baron Torandin rozesłał zaproszenia na „intymny wieczorek towarzyski w swej rezydencji”. Potem Mangaran i Asrana musieli powiedzieć naszym sprzymierzeńcom, aby nie protestowali przeciwko wykluczeniu ich z przyjęcia. W owych czasach spiskowcami Vo Astur wszystko rzucono w kąt, gdy w grę wchodziło dobre przyjęcie i niektórzy spiskowcy wydawali się rozdarci koniecznością wyboru pomiędzy dobrym przyjęciem a dobrą rewolucją. Musiałam wymyślić sposób na zatrzymanie księcia w domu. Problem rozwiązałam wzmacniając wino, które popijał, rozparty na tronie. Nie minęła godzina, jak stracił przytomność. „Toledranin” zaczął w tym momencie coś podejrzewać, ale działaliśmy szybko. Nasz plan był śmiesznie prosty. Gdy się współpracuje z Arendami, trzeba unikać wszelkich komplikacji. Każdy dworzanin miał swoich lokajów, stajennych, kamerdynerów. A ponieważ byliśmy w Arendi, cała ta służba chodziła uzbrojona po zęby i gotowa na każde wezwanie swego pana. Mieliśmy pod dostatkiem ludzi na wypadek, gdyby trzeba było użyć siły, ale skoro wszyscy ewentualni przeciwnicy pomaszerają na przyjęcie barona, jedyne sprzeciwu mogliśmy się spodziewać ze strony gwardzistów, których powinno nam usunąć z drogi wino, jakie wypiją do kolacji. Prawdopodobnie fałszywy

Toledranin też miał kilku ludzi na usługach, ale nasza druzgocząca przewaga dawała pewność, że nie będą stanowili wielkiego problemu. Wy tłumaczeniem dla usunięcia z tronu Oldorana będzie „nagła niedyspozycja jego miłości”. W rzeczywistości niedyspozycja nie była taka nagła. Oldoran całe lata moczył głowę w beczce z winem, by doprowadzić się do obecnego stanu. Tuż przed kolacją udałam się ponownie z Asrana i Mangaranem do ogrodu różanego, by dopracować ostatnie szczegóły.

- Nie zabijajcie go - poleciłam stanowczo. - W przeciwnym razie nasze działania pójdą na marne. Macie wszyscy zrobić potem smutne miny. Udawajcie zatroskanie stanem zdrowia Oldorana. - Spojrzałam na Mangarana. - Rozmawiałeś z opatem?

- Wszystko gotowe. Na Oldorana czeka w klasztorze miła kwatery i tyle wina, ile zdoła wypić. Opat będzie co jakiś wydawał oświadczenia o zdrowiu jego miłości, które zapewne z czasem się pogorszy.

- Tylko nie przykładajcie do tego ręki - ostrzegłam. - Niech się tym zajmie wątroba Oldorana.

- Ile to może potrwać? - zapytała Asrana.

- Daję mu jakieś sześć miesięcy - odparłam. - Już ma zażółcone białka oczu. Jego wątroba zmienia się w kamień. Niedługo zacznie majaczyć, a wówczas zaczniecie przyprawiać do klasztoru w odwiedzinach jego popleczników. Niech sami zobaczą, w jakim jest stanie.

- Czy to ty popsujesz mu wątrobę, Polly?
- Nie. On sam się o to zatroszczył.
- Czy wino rzeczywiście wywołuje u ludzi taki skutek?
- O tak, moja droga. Pomyśl o tym.
- Może spróbuję powstrzymać się od picia - powiedziała nieco zatroskana.
- Ja bym tak zrobiła. Jednak to twoja wątroba. Teraz zaś chcę, abyście oboje pokrażyli trochę pomiędzy naszymi „patriotami”. Na każdym kroku dawajcie do zrozumienia, że nie chcemy tego robić, ale nie mamy wyboru. Nasz przewrót powodowany jest miłością do Asturii.
- Nie jest to całkowicie zgodne z prawdą, lady Polgardo - przydał szczerze Mangaran.
- A zatem kłam. Dobra polityka zawsze opiera się na kłamstwach. W czasie swoich przemów upewnij się, że w tłumie są ludzie, którzy pokierują oklaskami. Niczego nie zostawiaj ślepemu przypadkowi.
- Jesteś straszliwie cyniczna, Polly - zarzuciła mi Asrana.
- Być może, ale jakoś to zniosę. Wróćmy jednak do naszej sprawy. Po uwięzieniu księcia w klasztorze porozmawiajcie z miejscowymi baronami. Do rana ulice Vo Astur powinny się roić od uzbrojonych ludzi. Przestrzeżcie jednak baronów, że ich ludzie mają się zachowywać grzecznie. Żadnego plądrowania, mordowania, podpalania czy przypadkowych gwałtów. Niech tylko pilnują porządku. Ja będę decydować, co jest jego naruszeniem. Nie dajmy opozycji pretekstu do kontrewolucji. Jeszcze jedno. Jutro rano do pałacu przybędzie białowłosy starzec w białej szacie. Wygłosi mowę i chcę, by wszyscy pijani czy trzeźwi - jej wysłuchali. Wyjaśni, że wypełnialiśmy jedynie jego szczegółowe rozkazy. Nie sędzę, abyśmy potem mieli jeszcze jakies kłopoty.
- A któż na świecie cieszy się takim posłuchem? - zapytał Mangaran nieco zaskoczony.
- Naturalnie mój ojciec.
- Sam świątobliwy Belgarath? - zapytała z niedowierzaniem Asrana.
- Wstrzymałabym się z tym „świętobliwym”, dopóki go nie spotkasz, moja droga. Na twoim miejscu miałabym się przy nim na baczności. On potrafi się poznać na kobiecie, a do tego ma trudności z trzymaniem rąk przy sobie.
- Doprawdy? - zapytała figlarnie. Niepoprawna kokietka!
- Znalazłeś mi już łucznika, Mangaranie? - zapytałam.
- Tak, lady Polgardo - odparł. - Nazywa się Lammer i potrafi strzelać nawlec igłę z odległości stu kroków.
- Dobrze. Będę chciała z nim porozmawiać, nim zaczniemy.

- A kiedy właściwie zaczniemy, lady Polgardo? - zapytał.

- Tego wieczoru, gdy wejdę do sali tronowej. To będzie dla ciebie sygnałem.

- Będę cię wypatrywał - obiecał.

- Wypatruj. A teraz do dzieła.

Poczekalam w ogrodzie różanym, dopóki się nie oddalili.

- Możesz już zejść, ojciec - powiedziałam, zwracając się do dekoracyjnego drzewka cytrynowego. Wyglądał trochę głupio, gdy sfrunął na ziemię i wrócił do własnej postaci.

- Skąd wiedziałaś, że tu jestem? - zapytał.

- Nie nudź, ojciec. Doskonale wiesz, że nie możesz się przede mną ukryć. Zawsze wiem, czy jesteś w pobliżu. - Przerwałam na chwilę. Co o tym myślisz?

- Myślę, że podejmujesz spore ryzyko i działaś zbyt szybko

- Muszę działać szybko, ojciec. Nie mam pewności, kogo uda się temu Murgowi przekupić.

- O to właśnie chodzi. Cały swój plan opierasz na tych co właśnie odeszli, a spotkałaś ich dopiero tego ranka. Jesteś pewna, że można im zaufać?

Obdarzyłam go jednym z owych przeciągłych, zbolałych westchnień.

- Tak, ojciec - odparłam. - Jestem pewna. Mangaran ma wiele do zdobycia, a poza tym rzeczywiście tłą się w nim isierki patriotyzmu.

- A co z dziewczyną? Czyż nie jest okropnie trzpiotowata?

- To tylko poza, ojciec. Asrana jest bardzo bystra i ma równie dużo do zdobycia co Mangaran.

- Nie bardzo rozumiem, Poi.

- Problemy z Arendią po części wiążą się z tym, że kobiety tutaj traktuje się jak zwierzątka domowe. Asrana pomoże w przejściu rządów i po wyniesieniu Mangarana na tron będzie stała tuż przy nim. Po dzisiejszej nocy zostanie kimś, z kim trzeba będzie się liczyć. To dla niej jedyna okazja do zdobycia jakiegokolwiek władzy.

- Być może - przyznał z powątpiewaniem.

- Zaufaj mi, ojciec. Zrobisz to, prawda?

- Co zrobię?

- Wygłosisz jutro rano mowę?

- A czemu ty tego nie uczynisz?

- Pamiętasz, co przed chwilę powiedziałam o zwierzątkach domowych? To jest Arendia, ojciec. Żaden tutejszy mężczyzna nie będzie słuchał nikogo w spódnicy. Muszę ruszać do Vo Mimbre, więc nie mam czasu na przekonywanie na wpół pijanego tłumu

asturiańskich samców, że nie jestem pudlem czy kotem. Spójrz na to z tej strony, ojcze. Jeśli wygłosisz mowę, tobie przypadnie cała zasługa za to, co zrobiłam, i nie będziesz musiał nawet brudzić sobie rąk.

- Zastanowię się nad tym. Czemu pozwalasz tej głupiej dziewczynie nazywać się „Polly”? Gdybym to ja spróbował, podpaliłabyś roi brodę.

- Oczywiście, więc nawet nie próbuj. Prawdę powiedziawszy, nie byłam zupełnie pewna szczerości zaangażowania Asrany, dopóki nie nazwała mnie „Polly”. Gdy to zrobiła, wiedziałam, że mam ją w kieszeni.

- Mogłabyś mi tę ostatnią kwestię dokładniej wyjaśnić?

- Ona pragnie osiągnąć powodzenie w życiu, ojcze. Zawsze do ego dążyła. A ja jej to umożliwiłam.

- Nigdy nie zrozumie kobiet. .

- Pewnie nie. Czy mógłbyś mi wyświadczyć przysługę, nim zaczniesz układać sobie jutrzejszą przemowę?

- Z wielką chęcią. Czego ci potrzeba?

- Gwardia Oldorana siedzi właśnie przy kolacji. Zrób coś z ich winem. Chcę, by wszyscy byli kompletnie pijani przed udaniem się na służbę.

- Myślałem, że nie pochwalasz picia.

- To szczególna okazja, ojcze, a przy szczególnych okazjach można nieco naginać własne zasady. Chcę uniknąć przelewu krwi. Pragnę, aby usunięcie Oldorana z tronu bardziej wyglądało na działanie administracyjne niż militarne.

- Dobry plan, Pol.

- Dziękuję, ojcze. A teraz ruszaj do kwatery gwardii i uczyni strażników niezdolnymi do służby. Potem zacznij przygotowywać swoją mowę, a ja zabiorę się do obalenia rządu.

Po kolacji podszedł do mnie krzepki wieśniak.

- Lord Mangaran kazał mi z tobą porozmawiać, pani - zwrócił się do mnie uprzejmie. - Powiedział, że pragnie pani przesłać komuś wiadomość. Ja mam ją doręczyć. Nazywam się Lammer.

Zabrzmiało to nieco tajemniczo - w końcu był spiskowcem - ale zrozumiałam, o co mu chodzi.

- Czy jesteś dobrym posłańcem? - zapytałam.

- Nie ma lepszego w całej Asturii, pani. Mogę to zaraz udowodnić.

- Wierzę ci na słowo, Lammerze. Chcę, aby wiadomość dotarła do jego uszu w konkretnym momencie.

- Potrafię to załatwić, pani. - Rzucił ukradkowe spojrzenie za siebie. - Będę na górze, na galerii z prawej strony sali tronowej. Wyślę wiadomość i nim ona dotrze do jego uszu, będę już w połowie drogi na dół.

- Doskonale. Idę się przebrać, a potem udam się do sali tronowej. Dostarcz moją wiadomość, gdy tylko wejdę do sali.

- Tak, pani - powiedział i zawiesił głos na chwilę. - Komu...? Dla kogo przeznaczona jest ta wiadomość? Powiedziałam i uśmiech przemknął mu przez usta. Potem udałam się do komnat Asrany, by się przebrać. Wybrałam suknię, którą miałam na ślubie Beldaran. Była wystarczająco imponująca, aby przyciągnąć uwagę wszystkich, a poza tym doskonale ją znałam, gdyż śledziłam każdy ruch igły Arell. Oczywiście, nie zabrałam jej z sobą do Arendii. Nadal wisiała w mojej szafie w wieży ojca. W końcu mam przecież swoje sposoby

Asrana weszła, gdy poprawiałam włosy.

- Nie do wiary, Polly! - wykrzyknęła. - Cóż za piękna suknia! Czyż jednak nie za bardzo rzuca się w oczy?

- Z tym zamysłem została uszyta, Asrano - powiedziałam. - Gdy wejdę do sali tronowej, chcę mieć pewność, że wszyscy mnie zauważą.

- Tego możesz być pewna, Polly. Jednak może to zakłócić nasz plan. Wszyscy będą tak zajęci patrzeniem na ciebie, że zapomną o obaleniu rządu.

- Pewne wydarzenie im o tym przypomni, moja droga - zapewniłam ją. - Sprowadź tu do mnie Mangarana. Przyślij go tutaj, a sama idź do sali tronowej. Niech nasi ludzie będą w pogotowiu. Wydarzenia potoczą się dość szybko.

- Czy mogłabyś podać więcej szczegółów?

- Chcę wszystkich zaskoczyć. Nie lubisz niespodzianek?

- Nie, gdy jestem w środku spisku. - Spojrzała w kierunku kredensu, na którym stało kilka karafek.

- Ani mi się waź! - powiedziałam stanowczo. - Zachowaj jasność myśli.

- Nerwy mam napięte jak postronki, Polly.

- To dobrze. Bądź czujna, nerwowa, zjadliwa. A teraz zmykaj. Wyszła, a kilka minut potem do drzwi zapukał Mangaran.

- Jdź stąd prosto do sali tronowej - poleciłam mu. - Przeciśnij się przez tłum, stań niedaleko tronu. Oldoran jest tam, prawda?

- Tak. Po kolacji trochę odzyskał przytomność i służący pomogli mu wejść na tron. Oczy ma otwarte, ale wątpię, czy wiele do niego dociera.

- Świetnie. Gdy tylko wejdę do sali tronowej, wydarzy się coś zaskakującego. Wykrzyknę kilka poleceń, a ty je wykonasz. Pospiesznie zabierzemy księcia z sali tronowej. Będzie wyglądać, że działamy w Jego obronie, ale to jedynie pretekst do przeniesienia go do klasztoru. Przyjdę do komnaty, do której zabierzesz Oldorana, i zbadam go a potem ogłoszę, że książę z „powodów zdrowotnych” udaje się na odosobnienie. W tym momencie ty przejmiesz władzę. Postaraj się wyglądać na zasmuconego tym wszystkim.

- A co dokładnie ma się wydarzyć, lady Polgaro?

- Tego nie musisz wiedzieć, panie. Chcę, aby twoje reakcje były tek najbardziej szczere. Wydam ci polecenia, więc po prostu je wykonaj w tych okolicznościach będą one całkiem racjonalne, więc nikt ich nie zakwestionuje. Teraz idź do sali tronowej. Będę tam za kilka minut, a wówczas wszystko się zacznie.

Zauważcie, że większość szczegółów całej akcji przezornie za chowałam dla siebie. Arendowie lubią być pomocni, a ja nie chciałam, by ktoś wkroczył do akcji, ofiarowując pomoc w najmniej właściwym momencie. Zostałam jeszcze dłuższą chwilę w komnatach Asrany, rozważając plan. Kilka rzeczy miałam zrobić niemal w tej samej chwili, gdy wiadomość Lammera dotrze do celu. Tylko nieliczni ze zgromadzonych w sali tronowej byli wprowadzeni w nasze przedsięwzięcie, a ja musiałam skierować myśli wszystkich innych w określonym kierunku. Nie miałam zamiaru zostawić żadnych luk dla spekulacji. Chciałam, aby wszyscy zinterpretowali to, co miało się wydarzyć w pałacu, w konkretny sposób.

Potem wzięłam głęboki oddech i wyszłam na korytarz, który wiódł do sali tronowej.

Przystanąłam w wejściu do wielkiej sali, aby upewnić się, czy wszyscy są na miejscach. Mangaran był w pobliżu tronu, po lewej stronie. Oldoran miał zamglone spojrzenie. Murgo w żółtym tolnedrańskim płaszczu stał po prawej stronie zamroczonego alkoholem księcia z lekko znudzonym wyrazem twarzy. Jego oczy jednakże czujnie śledziły tłum. Nie mogłam dostrzec Lammera na ocienionej galerii, ale nie powinnam go zobaczyć. Wysłałam szybką, poszukującą myśl i odetchnęłam z ulgą. Lammer był na umówionym miejscu. Trzpiotowata Asrana stała niedaleko tronu i wprost tryskała dowcipem. Napięcie sprawiło, że była jeszcze bardziej ożywiona niż zwykle. Uznałam, że jesteśmy gotowi.

Przestąpiłam próg i zatrzymałam się, spoglądając prosto na człowieka w tolnedrańskim płaszczu obok księcia. Krachack poznał mnie w chwili, gdy mnie zobaczył i miałam nadzieję, że ten Murgo również mnie natychmiast rozpozna.

Oczy nadal wychodziły mu z orbit, kiedy podeszłam do miejsca, w którym każdy mógł mnie zobaczyć. Moja suknia została zaprojektowana w celu zwracania uwagi i nadal tak

działała. Ludzie przerywali rozmowy w pół zdania, by na mnie patrzeć. Brzdęknęła cięciwa Lammera.

Strzała o stalowym grocie wydała chrupnięcie, gdy wbiła się prosto w czoło Murga. Odległość nie była duża, a łuk Lammera miał sporą siłę. Strzała przeszła przez mózg i na stopę sterczała z tyłu głowy Murga. Wyglądał nieco osobliwie z czołem ozdobionym pierzastym końcem strzały.

- Zamachowiec! - krzyknęłam, wzmacniając swój głos tak, że niewnie usłyszały go straża przy miejskich bramach. - Zabierzcie księcia w bezpieczne miejsce!

Oto jak dokonałam przewrotu w Asturii. Jedna strzała, jeden okrzyk i po wszystkim. Dobre zawsze jest proste.

Niby-Tolnedranin nie zdążył jeszcze osunąć się na podłogę, gdy Mangaran wkroczył do akcji.

- Do księcia! - wrzasnął. - Osłońcie go własnymi ciałami!

W pierwszym momencie zaskoczeni dworzanie się cofnęli. Istniała szansa, że pojawią się następne strzały, a nikt w tej sali aż tak nie przepadał za Oldoranem. Mangaran jednak już rzucił się do zdezorientowanego księcia, a inni pospiesznie ruszyli w jego ślady. Wielu dworzan wyciągnęło miecze, wypatrując, kogo posiekać.

Asrana krzyczała w mistrzowsko udanej hysterii.

Podeszłam szybko skrajem tłumu do drzwi za tronem.

- Tędy, lordzie Mangaranie! - zawołałam. - Sprowadź tu księcia! Pozostali niech strzegą drzwi! To spisek!

Tuż przed mętnymi oczyma osłupiałego Oldorana wywołałam straszliwą wizję, którą tylko on mógł widzieć. Księżę zaczął wrzeszczeć i mamrotać w kompletnym przerażeniu i nie przestawał, nawet gdy kilku dworzan podniosło go i poszło z nim za lordem Mangaranem do wskazanych przeze mnie drzwi. Wizję uczyniłam jeszcze bardziej wyrazistą. Księżę zaczął wrzeszczeć jak opętany. Zdecydowanie chciałam, aby krzyczał nadal.

- Czy mam wydać oświadczenie? - zapytał mnie szeptem Mangaran, gdy grupka mężczyzn niosących księcia minęła drzwi.

- Jeszcze nie - odparłam cicho. - Niech sobie trochę pokrzyczy przyjdę za kilka minut, żeby go zbadać. - Poczekajłam, aż wejdą do komnaty, po czym zamknęłam za nimi drzwi i oparłam się o nie plecami. - Znajdźcie zamachowca! - Poleciłam. - Schwytajcie go!

To dało każdemu, kto nie pilnował drzwi, jakieś zajęcie. Szybkie

Przeszukanie myślą ujawniło mi, że Lammer już opuścił pałac i siedzi w tawernie kilka ulic dalej. Poszukiwacze odnaleźli na galerii jeden łuk i kołczan ze strzałami. Lammer był prawdziwym zawodowcem.

Nie wszyscy ze znajdujących się w sali tronowej przyłączyli się jednakże do bezładnych poszukiwań tajemniczego łuczniaka. Pół tuzina oszołomionych asturiańskich szlachciców zebrało się wokół ciała martwego Murga. Niektórzy z nich nawet załamywali ręce, a jeden otwarcie szlochał. Pochwyciłam spojrzenie Asrany i kiwnęłam na nią palcem.

- Pozbądź się tego głupiego uśmiechu z twarzy, Asrano - powiedziałam, choć nie wymówiłam tego głośno.

- Jak ty...? - zaczęła.

- Cicho! Słuchaj, nie mów. Zapamiętaj imiona tych ludzi wokół trupa. Tych będziemy musieli się strzec. - Potem odezwałam się do niej na tyle głośno, by słyszeli mnie strażnicy pilnujący drzwi. - Uspokój się, moja droga. Księżę jest bezpieczny, czuwa przy nim lord Mangaran.

- Czy księżę został ranny? - zapytała, wzdrygając się, gdy Oldoran wydał szczególnie przesywający krzyk.

- Jest wytracony z równowagi, Asrano. Przecież doszło do próby zamachu na jego życie. Chodź tu, zajmij moje miejsce. Broń tych drzwi, gdyby ktoś spróbował je sforsować.

Asrana zadarła brodę i przybrała heroiczną pozę.

- Będę ich strzegła! - oznajmiła. - Nikt tędy nie przejdzie, chyba że rozerwie mnie na strzępy.

- Dzielna dziewczyna - powiedziałam półgłosem, po czym otworzyłam drzwi do małego saloniku, w którym histeryzował księżę. Odciągnęłam Mangarana na bok. - Bardzo dobrze, panie - rzekłam cicho. - Część pierwsza zakończona. Teraz czas przejść do części drugiej.

- Czy chowasz w rękawie jeszcze inne niespodzianki, lady Połgardo? - zapytał cicho. - Omal nie straciłem nad sobą panowania, gdy temu Murgo z czoła wyrosły pióra.

- Tego się właśnie spodziewałam. Teraz mam zamiar zbadać księcia. Postawię diagnozę o czasowej utracie zmysłów.

- Czasowej?

- To pobieżna diagnoza, Mangaranie. Posłuży nam za pretekst dla przetransportowania go do klasztoru. Zrobimy strapione miny i później powiemy o przewlekłych powikłaniach. Będziesz musiał powiedzieć, kim jestem, lordzie. Przedstaw mnie, a ja zapoznam dworzan z wynikami swego badania. Moje imię jest wystarczająco znane, by nikt nie wszczynał dyskusji. Powiem, że księciu potrzebne jest spokojne miejsce, w którym mógłby powrócić do

zdrowia, a wówczas zaproponujesz ten klasztor. Oldoran musi się znaleźć w jego much przed zakończeniem przyjęcia u barona Torandina. Nie chcę, by nagle pojawiły się inne pomysły rozwiązania tej sytuacji. Gdy już książe będzie w klasztorze, możemy mówić, że niebezpiecznie go stamtąd ruszać.

- Pomyślałaś o wszystkim, prawda, Polgardo?

- Z pewnością się o to starałam. Sprawiaj wrażenie zmartwionego podczas badania księcia.

- A czym miałbym się martwić? Wszystko zapięłaś na ostatni guzik.

- Udawaj więc zmartwionego, Mangaranie. Zabierajmy się do dzieła.

Oldoran nadal wpatrywał się w wizję, którą stworzyłam przed jego oczyma, i mamrotał przerażony, gdy go badałam. Oddech miał kwaśny i cały cuchnął jak typowy pijak. Przebywanie tak blisko niego nie należało do przyjemności. Nie musiałam być zbyt delikatna przy badaniu. Jego wątroba była w ruinie, nerki także. Naczynia krwionośne miał prawie zablokowane, a serce ledwie mu biło. Moje pierwotne oceny, iż pozostało mu nie więcej niż sześć miesięcy życia, mogły być trochę zbyt optymistyczne.

- Mogę już przedstawić wyniki badania, lordzie Mangaranie - powiedziałam tonem profesjonalisty, mając na uwadze pozostałych ludzi w komnacie. - Stan jego miłości jest poważny... może nawet krytyczny. Książe potrzebuje absolutnego spokoju i odpoczynku. Ktoś będzie musiał przejąć jego obowiązki na czas choroby.

- Powiadomię o tym dwór, pani - zapewnił mnie lord Mangaran, grając swą rolę przed innymi. - Jednakże nie jestem lekarzem. Czy mógłbym, pani, ciebie poprosić o zapoznanie dworu ze stanem jego miłości?

- Oczywiście, panie - odrzekłam. Wróciliśmy do pełnej zgiełku sali tronowej, zostawiając drzwi lekko uchylone, aby dworzanie mogli słyszeć krzyki Oldorana.

Mangaran podszedł do tronu, rzucił krótkie spojrzenie na ciało Murga w tolnedrańskim płaszczu, po czym zwrócił się do tłumu.

- Panowie i panie - odezwał się tonem pełnym udawanego zatroskania - obawiam się, iż stan jego miłości jest poważniejszy, niż soie wyobrażaliśmy. Wstrząs, wywołany nieudanym zamachem na jego życie, uaktywnił chorobę, której nikt z nas się nie spodziewał. Przybrał smutny wyraz twarzy.

- Nie znam się dobrze na funkcjonowaniu ludzkiego ciała - przyznał. - Nie wiem nawet, jak moja krew dostaje się z jednego miejsca w drugie. Na szczęście osoba, którą gościmy w Vo Astur, należy do najznamienitszych lekarzy na świecie Dama ta zbadała naszego księcia i doszła do pewnych wniosków, którymi zgodziła się z nami podzielić. Dama, o której mówię,

cieszy się nieposzlakowaną opinią i jestem przekonany, że wszyscy o niej słyszeliście. Panowie i panie, pozwólcie, iż przedstawię lady Polgarę, córkę prastarego Belgaratha.

Rozległy się zwykłe w takich wypadkach okrzyki zdumienia i niedowierzania, po których zabrzmiały trochę niepewne oklaski.

Stałam obok Mangarana.

- Panowie i panie - zaczęłam - nie miałam zamiaru rozgłaszać publicznie o swej wizycie w Vo Astur, ale obecny kryzys zmusił mnie do wystąpienia i zapoznania was z pewnymi sprawami. Wasz książę jest poważnie chory i ten bezduszny zamach na jego życie jeszcze pogorszył sytuację. - Przerwałam na chwilę, może trochę zbyt teatralnie. - Jak sami słyszycie, wasz książę jest nieco wytracony z równowagi. - Obejrzałam się na drzwi, za którymi Oldoran nadal krzychał. - Jego miłość cierpi na rzadką przypadłość, znaną jako śródmiąższowe schorzenie zespolone, która atakuje nie tylko ciało, ale i umysł. Mówiąc krótko, jego miłość znajduje się na granicy fizycznego i psychicznego załamania.

Nie trudźcie się szperaniem po medycznych tekstach w poszukiwaniu „śródmiąższowego schorzenia zespolonego”. Nie znajdziecie go, gdyż to zwykły bełkot, który wymyśliłam na poczekaniu. Brzmi jednak paskudnie, prawda?

- Czy można to uleczyć, lady Polgardo? - odezwała się Asrana.

- Nie mam pewności. Ta dolegliwość jest tak rzadka, że nie zanotowano więcej niż kilka przypadków od czasu jej pierwszego zaobserwowania ponad wiek temu.

- Jakie leczenie byś zaleciła, lady Polgardo? - zapytał Mangaran

- Księżciu potrzebny jest absolutny spokój i bezwzględny odpoczynek - odparłam. - Radzę przenieść go z pałacu w jakieś bezpieczne miejsce, gdzie nie będą mu grozić kolejne zamachy na życie. Jeśli zostanie w pałacu, niepokoić go będą sprawy państwowej wagi i w końcu umrze.

- Umrze?! - krzyknęła wstrząśnięta Asrana. - Ta choroba jest tak poważna?

- Jego życie wisi na włosku. - Odwróciłam się do lorda Mangaran - Czy w pobliżu pałacu jest takie spokojne miejsce, do którego można by przenieść jego miłość i rozpocząć kurację?

- No cóż... - powiedział z lekkim powątpiewaniem. - O godzinę jazdy stąd znajduje się klasztor, lady Polgardo. Jest otoczony wysokimi murami, a tamtejsi mnisi życie spędzają na cichej medytacji. Z pewnością jest to miejsce bezpieczne i spokojne.

Udałam, że się zastanawiam.

- Może nadać się do naszych celów. - Nie chciałam okazywać zbytniego entuzjazmu. -
A kto przejmie na czas choroby obowiązki jego miłości? - zapytał jeden z naszych „patriotów”. Asrana wyszła przed zebranych.

- Jestem jedynie głupią kobietą - powiedziała - ale wydaje mi się, że ktoś już to zrobił.
Lord Mangaran świetnie nad wszystkim panuje. Może powinniśmy go poprosić o zastępowanie niedysponowanego księcia?

- Tak - przyznał starszy szlachcic, też nasz sprzymierzeniec. - Myślę, że Mangaran świetnie sobie poradzi. Tajna Rada pewnie zechce przedyskutować tę sprawę, ale na razie proponuję pozostawić lordowi Mangaranowi podejmowanie decyzji. W końcu mamy wacuńskich Arendów na wschodnich granicach, więc nie chcemy chyba oznakami rozbitcia czy osłabienia zachęcić ich do ataku.

Mangran westchnął.

- Skoro taka jest wola dworu... -W jego głosie zabrzmiała udana niechęć.

Belkoczący księżę został pospiesznie przeniesiony do powozu. Odjechał do klasztoru godzinę przed zakończeniem przyjęcia w domu barona Torandina. Ciało Murga pozostawiliśmy tam, gdzie było, aby pomogło nam przekonać wracających zwolenników księcia, że rzeczywiście doszło do zamachu. Wszyscy, z wyjątkiem tylko kilku dworzan, zgodzili się, by Mangaran zastępował Oldorana na czas jego choroby.

Prawie świtało, gdy położyłam się do łóżka.

- Śródmiażdżowe schorzenie zespolone? - zapytał cicho ojciec.- Co to takiego, Pol?

- Bardzo rzadka przypadłość, ojczu.

- Zapewne. Chyba nigdy dotąd o niej nie słyszałem.

- To pierwszy przypadek, z jakim się spotkałam. Odejdź, staruszk. Daj mi się trochę przespać. Wezwę cię, gdy przyjdzie czas, byś wygłosił mowę.

Nasz zamach stanu przeszedł całkiem gładko. Opór, na jaki mogliśmy ewentualnie natrafić, został udaremiony szybkością naszych działań. Sprawę przypieczętowało pojawienie się przed południem następnego dnia w pałacu legendarnego Belgaratha Czarodzieja. Ojciec, który zawsze lubił się popisywać, wkroczył do sali tronowej wystrojony w nieskazitelnie białą szatę. Niósł laskę, która w oczach łatwowiernych Asturian mogła służyć do powalania rozległych lasów zdmuchiwanie górskich szczytów czy obracania całych pokoleń w zastępy ropuch. Oczywiście ojciec sobie przypisał wszystkie zasługi, po czym wyraźnie dał do zrozumienia, że lord Mangaran przejął ster rządów zgodnie z jego decyzją.

Martwego Murga, który wydatnie przyczynił się do obalenia Odorana, pogrzebano ze strzałą Lammera nadal sterczącą w głowie. Większość z jego podwładnych na szczęście była

Angarakami, którzy są niezdolni do samodzielnego podejmowania decyzji, więc musieli poczekać na instrukcje z Rak Cthol. Ostatnio do Ctuchika docierało mnóstwo złych wieści, a ja miałam szczerzy zamiar udania się do Vo Mimbre, by dostarczyć mu jeszcze kilku.

Po wszystkim zebraliśmy się - ojciec, Mangaran, Asrana i ja -w apartamencie hrabiny, aby to i owo przedyskutować.

- Mój ojciec może się ze mną nie zgodzić - powiedziałam - ale uważam, że naszym następnym krokiem powinno być wykonanie jakichś pokojowych gestów wobec Kathandrona z Vo Wacune. Położmy kres tej głupiej wojnie. - Spojrzałam na ojca. - Jakież sprzeciw?

- To twoja impreza, Pol - rzekł ze wzruszeniem ramion. - Rób, jak ci się podoba.

- Taki mam zamiar, ojcze. - Spojrzałam na Asranę i Mangarana. - Ruszam do Vo Mimbre. Nie silcie się na zbytnią pomysłowość podczas mojej nieobecności. Obserwujcie krewnych Oldorana i tych kilku dworzan, którzy przejęli się nagłym zejściem gościa w tolnedrańskim płaszczu. Prawdopodobnie ukrywają się tu inni Murgowie. Także będą udawać Tolnedran, gdy pojawią się na dworze. Myślę że najlepiej będzie kłaść nacisk na tymczasowość obecnej sytuacji. Teoretycznie jedynie zastępujesz Oldorana w czasie choroby, lordzie Mangaranie. Udawaj, iż nie masz prawa podpisywać żadnych umów ani przystawać na nieformalne porozumienia. Powiedz im, że będą usieli poczekać, aż księżę wyzdrowieje. To powinno zapewnić nam pokój na jakieś pół roku. Plan Ctuchika opiera się na ścisłym rozkładzie i przymusowe sześciomiesięczne opóźnienie powinno go pokaźnie zakłócić. Dagashi będą dreptać w miejscu, ale ja nie. Postaram się powstrzymać rozwój wydarzeń w Vo Mimbre, a oni nic na to nie będą mogli poradzić.

- Czy to ty nauczyłaś ją takiej przebiegłości, przenajświętszy Belgaracie? - zapytał Mangaran.

- Nie - odparł ojciec. - To wygląda na wrodzony talent. Jednak jestem z niej dumny.

- Czyżby to miał być komplement, ojcze? - zdziwiłam się. - Chyba zemdleję.

Asrana przyglądała się memu ojcu znacząco.

- Robisz straszliwy błąd, moja droga - powiedziałam. - W rzeczywistości nie chciałabyś mieć z nim do czynienia.

- Potrafię się sama o siebie zatroszczyć, Polly - odparła, nie spuszczać oczu z mego ojca.

- Proszę bardzo! - westchnęłam, po czym ruszyłam do Vo Mimbre.

Ojciec poradził, abym w drodze na południe wstąpiła do Vo Mandor i porozmawiała z tamtejszym baronem. Pojechałyśmy więc z Lady przez rozległe, pozbawione lasów równiny

mimbrańskiego księstwa. Wszędzie widziałam ruiny miast, wiosek i samotnych zamków. Jestem pewna, że Asturia i Wacune również pełne były pamiątek minionych idiotycznych wojen, ale tamte stare rany dyskretnie skrywały lasy porastające oba północne księstwa. W Mimbre szare gruzy przykro kłuły w oczy i nieustannie przypominały o smutnej historii Arendii. Niektórzy podróżnicy uważają owe ruiny za malownicze i romantyczne, bo wiatr zdążył rozwiać dymy i smród, a deszcze zmyły ślady krwi.

Było wielce nieprawdopodobne, aby rodowej siedzibie Mandorallena kiedykolwiek zagroziły starcia kolejnych fal wojny domowej. Określenie „nie do zdobycia” zapewne powstało z myślą o Vo Mandor. Twierdzą tę wzniesiono na skalistej górze z kamienia, który wydobywano ze zboczy w trakcie budowy. Oczywiście Arendowie próbowali ją zdobyć kilka razy, inaczej nie byłiby przecież Aredami.

Doszłam do wniosku, że znaczącą rolę w formowaniu charakteru długiej linii baronów z Vo Mandor odgrywało miejsce, z którego pochodzili. Dorastanie w przekonaniu, że nikt nie może go skrzywdzić, czyni z człowieka nierozważnego junaka.

Miasto Vo Mandor otaczała ukryta za murami siedzibę barona. Samego miasta również broniły mury. Wiodła do niego długa, stroma droga, często przecinana zwodzonymi mostami. Wszystko to razem sprawiało, że Vo Mandor było najbardziej posępnym miejscem na ziemi.

Jednakże widok z góry rozciągał się wspaniały.

Mandolin, ówczesny baron, był zwalistym wdowcem po czterdziestce. Miał masywne bary, przyprószone siwizną ciemne włosy i piękną wypielęgowaną brodę. Imponował mi manierami. Jego ukłon był dziełem sztuki, a mowa tak skrzyła się od komplementów, że często kwadrans zajmowało mu przebrnięcie przez całe zdanie. Pomimo to go lubiałam. Dobre maniry są taką rzadkością, że gotowa jestem znieść wyszukany język, byle tylko uniknąć zwykłej nieuprzejmości tak powszechnej na świecie.

- Droga lady Polgardo - przywitał mnie baron na dziedzińcu - mury mej skromnej siedziby dygoczą niczym liście w obecności najwybitniejszej damy tego świata, zapewne i same góry zadrzą w posadach, gdy uświadomią sobie twą obecność.

- Ładnie to ująłeś, panie - pogratulowałam mu. - Z przyjemnością zabawiłabym tu dłużej, by słuchać twej wybornej mowy, ale konieczność, ów najokrutniejszy z panów, zniewala mnie do niestosownego, a nawet nieuprzejmego pośpiechu. - Naczytałam się arendyjskich powieści i jeśli baron Mandorin myślał, że mnie przegada, to się bardzo mylił. Nauczyłam się, że najlepszym sposobem poradzenia sobie z Aredami jest zagadanie ich na śmierć. Problem jedynie w tym, że są cierpliwi jak skały, więc to trochę trwa.

W końcu baron Mandorin zaprowadził mnie do swego gabinetu, komnaty we wschodniej wieży zamku, pełnej książek, błękitnych dywanów i draperii, i przeszliśmy do sedna sprawy - po tym jak posadził mnie w wyściełanym fotelu, podłożył mi pod plecy poduszkę, postawił pod ręką talerz ze słodkościami, posłał po dzbanek herbaty i przysunął taborecik, na wypadek gdybym miała ochotę wyciągnąć zmęczone nogi.

- Znasz mego ojca, panie? - zapytałam.

- Świątobliwego Belgaratha? Blisko, pani, choć jednakowoż postawię pytanie, azali ktokolwiek na tym świecie znać może tak wyniosłą osobistość.

- Ja znam, panie, i ojciec nie zawsze jest wyniosły. Czasami się garbi, ale odbiegamy od tematu. Uwagę moją i mego ojca zwróciły niesnaski panujące w Arendii.

Mandorin zrobił smutną minę.

- Pani, to najbardziej powierzchowny opis kilku wieków arendyjskiej historii, jaki kiedykolwiek miałem zaszczyt usłyszeć, albowiem niesnaski są istotą bytu Arendów.

- Tak, zauważyłam to. Jednakże w tym konkretnym przypadku niesnaski mają swe źródło poza granicami tego najniezwyklejszego z królestw. Wacune było rozdarte przez właśnie, a Asturia przeżyła obalenie rządu.

- Mówisz tak, jakby wydarzenia owe już przeszły do historii.

- Tak, w istocie przeszły.

- Domyślam się, iż to twa ręka uciszyła fale niezgody w północnych księstwach.

- Można powiedzieć, że mam w tym pewien udział - przyznałam skromnie. - Zdemaskowałam pewnego agitatora spoza księstwa Kathandrionowi z Vo Wacune, a potem udałam się do Vo Astur i obaliłam rządy nieudolnego księcia Oldorana. Teraz przybyłam do Mimbre.

- Wyczuwam pewien złowróżbny ton w tym oświadczeniu, pani.

- Poniechaj obaw, baronie. Twe serce jest czyste i niczego nie musisz się z mej strony lękać. Wątpię, byś dał mi okazję do zamienienia cię w ropuchę czy wyniesienia w powietrze, kilka mil nad ziemię.

Baron uśmiechnął się i lekko skłonił głowę.

- Proszę, pani, czy mogę błagać, byś w wolnej chwili nauczyła mnie wspaniałej sztuki kwiecistego wysławiania się?

- Już sobie świetnie radzisz, Mandorinie - powiedziałam w zwykłej mowie. - Nie potrzebujesz żadnych lekcji. Wróćmy jednak do tematu. Zarówno w Wacune, jak i w Asturii przebywali ludzie, którzy wydawali się Tolnedranami, ale nimi nie byli. Zaproponowali

Kathandrionowi i Oldoranowi przymierze z Ranem Yordue, każdego łudząc nadzieją na koronę Arendii. Czy to przypadkiem nie budzi w twojej pamięci skojarzeń?

Nie musiałam nawet pytać, gdyż twarz mu pobladła.

- Domyślałam się, że coś sobie przypominasz?

- W rzeczy samej, pani. Podobna propozycja została złożona naszemu księciu Corrolinowi.

- Tak też myślałam. A nie należysz, panie, przypadkiem do wąskiego grona bezpośrednich doradców księcia Corrolina?

- Zasiadam w Tajnej Radzie i muszę przyznać, iż kuszącą wydała mi się owa propozycja przymierza z potężnym imperium Tolnedry

- Powinnam poznać trochę szczegółów, baronie. Nim wysadzę siodła przeciwnika, muszę wiedzieć, na jakim jeździ koniu.

Mandorin zamyślił się, najwyraźniej rozważając pewne wydarzenia, które ostatnio miały miejsce w pałacu w Vo Mimbre.

- Kilka miesięcy temu rzeczywiście przybył do złotego miasta tolnedrański dyplomata z propozycją, która, jak zapewniał księcia Corrolina, wywodziła się prosto od imperialnego tronu. Jego listy uwierzytelniające wydawały się bez zarzutu.

- Czy ambasador Tolnedry przy dworze w Vo Mimbre rozpoznał go o panie

- Obecny ambasador z Tol Honeth zachorował na miesiąc przed tym jak Kadon, rzeczony wysłannik, przekroczył bramy Vo Mimbre. Choroba jest bardzo tajemnicza i wprawiała w zakłopotanie najznamienitszych medyków z całego Mimbre. Lękam się, iż dni ambasadora są policzone.

- Bardzo wygodne, panie. Zbiegi okoliczności, choć tak powszechne w naszym niespokojnym świecie, czasami wymagają jednak drobnej zachęty ze strony ludzi, by zabłysnąć w pełnej krasie.

- Trucizna? - wyszeptał, chwytając mą aluzję.

- Całkiem możliwe, panie. Obawiam się, iż pewne nyissańskie składniki pojawiły się w polityce innych zachodnich królestw. Proszę, wyjaw mi szczegóły propozycji przyniesionej do Vo Mimbre przez wysłanca Kadona.

- Nosila charakterystyczną pieczęć tolnedrańską, lady Polgardo. Jak wiadomo całemu światu, umysł tolnedrański to arcydzieło złożoności i przebiegłości. Krótko mówiąc, choć rani mnie srodze urażenie twych delikatnych zmysłów tak brutalną śmiałością, będę zwracał się do ciebie, pani, w niczym nie upiększonych słowach.

- Doceniam to, baronie.

Czyż nie jesteście ze mnie dumni? Ani razu nie podniosłam głosu, mimo że nie oszczędzał mi najbardziej wyszukanych zwrotów.

- Jak dobrze wiesz, pani, wielki antagonizm panuje pomiędzy księciem Kathandrionem z Vo Wacune i ostatnio zdjętym z tronu księciem Oldoranem z Asturii. Wacuńscy Arendowie posadowili się na asturiańskiej granicy, chętni do starcia swych kuzynów z powierzchni ziemi. Kadon zasugerował naszemu ukochanemu księciu Corrolinowi, że ów niepokój na północy można wykorzystać, i zaproponował Pomoc legionów.

- Co dokładnie miały zrobić legiony?

- Gdyby jego miłość Corrolin zapewnił im bezpieczne przejście, czterdzieści legionów miało pomaszerować na północ i zająć pozycje na Północnych rubieżach Mimbre. Kiedy siły księcia Kathandriona maszerują do Asturii i otoczą Vo Astur, legiony ruszą wzmocnić granicę pomiędzy Wacune i Asturią. Jeszcze w czasie marszu legionów siły księcia Corrolina przejdą przez pogórze Ulgolandu, ruszą na pomoc i zajmą pozycje wzdłuż wschodnich granic Wacune. Gdy wojsta Kathandriona rozpocznie szturm na Vo Astur, armia Mimbre najedzie Wacune od wschodu. Legiony rozstawione wzdłuż granicy pomiędzy oboma północnymi księstwami uniemożliwią Kathandrionowi ruszenie na odsiecz swej ojczyźnie. Vo Wacune padnie. Kathandrion i Oldoran będą sobie mogli toczyć wojnę w lasach Asturii, aż do całkowitego wyniszczenia obu narodów. Potem, gdy z armii Wacune i Asturii pozostaną już tylko marne strzępy, książę Corrolin z pomocą legionów zmiecie obu, Kathandriona i Oldorana, do kosza historii i zapanuje w całej Arendii. Corrolin zostanie naszym niekwestionowanym królem. - Mandorin, który dał się ponieść, ostatnie słowa wygłosił tonem uniesienia.

- Naprawdę uwierzyliście w te brednie? - zapytałam, mając nadzieję, że to ostudzi nieco jego zapal.

- Jestem bardzo biegły w sztuce wojennej, lady Polgaro - powiedział lekko urażonym tonem. - Nie dopatrzyłem się w tej strategii żadnej skazy.

Westchnęłam, zakrywając oczy teatralnym gestem.

- Mandorinie - powiedziałam - zastanów się chwilę. Północna Arendia to jeden rozległy las. Kathandrion i Oldoran nie stanęliby z Corrolinem ani legionami do otwartej bitwy. Arendowie z północy rodzą się z łukiem w dłoni. Zbrojni rycerze Mimbre i zwarte szeregi tolnedrańskich legionów stopniałyby niczym śnieg na wiosnę pod nagłą ulewą strzał. W Vo Astur jest człowiek imieniem Lammer, który potrafi strzelać nawlec igłę z odległości dwustu kroków. Ani Mimbra-ci, ani legioniści nigdy nie zobaczyliby nawet jednego człowieka. Zbroja jest ładną ozdobą, ale nie zatrzyma strzały.

- Bardzo niestosowny sposób na prowadzenie wojny - zgorszył się lord Mandorin.

- W wojnie nie ma nic stosownego czy grzecznego, baronie. Czy to grzecznie wylewać wrzącą smołę na gości? Czy wypada rozbijać ludziom głowy maczugami? Czy uprzejście jest przebijać kopią kogoś, kto się z nami nie zgadza? Ran Yordue jest Tolnedraninem- nie zrobi nic, jeśli mu nie zapłacić. A zatem, co on by z tego miał?

Na twarzy barona pojawiło się zakłopotanie. .

- Wcześniej umarłbym, niżli cię uraził, pani, ale przywiązanie twego ojca do Alornów jest szeroko znane, a twój pobyt na Wyspie Wiatrów przeszedł już do legendy. Proponowane przez Rana Yordue przymierze to dopiero wstępny krok w jego wielkim zamierzeniu, którego celem ostatecznym jest zniszczenie Alornów.

- I to uznał Corrolin za dobry pomysł? - spytałam z niedowierzaniem- - Czyżby jego miłość miał jedną dziurę w głowie więcej? Zdaje mi się, że mózg mu wycieka. Alornowie, jak cały świat wie, nie są bez wad, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie wypowiada im wojny. Czy ten rzekomy Tolnedranin, Kadon, uznał za stosowne zapoznać łajna Radę Vo Mimbre z pełną strategią, która dawałaby nadzieję Arendii i Tolnedrze na przetrwanie konfrontacji z tymi straszliwymi barbarzyńcami z dalekiej północy?

- Jesteśmy Arendami, pani - powiedział baron Mandorin nieco chłodnym tonem - i nie brakuje nam umiejętności czy dzielności. A tolnedrańskie legiony należą do najlepiej wyćwiczonych żołnierzy na całym świecie.

- Nie chciałam uwłaczyć waszej dzielności ani waszej biegłości w sztuce walki, ale przeciętny Alorn jest rosły i już w kołysce dostaje miecz do zabawy. Ponadto, za sprawą więzów krwi i religii, Alornowie myślą i działają jak jeden. A choć Tolnedrze to może być nie w smak, to Aloria nadal istnieje, rozciągając się od Gar og Nadrak po Wyspę Wiatrów. Wedle mego mniemania atak na Alorię równa się samobójstwu. - Pewnie posunęłam się w tym miejscu za daleko. Arendowie też w końcu mają swoją dumę. - Wybacz, Mandorinie. Zaskoczyła mnie nieroztropność tej propozycji, to wszystko. - Zastanowiłam się chwilę nad sytuacją. - Powiedz mi, proszę, czy jego miłość naprawdę rozważa podjęcie działań, kierując się jedynie niczym nie popartymi obietnicami Kadona?

- Nie, pani. Zwykła spostrzegawczość przydaje wagi propozycji Kadona. Tolnedrańskie legiony już gromadzą się na południowym rzeżu rzeki Arend, bez wątpienia przygotowując się do długiego arsuzu ku zbiegowi granic trzech księstw. Do Vo Mimbre ma przybyć tolnedrański generał, by naradzić się z dowódcami naszych sił. To mnie naprawdę zmartwiło. Jeśli Ctuchik wciągnął w swe plany również Tolnedrę, problem stał się naprawdę poważny.

- Będziemy mogli dyskutować nad tym dalej w drodze do Vo Mimbre panie - powiedziałam. - Wydaje się, iż to, co dzieje się w tym mieście, jest o wiele bardziej

skomplikowane niż to, ym zetknęłam się na północy. - Ponownie przerwałam, by rozważyć różne możliwości. - Nie chcę, by pałacowe sale rozbrzmiewały echem mego imienia. Chyba będzie lepiej, jeśli mnie adoptujesz Mandorinie.

Baron zamrugął zaskoczony.

- Jesteś mimbrańskim Arendem - przypomniałam mu. - Absolutnie możliwe, iż potrafisz w pojedynkę zdobyć fortecę, to kłamstwo zupełnie wykracza poza twoje możliwości. Poszukajmy zatem kapłana Chaldana, by dopełnić koniecznych formalności. Zostanę twoją siostrzenicą, hrabiną Poliną, kwiatem nieznannej gałęzi twego rodu. Jako członek rodziny będę mogła, zupełnie niepostrzeżenie dojść prawdy w interesującej nas materii.

Mandorin przybrał nieco zboląły wyraz twarzy.

- To lichy grunt dla rozmyślnej nieprawdziwości, lady Polgaro - zaprotestował.

- Wspólny cel nas jednoczy, panie, a twe zażyłe stosunki z mym wiekowym ojcem sprawiają, iż w rzeczy samej jesteśmy niczym brat i siostra. Zatem zalegalizujmy nasze pokrewieństwo, byśmy mogli w radosnej jedności podążyć ku osiągnięciu naszego celu.

- Czyżby twe studia przypadkiem zawiodły cię do mrocznego królestwa prawoznawstwa, pani? - zapytał z nikłym uśmiechem. - Albowiem mowa twa nosi posmak prawniczej.

- Ależ wujku Mandorinie! Jak możesz sugerować coś takiego!

Oczywiście sama ceremonia odbyła się nad wyraz dyskretnie, ale przynajmniej zadowolili potrzebę Mandorina zachowania pozorów prawdomówności na tyle, że gotów był ogłosić nasze pokrewieństwo. Zaraz po zmianie strojów udaliśmy się do bogato zdobionej kaplicy w zamku barona. Mandorin ubrał się w czarny aksamit, a ja, wiedziona figlarnym kaprysem, przystroiłam się w białą satynową suknię. W końcu „adopcja” przynajmniej w pewnym stopniu przypomina ślub.

Nigdy nie rozumiałam arendyjskiej religii, a wiercie mi, iż spędziłam sporo czasu w Arendii. Chaldan, Bóg Byk Arendów, miał chyba bzika na punkcie niejasnej koncepcji honoru, która nakazywała jego wyznawcom mordować się pod byle pretekstem. Jedyłą miłością, jaką Arend wydaje się zdolny okazać, jest miłość własna. Kapłan Chaldana, który legalizował moje pokrewieństwo z baronem Mandorinem, ubrany był w bogatą czerwoną szatę, na tyle obszerną by ukryć zbroję, choć może tylko mi się tak wydawało. Wygłosił krótkie kazanie, w którym obligował Mandorina do pocięcia każdego kto urazi mnie najmniejszą niegrzecznością. Potem polecił mi wiesć życie w ślepym posłuszeństwie wobec mego obrońcy i dobroczyńcy. Najwyraźniej mnie nie znał. Po zakończeniu ceremonii byłam

pełnoprawnym członkiem rodu Mandor. Nie wiedziałeś, że jesteśmy spokrewnieni, prawda, Mandorallenie? Pamiętając o reakcji Dagashi, z którymi zetknęłam się w Wacune i Asturii, wiedziałam, iż powinnam coś zrobić z tym białym lokiem, jeśli chciałam zachować anonimowość w Vo Mimbre. Ufarbowanie włosów, najprostsze rozwiązanie, nie wchodziło w grę. Próbowałam już to robić w przeszłości i stwierdziłam, że farba po prostu nie trzyma się na loku. Po chwili zastanowienia wymyśliłam fryzurę, w której satynowe białe wstążki były misternie wplecione w rozpuszczone włosy. Im dłużej przyglądałam się sobie w lustrze, tym bardziej mi się ta fryzura podobała. Wykorzystywałam ją potem jeszcze przy kilku okazjach i zawsze słyszałam same komplementy. Czyż to nie dziwne, że akt zrodzony z konieczności często przynosi nieoczekiwane korzyści? Gdy mój znak rozpoznawczy został już ukryty, baron Mandorin i ja, w towarzystwie dwudziestu zbrojnych rycerzy, wyruszyliśmy do Vo Mimbre. Wiele bzdur napisano o Vo Mimbre, ale mówcie sobie, co chcecie, miasto robiło wrażenie. Teren, na którym znajdowała się ta twierdza, nie należał do szczególnie sprzyjających obronie. W najmniejszym stopniu nie przypominało Rak Cthol czy Rivy, ale Mai Zeth w Mallorei również nie było do nich podobne. Budowniczości Vo Mimbre i Mai Zeth najwyraźniej doszli do podobnego wniosku, który mówiąc najprościej brzmiał tak: „Jeśli nie masz pod ręką góry, to ją zbuduj”. Mandorin, ja i nasza podzwaniająca świta wjechaliśmy do Vo Mimbre i pojechaliśmy prosto do książęcego pałacu. Natychmiast nas wpuszczono i zaprowadzono do sali tronowej księcia Corrolina. Nie wiedziałam właściwie, dlaczego ponownie ubrałam się w białą satynową suknię. Niczym panna młoda wkroczyłam do wielkiej sali, przystrojonej starymi sztandarami i starożytną bronią. Może to nie był dobry pomysł, skoro chciałam możliwie jak najmniej rzucać się w oczy ale organicznie nie jestem zdolna wtapiać się w tło. Baron Mandorin przedstawił mnie, a ponieważ był Mimbrem z krwi i kości, wtrącił mimochodem, iż sumiennie policzy się z każdym, kto waży się nie traktować mnie z wszelką możliwą uprzejmością. Skłoniłam się przed księciem Corrolinem głęboko i przywitałam się w stosownie trzpiotowaty sposób. Potem otoczyły mnie damy dworu i porwały z sobą, podczas gdy mężczyźni zabrali się za omawianie swych spraw. Miałam jednak czas, by w tłumie zauważyć kilku mężczyzn w tolnedrańskich płaszczach i wysłać badawczą myśl ze środka wesołej gromadki mimbrackich szlachcianek. Pochwyliłam znajomy czarny odcień, który zdradzał Murgów lub Dagashi, ale wyczułam również trochę czerwonej aury. Najwyraźniej Kadon wyciągnął ze skarbca Ctuchika dość złota na przekupienie prawdziwych Tolnedran. Jednakże najbardziej mnie zaniepokoiło mignięcie połyskliwej czerni. Gdzieś w tłumie był Grolim, co świadczyło o tym, że wydarzenia w Vo Wacune i Vo Astur miały peryferyjny charakter. Jądro spisku Ctuchika było tutaj, w Vo

Mimbre. Z bólem muszę przyznać, że dziewczęta, szczególnie młode szlachcianki, są bardzo głupiutkie, a ich rozmowy obracają się wokół błahostek - głównie strojów i sposobów zwrócenia na siebie uwagi. Pociesza mnie jednak trochę fakt, iż młodzieńcy wcale nie są lepsi. Z medycznego punktu widzenia stan ten ma podłoże natury chemicznej, ale nie wiem, czy jakikolwiek sens miałyby tutaj dalsze zagłębianie się w ten temat.

Wstążki wplecione w moje włosy zebrały sporo komplementów i znalazłam potem kilka naśladowczyń. Dzięki tej fryzurze wydawałam się też młodsza, więc trzpiotowate dziewczęta uznały mnie za swoją i miłosiernie „uratowały” od nużących dywagacji na tak nudne tematy, jak wszczęcie totalnej wojny i masowego wyniszczenia wszystkich po zachodniej stronie Wschodniego Szańca. Spędziłam więc fascynujące popołudnie zajęta rozważaniem wpływu lamówek, sylwetki i fryzury na sytuację na świecie.

Choć baron Mandorin - czy wolno mi mówić: wujek Mandy? - został ostrzeżony i mógł przekazać mi szczegóły dyskusji, z której zostałam wykluczona ze względu na płeć i wiek, to z pewnych zdarzeń mógł nie zdawać sobie sprawy. Musiałam być obecna przy owych rozmowach, a skoro już zapoznałam się z obecnie panującą modą, uznałam, że czas działać. Następnego ranka pod pretekstem wyjątkowo ciężkiego bólu głowy przegoniłam z mych pokoi koleżanki. Potem szybko podeszłam do okna i „weszłam we wróbla”, jak zwykł zwyczajnie charakteryzować ten proces ojciec. Było jeszcze lato, więc pootwierano okna, dzięki czemu mogłam podsłuchać dyskusję Tajnej Rady. Usiadłam na parapecie, zaćwierkałam kilka razy, dając wszystkim do zrozumienia, że jestem tylko ptaszkiem, a potem przechyliłam główkę i słuchałam. Książę Corrolin mówił do skośnookiego, śniadego człowieka w jasnoniebieskim tolnedrańskim płaszczu.

- Muszę ci donieść, zacny Kadonie, iż wieści, które właśnie dotarły z północnych księstw, donoszą o śmiertelnej niemocy księcia Oldorana, spowodowanej jakąś tajemniczą chorobą. Władzę w Asturii przekazano w ręce wiekowego lorda Mangarana.

- Tak - odparł Kadon - moje źródła też to potwierdzają, wasza niłość. Inicjatywa na północy spoczywa jednak w rękach księcia Kathandriona i nie słyszałem niczego, co by wskazywało, że zmienił on swój zamiar najazdu Asturii. W rzeczywistości nie ma znaczenia, kto sprawuje władzę w Vo Astur, ponieważ nasze plany opierają się niemal w całości na tym, co dzieje się w Vo Wacune.

Wysłałam myśl tak delikatną, że niezauważalną, a w odpowiedzi ujrzałam kolor czarny, matowy. Kadon nie był Grolimem. To zaskoczyło mnie i zmartwiło. Jeśli zacznę badać wszystkie umysły w komnacie, Grolim w końcu wyczuje, że ktoś go szuka.

Wtem zwyczajnie wyglądający Tolnedranin - służący, wnioskując po odzieniu - podszedł i szepnął coś Kadonowi.

- Dziękuję - powiedział Kadon, po czym zwrócił się ponownie do księcia.

Zdażyłam pochwyć mignięcie twardej, błyszczącej czerni. Znalazłam mego Grolima, ale nie mogłam pojąć, dlaczego woli pozostawać w tle. Kapłan Boga Smoka krył się pod przebraniem służącego?

- Panie - rzekł Kadon do Corrolina - wszystko przebiega zgodnie z planem. Pozostałe legiony będą na miejscu przed upływem tygodnia. Ośmielę się zatem zasugerować, iż jest to najlepszy czas, by twoi rycerze, panie, wyruszyli w kierunku granicy z Ulgo. Generał owodzący legionami rozkaże swym oddziałom maszerować na północ gdy tylko wszystkie przybędą na miejsce zbiórki. Oczywiście twoja jazda będzie się przemieszczać o wiele szybciej, ale ma dłuższą drogę do pokonania, a tereny u podnóża gór Ulgo spowolnią jej tempo. Zgranie wszystkiego w czasie będzie bardzo ważne, gdy ruszymy z Vo Wacune.

- Masz rację, zacny Kadonie - przyznał Corrolin. - Jutro wyprawię przednią straż na wschód. Gdy legiony jego imperialnej wysokości wkroczą do północnej Arendii, moi rycerze będą miejscu.

Tym jednym wyrażeniem „legiony jego imperialnej mości” Kadon podsumował istotę mego problemu. Przekupienie jednego Tolnedranina nie nastęcza większych trudności, ale przekupienie dowódców czterdziestu legionów? To mogłoby być nieco trudniejsze.

Wtem zaczęło się we mnie rodzić przerażające podejrzenie i musiałam zrobić coś, czego nie robiłam często. Baron Mandorin w swej błyszczącej zbroi siedział za długim stołem wraz z innymi członkami Tajnej Rady. Wysłałam do niego myśl i przemówiłam, nie wydając jednak głosu.

- Wujku, nie rozglądaj się i nie zdradź wyrazem twarzy, iż do ciebie mówię. Zadam ci kilka pytań, a ty odpowiesz mi na nie w myślach. Nic nie mów głośno.

- To zdumiewające, lady Polgaro - pomyślał w odpowiedzi. - Czy naprawdę potrafisz słyszeć moje myśli?

- Doskonale sobie radzisz, wujku. A zatem, czy ktoś oprócz Kadona i jego zausznika rzeczywiście widział legiony, które jakoby miały obozować kilka mil na południe stąd?

- Z południowych murów miasta bez trudu można zobaczyć ich ogniska.

- Każdy może rozpaść ognisko, Mandorinie. Czy któryś z Mimbratów pofatygował się na tolnedrańską stronę, by policzyć żołnierzy, którzy jakoby tam obozują?

- Tolnedranie nie witają z zachwytem wtargnięcia na ich terytorium, pani, a w świetle naszych obecnych delikatnych negocjacji wielką nieuprzejmością byłoby wtargnąć na prastare ziemie naszego południowego sojusznika.

W tym momencie powiedziałam coś, czego zapewne mówić nie powinnam.

- Polgaro! - wykrzyknął Mandorin wstrząśnięty moim doborem słów.

- Przepraszam, wujku. Wymknęło mi się. Czy będziesz w swojej komnacie po zakończeniu obrad?

- Jeśli chcesz mnie tam odwiedzić, będę.

- Spraw mi to wielką przyjemność, wujku. Nie będzie mnie do wieczora, a gdy wrócę, musimy porozmawiać.

Odfrunęłam ze swego posterunku obserwacyjnego na parapecie komnaty Tajnej Rady i zmieniłam się w sokoła. Sowa, moja ulubiona postać, może w ciągu dnia budzić pewne podejrzania. Potwierdzenie moich podejrzeń nie zajęło wiele czasu. Południowy brzeg rzeki Arend, granicę pomiędzy Tolnedrą i Arendią, rzeczywiście patrolowało z pięćdziesięciu konnych w mundurach legionistów, lecz nie dostrzegłam więcej ludzi, gdy poleciałam dalej. W lesie stało kilka obozowisk - z palisadami z bali, równymi rzędami namiotów, ze sztandarami legionów powiewającymi nad bramami - ale były puste. Patrole przy granicy to cała rzekoma armia. Poleciałam z powrotem ku rzece i przysiadłam na konarze drzewa, by podsłuchać rozmowę przejeżdżających właśnie żołnierzy.

- To najnudniejsze zajęcie, jakie kiedykolwiek wykonywałem, Ralasio - powiedział brodaty mężczyzna do swego towarzysza.

- Nie jest tak źle, Gellerze - odparł Ralasio. - Moglibyśmy być teraz w obozie drwali i ścinać dęby. A tak musimy tylko jeździć tam i z powrotem wzdłuż rzeki, a nocą rozpalać kilka ognisk.

- Nie widzę w tym żadnego sensu, Ralasio.

- Płacą nam za to, Gellerze. Jedyne to ma znaczenie. Jeśli hrabia Oldon chce, byśmy patrolowali granice jego ziem, to chętnie będę świadczył mu tę przysługę, jak długo sobie tego życzy. Konie odwalają całą robotę i to mi odpowiada.

- Możemy mieć kłopoty, bo nosimy mundury legionistów - powiedział Geller, pukając w swój napierśnik.

- Nie ma mowy. Obejrzyj uważnie swój płaszcz, a zobaczysz hrabiowski herb wyszyty zamiast znaku legionów. Tylko idiota może wziąć nas za prawdziwych legionistów.

- Na zęby Nedry! - zaklął Geller, tłukąc komara. - Czemu musimy trzymać się tak blisko tej przekłętej rzeki?

- Hrabia chce, żeby było nas widać z arendyjskiej strony - odparł Ralas, wzruszając ramionami. - Nie zadaję mu pytań, chyba że to czas wypłaty. Tylko to mnie obchodzi.

- Ja chcę wiedzieć dlaczego! - rozłościł się Geller. - O co chodzi w tych wygłupach?

Pewnie mogłabym mu powiedzieć, ale skoro ciekawość jest matką wiedzy, postanowiłam pozwolić mu na dalszą podróż wydeptaną ścieżką ku wiedzy bez ingerencji z mej strony.

Baron Mandorin był w sali tronowej, gdy wróciłam do pałacu w Vo Mimbre. Przeszłam więc przez bogato zdobioną komnatę ze zdecydowanym wyrazem twarzy. Nie miałam czasu na uprzejmości.

- Musimy porozmawiać, wujku - powiedziałam. - Teraz. Był trochę zaskoczony moją obcesowością. Wolno wyszliśmy z sali tronowej na korytarz.

- Sprawa, jak mniemam, nie cierpiąca zwłoki? - domyślił się,

- Nie tutaj, wujku - powiedziałam. - Poczekaj, aż będziemy mieć pewność, iż jesteśmy sami.

Udaliśmy się do jego komnaty, zamknął za nami drzwi na klucz.

- A więc...? - zapytał z wyraźnym zaciekawieniem.

- Spędziłam dość nużące popołudnie po drugiej stronie rzeki, wujku. Wszędzie szukałam tych tolnedrańskich legionów, o których wszyscy mówicie, i wiesz co? Nie znalazłam ich.

- Ależ widać je z miejskich murów, lady Polgardo.

- Mylisz się, baronie. Ci, których widzisz z miejskich murów, są zwykłymi robotnikami ubranymi w mundury legionistów. W lesie jest też kilka obozowisk, wyglądających na normalne obozy legionistów, ale pustych. Nie ma tam więcej niż pięćdziesięciu ludzi. Patrolują brzeg rzeki w ciągu dnia, a nocami palą ogniska. To wszystko na pokaz, Mandorinie. Tam nie ma żadnej armii. Kim jest hrabia Oldon?

- To członek partii Kadona, pani. O ile się nie mylę, jego włości znajdują się po drugiej stronie miasta.

- Ach, rozumiem! Wcielił drwali i innych robotników do swej małej, prywatnej armii, która ma tylko jedno zadanie: przekonać księcia Corrolina, że po drugiej stronie rzeki obozują prawdziwe legiony. To wszystko błaga. Corrolin został wystrychnięty na dudka. To, co dzieje się tutaj, w Vo Mimbre, jest takim samym spiskiem, z jakim spotkałam się w Vo Wacune i Vo Astur.

- Publicznie zdemaskuję tego łotra, Kadona! - oznajmił zapalczywie Mandorin. -1 dowiodę słuszności swych słów na jego ciele.

- Możesz dowieść jedynie, że lepiej od niego władasz mieczem. Musimy wymyślić coś lepszego. - Zastanowiłam się przez chwilę. - Myślę, że już czas, aby Corrolin porozmawiał z Ranem Yordue osobiście. Chyba tylko to zdoła go przekonać.

- Czy jego imperialna wysokość przystanie na taką rozmowę?

- Przystanie, jeśli wyślemy właściwego posłańca. Mój ojciec kręci się tu gdzieś w pobliżu, obserwując mnie. Zaproponuję, aby wybrał się w podróż do Tol Honeth... dla zdrowia.

- Jest niezdrów?

- Będzie, jeśli nie odbędzie tej podróży, gdy mu każę. - Znowu zastanawiałam się chwilę. - Spotkanie chyba nie powinno mieć miejsca w Vo Mimbre. Nie budźmy czujności opozycji. Tol Vordue będzie lepsze. Porozmawiam o tym z ojcem i zobaczymy, co na to powie. Spisek, z którym mamy do czynienia, był przygotowywany od miesięcy, Mandorinie, a wyświetlenie go zajmie nam kolejne miesiące. Spotkanie pomiędzy Corrolinem i Ranem Vordue może oszczędzić nam nużącego rozwikływania intrygi. Corrolin wróci do Vo Mimbre z kluczami do lochów w dłoni.

- Nie myślałem, że sprawy państwowej wagi mogą toczyć się tak prędko, pani - zdumiewał się. - Tutaj jesteśmy przyzwyczajeni do wolniejszego tempa.

- Nie wolno nam zwlekać, baronie. Straż przednia sił Corrolina wyruszy jutro rano, a pozostałe siły nie zostaną daleko z tyłu. Jeśli nie będziemy działać dostatecznie szybko, to niewiele zostanie nam czasu na odwrócenie biegu spraw. Jeszcze jedno. Proszę, zachowaj to wszystko dla siebie. Tajemnica przestaje być tajemnicą, jeśli zna ją Więcej niż dwoje ludzi. A teraz wybac mi, pójdę wydać ojcu rozkaz wymarszu.

Zostawiłam barona Mandorina z zakłopotanym wyrazem twarzy i udałam się do własnych komnat. Zamknęłam za sobą drzwi i poddałam kilka środków ostrożności. Kadon miał w końcu w swej gromadce Grolima.

- Ojczy - wysłałam myśl - potrzebuję cię.

- Jak na kogoś, kto rości sobie pretensje do niezależności, przyzywasz mnie dość często, Pol.

- Przestań zrzędzić. Ruszaj do Tol Honeth i opowiedz Ranowi Vandue, co się dzieje tu, w Arendii. To go pewnie zainteresuje. Chcę, aby pojechał do Tol Yordue, spotkał się z księciem Corrolinem i wyjaśnił mu bardzo cierpliwie, że on nie ma najmniejszego pojęcia, co kryje się, tymi niby-sojuszami. Niech wyśle oficjalnego posłańca do Mandorina a baron zorganizuje mu spotkanie z Corrolinem. Księżę powinien spotkać się z Ranem Yordue sekretnie w Tol Yordue przed końcem tygodnia

- Sam mogę przynieść list od imperatora, jeśli chcesz. - To była niespodzianka. - Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

- Może wymyślisz jakiś sposób na wyciągnięcie Corrolina z Vo Mimbre i nakłonienie go do podróży do Tol Yordue bez świty. Mam z tym trochę kłopotu.

- Coś wymyślę. Pewnie powinienem to powiedzieć już wcześniej, Pol... doskonale sobie radzisz na pokrętnych ścieżkach polityki.

- Dziękuję, jesteś bardzo uprzejmy. Ty też nieźle sobie radzisz.

- Ale ja mam większą praktykę. Czy sprawy tutaj zbliżają się do punktu kulminacyjnego?

- Tak, są już bardzo blisko, więc nie ociągaj się, ojcze.

Następnego ranka wszyscy obserwowaliśmy, jak pięćdziesięciu konnych rycerzy, zakutych w zbroje, powiewając sztandarami, opuszczało dziedziniec. Przypadkowo usłyszałam dobiegające gdzieś z tłumu słowa „kult niedźwiedzia”, pokręciłam się więc trochę tu i ówdzie. Wcale nie musiałam daleko szukać, by ponownie usłyszeć te słowa. Wyglądało na to, że wszyscy w pałacu mówili o tej osobliwej skłonności Alornów. Było oczywiste, że to podwładni Ctuchika rozgłaszali te niestworzone historie. Cele kultu same w sobie były niedorzeczne, ale krążące tego ranka plotki swą niedorzecznością biły je na głowę. A wszystko miało na celu sianie nienawiści, strachu i nieufności. Jedność braci Toraka pokonała Boga Smoka w czasie wojny bogów i Ctuchik robił wszystko co w jego mocy, by tę jedność rozbić. Mogłabym zapewne pokusić się o zdementowanie tych pogłosek ale już dawno odkryłam, że tak naprawdę nie ma sposobu ukręcenia głowy plotkom, gdy już raz padły na podatny grunt. Następnego dnia późnym popołudniem w mej głowie rozbrzmiała myśl ojca.

- Raduj się, ma ukochana córko - oznajmił - albowiem ja, dzięki swym niewymownym umiejętnościom, wypełniłem zadanie, którym mnie obarczyłaś.

- Bądź poważny, ojcze! Czy Ran Yordue zgodził się na spotkanie .księciem?

- Oczywiście, że się zgodził. Czy kiedykolwiek cię zawiodłem?

- Prawdę powiedziawszy, często. Czy masz jego posłanie?

- W którejś z kieszeni, jak myślę. Wręczając list Corrolinowi, zasugeruję mu, aby wybrał się na pielgrzymkę.

- Co?!

- Poproszę, aby przywdział skromne szaty i pojechał do klasztoru, który znajduje się u ujścia rzeki Arend, naprzeciwko Tol Yordue. Książę pragnie wyruszyć na wojnę, a Arendowie zawsze modlili się o zwycięstwo przed zastosowaniem przemocy wobec sąsiadów. Pielgrzymka to sprawa raczej osobista, więc Corrolin nie zabierze z sobą dużej

świty, tylko ciebie i Mandoriną, jeśli uda mi się tak to zorganizować. Przemycenie go przez rzekę do Tol Yordue nie powinno nastęrczać trudności po dotarciu na brzeg. Czy o coś takiego ci chodziło?

- To powinno się udać, ojczec. Kiedy przybędziesz do Vo Mimbre?

- Jutro rano. Muszę zrobić popas. Tak bardzo zaskoczyłem Rana Yordue, że zapomniał dobrych manier. Nie zaproponował mi kolacji, a ja umieram z głodu. A zatem do zobaczenia jutro. Śpij dobrze, Pol.

I spałam dobrze. Pewnie zaprzeczałabym, gdyby ktoś to powiedział, ale zawsze czułam się pewniej, gdy ojciec włączał się w to, co robiłam. Ma swoje wady, ale gdy już raz się za coś zabierze, działa z nieubłagalnością morskiego przyływu.

Następnego ranka zaproponowałam baronowi Mandorinowi małą przejażdżkę dla zdrowia. Na północ od miasta wjechaliśmy w gęsty zagajnik. Tam, nad szemrającym wesoło pomiędzy kamieniami strumyczkiem, mój ojciec ucinął sobie drzemkę. Otworzył oczy, gdy zsiadaliśmy z koni.

- Co was zatrzymało? - zapytał. Miał na sobie brązową mniśią szatę.

- W coś ty się ubrał?! - zdziwiłam się.

- To mój służbowy uniform, Pol - odparł. - Będę towarzyszył księciu w podróży w dół rzeki. - Potem zwrócił się do Mandorina - Zdumiewające! Jeszcze nie posiwiasteś.

Mandorin spojrział na niego zaintrygowany.

- Współpracujesz przecież z moją córką, prawda? - Ojciec uśmiechnął się złośliwie.

- Czy nigdy ci się te żarty nie znudzą, ojczec? - zapytałam z pewnym rozdrażnieniem.

- Chyba nie. Jak się miewasz, Mandorinie?

- Dobrze, prastary Belgaracie, dobrze.

- Rad jestem to słyszeć. O ile dobrze pamiętam, za książęcym tronem znajduje się mała komnata. Tam zwykle wiesz swoją szatę. Wracaj do Vo Mimbre i poproś go, aby wszedł do tej komnaty na chwilę. Ja z Pol będę już tam na was czekał. Porozmawiam z Corrolinem a potem ruszymy do klasztoru.

- A jeśli... - zaczęłam.

Ojciec westchnął przeciągle, co zawsze mnie drażniło.

- Proszę, Pol - powiedział. - Już zająłem się wszystkimi „a jeśli”. Jedź, Mandorinie. Pol i ja będziemy czekać w garderobie.

Mandorin dosiadł konia, wziął wodze Lady i odjechał. Potem my skorzystaliśmy z zastępczego środka komunikacji i bezpiecznie dotarliśmy do ukrytej za tronem komnatki pół godziny wcześniej, nim baron wkroczył do pałacu.

- A więc jesteś, wasza miłość - powiedział ojciec, gdy Corrolin w towarzystwie Mandolina wszedł do garderoby. - Czekaliśmy na ciebie. - Nie pofatygował się nawet, by wstać.

Ojciec powiesił swą mnisią szatę na oparciu wolnego fotela. Księżę zobaczył więc jedynie włóczęgę w zniszczonym ubraniu, bez dobrych manier, siedzącego w pokoju, w którym nie miał czego szukać.

- Cóż to ma znaczyć, baronie? - zapytał ostro.

- Panie - odparł Mandorin - mam wielki zaszczyt przedstawić świątobliwego Belgaratha, ucznia Boga Aldura, który właśnie przybył z Tol Honeth z pilną wiadomością od jego imperialnej wysokości Rana Yordue.

- Przyznaję, iż czuję się wielce zakłopotany - odparł Corroli skłaniając się głęboko przed mym wyglądającym na włóczęgę ojcem

- Witaj, Corrolinie - powiedział ojciec, siedząc nadal. - Dobrze znałem twego ojca. - Spod tuniki wyciągnął złożoną kartę pergaminu opatrzoną woskową pieczęcią. - Jego imperialna wysokość poprosił, bym po drodze wpadł do Vo Mimbre i oddał to tobie. Wybacz te wybiegi, ale zawartość listu Rana Yordue powinna być utrzymywana w tajemnicy.

Słowo „tajemnica” zawsze rozpała błyski w oczach i Corrolin nie był w tym względzie wyjątkiem. Wziął list, a potem zerknął niepewnie na mnie.

- Moja siostrzenica wtajemniczona jest w treść tej wiadomości - zapewnił go Mandorin.
- Prawdę powiedziawszy, pomocna była w jej dostarczeniu.

- O tym później. - Ojciec gładko przeszedł do porządku dziennego nad faktem, że w Mimbre moim głównym zainteresowaniem powinny być plotki, fryzury i fatalaszki.

Corrolin przeczytał wiadomość od imperatora i spojrzał nieco zaskoczony.

- Azali opacznie pojąłem treść tego dokumentu? Jeśli błędnie go odczytałem, poprawcie mnie, ale wydaje się, iż zostałem zaproszony na spotkanie z jego imperialną wysokością.

- Tak powinno być tam napisane, wasza miłość - mruknął ojciec - ponieważ to właśnie podyktowałem. Spotkanie odbędzie się w Tol Yordue za trzy dni i imperator prosił, abym ze szczególnym naciskiem uprzytomnił ci potrzebę zachowania absolutnej tajemnicy w tej sprawie. Zarówno w Mimbre, jak i w Tolnedrze nie brakuje nieprzyjaznych oczu i uszu.

- Roztropna przezorność, prastary Belgaracie - przyznał Corrolin - ale czym wytłumaczę swą nagłą podróż do Tolnedry?

- Pozwoliłem sobie poczynić pewne przygotowania, wasza miłość - powiedział ojciec, sięgając po mnisią szatę. - Ubiorę się w nią i będę udawał świątobliwego męża. Jesteś o krok

od rozpoczęcia wojny. A wojna to poważna sprawa i prawdziwie pobożny mąż nie rusza na wojnę bez zasięgnięcia boskiej rady. Dlatego właśnie po mnie posłałeś.

- Wybacz, ale nie przypominam sobie, aby cię przyzywał - powiedział zdumiony Corrolin.

- Dziwne. Pamięć masz nietęgą. W każdym razie będę ci towarzyszył w drodze do klasztoru na wybrzeżu, abyś mógł naradzić się z tamtejszym opatem. To chyba wystarczająco pobożny cel? Po drodze wpadniemy do Tol Yordue, tam spotkasz się z Ranem Yordue. Potem pojedziemy do klasztoru. Zasięgniesz duchowej porady u opata, po czym wrócimy do domu. - Spojrzał na bogaty ubiór księcia. - Włóż stosownie skromnego, panie. Po powrocie do sali tronowej módl się gorliwie, a mnie pozwól mówić. Ze szczególnym naciskiem powtarzam, że jakakolwiek świta byłaby czynem bezbożnym i Chaldan mógłby się poczuć urażony.

- Słyszałem o podobnych zakazach - przyznał Corrolin.

- Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej, wasza miłość, ponieważ je wymyśliłem. Baron Mandorin i jego siostrzenica pojedą przodem, my opuścimy Vo Mimbre sami i spotkamy się z nimi po drodze. Mandorin i Polina są w posiadaniu pewnych informacji, które mogą być pomocne w waszej naradzie w Tol Yordue. Arendowie przepadają za intrygami, więc Corrolin natychmiast przystał na nasz plan i przybrał konspiracyjną minę, z jaką zwykle się obnosi połowa populacji Arendii. Ja z Mandorinem udałam się do stajni po konie.

Nasi dwaj pielgrzymi, śpiewając pobożne hymny po drodze, dołączyli do nas kilka mil za Vo Mimbre i razem pojechaliśmy nadrzecznym traktem ku wybrzeżu. Oczywiście byliśmy śledzeni. Ojciec się tym zajął, więc nie przysporzyło nam to żadnych kłopotów.

Przenocowaliśmy w obozowisku po drodze, a cały następny dzień aż do wieczora byliśmy w drodze. Ojciec nie należy do tych którzy zdają się na łut szczęścia, więc w nadbrzeżnych zaroślach, milę od klasztoru, ukrył łódź. Uwiązaliśmy konie i zepchnęliśmy łódź

na wodę. Około północy przybiliśmy do drugiego brzegu i ciemnym, opustoszałym traktem ruszyliśmy do Tol Yordue. Przy imponującej wschodniej bramie czekał pluton legionistów, który natychmiast zaprowadził nas przez wyludnione ulice do prastarej siedziby rodu Yordue. Imperator oczekiwał nas na dziedzińcu. Był w średnim wieku i dość wysoki jak na Tolnedranina. Zauważyłam również, że nosił się po wojskowemu.

- Domyślam się, że wszystko poszło dobrze? - zapytał ojca.

- Bez problemów - odparł ojciec, wzruszając ramionami.

- Świetnie. Przygotowałem odpowiednie miejsce na nasze spotkanie. Ręczę, że nikt nie podejdzie tam na tyle blisko, aby podsłuchać rozmowę. - Spojrzał na Corrolina i Mandorina. - Który z panów jest księciem Corrolinem? - zapytał.

Ojciec przedstawił obu Mimbratów, ale rozmyślnie pominął moją osobę. Potem weszliśmy do środka i wspięliśmy się długimi murowymi schodami do komnaty na szczycie wieży. Był to gabinet ze stołem konferencyjnym na środku i ścianami zawieszonymi mapami.

- Będę się streszczał, wasza miłość - powiedział imperator do Corrolina, gdy zasiedliśmy za stołem. - Szczerzy ze mnie człowiek, nie bardzo biegły w dyplomatycznym ubieraniu myśli w słowa. Prastary Belgarath doniósł mi, że do łask twych wkradł się niejaki Kadan i twierdzi, jakoby mówił w moim imieniu. On kłamie. Nigdy nie wiedziałem o tym człowieku i całkiem możliwe, że nawet nie jest Tolnedraninem Corrolin spojrzał na niego w osłupieniu.

- Przecież z Vo Mimbre widać obozujące legiony! - zaprotestował

- Powiedz mu, Pol - poradził ojciec.

- Wybacz mi, prastary Belgaracie - obruszył się Corrolin - ale kiedy lady Polina mogłaby mieć informacje dotyczące tolnedrańskich legionów?

- Czy musimy dalej grać te role, Pol? - zapytał ojciec.

- Nie - odparłam - chyba nie.

- A zatem wyjaśnijmy wszystko. Księżę Corrolinie, mam zaszczyt przedstawić swą córkę, Polgarę.

Corrolin rzucił Mandolinowi oskarżycielskie spojrzenie.

- Baron Mandorin nie kłamał ci, wasza miłość - pospieszyłam na pomoc przyjacielowi. -Wedle prawa rzeczywiście jest moim wujem. Adoptował mnie przed obliczem kapłana Chaldana przed wyjazdem do Vo Mimbre. Potrzebowałam przebrania, więc zmusiłam go do tego. - Umilkłam na chwilę. - Powiem bez ogródek, wasza miłość. Tak naprawdę po drugiej stronie rzeki nie stacjonują żadne legiony. Udałam się tam i sama wszystko obejrzałam. Hrabia Oldon, który zdaje się został przekupiony przez Kadona, ubrał kilku swoich robotników w mundury legionistów.

- Polgara mówi prawdę, wasza miłość - zapewnił Ran Yordue. - Nie proponowałem żadnego sojuszu, żadnej frakcji w Arendii i z całą pewnością moje legiony nie stacjonują na twojej południowej granicy. Kadon cię wystrychnął na dudka. - Imperator spojrzał na mnie z szacunkiem. - Prastary Belgarath dał do zrozumienia, że od kilku tygodni jego córka jeździ po Arendii, gasząc pożar w zarodku. Może nas zapozna z pewnymi szczegółami.

Opowiedziałam, co wydarzyło się w Vo Wacune i Vo Astur oraz Czego dowiedziałam się w Vo Mimbre.

- Wszystko to była mistyfikacja, panowie - podsumowałam. - Ctuchik usiłował doprowadzić do wojny pomiędzy Arendią i Tolnedrą w nadziei że jego imperialna wysokość zaatakuje Arendię, co doprowadzi do wojny Alornów. A tego tak naprawdę pragnie Ctuchik, wojny pomiędzy imperium a Alornami. Arendia była zaledwie pionkiem w grze o wiele większą stawkę.

- Zniszczę tego łotra Kadona! - krzyknął Corrolin.

- Wolałbym, abys tego nie zrobił - powiedział Ran Yordue. - Lepiej deportuj go do Tolnedry razem z podwładnymi. Pozwól mi się z nimi rozprawić. - Uśmiechnął się lekko. - Niedługo moje urodzin Może dałbyś mi ich wszystkich w prezencie?

- Z ogromną przyjemnością spełnię twą prośbę, wasza imperialna wysokość - zgodził się Corrolin. - Sam zaś uwagę skupię na tych, mimbrackich rycerzach, którzy przystąpili do spisku Murga. Z całą surowością. Dotkliwie odczują me niezadowolenie.

- Dzielny gość - mruknął Ran Yordue. Potem spojrzał na mnie - Skąd dowiedziałas się o tym wszystkim, lady Polgaro? Ze swoich źródeł wiem, że przez ostatnie kilka wieków ukrywałaś się w Dolinie Aldura.

- Nasz Mistrz mnie zachęcił do zajęcia się tą sprawą, wasza wysokość. Najwyraźniej uznał, że powinnam więcej czasu poświęcić na ćwiczenia praktyczne w polityce, by poszerzyć swe horyzonty.

- Poruszyłaś bardzo interesujący temat - powiedział ojciec, patrząc na mnie. - Mistrz oddał to w twoje ręce, Pol, więc tym razem ty kierujesz biegiem wydarzeń. Co teraz zrobimy?

- Dopadnę cię za to, ojczu - postraszyłam go.

- Chciałaś powiedzieć, że spróbujesz mnie dopaść. Rzuć jakiś pomysł, a my zanalizujemy go dokładnie i powiemy ci, czemu jest głupi.

Szukałam w myślach jakiegoś logicznego rozwiązania.

- Jeśli spojrzeć na to pod innym kątem, Ctuchik wyświadczył nam przysługę. Jego spisek cechuje pewien ekumenizm. Oszukał wszystkich trzech książąt dokładnie wedle tego samego schematu, każdemu proponując sojusz z Ranem Yordue. A skoro Asturia, Wacune i Mimbre zostały wystrychnięte na dudka w ten sam sposób, może uda nam się to wykorzystać dla własnych celów. Może po prostu zaniechać wojny i od razu przystąpić do rokowań pokojowych. Mam pewien wpływ na Kathandriona i Mangarana. Jeśli książę Corrolin zaprosi ich na konferencję, powiedzmy na Wielkim Arendyjskim Jarmarku, chyba uda mi się nakłonić ich do wzięcia w niej udziału.

- Ona mówi z sensem, Belgaraeie - popart mnie Ran Yordu - Masz pojęcie, ile kosztuje mnie utrzymanie pięćdziesięciu legionów w garnizonie w Tol Yordue, na wypadek gdyby niepokoje z Aren miały rozprzestrzenić się na Tolnedrę? Potrafię znaleźć lepsze cię dla tych oddziałów i pieniędzy, które na nie trwonię.

- Ja również widzę zalety w propozycji lady Polgary - przyznał Corrolin. - Niekończąca się wojna z czasem staje się nudna. Może dla odmiany przeżyjemy niekończący się pokój przez kilka miesięcy

- Cynik - skwitował to ojciec, po czym wstał. - Może po prostu pozwólmy, by moja córka sterroryzowała wszystkich, których się to należy i zmusiła ich do udziału w konferencji pokojowej na Wielkim Arendyjskim Jarmarku? - zaproponował.

- Sterroryzowała?! Dlaczego tak to nazywasz? - zaprotestowałam.

- A nie to masz zamiar zrobić?

- Jeśli będę musiała... ale to takie obrzydliwe słowo. Nie moglibyśmy nazwać tego trochę ładniej?

- A jakie słowo wolisz?

- Nie jestem pewna. Zastanowię się i dam ci znać, gdy się zdecyduję.

- Mam nadzieję, iż wybaczysz mi, jeśli nie będę oczekiwał z zapartym tchem.

Ojciec powiosłował z powrotem i krótko przed świtem przeprowił nas na drugi brzeg ujścia rzeki Arend. Zauważyłam, że bierze się za robienie takich rzeczy, gdy uzna, iż najlepiej się do tego nadaje, choć w innych okolicznościach mogłoby to być uznane za posługę. Zarówno Mandorin, jak Corrolin byli rycerzami, o wiele lepszymi jeźdźcami niż wioślarzami. Mój ojciec wolał nie ryzykować. Pewnie poradziłabym sobie przynajmniej tak dobrze jak on, ale najwyraźniej nawet nie przyszło mu to na myśl, a ja z pewnością nie miałam zamiaru mu tego sugerować.

Świt rozkwitł już w pełnej krasie, gdy przybiliśmy do brzegu. Osiodłaliśmy konie i ruszyliśmy do klasztoru. Corrolin konferował sumiennie z opatem przez kwadrans, choć za nic nie mogłam pojąć, o czym mogli rozprawiać. Corrolin nie wybierał się na wojnę. Może o to chodziło. Może prosił opata, aby przekazał jego przeprosiny Chalnowi za poniechanie rzezi sąsiadów. Po opuszczeniu klasztoru wjechaliśmy na trakt wiodący do Vo Mimbre. Po mili zatrzymaliśmy się na postoju, a ja przyrządziłam śniadanie na przydrożnym ognisku. Ojciec który już miał pełny żołądek, postanowił, że przydałby nam się spoczynek.

Byliśmy na nogach całą noc - przypomniał nam. - Potrafię spać w siodle jeśli naprawdę trzeba, ale ktoś musiałby czuwać, by kierować końmi. Prześpijmy się, a potem pojedziemy dalej.

Wjechaliśmy głębiej między drzewa, rozłożyliśmy koce i położyliśmy się spać. Właśnie zapadałam w drzemkę, gdy w moim sennym mózgu matczynej głos wyszeptał:

- Bardzo ładnie się spisałaś, Polgardo.
- Też tak myślę - przyznałam skromnie.
- Jesteś zmęczona ?
- Tak, raczej tak.
- Dlaczego zatem nie śpisz?

Zapadałam w sen pomiędzy jedną myślą a drugą.

Obudziliśmy się wczesnym popołudniem i pojechaliśmy do nędznego zajazdu, gdzie spędziliśmy noc. Następnego ranka wstaliśmy wcześniej i pojechaliśmy prosto do Vo Mimbre.

Księżę Corrolin był bardzo wzburzony, działał szybko, wydając rozkazy, ale nie udzielając wyjaśnień. Zaprosił cały dwór przed swe oblicze do sali tronowej, gdzie wzdłuż ścian trzymali straż uzbrojeni rycerze. Ku zaskoczeniu wszystkich wkroczył do sali w pełnej zbroi, niosąc wielki miecz. Nie zasiadł na tronie.

- Panowie i panie - zaczął z nietypową dla mimbrackiego Arenda lakonicznością. - Właśnie wróciłem z Tol Yordue, gdzie odbyłem naradę z imperatorem Tolnedry. Wynik tej konferencji był pomyślny Radujcie się, moi lojalni poddani. Nie będzie wojny.

To wywołało mieszane reakcje, w końcu Arendowie są tylko Arendami.

Corrolin z ponurą miną uderzył pięścią w oparcie tronu.

- Nie czujcie się zawiedzeni, panowie i panie! - huknął. - Będa inne rozrywki. Spiskowcy od dawna psuli atmosferę nie tylko tutaj, w Mimbre, ale także w Asturii i Wacune. Mym stanowczym zamiarem jest oczyszczenie tutejszej atmosfery. Brać ich! - Ten rozkaz był skierowany do Mandorina i czterdziestu ludzi pod jego dowództwem. A Mandorin wykonał go bardzo szybko, tak szybko, prawdę powiedziawszy, że obyło się prawie bez ofiar. Kilkunastu Tolnedran, zarówno prawdziwych, jak fałszywych, zostało zakutych w kajdany. W ten sam sposób potraktowano również kilku mimbrackich szlachciców.

Udający sługę Kadona Grolim wywinął się rycerzowi, który właśnie miał go zakuć w żelazo, i rzucił się do drzwi, zbierając w biegu swą Wolę. Jednakże mój ojciec już na niego czekał. Stary Wilk, nadal odziany w mnisi habit, wymierzył mu tak potężny cios w skroń że kapłan Boga Smoka padł nieprzytomny na podłogę. Zauważyłam że ojciec złośliwie okrył swą prawą pięść ołowiem i jego cios mógłby owalić byka. Świętobliwy Belgarath miał barwną przeszłość i zauważam, że potrafił korzystać nie tylko z czarów, ale i z doświadczeń w karczemnych bijatykach.

Więźniów wyprowadzono z sali, a ksiązę opisał z nużącymi szczegółami spisek Murga, który jedynie krok dzielił od urzeczywistnienia. Potem, gdy dwór nadal był w szoku, powiedział im o konferencji pokojowej, którą właśnie przygotowywano. Rozległy się szemrania, lecz ksiązę Mimbre nie patyczkował się z nikim. Po zakutym w zbroje Arendzie trudno w końcu spodziewać się głaskania. Postanowiłam odstąpić ojcu zasługi za me działania wVo Mimbre. Bardziej interesują mnie wyniki niż uznanie. Ojciec po prostu uwielbiał być w centrum uwagi, więc pozwoliłam mu pławić się w pochlebstwach. Wróciłam do północnych księstw, by szykować konferencję pokojową. Ksiązę Kathandrion z Wacune i lord Mangaran z Asturii spotkali się już kilkakrotnie, a hrabina Asrana z figlarnymi błyskami w oczach zapewniła mnie, że potrafią się dogadać.

- Rozumieją się jak para złodziei, Polly - powiedziała z lekkim uśmiechem. - Ten Kathandrion jest absolutnie cudowny, prawda?

- Nawet o tym nie myśl, Asrano - ostrzegłam. - Trzymaj na wodzy swe drapieżne instynkty. Jak z kondycją Oldorana?

- Nie wiem, jak jego wątroba, ale zdrowe zmysły zdecydowanie go opuściły. Widzi różne zjawy i cały czas mamrocze. Jego rodzina jest tym bardzo zmartwiona. Ma kilku siostrzeńców, którzy łakomym okiem łypali na tron, ale nie sądzę, aby tytuł pozostał w rodzinie. Mangaran na każdym kroku demonstruje swe umiejętności, a żaden z siostrzeńców Oldorana nie nadaje się na władcę. Kiedy zwołamy konferencję pokojową?

- Jaką konferencję pokojową, moja droga?

- Tę, nad którą pracujesz, odkąd przybyłaś do Arendii. Nie bądź skromna, Polly. Wiem, do czego zmierzasz, i w pełni to pochwalam. Wojny są pewnie bardzo podniecające dla mężczyzn, ale życie kobiet tutaj, w Vo Wacune i w Vo Mimbre jest bardzo nudne, gdy wszyscy ładni młodzieńcy gonią się po lasach. A zatem, jak mogę ci pomóc?

Nasza zaimprovizowana konferencja pokojowa miała się odbyć zgodnie z moją sugestią na terenie Wielkiego Arendyjskiego Jarmarku który znajdował się na terytorium Mimbratów. To automatycznie czyniło Corrolina gospodarzem. Jeśli mam być całkiem szczerą, bardziej odpowiadałby mi w tej roli Kathandrion, ale nie zawsze można, mieć wszystko. W każdym razie baron Mandolin miał siedzieć obok, Corrolina, więc byłam pewna, że ustrzeże swego księcia od popełnieniem zbyt wielu błędów. Opuściłam Vo Astur i przekroczyłam granic z Wacune. Chciałam porozmawiać z Kathandrionem przed rozpoczęciem konferencji.

- Będziemy musieli zachować ostrożność, panie - powiedziałam gdy w końcu znalazłam się z nim na osobności. - Nie brakuje porywczych mężów w trzech księstwach, a

przypadkowa uwaga w niewłaściwym momencie może zniweczyć wszystkie nasze starania. Co jakiś czas przemówię do dostojnych gości, z całym naciskiem podkreślając, że dopóki któryś z arendyjskich książąt będzie miał królewskie ambicje, Arendia podatna będzie na spiski Murgów. Może kiedyś nastanie czas jednolitej władzy w całej Arendii, ale jeszcze nie teraz. Chciałabym osiągnąć porozumienie pomiędzy tobą, Mangaranem i Corrolinem, że nie ma korony Arendii, więc nie warto zabijać połowy narodu, by włożyć komuś na głowę coś, co nie istnieje.

- Mam wrażenie, że w tej ostatniej uwadze kryje się jakaś reprimenda, pani - zauważył Kathandrion.

- Potraktuj to jako słowa przestrogi, wasza miłość. Z wielką nieufnością spoglądaj na każdego, kto będzie oferował ci pomoc w zdobyciu nieistniejącej korony. Nie myślę jednak, aby jedno spotkanie zaowocowało długotrwałym pokojem, zatem chcę zaproponować, byśmy w Arendii poszli za przykładem Alornów. Królowie Alornów spotykają się co jakiś czas na Wyspie Wiatrów w celu omówienia spraw żywotnej dla wszystkich wagi. Sądzę, iż możemy poddać tę propozycję pod rozważenie. Jeśli trzej arendyjscy książęta zaczną się spotykać każdego lata, to będą mogli uporać się ze wszystkimi tarciami, do jakich doszło w ciągu minionego roku. Nie dajmy żadnej zniewadze czasu na zaognienie.

- Dołożę wszelkich starań, aby tak się stało, pani.

Poleciałam z powrotem do Vo Astur, aby tych samych argumentów użyć wobec Mangarana i Asrany. Kilka miesięcy spędziłam na niebie nad Arendia. Gdy ma się do czynienia z Arendami, trzeba wszystko doskonale przygotować, nim zgromadzi ich się przy konferencyjnym stole. Pilnowałam, aby porządek tego pierwszego spotkania nie rozrósł się zbyt, ograniczając dyskusję do kilku istotnych punktów.

Jesień była już w pełni, gdy zebraliśmy się w barwnie przystrojonym namiocie, który Corrolin polecił ustawić na obrzeżach jarmarku. Każdy z władców kolejno wstawał, by przemówić do zebranych urzędników państwowych oraz obserwatorów z Tolnedry i królestw Alornów. Corrolin, jako gospodarz, pierwszy zabrał głos. Oficjalnie przywitał pozostałych dwóch władców i wysłanników z innych państw. Nie omieszkał zauważyć, że Salmisra mimo zaproszenia nie przysłała obserwatora. Potem przez prawie pół godziny mówił o mnie bardzo miłe rzeczy. Tę część jego przemowy uznałam za całkiem interesującą.

Po Corrolinie wstał Kathandrion i w równie kwiecistych słowach podkreślił moje zasługi. Jego mowa również mi się podobała. Potem wstał Mangaran i udowodnił, że Asturianie nie zapomnieli jeszcze zupełnie owych „azali”, „zaiste”, „albowiem”. Jednak swoją przemowę stary spryciarz zakończył w nieco zaskakujący sposób.

- Szlachetni zgromadzeni - powiedział z lekkim uśmiechem. - Owo spotkanie, tutaj na równinie naszej okrytej żalobą Arendii, za swój ostateczny cel ma zaprowadzenie długotrwałego pokoju. Wielu wyda się to nienaturalne, inni nawet poczytają to za świętokradztwo. Pokój to pojęcie obce w Arendii i fakt, iż nasze spotkanie przez niemal całe popołudnie obyło się bez jednej kropli krwi, może w niektórych kręgach wywołać oburzenie. A skoro posunęliśmy się już tak daleko, pójdźmy dalej i zaszokujmy jeszcze bardziej naszą staroświecką ojczyznę kolejnym pogwałceniem wyobrażenia o tym, jak powinno się załatwiać sprawy. Damy, jak wszyscy na świecie wiedzą, są rozkosznymi stworzeniami, piękniejszymi, delikatniejszymi i czulszymi niżli my, a powinnością każdego prawego szlachetnego męża jest im służyć. Jednakowoż wiadomo jest także, iż ich umysły nie dorównują naszym. Kwieciste i w pełni zasłużone podkreślenie tu dzisiaj zasług lady Polgary zachęciło mnie do rozważenia szokującej możliwości. Mogłoby to być, aby wielki Chaldan rzeczywiście obdarzył kobiety rozumem? Azali to możliwe? Potem, podniesiony na duchu faktem, że grom boskiego gniewu jeszcze mnie nie dotknął posunąłem się w owych heretyckich rozważaniach jeszcze dalej. Mniemam, iż wszyscy wiemy, że księżę Oldoran został ostatnio sunięty z tronu i zamknięty w klasztorным odosobnieniu, by tam ryczał i majaczył do końca swych dni. Powszechnie również wiadomo iż to ja jestem odpowiedzialny za jego usunięcie. Otwarcie wynaję, iż jest to prawda, ale nie doszłoby do tego, gdyby nie asysta dwóch - nie jednej, ale dwóch - dam. Pierwszą, oczywiście była lady Polgarda. Jestem pewny, iż to dla nikogo nie jest zaskoczniem. Jednakowoż nie jest powszechnie wiadomy fakt, że pewna wysoko urodzona dama z Vo Astur również była w to zamieszana po swoje śliczne uszka. Co więcej, doradza mi w większości spraw odkąd przejąłem kierowanie księstwem Asturii. Potrzeba pełnej otwartości, podnoszona na tej konferencji, skłoniła mnie do przed stawienia damy, która włada u mego boku. Szanowni zebrani, pozwolę sobie przestawić hrabinę Asranę, spiskownicę nie mająca sobie równych.

Rozległy się niepewne oklaski, które stopniowo stawały się coraz bardziej zdecydowane, ostatecznie przechodząc w owację.

- Dopadnę cię za to, Mangaranie - rzuciła Asrana, wstając.

- Obiecujesz? - zapytał z szelmowskim uśmiechem. Asrana przybrała tragiczną pozę.

- Tak oto moja straszliwa tajemnica została wyjawiona - oznajmiła. - Jakże ktokolwiek będzie mógł mi wybaczyć? Doprawdy, panowie, to nie była moja wina. Polgarda mnie do tego zmusiła. To wszystko jej wina. - Westchnęła przeciągle. - Możemy chyba przejść nad tym do porządku dziennego. To nienaturalne zgromadzenie zwołane zostało w celu zbadania możliwości ustanowienia pokoju. Czyż to nie okropne? Jakże moglibyśmy żyć bez wrogów?

Musimy kogoś nienawidzić! - Przerwała, po czym pstryknęła palcami. - Mam, panowie! Mam rozwiązanie! Zaczniemy nienawidzić Murgów zamiast siebie nawzajem! Murgowie są wstrętnei, a Arendowie to najpiękniejsi ludzie na świecie. Murgowie są niecni, a Arendowie honorowi aż do przesady, Murgowie nie znają dobrych manier, a dworność Arendów doprowadza do rozpaczyny resztę świata. Złączmy dłonie, szlachetni, i przysięgnijmy na nasz święty honor nienawidzić każdego napotkanego Murga.

Wszyscy śmieli się i walili z zadowolenia w stół. Hrabina Asrana zgrabnie okręciła ich sobie wokół paluszka.

- Muszę przyznać, iż spodobała mi się ta czarująca młoda dama, wasza miłość! - powiedział Mandorin do swego księcia. - Jest zachwycająca. Obserwowałam właśnie Asranę i dostrzegłam jej zadowolenie. Potem, nawet nie zmieniając wyrazu twarzy, hrabina do mnie mrugnęła. Najwyraźniej słyszała uwagę Mandorina i poczuła smak zwycięstwa.

Tego wieczoru odbył się uroczysty bankiet i baronowi Mandorinowi udało się usiąść obok Asrany, która natychmiast przystąpiła do podboju. Za atak kawalerii posłużyły jej mądre uwagi i obserwacje. Machiną oblężniczą była głęboko wycięta suknia. Baron Mandorin nie poddał się co prawda od razu, ale był tego bardzo bliski. Hrabina dzieliła ze mną kwaterę. Wieczorem czekałam na jej powrót.

- Dlaczego Mandorin? - zapytałam bez ogródek, gdy przyszła.

- Nie bardzo rozumiem, Polly.

- Czemu łapiesz na męża barona Mandorina? Są tu przystojniejsi od niego, a on jest znacznie od ciebie starszy.

- Tym lepiej - odparta, rozpuszczając włosy. - Przy Mandorinie nie będę musiała cierpieć bawolich spojrzeń i stert marnej poezji. Mandorin jest bardzo blisko centrum władzy w Mimbre, a ja mam podobną pozycję w Asturii. Ty będziesz doglądać spraw w Wacune, więc powinniśmy utrzymać wszystko w ryzach, przynajmniej na tyle długo, by pokój okrzepł.

- Rzuciła mi figlarne spojrzenie. - Z przykrością muszę to powiedzieć, Polly, ale będę się bawiła o wiele lepiej niż ty.

- Robisz to z patriotyzmu, Asrano? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Możesz to tak nazwać, jeśli chcesz, ale w głębi serca władza mnie podnieca. Nas troje będzie miało niemal całkowitą władzę w biednej starej Arendii. Czy można chcieć czegoś więcej?

- A co z miłością, Asrano?

- Z miłością? - Wzruszyła ramionami. - Miłość jest zabawą dla dzieci, Polgardo. Już dorosłam. Lubię Mandorina. Jest przystojny i niezmiernie szacowny. Lata zniweczą jego

urodę, a ja skruszę jego szacowność. Obawiam się, że będziemy rządzić twardą ręką, ale Arendia stanie się od tego lepsza. Może to patriotyzm. Obserwuj mnie bardzo uważnie, Polly. Nauczę cię kilku sztuczek. Nie minęło jeszcze południe następnego dnia, gdy nawet najbarbarzyjniej gruboskórny Arend w namiocie księcia Corrolina zaczął sobie zdawać sprawę, że coś „dzieje się” pomiędzy naszą pozbawioną skrupułów hrabiną a baronem Mandorinem. Podejrzewam, że to również było częścią planu Asrany. Nie sądzę, aby nawet Ce'Nedra mogła jej dorównać w obłudzie. Pod koniec dnia biedny baron był już pogrążony. Obserwował każdy ruch hrabiny i wsłuchiwał się w każde jej słowo. Ponieważ Asrana często zabierała głos podczas obrad. Oto była młoda dama, która potrafiła prowadzić dwie rozgrywki naraz, a w obu była bardzo dobra. Czwartego dnia przywódcy Mimbre, Asturii i Wacune podpisały umowę pokojową, a zaraz potem książę Corrolin zaprosił wszystkich na wesele. Hrabina Asrana potrafiła działać szybko, gdy jej to odpowiadało. Kolejny raz musiałam zostać druhną. Asrana i Mandorin pobrali się, a ziemia nawet się nie zatrzęsała ani morze nie wystąpiło z brzegów, by ostrzec biedną Arendię przed niebezpieczną nową siłą, która jej zaczęła zagrażać.

CZĘŚĆ CZWARTA

ONTROSE

ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚTY

Niechętnie to przyznaję, ale w głębi duszy ojciec i ja jesteśmy do siebie bardzo podobni. Oboje wiemy, że naszym najważniejszym zajęciem zawsze będzie studiowanie i żmudne gromadzenie wiedzy. Od czasu do czasu jednak ludzie nam przeszkadzają i oboje robimy kwaśne miny, gdy ktoś przyjeżdża do Doliny Aldura błagając nas, byśmy ruszali na ratunek światu. Czy bylibyście bardzo zaskoczeni, gdybym powiedziała, że nasze dąsy są tylko zabawą? Szczerze mówiąc, lubimy owe wyprawy niemal tak bardzo jak odkrywanie, dlatego dwa dodać dwa jest cztery.

Podczas lat spędzonych na Wyspie Wiatrów byłam w samym centrum ważnych spraw i stwierdziłam, że to bardzo zajmujące. Po rozprawieniu się ze spiskiem Ctuchika w Arendii uznałam to za równie zajmujące zajęcie. Podobnie jak ojciec, zawsze chętnie odkładałam książkę, gdy dzwoniono na pożar. Biorąc pod uwagę niepewną naturę pokoju, jaki wraz z ojcem urządziliśmy Arendom, było całkiem oczywiste, że będę musiała pozostać w Arendii, aby dopilnować jego utrzymania. Wiosną 2313 roku wróciłam na krótko do ojcowskiej wieży, aby zabrać kilka potrzebnych rzeczy. Zapewne mogłam zażyczyć sobie pojawienia się tego, co potrzebowałam, ale z pewnych względów nie byłyby to te same rzeczy.

Ojciec wrócił do Doliny minionej zimy i gdy przybyłam do wieży wezwał bliźniaków.

- Miałam nadzieję, że zobaczę wujka Beldina - powiedziałam.

- Nadal jest w Mallorei, Pol - rzekł Belkira. - Co się dzieje

- A co zwykle się dzieje w Arendii? - prychnął Beltira.

- Pol powzięła pewne kroki - oznajmił ojciec. - W Arendii nic się nie dzieje. Określa się to mianem pokoju.

- Nie posunęłabym się aż tak daleko, ojcze. - Wstałam, by sprawdzić szynkę, którą piekłam na kolację. - Ctuchik narobił sporego zamieszania, a Arendowie mieli sporo zabawy z gaszeniem ognisk z palnych. Teraz, gdy oblaliśmy ich zimną wodą, Arendowie stracili wymówkę dla wzajemnego wyrzynania się. Jednakże nie nazwałabym tego jeszcze pokojem. Siedzą i czekają na kogoś, kto im da nowe powody do wyruszenia na wojnę.

- Jestem pewny, że coś znajdą - mruknął z przekąsem Beldin.

- Dlatego właśnie tam wracam - powiedziałam. - Chcę Arendom dać jasno do zrozumienia, że jeśli nie będą grzeczni, dostaną klapsa

- To nie dzieci, Pol - zaprotestował Belkira.

- Doprawdy? Nie byłeś tam ostatnio, wujku. Arendowie są uroczy, ale ten urok w dużej mierze bierze się z faktu, że nigdy nie dorośli.

- Czy masz zamiar osiąść w jednym miejscu, Pol? - zapytał Belkira. - Czy też planujesz jeździć tam i siam wozem strażackim?

- Mam zaproszenia od wszystkich trzech władców Arendii, ale za punkt dowodzenia obiorę Vo Wacune. Jest o wiele atrakcyjniejsze od Vo Astur czy Vo Mimbire, a książę Kathandron wykazuje przebłycki inteligencji. Przynajmniej sięga wzrokiem poza swe granice, czego nie można powiedzieć o Mangaranie czy Corrolinie. Będę pewnie musiała gonić to tu, to tam, dopóki pokój nie wejdzie w zwyczaj ale zawsze miło jest mieć miejsce, które można nazwać domem. - Wem przyszło mi na myśl coś, o czym bliźniaki powinni wiedzieć. - Ctichik wynalazł sposób maskowania swoich agentów - powiedziałam. - Na Wielkiej Pustyni Araga, na południowy wschód od Nyissy, znajduje się siedziba parareligijnego zakonu. Nazywają ich Dagashi i są to Murgowie niepełnej krwi. Ich matki, a także prawdopodobnie babki, były niewolnicami z innych narodów. Dagashi, w wyniku sztucznego doboru, utracili angarackie rysy i szkoleni są na szpiegów i zabójców. Jeśli ktoś nie wygląda na Angaraka, to wcale nie znaczy że nim nie jest.

- To może przysporzyć nieco kłopotów - rzekł Beltira, marszcząc brwi.

- I kilka razy już przysporzyło - potaknęłam. - Wszyscy powinniśmy o tym wiedzieć. Jest również coś jeszcze. Najwyraźniej Murgowie odkryli w swych górach złoto. Rozdają łapówki na lewo i prawo. W pobliżu ich kopalni zapewne znajdują się pokłady żelaza ponieważ złoto

Murgów ma zawsze czerwony odcień. To może nam pomóc w identyfikacji przekupionych. - Usiadłam wygodniej w fotelu

- Ctuchik angażuje się coraz bardziej w sprawy toczące się na zachodzie - zastanawiałam się głośno. - To może oznaczać, że Torak szykuje się do opuszczenia samotni w Ashabie. Postaram się trzymać rękę na pulsie spraw w Arendii, ale wy, panowie, będziecie musieli pilnować innych królestw.

- Dzięki - powiedział ojciec kwaśno.

- Nie ma za co - odparłam ze słodkim uśmiechem.

Następnego ranka spakowałam wszystkie potrzebne rzeczy i ruszyłam do Vo Wacune.

Była późna wiosna, gdy wróciłam do bajecznego miasta w Arendyjskiej Puszczy. Kathandrion nalegał, abym zamieszkała w pałacu. Ponieważ miałam teraz nieco wolnego czasu, mogłam poznać szerszy krąg ludzi z wacuńskiego dworu. Żona Kathandriona, Elisera, była eteryczną damą o rudawych włosach. Całymi dniami czytała nieskończenie długie arendyjskie powieści i nudną poezję miłosną. Dobór lektury nieco zniekształcał jej spojrzenie na świat realny. Poznawała mnie z różnymi damami i szlachetnie urodzonymi panami. Mimo że protestowałam, przedstawiała mnie jako Polgardę Czarodziejkę. Jednak lubiłam Elisere pomimo jej wad. Lubiłam również następcę tronu, księcia Allerana, jej syna. Alleran był silnym, dziesięcioletnim chłopcem z bardzo niearendyjskim śladem zdrowego rozsądku. Niestety, rodzice dokładali wszelkich starań, aby zatrzeć w nim tę cechę przed osiągnięciem dojrzałości.

Tak naprawdę nie życzyłam sobie mieszkać w książęcym pałacu, ale Kathandrion nie chciał nawet słyszeć, bym zamieszkała gdzie indziej. Elisera była trochę nieznośna z tym osobliwym sposobem przedstawiania mnie. Wiele bzdurnych wyobrażeń krąży wokół słów „magia”, „czarnoksiężstwo”, „czary”. Większość ludzi przyjmuje, że ci z nas, którzy posiadają w tym względzie talent, potrafią dokonać wszystkiego, co zrodziło się w rozgorączkowanej wyobraźni poetów usiłujących prześcignąć konkurencję. Wszystkie młode i nie takie młode - damy dworu Kathandriona fascynowała idea eliksiru miłości. Choćbym nie wiem jak cierpliwie wyjaśniała niemożliwość istnienia takiej mikstury wciąż nachodziły mnie smętno i nieszczęśliwie, absolutnie przekonane o tym, że istnieje proste chemiczne rozwiązanie ich największych problemów. Moja odpowiedź bardzo je unieszczęśliwiała, ale nie zdążyłam jeszcze odprawić jednej nadasanej petentki, gdy przychodziła następna i ze łzami w oczach zapewniała, że umrze, jeśli baron taki a taki natychmiast się w niej na zabój nie zakocha.

Był jeszcze inny problem, choć Ce'Nedra zapewne tak by te nie nazwała. Książę Kathandrion oznajmił mi, iż on, Mangaran i Corrolin uzgodnili, że powinnam otrzymywać coroczną dotację. Za „świadczony przysługę”, i każdy z nich odłożył absurdalną ilość złota do mego wyłącznego użytku. Pomimo protestów, iż pieniądze nie są mi potrzebne, nie udało mi się ich przekonać. Postanowiłam, że poruszę tę sprawę podczas naszego dorocznego spotkania na Wielkim Arendyjskim Jarmarku. Porozmawiałam o tym z Asraną, baronowa Vo Mandor, a ona zwróciła mi uwagę na kilka spraw.

- Po prostu przyjmij te pieniądze, Polly - poradziła mi. - Urazisz ich uczucia, jeśli tego nie uczynisz, a co ważniejsze, nadszarpniesz swoją pozycję, jeśli zaczniesz świadczyć usługi za darmo. Z czasem zaczęliby cię traktować jak służącą, a to by ci się nie spodobało. Uśmiechaj się i bierz pieniądze.

- Co mam z nimi robić? Dostaję o wiele za dużo, stopy pieniędzy mnie w końcu zasypią.

- Kup sobie coś... może jakąś posiadłość albo dom w mieście.

Mnie taka myśl nawet nie przyszła do głowy. Własny dom! Miałabym dokąd uciec przed ławookimi dziewczętami poszukującymi eliksiru miłości, by usidlić tępego mężczyznę, który nie uświadamia sobie nawet, że dziewczęta i chłopcy różnią się od siebie. Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej mi się ta idea podobała, więc wspomniałam o kupnie domu Kathandrionowi.

- Nie jesteś, pani, kontenta z kwatery, jaką ci zapewniłem? - zapytał nieco urażony.

- Kwaterna jest wyśmienita, lecz dopóki pozostaję w murach twego pałacu, jestem zdana na łaskę tych, którzy pragną osiągnięcia własnych celów bez wysiłku. - Opowiedziałam mu o ciągłej procesji młodych dam, które usychają z niespełnionej miłości, i rozmaitych panów, nie mniej spragnionych, łaknących mistycznej pomocy w prowadzeniu interesów, zapewnienia szczęścia przy grze w kości czy wpływu na wyniki turniejów.

- Zabronię im wstępu do skrzydła pałacu, które zamieszkujesz, pani - zaproponował.

- Możesz sobie zabraniać, ile chcesz, a oni i tak nic sobie z tego robić nie będą - tłumaczyłam cierpliwie. - Mamy do czynienia z obsesją. Ci ludzie są przekonani, iż należy im się to, czego tak gorąco pragną, a także iż zostałam skierowana do Vo Wacune przez boga właśnie po to, aby ich pragnienia spełnić. Nic poza fizyczną siłą nie utrzyma ich z dala od moich drzwi, póki mieszkam w pałacu. Dlatego potrzebuję własnego domu, z płotem i zamykaną bramą. To sposób abym mogła zakosztować spokojnego snu. Z pewnością w Vo Wacune są domy na sprzedaż. Czy mogłabym prosić, abyś w moim imieniu rozpytał się i spróbował znaleźć coś stosownego? Tylko nikogo nie eksmituj, po prostu znajdź mi miejsce,

gdzie mogłabym się schronić. Jeśli jeszcze raz usłyszę o eliksirze miłości, chyba zacznę krzyczeć.

- Nie byłem świadom, iż dworzanie tak okrutnie ci się narzucali, lady Polgardo. Dyskretnie przeto ujawnię, iż poszukujesz stałego lokum.

- Będę ci wdzięczna, panie.

- Czy to naprawdę działa? - zapytał, porzucając kwiecisty styl.

- Co takiego, panie?

- Elixir miłości. Naprawdę potrafisz sporządzić miksturę, która może kogoś zmusić do zakochania się?

- Ty też?! - jęknęłam. - Nie, Kalhandronie. Nie ma absolutnie niczego o takim działaniu. W Nyissie rosną pewne zioła, które budzą żądze, ale nic na świecie nie potrafi obudzić miłości. Wiem, że eliksir miłości odgrywa duża rolę w arendyjskich powieściach, ale w świecie realnym nic takiego nie ma. To jedynie literacki wymysł, nic więcej.

- Ach! - westchnął. - Jakże boleśnie jest pozbyć się złudzeń!

- Nie rozumiem - przyznałam.

- Moja ulubiona tragedia opiera się właśnie na opisanej przez ciebie konwencji literackiej. Obawiam się, iż nigdy więcej nie będę w stanie z zadowoleniem czytać tych wspaniałych wersów.

- Wygląda na to, że czeka mnie dalsza droga, niż myślałam -

- Co powiedziałaś, pani?

- Nic, Kathandronie. - Roześmiałam się i czule położyłam dłoń na jego nadgarstku.

Dom, który ostalecznie kupiłam, siał niedaleko pałacu. Był spory ale zapłaciłam za niego rozsądną cenę, głównie dlatego że opuszony od pokoleń, niemal popadł w ruinę. Zapewne mogłam się sama zająć remontem, ale tym samym rozprzestrzeniłabym zarazę, przed którą uchodziłam z pałacu. Toteż wynajęłam robotników do załatania dachu, podstemplowania fundamentów, wymiany wybitych okien. Przepędzenia ptaków i wiewiórek oraz rozebrania bimbrowni, którą urządził sobie jakiś pomysłowy karczmarz, nie dbając o uzyskanie stosownych pozwoleń. Szybko odkryłam, że robotnicy Wacune dzielą się na trzy kategorie: źli, gorsi i okropni. Zajrzałam tam pewnego ranka, aby zobaczyć, jak posuwają się prace, i nikogo nie zastałam. Po robotnikach nie było śladu i niczego od mojej ostatniej wizyty nie zrobiono. Dach nadal był dziurawy, żadna z przegniłych desek nie została wymieniona i nie wprawiono nawet jednej szyby. Używałam sobie do woli, czerpiąc z bogatego słownictwa wujka Beldina.

- Rzadkość to niebывała spotkać damę tak utalentowaną językowo - powiedział ktoś za mną.

Odwróciłam się i ujrzałam krzepkiego jegomościa o twarzy okolonej rudą brodą. Stał oparty o framugę drzwi i niedbale czyścił sobie paznokcie groźnie wyglądającym sztyletem.

- Kim jesteś? - zapytałam. -1 co tutaj robisz?

- Zwą mnie Killane, łaskawa pani, a twa podziwu godna elokwencja zwabiła mnie tutaj, jak miód przyciąga pszczoły. Masz kłopoty?

- Nie widzisz?! - wybuchłam, wskazując zrujnowany dom. - W ubiegłym tygodniu najęłam pewnych ludzi, którzy mieli uprzątnąć ten bałagan. Pieniądze wzięli szybko, ale chyba zapomnieli, gdzie znajduje się dom.

- Zapłaciłaś im z góry? - zapytał z niedowierzaniem. - Gdzieś ty miała rozum, łaskawa pani? Tego nigdy robić nie wolno. Zapłata należy się po skończonej robocie, nie przed.

- Nie wiedziałam.

- Aj, aj, aj! Ależ z ciebie jagniątko, kochana dziewczyno. Poznałaś może imiona tych leni?

- Wydaje mi się, że ten, z którym rozmawiałam, nazywał się Skelt - odparłam z zawstyżeniem. Jak mogłam być tak naiwna?

- Ach, ten! Można na nim polegać prawie tak jak na wiosennej pogodzie. Wytropię go dla ciebie, łaskawa pani. Niewielka nadziei aby jemu czy kompanom zostały jeszcze jakieś pieniądze, ale sprowadzę ich tutaj, żeby odrobili to, co są winni.

- Dlaczego chcesz mi pomóc? - zapytałam z podejrzliwością.

- Ponieważ potrzebny ci ktoś do dozoru, panienko - powiedział bez ogródek. - Przygnam tu Skelta z jego nicponiową drużynę i zmuszę ich do roboty. Jeśli po tygodniu nie będziesz zadowolona rozstaniemy się bez pretensji. Ale jeśli spodoba ci się mój sposób prowadzenia spraw, porozmawiamy o czymś konkretnym.

Zapewne powinnam poczuć się urażona sposobem, w jaki wkroczył w moje życie i przejął dowodzenie, ale najwyraźniej miał rację. Na tym konkretnym obszarze ludzkiej działalności rzeczywiście byłam biednym zagubionym jagnięciem. Rozmawialiśmy jeszcze trochę Killane skromnie przyznał się, że jest „najlepszym budowniczym całej Arendii”. Potem obeszliliśmy dom i powiedziałam mu, co trzeba zrobić. Na większość moich pomysłów przystał i wykazał wady tych, z którymi się nie zgadzał. Po zakończeniu obchodu dość czule poklepał jedną ze ścian.

- Nadal zdrowy staruszek, choć srodze go zaniedbano. Z czasem przywrócimy mu świetność. - Potem spojrział na mnie dość surowo. - Pozwól, że powiem ci zaraz na wstępie,

łaskawa pani, iż nie mam zamiaru odwalać lipy, zatem nadszarpnie to nieco twą kiesę. Mieszkać tu będziesz dłuższy czas, a ja zaiste nie mam zamiaru narażać się na wstyd, gdy te pocziwe mury zawałą się po kilku latach. Jeśli zaś zaczniesz robić uwagi od rzeczy, to prosto w oczy powiem ci, żeś niemądra. Zauważyłem, iż masz temperament, toteż czasami na siebie na-wrzeszczymy, ale po wszystkim będziesz, pani, miała wspaniały dom.

- Nic więcej nie chcę - powiedziałam.

- A zatem postanowione. Możesz wracać do haftowania, łaskawa pani. Zostaw tego pocziwinę mnie. Ja go naprawię.

Niewielu znałam ludzi tak prostolinijnych i uczciwych. Od samego początku polubiłam Killane. Prawdę powiedziawszy, wywarł na mnie takie wrażenie, że ostatecznie poślubiłam człowieka, który mógłby być jego bratem.

Zagłędałam do swego domu kilka razy w trakcie remontu. Skelt i jego rozliczni kuzyni, bracia i znajomi mieli teraz ponure miny, ale większość siniaków już im zbladła. Killane popędzał ich niemiłosierne i prace postępowały, choć o wiele za wolno w moim mniemaniu. Naprawdę chciałam uciec z pałacu. I właśnie bardziej z chęci ucieczki, oraz by nie dokuczać Killane, wybrałam się w podróż do Vo Mandre aby odwiedzić Asranę i Mandorina. Tworzyli nad podziw zgodne stadło. Mandorin był absolutnie oczarowany figlarną Asraną i swym ślepym uwielbieniem powstrzymywał ją przed szczególnie okrutnymi psotami. Małżeństwo nie stępiło ich politycznego zmysłu i z powodzeniem powstrzymywali Mimbratów i Asturian od skoczenia sobie do gardeł.

Po jakimś czasie spędzonym przy szczęśliwej parze zaczęłam odczuwać przesyt, więc pojechałam do Vo Mimbre, by zajrzeć do księcia Corrolina. Naturalnie w Vo Mimbre byli tolnedrańscy kupcy jako że Tolnedra zaczynała się na drugim brzegu rzeki, ale już ostrożne badanie pozwoliło mi potwierdzić, iż to w istocie Tolnedranie, a nie Dagashi. Najwyraźniej utemperowałam Ctuchika.

Potem, aby nikt mnie nie posądził o faworyzowanie któreś ze stron, pojechałyśmy z Lady na północ, by odwiedzić Mangarana w Vo Astur. Były tam pewne problemy, ale nie znalazłam dowodów na to aby powodowali je Murgowie. Usunięcie Oldorana z tronu mocno uraziło jego rodzinę, która od kilku pokoleń traktowała całą Asturię jak prywatną posiadłość. Krewni Oldorana zaspokajali swe wojownicze instynkty obrzucając Mangarana bardzo niepochlebnyimi określeniami. Jeden z siostrzeńców, nieokrzesany młodzik, Nerasin, posunął się dalej i zaczął formować sojusze, przygotowując się do dnia, w którym Mangaran umrze. Miałam przecucie, że Nerasinem trzeba się będzie zająć, ale na razie Mangaran dzierżył władzę na tyle silną ręką, by młody wichrzyciel zbytnio się nie wychylał.

Gościłam tydzień u Mangarana, a potem wróciłam do Vo Wacune, by sprawdzić, jak postępuje remont. Nastąpiła już jesień. W arendyjskim lesie przeważały drzewa iglaste, ale było dość klonów, brzoź i osik, by rozległa puszcza mieniła się odcieniami czerwieni i żółci, a w powietrzu unosił się delikatny zapach jesieni. Uznałam to za absolutnie urocze i nie spieszyłam się w drodze. Wreszcie minęłam bogato zdobione bramy miejskie i pojechałam prosto na cichą, wysadzaną drzewami uliczkę, przy której stał mój dom. Z pewnym zadowoleniem zauważyłam, że Killane i jego pracownicy naprawili marmurowy mur okalający dom, a zardzewiałą starą bramę wymienili na nową, o wiele bardziej okazałą.

Jedną z atrakcji mojego domu była spora działka. Kiedyś były tam ogrody, ale gdy kupowałam posesję, wszędzie pieniły się chwasty. Byłam nieco zaskoczona, gdy przejechałam bramę. Chwasty znikły, a stare żywopłoty były ładnie poprzycinane. W pobliżu domu sam Killane przekopywał kwiatowe grządki. Podniósł głowę, gdy zsiadłam z konia.

- A zatem jesteś, moja pani. Chciałem już wysłać po ciebie ekipę poszukiwawczą.

- Bawisz się w ogrodnika, Killane? - zapytałam. - Jesteś wszechstronnie utalentowany. Jak dom?

- Już skończony, łaskawa pani - odparł z pewną dumą. - Jest piękny nad podziw. Zabijałem czas do twego powrotu, przygotowując grządki kwiatowe na przyszłą wiosnę. Pozwoliłem sobie sprowadzić sprzętaczkę, by wypucowały wszystko w środku. Chciałabys może rzucić okiem?

- Myślałam, że nigdy o to nie zapytasz.

- Mam nadzieję, że to, co zrobiliśmy z tym staruszką, zadowoli cię na tyle by złagodzić nieco wstrząs, jakiego doznasz na widok rachunków. Targowałem się, ale ostateczne koszty są zatrważające.

- Poradzę sobie, Killane - zapewniłam go. - Obejrzyjmy efekty twojej pracy. Świeżo odremontowany dom daleko przewyższał wszelkie moje oczekiwania. Pokoje - nawet pomieszczenia dla służby - były przestronne, a łazienki duże i dobrze wyposażone. Ściany dostały nowe tynki. Posadzki, zarówno drewniane, jak i marmurowe, błyszcząły. Cały dom sprawiał wrażenie solidnego i wygodnego, a wysoki mur wokół oraz drzewa i żywopłoty w ogrodzie tłumiły hałasy dochodzące z ulicy.

- Jest doskonały! - wykrzyknęłam z zachwytem.

- Nie wiem, czy w ocenie posunąłbym się aż tak daleko, łaskawa pani - odparł Killane skromnie. - Staralem się przywrócić świetność staruszkowi, ale pewne zakątki zaprojektowałem inaczej. W czasie swych podróży podjęłam w zasadzie pewną decyzję, ale nie wiedziałam, jak poruszyć ten temat. W końcu wyrzuciłam to z siebie.

- Całkiem nieźle się dogadujemy, prawda, Killane? - zapytałam wprost.

- Jesteś rozsądnym pracodawcą, jak na kobietę, i rzadko prosiłaś o niemożliwe. Dało się z tobą wytrzymać.

- Nie wysilaj się, próbując mi schlebiać, Killane. Roześmiał się.

- Przejdź do rzeczy, łaskawa pani - powiedział. - Mów bez ogródek.

- Czy chciałbyś u mnie pracować? - zapytałam.

- Myślałem, że pracowałem.

- Nie mam na myśli remontu domu. Mam na myśli pracę na stałe. To spory dom. Mogłabym sama się nim zająć, gdybym musiała, ale pewnie będę musiała wyjechać na dłuższy czas i wolałabym, aby dom nie popadł ponownie w stan, w jakim widziałam go po raz pierwszy.

Mówiąc wprost, potrzebny mi ktoś do prowadzenia domu. Czy byłbyś zainteresowany?

- Nie jestem służącym, moja pani. Nie mam zbyt wykwintnych manier.

- Jak na razie nie udało ci się mnie obrazić.

- Daj mi trochę czasu. Jeszcze się na dobre nie poznaliśmy.

- Zastanowisz się nad tym?

- Możemy spróbować przez rok, pani. Rozejrzałam się wokół siebie. Teraz, gdy usunięto gruz i kie śmieci, dom był niemal zatrważająco ogromny.

- Będzie nam chyba potrzebna służba, prawda? - zapytałam trochę niepewnie.

- Zgadza się, moja pani - odparł z uśmiechem. - Nie jestem najlepszy w zamiataniu czy myciu podłóg, a moje gotowanie pozostawia wiele do życzenia.

- Będziesz za nich wszystkich odpowiadał, Killane, więc sam najmij ludzi.

Skłonił się z zaskakującą gracją.

- Jak sobie życzysz, moja pani. Rano sprowadzę wóz.

- Po co?

- Nie zamierzasz chyba sypiać na podłodze? Przyda się trochę mebli. - Wyciągnął zwitek papierów z kieszeni tuniki. - Możemy zatem przejść do nieprzyjemnych spraw, czyli rachunków?

Zakupy zajęły nam kilka tygodni. Kupiliśmy meble, zasłony, dywany i rozliczne ozdobne drobiazgi, by przełamać surową nagość białych ścian. Potem zaczęła przybywać służba, w większości krewni Killane. Nepotyzm razi niektórych ludzi, ale mnie wydawał się najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem. Trochę trwało, nim przyzwyczailiśmy się do siebie, a jeszcze więcej czasu zabrało mi przyzwyczajenie się do obsługi. Jedyne prawdziwe kłopot miałam z kucharką, jedną z licznych kuzynek Killane, która nie lubiła, gdy zaglądałam do

kuchni, proponując pomoc lub radę. Z czasem jednak i to się jakoś ułożyło. Byłam zadowolona.

Tego lata księżę Kathandrion i ja wybraliśmy się na Wielki Jarmark na doroczne spotkanie, które potem było znane jako Rada Arendyjska. Nie była to szczególnie oryginalna nazwa, ale w końcu wzorowano ją na Radzie Alornów odbywającej się na Rivie, a Arendowie bardzo hołubią tradycje, nawet nie własne. Tego lata bardziej od polityki zajmował mnie jednak stan baronowej Asrany. Spodziewała się dziecka.

- Czy to zawsze jest takie krępujące i niewygodne, Polly? -zapytała mnie pewnego wieczoru po skończonej naradzie.

- Zwykle - odparłam. - Na kiedy masz wyznaczony termin?

- Na początek najbliższej zimy, czyli za całe wieki i sześć dni.

- Przyjadę do Vo Mandor i pomogę ci.

- Nie musisz tego robić, Polly.

- Prawdę powiedziawszy, muszę. To może wydawać się dziwne, ale bardzo cię lubię, Asrano, i nie mam zamiaru zostawić cię w obcych rękach.

- Ale...

- Cicho bądź, Asrano. Postanowione.

- Tak jest, proszę pani. - To zabrzmiało pokornie, ale znałam Asranę na tyle dobrze, by wiedzieć, że pokora i uległość nie leżą w jej naturze.

Po skończonej naradzie wyruszyliśmy z Kathandrionem w drogę powrotną do Vo Wacune.

- To wszystko wydaje się bardzo dziwne - zadumał się Kathandrion ostatniego dnia podróży.

- Co takiego?

- Spotkania i obrady z dziedzicznymi wrogami.

- Powinieneś się do tego przyzwyczaić, Kathandrionie. Dopóki ja pozostanę tutaj, a pozostanę przez długi czas, te doroczne spotkania będą w Arendii tradycją. Rozmowa z ludźmi jest o wiele lepsza od walki.

- Jakże nienaturalną rzecz proponujesz! Przewróciłam oczyma z teatralnym grymasem zbolącej rezygnacji.

- Arendowie! - westchnęłam. Kathandrion wybuchnął śmiechem.

- Uwielbiam, gdy to robisz, Polgardo - powiedział. -Wtedy wszystko wydaje się dziecinną igraszka.

- Bo jest, Kathandrionie. Uwierz mi, jest.

Lato minęło bez ciekawszych wydarzeń, ale jesień obfitowała w imprezy towarzyskie. Najwyraźniej to arendyjski zwyczaj: odpoczywać całe lato, a potem balować, dopóki nie spadnie śnieg.

Kiedy wedle moich obliczeń zbliżał się czas Asrany, pojechałam do Vo Mandor w towarzystwie Killane. O nic nie pytał, nic nie proponował, po prostu ze mną pojechał.

- Nie pozwolę ci samej jechać, moja pani - powiedział, gdy zacszęłam protestować. - Pomijając niebezpieczeństwa, twoja pozycja doznałaby szwanku, gdyby rozeszło się, iż nie stać cię na stosowną eskortę.

- Jestem dokładnie tego samego zdania, baronowo - powiedział Mangaran, po czym ciągnął dalej: - Niestety, mój najstarszy siostrzeniec jest niewiele lepszy od Nerasina. To nicpoń tkwiący po uszy w karcianych długach. Mówiąc wprost, nie powierzyłbym mu zarządzania chlewnią.

- Znam go, Polly - powiedziała Asrana. - Nazywa się Olburton i nie jest lepszy od Nerasina. Jeśli któryś z nich przejmie władzę po Mangaranie, Asturia po prostu rozpadnie się na niewielkie walczące z sobą posiadłości. - Spojrzała chłodno na męża. - A w Mimbre nie brakuje takich, którzy chcieliby to wykorzystać, prawda, kochanie? Mandorin westchnął.

- Obawiam się, iż prawdę rzekłś - przyznał.

- A w Wacune nie brakuje przygranicznej szlachty, która myślałaby podobnie - dodałam. - Czemu bliskość granic wyzwała w ludziach najgorsze cechy?

- To proste, Polly - powiedziała Asrana z cynicznym uśmiechem. - Każdy wie, że ludzie po drugiej stronie każdej granicy nie są naprawdę ludźmi, więc cały ich dobytek należy się prawdziwym ludziom po naszej stronie granicy.

- To brutalne spojrzenie na życie, Asrano.

- Jednakże słuszne - odparła, zuchwale zadzierając głowę.

- Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę może się zdarzyć - zaprotestował Mandorin. - Pokój, zdobyty z takim trudem, jest teraz zdany na łaskę pary asturiańskich gogusiów.

- A co gorsza, niewiele możemy na to poradzić - mruknął ponuro Mangaran. - Na szczęście mnie już nie będzie, gdy do tego dojdzie

- Cóż za osobliwa sprawa - zauważyła Asrana w zamyśleniu. - Pokój wymaga równie silnych władców jak wojna. Mangaranie, mój drogi, a może zostawiłbyś biednej Asturii pożegnalny prezent? Umieść w swym testamencie klauzulę, która obu nieudacznym siostrzeńcom pošle pod katowski topór. Człowiekowi bez głowy korona na nic się nie przyda.

- Asrano! - wykrzyknął wstrząśnięty Mandorin.

- Tylko żartowałam, kochanie - zapewniła go, po czym zmarszczyła lekko brwi. - Choć to nie byłoby takie głupie - dodała w zamyśleniu. - Czemu nie mielibyśmy tego zrobić, nim Mangaran złoży głowę na łonie Chaldana? Odrobina trucizny zadana odpowiednim osobom załatwiłaby sprawę. Potem byśmy trucizną torowali sobie drogę przez szeregi asturiańskiej szlachty, dopóki nie natrafimy na kogoś zdatnego do sprawowania władzy.

- Trochę to za proste, Asrano - złątał ją Mangaran.

- Im prostsze, tym lepsze, przyjacielu. Wszyscy jesteśmy w końcu Arendami i nie lubimy komplikacji.

- Muszę przyznać, że to kuszący pomysł - rzekł Mangaran z krzywym uśmiechem.

- Zdecydowanie odradzam - wtrąciłam. - Włączenie trucizny do polityki zawsze zachęca do naśladownictwa, a przecież każdy musi jeść.

- Trucizny są jednak bardzo rzadkie - powiedziała Asrana -i bardzo drogie, prawda?

- Ależ nie, Asrano - odparłam. - Nawet na kwiatowych grządkach tu, w Vo Mandor, potrafiłabym znaleźć śmiertelne trucizny, gdy bym ich potrzebowała. Są tak powszechne, że czasami aż się dziwię iż ludzkość nie wyginęła przez ich przypadkowe spożycie. Są nawet pewne całkiem zwyczajne rośliny, używane w kuchni, które mają trujące liście. Jeśli zjesz korzenie, nic ci nie będzie; jeśli jednak zjesz liście, umrzesz. Jeśli chcesz kogoś zabić, posłuż się nożem lub toporem, nie trucizną! Będę bacznie śledzić wydarzenia w Asturii, więc proszę was, nie szukajcie wymyślnych sposobów.

Asrana obraziła się i nie odzywała do mnie aż do wieczora.

Ponieważ Mangaran i tak wybierał się do Vo Wacune, Killane i j pojechaliśmy razem z nim, choć mój zarządca, jeśli to właściwe dla niego określenie, czuł się nieswojo w obecności tak wielu Asturian

Trudno wykorzenić dziedziczne animozje, a pokój nadal był w Arenii osobliwą nowością.

„Wojnę siostrzeńców" łatwo było zażegnać, ponieważ ludzie obu obozów chętnie rozprawiali o walce, ale wobec kłopotów woleli się wykręcić pilniejszymi zajęciami. Poprosiłam Mangarana, aby wytropił najbardziej pyskatej stronników Nerasina i Olburtona. Odbyłam kilka niedwuznacznych rozmów z najbardziej znaczącymi zwolennikami obu stron i cała sprawa przycichła. W końcu miałam pewien autorytet. Nie szczędziłam też gróźb, których pewnie i tak bym nie wprowadziła w czyn, nawet gdybym wiedziała, jak im potem zaradzić.

Władcy trzech księstw uznali to za znak z góry i chciałam czy nie, zostałam na wpół oficjalnym przewodniczącym dorocznych spotkań RadyArendów.

Tak toczyły się sprawy przez kilka lat. Za pomocą perswazji, gróźb i czystej siły woli byłam w stanie utrzymać w Arendii chwiejny pokój.

W ciągu tych lat młody Alleran zdążył dorosnąć i wkrótce po swych osiemnastych urodzinach ożenił się. Pozostawałam blisko Allerana w okresie jego dojrzewania, by nie zboczył z właściwej drogi. Jego rodzice, Kathandrion i Elisera, robili co w ich mocy, aby wychować go na prawdziwego Arenda, uosobienie szlachetności pozbawione rozumu, ale dopilnowałam, aby pozostał mu zdrowy rozsądek. Uwaga, którą Asrana zrobiła podczas spotkania w Vo Mandor, była nader trafna. Czas pokoju wymagał przynajmniej tak silnego władcy jak czas wojny, a władcę czyni silnym zdrowy rozsądek.

W swej batalii o wpłynięcie na czysto arendyjskie pojmowanie świata przez Allerana miałam niespodziewanego pomocnika. Choć Alleran oficjalnie odwiedzał swą „ciocię Pol” - ten tytuł prześladował mnie przez stulecia - to stwierdziłam, że częściej spędza czas z Killane, a któż był lepszy od udzielania praktycznych rad niż mistrz budowlany? Mówiąc między nami, wspólnie z Killane zmieniliśmy tego młodzieńca w człowieka znakomicie nadającego się do sprawowania władzy. Potrafił doskonale „zaistować”, ale nie tracił rozumu, gdy pierwsza archaiczna sylaba opuszczała jego usta.

Pewnie mi nie uwierzycie, ale nie mieszałam się do wyboru jego narzeczonej. Ta decyzja miała charakter niemal wyłącznie polityczny. Sojusze pomiędzy rodami prawie zawsze cementowane są za pomocą małżeństwa. Narzeczona miała na imię Mayaserell, które po wstało z połączenia imion kilku zmarłych krewnych, i była jasnowłosą dziewczyną. Nie pałali do siebie z Alleranem silnym uczuciem, ale darzyli się sympatią, co jest podstawą każdego dobrego małżeństwa.

Lata płynęły, a doroczne spotkania Rady Arendów na Wielkim Jarmarku dawały mi pod dostatkiem okazji do ukrócenia rozlicznych idiotyzmów, nim zdążyły się całkowicie wyniknąć spod kontroli

Chyba był rok 2324, gdy po spotkaniu rady wyruszyłam na objazd ziem Arendów. Nie chodziło o to, iż nie dowierzałam informacjom, które mi dostarczano. Zawsze jednak lepiej osobiście poznać sytuację, więc wraz z Killane dołączyliśmy do świty księcia Corrolina zVo Mimbri i pojechaliśmy do złotego miasta.

W Vo Mimbri nie odkryłam niczego szczególnie niepokojącego więc po tygodniu wyruszyliśmy do Vo Mandor, by odwiedzić Mandfrina i Asranę.

Drugiego dnia podróży rankiem doszło pomiędzy mną i Killane do rozmowy, do której kiedyś musiało dojść.

Było tuż po wschodzie słońca. Mój zarządca i ja wjechaliśmy stromym zboczem na wzgórze. Na szczycie zatrzymaliśmy się, by konie mogły wypocząć w złocistych promieniach porannego słońca.

- Nie poczytaj tego za obrazę, moja pani - zaczął z pewnym wahaniem Killane - ale czy moglibyśmy uciąć sobie małą pogawędkę?

- Oczywiście. Wyglądasz na zakłopotanego, Killane. Co cię niepokoi?

- Nie jestem najbystrzejszy, pani, ale nawet osioł zauważyłby, iż jesteś osobą niezwykłą.

- Dziękuję, Killane - odparłam z uśmiechem. - Wyduś to z siebie, przyjacielu. Nie poczuje się ani trochę urażona.

- Zwą cię Polgarda Czarodziejka. Czy to prawda?

- W „Czarodziejce” jest sporo przesady, ale nazywam się Polgarda i posiadam pewne umiejętności, które nie są zbyt powszechne.

- Czy twój ojciec ma na imię Belgarath?

- Tak - westchnęłam.

- I jesteś trochę starsza, niż wyglądasz?

- Mam nadzieję, że tego po mnie nie widać.

- Masz tysiąc lat? - Wyrzucił w końcu z siebie.

- Nie, mój drogi - odparłam cierpliwie. - Dokładnie trzysta dwadzieścia cztery.

Z trudem przełknął ślinę.

Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie, Killane? - zapytałam. - Wieczność to tylko cecha rodzinna. Niektórzy ludzie żyją dłużej od innych, to wszystko. Z pewnością sam to zauważyłeś.

- No cóż, rzeczywiście... ale trzysta lat!

- Powtórzę jeszcze raz. Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie? Jesteś moim prawdziwym przyjacielem i tylko to się dla mnie liczy. Nie pozwól, by coś tak głupiego jak liczby zniszczyło naszą przyjaźń.

- Pierwej dałbym sobie odrąbać prawą rękę - oznajmił zapalczywie.

- A zatem przestań się tym martwić.

- Czy naprawdę znasz jakieś magiczne sztuczki? - zapytał z pełną oczekiwaniami, niemal chłopięcą ciekawością.

- Owszem, jeśli tak chcesz to nazywać.

- Zrób jakieś czary - nalegał z błyszczącymi oczyma. Westchnęłam ciężko.

- No dobrze, Killane, ale jeśli pokażę ci kilka sztuczek, dasz spokój z głupią gadaniną?

Killane skwapliwie kiwnął głową.

Przemieściłam siebie na pewną odległość. Killane siedział na koniu i wytrzeszczał oczy na moje opustoszałe nagle siodło.

- Tutaj jestem, Killane - powiedziałam spokojnie. Obejrzał się z przestachem na twarzy.

Skinęłam na pobliski głaz, zbierając swą Wolę. Potem ją uwolniłam, a głaz uniósł się i zawisł dziesięć stóp nad ziemią.

Killane wzdrygnął się, gdy opuściłam głaz z głuchym hukiem.

- A to lubię najbardziej - wyznałam i powoli zmieniałam się w śnieżną sowę. Krążyłam wokół niego przez chwilę, delikatnie muskając mu twarz skrzydłami. Potem wróciłam do własnej postaci i dosiadłam konia. - Zadowolony?

- Bardziej niż zadowolony, pani - zapewnił mnie. - To było cudowne.

- Cieszę się, że ci się podobało. Możemy zatem ruszać do Vo Mandar. Jeśli się pospieszymy, zdążymy na kolację.

Lord Mangaran zmarł następnej wiosny. Ruszyłam więc do Vo Astur, by zbadać jego świeżo pochowane ciało. Chciałam mieć pewność, że prosty sposób Asrany na pozbycie się niewygodnych ludzi nie przyszedł komuś innemu do głowy. Jednakże badania ujawniły, że mój przyjaciel zmarł z przyczyn naturalnych.

Olburton, nicpoń, który był spadkobiercą Mangarana, przejął władzę w Vo Astur, ale większość z pozostałych ziem Asturii znalazła się pod kontrolą Nerasina, siostrzeńca księcia Oldorana. Z prawnego punktu widzenia sytuacja była bardzo niejasna. Oldoran nigdy tak naprawdę nie został pozbawiony korony, a dożywotnie sprawowanie władzy w Vo Astur przez Mangarana wedle prawa było tylko regencją. Nie wtrącałam się pomiędzy Nerasina i Olburtona. Moim zadaniem było utrzymanie pokoju w trzech księstwach, a jeśli mieszkańcy Asturii chcieli na całe pokolenia pograć się w wewnętrznych walkach, to była ich sprawa, nie moja.

Podjęłam jednak pewne środki ostrożności. Dzięki mojej sugestii Kathandrion i Corrolin spotkali się po cichu w Vo Mandor, aby scementować przymierze i zapobiec rozprzestrzenieniu się asturiańskiej pożogi.

- Cóż radzisz nam, lady Polgardo? - zapytał Kathandrion, gdy zebraliśmy się w błękitnym gabinecie Mandorina. - Bez większego trudu moglibyśmy z księciem Corrolinem wkroczyć do Asturii, pozbyć się obu siostrzeńców i umieścić na tronie w Vo Astur kogoś wedle naszego uznania.

- To bardzo zły pomysł, Kathandrionie. Jeśli Asturianie chcą paść do siebie nienawiścią, to ich wewnętrzna sprawa. Jeśli zaś ty i Corrolin się wtrąćcie, doprowadzicie jedynie do zjednoczenia Asturii. Wylegną z lasów, by wszcząć wojnę domową, na której wywołaniu bardzo zależało Ctuchikowi. Po prostu zamknijcie granice Asturii i pozwólcie im walczyć między sobą. W końcu wyłoni się ktoś na tyle silny by ich zjednoczyć, a wówczas pojedę do Vo Astur i przekonam ich że pokój jest lepszy od wojny

- Przekonasz? - zapytała słodkim głosem Asrana.

- Jeśli chcesz to nazwać mniej elegancko, sterroryzuję, Asrano powiedziałam. - Jestem bardzo dobra w terroryzowaniu ludzi. Z biegiem czasu zauważyłam, iż władcy o chwiejnej pozycji prawie zawsze wszczynają wojnę z sąsiadami, w nadziei że wojna pozwoli na kogo innego skierować tłumioną nienawiść. Będę usilnie przekonywać ewentualnego władcę Asturii, aby tego nie robił, a potrafię być bardzo przekonująca, jeśli mi na tym zależy. Poświęciłam wiele czasu i wysiłku, aby zaprowadzić pokój w Arendii i nie pozwolę Asturianom go zniszczyć. Miejmy nadzieję, że ostateczny zwycięzca będzie rozsądny. W przeciwnym razie tak długo będę go przekonywać, aż zrozumie moje racje. - Popatrzyłam surowo po zebranych. - Czy wyraziłam się jasno?

- Tak, matko - odparł Kathandrion z udawaną potulnością. Corrolin wybuchnął śmiechem i konferencja zakończyła się w wesołym nastroju. Prawdopodobnie trochę przesadziłam, ale w końcu to byli Arendowie. Przymierze pomiędzy Kathandrionem i Corrolinem solidnie ugruntowaliśmy przed rozstaniem. To było najważniejsze. Teraz nie zniszczą go żadne asturiańskie knowania.

Wróciliśmy z Kathandrionem do Vo Wacune i książę wysłał wojska na wschodnią granicę Asturii. Tymczasem Corrolin zablokował południowe krańce tego niespokojnego księstwa. Asturia została odcięta od świata i „wojna siostrzeńców” była ściśle ograniczona. Wysłannicy Nerasina i Olburtona krążyli co prawda pomiędzy Vo Wacune i Vo Mimbre z najbardziej niedorzecznymi propozycjami, ale Kathandrion i Corrolin odmawiali nawet spotkania z nimi.

Niepokoili mnie jednak trochę Asrana. Nadal miała w Asturii rozległe kontakty i mogła, gdyby zechciała, wywrzeć poważny wpływ na tamtejsze wydarzenia. Wiedziałam, że wobec Olburtona żywi niechęć, ale Nerasinem gardziła absolutnie. Jeśliby dać jej wybór, to Pewnie z niechęcią, lecz opowiedziałaby się po stronie Olburtona. Chiałam zachować patową sytuację w Asturii, więc usilnie przekonywałam przyjaciółkę, aby nie wtykała nosa w nie swoje sprawy. Spiski i intrygi zaczynały mnie już męczyć. Dobry żongler potrafi żonglować

kilkunastoma kolorowymi kulami jednocześnie, jeśli kule nie będą śliskie. Moim problemem było to, że ktoś wszystkie kule, którymi próbowałam żonglować naoliwił.

Rok 2325 powoli zbliżał się do dorocznego święta Zaranja, które wyznaczało koniec jednego i początek drugiego roku. W książęcym pałacu jak zwykle wydano przyjęcie, a na nim następca tronu książę Alleran, ogłosił wszem wobec, że jego żona, Mayaserell, spodziewa się dziecka. Byłam zadowolona. Przynajmniej w księstwie Wacune nie będzie kłótni o sukcesję.

Następnej wiosny niepokoje w Asturii osiągnęły punkt kulminacyjny, po fenomenalnym wyczynie łuczника, który strzelił z odległości przynajmniej dwustu kroków. A ponieważ strzała utknęła w piersi Olburtona, w Asturii zrobił się straszny rwetes. Olburton kontrolował miasta, podczas gdy Nerasin władał bardziej konserwatywną wsią. W rezultacie Olburton władał ludźmi, a Nerasin ziemią. Była więc w pewnym sensie zachowana równowaga, lecz wraz ze śmiercią Olburtona wzięła w łeb. Nerasin nie zaatakował od razu Vo Astur. Zdobywał mniejsze miasta i miasteczka. Latem 2326 roku Vo Astur było już jedynie wyspą na wzburzonym morzu, a sytuacja robiła się coraz bardziej niepewna z powodu żalonych kłótni krewnych Olburtona. Ostateczny rezultat był łatwy do przewidzenia. Wczesną jesienią Nerasin odzyskał tron po swym zapijaczonym wujku.

Wówczas to na plan wkroczyła Asrana, mącąc wodę tak, jak tylko ona potrafiła. Nie wiem, kiedy na to wpadła, ale pomysł „destabilizacji władzy w Asturii” ją zafascynował, a dzięki rozlicznym kontaktom mogła go realizować.

Minęło kilka miesięcy, nim wieść o działalności Asrany dotarta do mnie. Natychmiast wysłałam Killane do miasta, aby kupił jak największe lustro. Nie powodowała mną ciekawość własnego odbicia. Ostatecznie wiedziałam, jak wyglądam. Musiałam jedynie wywabić Killane z domu na dostatecznie długo, bym mogła się wymknąć. Tym razem nie chciałam mieć żadnej eskorty. Oczekałam piętnaście minut, by zagłębił się w handlową dzielnicę Vo Wacune, a potem wyszłam do ogrodu różanego i ukryta za żywopłotem zmieniłam się w sokoła. Chciałam dotrzeć do Vo Mandor, nim Asrana narobi więcej szkody.

Wieczór już zapadał nad murami zamku Mandorina, gdy nadleciałam z północnego wschodu. Przysiadłam na murze, wysłałam myśl w poszukiwaniu Asrany, po czym wróciłam do własnej postaci. Byłam zła, ale jeszcze nie osiągnęłam stanu melodramatycznie określanej jako „szalona wściekłość”. Myślę, że bardziej pasowałoby tu określenie „umiarkowana wściekłość”. Na szczęście Asrana była sama, i czotkowała w zamyśleniu włosy, gdy do niej wpadłam.

- Polly! - krzyknęła, upuszczając szczotkę. - Przestraszyłaś mnie.

- Za chwilę zrobię coś jeszcze gorszego, Asrano. Co ty, u licha, wyprawiasz w Asturii? Spoważniała.

- Nie pozwalam Nerasinowi spocząć na laurach, to wszystko. Zaufaj mi, Polly. Nerasin boi się teraz odwrócić plecami do kogokolwiek na dworze i wiem z pewnego źródła, że nie sypia dwa razy z rzędu w tym samym łóżku. Boi się nawet zamknąć oczy, bo cały pałac zasnułam pajęczyną wymyślonych spisków.

- Masz natychmiast z tym skończyć!

- Nie, Polly - odparła chłodno. - Ani myślę. Sama jestem Asturianką i znam Asturian o wiele lepiej niż ty. Nerasina interesuje tylko własna cenna skóra, więc nic sobie nie będzie robił z przymierza pomiędzy Wacune i Mimbre, jeśli uzna, że wojna umocni jego władzę. Nie dba ani trochę o to, czy w tej wojnie polegnie połowa mężczyzn Asturii. Ja jedynie staram się go na tyle zająć ochroną własnego życia, aby nie miał czasu wszczynać wojny.

- Asrano, on w końcu zda sobie sprawę, że wyimaginowane spiski są tylko podstępem, a wówczas przestanie się nimi przejmować.

- Mam taką nadzieję, ponieważ wówczas spiski przestaną być wymyślone. Chcę go zabić, Polly. Potraktuj to jako mój prezent dla ciebie.

- Dla mnie? - spytałam zaskoczona.

- Oczywiście. To ty zmusiłaś nas do życia w pokoju. Dopóki zaś Nerasin jest u władzy w Vo Astur, ten pokój jest zagrożony. Mam zamiar zadbać, aby nie pozostał przy władzy zbyt długo. Po jego odejściu będę mogła oddychać swobodnie.

- Kim go zastąpisz? Każdy następny będzie równie zły, Asrano. - Teraz mój nastrój można było określić jako „lekką wściekłość”.

- No cóż, w takiej sytuacji przytrafi mu się to samo co Nerasinowi. Przekopię się przez cały szlachecki stan Asturii w poszukiwaniu kogoś, z kim da się wytrzymać, a jeśli nie będę mogła znaleźć rozsądnego szlachcica, wyniosę mieszczanina, a nawet wieśniaka, jeśli będę musiała.

- Podchodzisz do tego bardzo poważnie, prawda, Asrano? – Gdy po raz pierwszy usłyszałam o jej gierkach, myślałam, że po prostu się bawi.

- Śmiertelnie poważnie, Polly. - Uniosła brodę. - Zanim przyłaś do Vo Astur, byłam jedynie ozdobą dworu Oldorana. Ty zmieniałaś. Powinnaś uważać, gdy zaczynasz szafować słowami takimi jak „patriotyzm” w obecności Arendów. Bywa, że zbyt poważnie traktujemy pewne sprawy. Te ostatnie kilka lat pokoju były dla Arendji najlepsze w ciągu ostatnich ośmiu wieków. Teraz ludzie umierają ze starości. Wyludnię Asturię, jeśli to będzie konieczne, ale zachowam pokój Polgardy.

- Pokój Polgary? - Byłam szczerze zaskoczona.

- No cóż, z pewnością nie myśmy wpadli na ten pomysł. To wszystko twoja wina, Polly. Gdyby nie ty, nikt z nas do tej pory nie wiedziałby, co to jest pokój.

Gdy się uspokoiłam, dostrzegłam słusność rozumowania Asrany. Miała rozległe kontakty w Vo Astur, więc istotnie mogła utrudniać Nerasinowi życie. Dałam jej jednak burę za to, że mnie nie informowała o niczym, i wymusiłam obietnicę, że nie podejmie żadnych zasadniczych kroków bez wcześniejszego skonsultowania się ze mną. Wróciłam do Vo Wacune. Wylądowałam na dziedzińcu pałacowym zamiast w swym ogrodzie różanym. Porozmawiałam z Kathandrionem o działalności Asrany i poprosiłam, aby powiadomił o tym Corrolina. Dopiero potem wróciłam do domu, aby dać Killane okazję do zbesztania mnie.

Jesienią 2326 roku pomogłam żonie Allerana, Mayaserell, w ciężkim porodzie. Wydała na świat syna, któremu zwyczajowo nadano imię po dziadku. Kathandriona duma wprost rozsadała.

Granice Asturii, zarówno od południa, jak od wschodu, nadal pozostawały zamknięte. Znaczyło to tyle, że nie można było przeprowadzić przez nie armii, ale nikt nie potrafił kompletnie uszczelnić granic przebiegających w gęstym lesie. Posłańcy Asrany i współspiskowcy przekraczali je bez trudu, podobnie zresztą jak ludzie Nerasina. Vo Astur wrzało niczym czajnik zbyt długo pozostawiony na ogniu.

W wietrzny dzień wczesnej wiosny 2327 roku wydarzyło się coś, co bardzo dobrze utkwilo mi w pamięci. Pomiędzy trzema księstwami panowała pewna równowaga w kwestii ciężkiego uzbrojenia, co oznaczało, że maszyny oblężnicze sił atakujących nie potrafiły miotać głazów, płonącej smoły czy koszy pełnych ostrych przedmiotów dalej niż maszyny obleganej twierdzy. Jednakże obrońcy miasta mogli się schować za murami, co stawiało atakujących w zdecydowanie w gorszej pozycji. Ogromne pieniądze i wiele inżynierskich talentów oświecono na ulepszenie tych maszyn wojennych, ponieważ wydłużenie zasięgu katapulty choćby o pięćdziesiąt kroków mogło zdecydować o wyniku bitwy.

Inżynierowie Kathandriona zaprojektowali ogromną katapultę, bazując na systemie bloczków i przeciwwag. Ta potworna maszyna przypominała szkielet wielkiego domu oplecionego pajęczynami. Kathandrion z wielkim zapalem czuwał nad budową, całe wieczory spędzał zagrzebany w rysunkach technicznych. Sama kilka razy rzuciłam na niego okiem. Wydawało mi się, że w tej koncepcji jest coś błędnego, ale nie wiedziałam co.

Po jakimś czasie potworna maszyna była gotowa i inżynierowie wytoczyli ją na pobliską łąkę, by sprawdzić, czy naprawdę działa. Sam Kathandrion ściągnął kaftan i ciągnął ją wraz z tragarzami. Potem pochylił się nad korbą jednego z wielu kołowrotów napinających

liny, Cały dwór zgromadził się z boku, by obserwować, jak księżę Wacune pociągnie za dźwignię uwalniającą całą skrępowaną moc.

Ja również tam byłam i w momencie gdy wszystko było już gotowe, doznałam nagłego przeczucia.

- Kathandrionie! - krzyknęłam. - Nie!

Ale było już za późno. Księżę Kathandrion z chłopięcym uśmiechem pociągnął za dźwignię.

I cała konstrukcja w jednej chwili zmieniła się w płataninę lin i połamanych na drzazgi belek! Obliczenia inżynierów były bez zarzutu. Niestety nie uwzględnili w nich wytrzymałości belek, z których zbudowano szkielet maszyny. Nagłe uwolnienie spętanej energii strzasknęło ogromne bale, zasypując zgromadzonych wokół maszyny ludzi długimi drzazgami, które mknęły z szybkością strzał z łuku.

Księżę Kathandrion, mój serdeczny przyjaciel, zginął na miejscu, gdy ostry kawał belki, gruby na ramię, przebił mu głowę na wylot.

Całe Wacune pograżyło się w głębokiej żałobie. Po tygodniu otrząsnęłam się z bólu i udałam do pałacu, aby porozmawiać z Allenem. Z zapuchniętymi od płaczu powiekami stał nad biurkiem ojca wpatrując się w rysunki techniczne.

- To powinno działać, ciociu Pol! - krzyknął z udręką w głosie. - wszystko zbudowano dokładnie według tych planów.

- Właśnie te plany były sednem problemu, wasza miłość - powiedziałam

- Wasza miłość?!

- Jesteś teraz księciem Wacune, panie. Nawet w czasach żałob wydarzenia biegną dalej. Za twoimi pozwoleniem, poczynię niezbędne ne przygotowania do koronacji. Weź się w garść, Alleranie. Wacun teraz cię potrzebuje.

- Nie jestem do tego gotów, ciociu Pol - zaprotestował.

- Albo ty, albo twój syn, Alleranie, a on jest jeszcze mniej przygotowany do tego od ciebie. Asturia, ta ropiejąca szrama, jest za twoją zachodnią granicą i Nerasin skoczy ku nam na najmniejszą oznakę jakiegokolwiek słabości. To twój obowiązek, wasza miłość. Nie zawieź nas.

- Gdybym tylko mógł dojść, dlaczego ta przeklęta katapulta rozpadła się w drzazgi! - wyrzucił z siebie, uderzając pięścią w rysunki. - Sam sprawdziłem wszystkie obliczenia. Powinna działać.

-1 działała, Alleranie. Zrobiła dokładnie to, do czego została zaprojektowana. Tylko że w obliczeniach nie wzięto pod uwagę wytrzymałości konstrukcji. Katapulta rozpadła się,

ponieważ miała zbyt wielką moc. Jej szkielet powinien być ze stali, nie z drewna. Drewniana konstrukcja nie była w stanie wytrzymać tak potężnych naprężeń. Dlatego rozpadła się w drzazgi.

- Taka ilość stali byłaby bardzo kosztowna, ciociu Pol.

- Myślę, że drewno okazało się jeszcze kosztowniejsze, wasza miłość. Zwiń te rysunki i schowaj. Czeka nas wiele pracy.

Koronacja Allerana odbyła się bez zbytej pompy, ale przyjechał na nią Corrolin z Mimbre, więc podniosło to nieco na duchu nowego księcia Wacune. Towarzyszyłam im podczas prywatnej rozmowy, ale się nie wtrącałam. Kathandrion był mądry i nie wychowywał swego następcy w politycznej próżni, a mimbracki przedstawiciel na dworze Vo Wacune udzielił Alleranowi wskazówek w kwestii przesadnej dworskości Mimbratów. Pierwsze spotkanie było nieco sztywne, lecz w miarę jak się lepiej poznawali, zachowywali się coraz swobodniej. Ich główne zmartwienie nadal stanowiła Asturia i to naturalnie ich do siebie zbliżyło.

Jesienią tego samego roku Nerasin dokonał okrutnej zbrodni'

Asrana i Mandorin jechali do Vo Mimbre z towarzyską Po dotarciu do brzegu rzeki Arend ruszyli w górę jej biegu, ku Vo Mimbre. Wówczas asturiańscy łucznicy, którym udało się Przemknąć przez równiny Mimbre na południową granicę, naszpikowali moich serdecznych przyjaciół strzałami. Najwyraźniej Nerasin o krył, że to Asrana przyczyniała mu kłopotów w Vo Astur, więc podjął zupełnie typowe dla Arendów kroki.

Na wieść o śmierci przyjaciół mało mi serce nie pękło. Płakałam wiele dni, a potem poprzysięgłam zemstę. Byłam pewna, iż potrafię wymyśleć coś takiego, że nawet najodważniejszy mężczyzna trząsłby się z przerażenia przez kilka tysięcy lat. Killane i jego rodzina roztropnie schodzili mi z drogi, gdy rozjuszona krążyłam po domu. Pierwszy przystanek zrobiłam w kuchni. Do realizacji moich planów względem Nerasina były mi potrzebne jakieś ostre narzędzia. Dzięki swym kucharskim doświadczeniom znałam wiele interesujących określeń. Filetowanie brzmiało bardzo miło. Pomysł powolnego odcinania Nerasinowi mięsa od kości wydawał mi się bardzo kuszący. Na widok noża do sera rozbłysły mi oczy.

- Polgaro, odłóż narzędzia na miejsce. Nigdzie nie pójdziesz. -To był głos matki.

- On zamordował moich przyjaciół, mamó! - wybuchłam. - Nie puszczę tego płazem!

- Widzę, że przyswoiłaś sobie lokalne obyczaje - zauważyła z naganą w głosie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Czemu Mistrz wysłał cię do Arendii?

- Bym położyła kres ich głupocie.

- Teraz rozumiem. Masz zamiar unurzać się w tej głupocie, aby zobaczyć, jak to jest. Ciekawy pomysł. Czy w ten sam sposób podchodzisz do studiów medycznych? Zarażasz się każdą chorobą, by lepiej ją zrozumieć?

- To absurdalne.

- Tak, wiem. Właśnie usiłuję ci to wyjaśnić, Polgaro. Planujesz krwawe jatki, a właśnie im miałaś położyć kres w Arendii. Nerasin zamordował twoich przyjaciół, więc teraz ty zamordujesz jego. Potem jeden z jego krewnych zamorduje ciebie. Następnie twój ojciec zamorduje kogoś z rodziny Nerasina. Potem ktoś zamorduje twego ojca. Więc Beldin kogoś zamorduje. I tak to będzie ciągnęło się dalej, aż nikt nie będzie już nawet pamiętał, kim byli Asrana i Mandorin. To właśnie jest wendeta, Pol. Moje gratulacje. Jesteś teraz Arendem do szpiku kości.

- Ale ja ich kochałam, mammo!

- To szlachetne uczucie, lecz spróbuj wyrazić je inaczej, nie brodząc we fctui.

Wtedy znowu zaczęłam płakać.

- Cieszę się, że miałyśmy okazję uciąć sobie tę pogawędkę, Pol - powiedziała matka wesoło. - A tak przy okazji, Nerasin będzie ci jeszcze potrzebny trochę później, więc zrezygnuj z posiekania go na gulasz. Bądź zdrowa, Polgaro.

Westchnęłam i odłożyłam wszystkie kuchenne narzędzia miejsce. Pogrzeb Asrany i Mandorina odbył się w Vo Mandor jesieni 2327 roku. Oczywiście i ja, i Alleran wzięliśmy w nim udział. Arendyjska religia nie przykładła wagi do pięknych pogrzebów. Chalda jest bogiem-wojownikiem i jego kapłani bardziej zainteresowani są zemstą niż pocieszaniem żałobników. Może trochę grymaszę, ale wydaje mi się, że w kazaniu wygłoszonym w czasie mszy żałobnej, którego myślą przewodnią było: „Dopadnę cię za to, ty parszywy łotrze” brakowało dostojności i religijnego tonu.

Pełna nie skrywanej żądzы krwi przemowa kapłana Chaldana który prowadził ceremonię pogrzebową, poruszyła Allerana i Corrolina, ponieważ zaraz po pogrzebie jęli snuć plany, jak odpowiednio zareagować na skandaliczne zachowanie Nerasina. Postanowiłam powstrzymać się od udziału w tych typowo arendyjskich rozrywkach. Swoje arendyjskie instynkty odłożyłam na bok razem z nożem do sera. Zamiast tego włóczyłam się po ponurych, mrocznych salach twierdzy Mandorina i w końcu dotarłam do garderoby Asrany, w której nadal unosił się jej nikły zapach. Asrana nie dbała o porządek i na swej toalecie zawsze zostawiała porozrzucane rzeczy. Bezwiednie zaczęłam je układać, ustawiając słoiczki i flakoniki w równym rzędku pod lustrem, strzepując nikłe ślady pudru i układając szczotki i

grzebień w miły dla oka wachlarz. W momencie odkładania jej ulubionego grzebienia z kości słoniowej zmieniałam zamiar. Zatrzymałam go. Teraz leży na mojej toalecie, widzę go z miejsca, w którym właśnie siedzę.

Oczywiście nie tylko mnie morderstwo doprowadziło do wściekłości. Jak już wspominałam, Corrolin i Alleran wzięli to sobie bardzo do serca. Blokadę granic Asturii zacieśniono tak, że przypominała pętlę na szyli skazańca, a grupy wypadowe z Mimbre i Wacune najeżdżały Asturię z rozmyślną brutalnością. Pomimo moich najlepszych chęci arendyjska wojna domowa znalazła się w tym samym punkcie, w jakim była w chwili mego pierwszego przyjazdu. „Pokój Polgary” leżał w gruzach. W miarę upływu miesięcy sytuacja w Asturii robiła się coraz bardziej dramatyczna. Mimbraccy rycerze Corrolina stratowali ziemie rolnicze tereny na południu i zachodzie księstwa Asturii, asrarscy łucznicy, którzy byli przynajmniej tak skuteczni jak ich asturiańscy przeciwnicy, wybili dosłownie wszystko, co ruszało się na południowej granicy Asturii. Początkowo to bezładne niszczenie odbywało się bez sensu, ale gdy zwymyślałam Allerana za ponowne wszczęcie wojny, spojrzał na mnie z niewinną miną, która tak dobrze wychodzi Arendom, i powiedział:

- My nie prowadzimy wojny z Asturianami, ciociu Pol. My prowadzimy wojnę z ich jedzeniem. W końcu na tyle zgłodnieją, że sami rozprawią się z Nerasinem.

To był brutalny, wstrętny sposób na prowadzenie wojny, ale nikt nigdy nie twierdził, że wojny są ładne. Położenie Nerasina robiło się coraz bardziej dramatyczne, bo na stołach wVo Astur robiło się coraz skromniej. Sposób na rozwiązanie jego problemów był całkiem oczywisty, ale niestety, zupełnie to przegapiłam. Wszystko wydarzyło się pewnego wietrznego wieczora, który postanowiłam spędzić w domu. Pałac był centrum „wojny z jedzeniem”. Posłańcy biegali po komnatach donosząc, że kolejne dziesięć asturiańskich krów i czternaście świń straciło życie tego dnia. Zaczęło mi to już działać na nerwy. Z mego punktu widzenia wybicie bydła trudno uznać za poważne zwycięstwo. Stwierdziłam, że należy mi się spokojny wieczór w domu. Wzięłam długą kąpiel, zjadłam lekką kolację i wcześniej położyłam się z dobrą książką w rękę.

Było trochę po północy, gdy nagle obudziły mnie krzyki Killane. Moja pokojówka - najmłodsza siostra Killane, Rana - z furią usiłowała nie wpuścić go do sypialni, a on z równą furią usiłował wejść. Mruknęłam pod nosem coś, czego tu nie powtórzę, wstałam z łóżka i narzuciłam coś na siebie.

- Co się tam dzieje? - zapytałam gniewnie, rzucając się do drzwi.

- To mój głupkowaty brat, pani - odparła z niesmakiem drobniutka Rana. - Chyba jest pijany.

- Idź już sobie, Rano - powiedział Killane. - Kłopoty w pałacu Lady Polgaro - zwrócił się do mnie. - Ubierz się, proszę. Posłaniec od Jego Włości czeka w salonie.

- Co się stało, Killane?

- Syn jego miłości został porwany przez tych przeklętych Asturian, Pani, i księżę chce, abyś natychmiast przybyła do pałacu.

- Zaraz do niego przyjdę.

Szybko się ubrałam, mrucząc pod nosem przekleństwa. Miałam pod dostatkiem dowodów na to, jak pozbawiony wszelkich zasad był Nerasin. Czemu nie przewidziałam jego następnego posunięcia, Porwania zawsze odgrywały znaczącą rolę w polityce międzynarodowej - co mogą zaświadczyć Garion i Ce'Nedra - ale wykradzenie dwuletniego synka księcia Allerana z pałacu w Vo Wacune było dla mnie pierwszym spotkaniem z tą praktyką. Niektóre porwania mają na celu tylko wymuszenie okupu i z tymi całkiem łatwo sobie poradzić. Jednakże w porwaniach ze względów politycznych nie o pieniądze chodzi, ale o wymuszenie konkretnych zachowań. Na łóżku małego Kathandriona znaleziono list o wymowie brutalnie jednoznacznej Oznajmiano w nim Alleranowi, że jeśli nie wycofa się ze wschodnich rubieży Asturii, nigdy już nie ujrzy swego synka żywego. Mayaserell wpadła w histerię, a Alleran zachowywał się niewiele lepiej, więc nawet z nimi nie rozmawiałam. Zaopatrzyłam nadwornych lekarzy w miksturę z pewnych ziół, wystarczająco silną do powalenia konia, potem odbyłam dłuższą rozmowę z doradcami młodego księcia.

- Nie mamy wyboru - powiedziałam im w końcu. - Zróbcie, czego żądają w liście. Potem prześlijcie przez umyślnego wiadomość księciu Corrolinowi. Powiadomcie go, co tu się stało, i zapewnijcie, że ja się tym zajmę. Niech nikt nie wtyka do tego nosa. Sama sobie poradzę i nie chcę, żeby jacyś entuzjaści siali zamęt. - Potem wróciłam do domu, aby zastanowić się nad sytuacją.

Rozwiązanie na krótką metę wydawało się proste. Z pewnością nie miałam do czynienia z „utalentowanymi” ludźmi i zlokalizowanie miejsca przetrzymywania małego Kathandriona nie byłoby trudne. Potem jednak trzeba by z zapartym tchem czekać na następne posunięcie Nerasina. Musiałam wymyślić sposób, który raz na zawsze powstrzyma tytułarnego księcia Asturii od robienia szkód. Oczywiście rozważałam zabicie go, ale musiałabym potem poradzić sobie z jego następcą. W dodatku tajemnicze oświadczenie matki - iż pewnego dnia Nerasin będzie mi potrzebny - sugerowało, żeby przywrócić pokój w Arendii przekonując Nerasina do robienia dokładnie tego co mu powiem, a potem starając się, by dożył osiemdziesiątki. Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej skłaniałam się ku przekonaniu, że uratowanie syna Allerana i „ucywilizowanie” Nerasina powinno iść w parze.

Nie wiedziałam, gdzie wynajęci przez Nerasina porywacze przetrzymują chłopca, ale w rzeczywistości to nie miało znaczenia nie o to mi chodziło. Nie musiałam przeczesywać lasów w rozpaczliwych poszukiwaniach. Gdy Nerasin zacznie tańczyć, jak mu zagram, sprowadzę chłopca bezpiecznie z powrotem do domu. Mój następny problem stał tuż za drzwiami biblioteki, gdy następnego ranka szykowałam się do drogi. Rudą brodę miał zjeżoną, ręce założone wyzywająco, a minę nieugiętą

- Nie pozwolę ci samej pojechać, moja pani - oświadczył kategorycznie.

- Ależ Killane, bądź poważny. Nic mi nie grozi.

- Nie pojedziesz sama!

- A jak masz zamiar mnie zatrzymać? - zapytałam słodko.

- Spalę ci dom, jeśli tylko spróbujesz pojechać sama!

- Nie ośmielisz się!

- Sprawdź!

Tego się nie spodziewałam. Killane znalazł mój czuły punkt. Kochałam swój dom i on o tym wiedział. Groźba przyprawiła mnie o dreszcze. Musiałam jednak jak najszybciej dostać się do Vo Astur, co oznaczało, że musiałam przybrać postać sokoła. A przecież żaden sokół nie udźwignie wacuńskiego Arenda, ważącego dobrze ponad sześćdziesiąt kilo.

- Dobrze, Killane - powiedziałam z udawaną rezygnacją - skoro nalegasz...

- Tak, nalegam. Idę zatem osiodłać konie.

- Nie pojedziemy konno. Wyjdźmy do ogrodu.

- Po co?

- Zobaczysz.

Muszę przyznać, że to było trochę niebezpieczne. Stał w pobliżu z pograżonymi w zimowym śnie różami. Miał niepewny wyraz twarzy, bo chyba sobie uświadomił, że posunął się za daleko.

Wtem drgnął, dostrzegając coś, czego tak naprawdę nie było. Jego lewej stopy. Podniósł nogę, najwyraźniej z zamiarem zdeptania tego czegoś.

- Nie, Killane! - powiedziałam ostro. - To jest mi teraz potrzebne. Jednak przyjrzyj się bardzo uważnie.

Killane zaczął się wpatrywać w stworzoną przeze mnie wizję. Musiałam uwolnić swoją Wolę poprzez jego świadomość, a to nie lada sztuka. O ile sobie przypominam, właśnie wówczas po raz pierwszy uwolniłam swą Wolę poprzez umysł kogoś innego. Gdy już wszystko miałam przygotowane, podniosłam kamień, który ważył dwa funty, po czym pozwoliłam swej Woli popłynąć w kierunku, który wskazałam. Transformacja jeszcze nie

dobiegła końca, gdy ostrożnie położyłam kamień na ogonku myszki polnej, w którą zamienił się Killane. Istniała spora szansa, że w wyniku transformacji dostanie ataku hysterii, a ja nie miałam czasu go uspokajać.

Piszczął rozpaczliwie, paciorkowate oczka mało mu nie wyskoczyły z głowy. Nie uległam litości. W końcu Killane sam się prosił. Potem zmieniałam się w sokoła, co wywołało jeszcze głośniejsze piski. Zignorowałam te przeraźliwe krzyki i dumnie pomaszero wałam - to chyba jedyne odpowiednie na to określenie - do sadu. Wybrałam ścięte mrozem jabłko na dolnej gałęzi i tak długo dziobałam ogonek, aż spadło na przymrożoną trawę. Przez chwilę ćwiczylam. Wreszcie nauczyłam się trzymać jabłko bez wbijania w nie szponów. Wtedy wróciłam do różanej grządki. Chwyciłam mysz, strąciłam kamień z jej ogonka i odleciałam do Vo Astur.

Podróż nie była najgorsza - dla mnie - a gdy wzbiłam się kilkaset stóp nad ziemię, Killane przestał pisać. Trząsał się jednak okropnie.

Wczesnym popołudniem dotarliśmy do Vo Astur. Wylądowałam na pałacowych murach obronnych. Nie zastałam tu nikogo, co było jawnym dowodem na obniżenie dyscypliny. Asturii groziła wojna i brak wartowników na murach świadczył o niewybaczalnej lekkomyślności. Trzymając nadal dygoczącą mysz w jednym szponie wskoczyłam do opuszczonej budki wartowniczej w południowo-zachodnim rogu murów obronnych i wróciliśmy wraz z Killane do ludzkiej postaci. Gapił się na mnie w kompletnym przerażeniu i nie przestawał pisać.

- Przestań! - powiedziałam ostro. - Znowu jesteś człowiekiem Mów, nie pisz.

- Nigdy mi więcej tego nie rób! - wysapał.

- To był twój pomysł, Killane.

- Nic takiego nie powiedziałem.

- Powiedziałeś, że mnie nie odstępisz na krok, więc teraz Przestań narzekać.

- To okropne, co ze mną zrobiłaś!

- Podobnie jak straszenie mnie spalaniem mego domu. Skończ już, Killane. Czeka nas ważne zadanie.

Siedzieliśmy w ciasnej budce wartowniczej, dopóki rozproszeni na murach żołnierze nie zgromadzili się na drugim końcu muru. Kierowaliśmy się odgłosem rzucanych kości. Potem, wcale się nie kryjąc, zeszliśmy schodami na górne piętro pałacu Nerasina. Nadal potrafiłam odnaleźć drogę w książęcej rezydencji i wraz z Killane wśliznęliśmy się nie zauważeni do zakurzonej, ogołoconej biblioteki. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa to było najbezpieczniejsze miejsce na kryjówkę w pałacu. Słońce zaszło i nad Vo Astur zapadły

ciemności. Hałas dobiegający z sali tronowej sugerował, iż Asturianie coś świętowali. Nerasin i jego poplecznicy - w większości z najbliższej rodziny - sądzili widać, że porwanie dziecka poprawi sytuację w Vo Astur. Przypuszczałam że nie tylko pili, ale również jedli. To podstawowa słaba strona wszelkich prób wymuszenia głodem uległości na ludziach. Ci, na których uległości nam naprawdę zależy, ostatni będą głodni.

Killane pilnował drzwi, ja tymczasem starannie przypominałam sobie sekcję, którą zrobiliśmy razem z moim nauczycielem, Baltenem, na Wyspie Wiatrów. Chciałam się absolutnie upewnić, że pewien całkiem zwyczajny pokarm przekona Nerasina do współpracy.

Około północy grupka pijanych asturiańskich szlachciców wyległa hurmem z sali tronowej. Przekazali na wpół przytomnego Nerasina wartownikom przed drzwiami do królewskich apartamentów i poszli dalej korytarzem, wyśpiewując pijackie pieśni.

Killane i ja czekaliśmy.

- Ja będę zabijać, moja damo - szepnął do mnie mój przyjaciel. - Nie chciałbym, abyś ubrudziła śliczne rączki jakimś Asturianinem.

- Nikogo nie zabijemy, Killane - powiedziałam stanowczo. - Udzielę jedynie Nerasinowi paru wskazówek, to wszystko.

- Nie myślisz chyba, że ich posłucha?

- Posłucha, Killane. Uwierz mi, posłucha.

- Z zachwytem to zobaczę, moja pani. - Podniósł solidne krzesło i bardzo powoli połamał je, robiąc przy tym bardzo niewiele hałasu. Wybrał sobie jedną z nóg i kilka razy wziął zamach. - Nada się - ocenił, wywijając zaimprovizowaną maczugą.

- Po co ci to? - zapytałam.

- Będziemy potrzebować czegoś do uspienia wartowników. .

- Następnym razem, zanim zaczniesz niszczyć meble, zapytaj mnie o zdanie. Wartownicy nam w niczym nie przeszkodzą.

- Nie chcę podawać w wątpliwość twych umiejętności, moja pani zatrzymam tę pałkę na wszelki wypadek.

- Jeśli poprawi ci to samopoczucie, czemu nie. - Przez kilka chwil nasłuchiwałam. W zamku zapadła cisza. Od czasu do czasu trzaskały drzwi, z oddali dobiegały wybuchy śmiechu i pijackie śpiewy. Wyjrzałam. Dwóch zmęczonych wartowników stało pod drzwiami Nerasina. - Śpijcie - szepnęłam do nich i po chwili obaj leżeli rozciągnięci na podłodze, głośno chrapiąc. - Zaczynajmy – powiedziałam do Killane i wyszliśmy na korytarz.

Drzwi nie były zamknięte, jako że mieli ich pilnować strażnicy, więc wkrótce byliśmy już w apartamentach Nerasina.

Zbadałam myślą serię połączonych komnat i stwierdziłam że wszyscy śpią. Wraz z moim przyjacielem weszliśmy do sypialni, w której na łożu z baldachimem chrapał Nerasin, tylko częściowo rozebrany. Zauważyłam, że ma bardzo brudne nogi.

- Czy mam go obudzić? - zapytał szeptem Killane.

- Jeszcze nie - odszepnęłam. - Najpierw go otrzeżwię. Wówczas sam się obudzi.

Człowiek, który mienił siebie księciem Asturii, miał wielki, bulwiasty nos, malutkie, głęboko osadzone oczy, anemiczną brodę i rzadkie ciemne włosy. Nie należał do czystiochów, a jego oddech przypominał odór z rozkopanego grobu.

Wywabienie z ludzkiego ciała pozostałości solidnego pijaństwa nie jest szczególnie trudne, ale chciałam przedtem coś umieścić w ciele Nerasina. Penetrowałam myślą jego ciało. Starannie wytrawiłam błonę śluzową żołądka w pobliżu dna. Potem otarłam ścianę żołądka do żywej rany. Soki trawienne Nerasina powinny zrobić resztę. Następnie, ostrożnie, bez pośpiechu, osuszyłam jego ciało z tego, co wypił wieczorem. Kiedy uznałam, że lada moment poczuje pieczenie w żołądku, którego byłam sprawcą, rozluźniłam jego struny głosowe, by nie był w stanie krzyczeć - a przynajmniej by nie było tego słychać. Księżę Asturii się ocknął.

Sądząc po rozczarowanym wyrazie jego twarzy, bezgłośnie wrzeszczenie nie było zbyt satysfakcjonujące.

- Dobry wieczór, wasza miłość - powiedziałam uprzejmie. - Ładna pogoda jak na tę porę roku, prawda?

Nerasin zwinął się w kłębek, ściskając żołądek i ze wszech sił starając się wydać choć najcichszy pisk.

- Źle się czujesz, drogi chłopcze? - zapytałam z troską. - Pewnie coś nieświeżego zjadłeś. - Położyłam mu dłoń na spoconym czole - Nie, to raczej nie ma związku z żadnym jedzeniem. Niech się! zastanowie...

Udałam, że namyślałam się głęboko, a tymczasem „pacjent” zwił się w bólach na łożku. Pstryknęłam palcami, jakby nagle przyszła mi do głowy jakaś myśl.

- Oczywiście! - wykrzyknęłam. - Jak mogłam to przegapić? Byłeś niegrzecznym chłopcem, wasza miłość. Ostatnio zrobiłeś coś, czego powinieneś się wstydzić. Twemu biednemu brzuskowi nic nie jest. Masz wyrzuty sumienia, to wszystko. - I dolałam świeżego soku trawianego do jego żołądka.

Tym razem udało mu się nawet wydać cichy pisk, sturlał się na podłogę i wczołgał pod łożko.

- Pomóż jego miłości wrócić do pościeli, Killane - poleciłam memu uśmiechniętemu zarządcy. - Spróbuję ulżyć jego cierpieniu.

Killane sięgnął pod łóżko i za kostkę wyciągnął Nerasina.

- Pozwól, że się przedstawię, wasza miłość. Nazywam się Polgarda. Może o mnie słyszałeś.

Nerasin przestał się wić. Oczy wyszły mu na wierzch.

- Polgara Czarodziejka? - wyszeptał z przerażeniem.

- Medyk - poprawiłam go. - Twój stan jest bardzo poważny, księżę Nerasinie, i jeśli nie zrobisz dokładnie tak, jak ci powiem, nie dam ci wielkiej nadziei na wyzdrowienie. Po pierwsze, wyślesz list do ludzi przetrzymujących syna księcia Allerana. Powiesz im, aby natychmiast przywieźli tu chłopca. - Potem, aby upewnić się, że zrozumiał, uwolniłam kolejną porcję soków trawiennych do jego obolałego żołądka. Księżę natychmiast zwinął się w kłębek i zrobił się bardzo chętny do współpracy. U wezłowania łoża zwisał sznur od dzwonka i Nerasin niemal wyrwał go, przywołując służbę. Wydał rozkazy ochryplym szeptem, po czym padł na łożo zlany potem.

- Widzisz - powiedziałam z matczyną troską - już czujesz się wiele lepiej. Bardzo cieszą mnie postępy w twym leczeniu. Ani się obejrzysz, a już będziesz z powrotem na nogach. W oczekiwaniu na jego ludzi i małego Kathandriona przejdźmy do tego, jak zapobiec nawrotowi choroby. Nie chciałbyś chyba, żeby atak się powtórzył?

Nerasin gwałtownie pokręcił głową.

- Rada Arendów zbierze się na Wielkim Jarmarku ponownie tego lata - ciągnęłam - i powinienesz wziąć w niej udział... przez wzgląd na swoje zdrowie. Potem, dla pewności, aby nie było nawrotów tego okropnego bólu, odwołaj wszystkich swoich szpiegów, morderców i innych łotrów do Vo Astur. Spiskowanie źle wpływa na twój żołądek. Choroba wróci, gdy tylko uczynisz coś niecnego. Trochę potrwa, nim do tego przywykniesz, Nerasinie. Może jednak uda ci się przejść do historii jako najszlachetniejszemu człowiekowi w księstwie Asturi. Marzysz o tym, prawda? Uśmiechnął się blado. „Szlachetność” to miłe słowo, ale jego znaczenie było dla księcia Nerasina całkowicie obce.

- Powinienesz teraz odpocząć - powiedziałam - ale najpierw wydaj rozkazy, aby nikt w Asturii mi nie przeszkadzał, gdy będę odwozić małego Kathandriona do rodziców. Wiem, że myśl o szczęściu dziecka przepelnia twe serce radością i ani ci w głowie żadne zasadzki.

Nerasin tak gwałtownie potakiwał, że chyba nadwreżył sobie szyję.

Tuż po świcie jakiś łotr przyniósł synka Allerana do apartamentów Nerasina.

- Ciocia Pol! - zawołał uradowany malec, biegnąc do mnie na swych mocnych nóżkach. Porwałam go w ramiona i przytuliłam.

Nerasin zaopatrzył nas w konie i eskortę, która miała towarzyszyć nam do wacuńskiej granicy.

- Czy ten ból brzucha przejdzie mu z czasem, pani? - zapytał Killane, gdy wyjechaliśmy poza stertę granitu zwaną miastem Vo Astur.

- Na to wygląda, Killane - odparłam. - Choć zapewne jeszcze kilka razy da znać o sobie, nim Nerasin pojmie, na czym mi zależy. Za kilka miesięcy spróbuje zrobić coś paskudnego, a wtedy znowu rozpalę ogień w jego żołądku. Potem odczeka trochę dłużej, zanim spróbuje znowu, a ja ponownie go ukarzę. Nerasin to łotr do szpiku kości, więc pewnie kilkakrotnie będę zmuszona mu się przypominać nim w końcu postanowi zachowywać się grzecznie. Ostateczna w Arendii powinien zapanować spokój przynajmniej na jedno pokolenie. A potem, któż to wie?

Było południe, gdy zwróciliśmy małego Kathandriona zrozpaczonym rodzicom. Rozpływali się z wdzięczności. Z przejęciem wysłuchiwali nieco przesadzonych relacji Killane o tym, jak udało nam się uwolnić chłopca.

- Wycofaj swoich łuczników, wasza miłość - powiedziałam potem. - Wojna skończona, więc przestań zasadać się na krowy i świnię. Książę Nerasin przejrzał na oczy i od teraz będzie grzeczny i potulny.

- Nie można ufać temu człowiekowi, ciociu Pol! - zaprotestował Alleran.

- Błagam o wybaczenie, wasza miłość - wtrącił się Killane - ale ten nicpoń bez protestów będzie słuchał rozkazów lady Polgardy, wszystko jedno, czy usłyszy „zaprzestań wojny”, czy „podaj łapę”. Lady Polgara trzyma w garści jego brzuch, a Nerasin kwiczy jak świnia za każdym razem, gdy ona zaciska pięść.

- Naprawdę, ciociu Pol? - zapytał z niedowierzaniem Alleran.

- Killane wyraża się bardzo obrazowo, Alleranie, lecz znasz go na tyle długo, żeby wiedzieć, o co mu chodzi. Określenie „brzuch” nie jest zupełnie ścisłe, ale reszta się zgadza. Od teraz aż po kres swego życia Nerasin będzie związał się w kłębek za każdym razem, gdy nie spodoba mi się coś, co robi. Powiadom Corrolina, że już po wojnie. Tego lata Nerasin przybędzie na obrady rady.

- Co takiego?! - wybuchnął Alleran. - Po tylu zbrodniach, których się dopuścił?!

Wiem Alleranie, po to właśnie są te spotkania, pamiętasz? Dyskusja przy konferencyjnym stole, zamiast walczyć. Czy ci się to podoba czy nie Nerasin włada Asturią, więc musi brać udział w tych spotkaniach podobnie jak ty i Corrolin.

- Posłuchałbym jej, wasza miłość - doradził ostrożnie Killane - Ona doskonale wie, gdzie człowiek ma brzuch, więc na twoim miejscu nie wchodziłbym jej w drogę. - Wzdrygnął się. - Jednakże to twój brzuch, więc zrobisz, jak ci się spodoba.

Z tego człowieka był prawdziwy skarb!

Tego lata spotkanie Rady Arendów przebiegało w nieco sztywnej atmosferze, ale Nerasin, rzucając raz po raz nerwowe spojrzenia w moją stronę, był aż do przesady uniżony. Alleran i Corrolin zachowywali się względem niego z dworną uprzejmością, ale obaj najwyraźniej chowali coś w zanadru. To mnie trochę niepokoiło, więc uważnie ich obserwowałam. Arend potrafi dochować tajemnicy, ale od razu można po nim poznać, że coś ukrywa. Alleran i Corrolin wyraźnie coś knuli.

Bieżące sprawy nie zajęły wiele czasu i ograniczyły się głównie do podyktowania Nerasinowi warunków pokoju.

Gdy już mieliśmy to za sobą, Alleran wstał.

- Panowie - oznajmił oficjalnym tonem - mniemam, iż czas stosowny nadszedł po temu, aby wyrazić wdzięczność naszą tej, która poprowadziła nas nieznanymi ścieżkami pokoju. - Tu spojrzał na mnie. - Nie ścierpimy sprzeciwu w tej materii, lady Polgaro, albowiem czy chcesz, czy nie, naszego postanowienia nie zmienisz. Zawsze trzy księstwa były w Arendii, lecz od dzisiaj będzie inaczej. Księżę Corrolin włada Mimbren, księżę Nerasin przewodzi Asturii, a ja staram się jak najlepiej kierować Wacune, lecz odtąd w naszej biednej Arendii będzie czwarte księstwo i księstwo to twym będzie, pani. Witaj w naszym gronie, wasza miłość. - Spojrzał po zebranych w namiocie. - Wszyscy pozdrawiamy jej miłość lady Polgarę, księżnę Erat!

To było dla mnie kompletnym zaskoczeniem. Mogłam podać kilkanaście powodów, dla których nie był to dobry pomysł, lecz przecież Alleran uprzedził, że sprzeciwami nic nie wskóram. Skoro uznali za stosowne tytułować mnie „wasza miłość”, postanowiłam być miłościwa. Przyjęłam ich decyzję z głębokim ukłonem i nagrodzili mnie gromkimi brawami.

- Panowie - przemówiłam - ten zaszczyt w zakłopotanie mnie wprawia i zaiste sił wszelkich dołożę, aby godną jego się okazać.- potem, jako że wyraźnie oczekiwali z niecierpliwością przemowy, popuściłam wodze swym talentom krasomówczym. Popisywałam się przez godzinę a gdy wzrok zaczął się słuchaczom robić szklisty, zakończyłam wieloma wzruszającymi banałami i odebrałam zwyczajowe owacje na stojąco. Przekazali mi pracownicy ozdobioną proklamację – podpisaną przez wszystkich trzech - która stwierdzała nadanie mi tytułu księżęcego; dołączono do niej szczegółowy opis granic mego księstwa.

Nie miałam nawet czasu dokładnie tego przeczytać, ponieważ zaczęło się przyjęcie, ale z pobieżnego rzutu oka wynikało, że moje księstwo leży na terenie dzisiejszej Sendarii. Powierzyłam dokumenty opiece Killane, a potem porwał mnie wir świętowania z okazji utworzenia czwartego księstwa Arendii. Był już późny wieczór, gdy wróciłam do swego namiotu. Killane siedział przy stoliczku oświetlonym blaskiem dwóch świec. Przed nim leżała mapa Sendarii i zwój określający granice moich włości. Spojrzał na mnie trochę nieprzytomnie.

- Przyjrzałaś się już temu, wasza miłość?

- Nie dali mi czasu - odparłam.

- Na twoim miejscu nie próbowałbym objechać całego księstwa w jeden dzień... ani nawet w tydzień. Wsiąkniesz tam na zawsze! - Położył dłoń na mapie. - Próbowałem zaznaczyć granice twych ziem na tej mapie i wydaje mi się, że albo obaj książęta postradali zmysły, albo jakiś pijany skryba pokręcił opisy na tym zwoju. Spójrz sama, pani. Zaznaczyłem granice czerwonym atramentem. - Podał mi mapę.

Przyjrzałam się jej z uwagą.

- To śmieszne! - wykrzyknęłam. - Chodźmy do Allerana. Zażądam wyjaśnień.

Alleran przyjął to spokojnie. Spojrzał na mapę Killane bez widocznego zaskoczenia.

- O co chodzi, ciociu Pol? Chcesz mieć więcej ziemi? Dobrze, zaraz to zrobimy.

- Alleranie! - powiedziałam ostro, starając się panować nad irytacją - to połowa centralnej Sendarii.

- No i co?

- Głupie pytanie! Przekazałaś mi tereny od Seline po jezioro Came

- Tak, wiem. Zauważ jednak, że nie daliśmy ci dostępu do morza. Chciałabyś mieć wybrzeże pomiędzy Sendarem a Camaar? To podmokły teren, ale twoi poddani mogliby go pewnie osuszyć. Wolałabyś tę wyspę u zachodniego wybrzeża?

- Poddani?

- Oczywiście. Dostałaś ich wraz z ziemią, ciociu Pol. Po powroci do Vo Wacune powiadomię twoich wasali, by przybyli poprzysiąc ci wierność.

- Wasale?

- Naturalnie. Nie myślisz chyba, że obarczyliśmy cię głuchą dziczą? - Zakaszła z lekkim zakłopotaniem. - Prawdę powiedziawszy ciociu Pol, to ja dałem ziemię na twoje księstwo. Nie jestem pewny, który z moich przodków przyłączył ten obszar, ale nie potrafię go nawet myśleć ogarnąć, jeśli mam być szczerzy. Nie wypada dawać takich prezentów, co? Obdarowałem cię czymś, czego i tak chciałem się pozbyć.

- To rzeczywiście przyćmiło nieco blask mego tytułu - przyznałam.

- Wiem i przepraszam. Dziwna ludność zamieszkuje tamte ziemie. Sendaria tak długo nie miała władzy i wyraźnych granic, że przywędrowali tam bardzo różni ludzie. Wszystkie rasy się wymieszały, tamtejsza ludność zdecydowanie nie jest czysto arendyjska. Nie wiem, jak z nimi postępować, ale ty jesteś o wiele mądrzejsza ode mnie, więc z pewnością lepiej sobie poradzisz. Twój wasale jednak, poprzednio moi, są czystej krwi wacuńskimi Arendami, więc wiadomo, jak się z nimi obchodzić. - W tym momencie na jego twarzy pojawiło się lekkie poczucie winy. - Zauważyłaś, że zatrzymałem Darine, Muros i Camaar. Nie chcę wyglądać na skąpca, ale naprawdę potrzebne mi podatki z tych trzech miast. Ostatnio mój budżet jest bardzo napięty. - Uśmiechnął się chytrze. - Idę o zakład, że pomyślałaś, iż obdarowaliśmy cię pustym tytułem, prawda, ciociu Pol? Pozbądź się lepiej tej myśli co prędzej. Masz prawdziwe księstwo na północ od rzeki Camaar i możesz z nim zrobić, co zechcesz. - Wtem jego uśmiech stał się łobuzerski. - Teraz zobaczysz, czym musimy się zajmować każdego dnia, więc nie spieszyłbym się z podziękowaniami. Poczekaj trochę. Ziemia i wszystko, co z nią idzie w parze, to odpowiedzialność, ciociu Pol, która czasami bardzo ciężka.

Zauważyłam, że pominął milczeniem strategiczne położenie księstwa Erat. Przez kilka ostatnich wieków Asturia była źródłem większości problemów, jakie trapiły Arendię. Teraz Alleran, Corrolin i Ja osaczyliśmy kłopotliwe księstwo od północy, wschodu i południa, stanowiąc dla Nerasina lub wszystkich jego następców wieczne zagrożenie.

Po powrocie do Vo Wacune wybraliśmy się z Killane na północ by obejrzeć moje włości. Stanowczo odrzuciłam propozycję Allerra przydzielenia mi zbrojnej eskorty. Zamierzałam sprawdzić, co się tam rzeczywiście dzieje, i nie chciałam, aby rycerze, pikinierzy i fanfary oznajmiały moje nadejście. Pojechaliśmy przez Muros, potem traktem do Sulturn i po przeprawieniu się przez północną odnogę rzeki Camaar byliśmy w Erat.

- Masz tu żyzne ziemie, pani - zauważył Killane drugiego dnia po przekroczeniu rzeki - i wody pod dostatkiem. Przy odrobinie starannego zarządzania możesz się bardzo wzbogacić.

Ja jednakże patrzyłam na nędzne lepianki przycupnięte kilkaset kroków od drogi.

- Chłopi pańszczyźniani? - zapytałam, wskazując te nędzne nory.

- Tak, to wygląda na chłopską wioskę - przyznał.

- Wjedźmy w tę kępę drzew przed nami - powiedziałam. - Chcę się temu lepiej przyjrzeć.

- Wszystkie chłopskie wioski są takie same, pani - rzekł ze wzruszeniem ramion.

Wjechaliśmy pomiędzy drzewa, zsiadłam z konia, a potem zmieniałam się we wróbelka. Poleciałam ku lepiankom, zaglądałam do nich do środka. Nie widziałam żadnych mebli, nawet kuchni. W każdej był dół wypełniony popiołem i zwęglonymi patykami oraz sterta szmat w kącie, która najwyraźniej służyła za wspólne posłanie. Wokół kręciło się kilka wynędzniałych psów i równie wynędzniałych dzieci. Pofrunęłam na pobliskie pole i ujrzałam wychudzonych, brudnych ludzi uprawiających ziemię prymitywnymi narzędziami.

Pilnował ich jeździec z biczem w dłoni.

Poleciałam znowu do Killane i wróciłam do własnej postaci.

- W moim księstwie nie będzie lepianek - powiedziałam mu stanowczo.
- Z pewnością nie jest to miły oku widok, ale chłopci muszą gdzieś nieieszkać.
- Chłopów pańszczyźnianych też nie będzie. Killane zamrugął zdziwiony.
- Chcesz zburzyć porządek społeczny, pani?
- Weźmiemy się do tego później, ale nie będę żyła kosztem niewolników.
- Chłop pańszczyźniany nie jest niewolnikiem, pani! - zaprotestował.

Doprawdy? Może któregoś dnia wytłumaczysz mi różnicę rudy, Killane. Ciekawe, co jeszcze zobaczę.

Często zatrzymywaliśmy się na uboczu, a ja wiele czasu spędłam przystrojona w pióra, badając, co rzeczywiście kryje to pozornie spokojne księstwo. Chłopi pańszczyźniani wiedli niewyobrażalnie nędzne życie, a szlachta pławiła się w luksusie, wydając - a w zasadzie trwoniąc - pieniądze pochodzące z potu i nędzy chłopów. Stwierdziłam, że szlachta jest głupia, okrutna, leniwa i arogancka. To również musiało się zmienić. Dotarliśmy do Sulturn, a potem skręciliśmy na północ i pojechaliśmy do Medalii, często zatrzymując się po drodze, abym mogła się wszystkiemu przyjrzeć. Ziemia była dobra, uznałam, ale społeczeństwo zdecydowanie nie.

Po minięciu Medalii pojechaliśmy do Seline, a potem skręciliśmy na wschód, w kierunku Erat. Staralam się zachować spokój. To nie była wina Killane, ale tylko jego miałam pod ręką, więc nie miał szczególnie przyjemnej podróży.

- Nie gniewaj się, że to powiem, wasza miłość - rzekł pewnego popołudnia w połowie drogi z Seline do Erat - ale wydajesz się nieco rozdrażniona. Czyżbym coś złego zrobił?

- Nie, Killane - powiedziałam. - Tylko w moim księstwie źle się dzieje.

- Może wasza miłość przestałaby zrządzić i zastanowiła się, gdzie wznieść stolicę. Twój tytuł sugeruje Erat, ale byłem tam już kilka razy i nie jest to najpiękniejsze miasto na świecie, a i nazwa Vo Erat nie brzmi przyjemnie dla ucha.

- Pozwól, iż przemyślę to, nim podejmę decyzję, Killane. Nie jestem pewna, czy chcę mieć stolicę.

- Okrutna z ciebie pani - rzekł z wyrzutem.

- Czemu tak mówisz?

- Mam szansę zaprojektować i wznieść całe miasto, a ty rozwiałaś me nadzieje. Mógłbym zbudować pałac, na którego widok imperator Tolnedry pozieleniałby z zazdrości.

- A po co mi pałac? Wiem, kim jestem, nie muszą mi o tym przypominać wystawne budowle. Nadal będzie mnie głównie interesować to, co dzieje się we właściwej Arendii. Ci sprytni chłopcy, którzy mnie tu umieścili, woleliby pewnie, abym się zaangażowała w tutejsze sprawy i dała im wolną rękę, ale do tego nigdy nie dojdzie. Zachowam swój dom w Vo Wacune. Prędko sobie uświadomią, że spod pantofla niełatwo uciec. Ruszajmy, Killane. Chcę rzucić okiem Erat, nim zdecyduję, skąd będę rządzić. Erat, zbudowane na podmokłym północnym brzegu jeziora, było zupełnie nieodpowiednie na siedzibę władz. Północno-centraln tereny Sendarii tak często przechodziły z rąk do rąk, że powstała tam bezładna mozaika ruin i nie pasujących do siebie stylów architektonicznych. Całe miasto powinno się zrównać z ziemią i zbudować na nowo, ale mimo starań i tak nie przypominałoby porządnej stolicy. Jeszcze raz oblekłam się w pióra i poleciałam obejrzeć wszystko i góry. Miejsce, które w końcu przyciągnęło mój wzrok, znajdowało się na południowym brzegu jeziora, u ujścia sporej rzeki. To była długa soczyście zielona łąka, która opadała łagodnie ku brzegowi jeziora a od południa zamykała ją rzeka. Brzeg rzeki porośnięty był prastarymi białymi brzożami, a strome, lesiste, ciemnozielone wzgórza obejmowały łąkę z pozostałych dwóch stron. Ośnieżone szczyty gór Sendarii wyrastały ponad owymi lesistymi wzgórzami. W pobliżu nie było żadnych wiosek czy dróg, tylko ziemia dziewicza. Mogłabym oglądać wschody słońca nad górami i zachody nad jeziorem. Natychmiast pokochałam to miejsce.

W odległości sześciu lig na północnym zachodzie znajdowała się wioska Górne Galt, a dziesięć lig na północnym wschodzie stoi dziś farma dobrodusznego człowieka o imieniu Faldor.

Garion powinien dobrze znać tę okolicę, gdyż tam się wychował.

Killane przyjrzał się uważnie wybranemu przeze mnie miejscu, usiłując dopatrzeć się w nim jakichś wad, ale w końcu dał za wygraną.

- Dostateczne - przyznał mrukliwie. - I szczęście, że znajduje się na terenie twojej osobistej posiadłości, więc nie trzeba się będzie targować.

- Dostateczne?! - zaprotestowałam.

- No może trochę więcej niż dostateczne. Zrobiłbym kilka szkiców, jeśli mamy dość czasu. Zauważyłem ze trzy niezłe lokalizacje dla twego pałacu. Jeśli zrobimy dobre szkice, to będziemy mogli całą zimę dyskutować o tym po powrocie do Vo Wacune.

W zasadzie już zdecydowałam, gdzie chcę zbudować swój dom, ale nie chciałam zachowywać się arbitralnie, więc pozwoliłam Killanowi zająć się szkicowaniem, a sama poznawałam okoliczną łąkę i lasy. Jesień chyliła się ku końcowi, gdy wróciliśmy do Vo Wacune. Moi wasale odpowiedzieli już na wezwanie Allerana i wszyscy niecierpliwie oczekiwali mnie w pałacu od miesiąca.

- Nie są zbyt zadowoleni z tego powodu, ciociu Pol - ostrzegł mnie Alleran. - Ich rody od pokoleń były mnie zaprzysiężone, a te ja oddaję ich niczym stare siodła czy znoszone odzienie. Może uda ci się to stopniowo załagodzić.

- Może - odparłam - ale w moim księstwie musi dojść do zmia Alleranie, zasadniczych zmian, więc i tak nie będę cieszyła się zbytnią popularnością. Moi wasale to Arendowie, więc z pewnością są śmiertelnie urażeni faktem, że ich władca jest kobietą. Nie ma więc chyba po co udawać, że wszystko jest ładnie i miło?

- To twoje księstwo, ciociu Pol. Będziesz w nim rządzić, jak ci się spodoba. Kiedy mamy zorganizować uroczystość?

- O jakiej uroczystości mówisz?

- Każdy z nich musi złożyć ci przysięgę wierności, po tym jak zwolnię ich z przysięgi mnie złożonej.

- Przekazanie praw własności?

- To bardzo brutalny sposób ujęcia sprawy, ciociu Pol. - Zastanowił się chwilę. - Jednak celny - dodał. - Ceremonię urządzimy w mojej sali tronowej, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Po uroczystości wywiem się, czy nie będzie ci potrzebna armia do zdławienia rebelii.

- Jesteś dziś w doskonałym humorze, prawda, Alleranie? - zapytałam cierpko.

Uroczystość w sali tronowej była formalnością, ale Arendowie uwielbiają formalności, więc ta część poszła gładko. Siedziałam na tronie Allerana w diademie i gronostajowej szacie. Po złożeniu przez każdego wasala przysięgi służenia mi i obrony za cenę własnego życia, fortuny i świętego honoru, wygłosiłam krótką przemowę. Zarzuciłam wszystkie archaizmy i przeszłam od razu do rzeczy.

- Teraz, gdy jesteśmy już jedną wielką, szczęśliwą rodziną - zaczęłam - wprowadzimy kilka nowych praw. Zgodnie ze zwyczajem składaliście księciu Alleranowi określoną daninę za zaszczyt służenia mu i zarządzania włościami, które wam powierzył. Książę Alleran oczywiście nie jest rozrzutny, ale wydaje mi się, że te daniny są trochę za wysokie. Nie

potrzebuję tylu pieniędzy, więc może obetniemy wasze zobowiązania o połowę na kilka lat i zobaczymy, czy to się sprawdzi?

Wasale za wspaniałomyślność nagrodzili mnie piętnastominutową owacją. Niektórzy nawet płakali. W końcu to byli Arendowie. Po zapadnięciu ciszy ponownie zabrałam głos.

- A zatem teraz, gdy nie będziecie potrzebować tak wielu pieniędzy na opłacanie dzierżawy, to może poprawilibyśmy również dobrobyt waszych chłopów? Ja o połowę obciąłam wasze zobowiązania względem mnie, więc okażcie swą wdzięczność, o tyle samo obcinając daninę Ściąganej w pracy i naturze z waszych poddanych. Zmuszacie chłopów do obrabiania swej ziemi, a potem jeszcze ściągacie połowę tego, co zbiorą na własnych polach. Od teraz ograniczycie wymiar przymusowej pracy do jednej czwartej, a co sami wyprodukują, zostawicie na potrzeby ich rodzin.

_ Co takiego?! - krzyknął tęgi baron o czerwonej twarzy. Nazywał się Lageron.

- Czyżbyś miał kłopoty ze słuchem, panie? - zapytałam. - Powiedziałam: jedna czwarta ich pracy i nic z ich własnych zbiorów. Przymierający głodem człowiek nie może dobrze pracować.

Jeden z baronów trącił łokciem Lagerona i szepnął mu coś na ucho. Byłam niemal pewna, że moi baronowie zamierzali zignorować nowe zarządzenia.

- Chcę, abyśmy się dobrze zrozumieli, panowie - powiedziałam.

- Z pewnością wszyscy słyszeliście o mnie przedziwne opowieści. - Uśmiechnęłam się. - Nikt chyba nie daje wiary tym bajkom?

Roześmieli się. Ja przestałam się uśmiechać i przybrałam wyraz twarzy, którym ojciec zwykł straszyć ludzi.

- Lepiej zaczniście w nie wierzyć, moi panowie - ostrzegłam ich.

- Choćbyście nie wiem jak straszne historie o mnie słyszeli, przekonacie się, że rzeczywistość jest o wiele gorsza. Nie łudźcie się, że zdołacie zignorować moje polecenia. Mam sposoby, by dokładnie wiedzieć, co robicie, a jeśli któryś z was zabierze wieśniakowi choćby jedną rzepę więcej, niż pozwoliłam, potraktuję to jak złamanie przysięgi, którą mi właśnie złożyliście, i winowajcę wyrzucę z jego dworu w jednej koszuli, a cały majątek wcielę do własnych dóbr. Mam oczy wszędzie, moje lordowskie mości, a wy będziecie mi posłuszni hb zasmakujecie żywota włóczęgi bez ziemi. Pozwoliłam, by me słowa zapadły im w serce, a potem ponownie zaczęłam tłumaczyć pełnym słodczy tonem:

- Zmiany administracyjne zawsze powodują pewne zamieszanie i wstrząsy. Przyzwyczajcie się do moich drobnych kaprysów. Jednak jeśli ktokolwiek z tu obecnych uzna moje poczynania za zbyt niegodne, nie będę go zmuszała do dochowania złożonej właśnie

przysięgi. W każdej chwili może swobodnie opuścić księstwo Erat, zabierając ziemię i swój dom, jeśli tylko potrafi udźwignąć to na własnych plecach. Zapewniam was jednak, że nawet mój ojciec tego nie potrafi, więc ziemię i domy prawdopodobnie zostaną tam, gdzie są. Pozwól cię, że ujmę to w możliwie najprostsze słowa. W moim księstwie rządzą ja! Czy są jakieś pytania?

Zapadła głucha cisza.

Książę Alleran natychmiast powołał pod broń znaczne siły i skierował je na południowy brzeg rzeki Camaar.

- Doprawdy nie jest to konieczne, Alleran - powiedziałam mu tydzień później, gdy dowiedziałam się, co zrobił. - Wiesz przecież, że sama potrafię sobie poradzić.

- To jedynie środek ostrożności, ciociu Pol - wyjaśnił. - Fakt, że armia się tam znajduje, może powściągnąć ludzi pokroju Lagerona. Znam tych wszystkich baronów, więc wiem, co ich utrzyma na wodzy.

Wzruszyłam ramionami.

- Jak chcesz, Alleran - powiedziałam - ale to ty płacisz tym wszystkim żołnierzom. Mnie rachunków nie przysyłaj.

- Nerasin i Corrolin zgodzili się uczestniczyć w kosztach, ciociu Pol, i dostarczyć więcej wojska, gdyby zaszła taka potrzeba. Wszyscy chcemy ugruntowania twojej władzy w księstwie, więc potraktuj te przyjazne oddziały na południowej granicy jako nasz wspólny wkład w zachowanie pokoju.

- Zgoda, jeśli to cię uszczęśliwi, mój drogi - powiedziałam, poklepując go czule po policzku.

Pomijając daniny od mych wasali, zostałam również posiadaczką rozległych włości. Killane zapewniał, że około jednej czwartej całego księstwa należy wyłącznie do mnie. Nadal byłam zdecydowana znieść pańszczyznę, więc nie trzeba chyba mówić, że zamierzałam uwolnić swych chłopów niemal natychmiast. Jedną z osobliwości tej odrażającej instytucji była tradycja, że chłop pańszczyźniany, który uciekł i przez rok oraz jeden dzień nie został pochwycony, automatycznie stawał się wolnym człowiekiem. Jeślibym w moich włościach zniosła pańszczyznę, stałyby się one rajem dla zbiegłych chłopów pańszczyźnianych z wszystkich zakątków księstwa, zwłaszcza gdy stanowczy zakaz „Teren prywatny, nie wchodzić” powstrzyma moich wasali przed polowaniami na zbiegów. Nie upłynie wiele czasu, a wszyscy zdolni do pracy robotnicy w księstwie osiadają mojej ziemi, a w posiadłościach moich wasali nie będzie nikt pracować.

- Baronowie będą przychodzić do waszej miłości po prośbie, aby zdobyć ludzi do orania, siania i zbierania plonów - powiedział Killane.

- O to mi właśnie chodzi, Killane - przyznałam z zadowoleniem. - Wróćmy teraz jednak do planów mego domu. Chcę, aby stał frontem do jeziora, od jednej strony graniczył z rzeką, ale był na wzniesieniu, by nie zagroziły mu letnie powodzie.

Po nadejściu wiosny otworzyłam skrytkę pod kominkiem w mojej sypialni, niemal całkowicie opróżniłam ją z zaoszczędzonych pieniędzy i wysłałam Killane na północ, by zakupił materiały, najął robotników i rozpoczął budowę.

- Nie przetrzeb mi lasów, budując drogi - oświadczyłam stanowczo.

- A jak mam dowieźć marmur na budowę tej siedziby, moja pani? - zapytał z pewnym poirytowaniem.

- Killane, mój chłopcze - tłumaczyłam mu cierpliwie - teren budowy leży tuż nad rzeką. Zbuduj kilka barek i wodą dostarcz marmur tam, gdzie go potrzebujesz.

- Nie przyszło mi to do głowy - przyznał. - Niesamowicie mądra z ciebie osobka, moja pani.

- Dziękuję.

- Co jakiś czas będę ci przysyłał raporty z postępu prac, ale byłbym wdzięczny, gdybyś nie przyjeżdżała tam, dopóki nie skończę. Nie chcę, byś zaglądała mi bez przerwy przez ramię.

- Postaram się - obiecałam potulnie.

Oczywiście, kłamałam. Latałam na północ przynajmniej raz w tygodniu, ale nie widziałam potrzeby informowania go o tych wizytach.

Prawdę powiedziawszy, byłam zbyt zajęta tego lata, by przyglądać się wznoszeniu dworu. Wydałam proklamację uwalniającą mych chłopów pańszczyźnianych, czym rozwścieczyłam kapłanów Chaldana. Pozycja duchowieństwa arendyjskiego w znacznej mierze opiera się na systemie feudalnym. Rozumieli niebezpieczeństwo płynące z sąsiedowania z gruntami kościelnymi rozległych włości, w których zniesiono pańszczyznę. Byłam potępiana z ambon od Seline Camar jako „abolicjonistka”. Ten przydomek jednak się nie przyjął, ponieważ kazania były wygłaszane - z wiadomych powodów - przy coraz bardziej pustych kościołach. Najwyższy kapłan Chaldana, właściciel dużej posiadłości w Mimbre, przybył ze specjalną wizytą do Vo Wacune, aby ostrzec, że jeśli nie unieważnię decyzji o uwolnieniu chłopów, będzie musiał obłożyć mnie ekskomuniką.

- To mnie nie dotyczy, wasza wielbność - powiedziałam. - jak wiesz, nie służę Chaldanowi. Moim Mistrzem jest jego starszy brat Aldur. Pozwólmy załatwić im to między

sobą. Przy następnej rozmowie z Chaldanem opowiedz mu, co zrobiłam, i postaraj się, aby uzgodnił to z moim Mistrzem. Kapłan wypadł z komnaty, mamrocząc coś pod nosem. Tego lata moją główną troską był brak w Arendii choćby namiastki systemu prawnego. Książęta rządzili dekrétami, dekrety zaś opierały się głównie na ich zachciankach. Było to głęboko niesprawiedliwe, a jeszcze zdecydowanie nieefektywne. Nie miałam zamiaru poświęcić się wyłącznie uciszaniu sporów i wydawaniu wyroków na przestępców. Potrzebny mi był zbiór spisanych praw i grupa uczciwych sędziów, którzy potrafiliby choćby przeczytać te prawa. W owym czasie za prawo w Arendii - w pewnym stopniu jest tak po dziś dzień na tych niespokojnych ziemiach - uchodził zbiór arbitralnych zasad chroniących przywileje szlachty. W przypadku sporu pomiędzy baronem a zwykłym wolnym obywatelem baron zawsze wygrywał. Z podobnymi sprawami spotkałam się na Wyspie Wiatrów, a jednym z głównych zadań Kamiona była właśnie modyfikacja praw. Jednak ja byłam w zdecydowanie lepszej sytuacji od Kamiona, więc wysłałam swą myśl do bliźniaków i poprosiłam, aby przeszukali bibliotekę ojca i wujka Beldina. Chciałam, by znaleźli wszystkie książki dotyczące prawa.

Potem wysłałam dwóch siostrzeńców Killane wraz z pokaźnym stadem mułów do Doliny Aldura, by przywieźli mi te książki.

Rada Arendów zebrała się tego roku późnym latem. Zauważyłam kilka badawczych spojrzeń skierowanych w moją stronę, gdy przystąpiliśmy do obrad. Najwyraźniej Alleran, Corrolin i Nerasin spodziewali się, że będę zbyt zajęta lub zbyt wściekła, aby wziąć udział w dorocznym spotkaniu.

- Masz jakieś problemy, ciociu Pol? - zapytał niemal z nadzieją w głosie Alleran.

- Nic szczególnie znaczącego - odparłam, lekko wzruszając ramionami. - Do moich wasali zaczęło docierać, że nie rzucam słów na wiatr.

- Dotarły do mnie plotki, iż wyzwoliłaś, pani, wszystkich chłopów we swych włościach - wtrącił Corrolin. - Azali zaprawdę jest to mądry postępek? Masz, pani, zamiar uprawiać te rozległe ziemie magią.

- Ależ nie. Najmę do tego swych byłych chłopów pańszczyźnianych. Książę Corrolin wytrzeszczył oczy w kompletnym zdumieniu.

- Zamierzasz, pani, dać chłopu pieniądze?! - wykrzyknął.

- Chyba że zechce coś innego. Może dobrego wołu lub nowe dzieńce. - Zmarszczyłam brwi. - Problem jedynie w tym, że chłopci nie potrafią liczyć powyżej dziesięciu czy dziewięciu, jeśli stracili palec. To doprowadzi do wielu nieporozumień w dzień wypłaty. Może będę musiała zbudować kilka szkół, aby nauczyć swych byłych chłopów pańszczyźnianych choćby podstaw arytmetyki i czytania.

- Potworność! - zawołał Nerasin. - Nie możesz nauczyć chłopów czytać!

- Dlaczego? Wykształceni robotnicy będą pracować bardziej efektywnie, nie sądzisz?

- Lady Polgaro, nie brak wicherzycieli, którzy wypisują różnego rodzaju podżegające brednie. Jeśli chłopci będą czytać, mogą im wpaść w ręce dokumenty, które doprowadzą do wybuchu rewolucji!

- Rewolucje są zdrowe, Nerasinie. Oczyszczają atmosferę. Zapewne nie znalazłbyś się tu, gdzie dziś jesteś, gdybym wraz z lordem Mangaranem i baronową Asraną nie usunęli z tronu w Vo Astur twojego wuja. Zadowoleni robotnicy się nie buntują. Ruszą na ciebie z widłami, jeśli będziesz ich źle traktował. A do tego w moich włościach nie dojdzie.

- Wcześniej ugryzłbym się w język, niż powiedział ci, co masz robić, ciociu Pol - rzekł Alleran - ale nie sądzisz, że posuwasz się zbyt szybko?

- Sprzątam swój dom, Alleranie - odparłam - a sporo w nim brudu. Nie mam zamiaru zostawić po kątach kurzu przez wzgląd na dawne czasy.

Po obojętnych spojrzeniach widziałam, że moje słowa zupełnie do nich nie docierały.

- A zatem dobrze - powiedziałam z westchnieniem - pozwólcie, że ujmę to w ten sposób. Zeszłego lata wszyscy trzej uznaliście za stosowne wynieść mnie do godności równej waszym. Czyż nie o to wam w istocie chodziło?

- No cóż... - zaczął niepewnie Alleran - zdaje się, że tak.

- Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale czyż nie oznacza to, że księstwo Erat jest moje... całkowicie?

- Taki był nasz zamiar, wasza miłość - przyznał Corrolin.

- Czyż on nie jest miły? - zapytałam dwóch pozostałych. - A zatem, skoro księstwo Erat należy do mnie, mogę w nim robić, co mi żywnie podoba, prawda?

- Są pewne prawa i zwyczaje, ciociu Pol - zaprotestował Allera

- Tak, wiem, złe prawa i złe zwyczaje. To właśnie ten kurz i smieci, które wymiatam z kątów. - Spojrzałam surowo na księcia Asturn

- Powiedz im, co się stało, gdy porwałś małego Kathandriona, Nerasinie - rzekłam. - Opisz im ze szczegółami, a jeśli zapomniawsz, zawsze mogę to powtórzyć, by odświeżyć twą pamięć. - Potem wszystkich włączyłam do swej groźby. - Jeśli, panowie, nie podoba wam się to co robię za swymi granicami, to wielka szkoda. A jeśli to rzeczywiście was drażni, w każdej chwili możecie wypowiedzieć mi wojnę Jednakże ostrzegam was: pierwszy, który najedzie moje księstwo bardzo ciężko zachoruje. Nie chcę okaleczać waszych rycerzy, zabijając piechurów ani palić wiosek waszych chłopów. Potraktuję wasze działania jako osobistą zniewagę i swój gniew skieruję przeciwko wam osobiście. Jeśli zdecydujecie się mnie

zaatakować, rozpalę ogień w waszych osobistych brzuchach. Co robię na swoich ziemiach, to moja sprawa. A teraz, ponieważ jestem tego lata bardzo zajęta, zacznijmy obrady. Hej punktów mamy w tegorocznym programie obrad?

Czy macie jeszcze jakieś wątpliwości, kto w owych czasach kierował biegiem spraw w Arendii?

Killane wrócił do Vo Wacune późną jesienią.

- Pogoda zrobiła się pod psem, moja pani - relacjonował. - Zapłaciłem murarzom i kazałem im stawić się ponownie wiosną. Gdybyśmy pracowali w czasie pory deszczowej, zmienilibyśmy twą piękną łąkę w błotniste trzęsawisko, a to chyba cię nie ucieszyło. Zostawiłem jednak kilku ludzi do pilnowania.

- Bardzo słusznie, Killane - przyznałam. Dokładnie wiedziałam, jakie poczynił postępy w pracy, w końcu wszystkiemu się przyglądałam, ale pozwoliłam mu w płomiennych, choć nieco przesadnych słowach opisać, co do tej pory osiągnął.

Potem rozejrzał się po stertach prawniczych ksiąg, piętrzących się w mej bibliotece.

- A to co? - zaciekawiał się.

- Ustanawiam prawa, Killane - odpowiedziałam ze znużeniem - To bardzo męczące.

- Twe kaprysy i życzenia są prawem, wasza miłość.

- Tylko do czasu, gdy zakończę nad tym pracę. Staram się zemieścić tu wszystko co najlepsze z głównych systemów prawnych świata głównie tolnedrańskiego i melceńskiego, ale przygotowam to szypłą alornskich, nyissańskich, a nawet marackich ustaw. Znalazłam nawet kilka użytecznych pomysłów w angarackich procedurach prawnych

- A jakież to powód każe ci zaprzętać sobie śliczną główkę tymi zakurzonymi bzdurami, moja pani?

- Powodem jest sprawiedliwość, Killane. To ostateczny cel wprowadzenia mego systemu prawnego. - Wskazałam sterty ksiąg. - Dużo jest chwastów w tym ogrodzie, ale ja wyplewię je, by przygotować grządki pod róże.

Killane zakończył budowę mego dworu późnym latem 2330 roku, niedługo po śmierci księcia Corrolina z Mimbre. Pojechaliśmy w towarzystwie stosownej świty, abym mogła obejrzeć swą siedzibę. Już nieraz widziałam ją z powietrza, ale z góry budynek nie robił takiego wrażenia. Dom stał na wzniesieniu, nieopodal północnego brzegu ujścia rzeki do jeziora. Żwirowa ścieżka wiodła od tylnego wyjścia do kamiennego nabrzeża. Łąka rozciągała się na zachód na około ćwierć mili, aż do brzegu jeziora i tak jak sobie wyobrażałam, od wschodu otaczały ją lesiste wzgórza z ośnieżonymi szczytami gór. Było tu nad wyraz pięknie.

Czy nie za dużo rozwodzę się nad mą książeczą siedzibą? No cóż, trudno. Kocham ten dom i będę o nim mówić, jak długo zechcę.

Dom ze śnieżnobiałego marmuru był niczym senne marzenie. Killane dość swobodnie podszedł do wymiarów podanych na szczegółowych planach, które wspólnie sporządziliśmy. Przyjęłam, że sumy, które przeznaczyłam na budowę, będą istotnym ograniczeniem Jego inwencji, ale Killane potrafił uparcie się targować, co dawało mu znaczną swobodę działania. Ponieważ wprowadził pojęcie przetargu, zdecydowanie obniżył koszty robót.

Główny budynek miał kilka pięter. Jego fronton zdobił portyk z kolumnami, co przywodziło na myśl tolnedrańskie budowle. Wygięte skrzydła, odchodzące od głównego holu, obejmowały ogród z zaczątkiem żywopłotów i grządkami czekającymi na posadzenie kwiatów. Pokoje były duże i pełne światła dzięki wysokim oknom, pomieszczenia kuchenne ogromne, a łazienki luksusowe. W całym domu nie było mebli, dywanów ani zasłon, więc przy każdym kroku rozlegało się echo jak w pustej jaskini.

- Pozwoliłem sobie nająć kilku stolarzy, wasza miłość - powiedział Killane. - Mają warsztaty w pobliżu stajni. Zastanów się, pani i wybierz jakiś konkretny styl mebli dla swego pałacu. Dom z krzesłami i stołami nie od pary przypomina graciarnię.

Dobrze wiedziałam, co to jest graciarnia. Doskonałym jej przykładem była wieża ojca. Wielkość domu była onieśmielająca i miałam nadzieję, że rodzina Killane będzie wystarczająco liczna, by się nim zająć. Podjęliśmy z Killane pewne decyzje co do umeblowania zasłon, dywanów i innych drobiazgów, a potem wróciłam do Vo Wacune, by pilnować biegu spraw.

Latem 2331 roku siedziba nad jeziorem została ostatecznie wykończona i odtąd dzieliłam swój czas pomiędzy miejski dom w Vo Wacune i pałac nad jeziorem Erat. Podróżowanie tam i z powrotem pomiędzy nimi nie było dla mnie męczące dzięki pewnym przewagom, które posiadałam nad zwykłymi ludźmi.

Oczywiście w Arendii wciąż rodziły się napięcia, ale udawało się je łagodzić, więc panował spokój.

Późnym latem 2333 roku ojciec przybył z wizytą do Vo Wacune. Wydawał się nieco zaskoczony wystawnością mego miejskiego domu.

- Co to wszystko znaczy? - zapytał, gdy siostra Killane, Rana, wprowadziła go do mojej biblioteki. Nie wiem, jak udało mu się przekonać Ranę, by go wpuściła za ogrodzenie. Ojciec nigdy nie dbał o wygląd zewnętrzny, Rana zaś przykładła do tego sporą wagę.

- Prowadzę światowe życie, ojczu - odparłam.

- Widzę. - Usiadł w fotelu przy moim stole bibliotecznym. - Znalazłaś żyłę złota? Ten dom jest luksusowy, a nie miałaś pieniędzy w kieszeni, gdy przybyłaś tu dwadzieścia lat temu.

- Książęta Arendii uznali za stosowne nagrodzić mnie za ujawnienie spisku Ctuchika. Przyznali mi roczną rentę, może w nadziei że wycofam się z polityki. Próbowałam ją odrzucić, ale nalegali. Stos pieniędzy rósł coraz bardziej, dopóki Asrana nie natchnęła mnie pewną myślą. Pamiętasz Asranę, prawda?

- O tak - odparł - pamiętam tę przebiegłą Asturiankę.

- Tak, to właśnie ona. Zasugerowała mi, że mogę wydać część z tych pieniędzy na kupno własnego domu, i ten właśnie dom wynajęłam. Podoba ci się?

- Znośny - odparł ze wzruszeniem ramion. - Jednakże przybyłaś tu z nakazu Mistrza. Przyjęcie tych pieniędzy było więc złamaniem pewnych zasad.

- Mistrz kazał mi utrzymać pokój w Arendii, ojcze, a to wiąże się zachowaniem dobrych stosunków z książętami. Przyjęłam od nich pieniądze, aby ich nie obrazić. Jednakże już mi ich nie wypłacają.

- Dobrze. Skąd masz jednak na utrzymanie tego domu?

- Moje włości są spore, Stary Wilku. Przynoszą mi niezłe dochody.

- Twoje włości? - wydawał się zaskoczony.

- Znajdują się na północ od rzeki Camaar. Jeśli wydaje ci się, że ten dom jest okazały, powinieneś zobaczyć mój dwór. Mam nadzieję że cię zbytnio nie rozczarowałam, ojcze. Nie wstąpiłam na tron zjednoczonej Arendii - jeszcze - ale masz zaszczyt zwracać się do jej miłości księżnej Erat.

- Jak do tego doszło?

Opowiedziałam mu o porwaniu, a następnie uwolnieniu małego Kathandriona i o wyniesieniu mnie do obecnej godności.

- Nie podjęłaś chyba wobec księcia Asturii żadnych ostatecznych kroków, prawda, Pol? - zapytał z lekkim niepokojem. Ojciec swego czasu wielu ludzi pozbawił życia, ale zabronił mi iść w swoje ślady. Konsekwencja nigdy nie była jego mocną stroną.

Opowiedziałam mu o problemach żołądkowych Nerasina. Śmiał się długo.

- Wspaniale, Pol! - pogratulował mi. - Dzięki bólowi żołądka zakończyłaś wojnę domową w Arendii!

- W każdym razie na jakiś czas. Doprowadź się do porządku, ojcze. Idziemy dziś wieczorem na przyjęcie.

- Przyjęcie?

- Wielki bal. Książę Alleran kocha muzykę i tańce, ale spodziewam się, że skupisz na sobie uwagę wszystkich.

- Głupoty! - prychnął.

- Nie, ojcze, polityka. Trzymam teraz Arendię w garści, ale na wszelki wypadek wolałabym, aby powszechnie wiadomo, że jesteś u mego boku. Zachowuj się wyniośle, ojcze. Niech uwierzą, że potrafisz wyrwać góry z korzeniami, jeśli tylko zechcesz. Niech zobaczą,

Jesteś groźny i jakich potrafisz narobić szkód, jeśli postanowię, że powinieneś wkroczyć do akcji.

- Chcesz powiedzieć, że jestem twoim rycerzem obrońcą? – zapytał z wyrzutem.

- Zawsze byłeś moim rycerzem obrońcą, ojcze. A teraz wykąp się, przystrzyż brodę i włóż białą szatę, żebyś mi nie przyniósł wstydu w miejscu publicznym.

Ojciec lubi się popisywać, chyba już o tym mówiłam. Wystarczy mu kilka wskazówek, a po mistrzowsku zagra swą rolę. Początkowo trochę marudził, podobnie jak przed mową, którą wygłosił w Vo Astur ale w końcu skłonności aktorskie wzięły górę i nim wyruszyliśmy do pałacu Allerana, całkowicie wcielił się w postać Belgaratha Niszczyciela. Kusi mnie, by wyznać, iż okropnie przesadził tego wieczoru, ale w końcu to było przedstawienie dla Arendów. Arendowie nie należą do znawców sztuki dramatycznej, więc takie egzaltowane aktorstwo im nie przeszkadzało.

Znowu cię rozzłościłam, co, Stary Wilku?

Po wizycie ojca lata płynęły mozolnie. Co jakiś czas wybuchały drobne niesnaski, ale udawało się je wyciszyć podczas dorocznych spotkań Rady Arendów. Arendowie stopniowo oswajali się z pojęciem pokoju i coraz rzadziej byłam zmuszona do wypadów w charakterze straży pożarnej. Moi wasale z niechęcią musieli przyznać, że wiedzie im się lepiej niż za „starych dobrych czasów” pańszczyzny. Pieniądze zaczęły wypierać wymianę towarową, która przeważała poprzednio. Miałam pewne problemy z tolnedrańskimi kupcami w miastach swego księstwa, ale w większości znikły po wprowadzeniu standaryzacji wag i miar oraz uznaniu za przestępstwo swobodnego definiowania funtów i cali. Początkowo Tolnedranie nie brali serio moich rozporządzeń, więc przez kilka lat moje dochody z tytułu grzywien przewyższały te, które przynosiły mi moje włości. Pieniądzy miałam w nadmiarze, więc spożytkowałam je na budowanie szkół. Nie udało mi się jeszcze co prawda upowszechnić czytania i pisania, ale dążyłam do tego. Potem, kierując się swymi wieloletnimi zainteresowaniami, założyłam wyższą szkołę praktycznej medycyny w Sulturn. Moim celem było zdrowe, dostatnie, wykształcone społeczeństwo i z rozmysłem ku temu zmierzałam.

Książę Borrolane, następca księcia Corrolina, wydawał się nieco zaintrygowany moimi poczynaniami i jawnym przewodem na dzie Arendów w czasie naszego rocznego spotkania w 2340 roku.

- To drobnostka, wasza miłość - powiedziałam. - Choć może ci się wydać dziwne, kobiety myślą o wiele bardziej praktycznie od mężczyzn, może dlatego że gotują. Mężczyźni to marzyciele, ale choć nie wiem jak wzniosłe były ich marzenia, chleba z nich nie będzie. Gdy się na tym głębiej zastanowić, to każdy, kto potrafi pokierować kuchnią, potrafi zapewne również rządzić swymi włościami, wielkimi czy małymi. Powszednie sprawy związane z kierowaniem księstwem Erat spadały w większości na barki Killane. Przekroczył już pięćdziesiątkę. Był zarządcą administratorem moich osobistych włości, ale wasale, hrabiowie i baronowie szybko zdali sobie sprawę, że liczą się z jego opiniami, więc starali się żyć z nim w zgodzie. Nie wykorzystywał swej pozycji ani nie traktował szlachty z obraźliwą wyższością. Jego typowa odpowiedź na petycje, skargi, spory była całkiem prosta: „Zreferuj twą sprawę jej miłości, łaskawy panie. Zobaczmy, co ona powie”. Potem, po odczekaniu kilku tygodni, przekazywał „moją decyzję” w sprawach, o których nawet nie słyszałam. Jego funkcja w moim księstwie bardzo przypominała rolę Kamiona na Wyspie Wiatrów. Służył za bufor, lub jeśli kto woli, filtr, który nie dopuszczał do mnie błahostek. W praktyce przekazywałam mu ogólne pojęcie o tym, czego chciałam, a on dopilnowywał, aby wszystko działało się zgodnie z moją wolą, nie obrażając przy tym zbyt wielu ludzi. Pod wieloma względami, choć zapewne nie zdawał sobie z tego sprawy, mój przyjaciel był administracyjnym geniuszem. Mówiąc krótko, on rządził Erat, podczas gdy ja rządziłam resztą Arendii. Jednakże około 2350 roku zaczął się starzeć. Włosy mu posiwiały, tracił słuch. Przy stawianiu chwiejnych kroków pomagał sobie laską. Coraz częściej musiałam mu udzielać porad lekarskich. Ograniczyłam jego dietę i włączyłam do niej mikstury z egzotycznych ziół.

- Starość daje ci się we znaki! - krzyknęłam mu do ucha podczas jednej z takich wizyt jesienią 2352 roku. - Czemu bardziej o siebie nie dbasz?

- Kto by pomyślał, że będę żyć tak długo, moja pani? - zapytał ze smutkiem. - Żaden mężczyzna w mojej rodzinie nie dożył pięćdziesiątki. - Potem utkwił spojrzenie w suficie. - Jeśli się jednak zastanowić, zwykle ginęli w karczemnych burdach, a ja, od czasu gdy po raz pierwszy ujrzałam waszą miłość, nie brałam udziału w porządnej burdzie. Zniszczyłaś mi całe życie, lady Polgaro. Nie wstyd ci?

- Nie. Myślę, że czas, abyś zaczął przekazywać część ze swych obowiązków komuś z rodziny. Mało odpoczywasz, zbyt często zamartwiasz się błahostkami. Drobniejszymi sprawami niech zajmie się ktoś inny, sobie pozostaw najważniejsze.

- Jeszcze nie umieram, moja pani - upierał się. - Nadal potrafię sobie poradzić.

I radził sobie przez kolejne dwa lata. Potem przez kilka miesięcy czuwałam przy jego łóżku. Powiadomiłam o tym Allerana i poprosiłam, aby wytłumaczył moją nieobecność na spotkaniu tego lata pozostałym księżętom. Nie miałam zamiaru opuszczać przyjaciela nawet dla spotkania Rady Arendów. Pewnej wietrznej jesiennej nocy Rana mnie obudziła.

- Killane pragnie zobaczyć waszą miłość - powiedziała. Pospiesznie wciągnęłam na siebie suknię i podążyłam za nią przez puste korytarze do komnaty chorego.

- A więc jesteś, moja pani - odezwał się Killane słabym głosem - Odejdź, Rano. Pragnę powiedzieć naszej pani coś, czego ty nie musisz słuchać.

Siostra pocałowała go delikatnie, po czym ze smutkiem opuściła komnatę.

- Nie śmieć się ze mnie, moja pani - poprosił Killane. - Chcę pozbyć się z serca ciężaru i wypłuć to z siebie, nim ziemia przykryje mnie na długi sen. Przeszliśmy razem długą drogę, ty i ja, i nigdy nie owijaliśmy w bawełnę, gdy mieliśmy sobie coś do powiedzenia, więc przejdę do rzeczy. To może nie wydać się właściwe, ale i tak powiem. Kocham cię, Polgardo, pokochałem cię od chwili, gdy po raz pierwszy na ciebie spojrzałem. Oto cała prawda. Powiedziałem, a teraz mogę zasnąć. Pocałowałam tego drogiego mi człowieka w czoło.

- Ja także cię kocham, Killane - wyznałam i dziwne, ale on mnie usłyszał.

- Tak powiadasz, kochana dziewczyno? - szepnął.

Trzymałam jego dłoń jeszcze jakiś czas potem, gdy umarł. Rankiem, zalana łzami, skrzyżowałam mu ręce na piersi i naciągnęłam prześcieradło na jego pełną spokoju twarz.

Pochowaliśmy Killane następnego dnia w małym zagajniku w pobliżu górnego krańca łąki. Wiatr, jakby dzielił nasz smutek, westchnął wśród świerków na zboczu wzgórza nad nami.

Killane odszedł, ale nie pozostawił mnie samej. Członkowie jego rozległej rodziny, niemal bez mojej wiedzy, na zasadzie dziedziczenia, zajmowali wszystkie stanowiska w moim otoczeniu. Większości z nich osobiście pomagałam przyjść na świat, a to automatycznie zbliżało nas do siebie. Znali mnie, byli wychowywani i szkoleni w służeniu mi od wczesnego dzieciństwa.

Korzyści płynące z tego układu były obustronne, ponieważ poczucie ciągłości jest bardzo ważne dla kogoś w tak osobliwej sytuacji jak moja. Killane tak zapewne by to ujął: „Jeśli zamierzasz żyć wiecznie, czasami może doskwierać ci samotność”. Członkowie mojego

najbliższego otoczenia, zarówno ci w domu w Vo Wacune, jak i ci w mojej wiejskiej posiadłości nad jeziorem Erat, zastępowali się w sposób naturalny, pokolenie po pokoleniu, co dawało mi upragnione poczucie ciągłości. Większość moich pierwszych wasali również umarła przed rokiem 2400, a ich następcy nauczyli się już lepszych manier. Groźba tego, co złośliwie nazywano „dolegliwością Nerasina”, wisiała nad ich głowami, więc nawet jeśli nie zgadzali się z moimi kolejnymi pomysłami dotyczącymi porządku społecznego, starczało im rozważli, aby zachować zastrzeżenia dla siebie. Jako że chłopcy nie byli już niewolniczo przywiązani do ziemi, panowie musieli odnosić się do nich bardziej uprzejmie. Pewnego roku kilku okrutnych, aroganckich właścicieli ziemskich odkryło, że brak im ludzi do prac polowych. Żniwa nadeszły, a oni bezradnie patrzeli, jak ich plony gniją na polach. Lubię myśleć, że odegrałam jakąś drobną rolę w wykształceniu owej uprzejmości, tak charakterystycznej dla typowego Sendara. Eksperymentowanie ze społeczeństwami jest bardzo zajmującą rozrywką, nie sądzicie?

Zmiany w swym księstwie wprowadzałam z rozmysłem, ale to co wydarzyło się w Vo Wacune, było dziełem czystego przypadku. Ponieważ moja pozycja wymuszała pełne zaangażowanie w politykę, dużo czasu spędzałam w pałacu. Polityka jednakże jest męskim zajęciem i bywały dni, gdy tęskniłam za damskim towarzystwem. Co jakiś czas zapraszałam więc starannie wybrane młode damy do swego domu abyśmy mogły podyskutować na tematy, których mężczyźni po prostu nie rozumieją. Jak już wcześniej zauważyłam, arendyjskie damy były - przynajmniej na zewnątrz - trzpiotowatą, pozornie bezmyślną gromadką, interesującą się jedynie modą, plotkami i złapaniem odpowiedniego męża. Zdarzały się jednak takie, które pomiędzy uszami miały coś więcej niż tylko włosy. Asrana była doskonałym przykładem tej osobliwości. Wybrałam więc najinteligentniejsze młode damy z dworu księcia Wacune i starannie dobierając tematy dyskusji w mojej bibliotece lub ogrodzie różanym, zaczęłam je kształcić. Jakaż rozkoszą było obserwowanie budzącego się umysłu! Po pewnym czasie nasze dyskusje zaczęły schodzić z mody i plotek na bardziej poważne sprawy. Moja nieoficjalna „damska akademicka” wypuściła kilka absolwentek, które odegrały znaczącą rolę w wacuńskiej polityce i życiu społecznym. Kobiety potrafią z instynktowną delikatnością pokierować swymi mężami.

Spotykałyśmy się wieczorami w moim ogrodzie różanym lub na tarasie, gdy na niebie lśniły już gwiazdy. Jadłyśmy lody owocowe i przysłuchiwałyśmy się słowikom, które śpiewały z wyjątkowym zapamiętaniem. A ponieważ gromadziłam wokół siebie najpiękniejsze i najbardziej interesujące dziewczęta na dworze, młodzieńcy przychodzili pod

mój dom i śpiewali pod murami serenady głosami przesyconymi tęsknotą. Bywają gorsze sposoby na spędzenie wieczoru.

Dwudziesty piąty wiek był czasem względnego spokoju w Arendii. Oczywiście co jakiś czas wybuchały niesnaski, zwykle związane z zadawnionymi waśniami pomiędzy sąsiadującymi baronami. Książęta jednak, odwołując się do zdrowego rozsądku lub strasząc użyciem siły, potrafili załagodzić sytuację jedynie z minimalną pomocą z mojej strony. Dałam im radę, która wydawała się bardzo skuteczna. Wasal ma obowiązek dostarczyć swemu panu żołnierzy na każde życzenie. Książęta odkryli, że wystarczy skorzystać z tego prawa, pozbawiając zwaśnionych baronów wszystkich mężczyzn zdolnych nosić broń, a niemal natychmiast zostaje zawarty pokój.

Poza granicami Arendii świat toczył się własnym torem. Najazdy chereckich piratów na tolnedrańskie wybrzeże trwały jeszcze długo po tym jak zapomniano z jakich powodów się zaczęły. Nikt nie pamiętał Maragoru, ale Cherekowie, najbardziej typowi Alornowie, nadal najeżdżali i palili nadbrzeżne miasta Tolnedry, pobożnie tłumacząc swoje barbarzyństwo wypełnianiem woli Belara. Wszystko to skończyło się dość nagle po wstąpieniu na tron Pierwszej Dynastii Borunów w 2537 roku. Ran Borune I był o wiele bardziej kompetentnym władcą od swoich poprzedników z Drugiej Dynastii Vorduvianów. Wypędził swe zgnuśniałe legiony z wygodnego garnizonu w Tol Honeth i zagnał je do pracy przy budowaniu traktu biegnącego od ujścia rzeki Nedrane do Tol Yordue. Dzięki tej budowie wzdłuż całego wybrzeża powstały obozowiska legionistów, z których łatwo było dotrzeć do miejsc tradycyjnych ataków Chereków. Korsarze zaczęli napotykać coraz silniejszy opór na brzegu. W końcu Cherekowie uznali, że wypełnili już religijne zobowiązania i czas poszukać sobie innej rozrywki. Ran Borune był pierwszym ze swej rodziny na imperialnym tronie, toteż cały pałac nadal roił się od Vorduvian, którzy mieścili się na skali od szubrawców po zwykłych rzezimieszków. Na Vorduvianach duże wrażenie zrobił zawiły spisek Ctuchika z początków dwudziestego czwartego wieku. Nieustanna arendyjska wojna domowa stwarzała im rozliczne okazje do czerpania wręcz nieprzyzwoitych zysków, głównie z handlu bronią. Pokój Polgardy osuszył te źródła dochodu, a moje imię przeklinano od Tol Yordue po Tol Horb i Tol Honeth. Bounrnowie byli rodem z południa, więc z racji swego geograficznego położenia nie byli zbyt zaangażowani w handel bronią z Arendią, toteż Ran Borune nie miał powodu, by włączać się w różne egzotyczne pomysły rozwiązania tego problemu, jakie podsuwali Vorduvianie, Horbici i Honethitowie.

Było chyba około 2560 roku. Cherekowie już uznali, że najeżdżanie wybrzeża Tolnedry przestało ich bawić. Wówczas to owe trzy rotę postanowiły wprowadzić trochę zamieszania

w Arendii. Wkradli się we względy ówczesnego księcia Mimbre, młodzieńca o imieniu Baleron, i otworzyli przed nim szkatułkę, którą uznałam za zamkniętą na zawsze. Zaczęli od tytułowania go „wasza wysokość”, wyjaśniając, że skoro Mimbre było największym z czterech księstw, książę Mimbre jest w rzeczywistości królem całej Arendii, oczywiście gdy tylko upora się z przyłączeniem reszty ziem. Na szczęście górę wzięło staranne wyszkolenie, jakiego udzieliłam arendyjskim książętom Saleron, jedynie w towarzystwie kilkusobowej świty, przyjechał późną wiosną do mego dworu, aby przedyskutować ten temat.

- Mniemam, iż powinienem omówić to z tobą, nim wdam się w owo przedsięwzięcie, wasza miłość - przyznał szczerze, gdy byliśmy się sami w mojej bibliotece.

Saleron był miłym chłopcem, ale okropnie mało pojętym. Można powiedzieć, że pytał mnie o zgodę na wypowiedzenie mi wojny Nie wiedziałam, czy wybuchnąć śmiechem, czy wściekłością. Opanowałam się jednak i ostrożnie - oraz powoli - wyjaśniłam mu, co tolnedrańscy „przyjaciele” chcieli osiągnąć.

- Tej możliwości nie rozważałem, wasza miłość - rzekł. - Pomyślałem, iż skoro rozumowanie tolnedrańskich wysłanników rozsądnym się zdaje, temat ten należy przedstawić Radzie Arendów tego lata. Zaiste myślą moją było, iż po wyjaśnieniu tobie i moim drogim braciom z Wacune i Asturii materii tej sprawy, królem Arendii ogłoszony zostanę przy ogólnym przyzwoleniu, skutkiem czego uniknie my popsucia naszych serdecznych stosunków.

Westchnęłam ciężko. On był naprawdę absolutnie szczerzy!

- Mniemam, iż doszukałaś się, pani, skazy w tej wspaniałej propozycji - zauważył ze zdziwieniem.

- Kochany Saleronie - powiedziałałam najłagodniej, jak potrafiłam - co byś rzekł, gdyby Nanteron z Wacune lub Lendrin z Asturii przybyli na spotkanie tego lata i ogłosili, że każdy z nich jest urodzonym królem Arendii?

- Natychmiast powziąłbym podejrzenie, iż obaj zmysły postradali, lady Polgardo. Deklaracje takie zaiste niedorzecznością by były - Wtem nikły przebłysk zrozumienia zaświtał w jego oczach.

Odruchowo objęłam i przytuliłam zaskoczonego młodego księcia.

- Twa decyzja, aby przyjść do mnie, nim poruszysz tę sprawę na posiedzeniu Rady Arendów, jest zaiste przebłyskiem prawdziwego geniuszu, Saleronie - pochwaliłam go.

- Jednakowoż opinia ta nie tyczy się mego wcześniejszego postępowania, pani - przyznał. - Wydaje mi się, że moje pojmowanie niedostatek pewien wykazywać może. W przypadkach takich twego przewodnictwa powinienem szukać.

- To kolejna dobra decyzja, wasza miłość. Radzisz sobie coraz lepiej. - Zastanowiłam się chwilę. - Wezwę Nanterona i Lendrina- Jako że w tym roku powinniśmy spotkać się tutaj, a nie na jarmarku podejmę odpowiednie kroki, aby trzymać Tolnedran z dala na czas naszych rozmów. Tym razem niech spotkanie Rady Arendów odbędzie w rodzinnym gronie.

W ciągu tygodnia przybyli Nanteron z Wacune i Lendrin z Asturii. Z każdym z nich przeprowadziłam rozmowę sam na sam i zagroziłam im najprzeróżniejszymi okropnościami, jeśli choćby uśmiechną się, gdy ujawnię im pełny wymiar głupoty Salerona. Zrozumieli

i obrady toczyły się z należytą powagą. Po przedyskutowaniu całej sprawy uznałam, że najlepszym sposobem na utrzymanie Vorduvian, Honethitów i Horbitów od wtrącania się w wewnętrzne sprawy Arendii będzie powiadomienie o wszystkim samego Rana Borune. Zgodziłam się więc na ochotnika wybrać do Tol Honeth i uciąć sobie pogawędkę z jego imperialną wysokością.

Postanowiłam oszczędzić sobie nudnych formalności, które zwykle poprzedzają takie spotkanie, i poleciałam do Tol Honeth. Prawie cały dzień fruwałam nad rozległymi terenami imperialnego pałacu, nim trafiła mi się okazja, którą grzech było zmarnować. Jak się okazało, Ran Borune i ja mieliśmy wspólne hobby. Pierwszy z dynastii Boranów podobnie jak ja pasjonował się hodowlą róż i kilka godzin każdego dnia spędzał w ogrodzie. Przysiadłam na gałęzi drzewa i wróciłam do własnej postaci, podczas gdy on uważnie oglądał chory krzew różany.

- Potrzeba mu więcej nawozu, wasza wysokość - poradziłam spokojnie.

Ran Borune odwrócił się jak oparzony. Był niskim mężczyzną, nawet jak na Tolnedranina, a złocisty płaszcz, symbol jego godności, wydawał się trochę zbyt paradny jak na zajęcie, któremu się oddawał.

- Proszę, zechciej pomóc mi zejść z drzewa, wasza wysokość, a przyjrzyć się temu biedactwu - powiedziałam z miłym uśmiechem.

- Kim jesteś? - zapytał. - I jak udało ci się minąć strażników?

- Zapewne znasz mego ojca, Ranie Borune. To starzec w podniszczonym ubraniu z białymi bokobrodami i skłonnością do mówienia udziom, co mają robić. Odwiedza twoją rodzinę już od pięciuset lat.

- Masz na myśli Belgaratha?

- O niego chodzi.

- To by znaczyło, że ty jesteś Polgarą, księżną Erat. Zgadłeś. Chcę z tobą porozmawiać na osobności. Czy mógłbyś ac mi rękę? Konar drzewa nie jest najstosowniejszym miejscem na omawianie spraw wagi państwowej.

Pomógł mi zejść, ale nadal był nieco oszołomiony. Obejrzałam chory krzak.

- Zakop pod korzeniami zdechłą rybę, Ranie Borune - Powiedziałam. - Posadziłeś go trochę za blisko okapu. Deszczówka wymywa z ziemi wszystkie składniki pokarmowe. Możesz pomyśleć o przesadzeniu go, gdy zimą zapadnie w sen. Przejdźmy jednak do rzeczy. Powinieneś wiedzieć o pewnych wydarzeniach. Vorduvianie, Honethi ci i Horbici wtrącają się w wewnętrzne sprawy Arendii. W jego spojrzeniu pojawiła się irytacja.

- A co tym razem knują? - zapytał.

- Wkradli się w najbliższe otoczenie księcia Salerona z Mimbre i nabili mu głowę królewskimi mrzonkami. Biedny chłopiec dał się zwieść ich pochlebstwami i był już o krok od ogłoszenia się królem całej Arendii. To natychmiast na nowo rozpętałoby arendyjską wojnę domową. Zaprowadzenie pokoju w Arendii kosztowało mnie wiele wysiłku i naprawdę chcę, aby nadal panował tam spokój.

- To głupcy! - wybuchnął.

- Zgadzam się z waszą wysokością. Twoja szlachta z północy to zachłanna banda parająca się handlem bronią. Pokój w Arendii obciął im zyski, więc próbują wszcząć zamęt. Mam zamiar w związku z tym podjąć bardzo radykalne kroki i pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

- Masz zamiar najechać na północ Tolnedry? - zapytał ochoczo.

- Nie, Ranie Borune. Nie pogwałcę twych granic. Zamknę swoje. Książęta Arendii postąpią dokładnie tak, jak im powiem, więc na jakiś czas mam zamiar zamknąć całą naszą granicę z Tolnedrą.

Na te słowa pobladał jak płótno.

- Tylko na rok, wasza wysokość - zapewniłam go. - Honethici, Horbici i Vorduvianie muszą zmądrzeć. Nie zbankrutują, ale znajdą się krok od tego. Nie będzie to miało większego wpływu na sytuację Borunów, Anadilów czy Ranitów, ponieważ wy zamieszkujecie południe ziemie Tolnedry, ale z całą pewnością wpłynie na sytuację północnej Tolnedry. Mam zamiar powstrzymać ich przed wtrącaniem się w wewnętrzne sprawy Arendii. Niech trochę potłuką głowami w zamknięte granice i spróbują wyżyć bez zysków, jakie wyciskali z Arendii. Myślę, że po jakimś czasie dojdą do siebie, nie sądzisz?

- Jestem twoim dłużnikiem, Polgardo - oświadczył z niemal złośliwą radością.

- Nie rozumiem.

- Moja rodzina ma pewne udziały w handlu z Arendią. Jeśli je teraz sprzedamy, całkiem nieźle na tym zarobimy. Jeżeli zamkniesz ja granicę pomiędzy Arendią i Tolnedrą, te udziały

staną się całkowicie bezwartościowe. Zarobimy wielkie pieniądze, a rody z północy, które i tak nie należą do kręgu mych najbliższych przyjaciół, dostaną niezłe cięgi.

- Jaka szkoda - mruknęłam.

- Prawda? A ponieważ ja dowodzę legionami, moja armia będzie zbyt zajęta innymi sprawami, by gnać na północ i forsować granice Arendii.

- Czyż to nie tragiczny zbieg okoliczności? - Ran Borune i ja rozumieliśmy się bardzo dobrze.

- Proszę tylko o jedno, Polgardo, w zamian za trzymanie legionów z dala od północy.

- Proś bez skrępowania, kochany chłopcze.

- Powiadomisz mnie przed ponownym otwarciem tych granic? Może tydzień naprzód? W każdym razie na tyle wcześniej, bym zdążył wykupić większość aktywów Vorduvian, Honethitów i Horbitów. Pewnie je odstąpią dużo poniżej kosztów. Potem, gdy handel z Arendią wróci do normy, zarobię miliony.

- Zawsze pomagam przyjaciołom - oznajmiłam.

- Polgardo, kocham cię! - wykrzyknął z radością.

- Ranie Borune! - powiedziała zaszokowana. - Dopiero co się spotkaliśmy!

Wybuchł śmiechem i odtańczył taniec radości.

- Obedrę ich ze skóry, Polgardo! Wpędzę tych aroganckich bubków w długie na całe pokolenia!

- Gdy już obedrzysz ich ze skóry, nie musisz koniecznie utrzymywać w tajemnicy mego udziału w naszym przedsięwzięciu. Miło by było, gdyby wszyscy w północnej Tolnedrze wzdrygali się na sam dźwięk mego imienia.

- Zadbam o to - obiecał. Potem wskazał chory krzak róży. - Jaką rybę?

- Karpia. Karpie są duże i tłuste.

- Masz ochotę iść ze mną na ryby?

- Może innym razem. Zamknę granice za dwa tygodnie. Tyle niasz czasu na wykantowanie tych z północy.

- Wpadaj, kiedy chcesz, Polgardo. Moje drzwi zawsze stoją przed tobą otworem.

W tym momencie zmieniałam postać. Wspaniale się rozumieliśmy, ale chciałam, żeby zapamiętał, kim naprawdę jestem, go, otarłam się o jego twarz skrzydłami, po czym odleciałam.

Wiele jest sposobów zapobieżenia wojnie, ale z tego jest szczególnie dumna. Nie tylko faktycznie zrujnowałam ludzi, którzy mnie obrazili, ale także zdobyłam przyjaciela.

Arendia pozostała spokojna, a ja nawet zaaranżowałam małżeństwo, aby zatrzeć pewne różnice, które zawsze są pomocne przy wszczynaniu nowych wojen.

Był początek dwudziestego ósmego wieku, chyba około 2710 roku, gdy książęta - Gonerian z Wacune, Kanallan z Asturii i Enasian z Mimbre - wystąpili z propozycją, którą uznałam za nieco śmieszna. Oni jednak podchodzili do niej z takim entuzjazmem, że w końcu niechętnie na nią przystałam. Myślę, że sam pomysł pochodził od Erasiana, jako że Mimbraci zawsze kochali się w poezji epickiej i jej przesadzie. Postanowili ni mniej, ni więcej, tylko zorganizować turniej z udziałem szlachty ze wszystkich trzech księstw. Zwycięzca turnieju, przy założeniu, że ktoś przeżyje, zostanie moim rycerzem obrońcą.

Po co byłby mi rycerz obrońca? Jednak oni traktowali to okropnie poważnie.

- Pani - tłumaczył Erasian ze łzami w oczach - zaiste musisz mieć rycerza obrońcę, by osłaniał cię przed zniewagami i obrazami. Nieokrzesani łotrzy, spostrzegłszy, iż chronioną nie jesteś, mogliby przekroczyć granice dobrego wychowania. Oczywiście moi bracia książęta i ja natychmiast skoczylibyśmy ci z pomocą, ale zaiste mniemam - a Gonerian i Kanallan z całego serca ze mną się zgadzają - iż powinnaś mieć u swego boku niezwyciężonego rycerza, który ukarałby niegodziwca, gdyby tylko łeb swój wstrętny podniósł.

Podchodził do tego z taką powagą, że nie miałam serca wytknąć mu oczywistej bzdury. Obrońcy potrzebowałam jak trzeciej nogi. Im dłużej jednak o tym myślałam, tym bardziej dochodziłam do wniosku, że zawody sportowe mogłyby stanowić niezły substytut wojny, na wypadek gdyby ktoś tęsknił za „starymi dobrymi czasami”.

Zdecydowaliśmy, że turniej odbędzie się na polach przyległych do terenów Wielkiego Jarmarku Arendyjskiego. Dla widzów wzniesiono trybuny, wytyczono szranki, a ja przewidującą sprowadziłam cały wydział Kolegium Praktycznej Medycyny z Sulturn do opatrywania rannych.

Ponieważ turniej zorganizowano ku mojej czci, mogłam zabronić potyczek grożących ofiarami śmiertelnymi. Na przykład, stanowczo nie zgodziłam na wielką bijatykę. Było trochę marudzenia z tego powodu, ale ja uznałam, że karczemna burda z udziałem ludzi w pełnym rynsztunku może znacznie nadwerężyć możliwości naszego szpitala polowego. Zabroniłam używania toporów bojowych i stanowczo obstawałam przy stępionych kopicach. Naturalnie centralnym wydarzeniem całego turnieju były pojedynki na kopie, barwne widowisko, w czasie, którego rycerze w błyszczących zbrojach, w czerwonych, złotych lub błękitnych opończach, nacierali na siebie po soczyście zielonej murawie, próbując wysadzić przeciwnika z siodła długą kopią. A że nawet zwycięzcy przez kilka godzin zawsze dzwoni w uszach, przepletliśmy te potyczki innymi walkami, aby rycerze mieli czas na odzyskanie sił. Były

turnieje łucznicze, zawody na najdalszy i najcelniejszy strzał z katapulty dla inżynierów oraz zawody w podnoszeniu ciężarów, rzucaniu słupem i miotaniu kamieniem dla chłopów pańszczyźnianych i wolnych. Przewidywano również inne rozrywki: zonglerkę, śpiewy i tańce. Wszyscy bardzo wesoło się bawili, ale trwało to tygodniami, a ja, naturalnie, musiałam cały czas podziwiać zawodników z trybun, zastanawiając się, jakaż nagroda byłaby warta mej nadludzkiej cierpliwości. Ostatecznie, co było oczywiste od pierwszej rundy potyczek w szrankach, zwyciężył ówczesny baron z Mandor, potężny rycerz mimbracki o imieniu Mandorathan. Znałam go dobrze, ponieważ ojciec nalegał, abym miała baczenie na jego rodzinę. Najwyraźniej ojciec miał jakieś plany względem rodu Mandorów.

Polubiłam Mandorathana, gdy już przekonałam go, aby przestał padać na kolana przy każdym moim wejściu do pokoju. Człowiek w pełnej zbroi bardzo przy tym hałasuje. Zauważyłam jednak, że ogólny poziom dobrych manier bardzo się podniósł, odkąd zbrojny rycerz obrońca stał za moim fotelem i stroił groźne miny. Wiek dwudziesty ósmy był czasem pokoju i dobrobytu w Arendii. Moje księstwo kwitło również, głównie dzięki temu, iż wasale za moim przykładem zaczęli nawozić ziemię. Na terenie dzisiejszej Sendarii jest wiele jezior, wokół których rozciągają się torfowiska. Na Wyspie Wiatrów odkryłam, że torf działa cuda, gdy zmieszać go z ziemią, a jeśli sprzyjała pogoda, w mych włościach plony co rok były lepsze. Wprowadziłam nowe zboża i sprowadziłam z Algarii nowe rasy bydła. Przekopałam bibliotekę wujka Beldina w poszukiwaniu prac na temat rolnictwa - większość z nich była napisana przez uczonych z melceńskiego uniwersytetu - i wprowadziłam w swych posiadłościach najbardziej nowoczesne metody uprawy. Pobudowałam targowiska i do pewnego stopnia kontrolowałam ceny, farmerzy z mego księstwa nie byli oszukiwani przez kupców skupujących ich plony. W niektórych kręgach zdobyłam przydomek wścibskiej, ale zupełnie się tym nie przejmowałam. Matkowałam księstwu Erat i z biegiem czasu moi poddani zaczęli powiadać: „Mamuśka zajmie się wszystkim”.

Jednakże kilka posunięć „mamuśki” nie bardzo im się spodobało. Zdecydowanie obstawałam przy tym, by dbali o czystość swoich wiosek, to po pierwsze, więc robotnicy spieszący się do najbliższej karczmy po pracy złorzeczyli, że muszą najpierw poukładać swoje narzędzia. Położyłam również kres biciu żon, ulubionej rozrywce zdumiewająco licznej grupy nie tylko wieśniaków. Moje metody były bardzo bezpośrednie. Mężczyźni na tyle głupi, by bić kobietę, nie dają się przekonać słowami, więc poleciłam ich opiece posterunkowego z każdej wioski. Nalegałam przy tym, aby w trakcie wykonywania obowiązków nie łamał kości. Mężczyzna z połamanymi nogami nie może pracować w pełnym wymiarze godzin. Pamiętam jednak, że w wiosce Mid Tollin znalazł się jeden

szczególny głupek, który był tak niepojętny, że skończył z połamanymi nogami i rękoma. Potem był z niego najuprzejmniejszy mąż, jakiego widziałam.

Turniej na Wielkim Jarmarku Arendyjskim na stałe wszedł do kalendarza jako uzupełnienie spotkań Rady Arendów i myślę, że w znacznym stopniu ułatwił utrzymanie pokoju w Arendii. Jednakże pod koniec wieku do władzy w Asturii doszedł ród Orimanów i stosunki pomiędzy czterema księstwami zrobiły się bardzo napięte. Orimanie byli bardzo zachłanni, ambitni i pozbawieni wszelkich skrupułów. Pierwszym księciem z rodu Orimanów był Garteon, człowieczek o szczurzym wyglądzie, który uważał się za spryciarza. Zaczął wynajdywać wymówki dla nieuczestniczenia w spotkaniach Rady Arendów. Po trzeciej z kolei nieobecności postanowiłam z nim porozmawiać. Moim rycerzem w tym czasie był jeden z moich własnych baronów, Torgun, ogromny mężczyzna, z pochodzenia Alorn. Pojechalismy do Vo Astur, a baron Torgun dał do zrozumienia, że posieka wielu ludzi, jeśli natychmiast nie zostaniemy zaprowadzeni przed oblicz księcia Garteona. Czasami dobrze jest mieć Alorna u boku. Obludny Garteon przywitał mnie ze służalczym uśmiechem i zaczął przeproszać za swe powtarzające się nieobecności. „Słyszałeś może przypadkiem o „dolegliwości Nerasina”, wasza miłość? - przerwałam mu. - Masz wszystkie objawy początków tej choroby. Jestem wykształconym medykiem i potrafię rozpoznawać tę dolegliwość. Dołóż wszelkich starań i weź udział w przyszłorocznym spotkaniu Rady Arendów. Książę Nerasin uznał zwijanie się podłódze i wymiotowanie krwią za wielką uciążliwość. Garteon bardzo popłdł.

- Będę tam, lady Polgardo - obiecał. Najwyraźniej bóle brzucha Nerasina zostały już włączone do asturiańskich opowieści ludowych.

- A zatem będziemy cię oczekiwać - powiedziałam stanowczym tonem.

- Szkoda, że nie pozwoliłaś go rozłupać, pani - mruknął Torgun, gdy opuściliśmy Vo Astur.

- Powinniśmy zachowywać się jak ludzie cywilizowani, baronie - odparłam. - Cywilizowani ludzie nie rąbią swych sąsiadów na kawałki. Myślę, że Garteon mnie zrozumiał. Jeśli nie stawi się na spotkanie przyszłego lata, przy następnej pogawędce będę bardziej stanowcza.

- Czy naprawdę potrafisz sprawić, by człowiek zaczął pluć krwią?

- zapytał z ciekawością Torgun.

- Jeśli mi się to przyda, tak.

- Po co zatem ja ci jestem potrzebny?

- Przyjemniej się podróżuje z tobą niż w samotności, mój drogi Torgunie. Jedźmy prędzej. Już prawie czas żniw, wiele spraw wymaga mojej uwagi.

Kilka lat później Garteona z Asturii wyrzucili przez okno baronowie. To jedna z ujemnych stron mieszkania w pałacu z wysokimi wieżami. Zawsze istnieje możliwość „przypadkowego” wypadnięcia możliwości okna siódmego piętra na brukowany dziedziniec.

Jego syn, również Garteon, był chyba jeszcze większym łajdakiem od ojca. Asturia zaczynała przysparzać kłopotów. Wkroczyliśmy w wiek trzydziesty, a ja uprzytomniłam sobie, że manipuluję wewnętrznymi sprawami Arendii już od sześciuset lat. Szczerze mówiąc, nawet sprawiało mi to przyjemność. Arendowie pod wieloma względami przypominają dzieci i zwykli traktować mnie jak dobrego rodzica. Uzgadniali ze mną wszystkie ważniejsze posunięcia i dzięki temu mogłam zapobiec różnego rodzaju katastrofom.

Wiosną 2937 roku powiadomiłam pozostałych władców Ardenii, że następca Torguna, mimbracki rycerz Anclasin, posunął się bardzo w latach i zaczął tracić słuch. Co więcej, ma sporo wnucząt w Mimbri i bardzo pragnąłby spędzać z nimi więcej czasu. Był dobrym rodzicem, ale człowiek tak naprawdę jest szczęśliwy dopiero będą dziadkiem.

To oczywiście wywołało podniecenie w związku ze zbliżającym się turniejem. Jego zwycięzca, zawsze nazywany „największym rycerzem wszech czasów”, miał zostać nagrodzony wątpliwą przyjemnością życia pod moim pantoflem przez następne kilka dziesięcioleci. Tego lata przyjechałam na jarmark kilka dni wcześniej. Mój zarządca, jeden z potomków Killane, powęszył trochę i przyniósł mi niepokojące wieści. Wyglądało na to, że jakiś przedsiębiorczy kupiec drasnianki przyjmował zakłady o wynik turnieju. Jeśli ktoś ma ochotę tracić w ten sposób pieniądze, to nie moja sprawa. Nie chciałam jednak, aby ktoś zaczął mieszać się w bieg wydarzeń i wcześniej ustalać zwycięzcę. Rozmówiłam się dość ostro z Drasnianinem, ustalając kilka zasad dla jego przedsięwzięcia. Zasady były bardzo proste: żadnych łapówek, żadnego grzebania przy rynsztunku, żadnych egzotycznych ziół w pożywieniu uczestników turnieju lub ich koni. Przedsiębiorca opuszczał mój namiot ze zboląłą twarzą. Najwyraźniej pokrzyżowała mu jakieś plany. Na turniej można spojrzeć jak na proces, w którym wypala się szlakę, aż pozostanie tylko prawdziwe złoto. Może to nieco obraźliwe porównanie dla tych, którzy kończą na stercie szlaki, ale życie bywa twarde. Turniej ciągnął się przez kilka tygodni i w końcu pozostało tylko dwóch zawodników, Lathan i Ontrose, wacuńscy szlachcice, przyjaciele z dzieciństwa księcia Andorina. Baron Lathan był potężnie zbudowanym zawadiaką o blond włosach, hrabia Ontrose zaś, czarnowłosa, niebieskooki, miał lepsze wykształcenie i większą ogładę. Znałam obu od kołyski i dość ich lubiłam. Prawdę powiedziawszy, byłam nieco zaskoczona, że kulturalny hrabia Ontrose zaszedł aż tak daleko w zawodach, w których liczyła się głównie brutalna siła. Finałowy

pojedynek odbył się w letni poranek, gdy białe korzuszki chmurek skakały niczym owieczki po błękitnym pastwiskach. Widzowie zebrani wokół szranków kręcili się niespokojnie, dopóki fanfary nie oznajmiły początku „widowiska”. Zasiadłam na królewskim tronie, a obok mnie Andrion z Wacune, Garteon z Asturii i sędziwy Moratham z Mimbre. Wówczas podjechali obaj przyjaciele odebrać moje błogosławieństwo i wysłuchać ostatnich instrukcji. Zatrzymali rumaki i pochyłili kopie przede mną w salucie. Tego typu hołdy potrafią uderzyć pannom do głów, jeśli się dobrze nie pilnują. Moje instrukcje były stosownie do okazji kwieciste, natomiast zakończyłam dość praktyczną uwagą:

- Nie zróbcie sobie krzywdy.

Rozjechali się przy dźwięku fanfar i zajęli pozycje na przeciwnych końcach szranków. W formalnym pojedynku szranki przedzielone są solidną, wysoką po pas poręczą, która, jak sądzę, miała zapobiegać zranieniu koni w czasie walk. Potyczki w szrankach to doprawdy prosta gra. Każdy z rycerzy próbuje wysadzić z siodła przeciwnika stępioną, długą na dwadzieścia stóp kopią. Nierozstrzygnięte walki nie należą do rzadkości, a jeśli obaj rycerze wylądują na ziemi, dosiadają ponownie koni i próbują jeszcze raz. To bardzo hałaśliwe widowisko, które zwykle dostarcza sporo zajęć miejscowym nastawiaczom kości.

Na tradycyjny sygnał rogu obaj opuścili przyłbice, pochyłili kopie i ruszyli na siebie z dudniącym tętentem kopyt. Kopie trafiły na solidne tarcze i jak zwykle, obie połamały się na drzazgi. Turniejowe potyczki powodują poważne przerzedzenie pobliskich lasów.

Obaj zawrócili konie i odjechali na początkowe pozycje.

Ontrose śmiał się wesoło, ale Lathan spoglądał na przyjaciela z wyrazem szczerzej nienawiści. Wydawało się, że baron Lathan zapomniał, o co w tym wszystkim chodzi. Potyczki w szrankach miały być rodzajem sportowych zawodów, nie pojedynkiem na śmierć i życie. Poprzednich turniejach na ich wynik czekałam obojętnie, ale tym razem było inaczej. Moi poprzedni „rycerze obrońcy” nie wprowadzili większego niepokoju w moje życie. Byli jedynie dodatkiem do zajmowanej przeze mnie pozycji. Tym razem miałam niepokojące przeczucie, że w razie zwycięstwa barona Lathana będę miała później problemy. W arendyjskiej literaturze aż się roi od opowieści. O stosownych relacjach pomiędzy wysoko urodzonymi damami a ich rycerzami. Drugie starcie nie przyniosło rozstrzygnięcia podobnie jak pierwsze a gdy przeciwnicy pojechali po raz trzeci zająć pozycje w oczach Lathana czaiła się żądza śmierci.

W tym momencie postanowiłam „podjąć kroki”, sprawy znalazły się za daleko.

- Nie, Pol - szepnęła głos matki. - Nie wtrącaj się.

- Ale...

- Rób, jak powiedziałam! - Matka nigdy nie przybierała takiego tonu i posłuchałam natychmiast. Zwolniłam zbieraną Wolę.

Jak się okazało, Ontrose wcale nie potrzebował mojej pomocy Baron Lathan tak dał się ponieść wściekłości, że w trzecim starciu zapomniał o właściwym ustawieniu tarczy i runął na ziemię z donośnym łoskotem.

- Nie! - zawył, a jego głos przepełniał żal i poczucie niewypowiedzianej straty.

Hrabia Ontrose ostro wstrzymał rumaka, zeskoczył z siodła i pośpieszył do przyjaciela.

- Azaliś nie ranion? - dopytywał się, klękając przy Lathanie. - Azalim cię nie ranił?

Nie sprzeciwiłam się w zasadzie zakazowi matki, tylko wysłałam szybką, badającą myśl ku powalonemu baronowi. Dyszał ciężko, ale to było całkiem naturalne. Wysadzenie z siodła w czasie turnieju niemal zawsze zapiera człowiekowi dech w piersi.

Podbiegli medycy, a sprawiali wrażenie bardzo zatroskanych. Stalowa zbroja barona Lathana była tak mocno wgnieciona na piersi z lewej strony, że prawie uniemożliwiała oddychanie. Jednak gdy tylko medycy uwolnili rycerza ze zbroi, zaczął oddychać normalnie, a nawet pogratulował przyjacielowi zwycięstwa. Potem medycy odwieźli go do punktu opatrunkowego.

Hrabia Ontrose ponownie dosiadł rumaka bojowego i podjechał, by odebrać nagrodę, którą w tym przypadku byłam ja. Pochylił kopię przede mną, a ja, zgodnie z tradycją, przywiązałam do jej końca błękitną wstążkę, znak mej „przychylności”.

- Teraz prawdziwie jesteś moim rycerzem - wyrecytowałam oficjalnym tonem.

- Dziękuję waszej miłości - odparł melodyjnym barytonem. - Niniejszym ślubuję ci dożgonne oddanie.

Pomyślałam, że to bardzo miłe z jego strony.

Ontrose, teraz „najpotężniejszy z żyjących rycerzy”, należał do tego rzadkiego rodzaju ludzi, którzy są doskonali we wszystkim, za co się wezmą. Był filozofem, miłośnikiem róż, poetą i pierwszorzędnym lutnistą. Maniery miał znakomite, a w szrankach nikt mu nie dorównał. Był absolutnie wspaniały! Wysoki, szczupły, umięśniony. Cerę miał bardzo jasną, ale włosy kruczoczarne. Jego ogromne wyraziste oczy o kolorze ciemnego szafiru całemu pokoleniu arenskich pań od wielu lat odbierały spokojny sen. A teraz on był mój. Oczywiście po turnieju odbyło się oficjalne zaprzysiężenie. Arendowie uwielbiają uroczystości. Trzej książęta, wystrojeni isticie o królewsku, przyprowadzili bohatera przed moje oblicze i oficjalnie zapytali czy akceptuję tego pięknego młodzieńca. Cóż za absurdalne pytanie. Wyrecytowałam krótką formułkę, która czyniła z hrabiego Ontrose mego rycerza obrońcę, a potem on przyklęknął, aby przysiąc mi dożgonną wierność i ofiarując ku mej

obronie potęgę swych ramion. Baron Lathan brał udział w uroczystości z lewą ręką na temblaku, gdyż przy upadku z siodła zwichnął sobie bark. Twarz miał bardzo bladą i w czasie całej uroczystości w oczach błyszczały mu łzy. Niektórzy zawodnicy po prostu nie potrafili znieść przegranej. Jeszcze raz oficjalnie pogratulował hrabiemu Ontrose zwycięstwa, co mnie bardzo ucieszyło. Zdarzało się, że przegrany w turnieju wypowiadał wojnę zwycięzcy. Latahan i Ontorse byli przyjaciółmi i to najwyraźniej nie uległo zmianie.

Jakiś czas zabawiliśmy jeszcze na jarmarku, po czym wróciliśmy do Vo Wacune, gdzie Ontrose zamieszkał w mej miejskiej rezydencji.

Z początkiem jesieni pojechałam wraz z nim na północ, aby mój rycerz mógł zapoznać się ze wszelkimi osobliwościami księstwa Erat.

- Upředzono mnie, wasza miłość, iż w granicach twych włości pańszczyzna zniesioną została i przyznać muszę, iż fakt ten uznałem za bardzo intrygujący. Wyzwolenie tych, którzy stoją na najniższym szczeblu społecznej drabiny, jest czynem zaiste wielce szlachetnym, azali trudno pojąć mi przychodzi, jakim sposobem ekonomia twego księstwa, pani, nie załamała się. Proszę zatem, objaśnij mi naturę cudu tego.

Nie byłam pewna, czy jego edukacja zboczyła na zawile ścieżki ekonomii, ale spróbowałam mu wyjaśnić, czemu moje księstwo prosperowało pomimo zniesienia pańszczyzny. Byłam mile zaskoczona, bo szybko pojmował pewne koncepcje, których wyjaśnienie tępym wasalom zajęło mi całe pokolenie.

- Krótko mówiąc, pani, wrażenie mam, iż księstwo tve nadal wspiera się na byłych chłopach pańszczyźnianych, aczkolwiek w tym przypadku nie tyle na ich pracy, ile raczej na zarobkach. Jedno pewnym się zdaje, teraz mogą kupować dobra, które pierwiej nieosiągalne dla nich były. Kupcom powodzi się znakomicie, a ich udział w podatkach ulżył brzemieniu spoczywającemu na właścicielach ziemskich, twych wasalach, pani. Dobrobyt byłych chłopów pańszczyźnianych jest podstawą, na której wspiera się gospodarka całych twych włości.

- Ontrose, jesteś prawdziwym skarbem - powiedziałam. - W jednej chwili pojąłeś to, czego nie udało się zrozumieć niektórym z mych wasali przez sześćset lat.

- To tylko prosta matematyka, wasza miłość - odparł, wzruszając ramionami. - Zaiste po groszu od wielu to daleko więcej niż po złotym dukacie od kilku.

- Zgrabnie to ująłeś, Ontrose.

- Mnie też się podoba - przyznał skromnie.

W trakcie naszej podróży na północ rozmawialiśmy o wielu sprawach i stwierdziłam, że mój rycerz jest bystry i błyskotliwy. Miał również nietypowo dworne maniery, w czym bardzo przypominał mego drogiego przyjaciela Kamiona z Wyspy Wiatrów.

Moja rezydencja wywarła na nim stosowne wrażenie, miał też dość zdrowego rozsądku, aby zaprzyjaźnić się z następcami krewnych Killane. Co więcej, jego entuzjazm dla róż niemal dorównywał memu. Rozmowa z nim była rozkoszą, jego improwizowane koncerty na lutni - często przy tym śpiewał aksamitnym barytonem - wzruszały mnie do łez, a jego zdolność do pojmwania zawyłych zagadnień filozoficznych ciągle mnie zdumiewała.

Przyłapałam się na tym, że w myślach Ontrose stawał się dla mnie kimś więcej niż przyjacielem. Wówczas wkroczyła matka.

- Polgardo - usłyszałam pewnej nocy jej głos - to nie jest stosowne.

- Co nie jest stosowne?

- Twoja rosnąca namiętność. To nie jest mężczyzna dla ciebie - Ta dziedzina twego życia jest nadal odległą przyszłością.

- Nie, matko, nie jest. To, co nazywasz „tą dziedziną mego życia” nadejdzie wtedy, gdy uznam, że na to czas, i ani ty, ani nikt inny nic na to nie będzie w stanie poradzić. Mam już dość słuchania innych to jest moje życie i przeżyję je tak, jak uznam za stosowne.

- Próbowałam ci oszczędzić wielu strapień.

- Nie kłopotz się, matko. A teraz, jeśli pozwolisz, chciałabym się trochę przespać.

-Jak sobie życzysz, Pol - odparła i zaraz uczucie jej obecności mnie opuściło.

No cóż, oczywiście zachowałam się niegrzecznie. Zdałam sobie z tego sprawę, nim jeszcze skończyłam mówić. Do tego typu konfrontacji staje każdy, jednakże zwykle zdarza się to nieco wcześniej. Rano było mi wstyd, a z czasem coraz bardziej żałowałam swej dziecinnej reakcji. Obecność matki zawsze była zasadniczym elementem mego życia, a głupim wybuchem wzniosłam pomiędzy nami mur, którego rozbicie zajęło całe lata.

Nie chciałam spłycać tego, co czułam do hrabiego Ontrose, nazywając to namiętnością. Muszę jednak przyznać, że życie prywatne odciągało moją uwagę od kwestii politycznych. W Asturii drugi Garteon został zastąpiony przez trzeciego. Garteon ten był jeszcze większym nicponiem niż jego ojciec i dziadek, a wrogość kierował głównie przeciwko Wacune. Dość oczywiste było, że Wacune i Erat łączą ścisłe więzy. Ród Orimanów najwyraźniej uznał, że moje księstwo nie przetrwa bez wsparcia Wacune. Niechęć Asturian do mnie osobiście łatwo było zrozumieć, jej korzenie sięgały zapewne jeszcze czasów księcia Nerasina. W końcu ukarałam dla przykładu sporą liczbę asturiańskich książąt w ciągu stuleci. Jednakże asturiańscy Arendowie przegapili fakt, iż wielu wacuńskich i mimbrackich Arendów równie

stanowczo przywoływałam do porządku. Asturianie woleli traktować mnie jak dziedzicznego wroga, który czai się w cieniu, wyczekując okazji, by pokrzyżować wszystkie ich spiski.

Wydarzenia, do których w końcu doszło w północnej Arendii, spowodowane były głównie tym, że książę Moratham z Mimbre był już dobrze po osiemdziesiątce. Jego tak zwani doradcy nie mieli żadnych skrupułów. A ponieważ zgrzybiały Moratham podpisywał wszystko, co mu podsuwali, w rzeczywistości to oni władali Mimbre. Garteton z Asturii dostrzegł w tym szansę dla siebie i, mówiąc bez ogródek, zaczął skupować mimbrackich szlachciców na pęczki.

Powinam zwrócić na to baczniejszą uwagę. Ogromna część cierpienia, jakiego doznałam z powodu wydarzeń w Wacune, płynęła stąd iż przynajmniej po części było to moją winą.

Spotkanie Rady Arendów w 2940 było spokojne, a nawet nudne. Moratham większość czasu przespał i nie działało się nic na tyle podniecającego, żeby obudzić. Zaproponowałabym ustanowienie regencji, ale jedyny pozostały przy życiu syn Morathama nie był odpowiedni do przejęcia władzy. Bardzo poważnie podchodził do swych przywilejów, ale niewiele robił sobie z obowiązków. Po naszym powrocie do Vo Wacune odwiedził mnie ojciec.

Byłam w ogrodzie różanym, gdy pokojówka przyprowadziła do mnie. Znałam ojca dobrze i wiedziałam, że nieraz węszył w okolicy w ciągu tych dwóch wieków od naszego ostatniego spotkania ale najwyraźniej nie dopatrywał się żadnego powodu do narzekań, wie się nie wtrącał.

- Miło cię widzieć, Stary Wilku - powitałam go. - Co porabiałeś?

- To i owo, Pol - odparł.

- Czy świat nadal jest w jednym kawałku?

- Mniej więcej - odparł ze wzruszeniem ramion. - Musiałem go w kilku miejscach polatać, ale obyło się bez większych katastrof. Ostrożnie ścięłam jedną z moich ulubionych róż i podałam ojcu.

- Zechciej na to spojrzeć - powiedziałam. Ledwie na nią zerknął.

- Bardzo ładna - powiedział obojętnie.

- Bardzo ładna?! Tylko tyle?! Ona jest absolutnie piękna, ojczu. Ontrose ją dla mnie wyhodował.

- Kto to jest Ontrose?

- To mój rycerz, ojczu. Strzeże mego honoru i karze każdego, kto mnie obrazi. Byłbyś zdumiony, jak uprzejmi są dla mnie ludzie, gdy on jest w pobliżu. - Postanowiłam mówić bez

ogródek. -Tak się składa, że jest również mężczyzną, którego zamierzam poślubić, gdy tylko mnie poprosi o rękę.

Ojciec umiał podejść mnie z właściwej strony.

- Ciekawe - rzekł bez emocji. - Poślij po niego, to się poznamy.

- Nie pochwalasz moich zamiarów?!

- Tego nie powiedziałem, Pol. Powiedziałem jedynie, że go nie znam. Jeśli myślisz o tym poważnie, to on i ja powinniśmy się poznać. Czy jednak dokładnie wszystko rozważyłaś? Zanalizowałaś ujemne strony?

- Jakie ujemne strony?

- Po pierwsze, jest między wami spora różnica wieku. Hę on ma lat?

- Jest dorosły, ojczu. Ponad trzydzieści.

- To ładnie, ale ty masz z dziewięćset pięćdziesiąt.

- Dziewięćset czterdzieści, dokładnie. A jakie to ma znaczenie - Ojciec westchnął.

- Przeżyjesz go, Pol. Ani się obejrzyysz, a on już się zestarzeje.

- Ale będę szczęśliwa, ojczu... chyba że nie mam prawa do żadnego szczęścia?

- Ja tylko zwracam ci na to uwagę. Zamierzacie mieć dzieci?

- Oczywiście.

- To nie jest najlepszy pomysł. Twoje dzieci dorosną, zestarzeją się i umrą. Ty nie. Przeżyjesz ponownie tragedię jak po śmierci Beldaran, co niemal i ciebie zabiło, o ile dobrze sobie przypominam.

- Może gdy wyjdę za mąż, zacznę żyć normalnie. Może ja również się zestarzeję.

- Nie liczyłbym na to, Pol. Kodeks Mriński ma wiele do powiedzenia o tobie i o tym, co będziesz robić.

- Nie mam zamiaru opierać swego życia na bełkocie szaleńca, ojczu. Ty się przecież ożeniłeś, prawda? Skoro to było dobre dla ciebie, z pewnością i dla mnie będzie dobre. - Rozmyślnie przemilczałam fakt, że moja matka nie jest przeciętną kobietą. - Może gdy Ontrose mnie poślubi, jego życie również się wydłuży.

- A dlaczego miałyby się wydłużyć? On jest zwyczajny, ty nie. Jednakże jemu życie może wydawać się dłuższe. Nie należysz do łatwych we współżyciu, Pol. Jeśli Ontrose nie jest święty, zapewne pokosztuje twych humorków.

- Nie wtykaj nosa w moje sprawy sercowe, staruszku.

- Proszę, Pol. Nie szafuj tak określeniem „sprawy sercowe”. Działa mi to na nerwy.

- Wiesz, gdzie jest brama, ojczu. Skorzystaj z niej teraz. - Na tym mniej więcej skończyła się nasza rozmowa.

Tajna Rada przy księciu Andrionie z Wacune zebrała się pewnego pogodnego popołudnia w jednej z pałacowych wież. Dywany i zasłony w sali konferencyjnej były w odcieniu głębokiego brązu, co miło kontrastowało z marmurowymi ścianami, a masywne meble tworzyły w komnacie atmosferę solidności.

- Zaiste, wraz z upływem czasu nasze możliwości wyboru coraz mizerniejszymi mi się zdają - powiedział posepnie książę Andrion, który niedawno wstąpił na tron Wacune. Moja obecność na spotkaniu Tajnej Rady w Vo Wacune mogłaby się wydawać nieco dziwna, ale wiele lat temu zadbałam, aby wejść w skład wszystkich czterech Tajnych Rad Arendii. Wołałam mieć pewność, że arendyjscy książęta nie uczynią niczego znaczącego bez mojej zgody.

- W rzeczy samej, wasza miłość - przyznał swemu księciu rację Ontrose. - Ród Orimanów od lat pożąda naszego zniszczenia. Lękam się, iż wojna jest nieuniknioną.

- Zawsze znajdzie się inne wyjście, panowie - powiedziała stanowczo. - Nerasin był równie wielkim nicponiem, jak następujący jeden po drugim Garteonowie, a udało nam się przywołać go do rozsądku.

- Ród Orimanów ma nie więcej rozsądku niż honoru, lady Polgardo - zapewnił baron Lathan. Otrząsnął się już z porażki w czasie turnieju. - Asturia raz jeszcze musi ujarzmioną zostać, jeśli pokój wa być zachowany.

- Postarajmy się tego uniknąć, lordzie Lathanie - zasugerowałam. - Pozwólcie mi pojechać i porozmawiać z Garteonem, nim ogłosicie mobilizację. Wojna to poważny cios dla budżetu.

- O tak! - gorliwie mnie poparł Andrion.

- Nie możesz - powiedziała stanowczo, rzucając spojrzenie na hrabiego Ontrose.

- Zaprawdę nie pojmuję znaczenia słów waszej miłości - przyznał. - Nie możesz ze mną jechać, Ontrose. Mam zamiar rozmówić się z Garteonem w słowach, których nie powinieneś słyszeć z mych ust.

- Nie dozwolę, pani, abyś bez eskorty jechała.

- Nie dozwolisz? - zapytałam złowieszczo.

- Może nie najszcześliwiej to sformułowałam...

- Bardzo nieszczęśliwie, Ontrose. Jesteś poetą, więc nie powinny przydarzać ci się takie językowe potknięcia. - Położyłam czule dłoń na jego ręce. - Tylko się z tobą drażnię, Ontrose.

- Potem spojrzałam na księcia Andriona. - Pozwól mi porozmawiać z Garteonem, nim rozpoczniesz mobilizację, wasza miłość. Jego dziadek odzyskał rozum po rozmowie ze mną. Ufajmy, że odrobina zdrowego rozsądku jeszcze pozostała w rodzinie.

Baron Lathan chciał zaprotestować.

- Przecież możemy zmobilizować armię, jeśli mi się nie powiedzie, baronie - powiedziałam. - Wrogość rodu Orimanów jest skierowana na mnie, nie na Wacune. Od dawna krzyżuję spiskowe plany Asturian i mam zamiar dalej tak robić. Wacune i Erat są jak brat i siostra, więc Garteon wie, że jeśli zaatakuje Wacune, ja zaatakuję jego. Wciągnięcie mnie do wojny jest zapewne jego głównym celem. Skoro zaś w istocie jest to waśń między mną a Garteonem, to najlepiej będzie, jeśli załatwimy to w prywatnej pogawędce.

- Bądź nam przewodnikiem, wasza miłość - powiedział Andrion.

- Mądra decyzja, wasza miłość - pochwaliłam go.

Udałam się do Asturii drogą powietrzną i prawie tydzień wędzyłam wokół Vo Astur, ale nie znalazłam nawet śladu Garteona. Krążyłam nie zauważona po szarych korytarzach w nadziei na znalezienie jakichś wskazówek co do miejsca jego pobytu, ale wydawało się, że asturiańska szlachta nie ma absolutnie pojęcia, gdzie książę się znajduje. Poleciałam, aby rozejrzeć się po posiadłościach innych członków rodu Orimanów, ale nie było go w żadnej z nich. Posunęłam się nawet do węszenia w obozowiskach wyrzutek w Puszczy. Nigdzie nie znalazłam nawet śladu Garteona. Najwyraźniej książę Asturii schował się w jakiejś dziurze, nikt nie znał miejsca Jego pobytu. Ponieważ Arendowie nie potrafią dochować tajemnicy dłużej niż kilka godzin, zaczęło mi w tej sprawie mocno cuchnąć Grolimem.

Nie byłam w najlepszym nastroju, gdy w końcu poddałam się poleciałam z powrotem do Vo Wacune, aby powiadomić przyjaciół w pałacu o swym niepowodzeniu. Po dyskusji posepnie przyznałam, że należy ogłosić mobilizację.

- Będę jednak nadal próbowała, panowie - zapewniłam. - wcześniej czy później Garteon musi wyjść z ukrycia. Rozdrażnił mnie i chcę z nim o tym porozmawiać... trochę dłużej.

Potem Ontrose odprowadził mnie do domu i zjedliśmy kolację we dwoje. Jediną dobrą stroną niepowodzenia mej misji w Vo Astur było to, iż mój rycerz się przekonał, że nie jestem wszechmocna. Po kolacji przeszliśmy do ogrodu różanego. Potrzebowałam spokoju tego zakątka, by ukoić nerwy.

- Wyczuwam twe niezadowolenie, pani - powiedział ze współczuciem Ontrose.

- To trochę więcej niż niezadowolenie, przyjacielu - odrzekłam z kwaśną miną. - Najwyraźniej zbyt łatwo przychodziły mi sukcesy i niepowodzenie bardzo nadweręża moją opinię o samej sobie.

Ontrose uśmiechnął się lekko, ale potem westchnął.

- Obawiam się, iż nazajutrz, za twym przyzwoleniem, pani, będę musiał udać się na północ, do twych posiadłości. Wacune mobilizuje swe wojska, zatem Erat musi pójść w jego ślady. Mając dwie armie niewiele się lękam obecnych nieprzyjemności.

- Wypiszę ci pełnomocnictwo, które przedstawiś zarządcy w Erat, Malonowi Killane. Otworzy ci mój skarbiec. Proszę, obchodź się z moimi ludźmi łagodnie, drogi Ontrose. Dobrze ich karm i wyćwicz, by mogli się sami bronić.

- Jesteś dla twych sług jak matka, pani.

- Na to wygląda - przyznałam ze wzruszeniem ramion. - Skoro nie mam własnych dzieci... ale w to nie wnikajmy. Wtem dostrzegłam na niebie znajomy kształt.

- Spóźniłeś się - powiedziałam.

- Ja? - zapytał Ontrose ze zdumieniem.

- Mówiłam do swego przyjaciela tam, na niebie. - Wskazałam plamkę światła komety na tle gwiazd rozsianych na aksamicie nocnego nieba. - Zwykle pojawia się pod koniec zimy, a teraz jest przecież jest lato.

- Widywałaś już to cudo wcześniej? - zapytał.

- Wiele razy, Ontrose, wiele razy. - Szybko policzyłam w pamięci. - Trzyście. Miałam czternaście lat, gdy widziałam komety po raz pierwszy. Przybywa z wizytą co siedemdziesiąt jeden lat. Ontrose również policzył w myślach i szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

- Niech cię to nie trwoży - powiedziałam. - Ludzie w mej rodzinie są długowieczni, to wszystko. To nasza dziedziczna cecha, jak u innych ciemne włosy czy długi nos.

- Mniemam jednak, iż niedbałe skwitowanie dziewięciu wieków życia jako zwykłej rodzinnej osobliwości znacznie rozszerza granice tego określenia, lady Polgardo.

- Sekret długowieczności polega na tym, by nigdy nie próżnować, i oczywiście unikaniu walk z silniejszymi od siebie. - Cofnęłam się myślami w czasie. - Zdaje mi się, że moje czternaste lato życia spędziłam na Drzewie - wspominałam. - Posprzeczałyśmy się z siostrą i uciekłam z domu. Mieszkałam na Drzewie przez kilka lat, aby ją ukarać. - Roześmiałam się. - Dzieci czasami potrafią być zabawne.

- Masz siostrę? Nie słyszałem o tym.

- Siostrę bliźniaczkę. Umarła... wiele, wiele lat temu. Miała na imię Beldaran. Była o wiele piękniejsza ode mnie.

- Nie mów tak, pani! Jesteś największą piękną tego świata, co dowiodę każdemu na tyle głupiemu, aby kłam moim słowom zadać.

- Pochlebco - powiedziałam, czule dotykając jego policzka.

- Zaprawdę nie pochlebstwo to, pani.

- Z pewnością wtedy nikt nie uznałby mnie za ładną. Moja siostra była tak piękna, że po prostu dałam za wygraną i zupełnie nie dbałam o siebie. Chodziłam niezbyt czysta, chyba że ulewa zmyła ze mnie brud. Po zaręczynach mej siostry doprowadziłam się do porządku. Miałyśmy wówczas po szesnaście lat. Moja siostra zaręczyła się z Riwą, królem Wyspy Wiatrów. Po przyplynięciu do jego królestwa przez pewien czas zabawiałam się łamaniem serc.

- Przyznać muszę, iż nie podążam za twymi myślami, pani - wyznał Ontrose.

- Czyżbyś był aż tak niewinny? - roześmiałam się. - Przecież tym właśnie zajmują się młode panny, nie wiedziałeś? Wkładamy najładniejsze sukienki, robimy ujmującą minkę, a potem ruszamy na wojnę - Naszymi wrogami są wszystkie inne ładne dziewczęta w okolicy, Polem bitwy zaś serca wszystkich młodzieńców w zasięgu wzroku. - Spojrzałam na niego spod oka. - Miej się na baczności w moim towarzystwie kochany chłopcze - przestrzegłam go. - Potrafiłabym ci złamać serce jednym trzepotem rzęs.

- Po cóż miałabyś łamać to, co już w pełni twym jest, pani? - pytał, a ja wyczułam podstęp w jego starannie sformułowanym pytaniu. Ontrose wcale nie był taki niewinny, na jakiego wyglądał. Nai wyraźniej nie patrzył już na mnie jak na instytucję. Zdecydowanie czyniliśmy postępy.

- Strzeż się, mój rycerzu, bo z całym swym arsenałem ruszę na twe bezbronne serce. Broń się najlepiej, jak potrafisz. Wydawał się chyba trochę zaskoczony moim tonem.

- Chciałabyś wykorzystywać swe nieuczciwe przewagi wobec mnie, lady Polgardo? - zażartował. - Fe! Wstydz się! Azali zmuszony teraz będę jednocześnie bronić twego księstwa przed Asturianami i swego serca przed twym niewysłowionym czarem? Asturian się nie lękam, jednakże twierdza serca mego już runęła. Nieuchronnie muszę skapitulować i oddać się w miłą niewolę, którą mi proponujesz.

Położyłam mu dłoń na ramieniu.

- Dobrze ujęte, panie - pochwaliłam go. - W rzeczy samej, dobrze powiedziane. Porozmawiamy o tym niebawem. Ujął mą dłoń i delikatnie ucałował. Trochę to było kwieciste. Oczywiście panie, które przeczytają te słowa, zrozumieją, ale nie sądzę, aby mężczyznom to się udało. Nic nie szkodzi, najważniejsze, żeby ktoś w ogóle rozumiał.

Pokój, który narzuciłam Arendii, udawało się utrzymać dzięki temu, że w przypadku oznak niesubordynacji ze strony jednego z księstw, pozostałe trzy tworzyły przymierze i ukrócały tę samowolę. Istota problemu tym razem tkwiła w starczej niedołężności księcia Morathama z Mimbre. Był pod opieką pielęgniarki, która niańczyła go jak dziecko. Księstwem zarządzała grupa szlachciców, których bardziej interesowało wzajemne

wykluczanie się z gry niż dobro Arendii. Kilkakrotnie próbowałam wyjaśnić im realia arendyjskiej polityki i korzyści płynące dla nas wszystkich z zachowania pokoju, ale byli zbyt krótkowzroczni, by cokolwiek z tego zrozumieć. Pewnie gdyby stolica mieściła się w centrum Mimbre, dałoby się z nimi dojść do ładu. Vo Mimbre znajdowało się jednak niemal na południowej granicy Arendii, co sprawiało, że wydarzenia w trzech północnych księstwach równie dobrze mogłyby się rozgrywać na drugiej stronie księżycy. Pomimo moich największych wysiłków Mimbre zdystansowało się od pozostałych księstw, zajmując pozycję ścisłej neutralności. Miałam pewne wątpliwości co do źródła tej polityki Mimbratów. W zachodnich królestwach często traktowano nasze przekonanie, że Angarakowie są winni większości niepokojów rodzących się po stronie Wschodniego Szańca, za rodzaj obsesji. Może rzeczywiście zbyt pośpiesznie zwałaliśmy winę na Angarków, ale w przypadku Arendii nasze podejrzania były w pełni uzasadnione. Arendia zawsze stanowiła klucz w angarakich planach siania niepokojów na zachodzie. Ctuchik żywił przekonanie, że jeśli uda mu się wywołać zamieszki w Arendii, wkrótce cały zachód stanie w płomieniach. Niestety, Arendia zawsze była hubką, na którą wystarczyło spojrzeć, aby zajęła się ogniem. Ontrose pojechał na północ, aby dopilnować mobilizacji moich ludzi. Tęskniłam. Marzyłam o nim każdej nocy i myślałam niemal każdej chwili po przebudzeniu. Często podróżowałam po swym księstwie, prawdę powiedziawszy częściej, niż to było konieczne, ale w końcu byłam księżną Erat. Czyż nie było moim obowiązkiem osobiście wszystkiego dojrzeć? Armie Wacune i Erat tak naprawdę nie były oddzielnymi armiami, ponieważ oba nasze księstwa były bardzo ściśle z sobą powiązane. Baron Lathan dowodził siłami Andriona, a Ontrose moimi, ale poważniejsze strategiczne decyzje rodziły się podczas długich narad, które odbywały się w pałacu Andriona lub mej rezydencji nad jeziorem Erat. Latem 2942 roku wszystko było gotowe. Nasze połączone armie znacząco górowały liczebnie nad siłami, jakie udałoby się zgromadzić Garteonowi III. Jeśli więc przekroczyłby nasze granice, z łatwością mogliśmy go zgnieść niczym robaka.

- Wszystko jest w pogotowiu - oznajmił Andrionowi i mnie Ontrose po powrocie z jednej ze swych zbyt częstych podróży do Vo Wacune późnym latem tego roku. - Armia Erat zajęła pozycje na północnym brzegu rzeki Camaar, w pobliżu Vo Astur. Niech no tylko siły Garteona przekroczą granice Wacune, to zetrę jego stolicę z powierzchni ziemi. Wyjąwszy nieprzewidziane wypadki, znaleźliśmy się w martwym punkcie. Zdaje mi się, iż przez dłuższy czas będziemy z Asturianami gapić się na siebie poprzez granice, a potem możemy z pełnym zaufaniem spodziewać się z Vo Astur zaproszenia do rozmów pokojowych. Ród Orimanów nie cieszy się zbyt dużą popularnością wśród innych rodów Asturii. Wcale nie byłbym

zaskoczony, gdyby Garteon, jak jego dziadek, znalazł drogę do któregoś z wysoko położonych okien w swym pałacu i pofrunął prosto w dół na dziedziniec.

- Ładnie to ująłeś, mój lordzie Ontrose - pochwalił go Andrion

- W końcu jestem poetą, wasza miłość - odparł skromnie mój rycerz. - Zawsze starałem się pięknie wysławiać.

Po naradzie z Andrionem Ontrose i ja wróciliśmy do mej miejskiej rezydencji. Przy kolacji dyskutowaliśmy nad pewnymi zawiłymi problemami filozoficznymi i po raz kolejny uderzyła mnie głębia zrozumienia u tego zdumiewającego człowieka. Miałam wielką ochotę poznać go z wujkiem Beldinem i przysłuchiwać się ich dyskusji. Wiedziałam, że jeśli mój plan się powiedzie, to w końcu do tego dojdzie i już na samą myśl o wprowadzeniu do rodziny tego brylantu bez skazy robiło mi się ciepło na duszy. Mojemu ojcu i wujkom brakowało pewnej oglądy, z pewnością korzystnie by na nich wpłynęło obcowanie z poetą, filozofem, człowiekiem o doskonałych manierach i najpotężniejszym z żyjących rycerzy.

Po kolacji, gdy nad świetlistym miastem Vo Wacune zapadł zmierzch, przeszliśmy do ogrodu różanego. Ontrose śpiewał i grał na lutni, a zmartwienia dnia zdawały się odpływać w dal. To był jeden z owych idealnych wieczorów, które zdarzają się zbyt rzadko. Rozmawialiśmy o różach i tylko od czasu do czasu wspominaliśmy o mobilizacji. Na niebie pojawiały się gwiazdy...

Gdy nadszedł czas spoczynku, mój rycerz ucałował mnie czule i życzył mi dobrej nocy.

Nie spałam zbyt dobrze, ale sny miałam przyjemne.

Następnego ranka mój Ontrose opuścił Vo Wacune i wrócił na północ.

Jesień tego roku była tak mglista, że idealnie pasowała do mego rzewnego nastroju. Ponad sześć wieków poświęciłam Arendom, w nadziei że nauczą się żyć w pokoju i nigdy więcej nie pomyślą o wojnie. Jednakże te nadzieje zdawały się topnieć.

Zima nadeszła wcześniej tego roku, zapowiadana przez gęste zimne mgły, plagę nękającą północą Arendię o tej porze roku. Przez wiele tygodni nie oglądaliśmy słońca, przysłuchiwaliliśmy się ponuremu kapaniu wody z gałęzi każdego drzewa, a kamienne fasady budynków w Vo Wacune zdawały się płakać długimi strumieniami łez.

Wiosna, która potem nastąpiła, nie była pod tym względem wiecie lepsza od zimy. Wiosną deszcze to rzecz naturalna, ale pogodne dni też nie powinny należeć do rzadkości. Wydawało się jednak, że wiosna zapomniała o słońcu. Brudne chmury wisiały nad nami przez, tygodnie, a posępny mrok spowijał ulice.

Barona Lathana nie było od kilku miesięcy, lecz ani Andrion, ani ja nie przywiązywaliśmy większej wagi do jego nieobecności. Lathan, dowódca wacuńskiej armii,

często musiał wizytować jednostki wojskowe. Gdy paskudna pogoda ustąpiła, wrócił do Vo Wacune z bardzo niepokojącymi wieściami. Książę Andrion natychmiast wezwał mnie do pałacu, abym wysłuchała tej relacji. Lathan nadal był w ubłoconym odzieniu podróżnym i sprawiał wrażenie wyczerpanego. Oczy miał podkrążone, najwyraźniej przez kilka dni obywat się bez snu.

- Powinieneś zjeść coś ciepłego i porządnie odpocząć, Lathanie - wydałam fachową opinię.

- Niewiele miałem na to ostatnio czasu, wasza miłość - odparł dziwnie martwym głosem. Potem westchnął głęboko. - Właśnie wróciłem z Vo Astur...

- Co takiego?! - wykrzyknęłam.

- Raporty naszych agentów z Asturii były sprzeczne, wasza miłość - wyjaśnił. - Uznałem za konieczne osobiste sprawdzenie, co dzieje się w tym wrogim księstwie. Mam pewną biegłość w posługiwaniu się nieokrzesaną asturiańską mową i dzięki temu nie doświadczyłem trudności w uchodzeniu za miejscowego. Nie będę zamęczał was nudnymi szczegółami moich rozlicznych przebrań. Wystarczy, jak powiem, iż obecny byłem, gdy rozmaici członkowie asturiańskiego rządu i wojskowego dowództwa knuli spisek, który winien cię zainteresować. Mówiąc krótko, książę Garteon zamierza napaść na twe księstwo, wasza miłość. W pełni zdaje on sobie sprawę, iż Wacune i Erat na pierwszy wrogi ruch z jego strony ruszą zgodnie, by go zgnieść.

- Niczym zgniłe jajko - dodał posępnie Andrion. Lathan uśmiechnął się blado.

- Zaprawdę - przyznał. - Garteon zdaje sobie sprawę, że atak na granice Wacune będzie dla niego katastrofą, toteż postanowił zaatakować nie Wacune, ale Erat.

- Niech tylko przyjdą - powiedziałam. - Jestem równie gotowa na Jego przyjęcie jak Andrion.

- Nie znasz istoty jego planu, wasza miłość. Garteon nie zamierza przeprowdzić się przez rzekę Camaar. Zgromadził flotyllę statków w Vo Astur. Widziałem na własne oczy, jak jego armia ładowała się na okręty, różnymi sposobami udało mi się również ustalić miejsce lądowania tej floty. Wasza miłość, Garteon ma zamiar popłynąć z biegiem rzeki Astur, dobrze ukryty od strony lądu, potem popłynie na północ i ostatecznie wyląduje u ujścia rzeki Seline. Jako pierwszy cel obrał słabo bronione miasto Seline. Po zdobyciu tej bazy ma zamiar podbić całe północne Erat, a stamtąd uderzyć na serce twego księstwa. Przymierze Wacune i Erat zawsze krzyżowało jego plany, toteż zamierza zniszczyć najpierw Erat, a potem ruszyć na Wacune.

- Wypłynął już? - zapytałam lakonicznie.

- Tak, wasza miłość. Flota Garteona wypłynęła z Vo Astur jakieś trzy dni temu.

- Potrzebna mi mapa - zwróciłam się do Andriona. Księżę bez słowa sięgnął za swój kaftan i wyciągnął złożony arkusz pergaminu.

Rozłożyłam mapę i zaczęłam mierzyć odległości.

- Flotylla może poruszać się tak szybko, jak jej najwolniejszy okręt - myślałam głośno. - Przy planowanej inwazji wszystkie siły powinny znaleźć się w tym samym miejscu w tym samym czasie. Od Vo Astur do ujścia rzeki Seline jest dwieście siedemdziesiąt lig. Powiedzmy, że w najlepszym wypadku ta flota pokona około dwudziestu pięciu lig w ciągu dnia. To oznacza jednaście dni... teraz już osiem. - Pomierzyłam kolejne odległości i wykonałam szybkie obliczenia. - Może nam się udać! - powiedziałam z pewną ulgą.

- Nie nadążam za twymi myślami, Polgardo - przyznał Andrion.

- Moja armia jest zgromadzona na północnym brzegu rzeki Camaar, tuż obok miejsca spotkania odnog północnej i południowej. Stamtąd do Seline jest siedemdziesiąt lig. Przy forsownym marszu moja armia je pokona w ciągu siedmiu dni. Asturianie potrzebują przynajmniej jednego dnia na marsz do Seline z wybrzeża, zatem moja armia będzie na miejscu przed nimi.

- Jesteś zdumiewająco biegła w militarnej strategii, Polgardo - zauważył Andrion.

- Jak na kobietę, chciałeś powiedzieć? Jestem w Arendii od sześciuset lat, Andrionie, więc miałam sporo do czynienia ze sprawami natury wojskowej.

- Wyślę swą armię na pomoc twojej - powiedział.

- Musisz bronić własnych granic, Andrionie.

- Przed kim, wasza miłość? Garteon skierował całą swoją armię do ataku na północne krańce twego księstwa. Nie ma kogo rzucić przeciwko mnie. - Uśmiechnął się figlarnie. - A czemu tobie miałyby przyspaść cała zabawa w udziale?

- Ach, Arendowie! - westchnęłam.

- Dostrzegam pewne luki w tych obliczeniach, lady Polagardo - odezwał się Lathan. - Armia twoja obozuje o dwa dni ostrej jazdy stąd, sam Ontrose jest w twojej rezydencji nad jeziorem Erat. Toteż sądzę, .. armia twoja z pewnym opóźnieniem wyruszy do Seline.

- Mam pewną przewagę, Lathanie - przypominałam mu. - Generał Halbren jest zastępcą mego rycerza. To solidny, praktyczny człowiek, z pewnością potrafi poprowadzić oddziały. Porozmawiam z nim jeszcze dzisiaj, a potem z hrabią Ontrose. - Rzuciłam okiem na mapę. - Halbern poradzi sobie z przemarszem - uznałam. - Myślę, że skieruję hrabiego Ontrose prosto do Seline, aby wzmacniał mury obronne. Twoja armia przybędzie trzy dni po mojej i musimy sami utrzymać miasto, zanim tam dotrzesz.

- A wtedy ja uderzę na odsłonięte tyły Garteona i posiekam go na karmę dla psów - obiecał Lathan bezbarwnym głosem.

- Na pewno psy to docenią - rzuciłam lekko. - Ty jednakże pójdziesz stąd prosto do łóżka. Jego miłość sam może zarządzić wymarsz armii. Dogonisz ich za dzień lub dwa.

- Jestem dowódcą armii, wasza miłość - zaprotestował. - Mam obowiązek ich poprowadzić.

- Oni wiedzą, gdzie jest północ, baronie. Niepotrzebny jesteś na czele do wskazywania im kierunku. Prześpij się trochę. Za chwilę upadniesz ze zmęczenia.

- Ale...

- Żadnych ale, Lathanie! Marsz do swej komnaty! Natychmiast!

Poddał się.

Miałam dziwne, niepokojące uczucie, że z baronem Lathanem dzieje się coś złego. Wiedziałam, że jest wyczerpany, ale sprawiał wrażenie wewnętrznie wypalonego, martwego. Nie miałam czasu, by się tym bardziej zająć. Wyszłam na balkon i zmieniałam się w sokoła.

Generał Halbern pokonał wszystkie szczeble kariery wojskowej, zatem jego stopień nie był jedynie dodatkiem do szlacheckiego tytułu. Darzyłam go wielkim szacunkiem. Starannie przemyślał wiadomości przyniesione przez barona Lathana z Asturii i grzecznie zaproponował pewne zmiany w moim planie przeciwdziałania inwazji

- Istnieje możliwość, że księżę Garteon wyśle przednią straż, by zdobyła Seline jeszcze przed przybyciem jego armii, wasza zauważył. - Dziesięć lig w ciągu dnia to zapewne wszystko, czego możemy oczekiwać od naszej piechoty, ale oddziały kawalerii potrafi przebyć większą odległość. Jeśli nie miałabyś nic przeciwko temu pani, to wysłałbym przodem kawalerię. - Uśmiechnął się krótko 'Hrabia Ontrose jest bardzo dobrym dowódcą, ale samodzielna obrona Seline może trochę nadszarpnąć jego siły.

- A tego byśmy nie chcieli - przyznałam. - Powiem mu, że może się spodziewać posiłków... - zawahałam się. - Za ile dni?

- Cztery, wasza miłość. Najwyżej pięć. To będzie spory wysiłek dla koni, ale one nie będą brały udziału w obronie Seline, więc odpoczną po przybyciu na miejsce.

- Jakoż życzysz sobie, wielce szanowny generale - powiedziałam z wytwornym ukłonem.

- Czy musisz mnie tak traktować, pani? - westchnął.

Roześmiałam się, po czym wyszłam za obozowisko i ponownie przybrałam się w pióra.

Zadowolona byłam z obrotu sprawy. Dzięki odważnej wyprawie barona Lathana zostaliśmy wcześniej ostrzeżeni przed planowaną napaścią Garteona. Miałam dość czasu na

ewakuację ludności cywilnej. Gdy wroga armia zostanie zdziesiątkowana, Garteon będzie się musiał poddać. Bitwa o Seline najprawdopodobniej zapewni pokój w Arendii na następne pokolenie.

Był wieczór, gdy wylądowałam w ogrodzie swej rezydencji nad jeziorem Erat i wróciłam do ludzkiej postaci. Hrabiego Ontrose znalazłam w bibliotece, pochylonego nad mapą. To było dziecinne z mojej strony, wiem, ale nie widziałam go od kilku tygodni, więc podkrađłam się cicho i zakryłam mu dłońmi oczy.

- Zgadnij kto - wyszeptalam.
- Lady Polgarda? - zapytał ze zdumieniem.
- Podglądałaś!

Pocałowałam go. Kilka razy, prawdę powiedziawszy.

A potem on pocałował mnie. To był tylko jeden pocałunek, ale trwał jakiś czas. Przyprawił mnie o zawrót głowy, oddychałam z trudem. W głowie zaczęły mi się pojawiać niestosowne myśli, ale uznałam, że najpierw trzeba omówić obecną sytuację - takie drobiazgi jak przemarsz armii, obrona miast i starcie Asturian z powierzchni ziemi - nim przejdziemy do spraw poważniejszych. Mojego rycerza zaskoczyły te wieści.

- Pewna jesteś tego, Polgardo? - zapytał. Po raz pierwszy się wówczas do mnie po imieniu, co bardzo dobrze pasowało do planów, jakie miałam na resztę wieczoru. - Te informacje pochodzą od barona Lathana, mój drogi. Wykradł się do Asturii, nic nie mówiąc księciu Andrionowi i mnie o swoich planach. Na własne uszy słyszał, jak Garteon i jego podwładni - omawiali plan spisku, widział również zaokrętowanie asturiańskiej armii.

- Ufam Lathanowi jak samemu sobie, Polgardo - powiedział Ontrose - a Jego słowo nie podlega dyskusji. Muszę na koń.

- Po co?
- Jadę na południe, by poderwać nasze siły i pospieszyć bronić Seline.

- Odłóż siodło, mój drogi. Po drodze zatrzymałam się w obozowisku naszych sił. Generał Halbern wyruszy do Seline o świcie. Zaproponował, abyś ruszył stąd prosto do Seline i przygotował mury miasta na przybycie Asturian. Wysłał przodem oddział jazdy, będziesz więc miał dość ludzi do odparcia ewentualnych ataków przedniej straży armii Garteona.

- Halbern to świetny strateg - przyznał Ontrose. - Mamy szczęście, że jest z nami.
- To nie wszystko - powiedziałam. - Baron Lathan pomaszeruje z wacuńską armią na północ. Powinien przybyć do Seline dzień po pierwszym asturiańskim ataku.

- Drogi Lathan! Zaiste zetrzemy w proch armię Garteona i miły sercu pokój zapanuje w biednej Arendii.

Kochałam go niemal do szaleństwa, ale zestawienie „starcia w proch” i „miłego sercu pokoju” nieco mnie raziło. Ontrose był poetą, więc powinien trochę zgrabniej dobierać słowa.

- Przypisałaś może przypadkiem tym różnorodnym wydarzeniom, Pol? - zapytał.

- Liczby czego?

- Dni, wasza miłość. Kiedy wypłynęła flota Garteona?

- Ach, rozumiem. Siły Garteona opuściły Vo Astur trzy dni temu. Moje wyliczenia sugerują, że jego flota będzie na morzu przez jedenaście dni, czyli osiem dni od dziś. Halbern powinien przybyć do Seline za siedem dni. Zakładając, że Asturianom zajmie dzień dojście do Seline, zobaczymy ich pod murami miasta za dwanaście dni. Lattan powinien przybyć dnia trzynastego.

- A nim minie piętnasty, armia Garteona przestanie istnieć. - Dodał mój rycerz. - Twoja strategia jest mistrzowska, ukochana.

- Nawet jeszcze lepsza. - Czułam miłe ciepło rozchodzące się

- Lękam się, iż myśli twych nie pojmuję, Pol - przyznał Ontrose

- Nie mówię tu o tej przygodnej wojnie, mój drogi - powiedziałam z pewnym zadowoleniem. - Słowo „ukochana”, które właśnie wymknęło ci się z ust, zabrzmiało jak złożenie broni. Może przesłibyś do bardziej stosownego miejsca i dokładniej to omówili?

Nie można chyba już wyrazić się bardziej jasno.

Ontrose pocałował mnie i muszę przyznać, że niemal zemdlałam mu w ramionach. Potem delikatnie uwolnił się z mych objęć.

- Zdaje się, iż obecny kryzys rozpałił nasze zmysły zanadto, najdroższa Polgardo - powiedział z pewnym żalem. - Nie dajmy się ponieść przesadnym emocjom. Czas mi siadać na koń, by oddalić się z twej niebezpiecznej bliskości. Muszę ruszać do Seline przygotować obronę, a chłód nocy może ostudzi niebывały żar, którym płonie krew moja. Żegnaj, ukochana. Przełożmy tę sprawę na późniejszy czas. Potem odwrócił i wyszedł.

- Ontrose! - krzyknęłam za nim. - Wracaj!

Dacie wiarę? Zupełnie mnie zignorował! Byłam w bibliotece i znajdowało się tu wiele cennych dla mnie rzeczy. Szybko pobiegłam do kuchni, gdzie zaczęłam ciskać o ściany wszystkim, co wpadło mi w ręce. Przez drzwi zajrzał Malon Killaneson, mój zarządca.

- Wasza miłość! - wykrzyknął. - Co robisz, pani?

- Tłukę naczynia, Malonie! - odkrzyknęłam. - Lepiej stąd zmykaj, bo zaraz zabiorę się za ludzi!

Malone uciekł. Następnego ranka, po bezsennej nocy, ponownie zmieniłam się w sokoła. Z całych sił powstrzymałam się przed chęcią pogoni za ukochanym i ściągnięciem go z konia. Poleciałam na południe. Zdecydowanie potrzebne mi było jakieś zajęcie, a księżę Andrion powinien mieć najświeższe wiadomości. Andriona znalazłam na murach miasta. Miał na sobie pełną zbroję. Zamachałam skrzydłami, wylądowałam za występem muru i wróciłam do własnej postaci. Staralam się, jeśli to nie było absolutnie konieczne, nie robić tego w obecności innych. Ostatnio nie badałam Andriona, więc nie miałam pewności, czy nadal ma zdrowe serce. Potem wyszłam z za węgła.

- Dzień dobry, Andrionie - przywitałam go.

Wyglądał na zaskoczonego.

- Mniemałem, iż zamierzasz udać się na północ, Polgardo. Cóż zatem jest przyczyną twego opóźnienia?

- Już byłam na północy, Andrionie. Generał Halbern już maszeruje, a hrabia Ontrose ruszył przodem do Seline. Wszystko zgodnie planem. Gdy Garteon dotrze do Seline, będziemy gotowi na jego przyjęcie. Jak ty wyglądasz! Po co przywdziałeś zbroję?

- Zdaje mi się, iż jesteś nie w humorze tego ranka, Polgardo.

- Pewnie zjadłam coś nieświeżego. Czemuś się tak ubrał?

- By robić wrażenie, Pol, po prostu robić wrażenie. Lathan i Ontrose zajęci są gdzie indziej, zatem dowództwo miejscowego garnizonu mnie przypadło. Wbiłam się w zbroję i paraduję po murach, aby upewnić mieszkańców Vo Wacune, iż nie mają się czego lękać przy tak potężnym rycerzu.

- I dobrze się przy tym bawisz, prawda? Oboje wybuchliśmy śmiechem.

- Wróćmy do pałacu, Pol - zaproponował. - Z pewnością dość już się napokazywałem jak na jeden ranek i trochę mi dokuczają zapachy tego stalowego munduru.

- Czemu nie - zgodziłam się - jeśli obiecasz, że będziesz się trzymał od zawietrznej.

Po powrocie do pałacu Andrion zdjął zbroję i poszliśmy do jego gabinetu.

- Wiem, że to może wyglądać na osobistą obsesję, Andrionie - Powiedziałam - ale spodziewam się, że jeśli zaczniemy przewracać w Asturii kamienie, to w końcu pod jednym z nich natrafimy na Garetona. Nigdy jeszcze nie spotkałam się z asturiańskim spiskiem, który nie miałby grolińskiego rodowodu. Ctuchik marzy o wszczęciu wojny pomiędzy królestwami na zachodzie, odkąd Murgowie przekroczyli lądowe przejście dziewięćset lat temu. Rozpaczliwie próbuje wznieść pożar i zawsze szuka podpałki w Asturii.

- Wojna bogów skończyła się dwa tysiące lat temu, Pol.

- Nie, mój drogi, wcale się nie skończyła. Nadal trwa i w tym momencie wszyscy jesteśmy w nią zaangażowani. Zdaje mi się, że po bitwie o Seline przeniosę się do Asturii i tak długo będę szukać, aż znajdę obłąskawionego Grolima Garteona. Potem zabiorę go nad Rak Cthol i zrzucę Ctuchikowi na głowę - wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

- Zaprawdę nie jesteś dziś w humorze, Polgardo - zauważył Andrion. - Czyżbyś poróżniła się ze swym rycerzem?

- Nie nazwałabym tego tak, Andrionie - odparłam. - To raczej różnica poglądów.

- W kwestiach wojskowej natury?

- Nie. Chodziło o coś ważniejszego. Przekonasz się jednak, że Ontrose zacznie myśleć jak ja.

- Zaiste bólem napawa mnie wieść o różnicy poglądów pomiędzy tobą i twym rycerzem

- Powiedział. - Czy mogę się polecić jako pojednawca?

Myśl o wmieszeniu do tego księcia Andriona wydała mi się ogromnie zabawna.

- Nie, drogi Andrionie - powiedziałam. - Tę sprawę ja i Ontrose musimy rozwiązać sami. Dziękuję jednak za propozycję. Resztę dnia spędziłam w swej miejskiej rezydencji w Vo Wacune. Mój rycerz słusznie wspominał o konieczności ostudzenia krwi. Musieliśmy najpierw uporać się z tą nieszczęsną wojną, nim zajmiemy się ważniejszymi sprawami.

Jednakże temperatura mej krwi nie obniżyła się w zauważalny sposób i następnego ranka miałam ochotę chodzić po ścianach. Wówczas dałam za wygraną i poleciałam na północ, by sprawdzić pozycje obu armii. Wacuńska armia Lathana przeprawiała się przez rzekę Camaar. Porozmawialiśmy chwilę na północnym brzegu, obserwując małe łódki i tratwy przewożące oddziały na drugi brzeg.

- Wszystko przebiega zgodnie z planem, wasza miłość - zapewnił mnie swym dziwnie bezbarwnym głosem, który zauważyłam u niego, gdy po raz pierwszy opowiadał mi i Andrionowi o asturiańskich planach.

- Co się stało, Lathanie? - zapytałam go wprost. - Wydajesz mi się smutny.

- To chwilowe, wasza miłość - odparł z westchnieniem. - Wkrótce znowu poczuję się lepiej. Widać już koniec mego strapienia.

- Mam taką nadzieję, drogi Lathanie - powiedziałam. - Jesteś ponury jak deszczowy dzień. Wybacz, poszukam generała Halberna. Generał Halbern zdążył już dotrzeć na północny kraniec jeziora. Doniósł mi, iż tolnedrański kupiec widział asturiańską flotę osiem mil od brzegu w okolicy Camaar trzy dni temu, co dowodziło, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Przez resztę dnia jechałam ok generała, przygotowując się do spotkania z hrabią

Ontrose. Lękałam się, że zrobię coś niestosownego, gdy go zobaczę. Już na samą myśl o tym pięknym rycerzu serce zaczynało mi trzepotać w piersi.

Pewnie właśnie za sprawą owego przyspieszonego bicia serca zdecydowałam, co robić następnego ranka. Nie byłam jeszcze gotowa na spotkanie z ukochanym, więc postanowiłam polecieć nad Wielkie Morze Zachodnie, by ustalić pozycję asturiańskiej floty. W razie sprzyjających wiatrów z południa musielibyśmy przemyśle nasze plany.

Linie brzegową przecięłam na wysokości obecnego Sendaru a potem wzbiłam się na wysokość kilku tysięcy stóp. Z tej wysokości widziałam na dziesięć lig w każdą stronę. Jeśli informacje generała Halberna były prawdziwe, flota nieprzyjaciela powinna znajdować się gdzieś w pobliżu miejsca, w którym nadleciałam nad otwarte wody. Jednak nigdzie nie było widać statków i to mnie bardzo zaniepokoiło. Może nie doceniłam ich prędkości, więc skręciłam i poleciałam na północ wzdłuż wybrzeża, obserwując uważnie morze. Nadal nic. Wczesnym popołudniem okrążyłam cypel półwyspu. Wiedziałam, że było niemożliwością, aby dotarli aż tak daleko w ciągu sześciu dni, chyba że Garteon miał na swych usługach Grolima... Parłam naprzód i gdy wieczór zaczął malować niebo nade mną głęboką purpurą, dotarłam do ujścia rzeki Seline. Nie znalazłam tam żadnych okrętów. Byłam bliska wyczerpania, więc poszybowałam w dół i odpoczęłam na dębie w pobliżu plaży. Może okręty Garteona były wolniejsze, niż przypuszczałam. To oznaczało, że powinnam wrócić i zlustrować morze na południe stąd. Poderwałam się do lotu, gdy tylko świt zabarwił wschodnie niebo, i poleciałam na południe, rozglądając się na wszystkie strony.

Minęło już południe, gdy ich w końcu znalazłam. Byli nie więcej niż dziesięć lig na północ od Camaar. Uwierzyć, że wszystkie okręty stały na kotwicach? O co tu chodziło? Skręciłam, przecięłam linię brzegu i usiadłam na suchym pniu na moczarach, które rozciągały się na północ od Camaar. To nie miało sensu! Jeśli planujesz inwazję, nie robisz sobie po drodze wakacji. Działo się coś bardzo dziwnego. Jedno było jednak pewne. Musiałam dostarczyć informacje hrabiemu Ontrose. Ten obrót wydarzeń przynajmniej wyleczył mnie z przyspieszonego bicia serca, więc wzbiłam się w powietrze i poleciałam na północ nad mokradłami, dopóki nie dotarłam na suchy grunt. Potem wylądowałam na ziemi, wróciłam do ludzkiej postaci i skorzystałam z translokacji zamiast skrzydeł. Dzięki temu skakałam ze wzgórza na wzgórze. To może wydawać się trochę osobliwym sposobem podróżowania, ale jeśli wzgórza oddalone są od siebie o kilka lig, można w ten sposób pokonać znaczne odległości nie tracąc czasu. Słońce już niemal zachodziło, gdy dotarłam do Seline. Hrabiego Ontrose znalazłam w kwaterze w domu przewodniczącego magistratem Keline, mojego starego przyjaciela. Wstał i skłonił mi się, gdy weszłam.

- Wasza miłość - przywitał mnie oficjalnie. - Azali nadal poirytowana jesteś?

Wzdrygnęłam się na wspomnienie krzyku, jaki posłałam w ślad za nim, gdy opuszczał moją rezydencję.

- Nie, mój drogi. Zbiłam kilka naczyń po twoim odejściu i to poprawiło mi samopoczucie.

Spojrzał na mnie zbity z tropu.

- To niewieści sposób podchodzenia do sprawy - tłumaczyłam. - Nie zrozumiałbyś tego, choćbyś się bardzo starał. Teraz jednak natknęłam się na bardzo tajemniczą sprawę i będę potrzebowała twojej pomocy w jej rozwikłaniu.

- Jeśli tylko leży to w mej mocy - powiedział skromnie.

- Mam taką nadzieję, ponieważ mnie zupełnie to zbiło z tropu. Byłam w Vo Wacune, by zapoznać Andriona z postępami prac, a następnie wróciłam na północ. Baron Lathan przeprowadza swą armię przez rzekę Camaar, a generał Halbern wymaszerował właśnie na północ z Sulturn, więc wszystko szło zgodnie z naszymi planami.

- To bardzo pokrzepiające.

- Ciesz się więc, dopóki możesz, Ontrose, ponieważ w tym, co dalej powiem, nic do śmiechu nie ma.

-Tak?

- Poleciałam nad Wielkie Morze Zachodnie, by sprawdzić, gdzie dokładnie znajduje się flota Garteona. Trochę czasu mi to zajęło, ale w końcu ją znalazłam. Okręty stały na kotwicach dziesięć lig na północ od Camaar.

- Co takiego?!

- Flota Garteona nie płynie, Ontrose. Nie potrafię sobie wyobrazić powodu takiego postoju.

- Ja również, wasza miłość.

- Polgardo - poprawiłam go. - Daliśmy sobie spokój z „waszą miłością” kilka dni temu, o ile sobie przypominam.

- Nie chciałem cię urazić niegrzecznym brakiem form - wyjaśnił.

- Właśnie owe formy uważam w tym przypadku za niegrzeczne kochany - powiedziałam bez ogródek. - Możemy to jednak omówić później. Teraz zaś pomyślmy, czemu flota Garteona stoi na kotwicach

- Jest jedno możliwe wyjaśnienie, Polgardo - rzekł Ontrose w myśleniu.

- Proszę zatem, oświeć mnie albo pokaż, gdzie trzymasz talerz Roześmiał się.

- Najwyraźniej flota stoi na kotwicy w oczekiwaniu na coś. Czy ląd leży poza zasięgiem wzroku?

-Tak.

- Zatem zaryzykowałbym stwierdzenie, iż nie czekają na żaden sygnał z lądu.

- Zapewne nie.

- Musi to więc być jakaś określona data. Najwyraźniej płynęli szybciej, niż założyli, więc teraz muszą odczekać na właściwy czas.

- To wydaje się sensowne, Ontrose. Czekają zatem, czekają na coś.

- Rodzi to kolejną tajemnicę - powiedział, marszcząc brwi. - Przyjęcie konkretnej daty dla militarnych działań nie jest niczym niezwykłym, ale to wiąże się z koniecznością koordynacji, jedne siły atakują tu, podczas gdy inne jednocześnie przypuszczają atak gdzie indziej. Tego typu działania stanowią istotę niemal wszystkich zbrojnych kampanii.

- Tak, mówisz sensownie.

- Ale z kim mieliby koordynować swe działania? Lathan zapewnił nas, że cała armia Garteona opuściła Vo Astur na okrętach. W takim razie kto pozostał w Asturii? Z kim mieli koordynować działania?

- Może jakieś siły z zewnątrz? - zasugerowałam z powątpiewaniem. - Ale przecież ani Alornowie, ani Tolnedranie nie mieszaliby się w arendyjskie waśnie. Zadbaliśmy o to kilka wieków temu.

Mój rycerz nagle otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- To niemożliwe! - wykrzyknął.

- Ale tak właśnie zrobiłam, kochany - zapewniłam go. - Razem z Ranem Borune I doprowadziliśmy do bankructwa Vorduvian, Honethitów i Horbitów ponad sto lat temu, aby nie wtrącali się do wewnętrznych spraw Arendii, a mój ojciec krótko trzyma Alornów.

- Nie o tym mówiłem, droga Polgardo - rzekł Ontrose. - Po prostu uświadomiłem sobie, iż baron Lathan w istocie nie jest nieznanym w Arendii, albowiem cała Arendia świadkiem naszego pojedynku była, kiedy wygrałem godność twego rycerza. Zaiste zdarzyć się iż Garteon lub jeden z jego zauszników zauważył i rozpoznał mojego drogiego przyjaciela w Vo Astur, a potem zamarkowali zaokrętowanie asturiańskich sił, aby go zwieść.

- Tego nie wzięłam pod uwagę, Ontrose - przyznałam. - Gdy już Lathan zobaczył, jak wojsko wchodzi na pokłady okrętów w porcie Vo Astur, statki mogły popłynąć dziesięć mil w dół rzeki, a potem żołnierze wysiedli w jakimś ustronnym miejscu, gdzie Lathan nie mógł ich obserwować. Jedno jest pewne, mój kochany, Garteon zgromadził Armię, ale nie wiemy, gdzie ona jest.

- Na koń! - zakrzyknął.

- Ontrose... kochany Ontrose, wolałabym, abyś przestał to powtarzać. Dokąd się tym razem wybierasz? Tylko nie mów, że nadal się mnie lękasz.

- Muszę pilnie rozmówić się z Lathanem. Jeśli zostaliśmy wystrychnięci na dudka, to wszystko zgubione.

- Może nie tyle zgubione, ile bardzo w nieodpowiednim miejscu. Pozwól spać swemu koniowi. Ja zabiorę cię do Lathana.

- Ale... - zaczął protestować.

- Zaufaj mi, ukochany - powiedziałam, kładąc mu delikatnie palec na ustach. Potem, skoro były już tak blisko, pocałowałam te miękkie wargi... aby upewnić się, czy nadal cudownie smakują.

- Lady Polgardo... - powiedział niespokojnie.

- To niegrzecznie przerywać, gdy jestem zajęta, kochany - skarciłam go, a potem znowu pocałowałam. - No cóż - westchnęłam z żalem - na razie to chyba musi wystarczyć. - Naszła mnie myśl, która mogła nie zaświtać w głowie mego rycerza. Ontrose, mimo swej oglady, w sprawach polityki był zupełnie naiwny. Przyjaźnił się z Lathanem i ufał baronowi bezgranicznie. Jednakże ja widziałam już w swym życiu dość zdrajców, aby nie mieć złudzeń. - Za kilka minut wyruszamy na spotkanie z baronem Lathanem - powiedziałam. - W czasie rozmowy nie wspominaj jednak o naszych przypuszczeniach co do pozycji armii Garteona.

- Przyznaję, iż za myślami twymi nie nadążam, ukochana - rzekł z uwielbieniem.

- Jesteś przemiłym chłopcem, Ontrose. - Poglądziłam go czule po policzku.

- Jak mamy się dostać do obozu Lathana? - zapytał.

- Nie pytaj o szczegóły, kochany. Nie są ważne, a mogłyby cię zdenerwować. Zaufaj mi.

- Oddaję ci w ręce swe życie, ukochana.

Postanowiłam nie zamieniać go w mysz, jak uczyniłam z Killanem swego czasu. Nie chciałam go poniżyć i pragnęłam myśleć jasno podczas rozmowy z Lathanem. Za moją radą opuściliśmy miasto i udaliśmy się małego zagajnika. Było tuż przed północą ale dzięki pełni księżyca było jasno niemal jak w dzień. Dotknęła dłonią bladego czoła ukochanego i wyszeptałam:

- Śpij.

I Ontrose zasnął. Potem zebrałam swą Wolę i zmniejszyłam go. Wiem, że nie najgrabniej to ujęłam, ale całkiem dosłownie. Po zakończeniu procesu zmiany mój rycerz

był niewielką figurką o wadze kilku uncji. Potrzymałam go przez chwilę w dłoni, po czym zawinęłam w chusteczkę do nosa i włożyłam za stanik.

Nawet nie próbujcie robić jakichś dowcipnych uwag! Mówię poważnie!

Ponownie skorzystałam z translukacji, choć to trochę ryzykowne nocą, nawet przy pełni księżyca. Dzięki ogniskom łatwo było odszukać obozowisko armii barona Lathana. Ostatni skok wykonałam na szczyt wzgórza oddalonego około pół mili od palisady obozowiska. Potem rozejrzałam się ostrożnie wokół i sięgnęłam za stanik po swego rycerza. Postawiłam go delikatnie na trawie, odwróciłam proces, który go zmniejszył, po czym powiedziałam:

- Obudź się, najdroższy. Otworzył oczy i potarł brew.

- Zdaje mi się, iż byłem w jakimś ciepłym miejscu - zauważył.

- Dobrze ci się zdaje - przyznałam. Nie uważałam za konieczne wyjaśniać, gdzie spędził ostatnie pół godziny. Rzeczywiście musiało być tam całkiem ciepło.

Ontrose rozejrzał się wokół.

- Gdzie jesteśmy, ukochana? - zapytał.

- Na północ od Sulturn. Tam w dolinie jest obóz Lathana.

- Długo spałem, jak się okazuje.

- Około pół godziny. Nie zaczynaj tylko przeliczać mil na minuty, najdroższy. Jedynie rozboli cię od tego głowa. Powiedzmy, że to jedna z „tych rzeczy”, i na tym poprzestańmy.

- Przewodnictwa twego oczekuję zatem, ukochana.

- Dobrze. Przedstawisz się u bram obozu. W razie potrzeby zrób użytek ze Swej rangi. Musimy możliwie jak najszybciej rozmówić się z Lathalem.

Ontrose podał mi ramię i szybko ruszyliśmy w dół zbocza. Jedynie dziesięć minut zajęło nam utworzenie sobie drogi przez wacuńskie obozowisko do namiotu barona Lathana. Ordynans rozpoznał hrabiego Ontrose i bezzwłocznie obudził naszego przyjaciela.

- Ontrose? - powiedział Lathan, przecierając oczy. - Myślałem, żeś w Seline.

- Byłem tam nie więcej niż godzinę temu, przyjacielu - odrzekł Ontrose. - Jestem najszcześniejszym z ludzi, albowiem mam do dyspozycji cudowne środki transportu. - Uśmiechnął się czule do mnie.

- Wasza miłość... - Lathan chciał mi się uklonić i zaczął gramolić się z łóżka.

- Dajmy spokój formalnościom, baronie - zachnęłam się. - Mamy problem, który wymaga naszej natychmiastowej uwagi. Powiedz mu, Ontrose.

- Bez zwłoki, wasza miłość. - Mój rycerz spojrział na przyjaciela.

- Nasz problem prosto opisać, Lathanie, rozwiązanie jednak może być znacznie trudniejsze. Mówiąc krótko, czcigodna lady Polgarda wykorzystała swój niepojęty talent do

gromadzenia informacji. Ostatnio zajęła się dokładnym określeniem pozycji asturiańskiej floty. W tym momencie Lathan stał się czujny.

- Mówić nie muszę - ciągnął Ontrose - iż jej misja powodzeniem się zakończyła. Jednakże pozycja floty skonfundowała mnie. Jej miłość zapewnia, iż okręty Garteona stoją na kotwicy zaledwie dziesięć lig na północ od Camaar. Uważnie obserwowałam Lathana i nie wydał mi się tym wcale zaskoczony. Byłam już nawet o krok od wysłania badawczej myśli.

- Nie, Pol - przerwała mi matka. - Pozwól hrabiemu Ontrose odkryć to samodzielnie.

- Co odkryć samodzielnie?

- Zobaczysz. - Potem uczucie obecności matki znikło.

- Jej miłość i ja głowiliśmy się nad tym czas jakiś - mówił Ontrose - i pomnąc, że byłeś w Asturii i odkryłeś spisek, uznaliśmy, iż ty najlepiej nadajesz się do rozwikłania owego osobliwego obrotu wydarzeń. Lękam się, że moje rozumowanie nie jest zbyt błyskotliwe. Wedle mych na oślep wysnutych domysłów, przerwa ta wyjaśniona być może jedynie jakimś ogólniejszym planem. Jakaś data od wać musi znaczącą rolę w spisku Garteona.

- W rozumowaniu twym nie potrafię błędu się doszukać, Ontrose - przyznał Lathan - i zaiste w Vo Astur przebywając, dostrzegłem ślad pewnej fascynacji kalendarzem. Jednakże czasu mi nie stało pójść jej tropem.

- Zatem rozważmy to razem, stary przyjacielu - zaproponow Ontrose. - Jeśli określona data w rzeczy samej ma takie znaczenie, iż pauzę dyktuje, czyż nie każe nam to sądzić, iż ktoś inny wedle tego samego kalendarza ruchami innymi kieruje?

- W rzeczy samej, Ontrose! - wykrzyknął Lathan. Jednak słyszałam w jego entuzjazmie trochę fałszywą nutę. Ontrose, idąc dalej tropem własnego rozumowania, posunął się o krok dalej.

- Kogóż jednakże ten kalendarz mógłby aż tak interesować, Lathanie? Jeśli armia Garteona w isiocie jest na tych okrętach, któż pozostał w Asturii, by z takim zajęciem ów kalendarz śledzić?

Wyraz twarz Lathana zmienił się tak nieznacznie, iż nieomal go przeoczyłam. To było zaledwie nadęcie mięśni wokół oczu.

- Uważaj, Ontrose! - krzyknęłam.

Najwyraźniej baron Lathan wyprzedzał tok myśli mego rycerza i doskonale wiedział, dokąd zawiedzie go tok rozumowania. Okręcił się szybko i pochwycił miecz leżący na ławce w nogach łoża. Ontrose jednak wcale nie potrzebował mego ostrzeżenia, ponieważ gdy tylko Lathan zaczął podnosić broń do zadania śmiertelnego ciosu, ze szczękiem wyrwał miecz z pochwy i sparował uderzenie.

- Teraz wszystko się wyjaśniło, Lathanie - powiedział ze smutkiem. - Wszystko, wyjąwszy powód

Lathan ponownie machnął mieczem, a Ontrose bez trudu sparował jego cios. Mój rycerz nie potrzebował pomocy, odsunęłam się więc na bok. Trudno było nazwać to równą walką. Jedyną szansą Lathana był ów desperacki pierwszy atak. Teraz nie miał już w ogóle szans. Co więcej, z wyrazu jego twarzy można było odczytać, iż doskonale wiedział, że przegra. Miałam niepokojące uczucie, iż tego właśnie chciał. Było przy tym sporo hałasu. Walka na miecze zawsze jest bardzo hałaśliwa. Moim jedynym wkładem w tę całą sprawę było zajęcie się namiotem, w którym walki miała miejsce. Nadal wyglądał co prawda jak płócienny namiot, ale stał byłaby bardziej miękka niż płótno po mojej „modyfikacji”. Zadbłam o to, aby nikt im nie przeszkadzał. Walka szybko dobiegła końca. Mój rycerz ciał barona w prawe płuco. Lathan zeszywniał, upuścił miecz, krew mu trysnęła z ust. Ontrose ze łzami w oczach przykląkł u boku przyjaciela.

- Dlaczego, Lathanie, dlaczego to uczyniłeś? Lathan odkaszlnął więcej krwi. To było widomą oznaką, że jego rana jest śmiertelna i nic nie może mu już uratować życia.

- Aby kres położyć memu cierpieniu, Ontrose - powiedział ledwie słyszalnym głosem.

- Cierpieniu?

- Agonii, Ontrose. Przyznaję teraz, gdy niemal wolny, iż kochałem, i nadal Kocham... lady Polgardę. Ty zaś wydarłeś ją z mych objęć na turnieju i od tamtego czasu serce me martwym jest. Z ochotą udam się na wieczny spoczynek, ale nie zasnę sam. Wacune umrze wraz ze mną i wszystko inne, com kochał.

- Cóżes ty uczynił, Lathanie?! - zakrzyknął Ontrose z przerażeniem.

Lathan ponownie zakaszlał krwią.

- Zdradziłem ciebie... i całe Wacune. - Głos słał mu coraz bardziej. - Niepostrzeżenie udałem się do Asturii, rozmawiałem z Gartetonem i jego zagranicznym doradcą, o którego imię nawet nie spytałem.

- Zagranicznym? - wtrąciłam się ostrym tonem.

- Pewnie to był Nadrak, a może Murgo. On to obmyślił nasz podstęp. Flota, która wyruszyła z Vo Astur osiem dni temu, to tylko pozór... podstęp, by wywieść w pole Wacune i Erat. Na pokładach tych okrętów nie ma żadnych oddziałów. Armia Garteona czeka w lesie nie dalej niż dwie ligi od zachodnich granic Wacune. - Ponownie zakaszlał z trudem.

- Kiedy najadą Wacune? - zapytał Ontrose.

- Za dwa dni. - W głosie Lathana pobrzmiwała nuta triumfu. - Ów dziesiąty dzień od wypłynięcia floty poważne zaniepokojenie w kalendarzu Garteona budzi, albowiem dnia tego

siły jego wmaszerować mają do Wacune i wkroczą do alabastrowego miasta, które stoi bezradne na ich drodze. Vo Wacune jest zgubione, Ontrose, mój ukochany... i nienawistny... przyjacielu. Choć śmiertelnie jestem ranny ja już cios twój sparowałem. Za cztery dni Asturianie rozpoczną atak na bezbronne mury Vo Wacune, a żaden z oddziałów pod

twym dowództwem nie dotrze do miasta na czas, by zapobiec ich zagładzie... Umieram, Ontrose, ale nie umieram sam. Życie było mi ciężarem od owego dnia, gdy wydarłeś ukochaną Polgardę z mych objęć. Teraz mogę złożyć to brzemie i z radością pójść do grobu, albowiem wiem, iż sam nie pójdę. Wszystko, co kochałem, pójdzie wraz ze mną, i tylko lady Polgarda, nieśmiertelna i nietykalna, pozostanie a mury niebios echem jej nieutulonego żalu rozbrzmiewać będą Skończone, jestem kontent.

Utkwił w mej twarzy wzrok pełen niewysłowionej tęsknoty i umarł. Ontrose płakał rzewnymi łzami. Przeklinałam w myślach moją lekkomyślność. Były przecież setki śladów, które zupełnie przegapiłam. Powinnam była wiedzieć! Podeszłam szybko do wyjścia.

- Zebrać oficerów! - poleciłam żołnierzowi, który bezskutecznie usiłował dostać się do namiotu. - Zostaliśmy zdradzeni! Vo Wacune jest bezbronne! - Przypomniało mi się, że ci ludzie są wacuńskimi wieśniakami. - Weźcie się w garść, chłopcy! Czeka nas ciężka robota.

Potem odwróciłam się ku memu płaczącemu rycerzowi.

- Dość tego, Ontrose! Wstawaj!

- Był moim przyjacielem, Polgardo! - szlochał. - A ja go zabiłem!

- Zasłużył na śmierć. Powinieneś go zabić podczas tamtego turnieju. Na nogi! W tej chwili!

Ontrose wyglądał na zaskoczonego, ale mnie posłuchał.

- Tak lepiej. Zawróć tę armię natychmiast na południe. Ja powiadomię Halberna, co się stało, i też każę mu iść na południe. Ruszaj, Ontrose! Ruszaj! Długa droga przed nami, a czasu niewiele.

Ontrose wskazał ciało Lathana.

- A co z moim przyjacielem? - zapytał.

- Wrzuć go do jakiegoś dołu albo zostaw tu, gdzie leży. To jedynie trup, Ontrose. Wrócę za godzinę, a potem razem wyruszymy do Vo Wacune. Trzeba stoczyć wojnę.

Kiedy znalazłam się już w bezpiecznej odległości od obozu, pozwoliłam sobie na kilka soczystych słów. Zdrada Lathana niemal się powiodła. Nie było możliwości, abym na czas sięgnęła posiłki do obrony Vo Wacune. Musiałam zrobić to „w inny sposób”. W tym momencie ten pomysł nawet mi się podobał. Oczywiście wyobraźni ujrzałam nóż do sera i wiedziałam, że tym razem użyję go, czy to się mojej matce podoba, czy nie. Przemieściłam

się na północ, przeskakując ze wzgórza na wzgórze, aż do obozu generała Halberna nad jeziorem Sendar. Halbern jak zawsze nie okazał zaskoczenia, gdy usłyszał o zdradzie Lathana. Szczerze wierzę, że Halbern nie okazałby zaskoczenia, nawet gdyby niebiosa zwały mu się na głowę.

- Ich plan ma wady, wasza miłość - powiedział spokojnie.

- Mnie wydaje się niezmiernie groźny, Halbernie.

- Zajęcie miasta to zaledwie pierwszy krok - wyjaśnił. - Asturianie może zajmą Vo Wacune, ale połączone armie Wacune i Erat przybędą zaledwie kilka dni później, a nasze siły mają znaczną przewagę liczebną. Wierz mi, wasza miłość, iż odbijemy miasto, kiedy tylko nam się spodoba, a gdy skończymy Garteonowi nie zostanie dość ludzi nawet do patrolowania ulic Vo Astur.

- Masz zamiar poddać Vo Wacune? - spytałam z niedowierzaniem.

- To jedynie miasto, wasza miłość, skupisko ładnych budynków. W wojnie najważniejsze jest zwycięstwo, a my zwyciężymy. Potem będziemy mogli odbudować Vo Wacune. Może skorzystamy z okazji i wyprostujemy ulice.

- Jesteś niemożliwy, Halbernie! Ruszaj na południe ze swymi ludźmi. Ja zabiorę hrabiego Ontrose do Vo Wacune. Nie rysuj jeszcze nowych map miasta. Chyba znam sposób, aby powstrzymać Asturian do przybycia naszych sił.

Potem pognałam nad jezioro Sulturn, odszukałam mego rycerza i odciągnęłam go od wyruszającej już wacuńskiej armii. Powtórzyłam uprzednią procedurę i schowałam zmniejszonego Ontrose w to samo bezpieczne miejsce. Jeśli mam być szczerą, lubiłam go tam mieć. Świt dziewiątego dnia wedle asturiańskiego kalendarza właśnie zaczynał się jarzyć, gdy przybyliśmy do Vo Wacune. Wyciągnęłam swego uśpionego bohatera z wygodnego schronienia i przywróciłam mu normalne rozmiary. Potem go obudziłam. Udaliśmy się prosto do pałacu Andriona i opowiedzieliśmy mu o zdradzie Lathana.

- Jesteśmy zgubieni! - wykrzyknął książę.

- Niezupełnie, Andrionie - zapewniłam go. - Będę chyba jednak musiała wezwać posiłki.

- Jakie siły są na tyle blisko, by przybyć nam z pomocą, Polgardo?

- Mój ojciec, Andrionie, nie musi być blisko, aby szybko się tu dostać.

- Proponujesz zatem bronić murów Vo Wacune z pomocą czarów.

- To nie jest nielegalne, Andrionie. Myślę, że wraz z ojcem powstrzymam Asturian aż do przybycia naszych armii. Ojciec bywa bardzo niemiły, jeśli mu na tym zależy, a ja potrafię być jeszcze gorsza. Gdy skończymy, na samo wspomnienie Vo Wacune każdes Asturianina

przez następne tysiąc lat będą dręczyły senne koszmary. Postaw na nogi garnizon stacjonujący w mieście i zacznij przygotowania. Pomoże ci Ontrose. Ja idę do domu. Wezwę ojca, a potem się położę. Nie spałam od trzech dni i jestem wykończona. W domu weszłam do biblioteki i zamknęłam za sobą drzwi Killanesonowie wiedzieli już, co to oznacza, i nie przeszkadzali mi. Nim jednak zaczęłam w myślach szukać ojca, matka odszukała mnie.

- Polgardo! - odezwała się ostrym tonem. - Jutro o świcie Mimbranci najadą południowe Wacune.

- Co takiego?! - wykrzyknęłam.

- Baronowie z północnego Mimbre sprzymierzyli się z Garteonem i przybędą na północ, by dołączyć do asturiańskiej armii przy oblężeniu Vo Wacune.

- A więc o to chodziło - jęknęłam, przybita tą wiadomością. -Asturianie wywabili nas nad jeziora Sulturn i Sendar, by zaatakować Vo Wacune z pomocą sprzymierzonych Mimbratów.

- Nie powtarzaj tego co oczywiste, Pol - powiedziała matka. -Vo Wacune nie ma szansy na ocalenie. Czym prędzej powiadom ojca. Tylko on potrafi ci teraz pomóc. Jest w swej wieży w Dolinie Aldura. Pospiesz się, Pol!

- Ojcze! - zawołałam w myślach do niego. Za oknem biblioteki niebo ciemniało, nadciągała burza. - Potrzebuję cię!

- O co chodzi? - odpowiedział niemal natychmiast. Uznałam to za dobry znak. Przynajmniej był w domu, gdy go wzywałam.

- Astuńanie są o krok od zburzenia pokoju w Arendii. Księżę Gareteon z Asturi sprzymierzył się z baronami z północy Mimbre. Baronowie najeżdżają Wacune od południa.

- Gdzie jest twoja armia?

- Większość sił jest w centralnej Sendarii za sprawą asturiańskiego podstępu. Zostaliśmy wywabieni z naszych pozycji, ojcze, i Vo Wacune jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Potrzebna mi twoja pomoc. Jestem o krok od stracenia wszystkiego, co wypracowałam.

- Przybędę najszybciej, jak będę mógł, Pol - obiecał.

To poprawiło mi nieco nastrój. Zamknęłam okno. Nad Vo Wacune rozpętała się burza.

Bez wątplenia znaleźliśmy się w niezwykle trudnej sytuacji. Nie było sposobu, aby nasze armie dotarły do Vo Wacune na czas, by odeprzeć asturiański atak na miasto, a gdy już przybędą, Mimbraci wesprą armię Garteona. Resztę tej nocy spędziłam w bibliotece i rozważałam różne możliwości. W pewnych kwestiach Asturianie byli niezłomni. Duszą każdego kraju jest jego stolica. Mimbre nie istniałoby bez złocistej twierdzy wznoszącej się

nad rzeką Arend, Asturia bez Vo Astur nie miałyby znaczenia, a księstwo Wacune niemal całkowicie czerpało swą siłę ze strzelistych wież Vo Wacune. Właśnie owa osobliwość skłoniła mnie do nieustanawiania stolicy mojego własnego księstwa. Zniszczenie miasta Erat by mnie rozgniewało, ale nie zniszczyło. Uprzytomniłam sobie jednak, iż jeśli Vo Wacune padnie, księstwo Wacune przestanie istnieć. Za kilka pokoleń będzie jedynie ginącym wspomnieniem. Ocalenie miasta było zatem absolutną koniecznością. Letnia burza, która na nas spadła, w odróżnieniu od innych burz o tej porze roku nie odeszła wraz ze świtem, ale nadal wyła i zalewała nas strugami deszczu. To był ów fatalny dziesiąty dzień, więc włożyłam płaszcz i poszłam do pałacu. Księcia Andriona i hrabiego Ontrose zastałam pograżonych w dyskusji.

- Ojciec jest w drodze, panowie - powiadomiłam ich. - Jednak ta pogoda zapewne opóźni jego przybycie.

- Opóźni również, jak mi się zdaje, marsz naszych armii - dodał Andrion.

- A zatem musimy bronić miasta przy użyciu sił, którymi tutaj dysponujemy - podsumował Ontrose. - Zadanie owo zaiste straszliwym będzie, aczkolwiek nie niemożliwym. - Byli już wystarczająco strapieni, więc postanowiłam na razie zostawić informację o Mimbratach dla siebie. Wichura i deszcz nie ustawały przez następne dwa dni, co opóźniło również przybycie Garteona pod Vo Wacune. Przynajmniej nie było go pod murami o świcie, gdy niepogoda w końcu minęła i zaświeciło słońce. Ojciec dotarł do miasta około południa i zastał mnie z hrabią Ontrose w nadal mokrym od deszczu ogrodzie różanym. Mój ukochany, odziany w zbroję rycerz usiłował przekonać mnie do opuszczenia Vo Wacune, póki jeszcze nie jest za późno.

- Takoz być musi, Polgardo - tłumaczył. - Musisz wyjechać z Vo Wacune. Asturianie są już niemal u bram.

Pomimo iż powiedziałam mu, jak planuję przyjąć siły Garteona nadal martwił się o moje bezpieczeństwo.

- Doskonale wiesz, że potrafię się sama o siebie zatroszczyć - powiedziałam. - Mnie osobiście nic nie grozi.

Wówczas to ojciec, pod postacią sokoła, usiadł na mej ulubionej czereśni, wrócił do własnej postaci i zszedł na ziemię.

- On ma rację, Pol - rzekł z ponurą miną. - Nic tu nie możesz poradzić.

- Czemu tak długo zwlekałeś? - zapytałam z wyrzutem.

- Walczyłem z niepogodą. Idź się spakować. Musimy zaraz cię stąd zabrać.

Nie wierzyłam własnym uszom!

- Postradałeś rozum? Nidzie się nie ruszam. Gdy już tu jesteś, odeprzemy Asturian.

- Nie możemy. To musi się wydarzyć i nie wolno nam się mieszać. Przykro mi, Pol, ale Kodeks Mriński wyraźnie o tym mówi. Jeśli się wmiemy, zmienimy cały bieg przyszłości.

- Ctuchik pewnie za tym stoi - burknęłam, szukając nowych argumentów, aby ojca przekonać. - Chyba nie pozwolisz mu wygrać, prawda?

- On nie wygra, Pol. Ten pozorny sukces później przyczyni się do klęski Ctuchika. Pewni Arendowie, „Łucznik” i „Rycerz Obrońca” wezmą udział w jego zniszczeniu i nie mam zamiaru im przeszkodzić, ty również tego nie uczynisz.

- A zatem upadek Vo Wacune pewnym jest, prastary Belgaracie? - zapytał Ontrose.

- Obawiam się, że tak. Czy Polgarda mówiła ci o prorocत्वach?

- W pewnej mierze, jednakowoż nie uzurpuję sobie rozumienia tego, co mi wyjawiała.

- Mówiąc w wielkim skrócie, od początku czasu toczy się wojna - wyjaśnił ojciec. - I czy nam się to podoba, czy nie, jesteśmy w tę wojnę zamieszani. Musimy poświęcić Vo Wacune, jeśli mamy wygrać. Jesteś żołnierzem, więc potrafisz to zrozumieć.

Ontrose westchnął i skinął ze smutkiem głową. Jak mogłam walczyć z nimi dwoma?

- Porozmawiaj z księciem Andrionem - ciągnął ojciec. - Jeśli się pospieszysz, może uda wam się wyprowadzić w bezpieczne miejsce kobiety i dzieci, ale samego Vo Wacune za kilka dni już nie będzie. Widziałem nadciągających Asturian. Rzucili przeciwko wam całe swoje siły.

- Będzie ich o wiele mniej, gdy wrócą do Vo Astur - zapewnił go posępnie mój ukochany.

- Jeśli cię to pocieszy, Vo Astur podzieli ten sam los kilka lat później.

- Będę o tym pamiętał, prastary Belgaracie. Jak mogli tak zwyczajnie pogodzić się z przegraną, która jeszcze nie nastąpiła?

- O czym wy tu obaj prawicie?! - zapytałam z wyrzutem. - Macie zamiar po prostu położyć się i udawać martwych przed Gartetonem? Możemy wygrać! I jeśli ty mi nie pomożesz, ojczy, zrobię to sama

- Nie mogę ci na to pozwolić, Pol.

- Nie możesz mnie powstrzymać. Będziesz musiał mnie zabić, a co wówczas na to twój drogocenny Kodeks Mriński? - Odwróciłam się do mego ukochanego rycerza z drżącym sercem. - Tyś jest moim obrońcą, Ontrose, i kimś o wiele więcej. Azali przeciwko mnie staniesz? Azali odeślesz mnie do pakowania jak jakowąś strachliwą pokojówkę? Moje miejsce jest u twego boku.

- Bądź rozsądna, Pol - powiedział ojciec. - Wiesz, że w razie potrzeby mogę cię zmusić. Tak czy inaczej odejdziemy stąd razem. Wówczas straciłam panowanie nad sobą.

- Nienawidzę cię, ojcze! - krzyczałam. - Wynoś się z mego życia! - Łzy spływały mi strumieniami po twarzy. - Mówię wam obu, że nigdzie nie pójde!

- Jesteś w błędzie, najdroższa Polgardo - oświadczył mi zdecydowanie Ontrose. - Dotrzymasz towarzystwa ojcu swemu i oddalisz się z tego miasta.

- Nie! Nie zostawię cię! - Serce pękało mi z żalu. Nie potrafiłam mu się przeciwstawić. Za bardzo go kochałam.

- Jego miłość księżę Andrion powierzył mi dowodzenie obroną miasta, lady Polgardo - rzekł, przybierając oficjalny ton. - Odpowiadam za przygotowanie naszych sił. Nie ma tam miejsca dla ciebie. Przeto też polecam ci odjechać. Idź.

- Nie! - krzyknęłam. On mnie zabija!

- Jesteś księżną Erat, lady Polgardo, zatem należysz do wacuńskiej szlachty i przysięgałaś wierność księciu Andrionowi. Odwołuję się do tej przysięgi. Nie przynos ujmy swej pozycji tą upartą odmową. Przygotuj się, moja ukochana Polgardo. Winnaś odjechać w ciągu godziny. Jego słowa spadły na mnie niczym cios.

- To nie było mile powiedziane, mój panie - odrzekłam sztywno.

- Prawda często bywa niemiła, pani. Na obojgu nas spoczywa odpowiedzialność. Ja swej nie zaniedbam. Ty nie zaniedbaj swojej. Znowu do oczu napłynęły mi łzy.

- Kocham cię, Ontrose - powiedziałam, tuląc się do niego.

- I ja ciebie kocham, najdroższa - wyszeptał. - Zachowaj na czas jakiś wspomnienie o mnie.

- Na zawsze, Ontrose - odparłam, potem pocałowałam go namiętnie i uciekłam, by przygotować się do odjazdu. Nim minęła godzina, opuściliśmy z ojcem Vo Wacune. Zostawiłam tam swe serce. Nie sądzę, aby nawet dziś mój ojciec w pełni rozumiał to, co powiedział mi Ontrose w czasie naszej ostatniej rozmowy. Obowiązki, o których mówił mój ukochany, były rozliczne. Jako członek dworu w Vo Wacune, musiałam wykonywać rozkazy księcia Andriona, ale przede wszystkim byłam odpowiedzialna za własne księstwo. Garteon z Asturii zniszczył Wacune. Miał zamiar zniszczyć również Erat. Nie udało mi się uratować Wacune, ale poprzysięgłam, że nie zawiodę w uratowaniu Erat, nawet gdyby miało to mnie kosztować życie. Nie trudziłam się wyjaśnianiem tego ojcu. Nigdy nie rządził nawet małą baronią, więc nie miał najmniejszego pojęcia o obowiązkach władcy. Prawdę powiedziawszy, nie rozmawiałam z nim w ogóle, odkąd wyjechaliśmy z wacuńskich lasów na łąki Sendarii. Przyjął, że moje smutne milczenie jest wyrazem posępnego nastroju, ale w rzeczywistości

myśli miałam zaprzątnięte obroną mych południowych granic przed nieuchronnym atakiem Asturian. Jednego byłam absolutnie pewna - pierwszym krokiem w obronie mego księstwa będzie pozbycie się tego wścibskiego starca. Dotarliśmy do Muros, gdzie panował kompletny chaos. Kupcy rozpaczliwie usiłowali znaleźć kogoś chętnego do kupienia ich majątku nawet za bezcen, Algarowie pognali swe stada z powrotem za góry, ludność uciekała w panice. Każdy wiedział, że Asturianie wkrótce staną u miejskich bram. Im dłużej nad tym myślałam, tym bardziej byłam przekonana, że Muros będzie kluczem do obrony mych południowych granic. Miasto należało do księstwa wacuńskiego, ale po upadku Wacune było pozostawione samo sobie. Nim jeszcze wyjechaliśmy z ojcem za bramy miasta, postanowiłam, że zaatakuję Muros i przyległe tereny aż po rzekę Camaar. Brzeg rzeki będzie łatwiejszą do obrony granicą niż jakaś wymyślona linia biegnąca środkiem łąki. Najpierw jednakże musiałam pozbyć się ojca. Gdyby mnie poprowadził aż do Doliny Aldura, nigdy nie byłabym w stanie wyrwać się spod jego pieczy. Nadal zachowywałam smutne, pełne cierpienia milczenie. Gdy przejechaliśmy przez góry Sendarii i zjechaliśmy na trawiaste równiny Algarii, mój plan był gotów. Pięknego letniego dnia około południa dotarliśmy do ruin matczynej chatki. Tam wstrzymałam konia.

- Dalej nie idę - oznajmiłam.

- Co takiego?

- Słyszałeś, ojcze. Zostaję tutaj - powiedziałam stanowczym, nie znoszącym sprzeciwu tonem. Nie chciałam żadnych niedomówień.

- Czeka cię wiele pracy, Pol.

I kto to mówił? Człowiek, który unikał wszelkiej pracy jak zarazy.

- Wielka szkoda, ojcze - odparłam. - Sam będziesz musiał się tym zająć. Wracaj do wieży i zagrzeb się w swych prorocत्वach, ale mnie w to nie mieszaj. Odejdź i nie zawracaj mi więcej głowy. Oczywiście było to tylko moje pobożne życzenie. Wiedziałam, że ojciec zostawi mi dzień lub dwa na ochłonięcie, nim zakradnie się tu znowu, aby mnie obserwować. Oczekałam, aż się oddalił, zmieniłam się w sokoła i poleciałam z powrotem przez góry do Erat. Do swej rezydencji przybyłam o zmroku. Potem poszłam szukać swego zarządcy, Malona Killanesona. Malon, potomek w prostej linii jednego z młodszych braci Killane, bardzo przypominał swego praprapra...prastryjka. Był zaradny i wesoły, potrafił sobie zjednywać ludzi. Podobało mi się też, że nie zapuścił brody. Znalazłam go wertującego mapy w bibliotece. Podskoczył zaskoczony na mój widok.

- Co za radość, pani! - wykrzyknął. - Myślałem, iż zginęłaś w Vo Wacune. Jak udało się uciec waszej miłości?

- Ojciec postanowił mnie uratować. Co tu się dzieje?

- Obawiam się, że wszystko stracone, pani - odparł z rozpaczą w głosie. - Każdy w twych włościach, pani, dobrze wie, iż Asturianie mogą wkroczyć i zająć całe księstwo, kiedy tylko będą chcieli. Sam zacząłem planować ucieczkę przez góry do Algarii.

- Opuściłbyś mnie, Malonie? - zapytałam z wyrzutem.

- Myślałem, że nie żyjesz, wasza miłość, więc nic już mnie tu nie trzymało.

- A zatem wszystko się wali w gruzy?

- W znacznej mierze, wasza miłość. Twa armia kręci się w kółko, w którą stronę się obrócić. Asturianie nadciągają i kto ma choć odrobinę oleju w głowie, szuka kryjówki.

- Rozpacz zostaw sobie na kiedy indziej. Weź się w garść i do dzieła. Asturianie mogli sobie zająć Wacune, ale póki żyję, nie zajmą Erat.

- Teraz przypominasz moją drogą matkę, lady Polgardo - powiedział ze śmiechem. - Czy jest jakiś sposób, aby krwiożerczych Asturian nie wpuścić na nasze salony?

- Coś wymyślimy, Malonie. - Zastanawiałam się dłuższą chwilę. - Naszym problemem są ściśle więzy, jakie zawsze łączyły Erat i Wacune. Oba księstwa nigdy nie były w rzeczywistości rozdzielone, więc nie jesteśmy przyzwyczajeni do samodzielności. - Posmutniałam. - To zapewne moja wina. Dużo uwagi poświęcałam zachowaniu pokoju w całej Arendii, więc dzieliłam swój czas pomiędzy tę siedzibę i dom w Vo Wacune. Powinnam bardziej pilnować swych spraw tutaj. Wracając jednak do tematu, nasza armia zawsze była jedynie dodatkiem do sił wacuńskich, więc moi generałowie nie mają doświadczenia w niezależnym podejmowaniu decyzji. Miałbyś ochotę wraz ze mną podszkolić żołnierzy w samodzielnym myśleniu?

- Pani, gdy tak mówisz, gotów jestem wesprzeć cię we wszystkim.

- Dobrze. Idź do generała Halberna, szefa sztabu. To człowiek, na którym można polegać. Powiedz mu, że wróciłam i ja będę teraz wydawać rozkazy. On będzie wiedział, co robić. Gdy do jego podwładnych w końcu dotrze, że rozkazy pochodzą stąd, nie z Vo Wacune, będziemy im mogli stopniowo popuszczać cugli. Pierwszym rozkazem, który zanieziesz Halbernowi, będzie rozkaz wymarszu i zaatakowania Muros, Camaar i Darine, razem z ziemiami wzdłuż naszego pogranicza. Od teraz wszystko na północ od rzeki Camaar jest moje.

- To może wywołać pewne dyskusje, wasza miłość. Wacuńscy baronowie z pogranicza zawsze byli niezależni.

- Muszą to przełknąć, Malonie. Jestem od nich potężniejsza, starsza i bardziej zła. Nie mogę sobie pozwolić, by za moimi plecami Pozostało terytorium, nad którym nie panuję. Na

początek jednak Powiedz Halbernowi, aby skupił się na Muros. To bogate miasto, więc księciu Garteonowi z pewnością ślinka cieknie w oczekiwaniu na dzień, gdy całe to bogactwo przewiezie do własnego skarbcza. Mam zamiar udzielić mu bardzo bolesnej lekcji. Gdy tylko przekroczy rzekę Camaar, tak go potraktuję, że sam siebie nie pozna.

- Oho - zdumiał się Malon. - Aleś, pani, zawzięta.

- Ja dopiero zaczynam, Malonie. Jeśli chcesz zobaczyć prawdziwą zawziętość, to poczekaj, aż się rozpędzę na dobre. A zatem mamy półtorej doby na uporanie się z robotą wymagającą tygodnia, więc bierzmy się do dzieła.

Zaczęliśmy wytyczać na mapie linię naszej obrony. Do świtu naszkicowaliśmy plan ruchu naszych sił. Znałam generała Halberna na tyle dobrze, iż wiedziałam, że mogę pozostawić mu dopracowanie szczegółów.

- Jestem pewna, że przynajmniej niektórym z wacuńskich oddziałów udało się uciec z rzezi w Vo Wacune - powiedziałam. - Powiedz Halbernowi, aby uczynił sprawą najwyższej wagi nawiązanie kontaktów z tymi ludźmi.

- By powiększyć nasze własne siły, pani? - zasugerował Malon.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nie będziemy potrzebowali więcej ludzi. Potrzebujemy natomiast informacji o ruchach sił asturiańskich. Moi generałowie muszą wiedzieć dokładnie, gdzie Asturianie gromadzą się przed przekroczeniem rzeki Camaar, abyśmy mogli przygotować się na ich przyjęcie. Ukrywający się w lasach wacuńscy Arendowie będą naszymi oczyma. Niech generał Halbern ich przekona, że dostarczanie nam informacji jest o wiele ważniejsze niż zabijanie przypadkowo napotkanych Asturian.

- Szpiegostwo jest uważane za mało zaszczytne zajęcie, pani - Przypomniał mi Malon.

- Zatem uczynimy je wielce zaszczytnym, Malonie. Powiedz Halbernowi, żeby nie szczędził ocalałym Wacunom słowa „patrioci”. Muszą zrozumieć, że patriotycznym obowiązkiem Wacunów jest nie dać się zabić, dopóki mają choć odrobinę użytecznych informacji.

- To wszystko przy założeniu, że zostali tam jacyś Wacunowie - Powiedział Malon. - Ludzie w wielkiej liczbie wciąż przepływają przez rzekę Camaar.

- W takim razie musimy poczynić przygotowania na ich przyjęcie. Po zagarnięciu Muros założymy dla nich obozy i dostarczymy żywność.

- Dobra i miłosierna z ciebie pani.

- Dobroć nie ma z tym nic wspólnego, Malonie. Jeśli Wacunowie, którzy tam pozostaną, dowiedzą się, że ich żony i dzieci mają tu opiekę będą bardziej gorliwie dla nas szpiegować. A teraz przyjrzyjmy się obronie naszych wybrzeży. Przed wieczorem mieliśmy

już naszkicowany plan przygotowań do wojny czającej się za horyzontem. Przeszłam do kolejnej istotnej sprawy.

- Malonie, musimy pozostawać w stałym kontakcie, a nie będzie czasu na konnych posłańców kursujących pomiędzy tym domem a miejscem, w którym obecnie mieszkam.

- A gdzie to jest, wasza miłość?

- Ojciec i ja nie rozmawiamy teraz ze sobą. Chciał mnie zabrać do swej wieży w Dolinie Aldura, ale ja zamieszkałam w dawnym domu mej matki na północnym krańcu tej doliny. Ojciec z pewnością będzie próbował mieć mnie na oku. Nie chcę mu dawać pretekstu do węszenia tutaj, więc muszę pozostawać w pobliżu matczynej chatki. Będiesz przekazywać moje rozkazy generałowi Halbernowi. - Spojrzałam mu prosto w oczy. - Wiesz, kim jestem, prawda, Malonie?

- Oczywiście, wasza miłość. Jesteś księżną Erat.

- Cofnijmy się do czasów wcześniejszych. Kim byłam, nim zostałam księżną?

- Mówiono mi, że byłaś Polgardą Czarodziejką, pani.

- I nadal nią jestem, Malonie. Umiem robić rzeczy, których inni ludzie nie potrafią. Znasz ten pokoik na szczycie północnej wieży?

- Masz na myśli komórkę, gdzie pokojówki trzymają swe miotły?

- A więc do tego teraz służy? Nie to mieliśmy na myśli, gdy z twoim praprastryjkiem budowaliśmy ten dom. Rzuciłam zaklęcie na ten pokoik, by służył do porozumiewania się na odległość. Gdy Killane musiał mi o czymś powiedzieć, szedł tam na górę, a ja słyszałam każde jego słowo, bez względu na to gdzie byłam.

- Ależ to nadzwyczajne!

- W mojej rodzinie to nic nadzwyczajnego. Pójdź na górę. Sprawdzimy, czy ta metoda jest skuteczna.

- Jeśli tego sobie życzysz, wasza miłość - powiedział i wstał, po czym wyszedł z nieco niepewnym wyrazem twarzy.

Zważcie, jak pospiesznie uporałam się z wyjaśnieniami, okraszając je kilkoma na poczekaniu wymyślonymi kłamstwami. Ten pokoik nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, ale chciałam, aby Malon wierzył, iż jest inaczej. Ojciec wyjaśniał kiedyś Garionowi, iż to, co nazywamy „talentem” w naszej rodzinie, w istocie jest cechą wszystkich ludzi. Wystarczy zatem, by ktoś wierzył, iż coś się wydarzy, a wydarzy się to w istocie. Jeśli Malon będzie przekonany, że ten schowek na miotły szczycie wieży jest zaczarowanym pokoikiem, mój plan się powiedzie. Odczekałam kilka minut, a potem wysłałam do niego swą myśl.

- Malonie, czy mnie słyszysz?

- Tak wyraźnie, jakbyś stała obok mnie, wasza miłość - Westchnął zniekształconym głosem.

- Nie mów głośno, tylko w myślach.

- Ależ to cud! - Jego myśli były o wiele wyraźniejsze niż głos

- Daj mi chwilę na odświeżenie zaklęcia - powiedziałam. - Od stuleci nie używałam tej izdebki. - Dbalność o takie drobiazgi sprawia, że ludzie silniej wierzą. - Już - powiedziałam po minucie. - Lepiej?

- O wiele lepiej, pani. - W rzeczywistości nie było żadnej różnicy.

Próbowaliśmy porozumiewać się z coraz większej odległości i ćwiczyliśmy jeszcze długo po północy, aż w końcu Malon nabrał wprawy w posługiwaniu się swą nową umiejętnością. Potem wróciliśmy do biblioteki.

- Powinam się już zbierać - powiedziałam. - Ojciec zapewne wkrótce zacznie węszyć. Przyszpilił mnie, więc musisz przekazywać moje rozkazy generałowi Halbernowi. Dam ci pisemne upoważnienie do przemawiania w moim imieniu i to powinno uciąć wszelkie dyskusje. Musimy pozostawać w ścisłym kontakcie. Każdego dnia o zachodzie słońca idź do pokoiku na wieży, abyśmy mogli porozmawiać.

- Ależ ty jesteś sprytna, pani. Znalazłaś sposób, by jednocześnie być w dwóch miejscach.

- Niezupełnie. To niewygodny sposób załatwiania spraw, ale nie mam wyboru. Gdy już zdobędziemy panowanie nad Muros, każemy Halbernowi w jednym z budynków urządzić siedzibę sztabu, a wtedy rzucę zaklęcie na jedno z pomieszczeń i będziemy mogli porozumiewać się tam równie dobrze jak tutaj. Dzięki temu nie będziesz musiał spędzać całego czasu w siodle, przewożąc wiadomości. Przestrzeż Halberna, żeby po zajęciu Muros nie dopuścił do plądrowania i okrucieństw. Ludzie w Muros nie są naszymi wrogami.

- Możesz na mnie polegać, pani.

Napisałam mu oficjalne upoważnienie, a potem wyszłam do ogrodu i ponownie przystroiłam się w pióra. Jak się okazało, wróciłam do matczynej chatki akurat na czas. Gdy dolatywałam na miejsce, ojciec czołgał się w wysokiej trawie ku ruinom chaty. Zdążyłabym jeszcze wrócić do własnej postaci, ale w ostatniej chwili przyszedł mi do głowy dobry pomysł. Wylądowałam na samotnym drzewie, oddalonym o kilkaset kroków od chatki, i zmieniłam się z sokoła w sowę śnieżną. Wiedziałam, że wytrącę go z równowagi, a co więcej, zyskam wytłumaczenie mych sporadycznych nieobecności, bo ojciec uzna, że byłam na polowaniu. Odczekałam kilkanaście minut, aż zaczął się niepokoić, a potem przyfrunęłam, wróciłam do własnej postaci i zaczęłam krzątać się po domu. Zajęcie Muros przebiegło

spokojnie. Moja armia, ubrana po cywilnemu, weszła do miasta grupkami, wmieszana w nieprzerwany strumień uciekinierów z Wacune. Nie chcieliśmy informować o swym wkroczeniu Asturian, dopóki miasto nie znajdzie się pod naszą kontrolą. Dzięki energicznym rozkazom przekazywanym przez Malona, moi generałowie ponownie dostrzegli sens swych poczynań, a to z kolei podniosło morale w całej armii. Co więcej, poprawa nastrojów w armii wydawała się zaraźliwa. Zwykli obywatele zaczęli sobie uświadamiać, że upadek Vo Wacune nie oznacza jeszcze końca świata, a Asturianie może wcale nie są tacy niepokonani. Skupiłam się na Muros nie tylko dlatego, że miało ono być pierwszym celem ataków Garteona. Musiałam odnieść jakieś znaczące zwycięstwo, by przywrócić nadzieję poddanym. Do następnej części mego planu trudniej było przekonać żołnierzy. Większość z nich była z pochodzenia Wacunami i głośny szmer niezadowolenia, graniczący z otwartą rewoltą, przeszedł przez szeregi, gdy Malon przekazał Halbernowi i pozostałym generałom, że każdy patrol, który się natknie na Asturian, ma uciekać im z drogi. Zdaje się, że w arendyjskim słowniku nie ma słowa „uciekać”.

- Usiłujemy wciągnąć Asturian do zasadniczej bitwy, Malonie - wyjaśniałam cierpliwie przyjacielowi, gdy przekazał zastrzeżenia Halberna i innych generałów. - Niech armia Garteona nabierze przekonania, że nasze siły są w kompletnej rozsypce i boją się nawet własnego cienia tu, w Erat. Potem spadniemy na nich jak zgłodniałe tygrysy - Chcę, aby ich wrzaski dotarły aż na dno szcurzej nory, w której kryje się Garteon.

- Zdajesz się nienawidzić tego Garteona, pani.
- Z ochotą smażyłabym go na wolnym ogniu przez kilka tygodni.
- Zacznę nosić po kieszeniach drzazgi na rozpalkę, wasza miłość.
- Kochany z ciebie chłopak, Malonie.

- Nie odstąpię na krok twych generałów w Muros, pani - Obiecał - Dopilnuję, żeby trzymali w karchach swych ludzi, dopóki przekłęci Asturianie nie przeprawią się przez rzekę. Wtedy schrupiemy ich na obiad Muszę udać się tam osobiście, więc przez jakiś czas nie będziemy mogli rozmawiać. Nie zaprzataj sobie tym jednak głowy, pani. Będę zajęty zastawianiem sidła na armię Garteona.

- Doskonale to rozumiem, Malonie.

Fakt, iż tak bardzo przypominał Killane nie tylko z wyglądu, ale również ze sposobu mówienia i myślenia, pozwolił nam w zaskakująco krótkim czasie się zaprzyjaźnić. W pewnym sensie po prostu kontynuowałam znajomość przerwana kilka wieków temu.

Strategia, którą zastosowałam w Muros, nie była moim oryginalnym pomysłem, ale Asturianie w tamtych czasach nie lubili czytać a już zwłaszcza historyczne książki nie miały

wśród nich wzięcia, więc nie znali tego starego, ogranego podstępu. Halbern i inni generałowie w końcu zrozumieli mój zamysł, ale zwykłym żołnierzom zdawało się to sprawiać trudność. Asturianie robili się coraz zuchwalsi i z początkiem jesieni na południowym brzegu rzeki Camaar zaczęła się gromadzić armia Garteona. Ciągłe węszenie mego ojca uniemożliwiało mi osobiste kierowanie przeciwuderzeniem, które planowałam, więc generał Halbern zdany był wyłącznie na siebie. Z pewnością nadawał się do tego zadania, mimo to wróciłam do dzieciennego nawyku obgryzania paznokci. Nie mogłam spokojnie spać. Jednym jednakże mogłam się zająć. Poleciałam Malonowi, aby wszystkich przywódców z wacuńskiego ruchu oporu, których uda mu się odszukać, pewnej nocy zebrał w ruinach wioski w połowie drogi pomiędzy Vo Wacune i rzeką Camaar. Chciałam z nimi porozmawiać. Tego wieczoru wymknęłam się ojcu, zmieniałam się w sokoła i poleciałam na wyznaczone miejsce spotkania. Asturianie spalili wioskę, więc pozostały tylko zgliszcza i rozbite kamienne mury. Noc była bezksiężycowa i czarny las wokół ruin wyglądał złowieszczo. Wyczuwałam obecność wielu ludzi, ale ostrożnie unikali mnie, gdy szłam ku placowi na środku wioski, gdzie pomiędzy grupą obdartych bojowników stał Malon.

Przedstawił mnie wacuńskim patriotom. Niektórzy byli szlachetnie urodzeni, kilku pamiętałam ze szczęśliwszych czasów. Inni byli chłopami lub wiejskimi handlarzami. Byłam niemal pewna, że znaleźli się wśród nich przywódcy rozbójników. Każdy z tych ludzi przewodził „bandzie wyrzutków”, jak nazywali Asturianie ludzi, którzy imowali się zasadzkami na ich patrole.

- Panowie - zaczęłam. - Nie mam wiele czasu, więc muszę się streszczać. Wkrótce Asturianie najadą moje księstwo. Najprawdopodobniej uderzą przez rzekę Camaar, by oblegać Muros. Nie spodziewają się oporu, ponieważ myślą, że moja armia jest tchórzem podszyta.

- Słyszeliśmy o tym, wasza łaskawość - wtrącił krzepki chłop o imieniu Beln. - Nielatwo jednak nam temu dać wiarę. Wszyscy mamy krewnych wokół Muros, a ich nikt nigdy nie posądził o bojaźliwość.

Dlatego właśnie zorganizowałam to spotkanie. Wacuńscy przywódcy musieli dowiedzieć się, że rzekome tchórzostwo mojej armii było jedynie elementem strategii.

- Rozkazałam im tchórzyc - odparłam w jego dialekcie. - Zastawiałam pułapkę na Asturian. Możesz mi zaufać, moja armia jeszcze pokaże pazury, gdy przyjdzie czas.

Nie miałam zamiaru żartować sobie z niego, przemawiając w jego dialekcie. Całkiem rozmyślnie łamałam pewne bariery, które istniały pomiędzy klasami społecznymi. Chciałam, aby wacuńscy partyzanci stanowili zwartą siłę, a to wymagało porzucenia przestarzałych

obyczajów. Beln spojrział po swoich przyjaciółach z szerokim uśmiechem na zmizerniałej, brodatej twarzy.

- Ależ to fajna panna, no nie? - zwrócił się do nich.

- Serce moje radością się napęlnia, gdy słyszę twe słowa, Belnie - powiedziałam. - A zatem po bitwie na równinach Muros, którą oczywiście mam zamiar wygrać, Asturianie całkiem stracą ducha bojowego i zaczną w nieładzie uciekać za rzekę Camaar. Wówczas wy, panowie, wkroczycie do akcji. Nie przeszkadzajcie im w drodze na północ Przez rzekę, ale gdy spróbują uciekać, możecie wyrównać z nimi stare porachunki. Mówiąc wprost, tego dnia będą dwie bitwy. Ja pobiję Asturian na równinach, a potem wy pobijecie ich w tutejszych lasach, kiedy będą przede mną uciekać.

Zebrani głośnymi okrzykami wyrazili aprobatę.

- Jeszcze jedno - dodałam. - Po tych podwójnych ciągach Asturianie będą tak totalnie rozbici, że nie zdołają przeszkodzić zwyczajnym ludziom przemieszczającym się tutaj. Z pewnością macie bliskie wam osoby, które chcielibyście sprowadzić w bezpieczne miejsce a zapewne inni również woleliby uniknąć niewoli. Niech wiedzą że wszyscy są mile widziani w Muros. Zadbam o to, by mieli gdzie mieszkać i co jeść.

- Czy to nie nadweręży twych zasobów, wasza miłość? - zapytał jasnowłosy baron Athan, którego kilkakrotnie spotkałam w Vo Wacune.

- Dam sobie radę, panie - zapewniłam go. - Czyniłam przygotowania na przyjęcie uchodźców od czasu upadku Vo Wacune. - Ponownie zwróciłam się do wszystkich. - Wiem, że większość z was wolałaby zostać tu i walczyć, ale sprowadźcie kobiety, dzieci i starców w bezpieczne miejsce. Nie pozwólcie, by dostali się do asturiańskiej niewoli.

- Trafnie ujęłaś swe racje, wasza miłość - pochwalił baron Athan, po czym rzekł: - Pani, muszę zamienić z tobą słowo po zakończeniu naszego spotkania.

- Oczywiście, baronie. - Potem rozejrzałam się po innych patriotach. - Radzę przemieszczać uchodźców nad rzekę w małych grupach, panowie. Wytyczcie trasy przez las i wysyłajcie nimi po kilkunastu ludzi. Zadbam o to, aby czekały łodzie, które przewiozą ich w bezpieczne miejsce.

Jeszcze przez pół godziny omawialiśmy szczegóły tej masowej emigracji, a potem patrioci znikli w leśnych ostępach. Został tylko baron Athan.

- Muszę wypełnić bardzo smutny obowiązek, wasza miłość - powiedział. - Z żalem muszę ci donieść, iż hrabia Ontrose, twój rycerz, zginął podczas oblężenia Vo Wacune.

Serce mi zamarło. Pomimo wszystko nadal miałam cień nadziei.

- Byłem przy nim, gdy umierał, wasza miłość - mówił dalej Athan. - Zamiarem moim było zmazanie plamy zdrady barona Lathana z honoru naszej rodziny. Pragnąłem oddać własne życie w obronie Vo Wacune, gdyż łotr Lathan był mym dalekim kuzynem. Hrabia Ontrose jednakże rozkazał mi odjechać, abym mógł przynieść ci wieść o jego śmierci, albowiem lękał się, iż niepewność może przeszkodzić ci w wypełnianiu obowiązków. Nie chciałem bólu ci zadawać, pani, ale hrabia umarł z twym imieniem na ustach.

Otoczyłam swe serce stalowym murem.

- Doskonale wypełniłeś swe smutne zadanie, panie - Powiedziałam. - Teraz zaś rozstać się musimy. Wszelkich starań atoli dołoż aby pomścić naszego drogiego przyjaciela, baronie, jakoż i ja uczynie. Przy sposobnej okazji porozmawiamy więcej o tej tragedii.

Potem opuściłam wioskę i weszłam w ciemny las. Płakałam długo lecz zwykły płacz wydawał się słabym ukojeniem dla mego targanego żalem serca. Moja rozpacz potrzebowała większego ujścia. Zmieniłam się w sokoła i rzuciłam na oślep w powietrze. Ptaki drapieżne rzadko krzyczą w nocy, ale mój krzyk żalu i rozpaczycy ciągnął za mną ponad mrocznym lasem północnego Wacune, a potem pomiędzy szczytami, gdzie odbijał się echem od nieśmiertelnych skał i palił powierzchnię każdego lodowca schodzącego z gór Sendarii.

Wacuńscy partyzanci mieli rozległe kontakty po asturiańskiej stronie granicy i informacje zdobyte tak okrężną drogą w końcu trafiały do Malona. Pewnego wieczoru, niedługo po owym spotkaniu w ruinach wioski, doniósł mi, że księżę Garteon i jego „angaracki doradca" wyszli z ukrycia i wrócili do pałacu w Vo Astur. Wiadomość od Malona potwierdziła to, co podejrzewałam od początku. Ctuchik znowu wtrącał się do arendyjskiej polityki. Uczucie bolesnej straty, jakie czułam po potwierdzeniu śmierci mego ukochanego Ontrose, zawiodło mnie w najciemniejsze zakamarki mej duszy i rozważałam różne sposoby zaspokojenia rozpaczliwego głodu zemsty. Byłam medykiem, więc potrafiłam sobie wyobrazić cierpienia, które ciągnęłyby się tygodniami, jeśli nie miesiącami. Myśl o Ctuchiku wijącym się w agonii przez kilka kwartałów trochę poprawiała mi nastrój. Późną jesienią Asturianie przekroczyli rzekę Camaar, by najechać moje ziemie. Rozpoczęli marsz na Muros, spodziewając się niewielkiego oporu. Generał Halbern był na tyle sprytny, by nie uderzać natychmiast, ale odczekał z kontratakiem, aż asturiańska armia znajdzie się o dzień marszu na północ od rzeki.

- Nie chciałem marnować doskonale zastawionej pułapki, wasza miłość - relacjonował mi później. - Po co miałoby tęsknym okiem spoglądać na brzeg rzeki, zamiast pozwolić wybić się do nogi. Wszystko powiodło się całkiem niezgorzej, powiedziałbym. - Halbern był mistrzem w umniejszaniu własnych zasług.

Moi żołnierze zzymali się na ograniczenia, jakie na nich nałożyłam, więc gdy Halbern je zniósł, wypadli z Muros niczym sfora głodnych wilków. Bitwa o Muros była krótka. Asturiańscy generałowie z zarozumiałą pewnością siebie, spowodowaną rzekomym tchórzostwem mej armii, oczekiwali, że to będzie jedynie leniwy przemarsz znad rzeki Camaar do miasta. Tak więc wmaszerowali wesoło, prosto w rozpalane na ich powitanie ognisko. Ich położenie jeszcze pogarszał fakt, że asturiańscy żołnierze nie byli przyzwyczajeni do walki na otwartym terenie. Asturia to jeden wielki las, a Muros stoi wśród łąk. Moi generałowie przeszli szkolenie u hrabiego Ontrose, więc potrafili walczyć i w lasach, i na otwartych równinach. Asturianie nie zdawali sobie sprawy, że są okrążeni, dopóki nie zostali zaatakowani ze wszystkich stron jednocześnie. To nie była bitwa, ale rzeź. Nieliczni, którym udało się uciec na drugi brzeg rzeki Camaar, wpadli w ręce wacuńskich patriotów.

Pewną satysfakcję dawała świadomość, że armia, która zniszczyła Vo Wacune i zabiła mego ukochanego Ontrose, została zniszczona tego mroźnego, jesiennego popołudnia. To był pierwszy akt mej zemsty. Drugi akt przyjdzie później. Po naszym zwycięstwie pod Muros przez granicę popłynął strumień uchodźców i musiałam zapewnić im schronienie i pożywienie. Malon był mymi oczyma i uszami - i rękoma - więc tej zimy miał wiele zajęć. Zbudowaliśmy nowe wioski, głównie na mych ziemiach, a moje spichrze zaopatrywały wszystkich w żywność. Warunki trudno było nazwać luksusowymi, lecz uchodźcy przetrwali zimę. Malon przewidział, że będą chcieli dołączyć do mej armii, i nie mylił się w tym względzie. Poleciałam Halbernowi, aby utworzył z nich nowe bataliony, którymi dowodziliby oficerowie z byłej armii wacuńskiej. Na tych oficerów spadł więc trud wyszkolenia rekrutów, co pozwalało Halbernowi i innym generałom zająć się obroną południowych granic.

Choć nadal byłam przykuta do matczynej chatki przez wścibskie węszenie ojca, Malon coraz lepiej radził sobie z tym osobliwym sposobem porozumiewania się na odległość. Po przeniesieniu siedziby sztabu głównego armii do Muros wprowadziłam kilka poprawek do naszego „zaczarowanego pokoju”, aby umożliwić również kilku innym wybrańcom bezpośredni kontakt ze mną. Jestem przekonana, że ojciec lub któryś z bliźniaków, podglądających mnie z ukrycia, byli przekonani, iż wciąż rozpamiętuję to, co wydarzyło się w Vo Wacune, ale tak naprawdę mój nieobecny wyraz twarzy świadczył o tym, że jestem pogrążona głęboko w rozmowie z Malonem lub którymś z moich generałów.

Wacuńscy patrioci po drugiej stronie rzeki wciąż napadali i mordowali Asturian, ale co ważniejsze, przekazywali nam informacje o ruchu wrogich oddziałów. Prawdopodobnie wiedziałam więcej o lokacji i kondycji armii Garteona niż on sam. Jednak moją prawdziwą przewagą stanowiła strategia. Po zwycięskiej bitwie o Muros nie zaatakowałam Asturii ani

nie starałam się odbijać Wacune. Nie było po temu żadnej potrzeby. Osiągnęłam wszystko, co chciałam, nie kiwając nawet palcem. Masowa migracja uchodźców na naszą stronę rzeki wyludniła północne Wacune, a bez chłopów obrabiających pola Garteon nie wyniósł żadnej korzyści z tego podboju. Kosztem swych ogromnych strat zdobył tylko puste lasy i zachwaszczone, nieobrobione pola. Moi szpiedzy donosili o koncentracji oddziałów asturiańskich, więc za każdym razem, gdy Garteon próbował ponownie przepłynąć się przez rzekę, byłam gotowa na jego przyjęcie. Nie minęło wiele czasu, a asturiańscy żołnierze - w końcu nawet generałowie Garteona - zaczęli szeptać o czarach i innych niedorzecznościach, co podziało dodatkowo na moją korzyść. Nabrali przekonania, że „wiedźma z Muros” zna ich najskrytsze myśli, i nagle epidemia bojaźliwości wybuchła w asturiańskich szeregach. Oblaskawiony Grolim Garteona nie był w stanie uspokoić żołnierzy, przekonanych, że potrafię zmienić ich wszystkich w ropuchy. Legenda Polgardy Czarodziejki zbyt głęboko się zakorzeniła w świadomości Arendów, by rozwiać ją zwykłymi drwinami.

Potem nam się poszczęściło. Gdyby Garteon i jego Grolim pozostali w Vo Astur, nie mielibyśmy okazji ich dopaść, ale w końcu książę zapragnął sam obejrzeć, czego jego armia dokonała w Vo Wacune. Napawanie się zwycięstwem jest zapewne czymś całkiem naturalnym, ale czasami potrafi ściągnąć na człowieka okropne niebezpieczeństwo. To było około roku po bitwie o Muros, jesienią 2944, gdy książę Asturii i jego angarski przyjaciel opuścili Vo Astur - samotnie, możecie uwierzyć?! - i pojechali do ruin mego ukochanego miasta. Malon Killaneson zawsze pilnie przekazywał mi wszystkie wieści, gdy tylko je zdobył, ale tym razem stało się inaczej. Zamiast powiadomić mnie o tym, sam zniknął. Byłam zaskoczona - a nawet wściekła - gdy podczas prac w ogrodzie usłyszałam głos generała Halbena. Tak doszła mnie informacja, iż Malona nigdzie nie można znaleźć. Przed oczyma stanęła mi przerażająca wizja skrytobójczego asturiańskiego ataku. Zmieniłam się w sokoła i co sił w skrzydłach pognałam do Muros. Malon był niezastąpionym człowiekiem w moim całym księstwie. Natychmiast po przybyciu do Muros poleciłam generałowi Halbernowi, by jego żołnierze przetrząsnęli całe miasto. Różne ciekawe i nie zawsze legalne sprawy wyszły na jaw przy okazji, ale po Malonie nie było nigdzie śladu. Generał Halbern był zawodowym żołnierzem. Nigdy nie wpadał w panikę. Już sama jego obecność działała na mnie uspokajająco

- Malona z pewnością tu nie ma, wasza miłość - poinformował mnie rankiem po zakończeniu poszukiwań. - Nikt go nie widział od dwóch dni. Miał spotkanie w swoim biurze z grupą wacuńskich patriotów. Po ich odejściu został w swym gabinecie prawie do północy, a potem wyszedł. Osobiście przepytalem człowieka, który pełnił wartę przy głównym wyjściu.

Malon ma kwatery w zajezdzie dwie ulice stąd. Pakował się w pośpiechu, bo w pokoju pozostawił nieład.

- A zatem skrytobójstwo możemy wykluczyć, generale - powiedziałam. - Skrytobójcy rzadko trują się sprzątaniem ciała, gdy skończą.

- Prawda, wasza miłość.

- Fakt, iż Malon miał czas się spakować, wyklucza również porwanie, nie sądzisz?

- Prawdopodobnie możemy to bezpiecznie przyjąć, pani.

- A zatem wyjechał dobrowolnie, nie powiadamiając mnie, dokąd się wybiera.

- To do niego niepodobne, wasza miłość - zauważył Halbern. - Malon zawsze konsultował z tobą każde posunięcie.

- Może ci Wacunowie przynieśli jakieś niepokojące wieści od jego rodziny, ale nadal uważam, że powinien skontaktować się ze mną przed wyjazdem.

- Tego jestem pewien, wasza miłość.

- Czy ktoś jeszcze wchodził do jego biura po wyjściu Wacunów?

- Nie, wasza miłość. Wartownik przy drzwiach i oficer dyżurny na nocnej zmianie nikogo nie widzieli, tego jestem pewny.

- Kiedy Wacunowie wyszli?

- Trzy godziny po zachodzie słońca, wasza miłość.

- A Malon wyszedł dwie godziny potem?

- W przybliżeniu, wasza miłość.

- Obejrzyjmy zatem jego biuro, generale. Może tam znajdziemy odpowiedź.

Halbern posmutniał.

- O co chodzi, Halbernie? - zapytałam.

- Właśnie się zastanawiam, gdzie miałem głowę, wasza miłość. Nie przyszło mi do głowy przeszukanie jego biura. Mam zwyczaj szanować prywatność innych ludzi.

- Cecha godna pochwały, generale, ale w tym przypadku trochę nie na miejscu. Zobaczmy, co Malon zostawił na biurku.

Nie znaleźliśmy na biurku niczego. Malon był wyjątkowo schludny, więc zawsze po skończonej pracy odkładał wszystko na miejsce. Jednak znałam go dobrze i wiedziałam, że musi gdzieś mieć skrytkę. Odnalezienie jej nie sprawiło mi trudności, w końcu miałam pewną przewagę nad zwykłymi ludźmi. W biurku była ukryta szuflada, a w niej, jak to zwykle bywa, flaszka alkoholu. Była tam również mapa Wacune. Po jej rozłożeniu spostrzegliśmy linię wyznaczającą trasę od północnej granicy Wacune w okolice byłej stolicy. Trasa ta omijała główne trakty i zapewne biegła ścieżkami znanymi jedynie leśnym rozbójnikom.

- Czy on mógł tam pojechać, wasza miłość? - zapytał Halbern.

- Jestem niemal pewna, że to zrobił, generale, i mam zamiar porozmawiać sobie z nim o tym. Dobrze wie, że nie powinien działać na własną rękę. Twój ludzie mogą wszędzie rozpytywać o niego, ale jestem przekonana, że Malon jest już po drugiej stronie rzeki, w Wacune.

- Może musiał się zająć jakąś niecierpiącą zwłoki sprawą? Pokręciłam głową.

- Nie, Halbernie. Malon był tutaj po to, aby przekazywać moje rozkazy, a nie samemu załatwiać sprawy. - Zmrużyłam oczy. - Oby miał przygotowaną dobrą wymówkę, gdy go już znajdziemy.

Poznaliśmy się z generałem Halbernem jeszcze lepiej w czasie owych dwóch tygodni, które Malon spędził w Wacune. Polubiłam Halberna. Z usposobienia przypominał zarówno porywczego Arenda, jak i racjonalnego Sendara. Skontaktował się ze swymi informatorami w Wacune i poprosił, aby przetrząsnęli lasy w poszukiwaniu mego zarządcy. Wytropili go dopiero po dwóch tygodniach, gdy był już w drodze powrotnej do Muros.

Kilka godzin obmyślałam, jak najlepiej zmyć głowę memu przyjacielowi, lecz nie dane mi było zrealizować planów. Malon wyglądał na zmęczonego, ale jednocześnie rozpieła go radość. Miał na twarzy rozbrajający uśmiech, którym przypominał mi Killane.

- Nie gań mnie, dopóki nie wysłuchasz mej opowieści, wasza miłość - powiedział, gdy generał Halbern go przyprowadził. Najwyraźniej spostrzegł chmurę na moim czole.

- Jesteś w tarapatach - uprzedził go Halbern.

- Bardzo przepraszam, że tak się niepokoiłicie, ale nic mi ni było. Dalecy kuzyni z Wacune przynieśli mi kilka tygodni temu pewne informacje, a ja z miejsca spostrzegłem szansę na zaskoczenie waszej miłości trochę wcześniejszym prezentem urodzinowym. Przecież lubisz niespodzianki, pani?

- Nie bardzo, Malonie. Zwykle wiążą się ze złymi wieściami.

- Nie tym razem, pani - powiedział wesoło. - Otóż kilku mych wacuńskich krewniaków wpadło do mnie z wieścią, że księcia Garteona i jego przyjaciela, Murgo, widziano w pobliżu ruin Vo Wacune. Pomyślałem, że to wspaniała okazja do wyrównania pewnych starych rachunków. Postawiłem na nogi całą rodzinę Killanesonów, a pomimo to wytropienie naszych wrogów zajęło im kilka dni. Garteon i Murgo byli bardzo ostrożni. W każdym razie, mówiąc w skrócie, znaleźliśmy ich i zastawiliśmy na nich powitalną zasadzkę.

- Ty durniu! - wybuchłam. - Ten Murgo jest Grolimem!

- Może i był, wasza miłość, ale nie jest, bo naszpikowaliśmy go kilkunastoma strzałami. Istotnie, przypominam sobie, że zaczął coś wykrzykiwać, nim strzały zwały go z siodła.

Księżę Garteon wbił ostrogi w końskie boki i próbował uciekać, ale my przewidująco rozciągnęliśmy linkę w poprzek ścieżki na wysokości piersi, więc został wysadzony z siodła.

- Pojmaliście go?! - wykrzyknęłam.

- W rzeczy samej, pani. W rzeczy samej.

- Gdzie jest?

- To zależy, na ile pilnie wywiązywał się ze swych religijnych powinności, pani - odparł z lekkim wahaniem mój zarządca.

- Coś z nim zrobił? - naciskałam.

- No cóż, pani, zastanawialiśmy się nad tym, gdy leżał na ziemi bo od upadku z konia zaparło mu dech w piersiach. Początkowo mieliśmy zamiar pochwycić go i dostarczyć waszej miłości, byś postąpiła z nim wedle własnego uznania, ale gdy już wpadł nam w ręce i mogliśmy się mu przyjrzeć, zobaczyliśmy, jaki z niego odrażający szubrawiec, i nawet przez myśl nam nie przeszło, by obrazić cię, Pani sprowadzeniem tego parszywego psa przed twe oblicze. Im dłużej debatowaliśmy, tym bardziej obmierzłą była nam myśl o uhonorowaniu go oficjalnym procesem. Uznaliśmy, że nie zasłużył sobie na tyle uwagi.

- Co z nim zrobiliście? Przejdź do rzeczy, Malonie.

- No cóż, pani, mieliśmy łotra, który wedle nas nie był wart tyle by go żywić i strzec przez całą drogę do Muros, mieliśmy też linkę która dopiero co wysadziła go z siodła, no i były w pobliżu wysokie drzewa. Uznaliśmy to znak od bogów, więc powiesiliśmy go na miejscu.

Generał Halbern ryknął śmiechem.

- Zapewne powinienem powiedzieć waszej miłości, że nie przyjął tego z pokorą - ciągnął dalej Malon. - Wrzeszczał, że jest księciem Asturii i że nie możemy mu tego zrobić, ale jak się okazało, mogliśmy. Jeśli chciałabyś go obejrzeć, narysuję mapę, pani. Pewnie wciąż ozdabia tamto drzewo.

Halbern roześmiał się jeszcze głośniejsze. Nie popieram samosądów, ponieważ nikt powieszony nie ożył, gdy stwierdzono pomyłkę. Ten przypadek jednak był wyjątkiem, natychmiast spostrzegłam korzyści płynące z grubiańskiego podejścia Malona do złożonych spraw wymierzania sprawiedliwości. Po pierwsze, podniesie to ducha wacuńskich uchodźców, tłoczących się na południowych krańcach mych ziem, a w konsekwencji również doda otuchy rdzennym mieszkańcom tych terenów. Co jednak ważniejsze, wydarzenie to najprawdopodobniej wprowadzi spore zamieszanie wśród Asturian. Dopóki Garteon był u władzy, Asturianom głównie zaprzętała głowy myśl o zagarnięciu moich ziem. Teraz ich uwaga przynajmniej częściowo zostanie skierowana na fascynującą kwestię wyboru następcy powieszzonego księcia. Spojrzałam na swego uśmiechniętego zarządcę.

- W porządku, Malonie - powiedziałam. - Nie popieram tego w pełni, ale co się stało, to się nie odstanie, więc postarajmy się to wykorzystać. Chcę, aby wszyscy w całym księstwie usłyszeli o twojej przygodzie. Przechwalaj się do woli, przyjacielu. Potem narysujesz mapę z zaznaczoną drogą do drzewa, na którym zawisł Garteon, i przekażesz ją generałowi Halbernowi.

- Czy wasza miłość życzy sobie, abym przywiózł zwłoki? - zapytał Halbern.

- Nie, generale, zostawimy to Asturianom. Dasz mapę najbardziej wygadaneemu kapłanowi Chaldana, jakiego uda ci się znaleźć. Poprosisz, aby dostarczył mapę do Vo Astur. Chcę, aby wszyscy w Asturii usłyszeli radosną nowinę, a żaden Arend nie odważy się zabronić kapłanowi mówić. Generał Halbern opanował śmiech i skłonił się z uznaniem.

- Nie spodziewałbym się szczególnych postępów w pracach poprzez kilka tygodni, wasza miłość - ostrzegł Malon. - Zapowiada się huczne świętowanie.

- Nie szkodzi - wzruszyłam ramionami. - Jest już po zbiorach, i ludzie potem nadrobią zaległości. - Roześmiałam się. - A co ja mam robić z tobą, Malonie? Proszę, nie wymykaj się mi już więcej.

- Postaram się, wasza miłość. A teraz wybaczcie, zabiorę się za rysowanie. - Spojrzał na generała Halberna. - Moja mapa nie będzie zbyt dokładna, generale. Nie potrafię podać nazwy tego drzewa.

- Nic nie szkodzi, Malonie - machnął ręką Halbern. - Asturianie to leśny lud, lubią włóczyć się pomiędzy drzewami. Na pewno znajdą zgubę.

- Coś mi się zdaje, że książe Garteon może nie być najpopularniejszym z ludzi w Asturii - dumiał Malon. - Jeśli drażnił swych ludzi tak jak nas, to świętowanie po tej stronie rzeki może się rozprzestrzenić na drugi brzeg.

- Dość tego, panowie - powiedziałam - bierzmy się do pracy. Ja muszę wrócić do matczynej chatki, bo wkrótce ojciec w poszukiwaniu mnie zacznie rozbierać góry Sendarii.

Świętowanie ciągnęło się przez sześć tygodni. Śmiechy i radość rozprzestrzeniły się z Muros aż do ujścia rzeki Camaar, skąd przejęła je reszta księstwa. W Asturii również po cichu świętowano. Książe Garteon nie zostawił następcy, więc jego śmierć położyła kres dominacji rodu Orimanów w Asturii. Nieuniknione właśnie o przejęcie tronu tak zajęły asturiańską szlachtę, że niepokoje na mej południowej granicy niemal zupełnie ucichły. Oczywiście nie zawarto żadnego traktatu pokojowego, ale w Arendii nigdy tego nie robiono. Arendowie potrafią z deklaracji wypowiedzanej wojnę uczynić klejnot elegancji, ale jakoś sobie nie radzą z ubraniem w słowa traktatu pokojowego. Ojciec i bliźniaki nadal mnie obserwowali, więc zaczęłam tej zimy remontować chatkę matki, by przekonać ich, że poważnie podchodzę

do swego pustelniczego życia. Pokryłam dach nową strzechą, wymieniłam drzwi i rozbite okna, uzupełniłam brakujące kamienne bloki na szczytach murów. Z pewnością Durnik nie pochwaliby środków, których użyłam przy remoncie, ale gdy kilka razy zderzyłam się młotkiem w palec, odłożyłam narzędzia do kąta i wybrałam inny sposób. Wiosną założyłam warzywnik. Rzodkiewki i fasolka nie dorównują urodzie różom, ale smakują lepiej, a jeśli potrafi się wyhodować róże, to z pewnością potrafi się uprawiać warzywa. Ojciec najwyraźniej uznał moje przydomowe prace za znak, iż otrząsnęłam się już z samobójczych zapędów, ponieważ częściej spuszczał mnie z oka. W miarę jak sprawy w moim księstwie wracały do normy, coraz mniej miałam wieści od Malona. Kryzys został zażegnany, więc on i generał Halbern nie szukali już moich rad. Jednakże latem, choć wydawało się, że zajmuję się głównie uprawą ogródka, tak naprawdę sporo myślałam. Kroki, które podjęłam, aby w moim księstwie zapanował dobrobyt, a ludziom żyło się godziwiej doprowadziły w rezultacie do sytuacji, której nie przewidziałam. System feudalny wymagał ciągłego nadzoru. Wyzwolenie chłopów i wprowadzenie systemu spójnego prawa przygotowało drogę dla samorządu. Ze smutkiem muszę przyznać, że pozbawiłam się pracy. Lud księstwa już mnie nie potrzebował. Miałam nadzieję, że nadal żywili do mnie ciepłe uczucia, ale potrafili się sami o siebie zatroszczyć. Mówiąc krótko, moje dzieci dorosły, spakowały się i wyprowadziły z domu.

By ułatwić memu ludowi dalsze dojrzewanie, wydałam Malonowi pewne instrukcje w sprawie zarządzania moimi włościami. Wiedziałam, że te praktyki wkrótce przejmą również moi wasale. Powiedziałam mu, że rezygnujemy z odrabiania w zamian za prawo do korzystania z mej ziemi i wprowadzamy opłaty dzierżawne. To był następny logiczny krok ku niezależności i odpowiedzialności. Ustalone przeze mnie opłaty nie były wygórowane. Stanowiły procent od dochodów uzyskanych ze zbiorów. W miarę upływu czasu stopniowo obniżałam ten procent, aż opłata stała się zupełnie symboliczna. W ten sposób zachęcałam moich poddanych do przedsiębiorczości, a cały proces pomógł wpoić solidność w podstawowe cechy Sendarów. Faldor byłby zaskoczony, gdyby się dowiedział, że jego rodzina od pokoleń płaciła mi dzierżawę za swoją farmę. Oczywiście z czasem Malon i Halbern zestarzelili się i umarli. Udałam się do swej rezydencji na pogrzeb Malona, a potem odbyłam długą rozmowę z jego synem, zaskakująco dobrze wykształconym człowiekiem, który z niezrozumiałych dla mnie powodów postanowił używać jedynie swego nazwiska. Killaneson rzadko przechodził na wacuński dialekt, mówił kulturalnym językiem, który wszedł do powszechnego użycia na mych byłych ziemiach.

- Rozumiesz, co próbuję osiągnąć, Killanesonie? – zapytałam, gdy skończyłam wyjaśniać mu system dzierżaw.

- Wydaje mi się, że wasza miłość stara się uchylić od pełnienia książęcych obowiązków
- odparł z nikłym uśmiechem.

- Możesz to tak ująć, przyjacielu, ale wszystko to robię z miłości do tych ludzi. Chcę ich delikatnie skierować ku niezależności. Dorosłym mamuśka nie musi mówić, kiedy zmienić odzienie. I jeszcze jedno. Pozwólmy, by nazwa Erat powoli wyszła z użycia. Te ziemie zwano Sendarią na długo przedtem, nim ktoś tu się osiedlił. Wróćmy do tej nazwy. Zachęć ludzi, aby zaczęli myśleć o sobie jako o Sendarach.

- Czemu nie wydasz specjalnej proklamacji w tym celu, wasza miłość?

- Wolałabym nie robić tego na drodze oficjalnej, Killaneson. Zamierzam powoli zniknąć. Jeśli mi się uda, to za kilka pokoleń nikt nawet nie będzie pamiętał o księżnej Erat.

- Proszę, nie zostawiaj nas, mamciu - powiedział Killaneson z udaną, niemal dziecięcą trwogą.

Oboje wybuchliśmy śmiechem. Pod koniec trzydziestego pierwszego wieku w porcie Rivy doszło do pogromu. Tolnedranie przekonani, że na Wyspie Wiatrów ukrywane są niezliczone skarby, wysłali na północ flotę, by zmusić Rivan do otwarcia bram dla kupców. Rivanie jednak nie dali sobie w kaszę dmuchać i zatopili tolnedrańską flotę. Przez jakiś czas sytuacja była bardzo napięta, ale kiedy ambasador Chereku w Tol Honeth zapewnił Rana Borune XXIV, że królowie Alornów spustoszą Tolnedrę w razie jakichkolwiek wrogich aktów wobec Wyspy Wiatrów, sprawy wróciły do normy. W imperialnym pałacu w Tol Honeth Honethici zastąpili Bournów. Mówcie o Honethitach, co chcecie, ale byli prawdopodobnie najlepszymi administratorami ze wszystkich wielkich rodów imperium, więc sytuacja się unormowała. Na początku trzydziestego drugiego wieku zaczęłam stopniowo zmniejszać liczbę służby w mej rezydencji nad jeziorem Erat, aż pozostało tylko kilku ludzi dbających o porządek. Urządziłam pozostałych Killanesonów i powoli zaczynałam znikać z pamięci mych poddanych. Nazywali siebie Sendarami, a ja przeszłam na karty historii i do ludowych opowieści. Jednakże kilka razy musiałam opuścić swą samotnię w matczynej chatce. W połowie trzydziestego drugiego wieku wyznawcy kultu niedźwiedzia w Chereku przekonali króla Alrega, że Sendarią jest naturalnym przedłużeniem jego królestwa i Belar, bóg Alornów, będzie się gniewał, jeśli Cherek nie zaanektuje mego byłego księstwa. Kolejny raz musiałam przemówić do rozsądku Alornom. Po tym i kiedy jeden szczególnie napastliwy lord - miał na imię Elbrik - natarł na wybrzeże i splądrował Darine, zmieniłam się w sokoła i poleciałam do Vo Alorn, aby zamienić kilka słów z królem Chereku. Wylądowałam na murach pałacu Alrega i zesłam kilka kondygnacji w dół do zadymionej sali tronowej. Król Alreg był potężnym mężczyzną z krzaczastą jasną brodą. Siedział rozwalony na wielkim tronie z

kuflem piwa w dłoni. Choć nie było po temu powodu, miał na sobie stalowy hełm i kolczugę. Najwyraźniej uważał się za króla wojownika. Jeden ze zbrojnych wartowników przy drzwiach schwycił mnie za ramię, gdy weszłam.

- Nie wolno ci tu wchodzić, kobieto! - powiedział grubiańsko. - Tylko mężczyznom wolno być w sali tronowej!

- Chciałbyś zachować tę rękę? - zapytałam uprzejmie, znacząco spoglądając na trzymającą mnie dłoń.

- Posłuchaj no... - zaczął, jednak puścił me ramię.

Potem potoczył się po zasłanej słomą podłodze, gdy siłą mej Woli uderzyłam go w pierś. Wzmocniłam swój głos, aby przebił się przez pijacką paplaninę.

- Alregu, królu Chereku! - zagrzemiałam, a nawet ściany zadrżały od tego przytłaczającego dźwięku.

Król Chereku, najwyraźniej solidnie już podpity, poderwał się na nogi.

- Kto wpuścił tę kobietę?! - zawołał z wyrzutem.

- Sama się wpuściłam, Alregu - powiedziałam. - Musimy porozmawiać.

- Jestem zajęty.

- Więc przerwij swe zajęcia, i to natychmiast! - Przeszłam obok dymiącego paleniska na środku jego przypominającej norę sali tronowej, odpychając każdego wojownika, który próbował zastąpić mi drogę. Nawet nietrzeźwy, Alreg zrozumiał, że dzieje się coś niezwykłego. Dotarłam do stóp tronu i wbiłam w króla nieprzyjazne spojrzenie.

- Widzę, że tron Chereka o Niedźwiedzich Barach przypadł zapijaczonemu głupcowi - zauważyłam zgryźliwie. - Jakie to smutne. Wiem, że byłby rozczarowany.

- Nie możesz do mnie mówić w ten sposób! - wybuchł.

- Mylisz się, Alregu. Mogę mówić do ciebie, jak mi się będzie pobało. Zabieraj natychmiast tego barbarzyńcę Elbrika z Darine!

- Nie możesz mi rozkazywać! Za kogo ty się uważasz? Wówczas jeden z bardziej trzeźwych ludzi, stojących tuż za zanim, straszliwie pobladł.

- Wasza wysokość! - Rzekł do swego króla zdławionym głosem. - To Polgarda Czarodziejka!

- Nie bądź durniem! - Warknął Alreg. - Polgarda nie istnieje!

- Przyjrzyj się jej, wasza wysokość! Spójrz na ten biały lok w jej włosach! To Polgarda, córka świątobliwego Belgaratha! Może zamienić cię w ropuchę, jeśli zechce!

- Nie wierzę w te brednie - Prychnął Alreg.

- A zatem doznaj nawrócenia, Alregu - powiedziałam.

Od tysiącleci już krążyła pogłoska o tym, że potrafię kogoś zamienić w ropuchę. Tym razem przywołano ją w bardzo odpowiednim czasie. Musiałam coś zrobić z Alregiem, aby poznał, gdzie jego miejsce. Chciałam, aby cały proces był widoczny, więc przeprowadziłam go nieco inaczej niż zwykle. Zamiast po prostu całego Alrega zmienić od razu, zaczęłam zmieniać po kolei jego członki. Uznałam, że niepotrzebna mi cała ropucha, wystarczy głowa i nogi. Resztę Alrega mogłam pozostawić bez zmian.

Głowa króla powoli zmieniała kształt, spłaszczając się, a oczy, i wcześniej wylupiaste, zaczęły się wybaluszać. Potem pozbawiłam Alrega brody i poszerzyłam mu usta.

- Nie! - z bezwargich ust wydobył się skrzek. Uznałam, że byłoby lepiej, jeśli nadal będzie potrafił mówić. Zmieniłam jego ręce i nogi w płetwiaste odnóża i oto przy wtórce patetycznego skrzeku król skulił się w żabim przysiadzie na swym tronie. Potem dodałam mu brodawki. Nie zmniejszyłam Alrega ani nie zrobiłam nic z jego ubraniem, więc mieliśmy na królewskim tronie ropuchę wielkości człowieka, w kolczudze, z mieczem u pasa na grubej talii, z wylupiastymi ślepiami i na dodatek skrzeczącą z przerażenia. Cały proces zajął kilka minut, a ponieważ tron Alrega stał na Podwyższeniu, widział go każdy Cherek w sali tronowej, pijany czy trzeźwy. Wyczułam, że jeden z ludzi za moimi plecami sięga po miecz. Jednak gdy pochwycił rękojeść, zmieniła się w łeb wielkiego, rozdrażnionego węża.

- Więcej tego nie rób - powiedziałam, nawet nie oglądając się.

- Powiedz swym dworakom, aby zachowywali się jak należy, Arenie. - Poradziłam ropusze na tronie. - Chyba, że masz pod ręką ich następców. Mój ojciec nie chciał, abym zabijała ludzi, ale myślę, że go nie rozgniewam. Po prostu spalę ich żywcem. Ojciec nie będzie mi mógł robić wymówek.

- Dobrze! - Zaskrzeczało stworzenie na tronie. - Będę ci posłuszny! Proszę, Polgardo! Zwrócić mi moją postać!

- Na pewno tego chcesz, Alregu? Wyglądasz pięknie. Pomyśl, z jaką dumą twoi wojownicy opowiadaliby całemu światu, że rządzi nimi ropucha. Tych brodatych leniuchów żłopiących piwsko mógłbyś zapędzić do łapania dla ciebie much. Nie miałbyś ochoty na tłuściutką muszkę?

Zdaje się, że zdrowe zmysły zaczęły w tym momencie opuszczać króla Chereku, ponieważ zeskoczył z tronu i zaczął skakać w kółko. Przywróciłam mu jego postać jedną myślą, ale on najwyraźniej nie zdawał sobie z tego sprawy, ponieważ nadal skakał i skrzeczał. Wojownicy cofali się przed nim z wyrazem paniki i obrzydzenia na twarzach.

- Wstawaj, Alregu! - Powiedziałam ostro. - Zachowujesz się idiotycznie.

Król stanął na nogi i chwiejnym krokiem wrócił do tronu. Gapił się na mnie z kompletnym przerażeniem.

- A zatem - zaczęłam surowym tonem - Sendaria jest pod moją opieką, więc zabieraj stamtąd swoich ludzi.

- Wypełnialiśmy rozkazy Belara, Polgardo - zaprotestował.

- Nie, Alregu. W rzeczywistości wypełnialiście rozkazy wyznawców kultu niedźwiedzia. Jeśli masz ochotę tańczyć, jak zagrają ci fanatycy, to już twoja sprawa, ale zabieraj się z Sendarii. Nie wyobrażasz sobie, jakie okropne rzeczy mogą się wydarzyć, jeśli tego nie zrobisz.

- Nie wiem jak reszta z was - oznajmił zapalczywie drobny, brodaty Cherek z płomieniem religijnego uniesienia w oczach - ale ja nie mam zamiaru słuchać rozkazów zwykłej kobiety!

- Prawdę powiedziawszy, stary, nie jestem zwykła.

- Ja jestem zbrojnym Cherekiem! - Niemal krzyknął. - Niczego się nie boję!

Zrobiłam drobny ruch. Jego błyszcząca kolczuga i miecz szybko przestały błyszczeć, zrudziały. Potem zaczęły kruszyć się, spadając na podłogę kaskadą czerwonego proszku.

- Skoro już nie jesteś zbrojnym Cherekiem, dalej nie czujesz najmniejszego lęku? - Zapytałam. Już mnie zmęczyły te wszystkie typety. - Dość tego!!! - Zagrzałam. - Wynoś się z Sendarii, Alregu, albo odholuję Półwysep Chereku na morze i go zatopię. Będiesz mógł wtedy królować rybom. A teraz odwołaj swych ludzi do domu!

To nie był najdyplomatyczniejszy sposób doprowadzenia Chereków do porządku, ale zdenerwował mnie kołtuński szowinizm dworu Alrega. „Zwykła kobieta”, doprawdy! Nawet dzisiaj krew mi się burzy!

Moja wizyta w Val Alom zaowocowała jeszcze jedną korzyścią, po kilku miesiącach cierpliwego znoszenia histerycznych protestów niezadowolonych wyznawców kultu, Alreg podjął stanowcze kroki w celu ponownej likwidacji działalności kultu niedźwiedzia. Zauważyłam, że kult niedźwiedzia trzeba tłumić co jakieś pięćdziesiąt lat w królestwach Alornów. W następnym stuleciu coraz bardziej zagłębiałam się w zakurzone historyczne książki i rzadko miałam okazję odwiedzać swą rezydencję nad jeziorem Erat. Ostatni z dogląających ją ludzi już zmarli, a ja nie widziałam powodu, by szukać kogoś na ich miejsce. Nadal jednak lubiłam ten dom, nie chciałam, by został splądrowany i spalony, więc wczesną wiosną przeprowiłam się przez góry Sendarii, by się tym zająć. Chodziłam po pokojach zatopiona w nostalgicznych wspomnieniach. Tyle się tutaj wydarzyło. Killane i Ontrose zdawali mi się towarzyszyć w wędrówkach po pustych korytarzach, a echa dawnych

rozmów nadal rozbrzmiewały w każdej z komnat. Erat ponownie stało się Sendaria, a moje księstwo skurczyło się do tego samotnego domu. Rozważyłam kilka możliwości, ale rozwiązanie było naprawdę całkiem proste i przyszło mi do głowy pewnego wspaniałego, letniego wieczoru, gdy stałam na tarasie wychodzącym na jezioro i mój nie pielęgnowany ogród różany, który zamienił się w nieprzebytą dżunglę. Czy jest lepszy sposób na ukrycie i zabezpieczenie mego domu niż schowanie go pod gęstwiną róż? Następnego ranka zabrałam się do pracy, „zachęcając” moje krzewy różane, by rozrastały się na całą łąkę aż do jeziora. Gdy skończyłam, nie były już krzewami, ale drzewami, i rosły tak gęsto, że utworzyły kolczastą, nieprzebytą barierę, chroniącą na zawsze mój dom przed wandalami.

Z poczuciem ogromnej satysfakcji wróciłam do matczynej chatki i do ksiąg. Teraz, gdy już zadbałam o przeszłość, mogłam skupić swoją uwagę na przyszłości. Moja rodzina wierzy głęboko, że przyszłość skrywa się w kodeksach Mrińskim i Darińskim. Studiowanie bełkotu szalonego starca i cofniętego w rozwoju idioty, którego trzeba było przykuwać łańcuchami, by sam nie zrobił sobie krzywdy, potrafi być bardzo frustrujące. Co rusz natykałam się na mgliste odnośniki do mnie i mego ojca i zapewne dlatego jeszcze nie porzuciłam studiów i nie zajęłam się ornitologią czy ogrodnictwem. Stopniowo zaczynałam rozumieć, że istnieje inny świat, nakładający się na naszą doczesną, codzienną rzeczywistość, i że w tym drugim świecie drobne wydarzenia mają ogromne znaczenie. Przypadkowe spotkanie dwóch kupców na ulicach Tol Honeth lub spotkanie dwójki poszukiwaczy złota w górach Gar og Nadrak może być o wiele ważniejsze niż starcie wielkich armii. Stopniowo zaczynałam pojmować, że owe „przypadki” były WYDARZENIAMI - owymi bardzo krótkimi konfrontacjami pomiędzy dwoma różnymi prorocत्वami, z których tylko jedno ostatecznie zdeterminuje los nie tylko tego świata, ale całego wszechświata. Studia tak mnie pochłonęły, że zaczęłam ignorować czas i coraz częściej nie potrafiłam powiedzieć, które mamy stulecie. Wiem, bo sprawdziłam to w tolnedrańskich historycznych księgach, że w roku 3761 ostatni imperator z drugiej dynastii Borunów wybrał swego następcę, zamiast pozostawić wybór nieustannie skorumpowanej Radzie Doradczej. Ten bezdzielny imperator, Ran Borune XII, był człowiekiem wielkiej przezorności, albowiem jego decyzja wyniosła na tron ród Horbitów, a Horbici, przynajmniej w owym czasie, okazali się nadzwyczaj uzdolnieni. Horbici byli boczną linią rodu Honethitów, podobnie jak Anadilowie Borunów. Pierwszy z rodu, Ran Horb I, z pasją oddał się ulubionemu zajęciu Borunów, czyli budowaniu traktów, by ułatwić Tolnedranom handlowe kontakty z resztą świata. Dla jego syna, Rana Horba II, hobby to stało się prawdziwą obsesją. Prawie przez całą dobę tolnedrańskie ekipy budowlane krzątały się przy budowie nowych dróg. Korpus dyplomatyczny Tolnedry porzucił niemal wszystkie inne

sprawy i skoncentrował się na zawieraniu „porozumień o współpracy dla ogólnego dobra”, tym samym tworząc fikcyjne wrażenie tolnedrańskiej życzliwości, podczas gdy w istocie trakty służyły wyłącznie tolnedrańskim kupcom.

Kiedy wieść o budowie dróg na moich byłych ziemiach dotarła do mnie, postanowiłam przerwać studia i udać się do Tol Honeth, by dowiedzieć się od Rana Horba II, jakie są jego prawdziwe zamiary. Uznałam również, że lepiej będzie nie zaskakiwać imperatora, lecz skorzystać z pośrednictwa drasnianskiej ambasady. Pomimo sporych wad - a któż z nas ich nie ma - skąpi Drasnianie cieszą się szacunkiem w Tolnedrze. Musiałam przedstawić się księciu Khanarowi, siostrzeńcowi króla Rhalana z Drasni, ponieważ przez ostatnie osiem stuleci w zasadzie nie opuszczałam swojej samotni. Khanar w najmniejszym stopniu nie przypominał Drasa o Byczym Karku. Był niskim, żyłastym mężczyzną o błyskotliwym umyśle i przewrotnym poczuciu humoru. Szykowałam się do zademonstrowania mu mego „talentu”, ale o dziwo, nie było to konieczne. Uwierzył mi na słowo i zaprowadził do kompleksu pałacowego. Po odczekaniu godziny zostaliśmy wprowadzeni do obszernego, zapchanego meblami gabinetu Rana Horba II. Imperator był tęgawy, miał przerzedzone włosy i zaabsorbowaną minę. Wyglądał na urzędnika.

- Książę Khanarze - powitał mego towarzysza - jak miło cię znowu widzieć. Co słychać w Boktorze?

- Jak zwykle, wasza wysokość - wzruszył ramionami Khanar. - Kłamstwa, oszustwa, kradzieże, nic nadzwyczajnego czy godnego uwagi.

- Czy twój wuj wie, co mówisz o jego królestwie w obecności obcych, Khanarze?

- Zapewne, wasza wysokość. Jego szpiedzy są przecież wszędzie.

- Nie przedstawisz mnie damie?

- Właśnie miałem to zrobić, wasza wysokość. Mam wyjątkowy zaszczyt przedstawić lady Polgarde, księżnę Erat i córkę świątobliwego Belgaratha.

Ran Horb przyjrzał mi się z powątpiewaniem.

- Aby uniknąć zbędnych dyskusji, przyjmuję to do wiadomości, oczywiście tymczasowo. Proszę o dowody zostawię na potem. Czemu mamy przypisać zaszczyt wizyty waszej miłości?

- Jesteś bardzo uprzejmy, wasza wysokość - zauważyłam. - Zwykle muszę zademonstrować kilka sztuczek, nim ludzie zechcą mnie posłuchać.

- Jestem pewny, że potrafiłabyś mnie przestraszyć na śmierć, gdybyś chciała. Czym mogę ci służyć?

- Chcę tylko zasięgnąć informacji. Budujesz trakty w Sendarii.

- Buduję trakty niemal wszędzie, lady Polgardo.

- Tak, wiem. Jednak Sendaria żywo mnie interesuje. Czy te budowlane są wstępem do aneksji? - Imperator roześmiał się głośno.

- A czemuż miałbym anektować Sendarię? To ładny kraj, ale nie pałam chęcią jego posiadania. Budowane przeze mnie trakty są po prostu sposobem na trzymanie Chereków z dala od mej kiesy. Zapewnią dojazd do Boktoru, dzięki czemu unikniemy konieczności transportowania naszych towarów przez wir w Przesmyku Chereku. Piraci z północy liczą sobie straszliwe ceny za przewożenie tą drogą tolnedrańskich ładunków z Kotu, a to obcina mi dochody z podatków.

- A zatem to czysto komercyjne zainteresowanie?

- Oczywiście. Płody rolne mogę sobie kupić na miejscu, w Tolnedrze. Nie muszę wyprawiać się aż do Sendarii po fasolę i rzepę.

Zaświtał mi pewien pomysł.

- A zatem stabilizacja w Sendarii będzie dla ciebie korzystna, wasza wysokość?

- Naturalnie, po to właśnie są legiony.

- Ale legiony są kosztowne, Ranie Horbie, prawda?

- Niezmiernie kosztowne - odparł.

- Tak myślałam. - Spojrzałam na bogato zdobiony sufit. -W Sendarii nie ma centralnej władzy od przełomu stuleci. Ów brak rządu jest zachętą dla różnego rodzaju interwencji z zewnątrz. Gdyby Sendaria miała rząd - i armię - ludzie byliby bezpieczni przed zakusami z zewnątrz, a ty nie musiałbyś trzymać tam dziesięciu legionów dla zachowania spokoju.

- Aha! - wykrzyknął Ran Horb. - O to chodzi w całej sprawie! Polgarda chce zostać królową Sendarii.

- Stanowczo nie. Jestem zbyt zajęta. Oczywiście, proszę nie traktować tego jako osobistego przytyku, wasza wysokość.

- Nie poczułem się obrażony, wasza miłość. Jedno zawsze budzi we mnie wątpliwości, gdy słyszę opowieści o tobie i twym ojcu. Skoro Belgarath jest taki potężny, jak powiadają, to mógłby rządzić światem, prawda?

- Nie byłby w tym najlepszy, wasza wysokość. Mój ojciec nie lubi odpowiedzialności. Psuje mu całą zabawę.

- Teraz już zupełnie zbiłaś mnie z tropu, pani. Jeśli ty nie chcesz władać Sendaria, to kto? Może jakiś twój luby?

Zmierzyłam go lodowatym spojrzeniem.

- Przepraszam - rzekł skruszony. - Muszę przyznać, że istnienie oficjalnego rządu w Sendarii dla wszystkich byłoby korzystne, ale którego z Sendarów posadzimy na tronie?

- Mówimy tu o narodzie farmerów uprawiających rzepę, wasza wysokość - zauważył Khanar. - Niektórzy z nich mogą nawet mieć jakieś tytuły, ale i tak od świtu są na polach jak ich sąsiedzi.

- Nie doceniasz tych ludzi, książę Khanarze - powiedziałam. - Dobry farmer posiada wiele więcej administracyjnych umiejętności i z pewnością jest dużo zaradniejszy niż niektórzy z rozpuszczonych paniątek wychowanych na arendyjskich powieściach, w których nikt nie je ani się nie kąpie. Farmer przynajmniej potrafi zwracać uwagę na szczegóły.

- Wytargano nas za uszy, wasza wysokość - zwrócił się Khanar do imperatora. - W dzieciństwie przepadałem za arendyjskimi powieściami i nazwanie mnie rozpuszczonym paniątkiem jest wyjątkowo bezceremonialne.

- A zatem będzie to coś w rodzaju eksperymentu? - Zapytał Ran Horb. - Czy mam mianować króla?

- To nie najlepszy sposób, wasza wysokość - odparłam. - Mianowanie władcy byłoby po prostu jeszcze jedną formą zewnętrznej interwencji i natychmiast spotkałoby się z zaciętym oporem. Wkrótce mielibyśmy tam rewolucję i musiałbyś wysłać pięćdziesiąt legionów zamiast dziesięciu.

Imperator wzdrygnął się na samą myśl o tym.

- Jak zatem wybierzemy króla?

- Doradzałbym przeprowadzenie testu, wasza wysokość - zaproponował Khanar. - Moglibyśmy koroną nagrodzić Sendara, który osiągnie najlepszy wynik.

- Ale oceniając test, książę Khanarze, też doprowadzisz do rewolucji - powiedziałam. - Wybór króla Sendarii nie może być dokonany ani przez Tolnedrę, ani przez Drasnię. Ten wybór musi pochodzić z wewnątrz.

- Może turniej? - zapytał z powątpiewaniem Ran Horb.

- To są farmerzy, wasza wysokość - przypomniał mu Khanar. - Walka o koronę z użyciem narzędzi rolniczych może narobić sporo zamętu. Myślę, że moglibyśmy oddać koronę temu, kto wyhoduje największą rzepę.

- A czemu nie przeprowadzić elekcji? - zapytałam.

- Nigdy nie przepadałem za elekcjami - odparł z wahaniem Ran Horb. - Elekcja to nic więcej jak konkurs popularności, a popularność trudno uznać za miarę administracyjnych uzdolnień.

- Ależ wasza wysokość - powiedział Khanar - nie mówimy tu przecież o znaczącej władzy. Sendaria to miły kraj, lecz świat się nie zawali, jeśli król Sendarów popełni kilka błędów. - Potem roześmiał się cynicznie. - A czemu nie posłużyć się duchowieństwem? Wybierzmy kogoś, kto nie potyka się zbyt często o własne nogi, i polećmy kapłanom, aby zapewnili Sendarów, że ten człowiek został wybrany na władcę przez boga Sendarów. Przy okazji, któremu z bogów Sendarowie oddają cześć?

- Wszystkim siedmiu - odparłam. - Nie znają jeszcze ULa, ale zapewne również wprowadzą go swej religii, gdy tylko dowiedzą się o jego istnieniu.

- UL? - zapytał ze zdumieniem Ran Horb.

- Bóg Ulgolandu - powiedziałam.

- Tej krainy, gdzie mieszkają wszystkie smoki?

- Jest tylko jeden smok, wasza wysokość, i on nie żyje w Ulgolandzie. Myślę jednak, że religia będzie dobrą podstawą dla sendarkiej monarchii. Byleby kapłani zbyt nie mieszały do rządów, nie są zbyt dobrymi władcami. Cthol Murgos jest tego najlepszym przykładem. Znam Sendarów, wiercie mi, i uważam, że elekcja będzie najlepszym rozwiązaniem, jeśli tylko wszyscy będą głosować.

- Nawet ludzie, którzy nie posiadają ziemi? - Zapytał z niedowierzaniem Ran Horb.

- To najlepszy sposób na uniknięcie późniejszych rebelii. Jeśli zależy nam na wewnętrznej stabilności, po co nam spora grupa pozbawionych prawa do głosu ludzi, którzy po kilku latach wpadną na pomysł ponownego rozdziału dóbr królestwa?

- Chyba możemy spróbować - zgodził się niechętnie imperator. - Gdyby się nie powiodło, zawsze mogę zaanektować Sendarię. Nie chciałbym jednak, aby pomysł elekcji się rozpowszechnił. Mnie pierwszego by pewnie zaraz usunięto przez głosowanie, ale Sendaria to szczególny przypadek. Tak naprawdę nikogo nie obchodzi, kto zasiada na sendarskim tronie, byle zapewnił tam spokój. Niepotrzebna nam jeszcze jedna Arendia pod naszym bokiem. - Zasepił się - Zaczynam już mieć dość Arendów. Chyba czas, abym znalazł jakiś sposób na zakończenie ich ciągłej domowej wojny. To nie sprzyja interesom. - Wtem oczy mu pojaśniały. - Skoro już rozwiązaliśmy wszystkie problemy tego świata, to może udowodniłabyś mi, że rzeczywiście jesteś Polgardą Czarodziejką, wasza miłość.

- Bardzo tego chcesz? - Westchnęłam.

- Obaj byliśmy grzeczni, pani - poparł go ochoczo Khanar - a skoro byliśmy grzeczni, to chyba zasłużyliśmy na nagrodę?

- Czemu zawsze muszę mieć do czynienia z dziećmi? - Zapytałam z wyrzutem, wznosząc oczy ku niebiosom.

- Zapewne wydobywasz drzemiącego w każdym z nas chłopca, Polgardo. - Ran Horb uśmiechał się szeroko.

- No dobrze - westchnęłam - ale tylko raz. Nie mam zamiaru długo się męczyć ku uciesze pary chłopców, którym udało się przez pół godziny nie napsocić.

Potem zamieniłam się w sowę, bo żaden jarmarczny kuglarz tego nie powtórzy.

Kilka razy okrążyłam komnatę, po czym wylądowałam na fotelu i wróciłam do ludzkiej postaci.

- Zadowoleni? - Zapytałam.

- Jak to zrobiłaś? - Dopytywał się Ran Horb.

- To całkiem proste, wasza wysokość. Wystarczy bardzo usilnie myśleć o postaci, jaką się chce przybrać, a potem rozkazać sobie ją przybrać. Chcielibyście może zobaczyć coś innego? Co powiecie na kobrę?

- Nie, dziękujemy, lady Polgardo. To nie będzie konieczne. Jestem zupełnie przekonany, a ty, Khanarze?

- Całkowicie, wasza wysokość - odparł z zapalem Khanar. - Przez myśl by mi nie przeszło prosić cię o zmianę w kobrę, lady Polgardo.

- Tak też myślałam - mruknęłam.

Może właśnie ta rozmowa wczesną wiosną 3817 roku skłoniła Rana Horba do położenia kresu domowej wojnie w Arendii. W 3821 roku zawarł tajne przymierze z Mimbratami i w 3822 roku Mimbraci napadli i spalili Vo Astur, a ocalałych Asturian przepędzili do lasów. Wiem, że to nie było szczególnie delikatne posunięcie, ale sporą satysfakcję przyniosło mi zburzenie Vo Astur, bo wciąż pamiętałam zburzenie Vo Wacune.

Nie, nie będę dalej rozwijała tego tematu. Nie wypada cieszyć się z cudzego nieszczęścia, lepiej robić to na osobności. W 3827 roku Ran Horb zorganizował elekcję, która ostatecznie doprowadziła do wyłonienia króla Sendarii. Niestety, popełnił jeden błąd przy ustanawianiu zasad. Powiedział, że król musi zdobyć absolutną większość głosów. To obróciło całą sprawę w sześćoletnie święto w Sendarii. W pierwszym głosowaniu było siedmiuset czterdziestu trzech kandydatów i wyłonienie zwycięzcy w drodze głosów nią zajęło sporo czasu. Sendarowie ranki poświęcali uprawie pól a popołudnia wyborom. Tak dobrze się przy tym bawili, że ignorowali fakt, iż reszta świata się z nich śmieje. Kocham tych ludzi! Kiedy dobrze się bawią, nie dbają o to, myśli o tym reszta świata. Ostateczny zwycięzca, Fundor Wspaniały, dawno już zapomniał o tym, że postawił swą kandydaturę, i wybór na tron był dla niego kompletnym zaskoczeniem. Fundor był rolniczym eksperymentatorem, który nie cierpiał smaku rzepy i od lat próbował zastąpić to podstawowe

warzywo sendarskiej diety karpieią. Ponieważ zaś nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie dobrowolnie jadł karpiei, ta obsesja doprowadziła Fundora niemal do bankructwa. W czasie sześciolletniej elekcji Sendarowie postanowili założyć stolicę swego przyszłego królestwa w mieście Sendar. Ich decyzja podyktowana była cenami gruntów w tej części Sendarii i wywołała protesty głównie ze strony tolnedrańskich spekulantów gruntami z okolic Darine, Camaar i Muros.

Po wyniesieniu Fundora na tron przybyli do Sendaru różni łowcy okazji w nadziei wyłudzenia szlacheckich tytułów od nowego króla. Fundor jednak, miast rozdawać tytuły, zagnał ich do pracy, aby sprawdzić, czy potrafią sobie na nie zasłużyć. Całkowicie nowy pomysł, by prawdziwą pracą zdobyć i zatrzymać tytuł, większość oportunistów, którzy ściągnęli na jego dwór, uznała za obrazę, ale w ostatecznym rozrachunku dzięki temu powstała klasa szlachty z niezmiernie rzadkim u arystokratów poczuciem odpowiedzialności. Przez kilka lat, nie rzucając się w oczy, krążyłam po nowym królestwie i z biegiem czasu coraz mocniej utwierdzałam się w przekonaniu, że nasz eksperyment się powiódł. Poczulałam, iż wypełniłam swą ostatnią powinność jako księżna Erat i tym samym dotrzymałam słowa danego memu ukochanemu Ontrose. Skoro zaś wszystko toczyło się teraz swym biegiem, wróciłam do matczynej chatki i studiów. Cherekowie oczywiście poczuli się dotknięci budową systemu traktów Rana Horba - szczególnie w Sendarii - gdyż znacznie umniejszono to znaczenie ich wyjątkowej umiejętności żeglowania po zdradliwych wodach Przesmyku Chereku. Val Alorn kipiła z niezadowolenia, ale ponieważ dróg nie daje się zatopić jak okręty, Cherekowie jiiic nie mogli w tej sprawie zrobić. Tolnedrańskie trakty wykroczyły jednak daleko poza granice Sendarii i ich prawdziwe znaczenie najbardziej odczuli królestwa południowe. Pierwsze kontakty pomiędzy tolnedrańskimi przedsiębiorcami i Murgami były mało owocne, ale wkrótce dobra z królestwa Angaraków zaczęły się pojawiać na targowiskach Tol Honeth, Tol Borune, Tol Horb i Tol Yordue. Wrogość Murgów zaczęła łagodnieć, a wymiana handlowa pomiędzy wschodem i zachodem z małego strumyczka zmieniła się w rwącą rzekę.

Nic jednak przecież w Cthol Murgos nie działo się bez otwartego przyzwolenia Ctuchika, więc dla mej rodziny stało się oczywiste, że uczeń Toraka, skulony na ponurym szczyście pośrodku Pustkowia Murgów, musi „coś knuć”. Prawdopodobnie Ctuchik tak naprawdę nie „knuł” nic prócz szpiegowania i przekupienia kilku Tolnedran. Ojciec i wujek Beldin mieli odkryć po wojnie z Nyissą, że ich brat, Zedar Apostata, jest bardziej pomysłowy. Swą obietnicą nieśmiertelności zdobył pomoc starzejącej się królowej Salmissry z Sthiss Tor, a tym samym znacząco zmienił bieg historii. Ale to wydarzyło się trochę później. Po

ustanowieniu królestwa Sendarii poświęciłam się całkowicie studiowaniu obu kodeksów, coraz częściej trafiając na krótkie wzmianki o „Pogromcy Boga”. Najwyraźniej ostatecznie miałam być związana z tym tytanem, ale w miarę upływu czasu i głębszych badań zaczynałam coraz mocniej odnosić wrażenie, że on nie przybędzie znikąd w błyszczącej zbroi, owiany chwałą, a jego przybycia nie obwieszczą gromy i trzęsienia ziemi.

Nastanie nowego tysiąclecia było okazją do wielkiego świętowania w królestwach Zachodu, ale ja zwróciłam na to niewielką uwagę. Poza spostrzeżeniem, że rok ten znaczy moje dwutysięczne urodziny. Wczesną wiosną roku 4002 kolejny raz przypomniałam sobie, że jeśli mam zimą coś jeść, powinnam popracować w ogrodzie. Odłożyłam, więc na kilka tygodni studia. Kopałam właśnie grządki w warzywniaku, gdy przyleciał ojciec. Natychmiast zrozumiałam, że dzieje się coś poważnego, ponieważ ojciec latał jako sokół tylko w nagłych wypadkach. Wrócił do swej stacji. Był bardzo poruszony.

- Potrzebuję cię, Pol - powiedział.

- Ja też cię kiedyś potrzebowałam, pamiętasz? - Wypaliłam be namysłu. - Nie wydałeś się tym zbyt zainteresowany. Teraz ma okazję odplacić ci pięknym za nadobne. Odejdź, ojczu.

- Nie ma czasu na dąsy, Polgardo. Musimy natychmiast lecieć na Wyspę Wiatrów. Gerek znalazł się w niebezpieczeństwie.

- Kto to jest Gerek?

- Czy ty w ogóle masz pojęcie, co się dzieje na świecie? Nie możesz uchylać się od odpowiedzialności, Pol. Polecisz ze mną na Wyspę Wiatrów, nawet gdy miał cię tam zanieść w szponach.

- Nie strasz mnie. Kto to jest ten Gerek, o którego się tak martwisz?

- To Rivański Król, Pol. Strażnik Klejnotu.

- Cherekowie nadal patrolują Morze Wiatrów, ojczu. Żadna flota nie przedrze się przez ich okręty wojenne.

- Niebezpieczeństwo nie nadciąga z flotą. Pod murami Rivy powstała osada handlowa. To źródło niebezpieczeństwa.

- Czyś ty rozum postradał, ojczu? Czemu wpuściłeś obcych na Wyspę Wiatrów?

- To długa historia, nie mamy teraz na nią czasu.

- Jak dowiedziałeś się o tym rzekomym niebezpieczeństwie?

- Właśnie zrozumiałem fragment Kodeksu Mrińskiego. To rozwiało moje wszystkie wątpliwości.

- Kto za tym stoi? - zapytałam.

- Salmisra, jak udało mi się wywnioskować. Ma swoich agentów w tej osadzie, którym rozkazała zabić Rivańskiego Króla i całą jego rodzinę. Jeśli jej się to uda, Torak zwycięży.

- Nie zwycięży, dopóki ja jeszcze oddycham. Jeszcze jedna z gierek Ctuchika?

- Być może, ale to trochę zbyt subtelne jak na Ctuchika. To może być Urvon lub Zedar.

- Później możemy to ustalić. Tracimy czas, ojcie. Ruszajmy.

Najkrótsza droga na Wyspę Wiatrów prowadziła przez Ulgoland. Ludzie wrażliwi unikają tego rejonu w miarę możliwości. Sprawa jednak wymagała pośpiechu, a my mieliśmy podróżować kilka tysięcy stóp ponad terenami polowań algothów, hrulgin i eldraków. Jednakże bardzo nas zdziwiło przelotne spotkanie z harpiami nad Prolgu. Po raz pierwszy i ostatni były wówczas widziane. Miały ludzkie twarze, lecz brakowało im inteligencji, a cóż to za ptaki drapieżne bez dziobów? Ominęliśmy je i poleciliśmy dalej.

Świt znaczył już wschodni horyzont, gdy nadlecieliśmy nad Camaar. Oboje byliśmy u kresu sił, lecz z uporem parliśmy dalej ponad ołowianymi falami Morza Wiatrów. Skrzydła mi mdlały, ale z zaciętością nie przestawałam nimi machać. Nie jestem pewna, jak ojciec tego dokonał, ponieważ nie latał najlepiej. Ojciec czasami mnie zaskakuje. Przelatywaliśmy nad portem w Rivie i oczy miałam utkwione w ponurych murach Dworu Rivańskiego Króla, gdy w moje myśli wdarł się ostry głos matki.

- Pol! Tam... w porcie!

Spojrzałam w dół i dostrzegłam rozbryzgi wody w sporej odległości od kamienistej plaży.

- To dziecko, Pol. Nie pozwól mu utonąć!

Zmiana postaci w powietrzu to nie najlepszy pomysł. Przez chwilę, w której zmienia się jedną postać na drugą, jest się zupełnie dezorientowanym, ale na szczęście nadal patrzyłam na wodę, gdy otrząsnęłam się już z piór. Wyciągnęłam ręce i runęłam w dół, wyprężając ciało w oczekiwaniu na wstrząs wywołany uderzeniem w powierzchnię wody. Wstrząs byłby o wiele mocniejszy, gdybym była wyżej, lecz i tak zaparł mi dech w piersi. Zanurkowałam głęboko w lodowatą wodę, ale zaraz pomknęłam ku powierzchni, wynurzając się tylko kilka stóp od miotającego się chłopca. Miał przerażone oczy, a młójące wodę ramiona ledwie utrzymywały go na powierzchni. Wystarczyło kilka silnych machnięć rękoma, abym znalazła się przy nim.

- Uspokój się! - Poleciałam mu ostro. - Już cię złapałam.

- Tonę! - Zapiszczał przeraźliwie.

- Nie, nie toniesz. Jesteś bezpieczny. Połóż się na plecach, doholuję cię na brzeg.

W końcu udało mi się go uspokoić i pociągnąć w kierunku nabrzeża.

- Widzisz, o ile jest łatwiej, gdy nie walczysz z wodą? - Zapytałam.

- Prawie już się nauczyłem - zapewnił mnie. - Pierwszy raz próbowałem pływać. To wcale nie takie trudne, prawda?

- Powinieneś ćwiczyć na płytszej wodzie - poradziłam.

- Naprawdę nie mogłem, pani. Gonił mnie człowiek z nożem.

- Polgardo! - Usłyszałam głos ojca. - Czy chłopcu nic nie jest?

- Nie, ojciec - odparłam na głos, nie zdając sobie sprawy, że chłopiec mnie słyszy. -

Mam go.

- Niech cię nikt nie zobaczy!

- Dobrze.

- Z kim rozmawiasz? - Zapytał chłopiec.

- Nieważne.

- Dokąd płyniemy?

- Na koniec nabrzeża. Ukryjemy się tam i będziemy siedzieć bardzo cicho, dopóki ludzie z nożami nie zostaną przepędzeni.

- Dobrze. Czy woda zawsze jest taka zimna?

- Chyba tak, ale dawno tu nie byłam.

- Zdaje mi się, że nigdy dotąd pani nie widziałem.

- Nie. Widzimy się po raz pierwszy.

- Zatem wszystko jasne.

Był trzeźwo myślącym młodym człowiekiem. Od razu go polubiłam.

- Nie mów tyle, bo opijesz się wody - poradziłam mu. Dotarliśmy do końca kamiennego nabrzeża i uczepiliśmy się zardzewiałego koła, do którego cumowały zwykle statki.

- Co tam się wydarzyło? - Zapytałam go.

- Dziadek zabrał nas do straganów na plaży - odparł chłopiec. - Ktoś chciał nas obdarować prezentami. Gdy dotarliśmy do ich straganu, wyciągnęli na nas noże. Założę się, że tego pożałują. Dziadek jest tu królem i będzie się bardzo na nich gniewał. Naprawdę mi zimno pani. Czy możemy wyjść z wody?

- Jeszcze nie. Musimy najpierw sprawdzić, czy jest już bezpiecznie.

- Często przyjeżdżałaś na naszą wyspę?

Trochę mnie uspokoił jego rzeczowy ton. Najwyraźniej zamachowcom atak się nie powiódł.

- Co wydarzyło się na plaży? - Zapytałam.

- Nie jestem pewny, pani - odparł. - Mama kazała mi uciekać, gdy tylko ten pan z ogoloną głową wyciągnął nóż. Stał pomiędzy mną i bramami miasta, więc mogłem uciec tylko do wody. Pływanie jest trudniejsze, niż na to wygląda, prawda?

- Wymaga ćwiczeń, to wszystko.

- Nie miałem wiele czasu na ćwiczenia. Czy będę niegrzeczny, jeśli zapytam o twoje imię, pani?

- Jestem znana jako Polgarda - powiedziałam.

- Słyszałem o tobie. Jesteś moją krewną?

- Daleką. Można powiedzieć, że jestem twoją ciotką. A jak tobie na imię?

- Jestem Geran. Nazywają mnie księciem Geranem, ale to niewiele znaczy. Koronę włożył mój starszy brat, gdy dorośnie. A ja chcę zostać piratem. To ciekawe zajęcie, prawda, ciotciu Pol?

I znowu to samo. Czasami myślę, że każdy chłopiec automatycznie nazywa mnie „ciocią Pol”.

- Lepiej porozmawiaj z rodzicami i dziadkiem, nim zdecydujesz się zostać piratem, Geranie - poradziłam mu. - Mogliby mieć coś przeciwko temu.

- Chyba masz rację, ciotciu Pol - westchnął - ale to byłoby ciekawe zajęcie, prawda?

- Myślę, że sporo w tym przesady.

Wisieliliśmy uczeni zardzewiałego koła u końca nabrzeża i trzęśliśmy się z zimna. Staraliśmy się ogrzać wodę wokół nas, ale nikt nie potrafił ogrzać całego Morza Wiatrów.

Po godzinie, która wydawała się wiecznością, ponownie usłyszałam głos ojca.

- Polgardo, gdzie jesteś?

- Na końcu nabrzeża, ojciec. Czy już możemy wyjść?

- Nie. Zostań tam, gdzie jesteś i nie pokazuj się.

- Co zamierzasz, Stary Wilku?

- Ukryć Rivańskiego Króla.

Ach, więc zamachowcom Salmissry udało się zabić króla Goreg i wielu członków królewskiej rodziny. Geran uciekł i nie wiedział, że jest sierotą. Oczywiście trzeba będzie mu o tym powiedzieć i doskonale wiedziałam, komu przypadnie w udziale ten niemiły obowiązek.

Było już dobrze po zmierzchu, gdy ojciec i Brand, Strażnik Rivy w końcu pokazali się w porcie. Weszliśmy na pokład okrętu bez marynarzy i pożeglowaliśmy na pełne morze. Ojciec pilnował żagli, nie trując się nawet wstawaniem z ławki, na której siedział. Zabrałam trzęsącego się księcia pod pokład, wytarłam i stworzyłam dla niego suche ubranie.

Potem wróciłam na pokład.

- Nikt więcej nie przeżył, jak się domyślam? - Zapytałam ojca.

- Nikt. Nyissanie użyli zatrutych sztyletów.

- Chłopiec o tym nie wie. Uciekł, nim się zaczęła rzeź.

- To dobrze. Nyissanie i jego by nie oszczędzili.

- A więc stoi za tym Salmissra.

- Tak, ale ktoś ją do tego namówił.

- Kto?

- Nie jestem pewny. Zapytam ją przy najbliższej okazji.

- Jak zamierzasz dostać się do Sthiss Tor?

- Wyludnię królestwa Alornów, by zapewnić sobie eskortę. Potem przemaszeruję przez Nyissę, niczym kłeska żywiołowa. Zapędzę Wężowy Lud tak głęboko w lasy, że będą musieli importować światło dzienne. Powiedz chłopcu, że został sierotą.

- Dzięki - powiedziałam chłodno.

- Lepiej ode mnie radzisz sobie w podobnych sprawach, Pol. Może pocieszy się, gdy usłyszy, że mam zamiar zniszczyć w odwecie Nyissę.

- Ojcze, ten chłopiec dopiero co stracił matkę. Nie sądzę, aby myśl o odwecie była dla niego wielkim pocieszeniem.

- Tylko tyle możemy mu teraz zaoferować. Obawiam się, że będziesz musiała mu zastąpić matkę.

- A cóż ja wiem o wychowywaniu małych chłopców, ojcze?

- Niezgorzej poradziłaś sobie z Daranem po śmierci siostry, Pol. Przykro mi, że cię tym obarczam, ale nie ma nikogo innego, a chłopiec musi mieć ochronę. Będziesz musiała go ukryć. Ten zamach na odległość czuć Angarakami, a Ctuchik ma własny zbiór prorocत्व, z którego dowie się, że ktoś ocalał. Nim minie rok, wszystkie królestwa Zachodu zaroją się od Grolimów. Ochrona tego chłopca jest w tej chwili dla nas najważniejsza.

Zesłałam pod pokład, by zanieść smutne wieści małemu księciu. Oczywiście rozplakał się, a ja próbowałam go jakoś pocieszyć. Ciekawa myśl przyszła mi do głowy, gdy tuliłam szlochającego malca w ramionach. Nigdy jeszcze z taką siłą nie dotarła do mnie twarda rzeczywistość pewnych faktów z mego życia. Moja matka nie urodziła się człowiekiem, a to oznaczało, że i ja byłam po części wilkiem. Wilki to zwierzęta stadne, które wspólnie opiekują się swym potomstwem. Chęć pocieszenia tego smutnego, płowowłosego chłopca była instynktowna, wynikała z potrzeby ochrony sfory. Kiedy już uprzytomniłam sobie ten fakt, następne decyzje podjęłam automatycznie. Przede wszystkim potrzebna mi była bezpieczna kryjówka. Chatka matki nie nadawała się do tego celu. Zbyt wielu ludzi

wiedziało, gdzie się znajduje. Potrzebowałam też godnego zaufania źródła pożywienia. Mój spowity różami dom nad jeziorem Erat dawno już został zapomniany. Co więcej, ziemia wokół niego była urodzajna, więc bez trudu mogłam pomiędzy różami uprawiać warzywa i od czasu do czasu jako ptak zapolować nocą na zająca czy owieczkę. Moja rezydencja zapewni nam bezpieczne schronienie. Książę Geran może być trochę towarzysko nie obyty, gdy dorośnie, ale przynajmniej będzie żywy. Odkryłam również, że wilczy sposób myślenia pozwolił mi na głębsze zrozumienie charakteru matki. Wszystko, co zrobiła - włączając w to nawet pozorne opuszczenie mnie i mej siostry - uczyniła dla dobra sfory.

- Naturalnie, Pol - jej głos dotarł do mnie znikąd. - Dopiero teraz sobie to uświadomiłaś?

Geran pogrążony był w tak głębokim smutku, że niewiele rozmawialiśmy w czasie dwóch dni podróży do wybrzeży Sendarii, ale gdy dotarliśmy do zatoczki oddalanej jakieś pięć mil od Camaar i zeszliśmy na brzeg, był już w stanie porozmawiać z Brandem. Poprosił Strażnika Rivy, aby zaopiekował się jego ludem i strzegł Klejnotu. Ród Gerana zawsze bardzo poważnie traktował obie powinności i pomimo, że ten chłopiec zajmował dalekie miejsce w kolejce do tronu, najwyraźniej odebrał dobre wychowanie. Brand wyruszył do Camaar, aby nająć załogę na powrotną podróż na Wyspę Wiatrów, a ja zapoznałam ojca ze swymi planami ukrycia o w rezydencji nad jeziorem Erat. Oczywiście miał zastrzeżenia. Ojciec zawsze miał zastrzeżenia, gdy coś postanowiłam. Mógł nie strzepić języka, ponieważ, jak zawsze, postawiłam na swoim. Po dwóch tysiącach lat mógłby już nauczyć się nie mówić mi, co mam robić, ale niektórzy ludzie nigdy niczego się nie uczą. Geran bardzo poważnie poprosił go, by ukarał królową Salmissrę. Potem ojciec wyruszył do Val Alorn, by zbierać armię i szykować inwazję na krainę Wężowego Ludu.

- Dokąd się udajemy, ciociu Pol? - zapytał Geran.

- Do mojego domu w Sendarii - powiedziałam. - Tam powinniśmy być bezpieczni.

- Masz tam dużo wojska?

- Nie, Geranie. Wojsko mi niepotrzebne.

- To kto nas obroni? Królowa Wężowego Ludu zapewne nadal pragnie mnie zabić i ma na swych usługach ludzi z zatrutymi nożami. Nie jestem duży, więc nie potrafiłbym cię przed nimi obronić.

Był takim kochanym, poważnym chłopcem. Objęłam go i tuliłam do siebie przez chwilę, i myślę, że obojgu nam się to podobało.

- Wszystko będzie dobrze, Geranie - zapewniłam go. - Nikt nie wie, że dom tam jest, a dostać się do niego bardzo trudno.

- Rzuciłaś na dom zaklęcie? - Zapytał z entuzjazmem, po czym zarumienił się. - To nie było zbyt uprzejme, prawda, ciociu Pol? Słyszałem różne opowieści o tym, jak potrafisz robić czary, rzucać zaklęcia i zamieniać ludzi w żaby, ale nie udzieliłaś mi pozwolenia na mówienie o tym, więc nie powinienem tak prosto z mostu o tym mówić, prawda?

- Nic się nie stało, Geranie. Jesteśmy rodziną, więc nie musimy chyba przestrzegać ceremonii, prawda? Schowajmy się pomiędzy drzewa. Ta plaża jest zbyt odsłonięta, a wróg nie śpi.

- Jak każesz, ciociu Pol.

Wyruszyliśmy z plaży w kierunku jeziora Sulturn, trzymając się bocznych dróg i polnych ścieżek. Na samotnej farmie kupiłam prowiant i pierwszą noc spędziliśmy w obozowisku pod gołym niebem. Gdy chłopiec zasnął w mych objęciach, zajęłam się planowaniem dalszej podróży. Nie pokonaliśmy dużej odległości tego dnia, a ja zdecydowanie chciałam dostać się dalej w głąb lądu. Ta plaża była zbyt blisko.

Myśl o „manipulowaniu” porzuciłam natychmiast. Ostrzeżenia ojca przed Grolimami były zapewne słuszne, a „manipulowanie” robi charakterystyczny hałas, który ściągnąłby mi na kark wszystkich Grolimów z Sendarii. Geran był małym chłopcem, więc piechotę nie mogliśmy się szybko oddalić od plaży. Zrozumiałam, że potrzebny nam koń. Sprawdziłam zawartość swej sakiewki, którą zawsze nosiłam pod ubraniem, i stwierdziłam, że mam dość pieniędzy. Wysłałam badającą myśl w poszukiwaniu odpowiedniej farmy po drodze. Szczęśliwie znalazłam to, czego szukałam, kilka mil dalej. Co jakiś czas zapadałam tej długiej nocy w drzemkę. Potem, gdy świt zaczął znaczyć wschodni horyzont, podsyciłam ogień w naszym małym ognisku i zaczęłam przygotowywać śniadanie.

- Dzień dobry, ciociu Pol - powiedział Geran, gdy zapach jedzenia go obudził. - Jestem naprawdę głodny, wiesz?

- Chłopcy zawsze są głodni, Geranie.

- Daleko jeszcze do twego domu?

- Prawie trzysta mil.

- Bolą mnie nogi, ciociu Pol. Nie jestem przyzwyczajony do chodzenia cały dzień.

- Wkrótce kupię konia.

- Świetny pomysł, ciociu Pol - pochwalił z zapałem.

Gdy dotarliśmy już do farmy, pojawił się jednak drobny problem.

- To bardzo stare monety, pani - powiedział z wątpliwością farmer. - Nigdy nie widziałem tak starych pieniędzy.

- Dostałam je od ojca, dobry farmerze - skłamałam gładko. - Moja rodzina jest trochę skąpa, gdy już raz im wpadnie w ręce jakaś moneta, nie lubią jej wydawać.

- To cecha godna pochwały, ale ja nie wiem, ile te pieniądze są dziś warte.

- Srebro jest srebrem, dobry farmerze. Liczy się jego waga, a nie wizerunek na monecie.

- No cóż... zdaje się, że masz rację. Ale...

- Spieszę się, przyjacielu. Mój siostrzeniec i ja musimy się dostać do Sulturn przed końcem tygodnia. Weź jeszcze te trzy monety, by wyrównać ewentualne różnice wartości.

- Nie chciałbym cię oszukać, pani. - To ja ukształtowałam charakter Sendarów i teraz skutki tego poczułam na własnej skórze.

W końcu stanęło na tym, że uczciwy farmer zatrzymał dwie dodatkowe monety, a ja nabyłam nakrapianego szarego konia o imieniu Giermek. Dobry farmer dorzucił niemal zupełnie zużyte siodło i zaczęliśmy szykować się z Geranem do drogi. Najpierw jednak musiałam rozmówić się z Giermkim, którego nikt nie dosiadał całe życie, więc zachowywał się dość swawolnie. Załapałam go za pysk i spojrzałam prosto w jego wielkie oczy.

- Bądź grzeczny, Giermku - poradziłam mu. - Stawaj sobie deba i brykaj w wolnym czasie. Nie chcesz chyba mi się narazić, prawda?

Wydawało się, że zrozumiał. Przez milę przyzwyczajaliśmy się do siebie, a potem jechaliśmy już płynnym galopem.

- To o wiele lepsze od chodzenia, ciociu Pol - powiedział z uznaniem Geran. - Założę się, że dziś wieczór nie będą mnie bolały nogi

- Zapewne nie, ale może boleć inna część ciała.

Geran i Giermek niemal natychmiast się polubili, co uznałam za dobry znak. Młody książę dźwigał ciężkie brzemię smutku i przyjaźń z koniem pomagała mu o tym nie myśleć.

Do Sulturn dotarliśmy po dwóch dniach, ale minęłam miasto i wynajęłam pokój w wiejskim zajeździe, zamiast w bardziej okazałych miejskich. Uznałam, że tak będzie bezpieczniej.

Przez następne kilka dni jechaliśmy dalej na północny wschód. Sporo czasu poświęciłam na wtajemniczenie Gerana w sztukę nierzucania się w oczy. Na koniec ufarbowałam jego charakterystyczne płowe włosy na czarno. Całkiem możliwe, iż Grolimowie Ctuchika wiedzieli, że właściwie wszyscy potomkowie w prostej linii od Rivy i mej siostry mają ten sam kolor włosów, i szukali jasnowłosego chłopca. Ukryłam również swój słynny lok w zawiłym splocie włosów. Jeśli jakiś Grolim szukał damy z białym lokiem we włosach i jasnowłosego chłopca, to nie zwróci na nas uwagi. W pobliżu Medalii, w centralnej Sendarii, badająca myśl, którą niemal nieustannie sprawdzałam drogę przed nami,

okazała się pożyteczna. Pochwyciłam mignięcie matowej czerni, która zdradzała Angaraka. To nie była błyszcząca czern Grolima, ale w tym przypadku wolałam nie natknąć się na żadnego Angaraka, wszystko jedno: Murga, Nadraka czy Thulla. Skierowałam Giermka na boczną drogę, objechaliśmy Medarię i ruszyliśmy dalej na północny wschód, całkowicie unikając traktów Rana Horba. Ostatecznie około dwóch tygodni zajęło nam dotarcie do jeziora Erat. Ukryłam Gerana i Giermka w zaroślach na południowym brzegu. Był już wieczór. Odeszłam na bok i przybrałam białe pióra. Nie miałam zamiaru się w nic pakować bez dokładnego rozeznania sytuacji, a sowy dobrze widzą w ciemności. Na wschodnim brzegu jeziora Erat mieszkało w owych czasach niewielu ludzi, więc szybko wypatrzyłam wszystkich swoich sąsiadów. Jak się okazało, nie było tam żadnych obcych, więc uznałam, że bezpiecznie możemy przejść barierę, którą wzniosłam, i schronić się opiekuńczych murach mego domu. Poleciałam tam i powiadomiłam różany busz o swoim powrocie. Poprosiłam również, aby krzewy robiły dla mnie przejście. Potem wróciłam po siostrzeńca i konia. Była już niemal północ, gdy Giermek przeszedł w bród rzekę i podjechaliśmy wąską ścieżką, którą róże przed nami otworzyły.

- To duży dom, prawda? - zauważył z niepokojem Geran. - Bardzo w nim ciemno.

- Nikt tam nie mieszka, Geranie - odparłam.

- Zupełnie nikt?

- Żywej duszy.

- Nigdy nie mieszkalem w miejscu, gdzie nie było innych ludzi... W tym domu chyba nie straszy, co, ciociu Pol? Chyba nie chciałbym mieszkać w nawiedzonym domu.

- Nie, Geranie - zapewniłam go z kamienną twarzą. - Ten dom nie jest nawiedzony. Jest po prostu pusty.

- Zdaje się, że będę musiał się wiele nauczyć - powiedział z westchnieniem.

- Tak? Na przykład czego?

- Będziemy przecież potrzebować drewna na opał i podobnych rzeczy, prawda? Nie potrafię posługiwać się siekierą czy łopatą, ciociu Pol - przyznał. - W dziadkowej twierdzy zawsze była służba do wszystkiego.

- Potraktuj więc to jako okazję do nauki, Geranie. Odprowadźmy Giermka do stajni i wejdźmy do środka. Przygotuję kolację, a potem rozejrzemy się za łózkami.

- Jak każesz, ciociu Pol.

Po kolacji rozstawiłam w kuchni parę składanych łóżek. Zwiedzanie domu i wybranie dogodniejszej kwatery odłożyłam na następny dzień. Domem nikt się na zajmował przez długi czas, więc w kątach pełno było pajęczyn, a wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu.

Przez te lata zaglądałam od czasu do czasu do swej rezydencji i zwykle sprzątałam machnięciem ręki. Postanowiłam, że tym razem będzie inaczej. Mój podopieczny właśnie przeżył straszliwą tragedię i nie chciałam, aby rozpamiętywał ją bez końca. Musiałam mu czymś za jąć myśli... i ręce. Sprzątanie domu od góry do dołu zapewni nam zajęcie na jakiś czas. Unikniemy również powiadomienia o naszej obecności. W owym czasie nie znałam jeszcze Grolimów na tyle, by wiedzieć, na ile wprawnie posługują się swymi zdolnościami, więc wolałam zachować ostrożność. Wstałam tuż przed świtem i zaczęłam przygotowywać śniadanie. Moja kuchnia została zbudowana do wykarmienia wielu ludzi, piece i piekarniki były bardzo duże. Wydawało się trochę niedorzeczne rozpalanie pieca większego od wozu, by przygotować posiłek dla dwojga, ale to był jedyny piec, więc zajęłam się rozniecaniem ognia i dokładaniem drewna, które od pokoleń leżały w skrzyni na drewno. Geran w jednym miał rację. Rzeczywiście sporo czasu spędzi na rąbaniu drzewa. Obudził go zapach śniadania. Znałam wielu małych chłopców i jedną cechę mieli wspólną. Zawsze byli głodni.

- Co będziemy dziś robić, ciociu Pol? - zapytał, gdy nałożyłam mu drugą miskę owsianki.

Przejechałam palcem po oparciu nieużywanego krzesła i pokazałam mu.

- Widzisz, Geranie?

- Zdaje się, że jest zakurzone.

- Właśnie. Może powinniśmy posprzątać? Rozejrzył się po kuchni.

- To nie zajmie nam wiele czasu - rzekł z przekonaniem. - Co będziemy robić, gdy skończymy?

- W tym domu jest więcej pokoi, Geranie - zauważyłam. Westchnął ze smutkiem.

- Jesteś księciem, Geranie - przypomniałam mu. - Nie chciałabym cię obrazić, zmuszając do mieszkania w brudnym domu.

- Mnie niełatwo obrazić, ciociu Pol - powiedział z nadzieją w głosie.

- Nie możemy mieszkać w takim brudzie, Geranie. Migiem wysprzątam cały dom.

- To bardzo duży dom, ciociu Pol.

- Będziemy mieć przynajmniej jakieś zajęcie, przecież nie możesz bawić się na dworze.

- A nie moglibyśmy po prostu zamknąć tych części, z których nie będziemy korzystać?

Wysprzątajmy trzy, cztery pokoje, a z resztą dajmy sobie spokój.

- To nie byłoby właściwe, Geranie. Tak się nie robi.

Chłopiec westchnął z ponurą rezygnacją. I tak Rivański Król i ja zaczęliśmy sprzątać domu. Nie był tym uszczęśliwiony, ale nie marudził wiele. Nie powiedziałam mu jednak, że kurz zaraz osiada na nowo, a pająki to najpracowitsze stworzenia pod słońcem. Pokój

wysprzątany wczoraj czasami potrzebuje sprzątania jutro. Oczywiście mieliśmy też inne zajęcia. W stajni był wóz, co jakiś czas zaprzęgałam do niego Giermka i jechałam po zakupy na najbliższą farmę. Geran ze mną nie jeździł. Za pierwszym razem zostawiłam go w swojej bibliotece, a po powrocie zastałam rozciągniętego w fotelu, z nieobecny wzrokiem utkwionym w oknie.

- Myślałam, że sobie poczytasz - powiedziałam.

- Nie umiem czytać, ciociu Pol.

Uczyłam go, gdy sprzątanie domu zaczynało nas męczyć. Geran był bystrym chłopcem i po krótkim czasie czytał zdumiewająco dobrze. Ustaliła się rutyna - sprzątanie rano, a popołudniami lekcje. Oboje byliśmy z tego zadowoleni. Bliźniaki informowali mnie o postępach karnej ekspedycji ojca do Nyissy, a ja przekazywałam te wieści Geranowi. Wydawało się, że sporą satysfakcję sprawiało mu niszczenie przez dziadka krainy Wężowego Ludu. Nadeszła wiosna i zajęliśmy się uprawą ogrodu. Mogłam dalej kupować jedzenie od sąsiadów, ale wolałam nie zostawiać Gerana samego, w dodatku moja twarz zrobiła się w okolicy już za bardzo znajoma i uwaga rzucona w miejscowej oberży mogła zaalarmować przygodnego Murga. Był chyba początek lata, gdy ojciec i wujek Beldin złożyli nam wizytę. Nadal mam w pamięci obraz Gerana schodzącego schodami z mieczem w ręku. Był bardzo młody, ale wiedział, że powinnością mężczyzn jest obrona kobiet. Nie potrzebowałam obrońcy, pomimo to byłam wzruszona. Geran z radością powitał mego ojca i natychmiast zapytał, czy Stary Wilk dotrzymał swej obietnicy i zabił królową Wężowego Ludu.

- Nie żyła, gdy ostatni raz ją widziałem - odparł ojciec. Wydało mi się, że nieco wahał się z tą odpowiedzią.

- Zadałeś jej ode mnie cios, jak cię prosiłem? - dopytywał się Geran.

- O tak, chłopcze - wtrącił się wujek Beldin. - Zadał. Pokraczna postać wujka Beldina zdawała się nieco niepokoić Gerana, więc dokonałam prezentacji.

- Dlaczego jesteś taki mały? - Zdziwił się Geran.

- To ma swoje zalety, chłopcze - odparł wujek Beldin. - Prawie nigdy nie zawadzam głową o nisko zwisające gałęzie.

- Lubię tego wujka, ciociu Pol - powiedział Geran ze śmiechem.

Potem ojciec zapoznał nas ze szczegółami spotkania, które zaplanował. Podkreślił fakt, że zamordowanie Gereka było głównym WYDARZENIEM i dlatego lepiej by było, abyśmy wszyscy spotkali się w Dolinie Aldura i rozważyli różne możliwości. Sam udał się na Wyspę Wiatrów po Branda, a wujek Beldin odprowadził mnie i Gerana do Doliny Aldura. Nim przejechaliśmy góry Sendarii, Geran i wujek Beldin byli już prawie przyjaciółmi. Nigdy nie

rozumiałam, czemu mali chłopcy i starcy zawsze do siebie tak lgną, i czułam się trochę urażona za każdym razem, gdy siwowłosego przedstawiciel tej grupy zbywał mnie powiedzeniem: „To męska sprawa, Pol. Nie zrozumiesz tego”. Ta podróż przekonała mnie, że żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie powinna pozwolić starcowi i chłopcu zbliżyć na pięć mil do wody. W ich rękach natychmiast pojawiają się wędki i do końca dnia są straceni, do niczego się już nie nadają. Po dotarciu do Doliny Aldura Geran spotkał się z bliźniakami, którzy z miejsca wzięli go pod swoje skrzydła. Poczulałam się zdecydowanie odsunięta na bok.

Pozwolili mi jednak gotować... i sprzątać potem. Czyż to nie miłe z ich strony? Ojciec i Brand przybyli po kilku tygodniach i zabraliśmy się do rzeczy. Geran siedział cicho na krześle w kącie i przysłuchiwał się naszej dyskusji o problemach trapiących świat. Najwyraźniej wziął sobie do serca stare porzekadło, że dzieci i ryby głosu nie mają, bo nie zadawał mnóstwa pytań. Wujek Beldin poinformował nas, że zgodnie z kalendarzem Dallów dobiegła końca Trzecia Era. Proroctwa są już kompletne i teraz, gdy otrzymaliśmy już wszystkie instrukcje, wystarczyło je wypełnić. Potem wujek Beldin powiedział, że pewien angaracki generał, zajmuje się zjednoczeniem Mallorei i oddaniem jej pod władanie Toraka. Książę Geran złamał raz zasady w trakcie tej dyskusji.

- Przepraszam - powiedział. - Co ma się wydarzyć w Arendii? Czyż nie o to właśnie miejsce chodziło w waszym zwoju, gdy mowa była o krainie Boga Byka?

- Bardzo dobrze, Geranie - pochwalił ojciec jego spostrzegawczość.

- Dojdzie do WYDARZENIA, wasza wysokość - wyjaśnił mu wujek Beldin.

- Jakiego wydarzenia? - Geran nie pochwycił jeszcze owego szczególnego nacisku, z jakim moja rodzina wymawiała to słowo.

- Proroctwo, które zwiemy Kodeksem Mrińskim, używa tego określenia, gdy wspomina o spotkaniu pomiędzy Dzieckiem Światła i Dzieckiem Mroku - wyjaśnił Belkira.

- Kim oni są?

- Nikim konkretnym - powiedział Beldin. - To rodzaj tytułu przypisywanego różnym osobom. W każdym razie wszystko zmierza ku jednemu z owych WYDARZEŃ. Jeśli dobrze odczytaliśmy proroctwo, to Dziecko Światła i Dziecko Mroku spotkają się w Arendii za jakiś czas, a ich spotkanie prawdopodobnie nie będzie przyjacielskie. Myślę, że nie będą rozmawiać o pogodzie.

- Bitwa? - zapytał z ożywieniem Geran. Był w końcu bardzo młody. Ja w tym czasie szykowałam w kuchni kolację.

- Pojawienie się tego Kallatha nie jest chyba przypadkowe? - zasugerowałam.

- Zapewne nie, Pol - przyznał ojciec.

- Wybaczcie mi jeszcze raz, proszę - powiedział Geran. - Jeśli Torak ma własne proroctwa, to podobnie jak my wie, że coś ważnego ma się wydarzyć w Arendii, prawda?

- Z pewnością - odparł Beldin.

- Wiecie co... - Powiedział chłopiec, marszcząc w skupieniu brwi. - Nie sędzę, aby to, co przydarzyło się mej rodzinie, miało coś wspólnego z próbą kradzieży Klejnotu. Torak po prostu chciał nas czymś zająć, abyśmy nie zwracali uwagi na Kallatha w Mallorei. Gdyby Nyissanie nie zabili mej rodziny, to jeden z was pojechałby do Mallorei, aby nie dopuścić do przejścia władzy przez Kallatha. Ale wy wszyscy byliście tak zajęci karaniem Nyissan, że zupełnie nie zwracaliście uwagi na to, co w Mallorei się dzieje. - Przerwał, gdy nagle uświadomił sobie, że wszyscy słuchamy go z uwagą. - No cóż - dodał tonem usprawiedliwienia - tak w każdym razie sędzę, a ten Zedar, którego wszyscy znacie, zapewne najlepiej nadawał się do wyprowadzenia was w pole, ponieważ zna was bardzo dobrze.

- Coś ty zrobiła z tym chłopcem, Pol? - warknął na mnie Beldin. - Skąd u niego ta przenikliwość?

- Nauczyłam go czytać, wujku.

- Cóż za marnotrawstwo - mruknął karzeł.

- Nie rozumiem cię, wujku.

- Mogłem z chłopcem dyskutować o filozofii, zamiast łowić ryby w czasie naszej przeprawy przez góry.

- Czy ty naprawdę musisz manipulować przy wszystkim, Pol? - zapytał z wyrzutem ojciec.

- Manipulować? To się nazywa „edukacja”, ojcze. A czy ty nie manipulowałeś mną? Wydaje mi się, że pamiętam długi ciąg „dlaczego” płynący z twych ust jeszcze kilka lat temu.

- Zawsze musisz się tak wymądrzać? - Odparł z pewnym niesmakiem.

- Dobrze ci to robi, ojcze - odparłam beztrąsko. - Pobudza twą czujność, a ona chroni cię przed zgrzybieniem... przynajmniej na jakiś czas.

- Co chciałaś przez to powiedzieć, ciociu Pol? - Zapytał Geran.

- To taka ich zabawa, Geranie - wyjaśnił Beltira. - Są zbyt zakłopotani, by przyznać, że się lubią, więc odgrywają komedię. W ten sposób dają wyraz swej miłości.

Bliźniaki mieli takie słodkie twarze, że zapominaliśmy, jacy naprawdę są mądrzy. Beltira przejrzał na wylot naszą grę, a jego wyjaśnienie wprawiło w zakłopotanie i mnie, i ojca.

Na szczęście do dyskusji włączył się Brand, Strażnik Rivy.

- Wygląda na to, że mój księżę jest bardzo utalentowany - powiedział w zamyśleniu. - Będziemy musieli chronić ten umysł.

- To moje zadanie, Brandzie - powiedziałam.

- Polgardo - usłyszałam w tym momencie głos matki. - Słuchaj bardzo uważnie. Mistrz chce ci zadać pytanie.

Potem wszyscy odczuliśmy obecność Mistrza. Nie widzieliśmy gdzie, ale wiedzieliśmy, że jest z nami.

- Azali dobrowolnie przyjmujesz tę odpowiedzialność, moja córko? - Zapytał z naciskiem.

To było zadanie, którego podjęłam się na ślubie Beldaran. Przysięgam wówczas je wypełnić i w ciągu minionych dwóch tysięcy lat nie wydarzyło się nic, co mogłoby zmienić moją decyzję. W tym momencie cała masa faktów stała się zrozumiała. W pewnym sensie dwa tysiąclecia, które minęły, odkąd podjęłam się tego zadania, były ledwie przygotowaniem, szkoleniem, jeśli wolicie. Teraz byłam gotowa, by zostać strażnikiem i opiekunem Gerana, bez względu na to, gdzie WYDARZENIA zanoszą jego czy tych, którzy po nim przyjdą.

- Kiedyś już podjęłam się tego zadania dobrowolnie, Mistrzu - odparłam, kładąc dłoń na ramieniu Gerana - i teraz też przyjmuję je dobrowolnie. Zaprawdę, chronić będę i kierować rivańską linią rodową tak długo, jak to będzie konieczne. Nawet po kres czasu, jeśli będzie trzeba.

Gdy to mówiłam, poczułam, przenikające mnie osobliwe ciepło. Wydawało mi się, że słyszę dzwonienie dalekich gwiazd. Najwyraźniej potwierdzenie mojej poprzedniej przysięgi było WYDARZENIEM pierwszej wielkości. Dokonałam już w moim życiu kilku ważnych rzeczy, ale po raz pierwszy oklaskiwały mnie gwiazdy.

- Skoro to już ustaliliśmy, a kolacja jest prawie gotowa - powiedziałam do mej nieco zbitej z tropu rodziny - niech panowie umyją ręce, gdy ja będę nakrywać do stołu.

Można powiedzieć, że w sposób automatyczny, nawet instynktowny zaakceptowałam wyznaczone mi zadanie. Na tym, co sobie uprzytomniłam pocieszając pogrążonego w smutku Gerana na pokładzie okrętu, który zabrał nas z Wyspy Wiatrów, opierało się moje pragnienie poświęcenia reszty życia potomkom siostry i Rivy. Płynęła w nich moja krew, należeli do mej sfory, jeśli wolicie, więc wychowywanie i ochrona każdego dziecka z tej linii rodowej była powinnością, którą przyjąłabym na siebie, nawet gdyby Mistrz nie żądał ode mnie przysięgi.

Zaakceptowałam to zadanie także z innego, mniej wilczego powodu. Byłam głęboko przekonana, że śmierć hrabiego Ontrose na zawsze zatrzasnęła przede mną pewne drzwi, że nigdy już nie wyjdę za mąż i nie będę miała własnych dzieci. Wychowywanie potomków mej

siostry wypełniłoby tę bolesną pustkę. Następnego ranka poczułam przemożną chęć natychmiastowego opuszczenia Doliny Aldura. Miałam wrażenie, że potwierdzenie mych obowiązków zapoczątkowało całkiem nowy rozdział w moim życiu i bardzo chciałam przystąpić już do działania. Kiedy jednak teraz spoglądam na to z perspektywy czasu, muszę przyznać, że motywami miałam trochę mniej szczytne. Przysięga oddała Gerana w moje posiadanie i chciałam go zachować wyłącznie dla siebie. Jakimiż dziwnymi ścieżkami nasz umysł czasami błądzi, prawda? Opuściliśmy Dolinę Aldura kilka dni później. Poczciwy Giermek zabrał nas w drogę powrotną przez sendarskie góry. Nie spieszyło nam się specjalnie, więc posuwaliśmy się w leniwym tempie. Jestem Pewna, że Giermkowi to się podobało. Zauważyłam, że konie często udają ludzi. Uwielbiają galopować, ale gdy muszą to robić na polecenie człowieka, zachowują się tak, jakby się poświęcały.

- Ciociu Pol - zagadnął Geran pewnego wieczoru po kolacji, gdy rozłożyliśmy koce na ziemi, a ognisko tylko się żarzyło i spowijała nas rzyjaska ciemność - jak to było dorastać w Dolinie Aldura w otoczeniu magii i czarodziejów?

- Nie znałyśmy z siostrą innego życia, Geranie, więc nie wydawało nam się niezwykle.

- Twoja siostra była moją babcią?

- Można tak powiedzieć. - Pewnych spraw wołałam ostrożnie nie poruszać. Geran nie musiał wiedzieć jeszcze o matce. Położyłam się i spoglądałam w gwiazdy. - Ojciec był w Mallorei, gdy przyszedł na świat - powiedziałam. - Razem z Cherekiem i jego chłopcami wykradali Klejnot Torakowi.

- Tak naprawdę to nie była kradzież, prawda? Przecież Klejnot należał do nas. Torak go ukradł.

- Prawdę powiedziawszy, Torak ukradł go Mistrzowi, ale to prawie to samo. W każdym razie moją siostrę i mnie wychowywał wujek Beldin.

Geran zachichotał.

- Lubię go - przyznał.

- Tak, zauważyłam. - Potem zaczęłam snuć opowieść nieco upiększonej wersji mego dzieciństwa w Dolinie Aldura. Geran słuchał z przejęciem. Po pewnym czasie zasnął, a ja wpatrywałam się w bezkresne sekwencje gwiazd. Zauważyłam, że kilka konstelacji zmieniło położenie, odkąd ostatni raz im się uważnie przyglądałam. Potem również zasnęłam.

Po dotarciu do mego domu spostrzegłam coś osobliwego. Odwiedzałam go kilkakrotnie od czasu, gdy skryłam go pod różami, i wówczas wydawał mi się niesamowity - taki wielki i pusty. Zawsze czułam się w nim bardzo samotna. Teraz to uczucie znikło. Geran był ze mną i nikogo więcej nie potrzebowałam. Postanowiłam, że możemy sobie darować sprzątanie

domu. Geran pogodził się już ze stratą rodziny i spędzał dużo czasu w mojej bibliotece nad kopiami kodeksów Mrińskiego i Darińskiego. Ostatecznie Kodeks Mriński przyprawił go o taką samą frustrację jak nas wszystkich.

- To pozbawione sensu, ciociu Pol! - Zawołał pewnego wieczoru, waląc pięścią w stół.

- Wiem - odparłam. - I takie powinno być.

- No więc po co wszyscy tracimy na to czas?

- Ponieważ on mówi nam, co się wydarzy w przyszłości.

- Ale skoro nie ma w nim sensu, jak może nam coś mówić?

- Doszukasz się w nim sensu, jeśli trochę popracujesz. Wszystko jest poplątane, aby niepożądani ludzie nie mogli dowiedzieć się, Co się wydarzy.

- To znaczy, że jest spisany szyfrem?

- Można tak powiedzieć.

- Myślę, że zajmę się tym drugim, Kodeksem Darińskim. Łatwiej się go czyta i nie jest tak popstrzony kleksami.

Z miłym zaskoczeniem odkryłam, że mój siostrzeniec jest zdumiewająco inteligentny. Był wychowywany jak Alorn, a po Alornach nie oczekuje się rozumu, oczywiście z wyjątkiem Drasnian. Jednakże inteligencja Drasnian ukierunkowana jest niemal wyłącznie na oszukiwanie sąsiadów, więc nie marnują jej na problemy natury filozoficznej.

Przez kilka lat żyliśmy spokojnie w odosobnieniu. Jemu potrzebny był czas na wydoroszenie, a ja musiałam przyzwyczaić się do swej nowej roli. Geran miał dwanaście lat i głos zaczynał mu się już zmieniać, gdy usłyszałam od niego bardzo celne spostrzeżenie.

- Wiesz, co myślę, ciociu Pol?

- Co takiego, mój drogi?

- Zastanawiałem się nad tym jakiś czas i wydaje mi się, że ty i dziadek i nasi wujkowie żyjecie poza czasem i światem, w którym żyje reszta z nas. To tak jakbyście żyli gdzie indziej, tyle że właśnie tutaj i teraz.

- Mów dalej, Geranie - powiedziałam, odkładając książkę.

- Ten inny świat, w którym żyjecie, jest wszędzie wokół nas, ale my go nie widzimy. Rządzi się również innymi prawami. Wy żyjecie przez tysiąclecia, nauczyliście się posługiwać magią i wiele czasu spędzacie na czytaniu starych ksiąg, których nikt z nas nie rozumie. Ale co jakiś czas wkraczacie do naszego świata, by powiedzieć królom, co powinni zrobić, a oni muszą to zrobić, czy im się to podoba, czy nie. Zastanawiałem się dlaczego. Po co potrzebne te dwa światy? Czemu nie jeden? I zrozumiałem. To jest bardziej skomplikowane, niż myślałem, ponieważ nie ma dwóch światów, ale trzy. Bogowie żyją w

jednym, gdzieś pomiędzy gwiazdami. Zwykli ludzie, tacy jak ja, żyją tutaj, gdzie nic niezwykłego się nigdy nie dzieje. Ty, dziadek i wujkowie żyjecie w trzecim, który jest pomiędzy światem bogów i światem zwykłych ludzi. Żyjecie w nim, ponieważ jesteście naszymi łącznikami z bogami. Bogowie mówią wam, co powinno się zdarzyć, a wy przekazujecie to nam. Żyjecie wiecznie, potraficie czynić magię i widzieć przyszłość, ponieważ zostaliście wybrani do życia w tym specjalnym świecie pomiędzy bogami i nami, byście mogli wskazać nam właściwy kierunek. Czy te moje przemyślenia mają sens, ciociu Pol?

- Bardzo dużo sensu, Geranie.

- To jeszcze nie koniec.

- Tak przypuszczałam.

- Torak także żyje w świecie bogów i też ma ludzi żyjących w świecie pomiędzy, tak jak ty i pozostali.

- Tak. Nazywamy ich uczniami. Uczniami Toraka są Urvon, Ctuchik i Zedar.

- Czytałem o nich. Torak wie, że coś się wydarzy, a nasi bogowie wierzą, że wydarzy się coś innego.

- To trafne podsumowanie.

- A zatem wojna bogów tak naprawdę nigdy się nie skończyła?

- Nie. Trwa nadal.

- Kto zwycięży?

- Nie wiemy.

- Ciociu Pol! - Zawołał z nutą bolesnego protestu w głosie. - Masz bibliotekę pełną tych wszystkich proroctw i nadal nie wiesz, kto zwycięży? W jakiejś książce musi coś o tym być.

- Może masz rację - powiedziałam, wskazując półki. - Nie krępuj się, szukaj do woli. Powiadom mnie, jeśli coś znajdziesz.

- To niesprawiedliwe!

Roześmiałam się i przytuliłam go. Był takim kochanym, poważnym chłopcem!

Geran miał wkrótce skończyć szesnaście lat. Musiałam zabrać go między ludzi, aby sobie znalazł żonę. Zastanawiałam się, gdzie moglibyśmy osiąść, i wybrałam Sulturn. Matka jednakże była innego zdania.

- Nie, Pol - usłyszałam jej głos pewnego wieczoru. - Nie Sulturn, Muros.

- Dlaczego Muros?

- Ponieważ tam mieszka panna, którą poślubi.

- Kim ona jest?

- Nazywa się Eldara.

- To algarskie imię.

- Słusznie, Pol, ponieważ jej ojciec jest Algarem. Nazywa się Hattan i jest drugim synem wodza klanu. Poślubił Sendarkę, gdy jego klan przypędził stado bydła do Muros. Osiadł tam i zajął się handlem bydłem. Ma dobre kontakty ze wszystkimi algarskimi klanami, więc powodzi mu się bardzo dobrze. Zabierz Gerana do Muros. Niech się ożeni.

- Jak sobie życzysz, mamó.

Przemyślałam to i uznałam, że powinniśmy mieć odpowiednią pozycję. Bogaty kupiec nie kwapiłby się zapewne do wydania swej córki za jakiegoś wiejskiego prostaka. Musieliśmy więc udać się do Sendaru. Potrzebowałam pieniędzy. Giermek był już stary, ale nadal dobrze się trzymał, choć dyszał trochę, gdy jechał pod górę. Kazałam Geranowi wyczyścić jeden z małych powozów, a sama spakowałam w tym czasie stosowne odzienie do solidnego kufra. Późną wiosną roku 4012 wyruszyliśmy do stolicy, miasta Sendar. Nic nas specjalnie nie goniło, więc pozwoliłam Giermkowi utrzymywać własne tempo. Udaliśmy się na południowy wschód i po kilku dniach dotarliśmy do skrzyżowania wiejskiej drogi z imperialnym traktem.

- W którą stronę, ciociu Pol? - zapytał Geran, który powoził.

- Na południe, Geranie, w kierunku Medalii. Potem obierzemy trakt do Sendaru.

- Ruszaj, Giermku!

Nasz wiekowy koń westchnął i poczłapał dalej. Medalia bardzo się zmieniła w ciągu tych stuleci od ostatniej mojej wizyty. Sendaria była spokojnym królestwem, więc mury obronne, które otaczały Medalię w czasach, gdy stanowiła część mojego księstwa, popadły w ruinę. Nie pochwalałam tego, ale postanowiłam się nie mieszać. Tydzień później dotarliśmy do Sendaru, gdzie wynajęliśmy pokoje w przyzwoitym zajeździe. Po obiedzie przeszukałam kufer i wybrałam dla nas stosowne odzienie.

- Czy naprawdę musimy się tak stroić, ciociu Pol? - Zapytał Geran z pewnym niesmakiem. Zdecydowanie najwyższy był już czas wprowadzić go pomiędzy ludzi.

- Tak - odparłam stanowczo. -Wybieramy się do pałacu jutro rano i nie mam zamiaru korzystać z wejścia dla służby.

- Czy idziemy tam zobaczyć się z królem?

- Nie. Mamy sprawę do załatwienia w królewskim skarbcu. Ale może będziemy musieli porozmawiać z królem, by załatwić naszą sprawę. To zależy od skarbnika.

- Nie rozumiem.

- Potrzebne nam pieniądze, a ja mam ich tam mnóstwo. Będę musiała przekonać skarbnika, że jestem tą, za którą się podaję, i że te pieniądze należą do mnie.

- Czy nie ryzykujesz zbyt, powierzając pieniądze komuś innemu? Mógłby cię oszukać.

- Sendarowie są bardzo uczciwi, Geranie. Nie sędzę, aby skarbnik zrobił coś takiego, a jeśli nawet, to mam swoje sposoby, aby go przekonać, że popełnił błąd.

Tak więc następnego ranka księżę Geran i ja udaliśmy się do pałacu króla Sendarii, Falbena, a właściwie do skrzydła pałacu, w którym mieścił się królewski skarbiec. Jak zwykle dopiero po pewnym czasie wprowadzono nas do pachnącego stęchlizną biura królewskiego skarbnika. Zauważyłam, że ludzie mający do czynienia z pieniędzmi zawsze tak samo pachną. Pieniądze przechowywane są w zamkniętych pomieszczeniach, a nikt jakoś nigdy nie pomyśli o wietrzeniu tych miejsc. Baron Stilnan, królewski skarbnik, był bardzo poważnym urzędnikiem. Jego biuro od podłogi po sufit zastawione było regałami z oprawnymi w skórę księgami rachunkowymi. W gabinecie barona panowała pełna namaszczenia cisza, ponieważ ludzie spędzający cały czas na liczeniu pieniędzy darzą je niemal religijną czcią.

- Wiem, że jesteś zajęty, panie - powiedziałam, gdy wprowadzono nas do gabinetu i usiedliśmy - więc przejdę od razu do rzeczy. Jakiś czas temu moja rodzina powierzyła opiece korony pewien kapitał. Przybyłam, aby pobrać część z tych pieniędzy.

- Muszę to sprawdzić, pani...?

- Do imion i innych spraw przejdziemy później, baronie. Kapitał, o którym mowa, został zapisany w tomie pierwszym twych ksiąg rachunkowych, na stronie siedemset trzydziestej szóstej, jeśli dobrze pamiętam.

Spojrzał niepewnie, ale podszedł do regału i zdjął ostatni tom z lewej strony górnej półki.

- Znajdziesz opieczętowany kawałek pergaminu przypięty do kartki, baronie - powiedziałam. - Na tym pergaminie zapisane jest słowo. To rodzaj hasła, potwierdzającego moją tożsamość. - Przesunęłam po blacie biurka skrawek papieru z wypisanym na nim imieniem: Ontrose. - Myślę, że to słowo się zgadza z tym w księdze. Baron Stilnan zdmuchnął kurz z ciężkiej księgi, przekartkował ją, odszukał właściwą stronę i odpiął pergamin.

- To królewska pieczęć króla Fundora Wspaniałego! - krzyknął.

- Tak - powiedziałam. - Fundor był na tyle uprzejmy, aby zająć się mym rachunkiem. Imię, które ci podałam, zgadza się z tym na na pergaminie, prawda?

- Tak, zgadza się. Zapis mówi, że pierwotny depozyt został złożony przez księżnę Erat. Jesteś jej potomkiem, pani?

- Ja jestem księżną, baronie, i nie mam żadnych potomków.

- Ale ten zapis sporządzono sto osiemdziesiąt lat temu!

- Tak dawno? Ależ ten czas ucieka.

- Muszę poradzić się króla Falbena, pani. Król sprawuje pieczę nad tym rachunkiem, więc tylko on może pozwolić na wypłatę.

- Tyle zachodu - powiedziałam z westchnieniem. - Proszę, zachowaj to dla siebie, baronie. Mam powody, aby nie rozgłaszać o swojej wizycie tutaj.

- Jedynie król się o niej dowie, pani.

Król Sendarii, Falben, był zwyczajnie wyglądającym człowiekiem ubranym na brązowo. Miał około czterdziestki i zaferowaną minę człowieka, który ma kilkanaście rzeczy do zrobienia w tym samym czasie.

- O co chodzi, pani? - Zapytał po wejściu do gabinetu, - Stilnan paplał coś o bardzo starym depozycie w królewskim skarbcu.

- Baron całkiem zgrabnie to ujął, wasza wysokość - odparłam z oficjalną dwornością. - Złożyłam depozyt w królewskim skarbcu jakiś czas temu. Potrzebuję teraz pieniędzy, więc chcę część depozytu odebrać. Pokaż jego wysokości zapis w księdze, baronie - poradziłam. -1 załączony dokument. Nie marnujmy czasu.

Falben przeczytał szybko odpowiedni fragment.

- Utrzymujesz, że jesteś lady Polgardą, pani? - Zapytał podejrzliwie.

- Ona nie utrzymuje, że nią jest, wasza wysokość - powiedział Geran. - Ona jest lady Polgardą.

- Mój siostrzeniec, Geran - przedstawiłam młodzieńca.

- Jego słowo nie wystarczy, pani - rzekł Falben. - Potrzebuję czegoś więcej. W tych czasach aż roi się od oszustów.

- A zatem dobrze - odparłam z westchnieniem. Potem sprawiłam, że król Sendarii wzniósł się w powietrze. Przekonałam się, że to najszybszy sposób na udowodnienie sceptykom, kim jestem. Zawienie w powietrzu ma to do siebie, że niemal natychmiast sprowadza ludzi na właściwy tor myślenia.

- Zadowolony? - spytałam zaskonego monarchę. Stał skamieniały w powietrzu, z oczyma szeroko otwartymi ze zdumienia. Gwałtownie kiwnął głową, a ja delikatnie ouściłam go na podłogę. - Przepraszam, wasza wysokość. Oboje jesteśmy zajętymi ludźmi, a to zwykle pozwala maksymalnie skrócić nudne dyskusje.

-1 rozumiem dlaczego - powiedział Falben zduszonym głosem. Potem podszedł do biurka Stilnana i spojrzął w otwartą księgę. - Chcesz odebrać cały depozyt, lady Polgardo? - zapytał z lekkim niepokojem w głosie.

- A ile tego jest? Nie pilnowałam rachunków.
- Ostatni zapis wynosi pół miliona nobli, pani.
- Nobel to jednouncjowa złota moneta? Król skinął głową.
- Nie sądzę, bym zdołała odejść stąd z piętnastoma tonami złota w kieszeni.

Król zaśmiał się z przymusem.

- Mogłabyś to zrobić, gdybyś zechciała, lady Polgardo. Słyszałem o tobie różne opowieści.

- Przesadzone, wasza wysokość. Pięćset nobli wystarczy na me bieżące wydatki.

- Przynies pieniądze, Stilnane - polecił król. - Muszę się do czegoś przyznać, lady Polgardo.

- Uczciwe przyznanie się zapewnia spokój duszy, wasza wysokość.

- Ze wstydem muszę wyznać, że twój depozyt został nieco naruszony. Korzystaliśmy z niego okazynie, pożyczając na jakiś czas pewne kwoty, gdy wpływy z podatków nie wystarczały na pokrycie bieżących potrzeb.

- To usprawiedliwione użycie spoczywających w skarbcu pieniędzy, wasza wysokość - wybaczyłam mu.

- Czy mogę zapytać o pochodzenie tej fortuny?

- Wpływy z dzierżawy, wasza wysokość. Moje księstwo było bardzo rozległe, a farmy oddałam w dzierżawę już dość dawno temu. Nie pobierałam wygórowanych opłat, ale trochę się tego zgromadziło, prawda? Może kiedyś kupię... na przykład Tol Honeth.

Król roześmiał się.

- Zapewne jest na sprzedaż, lady Polgardo. Wszystko, co Tolnedranie posiadają, jest na sprzedaż.

Baron Stilnan wrócił z dwoma sporymi płóciennymi workami dźwięczących monet. Nalegał, abym przeliczyła pieniądze. Dokonał odpowiedniego zapisu w zakurzonej księdze.

- Jeszcze jedno, wasza wysokość - powiedziałam. - Wolałabym aby nie nagłaśniać mojej wizyty tutaj.

- Jakiej wizyty, lady Polgardo? Mam strasznie kiepską pamięć - Roześmiałam się, skłoniłam, po czym opuściliśmy z Geranem pałac.

- Król wydaje się miłym gościem - zauważył Geran, dźwigając za mną dwa dźwięczące worki.

- Polubiłam go nawet - przyznałam, po czym zmarszczyłam brwi - Złote monety wydają bardzo charakterystyczny dźwięk. Chyba znajdę jakiś sposób, aby tak nie pobrzękiwały. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi.

- Wracamy do domu, ciociu Pol?

- Nie, Geranie. Jedziemy do Muros.

- Muros? Po co?

- Nie wychowałam cię na pustelnika, Geranie. Czas, abyś wyszedł na świat i spotykał się z ludźmi.

- A kogo miałbym spotkać? - Zapytał z ciekawością.

- Myślę, że miło by było, abyś spotkał się ze swą przyszłą żoną przed ślubem - odparłam. - Choć to już zależy od ciebie. Jeśli wolisz niespodzianki, możemy wrócić do domu i po prostu posłę po szczęśliwą narzeczoną.

Geran zarumienił się i nie poruszał już tego tematu.

Muros nie zmieniło się wiele w ciągu tych stuleci. Było, i zapewne zawsze będzie, przesycone silnym odorem bydłych zagród. Z oczywistych powodów Muros to bogate miasto. Wielkie stada algarskich krów zwano „czworonożnym złotem” i dosłownie roiło się tu od handlarzy bydłem ze wszystkich królestw Zachodu. Wynajęliśmy pokoje w spokojnym zajęździe przy cichej ulicy i poszłam rozejrzeć się za odpowiednim domem na dłuższy pobyt. Wybrałam dom solidny, znajdujący się przy spokojnej bocznej uliczce. Oczywiście nie dorównywał standardem mojej rezydencji w Vo Wacune czy domowi na jeziorze Erat, ale nie zależało mi na tym. Mieliśmy z Geranem udawać członków drobnej szlachty i ten dom był jak najbardziej odpowiedni dla zamożnej, ale nie przesadnie bogatej baronowej. Właścicielem domu był Khalon, żyłasty Drasnianin. Trochę się targowaliśmy. Biedny człowiek wpadł z kretesem, gdy negocjacje zaczęłam prowadzić w sekretnym drasnianim języku. Wstydził przyznać że wyszedł z wprawy, więc przyjął śmiesznie niską propozycję nie tłumacząc nawet moich gestów na konkretne cyfry. Potem duma nie pozwoliła mu przyznać się do tego nieporozumienia. Krótko mówiąc zgrabnie obdarłam go ze skóry.

- Ale się załatwiłem - mruknął, gdy dobiliśmy targu uściśnięciem rąk.

- Tak - przyznałam. - Czemu nie poprosiłeś o wyjaśnienie?

- Wolałbym pierwiej umrzeć. Nie będziesz tego rozpowiadać, prawda?

- Nawet koźmi tego ze mnie nie wyciągną. Czy mogłabym cię jeszcze poprosić o przysługę?

- Chcesz mnie również oszkapić na meblach?

- Nie. Umebluję dom po swojemu. Chcę poznać człowieka o imieniu Hattan.

- Algarskiego handlarza bydłem?

- Znasz go?

- O tak. Jest powszechnie znany i nielubiany w Muros.

- Nielubiany?

- Tolnedranie go nie cierpią. On zna wszystkich algarskich wodzów klanów po imieniu, więc zawsze dostaje najlepsze sztuki z algarskich stad. Masz zamiar zająć się handlem bydła, baronowo?

- Nie, Khalonie. Chodzi o coś innego.

- Przez kilka dni będę zajęty sprzedażą mebli. Potem zaprowadzę cię do Hattana i poznam z nim.

- Wracasz do Boktoru, Khalonie?

- Nie, baronowo. Nie lubię drasniańskich zim. Mam już dość krów, więc przeprowadzam się do Camaar. Słyszałem, że można się tam dorobić na handlu przyprawami, a przyprawy pachną o wiele milej niż krowy. Tydzień później Khalon przedstawił mnie wysokiemu, szczupłemu mężczyźnie, ubranemu w końskie skóry, jako baronową Poledrę. Używałam różnych pseudonimów w ciągu tysiącleci, ponieważ moje imię zapewne wyryte było w pamięci każdego Murga przybywającego na zachód. Jednakże wiele matek nazywało córki imieniem legendarnej Polgardy Czarodziejki, więc po pewnym czasie mogłam używać zdrobnienia „Pol”, nie lękając się rozpoznania. Pomimo że Hattan, mimo że od lat żył już w Sendarii, nadal nosił ubranie z końskich skór i golił sobie głowę, zostawiając kosmyk włosów z tyłu. Jego powodzenie jako handlarza bydłem opierało się na algarskim pochodzeniu, więc starał się ubierać odpowiednio. Natychmiast przypadliśmy sobie do gustu. Zawsze lubiłam Algarów, w końcu wyrosłam niemal na ich podwórku. Hattan nie mówił wiele, a jeśli już, to bardzo przyciszonym głosem. Gdy spędzasz wiek szość życia z krowami, uczysz się ich nie płoszyć, chyba że lubisz ponownie zaganiać stado. Hattan faktycznie był nielubiany przez innych handlarzy bydłem w Muros. Zażyłe kontakty z wodzami algarskich klanów dawały mu ogromną przewagę, szczególnie nad Tolnedranami. Algarowie niemal odruchowo nie lubią Tolnedran, więc wodzowie klanów jeszcze przed dotarciem do Muros przebierali swe stada i najlepsze sztuki zostawiali dla Hattana, czym doprowadzali Tolnedran do białej gorączki. Po jakimś czasie Hattan zaprosił mnie i Gerana do swojego domu. Jego żona, Layna, była pulchną, trzpiotowatą Sendarką. Geran zachowywał się uprzejmie, ale nie mógł oderwać oczu od Eldary, wysokiej kruczowłosej piękności. Eldara wydawała się nim równie zauroczona i oboje siedzieli, wpatrując się w siebie bez słowa, prawie tak samo jak kiedyś Beldaran i Riva. Czulałam w powietrzu silny swąd „manipulacji”. Przeznaczenie - lub prorocstwo, zwijcie to, jak chcecie - najwyraźniej wzięło sprawy w swoje ręce.

- Zdaje się, że przypadli sobie do gustu - zauważył Hattan, po tym jak Geran i Eldara przez godzinę w milczeniu wpatrywali się sobie w oczy.

- Skąd Wiesz? Przecież nic nie mówią - zaprotestowała Layna.

- Ależ mówią, Layno - powiedział Hattan. - Po prostu nie słuchałaś. Chyba powinnaś zacząć przygotowania.

- Przygotowania do czego? - zapytała Layna.

- Do wesela, moja droga - powiedział.

- Oni mają dopiero po szesnaście lat, Hattanie. Są za młodzi na ślub.

- Nie powiedziałbym. Wierz mi, Layno, już nieraz to widziałem. Doprowadźmy do ślubu, nim zaczną im przychodzić do głowy różne pomysły. To jest Sendaria, moja kochana, tutaj dużą wagę przywiązuje się do przyzwoitości. To, że my zaczęliśmy przed czasem, nie znaczy, że dzieci też muszą.

Layna się zarumieniła. Dla przyzwoitości opóźniliśmy ślub o miesiąc, a Hattan i Layna bardzo się starali, aby dzieci nie zostawały same. Jak sobie przypominam, przyłapałam Gerana chyba z pięć razy na wykradaniu się z sypialni w ciągu tego miesiąca. Hattan podszedł do sprawy bardziej zasadniczo. Po prostu założył w oknach sypialni Eldary kraty. Pewnego pogodnego dnia Hattan wstąpił do mnie, podczas gdy Layna pilnowała naszych młodych zapaleńców.

- Chyba powinniśmy porozmawiać - powiedział.

- Oczywiście. Co z posagiem?

- Chcesz stado bydła?

- Nie bardzo.

- Więc to sobie darujmy. Poledra nie jest twoim prawdziwym imieniem, prawda, pani? Naprawdę jesteś córką Belgaratha, Polgardą, prawda?

Spojrzałam na niego zaskoczona.

- Jak to odkryłeś, Hattanie?

- Mam oczy, lady Polgardo. Jestem Alornem, więc znam opowieści o tobie. Opisują cię bardzo dokładnie, choć nie oddają całej prawdy. Jesteś zapewne najpiękniejszą kobietą na świecie, ale nie odbiegajmy od tematu. Geran nie jest naprawdę twoim siostrzeńcem, prawda?

- W pewnym sensie - odparłam. - To bardziej skomplikowane, ale uprościliśmy to dla wygody.

- Rozumiem. Nie obawiaj się, lady Polgardo, umiem trzymać język za zębami. Musimy jednak podjąć pewne środki ostrożności.

- Zajmę się tym, Hattanie.

- Nie wątpię, ale i tak chciałbym ci w tym pomóc. Muros nie będzie chyba najlepszym miejscem w Sendarii dla dzieci. Za dużo tu obcych, Sulturn lub Medalia byłyby pewnie

bezpieczniejsze. - Spojrzał na mnie spod oka. - Myślę, że będziesz musiała często się przeprowadzać. Jeśli opowieści, które o tobie słyszałem, są prawdziwe, to nie starzejesz się jak inni ludzie, więc nie powinnaś zostawać w jednym miejscu dłużej niż dziesięć lat i na twoim miejscu zrezygnowałbym ze szlachectwa. Trudno nie zauważyć baronowej czy innej wysoko urodzonej damy, a ty chyba nie chcesz rzucać się w oczy, prawda?

- Przemyślałeś sobie to wszystko, co, Hattanie?

- W końcu chodzi tu o moją córkę, więc zadałem sobie nieco trudu. Czy obrazisz się za radę?

- Ani trochę.

- W przyszłości mogłabyś tych siostrzeńców, którymi się opiekujesz, oddawać w termin do różnych rzemieślników. Stolarz nie musi tłumaczyć, czemu przeprowadza się z miasta do miasta. Robotnicy często się przeprowadzają i nikogo to specjalnie nie dziwi póki są dobrzy w tym, co robią. W każdym mieście jest stolarz kilku murarzy i aptekarz. Rzemieślnik wtapia się w tło, obcy go nie uważają.

- Hattanie, jesteś geniuszem!

- Nie posunąłbym się aż tak daleko, lady Polgardo.

- Właśnie rozwiązałeś problem, nad którym głowiłam się od kilku lat. Podpowiedziałeś mi, jak uczynić długą linię młodzieńców praktycznie niewidocznymi, a niewidzialnym być bardzo trudno. Prokowałam, więc wiem.

- Myślę, że twoim największym problemem będą sami młodzieńcy - powiedział. - Może bezpieczniej będzie nawet nie mówić im, kim naprawdę są. Trudność jednak polega na tym, że gdy pojawi się ten najważniejszy, powinien wiedzieć, kim jest, bo będzie go czekało sporo zajęć. - Uśmiechnął się lekko. - Masz tu interesujący problem, Polgardo, ale pozwolę ci samej go rozwiązać.

- Dzięki, Hattanie - odparłam z sarkazmem.

- Nie ma za co, pani - odparł ze śmiechem.

Ślub odbył się późnym latem tego roku. Okiełznaliśmy zapędy Layny i nie był wystawny. Oboje z Hattanem uważaliśmy, że Geran i Eldara i tak niewiele będą pamiętać z całej ceremonii, a w naszej sytuacji najmowanie miejskiego obwoływacza, aby wykrzykiwał te wieści z dachów Muros, nie byłoby oznaką roztropności. Hattan miał pewne trudności z przekonaniem żony, że nie trzeba urządzać wesela, które przejdzie do miejscowej historii, więc ja dość gładko odwróciłam jej uwagę problemem wyboru sukni ślubnej dla Eldary. Wykorzystałam fason zaprojektowany przez Arell. Nie skopiowałam jednak dokładnie sukni ślubnej Beldaran, choć muszę przyznać się do konstruktywnego plagiatu. Fakt, iż Eldara

miała włosy kruczoczarne, podczas gdy włosy Beldaran były zupełnie jasne, podyktował kilka subtelnych zmian, ale ostatecznie suknia podobała się wszystkim. Eldara promieniała, gdy ojciec wprowadził ją do kaplicy, a reakcja Gerana bardzo przypominała reakcję jego prapradziadka na widok Beldaran. Pamiętam, że musiałam zdusić śmiech, gdy kapłan, który prowadził ceremonię, zaintonował błogosławieństwo bogów na koniec uroczystości. Sendarska religia jest tolerancyjna aż do przesady, a jej istotą jest ekumenizm. Tolerancja religijna to dobra rzecz, ale gdy kapłan poprosił Toraka, aby pobłogosławił temu związkowi, który ostatecznie zaowocuje przyjściem na świat tego, kto go zabije, sprawiło że omal nie udławiłam się śmiechem. Hattan, który siedział pomiędzy swą szlochającą żoną i mną, schwycił mnie za łokieć. - Spokojnie - szepnął.

- Czy ty wiesz, co ten kapłan właśnie zrobił?

Hattan skinął głową.

- To jedynie formalność. Jestem pewny, że Torak jest zbyt zajęty by zwrócić na to uwagę. - Umilkł na chwilę. - Przez następne kilka tygodni jednak uważaj, czy jakiś smok nie myszkuje wokół miasta.

- Smok?

- Czyż Murgowie nie nazywają Toraka Bogiem Smokiem Angaraków? Jestem pewny, że potrafisz sobie z nim poradzić, Pol, ale wołałbym, aby nie wpadł do nas z wizytą. Krowy są bardzo płochliwe, a jeśli Torak zacznie latać nad Muros i ziać ogniem, nie będzie to sprzyjać interesom.

- Próbujesz być dowcipny, Hattanie?

- Ja? Skąd przyszedł ci do głowy ten pomysł, Pol?

Geran i Eldara byli nieprawdopodobnie szczęśliwi. Zauważyłam że te z góry ustalone małżeństwa zwykle były szczęśliwe. Wszechświat miał sposoby nagradzania tych, którzy służyli Celowi. Po niedługim czasie Eldarę zaczęły trapić poranne nudności, więc wiedziałam, że wszystko toczy się normalnym trybem. Wczesnym latem 4013 roku odebrałam jej poród. Choć całą pracę wykonali Geran i jego żona, pewną dumą napawał fakt, że to ja wszystko zaaranżowałam. Po wielu dyskusjach Geran i Eldara postanowili nazwać swego syna Davon, ku rozczarowaniu Hattana, jak sądzę, który obstawał przy nadaniu wnukowi algarskiego imienia. Osobiście ucieszyłam się, że dziecko będzie się nazywać jak zwykły chłopiec. Algarskie imiona czasami są zbyt pretensjonalne. Poród Eldary nie był ciężki i wkrótce znowu była na nogach. Jakiś czas biłam się z myślami, nim postanowiłam z moją małą rodziną przeprowadzić rozmowę. Pomimo zastrzeżeń Hattana doszłam do wniosku, że lepiej będzie, jeśli następcy Rivy będą wiedzieli, kim są i jakie zagraża im

niebezpieczeństwo. Poprosiłam więc pewnego jesiennego wieczoru po kolacji, aby Geran i Eldara przyszedli do mej biblioteki na „małą rodzinną naradę”. Roztropnie „zachęciłam” naszą służbę, aby poczuła się bardzo senna, a potem zaprowadziłam Gerana i jego żonę z dzieckiem do biblioteki i zamknęłam drzwi.

- Ile powiedziałaś o nas swojej żonie, Geranie? - Zapytałam siostrzeńca bez ogródek.

- No cóż, nie kłamałam jej, ciociu Pol, ale kilka spraw przemilczałam.

- Masz przede mną tajemnice? - Zapytała z wyrzutem Eldara. –Ja przecież nic nie ukrywam.

- On wypełniał moje polecenia, Eldaro - zapewniłam ją. - Mówimy tu o tajemnicy rodzinnej i Geranowi nie wolno wyjawiać jej nikomu bez mego wyraźnego pozwolenia.

- Nie ufasz mi, ciociu Pol? - Zapytała z lekką urazą w głosie.

- Musiałam cię trochę lepiej poznać, Eldaro, upewnić się, że potrafisz pewne rzeczy zachować dla siebie. Wiele młodych osóbek nie potrafi powstrzymać się od paplania. Zauważyłam jednak, że nie jesteś paplą. Chyba zorientowałaś się już, że twój mąż nie jest Sendarem?

- Powiedział mi, że urodził się w jednym z alornskich królestw. Byliśmy dość zajęci, gdy mi o tym mówił... - Zaczerwieniła się i przerwała.

- Myślę, że nie musimy w to wnikać, Eldaro. Prawdę powiedziawszy, Geran jest Rivanem, potomkiem bardzo ważnego rodu na Wyspie Wiatrów.

- Jak ważnego?

- Nie ma ważniejszego. Jedenaście lat temu cała rodzina Gerana została wymordowana przez Nyissan. Mojemu ojcu i mnie udało się uratować Gerana, ale było za późno na uratowanie innych.

Eldara otworzyła szeroko oczy z przerażenia.

- Czy poczujesz się lepiej, wiedząc, że możesz zostać Rivańską Królową, kochanie? - Zapytał Geran.

- Nie zachowujesz się wcale jak król. Czy królowie powinni tak chrapać?

- Mój dziadek chrapał - odparł ze wzruszeniem ramion.

- Dyskusje na temat przystojącego królowi zachowania zostawcie na potem - powiedziałam. - Skupmy się na istocie sprawy. Geran ma zatwardziałych wrogów, którzy niczego nie pragną bardziej niż zabić go i jego dziecko.

Eldara mocno przytuliła do piersi śpiące niemowlę.

- Niech no tylko spróbują! - Powiedziała zapalczywie.

- Wolałabym, aby tego nie robili - powiedziałam stanowczo. - Wrogowie Gerana są potężni, mogą wynająć morderców na pęczki i szpiegów na kopy. Jestem pewna, że już nas szukają. Postarajmy się, by nas nie znaleźli. Są na to dwa sposoby. Możemy pójść w góry i ukryć się w jakiejś jaskini albo zostać tutaj i udawać tak zwyczajnych ludzi, że nie zwrócą na nas uwagi. Najpierw spróbujemy tego drugiego sposobu. Omówiłam już sprawę z twoim ojcem i jutro z są mego rana Geran rozpocznie naukę nowego fachu.

- Jakiego fachu, ciociu Pol? - zapytał.

- Teść wprowadzi cię w handel bydłem, Geranie.

- Ja nic nie wiem na temat krów.

- Szybko się nauczysz. Zależy od tego twoje życie, więc zachęta ci chyba nie będzie potrzebna.

Tak więc dziedzic rivańskiego tronu zaczął wstawać wcześniej i każdego ranka wychodził do pracy. Początkowo był kompletnie zagubiony, ale Hattan cierpliwie wprowadzał go we wszystko i co ważniejsze, przedstawił go wodzom algarskich klanów. Nie minęło wiele czasu, jak Geran zaczął odgrywać coraz większą rolę w prowadzeniu rodzinnego interesu. Hattan był z niego dumny.

- Jest bardzo zdolny, Pol - powiedział, gdy Geran dobił targu z jednym z algarskich klanów w sprawie przepędzenia stada krów na północ tolnedrańską groblą przecinającą mokradła do Boktoru, zamiast przez góry Sendarii do Muros. Każdy dobrze wyszedł na tym przedsięwzięciu, z wyjątkiem Tolnedran. Zapewnili co prawda drogę, ale na tym kończył się ich udział. Ich krzyki było ponoć słychać po obu stronach rzeki Nedrane i następnego roku przejazd groblą był już płatny. W pracy Gerana otaczali ludzie Hattana, którzy w większości byli osiadłymi tu Algarami, więc w zagrodach dla bydła był bezpieczny. To pozwoliło mi lepiej poznać Eldarę i bawić się z dzieckiem. Mały Davon był wierną kopią swego ojca, a ten z kolei był bardzo podobny do syna mej siostry, Darana. Pewne cechy były wyraźnie dziedziczne w rivańskiej linii. Większość chłopców miała jasne włosy. Czarne włosy Rivy pojawiały się tylko od czasu do czasu. Co więcej, wszyscy byli poważnymi, sumiennymi chłopcami, obdarzonymi zdrowym rozsądkiem. Oczywiście to mogło być bardziej wynikiem kulturowych uwarunkowań niż dziedziczności, ponieważ większość z nich urodziła się i była wychowywana w Sendarii. Mijał czas, Daron rósł jak na drożdżach. W wieku dwunastu lat był już tak wysoki jak jego ojciec. Nigdy szczególnie nie przepadałam za Muros, za jego zapachem bydlęcych zagród, ale byliśmy tam szczęśliwi. Kilka dni po dwunastych urodzinach Davona odwiedził mnie Hattan. Jego kosmyk zaczynał już siwieć. Rozmawialiśmy długo w bibliotece.

- Przypominasz sobie naszą rozmowę sprzed ślubu Gerana i Eldary.
- Bardzo dobrze, Hattanie. Postępujemy przecież wedle wytyczonego wówczas przez ciebie planu, prawda?
- Tak, z wyjątkiem tego, że ty nie starzejesz się w widoczny sposób - powiedział. - Może wymów zaklęcie, od którego posiwieją ci włosy?
- Pewnego dnia będziemy musieli porozmawiać o tym, co nazywasz czarami, Hattanie - odparłam z westchnieniem.
- Chcesz powiedzieć, że tego nie potrafisz? - Spytał zaskoczony.
- Ależ potrafię - powiedziałam. - Ale siwe włosy tak naprawdę nie są siwe.
- Wyglądają na siwe.
- Przyjrzyj im się uważniej, Hattanie. Twój kosmyk wygląda na siwy, ponieważ składa się z mieszanki czarnych i białych włosów. Musiałabym połowę swych włosów wybielić, włos po włosie.
- To mogłoby trochę potrwać - przyznał.
- Dość długo. Mogłabym sporządzić wywar z pewnych chwastów i ufarbować sobie włosy. Nie wyglądałyby dokładnie tak samo jak twoje, ale chyba by pomogło. Są też pewne kosmetyki, dzięki którym mogłabym wyglądać starzej.
- Czy nie łatwiej byłoby się po prostu przeprowadzić? Wyjechać do Sulturn albo Darine?
- Chcesz się mnie pozbyć, Hattanie?
- Oczywiście, że nie. Wszyscy cię kochamy, Pol, ale na pierwszym miejscu powinniśmy stawiać bezpieczeństwo naszych dzieci.
- Jest na to łatwiejszy sposób - powiedziałam. - Ponieważ jestem już taka stara, to po prostu stanę się odludkiem i nie będę opuszczać domu. Starzy ludzie często tak robią.
- Nie chcę cię trzymać w zamknięciu, Pol.
- Nie trzymasz, Hattanie. Szczerze mówiąc, nawet podoba mi się ten pomysł. Nadrobię zaległości w czytaniu.
- Jeszcze jedno, nim zapomnę - dodał Hattan. - Co powiesz na oddanie Davona w termin do garbarza?
- Muszę z nim mieszkać pod jednym dachem - odparłam, marszcząc nos. - Garbarze zazwyczaj niezbyt miło pachną.
- Nie, jeśli kąpią się regularnie i myją dobrym mydłem. Nawet szlachcic zacznie cuchnąć, jeśli będzie kąpać się raz do roku.
- Dlaczego garbarz? Czemu nie bednarz?

Kolejny raz Hattan zaskoczył mnie swą niebywałą przenikliwością. Uzmysłowił mi, że równie dobrze można być niewidocznym, stojąc w miejscu, jak uciekając i kryjąc się. Od mego algarskiego przyjaciela wiele nauczyłam się o tym, jak być zwyczajną. Moje własne pochodzenie trudno było nazwać zwyczajnym. Byłam Polgardą Czarodziejką i księżną Erat, a te pozycje były bardzo widoczne. Teraz miałam nauczyć się, jak być ciotecznią babką wiejskiego garbarza, choć Muros tak naprawdę nie było wsią. Krok po kroku wycofywałam się z życia publicznego i to mi bardzo odpowiadało. Gdy już się w tym wprawimy, żaden Murgo czy Grolim nas nie znajdzie. Davon był grzecznym chłopcem, więc nie protestował przeciw terminowaniu. Nim skończył osiemnaście lat, nauczył się po mistrzowsku garbować skóry i warsztat jego pracodawcy produkował najlepsze skóry w całej Sendarii. Tego lata, w Dzień Zarania, wyprawiliśmy rodzinną ucztę, a ja oczywiście urzędowałam w kuchni. Gdy już najedliśmy się bardziej niż do syta, Davon usiadł wygodnie w fotelu i zabrał głos.

- Nad czymś się zastanawiałem - powiedział. - Jeśli wykupimy zakład Alnika, to będziemy produkować większość skór w tej części Sendarii. A może najęlibyśmy jakiegoś młodego szewca? Moglibyśmy wybudować przy garbarni warsztat i produkować buty.

- Nie zarobisz na tym dużych pieniędzy, Davonie - zaprotestował Geran. - Buty trzeba dopasowywać do stóp tego, kto będzie w nich chodził.

- Dokonywałem pewnych pomiarów, ojcze - rzekł Davon ze sprytnym uśmiechem. - Ludzie myśleli, że zwariowałem, ponieważ zawsze chciałem zmierzyć im stopy. Teraz potrafię ocenić długość ludzkiej stopy z dokładnością do ćwierci cala. Ty masz stopy długie na osiem i pół cala. Dziecięce stopy i kobiece są niniejsze, ale w całym Muros ich długość mieści się w pewnych granicach. Nikt nie ma stóp trzycalowych i nikt nie ma stóp długich na osiemnaście cali. Jeśli nasz szewc będzie robił buty we wszystkich powszechnie spotykanych wielkościach, to znajdą się ludzie, którzy będą je mogli nosić. Mogę to zagwarantować.

- No dalej, ciesz się, Hattanie - powiedziałam do swego przyjaciela.

- Z czego, Pol?

- Udało ci się przekabacić następne pokolenie.

- Czyżby, Pol? - zapytał niewinnie.

- To logiczne rozszerzenie naszych interesów, Pol. Mam dostęp niemal do nieograniczonych zasobów krowich skór i mogę dostać je za bezcen. Jeśli Daron będzie garbować te skóry, sprzeda je z przyzwoitym zyskiem.

- Czyżbyśmy budowali małe imperium, Hattanie? Chcesz wykorzystać całą krowę? Co w takim razie planujesz robić z rogami i racicami?

- Mogę zbudować fabrykę kleju. Dzięki za pomysł, Pol. Nie przyszło mi to do głowy.

- Ty mówisz poważnie!

- Po prostu dbam o rodzinę, Pol. Mam zamiar pozostawić dzieciom kwitnący interes, gdy Belar powoła mnie do siebie.

- Zdaje się, że długo już byłeś w Sendarii. Może wziąłbyś rok wolnego i wrócił do Algarii, pohodował krowy lub konie?

- Już o tym myślałem, Pol. Właśnie jestem w trakcie negocjacji w sprawie nabycia kilkuset akrów dobrych pastwisk. Zdążyłem już Sendarów dobrze poznać. Algarowie lubią konie, które szybko biegają, ale Sendarowie wolą zwierzęta bardziej stateczne. Trudno orać pole w galopie.

- Jesteś pewny, że w twojej rodzinie nie było żadnego Tolnedranina, Hattanie? Czy potrafisz myśleć tylko o zysku?

- Prawdę powiedziawszy, zaczyna mnie to już nużyć - odparł ze wzruszeniem ramion. - Kiedy wszelkie poczynania związane z prowadzeniem interesu stają się rutynowe, zaczynani się rozglądać za nowymi wyzwaniami. Nic na to nie poradzę, że wszystko sprowadza się do robienia pieniędzy. Znam pewnego garbarza. Nazywa się Alnik, nie jest już najmłodszy i jego syna nie pociąga prowadzenie rodzinnego interesu. Porozmawiam z nim, a gdy Daron już się wyuczy zawodu, wykupimy zakład Alnika. Zaufaj mi, Pol. Wszystko pójdzie dobrze.

- Myślałam, że chodziło nam o to, aby nie rzucać się w oczy, Hattanie. O najbogatszej rodzime w południowo-wschodniej Sendarii trudno powiedzieć, że nie rzuca się w oczy.

- Chyba nie zrozumiałaś istoty mego planu, Pol. Ród, który ochraniasz, nie będzie wzbudzać podejrzeń, ponieważ wszyscy uznają, że wywodzi się ode mnie. Po kilku pokoleniach nikomu do głowy nie przyjdzie pytać o ich rodowód. Będą zadomowieni na dobre, bez żadnych ewidentnych powiązań z Wyspą Wiatrów. Chyba bardziej niewidocznym już być nie można?

Następnej wiosny złożyliśmy się z Hattanem i wykupiliśmy garbarnię Alnika. Przekazaliśmy ją Davonowi, a on natychmiast rozpoczął produkcję solidnych, praktycznych butów, które stały się bardzo popularne wśród farmerów. Kto chciał mieć bardziej szykowne obuwie, nadal zamawiał u tradycyjnych szewców, natomiast nasz sklep zyskał sobie stałą klientelę wśród ludzi pracujących. Do garbarni Davona jednym wejściem wwożono surową skórę, a drugim wyjeżdżały gotowe buty. Mieszkańcy Muros zaczęli zauważać naszą rodzinę. Żaden jednak z przejeżdżających Angaraków nie zwracał na nią uwagi, chyba że zamierzał kupić krowy lub buty. W 4039 roku w końcu udało nam się ożenić Davona. Miał dwadzieścia trzy lata i zaczynałam się już trochę martwić. Małżeństwa nie powinno się odkładać zbyt

długo, bo można nabyć starokawalerskich przyzwyczajęń. Hattan, który miał już pod pięćdziesiątkę, powiedział, że za bardzo martwię się takimi rzeczami.

- Nie jesteśmy zwykłymi ludźmi, Pol - powiedział mi tuż przed ślubem wnuka. - Jeśli byłbym taki jak inni Algarowie, to siedziałbym sobie na koniu nad rzeką Aldura i pilnowałbym stada krów. Miałbym algarską żonę, dziesięcioro dzieci i mieszkalibyśmy na wozach. Ja nie jestem po prostu jeszcze jednym Algarem, więc ożeniłem się z Layną i mieszkam w Muros, bogacąc się, zamiast pilnować krów na równinach Algarii. Byłem starszy od Davona, gdy żeniłem się z Layną. Potrzebowałem czasu, by stanąć na nogi, nim wziąłem ślub. Szlachta i chłopci szybko się żenią. Ludzie interesu się z tym nie spieszą. Alnana, narzeczona Davona, była bardzo ładną blondynką, promienną, pogodną. Wszystkich zarażała radością życia. Starannie rozważyliśmy z Eldarą jej kandydaturę. Młodzieńcom zawsze się zdaje, że to oni podejmują decyzje, ale nie zauważają pewnego bardzo istotnego faktu. Wpływ kobiet z rodu na wybranie odpowiednich żon jest bardzo duży. Nie. Nie będę się zagłębiać w ten temat. Kobiety i tak o tym wiedzą, a mężczyźni wcale tego wiedzieć nie muszą. Ślub Davona i Alnany był towarzyskim wydarzeniem jesieni. Nasza rodzina zdobyła już w Muros pewną pozycję i nie musieliśmy się ograniczać do skromnej uroczystości, jak w przypadku Gerana, który przybył znikąd, by poślubić Eldarę. Śluby są najważniejszym wydarzeniem w życiu klasy kupieckiej, więc zwykle bywają bardzo wystawne. Po ślubie Davon i Alnana zamieszkali w nowym skrzydle mego domu. Było trochę za tłoczno jak na mój gust, ale jakoś sobie radziliśmy i niewiele było tarć z tego powodu. Hattan, mój drogi przyjaciel, żył wystarczająco długo, by zobaczyć swego prawnuka, Altena, który przyszedł na świat w 4041 roku, a potem, pewnego wiosennego poranka w zagrodzie dla bydła wziął go na rogi ogromny algarski byk. Krowy zazwyczaj są tak potulne, że zapominamy, iż zawsze są w pełni uzbrojone. Hattan umarł prawie natychmiast, więc niewiele mogłam dla niego zrobić, ale i tak się obwinałam. Czasami wydaje mi się, że pół życia się zadręczałam. To była jedna z głównych wad studiowania i praktykowania metod leczenia. Lekarze zawsze są wstrząśnięci i przerażeni, gdy czegoś nie potrafią uleczyć. Nikt jednak jeszcze nie wynalazł sposobu na uleczenie ze śmierci, lekarze muszą nauczyć się godzić z przegraną. Layna oczywiście była zupełnie zdruzgotana, więc niedługo przeżyła swego męża. Kolejny raz śmierć przerzedzała szeregi drogich mi osób. Pocieszenia szukałam - podobnie jak wiele razy - poświęcając wiele czasu swemu nowemu siostrzeńcowi. Kiedy wszystkich trzech, Gerana, Davona i Altena Widziałam razem, to jakbym oglądała portrety jednego człowieka w różnym wieku. Davon i Alten nigdy nie musieli się zastanawiać, jak będą wyglądać na starość. Wystarczyło im spojrzeć na Gerana. Po pięćdziesiątce skronie Gerana zaczęła przyprószać siwizna. Wyglądał

z tym nawet dystygowanie. Około 4051 roku siwiejące włosy zdały się jednak przyćmić jego roztropność i byliśmy o krok od poważnej kłótni.

- Poproszono mnie, abym wystawił swą kandydaturę w wyborach do rady miejskiej, ciociu Pol - powiedział mi pewnego wieczoru, gdy byliśmy sami w ogrodzie. - Poważnie się nad tym zastanawiam.

- Czyś ty postradał rozum, Geranie? - zapytałam ostro.

- Nadaję się do tego lepiej niż jakiś beneficjent. Większość z nich wykorzystuje swoje urzędy do nabijania kabzy.

- To nie twoje zmartwienie, Geranie.

- Ale ja też tu mieszkam, ciociu Pol. Dobro miasta leży mi na sercu jak wszystkim.

- Kto wpadł na ten idiotyczny pomysł?

- Lord Muros we własnej osobie - odparł z pewną dumą.

- Rusz głową, Geranie! - zawołałam. - Nie możesz robić niczego co stawia cię w centrum uwagi.

- Ale ciociu Pol. Ludzie naprawdę niewielką uwagę zwracają na rajców.

- Mówisz o miejscowych ludziach. Obcy, włączając w to Murgów zwracają dużą uwagę na ludzi u władzy. Wystarczy tylko jeden rozpytujący o twe pochodzenie. Gdy dowie się, że przybyłeś tutaj w 4012 roku, dziesięć lat po zamordowaniu króla Goreka, i że ja byłam tutaj z tobą, całe nasze starania pójdą na marne.

- Za bardzo się martwisz - mruknął.

-Ktoś musi. Zbyt wiele rzeczy będzie pasowało, by Murgo położył to karb przypadku - twój wiek, twój wygląd, moja obecność i fakt że się nie starzeję. Będzie miał podejrzenia i pójdzie z nimi do Ctuchika. A Ctuchik nie przejmuje się drobiazgami, Geranie. Jeśli będzie miał najmniejsze podejrzenia, że to ty jesteś ocalałym z masakry w Rivie, każe zamordować ciebie i całą twoją rodzinę. Czy wybranie na jakiś głupi urząd jest aż tak dla ciebie ważne?

- Stać mnie na wynajęcie ochrony. Potrafię obronić rodzinę.

- Czemu zatem po prostu nie powiesz sobie na szyi tabliczki z napisem „Król Rivy”? Ochrona, Geranie? A czemu nie nająć trębaczy, by dęli w fanfary?

- Tyle mógłbym zrobić dla miasta i jego mieszkańców, ciociu Pol...

- Z pewnością, ale Muros nie jest twoim zmartwieniem. Riva to miasto, którym powinieneś się interesować. Pewnego dnia jeden z twoich potomków zasiądzie tam na tronie. Myśl o tym, nie o naprawie ulic i wywożeniu śmieci z zakurzonego miasta na sendarskiej równinie.

- Dobrze, ciociu Pol - rzekł Geran, najwyraźniej poirytowany. – I przestan mi już tym suszyć głowę. Przepraszę Oldrika i powiem, że jestem zbyt zajęty, by zajmować się skorumpowanymi urzędnikami

- Oldrik?

- Lord Muros. Jesteśmy dość bliskimi przyjaciółmi. Czasami prosi mnie o radę w pewnych sprawach. Westchnęłam.

- Nie mogę żyć pod kloszem, ciociu Pol - powiedział ze skargą w głosie. - Miasto Muros dało schronienie mnie i mojej rodzinie. Powinienem coś zrobić, aby się za to odwdziżyć.

- Załóż park albo zbuduj szpital dla biednych. Nie mieszaj się do ich polityki.

- jak każesz, ciociu Pol - odparł z westchnieniem Pomimo mojej interwencji i rezygnacji Gerana z ubiegania się o urząd mój siostrzeniec stawał się coraz bardziej znaczącą osobistością w mieście. Niepokoiłam się, że wcześniej czy później jeden z agentów Ctuchika zechce zbadać pochodzenie „pierwszego obywatela”, więc zaczęłam snuć pewne plany.

Jak się okazało, nie były one przedwczesne Alten rósł dalej i jako dwunastolatek dogonił niemal wzrostem ojca. Widać już było, że w jego żyłach płynie krew Chereka o Niedźwiedzich Barach. Czasami wydawało mi się, że rośnie w oczach Miał chyba około czternastu lat, gdy pewnego popołudnia przyszedł do domu z zaintrygowaną miną.

- Czy my jesteśmy sławnymi ludźmi, ciociu Pol? - zapytał

- Twój dziadek chyba tak myślał kilka lat temu - odparłam - Chciał startować w wyborach do rady miejskiej.

- Nie wiedziałem.

- Wybiłam mu to z głowy. Skąd u ciebie to nagle zainteresowanie sławą, Altenie? Jesteś uczniem szewca. Zdobędziesz sławę jeśli będziesz robił dobre buty.

- Tego ranka szewc u którego terminuję, złamał ulubioną igłę -wyjaśnił. - Posłał mnie, bym kupił nową. Byłem na rynku, a tam pewien obcy wypytywał o nas.

- Co to był za obcy? - zapytałam szybko z nagłym niepokojem

- Nie jestem pewny, ciociu Pol. Nie Tolnedranin ani Drasninin tego jestem pewny.

- Jak wyglądał?

- Miał oczy dziwnego kształtu i blizny na twarzy

- Chcę żebyś natychmiast pobiegł do grabarni po swego ojca i dziadka

- Dobrze, ciociu Pol - powiedział, biegnąc już do drzwi.

Wiedziałam, że będą sprzeciwy, więc zrobiłam coś, czego już dawna nie byłam zmuszona robić. Nie usiłowałam przekonać mej siedzącej rodziny, ale wydałam rozkazy.

- W mieście jest Murgó - powiedziałam, gdy wszyscy się zgromadzili. - Wypytuje o nas. Musimy natychmiast opuścić miasto.

- To niedobry czas, ciociu Pol - zaprotestował Davon. - Kierownik mego warsztatu właśnie się zwolnił. Muszę najpierw kogoś znaleźć na jego miejsce.

- Zostaw to nowemu właścicielowi.

- Jakiemu nowemu właścicielowi?

- Temu, kto kupi twój warsztat.

- Ja nie sprzedam swego warsztatu!

- No to go spal.

- O czym ty mówisz?!

- Mówię o zachowaniu rodziny przy życiu, Daronie. Gdy Murgowie zaczynają o nas wypytywać, pakujemy się i odjeżdżamy.

- Całe swe życie włożyłem w ten warsztat! To jest dla mnie bardzo ważne!

- Wystarczająco ważne, by umrzeć? Wystarczająco ważne, by pozwolić zabić Alnanę i Altena?

- Przesadzasz, ciociu Pol.

- Opowiedz mi, co się wydarzyło na plaży Rivy w 4002 roku, Geranie.

- Ona ma rację, Davonie - powiedział Geran do syna. - Gdy ludzie Ctuchika zaczynają nam deptać po piętach, to uciekamy... lub ginimy. Całe Cothol Murgos chce nas zabić.

- Ale tu mieszkaliśmy całe nasze życie! - zaprotestowała Alnana niemal z płaczem.

- I tu będą nasze groby... jeśli zostaniemy - powiedział bez ogródek Geran. - Jeśli natychmiast się nie przeprowadzimy, za tydzień nikt z nas już nie będzie żył. - Spojrzał w sufit. - Oldrik, lord Muros, jest moim przyjacielem. Jemu powierzę rodzinny interes. Poproszę, aby wszystko sprzedał i przesłał pieniądze do królewskiego skarbcza w Sendarze.

- Chyba nie myślisz oddać dorobku naszego życia królowi, ojczy! - wybuchnął Davon.

- Nie, nie myślę. Nie jestem aż takim patriotą. Ciocia Poi ma fortunę, którą król się opiekuje. Złożymy tam pieniądze... dopóki nie znajdziemy nowego miejsca schronienia.

- Czemu po prostu nie zabić tego Murga? - zapytał Alten.

- Ciekawy pomysł, Altenie - powiedziałam zimno. - Potrafisz zabijać ludzi? Masz w tym wprawę?

- No cóż... - zaczął niepewnie.

- Nie sądzę. A zatem, Geranie, idź porozmawiać z Oldrikiem.

- Pójdę z samego rana, ciociu Pol.

- Nie, zrób to zaraz. Napiszę liścik do króla z hasłem, aby wiedział, co zrobić z twymi pieniędzmi. Przed nastaniem ranka będziemy daleko od Muros. Davonie, ty z Altenem wracajcie do warsztatu, powiedzcie swoim szewcom, że wynikły jakieś pilne sprawy rodzinne i wyjeżdżacie do Camaar. Nie wdawajcie się w szczegóły.

- Jedziemy do Camaar, ciociu Pol?

- Oczywiście, że nie, ale chcę, aby ten Murgo tak myślał. Geranie, poproś Oldrika, by sprzedał również dom. Nie będzie nam już potrzebny.

- Dokąd jedziemy, ciociu Pol? - zapytał Alten.

- Tam gdzie kwitną róże - powiedziałam z uśmiechem. Geran westchnął.

- Spójrz na dobre strony tej sytuacji, Geranie. - Poklepałam go po ramieniu. - Tym razem będziesz miał pomocników przy sprzątaniu domu.

Opuściliśmy Muros dwie godziny przed świtem. Pojechaliśmy na zachód imperialnym traktem biegnącym do Camaar, a po trzech milach skręciliśmy w boczną drogę, która odbiegała ku zachodniemu krańcowi jeziora Camaar. Około południa dotarliśmy do jeziora, a potem skręciliśmy wzdłuż północnego brzegu i pojechaliśmy w kierunku Medalii.

Mieliśmy dwa powozy i kilka koni. Zmusiłam też swoją rodzinę do ubrania się jak zwykli farmerzy. Wozy były bardziej na pokaz niż dla wygody. Potrzebowaliśmy tylko jedzenia i koców, ale kilka mebli piętrzących się na wozach miało sugerować, że jesteśmy farmerską rodziną w trakcie przeprowadzki. Dotarcie do jeziora Erat zajęło nam półtora tygodnia. Rodzina ukryła się w lesie, a ja zmieniłam się w sowę, aby rozejrzeć się po okolicy. Nie znalazłam śladów Angaraków, więc pojechaliśmy ostrożnie ledwie widocznym szlakiem drwali na skraj mej różanej gęstwiny. Kolejny raz szybko przeszukałam okolicę. W odległości mili zobaczyłam trzech drwali. Przysiadłam nad nimi na konarze i dla pewności wymruczałam: „Śpijcie”. Potem wróciłam do rodziny, poprosiłam róże, aby zrobiły nam przejście, i wszyscy udaliśmy się do

rezydencji.

- Jaki wspaniały dom! - wykrzyknęła żona Gerana.

- Cieszę się, że ci się podoba, moja droga - powiedziałam. - Przyzwyczaj się do niego, ponieważ spędzimy tu pewnie kilka lat.

- W każdym razie na tyle długo, aby go wysprzątać – westchnął z rezygnacją Geran.

- Nie rozumiem - rzekła zaintrygowana Eldara.

- Zrozumiesz, moja kochana - powiedział Geran. - Gdzie zostawiliśmy szczotki, ciociu Poi?

- W komórcie przy kuchni.

- A zatem - zwrócił się do swej rodziny Geran - wejdźmy do środka i zabierzmy się do pracy.

W owym okresie mój dom na brzegu jeziora Erat służył nam za miejsce ostatniego schronienia - był moją odmianą „groty w górach”. Wykorzystywałam go w tym celu kilka razy, nim nabrałam większej wprawy w ucieczkach. Już sama świadomość, że tam jest, dawała mi poczucie pełnego bezpieczeństwa. Bardzo mało prawdopodobne było, aby jakiś Murgo trafił na jego ślad. Tym razem musieliśmy przeciągać nasz pobyt w domu pośród ród Geran urodził się księciem i we wczesnym dzieciństwie odebrał staranne wychowanie. Anonimowość nie leżała w jego naturze. Przyszedł na świat w królewskiej rodzinie, a ponieważ była to bardzo dobra rodzina, został nauczony, by o wiele poważniej traktować swe obowiązki niż przywileje. Stąd z pewnością wynikała jego chęć kandydowania do rady miejskiej. Zapewne było to godne pochwały, ale zarazem najgorsze co mógł zrobić. Zimna logika mówiła mi, że Geran po prostu jest za dobry. I z bólem serca muszę przyznać, że nasze lata spędzone pośród ród miały tylko jeden cel - pozwolić Geranowi i jego żonie zestarzeć się i umrzeć. Jestem wyrachowana? Kochałam Gerana jak własnego syna. Jednak moją główną powinnością była troska o zachowanie linii rodowej, a bezpieczeństwo rodu nakazywało trzymanie tych z potomków, którzy nie byli w stanie zachować swej anonimowości, z dala od ludzi. W ciągu stuleci przydarzyło się to kilkakrotnie i zawsze sprawiało mi ból, gdy musiałam zabrać jednego z tych wspaniałych, młodych ludzi do mej rezydencji i trzymać go tam, dopóki czas nie zrobi swego. Czasami zastanawiałam się, czy setki lat, które przeżyłam jako księżna Erat, nie miały mnie po prostu przygotować na liczne rozstania i pogrzeby. Straciłam Killane, Asranę, Malona i Ontrose, a teraz, w mym domu nad jeziorem, cierpliwie czekałam na odejście Gerana i Eldary. Księżę Rivy, Geran, umarł we śnie w 4066 roku, wkrótce po swych siedemdziesiątych urodzinach. Jego śmierć nie była niespodziewana, ponieważ od kilku lat tracił siły. Bardzo się tym smuciliśmy. Żaden z członków naszej małej rodziny nie oznajmił pogodnie, że „tak jest lepiej”. Ten bezmyślny banał doprowadza mnie niemal do pasji. Jestem w końcu lekarzem; śmierć to mój wróg, nie przyjaciel. Pochowaliśmy Gerana na tym samym wzgórzu, gdzie spoczywał Killane. Dom wydawał się teraz o wiele bardziej pusty. Dwa lata później Eldara podążyła za mężem. Wówczas zaczęłam delikatnie sugerować pozostałej rodzinie, że powinniśmy zacząć myśleć o powrocie do świata.

Dałam im rok na oswojenie się z propozycją. Pewnego letniego wieczoru po kolacji, gdy wszyscy siedzieliśmy na tarasie, poruszyłam ponownie ten temat.

- Jak myślicie, dokąd powinniśmy się udać? - zapytałam.

- Wrócić do domu, oczywiście - odparła szybko Alnana.

- Nie jest to dobry pomysł, moja droga. Nasi wrogowie z pewnością już na nas tam czekają.

- Ale w Muros mieszka moja siostra...

- Jeszcze jeden powód, aby tam nie jechać - przerwałam Alnani. - Jeśli wrócimy do Muros, to najpewniej twoja siostra i jej rodzina znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy już ich nie zobaczymy? - zapytała z płaczem.

- Przynajmniej będziesz wiedziała, że żyją, Alnana.

- Skoro mamy się przenieść możliwie jak najdalej od Muros, to czemu nie pojechać do Camaar czy Darine? - zaproponował Davon.

- Do Camaar nie - powiedziałam.

- Czemu?

- Tam jest za dużo obcych. Musimy Murgów unikać, nie pchać się im w objęcia.

- A zatem Darine? - zapytał Alten.

- Tak chyba będzie najlepiej - zdecydowałam. -W Darine roi się od Alornów, a Alornowie mają pewne dziedziczne uprzedzenia.

- Jakie?

- Instynktownie nienawidzą Murgów. Uprzedzenia rasowe są głupie i niegodne pochwały, ale czasami bywają pożyteczne. Jestem pewna, że zdarzają się mili Murgowie, ale ci, których widzimy, do nich nie należą. Za każdym razem, gdy zobaczysz Murga na zachód od Szańca czy na północ od Sthiss Tor, możesz być pewny, że przybył tutaj, aby cię zabić.

- A co z innymi Angarakami? - zapytał Alten.

- Mallorealanie żyją po drugiej stronie Morza Wschodu i pozostają pod rozkazami Urvona, nie Ctuchika. Thulowie są zbyt głupi, by stanowić jakieś niebezpieczeństwo, a Nadrakowie to zagadka. Nigdy nie ma pewności, po której stronie stoi Nadrak. Ctuchik polega niemal wyłącznie na Murgach, w szczególności na Dagashi. To ich powinniśmy się wystrzeżać. Zastanówmy się poważnie nad Darine. Tak wielu Alornów tam mieszka, że Murgowie bardziej będą zainteresowani utrzymaniem się przy życiu niż polowaniem na nas.

Tak więc późną jesienią 4068 roku spakowaliśmy trochę „praktycznych” ubrań, zamknęliśmy naszą rezydencję i przeprowadziliśmy się do miasta położonego nad Zatoką Chereku. Udawaliśmy rodzinę kupca. Wynajęliśmy pokoje w wygodnym zajeździe, wystarczająco odległym od brzegu morza, by nie dolatywały charakterystyczne portowe

zapachy. Davon i Alten natychmiast po rozpakowaniu wyruszyli na zwiedzanie miasta. Wiedziałam, że daremnie byłoby ich powstrzymać.

- Okropnie tu ciasno - zauważył Alten, gdy wrócili. - Czy wszystkie północne miasta są takie stłoczone?

- Nie ma krów - wyjaśniłam.

- Nie rozumiem, ciociu Pol - przyznał.

- Muros miało szerokie ulice, ponieważ Algarowie przepędzali nimi bydło. Domy w miastach północy budowane są blisko siebie z oszczędności. Jeśli budujesz dom pomiędzy dwoma innymi, to boczne ściany masz już gotowe. Musisz jedynie zbudować front i tył... i oczywiście dach.

- Żartujesz sobie ze mnie, ciociu Pol? - zapytał z wyrzutem.

Davon miał wielką ochotę zbudować dla nas dom, ale stanowczo to odradziłam.

- Jesteśmy uciekinierami w drodze, kochanie - przypomniałam mu. - W razie niebezpieczeństwa musimy uciekać. Jeśli zbudujesz dom, przywiążesz się do niego, a kiedy nadchodzi czas ucieczki, nic nie powinno cię zatrzymywać. Zostaniemy w tym zajezdzie do cza gdy znajdziesz jakiś odpowiedni, już stojący dom.

- Rozejrzę się trochę, ciociu Pol. W każdym razie poszukam bie jakiegoś zajęcia.

- Chcesz mieć kolejną fabryczkę butów?

- Raczej nie. Mogę do tego wrócić w razie potrzeby. Może jednak nie byłoby źle spróbować czegoś innego. Ten wścibiśki Murgo w Muros zapewne dowiedział się o naszych rodzinnych interesach i przekazał te informacje Ctuchikowi.

- Z pewnością.

- Więc raczej trzymajmy się z dala od garbarni i warsztatów szewskich. Czyż nie tam Murgowie najpierw będą nas szukać?

- Z całą pewnością. Bardzo dobrze wyuczyłeś się swojej lekcji, Davonie.

- Wystarczająco długo wbijałaś nam to do głów, ciociu Pol. Możemy żyć jak inni ludzie, musimy jednak mieć oczy i uszy otwarte i nie zwracać na siebie uwagi.

- Bardzo zgrabnie to ująłeś.

- Zapewne nie powinienem tego mówić, ale mój ojciec czasami zdawał się o tym zapominać. - Wyciągnął prawą dłoń i spojrzał na jasne znamię. - Czy powinienem ukryć to znamię, ciociu Pol? - zapytał. - Czy Ctuchik o nim wie?

- Nie jestem pewna. Być może.

- A zatem je ukryję. Jestem garbarzem, więc znam wszystkie farby zmieniające kolor skóry. - Umilkł na chwilę. - Chyba znowu wybierzemy się z Altenem na spacer po mieście. Zaczynam być niespokojny.

- Czemu?

- Od lat nie zarobiłem już ani grosza. Muszę się czymś zająć, nim zapomnę, jak to się robi.

- Mówisz jak Sendar, Davonie.

- Ja jestem Sendarem, ciociu Pol.

Przez tydzień włóczyli się po mieście, ale potem Alten się przeziębził, więc kazałam mu zostać w domu. Davon kilka razy wyprawił więc się sam i pewnego śnieżnego dnia wrócił do zajazdu z zawiniątkiem pod pachą. Alnana, Alten i ja siedzieliśmy przy ogniu, gdy wszedł z zaróżowionymi od zimna policzkami.

- Co o tym myślicie? - zapytał, rozwijając przyniesioną skórę.

- Davonie, jakie śliczne! - wykrzyknęła Alnana, dotykając czarnego futra. - Jakie miękkie! Żadna krowa nie da takiej skóry. Co to jest?

- Soból, moja droga - odparł Davon. - To rodzaj dużej łasicy, popularnej górach Gar og Nadrak. Dużo wiem o skórach zwierząt, ale czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziałem.

- Te skóry wysoko ceniła sobie szlachta w północnej Arendii bardzo dawno temu - powiedziałam.

- Wiele ich trzeba na płaszcz - powiedział.

- Płaszcze z soboli były wielką rzadkością z powodu niebotycznej ceny futra. Większość dam miewała jednak okrycia z sobolowymi kołnierzami i mankietami.

- Ciekaw jestem, czy tego zwyczaju nie dałoby się wskrzesić - zastanawiał się Davon na głos. - Wiem, gdzie mogę je dostać, ale potrzebny mi rynek zbytu. - Podał futerko synowi. - Pracowałeś ze skórami, Altenie - rzekł. - Czy trudno byłoby to szyć?

Alten, który miał już wówczas dwadzieścia siedem lat, ściągnął usta, oglądając futerko ze wszystkich stron.

- Jest cieńsze od krowiej skóry - zauważył - więc nie aż tak mocne, ale chyba nie mamy zamiaru robić z tego butów. Szyć można, tylko bardzo drobnym ścięciem.

Spojrzałam na niego z zastanowieniem. Alten był przystojnym młodzieńcem, ale po latach izolacji w rezydencji zrobił się nieśmiały.

- A co powiedzielibyście na szycie ubrań? - zapytałam. - My z Alnana opracujemy wzory, a Alten będzie je szyć. W Darine mieszkają bogaci kupcy, a bogaci ludzie lubią wydawać pieniądze na zbytki. Sklep z futrami w lepszej części miasta przyniesie duże zyski.

To była niewinna propozycja, ale jej prawdziwym celem było stworzenie warunków, by Alten cały dzień przebywał wśród kobiet. Chciałam go w ten sposób wyleczyć z nieśmiałości, bo przecież powinien się ożenić. Starokawalerstwo nie wchodziło w rachubę w przypadku męskiego potomka w tej rodzinie. Davon znalazł nam dom w pobliżu południowej bramy Darine. To był stary dom, ale dobrze utrzymany, w każdym razie dach nie przeciekał. Przeprowadziliśmy się tam z zajazdu. Zadanie znalezienia robotników do wyremontowania domu spadła na mnie, ponieważ Davon i Alten całą uwagę skupili na nowym zakładzie. Przed otwarciem pracowni kuśnierskiej musieliśmy stworzyć zapotrzebowanie na nasze towary, więc tej zimy paradowaliśmy z Alnana po mieście w płaszczach z futrzanymi kołnierzami i mankietami, we wspaniałych futrzanych czapach przypominających turbany, a ręce grzałyśmy w bogato wyglądających muflkach. Obszyte futrem buty może były drobną przesadą, ale w końcu stanowiłyśmy chodzące reklamy. Tej zimy Alten przyjął kilka zamówień. W pracowni kuśnierskiej niemal natychmiast zaroilo się od klientów, co oczywiście pobudziło konkurencję. Poczułam pewien niepokój, gdy następnego wiosny Davon przyprowadził szczupłego, na wpół pijanego Nadraka. Nadrak nazywał się Kablek. Zachowywał się hałaśliwie i nie pachniał ładnie.

- Pokaż mi to - mówił, gdy weszli do sklepu. - Ja nadal twierdzę, że ważne jest futro, a nie skóra, z której ono wyrasta.

- Futro jest niewiele warte, jeśli wypada, Kableku - wyjaśniał cierpliwie Davon. - Twoi traperzy w niewłaściwy sposób obchodzą się w górach z futrami. Zielone, nadgniłe skóry nie są warte tego, by przynosić je do miasta.

- Uczciwy traper nie ma czasu na pieszczonienie się ze skórami.

- A co robi w wolnym czasie? Upija się? Jak sobie chcesz, Kableku, ale dostałbyś lepszą cenę za skóry, gdyby twoi traperzy byli wystarczająco długo trzeźwi, by oczyścić je i namoczyć w taninie, nim zgniją.

- Traper nie ma miejsca na swym juczonym koniu na tak wielki garnek.

- Ale zawsze ma miejsce na dwie beczułki piwa, co?

- To część jego zapasów żywnościowych, Davonie.

- Powiedz, żeby pili wodę.

- Tego zabrania nasza religia.

- Jak sobie chcesz, Kableku - odparł Davon ze wzruszeniem ramion. - Wcześniej czy później znajdę sobie innego nadrackiego handlarza futer, który będzie widzieć trochę dalej poza brzeg swojego kufla z piwem. Ten z was, który to wszystko zrozumie, będzie moim wyłącznym dostawcą.

- W porządku, pokaż mi te skóry, które tak ci się nie spodobają.

Davon zaprowadził Nadraka do pracowni. Byli tam prawie pół godziny. Alnana, Alten i ja słyszeliśmy Kableka całkiem wyraźnie. Jego język był bardzo barwny. Potem obaj wrócili.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że są aż tak złe - przyznał posepnie Kablek. - Powiedz mi, co traper powinien zrobić, aby o nie zadbać.

Davon wyjaśnił mu, jak kora z pewnych drzew pozwala zakonserwować zwierzęce skóry.

- Jeśli twoi traperzy uczynią to zaraz po ściągnięciu skóry, ja później ten proces dokończę - podsumował. - Uwierz mi, Kableku, to przynajmniej podwoi cenę, jaką dostaniesz za futra po przywiezieniu do Darine.

- Zobaczę, co traperzy na to powiedzą.

- Odmów skupowania przegniłych skór.

- Spróbuję - mruknął Kablek. Potem spojrział na mnie. - Na pewno nie chcesz mi jej sprzedać? - zapytał Davona. - Masz dwie, a żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie potrzebuje dwóch.

- Przykro mi, Kableku, ale ona nie jest na sprzedaż. Kablek był bardzo zawiedziony.

- Wracam do tawerny - powiedział. - Do zobaczenia następnej wiosny. - Potem wyszedł ze sklepu.

- O co mu chodziło? - zapytałam.

- Nie wierzył mi, że futra, które chciał sprzedać, nie są najlepsze.

- Nie o to mi chodziło. Co nie jest na sprzedaż?

- Ty, ciociu Pol - odparł niewinnie Davon. - Choć jego propozycja była bardzo atrakcyjna. Powinno ci to schlebić.

- Co takiego?! - niemal krzyknęła Alnana.

- To osobliwość nadrackiej kultury, moja droga - wyjaśniłam jej. - Kobiety są uważane za własność, można je kupować i sprzedawać.

- Jak niewolników?

- To trochę bardziej skomplikowane, Alnana. Wyjaśnię ci to kiedyś... na osobności.

Miesiąc później do naszego sklepu weszła wyjątkowo skromna, młoda kobieta o ciemnoblond włosach, by rzekomo obejrzyć sobolowe mufki.

- To ona, Pol - usłyszałam głos matki.

- Sama zauważyłam - odparłam w myślach. - Zupełnie jakbym słyszała dzwony.

- Nabierasz coraz większej wprawy, Pol. Jeszcze kilka pokoleń i zostanę bez pracy.

Dziewczyna miała na imię Ellette. Najwyraźniej ona i Alten również usłyszeli te dzwony, o których rozmawialiśmy z mamą. Następnej zimy wzięli ślub. Byliśmy w Darine całkiem szczęśliwi, ale naszej rodzinie trochę za dobrze się powodziło, abym była zupełnie zadowolona. Nieuniknione były również kontakty z obcymi. Kablek stał się przyjacielem rodziny i można powiedzieć, że mu ufałam, jeśli w ogóle można ufać jakiemuś Angarakowi, ale czułabym się o wiele lepiej, gdybyśmy nigdy się nie spotkali. Nawet najzyczliwszy na świecie Angarak powie każdemu napotkanemu Grolimowi wszystko, co tamten będzie chciał wiedzieć. W czasie pobytu w Darine doszłam do wniosku, że powinniśmy unikać miast portowych, a także wielkich miast w głębi kontynentu. Wioski byłyby niewątpliwie bezpieczniejsze. Mieszkańcy miast są zbyt zajęci i przekonani o własnej ważności, by zwracać uwagę na obcych, mieszkańcy wiosek zaś często się nudzą, więc każdy przejeżdżający obcy staje się tematem do rozmów w wiejskiej karczmie przynajmniej na tydzień. Już samo to wystarczy mi za ostrzeżenie, tym bardziej że umiałam podsłuchiwać takie dyskusje bez konieczności znoszenia odoru zwierzęcego piwa.

Rodzinie powodziło się w Darine coraz lepiej i pozostaliśmy tam chyba zbyt długo. W 4071 roku żona Altena, Ellette, powiła syna, któremu Alten uparł się dać na imię Geran, po dziadku. Nie uważałam tego za dobry pomysł, ale Alten był nieugięty. Davon nadal skupował skóry od Nadraków, a czasami od Drasnian, Alten zaś nadal szył z nich okrycia, które cieszyły się dużym wzięciem. Alnana umarła w 4077 roku. Davon po jej śmierci bardzo szybko zaczął tracić siły. To bardziej powszechne zjawisko, niż wam się zdaje. Smutek potrafi zabić szybciej niż choroba. W roku 4080 w Darine wybuchła ponownie zaraza, trapiąca starożytny świat. Pochłonęła połowę populacji, pomimo moich największych starań umarli też Davon, Alten i Ellette. Ten jedyny raz uciekałam nie przed Murgami, lecz przed zarazą. Natychmiast po pogrzebie zamknęłam sklep, zabrałam wszystkie pieniądze i razem z małym Geranem opuściliśmy Darine, udając się - a gdzież by indziej? - do bezpiecznego schronienia, jakie zapewniał mój dom nad jeziorem. Przebywaliśmy tam kilka lat i dla zabicia czasu oraz z myślą o przyszłości uczyłam Gerana podstaw leczenia. Był bardzo uważnym, choć mało utalentowanym uczniem. Po wyjściu z ukrycia wysłałam go na praktykę do Medalii, wkrótce jednak zdałam sobie sprawę, że nigdy nie zostanie wybitnym lekarzem. Nie potrafił poradzić sobie z określeniem choroby, z którą przychodził do niego pacjent.

Geran ożenił się późno, był już dobrze po trzydziestce. Żona urodziła mu syna i cztery córki.

Muszę przyznać, że pozycja Gerana jako miernego lekarza służyła naszemu celowi o wiele lepiej, niż gdyby został lekarzem światowej sławy. Zarabiał dość, by nas utrzymać, i nic

więcej. To pozwoliło obniżyć oczekiwania jego syna. Pierwszy Geran był księciem, a Davon i Alten byli bogatymi handlowcami. Drugi Geran był przeciętny w swym zawodzie, jego syn nie wychowywał się we wspaniałym domu w otoczeniu służby. Chłopiec miał zręczne ręce, więc oddałam go w termin do stolarza, gdy miał dwanaście lat. Okoliczności wydawały się sprzyjające dla planu Hattana, który przewidywał ukrycie spadkobierców Rivy pośród ludzi szarych, zwyczajnych. W ciągu kilku następnych stuleci wypróbowałam wiele rzemiosł w Sendarii. Wychowałam bednarzy, tkaczy, kamieniarzy, stolarzy, kowali i murarzy. Moi siostrzeńcy zostawali poważnymi, skromnymi rzemieślnikami, którzy czerpali dumę z tego, co robili, i nie mieli zbyt wygórowanych oczekiwań, a ja nie wtajemniczałam ich w zbyt wiele szczegółów dotyczących pochodzenia. Królewska krew nie znaczy wiele dla młodzieńca, który kaleczy ręce przy pracy. Nie byliśmy włóczęgami, ale często się przeprowadzaliśmy do coraz mniejszych miast i wiosek. Sprawdzał się mój pomysł z sąsiadami w roli stróżów. Za każdym razem gdy przez naszą wioskę przejeżdżał jakiś Murgo, na czas byłam ostrzeżona, a jeśli zwlekał z odjazdem, zawsze mogłam pod pretekstem „pilnych spraw rodzinnych” pospieszenie opuścić dom. Mieszkaliśmy w wiosce o nieprawdopodobnej nazwie Odległe Rundorun, która znajdowała się kilka mil od głównego traktu łączącego Sendar i Seline. Moją całą rodziną w owym czasie był Darion, daleki potomek Rivy i Beldaran. Gdy dotarły do mnie plotki o murgoskim kupcu przejeżdżającym przez wioskę, uznałam, że czas zmienić miejsce pobytu. Jednak tym razem postanowiłam zmienić taktykę i przeprowadzić się do większego miasta, zamiast do mniejszej wioski. Spakowaliśmy się z Darionem i zapłaciliśmy przejeżdżającemu woźnicy, aby zabrał nas do Sulturn w środkowej Sendarii. Zawsze lubiłam Sulturn. Nie panuje w nim taki ścisk jak w Medalii czy Seline, a wiatr od jeziora przynosi latem miłe orzeźwienie. Darion miał około czternastu lat, więc po przeprowadzce oddałam go w termin do stolarza. Mój siostrzeniec był dobrze zbudowanym młodzieńcem, zapowiadał się na potężniejszego mężczyznę od swych bezpośrednich przodków, choć zapewne nie tak potężnego jak Cherek, ale to mnie cieszyło. Ukrywanie wielkoluda mogło być nie lada wyzwaniem. Pierwszy rok Darion spędził na struganiu drewnianych kółków. Stolarz, u którego terminował, był staroświecki i zupełnie nie uznawał gwoździ. Wierzył, że dobre meble muszą być łączone kołkami, ponieważ gwoździe obluźwiają się, a chybotałe meble to obraza bogów. Po roku strugania kółków Darionowi pozwolono budować tyły i boki szaf, owych wolno stojących schowków na ubrania, które w tamtym czasie stały się popularne w Sendarii. Szafa to niezgrabny mebel, ale pozwala przemeblować sypialnię, co nie jest możliwe przy schowkach wbudowanych w ściany.

Po kilku latach pracodawca Dariona - nie używam słowa „mistrz”, ponieważ ma ono w naszej rodzinie inne znaczenie - w końcu pozwolił swemu uczniowi zbudować front szafy. Zręczliwy starzec dokładnie obejrzał rezultat, wskazał kilka drobnych niedociągnięć, a potem mrukiwie przyznał, że mój siostrzeniec nie jest zupełnym beztalenciem.

Następnym zadaniem Dariona była serwantka i marudny stolarz pomimo usilnych starań nie mógł dopatrzeć się w niej żadnej niedoróbki. Nim Darion skończył dwadzieścia lat, wykonywał w warsztacie większość prac, a jego nauczyciel zajął się budowaniem domków dla ptaków i innych drobiazgów. Ludzie w Sulturm wiedzieli, kto naprawdę robi doskonałe meble opuszczające warsztat, i niektórzy z nich sugerowali, że Darion powinien założyć własny zakład. Ja jednak znalazłam prostsze rozwiązanie. Udałam się do pracodawcy Dariona i zaproponowałam, aby spędził jesień swego życia z synem i wnukami na farmie na południowym krańcu jeziora.

- Skąd wzięłaś pieniądze, ciociu Pol? - zapytał Darion z ciekawością, gdy mu o tym powiedziałam.

- Mam pewne zasoby, mój drogi - odparłam wymijająco. Pieniądze zawsze były dla mnie problemem, nie ich brak, ale nadmiar. W ciągu tych długich stuleci niemal zawsze miałam gdzieś schowane kilkaset sendarskich złotych nobli. Nie obnosiłam się z tym, bo rzemieślnik lepiej pracuje, gdy nie wie, że pod kominkiem czy w ścianie ma ukryty skarb. Chciałam, aby wychowywani przeze mnie młodzi mężczyźni byli absolutnie przekonani o tym, że to oni są jedyną podporą rodziny. W roku 4413 Darion miał dwadzieścia dwa lata i poznał Selanę, bardzo ładną Sendarkę. Ów cichy dzwon, o którym rozmawialiśmy z matką, rozdzwonił się w mej głowie przy pierwszym spotkaniu tej wysokiej, jasnowłosej dziewczyny. Darion i Selana wzięli ślub wczesną wiosną 4414 roku. Przed ślubem Darion zabrał się za przerabianie poddasza nad warsztatem na jnieszkanie dla nas. Okres wynajmu naszego domu nad jeziorem i tak dobiegał właśnie końca, a przyszły pan młody postanowił, że sprowadzi młodą żonę do mieszkania, które będzie jego własnością. Po ślubie wszystko toczyło się w ustalonym rytmie. Selana i ja gotowałyśmy i doglądałyśmy domu na górze, a Darion budował meble na dole. Pod wieloma względami nasza obecna sytuacja idealnie spełniała wyobrażenie Hattana o odpowiednim dla spadkobiercy Rivy sposobie życia. Darion był cenionym rzemieślnikiem, ale trudno bogaczem nazwać człowieka mieszkającego nad warsztatem. Późną jesienią 4415 roku ojciec złożył nam wizytę. Przez te wszystkie lata wyczuwałam jego obecność w moim otoczeniu wielokrotnie, ale po raz pierwszy pojawił się we własnej osobie. Spodziewałam się, że będzie mnie obserwował, i zapewne czułabym się rozczarowana, gdyby tego nie robił. Choć bezpośrednio się nie zaangażował w opiekę nad tą

rodziną, to był przecież również żywo nią zainteresowany. Ojciec trochę niezdarnie uwalnia swą Wolę, więc usłyszałam go, gdy tylko wszedł do warsztatu, jeszcze nim pojawił się na górze. Wszedł do kuchni w przebraniu wysokiego człowieka z gęstą czarną brodą, zaczynając się mu zaraz pod oczyma. Z pewnością to przebranie mogło zmylić innych, ale ja rozpoznałam ojca natychmiast.

- Co tu robisz? - zapytałam z wyrzutem. - Przecież ci powiedziałam, żebyś trzymał się z dala ode mnie.

- Musimy stąd zabrać dzieci, Pol - odparł z pośpiechem, wracając do własnej postaci.

To naprawdę zaskoczyło Dariona i Selanę.

- Kim jest ten człowiek, ciociu Pol? - zapytał Darion zdławionym głosem.

- Moim ojcem - odparłam z lekceważeniem.

- Świętobliwy Belgarath?

Nie kryłam przed nimi swego pochodzenia, a ojciec cieszył się pewną reputacją, która dość szybko rozwiewała się przy bliższym poznaniu.

- Ten „świątobliwy” to kwestia dyskusyjna - odparłam. Nadal lubiłam ojcu docinać.

- Sprawa jest pilna, Pol - powiedział ojciec. - Musimy natychmiast opuścić Sultum. Koniecznie naucz się farbować włosy, bo każdy Grolim wie o twoim loku.

- O czym ty mówisz, ojcze?

- W zajeździe na brzegu, na zachód stąd, pewien Murgo rozpytuje o ciebie. Wlewa piwo w bardzo gadatliwego Sendara, który doskonale wie, gdzie jesteś. Zaczynij się pakować.

- Czemu go nie zabiłeś, ojcze? Martwy Murgo nie zrobi nam krzywdy.

- Ciociu! - wykrzyknął z przerażeniem Darion.

- Ile on wie, Pol? - zapytał ojciec, wskazując na Dariona.

- Tyle ile trzeba.

- Wie, kim jest?

- Ogólnie rzecz biorąc.

- Och, Pol! - powiedział z oburzeniem ojciec. - Zachowywanie tajemnicy tylko w imię zachowania tajemnicy jest dziecinadą. Zaczynij pakowanie, a ja wyjaśnię mu, kim jest naprawdę. Zabierz tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Wszystko inne kupimy w Kotu.

- Kotu? - Tego się nie spodziewałam.

- W Sendarii robi się zbyt niebezpiecznie, Pol. Za wiele razy przenosiłaś się już z miejsca na miejsce. Murgowie - i Grolimowie - zaczynają tu skupiać swoją uwagę. Zabierzmy dzieci do jednego z alornskich królestw na jakiś czas. Wrzuć do torby kilka drobiazgów, a ja w tym czasie wyjaśnię sytuację Darionowi i jego żonie.

- Nadal uważam, że powinieneś poczęstować nożem tego Murga.

- To byłaby tylko strata czasu, Pol. Wieść o martwym Murgu szybko dotarłaby do Grolimów i w ciągu tygodnia zaroiłoby się tu od nich.

Chciał iść kupić konie, ale odwiodłam go od tego. Selana była zdrową dziewczyną, lecz podskakiwanie w siodle nie jest wskazane dla ciężarnych. Nie przysłuchiwałam się wyjaśnieniom ojca. Znałam już tę opowieść i sama większość z tego przeżyłam. Darion sprawiał wrażenie nieco sceptycznego, ale zachował się tak, jakby uwierzył. Zaproponował, abyśmy opuścili miasto na jego rozklekotanym wozie. Ojcu natychmiast ten pomysł przypadł do gustu, ponieważ przypominał mu ulubione przebranie Mistrza. Potem, choć z niechęcią to przyznaję, Stary Wilk miał przebłysk geniuszu.

- Ogień dobrze zatrze ślady - powiedział. To naprawdę zdenerwowało Dariona i Selanę. Wszystko, co posiadali, było w tym budynku, a jeszcze w pełni nie dotarło do nich, że nigdy już do Sultrun nie wrócą. To była część ojcowskiego planu. Nie tylko przyciągniemy tym natychmiast uwagę wszystkich w mieście, ale również pozbawimy Dariona i Selanę powodów do tęsknoty za powrotem. Spreparowałam trzy szkielety, które miały przekonać mieszkańców miasta i ciekawskiego Murga, że Darion, Selana i ja spłonęliśmy w pożarze. Chciałam, aby ślad, którym podążał Murg, urwał się raz na zawsze tu, w Sulturn.

Ojciec wywiózł nas na wozie ukrytych pod płachtami płótna i kilka godzin po północy byliśmy na drodze do Medalii, a w tym czasie warsztat Dariona płonął w najlepsze.

Jechaliśmy na północ przez następne dwa tygodnie. Aby szybko dostać się z Sulturn do Darine, trzeba sobie kupić dobrego konia i trzymać się tolnedrańskiego traktu. Jeśli nie oszczędzać konia, można tego dokonać w pięć dni. Jednak pędzenie przez miasteczka i wioski, jakby sam Torak deptał nam po piętach, rzucałoby się w oczy, więc ojciec wybrał boczne drogi i nie popędzał zbyt konia. Jesienią miło się podróżuje, więc nie miałam nic przeciwko temu. W Darine ojciec sprzedał konia i wóz Dariona i najął statek płynący do Kotu, drasnianckiego portu. Nie lubię Kotu. Nigdy nie lubiłam, zapewne z powodu wiecznego odoru z bagien, który wisi nad miastem niczym klątwa. Poza tym męczyły i nudziły mnie zawile knowania drasnianckich kupców. Jeśli Drasnianin jest wam winien pieniądze, to prędzej umrze, niż spłaci was bez wynalezienia sposobu zarobienia na tej transakcji.

Z niechęcią muszę przyznać, że przez te wszystkie lata tęskniłam za ojcem. Miał wiele przywar, których zdecydowanie nie pochwalałam, ale to zabawny stary szelma, którego niemal brutalnej praktyczności nie byłam w stanie naśladować. Mnie nigdy nie przyszedłby do głowy pomysł spalenia warsztatu Dariona. Może jestem zbyt sentymentalna. Ojciec i Darion rozumieli się bardzo dobrze. Darion słuchał rad Starego Wilka, a ojciec to pochwalał.

Jestem pewna, że Darion miał pewne wątpliwości co do zmiany fachu w Kotu. Dla wytwórcy eleganckich mebli zajęcie się snycerstwem było degradacją. Ojciec uciał sprzeciw z charakterystyczną bezpośredniością.

- Nie sądzisz, że pozostanie przy życiu jest ważniejsze niż jakieś tajemnicze poczucie artystycznego spełnienia? - zapytał.

To uciszyło protesty Dariona.

Ojciec pozostał z nami w Kotu, dopóki się nie urządziliśmy. Zmusił nas do zmiany imion i sporządził farbę do włosów - która nie działała - by ukryć mój słynny lok, po czym odjechał. Ojciec jest chodzącą legendą i żadne przebranie czy fałszywe imię na długo nie mogło ukryć jego prawdziwej tożsamości. Było bezpieczniej dla nas wszystkich, gdy odjechał. Selana urodziła syna następnej wiosny. Garion, dość sprytnie, zerwał z tradycją nazywania swego pierworodnego rivańskimi czy sendarskimi imionami. Dziecko otrzymało imię drasniańskie, Khelan, które nieco mnie drażniło. Oglądając się wstecz, przypominam sobie tylko dwa inne przypadki, gdy potomkom Rivy nadano miejscowe imiona. Anonimowość jest bardzo dobra i pożyteczna, ale doprawdy...

Wkrótce po przyjściu na świat Khelana usłyszałam nocą głos i tym razem nie był to matczyny głos.

- Nie śpisz, Pol? - zapytał ojciec.

- Teraz już nie - odparłam. - O co chodzi, ojczu?

- Jestem na Arendyjskim Jarmarku i właśnie odbyłem absolutnie fascynującą dyskusję z Ctuchikiem.

- A co on robi na Arendyjskim Jarmarku?

- Szuka ciebie. Tęskni za twoim towarzystwem.

- I zapewne właśnie cię podsłuchuje. Postępujesz bardzo mądrze, ojczu.

- Nie bądź śmieszna, Pol. Wiem, co zrobić, aby mnie nie słyszał. Na jakiś czas porzuć myśl o powrocie do Sendarii. Teraz Sendaria należy do mnie.

- O czym ty mówisz?

- Ctuchik ma podręcznego o imieniu Chamdar, przeciętnie utalentowanego. Przyczepił mi go do ogona.

- Nie przebierasz w słowach, ojczu.

- Jestem prostym wieśniakiem, Pol. Mówię, jak jest. Chamdar będzie moim cieniem. Ctuchik jest przekonany, że wiem, gdzie się ukrywasz, i co jakiś czas wpadam do ciebie. Chamdar śledzi mnie, aby znaleźć ciebie.

- A co to ma do tego, gdzie postanowię mieszkać?

- W Sendarii byłaś raz po raz demaskowana, Pol, więc Ctuchik uważa Sendarię za twoje środowisko naturalne. Mam zamiar zabawić się trochę z Chamdarem, ale nie chcę, byś plątała mi się pod nogami

- Czemu po prostu go nie zabijesz i nie usuniesz z drogi?

- Znam tego Chamdara. Wolę, aby śledziła mnie znajoma twarz niż całkiem obca. Poprowadzę go po Sendarii, długo będzie poznawał boczne ścieżki i polne drogi. Będzie przekonany, że ty nadal tam jesteś i alomskie królestwa nawet na myśl mu nie przyjdą. Zrób mi tylko miejsce, Pol. Będę trzymał Chamdara z dala od ciebie.

- Nie masz nic lepszego do roboty?

- To, co ty robisz, jest tylko odrobinę mniej ważne od rozłupania świata. To jest mój drobny wkład w twoje zadanie - dodał, po czym zachichotał.

- Co w tym takiego zabawnego?

- Będę miał z tego sporo uciechy, Pol. Myślę, że w ciągu kilku następnych stuleci nieraz usłyszysz pełne rozczarowania wycie Chamdara. Tylko nie wracaj do Sendarii, a gwarantuję ci bezpieczeństwo.

- Dokąd się teraz wybierasz?

- Chyba zwabię Chamdara do Tol Honeth na jakiś czas, niech zakosztuje luksusów, nim zacznie żyć w rynsztokach. - Ponownie się roześmiał. - Dostałem ogon od Ctuchika, pociągnę go trochę przez błoto. Śpij dobrze, Pol.

Oto cały ojciec.

Choć ojciec żartował sobie z misji Chamdara, najwyraźniej bardzo poważnie traktował podwładnego Ctuchika. Chamdar nie był zwykłym Grolimem, kierującym się strachem i bezmyślnym posłuszeństwem. Był przebiegły, ambitny i bardzo sprytny, pod pewnymi względami nawet niebezpieczniejszy od samego Ctuchika. Zmuszona jestem przyznać, patrząc z perspektywy czasu, że moje zaabsorbowanie Sendarią i jej mieszkańcami stało się przyczyną poważnego błędu z mej strony. Nie chciałam zrezygnować z mojego pierwotnego zadania, gdy przyjąłam na siebie nowe, więc zawsze starałam się ukrywać spadkobierców Rivy w obrębie granic Sendarii. To znacznie ułatwiło sprawę Grolimom Ctuchika, zawężając pole ich poszukiwań. Po pewnym czasie wiedzieli już, że nie muszą mnie szukać w Arendii czy Tolnedrze, ponieważ zawsze byłam w Sendarii. Ojciec ostatecznie naprawił mój błąd, wyganiając mnie stąd. Cztery i pół wieku musiałam spędzić w królestwach Alornów, lecz wciąż tęskniłam za Sendarią. Kochałam ten kraj i choć już nie władałam narodem, czułam się za niego odpowiedzialna. Obowiązki czasami są bardzo podobne do pary wygodnych starych butów. Niechętnie odstawiamy je na bok, choć już mamy nowe. W Kotu nie czułam się

najlepiej. Darion i Selana byli jednak młodzi i szybko przystosowali się do tutejszego życia. Nowo narodzony syn dostał drasniańskie imię, a oni ubierali się na drasniańską modłę. Na szczęście moralność nie jest jak ubranie. Nie wkładasz jej i nie zdejmujesz. W głębi duszy Darion i Selana byli nadal Sendarami. Darion nie oszukiwał klientów, a Selana nie uczestniczyła w obmowach i intrygach snutych przez sąsiadki. Drasnianie mają obsesję na punkcie pozycji społecznej. Może tę cechę przejęli jeszcze od samego Drasa. On nigdy nie pozwalał swym braciom zapomnieć, że jest pierworodnym synem Chereka. Drasniańskie damy często wywyższały się kosztem pozycji pierwszej damy towarzystwa, zwykle wymyślając na jej temat sprytnie kłamstwa. Z jakiegoś powodu żadna z sąsiadek nigdy nawet nie próbowała plotkować na mój temat. Czyż to nie jest osobliwe? O dziwo, biorąc pod uwagę, że to była Drasnia, surowa moralność Dariona i Selany wynosiła ich w oczach sąsiadów o wiele wyżej, niż uczyniłyby to oszustwa, intrygi i złośliwe plotki. Pomimo wszystko wydawało się, że Drasnianie szanowali przyzwoitość. To podsunęło mi ciekawą myśl. Czy możliwe jest, że nasz wędrowny książę Kheldar, złodziej, który zawsze miał doskonale zaplanowaną drogę ucieczki z każdego miasta świata, wstydzi się swego wstrętnego zachowania i w głębi swej robaczywej duszyczki tęskni za uczciwością i przyzwoitością? Jeśli się jednak zastanowić nad tym, to chyba nie. Dostałam cię tym razem, co, Silku?

Darion i Selana żyli w Kotu otoczeni szacunkiem i poważaniem sąsiadów. Khelan, ich syn, wychowywany był jak Drasnianin, ale po obligatoryjnej „pogawędce” w dzień jego osiemnastych urodzin wiedział już, kim jest i dlaczego powinien tę informację zachować dla siebie. Na jego korzyść przemawiało to, że nie zadał tego niemal nieuniknionego pytania: „Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej, ciociu Pol?”. Był wychowany na Drasnianina, więc uznał, że skoro dotąd mu tego nie mówiłam, widocznie wcześniej nie musiał wiedzieć.

Oddaliśmy go w termin do skutnika, gdzie radził sobie bardzo dobrze. W czterdziestym piątym wieku drasniańskie frachtowce krążyły jedynie po Zatoce Chereku. Miały szeroki pokład, aby zabrać jak najwięcej towarów, i kołysały się niczym ciężarne wieloryby. Z wojennymi okrętami Chereku łączyło ich tylko takie podobieństwo, że miały żagle i pływały. Wojenne okręty Chereku wydawały się jednak frunąć razem z wiatrem, podczas gdy drasniańskiemu frachtowcowi każdy silniejszy podmuch groził wywróceniem. Khelan był mądry i zaproponował głębiej zanurzony kil, który zapewniłby statkom większą stabilność. Drasniańscy kapitanowie odrzucili jego propozycję prawdopodobnie dlatego, że lubili płytkie, osłonięte zatoczki wzdłuż wybrzeża. Daleka jestem jednak od sugestii, iż wszyscy drasniańscy kapitanowie są przemytnikami. Z pewnością znajdzie się kilku szanujących prawo Drasnian, a to, że żadnego z nich nie spotkałam, jeszcze niczego nie

dowodzi. Moja linia protegowanych, jeśli to właściwe określenie, żyła dostatnio w Kotu do końca czterdziestego piątego wieku, a potem przeniosłam ich do Boktoru. Zwykle unikałam stolic w ciągu owych długich stuleci. Ctuchik bardzo polegał na Dagashi, a oni nie rzucali się tak w oczy jak Murgowie. Potrafili przemieszczać się po Zachodzie nie rozpoznani, a logicznym miejscem rozpoczęcia jakichkolwiek poszukiwań w dowolnym królestwie jest jego stolica. W Drasni jednak nie było wielu miast. Oczywiście było sporo rybackich wiosek na mokradłach na zachód od Boktoru, ale ja zdecydowanie odmawiałam zamieszkania na cuchnących bagniskach. Silk kiedyś bardzo trafnie nazwał swoją ojczyznę kochaną, starą błotnistą Drasnia. Mokradła wschodniej Drasni wcale nie są lepsze. Na te rozległe pustkowia zima przychodzi wcześniej i zostaje długo. To region odpowiedni jedynie dla hodowli reniferów, czym zajmowali się pierwotni Drasnianie. Jednakże nie z powodu pogody unikałam tych terenów. Wschodnia Drasnia przylegała do Gar og Nadrak i uznawałam za nieroztropne mieszkać tak blisko angarackiego królestwa. Co więcej, wschodnia Drasnia jest kolebką kultu niedźwiedzia w tym królestwie. Połączenie izolacji i paskudnej pogody ustrzegło umysły drasniańskich wyznawców kultu przed tak niebezpiecznymi innowacjami z zewnętrznego świata, jak ogień i koło. Moja mała rodzina mieszkała w Boktorze przez siedemdziesiąt lat, a potem przenieśliśmy się do Chereku, do wioski na zachód od Val Alorn. Tak daleko na północy pora wegetacji jest krótka i miejscowa ludność zimą zajmowała się głównie wyrębem lasów. Naród wilków morskich, jakimi byli Cherekowie, zawsze potrzebował więcej drewna, niż potrafili dostarczyć nawet najlepiej wyposażeni w narzędzia chłopci. Jeden ze spadkobierców Rivy okazał się wynalazcą, który po uważnym przyjrzeniu się miejscowemu młynowi, gdzie koło wodne zapewniało energię do mielenia ziania, wynalazł sposób na wykorzystanie energii koła wodnego do cięcia drewna. W ten sposób Powstał tartak. Dariel dorobił się na tym fortuny, a jego tartak na ponad dwa wieki stał się rodzinnym interesem. W Chereku czułam się bezpieczna, ponieważ Cherekowie, najbardziej dzicy ze wszystkich Alornów, natychmiast zabijali każdego napotkanego Angaraka. W Chereku aż roilo się od piwiarni, ale w żadnej nie pojawiali się wscibscy Murgowie. Nawet Dagashi unikali Chereku.

W końcu jednak matka zasugerowała mi przeprowadzkę, aby kolejni potomkowie Rivy nie przejęli zbyt wielu cech Chereków, które trudno byłoby potem wykorzystać. Ostatecznym produktem rivańskiej linii rodowej miał być „Pogromca Boga” i matka uznała, że lepiej by było, aby wiedział, którego boga ma zabić. Myśl o potomku Rivy w bitewnym szale wymachującym jego mieczem i wyrabującym sobie drogę przez cały panteon bogów niezbyt przypadła mamie do gustu. Dziwne, ale pomimo wszystkich uprzedzeń pobyt w Chereku

nawet mi się podobał. Postawne, jasnowłose dziewczęta, które poślubiały mych kolejnych siostrzeńców, obdarzone były legendarną już cherecką płodnością, toteż zawsze otaczała mnie gromadka jasnowłosych pacholąt. Podczas pobytu w Chereku nigdy nie brakowało mi dzieci do zabawy. W 4750 roku, po upartych naleganiach matki i dłuższej rozmowie z rodzicami chłopca, zabrałam kolejnego spadkobiercę Rivy, Gariela, do Algarii. W czterdziestym pierwszym wieku księżę Rivy, Geran, poślubił córkę Hattana, młodszego brata wodza klanu, więc Gariel z urodzenia był członkiem klanu Hattana. Zwróciłam na to uwagę Hurtalowi, ówczesnemu wodzowi klanu, i zostaliśmy przyjęci do rozległej rodziny. Nie podobało mi się zbyt koczownicze życie algarskich klanów. To zapewne sprawa mego wychowania. Lubię stabilizację, a myśl, że krowa decyduje o tym, gdzie będę mieszkać, uważałam za nieco obraźliwą. Niewiele dobrego da się powiedzieć o życiu koczowników, no może jedno, nie zostają w jednym miejscu na tyle długo, by przykryła ich kupa śmieci. Gariel nauczył się jeździć konno i zaganiać krowy w stada, a ja ponownie zajęłam się leczeniem. Odbierałam porody i pomagałam klaczom przy żrebieniu. Nie czułam się urażona, gdy wrywano mnie z łóżka, bym pomogła przy trudnym porodzie konia. Przynajmniej klacze nie zadawały w trakcie porodu głupich pytań, jak miały w zwyczaju moje ludzkie pacjentki. Gariel wychował się w Chereku, gdzie prawie wszyscy mieli jasne włosy, a jedyną brunetką, jaką znał, byłam ja. Algarowie mają ciemniejsze włosy niż Cherekowie i Gariel wpadł w absolutny zachwyty na widok ciemnowłosych dziewcząt. Ponieważ zaś był nowy w klanie i dziewczęta nie miały okazji oglądać go w mniej ciekawych okresach jego życia, natychmiast i on wzbudził ich absolutny zachwyty. Musiałam się bardzo starać, aby trzymać mego siostrzeńca i jego nowe przyjaciółki z dala od praktycznego pogłębiania owej fascynacji. Przepraszam, ale delikatniej już tego ująć nie potrafię. Matka tak nie owijała w bawełnę, gdy powiedziała mi, że pierwszy syn Gerana będzie jego dziedzicem, z błogosławieństwem kapłana czy bez. W końcu udało mi się go bezpiecznie ożenić z Silar, wysoką, piękną Algarką, i mogłam spać spokojnie. Po przyjściu na świat ich syna, co nastąpiło w 4756 roku, zaproponowałam, aby przypomnieć niektóre tradycyjne imiona spadkobierców Rivy, a oni posłuchali mnie i nazwali syna Daran. W ciągu stuleci używaliśmy kilkunastu imion i odkryłam, że te powtórzenia dają nam poczucie ciągłości i celowości, które spajają naszą małą rodzinę, zmuszoną do życia w tajemnicy. Młody Daran dosłownie wyrósł na końskim grzbiecie. Wydaje mi się, że był nawet o krok od stania się Sha-Darim - tym, kim teraz jest Hettar. Sha-Darimowie, znani jako „Panowie Koni”, są ludźmi, którym umiłowanie tych zwierząt pozwala na zespolenie umysłu z grupowym umysłem końskiego tabunu. Zdecydowanie temu jednak przeszkodziłam. Sha-Darimowie rzadko się żenią, a na to Daran po prostu nie mógł sobie pozwolić. Sha-

Darimowie bywają również nieracjonalni, jak Hettar, gdy w Ulgołandzie próbował oblaskawić ogiera hrulga. Hrulgi wyglądają jak konie, ale są drapieżnikami, więc Hettar miał wiele szczęścia, bo udało mu się powstrzymać hrulga od zjedzenia go na śniadanie. Z czasem Daran poślubił młodą Algarkę, Selarę, a ich syn, Geran, przyszedł na świat w 4779 roku. Zauważcie kolejne powtórzenie. Musiałam dopilnować, aby sukcesorzy pozostawali Rivanami i jednym ze sposobów było zadbanie, aby mieli rivańskie imiona. Podobnie jak ojciec, Geran wyrósł na przywódcę końskiego stada, a ja zaczęłam powoli myśleć o przeprowadzce. Algarom odpowiada ich koczownicze życie, lecz moje zadanie polegało nie tylko na ukrywaniu i chronieniu spadkobierców, musiałam także wychowywać ich i kształcić. Algarski pasterz jest zapewne najbardziej niezależnym z ludzi. Wolność to dobra rzecz, ale nie ma na nią miejsca w życiu przyszłego króla. Król, a więc i jego następcy, jest najmniej wolny ze wszystkich ludzi. W Algarii tylko dwa miejsca do zamieszkania nie poruszały się na kołach: Twierdza, która tak naprawdę nie była miastem, ale pułapką na Murgów schodzących tu ze Wschodniego Szańca kraść konie, i wioska Bród Aldura, pierwsza stolica Algara. Ożeniłam Gerana i w 4802 roku urodził mu się syn, Darel. Po pewnym czasie rozpoczęłam ostrożną kampanię. Wytykałam Darelowi niewygody życia w ruchomej wiosce, przenoszącej się z miejsca na miejsce za stadem krów które interesuje tylko trawa. Opowiadałam o miejskim życiu, jego wygodach i wielu przyjemnościach cywilizacji, przeciwstawiając je samotności koczownika. Życzliwa śnieżycyca w zimie 4821 roku przekonała Darelę, że może coś z prawdy jest w tych moich opowieściach. Po dwudziestu ośmiu godzinach spędzonych w siodle, smagany wichrem i oblepiony śniegiem, zaczął przychyłać się do mego punktu widzenia. Zachęciłam go, aby zaczął praktykować z synem kowala, dzięki czemu nauczył się podstaw tego pożytecznego zajęcia. To najprawdopodobniej przesądziło sprawę. W klanie nie byli potrzebni dwaj kowale, więc Darel musiał otworzyć własną kuźnię, jeśli chciał uprawiać ten zawód. Szczęśliwie nie był związany z żadną z dziewcząt w klanie, więc nic go nie powstrzymywało przed przeprowadzką w 4825 roku do Brodu Aldura. Ówczesny kowal z Brodu Aldura zbyt lubił sobie pociągnąć i więcej czasu spędzał w miejscowej tawernie niż w kuźni. Toteż gdy Darel zbudował swoją kuźnię na skraju wsi, wkrótce miał pełne ręce roboty, dzięki czemu nie miał czasu na głupstwa. Miał trzydzieści lat, gdy w końcu ożeniłam go z miejscową pięknoscią, Adaną, i byli z sobą bardzo szczęśliwi. Nie powinnam tego pewnie mówić, ale ja byłam jeszcze szczęśliwsza. Koczownicy nie kąpią się często, a ludzie spędzający cały czas z końmi i krowami po jakimś czasie zaczynają nieco pachnieć. Po przeprowadzce do Brodu Aldura niemal przez rok kąpałam się dwa razy dziennie.

Małżeństwo młodych było udane. Kupiłam nam mały dom na obrzeżach wioski i większość czasu spędzałam z żoną Darela w kuchni.

- Ciociu Pol... - zagadnęła mnie pewnego popołudnia z zatroskaną twarzą.

- O co chodzi, Adano?

- Czy możliwe, abyśmy robili coś z Darelem źle? - zapytała czerwieniąc się. - To znaczy... czy nie powinnam już być w ciąży? Naprawdę chcę mieć dziecko, ale... - urwała.

- Czasami to trochę trwa, moja droga - powiedziałam. - To nie to samo co zbić razem dwa kawałki drewna.

- Ja tak bardzo chciałbym dać Darelowi syna, ciociu Pol.

- Tak, kochanie, wiem. - Oczywiście, że wiedziałam. Wydawanie na świat dzieci jest ostatecznym dowodem miłości ze strony każdej kobiety, a Adana namiętnie kochała swego kowala. - Podejź tu na chwilę, kochanie.

Położyłam jej dłoń na łonie. Potem delikatnie zbadalam myślą ciało pod placami i natychmiast odkryłam, że przyczyna jest chemicznej natury. Pewien rodzaj nierównowagi zakłócał normalny cykl płodności. Jeśli tak was to ciekawi, poczytajcie sobie medyczne teksty. Nie mam zamiaru odbierać wam radości odkrycia, więc nie będę się wdawać w szczegóły.

- Muszę wybrać się do Doliny Aldura, Adano - powiedziałam.

- Czy to nieuleczalne, ciociu Pol? - pytała ze łzami. - Jestem jałowa?

- Nie bądź głuptaskiem, Adano. Potrzeba ci tylko trochę mikstury wzmacniającej, to wszystko. Muszę poszukać odpowiedniej receptury w jednej z ksiąg w ojcowskiej wieży. - „Mikstura” to bardzo użyteczne dla lekarza słowo. Każdy wie, że mikstura dobrze robi, choć nie smakuje najlepiej. Pacjenci zawsze krzywią się na jej smak, ale grzecznie wypijają.

Następnego ranka oddaliłam się trochę od miasta, zmieniłam postać i poleciałam do Doliny Aldura, by spędzić kilka dni w medycznej bibliotece ojca. Bliźniaki powiedzieli mi, że ojciec jest w Sendarii, zabawia się wodzeniem Chamdara za nos. Subtelność nigdy nie należała do mocnych stron ojca, więc jego metoda zwabiania Chamdara do kolejnej wioski zwykle wiązała się z zamordowaniem jakiegoś Murga, który miał nieszczęście akurat tam się znaleźć. Chamdar oczywiście uznawał morderstwo za dowód, iż Murg był na mym tropie, więc niezwłocznie spieszył do wioski, by podjąć trop. Chamdar nie był głupcem, po kilku takich morderstwach zaczął coś podejrzewać, ale musiał podążać dalej za mym ojcem. Obaj

więc byli bardzo zajęci. W końcu odszukałam właściwą recepturę i pospieszyłam z powrotem do Brodu Aldura. Przygotowałam wielki słoć mikstury. Adana nie zwracała uwagi na jej smak i z nabożnym skupieniem wypijała swoją porcję trzy razy dziennie. Nie minęło

wiele czasu, a pewnego ranka Darel wyszedł z sypialni z głupim wyrazem twarzy, jaki zwykle mają wszyscy młodzi mężowie po usłyszeniu szcze śliwej wieści.

- Adana będzie miała dziecko, ciociu Pol! - wykrzyknął podniecony. - Będę ojcem!

- To miło, mój drogi - odparłam spokojnie. - A co byś chciał na śniadanie? -Wprost uwielbiam to robić, gdy jakiś młodzieniec nadyma się zbytnio. Rodzicielstwo zupełnie zdominowali mężczyźni, co jest ogromnie niesprawiedliwe. Kobiety wykonują całą pracę, a mężczyźni przypisują sobie wszystkie zasługi.

- Czy mogłabyś przygotować coś smacznego dla Adany, ciociu Pol? - zapytał niemal błagalnym tonem. - Chyba ma prawo do śniadania w łóżku, prawda?

- O rety! - westchnęłam.

Znałam takie przypadki. Co jakiś czas miałam do czynienia z młodzieńcami, którzy uważali ciążę za rodzaj choroby i za wszelką cenę chcieli przykuć żonę do łóżka na dziewięć miesięcy. Kilka dni zajęło mi wybicie mu z głowy tej idiotycznej myśli. W 4841 roku Adana urodziła syna, Garela, a ja odetchnęłam z ulgą. Po raz pierwszy zetknęłam się z niepłodnością i możliwość jej ponownego pojawienia się prześladowała mnie przez następne stulecia.

Był rok 4850, gdy miało miejsce słynne zaćmienie słońca. Widywałam już zaćmienia słońca, ale to było jakieś inne. Ludzie prymitywni - a termin ten dotyczy większej części ludzkości - patrzą na zaćmienie z zabobonnym lękiem. Astronomowie znają powody tego zjawiska i potrafią nawet z dużą dokładnością je przewidzieć. Zaćmienie z 4850 roku było jednakże WYDARZENIEM pierwszej wielkości i jego nagłe wystąpienie było zupełnie nieprzewidziane, ale nie pojmowałam wówczas jeszcze oczywistego faktu jego konieczności. Wszystkie proroctwa mówiły o tym zaćmieniu, więc musiało się wydarzyć. Całkiem możliwe, że sam Torak po prostu przesłonił słońce, by dopełnić proroctwa, które zwiastowało jego nadejście. Mógł to zrobić, wiem o tym. Chcecie, abym w tym miejscu przytoczyła wam wyliczenia prowadzące do przewidywania zaćmienia? Nie? Tak też myślałam.

Świat był pogrążony jeszcze w ciemnościach w samo południe, gdy usłyszałam głos matki.

- Na to czekaliśmy, Pol - oznajmiła triumfalnie. - Zaczynij się przygotowywać.

- Do czego?

- Torak nadchodzi. Opuścił Ashabę, jest w drodze do May Zeth. Odsunie od władzy obecnego króla i sam zapanuje w całej Mallorei. Potem przybędzie na zachód, by odzyskać Klejnot.

- Ile mamy czasu?

- Prawdopodobnie zbyt mało. Przegracie niejedną bitwę, ale to nie ma znaczenia. Nie bitwa, lecz WYDARZENIE będzie rozstrzygające. Dziecko Światła i Dziecko Mroku spotkają się w Arendii.

- Czy Darel jest Dzieckiem Światła?

- Nie. WYDARZENIE, w którym weźmie udział Torak i Rivański Król, nadal jest jeszcze odległe.

- A zatem kto jest Dzieckiem Światła?

- W tym momencie ja. Ale to nie ja stanę przeciwko Torakowi w Arendii, nie będzie to również Darel. Bierzymy udział w szeregu WYDARZEŃ, które przygotowują grunt dla najważniejszego.

- Czy musisz wyrażać się tak tajemniczo, mamo? - zapytałam dość opryskliwie.

- Muszę. Jeśli będziesz zbyt dużo wiedziała, pewne rzeczy zrobisz inaczej, niż powinnaś zrobić. Lepiej przy tym nie manipulować, Pol. To nie najlepszy czas na nieograniczoną pomysłowość.

Potem głos umilkł. Po zaćmieniu, owej nienaturalnej nocy w samo południe, zwykle następowała nienaturalna jasność, kiedy wracało słońce. Zaćmienie z 4850 roku było jednak inne. Nie zrobiło się ponownie jasno, ponieważ gdy słońce było przesłonięte, napłynęły ciężkie chmury. Potem zaczęło padać.

I padało niemal bez przerwy przez następne dwadzieścia pięć lat. Dzień po „zaćmieniu Toraka” wysłałam swe myśli ku bliźniętom do wieży w Dolinie Aldura. Może powinnam przy okazji wspomnieć, że jestem w tej metodzie porozumiewania się o wiele lepsza od reszty mojej rodziny, ponieważ miałam więcej praktyki. Jeśli sobie przypominacie, właśnie w ten sposób władałam swym księstwem z matczynej chatki po upadku Vo Wacune. Kierowałam Malonem Killanesonem przez te wszystkie lata, więc jestem prawie tak dobra w myśleniu do ludzi, jak w mówieniu do nich.

- Wujkowie - zwróciłam się do bliźniaków - gdzie jest ojciec?

- Nie mieliśmy od niego wieści, Pol - odparł Belkira.

- Pewnie biega po wszystkich z ostrzeżeniami - dodał Beltira. - Czy to zaćmienie nie było widowiskowe?

- Jak wybuch wulkanu - odparłam krótko. - Jeśli Stary Wilk się do was odezwie, powiedzcie mu, że muszę z nim porozmawiać.

- Przekażemy mu to, Pol - obiecał Belkira.

Jednakże miesiące płynęły, a ja nie miałam wieści od ojca. Zaczęłam się na niego złościć.

Wiosną 4851 roku serce Darela przestało bić, gdy kuł rozgrzane do białości żelazo w swej kuźni. Zawsze odbierałam owe nagłe zatrzymania bicia serc za rodzaj osobistej zniewagi. Nie ma nigdy wystarczająco dużo symptomów, by przewidzieć jego nadejście. Jeśli ofiara przeżyje pierwszy atak, lekarz może zapobiec lub opóźnić nadejście następnego. Jednakże najczęściej pierwszy jest śmiertelny. Osoba sprawiająca wrażenie absolutnie zdrowej po prostu umiera w wyniku ataku i nie żyje, nim upadnie na podłogę. Dopiero wówczas, z perspektywy czasu, lekarz uświadamia sobie mnóstwo ostrzeżeń tak subtelnych, że zostały przeoczone. Przyjmowałam na przykład, że Darel ma taką poczerwieniałą twarz z powodu gorąca bijącego od kowadła, a ból w lewej ręce mnie nie zaniepokoił, ponieważ prawa też go bolała. W końcu był kowalem, trudno spędzać dni na waleniu młotem w gorące żelazo i nie nabawić się bólu. Adana i Garel, który miał wówczas dziesięć lat, byli kompletnie zdruzgotani śmiercią Darela. Jediną korzyścią w długiej i ciężkiej chorobie jest to, że przygotowuje rodzinę do nieuniknionego. W większości społeczeństw śmierć rzemieślnika nie tylko osieroca wdowę i sieroty, ale również spycha w biedę. Najczęściej kończą jako żebracy pod miejscowym kościołem. Mój sekretny запас niewygodnych pieniędzy nagle przestał być niewygodny. Mogliśmy dzięki nim zatrzymać dom na obrzeżach Brodu Aldura i regularnie jeść. Jestem przekonana, że ogromnie rozczarowałam kilku przedsiębiorczych mieszkańców naszego miasta, wyśmiewając ich propozycję kupienia kuźni Darela. Nie brak na tym świecie ludzi podobnych sępom. Krążą nad łóżem śmierci w niecierpliwym oczekiwaniu. Potem, gdy wdowę smutek niemal pozbawi rozumu, składają jej śmiesznie niską ofertę wykupienia rodzinnego interesu. Sępy z Brodu Aldura szybko odebrały jednak lekcję dobrych manier. Powiedziałam im dość niedbałym tonem, że nie jestem zainteresowana sprzedażą kuźni, raczej myślę o poszerzeniu działalności. Do tej pory zdążyłam już dobrze poznać niemal wszystkie pożyteczne rzemiosła, więc zaczęłam im opowiadać o warsztatach meblowych, zakładach krawieckich, piekarniach i rzeźniach utworzonych wokół kuźni.

- To byłyby o wiele wygodniejsze dla mieszkańców Brodu Aldura, nie sądzicie? - mówiłam. - Nie musieliby spędzać całego dnia na obchodzeniu miasta. Wszystkich zakupów mogliby dokonać u mnie. Kupcy pobledli na myśl o tak dobrze zorganizowanej konkurencji, więc utworzyli rodzaj konsorcjum, sięgnęli po rezerwy gotówki i wykupili mnie za cenę trzykrotnie przewyższającą wartość kuźni. Uwielbiam to robić ludziom, którym się zdaje, że są sprytniejsi ode mnie. To takie zabawne przyglądać się, jak wyraz wyższości niknie z ich twarzy, by ustąpić miejsca przerażeniu. Ostatecznie, na początku lata 4852 roku, ojciec odezwał się do bliźniąt i przekazał, że przygotowuje się do zaszczycenia mnie swoją wizytą. Nim jednak zdążyli mi powtórzyć tę wiadomość, dane im było odczytać jeden z

najmroczniejszych ustępów Kodeksu Mriń-skiego. Powiedzieli mi, że w czasie spotkania w Arendii Brand będzie Dzieckiem Światła. Wówczas byłam właśnie nieco zbita z tropu tajemniczymi wypowiedziami matki. Jaki to miało cel? I tak miałam się dowiedzieć, więc po co tak bardzo starała się to przede mną ukryć? Podejrzywałam, że jej powody mogły być tajemniczej, wilczej natury. Dotarcie do Brodu Aldura zajęło ojcu dwa tygodnie, co nie usposobiło mnie do niego najlepiej. Miałam wrażenie, że cała rodzina sobie ze mnie kpi.

Niebo na chwilę się przejaśniło, kiedy ojciec i ja szliśmy nad rzekę, a potem dalej, za ostatnie domostwa Brodu Aldura. Słońce było bardzo jaskrawe, a wietrzyk marszczył powierzchnię wody.

- Mam nadzieję, że się dobrze bawiłeś, ojcie - powiedziałam. Muszę przyznać, że byłam trochę złośliwa.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Od zaćmienia minęły dwa lata. Nie zdawałam sobie sprawy, jakie miejsce zajmuję na twojej liście spraw ważnych.

- Nie zaczynaj, Pol. Ty potrafisz w razie potrzeby natychmiast przystąpić do działania. Innym ludziom zajmuje to trochę więcej czasu. Chciałem, aby przystąpili do działania przed moim przybyciem tutaj. Nie ignorowałem twego wezwania umyślnie.

Zastanowiłam się przez chwilę, usiłując dopatrzeć się w tym złej chęci. Nie udało mi się.

- Bliźniaki prosili, abym ci coś przekazała - powiedziałam.

-Tak?

- Brand jest tym, który spotka się z Torakiem, gdy to wszystko w Arendii dojdzie do skutku.

- Brand?

- Tak mówi Kodeks Mriński. - Przytoczyłam mu zawiły fragment kodeksu.

- To śmieszne! - wybuchnął. - Brand nie może wziąć miecza Rivy. Klejnot by na to nie pozwolił. Pol, musimy porozmawiać z bliźniakami. Potrzebuję pewnych wyjaśnień i chcę, byś je też słyszała. - Ojciec absolutnie nie chciał przyznać, że jestem o wiele lepsza od niego w porozumiewaniu się na odległość. Czasami zachowuje się jak mały chłopiec.

Bliźniaki mieli sporo kłopotu z odczytaniem Kodeksu Mrińskiego, więc mogli udzielić nam jedynie schematycznych wskazówek.

- Wykluczone! — odparłam, gdy Beltira powiedział mi, że mam zabrać Garela i Adanę do Twierdzy. - To dokładnie na trasie przemarszu Toraka, jeśli skieruje się do Arendii.

- Ja tylko przekazuję ci, co mówi Kodeks Mriński, Pol - rzekł Beltira. - Torak nie zdobędzie Twierdzy. Będzie ją oblegał, ale niczego nie wskóra. Kodeks Mriński mówi o tym wyraźnie.

- Nie podoba mi się to.

- Wszystko będzie dobrze, Pol - powiedział ojciec na głos. - Ty i ja mamy do załatwienia parę spraw. Będziemy musieli pojechać do Rivy, a nie możemy przecież zabrać Garela na Wyspę Wiatrów. Jeśli znajdzie się tak blisko miecza, Klejnot rozbłyśnie niczym nowe słońce i rozdzwonią się gwiazdy w całym wszechświecie. Potem miecz przylgnie do jego ręki jak przyklejony. Garel nie jest tym, który ma użyć miecza, więc musimy trzymać go z dala od niego. - Potem przesłał myśl do bliźniaków. - Mielicie wieści od Beldina?

- Kilka dni temu - odpowiedział Belkira. - Torak jest nadal w May Zeth, a z nim Urvon i Zedar.

- A zatem mamy jeszcze trochę czasu. Nie przejdą w ciągu jednej nocy całej Mallorei.

- Zobaczymy. - Belkira nie wydawał się takim optymistą jak ojciec.

Wróciliśmy z ojcem do domu i poleciłam Adanie rozpuścić wieść o „pilnej sprawie rodzinnej”, po czym wyruszyliśmy do Twierdzy. Padało nieprzerwanie, gdy jechaliśmy przez rozmokłe równiny Algarii. Z pewnością deszcz był dobry dla trawy, ale mnie przyjemności nie sprawiał. Algarowie całe wieki budowali Twierdzę. Przypominała górę, tak niewiarygodnie grube i wysokie były mury. Ludzie szastają słowem niezdobyty, nie zastanawiając się wiele, co ono oznacza. Jeśli interesuje was precyzja językowa, to wpadnijcie kiedyś do południowej Algarii i rzućcie okiem na Twierdzę. Będziecie wówczas wiedzieli dokładnie, co oznacza słowo „niezdobyty”. Wyobrażam sobie, że nawet Torak trochę zwątpił, gdy ją ujrzał po raz pierwszy. Po przybyciu do Twierdzy ojciec odbył rozmowę z Cho-Ramem, młodym przywódcą wodzów klanów Algarii. Nie wiem, czemu nie nazywają go po prostu królem - daje to pewien wgląd w algarskie pojęcie rządu.

Ród Cho-Rama natychmiast „adoptował” Garela i jego matkę. Adana wiedziała, kim jest jej syn, więc przyjęcie do królewskiej rodziny nie wydawało się jej niczym osobliwym. Garel jednakże czuł się skrępowany, więc choć był jeszcze na to trochę za młody, postanowiłam odstąpić od zwyczaju i odbyć z nim ową obligatoryjną „pogawędkę”. Potem ojciec, ja i Cho-Ram wyruszyliśmy na Wyspę Wiatrów. Z góry przepraszam za nadużywanie przymiotnika „ponury” na następnych stronach. Każdy język ma ograniczony zasób słów, w każdym by ich zabrakło na opisanie dwudziestu pięciu lat nieustannego deszczu. Warto byłoby wykorzystać niektóre z barwnych określeń wujka Beldina, ale nie chcę, bo ten dokument mógłby wpaść w ręce dzieci. Z Twierdzy ruszyliśmy na północ, jadąc skrajem

przygranicznych terenów Ulgolandu, a po dotarciu do gór Sendarii skręciliśmy na zachód. Potem pojechaliśmy długą rzeczną doliną do Camaar, wsiedliśmy na okręt i pożeglowaliśmy na Wyspę Wiatrów. Ponieważ w Rivie i tak prawie zawsze pada, zmiana klimatu była niezauważalna.

Brand, Strażnik Rivy, czekał na nas na kamiennym nabrzeżu. Przyjrzałam się uważniej człowiekowi, który mógł być „Dzieckiem Światła”. Był potężnie zbudowanym mężczyzną o szerokich barach i muskularnej klatce piersiowej. Pod tym względem przypominał Chereka, ale nie zachowywał się jak Cherek. Cherekowie są hałaśliwi, ale Brand zachowywał się spokojnie. Cherekowie nie przebierali w słowach, język Branda zaś był miły dla ucha i kulturalny. Chociaż fizyczne podobieństwo nie było wielkie, ten Strażnik Rivy bardzo przypominał mi pierwszego Strażnika, mojego drogiego przyjaciela, Kamiona.

Wujek Beldin z ojcem bez końca rozprawiali o osobliwych powtórzeniach, które pojawiały się w ciągu wieków, i wymyślili teorie wyjaśniającą, dlaczego pewne sprawy wydarzają się wciąż na nowo. Ujmując najprościej, ich teoria utrzymuje, że „wypadek” - owa katastrofalna kosmiczna eksplozja, która zakłóciła Cel Wszechświata, zatrzymała wszelki postęp i zostaliśmy skazani na bezustanne powtórzenia, dopóki ktoś ponownie nie wprawi wszystkiego w ruch, naprawiając błąd. Brand przypominał nie tylko Kamiona, ale nawet, pod pewnym szczególnym względem, hrabiego Ontrose. Trochę to uspokoiło moje obawy, ponieważ ze wszystkich ludzi, których poznałam do tej pory, tych dwóch najlepiej nadawało się do stawienia czoła Torakowi w pojedynku. Eldrig z Chereku i Rhodar z Drasni jeszcze nie przybyli na Rivę, więc ojciec, Brand, Cho-Ram i ja spędzaliśmy wiele godzin w błękitnej komnacie narad w jednej z wież Cytadeli. Brand był tak zaskoczony, że na chwilę zapomniał o dobrych manierach, gdy dowiedział się, że to on będzie walczył z Torakiem w Arendii.

- Ja?! - zapytał zdławionym głosem.

Wówczas mój ojciec zacytował fragment Kodeksu Mrińskiego.

- „Niechaj ten, który miast Strażnika stoi, spotka się z Dzieckiem Mroku we włościach Boga Byka”. Ty zastępujesz Rivańskiego Króla w tym momencie, Brandzie - powiedział - więc to chyba znaczy, że zostałeś wybrany.

- Nawet nie wiedziałem, że byłem kandydatem. Co mam robić?

- Nie jesteśmy pewni. Będiesz jednak wiedział, gdy nadejdzie czas. Kiedy staniesz twarzą w twarz z Jednookim, zaczniesz działać Konieczność. Zawsze tak się dzieje w podobnych sytuacjach.

- Byłbym o wiele spokojniejszy, gdybym wiedział, co się ma wydarzyć.

- Wszyscy byśmy woleli wiedzieć, ale nie martw się, Brandzie, poradysz sobie.

Po przyjeździe Eldriga i Rhodara wzięliśmy się do opracowywania naszej strategii. Po kilku spotkaniach dołączył do nas Ormik z Sendarii. Ojciec posługiwał się słowem „strategia”, jakby ono coś wogóle znaczyło, ale każdy z Alornów doskonale wiedział, którą z tradycyjnych ról ma odgrywać. Cherekowie zapewnią nam flotę, Drasnianie będą piechotą, Algarowie jazdą. Dobrze wiedzieli, co robić, więc wszystkie te posępne miny i zadumane oblicza były bardziej na pokaz i dla podniesienia morale. Gdy w końcu te duże dzieci, które władały północną częścią kontynentu, skończyły się bawić, narada dobiegła końca i wróciłam do Twierdzy. Żyłam spokojnie pomimo niepokojów ogarniających cały świat wokół. Nadal wypełniałam swoje obowiązki. Garel miał dwadzieścia jeden lat, gdy w 4860 roku poślubił algarską pannę o imieniu Aravina, a w 4861 roku przyszedł na świat z moją pomocą ich syn,

Gelane. Jak zawsze po narodzinach jednego z dziedziców, pottrzymałam jakiś czas noworodka na rękach. Aravina była jego matką, ale moją twarz ujrzał pierwszą. Myślę, że to miało coś wspólnego z naszym osobliwym pochodzeniem. Wilcze szczenięta nie przypominają kacząt, które automatycznie wierzą, że pierwsza poruszająca się sylwetka w zasięgu ich wzroku jest ich matką, lecz istnieją pewne podobieństwa między nimi. Może nie ma to żadnego znaczenia, ale ja zawsze usiłowałam wytworzyć owo pierwotne przywiązanie... tak dla pewności.

Wkrótce po narodzinach Gelane do Twierdzy przybył ojciec z wujkiem Beldinem, który właśnie wracał z Mallorei, aby powiadomić nas, co działo się po drugiej stronie Morza Wschodu. Złożyli krótką wizytę Cho-Ramowi, potem odwiedzili Garela, Aravinę i niemowlę, po czym nasza trójka udała się na naradę do jednej z przysadzistych, okrągłych wież wyrastającej z murów obronnych, rozbudowanej algarskiej pułapki na Murgów.

Wujek niemal nieobecny wzrokiem wyglądał przez jedno z wąskich, przypominających szparę okien, a wiatr wicherzył mu włosy.

- Miły widok - zauważył, wpatrując się w niezmierny ocean traw daleko w dole.

- Nie przyszliśmy tutaj dla widoków, Beldinie - powiedział ojciec. - Może opowiesz Pol, co dzieje się w Mallorei? Wujek siadł przy prostym stole strażniczej wieży.

- Cofnijmy się nieco w czasie - zaczął. - Spalona Gęba bardzo się zmienił, ale nadal nie potrafi obchodzić się ze świeckim społeczeństwem. Przed rozłupaniem świata podejmował wszystkie decyzje za Angaraków. Dobry Angarak nie podrapałby się po plecach bez jego pozwolenia. Gdy Torak rozłupał świat i Klejnot Mistrza zniszczył mu twarz, zabrał wszystkich najwierniejszych sobie Angaraków do Cthol Mishrak. Generałów osadził w May Zeth, a Grolimów w May Yaska, aby władali pozostałą częścią angarackiego społeczeństwa. Z biegiem wieków generałowie robili się coraz bardziej świeccy. Potem Melcenowie i ich

biurokraci dołączyli do cesarstwa Angaraków i wygładzili barbarzyńskie pozostałości w charakterze tamtejszych poddanych. May Zeth stało się cywilizowanym miastem. Nie może się równać oczywiście z Tol Honeth, ale Korimem też już nie było. Czy Korim był aż tak paskudny? - zapytałam.

- Zapewne jeszcze gorszy, Pol - odparł. - Niezależne myślenie było tam absolutnie zakazane. Torak myślał za wszystkich, a Grolimowie wypruwali flaki każdemu, kto odważył się choćby przewidzieć, iż słońce może jutro wzejść. W każdym razie Zedar był z Torakiem w Ashabie przez te wszystkie wieki, podczas których Jednooki zajęty był doświadczeniami natury religijnej. - Wujek przerwał na chwilę. - Przyszła mi właśnie do głowy ciekawa myśl - powiedział w zadumie. - Wydaje się, że prorocstwo zupełnie pozbawia rozumu tego, nad kim przejmuje władzę. Przez te wszystkie lata Torak pewnie nie przewyższał umysłowo tego idioty znad rzeki Mrin.

- A co to ma wspólnego z tematem naszej narady? - zdziwił się ojciec.

Beldin wzruszył ramionami i podrapał się po brzuchu.

- Pomyślałem tylko, że to może być interesujące. Tak czy inaczej, gdy Jednooki w końcu otrząsnął się ze swej bezmyślnej zadumy i opuścił Ashabę, powodując zaćmienie słońca, nie miał bladego pojęcia, co wydarzyło się z jego Angarakami. Przebywał samotny w swej żelaznej wieży w Cthol Mishrak, a potem w Ashabie. Nie miał kontaktu z zewnętrznym światem przez czterdzieści osiem wieków. W drodze do stolicy zatrzymał się w May Yaska, gdzie Urvon przedstawił mu długą listę skarg. Na czele tej listy umieścił zarzut lekceważenia go przez generałów z Mai Zeth. Powiadomił swego mistrza, że wszyscy generałowie są niepoprawnymi heretykami. A ponieważ rozmawiał z nim jako pierwszy, Torak opuścił May Yaska absolutnie przekonany, że May Zeth jest jaskinią świeckiej herezji, więc dosłownie spustoszył to miasto. Potem cały kontynent oddał we władanie Urvonowi i jego Grolimom. Kapłani zaczęli wyrównywać stare rachunki za pomocą swych noży do wypruwania wnętrzości. Ołtarze Toraka przez całe lata spływały krwią. Wzdrygnęłam się na samą myśl o tym.

- Chyba w końcu Zedar przekonał Toraka, że wyrzucenie własnej armii nie jest najlepszym sposobem na przygotowanie się do wojny - ciągnął wujek - więc Spalona Gęba ukrócił zapędy Urvona. Grolimowie zdążyli jednak do tego czasu tak zastraszyć Angaraków, Altelcenów i Karandów, że poszliby w ogień, gdyby Urvon im kazał. To była chyba najbardziej zdumiewająca regresja w historii. Cała cywilizacja w ciągu dziesięciu lat wróciła do epoki kamienia łupanego. Teraz przeciętny Malloleanin stoi na równi z Thullem. Urvon posunął się nawet do tego, że czytanie uznał za przestępstwo. Oczywiście, zezwolił czytać

Grolimom, ale nawet biblioteki Grolimów zostały przetrzebione ze wszystkich świeckich książek. Czekam tylko, aż zakaze używania koła. Na twarzy ojca pojawiło się przerażenie.

- Pałą książki?! - wykrzyknął.

- Nie zzymaj się, Belgaracie - powiedział wujek. - Uczeni z uniwersytetu melceńskiego wywieźli swoje biblioteki i ukryli w miejscach, gdzie Grolimowie ich nie znajdą, a jeśli nawet, to Dallowie z Kell mają zapewne kopie wszystkich książek. Grolimowie nawet nie zbliżą się do Kell.

- Nie jestem pewny, czy ja bym się zbliżył - rzekł ojciec. - Dallowie są niezwykle ludźmi.

- „Niezwykli” to bardzo delikatnie powiedziane - przyznał Beldin. - W każdym razie armia, która przybędzie z Mallorei, będzie jedynie liczna, to wszystko. Mózgi Mallorean zostały kompletnie wyczyszczone.

- Lubię takich wrogów! - Ojciec niemal promieniał. - Chciałbym mieć za każdym razem głupiego wroga.

- Postaram się o tym pamiętać. - Wujek rozejrzał się wokół. - Chcę pić.

- Może dostaniesz coś do kolacji - powiedziałam.

Ponieważ głównym celem najazdu Angaraków było odzyskanie Klejnotu, nie ulegało wątpliwości, że ciężar tego ataku mieli ponieść Alornowie. Toteż zadaliśmy z ojcem, aby alornscy władcy otrzymali o wiele więcej informacji niż władcy innych narodów. Jesienią 4864 roku Murgowie i Nadrakowie zamknęli szlaki karawan. Wówczas i Tolnedranie zaczęli się domyślać, że ma wydarzyć się coś bardzo ważnego, co pogorszy sytuację magnatów kupieckich z Tol Honeth jeszcze bardziej. Brand zamknął tej zimy port Rivy, tłumacząc to remontem. W takiej sytuacji nawet głupek zdałby sobie sprawę, że Alornowie i Angarakowie przygotowują się do jakiegoś wstrząsającego wydarzenia, a Ran Borune IV nie był głupkiem.

Spotkaliśmy się ponownie tej zimy, by omówić przygotowania. Napomknęłam wówczas ojcu, że zwykła grzeczność nakazuje, byśmy powiadomili Rana Borune o grożącym najeździe.

- Jeśli do ostatecznej rozgrywki ma dojść w Arendii, ojciec - Powiedziałam - To prawdopodobnie będziemy potrzebować tolnedrańskich legionów, więc lepiej zachować z imperatorem dobre stosunki.

Ojciec jak zwykle pomarudził, ale udał się do Tol Honeth, by porozmawiać z młodym Ranem Borune. W trakcie tej rozmowy miał przebłysk geniuszu. Zamiast tracić czas i siły na przebicie muru sceptycyzmu Rana Borune, skłamał mu z zimną krwią, podając za źródło swych informacji drasniański wywiad. W ciągu stuleci ten wybieg był bardzo użyteczny.

Było jeszcze dużo za wcześnie, by Tolnedranie, czy ktokolwiek inny, podejmował zdecydowane kroki wobec Angaraków. Ostrzeżenie ojca dało jednak Ranowi Borune czas na poprawienie kondycji legionów. W czasie pokoju zawodowi żołnierze zwykle szybko tracą formę. Regularne ćwiczenia wymagają czasu, a żołnierze są zajęci ważniejszymi sprawami, takimi jak picie, przeklinanie i uganianie się za kobietami, które nie mają nic przeciwko schwytaniu. Wczesną wiosną 4865 roku, tak wczesną, że lód na przybrzeżnych wodach jeszcze nie puścił, Malloreanie wyruszyli w swój marsz na zachód po łańcuchu wysepek pomiędzy Malloreą i zachodnim kontynentem. Jakiś idiota, który nigdy nie widział tych wysepek, określił je mianem „lądowego przejścia”. Założę się, że ja potrafiłabym zbudować lepsze przejście. Wszyscy wyrzucamy sobie, że błędnie przewidzieliśmy działania Toraka po dotarciu jego armii na pustkowia Morindimu. Kodeks Mriński zapewniał, że Torak ma spotkanie w Arendii, więc wszyscy założyliśmy, że pomaszeruje wzdłuż wybrzeża Nadraku do Mishrak ac Thull, a potem na zachód, przez Algarię, by dotrzeć na ziemię Arendów.

Sam Torak był zbyt zarozumiały, by wymyślić jakiś wybieg, więc zapewne to Zedar wysłał kilka regimentów Mallorean w czerwonych tunikach do Thull Zelik z rozkazami paradowania po ulicach. Wywiedli w pole wszędobylskich drasniańskich szpiegów. Obecność tych Mallorean w Mishrak ac Tuli utwierdziła nas w przekonaniu, że Torak pomaszeruje prosto ku Wschodniemu Szańcowi, by najechać Algarię. Nie uczynił jednak tego. Ruszył przez lasy Gar og Nadrak i najechał Drasnię. Powiem oględnie, że nie byliśmy na to przygotowani. Zgromadziliśmy ogromną alornską armię na równinach Algarii, więc ogołociliśmy Drasnię z obrońców. Nie mogliśmy absolutnie nic zrobić, gdy nieprzeliczona armia Mallorean, Nadraków, Murgów i Thullów wylała się z lasów na mokradła wschodniej Drasni. Torak natychmiast wysłał połowę swych sił na południową granicę Drasni, skutecznie ucinając próby pospieszenia z pomocą naszym drasnianim przyjaciołom, a potem siły Boga Smoka rozpoczęły metodyczne wybijanie wszystkich Drasnian, którzy wpadli im w ręce.

Doszło do straszliwej rzezi. Ci z Drasnian, którzy nie zostali zabici na miejscu, byli przekazywani Grolimom na makabryczne rytuały, tak miłe sercu ich szalonego boga.

W połowie lata 4866 roku Drasnia była niemal zupełnie wyludniona. Fala uchodźców powędrowała na północ, przez Morindland i w końcu dotarła do Chereku. Tysiące Drasnian zabierały z Kotu okręty i przewoziły na tereny leżące na północy i zachodzie. Rozbite oddziały drasniankiej armii były dosłownie zaciągane na statki Chereków, przewożone do ujścia Rzeki Aldura i zmuszane do maszerowania ku Twierdzy. Król Rhodar rozpaczliwie pragnął zorganizować obronę Boktoru, ale ojciec zaciągnął go do Kotu i zmusił do wejścia na pokład wojennego okrętu króla Eldriga. Nie sądzę, aby potem Rhodar kiedykolwiek zaufał

jeszcze memu ojcu. Torak po zdobyciu całej Drasni zatrzymał się, by przegrupować wojska i zaczekać na posiłki, nadal napływające przez lądowe przejście. Wyjaśnijmy coś sobie w tym miejscu. Sam Torak nie jest wojskowym geniuszem. W czasie wojny bogów, gdy podejmował decyzje, popełnił mnóstwo błędów. Cud, iż nie wyginęli wszyscy Angarakowie. Bóg Smok przejawiał wprost arendyjski pociąg do ataku frontalnego i ostatecznej bitwy. Strategię Angaraków w czterdziestym wieku ustalał Zedar, nie Torak. Wujek Beldin poprawnie, jak sędzę, wydedukował, że gdy Torak wysłał Urvona do May Yaska, a Ctuchika do Rak Cathol, to Zedara pchnął do May Zeth w roli swego tajnego agenta. Zedar był chyba najsprytniejszym z uczniów Toraka, a generałowie w May Zeth doskonale wyszkolili go w taktyce i strategii. Brak polotu Toraka nadal widać było na każdym kroku, ale większość z wyrafinowanych posunięć w trakcie inwazji na zachód można przypisać Zedarowi.

Po zdobyciu Drasni członkowie Rady Alornów wraz z królem Sendarii, Ormikiem, zebrali się w Rivie. Przed rozpoczęciem tego posępnego spotkania ruszyłam przez ponure korytarze Cytadeli na poszukiwanie Strażnika Rivy. Chciałam, aby zrozumiał kilka spraw.

Większość królów wybiera wieże na miejsce swej pracy, zapewne dlatego że tytuł „jego wysokość” sugeruje wyniesienie. Brand jak wszyscy Brandzi, był skromnym, usuwającym się w cień człowiekiem, który rozumiał, że bardziej pełni obowiązki, niż rządzi. Gabinet Branda schowany był głęboko wewnątrz Cytadeli, a w jego pobliżu znajdowały się pomieszczenia do spotkań, w których mógł rozwiązywać codzienne problemy związane z władaniem Wyspą Wiatrów, przynajmniej nie musiał wspinać się po schodach, aby dostać się do swego biurka.

- Możemy zamienić słówko, Brandzie? - zapytałam, stając w drzwiach jego nieco zagrazonego gabinetu.

- Oczywiście, lady Polgardo - odparł, wstając. Był bardzo wysoki i miał ogromne bary. Podsunął mi fotel, potem sam usiadł. - Co mogę dla ciebie zrobić, pani?

- Zaczynj od darowania sobie tych formalności, Brandzie - odparłam. - Jesteśmy na to zbyt zajęci.

- Złe nawyki trudno wytępić, Pol - odparł z uśmiechem.

- Zauważyłam. Jesteś bardzo uprzejmym i kulturalnym człowiekiem, Brandzie, więc twój instynkt każe ci podporządkować się Eldrigowi. Jest starszy i jest królem pierwotnych Alornów. Wiem, że odwieczny zwyczaj nakazuje, aby król Chereku przewodniczył spotkaniom Rady Alornów, ale tym razem będzie inaczej. W tej szczególnej sytuacji ty przewyższasz rangą króla Chereku.

- Nie noszę korony, Pol - zauważył. - Rhodar też mnie przewyższa rangą, a on nawet już nie ma królestwa.

- Ty będziesz Dzieckiem Światła, Brandzie. To oznacza, że przewyższasz rangą wszystkich. Nie mówię tu o odbieraniu hołdów i siadaniu jako pierwszy. Mówię o przewodzeniu. Wiem, że jesteś na tyle dobrym dyplomata, by nie urazić Eldriga, ale ustalmy twoją pozycję zaraz na wstępie. Przyjdzie czas, że będziesz dostawał instrukcje od kogoś o wiele ważniejszego niż ziemski król. Będziesz narzędziem Celu Wszechświata. Będziesz przekazywał rozkazy pochodzące od Celu, więc Eldrig nie może ich odwoływać. Od samego początku musimy przyzwycząić go do posłuszeństwa. Brałam już udział w tak wielu wojnach, że wiem, iż rozkazy powinny pochodzić z jednego źródła. Nie można dowodzić batalią zespołowo.

- Co w zasadzie wiąże się z funkcją Dziecka Światła? Nie jestem zbyt obeznany w teologii.

- Wszechświat powstał w pewnym Celu, Brandzie.

- Tak, to rozumiem. Stworzyli go bogowie.

- Nie. To zrozumiałeś opacznie. Najpierw powstał Wszechświat, a potem bogowie.

- Kapłani Belara by się z tym nie zgodzili.

- Naturalnie. Może UL pojawił się w tym samym czasie co Wszechświat, ale nic innego nie mogło zaistnieć wcześniej. - przerwałam na chwilę. - To moje osobiste przekonanie, Brandzie, więc można by z tym dyskutować. Jednak nie o to chodzi.

- Kim jest UL?

- Bogiem Ulgosów. Jest ojcem innych bogów. Brand otworzył oczy szeroko ze zdumienia i z trudem przełknął ślinę.

- Zbaczamy z tematu - ciągnęłam. - Wszechświat powstał z Celem. Potem wydarzył się kosmiczny wypadek - gwiazda wybuchła w miejscu, w którym nie powinna - i Cel uległ rozdzieleniu. Dwa Cele walczą z sobą od owego czasu. To oczywiście ogromne uproszczenie, ale jestem pewna, że zrozumiałeś, o co chodzi.

- Widywałam już wiele rodzinnych sprzeczek, Pol.

- Tak, można to chyba nazwać sprzeczką rodzinną. W każdym razie owe dwa Cele nie mogą się spotkać. Cały Wszechświat by eksplodował, gdyby tak się stało, więc muszą działać przez zastępców.

- Dziecko Światła i Dziecko Mroku?

- Właśnie. Co jakiś czas dochodzi do ich spotkania, zwykle na bardzo krótki czas - około pół sekundy.

- Trudno mówić o pojedynku w pół sekundy, Pol.

- Przestań myśleć o tym jak o pojedynku, Brandzie. To nie jest pojedynek.

- Torak jest Dzieckiem Mroku, prawda?

- Zwykle tak.

- Człowiek nie miałby wielkich szans w pojedynku z bogiem.

- To zależy od człowieka. Ponieważ do tego spotkania dojdzie w czasie wojny, zapewne będzie to pojedynek - a przynajmniej będzie to wyglądało na pojedynek. Ty i Torak będziecie się przez jakiś czas okładać mieczami, ale WYDARZENIE nie będzie miało z tym nic wspólnego.

- WYDARZENIE?

- Tego słowa używamy zwykle na określenie tych spotkań. To coś w rodzaju skrót. Nie daj się zwieść temu, że Torak jest bogiem, a ty nie. To nie ma nic z wspólnego z tym, co się wydarzy.

- A co się wydarzy, Pol?

- Będziesz musiał dokonać wyboru.

- To wszystko? A co mam do wyboru?

- Nie wiemy. Jednak ty będziesz to wiedział, gdy przyjdzie czas. Ojciec raz stał się Dzieckiem Światła, gdy podróżował do Cthol Mishak z Cherekiem. Zedar był wówczas Dzieckiem Mroku i gdy się spotkali, ojciec postanowił nie zabijać Zedara. Jak się okazało, był to

słuszny wybór.

- A co się stanie, jeśli dokonam złego wyboru?

- Przegramy - odparłam ze wzruszeniem ramion.

- Jak to? - zaprotestował z udawką w głosie.

Położyłam dłoń na jego ręce. Podobał mi się ten człowiek.

- Nie martw się, Brandzie. Nie będzie ci wolno dokonać złego wyboru.

- A zatem wygramy?

- To również nie jest pewne. Torak też będzie musiał dokonać wyboru. Jego wybór może być lepszy od naszego. Dwa Cele mają bardzo wyrównane szansę. Czasami wygrywa jeden, czasami drugi.

- Więc ja nie będę niczym więcej, jak tylko głosem tego Celu? To on dokona wyboru, a ja go oznajmię?

- Nie, mój drogi. Ty dokonasz wyboru.

- Wolałbym nie żyć - powiedział ponuro.

- Takiej decyzji podjąć ci nie wolno. Nie sądzę, abyś nawet mógł się zabić. Czy ci się to podoba, czy nie, spotkasz się z Torakiem w Arendii i będziesz musiał dokonać wyboru.

- A jeśli odmówię dokonania wyboru?

- To również wybór, Brandzie. Nie możesz się już z tego wycofać. Przestań się zamartwiać tym, że Torak jest bogiem, a ty nie. To nie ma najmniejszego znaczenia. Będziecie sobie równi, gdy się spotkacie. Ale ludźmi ty będziesz dowodził. - Umilkłam. - Wraz z ojcem przekazemy to innym królom w delikatny sposób, więc Eldrig przyjmie to bez dyskusji. Zwykle ogłoszenie, że ty jesteś Celem Wszechświata, może sprowokować go do wątplenia w twą świętość.

- Ja już w nią wątpię, Pol - przyznał Brand. - Czy ta rozmowa ma naprawdę miejsce, czy odbywa się jedynie w mojej wyobraźni?

Odpięłam broszkę ze swej sukni i ukułam go w wierzch dłoni zapinką. Krzyknął zaskoczony i cofnął rękę.

- Czemu to zrobiłaś? - zapytał z wyrzutem. Wytarłam krew z jego ręki chusteczką i podałam mu ten obszyty koronką kawałek materiału.

- Schowaj to, mój drogi. Nigdy nie wolno ci wątpić we własną świętość. W chwili wahania spójrz na tę plamę krwi. Nasza rozmowa naprawdę ma miejsce, a ty naprawdę jesteś Dzieckiem Światła i nim będziesz, gdy przyjdzie czas. Jestem lekarzem, Brandzie, możesz mi wierzyć, gdy mówię, że nie jesteś szalony. A teraz idź umyj rękę, to ci ją zabandażuję.

Spotkania królów odbywały się w sali obrad, wysoko w jednej z wież Cytadeli. Większość naszej dyskusji obracała się wokół domysłów. Nie mogliśmy pozwolić, by Torak kolejny raz nas zaskoczył, więc usiłowaliśmy przewidzieć jego następne posunięcie. Król Drasni Rhodar, niewiele mówił, ale nie musiał. Jego smutek i podbrudzona cierpieniem twarz były dla nas wszystkich nieustannym wyrzutem i przypomnieniem konsekwencji błędnego przewidywania.

Ponieważ nie mogliśmy podjąć żadnych działań, dopóki Torak nie wykona następnego ruchu, z naszej narady nie wynikło nic znaczącego. Moim udziałem była propozycja powiadomienia innych zachodnich królestw, że koniec świata jest blisko. Uważałam, że należało tak zrobić przez wzgląd na stosunki dobrosąsiedzkie. Opuściliśmy z ojcem Wyspę Wiatrów na okręcie, który wysadził nas na skąpanej w deszczu plaży po północnej stronie Haka Arendii. Rozpoczęliśmy poszukiwania nieuchwytnych Asturian.

Po zniszczeniu Vo Astur przez Mimbratów asturska szlachta ukryła się w lasach, by przez wieki toczyć partyzancką wojnę. Z punktu widzenia Asturianina, trafienie w plecy samotnego mimbrańskiego podróżnego było zwycięstwem godnym świętowania przy obozowym ognisku przez całe tygodnie. Naturalnie Mimbraci nie pochwalali tych praktyk i zbrojni rycerze co jakiś czas przeczesywali lasy, by odszukać i zniszczyć owe bandy

zapaleńców. Asturianie nabrali sporej wprawy w ukrywaniu swych obozowisk, więc spędziliśmy z ojcem upojne dziesięć dni na poszukiwaniach nieuchwytnego księcia Asturii, Eldallana. Deszcz, który niemal nieustannie sączył się przez korony drzew, nadał zupełnie inny wymiar słowu „ponury”. Drapieżniki, jeśli im głód nie dokuczy, zwykle przeczekują ulewę w jakimś schronieniu, ale jeden wilk i jedna sowa zmuszone były do niemal nieustannych poszukiwań w tym wilgotnym lesie. Macie pojęcie, jak brzydko pachnie przemoczony wilk przy ognisku? Już na samo wspomnienie zapachu ojca w tamtym czasie robi mi się niedobrze. Na szczęście pogoda na chwilę poprawiła się, spowijająca las opadła. Wzbiłam się ponad wierzchołki drzew i dostrzegłam dym kilku ognisk na wschód od miejsca, w którym się znajdowaliśmy.

Odnaleźliśmy obóz. Młodzi asturiańscy „patrioci” ubierali się w zielone lub brązowe tuniki oraz zawadiackie kapelusze ozdobione długimi piórami. Mimbraci przydzielili im rolę wyjętych spod prawa, a oni jak mogli najlepiej ją odgrywali. Nie bez wpływu była tu zapewne literatura. Ballady skomponowane przez trzeciorzędnych poetów, opiewające wyczyny tego czy tamtego wyrzutka, który ograbiał bogatych Mimbratów i rozdawał łupy biednym asturiańskim wieśniakom, rozpałały wyobraźnię całych pokoleń bezmyślnych asturiańskich szlachciców. Długie godziny spędzali więc na ćwiczeniu odpowiednich póz i strzelaniu z łuków. Całe oddziały słomianych kukieł ubranych w zardzewiałe mimbrackie zbroje szpikowali długimi strzałami. Tak, jestem uprzedzona do Asturian. I co z tego?

Eldallan i jego ludzie byli mniej niż przyjaźnie nastawieni, gdy wkroczyliśmy z ojcem do ich rozległego obozowiska. Nie wzięto nas, co prawda, w niewolę, ale wycelowano w nas wiele łuków, gdy podchodziliśmy do prymitywnego „tronu”, na którym zasiadał Eldallan z ośmioletnią córeczką, Mayaseraną, na kolanach. Księżę Asturii był niewysoki, ubierał się na zielono, długie jasne włosy czesał starannie i najwyraźniej miał wysokie mniemanie o sobie. Dość sceptycznie przyjął słowa ojca. Najwyraźniej niedbały wygląd nie pasował mu do wizerunku „potężnego czarodzieja”, jak określano Belgaratha w rozlicznych asturiańskich powieściach. Eldallan nie uwierzył ojcu, ale wkrótce potem zdecydowanie uwierzył mnie.

Wiść o zniszczeniu Drasni przyjął wzruszeniem ramion jako problem Alornów i zaczął rozwodzić się nad swym niemal religijnym posłannictwem wyniszczenia wszystkich Mimbratów. W końcu zmęczyła mnie jego poza i wkroczyłam do działania.

- Pozwolisz mnie z nim porozmawiać, ojcze? - zapytałam. - Znam Arendów trochę lepiej od ciebie.

- Mów - mruknął Stary Wilk.

- Proszę wybaczyć ojcu, wasza miłość - zwróciłam się do Eldal. - Dyplomacja nie jest jego najmocniejszą stroną.

Wówczas Eldallan popełnił błąd, wspominając moje poprzednie związki z wacuńskimi Arendami, jakby były one moralną przewiną. Uznałam, że skoro chce być złośliwy, to pokażę mu, co znaczy prawdziwa złośliwość.

- A zatem, wasza miłość - powiedziałam raczej chłodno - pokażę ci, co Angarakowie uczynili z Drasnią, a potem tobie zostawię decyzję, czy będziesz chciał, by to samo przydarzyło się tutaj.

- Złudzenia - prychnął lekceważąco.

- Nie, wasza miłość. Nie złudzenia, ale rzeczywistość. Mówię jako księżna Erat, a żaden szlachetnie urodzony nie podda w wątpliwość słowa księżnej. A może pomyliłam się zakładając, że w Asturii są szlachetnie urodzeni?

- Wątpisz w mój honor? - zachnął się.

- A ty kwestionujesz mój?

Tego się nie spodziewał. Dał za wygraną.

- Dobrze, wasza miłość - powiedział. - Jeśli ręczysz słowem, że to, co chcesz pokazać, naprawdę się wydarzyło, nie mam innego wyjścia, jak na to przystać.

- Wasza miłość jest nazbyt uprzejmy. - Ostrożnie zbadalam jego umysł i odkryłam, że odczuwa strach przed spaleniem żywcem. Niczego więcej nie potrzebowałam.

Rozwinęłam przed nim serię oderwanych obrazów i zmusiłam siłą swej Woli, aby przyglądał im się bez odrywania wzroku. Było tam tyle scen rzezi, że nie mógł się domyślić, iż swe wysiłki koncentrowałam na tym, czego bał się najbardziej. Morze krwi i sceny ćwiartowania miały jedynie podkreślać wdzięcznie odtworzone obrazy krzyczących Drasnian uwięzionych w płonących budynkach lub wrzucanych do ognia przez roześmianych Angaraków. Dodałam krzyki umierających i okrasiałam wszystko mdłym odorem płonących ciał. Eldallan zaczął krzyczeć i wic się na fotelu, ale nie przerywałam, dopóki nie zdobyłam absolutnej pewności, że nie będzie więcej z nami dyskutował. Mogłam potrzymać go trochę dłużej, lecz nie chciałam dręczyć jego córki. Mayaserana była śliczną dziewczynką o ciemnych włosach i ogromnych oczach. Jej krzyki i szloch na widok jęczącego ojca chwytaly mnie za serce.

- Co zrobiłaś memu tacie, zła pani? - zapytała z wyrzutem, gdy uwolniłam Eldallana.

- Za kilka minut wróci do siebie, kochanie - zapewniłam ją - Miał po prostu zły sen, to wszystko.

- Ale jest przecież dzień... a on nawet nie spał.

- To się czasami zdarza, Mayaserano - powiedziałam, biorąc ją na ręce. - Nic mu nie będzie.

Gdy ksiązę Asturii oprzytomniał, ojciec zaproponował mu rozejm pomiędzy Asturią i Mimbre.

- ...czasowe zawieszenie broni, rozumiesz, tylko na czas obecnych kłopotów. Oczywiście, jeśli uznasz pokój z Mimbre za korzystny, to będziecie mogli z Aldorigenem rozważyć jego przedłużenie.

- Proponujesz mi spotkania z tym rzeźnikiem?!

- Musiałbym was chyba przykuć łańcuchami do przeciwległych ścian, Eldallanie. Umówię się z ambasadorem Sendarii z Vo Mimbre. Sendarowie posłużą nam za łączników, dopóki Angarakowie nie zaatakują Arendii. Wówczas znajdziemy jakiś sposób, aby trzymać was po przeciwnych stronach pola bitwy.

Potem powędrowaliśmy z ojcem rozmokniętymi równinami południowej Arendii do Vo Mimbre. Kolejny raz załapała mnie fala wspomnień. Nie sądzę, aby mój ojciec w pełni rozumiał moje wielkie przywiązanie do Arendii. Arendowie przypominają dzieci i przez prawie sześćset lat byłam im matką. Ciemnowłosey ksiązę, król, jak sam wolał się nazywać, Aldorigen przeraźliwie bał się węży, a w Drasni nie ma wielu węży. Muszę się tu przyznać do świadomego fałszerstwa. Wymyśliłam pewien angaracki „zwyczaj”. Ksiązę Aldorigen uznał moją wizję dołów z węzami, do których wrzucano całe drasnianskie wioski, za dostatecznie przeraźliwe, by skłonić się ku naszemu punktowi widzenia. Owszem, to było nieuczciwe. Chcecie, abym przerwała opowieść i przez tydzień rozważała etyczne skutki „środków uświęcających cel”? Ojciec wydarł z gardła Aldorigenowi zgodę na rozejm i polecił sendarskiemu ambasadorowi służyć za łącznika pomiędzy Asturią i Mimbre. Zaczęliśmy się przygotowywać do opuszczenia złotego miasta. Nim jednak ruszyliśmy dalej, przyjrzałam się uważnie Korodullinowi, jasnowłosemu synowi Aldorigena. Przypominam sobie, że miał osiem czy dziewięć lat. Mówiąc szczerze, określenie „zbieg okoliczności” nigdy do mnie nie przemawiało. Z lekkim zaskoczeniem odkryłam, że „dzwon”, który co jakiś czas dźwięczał w mej łoświe, nie zawsze odzywał się za sprawą potomków Beldaran i Rivy- Rozlegał się również na widok innych osób. Wyraźnie pamiętam, że słyszałam je, gdy Relg po raz pierwszy ujrzał Taibę. Co prawda nie słyszałam żadnych dzwonów, gdy po raz pierwszy spotkałam Durnika.

Aldorigen zaopatrzył nas w konie. Opatuleni w płaszcze, smagani deszczem przejechaliśmy w bród rzekę Arend w odległości około dziesięciu lig od Vo Mimbre i

ruszyliśmy przez tereny północnej Tolnedry ku Tol Honeth. W okładanym marmurem pałacu zaprowadzono nas do imperatora bez zwykłej zwłoki. Wcześniejsza wizyta przekonała Rana Borune, że ojciec jest wysłannikiem alornskich królów, co nie odpowiadało dokładnie prawdzie, choć w zasadzie można by tak powiedzieć. Spustoszenie Drasni uczyniło królestwa z północy przedmiotem szczególnej uwagi imperatora, toteż żądny był wszelkich wieści.

- Jesteś wreszcie, Belgaracie - powiedział z ożywieniem, gdy wprowadzono nas do jego gabinetu, urządzonego z pewną przesadą. - Straszne to, co stało się z Drasnią. Proszę, przekaż przy najbliższej okazji wyrazy mego najgłębszego współczucia dla Rhodara. Czy Alornowie opracowali już jakiś plan w związku z następnymi posunięciami Kal Toraka?

- Tymczasowy, wasza imperialna wysokość - odparł ojciec. - Poznaj, proszę, to moja córka Polgarda.

- Czarująca - rzucił młody imperator niedbałym tonem. Nasza znajomość nie zaczęła się najlepiej. - Ja naprawdę muszę wiedzieć, gdzie Torak ma zamiar uderzyć, Belgaracie. Masz jakichś szpiegów w jego armii?

- Nie nazwałbym ich szpiegami, Ranie Borune - rzekł ojciec z lekkim przekąsem. - W armii Kal Toraka są sami Angarakowie. Nie zauważyliśmy w jego oddziałach Melcenów, Dallów czy Karandów.

- Czy Alornowie poczynili jakieś przygotowania?

- Nie podjęli żadnych zdecydowanych kroków. Starają się zapewnić obronę na wszystkich możliwych frontach. Nasza główna przewaga leży w mobilności Alornów. Okręty Chereków mogą przewieźć armię w dowolne miejsce wybrzeża zachodniego świata w krótkim czasie. Siły skierowane do obrony Algarii, Chereku i Sendarii powinny wystarczyć do opóźnienia Toraka, zanim nadejdą posiłki.

- A nie ma jakiejś podpowiedzi w tych religijnych pismach?

- Masz na myśli proroctwa?

- Nie lubię tego słowa - powiedział Ran Borune trochę nieobecny tonem. - Zalujuje zabobonem.

- Możliwe - przyznał ojciec - ale jest wystarczająco duża zgodność pomiędzy proroctwami Alornów i Angaraków, byśmy mogli wyciągnąć z tego wnioski co do dalszych posunięć tego gościa, który nazywa siebie KalTorakiem. Człowiek, który uważa się za boga, zwykle stara się wypełnić proroctwo, by dowieść swej boskości. Zauważcie, żadne z nas nie powiedziało wprost Ranowi Borune, że najeźdźca jest naprawdę samym Torakiem. Podtrzymywaliśmy fikcję, iż mamy do czynienia z angarackim szaleńcem. Nie było potrzeby

urazania tolnedrańskiego poczucia zdrowego rozsądku, wdając się w teologiczne dyskursy, gdy był łatwiejszy sposób na wciągnięcie ich do współpracy.

- Zdaje się, że o tym nie pomyślałam - przyznał Ran Borune. - Czy Alornom będą na północy potrzebne moje legiony?

- Nie sądzę. Ale mimo to dziękuję.

- Jak długo tu zostaniecie? Czy mógłbym wam zaoferować gościnę w pałacu?

- Wysoko cenimy sobie twoje zaproszenie, Ranie Borune - powiedziałam - ale mogłyby z tego wymknąć problemy. Honethici i Vorduvianie podniosą wielkie halo, że zadajesz się z „pogańskimi czarodziejami”.

- Ja tu jestem imperatorem, lady Polgardo, i będę się zadawał, z kim mam ochotę. Jeśli Vorduvianom i Honethitom się to nie spodoba, ich sprawa. - Zerknął na mnie z ciekawością. - Wydajesz się, pani, dobrze obeznana z naszymi drobnymi osobliwościami.

- Zajmowałam się tym dla zabicia czasu, wasza wysokość - odparłam. - Stwierdziłam, że lektura tolnedrańskich politycznych komentarzy usypia mnie niemal tak szybko jak arendyjska powieść.

- Zdaje się, że sobie na to zasłużyłem? - rzekł ze skruchą.

- Tak, wasza wysokość, zasłużyłeś sobie. Potraktuj to jako nauczkę. Ojciec zawsze mi powtarza, że naszym obowiązkiem jest pouczać młodszych.

- Proszę - powiedział wesoło - żadnych więcej szpil. Poddaję się.

- Mądra decyzja, Ranie Borune - stwierdził ojciec. - Ludzie, którzy narażają się Pol, zwykle zaczynają mieć różne problemy zdrowotne. Zatrzymamy się w ambasadzie Chereku. Muszę skontaktować się z kilkoma ludźmi i ogon z pałacowych szpiegów mógłby mi ograniczać swobodę ruchów. Muszę również pozostawać w kontakcie z królami Alornów, a ambasador Chereku ma do dyspozycji okręty. Kto jest obecnym ambasadorem Nyissy?

- Gość o gadzim wyglądzie, niejaki Podiss.

- Z nim też chcę pomówić. Trzeba powiadomić Salmisrę. Ma pewne środki, których mogę później potrzebować, więc nie chce aby się obraziła. Będziemy cię o wszystkim powiadamiać, więc nie wysyłaj za nami szpiegów. Udaliśmy się do ambasady Chereku. Późnym wieczorem, tuż przed udaniem się na spoczynek, do ojca odezwał się Beltira. Doniósł że siły Toraka wmaszerowały do Algarii, a potem przeszedł do złych wieści. Wujek Beldin powiadomił bliźniaków, że druga armia, pod dowództwem Urvona, zgromadziła się w porcie Dal Zerba i już zaczęła przepływać się przez Morze Wschodu do południowego Cthol Murgos. Najwyraźniej zamknięcie północnych i południowych szlaków karawanowych podyktowane było zachowaniem w tajemnicy ruchów wojsk. Teraz mieliśmy na karku dwie

angarackie armie. Wróciliśmy z ojcem do pałacu i zmusiliśmy służbę do obudzenia imperatora. Wieści nie ucieszyły go zbyt. Poradziliśmy, aby przygotował się do działania, ale nie kierował na razie swych sił na żaden z frontów, po czym wyruszyliśmy do Nyissy.

Nigdy nie byłam w krainie Wężowego Ludu ani nie spotkałam żadnej z nieprzerwanego ciągu identycznych Salmisr. Bóg Wąż, Issa, w odróżnieniu od innych bogów nie wzięt uczniów, ale całą miłością obdarzył swą służkę, najwyższą kapłankę, pierwszą Salmisrę. Przedłużenie jej życia nie przyszło jednak najwyraźniej do głowy ospałemu Issie, więc Nyissanie musieli po śmierci kapłanki znaleźć na jej miejsce następną. Najpierw wybierano dwadzieścia dziewcząt ze względu na zewnętrzne podobieństwo do pierwszej Salmisry, potem, przez wiele lat treningu, upodobniano również do niej osobowość wszystkich kandydatek. Wszystkie bardzo pilnie przykładały się do nauki, ponieważ dziewiętnaście z owych kandydatek zabijano natychmiast po wyborze nowej królowej Wężowego Ludu. W rezultacie każda następna Salmisra nie różniła się niczym od swych poprzedniczek. Tak jak ojciec powiedział: „Jeśli znasz jedną Salmisrę, to znasz je wszystkie”. Nie miałam żadnego powodu, aby darzyć sympatią owe Salmisry, ale ojciec przekonał mnie, że w trakcie inwazji Angaraków mogą nam się przydać dość szczególne zdolności Nyissan, więc zachowywałam się z uprzejmą rezerwą gdy weszliśmy. Sala tronowa w jaskrawym, pełnym węży pałacu w Sthiss Tor była mroczna, a jej centralny punkt stanowił posąg Boga Węża. Przed posągiem na podwyższeniu stał tron Salmisry, bardziej przypominający sofę niż fotel. Przed tronem klęczało kilkunastu eunuchów w żółtych szatach, piejących hymny pochwalne na jej cześć. Królowa Wężowego Ludu miała bardzo bladą twarz, lśniące czarne włosy i osobliwe, pozbawione koloru oczy. Muszę przyznać, że była piękna, a jej przypominające mgiełkę szaty niewiele przesłaniały. Nasze wiadomości przyjęła z gadzią obojętnością, nie pofatygowała się nawet, aby oderwać oczy od lustra.

- Czemu miałabym się mieszać do waszej wojny z Angarakami? - zapytała.

- To nie jest tylko nasza wojna, Salmisro - powiedziałam. - Dotyczy nas wszystkich.

- Mnie nie. Jedna z moich poprzedniczek przekonała się, jak nierozważne jest mieszanie się do waśni pomiędzy Alornami i Angarakami. Nie mam zamiaru popełnić tego samego błędu. Nyissa pozostanie neutralna. - Utkwiła spojrzenie w mej twarzy i już wiedziałam, że pewnego dnia dojdzie do konfrontacji pomiędzy nami, a oczy Salmisry mówiły mi, że ona również o tym wie. Ojciec zupełnie nie zauważył tej milczącej wymiany spojrzeń. Kobiety zawsze mają sposoby na porozumienie się w sposób dla mężczyzn niezrozumiały. Ojciec usiłował przekonać Salmisrę, że Urvon spustoszy Nyissę po drodze na północ. Oczywiście tracił tylko czas. Salmisry nie obchodziło, co stanie się z Nyissą. Obchodziła ją jedynie

własna osoba. To jedna z cech, którą w niej wyrobiono w czasie nauki. Tylko jej przetrwanie, i jej żądze, miały dla królowej znaczenie. Zdawałam sobie z tego sprawę, więc podzieliłam się z nią obawami, że mogą ją położyć ją na skrwawionym ołtarzu, a Grolimowie wyrwą jej serce.

Nareszcie się zainteresowała. Gdy wychodziliśmy z jej cuchnącego stęchlizną pałacu, zapytałam ojca o coś, co nurtowało mnie od jakiegoś czasu.

- Czy Nyissanie zebrali swoją farmakologiczną wiedzę w jakichś opracowaniach?

- Nie wiem - odparł ze wzruszeniem ramion. - Czemu pytasz?

- Mają bardzo interesujące ziołowe mieszanki. Salmisra była dosłownie przesycona kilkoma z nich.

- Doprawdy? - Wydawał się nieco zaskoczony. - A ja myślałem, że to jej naturalne zachowanie.

- Może, ale ona coś przyjmuje. Chyba wybiorę się tutaj, by to dokładnie zbadać, gdy będzie już po wszystkim. Niektóre z tych ziół mogą być bardzo pożyteczne.

- Większość z nich jest trująca, Pol.

- Większość ziół leczniczych w nadmiarze potrafi szkodzić. Właściwe dawkowanie jest kluczem do ziołolecznictwa.

- Nadszarpniesz swą reputację, gdy jako lekarz zaczniesz eksperymentować z truciznami.

- Eksperymenty są źródłem wszelkiego postępu w medycynie ojcze. W trakcie badań można stracić kilku pacjentów, ale na dłuższą metę uratuje się o wiele więcej.

- Czasami wydajesz się równie pozbawiona skrupułów jak Salmisra, Pol.

- Dopiero teraz to zauważyłeś, ojcze?

- To nie była owocna wizyta, prawda, Pol? - mruknął ojciec, gdy wyszliśmy na zalane deszczem ulice.

- Naprawdę spodziewałeś się, że Salmisra przyjmie cię z otwartymi ramionami, ojcze?

- zapytałam. - Nigdy nie cieszyłeś się w Nyissie popularnością.

- No cóż - westchnął - przynajmniej Urvona również nie przyjmie z otwartymi ramionami. Ruszajmy do Maragoru, może uda nam się coś zdziałać u Mary. Była zima, pora deszczowa w Nyissie, ale zmiana klimatu, która nastąpiła po zaćmieniu Toraka, sprawiła, że nikt nie odróżniał jednej pory deszczowej od drugiej. Nie cierpię latania w deszczu, ale cóż

miałam robić. Polecieliśmy wzdłuż Rzeki Węża aż do katarakty, a potem skręciliśmy na północ, by przelecieć nad górami na tereny południowego pogranicza nawiedzonego Maragoru. Zauważyłam, że na północ od tej granicy nie ma żadnych obozów. Poszukiwacze

złota to ludzie opętani, ale nie aż do tego stopnia. Deszcz utrudniał nam obserwację pofałdowanego dorzecza, jakim był Maragor, ale ojciec znał drogę, więc po prostu poleciałam za nim do Mar Amon. Nad ruinami ojciec machnął kilka razy skrzydłami i wylądowaliśmy w bukowym zagajniku. Pomiędzy bezlistnymi drzewami wróciliśmy do własnych postaci.

- To nie będzie przyjemne, Pol - powiedział z posępną miną ojciec. - Mara jest jeszcze bardziej szalony niż Torak. Cały Maragor wypełnił zjawami. Obawiam się, że napatrzysz się na różne okropności.

- Nasłuchałam się już o tym legend, ojcze.

- Legendy to jedno, Pol, a naprawdę zobaczyć i usłyszeć te widziadła, to zupełnie co innego.

- Poradzę sobie, Stary Wilku.

- Nie bądź taka pewna siebie, Pol. Mara, choć szalony, nadal jest bogiem, nadal potrafi przytłoczyć poczuciem swej obecności. Obecność Mistrza odczuwamy bardzo delikatnie, ale

Mara lubi zbić z nóg samym swym pojawieniem się. Czy podczas pobytu w Arendii miałaś okazję spotkać się z Chaldanem?

- Nie. Chaldan rozmawia tylko ze swymi kapłanami, tak przynajmniej oni utrzymują. Ojciec kiwnął głową.

- Kapłani na całym świecie są tacy sami. Wydaje im się, że wyłączny kontakt z bogiem zapewnia im stałą pracę. Gdyby każdy wieśniak potrafił rozmawiać z bogiem, kapłani staliby się zbędni i musieliby poszukać sobie uczciwej pracy.

- Jesteś dziś w ponurym nastroju, ojcze.

- To przez pogodę. W każdym razie weź się w garść. Nasze spotkanie z Marą będzie zapewne średnio przyjemne. Bogowie długo chowają urazę, a Mara nadal wini nas za to, że nie przybyliśmy z pomocą Maragom, gdy Tolnedranie najechali Maragor. Spotkałem się z nim już kilka razy, więc wie, kim jestem, chyba że zapomniał. Może będę musiał mu trochę skłamać. Właściwie nie polecono nam tu przybyć, więc można powiedzieć, że robimy to, co wydaje nam się, że Mistrz chciałby, abyśmy zrobili. Na wszelki wypadek lepiej powiem Marze, że działamy z polecenia Mistrza. Mara aż tak nie oszalał, aby wystąpić przeciwko Mistrzowi, więc nie zniszczy nas od razu. Bądź jednak ostrożna, Pol. Miej się na baczności i nie pozwól, by jakiś kawałek leżącego w pobliżu złota rozproszył twą uwagę. Jeśli choćby pomyślisz o złocie, Mara wymaże ci umysł.

- Nie jestem aż tak zachłanna, ojcze.

- Doprawdy? A skąd masz te pieniądze, które wyciągasz jak z rękawa, gdy chcesz coś kupić?

- Roztropne inwestycje, ojciec. Jeśli o pieniądze odpowiednio zadbać - przycinać je, podlewać, nawozić - to będą rosły tak jak róże czy rzodkiewki. Nie martw się, Stary Wilku. Nie jestem zainteresowana przypadkowo znalezionym złotem.

- Chodźmy zatem do miasta i zobaczymy, czy uda mi się porozmawiać z Marą.

Mar Amon to bardzo denerwujące miasto, nie tylko z powodu mnogości nawiedzających je zjaw. Po części jest rzeczywiste, a po części tylko urojone. Mara je odbudował, zastępując zniszczone budynki wizjami tego, jak wyglądały przed przybyciem Tolnedran. Budynki były niematerialne, ale z wyglądu nie do odróżnienia od prawdziwych. Podczas wędrówki krętą ulicą ku głównej świątyni zobaczyłam tyle okropieństw, że wystarczy mi do końca życia. Tolnedrańscy legionieści zwykle otrzymują żołd w miedziakach, więc rzadko widują złoto. Ziemia w Maragorze dosłownie usłana była złotem i z miejsca wzięła w łeb dyscyplina. Legiony zmieniły się w zachłanną, bezmyślną tłuszcę, a tłuszcza dopuszcza się okrucieństw. Mara odtworzył jak żywe ofiary owych okrucieństw i zaludnił nimi Maragor, by po wsze czasy został nietknięty. Gorąco pochwalałam karę, jaką obłożył Nedra swych najbardziej zachłannych wyznawców po najeździe na Maragor. Magnaci kupieccy z Tol Honeth nie potrafią przestać myśleć o złocie, gdy leży wokół nich, a w Maragorze zachłanność otwiera wrota do oblędu. Klasztor w Mar Terrin to w rzeczywistości najokropniejsze więzienie na ziemi. Przebywają w nim skazani nie na śmierć, lecz na wieczne potępienie.

- Belgarath! - Ryk Mary był głośniejszy od gromu. - Dlaczego to smutek mój zakłócasz? - Płaczący bóg był ogromny. Na rękach trzymał ciało zabitego dziecka.

- Posłuszny woli naszego Mistrza, odszukałem cię wraz ze swą córką, Polgardą, panie - skłamał ojciec. - Brat twój, Torak, najechał na zachód, panie. Aldur, nasz Mistrz, polecił nam powiadomić cię o nadejściu Boga Smoka.

- Niech przybędzie - odparł Mara, szlochając nadal. - Jego Angarakowie nie są bardziej odporni na oblęd od niosących śmierć dzieci Nedry.

Ojciec się skłonił.

- Postąpisz wedle woli swej, panie - powiedział. - Zatem córka ma i ja wypełniliśmy zadanie powierzone nam przez naszego Mistrza. Odejdziemy teraz, aby nie niepokoić cię dłużej.

- Szybko się uwinąłeś - mruknęłam, gdy wracaliśmy przez iluzję zwaną Mar Amon.

Ojciec wzruszył ramionami.

- Prawdę powiedziawszy, wyszło to lepiej, niż się spodziewałem.

- Nie rozumiem - przyznałam.

- Maragor można nazwać tylnymi drzwiami do Tolnedry. Podejrzewam, że Urvon planuje przejść przez północne Cthol Murgos i najechać Tolnedrę od tej strony zamiast przez Nyissę. Teraz Mara wie o jego nadejściu, więc zamknęliśmy te drzwi. Armia Urvona może

być przy zdrowych zmysłach, gdy wejdzie do Maragoru, ale gdy wyjdą, będą bandą szaleńców. - Ojciec był bardzo z siebie zadowolony - Owszem, miałem nadzieję na większe zaangażowanie ze strony Mary, ale to mi wystarczy. Chodźmy teraz porozmawiać z Gorimem. Mżemy od razu wszystkich powiadomić o tym, co się dzieje. Potem będziemy musieli znowu ruszyć w podróż.

- A zatem chcemy zjednać również Ulgosów?

- Nie myślę, aby mieli ochotę się przyłączyć, ale lepiej ich nie zrażać, pomijając w zaproszeniu.

- Robota głupiego.

- Tym razem ja nie rozumiem, Pol.

- Biegamy w koło i zapraszamy ludzi na przyjęcie, którym nie są zainteresowani.

- Nazwijmy to dyplomatyczną uprzejmością, Pol.

- Ja raczej nazwałabym to stratą czasu.

- To zawsze się wiąże z dyplomacją. Ruszajmy do Prolgu. Bezustanny deszcz, który obmywał niziny w ciągu owych lat po zaćmieniu Toraka, w górach świętego Ulgo sypał jako śnieg, ale my nie musieliśmy wędrować pieszo, więc ominęła nas ta wyjątkowa nieprzyjemność. Latanie w śniegu jest bardzo męczące, ale nie tak jak brnięcie przez głębokie po pas zasy. Pozwalało również uniknąć spotkania ze swawolnymi stworami zamieszkującymi góry Ulgolandu. Prolgu jest bardziej górą niż miastem. Algarowie zbudowali górę, którą nazwali Twierdzą, ale Ulgosi zespolicili Prolgu z górą, na której pierwszy Gorim spotkał się z UŁem i w chytry sposób nakłonił ojca bogów do przygarnięcia odrzuconych przez świat.

Wylądowaliśmy w opuszczonym mieście, niepodobnym do żadnego innego. Większość starożytnych miast popadła w ruinę za sprawą wojen, a wojny pozostawiają widoczne ślady na murach i budynkach. Jednakże Prolgu nie zostało zniszczone w wyniku ludzkiej działalności. Ulgosi po prostu przeprowadzali się do grot pod miastem, pozostawiając swe domy w stanie nienaruszonym. Porzucone miasto zwykle przyciąga plądrowników, ale nikt nie odważy się na wyprawę do Prolgu w poszukiwaniu wartościowych rzeczy. Góry Ulgo dosłownie roją się od stworów, dla których człowiek jest smacznym kąskiem. Nawet myszy są tam niebezpieczne, tak przynajmniej się mówi. Nigdy nie miałam okazji wybrać się do Prolgu. W naszej rodzinie panował zwyczaj podziału obowiązków i utrzymywanie kontaktu z

Ulgosami zawsze należało do zadań ojca. Wędrowaliśmy, pozornie bez celu, przez zaśnieżone ulice. Wokół szalała śnieżycą, nadciągał wieczór i zaczynało się ściemniać.

- Ach, tu jest - powiedział w końcu ojciec, wskazując dom, który niczym się nie różnił od innych. - Ten śnieg nie ułatwia sprawy.

Jak wszystkie domu w Prolgu, ten również dawno już stracił dach. Podłogę we wnętrzach pokrywały śnieżne zaspas. Ojciec zaprowadził mnie do głównego pomieszczenia i przez parę minut tu i tam rozgarniał śnieg nogą.

- Nareszcie - mruknął do siebie, gdy znalazł kamienną płytę, której szukał. Podniósł duży kamień i kilka razy uderzył w kamienną podłogę.

Nic się nie wydarzyło.

Uderzył ponownie, a dźwięk wydał się jakiś głuchy.

Potem rozległo się ciche zgrzytanie i wielka kamienna płyta uniosła się, odsłaniając otwór oświetlony przyćmionym światłem. Rozległ się głuchy głos.

- Yad ho, groja UL.

- To formalność - szepnął do mnie ojciec, po czym powiedział: -Yad ho, groja UL. Yad mar ishum.

- Veed mo, Belgarath. Mar ishum Ulgo.

- Zaproszono nas do wejścia - rzekł ojciec. - Uczyłaś się tego języka?

- Niezbyt intensywnie. Gramatyka jest chyba taka sama jak w języku Dallów?

- Tak. Jednak to mowa o wiele starsza niż Morindów czy Karandów. Języki odizolowanych ludów raczej się nie rozwijają, a nie znajdziesz bardziej odizolowanego ludu od Ulgosów. Zejdźmy na dół i porozmawiajmy z Gorimem.

- Będziesz musiał mi tłumaczyć.

- Nie sądzę. Gorim mówi naszym językiem.

Światło w grotach Ulgo ma chemiczną naturę i jest bardzo przyćmione. Nie mogłam dojrzeć, jak wielkie są te groty, ale sądząc po wzbudzonym echu, były ogromne. Nigdy nie czuję się zbyt pewnie w grotach Ulgo. Przed oczy cisną mi się obrazy kretów. To było jednak bardzo dobrze zorganizowane społeczeństwo. Żyli w miłych mieszkaniach wykutych w ścianach długich, mrocznych galerii, a ich codzienne życie nie różniło się wiele od tego, jakie wiodliby na powierzchni. Z pewną niechęcią musiałam przyznać, że życie pod ziemią ma przynajmniej jedną korzyść: jest niezależne od pogody. Ulgosi nie zwracali uwagi na mnie i mojego ojca, gdy przechodziliśmy ich galeriami. Minęliśmy skraj kilku ogromnych przepaści i wędrowaliśmy brzegiem ciemnego jeziora, wielkiego niczym pozieme morze. Jezioro to było zasilane przez wodospady, których szemrzące kaskady niknęły w mroku. Echo

wodospadów mieszało się z echem hymnu ku czci ULa, śpiewanego w regularnych odstępach czasu przez wiernych. Te połączone echa upodobały całe Ulgo do ogromnej katedry

Dom Gorima Ulgo zbudowany był z marmuru tak doskonałej jakości, że mogły się przy nim schować wszystkie budowle imperialnego Tol Honeth. Wzniesiono go na małej wysepce na środku płytkiego podziemnego jeziora i wiodła do niego grobla. Stary Gorim, w białej szacie i z białą brodą, prawdopodobnie najświętszy człowiek na świecie oczekiwał nas na drugim końcu grobli. Nie byłam w grotach Ulgo ponad tysiąc lat, ale ten Gorim bardzo przypominał swych poprzedników.

- Minęło sporo czasu, Belgaracie - odezwał się na powitanie.

- Byłem zajęty, zaniedbałem towarzyskie obowiązki - usprawiedliwił się ojciec. - Nie spotkałeś jeszcze mojej córki, prawda?

- Ach, więc to jest święta Polgarda!

- Święta? Może lepiej z tymi przydomkami poczekać, aż poznasz ją lepiej, Gorimie. Ma nieco rogatą duszę.

- Wystarczy już żartów, ojczy - powiedziałam, po czym skłoniłam się głęboko przed Gorimem. - Iad Hara, Gorim an Ulgo - pozdrowiłam go.

- Język Dallów? - wydawał się zaskoczony. - Od wieków go nie słyszałem.

- Ponieważ nie mówię jeszcze językiem Ulgo, przeszedłam na dallijski. Mój akcent zapewne nie jest najlepszy.

- Jest całkiem dobry. Kilka miesięcy w Kell wystarczy, byś go podszlifowała.

- Po zażeganiu obecnego kryzysu, Pol - ostrzegł ojciec.

- Znosi się na kolejny kryzys? - zapytał Gorim.

- A czyż nie dzieje się tak zawsze? Ten jednak jest o wiele poważniejszy.

- Wejźmy do środka - zaproponował Gorim. - Jeśli ma nastać koniec świata, lepiej posłucham na siedząco.

Gorim Ulgo natychmiast wzbudził moją sympatię. Był miłym staruszkiem z nieocenionym poczuciem humoru. Jednakże niewiele się śmiał, gdy ojciec opowiedział, że Torak opuścił Ashabę i poprowadził Mallorean przez lądowe przejście.

- To niepokojące wieści, Belgaracie.

- W rzeczy samej - przyznał ojciec. - Mogę mówić otwarcie?

- Oczywiście.

- Lud Ulgo nie jest ludem wojowników i nie jest przystosowany do świata na górze. Słońce zapewne by ich oślepiło, jeśli jeszcze kiedykolwiek znowu zaświeci.

- Nie bardzo cię rozumiem, Belgaracie.

- Po spowodowanym przez Toraka zaćmieniu doszło do zmiany pogody - wyjaśnił ojciec. - Pada bez przerwy od piętnastu lat.

- Czy spodziewaliśmy się tego?

- Nasze proroctwa wspominały o deszczu, ale myśleliśmy, że chodzi o jakąś ulewę, nie stałą zmianę klimatu. Czasami mam wrażenie, że jestem manipulowany. Wszystko jest zapisane w kodeksach, ale nie dane mi zrozumieć, co czytani, dopóki Konieczność nie uzna za stosowne mi na to pozwolić. Szczerze wierzę, iż jej się wydaje, że to zabawne.

- Może warto by się nad tą myślą zastanowić - powiedział Gorim z uśmiechem.

- Lepiej nie - gderliwym tonem rzekł ojciec. - Wolę nie dopuszczać do siebie myśli, że Wszechświat jest jednym wielkim żartem. - Pokręcił głową. - Wydarzenia w Drasni świadczą o tym, że mamy do czynienia z wyjątkowo okrutną wojną, Gorimie. Twój lud jest bardzo pobożny i nie poradzi sobie w obliczu takiej przemocy. Pozwólmy Alornom, Tolnedranom i Arendom się z tym uporać. Będziemy cię informować o wszystkim, a gdy Torak zacznie maszerować przez Ulgoland, ostrzeżemy cię na tyle wcześnie, byście zdążyli zamknąć wejścia do waszych grot. Zostawcie Angaraków algothom, hrulginom i eldrakom.

- Poradzę się świętego ULa - powiedział Gorim. - Być może, okoliczności skłonią go do zmiany stanowiska wobec przemocy.

- To zależy już tylko od niego, Gorimie - odparł ojciec. - Wiele głupstw w swoim życiu zrobiłem, ale mówienie ULowi, co ma robić, z pewnością do nich nie należy.

Nasza rozmowa zesłała na bardziej ogólne tematy, a ludzie usługujący Gorimowi przynieśli nam kolację. Kuchnia Ulgo jest trochę jałowa, ale zatrzymałam tę opinię dla siebie. Nie byłam pewna, czy religia nie zakazuje Ulgosom użycia ziół i przypraw.

Po posiłku rozmawialiśmy jeszcze jakiś czas, a potem zaprowadzono nas do naszych pokoi. Właśnie zasypiałam, gdy usłyszałam głos matki.

- Witaj w Ulgo, Pol.

- Mówisz jak stała mieszkanka tej krainy, mamó.

- Naturalnie. A gdzie według ciebie byłam ?

- Nie myślałam o tym. Chyba zdawało mi się, że jesteś wszędzie

- To są groty, Pol, a groty bardzo przypominają norę, nie sądzisz?

- Ach, tak!

- Święty UL chce z nami porozmawiać. Chodź ze mną.

Ubrałam się i szybko opuściłam dom Gorima. Głos matki poprowadził mnie przez labirynt galerii aż na skraj podziemnego miasta. Kolejne korytarze nosiły coraz mniej śladów

ludzkiej działalności. Gruz zaścielający nierówne dno tunelu, w którym znalazłam się po przejściu przez wąską szczelinę, wskazywał, że wkroczyłam na nie zbadany teren.

Wtem, za ostrym zakrętem, poczucie matczynej obecności w mych myślach nagle znikło, a raczej się przesunęło. Matka była tuż przede mną, rzeczywiście tam była. Ulgosi oświetlali swój podziemny świat za pomocą mieszanki dwóch chemikaliów, która dawała blask podobny do fluorescencji. W tej galerii same ściany jarzyły się blaskiem. Może to również była sprawa jakiejś reakcji chemicznej.

Brązowowłosa, złocistooka matka siedziała na trójnożnym stołku w miłym pokoiku, w którym znajdowało się łóżko, stół i mały piec kuchenny. Ściany nie były wykończone, a naczynia kuchenne stały na zgrabnej półeczce za piecem. Mówiąc zwięźle, to nie był pokój; to była wilcza nora.

Matka wstała i wyciągnęła do mnie ręce, a ja dosłownie rzuciłam się w jej objęcia. Stałyśmy przytulone jakiś czas i muszę przyznać, że płakałam. Potem matka delikatnie posadziła mnie przy stoliku i zaparzyła herbatę.

- Powiedziałaś, że UL chciał z nami rozmawiać - przypomniałam, gdy usiadła naprzeciwko mnie.

- Daje nam trochę czasu na oswojenie się z sobą, Pol. A jak on się miewa? - Matka nie używała imienia ojca, gdy o nim mówiła.

- Ojciec nigdy się nie zmieni, mamó. Powinnaś to wiedzieć.

- Zawsze można mieć nadzieję. - Roześmiała się. Rzadko słyszałam jej śmiech. - A Beldin i bliźniaki?

- Oni również się nie zmienili. Dziwna z nas rodzina, wiesz. Żyjemy poza czasem, więc jesteśmy wciąż tacy sami, choć minęło kilka tysięcy lat.

- Ty zmienisz się trochę, i to wkrótce.

- Tak?

- Ty i ja staniemy się sobie bardzo bliskie.

- Jesteś tajemnicza, mamó.

Wtem jedna ze ścian matczynej nory zaczęła jaśnieć delikatnym, przyćmionym blaskiem i Ojciec Bogów wyszedł z litej skały. Oczywiście widziałam już go kiedyś - po śmierci Beldaran - ale byłam wówczas tak roztrzęsiona, że nie byłam do końca pewna, czy rzeczywiście tam był. Jego obecność nappełniła mnie nabożnym lękiem. Był bardzo podobny do naszego Mistrza, stary, miał białą brodę, ale wydawał się bardziej krzepki, nawet muskularny.

- A więc jesteś - powiedziała matka, wstając bez pośpiechu. -Może filiżankę herbaty? - Jej zwyczajne powitanie zaskoczyło mnie.

- Jeśli ci to nie sprawi kłopotu, Poledro - odparł bóg, siadając przy stole.

- Pamiętasz oczywiście Polgardę.

Prastary bóg skinął mi lekko głową, po czym utkwiał we mnie badawcze spojrzenie, które zapewne wszystko widziało.

- Przyjmij wyrazy pochwały, Poledro - zwrócił się do matki. - Wypracowałam arcydzieło.

- Udała mi się, prawda? - odparła skromnie matka.

- Jest odpowiednia, bardziej niż odpowiednia do swego zadania. - Ponownie na mnie spojrzał. - Rad jestem, że cię widzę, Polgardo. Jak miewa się twój prastary ojciec?

- Ma się dobrze, najświętszy - odparłam. - Obecne sprawy nie pozwalają mu na powrót do złych nawyków, więc nie niszczy swego zdrowia, jak zwykle bywało.

Bóg roześmiał się, a ja poczułam się trochę swobodniej.

- Przyzwałem cię tutaj z pewnego powodu, Polgardo - rzekł. - Miło wymienić z wami uprzejmości, ale wkrótce wydarzy się coś, czego powinniście być w pełni świadome, aby nic was nie zaskoczyło.

- To brzmi bardzo tajemniczo, najświętszy.

- Zawsze byłaś bardzo związana z matką, ale w tym szczególnym czasie wasz związek będzie nawet ściślejszy niż wówczas, gdy z siostrą spoczywałyście w jej łonie.

Spojrzałam na niego z zaciekawiona.

- Członkowie waszej rodziny od dawna praktykowali przyjmowanie innych postaci.

- Tak - przyznałam.

- Konieczność teraz wymaga, abyście, ty i matka twoja, przyjęły tę samą postać.

- Już to robiłyśmy, najświętszy. Wiele szczęśliwych godzin spędziłyśmy latając razem jako sowy.

- Nie zrozumiałaś mnie, Polgardo. Nie miałem na myśli dwóch sów. Razem stworzycie wyobrażenie jednej sowy i równocześnie wcielicie się w jej postać.

- Czy to możliwe?! -wykrzyknęłam.

- Mój syn Aldur zapytał o to samo - odparł bóg. - Twe myśli bardzo przypominają jego.

- Po co to wszystko, najświętszy? - pytałam zaciekawiona. - Jaki jest cel tego doświadczenia?

- W tym połączeniu ty i matka zespolicie się i staniecie się sobie tak bliskie, że nawet ślad twej obecności, ani dla oka, ani dla myśli, nie wymknie się z zamkniętej sfery waszych

połączonych istnień. A zatem ani człowiek, ani bóg nie będzie świadom tego, że go obserwujecie.

- Naprawdę? Ależ to zdumiewające! A kogo ma spotkać ów zaszczyt śledzenia przez matkę i mnie?

- A kogóż by innego, Polgardo? Wraz z matką odszukacie zardzewiałą siedzibę syna mego, Toraka, która toczy się z klekotem przez równiny Algarii. Mój syn jest bardzo samotny, odkąd wznosił Klejnot Aldura i mocą jego rozłupał ziemię. Teraz jest wżgardzonym wyrzutkiem, a osamotnienie wielkim żalem go napawa. Toteż często ze swymi uczniami rozmawia, aby poczucie bolesnego osamotnienia zagłuszyć. W tym czasie jego powiernikiem jest Zedar Apostata.

- A zatem matka i ja siądziemy na dachu jego zardzewiałego pałacu i podsłuchamy wszystkie jego plany, strategie i cele - odpowiedziałam.

- Informacje, które macie zdobyć, nie są militarnej natury, Polgardo. Torak cię zna. W rzeczy samej, ty i twój ojciec myśli jego przepełniacie. On ma pewien zamysł, o którym wiedzieć powinnaś. Wiedza ta pozwoli ci się przygotować do wyboru, którego będziesz musiała dokonać pewnego dnia. Nie chcę cię straszyć, ale los całego Wszechświata zależeć będzie od twojej decyzji.

Święty UL rzeczywiście może nie chciał, a jednak mnie przestraszył.

- Nie mógłbyś zapoznać mnie z zamysłem syna swego, najświętszy? - zapytałam. - Ostawianiu twarzą w twarz z Torakiem, nawet jeśli mnie nie może zobaczyć, wcale nie marzę.

- Jesteś odważniejsza od całych armii, Polgardo, i wszyscy darzymy cię wielkim zaufaniem.

- Będę z tobą, Pol - zapewniła mnie matka. - Nie pozwolę, by Torak cię skrzywdził.

- Tego się nie boję, matko, wolałabym tylko nie być zmuszana do zaglądania w jego chory umysł. - W tym momencie zdałam sobie sprawę, co powiedziałam. - Proszę o wybaczenie, najświętszy.

- Nie uraziłaś mnie, Polgardo - rzekł UL i westchnął smutno. - Mój syn nie zawsze był taki. Klejnot go ogłupił i zniewolił. Torak jest stracony dla mnie i swych braci, Polgardo, i jego utrata rani nasze dusze. - Wstał. - Twa matka, jak zawsze, udzieli ci wskazówek w tym względzie. Idź za jej radą i niech ci serce nie zdrzy. A potem odszedł.

- Nawet nie tknął herbaty - powiedziała matka z wyrzutem.

Następnego ranka opuściliśmy z ojcem groty Ulgo. Ponownie wyszliśmy na zaśnieżone ulice opustoszałego miasta Prolgu. Ojciec zaproponował, byśmy przed powrotem do Rivy popatrzyli na armię Toraka. Jego propozycja nieco mnie zaskoczyła. W normalnych czasach

do ojca najlepiej pasował opis leniucha. Raz nawet słyszałam, jak wujek Beldin przeproszał bliźniaków za swój chwilowy brak pilności słowami: „Przepraszam, bracia, ale jestem dzisiaj w belgarathowym nastroju”. Bliźniaki oczywiście wiedzieli, co miał na myśli. Jednakże ojciec, gdy sytuacja wymagała jego uwagi, przez całe tygodnie potrafił obywać się niemal bez jedzenia i snu. Jako lekarz wiem, że spanie „na zapas” z fizycznego punktu widzenia jest całkowitą bzdurą. Cóż, ojciec nigdy nie studiował medycyny, więc termin „fizycznie niemożliwy” niewiele mu mówił. Warto się nad tym zastanowić. Jeśli się nie wie, że coś jest niemożliwe, czy można to zrobić nawet na przekór prawom fizjologii czy fizyki? Prawdopodobnie to jest jedna z wad wykształcenia. Jeśli nie wiedziałbyś, że nie możesz sam podnieść się za kark do góry, może byś to potrafił. Ciekawa jestem, czy udałoby mi się nakłonić Mandorallena, by tego spróbował. Kiedy wylecieliśmy z gór Ulgo, z zadowoleniem stwierdziliśmy, że deszcz przestał padać, choć niebo nadal przesłaniały chmury.

Świat wydaje się trochę nierealny, gdy patrzeć na niego z góry. Sprawy, które mają ogromne znaczenie na ziemi, wydają się nieistotne. Ludzie i zwierzęta przypominają małe owady. Pomimo to zaskoczyła mnie wielkość armii Angaraków pełzającej po łagodnym obliczu algarskiej równiny. Szacowano, że Torak najechał Drasnię z milionem żołnierzy, a tamtejsza kampania tylko nieznacznie uszczupliła ich liczbę. Szybując w górę, widzieliśmy oddziały algarskiej jazdy atakujące tę armię z zastosowaniem swej typowej taktyki uderzenia i ucieczki. Pofałdowana powierzchnia równin dawała wiele kryjówek partyzantom. Małe oddziały jazdy wypadały z kotlinek w szaleńczym pędzie, by uszczknąć kilka kęsów z armii Toraka, która ciągnęła ociążale na południe, ku Twierdzy. Każdy z tych ataków mało znaczył, ale wszystkie razem przypominały w działaniu stałe upuszczanie krwi. Wątpię, czy Torak zdawał sobie sprawę, że ciągnąc na południe, powoli wykrwawia się na śmierć. Angarackie próby pościgu za napastnikami tylko pogarszały sprawę, ponieważ uczestnicy pościgów rzadko wracali. Miałam okazję obserwować taktykę jazdy w najlepszym wydaniu. Początkowe ataki algarskiej jazdy nie miały większego znaczenia, przypominały wymierzenie policzka. Ich jedynym celem było sprowokowanie oddziałów angarackiej jazdy do pościgu, który wciągał ich w zasadzki zastawione w płytkich wąwozach, daleko za końcem głównych sił angarackich. Jazda Cho-Rama systematycznie zbierała krwawą daninę z armii Toraka.

Kiedy Algarom już się to znudziło, zaczęli zabawiać się przepędzaniem stad bydła przez oddziały Mallorean, Murgów, Nadraków i Thullów. Ze strategicznego punktu widzenia Algaria nie była niczym więcej jak rozległą pułapką, w którą dał się schwytać Bóg Smok.

Upiorna zabawa trwała dalej, rozgrywana wedle tego samego nudnego schematu. Po jednym dniu zobaczyłam już dosyć, ale ojciec chyba się tym rozkoszował. Trzeciego dnia odlecieliśmy na pewną odległość od skrzydła armii najeźdźców i wylądowaliśmy na ziemi. Wówczas dość opryskliwie oświadczyłam memu żądnemu widoku krwi ojcu, że ja już dość się napatrzyłam.

- Masz rację, Pol, czas wracać - powiedział niemal z żalem. - Lećmy na Wyspę Wiatrów i powiedzmy Alornom, co się szykuje. - Wtem roześmiał się. - Nie docenialiśmy Algara. Ta jego kraina to genialne posunięcie. Z rozmysłem zmienił swój lud w koczowników, więc nie ma tu żadnych miast. Cała Algaria to tylko rozległe pustkowia porośnięte trawą. Algarowie nie muszą bronić miast, więc oddają ogromne połacie swej ziemi bez zastanowienia. Wiedzą, że po przejściu Angaraków będą mogli wrócić. Jedynym miejscem o jakimkolwiek znaczeniu w całym tym dziwnym królestwie jest Twierdza, a to nawet nie jest miasto, tylko przynęta.

- Zawsze lubiłam Algara - przyznałam. - W innych okolicznościach złapałabym go na męża. Mógłby z niego być bardzo ciekawy małżonek.

- Polgardo! - ojciec sprawiał wrażenie zszokowanego, co mnie rozśmieszyło i wybuchałam śmiechem, a to z kolei jego rozdrażniło. Uwielbiałam go złościć.

Pogoda znowu się popsuła. Następnego ranka opuszczaliśmy Algarię w ponurej mżawce. Przelecieliśmy nad górami Sendarii i dwa dni później dotarliśmy na Wyspę Wiatrów.

Alornskich królów najbardziej martwiła druga angaracka armia, dowodzona przez Urvona. Zdaje się, że trudno w pełni cieszyć się wojną, gdy trzeba wciąż oglądać się za siebie, wypatrując niespodziewanych wrogów. Byli również trochę zdenerwowani propozycją ojca, aby przenieść kwaterę dowództwa do Tol Honeth. Alornowie czasami są tacy dziecinni. Samolubnie nie chcą się z nikim dzielić wspaniałą wojną. Znałam już Branda na tyle dobrze, by rozmawiać z nim otwarcie.

- Nie jesteś trochę za bardzo zblazowany, przyjacielu? - zapytałam. - Masz stoczyć pojedynek z bogiem, a traktujesz to jak mało znaczące zadanie, jakbyś miał naprawić płot lub narąbać drewno na wieczorne ognisko.

- Nie ma co się tym podniecać, Pol - odparł swym głębokim, aksamitnym głosem. - To się tak czy inaczej wydarzy. Nie mogę się ukryć ani uciec, więc po co miałbym jeszcze z tego powodu nie spać po nocach?

- Na litość boską, nie możesz choćby udawać niepokoju? Zrobił przerażoną minę, co wyglądało absolutnie groteskowo.

- Jak ci się to podoba? - zapytał.

Nie wytrzymałam, musiałam się roześmiać.

- Poddaję się - powiedziałam. Brand nie przypominał z wyglądu Kamiona, ale zachowywali się bardzo podobnie, a i ze mną łączyły ich podobne stosunki.

- Dziękuję - rzekł. - Szczęki zaczynały mi już drętwieć, długo nie utrzymałbym tego wyrazu twarzy.

- Twoja żona ma na imię Aren, prawda?

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Powinnyśmy się lepiej poznać. Ty i ja będziemy przez kilka lat spędzać razem sporo czasu, więc wolę być pewna, że nie skończy się to wybuchem zazdrości.

- Aren to rozsądna kobieta. Wie, że nie zrobiłbym nic niewłaściwego.

- Brandzie - uśmiechnęłam się - jestem pewna, że dobry z ciebie administrator i waleczny wojownik, ale na kobietach się nie znasz

- Jesteśmy z Aren małżeństwem od prawie dwudziestu lat - zaprotestował.

- To nie ma absolutnie nic do rzeczy. Zapewniam cię, że przestaniesz być atrakcyjna, gdy nagle pozielenieje, a ty przestaniesz być taki krzepki, gdy przez następne dwadzieścia lat będzie cię karmić gotowanym sianem.

- Chyba tak by nie postąpiła?

- Widzisz sam, że nie jesteś tego pewny. - Pomyślałam chwilę. - Przedstaw mnie Aren jako prastarą Polgardę. Trzeba podkreślić mój wiek.

- Bądź poważna, Pol. Nie jesteś przecież stara.

- Kochany chłopcze - powiedziałam, czule klepiąc go po policzku. - Prawdę mówiąc, skończyłam właśnie dwa tysiące osiemset sześćdziesiąt siedem lat. Nie krępuj się i wyjaw Aren tę liczbę. Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie będzie zazdrosna o starą babę.

- Każdy, kto ośmieliłby się tak cię nazwać, odpowie przede mną, Pol! - wykrzyknął zapalczywie.

- Uspokój się, Brandzie - powiedziałam z uśmiechem. - To tylko wybieg dla zamknięcia ust Aren.

- Myślę, że wyolbrzymiasz niebezpieczeństwo, Pol, ale pójdę za twą radą.

- Doprawdy, azali nie najmilszy z ciebie młodzieniec na całym świecie?

- Przepraszam, Pol, czemu tak dziwnie mówisz?

- To długa historia, Brandzie... bardzo długa. Któregoś dnia, gdy będziemy mieć mnóstwo czasu, opowiem ci ją.

Po długich namowach alornscy królowie w końcu przenieśli dowództwo do Tol Honeth, a wtedy udaliśmy się z ojcem do Twierdzy. aby przyjrzeć się jej obronie. Czekala nas tam

jednak niemiła niespodzianka. Moje ostatnie spotkanie z bogiem dało mi głębokie poczucie Przeznaczenia i Celu, który implikuje rozkazy. Jednakże trzeba się też liczyć z czystym przypadkiem. Garel, spadkobierca tronu Rivy, wyjechał z kilkoma algarskimi przyjaciółmi na zwiady. Koń Garela potknął się i wyrzucił go z siodła. Każdy, kto jeździ konno, czasami spada z siodła. To nie jest przyjemne, ale zwykle na tym się kończy. Jednakże tym razem Garel źle upadł, skręcił kark i zginął na miejscu. Jego żona, Aravina, mało nie oszalała z żalu. Zaaplikowałam jej miksturę, po której była półprzytomna, i długo utrzymywałam ją w tym stanie. Moim głównym zmartwieniem, jak zwykle, był chłopiec, Gelane. W ciągu stuleci zdobyłam dużą praktykę w pocieszaniu małych chłopców, więc wiedziałam, co należy zrobić. Któregoś dnia może nawet odkryję sposób, aby poradzić sobie z własnym smutkiem.

Jednakże armia Toraka zbliżała się do Twierdzy, więc nie było czasu na opłakiwanie zmarłego. Gelane miał dopiero sześć lat, ale sytuacja zmuszała do zmiany tradycji. Opowiedziałam mu, kim jest naprawdę. Dzieciństwo i wczesna młodość moich podopiecznych zawsze były najtrudniejszym dla mnie okresem. Poprzysięgłam chronić rivańską linię rodową, a sześciolatek, któremu zmarł ojciec, nie mógł liczyć na zastępców. Małe dziewczynki są rozsądne. U nich później przychodzi czas nierozumnego zachowania. Chłopcy jednak stają się nierozumni, gdy tylko zaczynają chodzić. Garion, na przykład, wybrał się na przejażdżkę tratwą po stawie na farmie Faldora, choć jeszcze nie umiał pływać. Jeśli czasami wydaję się zbyt nerwowa, możecie złożyć to na karb czternastu stuleci starań ustrzeżenia małych chłopców przed śmiercią w wypadku. Nadzieja, że uda mi się przekonać Gelane do większej ostrożności, kazała mi opowiedzieć mu o jego pochodzeniu. Podkreśliłam fakt, że jeśli da się zabić, to linia rivańskich dziedziców zginie razem z nim. Wydawał się to rozumieć, ale z małymi chłopcami nigdy nic nie wiadomo.

Potem przyszedł ten deszczowy wieczór, w który głos matki oderwał mnie od fragmentu Kodeksu Mrińskiego odnoszącego się do obecnej sytuacji.

- Polgardo - powiedziała dziwnie łagodnym tonem - Już czas. Chodź na północny mur. Tam się spotkamy.

Odłożyłam zwój i wyszłam z pokoju ukrytego we wnętrzu Twierdzy, by wspiąć się na szczyt murów obronnych budowli przypominających górę.

Mżyło, a powiewy wiatru zdecydowanie jeszcze pogarszały sprawę. Matka, otulona w prostą wieśniaczą szatę, stała na murach wpatrzona w deszczową noc. Była tam naprawdę. Jeszcze nie przyzwyczaiałam się do jej rzeczywistej obecności.

- Jestem, mam - powiedziałam. Jej złociste oczy załśniły tajemniczo.

- Nie lękaj się, Pol. UL powiedział mi dokładnie, co mam robić. Po prostu mnie słuchaj.

- Dobrze - odparłam, ale obawy mnie nie opuściły.

- To nie będzie bolało, Pol - powiedziała, uśmiechając się lekko

- Wiem, ale nigdy czegoś takiego nie robiłam i jestem trochę zdenerwowana.

- Potraktuj to jak przygodę, Pol. Najpierw stworzymy obraz tej sowy. Twoje i moje wyobrażenie powinno zgadzać się w najdrobniejszych szczegółach, co do ostatniego piórka.

Za pierwszym razem zajęło nam to trochę czasu. Musiałyśmy uzgodnić wiele drobnych różnic, by stworzyć obraz jednego ptaka.

- Co o tym sądzisz? - zapytała wreszcie matka.

- Dla mnie wystarczająco przypomina sowę.

- Też tak uważam. A teraz nie spiesz się, musimy zrobić to jednocześnie. Prawdziwe połączenie zacznie się, nim wcielimy się w wyobrażenie sowy. Rozpocznie się w chwili, gdy staniemy się płynne, jak powiedział mi UL, a całkowite zjednoczenie zakończy się, nim przybierzemy postać ptaka.

- Chyba wiem dlaczego.

- To nie będzie dla nas łatwe, Pol. Ja na tyle często gościłam w twym umyśle, że znam cię już dobrze, ale ty zetkniesz się ze sprawami, których poprzednio nie doświadczyłaś. Nie urodziłam się jako człowiek, więc jest we mnie jeszcze sporo z wilka. Mam instynkty, które zapewne ci się nie spodobają.

- Postaram się o tym pamiętać - powiedziałam z lekkim uśmiechem.

- Zaczynajmy.

Nie potrafię tego opisać, więc nie będę nawet próbować. Jest taki moment w trakcie zmiany postaci, który trudno uchwycić. To bardzo krótka chwila, gdy całe twe istnienie przekształca się z jednej postaci w drugą. Matka użyła określenia „płynny”, które okazało się bardzo precyzyjne. W pewnym sensie zaczynasz się topić, aby przepłynąć z jednej postaci w drugą. W tym właśnie momencie matka i ja połączyłyśmy się i wlałyśmy naszą połączoną świadomość w postać sowy. Ostrzeżenie matki, że mogę uznać ją za nieco dziwną, było grubą przesadą. Myślę, że przeoczyła fakt, iż z racji dziedziczenia w najgłębszych pokładach mego jestestwa też po części byłam wilkiem. Podejrzewam, że połączenie było łatwiejsze dla mnie niż dla matki. Nadal jeszcze pamiętam czas przed naszymi narodzinami, więc ogromna bliskość, czy nawet zjednoczenie, nie były mi całkiem obce. A ponieważ wilki rodzą się po kilka w miocie, matka też to już przeżyła.

Naszła mnie rozkoszna myśl, gdy wniknęłyśmy w postać sowy, a odpowiedź znalazłam natychmiast. Naprawdę miałam wujków i ciotki, których nie znałam. Teraz poznałam ich i pokochałam, tak jak matka, gdy bawili się razem jako wilcze szczenięta. Przyglądziłyśmy

dziobem pióra niemal odruchowo. Szybko przyzwyczajaliśmy się do naszego osobliwego połączenia, rozpostarliśmy śnieżne skrzydła i poszybowałyśmy w deszczową ciemność.

Poleciałyśmy na północ i wkrótce zobaczyłyśmy dymiące ogniska w obozowisku angarskiej armii. Rozbili je nie dalej niż trzy ligi od Twierdzy. Leciałyśmy dalej w kierunku środka tego ogromnego obozowiska, gdzie wypatrzyłyśmy żelazny pawilon Boga Smoka. Cicho przysiadłyśmy na murach. Oczywiście wszystko w tym pawilonie było bogato zdobione. Całość przypominała dekorację umieszczoną na bardzo dużym wozie. Pycha Toraka rozrosła się do jeszcze bardziej groteskowych rozmiarów, niż sobie wyobrażałam.

Wypatrzyłyśmy otoczone framugą okno w pobliżu szczytu jednej z wież. Kilka machnięć skrzydeł przeniosło nas na parapet i zacisnęłyśmy szpony na jego krawędzi. Potem wkradłyśmy się do środka. Zamknęłyśmy się przy tym w sobie tak kompletnie, że dosłownie znikłyśmy w środku. Właśnie owo zamknięcie się w sobie czyniło nas niewidzialnymi i nie pozwalało, by choćby jedna myśl przestrzegła Toraka o naszej obecności.

- Jestem chory z beczynności, Zedarze. - Głos był dudniący, niósł się echem i natychmiast spostrzegłyśmy dlaczego. Torak spoczywał na żelaznym tronie, ale okaleczoną twarz nadal zakrywała mu wypolerowana stalowa maska.

- Zawsze tak jest przed bitwą, mistrzu - odparł Zedar. - Podzielam twój niepokój.

- Czy rzeczywiście raporty, które otrzymaliśmy o tej twierdzy, mogą być prawdziwe?

- Alornowie to głupi lud, mistrzu - prychnął Zedar. - Postaw im jakiegokolwiek pozbawione sensu zadanie, a będą je realizować przez całe pokolenia. Niczym mrówki, Algarowie znosili kamienie na szczyt tej kupy gładów od tysięcy lat.

- To tylko drobna przeszkoda, nic więcej, Zedarze. Zmiotę ja z powierzchni ziemi i podążymy dalej. Klejnot Aldura będzie znowu mój, a wraz z nim jeszcze jedna nagroda.

- Jaka?

- Długo się na tym zastanawiałem, Zedarze. Będę panował nad całym światem, a ozdobą mej korony będzie drogocenny kamień.

- Klejnot Aldura? - domyślił się Zedar.

- Klejnot mego brata, Cthrag Yaska, nie jest ozdobą, Zedarze. Jest jedynie środkiem do osiągnięcia celu. Prawdę rzekłszy, Zedarze, nienawidzę tego przeklętego Klejnotu za to, co mi uczynił. Klejnot, o którym mówiłem, jest bardziej czysty. Będę królem całego świata, a wskazane jest, aby król miał królową. Już wybrałam tę, z którą dzielić będę tron. - Wtem wybuchnął okropnym śmiechem. - Nie przepada za mną, ale tym więcej rozkoszy w tym znajdę. Będzie mi posłuszna... nie, nawet wielbić mnie będzie.

- A kim jest owa szczęśliwa wybranka, mistrzu?

- Pomyśl, Zedarze. Zaprawdę, to twój sprytny pomysł zwiedzenia służki brata mego, Salmisry, natknął mnie tą myślą. - Westchnął. - Bracia mnie odtrącili, więc teraz muszę dać początek nowej rasie bogów, by pomogli mi w rządzeniu światem. Która z kobiet tego świata jest godna, by dzielić ze mną tron... i łożę?

- Polgarda? - zapytał z niedowierzaniem Zedar.

- Bystry jesteś, Zedarze - powiedział jednooki bóg. - W rzeczy samej, nasza pielgrzymka po tym kontynencie ma dwa cele... dwie nagrody. Pierwszą jest Cthrag Yaska, Klejnot mego brata. Drugą i nie mniej ważną jest Polgarda, córka Belgaratha. Będzie moja, Zedarze, czy tego zechce, czy nie. Polgarda będzie moja!

Krzyknęłam w duchu po usłyszeniu tego przerażającego zamysłu. Tylko dzięki opanowaniu matki mój krzyk panicznego strachu i obrzydzenia nie rozbrzmiał echem od Wschodniego Szańca po góry Ulgolandu. Poczułam pustkę w głowie. Uświadomiłam sobie, że jeśli dojdzie do bezpośredniej konfrontacji pomiędzy Torakiem i mną, to jego Wola zmiążdży moją, a ja nieuchronnie ulegnę jego wstrętnym pochlebstwom. Zostanę jego niewolnicą... i gorzej. Myślę, że gdyby matka nie była ze mną tak ściśle zespolona, postradałabym zmysły. Zapobiegła temu jednak w całkiem prosty sposób. Po prostu odebrała mi świadomość. Nie pamiętam, jak wydostałyśmy się z pałacyku Toraka ani jak matka wzbijała się coraz wyżej w deszcz i mrok.

- Ocknij się, Polgardo! - Głos, który rozległ się w środku mej oszołomionej świadomości, był szorstki. - Dość już tego! Płakałam jak dziecko.

- Przestań! Musiałaś się o tym dowiedzieć, Pol, i musiałaś usłyszeć to z jego ust. A teraz weź się w garść. Nie jesteśmy tu dla zabawy.

Rozejrzałam się. Byłyśmy wyżej, niż zwykle latają sowy. Na szeroko rozłożonych, nieruchomych skrzydłach powoli szybowaliśmy w dół, ku Twierdzy.

- Gdy tylko wrócimy, obudź ojca. Powiadom go o przybyciu Toraka, ale nie musisz powtarzać tego, co właśnie usłyszałaś. Przywołaj go, Pol. Trochę czasu zajmuje mu wybudzenie z pierwszego snu. Zdążymy dolecieć na miejsce, nim wdrapie się na schody.

Z ponurą stanowczością otrząsnęłam się z ogarniającej mnie słabości.

- Ojczy, ojczy!

- Gdzie jesteś? - Myśli ojca przyćmiewał jeszcze sen.

- Wyjdź na mury od północnej strony. Zaczekam na ciebie.

- Trzymaj nerwy na wodzy, Pol - poradziła matka. - Będzie za dawał pytania, a ty nie możesz odpowiadać zbyt dokładnie.

- Zwykle tak robię, mamó. - Odsunęłam na bok lęki i postarałam się znowu działać racjonalnie.

Wylądowałyśmy na murze na chwilę przed pojawieniem się zdyszanego ojca. Zobaczył sowę i natychmiast zaczął marudzić.

- Prosiłem, żebyś tego nie robiła, Pol. - Oczywiście nie mógł wiedzieć, że nie jestem w tej postaci sama. Czułam się mocno poruszona matczyną miłością do tego starca w zniszczonym ubraniu.

Uleciałyśmy z przyjętej postaci i w następnej chwili matki już tu nie było. Nasze rozdzielenie było dla mnie bardzo bolesne.

- Nie chciałam cię urazić, ojczu - usprawiedliwiałam się - ale postępowałam zgodnie ze wskazówkami.

Rozmyślnie użyłam tego terminu. Słowo „wskazówki” ucinęło wszelkie dyskusje w naszej rodzinie. Choć przyznaję, że pominięcie, czyje wskazówki wypełniałam, można by uznać za wymigiwanie się od prawdy.

- Spójrz na to - powiedziałam, wskazując morze Angaraków nadciągających we mgle niczym fala przyływu.

- Miałem nadzieję, że zgubią się gdzieś po drodze - mruknął ojciec. - Jesteś pewna, że Torak jest z nimi?

- Tak, ojczu. Byłam tam, widziałam go. Jego żelazny pawilon znajduje się w samym środku tłumu.

- Coś ty zrobiła?! Polgardo, tam jest Torak! Teraz wie, że tu jesteś! Właśnie widziałam Toraka, więc nie miałam ochoty wysłuchiwać zrzędzenia ojca.

- Nie denerwuj się, staruszk. Kazano mi to zrobić. Nie ma sposobu, by Torak dowiedział się o mojej obecności. Jest w pawilonie razem z Zedarem.

- Od jak dawna?

Z rozmysłem udałam, że inaczej zrozumiałam jego pytanie.

- Odkąd opuścił Mallorę. Chyba. Chodźmy zaalarmować Algarów, a potem zjemy śniadanie. Całą noc nie spałam i konam z głodu.

Był wyraźnie ciekawy, jakich środków użyłam, aby ukryć się przed Torakiem i Zedarem, ale słowo „śniadanie” jak zwykle podziałało niczym zaklęcie. Wystarczy powiedzieć „jedzenie” lub „piwo”, aby zaskarbić sobie niepodzielną uwagę ojca.

Po śniadaniu wróciliśmy na mury, aby zobaczyć, jak Torak zaplanował atak na górę Algarów. Zaczęli konwencjonalnie, od miotania głazów na mury, ale ćwierć wieku deszczów odniosło większy skutek niż ta kanonada. Wyobrażam sobie, jakie to musiało być

deprymujące dla załóg obsługujących katapulty. Potem Angarakowie przytoczyli ogromne tarany, co również okazało się tylko stratą sił i czasu, bo brama nie była zamknięta. To musiało wzbudzić podejrzenia angarackich generałów, ponieważ Thullom przypadł w udziale zaszczyt pierwszego ataku. Zawsze gdy angaracka armia natrafiła na jakieś niebezpieczeństwo, wysyłano tam Thullów. Kilka regimentów muskularnych, mało rozgarniętych Thullów rzuciło się przez bramę. Przez chwilę wędrowali po labiryncie przejść, po czym Algarowie i Drasnianie wyłonili się z ukrycia na szczytach muru i wybili wszystkich co do jednego. Z pewnością oddziały zgromadzone na zewnątrz słyszały dobiegające ze środka wrzaski, ale wolały nie sprawdzać, co się tam dzieje. To było dość okrutne, lecz osobiście nie miałam nic przeciwko temu. Ataki barbarzyńskich sił Toraka nie wywalczą mu dostępu do Twierdzy, a jeśli zamierzał mi się oświadczyć, musiał najpierw dostać się do środka.

Nocą Algarowie zbombardowali obóz Angaraków ciałami martwych Thullów. Z nastaniem ponurego świtu przybyła algarska jazda. W czasie marszu na południe podcinała skrzydła armii Toraka, a teraz spokojnie ją otoczyła. Oddziały kwatermistrzowskie dowiedziały się o tym, gdy tylko wyruszyły na poszukiwanie prowiantu. Torak nie musiał jeść, ale jego armia musiała. Niestety przez następne kilka lat jego żołnierze musieli zadowolić się bardzo skromnymi racjami. Po tygodniu sytuacja ustabilizowała się i uznaliśmy z ojcem, że

oblężenie Twierdzy może potrwać długo, a nasza obecność nie ma większego sensu. Postanowiliśmy wrócić na Wyspę Wiatrów. Przedtem odbyłam jednak jeszcze jedną rozmowę z Gelane.

- To bardzo podniecające, ciociu Pol - powiedział chłopiec.
- Podniecenie szybko mija, Gelane.
- Jak długo zwykle trwa oblężenie?
- Zazwyczaj kilka lat.
- Tak długo? Czy ludziom na zewnątrz to się nie znudzi? Nie widzą, że nie dostaną się do środka?
- To są żołnierze, Gelane. A żołnierzom na przemyślenie spraw trzeba trochę więcej czasu niż zwykłym ludziom.
- Nie lubisz żołnierzy, ciociu Pol?
- Jako jednostki są normalni. Dopiero kiedy zbierzesz ich w armię, tracą rozum. Chcę, abyś był bardzo ostrożny, Gelane. Nie stawaj w otwartym oknie. Torak przybył tu, bo zamierza cię zabić.

- Mnie? Dlaczego mnie? Co ja mu zrobiłem?

- Nie chodzi o to, co zrobiłeś, Gelane. Chodzi o to, co możesz zrobić w przyszłości.

- Nie rozumiem.

- Ty... lub twój syn, syn twego syna lub ktoś z długiej linii rodu który się od ciebie wywiedzie, zabije Toraka. Jeśli on teraz zabije ciebie, nie będzie się już musiał tym martwić.

Chłopcu rozbłyły oczy.

- Zdobędę miecz i zacznę ćwiczyć - powiedział z zapalem.

- O rety! - westchnęłam, gdy uświadomiłam sobie poniewczasie swój błąd. Nigdy nie wolno sugerować małemu chłopcu bohaterskich czynów. Przed osiągnięciem przynajmniej dwudziestu lat nie powinien nawet wiedzieć, co to słowo znaczy. - Gelane - tłumaczyłam mu cierpliwie - masz dopiero sześć lat. Teraz nawet nie potrafiłbyś unieść miecza, a co dopiero nim wymachiwać. Wiesz, co powinieneś robić? W tamtym rogu labiryntu jest sterta kamieni.

- Tak, widziałem ją.

- Weź jeden z tych kamieni i zanieś na mury, a potem zrzuć na Angaraków.

- Założę się, że im się to nie spodoba.

- Zapewne.

- A co potem, ciociu Pol?

- Weźmiesz następny kamień.

- Te kamienie są okropnie ciężkie.

- Tak, w istocie. O to właśnie chodzi, Gelane. Dźwiganie ciężarów jest dobrym sposobem na rozwój mięśni, a musisz być bardzo silny, jeśli masz stoczyć z Torakiem pojedynek na miecze.

- Ile zajmie czasu... ten rozwój moich mięśni?

- Nie wiem, sześć, może siedem lat. Może dziesięć.

- Wolę nauczyć się strzelać z łuku.

- To może być ciekawsze zajęcie. Opiekuj się mamą, Gelane. Zajrzę tu od czasu do czasu, aby sprawdzić, jak radzisz sobie z łukiem.

- Będę dużo ćwiczył, ciociu Pol - obiecał.

Mam nadzieję, że to zapamiętacie. Cała tajemnica postępowania z chłopcami tkwi w odwróceniu sytuacji. Nie zabraniajcie niczego robić. Sprawcie natomiast, aby robienie tego nie wydawało się przyjemne. Chłopięcy zapal ulatnia się proporcjonalnie do ilości wiążącego się z tym potu. Wierzcie mi. Robię tak już od bardzo dawna. Opuściliśmy z ojcem Twierdzą o świcie następnego dnia i poleciliśmy na zachód, do Camaar. Noc spędziliśmy w tym co

zwykle zajeżdże i poleciliśmy do Rivy, by zebrać alornskich królów. Sam Ran Borune oczekiwał nas na nabrzeżu i to było coś zupełnie niezwykłego. Z powodu niejasnej sytuacji politycznej odstąpił od swych zwyczajów, by nie urazić przewrażliwionych alornskich królów. Lubiłam go. Nie był wysoki, jak wszyscy członkowie rodu Borunów. Wprowadzenie przez ojca Driada do rodu Borunów miało osobliwy skutek. Driada czystej krwi, na przykład, nigdy nie urodzi syna, ale ich niewielki wzrost jest dziedziczony właśnie w linii męskiej i rzadko kiedy mężczyźni z rodziny Borunów byli wyżsi niż pięć stóp. Aby nie urazić rozsądku Tolnedran, uciekliśmy się z ojcem do pewnego wybiegu, pozwalając naszym południowym sprzymierzeńcom wierzyć, że imiona „Belgarath” i „Polgarda” są rodzajem dziedzicznych tytułów. Mówiono mi, że na wydziale historii Uniwersytetu Tolnedry powstał kierunek poświęcony badaniom nad nami. Opracowano nawet drzewo genealogiczne owej tajemniczej rodziny, która odgrywała tak duże znaczenie w północnych królestwach. Księżna Erat, na przykład, była Polgardą VII, a w czasie najazdu Angaraków byłam Polgara LXXXIII.

Nie wiem, czy ten kierunek nadal istnieje, ale jeśli tak, to zapewne obecnie mówi się o mnie jako o Polgarze CXVTI. Czyż to nie robi wrażenia?

Imperatorowi towarzyszył naczelny dowódca, generał Cerran z rodu Anadilów, który zawsze pozostawał w bliskich związkach z Bourmami. Cerran, genialny taktyk, był mocno zbudowany, miał szerokie bary i ani śladu brzucha, który zwykle pojawia się u mężczyzn

w Jego wieku. Królowie Alornów przybyli do Tol Honeth kilka tygodni temu, więc mogliśmy od razu wziąć się do pracy. Ran Borune oddał nam do dyspozycji Imperialne Kolegium Wojny, gdzie znajdowały się wszystkie mapy. Naród, który spędził ponad tysiąc lat na budowie dróg, musiał mieć mnóstwo map. Jestem przekonana, że jeśli ktoś byłby bardzo ciekaw, to mógłby odszukać w Kolegium Wojny mapę z dokładną lokacją swego domu.

Pracowaliśmy w Imperialnym Kolegium Wojny, ale nocowaliśmy w różnych ambasadach. Nie dlatego że pragnęliśmy zachować tajemnicę, ale dlatego że goście w imperialnym pałacu zdawali się przyciągać towarzystwo. Nie użyłam tu słowa „szpiegów”, ale chyba rozumiecie, o co mi chodziło. Ponieważ ojciec sprytnie zasugerował, że nasze informacje pochodzą od wywiadu drasniańskiego, Tolnedranie nie musieli akceptować spraw, na których przyjęcie nie byli gotowi. Tolnedranin potrafił uciekać się do absurdalnych wybiegów, byleby tylko dalej trwać w niezmałonym przekonaniu, że coś takiego jak czary nie istnieje. Czasami dochodziło do nieporozumień, ale zawsze nam się jakoś udawało. W głębi duszy wszyscy wiedzieliśmy, że to tylko wybieg, lecz dopóki zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy w to wierzyli, nasze stosunki z Tolnedranami układały się bez zarzutu. Toteż gdy wujek Beldin przybył do Tol Honeth z raportem o tym, co zobaczył w Cthol Murgos,

przedstawiliśmy go jako drasniankiego szpiega. W końcu Beldin i tak miał spore doświadczenie w szpiegowaniu, więc poradził sobie całkiem nieźle. Generał Cerran uznał raport wujka Beldina o niesnaskach pomiędzy Ctuchikiem i Urvonem za szczególnie interesujący.

- Najwyraźniej społeczeństwo Angaraków nie jest tak monolityczne, jak się zdawało - powiedział w zamyśleniu.

- Monolityczne? - parsknął Beldin. - Jest dalekie od tego, generale. Gdyby Torak nie trzymał w garści swoich wyznawców, z radością by się pozarzynali, co zresztą ma właśnie miejsce w południowym Cthol Murgos.

- Może nam się poszczęści i obie strony wygrają - powiedział Cho-Ram.

- Biorąc pod uwagę ową niechęć Murgów do Mallolean, jak sądzisz, ile czasu zajmie Urvonowi przemaszerowanie przez południowe Cthol Murgos, panie Beldinie? - zapytał Cerran.

- Przynajmniej pół roku - odparł Beldin ze wzruszeniem ramion. - Myślę, że za sprawą Murgów ten marsz może być interesujący.

- Tak więc mamy odpowiedź na jedno pytanie.

- Nie rozumiem, generale.

- Twój przyjaciel i jego uroczą córkę powiedzieli nam, że ten człowiek, nazywający siebie Kal Torakiem, odczuwa silną potrzebę religijnej natury dotarcia do pewnego miejsca w Arendii w określonym czasie.

- To trochę bardziej skomplikowane, ale możemy tak przyjąć... chyba że masz ochotę wysłuchać wykładu na temat osobliwości angarackiej religii.

- Nie, dziękuję, panie Beldinie - odparł Cerran z lekkim uśmiechem. - Nie znamy dokładnej daty, ale możemy ją z pewnym przybliżeniem określić.

-Jak?

- Kal Torak będzie chciał, żeby Urvon znalazł się w pobliżu południowej granicy Nyissy w odpowiednim czasie. Zostawi sobie rezerwę czasową, ponieważ przy ataku dwuskrzydłowym oba skrzydła muszą być na pozycjach, gdy nadejdzie pora ataku. A to oznacza, że Urvon musi ruszyć wcześniej. Załóżmy, że jak twierdzisz, potrzebuje pół roku na przejście Cthol Murgos. Bitwa będzie bliska rozpoczęcia, gdy Urvon wymaszeruje z Rak Hagg. Wówczas i my ruszymy na nasze pozycje. Potwierdzeniem dla nas będzie, gdy Torak porzuci oblężenie Twierdzy i ruszy na zachód. Od tego momentu do rozpoczęcia bitwy pozostanie jeszcze czterdzieści pięć dni. Tak jak sugerowałeś, po drodze może dojść do

opóźnień, ale dla pewności posługujemy się kalendarzem Toraka. Ruszymy, gdy Urvon ruszy. Możemy przybyć tam wcześniej, ale lepiej wcześniej niż za późno.

- Szczwana sztuka z tego gościa - powiedział Beldin.

- Przestań! - rzucił z rozdrażnieniem ojciec. Potem skłonił lekko głowę przed generałem Cerranem. - Cieszę się, że jest pan z nami, generale. Do tej pory w sprawach militarnej natury miałem głównie do czynienia z Alornami, a oni nie mają zwyczaju obmyślania strategii na zapas. Staranne planowanie działań ich nudzi.

- Belgaracie! - zaprotestował siwobrody król Eldrig.

- To jedynie różnica w podejściu, wasza wysokość - załagodził sprawę generał Cerran. - Doświadczenie mnie nauczyło, że sprawy potrafią przybrać niepomyślny obrót w czasie militarnych operacji i staram się to wziąć pod uwagę. Moje oszacowania są dość pobieżne, ale nawet jeśli Urvon i Kal Torak niezbyt dokładnie będą trzymali się mojego rozkładu, to my i tak naszą obronę będziemy mieli na miejscu odpowiednio wcześniej. Nie lubię się spóźniać na towarzyskie imprezy.

- Traktujesz wojnę jak przyjęcie, generale? - zapytał ojciec nieco zaskoczony.

- Jestem żołnierzem, Belgaracie. A dobra wojna to dla żołnierza najlepsze życie towarzyskie.

- Trzeba się będzie do niego przyzwyczaić - zachichotał Beldin - Ale głowę ma nie od parady.

- Jest pan nazbyt uprzejmy, panie Beldinie - mruknął generał.

Nasze posiedzenia miały bardziej uporządkowany przebieg niż narady w Rivie. Cerran był człowiekiem systematycznym, który odfajkowywał takie rzeczy, jak „gdzie”, „kiedy” i „jak”, po kolei zaginając palce. Ustaliliśmy już, że „kiedy” będzie wyznaczone określoną aktywnością obu części angarackich sił. Potem przeszliśmy do „gdzie”. Kodeks Mriński mówił, że do ostatecznej bitwy dojdzie w Arendii. Nasza wygodna wymówka w postaci drasniańskiego wywiadu pozwoliła przyjąć to Tolnedranom za sprawdzony fakt. Jednak Arendia to duży kraj i dopiero po sześciu latach oblężenia Twierdzy bliźniacy odczytali dokładne miejsce bitwy z Kodeksu Mrińskiego -Vo Mimbre. Pozostało nam jeszcze tylko przekonać Tolnedran, że wiemy, co mówimy. Po jednym z posiedzeń wybrałam się z Brandem na przechadzkę.

- O czym chciałaś ze mną rozmawiać? - zapytał.

- Musimy bardzo delikatnie naprowadzić generała Cerrana, Brandzie - odparłam. - Myślę, że ty się do tego najlepiej nadajesz. Cerran wie, że alornscy królowie uznali twoją zwierzchność, choć zapewne nie bardzo rozumie czemu.

- Może z powodu mego silnego charakteru? - zasugerował.

- Raczej wygranej w kości, to bardziej pasuje do Alornów, Brandzie - powiedziałam z przekąsem.

- Nie żartuj sobie, Polgardo!

- Bez względu na powód Cerran traktuje cię jak przywódcę Alornów i uważnie będzie słuchać twoich słów. Generał lubi wszystko uzasadnić, więc musimy go przekonać, że niemożliwe jest żadne inne miejsce bitwy, tylko Vo Mimbre. Jeśli nam się to nie uda, generał będzie obstawał przy rozproszeniu sił na całej południowej Arendii.

- To byłaby katastrofa! - wykrzyknął Brand.

- Tak, masz rację. W ciągu trzeciego tysiąclecia spędziłam wiele lat w Arendii, więc doskonale znam wszystkie miasta. Pobierzesz teraz lekcję geografii, drogi chłopcze. Poznaj teren wokół każdego miasta w Mimbre. Niemal każde miasto na świecie z taktycznego punktu widzenia ma jakieś słabe strony i miasta Mimbre nie są w tym względzie wyjątkiem. Twoim zadaniem jest uwypuklenie słabych stron każdego miasta i miasteczka, z wyjątkiem Vo Mimbre. Oczywiście i ono ma swoje wady, ale je przemilczymy. Chcemy, aby generał Cerran nie brał pod uwagę żadnego innego miejsca oprócz Vo Mimbre, więc po prostu odetniemy mu wszystkie inne drogi wyboru i pozostawimy jedną możliwość.

- Jesteś w tym bardzo dobra, Pol - powiedział z podziwem.

- Mam dużą praktykę. Wojny to narodowa rozrywka Arendów. Byle kichnięcie potrafi wywołać w Arendii wojnę. Przez sześćset lat usiłowałam powstrzymać Arendów przed kichaniem w niewłaściwym czasie. Porozmawiam z Eldrigiem i pozostałymi władcami, aby wsparli cię w twych ocenach różnych miast.

- Byłoby o wiele prościej, gdyby Tolnedranie po prostu zaakceptowali fakt, że ty i twój ojciec nie jesteście tacy jak inni ludzie.

- To się kłóci z ich religią, mój drogi - powiedziałam z lekkim uśmiechem.

- A co leży u podstaw tolnedrańskiej religii, Pol?

- Pieniądze. Tolnedranie je wynaleźli, więc myślą, że są święte. Boją się czarów, ponieważ czarodziej potrafiłby wyczarować pieniądze, zamiast wyłudzać je od innych.

- A ty potrafisz wyczarować pieniądze, Pol? - Oczy rozbłysły mu na myśl o tym.

- Prawdopodobnie - odparłam ze wzruszeniem ramion - ale po co miałabym to robić? I tak mam więcej, niż potrafię wydać. Nie odbiegajmy od tematu. Ta tolnedrańska podejrzliwość może nam przeszkadzać, ale poradzimy sobie z nią.

W końcu generał Cerran doszedł do pożądanego wniosku, ale nastrój mego ojca pogarszał się coraz bardziej. Przez tydzień kładłam to na karb zwykłych humorów, a potem poszłam do jego pokoju w ambasadzie Chereku, aby zbadać przyczynę.

- To istne bzdury, Pol! - wybuchł, waląc pięścią w zwój Kodeksu Mrińskiego. - To nie ma w ogóle sensu!

- Nie powinno mieć, ojcze. Powinno brzmieć jak czysty bełkot. Powiedz mi, co cię tak zdenerwowało. Może będę mogła ci pomóc.

Ojca rozdrażnił pewien fragment, który sugerował, że Brand będzie w dwóch miejscach naraz. Odczytał mi go zrzędlwym tonem. „I Dziecko Światła zdejmie Klejnot z jego zwykłego miejsca i sprawi, by dotarł do Dziecka Światła przed bramami Złotego Miasta”, wydawało się, że ma ochotę zniszczyć zwój z rozdrażnienia

- Uspokój się, ojcze - powiedziałam. - Apopleksją niczego nie rozwiążesz. - Oczywiście natychmiast spostrzegłam rozwiązanie ale jak miałam to wyjaśnić? - Jak długo potrwa jedno z tych WYDARZEŃ? - zapytałam.

- Pewnie jak długo będzie trzeba.

- Całe wieki? Daj spokój, ojcze. Spotkanie tak potężnych Konieczności mogłoby w rezultacie zniszczyć cały wszechświat. Sekunda chyba jest tu bliższa prawdy. Po WYDARZENIU Dziecku Światła które brało w nim udział, nie będzie już potrzebny ten tytuł, prawda? Zrobiło, co miało zrobić, i tytuł można przekazać komu innemu. Jedno Dziecko Światła zdejmie miecz ze ściany, który zostanie przekazany Brandowi. Tytuł zostanie przekazany wraz z mieczem.

- To trochę naciągane, Pol - powiedział ojciec.

- A masz lepszy pomysł?

- Nie. Chyba będę musiał wybrać się na Wyspę Wiatrów.

- Po co?

- Oczywiście po miecz. Brand będzie go potrzebował. - Najwyraźniej doszedł do wniosku, który mnie wydawał się naciągany. Był przekonany, że to on będzie Dzieckiem Światła, które zdejmie miecz ze ściany w Dworze Rivańskiego Króla. Nim jednak dotarł do Rivy, matka się już tym zajęła i miecz nie odgrywał w tym żadnej roli. Otoczona błękitną poświatą, weszła do Dworu Rivańskiego Króla, zdjęła Klejnot z rękojeści miecza i umieściła go na tarczy. Podejrzewam, że to trochę podcięło ojcu skrzydła. Podejrzewam również, że zaczął się domyślać - dość mgliście na razie - iż matka nie umarła, w co dotąd wierzył. Po powrocie do Tol Honeth wyglądał na nieco zbitego z tropu.

Wiosną 4874 roku wujek Beldin ponownie wrócił z południowego Cthol Murgos i doniósł, że Urvon opuścił Rak Haggę i rozpoczął wędrówkę przez kontynent. Jeśli wyliczenia generała Cerrana były poprawne, zostało nam mniej niż rok na zakończenie przygotowań. Coś ważnego już się działo. Brand doniósł ojcu, że „słyszy głosy”. Dla lekarza nie była to szczególnie pomyślna wiadomość. Gdy ktoś oznajmia, że „słyszy głosy”, lekarz zwykle rezerwuje dla biednego delikwenta pokój w najbliższym szpitalu dla psychicznie chorych, ponieważ jest to jawna oznaka, że mózg pacjenta odmówił posłuszeństwa.

Jednakże Brand nie postradał zmysłów. Głos, który słyszał, był głosem Konieczności, która w ten sposób pouczała go, co ma robić w czasie pojedynku z Torakiem. Konfrontacja zbliżała się szybko, ale na razie nasz niewidoczny przyjaciel bardziej zainteresowany był zajęciem pozycji przez siły tolnedrańskie. Najwyraźniej legiony generała Cerrana miały być jęczyciem u wagi pod Vo Mimbrem. Oczywiście problem polegał na tym, że legiony były na południu, gdzie przygotowywały się do przeszkodzenia Urvonowi w dotarciu pod Vo Mimbrem na czas bitwy. Konieczność zapewniła Branda, że Urvon nie będzie się liczył w tej rozgrywce, ale przekonanie o tym Cerrana natychmiast budziło następny problem. Stwierdzenie „Bóg mi powiedział” nie stanowiło dobrego argumentu w dyskusji. Postanowiliśmy nie robić tego w ten sposób. Potem, wczesną wiosną 4875 roku, Torak porzucił oblężenie Twierdzy i ruszył na zachód. Jeśli schemat czasowy Cerrana był słuszny, to Angarakowie znaleźliby się pod murami Vo Mimbrem za półtora miesiąca, a legiony nadal były na południu. Tak jak się spodziewałam, w tym momencie wkroczył do akcji UL. Widzący w ciemności Ulgosi wyszli nocą ze swych jaskiń, szerząc spustoszenie wśród uśpionej armii Toraka. Potem armia Toraka nie posuwała się już tak szybko.

Angarakowie ostrożnie wędrowali przez góry Ulgolandu, a tymczasem wujek Beldin z radością doniósł memu ojcu, że nienaturalna burza śnieżna pogrzebała Urrona i Ctuchika na Wielkiej Pustyni Araga. To wyjaśniło przy okazji ćwierć wieku ulewnych deszczy, które tak nam wszystkim dały się we znaki. Zmiana pogody była przygotowaniem do śnieżycy, która na dobre zatrzymała drugą armię Toraka. Ojciec dusił się ze śmiechu, przekazując mi wiadomości od Beldina, ale przestał chichotać, gdy zwróciłam mu uwagę, że ta śnieżycyca na nic się nie zda, jeśli generał Cerran nie będzie o niej wiedział.

- Nie uwierz nam na słowo, ojczu. Będzie żądał dowodu, a my nie będziemy mogli mu go dostarczyć, chyba że weźmiesz go w szpony i zaniesiesz nad pustynię, aby sam zobaczył. Nie porzuci południowych granic tylko dlatego, że my tak mu doradzimy, szczególnie odkąd z Ranem Borune wiedzą, jak bardzo pragniemy ich towarzystwa Pod Vo Mimbrem.

Nasze informacje przedstawiliśmy jako pochodzące ze „zwykłych, godnych zaufania źródeł”. Tak jak się spodziewałam, generał Cerran przyjął je z ogromnym sceptycyzmem.

Ostatecznie to Ran Borune zaproponował kompromis. Połowa legionów z południa wyruszy na północ, a druga połowa zostanie. Cerran był żołnierzem, więc nawet gdy otrzymywał rozkazy, z którymi się nie do końca się zgadzał, wypełniał je jak najlepiej. Dodał osiem reprezentacyjnych legionów z Tol Honeth i dziewiętnaście legionów rekrutów, aby stworzyć wrażenie, że tolnedrańska armia stawiała się pod Vo Mimbre liczniej, niż było w istocie. Reprezentacyjne legiony nie przemaszerowałyby pewnie więcej niż mili, a rekruci nie potrafili chodzić równym krokiem, jednak gdy Torak ze swego okna miał zobaczyć siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy, to skąd mógłby wiedzieć, że ponad jedna trzecia z nich nie wie, jak trzymać miecz? Cherekowie popłynęli po legiony z południa oraz te na pokaz z okolic Tol Honeth i Tol Yordue. Żywiliśmy nadzieję, że przybędą na czas. Potem dołączyli do nas bliźniacy. Zapewnili, że bitwa będzie trwała trzy dni i, tak jak się spodziewaliśmy, o ostatecznym wyniku rozstrzygnie pojedynki pomiędzy Brandem i Kal Torakiem. Zadanie czekające mnie i ojca było całkiem proste. Musieliśmy tylko zadbać o to, aby Torak nie dotarł pod Vo Mimbre, dopóki nasze siły nie zajmą pozycji, a to pewnie było trudniejsze niż zawrócenie przyływu czy zatrzymanie słońca. Gdy wieczór zapadł nad marmurowym miastem, opuściliśmy Tol Honeth i skierowaliśmy się do brzozowego zagajnika, który znajdował się o milę na północ od miasta.

- Uprzedź go, że będziesz korzystała z postaci naszej sowy, Pol -poradziła mi matka. - Nie spodoba mu się to, ale lepiej niech się przyzwyczai.

- Zajmę się tym, mam - odparłam. - Znalazłam sposób na ucinanie nudnych dyskusji.

- Doprawdy? Któregoś dnia będziesz się musiała tym ze mną podzielić.

- Po prostu słuchaj, mam - poradziłam. - Słuchaj i ucz się.

- To było celne, Pol. Bardzo celne.

- Cieszę się, że ci się to podoba. Ojciec spoglądał na zachód.

- Niedługo się ściemni - zauważył. - Ale do Vo Mimbre nie ma żadnych gór, więc nie wpadniemy na nic w ciemności.

- Mam przykrą wiadomość, ojcie - ostrzegłam go. - Polecono mi aż do WYDARZENIA korzystać z postaci sowy śnieżnej, więc musisz zacisnąć zęby i się z tym pogodzić.

- A wolno mi zapytać, kto wydał ci to polecenie?

- Oczywiście, że wolno ci zapytać, ojcie - odparłam uprzejmie - lecz nie wstrzymuj oddechu w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Nie cierpię takich sytuacji - narzekał. Poklepałam go po policzku.

- Bądź dzielny, staruszku - powiedziałam.

Było dobrze po północy, gdy przysiedliśmy na szczycie murów obronnych pałacu Aldorigena. Wartownicy obchodzący mury zauważyli nas, ale wypatrywali ludzi, nie ptaków. Wylądowaliśmy w cieniu, w pobliżu schodów, i gdy tylko wartownicy poszli dalej, wróciliśmy do własnych postaci. Skierowaliśmy się wprost do sali tronowej, aby czekać tam na Aldorigena.

- Pozwól mnie się tym zająć, ojczy - zaproponowałam. - Znam Arendów o wiele lepiej od ciebie, więc ich nie obrażę. Poza tym Aldorigen już się mnie boi, więc będzie uważniej słuchał, jeśli to ja będę mówić.

- Proszę bardzo, Pol. Rozmawianie z Arendami przyprawia mnie o ból głowy,

- Ależ ojczy! - oburzyłam się. - Weź to - powiedziałam, podając mu mały zwój, którego pojawienia właśnie sobie zażyczyłam. - Zrób mądrą minę i udawaj, że czytasz, podczas gdy ja będę rozmawiać.

Ojciec spojrział na zwój.

- Tu nic nie ma, Pol - zaprotestował.

- I co z tego? Spodziewałeś się bajki na dobranoc? Dobry z ciebie aktor, ojczy. Improvizuj. Udawaj, że czytasz coś niesamowicie ważnego. Jednak oszczędź sobie okrzyków zaskoczenia i zdumienia. Jeśli będziesz zbyt podniecony, Aldorigen może zechcieć zajrzeć do tego zwoju.

- Dobrze się bawisz, co, Pol?

- Tak, w rzeczy samej. - Rzuciłam mu filuterne spojrzenie, a on wiedział, co to oznacza.

Świt przyozdobił chmury piętrzące się na wschodzie płomienną czerwień, gdy Aldorigen i jego dorosły już syn, Korodullin, weszli do sali tronowej, nie przerywając ożywionej dyskusji.

- To niegodziwiec - zapewniał Korodullin - wyrzutek wyjęty spod prawa. Jego obecność tutaj sprofanuje najświętsze miejsce

- Wiem, że łotr z niego i hultaj - odparł Aldorigen, próbując uspokoić syna - ale słowo mu swe dałem. Nie będziesz mu zatem uwłaczał ani też żadnych impertynencji prawil, dopóki w murach Vn Mimbre się znajduje. Jeśli zaś nie potrafisz gniewu swego powściągnąć, w komnatach swoich pozostań i czekaj, aż wyjedzie. Ślubujesz mi to, czy będę musiał cię uwięzić? Archaiczny język w jednej chwili przeniósł mnie z powrotem do trzeciego tysiąclecia, a gdy się odezwałam, wydawało mi się, że podejmuję przerwana dwa tysiące lat temu rozmowę.

- Witam, wasza wysokość - pozdrowiłam Aldorigena, dygając wdzięcznie. - Mój sędziwy ojciec i ja właśnie przybywamy z Tol Honeth i choć wspaniałość tego najprzesławniejszego z miast wszystko przyćmiewa, przybyliśmy naradzić się z tobą, panie, i przekazać ci pewne informacje o tym, co wydarzyć się ma, a co ciebie, panie, i twego królestwa szczególnie dotyczy.

Aldorigen odpowiedział z typową dla Mimbratów kwiecistością i wymienialiśmy uprzejmości przez pół godziny, po czym przeszliśmy do rzeczy. Moje przesłanie - instrukcja, jeśli wolicie - było proste. Przybyłam tutaj, aby zabronić Mimbratom ataku na Angaraków, którzy wkrótce rozbiją obóz pod murami Vo Mimbre, dopóki nie przyjdzie odpowiedni czas. Kosztowało mnie to sporo wysiłku. Bardzo trudno przekonać dumnego Angaraka, że wskazana jest odrobina roztropności.

Podczas gdy ja wbijałam mu to do głowy, Aldorigen poinformował mnie, że Eldallan z Asturii przybywa do Vo Mimbre na naradę wojenną. Dostrzegłam ogromne ryzyko katastrofy. Umieszczenie Mimbrata i Asturianina w jednym pomieszczeniu mogło się bardzo źle skończyć dla mebli, jeśli nie dla całego budynku. Korodullin już miał ochotę na stosowne przywitanie, z ponurą miną podejrzewając, że ten łotr, książę Asturian, skorzysta zapewne z okazji, by przejść na stronę Angaraków w czasie bitwy pod Vo Mimbre i dopilnować zniszczenia miasta.

Ojciec rzucił mi ostrzeżenie w myślach, ale ja już sama wiedziałam, co robić. Nie sądzę, aby ojciec kiedykolwiek w pełni zrozumiał znaczenie mego tytułu księżnej Erat ani starych tradycji w Arendii. Byłam równa Aldorigenowi i Eldallanowi. Obaj o tym wiedzieli, podobnie jak o tym, że potrafię ich porządnie zgnębić, jeśli zechcę.

Rozpoczęłam więc od zawstydzania Aldorigena i jego porywczego syna brakiem dobrych manier. Gdy rzucisz Mimbratowi w twarz słowa „bojaźliwy”, „zniewieściał”, z pewnością przyciągniesz uwagę.

Było południe, gdy książę Eldallan i jego bardzo ładna córka, Mayaserana, zostali wprowadzeni do sali tronowej Aldorigena. Ponownie usłyszałam wówczas ów wewnętrzny dzwon, a gdy zobaczyłam spojrzenia, które wymienili dziedzicznie nienawidzący się Mayaserana i Korodullin, to niemal wybuchłam głośnym śmiechem. Zapowiadało się na interesujące - i hałaśliwe - zaloty.

- Robisz się coraz bardziej spostrzegawcza, Pol - pochwaliła mnie matka.
- Być może, ale jak powstrzymam tych dwoje od pozabijania się jeszcze przed ślubem ?
- Z pewnością coś wymyślisz.

Atmosfera w sali tronowej przesiąknięta była nienawiścią. Zdałam sobie sprawę, że narada wojenna lada chwila źle się skończy, więc wkroczyłam do akcji, ponownie rzucając na szalę swoją pozycję.

- Natychmiast skończcie się obrażać! - poleciłam Aldorigenowi i Eldallanowi. - Nie wierzę własnym uszom! Myślałam, że poważni z was ludzie, lecz teraz błąd swój poznaję. Azali doprawdy podobne to, aby władcy Asturii i Mimbre tak zdziecinnieli? Azali obaj jesteście na tyle nierozumni, by tulić do piersi wrogość niczym ukochaną zabawkę z dzieciństwa? Świat wokół was, panowie, stanął w płomieniach. Musicie odłożyć na bok właśnie i wspomóc Alornów i Tolnedran w gaszeniu pożaru. Znużyła mnie już wasza absurdalna wymiana zniewag, toteż zmuszona jestem dać wyraz mej irytacji. Ty, Eldallanie, dołączysz ze swymi łucznikami do Sendarów i Rivan, razem zaatakujecie tyły Angaraków. A ty, Aldorigenie, będziesz bronił murów, ale ruszysz przeciw oblegającym siłom dopiero trzeciego dnia bitwy, a i to tylko na umówiony sygnał. A choć od wieków bawiliście się w wojnę, nadal nie pojęliście tej sztuki lepiej niżli rekrut w tolnedrańskim legionie, więc muszę użyć tu swej władzy. To są moje polecenia i macie im być posłuszni, inaczej ściągnięcie na siebie mój gniew. - Potem westchnęłam, odrobinę teatralnie, muszę przyznać. - Wyraźnie myliłam się w trzecim tysiącleciu, mając nadzieję, że me ukochane dziecko, Arendia, dorośnie pewnego dnia. To były płonne nadzieje. Arendowie mogą postarzeć się i posiwieć, ale nigdy nie dorosną. Rozwiązanie wydawało się w owych minionych latach oczywiste, lecz było mi wstrętne, bo kochałam Arendię. Teraz widzę, że trzeba mi było nie baczyć na to i wypełnić swą powinność. Skoro wszyscy Arendowie nie są w stanie dorosnąć, powinnam była zaanektować Mimbre i Asturię i władać nimi na mocy imperialnych dekretów. Jestem pewna, że potrafiłabym nauczyć was, jak kłaniać się w obecności waszej cesarzowej i dokładnie wypełniać jej rozkazy. To natychmiast przyprowadziło ich do porządku. Udawałam że rozważam ten pomysł, taksując ich wzrokiem niczym polćie wołowiny.

- Może nie jest jeszcze za późno, by odebrać wam władzę. Muszę to przemyśleć. Obaj dobrze się prezentujecie i potraficie - wsparci solidną radą - stosownie zabrać głos, toteż byliby z was odpowiedni wasale dla mego imperialnego tronu. Powiadomię was niebawem o swej decyzji. Pierwej jednak musimy uporać się z Kal Torakiem.

Oczywiście nie miałam imperialnych ambicji! Gdzie wasz rozum?! Niemniej „cesarzowa Arendii, Polgarda" ładnie brzmi, prawda? Po sugestii zmiany rządów Aldorigen i Eldallan nagle stali się wielce uprzejmi względem siebie. Ostatecznym przypieczętowaniem sprawy była propozycja Eldallana, aby po bitwie zorganizować przyjacielskie spotkanie - z mieczami w dłoni - i przedyskutować różnice zdań.

Aldorigen zapewnił nam odpowiednie kwatery. Rozgościliśmy się i Stary Wilk wpadł do mnie z wizytą.

- Nie traktowałaś poważnie tej sprawy z tytułem cesarzowej, prawda, Pol? - zapytał nieco zaniepokojony.

- Chyba sobie żartujesz, ojczu.

- Nie odrzucałbym jednak zbyt szybko dobrego pomysłu - powiedział w zadumie. - Byłby to sposób na położenie kresu tej głupiej wojnie domowej.

- Proszę bardzo, skorzystaj z tego pomysłu, ojczu. Byłby z ciebie wspaniały cesarz.

- Czyś ty postradała rozum?

- Chciałam cię zapytać o to samo. Miałaś wieści od Beldina?

- Jadą z generałem Cerranem na południe, by wyruszyć z legionami w kierunku wybrzeża. Okręty wojenne Eldriga już tam płyną, by wziąć ich na pokład.

- Dotarcie tam zajmie im trochę czasu, ojczu. Wymyśliłeś już, jak opóźnić przybycie Toraka?

- Nadal nad tym pracuję.

- Pracuj trochę szybciej. Mam osobiste powody, by pragnąć otoczenia wielu żołnierzy, gdy Torak stanie pod murami.

- Dlaczego?

- Porozmawiamy o tym później. Bierz się do roboty, ojczu.

- A czym ty się zajmiesz?

- Spędzę w wannie godzinę.

- Rozpuścisz się, jeśli będziesz tyle się kąpać, Pol.

- Nie martw się o to, ojczu. A teraz leć już.

Ojciec wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi.

Strategia ojca na opóźnienie przybycia Angaraków o pożądane pięć dni była niemal genialna, choć z niechęcią to przyznaję. Nie tylko zwolniła przemarsz sił Toraka, ale także połączyła parę nienawidzących się uprzednio Arendów przyjaźnią na całe życie, która dobrze wróżyła przyszłości biednej Arendii. Jediną jej wadą, z mego punktu widzenia, był fakt, że to ja miałam wątpliwą przyjemność kierowania grupą Asturian. Nie przepadałam za Asturianami z oczywistych powodów. Plan ojca nie był szczególnie skomplikowany. Rzeka Arend ma liczne dopływy, które po ćwierćwieczu nieustannych deszczów były pełne po brzegi. Przez wszystkie dopływy przerzucone były mosty. Ojciec wyruszył z tysiącem mimbrańskich rycerzy do podnóża gór Ulgo i zaczął te mosty niszczyć. Mnie przypadł w udziale trud poprowadzenia w te same okolice tysiąca asturiańskich łuczników, aby przeszkodzić

Angarakom w odbudowie mostów. Rycerzem, który przewodził mimbrackim burzycielom mostów, był baron Mandor, potomek Mandorina i Asrany oraz przodek naszego Mandorallena. Przywódcą asturiańskich łuczników był baron Wildantor, rudzielec, od którego pochodził Lelldorin. Najwyraźniej Konieczność maczała w tym palce. Stwierdziłam, że pomimo mych uprzedzeń wobec Asturian prawie niemożliwe było nie lubić Wildantora. Jego ruda czupryna przypominała płomienie, a wesołością zarażał wszystkich. Myślę, że jedynie podczas napinania łuku nie śmiał się, nie chichotał i nie krztusił się ze śmiechu. Baron Mandor stanowił z nim wielki kontrast. Był bardzo poważnym człowiekiem, niemal zupełnie pozbawionym poczucia humoru. Kiedy w końcu zdał sobie sprawę, że Wildantor bez przerwy sypie dowcipami, stopniowo zaczął odkrywać przyjemność, jaką może być śmiech. Żart, który ostatecznie przypieczętował ich przyjaźń, wyszedł jednak z ust Mandora i jestem przekonana, że był niezamierzony.

- Może gdy będzie po wszystkim, przestaniemy się zabijać? - zaproponował Wildantor.

Mandor rozważał przez chwilę konsekwencje tej propozycji, po czym zapytał z absolutnie poważną miną:

- Azali nie będzie to pogwałceniem zasad naszej religii?

Wildantor odpowiedział wybuchem niekontrolowanego śmiechu. Naprawdę zabawna w tym wszystkim była powaga Mandora. Zaczerwienił się lekko, słysząc śmiech Asturianina. Powoli dotarło do niego jednak, że to pytanie stanowiło istotę tragedii, jaką była Arendia, i również zaczął się śmiać. Początkowo był to nieśmiały śmiech, ale potem robił się coraz weselszy. W końcu obaj zdali sobie sprawę, że Arendia nie była niczym więcej, jak tylko złym żartem.

Pomimo przyjaźni rosnącej pomiędzy przywódcami byliśmy zmuszeni z ojcem dołożyć sporo starań, aby trzymać Mimbratów i Asturian osobno. Ojciec był na tyle złośliwy, że pozwolił Angarakom odbudować mosty przez pierwsze trzy dopływy. Dopiero nad czwartym rwącym strumieniem budowniczy mostów nagle zostali zasypani strzałami. Potem Angarakowie zrobili się bardzo ostrożni i przekroczenie każdej rzeki zajmowało im sporo czasu. Oczywiście, o to właśnie chodziło. Ostateczne scementowanie przyjaźni nastąpiło, gdy Wildantor na rozdygotanym moście w pojedynkę odpierał atak angarackich sił. Nigdy nie widziałam, aby ktoś tak szybko wypuszczał strzały z łuku. Kiedy łucznik wypuszcza jednocześnie cztery strzały, to widać, że rzeczywiście przykłada się do pracy.

- Pol - odezwała się ze spokojem matka - on wpadnie do wody. Nie mieszaj się do tego i nie pozwól ojcu się wtrącać. Mandor go uratuje. To powinno się stać w ten sposób.

Most zatrzęsł się i rozpadł, a rzeka porwała rudowłosego Asturianina. Mandor pognał w dół rzeki do następnego zniszczonego mostu, wychylił się z jego końca i wyciągnął rękę ku spienionej wodzie.

- Wildantorze! - zawołał gromkim głosem. - Do mnie!

Podtopiony Asturianin zakręcił pod rwący prąd, wyciągnął rękę i ich dłonie się spotkały. W symbolicznym sensie nigdy nie miały się rozdzielić. Przez następne kilka dni kontynuowaliśmy powolne wycofywanie się - nie użyję tu słowa odwrót - a nasze małe siły nabierały coraz większej sprawności. Wszyscy jakoś przyzwyczajali się do przymierza. Mimbrańscy rycerze i asturscy łucznicy, utwierdzani rosnącą przyjaźnią pomiędzy Mandorem i Wildantorem, zaczęli na bok odsuwać dziedziczną wrogość, koncentrując wysiłki na bieżącym zadaniu. Mimbraci z coraz większą wprawą niszczyli mosty. Zaczęły się tworzyć zaimprovizowane sojusze. Jedna z grup rycerzy wypracowała metodę osłabiania konstrukcji mostów, zamiast natychmiastowego ich niszczenia. Przywódca tej grupy umówił się ze swoim odpowiednikiem po asturiańskiej stronie, aby łucznicy powstrzymali swój zapal, dopóki osłabiony most nie zapełni się tłumem Murgów. Wówczas kilku rycerzy, ukrytych w górze rzeki, zaczęło spychać kłody do rwącej wody. Kłody uderzyły w przęsła, osłabiony most zawalił się i kilkuset Murgów miało okazję popływać - przez krótki czas, bo stalowe kolczugi nie są najlepszymi kostiumami pływackimi. Tego wieczoru rycerze i łucznicy hucznie świętowali zwycięstwo. Widziałam Mimbratów i Asturian śpiewających wspólnie pijackie pieśni, jakby znali się i kochali od początku świata. Kiedy opuszczaliśmy Vo Mimbre, naszym głównym zmartwieniem było utrzymanie oddzielnie Mimbratów i Asturian. Kiedy wróciliśmy, nie byliśmy w stanie ich rozdzielić. Wzajemna wrogość została zastąpiona braterstwem broni. Jestem pewna, że Torak nie to miał na celu, gdy ruszał na zachód.

Po powrocie czekało nas powitanie godne bohaterów. Z pewnością niektórzy mieszkańcy Vo Mimbre zżymali się, słysząc okrzyki powitalne na cześć Asturian, ale to chyba nie jest najistotniejsze. Plan ojca zyskał nam potrzebne pięć dni, a bliźniaki, którzy przybyli do Vo Mimbre w czasie naszej nieobecności, powiadomili nas że wujek Beldin i generał Cerran dotarli już do Tol Honeth z legionami z południa. Ojciec porozmawiał krótko w myślach ze swym pokracznym bratem, który zapewnił, że Tolnedranie i Cherekowie dotrą do Vo Mimbre zgodnie z planem. Byliśmy gotowi. Jutro miała rozpocząć się bitwa. Matka przemówiła do mnie, gdy ojciec poszedł doglądać przygotowań do obrony miasta.

- Pol, gdy on wróci, powiedz, że musisz mieć baczenie na Angaraków. Myślę, że powinniśmy ponownie przyjrzeć się Torakowi.

- Czemu?

- Nie lubię niespodzianek, więc lepiej mieć na oku Toraka i Zedara.

- Dobrze, matko.

Ojciec był podenerwowany, gdy wrócił, ale tego chyba należało się spodziewać. Każdy jest trochę niespokojny w noc przed bitwą.

- Pójdę się rozejrzeć, ojczy - powiedziałam.

- Nie przypuszczam, abys przejęła się, gdybym ci tego zabronił, co, Pol?

- Masz rację.

- Więc nie będę sobie daremnie strzępił języka. Tylko nie siedź poza domem całej nocy.

Niemal się roześmiałam. Ton, jakim to powiedział, do złudzenia przypominał ten, jakiego używał w Rivie podczas przygotowań do ślubu Beldaran. Wtedy zajmowałam się łamaniem serc, co go bardzo złościło. Ojcu umknęła jednak chyba ironia tej sytuacji. W Rivie obawiał się hord moich wielbicieli. Tutaj, w Vo Mimbre, również miałam wielbiciela, tylko tym razem to ja się obawiałam. Matka połączyła się ze mną i w postaci sowy odszukałyśmy zardzewiały pałac Toraka. Weszłyśmy do środka przez owo wygodne okno.

- Ukarzę ich, Zedarze - mówił Torak swym dramatycznie donośnym głosem.

- Zasłużyli sobie na to, mistrzu - odparł Zedar służalczym tonem. - Przez swoje mało ważne właśnie zawiedli cię. Życiem zapłacą za swe karygodne czyny.

- Nie spiesz się tak z ich potępieniem, Zedarze. Tyś sam jeszcze w pełni nie odpokutował za swe niepowodzenie, którego doznałeś kilka wieków temu w Moriolandzie.

- Proszę, mistrzu, wybac mi. Oszczędź mi gniewu swego, choć po stokroć na karę zasłużyłem.

- Nie ma kar ani nagród, Zedarze - rzekł posępnie Torak - jedynie konsekwencje. Urvon i Ctuchik poznają znaczenie konsekwencji we właściwym czasie... tak jak i ty. Teraz jednakże ty i twoi bracia jesteście mi potrzebni.

Zedar chyba nie ucieszył się z przypomnienia, że Urvon i Cutchik są jego braćmi. Torak, ze swą stalową maską połyskująca w świetle lamp, dumiał ponuro. Potem westchnął.

- Jestem zatroskany, Zedarze - przyznał. - Wielka niezgodność smutek mój budzi.

- Jaka niezgodność, mistrzu? - zapytał Zedar. - Może uda nam się ją wyjaśnić.

- Twa pewność siebie zaiste mnie bawi, Zedarze - odparł Torak. - Czy przeczytałeś uważnie dokument zawierający bełkot tego podejrzanego człowieka znad brzegów Mrin z dalekiej północy Drasni?

- Dość szczegółowo, mistrzu.

- A znasz również prawdę, którą objawiono mi w Ashabie?

- Tak, mistrzu.

- Spozrzegłeś, iż te oba dokumenty nie w pełni są zgodne? Oba mówią o bitwie, która ma zacząć się za kilka godzin pod Vo Mimbre.

- Tak, ja również tak rozumiałem.

- Ale szczegóły z Kodeksu Mrińskiego nie zgadzają się z tymi z Wyroczni Ashabińskiej. Według Kodeksu Mrińskiego losy świata rozstrzygną się trzeciego dnia nadchodzącej bitwy.

- Również tak rozumiałem, mistrzu.

- Według Wyroczni Ashabińskiej jednak tak nie jest. Wyrocznia Ashabińska mówi o drugim lub czwartym dniu bitwy.

- Moja myśl tak daleko nie sięgnęła, mistrzu - przyznał Zedar.

- Jakże wedle ciebie jest znaczenie owej niezgodności, mistrzu?

- Mniemam że jeśli Pogromca Boga i ja spotkamy się drugiego dnia albo czwartego, z łatwością go pokonam. Jeśli zaś spotkamy się owego fatalnego trzeciego dnia, wówczas duch Celu Wszechświata go natchnie, a ja zapewne zginę. - Torak przerwał i zaczął mamrotać nieskładnie, a jego głos zniekształcało echo dudniące wewnątrz stalowej maski. - Przeklęty deszcz! - wybuchł nagle. - I przeklęte rzeki, które opóźniły mój pochód! Przybyliśmy tutaj zbyt późno, Zedarze! Gdybyśmy przybyli choć dwa dni, a nawet jeden dzień wcześniej, świat byłby mój. Teraz rezultat został rzucony na szalę przypadku i to mnie niepokoi, albowiem przypadek nigdy nie był mi przyjacielem Opuściłem Ashabę z przekonaniem, że przybędę tutaj we właściwym czasie, i chętnie poświęciłem niezliczonych Angaraków, by cel ten osiągnąć, a pomimo to spóźniłem się o jeden dzień. Chcę czy nie, będę musiał stawić czoło Suzerenowi Zachodu owego fatalnego trzeciego dnia i zdać się na zrządzenie kapryśnego przypadku. Jestem wielce niezadowolony, Zedarze, niezadowolony ponad wszelką miarę!

- On myśli, że to Gelane! - zdumiałam się w duchu.

- O co chodzi? - głos matki był równie oszołomiony jak mój.

- On naprawdę wierzy, że Gelane wyzwie go na pojedynek!

- Jak na to wpadłaś?

- Określenia „Pogromca Boga” i „Suzeren Zachodu” odnoszą się Rivańskiego Króla. Torak myśli, że Gelane wrócił do Rivy po miecz. Nie wie, że to Brand jest tym, który rzucił mu wyzwanie. Matka zastanowiła się na tym chwilę.

- Chyba masz rację, Pol - przyznała. - Informacje Toraka pochodzą od Ctuchika, a Ctuchik polega na Chamdarze. Twój ojciec zwodził Chamdara od kilku stuleci tymi swoimi sprytnymi gierkami w Sendarii. Torak nic nie wie na temat spadkobiercy tronu Rivy. Może więc wierzyć, że z nim spotka się owego trzeciego dnia.

- Jestem tego pewna, mamó. To by wyjaśniło, dlaczego kazano ci zdjąć Klejnot z miecza i umieścić go na tarczy. Orężem Branda nie będzie miecz, lecz tarcza. Torak nadal mówił, więc odłożyłyśmy swoje dywagacje na później, aby przysłuchiwać się jego słowom.

- Jutro zdobędziesz miasto, Zedarze. Moje spotkanie z potomkiem Rivy musi odbyć się następnego dnia. Poświęć wszystkich Angaraków, jeśli będzie trzeba, ale Vo Mimbre ma być moje, nim słońce zajdzie.

- Będzie, jak mój mistrz każe - obiecał Zedar. - Już teraz maszyny oblężnicze ustawiane są na pozycjach. Słowem honoru ręczę, panie, że Vo Mimbre padnie tego dnia, albowiem przeciwko jego złocistym murom wszystkich Angaraków rzucę. - Najwyraźniej osiem lat oblężenia algarskiej Twierdzy nie nauczyły go niczego w kwestii składania pochopnych obietnic. Potem Torak rozpoczął bełkotliwy monolog. Historia nie obeszła się z nim dobrze. Odmówiono mu wielu rzeczy należnych bogu, co było jawną niesprawiedliwością... W innych okolicznościach mogłabym go pożałować.

- Dość usłyszałyśmy, Pol - powiedziała w tym momencie matka. - Niczego nie osiągniemy, siedząc tutaj i przysłuchując się jego litowaniu się nad sobą.

- Masz rację, mamó - przyznałam.

Sowa odleciała cicho ku Vo Mimbre. Po owej zamieci w Ashabie pogoda poprawiła się i na niebie znowu pokazały się gwiazdy. Tęskniłam za nimi. Ludzie żyjący niezwykle długo mają do gwiazd szczególny sentyment, bo tylko one pozostają niezienne, gdy wszystko wokół się wali. Choć Torak nie dokonał tego całkowicie samodzielnie, to jednak rozłupał świat w czasie wojny bogów, więc z pewnością potrafili też jedną myślą zburzyć mury Vo Mimbre. Jednakże najwyraźniej nie wolno mu było tego robić. Zawile subtelności praw, obowiązujących w grze pomiędzy zwalczającymi się Celami Wszeczeństwa, zabraniają posługiwania się w czasie owych WYDARZEŃ boską Wolą. Konsekwencje złamania tych praw były dość srogie, jak miał się przekonać w Rak Cthol. Torak mógł działać jedynie poprzez ludzi, aż do momentu pojedynku z Brandem. Nawet wówczas jednak WYDARZENIE miało podlegać ścisłym zasadom.

- My też podlegamy podobnym ograniczeniom, Pol - skomentowała matka me nie wypowiedziane myśli. - Przestrzeż ojca. Powiedz, że to nie jest dobry czas na eksperymenty. Poradź mu, że spuszczenie komety na Angaraków nie jest najlepszym pomysłem.

- Nie zrobiłby tego, mamó.

- Doprawdy? Nie wiesz, do jakich głupstw jest zdolny, gdy się zdenerwuje, Pol. Raz widziałam, jak cisnął młotkiem, gdy uderzył się nim w palec.

- Każdemu to się zdarza, mamó.

- Rzucił go prosto w niebo, Polgaro. To było kilka tysięcy lat temu i młotek nadal leci, a przynajmniej taką mam nadzieję. Czasami wystarczy drobiazg, by gwiazda wybuchła w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie. Raz już się tak stało. Chyba nie chcemy, aby to się powtórzyło?

- Nie - przyznałam. - Dość mamy zmartwień. Czy na pewno nikt nie jest w stanie posłużyć się Wolą i Słowem w czasie tej bitwy?

- Tego nie możemy być pewni. Obserwuj uważnie Zedara. Jeśli zdoła coś zrobić i nie zginie natychmiast, to my również będziemy pewnie mogli robić podobne rzeczy. Niech Zedar podejmie ryzyko.

- Wiedziałam, że on w końcu na coś się przyda, mamó. Nie myślę jednak, aby cieszył się z tego, że bierze całe ryzyko na siebie.

- Jaka szkoda.

Wylądowałyśmy na murach zamku Aldorigena krótko po północy

- Pędź już - poradziła matka. - Wrócę i będę wszystko obserwować gdy ty będziesz zapoznawać ojca z sytuacją. „Pędź już”?! Czasami matka wyrażała się w bardzo deprymujący sposób. To „pędź już” bardzo mocno załatywało „idź się pobawić”. Oddzieliłam się od naszej sowy i przybrałam własną postać, a matka tymczasem odleciała. Relacji, którą ze swej wyprawy zdałam ojcu i bliźniakom, daleko było do kompletności. Nie wspomniałam o mylnym wniosku Toraka, iż jego przeciwnikiem w zbliżającym się pojedynku będzie Gelane. Ojciec lubił improwizować, co mnie bardzo denerwowało. Gelane był bezpieczny w Twierdzy i chciałam, aby pozostał bezpieczny. Mój ojciec jest utalentowanym artystą, ale nie miałam zamiaru pozwalać mu na improwizację. Popisywanie się ma już w swojej naturze. Pomysł sprowadzenia Gelane do Vo Mimbre, aby wystawić go na szczycie murów ku uciesze Toraka, mógłby wzmocnić dramatyzm całego wydarzenia, lecz jednocześnie naraziłby młodego następcę tronu na wielkie niebezpieczeństwo. Dopóki ojciec nie wiedział, w co wierzy Torak, nie miał powodu, by puszczać wodze swej pomysłowości. Przekonałam się dawno temu, że warto mówić ojcu tylko to, co absolutnie wiedzieć powinien. Powiedziałam mu, że Torak nie opuścił swego zardzewiałego pałacu, odkąd przekroczył lądowe przejście.

- Proszę, pamiętaj o jednym, ojczu - dodałam. - Uczniowie Toraka nie są tacy jak my. My tworzymy prawie zgodną rodzinę, oni nie. Zedar, Urvon i Ctuchik nienawidzą się niemal ze świętą pasją. Zedar mało nie pękł z radości, gdy rozmawiał z Torakiem. Urvon i Ctuchik są obecnie w niełasce, czyli on teraz wodzi rej. Będzie się starał umocnić jeszcze swoją pozycję przez zdobycie dla Toraka Vb Mimbre w ciągu jednego dnia. Jutro rzuci przeciwko nam

wszystkie siły. Toraka mogą powstrzymać zakazy ustanowione przez Konieczność, ale nie jestem pewna, czy Zedar nie spróbuje złamać zasad.

- To właśnie cały Zedar, Pol - mruknął kwaśno ojciec. - Zawsze łamie zasady. O czym jeszcze rozmawiali?

- Głównie o instrukcjach. Najwyraźniej Wyrocznia Ashabińska była o wiele bardziej szczegółowa niż Kodeks Mriński. Trzeci dzień oblężenia będzie bardzo ważny, ojciec. Legiony absolutnie muszą tu być, ponieważ ich obecność zmusi Toraka do przyjęcia wyzwania Branda.

- A to interesujące, nieprawdaż? - powiedział ojciec i oczy mu pojaśniały.

- Nie ciesz się, ojciec. Torak polecił Zedarowi zdobyć Vo Mimbre za wszelką cenę. Jeśli im się to uda i trzeci dzień minie, będziemy mieć do czynienia z całkowicie innym WYDARZENIEM, a tego za nic nie chcemy.

- Czy będą próbowali opóźnić przybycie okrętów Eldriga? - zapytał Beltira.

- Zedar to proponował, ale Torak się nie zgodził. Nie chce dzielić swych sił. Ile jeszcze do rana?

- Trzy, cztery godziny - odparł ojciec.

- Mam zatem czas na kąpiel.

Świt znaczył już niebo, ale Zedar najwyraźniej oczekiwał na konkretne instrukcje przed przypuszczeniem ataku. Dopiero gdy krawędź słońca wzniosła się nad góry Ulgo, z żelaznego pawilonu rozległ się róg i maszyny oblężnicze Zedara, wszystkie naraz, wyrzuciły grad ogromnych głazów na miasto. Po każdym strzale katapulty regulowano, aż głazy zaczęły uderzać w mury, a nie spadać na domy. Tak rozpoczęła się bitwa o Vo Mimbre.

Widzieliśmy oddziały Angaraków gromadzące się w pewnej odległości za katapultami. Ojciec nadal czekał. Potem, późnym rankiem, polecił Wildantorowi odpowiedzieć. Asturiańscy łucznicy unieśli łuki i deszcz strzał o stalowych grotach spadł na Thullów obsługujących maszyny oblężnicze. Bombardowanie murów natychmiast ustało. Ci z Thullów, którzy ocalili, rzucili się ku zgromadzonym za nimi Angarakom, zostawiając katapulty bez dozoru i ochrony. Wówczas Mandor dał sygnał swym jeźdźcom przy północnej bramie. Bramę otworzono i zaatakowali rycerze uzbrojeni w topory bojowe. Kiedy wrócili, z maszyn oblężniczych Zedara pozostały jedynie drzazgi. Muszę przyznać, że okrzyki wściekłości i rozczarowania Toraka miło zabrzmiały w moich uszach. Najwyraźniej myśl, że możemy atakiem odpowiedzieć na jego atak, nie przyszła mu do głowy. Czyżby naprawdę przewidywał, że potulnie poddamy miasto, tylko dlatego że tak chciał? Prawdopodobnie życie Zedara w tym momencie wisiało na włosku. W geście rozpaczy, i najwyraźniej nie myśląc,

dał rozkaz do frontalnego ataku na pomocną bramę. Atak załamał się gradem strzał, a ci z nielicznych Angaraków, którzy dotarli do murów zostali oblani wrzącą smołą i podpaleni. Potem zaszło słońce i pierwszy dzień dobiegł końca. Zedar był zmuszony wrócić do pałacu Toraka, by powiadomić go o swej porażce. Obie z matką chciałyśmy przysłuchać się tej rozmowie. Wieczór powoli zapadał nad Vo Mimbre, gdy połączyłyśmy się ponownie i cicho pofrunęłyśmy nad pobojuwiskiem do miejsca w którym stał zardzewiały pałac Toraka.

- Pomyliłem się, Zedarze - mówił Torak złowieszczym tonem, co słyszałyśmy przycupnięte w naszym ulubionym okienku. - Angaracki uczeń nie zawiódłby mnie tak okrutnie tego dnia. Czy mam wezwać Ctuchika lub Urrona na twoje miejsce? Zedar z trudem przełknął ślinę.

- Proszę, mistrzu, pozwól mi odzyskać honor - błagał. - Wiem już, na czym polegał mój błąd. Moje maszyny nie były odpowiednie do tego zadania. Zacznę od nowa. O pierwszym brzasku będę miał do dyspozycji niezwyciężone maszyny. Vo Mimbre jest zgubione, mistrzu.

- Ty jesteś zgubiony, Zedarze - odparł Torak swym przeraźliwym głosem. - Zrób wszystko, by otworzyć przede mną bramy złocistego miasta przed zapadnięciem nocy.

- Gdyby nie ograniczenia, jakie na nas nałożono, z łatwością sprostałbym temu zadaniu, mistrzu.

- Ograniczenia dotyczą mnie, Zedarze. Ciebie obchodzić nie powinny.

Oczy Zedara pojaśniały.

- A zatem nie muszę obawiać się kary ze strony Konieczności?

- Ty masz rozkaz działać, Zedarze. Nie obchodzi mnie, czy będziesz za to ukarany. Poczujesz się myślą, że zawsze będę cię mile wspominał, gdy odejdziesz. Ale to jest wojna, Zedarze, a na wojnie często giną przyjaciele. To smutne, ale osiągnięcie celu zawsze wymaga ofiar. Jeśli będziesz musiał oddać życie dla osiągnięcia mych celów, niech tak będzie. Nonszalancka obojętność Boga Smoka z pewnością zmroziła Zedara i całkiem możliwe, że skorygowała jego sąd o tym, jak ważny jest dla Toraka. Wróciłyśmy z matką do miasta i kolejny raz kazała mi „iść się pobawić”, podczas gdy sama wróciła do obserwacji wroga. Nie była wprawdzie tak wyrachowana jak Torak, ale pomimo to...

Uświadomiłam sobie, że bitwa odsunęła na plan dalszy zapędy Toraka wobec mnie. Byłam nim bardzo rozczarowana. Prawdziwy zalotnik nigdy by nie dopuścił, aby coś tak błahego jak los świata oderwało jego myśli od wybranki. Doszłam do smutnego wniosku, iż zapewne nie kochał mnie tak bardzo, jak utrzymywał. Na mężczyznach nigdy nie można polegać.

Wszyscy byli w sali tronowej, gdy weszłam.

- Co planują, Pol? - zapytał ojciec. Straszliwie protestował, gdy powiedziałam mu, że „idę się rozejrzeć”, ale nie był na tyle stanowczy, by nie wykorzystać przyniesionych przeze mnie informacji. Zauważyłam, że mężczyźni często zajmują zdecydowane stanowisko na pokaz. Potem, osiągnąwszy już swój cel, schodzą na ziemię i korzystają ze zdobyczy innych.

- Zdaje się, że Zedar popadł w niełaskę - odpowiedziałam. - Miał zdobyć Vo Mimbre i Torak był bardzo zawiedziony jego porażką.

- Torak nigdy nie słynął z dobrego serca - powiedział Beltira.

- Lata wiele go nie zmieniły, wujku.

- Dowiedziałaś się, co nas czeka jutro, Pol? - spytał ojciec.

- Nic konkretnego, ojczu. Sam Torak ma zamiar przestrzegać ograniczeń nałożonych na niego przez Konieczność, ale Zedarowi polecił je ignorować. Powiedział nawet, że będzie mu przykro, jeśli Konieczność ukarze Zedara za łamanie zasad.

- Ciekaw jestem, czy naszemu bratu zaświtała już w głowie myśl o zmianie strony - powiedział Belkira z niemal świątobliwym uśmiechem.

- Myślę, że Zedar raczej pójdzie za przykładem swego mistrza - powiedziałam. - Zedar boi się o własną skórę, więc nie będzie ryzykował. Rozkaże kilku Grolimom, by nadstawili za niego karku. Grolimowie to fanatycy, myśl o śmierci za swego boga wprawia ich w ekstazę.

- Całą noc możemy tak snuć domysły - powiedział ojciec. - Dla własnego bezpieczeństwa powinniśmy przyjąć, że spróbują czarów, i to z dobrym skutkiem. Jeśli nie, dobrze, jeśli tak, bądźmy przygotowani. Wszyscy powinniśmy jutro zachować czujność. Narada się zakończyła, ale ojciec dogonił mnie w korytarzu.

- Chyba czas przegrupować siły - powiedział. - Powiem Cho-Raniowi i Rhodarowi, by zamykali już lukę pomiędzy nimi a wschodnim skrzydłem Toraka. Potem porozmawiam z Brandem i Ormikiem, by zajęli miejsca od północy. Chciałbym, aby te armie czekały wypoczęte, gdy Beldin dotrze tu pojutrze. Miej tu wszystko na oku, Pol. Może Zedar postanowi wcześniej zacząć.

- Zajmę się tym, ojczu - odparłam.

Do świtu było jeszcze daleko, gdy maszyny Zedara rozpoczęły bombardowanie murów. Od potężnego łomotu głazów drżały wszystkie budynki w mieście, a huk był przy tym ogłuszający. Co gorsza, nowe katapulty Zedara miały tak wielki zasięg, że mogły stać poza zasięgiem asturiańskich łuków. Po powrocie ojciec zaproponował, aby bliźniacy poszli za przykładem Zedara i też zbudowali katapulty. W przypadku równowagi w uzbrojeniu, przewaga jest zawsze po stronie obrońców fortyfikacji. Zedar miotał głazy w nasze mury; my miotaliśmy kamieniami lub ogniem w ludzi. Nasze mury stały, Angarakowie Toraka nie.

Grad małych kamieni pozbawiał ich przytomności, a deszcz płonącej smoły dawał początek nowym kometom, ponieważ płonący ludzie zawsze chcą dokądś uciec. Zedar w desperacji zaryzykował własny kark i przywołał wicher, by zmienić tor asturiańskich strzał, gdy szykował się do następnego frontalnego ataku. To był oczywiście jego błąd. Bliźniaki znali Zedara bardzo dobrze i natychmiast poznali różnicę pomiędzy jego Wolą a gotowych do poświęceń Grolimów. Teraz musieli tylko pójść za jego przykładem. Zedar zaryzykował, ale my, dopóki po prostu będziemy go naśladować, czuliśmy się bezpieczni. Przecieranie szlaku w niebezpiecznej sytuacji zapewne nie radowało Zedara, lecz ultimatum Toraka nie pozostawiało mu wyboru. Bliźniaki stworzyli barierę czystej siły i wichura Zedara została rozdzielona na dwa strumienie, które opływały oazę spokoju, jaką stało się nagle Vo Mimbre.

Potem, wiedziony desperacją, Zedar nakłonił Grolimów, by pomogli mu osuszyć otaczające miasto błota. Chwilę trwało, nim ojciec i bliźniaki zrozumieli, co zamierzał, ale gdy Zedar wzbił tumany kurzu i skierował je ku murom, ja już miałam gotowe rozwiązanie. Oderwaliśmy z bliźniakami kawałek wichury Zedara i w postaci trąby powietrznej posłaliśmy ją kilka mil w dół rzeki Arend, a potem sprowadziliśmy z powrotem w postaci trąby wodnej. Na miejscu uwolniliśmy ją z więzów. Powstała w efekcie ulewa zbiła cały pył i ujrzeliśmy hordy Murgów, którzy skradali się pod osłoną kurzu. W tym momencie do akcji wkroczyli asturiańscy łucznicy. Ojciec bawił się jak dziecko. Następnym jego posunięciem zesłanie na wroga świądu. Miał z tego niezłą frajdę. Tak więc przetrwaliśmy drugi dzień bitwy. Wiedziałam, jakie to było ważne, ale nikomu o tym nie mówiłam głównie z powodu nalegań matki.

- To by wprowadziło ich tylko w zakłopotanie, Pol - zapewniała mnie. - Mężczyzn łatwo wprowadzić w zakłopotanie, więc zachowajmy dla siebie informację o wadze trzeciego dnia. Lepiej nie dawać ojcu okazji do kolejnych szalonych pomysłów. Przepraszam, że to ujawniłam, mamó, ale ostatnio ojciec był trochę za bardzo zadowolony z siebie. Może czas, aby nareszcie dowiedział się, co naprawdę się wydarzyło pod Vo Mimbre. Arendyjski poeta, Davoul Chromy, cherlawy gość utykający na jedną nogę i mający przesadną opinię na temat swego miernego talentu, spreparował prawdziwą potworność pod tytułem: „Historia współczesna rodu Mimbre”. Wielce się w niej rozwodził nad niechęcią Toraka do opuszczenia zardzewiałego pałacu, ale jej nie wyjaśniał. Ci z was, którzy uważali przy lekturze, już zapewne wiedzą, co się za tym kryło. Mówiąc bez ogródek, Torak bał się trzeciego dnia, ponieważ Wyrocznia Ashabińska powiedziała mu, że przegra, jeśli pojedynek z Dzieckiem Światła odbędzie się trzeciego dnia. Najwyraźniej nie wolno mu było opuścić pałacu drugiego dnia, więc musiał zdać się na Zedara w kwestii zdobycia miasta. Zedar

zawiódł i teraz Torak znalazł się w obliczu dnia, którego tak się bał. Jeśli się jednak nad tym zastanowić, wystarczyło tylko, aby został w domu. Wygrałby, gdyby tak zrobił. Nie ponagłajcie mnie. We właściwym czasie wyjaśnię, dlaczego wyszedł. Rozstrzygnąć naszą kampanię miały tolnedrańskie legiony, więc tuż przed świtem poleciałam nad rzekę Arend, aby upewnić się, że okręty Eldriga płyną z tymi oddziałami. Poczułam ogromną ulgę, gdy zobaczyłam je tam, gdzie być powinny. Potem Beltira opuścił miasto, by dołączyć do naszych sił na wschodzie; Belkira udał się na północ, by dołączyć do Sendarów, Rivan i Asturian; ja z ojcem zaś poleciliśmy na drzewo, by stamtąd obserwować pole bitwy i wydawać rozkazy. Ojciec oczywiście był absolutnie nieświadom tego, że nie jestem sama w znajomej postaci sowy. Zwodzenie ojca nie było trudne ani bardzo ważne. Ważne było to, że Torak nie wie nic o matce. Jestem absolutnie przekonana, że właśnie jej obecność pod Vo Mimbire ostatecznie pokonała jednookiego boga. Pomysłem ojca było dęcie w róg. Nie służyło w zasadzie żadnemu celowi poza zaspokojeniem ojcowskiej potrzeby dramatyzmu Członkowie naszej rodziny, rozproszeni pomiędzy naszymi siłami mieli bardziej subtelne sposoby na porozumiewanie się, ale ojciec uparcie obstawał przy tych koncertach. Muszę przyznać, że Arendom bardzo spodobał się pomysł tajemniczych sygnałów, które odbijały się echem od pobliskich wzgórz, jak również to, że wprowadzały spory niepokój wśród Angaraków. Nadraków szczególnie zaniepokoiły zawołania rogów, więc Yar lek Thun wysłał zwiadowców do lasów, aby sprawdzili, co się dzieje. Tam wybili ich asturiańscy łucznicy i ludzie Branda, a Yar lek Thun nie doczekał się upragnionego raportu. Potem Ad Rak Cthoros, dowódca Murgów, wysłał zwiad na wschód. Tym z kolei zajęła się algarska jazda.

Po następnym sygnale rogu otrzymaliśmy odpowiedź, na którą czekaliśmy. Wujek Beldin i generał Cerran odpowiedzieli chórem tolnedrańskich trąbek. Cherekowie i tolnedrańskie legiony dotarły na pole bitwy. Wówczas ojciec, nasz marszałek polny, wzbiał się na swą pozycję wysoko nad naszymi siłami. Gdy wszystko na ziemi było już po jego myśli, dał rozkaz Brandowi do rozpoczęcia działań. Brand zadął dwukrotnie w róg. Odpowiedział mu Cho-Ram. Odpowiedzią Mandora zaś było natychmiastowe otwarcie bram Vo Mimbire i grzmiący atak Mimbratów. Zedar, który powinien mieć więcej oleju w głowie, przybrał postać kruka i wyleciał z żelaznego pawilonu, aby obserwować nasze poczynania.

W tym momencie matka mnie zaskoczyła. Bez żadnego ostrzeżenia poderwała z konaru naszą wspólną postać i wzbiała się wysoko ponad kruka. Ponieważ byłyśmy całkowicie zespolone, dzieliłyśmy myśli i uczucia. Z niemałym zaskoczeniem odkryłam, że wrogość matki wobec Zedara starsza była od jego odszczepieństwa. Matka nie lubiła Zedara od pierwszej chwili, gdy go ujrzała. Miałam wrażenie, że musiał powiedzieć coś takiego memu

ojcu o matce, co zaskarbiło mu to szczególne miejsce w jej sercu. Ojciec zawsze wierzył, że sowa, która spadła z nieba tego ranka, chciała jedynie przestraszyć Zedara, ale się mylił. Matka ze wszech sił próbowała zabić Zedara. Ciekawa jestem, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby jej się powiodło.

Opisy szarży Mimbratów pod Vo Mimbre zajmują całe tomy последней poezji, ale ze strategicznego punktu widzenia jej jedynym celem było przykucie do miejsca Mallolean, i to dokładnie osiągnięto. Szarża była dramatyczna, hałaśliwa i bardzo podniecająca, ale to wszystko miało drugorzędne znaczenie. Torak, słaby taktyk, nigdy nie brał udziału w bitwie pomiędzy równorzędnymi siłami. W czasie wojny bogów miał przewagę liczebną. W tej wojnie było inaczej. Założył, że ataki na jego armie nadejdą ze skrzydeł i z tyłu, więc umieścił hordy Mallolean w centrum, by wspomagały w razie potrzeby Murgów, Nadraków i Thullów. Samobójcza szarża Mimbratów przeszkodziła Malloleanom w zmierzeniu się z innymi niebezpieczeństwami, co zmusiło Toraka, otoczonego i wyprowadzonego w pole, do przyjęcia wyzwania Branda. Potem Zedar ponownie próbował swych sztuczek, tym razem przybrał postać jelenia. Podejrzewam, że po prostu próbował uciec. Jeśli tak, to mu się nie udało. Postać jelenia była poważnym błędem, jak z pewnością uświadomił sobie Zedar, gdy ojciec zaczął podgryzać go w zad. Nasze połączone siły nieuchronnie zaciskały się wokół Angaraków. Armia Toraka ponosiła straszliwe straty. Angaraccy żołnierze tęsknie spoglądali na drugi brzeg rzeki Arend. Teraz zrozumiałam, czemu Kal Torak obawiał się tego trzeciego dnia bitwy. Muszę przyznać, że ojciec po mistrzowsku dowodził wojskami. Błyskawicznie reagował na każde posunięcie Zedara. Szarża rycerzy Mimbratów zdziesiątkowała Mallolean, ale nim Zedar zdążył wydać rozkazy swym Murgom, ojciec włączył do bitwy Beltirę i połączone siły Algarów, Drasnian i Ulgosów, czym efektywnie związał większość sił zachodnich Angaraków. Ponieważ od strony Doliny Aldura maszerowały legiony z walecznymi Cherekami Eldriga, Zedar nie ośmielił się rozkazać Nadrakom i Thullom, by ruszyli na pomoc Malloleanom, bo osłabiłby prawe skrzydło. Pozostały mu jedynie rezerwy, a gdy polecił im włączyć się do bitwy pod bramami miasta, Belkira mógł zaatakować tyły sił angarackich. W tym momencie, nadal zespolone w jednej postaci, poleciałyśmy z matką ku pawilonowi Toraka. Wywiad na polu bitwy zawsze był w najlepszym wypadku fragmentaryczny. Wiele bitew przegrano tylko dlatego, że generałowie musieli czekać na kurierów lub zwiadowców informujących o ruchach sił nieprzyjaciela, nim podjęli jakieś działania. Ojciec nie miał tego problemu. Pozostali z nas mogli, i czynili to, porozumiewać się z nim bezpośrednio i niemal natychmiast. Co więcej, mogliśmy z matką podsłuchiwać Toraka i Zedara i przekazywać informacje o tym dalej, więc ojciec uprzedzał ruchy Zedara.

Zedar namawiał Toraka, aby ten przywdział zbroję i wyszedł z pawilonu, czym podniesie na duchu Anagarków, ale Bóg Smok uparcie odmawiał, ponieważ to był dzień, którego się od dawna obawiał. Ostatnio przeglądałam Wyrocznię Ashabińską i nie potrafię zrozumieć, jak Torak mógł się tak ogromnie pomylić w interpretacji pewnego fragmentu. Najwyraźniej automatycznie założył, że był, jak niemal zawsze, Dzieckiem Mroku. Potem uznał, że Dzieckiem Światła zawsze będzie Rivański Król, spadkobierca Rivy. Taka kombinacja miała miejsce pod Cthol Mishrak, gdy Garion ostatecznie zniszczył Toraka, ale to było inne WYDARZENIE i miało miejsce w czasie innej wojny, kilkaset lat później. Torak najwyraźniej pomylił oba wydarzenia i ten błąd przyniósł nam zwycięstwo pod Vo Mimbre.

Pomimo natarczywości Zedara Torak pozostawał niewzruszony.

- Nie czas jeszcze, bym wyszedł przeciw moim wrogom, Zedarze - powiedział. - Mówiłem ci już, że tego dnia rządzi czysty przypadek. Jednak zapewniam cię, że pewne WYDARZENIE poprzedzi me spotkanie z Dzieckiem Światła, i to WYDARZENIE będzie pojedynkiem Woli, a siła mej Woli daleko prześciga Wolę tego, kto stawia mi czoło. Ta rywalizacja zdecyduje o wyniku bitwy tego dnia.

Pomimo naszego zespolenia niektóre myśli matki nadal pozostawały przede mną ukryte, ale pochwyciłam jej napięcie. Matka najwyraźniej przygotowywała się do czegoś i rozmyślnie to przede mną tała.

- Muszę pójść z pomocą Malloreanom, mistrzu - mówił Zedar z nutą desperacji w głosie. - Czy pozwolisz mi użyć sił, które trzymamy w rezerwie?

- Rób, co uznasz za najlepsze, Zedarze - odparł Torak z boską obojętnością, która musiała doprowadzać jego ucznia do szału.

Zedar podszedł do wyjścia z pawilonu i wydał rozkazy czekającym na zewnątrz kurierom. Wkrótce potem rezerwy Angaraków zaczęły maszerować ku bitwie toczącej się pod bramami miasta, gdy w tym samym czasie Cherekowie i generał Cerran przedarli się przez linie Nadraków, by pójść z pomocą rycerzom mimbrackim. Zamieszanie na polu bitwy wzmagало się, a ojciec jeszcze je powiększył, każąc wujkowi Belkirze wypuścić Rivan, Sendarów i astu-riańskich łuczników, którzy ukrywali się w lasach na północy. Z ponurym milczeniem wyszli spośród drzew, by zająć pozycje, które właśnie opuściły rezerwy Zedara. Wszyscy posłańcy, przybywający do żelaznego pawilonu, przynosili złe wieści.

- Panie Zedarze! - zawołał pierwszy przenikliwym głosem. - Król Ad Rak Cthoros został zabity i wśród Murgów zapanował chaos!

- Panie Zedarze! - przerwał drugi. - Nadrakowie i Thullowie rozproszyli się i próbują uciekać!

- Panie Zedarze! - włączył się trzeci posłaniec. - Od północy atakują nas wielkie siły! Są z nimi asturiańscy łucznicy, a ich łuki sięgają spustoszenia wśród naszych odwodów! Nasze siły w centrum bitwy są w śmiertelnym niebezpieczeństwie i rezerwy nie będą w stanie przyjść im z pomocą! Nie możemy atakować łuczników, ponieważ bronią ich Sendarowie i Rivanie!

- Rivanie! - ryknął Torak. - Rivanie przybyli, aby stawić mi czoło?!

- Tak, przenajświętszy - odparł przerażony posłaniec. - Maszerują z Sendarami i Asturianami na nasze tyły! Nasz los jest już przypieczętowany!

- Zabić go - powiedział Torak do jednego ze stojących w pobliżu Grolimów. - To nie miejsce dla snującego domysły posłańca.

Dwaj Grolimi rzucili się na nieszczęsnego posłańca z nożami. Tamten jęknął, po czym padł na ziemię.

- Azali ten, który przewodzi Rivanom, dzierży miecz? - wypytywał Torak drugiego posłańca, który stał z pobludłą twarzą, wpatrzony w leżącego towarzysza.

- Tak, mój boże - odparł piskliwym z przerażenia głosem.

- Czy miecz ten płonie w jego ręku?

- Nie, mój boże. Wygląda na zwyczajny miecz.

- A zatem zwycięstwo moje jest zapewnione! - wykrzyknął Torak.

- Nie rozumiem, panie. - Zedar wydawał się zbity z tropu.

- Ten, który przybył przeciwko mnie stanąć, nie jest Rivańskim Królem, Zedarze! Nie jest Pogromcą Boga! Jego miecz to tylko zwykłe żelazo, nie wzmocnione siłą Cthrag Yaska! Zaiste, zwyciężę tego dnia. Przywołaj mą służbę, Zedarze, albowiem miejsce to opuszcze i świat będzie należał do mnie!

- Ojcie! - niemal krzyknęłam w myślach. - Torak wychodzi!

- Oczywiście, Pol - odparł zadowolony z siebie. - Tak to właśnie zaplanowałem. Czas, abyśmy dołączyli do Branda. Nie ociągaj się, Pol Nie chcemy się spóźnić.

- Chciałabym, aby kiedyś wreszcie dorósł - zauważyła niemal z absolutnym spokojem matka, gdy wylatywałyśmy z wąskiego okienka. Teraz sprawy potoczyły się szybko, ale miałam czas, by nabrać podejrzeń, że wydarzy się coś, co mi się nie spodoba. Te podejrzania wzmacniał fakt, że tym razem matka pozostała połączona ze mną, gdy opuszczałyśmy postać naszej sowy. Nigdy przedtem tego nie robiła i uparcie odmawiała wyjaśnień.

Brand najwyraźniej pozostawał we władaniu owej potężnej świadomości, charakterystycznej dla Dzieci Światła. Wydawał się niemal nieludzko spokojny i całkowicie wyłączony z tego, co działo się wokół. Jednakże zaraz po przybyciu ojca zachowanie Branda zmieniło się gwałtownie. Gdy odezwał się, jego głos przypominał grzmot.

- W imię Belara wyzywam cię, Toraku, okaleczony i przeklęty! W imię Aldura ciskam ci swą pogardę w twarz! Zaprzestańmy rozlewu krwi i spotkajmy się - człowiek przeciwko bogu - abym zatriumfował nad tobą! Rzucam ci rękawicę! Podejmij ją lub objaw się jako tchórz między ludźmi i bogami!

Torak z Zedarem trzymającym się tuż za nim wyszedł ze swego śmiesznego zameczku. Ryknął ze wściekłości i machnął potężnym mieczem, roztrzaskując głazy i rozsypując iskry. Wówczas Zedar uciekł.

- Kto ze śmiertelnych w głupocie swej śmie wyzwąć Króla Świata! - ryknął Torak. - Kto spośród was zmierzy się z bogiem?

- Jam jest Brand, Strażnik Rivy. Rzucam wyzwanie tobie, ohydny i okaleczony bożku, i całej twej cuchnącej hordzie! Przywołaj swą potęgę! Przyjmij me wyzwanie lub wynoś się i nigdy nie stawaj przeciwko królestwom Zachodu!

Celem tego wyzwania było rozwścieczenie Toraka, by przestał racjonalnie myśleć. Gdyby bóg Angaraków zachował jasność umysłu, wyczułby zastawioną pułapkę.

- Baczcie! - ryknął potężnym głosem. - Jam jest Torak, Król Królów i Pan Panów! Nie lękam się żadnego śmiertelnika ani nikłych cieni dawno zapomnianych bogów! Wystąpię i zniszczę tego gadatliwego rivańskiego głupca, a wrogowie moi umkną. Cthrag Yaska znowu będzie mój, a także świat cały!

Po to właśnie toczyła się cała wojna. Wszystko, co przecierpieliśmy, miało tylko jeden cel - doprowadzić Toraka na tyle blisko do Klejnotu Mistrza, by ten mógł się z nim rozprawić.

Gromka wymiana zdań między bogiem a Strażnikiem Rivy sparaliżowała obie armie. Walki ustały, gdy Kal Torak ruszył pewnym krokiem przed swych żołnierzy. Brand, z ojcem pod postacią wilka biegnącym u jego boku i naszą sową unoszącą się mu nad głową, również pomaszerował na spotkanie ze swym wrogiem.

Gdy dzieliło ich dwadzieścia kroków, doszło do WYDARZENIA, którego ojciec nawet nie zauważył. Brand przedstawił się i dodał jeszcze kilka obelg, by wściekłość Toraka nie ostygła. Torak jednak odezwał się do mego ojca.

- Precz, Belgaracie! - ostrzegł, - Uciekaj, jeśli chcesz zachować życie.

Ojciec odpowiedział pogardliwym warknięciem.

Potem Torak we mnie utkwiał wzrok, ale nie starał się mnie przestraszyć. Ton jego głosu był słodki, a moc jego Woli wszechpotężna.

- Wyrzeknij się swego ojca, Polgardo, i chodź ze mną. Poślubię cię i uczynię królową całego świata, a potęgą twej mocy mej jedynie ustępować będzie.

Widywałam czasami małe, bezradne stworzenia w obecności węża. Mysz czy królik wiedzą, że wąż jest niebezpieczny, ale wydają się sparaliżowane, niezdolne do ruchu, gdy tymczasem wąż powoli się zbliża. Ja sama znalazłam się w podobnej sytuacji. Wola Toraka całkowicie mnie przytłoczyła. Opowieści o tym krótkim pojedynku utrzymują, że krzykiem wyraziłam swą pogardę dla jednookiego boga, ale to nieprawda. Nie byłam w stanie wydobyć nawet najcichszego dźwięku. Torak pokonał mnie w jednej chwili. Ale nie mógł wiedzieć, że faktycznie stawiał czoło trzem uczniom Mistrza w tym momencie, nie dwóm. Prawdopodobnie właśnie ten trzeci uczeń pokonał go pod Yo Mimbre, ponieważ miał on powiązania nie tylko z Aldurem, ale i z ULeM, ojcem Toraka. Nasza sowa, z drżącym każdym piórkiem, wisiała niezdecydowanie nad głową Branda, a potem poczułam, jak cała moja świadomość zostaje zamknięta w małym skrawku naszej wspólnej postaci i trzeci uczeń Mistrza, moja matka, wkracza do akcji. Wiele razy znajdowałam się w obecności bogów, ale nigdy nie czułam nic tak przytłaczającego jak Wola matki tego dnia. Zebrała całą swą siłę i cisnęła ją Torakowi w twarz. Gdyby był człowiekiem, siła ta rozbiłaby go na atomy. Nośnikiem jej Woli był nasz wspólny głos, a gdyby nie był tak precyzyjnie skierowany, zapewne rozbiłby szyby we wszystkich królestwach Zachodu. Ponieważ jednak głos ten był ściśle kontrolowany, nikt sobie nawet nie zdał sprawy z ogromu jego mocy. Ptaki ćwierkają, szczebioczą, świergoczą, nawołują się cały czas i nikt nie zwraca na to szczególnej uwagi. Torak jednak się wzdygnął na ten dźwięk. Krzyk matki niósł z sobą alikwoty głosu Aldura i głosu ULa. Wola Toraka, tak w jego mniemaniu przytłaczająca, była skierowana na mnie, ponieważ nie wiedział, że matka jest ze mną. Potęga odpowiedzi, którą Torak mnie przypisywał, była tak ogromna, że uderzenie jego Woli wydało się zaledwie podmuchem. Okaleczony bóg Angaraków nagle się zląkł. W tym właśnie momencie stanął przed Strażnikiem Rivy. Wynik spotkania był przesądzony. Historia podaje, że Brand pokonał Toraka tego dnia pod murami Vo Mimbre, ale historia się myli. Moja matka go pokonała, a wykorzystała do tego nasze połączone siły. W pewien szczególny sposób Poledra wygrała bitwę pod Vo Mimbre.

- Przygotujcie się na śmierć! - zagrział Torak, ale nikły ślad zwątpienia w jego głosie sugerował, że nie jest już tak absolutnie pewny siebie, jak można by sądzić po jego złowieszczym tonie. Wyrocznia Ashabińska ostrzegła go przed trzecim dniem bitwy, lecz zbyt mocno wierzył, że spotka się z Rivańskim Królem i jego zrodzonym z gwiazdy mieczem. Gdy Brand rzucił mu wyzwanie, Torak z radością uznał, że wygra. Jedyne to skłoniło go do wyjścia z żelaznego pawilonu tego trzeciego dnia bitwy. Jednak nie Brand był jego przeciwnikiem, lecz Klejnot Mistrza. Torak wyszedł ze swego pawilonu przekonany, że

tego dnia zdobędzie wszystko, czego pragnie. Dlatego właśnie cisnął we mnie swą Wolę; ale matka odsunęła mnie na bok i odpowiedziała w moim imieniu, z pogardą odrzucając Boga Smoka. Pojawienie się Branda zamiast Rivańskiego Króla sugerowało Torakowi, że wygra, bezpardonowa odmowa matki sugerowała, że przegra. Torak był bogiem i nie przywykł do radzenia sobie z niepewnością. Toteż ruszył przeciwko Brandowi z dziwną desperacją. Brand zaś był spokojny, nawet nieobecny myślami. Pojedynek wydawał się trwać wiecznie. Torak atakował z coraz większą zaciętością, a Brand stawał się coraz bardziej obojętny. W końcu Bóg Smok przedarł się przez obronę Branda i zranił go głęboko w ramię. To był sygnał, na który czekaliśmy, choć nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Brand musiał odnieść ranę, nim pokona boga. Z ramienia Branda trysnęła krew, ojciec zawył, ja krzyknęłam. Potem Brand przestał być obojętny. Końcem miecza przeciągnął po licu tarczy, rozcinając żołnierski płaszcz, który ją zakrywał. Płonący Klejnot Mistrza uderzył swym ogniem Boga Smoka prosto w twarz.

Oczywiście o to w tej całej wojnie chodziło. Spędziliśmy dziesięć lat i poświęciliśmy tysiące ludzi tylko w tym celu, by sprowadzić Toraka do miejsca, gdzie będzie zmuszony stawić czoło Klejnotowi w ściśle określonym miejscu i czasie. Myślę, że żadne z nas w pełni nie rozumiało, jak bolesna będzie obecność Klejnotu dla boga Angaraków. Krzyknął, gdy zgubny ogień ponownie uderzył go w twarz. Z krzykiem odrzucił tarczę i miecz, rozpaczliwie usiłując się zasłonić. Wtedy Brand go powalił. Szybko ujął miecz w obie dłonie i wbił w okaleczony, lewy oczodół boga, gdzie Oko, Którego Nie Było, nadal płonęło tak jasno, jak tego dnia sprzed niemal pięćdziesięciu wieków, gdy Klejnot ukarał go za rozłupanie świata.

Torak ponownie wrzasnął i zatoczył się do tyłu. Wyrwał miecz Branda ze swego oka. Popłynęła jasna krew. Bóg Angaraków stał nieruchomo przez chwilę i nagle przewrócił się, aż zadrżała ziemia. Na rozległym polu bitwy zapadła martwa cisza. To, co właśnie zaszło, było tak tytanicznym WYDARZENIEM, że aż dziw, iż słońce nie przygasło i nie zatrzymało się na niebie. Prawdopodobnie tylko ja usłyszałam jedyny dźwięk - triumfalne wycie matki. Moja matka tysiące lat żyła pod postacią kobiety, Poledry, ale w głębi duszy nadal była wilkiem. Mój triumf w znacznej mierze przesłaniało uczucie ulgi. Zwykle jestem bardzo pewna siebie, ale to krótkie spotkanie z Torakiem wstrząsnęło mną do głębi. Odkryłam, że gdy Torak rozkazuje, muszę być mu posłuszna, i to odkrycie przeppełniło mnie przerażeniem.

To, co nastąpiło po upadku Toraka, nie było przyjemne. Angarakowie zupełnie stracili wolę walki. Zmasakrowanie ich - nie ma na to innego słowa - było przesadą, mówiąc najogólniej. Jednak Brand nie okazał litości. W końcu nawet generał Cerran stanowczo

oświadczył, że co za wiele, to niezdrowo, ale Brandowi, Alornowi do szpiku kości, nigdy nie było za wiele zabijania Angaraków. Rzeź trwała całą noc, a gdy słońce wzeszło, żaden żywy Angarak nie pozostał już na polu bitwy.

Kiedy już nie było kogo zabijać, Brand z ramieniem na temblaku polecił Alornom przynieść ciało Toraka, aby mógł „spojrzeć na twarz Króla Świata”, ale ciała Toraka nigdzie nie było. Wówczas Strażnik Rivy rozkazującym tonem posłał po moją rodzinę i mnie. Bliźniaki, Bel-din, ojciec i ja przedostaliśmy się zasłanym trupami polem na wzgórze, na którym stał Brand, przyglądając się pogromowi Angaraków.

- Gdzie on jest? - dopytywał się tonem, który wcale mi się nie spodobał.

- Kto? - zapytał Beldin.

- Torak. Nikt nie może znaleźć jego ciała.

- A to zdumiewająca sprawa - powiedział sardonicznie Beldin. - Myślałeś, że go znajdziesz? Zedar zabrał ciało boga, gdy tylko słońce zaszło.

- Co takiego?!

- Nie powiedziałaś mu? - zapytał ojca Beldin.

- Nie musiał o tym wiedzieć. Gdyby wiedział, pewnie próbowałby temu przeszkodzić.

- Co się tu dzieje?! - władczy ton Branda zaczynał mnie już drażnić.

- To część porozumienia pomiędzy Koniecznościami - wyjaśnił ojciec. - W zamian za twoje zwycięstwo nie wolno ci było zatrzymać ciała Toraka. To nie było ostatnie WYDARZENIE, Brandzie, nie pozbyliśmy się jeszcze Toraka na zawsze.

- Ale on jest martwy.

- Nie - powiedziałam jak najdelikatniej. - Nie myślisz chyba, że twój miecz mógłby go zabić? Jedyne miecz, który potrafi tego dokonać, nadal wisi w Rivie.

- Co ty mówisz, Pol! - wybuchnął. - Nikt nie przeżyje przebiccia mieczem głowy!

- Nikt z wyjątkiem boga, Brandzie. Torak jest nieprzytomny, ale kiedyś ponownie się ocknie. Ostateczny pojedynek nadal jest sprawą przyszłości i w nim właśnie weźmie udział Torak i Rivański Król. Wówczas chwycą za prawdziwe miecze i ktoś naprawdę zginie. Spisałeś się bardzo dobrze, mój drogi, ale zachowajmy właściwe proporcje. To, co wydarzyło się tutaj, było jedynie potyczką. Widziałam, że mu się to nie spodobało, ale władcze maniere zaczynały mu wchodzić w krew i uznałam, że trzeba przywołać go do porządku.

- A zatem wszystko to było na próżno - rzekł przygnębiony.

- Tego bym nie powiedział, Brandzie - odezwał się ojciec. - Gdyby Torak zwyciężył, zdobyłby cały świat. Przeszkodziłeś mu. A to już chyba coś?

- Pewnie tak - westchnął Brand, po czym rozejrzał się po krwawym poboju. - Uprzątnijmy to, bo wkrótce będziemy mieć zarzę.

Stosy pogrzebowe były olbrzymie i pochłonęły wszystkie drzewa z lasów na północ od pola bitwy. Po pogrzebie Aldorigen i Eldallan oddalili się, by przedyskutować różnice zdań. Dyskusja była najwyraźniej bardzo gorąca, ponieważ obaj byli martwi, gdy w końcu ich znaleziono. Ta dramatyczna lekcja pogładowa przekonywała, że jeśli Mimbri i Asturia dalej będą ciągnąć wiekowe kłótnie, szybko skończą tak samo. Po obu stronach oczywiście nie brakowało zapaleńców, mających za nic oczywiste racje, ale Andorin i Wildantor, dwaj arendyjscy bohaterowie bitwy, położyli kres dyskusjom. Każdego ze swych ziomek, któremu gorąca krew przesłoniła zdrowy rozsądek, zapewniali: „Jeśli nie posłuchasz, zginiesz z mojej ręki”. Obaj wystąpili do Branda z absurdalną propozycją. Zaproponowali mu koronę Arendii. Na szczęście byłam na tyle blisko Branda, by dać mu sówkę w bok, bo inaczej parsknąłby śmiechem. Udało mu się zachować powagę i dyplomatycznie odmówił, zasłaniając się wcześniej powziętymi zobowiązaniami.

Dzwon, który rozlega się w mej głowie za każdym razem, gdy spotyka się dwoje młodych przeznaczonych sobie, już dał mi odpowiedź na rozwiązanie politycznych problemów Arendii. Powiedziałam o nim Brandowi jeszcze przed bitwą. Kiedy jednak przedstawił tę propozycję Mandorinowi i Wildantorowi, obaj roześmieli mu się w twarz. Powód ich wesołości stał się oczywisty, gdy propozycję tę przedstawiono Korodullinowi i Mayaseranie. Określenia „mimbriński kat” i „ladacznica” nie wróżyły dobrze przyszłemu szczęściu małżeńskiemu. Wówczas ja wkroczyłam do akcji.

- Może przemyślicie to przed podjęciem ostatecznej decyzji? - zaproponowałam. - Musicie się oboje uspokoić i omówić to... gdzieś na osobności. - Potem poleciłam zamknąć ich razem w małej komnacie na szczycie południowej wieży pałacu.

- Pozabijają się, Pol - wróżył ojciec, gdy tylko zostaliśmy sami.

- Przeżyją, uwierz mi, staruszk. Dobrze wiem, co robię. W końcu zaaranżowałam już wiele małżeństw.

- Nie takich jak to. A jeśli jedno z nich zabije drugie, cała Arendia zawrze.

- Nikt nie zginie, ojcz. Może trudno w to uwierzyć, ale myśl o ślubie już została posiana i zaczyna przesiąkać do ich umysłów.. powoli. W końcu to Arendowie, a nie przesiąka szybko przez twardą skałę.

- Nadal uważam to za pomyłkę.

- Chcesz się założyć? - zaproponowałam.

Ojciec rzucił mi piorunujące spojrzenie i wyszedł, mrużąc coś pod nosem. Od czasu do czasu robiliśmy z ojcem zakłady, ale jeśli dobrze pamiętam, nigdy jeszcze nie wygrał.

Potem miała miejsce słynna konferencja, której owoce historia ochrzciła mianem traktatów z Vo Mimbre. Obawiam się, że nie potraktowaliśmy Tolnedran zbyt dobrze w czasie tej konferencji. Obecność legionów w czasie bitwy ocaliła świat przed angaracką niewolą, a potem my potraktowaliśmy Tolnedran jak pokonanych wrogów. Najpierw jednak musieliśmy ostudzić zapęły alornskich królów, którzy chcieli oferować Brandowi koronę Króla Świata. Gdy Mergon, ambasador Tolnedry, zaprotestował, Alornowie zaczęli prężyć muskuły. Być może kiedyś, gdzieś odbędzie się międzynarodowa konferencja, na której wszyscy będą zachowywać się jak cywilizowani dorośli ludzie. Obawiam się jednak, że gdy w końcu do tego dojdzie, będzie to znakiem końca świata. Mój jedyny wkład w konferencję był w owym czasie dla mnie zupełnie niezrozumiały, pozbawiony sensu. Dużo później zrozumiałe się dla mnie stało, przy czym tak obstawałam. Byłam nieugięta i pozostali dali za wygraną. Umieścili w traktacie to, co im podyktowałam. „Począwszy od tego dnia każda księżniczka Imperium Tolnedrańskiego winna w dniu swych szesnastych urodzin stawić się w ślubnej szacie na Dworze Rivańskiego Króla. Będzie czekać tam przez trzy dni. Jeśli Rivański Król przybędzie po nią w ciągu tych trzech dni, zostaną sobie poślubieni. Jeśli nie, wróci do Tolnedry, a ojciec będzie mógł jej wybrać innego męża”.

Oczywiście Mergon, ambasador Tolnedry, gwałtownie protestował, ale miałam wokół siebie wielu miłych Alornów, chętnych do snucia okrutnych przypuszczeń, co może się wydarzyć, gdy Tolnedranie zignorują moją drobną prośbę. To załatwiło sprawę rządu Tolnedry, ale takie argumenty nie miały wielkiego wpływu na Ce'Nedre, która okazała się ową szczęśliwą wybranką. Miała pewne obiekcje. Nie myślała najlepiej o przeznaczonym sobie mężu, to po pierwsze, a gdy odkryła, że przewyższa ją rangą, wybuchła prawdziwym gniewem. Ranga i pozycja były najwyraźniej dla Ce'Nedry bardzo ważne. Zapewniam was, że nasza księżniczka potrafi być absolutnie czarująca - jeśli czegoś chce - ale mnie postarzyła o dobre kilka wieków. O tym, jaka potrafi być uparta, niech zaświadczy fakt, że w końcu trzeba było interwencji boga - Erionda - aby doprowadzić ją w pobliże Dworu Rivańskiego Króla w oznaczonym dniu. Całkiem możliwe, że Eriond zjednoczy świat w pokoju i harmonii, ale nie będzie się to mogło równać z jego zwycięstwem nad Ce'Nedrą tamtego dnia w grotach Ulgo.

To oczywiście z kolei doprowadza nas do pytania, kim był ten, kto skłonił matkę do nalegania, aby umieścić to śmieszne zobowiązanie w traktatach z Vo Mimbre. Jeśli mielibyśmy wybierać najprawdopodobniej szego sprawcę, to ja opowiedziałabym się za ULe. Jestem pewna, że bogowie mają poczucie humoru, a poczucie humoru ULa jest

najbardziej osobliwe. Zauważcie, że nie użyłam tu słowa „perwersyjne”. Choć zastanowienie musi budzić bóg, który zamienił swój lud w krety. Pomimo swych zastrzeżeń wobec Ojca Bogów i jego prawdopodobnego zaangażowania muszę przyznać, że konferencja nie zamieniła się w wojnę dzięki Gorimowi Ulgo. Już sama obecność „najświętobliwszego człowieka na świecie” wymuszała na innych przynajmniej kulturalne zachowanie. Gdy po wszystkim odczytał nam traktaty, dokument przypominał brzemieniem „Święte Pismo”, a zawarte w nim nakazy miały moc niemal religijnych obowiązków. Ludzie przywykli wykonywać osobliwe rzeczy z religijnych powodów, więc fakt, że wiele punktów w traktatach wydawało się bez sensu, był łatwiejszy do przełknięcia, gdy taktycznie uznaliśmy ich religijny wydźwięk. Kilka tygodni zajęło nam wypracowanie ostatecznej wersji traktatów, co dało Korodullinowi i Mayaseranie dość czasu na skończenie rozprawiania o polityce i przejście do ważniejszych spraw. Gdy Brand po nich posłał, weszli do sali tronowej trzymając się za ręce, z owym głupim wyrazem na twarzach, który natychmiast rozpoznałam. Pogodzili się. Pochyliłam się do mego ojca, gdy tylko młoda para weszła do sali.

- Zdaje się, że właśnie przegrałeś zakład, staruszkule - powiedziałam. - O co się założyliśmy? Chyba zapomniałam. Ojciec spojrzał na mnie złowrogo.

- A nie mówiłam ci, że tak będzie, ojczule? - dodałam słodko. - Postaraj się przyzwyczaić. Mam zamiar powtarzać ci „a nie mówiłam” często w ciągu następnych kilku wieków. Potraktuj to jako naukę. Może następnym razem uwierzysz mi, gdy powiem, że wiem, co robię.

- Dasz mi wreszcie spokój, Polgardo?

- Oczywiście, ojczule. Chciałam tylko upewnić się, że to zapamiętasz. - Wskazałam głową młodych. - A nie mówiłam?

Mandorin i Wildantor poszli poszukać kapłana, który odprawiłby ślubną ceremonię. Nie zauważyłam, aby kapłan był zakrwawiony czy posiniaczony, gdy go przyprowadzili, ale jego wystraszone oczy wskazywały, że nie obyło się bez gróźb. Groźby są trochę bardziej cywilizowanym środkiem perswazji od otwartej przemocy. Właśnie zakończyliśmy wojnę, więc w Vo Mimbre panowało spore zamieszanie. Ślubowi Korodullina i Mayaserany nie towarzyszyła zwykła pompa i zabawy, jakie miałyby miejsce w czasie pokoju. Nie sądzę jednak, aby państwo młodzi czuli się tym rozczarowani. Kiedy Mandorin cierpliwie wytłumaczył, że z technicznego punktu widzenia ten ślub zjednoczy Arendię pod przewodnictwem króla Mimbre, kapłan Chaldana stał się bardzo skory do współpracy i na gorąco wymyślił kazanie nie takie znowu złe. Jego uwagi i większości ślubnych gości ze

strony Mimbre - umknął jednak fakt, że ten ślub naprawdę zaowocował zjednoczonym królestwem. Zjednoczenie mojej biednej Arendii odbyło się w królewskiej sypialni.

Potem przyszedł czas, by wyprawić Alornów z powrotem do domu. Obecność połączonych sił alornskich królestw dwieście lig na północ od Tol Honeth zapewne mocno niepokoiła Rana Borune. Poza tym w szeregach alornskich armii z pewnością byli członkowie kultu niedźwiedzia i uznaliśmy, że lepiej nie podsycać ich religijnych zapałów bliskością bogatego Tol Honeth. Ja, ojciec i Brand pojechaliśmy do Jarmarku Arendyjskiego, tam pożegnaliśmy się ze Strażnikiem Rivy i skierowaliśmy na wschód, ku granicy z Ulgolandem, gdzie czekało na nas kilka oddziałów algarskiej jazdy. Zapewnienie nam eskorty było uprzejmością ze strony Cho-Rama, więc nie przyznaliśmy się z ojcem do tego, że towarzystwo Algarów jest dla nas raczej niewygodą. Nastął już schyłek lata, a ponieważ nie wzywało nas nic pilnego, nie mieliśmy nic przeciwko konnej jeździe przez góry.

- Jadę do Doliny - powiedział ojciec, gdy dotarliśmy na równiny Algarii. - Wracasz do Brodu Aldura?

- Nie. Pod Vo Mimbre było wielu algarskich wojaków. Któryś z sąsiadów z wojskową przeszłością mógłby sobie coś skojarzyć. Lepiej wywieźć Gelane gdzieś indziej.

- Masz już jakieś miejsce na myśli?

- Chyba wrócę do Sendarii. Po Vo Mimbre niewiele Murgów pozostało na świecie, a nie są oni mile widziani w Sendarii... ani w żadnym innym kraju.

Ojciec wzruszył ramionami.

- To twoja decyzja, Pol.Ty jesteś odpowiedzialna za Gelane, więc zgadzam się na wszystko, co postanowisz.

- Dziękuję. - Nie starałam się być sarkastyczna, ale tak mi się wymknęło. - Czy masz coś pilnego do zrobienia w Dolinie Aldura?

- Potrzebuję wypoczynku, to wszystko. Od kilku lat niewiele sypiałem. - Podrapał się po zarośniętym policzku. - Pozwolę sprawom trochę się ułożyć, a potem wrócę do obserwacji tych rodów, którymi zajmowałem się przez ostatnie tysiąclecie. Chcę się upewnić, że nadal wszystko jest w porządku.

- A jeśli nie?

- Będę musiał podjąć odpowiednie kroki.

- Baw się dobrze, ale trzymaj się ode mnie z dala, ojcze, i tym razem mówię to poważnie.

- Jak sobie życzysz, Pol. Pozdrów ode mnie Gelane.

Odjechał na południe, w kierunku Doliny Aldura, a ja z Algarami ruszyłam do Twierdzy. Całe wieki poświęciłam jednemu rodowi, ale ojciec jednocześnie zajmował się kilkoma różnymi. Zapewne dlatego przypominał włóczęgę. Gelane miał już czternaście lat, a to najbardziej kłopotliwy wiek dla młodego człowieka. Był zawieszony pomiędzy dzieckiem a dorosłym i goryczą napawał go fakt, że nie uczestniczył w zabawie pod Yo Mimbre.

Zasadnicze problemy jednak wiązały się ze świadomością własnej tożsamości Gelane. Jego ojca, Garela, zabrałam do Twierdzy i oddałam pod osobistą ochronę Cho-Rama. Cho-Ram w pełni rozumiał, dlaczego należy utrzymywać w tajemnicy tożsamość swego podopiecznego. Społeczeństwo Algarów jest zamknięte dla ludzi z zewnątrz, więc wszyscy Algarowie traktują się wzajemnie jak krewni. Nie mieli tajemnic, ponieważ nie mieli ich przed kim zachowywać. Toteż Gelane wyrósł wiedząc, kim jest, i przebywał w towarzystwie tych, którzy również wiedzieli, kim jest. Nie mówił tego głośno, ale przyzwyczaił się już do tego, że ludzie zwracają się do niego „wasza wysokość”. Zaraz po moim przybyciu do Twierdzy zaczęły się kłopoty.

- Czemu chcesz, bym jechał do Sendarii, ciociu Pol? - spytał, gdy zapoznałam go z planem. - To mi się zbytnio nie spodoba.

- Nie musi ci się to podobać, Gelane - powiedziałam stanowczo - ale pojedziesz.

- Zostańmy tutaj. Tu są wszyscy moi przyjaciele.

- W Sendarii poznasz nowych.

- Ja mam pewne prawa, ciociu Pol. - Czemu wszyscy młodzicy w każdej dyskusji zaczynają mówić o swoich prawach?

- Oczywiście, mój drogi. Masz absolutne prawo do tego, abym podejmowała za ciebie decyzje.

- To niesprawiedliwe!

- Pożegnaj przyjaciół i zacznij się pakować. Wyjeżdżamy jutro rano.

- Nie możesz mi rozkazywać!

- Mogę. Jakoś tak się dzieje, że ludzie zawsze w końcu robią dokładnie to, co im powiem. Tam są drzwi. Skorzystaj z nich... chyba że chcesz, abym cię przez nie wyrzuciła?

Rzadko musiałam przyjmować taką postawę wobec któregoś ze spadkobierców Rivy, ale Gelane był nieznośny. Gdy tylko trzasnął drzwiami, ruszyłam przez pełne ech korytarze Twierdzy, by rozmówić się z jego matką, Araviną. Jedyne kilka minut zajęło mi odkrycie źródła niesforności Gelane. Aravina po przedwczesnej śmierci ojca Gelane była tak pogrążona w żałobie, że wcale nie zajmowała się wychowaniem syna. A w naturze wyrostków leży sprawdzanie, do jakich granic mogą się posunąć. Mądrzy rodzice nie

pozwalają, by wymknęło im się to z rąk. Delikatna stanowczość w początkowym okresie jest o wiele łagodniejsza na dłuższą metę niż nieuniknione kary, które stają się konieczne później.

Jeśli rozkoszujecie się właśnie rodzicielstwem, róbcie sobie notatki. Potem czekają was sprawdziany, a nie chciałabym być jedyną, która je pomyślnie zaliczy. Postanowiłam osiąść z moją rodziną w Seline. Nie zdecydowałam się na Muros, Medalię czy Sulturn głównie dlatego, że król Ormik skierował wojska z północnych prowincji Sendarii na wybrzeże, by strzegły go przed niespodziewanym atakiem Angaraków, a wśród tych wojsk nadal było wielu weteranów bitwy pod Vo Mimbre. Ja i ojciec staliśmy się pod Vo Mimbre dość znani. Wolałam uniknąć zaproszeń na kufel piwa i wojenne wspominki od byłych towarzyszy broni.

Gelane nie lubił Seline. Wędrował skąpanymi w deszczu ulicami z grymasem wiecznej drwiny na twarzy. Wyrostki często mają taką minę. Jestem pewna, że ćwiczą tę wyniosłą pogardę przed lustrem przy każdej okazji. Myślę, że w doskonałym społeczeństwie zarówno mocne trunki, jak i lustra powinny być dla wyrostków zakazane. Grymas na twarzy Gelane zniknął nagle pewnego ranka, gdy w zwierciadlanym ołtarzu swego samouwielbienia odkrył, że wielki pryszcz w tajemniczy sposób wyrósł mu przez noc na samym czubku nosa.

Pryszcz zniknął w końcu - niemal zaraz potem, gdy twarz Gelane przybrała pogodny wyraz. Może miało to coś wspólnego z przemianami chemicznymi w jego ciele. Od skwaszonego wyrazu twarzy zapewne i krew kwaśniej, a każdy wie, że od kwaśnej krwi dostaje się pryszcz. Kupiłam nam skromny domek w pobliżu dzielnicy handlowej i po krótkim rozeznaniu wśród miejscowych rzemieślników wybrałam Ostriga, statecznego bednarza w średnim wieku, który nie miał bezpośredniego spadkobiercy. Ostrig robił dobre beczki i wszystkim jego uczniom dobrze się powodziło. Otwierali własne zakłady w okolicznych wioskach i miasteczkach. Dowodziło to, że ich mistrz był dobrym nauczycielem. Pewnego dnia rozmówiłam się z Ostrigiem, zapłaciłam pewną sumę, a potem wróciłam do domu, by powiadomić siostrzeńca, że zdecydowałam, czym będzie się w życiu zajmował.

- Bednarstwo?! - zaprotestował. - Nic nie wiem na temat beczek, ciociu Pol.

- Dlatego oddałam cię w termin - odparłam. - Musisz nauczyć się, jak je robić, nim otworzysz własny zakład.

- Nie chcę robić beczek.

- To bardzo pożyteczny produkt, Gelane, i nie wyjdzie z mody, więc będziesz miał zapewnioną przyszłość.

- Ale to takie zwyczajne zajęcie, ciociu Pol.

- Tak. O to właśnie chodzi. Ty chcesz być zwyczajny.

- Nie, nie chcę. Czy nie możemy znaleźć dla mnie czegoś bardziej interesującego? Mógłbym zostać marynarzem albo wstąpić do armii. Tak, chciałbym być żołnierzem.

- Widziałam twoją sypialnię, Gelane. Nie byłby z ciebie najlepszy żołnierz.

- A co moja sypialnia ma do tego?

- Żołnierz każdego ranka musi ścielić łóżko i zbierać wszystkie swoje brudne rzeczy. Miły z ciebie chłopak, ale schludność nie jest twoją mocną stroną. Żołnierz z powyginaną zbroją i zardzewiałym mieczem nie zrobi wielkiego wrażenia na przeciwnikach.

Spochmurniał.

- Beczki? - powiedział z nutą rezygnacji w głosie.

- Beczki, Gelane.

- To zajęcie nie bardzo godne króla, ciociu Pol.

- Nie poleruj korony, zanim ci ją włożą na głowę, mój drogi. Zamiast tego zajmij się beczkami.

- Torak nie żyje, ciociu Pol. Nie muszę się już ukrywać.

- Mój drogi, Torak nie jest martwy. Po prostu zasnął. Gdy tylko włożysz koronę Rivy i weźmiesz w dłoń jego miecz, Torak obudzi się i przybędzie po ciebie. Nie chcemy, aby to zrobił, więc ucz się robić beczki. A teraz zjedz kolację i wędruj do łóżka. Jutro rano wcześnie wstaniesz. Osrig oczekuje cię w warsztacie zaraz po wschodzie słońca.

- Osrig?

- Twój mistrz. On nauczy cię, co robić, żeby beczki nie przeciekały.

Nie chcę tu użyć słowa „przypadek”, ponieważ przekonałam się w ciągu minionych lat, że gdy mówimy o mej osobliwej rodzinie, czysty przypadek rzadko ma coś wspólnego z rozwojem spraw. Tym razem jednak przypadek miał z tym wiele wspólnego. Mogłam oddać Gelane w termin do któregoś z kilkunastu innych rzemieślników, parających się zupełnie innymi zajęciami. Wybrałam Osriga, bo był biegły w swym rzemiośle, starzał się i nie miał syna, który czekał na przejęcie rodzinnego interesu. Gdy tylko Gelane wyuczy się rzemiosła, będę mogła wykupić zakład Osriga i przekazać swemu niechętnemu siostrzeńcowi. Beczki miały doprawdy drugorzędne znaczenie. Najważniejsze było takie wtopienie Gelane w ogół mieszkańców Seline, by stał się niewidoczny, na wypadek gdyby Chamdar go szukał. Mogliśmy mieć nadzieję, że Chamdar nie przeżył bitwy pod Vo Mimbre, ale nauczyliśmy się już, że nie ma co zbytnio polegać na nadziei. Nasze życie się ustabilizowało. Gelane uczył się robić beczki, a ja doglądałam Araviny, która niemal całkowicie poddała się melancholii. Z melancholią niełatwo sobie poradzić. Napominanie „rozchmurz się” nie skutkuje. Są pewne zioła i mikstury ziołowe, które tłumią ów przytłaczający smutek, ale go nie leczą.

Ostrig był bardzo dobrym nauczycielem i Gelane wkrótce zaczął robić beczki. Jego wytwory przeszły kolejne etapy ewolucji. Pierwsza beczka tryskała wodą z każdej spoiny. Z drugiej ciekły strugi, trzecia kapała. Z następnych trzech tylko sączyła się woda. Potem robił już prawie wodoszczelne i zaczął nawet być dumny ze swej pracy. Gdy rzemieślnik osiąga to stadium, bitwa w zasadzie jest wygrana. Czy mu się to podobało, czy nie, Gelane był teraz bednarzem. Potem, gdy nasz młody bednarz miał szesnaście lat, spotkał Enallę, bardzo ładną dziewczynę, córkę miejscowego stolarza. Usłyszałam znajome dzwony. Gelane zadurzył się w niej po uszy, a ona w nim więc zaczęli „z sobą chodzić”. To sendarski eufemizm na określenie tego, co robi para młodych, gdy wypatrują okazji, by wymknąć się gdzieś razem i zgłębiać różnice pomiędzy chłopcami i dziewczynkami. Pilnowaliśmy z matką Enalli na zmianę, aby do tego nie doszło, więc udało im się jedynie skraść kilka pospiesznych całusów.

Po miesiącu formalnie się zaręczyli i pocałunki były już dozwolone, oczywiście w określonych granicach. Wkrótce po siedemnastych urodzinach Gelane, on i jego promienna Enalla pobrali się wreszcie. Zaloty były dość nudne, ale w końcu mieszkaliśmy w konserwatywnej Sendarii. Konserwatywni ludzie nie lubią niespodzianek, jak na przykład porwanie panny młodej przez narzeczonego i jego kilku podpitych koleżków, co było dość powszechnym obyczajem wśród algarskich klanów. Przyjęcie weselne, tradycyjna obfita uczta, wymagało obecności wszystkich z sąsiedztwa. Po solidnym podjedzeniu sobie siwowłosego pracodawcy Gelane odciągnął mnie na stronę, by omówić pewne ważne sprawy. Zawsze lubiłam Ostriga. Był prawdziwym Sendarem - stateczny, praktyczny i bardzo wrażliwy. Płacił podatki, nie oszukiwał klientów i unikał używania barwnych wyrażen, tak lubianych przez Chereków i Drasnian. Zapewne to on właśnie tak naprawdę wychował Gelane. Czasami to zadanie spada na barki pierwszego pracodawcy młodego człowieka.

- No cóż, pani Pol - powiedział z lekkim uśmiechem - zdaje się, że ożeniliśmy naszego chłopca.

Spojrzałam na drugi koniec pokoju wypełnionego wesołymi gośćmi. Para młoda najwyraźniej nie miała pojęcia o tym, co dzieje się wokół nich.

- Zdaje się, że masz rację, mistrzu Ostrigu - odparłam.
- Przyszedł mi do głowy pewien pomysł, który może zechcesz rozważyć, pani Pol.
- Jaki?
- Może tak wręczylibyśmy im prezent ślubny?
- Co masz na myśli, mistrzu Ostrigu?

- Nie powiedziałaś tego wprost, pani Pol, ale gdy pierwszy raz rozmawialiśmy o przyjęciu Gelane na ucznia, dałaś do zrozumienia, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, pomyślisz o kupieniu mego warsztatu.

- Nie tylko dałam ci to do zrozumienia, mistrzu Ostrigu. O ile sobie przypominam, wyraziłam się dość jasno.

- W rzeczy samej. Gelane jest bystry i robi dobre beczki. Ostatnio uczyłem go, jak radzić sobie z klientami, negocjować ceny i ścigać dłużników, czyli jak prowadzić interes.

- O tak, Ostrigu, wiem wszystko o obchodzeniu się z klientami.

- Gelane też to już potrafi. Obserwowałem go i muszę powiedzieć, że dorósł, dojrzał. Dzisiejszy ślub daje nam doskonałą okazję do zmiany jego statusu. Jest teraz żonatym mężczyzną, a to ma znaczenie przy prowadzeniu interesów. Na kawalerach nie zawsze można polegać, ale żonaty mężczyzna budzi zaufanie. Znam swoich klientów, takie sprawy mają dla nich duże znaczenie. Mówiąc krótko, czemu nie mielibyśmy dojść do ostatecznego porozumienia właśnie dzisiaj? Lubię Gelane i nie będę żądał wysokiej ceny. Zostanę jeszcze przez kilka miesięcy, po czym powoli usunę się w cień.

- Jesteś bardzo wspaniałomyślny, mistrzu Ostrigu. Jeśli dojdziemy do porozumienia, to Gelane nigdy nie zapomni tego dnia. Mistrz Ostrig zakaszłał z zakłopotaniem.

- Mam pewne osobiste motywy, pani Pol - przyznał.

- Jakie?

- Chciałbym, aby w naszych uzgodnieniach było wyraźnie zaznaczone, że nie będę już więcej otwierał warsztatu. Do Gelane będzie to należało każdego ranka.

- Nie rozumiem.

- Ze wstydem muszę przyznać, pani Pol, że nie lubię rano wstawać. Jeśli porozumiemy się co do innych szczegółów, chciałbym zdecydowanie zaznaczyć, że nie będę przychodził do pracy wcześniej niż w południe. Nie cierpiałem tego rannego wstawania od czterdziestu lat. Gdy kupisz mój warsztat, uwolnisz mnie od tego przykrego obowiązku, Poi. Nadal będę się budził rano z przyzwyczajenia, ale potem będę mógł przewrócić się na drugi bok i zasnąć.

- A zatem zgoda, Ostrigu. Możemy zaraz spisać umowę, potem przygotuję dla ciebie pieniądze. Powinniśmy uporać się z tym w ciągu kilku dni.

- Na razie zadowolę się twoim rewersem, Pol. Wówczas będziemy mogli przekazać Gelane klucze do warsztatu jeszcze dzisiaj wieczorem, a gdy słońce zapuka do mych drzwi jutro rano, powiem mu że nie przyjmuję już od niego rozkazów. - Zachichotał. - A nawet posiedzę sobie dziś dłużej, aby spać jeszcze bardziej rozkosznie.

Tak więc Gelane tego samego dnia został mężem Enalli i właścicielem warsztatu. Osrig siedział na weselu do późnej nocy, a i Gelane nie spał tej nocy wiele, choć z zupełnie innego powodu. Pomimo swego młodego wieku Gelane zdobył tego dnia pewną sławę. Los sprzyjał mu na wszystkich frontach, a to raczej nieczęsto się zdarza. To rzadkie szczęśliwe zrządzenie losu było stałym tematem rozmów innych uczniów, gdy udało im się wymknąć z pracy do karczmy na piwo. Nikt nie zwracał uwagi na gadanie miernych uczniów, ale nawet poważniejsi kupcy i rzemieślnicy zauważyli, co się stało. Słyszałam, jak jeden mieszczanin ujął to dość zwięźle: „Szczęściarz, poślubił piękną dziewczynę i stał się właścicielem warsztatu tego samego dnia. Będę go miał na oku. To przybysz, zapamiętajcie moje słowa”.

Patrząc wstecz, myślę, że powinnam być mądrzejsza i opóźnić przekazanie zakładu bednarskiego Gelane choćby o rok. Jestem pewna, że Osrig przystałby na to, gdybym zapewniła, że od tego dnia Gelane będzie otwierał warsztat każdego ranka. Szansa załatwienia wszystkiego w jeden dzień wydała mi się zbyt dobra, aby ją przepuścić. Czasami daję się ponieść mojemu zmysłowi ekonomicznemu. Sława Gelane z czasem przycichła oczywiście. Ludzie kupowali u niego, ponieważ robił dobre beczki, ale nie cieszył się żadną szczególną sławą. Jednakże ten krótki okres, w którym był kimś szczególnym, obudził w Gelane poczucie własnej ważności, a to jest bardzo niebezpieczne dla kogoś, kto nie powinien rzucać się w oczy. Brand mimo swych najlepszych chęci nie zdołał przepędzić Angaraków na koniec świata. Co prawda nie było już murgoskich „kupców” przesiadujących w niemal każdej oberży na zachodzie, ale Murgowie nie byli jedynymi Angarakami po naszej stronie Morza Wschodu. Chamdar miał dostęp do Dagashi, a ci są o wiele mniej widoczni niż Murgowie. Po roku mistrz Osrig po cichu usunął się w cień i Gelane zmienił stryszek nad warszatem w mieszkanie dla siebie. Wówczas to Aravina miała nawrót głębokiej melancholii i byłam zmuszona poświęcić jej całą uwagę. Gdy kryzys początkowy minął, zauważyłam, że nasza zwykle promienna Enalla dziwnie posmutniała.

- O co chodzi, Enallo? - zapytałam pewnego ranka, gdy Gelan : zszedł na dół, by otworzyć warsztat.

- Myślę, że Gelane już mnie nie kocha, ciociu Pol - odparła drżącym głosem.

- Nie gadaj głupstw. On cię uwielbia.

- To dlaczego ciągle wynajduje wymówki, by wyjść każdego wieczora? Jeśli nie szuka nowego miejsca zakupu dębowych desek do robienia beczek, po tym jak wszystkie tartaki dawno już zamknięto, to usiłuje odnaleźć człowieka, który nie zapłacił rachunku. Czasami to jest aż nadto oczywiste. Wiesz, co myślę, ciociu Pol? Myślę, że jakaś dziewczka z oberży... albo

gorzej... wpadła mu w oko. Nie wydaje się nawet zainteresowany... - tu nagle zarumieniła się.

- No wiesz... tym.

Doskonale wiedziałam, co owo „tym” znaczy.

- Przyjrę się temu, Enallo. Od jak dawna to już trwa?

- Od miesiąca. Byłyśmy obie bardzo przejęte stanem matki Araviny i coś musiało się stać z Gelanem, gdy żadna z nas go nie pilnowała. - Umilkła na chwilę. - Czy nawet na chwilę nie można ich spuszczać z oka?

- Zwykle nie.

- Czy oni kiedykolwiek dorastają?

- Niektórzy tak. Niektórzy nie. Mojemu ojcu jeszcze się to nie udało, a jest o wiele starszy od Gelane. Czy nasz chłopiec wychodzi co wieczór?

- Ostatnio tak.

- Dobrze. Będę go zatem śledzić. Dowiemy się, dokąd chodzi i kto go tak zainteresował.

- Zobaczysz, jeśli spróbujesz za nim pójść, ciociu Pol.

- Nie będzie wiedział, że to ja. Dam dziś Aravinie coś na sen. Popilnujesz jej, a ja tymczasem dowiem się, co knuje Gelane.

Okazało się, że to, co „knuł” Gelane, było dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Co jakiś czas kontaktowałam się z ojcem, więc wiedziałam, że wujek Beldin znalazł grootę, w której Zedar ukrył swego nieprzytomnego mistrza. Wiedziałam także, że ojciec był w Tolnedrze, zajęty deptaniem po piętach człowiekowi nazywającemu siebie Murgiem Asharakiem.

Z pewnością to imię wyda się wam znajome. Okazało się ulubionym pseudonimem Chamdara. Chamdar powinien zalewać Tolnedrę czerwonymi monetami, usiłując wytropić miejsce pobytu ciemnowłosej kobiety z białym lokiem. Trudno było mu odmówić bystrości i był bardzo pojętym uczniem. Przed najazdem Angaraków ojciec przez całe stulecia wodził Chamdara za nos po Sendarii, a teraz Chamdar odpłacał mu pięknym za nadobne, robiąc to samo z ojcem w Tolnedrze. Odpowiedź ojca była wprost genialna. Nie spełniła swego zadania, ale pomimo to była genialna. Nowa fryzura, która nagle stała się modna w Tolnedrze, Arendii i Sendarii, z pewnością doprowadziła Chamdara do szaleństwa. Szukał mnie przez całe stulecia, a teraz natykał się na mnie na każdym kroku w każdym mieście, od Tol Boru-ne po Darine. Problem polegał jedynie na tym, że Chamdar już doskonale wiedział, gdzie przebywałam.

Tego wieczoru po kolacji Gelane wymamrotał jakieś nieprzekonujące usprawiedliwienie o jakimś ociągającym się dłużniku, po czym zszedł na dół, wziął coś ze

skrzyni na narzędzia i wyszedł z warsztatu. Na ulicy rozglądał się podejrzliwie, ale nie spojrzął na dach, więc nie zauważył brązowo nakrapianej sowy obserwującej go uważnie.

Silk z pewnością by jęknął, widząc, jak niewprawny był Gelane w swych wysiłkach, by nie wzbudzać podejrzeń. Skradał się z płóciennym workiem na plecach, czym oczywiście mógł zwrócić na siebie uwagę każdego przechodnia. W końcu dotarł na skraj miasta, nad jezioro Seline, a potem poszedł jego brzegiem do zagajnika odległego o milę od miasta. Była ciemna, bezksiężycowa noc. Wkrótce dostrzegłam w oddali rudawe błyski płomieni. Gelane najwyraźniej kierował się ku temu ognisku, więc poleciałam przodem, aby się rozejrzeć.

To nie było wielkie ognisko, ale na tyle duże, by oświetlić sporą polanę i kilkunastu zgromadzonych ludzi. Widywałam już podobne zgromadzenia i do dzioba zaczęły mi się cisnąć najróżniejsze barwne określenia. Przewodził tej małej grupie człowiek o gęstej czarnej brodzie. Nosił szaty kapłana Belara. Pozostali mężczyźni byli z pochodzenia Alornami - wszyscy wysocy i jasnowłosi, ale ubrani w tuniki z niedźwiedziej skóry. Jakimś sposobem kult niedźwiedzia znalazł sobie drogę do Sendarii. Na polanę wyszedł mój siostrzeniec. Przebrał się; pewnie to przebranie niósł wcześniej w płóciennym worku. Spadkobierca rivańskiego tronu miał na sobie tunikę z niedźwiedziej skóry. Na ten widok zaczęłam przeszukiwać wymarłe języki w poszukiwaniu przekleństw. Ależ ten chłopak był głupi!

Kapłan utkwiał błyszczące spojrzenie w Gelane.

- Bądź pozdrowiony! - wydekłamał. - Bądź pozdrowiony, Rivański Królu, Pogromco Boga i Suzerenie Zachodu! Powitajcie tego, który poprowadzi nas przeciwko niewiernym z południa, przeciwko Arendii, przeciwko Tolnedrze, przeciwko pełnej węzów Nyissie! Nawrócimy pogan z południa jego potężnym mieczem, by oddawali cześć jednemu prawdziwemu bogu, Belarowi! Zostawiłam Gelane odbierającego hołdy i wróciłam do Seline Racionalni wyznawcy kultu niedźwiedzia - jeśli te terminy nie wykluczają się wzajemnie - zawsze podtrzymywali fikcję, iż ich pragnienie nawrócenia południowych królestw wyrosło z chęci zjednoczenia armii, które ruszyłyby przeciwko Angarakom. Oczywiście Belar nigdy nie wiązał nawracania z wojną. Podkradanie wyznawców swym braciom byłoby najgorszym przejawem złych manier. Belar nie jest wolny od wad, ale nieuprzejmość do nich nie należy. Wzmianka o nawróceniu została dodana przez radykalnych duchownych, których oczy były zwrócone raczej na skarbce Tol Honeth niż ku niebiosom. Czarnobrody kapłan przy ognisku był najwyraźniej rewizjonistą pierwszej wody. Pobożne deklaracje, że celem kultu jest raczej zniszczenie Toraka niż plądrowanie skarbców południowych królestw, straciły sens po bitwie pod Vo Mimbre, bo teraz tylko nieliczni wiedzieli, że Torak nie jest naprawdę martwy. Kapłan nowo powstałego kultu Gelane był szybki, to muszę mu przyznać.

- Ojcie, jesteś mi potrzebny. - Wysłałam myśl jeszcze w trakcie zmiany postaci na ulicy przed warsztatem bednarza.

-O co chodzi?

- Mamy problem. Przybądź tu jak najszybciej.

- Co się stało?

- Powiem ci, gdy tu przyjdiesz. Ktoś może podsłuchiwać. Zmień wygląd. - Chciałam nie tylko go ostrzec, ale przede wszystkim popchnąć do działania. Moje życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby ojciec po prostu robił to, co mu powiem, zamiast tracić czas na gadanie.

Rozwidniało się już, gdy poczułam, jak zmieniał postać na skraju miasta. Gelane, który wrócił do domu dobrze po północy, spał jeszcze, więc wzięłam miotłę i wysłałam przed dom. Zamiatałam schody, gdy ulicą nadszedł łysy grubas. Ojciec tak bardzo lubił się przebierać, iż czasami zapominał, jakie to naprawdę mało ważne. Ludzie są, jacy są. Ich wygląd zewnętrzny ma z tym bardzo niewiele wspólnego.

- Gdzie się podziewałeś? - zapytałam z wyrzutem i przyznaję, trochę zrzędliwie. Zaprowadziłam go do warsztatu i pokazałam tunikę z niedźwiedziej skóry.

- Jak długo to już trwa? - zapytał cicho.

- Nie jestem pewna, ojcie. Przez ostatnie kilka miesięcy Gelane wychodził prawie co wieczór. Enalla myśli, że ją zdradza.

- Jego żona?

Kiwnęłam głową i odłożyłam tunikę z powrotem do skrzyni.

- Wyjdźmy - zaproponowałam. - Musimy porozmawiać.

Ruszyliśmy ulicą. Po drodze zapoznałam go z ostatnimi wydarzeniami. Potem musiałam wysłuchać wyrzutów, że do tego dopuściłam. W końcu zaczęliśmy rozmawiać o tym, co powinniśmy zrobić. „Historia świata” - jeśli ktoś jest na tyle cierpliwy, aby się przez nią przekopać - mówi, że następnego wieczoru ojciec śledził Gelane i słyszał pochlebstwa, jakimi obsypali go wyznawcy nowego kultu przy ognisku. Gdy już się opanował, wezwał mnie do siebie. Uznałam, że to miłe z jego strony. Wiele spraw stało się od razu oczywiste, bo ojciec rozpoznał w brodatym kapłanie Chamdara. Były sposoby, aby ojciec wyczarował mi obraz Chamdara, ale żadne z nas nigdy o tym nie pomyślało. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, jak Chamdar mnie wytropił, ale domyślałam się, że w jakiejś oberży podpity wesolek wspomniał o „szczęściarzu” w obecności Dagashi. Potem Chamdar przybył do Seline, aby sprawdzić osobiście... Najwyraźniej z myśli młodzieńca wyczytał prawdę o jego pochodzeniu - a także ambicję, by być kimś ważnym. Z łatwością wykorzystał lokalny odłam kultu niedźwiedzia. Gelane zdobył uznanie i uwielbienie, którego tak pragnął, a Chamdar miał

Rivańskiego Króla w garści. Zdecydowanie musieliśmy przerwać ten związek. Ojciec chciał wyczyścić pamięć Gelane, ale ja znałam sposób o wiele mniej drastyczny. Postanowiłam uczynić myśli Chamdara słyszalnymi. Wiązały się z tym oczywiście pewne niebezpieczeństwa. Jeśli Chamdar uświadomi sobie, co robię, zapewne spróbuje zabić Gelane. Aby temu zapobiec, musiałam przesłonić jego świadomość rodzajem refleksyjnej zadumy. Umysł Chamdara powinien błędzić, aby uspić czujność. To nie było łatwe, dlatego postanowiłam sama to zrobić. Mój ojciec ma skłonność do demonstracyjnego używania siły. Subtelność nigdy nie była jego mocną stroną. Być może, poza cechami zewnętrznymi, to jedna z najwyraźniejszych różnic pomiędzy mężczyzną a kobietą. Myślimy inaczej, więc inaczej działamy. Wielu ludzi - głównie mężczyzn, bardzo drażnią te różnice, ale wyobraźcie sobie, jak życie byłoby nudne, gdybyśmy wszyscy myśleli i działali w taki sam sposób. Prawdę powiedziawszy, panowie, tak jest o wiele zabawniej.

Gelane wygłaszał właśnie górnolotną przemowę o tym, jaki jest ważny, gdy głośne teraz myśli Chamdara sprowadziły go na ziemię. Słowa „Ctuchik nagrodzi mnie, jeśli zabiję tego głupka” zdecydowanie zwróciły uwagę Gelane, jak również pozostałych wyznawców. Później ojciec powiedział mi, że dwóch z kosmatych przebierańców bardzo się zdenerwowało. Najwyraźniej Chamdar miał z sobą ochroniarzy. Podwładny Ctuchika snuł na głos swe myśli na tyle długo, by Gelane zdołał uprzytomnić sobie, jakim był głupcem. Chamdar marzył, że oto staje się pierwszym uczniem, gdy Gelane dał pokaz prawdziwie alornskiego zachowania, wymierzając mu cios prosto w twarz.

Chamdar zatoczył się, upadł. Dwaj jego przebrani podwładni wyciągnęli noże i ruszyli bronić pracodawcy. Na szczęście pozostali wyznawcy kultu uznali obronę Gelane za swój religijny obowiązek, a ich gorliwość była godna pochwały. Chamdar uciekł, jego obrońców opadli pozostali wyznawcy kultu, Gelane zaś w końcu odzyskał panowanie nad sobą.

- Zostaliśmy oszukani! - wykrzyknął. - To nie był kapłan Belara!

- Co mamy robić, Pogromco Boga? - zapytał jeden z fanatyków. - Czy mamy gonić zdrajcę i zabić?

- Nigdy więcej mnie tak nie nazywajcie! Nie jestem Pogromcą Boga! Zhańbiłem swe imię! - Gelane zdarł z siebie niedźwiedzią skórę i rzucił ją w ogień. - Kult niedźwiedzia jest kłamstwem i szachrajstwem!

- Nie wiem jak wy - oznajmił pierwszy z Alornów - ale ja chcę zabić tego kapłana! - Po tych słowach wszyscy rozbiegli się po krzakach.

- To było bardzo zgrabne posunięcie, Pol - pochwalił mnie ojciec po pozbyciu się piór. - Gdzie się tego nauczyłaś?

- W Vo Wacune - odparłam. - Musiałam zmusić do wyznania pewnego asturiańskiego szpiega i nie wahałam się sięgnąć po niekonwencjonalne metody. Prawdę powiedziawszy, to całkiem proste. Kiedyś, gdy będziemy mieć czas, pokażę ci, jak to robić. Poczekajmy, aż towarzysze Gelane pójną sobie do domów, a potem złapiemy go i zagnamy do robienia beczek. Nie wiem, czy trzeba, aby pozostali fanatycy wiedzieli, że tu byliśmy.

- To prawda - przyznał ojciec.

Wyznawcy kultu buszowali jakiś czas po zaroślach, ale Chamdar był już zapewne w połowie drogi do Camaar.

- Co teraz zrobimy, wasza wysokość? - zapytał jeden z fanatyków, gdy zebrali się wokół ogniska.

- Przestań mnie tak nazywać - powiedział Gelane. - To była tylko sztuczka Grolima. Przysięgnijmy zachowanie tego wszystkiego w tajemnicy. Mamy Sendarów za sąsiadów, więc wyjdziemy na głupców, jeśli zaczniemy opowiadać o kulcie niedźwiedzia.

Wszyscy skwapliwie na to przystali. Nikt nie lubi robić z siebie głupka. Przysięgli na groby swych matek, na swe miecze - choć nie mieli mieczy - i na swe dość wątpliwe honory, że nie puszczą nawet pary z ust. Potem Gelane odesłał ich do domu.

Gdy już został sam, zaczął płakać, a wówczas my wyszliśmy z lasu.

- Nie popisałeś się, co, Gelane? - zapytał ojciec złośliwie. - To bardzo szlachetne wierzyć, że każdy zawsze mówi prawdę, ale czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że ktoś może sobie stroić żarty?

Gelane nie wydawał się zaskoczony na nasz widok. Pomimo wszystko był całkiem bystrym młodzieńcem.

- Kim naprawdę był ten człowiek nazywający siebie kapłanem, dziadku?

- Nazywa się Chamdar, i słusznie domyśliłeś się, że jest Grolimem. Gdzie ty miałeś rozum, Gelane? Nie poznałeś po kolorze skóry i kształcie oczu, że to Angarak?

- Niczego by to nie zmieniło, ojcze - wyjaśniłam. - To jest Sendaria, kilkaset lat poświęciłam na tępienie uprzedzeń rasowych.

- Braterstwo to bardzo miła rzecz, Pol, ale jeśli ktoś o zielonej skórze chce cię zabić, bądź daltonistką. Wracajmy. Trzeba się spakować.

- Dokąd jedziemy, dziadku? - zapytał Gelane.

- Jeszcze nie postanowiłem. Musimy jednak opuścić Sendarię.

Wróciliśmy do miasta.

- Może kupiłbyś sobie nowe ubranie, ojcze? - zaproponowałam

- To jest nowe ubranie, Pol.

- Tak? Z jakiego śmietniska je wygrzebałeś?

- Przyjrzyj się uważniej, Pol - odparł. - Krawcowi w Tol Honeth zapłaciłem za nie majątek. Łaty i wystrzępienia są tylko na pokaz. Ubranie jest świetnie uszyte i wystarczy mi na całe wieki.

- Nie mogłeś sobie pozwolić na porządne buty?

- Chciałem, aby pasowały. Pragnąłem wyglądać jak włóczęga.

- I udało ci się to nad podziw. A zatem to kostium?

- Oczywiście. Ludzie nie zwracają większej uwagi na włóczęgów. W tym ubraniu mogę paradować po mieście lub wiosce i po kilku dniach nikt nie będzie o mnie pamiętał.

- Czy ty nigdy nie przestajesz grać?

- Tak jestem bardziej interesujący - rzucił ze swą zwykłą nonszalancją. - Mój prawdziwy charakter jest dość nudny. Mogę być księciem, jeśli taka wola waszej miłości.

- Oszczędź mi tego.

- Czemu tak ją nazwałeś, dziadku? - zapytał Gelane. - Czemu „wasza miłość”?

- Znowu sekrety, Pol? - westchnął ojciec. - Ach, te twoje tajemnice! - Spojrzał znacząco na Gelane, najwyraźniej przypominając sobie jego napuszoną przemowę przy ognisku. - Wasza wysokość - powiedział oficjalnym tonem - niech mi wolno będzie przedstawić jej miłość księżnę Erat.

Gelane spojrział na mnie z niebotycznym zdumieniem.

- Ty nie jesteś księżną! - wykrzyknął.

- Byłam, mój drogi. Bardzo dawno temu.

- Jesteś najsłynniejszą postacią w historii Sendarii!

- Miło być zauważonym.

- Czemu mi nic nie mówiłaś? Zachowywałem się wobec ciebie okropnie, ciociu Pol. Trzeba było mi powiedzieć.

- Abyś mógł płaszczyć się przede mną publicznie? Wiele się jeszcze musisz nauczyć, Gelane. Nie chcemy się rzucać w oczy, pamiętasz? Dlatego jesteś bednarzem, a nie urzędnikiem czy dziedzicem. - Dostrzegłam okazję i skwapliwie z niej skorzystałam. - Szlachectwo ma dwa oblicza, Gelane. Większość ludzi dostrzega jedynie stroje, ukłony sług, a nie pamięta o obowiązkach. Powinności, Gelane, powinności! Ani na chwilę nie przestawaj o tym myśleć. Ty jesteś lub możesz być - Rivańskim Królem. To wiąże się z pewnymi bardzo skomplikowanymi obowiązkami, ale na razie twoją jedyną powinnością jest zachowanie ciągłości rodu. Wypełnisz ją zostając przy życiu, a wielu ludzi na tym świecie pragnie, byś zginął, nim spłodzisz syna.

- Chyba o tym zapomniałem, ciociu Pol - przyznał. - Gdy Chamdar nazwał mnie Rivańskim Królem, uderzyło mi to do głowy. Pomyślałem, że jestem kimś ważnym.

- Jesteś ważny, Gelane - powiedziała mu stanowczym tonem.

-Ty i twoja żona jesteście zapewne teraz najważniejszymi ludźmi na świecie. To znaczy, że dźwigasz najcięższe brzemie obowiązków na świecie, które można określić krótko - ukrywaj się. Gdziekolwiek będziesz, nie rzucaj się w oczy. Trzymaj się w cieniu. Bądź zwykłym szarym człowiekiem.

- Lepiej jej posłuchaj, Gelane - powiedział ojciec. - Dam ci dobrą radę. Nie pozwól, by na twojej twarzy zagościła na stałe mina mówiąca „Mam tajemnicę”. - Potem rzucił mi szelmowskie spojrzenie.

- Chcesz, abym udzielił mu kilku lekcji aktorstwa, Pol?

- Chyba powinieneś, ojczu.

Ojciec wymyślił wiele mętnych usprawiedliwień dla swej podjętej naprędce decyzji o przeprowadzce do Chereku. To jeszcze jedna różnica pomiędzy kobietami i mężczyznami. Mężczyzna zawsze czuje potrzebę logicznego uzasadnienia swych postanowień, a logika, w formalnym tego słowa znaczeniu, zwykle nie ma żadnego związku z podejmowaniem ważnych decyzji. Kobiety o tym wiedzą, ale mężczyźni chyba poszli na wagary, gdy przerabiano ten temat w szkole.

Rozpuściłyśmy z Enallą zwykle przy tych okazjach pogłoski o „ważnych sprawach rodzinnych”, tym razem dom naszych przodków umieszczając w Muros. Potem Gelane sprzedał warsztat, zebrał narzędzia i kupił wóz z parą koni.

Pojechaliśmy na południowy wschód około dziesięciu lig, stwarzając pozory, że kierujemy się rzeczywiście do Muros, ale potem skręciliśmy w boczną drogę i ruszyliśmy do stolicy, Sendaru. Ojciec poszedł do portu, by wyszukać cherecki okręt, który płynął do Val Alorn. Ja tymczasem udałam się do pałacu króla Ormika, by odwiedzić moje pieniądze. Byłam lekko zaskoczona, jak bardzo rozrosła się moja trzódka od ostatniej wizyty. Pozostawione w spokoju pieniądze rozmnażają się niczym króliki. Wzięłam trzydzieści pięć funtów monet ze swego depozytu, a potem dołączyłam do Gelane, Enalli i Ara-viny, którzy czekali w spokojnym zajeździe. Nie wspomniałam im, co robiłam. Wiedza o posiadaniu pieniędzy czasem dziwne rzeczy wyprawia z ludźmi. Ojciec znalazł krzepkiego, brodatego i zapewne niesolidnego kapitana. Następnego ranka wypłynęliśmy do Val Alorn.

Kluczem do dobrobytu Chereku i Drasni zawsze był Przesmyk Chereku, ten budzący strach wir, który blokował wąski przesmyk pomiędzy północnym krańcem Sendarii i

południowym koniuszkiem Półwyspu Chereku. Cherekowie uważali przepłynięcie przez ten przesmyk za podniecające. Ja nie. I na tym skończmy.

Była jesień, gdy dotarliśmy do portu Val Alorn. Ojciec umieścił nas w solidnym zajeździe, z dala od zatłoczonych portowych dzielnic miasta. Kiedy już się rozlokowaliśmy, wziął mnie na stronę.

- Pójdę porozmawiać z Eldrigiem - powiedział. - Lepiej tym razem trzymać Gelane z dala od pałacu. Chyba już się uspokoił, ale nie ryzykujmy. Po co wystawiać go na pułapki sali tronowej.

- Dobrze ujęte - mruknęłam.

Ojciec nigdy nie powiedział, jakich użył argumentów, aby wymusić na królu Eldrigu zgodę na opuszczenie przez królewskiego gościa Val Alorn bez oprawy stosownej wydarzeniu państwowej miary.

Następnego ranka pojechaliśmy marnie utrzymaną drogą ku podnóżu gór, do wioski Emgaard, oddalonej kilka mil na zachód od stolicy.

- Czy kiedykolwiek łowiłeś ryby, Gelane? - zapytał po drodze ojciec obojętnym tonem.

- Kilka razy chodziłem nad jezioro z wędką - odparł Gelane - choć jeśli chcę zjeść na kolację rybę, wolę ją sobie kupić na targu. Moknięcie na deszczu w przeciekającej łodzi w oczekiwaniu, że jakaś ryba zgłodnieje, nie bawi mnie szczególnie.

- Łowienie w jeziorze o niebo różni się od łowienia w strumieniu, Gelane - rzekł ojciec.

- Masz rację co do nudy wędkowania w jeziorze, ale wędkowanie w górskim strumieniu jest zupełnie inne. Po przyjeździe do Emgaardu będziemy musieli spróbować. Myślę, że ci się spodoba.

Co ojciec knuł tym razem?

Wioska Emgaard była malowniczą górską miejscowością. Domy miały spadziste dachy, bogato rzeźbione okapy i schludne podwórka, z trawą wyskubaną przez kozę. Kozy to doskonale zwierzęta domowe, dzięki nim niepotrzebne stają się wysypiska śmieci.

Król Eldrig zapewnił ojca, iż w tej miejscowości nie mieszka żaden weteran bitwy pod Vo Mimbre, więc było mało prawdopodobne, abyśmy natknęli się na dawnych towarzyszy broni. Wynajęliśmy pokoje w miejscowym zajeździe i zanim się jeszcze rozpakowaliśmy, ojciec wysłał Gelane, by wyciął kilka kijów na wędki.

- Na ryby, ojcze? - zapytałam. -To jakies nowe hobby? Nigdy się tym zbytnio nie interesowałeś.

- Wędkowanie nie jest takie złe, Pol. Nie trzeba przy tym ciężko pracować. Eldrig powiedział, że mieszkają tu zapaleni wędkarze, więc to dobry sposób na zaskarwienie sobie

przez Gelane zaufania mieszkańców miasteczka. Ta okolica słynie z pstrągów, a zapalony wędkarz pojedzie wszędzie za pstrągami. To starczy za wyjaśnienie, dlaczego opuściliśmy Sendarię. Nikt nie spodziewa się racjonalnego zachowania po fanatyku.

Miałam co do tego pewne wątpliwości.

- Słyszałeś, co Gelane mówił po drodze, ojczu. On wcale nie przepada za wędkowaniem.

Ojciec uśmiechnął się do mnie.

- Potrafię to zmienić, Pol - zapewnił mnie. - Gelane nie interesuje się tym zbytnio, ponieważ nigdy nie złapał dużej ryby. Zadbam o to, aby już dzisiaj złowił wielkiego pstrąga w rwącym strumieniu. Połknie haczyk jak jego ryba. Dostanie takiego bzika na punkcie łowienia pstrągów, że nie będzie w stanie mówić i myśleć o niczym innym. Nawet nie wspomni o kulcie niedźwiedzia czy sukcesji tronu. Masz dość pieniędzy?

- Wystarczy - nauczyłam się, że lepiej unikać konkretnych liczb, gdy rozmawiam z ojcem o pieniądzach.

- W takim razie kup warsztat i dom, ale nie oczekuj od Gelane zbytniego zainteresowania bednarstwem.

- Jedna ryba nie zmieni go w jeden wieczór, ojczu.

- To będą dwie ryby, Poi. Dużą złapie, a o wiele większa urwie mu się z haczyka. Mogę ci niemal zagwarantować, że resztę życia spędzi na łowieniu tej drugiej. Za rok nie będzie już nawet pamiętał, co wydarzyło się w Seline.

- Jesteś sprytniejszy, niż na to wyglądasz, ojczu.

- Wiem - odparł z figlarnym uśmiechem. - To jedna z mych wielu zalet, Pol.

Gelane urwała się z haczyka ryba naprawdę ogromna, skoro ta, którą złapał i lekceważąco określał jako „drobnicę”, wystarczyła do nakarmienia wszystkich w zajeździe przez dwa wieczory z rzędu.

- Połknął przynętę - mruknął ojciec z zadowoleniem, gdy Gelane prezentował w głównej sali zajazdu swą zdobycz.

- Zauważyłam - odparłam. - Czy ta druga ryba naprawdę była aż tak wielka?

- Największa, jaką udało mi się znaleźć w tej części strumienia. Nie wtopiłem się całkowicie w jej świadomość, ale odniosłem wrażenie, że do niej należy wielki staw u podnóża wodospadu. Ryby myślą bardzo dziwnie. Nie jedzą dlatego, że są głodne; jedzą, by inne ryby nie zjadły całego pożywienia. To dlatego ten wielki pstrąg złapał się na przynętę Gelane.

- Ty zerwałeś żyłkę u wędki Gelane?

- Nie. Ryba sama się tym za jęła. To sprytna stara ryba, która była na haczyku już wiele razy, więc dobrze wiedziała, co robić. Podskoczyła tylko raz, a jest dłuższa od nogi Gelane. Trzymaj się, Pol. Sporo jeszcze usłyszysz o tej rybie.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie postępujesz uczciwie, ojcze?

- A kiedy postępowałem uczciwie, Pol? Uczciwość to dobra rzecz, ale nigdy nie pozwoliłem, aby przeszkadzała mi w robieniu czegoś ważnego. Ciężar, który Gelane poczuł na końcu swej wędki, i widok potwora wyskakującego z głębin stawu przez resztę życia uchroni go przed robieniem głupot i tylko o to mi chodziło. Zostanę tu jeszcze kilka miesięcy, choć nie jest to naprawdę konieczne. Szukaj odpowiedniego warsztatu, Pol, ale nie spodziewaj się po Gelane gorliwej pracy, gdy ryba zacznie brać.

Czas pokazał, że ojciec miał rację. Co dziwniejsze, poślubiłam mężczyznę, który miał równie wielkiego bzika na punkcie wędkowania jak Gelane. Jestem jednak przekonana, że „ta naprawdę wielka ryba” nie uciekłyby mojemu Durnikowi.

Tydzień przed naszym przybyciem do Emgaard umarł stolarz, a ja byłam na tyle szybka, że dotarłam do pogrążonej w smutku wdowy, nim zleciały się sępy. Kupiłam od niej warsztat i przyległy dom, nim tamci mieli okazję ją oszukać. Zapłaciłam cenę nie tylko uczciwą, ale hojną. Sowy w końcu są miłsze od sępów. Warsztat nie był zbyt duży, ale większego nie potrzebował bednarz, który regularnie wywieszał na drzwiach tabliczkę: „Poszedłem na ryby”.

Potem przyszła zima. Ojciec pożegnał się i wyruszył na poszukiwania Chamdara. W ciągu dnia Gelane robił beczki, a wieczorami szykował przynętę. Enalla nie była zbyt szczęśliwa z powodu nowej obsesji swego męża, ale rozpogodziła się, gdy zwróciłam jej uwagę,

iż mąż, który ma w głowie tylko ryby, nie będzie się interesował innymi kobietami.

Aravina umarła we śnie pewnej wiosennej nocy i nie potrafiłam ustalić prawdziwej przyczyny jej śmierci. Można by powiedzieć, co prawda, że umarła, bo serce jej pękło, ale z fizjologicznego punktu widzenia to bzdura. Miałam jednak poważne podejrzenia, iż jej okresowe napady melancholii rzeczywiście przyczyniły się do śmierci.

Życie biegło dalej. Gelane był na tyle dobrym bednarzem, że miejscowi klienci cierpliwie czekali, aż ryba przestanie brać. Emgaard leży na uboczu, a okoliczne strumienie nie obfitują w ryby, więc Gelane nie był jedynym rzemieślnikiem w miasteczku, który zawsze miał pod ręką wywieszkę „Poszedłem na ryby”. Po zachodzie słońca wszyscy miłośnicy wędkowania zbierali się w miejscowej oberży i całymi godzinami rozprawiali o swym ulubionym sporcie. Do oberży przylegał skład z mąką. Pewnego razu zdarzyło się, że byłam

w tym składzie, gdy Gelane zbierał w oberży informacje, jak przechytrzyć pstrąga. Miejscowi wędkarze grzali stopy przy kominku i opowiadali niestworzone historie.

- Widziałem, jak Krzywy Pysk chodził na ogonie po swym stawie tego ranka - oznajmił jeden z nich. - Wygląda na to, że udało mu się przetrwać zimę.

- W tym stawie ma pod dostatkiem jedzenia - zauważył inny wędkarz. - Prąd tam zbyt słaby, aby je wymyć.

- O jakiej rybie mówicie? - zapytał trochę nieśmiało Gelane. Siedział z dala od kominka, najwyraźniej nie chcąc narzucać się starym wędkarzom.

- Krzywy Pysk to ogromny pstrąg, który za młodu pomylił się głupio - odparł pierwszy wędkarz. - Złapał się na haczyk jakiegoś lorda, który nie miał o wędkowaniu zielonego pojęcia. Lord podciął za ostro i rozerwał pysk młodej rybce. Teraz ryba ma wykrzywioną dolną szczękę. Krzywy Pysk przez cały czas gojenia się rany myślał zapewne o swym błędzie. Wierz mi, młodzieńcze, trzeba bardzo sprytnej przynęty, aby Krzywy Pysk choćby na nią spojrział. Prawie nigdy nie popełnia już błędu z młodości.

- Czy wszystkie ryby mają tu imiona? - zapytał Gelane.

- Nie - roześmiał się inny z wędkarzy. - Tylko największe, które są zbyt sprytne, by dać się złapać.

- Pierwszego dnia po przyjeździe złowiłem całkiem sporego pstrąga w stawie poniżej wodospadu za miastem - powiedział skromnie Gelane. - Nie został jednak na haczyku zbyt długo i porwał z sobą ponad połowę żyłki.

- To był Stary Krętacz - inny z wędkarzy natychmiast rozpoznał rybę. - Mieszka w tym stawie i kolekcjonuje żyłki z wędek. Gelane spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Wszystkie wielkie ryby w okolicy mają tu swoje ulubione miejsca - wyjaśnił mu któryś z wędkarzy. - Krzywy Pysk żyje w bobrowym stawie, Krętacz w tym pod wodospadem, Tancerz mieszka przy głębokim zakręcie około mili powyżej wodospadów, Skoczek przy progu w dole strumienia. - Popatrzył po pozostałych wędkarzach z niemym pytaniem w oczach, a tamci kiwnęli głowami. - Może przysuniesz sobie krzesło bliżej ognia, młodzieńcze? - zaproponował. - Kark mnie boli, gdy próbuję rozmawiać z kimś za plecami.

Tak oto Gelane dołączył do miejscowego bractwa wędkarzy. Przysunął swoje krzesło, a potem, oczywiście bardzo grzecznie, powiedział:

- Nie bardzo rozumiem, co miałaś na myśli, mówiąc, że ten Krętacz kolekcjonuje żyłki - zwrócił się do mężczyzny, który rozpoznał rybę.

- To taka jego sztuczka - wyjaśnił wędkarz. - Myślę, że Krętacz ma delikatne wargi i nie lubi ukłucia haczyka. Więc okręca się w wodzie, owijając wokół siebie żyłkę i w takim

kokonie odpływa błyskawicznie w dół strumienia. To wielka, ciężka ryba, więc gdy dotrze do końca żyłki, rozrywa ją jak nić pajęczyny. Zawsze tak robi.

- A zatem to był Krętacz - oświadczył Gelane z podnieceniem. - Złapię go. Pewnego dnia go złapię.

- Życzę powodzenia, przyjacielu. Stary Krętacz niemal mnie zrujnował, tyle razy musiałem kupować nową żyłkę.

„Klub wędkarski” składał się w większości z miejscowych rzemieślników, więc gdy Gelane skromnie przyznał się do otwarcia warsztatu bednarskiego, natychmiast uznano go za bratnią duszę. Wszyscy w końcu zdawali sobie sprawę, że beczki zajmują drugie miejsce w jego obrazie świata. Mój ojciec to spryciarz, muszę przyznać. Nic nie pomogłoby Gelane tak szybko zdobyć akceptacji w Emgaardzie jak jego wędka.

Jesień i sezon wędkarski dobiegły końca, Gelane wrócił do robienia beczek i innych domowych zajęć. Nie złowił jeszcze Starego Krętacza, złowił Enalle we właściwym czasie, więc na Zaranie była już w widocznej ciąży.

Nic tak nie ustala więzi przybyszy z wiejską społecznością jak pierwsza ciąża w nowej rodzinie. Pod pewnym szczególnym względem nienarodzone jeszcze dziecko staje się własnością całej wioski. Panie wpadają z radami dla młodej matki, zwykle złymi, a mężczyźni całymi godzinami winszują przysłemu ojcu. Mieszkaliśmy w Emgaardzie dopiero od półtora roku, ale w oczach sąsiadów byliśmy już zasiedziałą rodziną. Wtopiliśmy się w miejscową społeczność. Na początku lata 4899 roku Enalla urodziła dziecko. To był lekki poród. Urodziła oczywiście chłopca. Niemal zawsze w rodzie Rivy pierworodny był chłopiec.

Gelane nalegał, by dać synu na imię Gareł, przez pamięć dla swego ojca, a ja nie miałam nic przeciwko temu. To nie było chereckie imię, ale brzmiało na wystarczająco alornskie, aby nie uważano go za niezwykle. Wieczorem tego pamiętnego dnia, gdy Enalla już spała, usiedliśmy z Gelane przy kominku. On trzymał na kolanach noworodka w powijakach, a ja swoją robótkę. Młody ojciec patrzył w zamyśleniu w płomienie.

- Wiesz, ciociu Pol... - powiedział cicho.

- Co takiego, mój drogi?

- Naprawdę cieszę się, że to wszystko tak się ułożyło. Nie lubiłem Sendarii.

- Dlaczego?

- Gdy w czasie wojny przebywałem w Twierdzy, chodziłem dumny jak paw. Mieszkałem z rodziną Cho-Rama i każdy zwracał się do mnie „wasza wysokość”. Potem, po Vo Mimbre, zabrałaś nas do Seline i kazałaś mi uczyć się bednarstwa. Nie lubiłem tego. Uważałem, że to niegodne mnie zajęcie. Dzięki temu Chamdar złapał mnie na haczyk. Ta

sprawa z „Rivańskim Królem” była niczym robak wijący się tuż przed nosem Starego Krętacza. To by było ponad jego siły, musiałby złapać moją przynętę. Czy Chamdar kiedykolwiek łowił ryby, ciociu Poi? Jeśli tak, to zapewne jest w tym bardzo dobry. Mnie złowił bez trudu. - Roześmiał się, trochę smutno. - Oczywiście, nie jestem taki sprytny jak Stary Krętacz.

- Jednak zerwaliśmy żyłkę Chamdarowi - powiedziałam.

- Chcesz powiedzieć, wy zerwaliście. Schrupalby mnie na kolację, gdybyście nie sprawili, by jego myśli stały się słyszalne. W każdym razie cieszę się, że przeprowadziliśmy się do Chereku. Ludzie tutaj nie są tak poważni jak Sendarowie. Gdybym powiesił swoją tabliczkę z napisem „Poszedłem na ryby” na drzwiach swego warsztatu bednarskiego w Seline, to wszyscy w mieście rozprawialiby o tym przez cały rok. W Emgaardzie po prostu wzruszą ramionami i koniec. Wiesz, całymi tygodniami nawet nie myślałem o koronach, tronach i innych tego typu głupotach. Otaczają mnie przyjaciele, a teraz mam syna. Podoba mi się tutaj, ciociu Pol, naprawdę. Wszystko, czego pragnę, tu się znajduje.

- Włączając Starego Krętacza - dodałam z uśmiechem.

- O tak - przyznał. - Jesteśmy ze Starym Krętaczem umówieni. Pewnego dnia go złapię, ciociu Pol, ale nie zaczynaj już czyścić patelni, ponieważ wypuszczę go z powrotem na wolność.

- Co takiego?! - zapytałam zaskoczona.

- Mam zamiar zdjąć go z haczyka i wypuścić ponownie do strumienia.

- Skoro chcesz go wypuścić, to po co go chwycić?

- Dla przyjemności łowienia, ciociu Pol - powiedział z szerokim uśmiechem. - Jeśli go wypuszczę, będę go mógł złowić ponownie.

Ach, ci mężczyźni!

W czasie ciąży Enalli ojciec wybrał się do Gar og Nadrak śladem jednej z niejasnych aluzji z Kodeksu Darińskiego. Podczas pobytu tam zbratał się z pewnym poszukiwaczem złota o imieniu Rablek i czy dacie wiarę, że natknęli się na pokaźne złożo? Widziałam stertę złotych sztabek mego ojca. Nie dorównywał mi bogactwem, ale nie musiałam już się martwić, że zacznie ode mnie wyciągać drobne za każdym razem, gdy będzie potrzebował paru groszy na piwo. Posłałam mu wiadomość o narodzinach Garela i jesienią zawitał do nas, by obejrzeć nowego wnuka. Mieliśmy wówczas okazję porozmawiać.

- Wędkowanie zdało egzamin, Pol? - zapytał.

- Tak, to nawet trudno sobie wyobrazić - odparłam. - Każdy mężczyzna w Emgaardzie rzuca wszystko, gdy tylko ryba zaczyna brać. Przyjęli Gelane między swoich, gdy tylko powiedział im o Starym Krętaczu.

- O jakim Starym Krętaczu?

- To ta wielka ryba, która uciekła Gelane pierwszego wieczoru.

- Tutaj ryby mają imiona?

- Taki tu panuje zwyczaj. Przynosisz jakieś wieści o Chamdarze?

- Nie ma po nim śladu. Myślę, że zaszył się w jakiejś dziurze.

- Żeby móc go ponownie złowić. To kompletna bzdura.

- Wiem. Pozdrów ode mnie bliźniaki. Zostaniesz na kolacji?

- A co macie?

- Ryby. A cóż by innego?

Zimą wybuchła zaraza. W tym czasie pomogłam wielu chorym. Gdy zaraza wygasła, dużo czasu poświęcałam na wykrycie źródła infekcji, ale mi się nie udało.

Enalla i dzieci nie zachorowały, ale ciężko przeżyły odejście męża i ojca. W owym czasie w Emgaardzie znalazł się tylko jeden prawdziwy sęp, zjawił się u Enalli z fałszywą sympatią w oczach i obraźliwie niską ofertą odkupienia warsztatu.

- Może pozwolisz, że ja się tym zajmę, moja droga? - zaproponowałam.

- Chciałabyś, ciociu Pol? Nie potrafię zdecydować, co robić.

- Ja potrafię - powiedziałam i zdecydowałam. Odwiedziłam jeszcze tego samego wieczoru oberżę i opowiedziałam miejscowym wędkarzom o tej propozycji i o tym, że człowiek, który ją złożył, był bardzo natarczywy. Oni zajęli się tą sprawą, a miejscowy cwaniaczek opuścił miasteczko, zaraz po tym jak opatrzyłam mu liczne rozcięcia, siniaki i nastawiłam złamaną kość w prawym ramieniu. Najwyraźniej musiał spaść ze schodów - kilka razy. Małomiasteczkowa sprawiedliwość w Chereku jest wymierzana w sposób bardzo bezpośredni.

Mogliśmy potem opuścić wioskę, ale Enalla nie chciała. Tu był grób jej męża, tu miała wielu przyjaciół. Garel i jego siostry dorastały, a gdy Garel skończył szesnaście lat, dzwon w mojej głowie odezwał się ponownie. Merel, która to sprawiła, była dorodną, jasnowłosą, cherecką dziewczyną. Młodzi pobrali się szybko. W Emgaardzie nie było krat w oknach, a wokół rósł zbyt gęsty las, abym mogła spać spokojnie. Chereckie dziewczęta są niewiarygodnie płodne. Merel niemal bez przerwy chodziła w ciąży. Co kilka lat Garel, który był teraz miejscowym bednarzem, dobudowywał kolejny pokój do swego mieszkania, ale i

tak ledwie nadążał z powiększaniem domu. Jego najstarszy syn, Darion, miał ostatecznie trzynaścioro rodzeństwa.

Przebywałam w Emgaardzie zapewne dłużej niż w jakimkolwiek innym miejscu, odkąd opuściłam Arendię. W Chereku nie było Angaraków, a mieszkańcy Emgaardu dla mej długowieczności znaleźli proste, acz niesłuszne wyjaśnienie: „Ona jest w końcu medykiem, a każdy wie, że medycy wiedzą, jak żyć setki lat. Zażywają różne tajemnicze zioła”. Zawsze zbierało mi się na śmiech, gdy słyszałam, jak któryś z nich to mówił, jednak dzięki ich naiwnemu rozumowaniu mogłam pozostać w Emgaardzie z potomkami Gelane i Enalli. Wiedziałam, że łamię jedną z głównych zasad, ale w Chereku bezpiecznie było to robić, ponieważ wszyscy łamali zasady, gdy tylko nadarzała im się po temu okazja.

Byliśmy tam bardzo szczęśliwi. Lata mijały niemal niezauważalnie. Straciłam nawet rachubę czasu, czego zwykle bacznie pilnowałam. Zdaje mi się, że w 5250 roku - a może w 51 - ojciec złożył nam jedną ze swych rzadkich wizyt. Tym razem nie była to jednak czysto towarzyska wizyta.

- Bliźniaki dokopali się pewnych znaków w Kodeksie Mrińskim, świadczących o tym, że zbliżamy się do czasu przyjścia na świat Pogromcy Boga, Pol - oznajmił z ponurą miną.

- Czy to szybko nastąpi, ojcze?

- Nie, niezbyt szybko, ale zdecydowanie w ciągu następnego stulecia.

- Jeśli to już tak blisko, chyba powinnam pomyśleć o przeniesieniu się do Sendarii, prawda? Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Tak samo jak ty czytałam Kodeksy Mriński i Dariński, ojcze - powiedziałam znacząco. - Wiem, gdzie powinien urodzić się Pogromca Boga.

- Ale nie zbieraj się od razu, Pol. Może bliźniakom uda się dokopać do bardziej szczegółowych terminów. Nie chcę, abyś włóczyła się po Sendarii, gdy nie znam dokładnego miejsca pobytu Chamdara. Kto jest obecnym spadkobiercą?

- Nazywa się Geran, ojcze. Lubię to imię z bardzo osobistych powodów. Właśnie się ożenił, więc nie sądzę, aby jego syn był tym, na którego czekamy.

- Dlaczego?

- Jego żoną jest panna z Chereku, ojcze, a Chereczkom wystarczy przyjazne spojrzenie, by zajść w ciążę. Ona zapewne zacznie rodzić, nim zdążę nas spakować i przeprowadzić do Sendarii.

- Czy Cherekowie są naprawdę tak płodni?

- A skąd mają takie liczne rodziny, jak myślisz?

- Myślałem, że to ma coś wspólnego z klimatem.

- Co klimat może mieć do tego?

- No cóż, w ciągu długich mroźnych nocy nie ma nic innego do roboty, oprócz... - nagle przerwał.

- Słucham, ojcze? - zapytałam słodkim głosem. - Mów dalej. Twoje naukowe spekulacje są wprost fascynujące. Ojciec się zarumienił.

Wkrótce po wizycie ojca matka również mnie odwiedziła - jeśli można tak powiedzieć.

- Pol - usłyszałam jej głos.

- Słucham, mamó? - odparłam, odstawiając garnek, który czyściłam.

- Będziesz musiała udać się do Nyissy. Ctuchik usiłuje podburzyć Salmisrę. Ktoś musi przywołać ją do porządku.

- Dlaczego ja? - zapytałam bezwiednie. Matka długo milczała, po czym wybuchnęła śmiechem.

- Ponieważ tak powiedziałam, Pol. Czemu zadałaś tak głupie tanie?

- Od dwunastu wieków wysłuchuję chłopców pytających o to samo. To chyba zaraźliwe.

- A co zwykle odpowiadasz?

- To samo co ty. Porozmawiam z bliźniakami i poproszę, aby mnie zastąpili. Potem wybiorę się na rozmowę z kobietą Wężowego Ludu. Czy Ctuchik osobiście się z nią kontaktuje?

- Nie. Ctuchik prawie nigdy nie opuszcza Rak Cthol. Zlecił to Chamdarowi.

- To wyjaśnia, czemu ojciec nie mógł go znaleźć.

- A jak on się miewa?

- Jak zwykle - odparłam ze wzruszeniem ramion. - Niestety. Znasz ojca.

- Bądź miła - powiedziała matka i już jej nie było.

Porozumiałam się w myślach z bliźniakami. Przybyli po dwóch dniach. Nie zapoznałam ich ze szczegółami mego służbowego wyjazdu.

- Wolę, aby ojciec nie wiedział, dokąd się wybieram - powiedziałam przed wyruszeniem. - Lubi mącić i wsadzać nos w sprawy, którymi się zajmuję.

- Nie powinnaś wyrażać się w ten sposób o swym ojcu, Pol - strofował mnie łagodnie Beltira.

- A nie jest tak?

- Być może, ale nie jest miło mówić o tym tak wprost.

Roześmiałam się, a potem poznałam ich z moją małą rodziną. Następnie udałam się do pobliskiego lasu i - ponieważ to był dzień - przyjęłam postać sokoła. Mogłam wybrać orła, ale

orły mają trochę za duże poczucie własnej ważności jak na mój gust. Można powiedzieć, że orły to Arendowie ptasiego świata. Sokoły są bardziej wrażliwe i wprost uwielbiają szybko latać. Za każdym razem, gdy spotkają się dwa sokoły, dochodzi do zaimprovizowanego wyścigu. W okresie godowym potrafi doprowadzić to do pewnego zamieszania.

Poleciałam nad Przesmykiem Chereku, a potem nad zielono-brązową szachownicą, zwaną Sendarią. Z wysokości kilku tysięcy stóp widać było, jak schludna i porządna jest Sendaria, i pochwalałam to z całego serca. Schludność może nie jest jedną z głównych cnót, ale się liczy.

Noc spędziłam na drzewie w asturiańskim lesie, na południe od rzeki Camaar, a o pierwszym brzasku poleciałam dalej. Przeleciałam nad Mimbire i dopiero w Tolnedrze ponownie się zatrzymałam.

No, dalej, powiedzcie to, śmiało! Tak, rzeczywiście, to ponad tysiąc mil od Val Alom do Sthiss Tor i żaden ptak nie potrafi przebyć takiej odległości w trzy dni, więc trochę sobie pomogłam. Czy wyczerpująco odpowiedziałam na wasze pytanie?

W Sthiss Tor było parno, czego nie cierpię. Przysiadłam, aby odpocząć na drzewie za jaskrawymi murami miasta Wężowego Ludu, i rozważyłam różne możliwości. Śnieżna sowa nie występuje w Nyissie, poza tym białe ptaki rzucają się nocą w oczy. Rozwiązanie było proste, oczywiście, ale nie bardzo mnie pociągało. Jestem pewna, że nietoperze ciężko pracują, są pilne i miłe dla swych matek, ale zawsze żywiłam wobec nich nieuzasadnione uprzedzenie. Mają takie brzydkie mordki! Zgrzytnęłam jednak tylko dziobem i zmieniłam postać. Muszę przyznać, że trochę czasu mi zajęło przyzwyczajenie się do nowej sytuacji. Lot nietoperzy w niczym nie przypomina lotu ptaków. Pióra są trochę niewygodne, ale znacznie ułatwiają lot. Nietoperz musi dosłownie przedrzeć się przez powietrze. Po jakimś czasie to opanowałam, ale o wiele dłużej trwało, nim nauczyłam się posługiwać słuchem. Wiedzieliście, że nietoperze tak robią? Nie piszczą tylko dla zabawy. Nietoperz potrafi fruwać w całkowitych ciemnościach, na nic przy tym nie wpadając. Nie uwierzycie, jaki czuły mają słch. Po przyjęciu ich postaci mogłam usłyszeć komara z odległości stu kroków.

Obiłam się w powietrze, przeleciałam ponad oszłamiająco kolorowymi murami miasta, a potem cuchnącymi alejami ku groteskowemu pałacowi, który stał w centrum Sthiss Tor. Przysiadłam, głową w dół, pod szkaradnym pomnikiem, który najwyraźniej zrodził się w głowie jakiegoś ogłupiałego od narkotyków rzeźbiarza. Obserwowałam, jak różni urzędnicy wchodzą i wychodzą ogromnym wejściem, niemal wszyscy byli pulchni i nie zobaczyłam wśród nich nawet jednego brodacza. Nigdy w pełni nie rozumiałam nyissańskiego zwyczaju wymagającego, aby wszyscy służący królowej Wężowego Ludu byli enuuchami. Biorąc pod

uwagę żądze długiej linii Salmisr, pomysł te wydawał się nieekonomiczny w najlepszym razie. To wówczas zaczęłam rewidować swoje poprzednie uprzedzenia do nietoperzy. Owe, pyszczki nietoperzy są brzydkie, a błoniaste skrzydła niezgrabne, ale ich uszy kompensują w pełni te wady. Słyszałam nawet szelst węży pełzających w ciemnych kątach, co mnie lekko zaniepokoiło. Nietoperze są małymi ssakami, a dieta węży składa się głównie małych ssaków.

- To zupełnie idiotyczne, Rissusie - rzekł jeden eunuch z wygoloną głową do drugiego.

- Nawet nie potrafi czytać? - Mówił głębokim kontilem.

- Z pewnością potrafi, Salasie - odparł Rissus - ale jej umysł... czy raczej to, co z niego zostało, jest zajęty czym innym.

- Sądzisz, że nauczyciele ją ostrzegli, że Angarakowie próbowali tego już kiedyś? Jak może być tak łatwowierna, by wierzyć, że bóg chciałby się z nią ożenić?

- Została wychowana w przekonaniu, że Issa pragnie ją poślubić. Czemu inny bóg nie miałby pożądać jej towarzystwa?

- Każe wie, co się stało, gdy ostatnim razem nasza królowa wpadła w angackie sidła - powiedział wzburzony Salas. - Ten Angarak prowadzi ją samą ścieżką i tak samo to się skończy. Lada dzień zaroi się tu Allornów.

- Zgłaszasz się na ochotnika, by jej to powiedzieć?

- Nie ja, Rissusie. Jej wąż ma teraz sezon godowy i jest bardzo drażliwy. Chcę jeszcze pożyć. Rissus wzruszył ramionami.

- Rozwiązanie samo się narzuca, Salasie. Ale jak je wprowadzić w czyn? - Pokręcił głową. - To właśnie mnie tak niepokoi. Każdy posiłek i każdą butelkę wina, którą mu przynoszono, zatrutowałem taką ilością sarka, że wystarczyłoby na cały legion, ale on odmawia jedzenia i picia.

- A co z odek? - zapytał Salas. - Wchłania się przez skórę.

- On nigdy nie zdejmuje rękawiczek. Jak mogę kogoś zabić, jeśli nie chce współpracować?

- Czemu po prostu nie posłużyć się nożem?

- To Murgo, Salasie. Nie mam zamiaru wdawać się w bójkę na noże z Murgiem. Chyba będziemy musieli nająć zawodowego zabójcę.

- Oni są okropnie kosztowni, Rissusie.

- Potraktuj to jako patriotyczny obowiązek. Zagmatwam trochę zapisy w księgach rachunkowych, więc wyjdziemy na swoje. Chodźmy do sali tronowej. Asharak zwykle odwiedza królową o północy, w przerwie pomiędzy jej innymi rozrywkami.

Potem obaj weszli do pałacu. Uznałam tę rozmowę za fascynującą. Domyśliłam się, że obecna Salmissra nie cieszy się zbytnim poważaniem u swej służby. Najwyraźniej nie grzeszyła nadmiarem inteligencji, a do tego jej umysł otępiały rozliczne narkotyki. Jednak Chamdar mnie naprawdę rozczarował. Czy Angarakowie nie mogli wymyślić czegoś oryginalniejszego niż stary spisek Zedara? Okazja, o której wspomniał Rissus, wydawała się zbyt dobra do przegapienia. Jeśli Chamdar występował jako Murgo Asharak i jeśli miał tej nocy umówione spotkanie z Salmissrą, to mogłam od razu wszystkim się zająć. Zapobiegliwość to też zaleta, podobnie jak schludność. Pamiętałam, że gdy odwiedziłam z ojcem Sthiss Tor przed bitwą pod Vo Mimbre, pałac Salmissry nie był zbytnio oświetlony, więc nadal jako nietoperz wleciałam do środka przez szerokie wrota. Wysokie sufity tonęły w głębokim mroku. Nie byłam pod krokwiami jedynym nietoperzem. Pofrunęłam sklepieniem korytarzem wiodącym do sali tronowej i zdążyłam wlecieć do środka, nim Salas i jego przyjaciel zamknęli za sobą drzwi. Wzbiłam się do góry i przysiadłam - co w wydaniu nietoperza wypadło bardzo niezgrabnie - na ramieniu ogromnego posągu Boga Węża, Issy, który stał tronem Salmissry. Królowej Wężowego Ludu nie było w sali. Eunuchowie przechadzali się po lśniącej posadzce, rozmawiając beztrąsko. Kilku z nich było półprzytomnych. Zastanawiałam się, co jest gorsze, piwo czy różne narkotyki, które tak lubili Nyissanie. Podejrzewam, że moje zastrzeżenia względem piwa, wina i mocniejszych trunków brały się z niechęci do hałasu i... zapachu. Pijani ludzie mają zwyczaj ryczeć jak woły i okropnie śmierdzą. Człowiek pod wpływem narkotyków po prostu zasypia i zwykle nie cuchnie. To po prostu kwestia estetyki.

Rozmyślałam nad tym, jak rozprawić się z Chamdarem. Może zmienić się w wielkiego orła, porwać Chamdara w szpony, wzbić się na wysokość pięciu mil i wtedy go upuścić...

- Nie, Pol - powiedziała stanowczo matka. - Będzie nam jeszcze później potrzebny.

- Psujesz mi całą zabawę! Nie mogłabyś zapukać, mamó? Nigdy nie jestem pewna, czy jesteś ze mną, czy nie.

- Po prostu przyjmij, że zawsze tu jestem, Pol. Wiele się nie pomylisz. Pamiętasz hrabinę Asranę?

- A jakże mogłabym ją zapomnieć?

- Pomyśl, jak ona poradziłaby sobie z Chamdarem. Zastanowiłam się nad tym chwilę, po czym niemal wybuchłam śmiechem.

- Och, mamó! - zawołałam wesoło. - Okropne metody mi proponujesz.

- Ale skuteczne - dodała.

Im dłużej nad tym myślałam, ty bardziej doceniałam sugestię matki. Wesoła, trzpiotowata Asrana doprowadziłyby ponurego Grolima do wściekłości, a wściekły Grolim popełnia błędy, tak oczywiste na dodatek, że nawet nafaszerowana narkotykami Salmisra zauważyłaby je natychmiast. Potem do sali tronowej weszła ociężałym krokiem królowa Wężowego Lidu. Zgromadzeni tam eunuchowie natychmiast przybrali służalcze pozy. Królowa zupełnie nie różniła się od tej, z którą ja i ojciec rozmawialiśmy przed bitwą pod Vo Mimbre. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, ponieważ bliskie podobieństwo fizyczne do oryginalnej Salmissry było głównym kryterium wyboru kolejnych jej następczyń. Przeszła wolno, kołysząc biodrami, do swego przypominającego leżankę tronu, usiadła i zaczęła podziwiać własne odbicie

- Była tym tak pochłonięta, że nawet gdyby w tym momencie do sali weszło kilku bogów nie zauważyłaby tego

Drzwi otworzyły się

- Ambasador z Tol Chytra pragnie widzieć się z Waszą Wysokością – zapowiedział główny enuuch

- Miło, że wpadłeś, Asharaku - wycodziła Salmisra

Wtedy spojrzałam prosto na królową Wężo-

Chamdar odzyskał głos. - Co tu robisz?

Chcę zobaczyć się z Sally - odparłam. – I przywitać się. A gdzieś ty się podziewał, drogi chłopcze? Mój ojciec ciągle cię szuka. Czyżbyś znowu się przed nim ukrywał? Niegrzeczny Chammy. Ojciec się będzie okropnie ciebie gniewał. Potrafi być czasami takim starym zrzędą.

- Kim ona jest? - Odezwała się Salmisra do Chamdara. - I dlaczego tak cię nazywa?

- Czyżbyś znowu próbował tej starej sztuczki, Chammy? Co za nuda. „Murgo Asharak. Doprawdy, Chammy, zawiodłeś mnie. - Spojrzałam na zmieszaną królową Wężowego Ludu. - Czy on cię okłamał Sally? Czyżbyś mu uwieżyła? „Murgo Asharak", doprawdy! W całej cywilizowanym świecie nikt by się na to nie dał nabrać. Każdy wie, że on naprawdę nazywa się Chamdar i jest ulubionym sługusem Ctuchika. Od ponad tysiąca lat Chamdar liże Ctuchikowi buty.

- Kim jesteś? - zapęła Salmisra. - I jak śmiesz nazywać mnie tym absurdalnym imieniem?

- Jestem Polgarda, Sally, i będę cię nazywać, jak mi się żywni spodoba. - Porzuciłam beztroski ton i oznajmiłam to z zimną stanowczością.

Niemal czułam, jak narkotyki wyparowują z jej krwi.

- Polgarda! - wykrzyknęła.

- Ona kłamie! - Chamandar wpadł w popłoch. Teraz mówił piskliwym głosem.

- Ależ Chammy, skąd miałbyś to wiedzieć? Szukałeś mnie ponad tysiąc lat, ale nigdy mnie nie widziałeś. Jeśli jesteś najlepszym z ludzi Ctuchika, to mój ojciec musiał przeceniać niebezpieczeństwo. Potrafię cię zniszczyć bez najmniejszego wysiłku. - Wiem, że to było melodramatyczne, ale uniosłam palec wskazujący i tuż obok Chamdara rozkruszyłam kamienną płytę z gromkim hukiem. Rzadko robiłam coś takiego, więc zapewne trochę przesadziłam. Rozpalone do czerwoności kawałki posypały się na eunuchów, którzy natychmiast przestali wyglądać na znudzonych, uciekali i piszczeli jak przerażone myszy.

- Ojej – powiedziałam rzepraszająco. - Trochę naśmiecłam. Nie gniewaj się, Sally. Na czym to ja skończyłam? Ach tak, przypomniałam sobie. - Roztrzaskałam jeszcze kilka płyt z posadzki w pobliżu stóp Chamdara.

Chamdar zaczął podskakiwać jak szalony.

- Widzisz, Sally - wycedziłam. - Murgowie potrafią tańczyć. Trzeba ich tylko trochę zachęcić

- Przybyłaś, aby mnie zabić - zapytała Salmisra.

- Zabić cię? Dobrze nieba, nie, moja droga Sally. Obie wiemy, że nie to ci zrobię. - Uczyniłam nieznaczny ruch palcem i uwolniłam swą Wolę. W końcu tylko stwarzałam iluzję, więc nie musiałam machać oburącz. - Spójrz w lustro, Sally. Oto co zrobię z tą Salmisra, która na swoje nieszczęście wejdzie mi w drogę.

Przejrzała się w ogromnym lustrze stojącym obok tronu i krzyknęła w przerażeniu. Z lustra patrzył na nią ogromny cętkowany wąż z drgającym językiem.

- Nie! - wrzasnęła królowa Wężowego Ludu, w panice dotykając swej twarzy, włosów i ciała drżącymi rękoma, by upewnić się, że to okropne odbicie w lustrze jest złudzeniem. - Spraw, aby znikło! - zapiszczała.

- Jeszcze nie, moja droga Sally - powiedziałam swym najbardziej lodowatym tonem. - Chcę, abyś zapamiętała to odbicie. Czyżby Chammy próbował schwytać cię na lep tej starej kłamliwej obietnicy? Chyba nie uwierzyłaś, że Torak ma zamiar się z tobą ożenić?

- On tak mówił! - powiedziała Salmisra, wskazując oskarżycielsko na wstrząśniętego Grolima.

- Oj, Chammy, Chammy! - strofowałam go. - Co ja mam z tobą zrobić? Przecież to kłamstwo. Doskonale wiesz, że Torak oddał swe serce innej. - Rzykowałam oczywiście. Nie byłam pewna, czy Chamdar był pod Vo Mimbre.

- Kogo Torak kocha? - dopytywała się Salmissra z lekką urazą. Zdaje się, że pomimo wszystko miała jeszcze jakieś nadzieje.

- Kogo? Oczywiście mnie, Sally. Myślałam, że wszyscy o tym wiedzą. Już nawet raz mi się oświadczył, a moja odmowa złanała mu serce. Dlatego przegrał pojedynek z Brandem pod Vo Mimbre. Biedaczysko ma tylko jedno oko, a ono było tak pełne łez, że nawet nie zobaczył, jak Brand zamachnął się mieczem. Tobie też by się spodobało, gdyby twoi wielbiciel dowodzili swej miłości w pojedynku. To takie romantyczne oglądać tryskającą krew. Aż zadrżałam, gdy Brand wbił Torakowi miecz w oczodół.

Usłyszałam szloch i spojrzałam szybko na Chamdara. Murgo naprawdę płakał! Oczywiście, Torak był jego bogiem.

- Sally, powinnaś zapytać niejakiego Salasa, co się stało z Salmissra, która rozkazała zamordować Rivańskiego Króla. Gdy uwierzysz kłamstwu Chammy'ego, skończysz tak samo. Jeśli Alornowie cię dopadną spalą cię na stosie. Pomyśl o tym i spojrzysz jeszcze raz w lustro. Wąż, Sally, nie ma wielkiego wyboru. - Potem skierowałam swe słynne „stalowe” spojrzenie na Chamdara - Chammy ty niegrzeczny chłopcze! Marsz stąd! Wracaj do Rak Cthol. Powiedz Ctuchikowi, żeby wymyślił coś nowego, to już jest ograne. I przy okazji przekaż mu pozdrowienie ode mnie. Powiedz, że nie mogę doczekać się naszego spotkania.

- Ale... - Zaczął protestować.

- Lepiej Jej posłuchaj, Chamdarze! - przerwała mu Salmissra Precz z moich oczu! I to prędko! Twój immunitet dyplomatyczny wygaśnie za pół godziny, a potem wyznaczę pokąźną cenę za twą głowę. Wynoś się!

Chamdar uciekł.

- Zgrabne posunięcie - pochwaliłam ją.

- Naprawdę mogłabym tak z nim postąpić, Pol? - zapytała

- To twoje królestwo, moja droga. Możesz robić, co chcesz

- Czy możliwe byśmy zostały przyjaciółkami?

- Myślę, że już jesteśmy - powiedziałam z uśmiechem

Spędziłam Sthiss Tor kilka miesięcy, stopniowo oczyszczając krew Salmissry z różnych narkotyków, aż w końcu mogła spójnie myśleć. Nie była żadnym intelektualnym gigantem, ale gdy już wydostała się z narkotykowej mgły, zaczęła działać racjonalnie. Eunuchowie, którzy w sprawowali władzę, byli bardziej niż trochę rozeźleni moją inwencją, więc pewnego wieczoru, gdy Salmissra odpłynęła już do królestwa snów, posłałam po Rissusa, który skupiał w swoim ręku więcej władzy niż pozostali, w każdym razie na tyle dużo, że musiał podjąć

odpowiednie środki ostrożności, by ustrzec się przed otruciem. Wydawał się niepewny siebie, gdy wszedł do jaskrawego salonu prywatnych apartamentów królowej Wężowego Ludu

- Chciałaś zobaczyć, lady Polgardo? - zapytał kontraltem

- Tak, Rissusie - powiedziałam. - Pomyślałam, że powinniśmy uciąć sobie pogawędkę.

- Oczywiście Lady Polgardo.

- Z pewnością zauważyłaś zmiany, jakie zaszły w waszej królowej?

- Jak mógłbym ich nie zauważyć? Zawojowałaś ją bez reszty Jak udało ci się to tak szybko?

- Zapropnowałam jej przyjaźń, Rissusie. Ona jest bardzo samotna.

- Jak może być samotna? Ma całą stajnię pięknych chłopców, by ją zabawiali.

- Salmisra pragnie przyjaźni, Rissusie, a o tym nie ma mowy w harcach z miłymi chłopcami. Nie jest zbyt błyskotliwa, ale wystarczająco bystra, by władać, jeśli ty, Salas i kilku innych będziecie jej doradzać. Gotów jesteś do roli męża stanu, Rissusie? Potrafisz odłożyć na bok spiskowanie i trucie swych rywali, a skoncentrować się na utworzeniu prawdziwego rządu?

- Cóż za osobliwa propozycja - mruknął.

- Wstrząsająca, prawda? - przyznałam. - Oto jak to zrobimy. Mam pewne doświadczenie i zacznę od snucia wspomnień - opowiadania Salmisrze, jak udało mi się zażegnać jeden czy drugi kryzys, o nudnym nabijaniu w butelkę moźnej szlachty, takim ustalaniu podatków, aby nie wywoływały natychmiastowej rebelii i o innych sztuczkach. Cała rzecz w tym, aby Salmisrę zainteresować polityką. Potem, gdy zaczniesz zadawać pytania, udam, że nie znam się na tutejszych obyczajach i poradzę, aby posłała po ciebie. Pomysł polega na ostrożnym edukowaniu królowej. Stanie się kompetentnym władcą, jeśli ją wychowamy łagodnymi metodami. Potem pozwolimy jej samej podejmować decyzje.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Gdzie tu jest haczyk, lady Polgardo? - zapytał. - Co ty z tego będziesz miała?

- Ja pragnę stabilnej Nyissy, Rissusie. Zbliżają się doniosłe wydarzenia, o których nie masz pojęcia. Nie chcę, aby Ctuchik dyktował politykę Nyissy.

- Nie usłyszysz ode mnie ani słowa sprzeciwu, Polgardo.

- Dobrze. Oczyszczałam ją już z najsilniejszych narkotyków, ale spróbujmy również ograniczyć zażywanie innych. Wiem, że pewne specyfiki musi przyjmować regularnie, by zwalczyć oznaki starzenia się, ale spróbujmy ograniczyć dawkę do minimum. Kto jest jej osobistym aptekarzem?

- Ja - odparł z lekkim uśmiechem.

- Doprawdy? To bardzo nietypowe, by farmakolog zajmował znaczącą pozycję w rządzie.

- Nie w Nyissie, Polgardo. Tu, w Sthiss Tor, klucz do szafki z narkotykami królowej jest kluczem do władzy. Może to wyglądać na nieskromność, ale jestem najbieglejszym farmakologiem w Nyissie. W kraju narkomanów rządzą aptekarze, ale to zakulisowa władza. Milej byłoby rządzić oficjalnie.

- To co, Rissusie, weźmiemy Salmisrę w swoje ręce i zrobimy z niej prawdziwą królową?

- Ciekawa propozycja. Prawdziwa królowa byłaby pewną odmianą, moglibyśmy osiągnąć stabilizację, której tak pragniesz. Ustali się ściśle zasady trucicia oponentów, ograniczy korzystanie z usług zawodowych zabójców i tym podobne. - Zamyślił się na chwilę. - Przez ostatnie śniecie w Nyissie panował chaos - zauważył. - Chyba już czas, byśmy ustalili pewne prawa, a tutaj nikt się nimi specjalnie nie przejmie, jeśli nie będą ustanowione przez królową. Tak, zgadzam się na twoją propozycję. Zrobmy z Salmisry prawdziwą władczynię.

I tak też zrobiliśmy. Od najwcześniejszego dzieciństwa Salmisra nigdy nie zaznała przyjaźni. Przy pierwszych oznakach sympatii ze strony kogoś z jej otoczenia natychmiast słyhać było odkorkowywanie butelek z trucizną. Była rozpaczliwie samotna i załęczniona. Zapewniałam ją, że nikt przy zdrowych zmysłach nie ośmieliłby się mnie otruć, więc otworzyła przede mną serce niemal z dziecięcą ufnością. To było nawet wzruszające. Pod przykrywką królewskiego dostojęstwa kryła się mała dziewczynka, którą naprawdę polubiłam.

To mi się czasami zdarzało. Najbardziej nieprawdopodobna przyjaźń łączyła unie z Zakathem. Potrafiłaby wstrzymać słońce. Moja sympatia do Salmisry nie mogła się z nią równać. Ponieważ byłam, można powiedzieć, zawodowo zainteresowana nyissańską farmakologią, wraz z Salmisrą nie dawałyśmy królewskiemu aptekarzowi chwili wytchnienia. Jeśli nie udzielał jej lekcji praktycznej polityki - w nyissańskim stylu - to wprowadzał mnie w egzotyczny świat nyissańskich ziół. O dziwo, niektóre z korzeni, jagód, liści i pędów z nyissańskich dżungli były pożyteczne, oczywiście w ściśle określonych warunkach. Byłam już w Nyissie od półtora roku, gdy bliźniaki donieśli mi, że ojciec wpadł do Emgaardu i chciałby się ze mną zobaczyć. Salmisrą rozplakała się na wieść, że wkrótce ją opuszczę, ale przezornie sprawiłam, aby Rissus i Salas zaskarbili sobie jej sympatię, więc byłam pewna, że potrafią wypełnić pustkę w życiu królowej. Na wszelki wypadek ostrzegłam,

że jeśli zawiodą jej dziecięcą ufność, wrócę i nakarmię nimi pijawki, od których roi się w Rzece Węża. Nie uwierzycie, jak skwapliwie obiecywali dobre zachowanie.

Potem udałam się do sali tronowej, aby pożegnać królową Wężowego Ludu. Salmisra przytuliła się do mnie ze szlochem. Delikatnie uwolniłam się z jej objęć, pocałowałam w policzki i przekazałam opiece Rissusa i Salasa. Był początek zimy, gdy dotarłam do Doliny Aldura. Wieżę ojca otaczały śniegowe zasy. Opadłam na ziemię i wróciłam do własnej postaci.

- Zastanawiałem się właśnie, czy postanowisz spędzić zimę w Nyissie, Pol - powiedział, gdy weszłam po schodach.

- Tam nastąpiła pora deszczowa, ojciec - przypomniałam mu. - Sthiss Tor i bez ciągłej ulewy jest wystarczająco paskudne. Chciałeś się ze mną zobaczyć?

- Zawsze pragnę się z tobą widzieć, Pol. Cały czas tęsknię za twoim towarzystwem.

- Proszę, oszczędź mi tego. Co cię martwi?

- Nie przyszło ci do głowy, aby powiedzieć mi, co robisz?

- Nie. To nie było zajęcie dla ciebie, ojciec.

- Lubię trzymać rękę na pulsie, Pol.

- Nie byłoby sprawy, gdybyś tylko to robił, ojciec, ale ty jesteś bardzo wścibski.

- Pol! - zaprotestował.

- Jesteś wścibski, ojciec, i wiesz o tym. Spotkałam tam Chamdara. Jemu nie spodobało się nasze spotkanie, ale mnie owszem.

- Oddychał, gdy widziałas go po raz ostatni?

- Myślę, że ział ogniem, ojciec. Popsułam mu szyki, wyjawiając jego plany Salmisrze, a ona wyznaczyła nagrodę za jego głowę.

- Sprytne - pochwalił mnie.

- Mnie też się spodobało. Masz tu coś do jedzenia? Umieram z głodu.

- W tamtym garnku coś jest. Zapomniałem co. Podeszłam do paleniska i uniosłam pokrywę.

- Zupa z groszku?

- Nie sądzę.

- Więc chyba to lepiej wyrzucić.

- Dlaczego?

- Ponieważ jest zielone, ojciec. Pozwoliłeś się temu trochę za mocno zestarzeć. Idź do spiżarni i przynieś szynkę. Przygotuję nam coś do jedzenia i opowiem, co zrobiłam Salmisrze i biedakowi Chammy'emu.

Ojciec śmiał się do rozpuku, gdy przedstawiłam mulekko ubarwioną wersję mych przygód w Kraju Wężowego Ludu.

- Spisałaś się świetnie, Pol - pochwalił mnie, gdy skończyłam. Naprawdę tak polubiłaś tę Salmisrę?

- Zupełnie nie przypomina innych, ojcie - powiedziałam z lekkim smutkiem. - Myślę, że nie jest podobna do tej, która kazała zabić Gereka. Chyba wzbudziła we mnie uczucia zbliżone do tych jakie tamta wzbudziła w tobie. Jest bardzo wrażliwa, a gdy obiecałam jej przyjaźń stała się wręcz wylewna. Nawet popłakała się, gdy wyjeżdżałam.

- Nie sądziłem, że którakolwiek Salmisra potrafi płakać.

- Myliłeś się, ojcie. Wszystkie to robią. Nauczyły się tylko tego nie okazywać. Po drodze widziałam ruch na Południowym Szlaku Karawan.

- Wiem. Murgowie wznowili handel z Tolnedrą. To uprzejmy sygnał z ich strony że ponownie zaczniemy widywać szpiegów za każdym rogiem.

- Jedź do Chereku, pozwól bliźniakom wrócić do domu i kopać dalej w kodeksie Mrińskim. Tylko oni potrafią się dopatrzeć w nim jakiegoś sensu.

- Wyruszę z samego rana, ojcie - powiedziałam. - To, co hodowałeś w tym garnku, stoi przy schodach. Zakop to gdzieś. Jeszcze trochę postoi a zacznie się ruszać, a chyba nie chcesz, żeby wpełzło ci do łóżka.

Rano udałam się do Emgaardu, by ponownie przejąć swoje zadanie a bliźniaki wrócili do Doliny Aldura, by zająć się swoim. Moja wyprawa do Nyissy była rodzajem wakacji, ale każde wakacje kiedyś się kończą i dobrze było wrócić do pracy.

W 5300 roku, bliźniaki dokonali kolejnego przełomu w rozumieniu Kodeksu Mrińskiego. Oznajmili, że ten wiek będzie wiekiem Pogromcy Boga. Przeprowadziłam z Geranem i jego synem, Darionem niezamierzoną, dłuższą rozmowę. Geran był już zgrzybiałym starcem i chyba nie zrozumiał, gdy powiedziałam, że będziemy musieli przeprowadzić się do Sendarii.

- Bądźmy miłośni i zostawmy go tutaj, ciociu Pol - rzekł Darion - I tak nie zechce opuścić grobu matki. Powiedzmy, że udajemy się w podróż, i zostawmy go. Za miesiąc pewnie nawet nie będzie nas pamiętał. Znajdę kogoś, kto się nim zaopiekuje.

Miał rację. Geran był bardzo stary, a starych drzew się nie przesadza. Darion z żoną, Eseną, i trzyletnim synem, Darralem, pojechaliśmy do Ral Alorn. Tam wsiedliśmy na statek, który przewiózł nas do Madery gdzie kupiłam dla nas dom, a Darion otworzył warsztat

kamieniarski. Robił głównie nagrobki, a to dość ponure zajęcie. Darral wyuczył się zawodu od ojca, a gdy miał szesnaście lat, poślubił Alarę, córkę miejscowego kupca. Ojciec

odwiedzał nas niemal bez przerwy aż do 5329 roku, kiedy to Alara urodziła chłopca. Ojciec spochmurniał, gdy tylko spojrzął na maleńkiego Gerana.

- To nie ten, Pol - powiedział.

- Nie moja wina, ojcie - odparłam. - Za kilka lat mam zamiar przeprowadzić się z rodziną Darrala.

- Dlaczego?

- Medalia leży przy głównym szlaku łączącym Darine i Muros, zbyt wielu obcych przejeżdża przez miasto, bym czuła się tu pewnie. Pragnę znaleźć miejsce leżące trochę bardziej na uboczu.

- Gdzie postanowiłaś się więc osiedlić?

- W Annath. To niewielkie miasteczko u podnóża gór. Leży tuż przy granicy z Algarią. Są tam duże kamieniołomy, więc Darral znajdzie sporo zajęć nie związanych z robieniem nagrobków.

Zauważyliście zapewne, że moje wyjaśnienia decyzji przeprowadzki do Annath były niezbyt szczere. Z biegiem czasu przekonałam się, że nie należy udzielać ojcu zbyt wyczerpujących informacji. Ojciec zawsze się do wszystkiego mieszał, co często kończyło się katastrofą. Podejrzewam, że ojciec uważał się za artystę, ale moja definicja sztuki była zupełnie inna.

Prawdę powiedziawszy, wcześniej nawet nie wiedziałam o Annath, a moja decyzja o przeprowadzce tam była podyktowana bliskością miasteczka do algarskiej granicy. Matka powiedziała mi, że Geran ma poślubić Algarkę o imieniu Lidera, więc uznałam, że dobrze będzie, jeśli ułatwię im spotkanie.

Jak się jednak okazało, nasza przeprowadzka została opóźniona śmiertelną chorobą Dariona, która niestety się przedłużała. Nie lubię długich chorób, nawet bardziej od nagłego zatrzymania akcji serca. Porządna choroba trwa tydzień czy dziesięć dni, a potem pacjent wraca do zdrowia lub umiera. Śmierć jest mało dostojna, jeśli przychodzi zbyt szybko lub zbyt wolno. W każdym razie Darion chorował aż do 5334 roku, a po jego pogrzebie zmiana otoczenia była w naszym przypadku jak najbardziej uzasadniona. W Medalii wszystko przypominało o naszej stracie. Darral sprzedał warsztat kamieniarski. Spakowaliśmy się na dwa wozy i opuściliśmy Medalię letnim rankiem. Darrel powoził jednym wozem, ja drugim.

Tak, rzeczywiście potrafisz powozić. Czemu ciągle zadajecie takie głupie pytania? Nigdy nie dojdziemy do końca, jeśli będziecie mi tak w kółko przerywać. Było lato, a latem przyjemnie się podróżuje przez góry. Nie spieszyło nam się, więc jechaliśmy wolno. W pewnym miejscu Darrel wstrzymał konie, przyglądając się badawczo górskiemu

strumieniowi, który szemrał na kamieniach i wesoło rozlewał się w głębokie stawy spokojnej wody.

- Ciociu Poi! - zawołał do mnie. - To dobre miejsce na nocleg. Koniom należy się wypoczynek.

- Dopiero południe, Darralu - zauważyła Alara.

- Ale to dobre miejsce, a konie są już zmęczone. Cały czas jechaliśmy pod górę. - Wydawał się szczerze przejęty losem koni i starał się nie spoglądać na strumień. Oczywiście wiedziałam, co to znaczy. Wystarczająco często widywałam takie zachowanie w Emgaardzie. Okręciłam lejce wokół rączki hamulca mego wozu i zesłam na ziemię.

- Tam - powiedziałam, wskazując omszały placyk pod pochylonymi nisko cedrami. - Zanim zaczniesz, wyprzęgnij konie, napój je i puść spętane na łączkę. Potem rozpal ognisko i zbierz dość drewna na kolację i śniadanie.

- Myślałem...

- Z pewnością, mój drogi. Najpierw wykonaj robotę, a potem możesz iść się pobawić.

Wprost rzucił się do swych zajęć.

- Co chciałaś przez to powiedzieć, ciociu Poi? - zapytała Alara. - Darral jest dorosłym mężczyzną. On już się nie bawi.

- Doprawdy? Musisz się jeszcze wiele nauczyć, Alaro. Przyjrzyj się mężowi. Takiego wyrazu twarzy nie miał, odkąd skończył dziewięć lat.

- A co on ma zamiar zrobić?

- Zaproponuje zdobycie czegoś na kolację, moja droga.

- Mamy przecież na wozie suszoną wołowinę, mąkę, groch i wszystko inne.

- Tak, wiem. Powie, że ma już dość jedzenia tego samego co wieczór.

- Czemu?

- Ponieważ chce iść na ryby, Alaro. Ten strumień to dla niego nieodparta pokusa.

- Przez jedno popołudnie nie nałowi tyle ryb, aby nas nakarmić.

- Może mu się uda, a jeśli nie, to powędkuje jutro.

- Jutro?! - wykrzyknęła z oburzeniem. - To absurd! Nigdy nie dotrzemy do Annath, jeśli będziemy zatrzymywać się na kilka dni nad każdym strumyczkiem.

- Przyzwyczaj się do tego, Alaro. To u niego chyba rodzinne. Jutro rano jeden z koni okuleje albo trzeba będzie naoliwić koło u wozu i oczywiście potem będzie już zbyt późno, by wyruszyć.

- Jak długo to potrwa?

- Zależy od tego, jak ryby będą brały. Daję na to trzy dni... chyba że Stary Krętacz ma krewnych w tych górach.

- Kim jest Stary Krętacz?

Podczas gdy Darral z zapalem rąbał drewno, opowiedziałam jej o Gelane i jego staraniach, by złowić wielkiego pstrąga w strumieniu za Emgaardem. Humor Alarze się poprawił. Alara była poważną młodą damą i śmiech dobrze jej zrobił. Darral skończył z rąbaniem drewna, wyciął sobie wierzbową tyczkę na wędkę i poszedł zabawiać ryby.

- Jeszcze jedno, Alaro - powiedziała po jego odejściu. - Nie waż się sięgnąć po nóż, gdy zdarzy mu się przynieść ryby.

- A czemu miałabym sięgać po nóż, ciociu Pol?

- No właśnie. To fundamentalna zasada, o której zawsze powinnaś pamiętać. Musisz wprowadzić ją od samego początku.

- Nie rozumiem.

- Spójrz mu prosto w oczy, załóż ręce na piersi i oświadcz: „Ty złowiłeś, to ty czyść”. Nigdy od tego nie odstępuj, nawet jeśli złamie sobie rękę. On czyści ryby. Ty nie. Może marudzić, ale nie ustępuj. Jeśli złamiesz się choć raz, zdradzisz cały kobiecy ród.

- Żartujesz, ciociu Pol, prawda? - zapytała ze śmiechem.

- Ani trochę. Nigdy nie czyść ryb. Powiedz mu, że to wbrew nakazom twojej religii albo co innego. Uwierz mi, jeśli oczyścisz choć jedną rybę, będziesz już to robić do końca życia.

Darralowi i Geranowi udało się złowić tyle ryb, by zaspokoić żądzę, której ofiarą padają wszyscy mężczyźni na widok rwącej wody. Zajęło im to co prawda dwa dni. Potem ruszyliśmy dalej przez góry ku naszemu przeznaczeniu.

Wąwóz, w którym leży Annath, ciągnie się z północy na południe. Dotarliśmy do niego wczesnym popołudniem pięknego letniego dnia. Uderzyło mnie podobieństwo tego miasteczka do Emgaardu. Górskie miasteczka niemal zawsze rozkładają się nad brzegiem strumienia, czyli na dnem wąwozu. Zapewne można by zbudować wioskę wyżej, ale kobiety na to nigdy nie zezwolą, ponieważ to one noszą wodę. Kobiety lubią być blisko strumienia i byłyby najszczęśliwsze, gdyby przepływał przez ich kuchnie.

Miasteczko spodobało mi się, ale gdy się zbliżyliśmy, poczułam dziwny chłód. Coś strasznego miało się wydarzyć w Annath. Niemal każdy w miasteczku odwracał się na widok naszego wozu jadącego jedyną ulicą. Ludzie w małych miasteczka już tacy są.

- Dokąd to jedziecie, nieznajomi? - z osobliwym akcentem zapytał Darrala siwy mężczyzna.

- Tutaj, przyjacielu - odparł Darral - i chyba możemy sobie darować tego „nieznajomego”. Przybyłem tu z rodziną, aby osiąść na stałe, więc z pewnością się poznamy.

- Jak się nazywasz?

Darral uśmiechnął się szeroko.

- Może Belgarath, a może Kal Torak. Byłbyś skłonny uwierzyć, jeśli zaproponowałbym ci jedno z tych imion?

- Ani trochę - zachichotał starzec.

- Warto było jednak spróbować - westchnął Darral. - Naprawdę nazywam się Darral, a to moja żona, Alara. Dama powożąca drugim wozem to moja ciocia, Pol, śpiący obok niej chłopczyk jest moim synem, Geranem.

- Miło mi cię poznać, Darralu. Nazywam się Farnstal i zwykle to ja witam wszystkich nieznajomych, bo już taki ze mnie wścibski staruszek. Dalej jest zajazd, w którym będziecie mogli się zatrzymać, dopóki czegoś sobie nie znajdziecie na stałe. A jaki masz fach, Darralu?

- Jestem kamieniarzem spod Sultrun. Zajmowałem się robieniem nagrobków, ale to ponure zajęcie, więc postanowiłem znaleźć sobie coś weselszego.

- Jeśli potrafisz sobie radzić z młotem i dłutem, przybyłeś we właściwe miejsce, Darralu. W tych stronach mężczyźni wydobywają kamienne bloki z tamtej góry. Zaczęli trzy tygodnie temu i będą to jeszcze robić przez kilka miesięcy, nim skończą. Pojedźmy do zajazdu.

Darral poradził sobie bardzo dobrze. Jego bezpośredni sposób bycia pozwolił nam bez trudu wśliznąć się do społeczności Annath. Zauważyliście również zapewne, że mało precyzyjnie określił miejsce naszego pochodzenia. Właściwie nie skłamał. Medalia i Sulturn nie są zbytnio od siebie oddalone - około dziewięćdziesięciu mil - więc można powiedzieć, że Darral tylko o dziewięćdziesiąt mil rozminął się z prawdą.

Pojechaliśmy do małego zajazdu, a za nami podążyli prawie wszyscy mieszkańcy miasteczka. W małych miasteczkach zwykle tak bywa. Wynajęliśmy pokoje, a kilku miejscowych chłopaków pomogło Darralowi wyprzęgnąć konie. Kobiety, oczywiście, skupiły się wokół mnie i Alary, a miejscowe dzieci niemal lanychmiast obstały Gerana. Nim słońce zaszło, nie byliśmy już nieznajomymi. Góra, na której znajdowały się miejscowe kamieniołomy, nie należała do nikogo, więc mieszkańcy miasteczka stworzyli rodzaj spółdzielni opartej na równych udziałach, by wydobywać granit z tej strony zbocza.

- Pewien kamieniarz z Muros przyjeżdża co jesień, aby od nas odbierać urobek - opowiadał Darralowi larnstal. - Dlatego nie musimy budować wozów i hodować wołów, które zaciągnęłyby kamienie w bardziej cywilizowane miejsca. Nie lubie wołów.

- Wiem, ja czuję to samo - przyznał Darral. - Natomiast lubię wołowinę.

- W tym się z tobą zgadzam.

Następnego ranka Darral zabrał narzędzia do kamieniołomu i zaczął wycinać kamienne bloki, jakby zawsze tu mieszkał, a kobiety zabrały mnie i Aralę na górny koniec jedynej ulicy miasteczka i pokazały pusty, prawie zrujnowany dom.

- Do kogo należy? - zapytałam pulchną śmieszkę o imieniu Elna.

- Zapewne do tego, kto wprowadzi się i naprawi dach - odparła Elna. - Właściciel wraz z całą rodziną zmarł na ospę dziesięć lat temu i od tamtej pory dom stoi pusty.

- Do nikogo nie należy, Pol - zapewnia mnie inna z kobiet. - Mieszkam po sąsiedzku i ten dom strasznie kłuje w oczy. Prosiłyśmy nawet mężczyzn, aby go zburzyli, ale wiesz, jacy oni są. Obiecali zabrać się za to... pewnego dnia.

- Nie możemy tak po prostu się wprowadzić - zaprotestowała Alara.

- Czemu nie? - zapytała Elna. - Potrzebny wam dom, a nam potrzebni sąsiedzi. Odpowiedź stoi i porasta mchem. - Popatrzyła po innych kobietach. - Porozmawiajmy z mężczyznami dziś wieczorem, moje panie. Jeśli Alara chce oficjalnego pozwolenia na wprowadzenie się, to powiedzmy naszym mężom, żeby zrobili głosowanie w tej sprawie, i dajmy do zrozumienia, że przejdą na dietę z wrzątku, jeśli źle zagłosują.

Wszystkie się roześmiały. Nigdy nie lekceważcie siły kobiet rządzących w kuchni.

Ponieważ latem wieczory są długie, tylko tydzień zajęło Darralowi i pozostałym mężczyznom naprawienie dachu, drzwi i okien. Potem kobiety pomogły mnie i Alarze w sprzątanii i wszystko było gotowe. Mieliśmy dom. Nie wiem, czy kiedykolwiek znałam miasto tak przyjazne jak Annath. Każdy spieszył nam z pomocą w urządzeniu się, wpadając zawsze niby tylko z wizytą. Oczywiście główną tego przyczyną była izolacja tego miejsca i głód wieści - jakichkolwiek wieści - ze świata. Potem Darral przypadkiem wspomniał, że jestem lekarzem, i miejsce w społeczności Annath mieliśmy już zapewnione. Nigdy przedtem nie było lekarza w tym miasteczku, więc teraz jego mieszkańcy mogli sobie chorować do woli bez obawy, że nie przełkną domowego lekarstwa. Wiele z domowych środków nawet działa, bez względu na to jednak, czy działają, czy nie, jedno mają wspólne: paskudny smak. Nigdy nie zrozumiałam, skąd wzięło się powiedzenie: „Jeśli źle smakuje, to jest dobre”. Niektóre z moich specyfików są nawet bardzo smaczne. Nie interesowałam się zbytnio kamieniarzem, który przybył z Muros tej jesieni wraz z długim łańcuchem wozów. Zachowywał się tak, jakby wyświadczał nam przysługę, zabierając nasze kamienne bloki. Miałam już okazję poznać wielu ludzi interesu i wiedziałam, że żaden z nich nic nie zrobi, dopóki mu się to nie będzie opłacać. Ten przyjechał z wyrazem znużenia na twarzy i z szyderczą miną otaksował

stos bloków leżących u wylotu kamieniołomu. Potem złożył swoją ofertę z nutą ostateczności w głosie. Darral, który sam dotrże znał się na prowadzeniu interesów, był na tyle mądry, by trzymać język za zębami, dopóki tamten nie wyjechał z miasta.

- Czy zawsze tyle wan proponuje? - zapytał innych mieszkańców miasteczka.

- Tyle zwykle płaci, Dyralu - odparł Farnstal. - Wydawało nam się to trochę mało, gdy pierwszy raz przyjechał tutaj, ale on zaczął mówić o kosztach przewiezienia kamieni do Muros, a potem powiedział, że może je zabrać albo zostawić, a że nie było innych kupców pod ręką, przystaliśmy na cenę. Zdaje się, że toczy się to już siłą przyzwyczajenia.

- Kupowałem już granit, Farnstalu, i nie taką płaciłem cenę. - Darral popatrzył w sufit. - Czy zimą też wydobywamy kamień?

- To nie byłby najlepszy pomysł, Darralu. Nad kamieniołomem gromadzą się wielkie zaspy śniegu i mocniejsze kichnięcie wystarczy, by to wszystko spadło.

- Zatem gdy nadejdzie zima, wybiorę się na nizinę i trochę rozpytam o ceny granitu - powiedział Darrel. - Wydobywamy tu bardzo dobry kamień. Czy inne zbocza są tej samej jakości?

- Jest pokład łupków w pobliżu szczytu południowej ściany - zagrział swym donośnym głosem inny kamieniarz, Wilg. - Niewiele ich wydobywamy, bo szkoda czasu, ale człowiek z Muros jest tak dobry, że łupek od nas zabiera.

- Tak, z pewnością - powiedział kpiąco Darral. - I nawet nie obciąża was kosztami transportu?

- Nie bierze za to nawet grosza.

- Jaki wielkoduszny! Zabiorę w podróż próbkę naszego granitu i tego łupka. Popytam o ceny. Może w następnym roku zjawi się więcej niż jeden kupiec na nasz kamień. Odrobina konkurencji może nauczyć człowieka z Muros, że uczciwość wobec ludzi popłaca.

- Myślisz, że oszukiwał nas na cenie granitu? - zagrział złowieszko Wilg.

- Nie chodzi tylko o granit, Wilgu. Byłeś w jakimś większym mieście?

- Raz w Medalii.

- I czym jest kryta większość dachów?

- Chyba łupkiem... - Wilg umilkł nagle, jego oczy najpierw rozszerzył się, a potem niebezpiecznie zwężyły. - Oddawaliśmy mu cały łupek za darmo, a on po powrocie do Muros go sprzedawał, tak?

- Tak to wygląda - odparł Darral. i

- Ciekaw jestem, czy mógłbym go jeszcze dogonić - mruknął ponuro Wilg, zaciskając swe ogromne pięści.

- Ile martw się, Wilgu - poradził mu Farnstal. - Od lat już obdziera as ze skóry, więc mogę ci zagwarantować, że przyjedzie następnej jesieni. Wtedy spuścimy mu lanie. - Spojrzał spod oka na mego siostrzeńca. - Pożyteczny z ciebie gość, Darralu - powiedział. - Za długo siedzieliśmy zamknięci w tych górach, więc zapomnieliśmy już, jak zachowują się kulturalni ludzie. - Pokręcił posępnie głową. - Zdaje się, że uczciwość nie jest już w modzie w cywilizowanym świecie. Ale jedo mogę powiedzieć na pewno.

- Co takiego?

- Następnego roku pewien gość z Muros odbierze szybką lekcję uczciwoci. Gdy Wilg go przytrzyma, a ja poskaczę na jego brzuchu przez godzinę, to zrobi się taki uczciwy, że niedobrze się będzie robiło na jego widok.

- Nie mogę się doczekać - rzekł Darral z ssrokiem uśmiechem. Darral rzeczywiście objechał miasta północnej Sendarii tej zimy, a następnego lata miejscowy zajazd pękał w szwach od chętnych do kupienia naszego kamienia. Pomimo mych sprzeciwów mój siostrzeniec został przez aklamację wybrany do prowadzenia negocjacji i nagle Annath zaczęło tonąć w pieniądzech. Nasz granit okazał się doskonałej jakości, a łupek, który miejscowi tak lekceważyli, wcale nie był gorszy. Darral znalazł prosty sposób na pogodzenie nowych kupców. Przeprowadził aukcję. Wszyscy kupcy odjechali bardzo zadowoleni, a ich wozy aż jęczały pod ciężarem zakupionego kamienia. Tego roku człowiek z Muros przyjechał później, więc ominęła go cała zabawa.

- Gdzie jest granit? - zapytał z wyrzutem.

- Obawiam się, że nic dla ciebie nie mamy, przyjacielu - powiedział uprzejmie Darral.

- Jak to?! - Głos handlarza zrobił się ostry. - Czy wszyscy mężczyźni w miasteczku zaczęli leniuchować? Czemu mnie nie powiadomiliście, że nie macie kamienia? Nadaremnie przyjechaem. To was będzie kosztowało w przyszłym roku. A może nawet w ogóle nie przyjadę.

- Będzie nam ciebie brakowało - mruknął Daral. - Nie za bardzo, ale będzie nam ciebie brakowało. Teraz w Anndi jest nowy obyczaj, przyjacielu. Od tego roku przeprowadzamy aukcję.

- A komu chciałoby się przyjeżdżać aż tak daleko po trzeciorzędny kamień?

- Było ich kilkunastu, prawda? - zapytał Darryl innych kamieniarzy. - Straciłem rachubę w czasie aukcji.

- Nie możecie mi tego zrobić! - krzyknął handlarz z Muros. - Mamy umowę. Mogę was zaskarżyć!

- Jaką umowę?

- To była ustna umowa.
- Tak? Z kim ją zawarłeś?
- Z Merlo.

Wszyscy wybuchli śmiechem.

- Merlo nie żyje od pięciu lat - powiedział jeden z kamieniarzy. - A gdy umierał, miał dziewięćdziesiąt cztery lata. Merlo za kufel piwa każdemu powiedziałby, co zechce usłyszeć. Był marnym pijaczyną, jego słowu nikt nie dawał wiary. Chcesz nas skarżyć? Proszę bardzo! Zyskasz szybką lekcję prawdziwego szalbierstwa. Nic od nas nie dostaniesz, ale prawnik cię zapewne oskubie.

W oczach handlarza pojawiła się desperacja.

- A co z tym bezwartościowym łupkiem, który wam wywoziłem? - Zapytał. - Zabiorę go, jeśli nie macie nic innego. - Zmrużył przebiegle oczy. - Ale będziecie musieli zapłacić za jego wywiezienie. Poprzednio robiłem to tylko z przyjaciółmi.

Z tym łupkiem to zabawna historia - powiedział Darral. - Człowiek z Darine obejrzał go i przebił wszystkich innych. Za łupkę dostaliśmy tyle co za granit. Czyż to nie dziwne? Przy okazji, moi sąsiedzi chcieliby sobie uciąć z tobą pogawędkę. - Obejrzał się na innych.

- Cktoś widział Wilga i starego Farnstala?

Chyba czekają na drodze na północ od miasteczka, Darralu

- Odparł jeden z pracowników kamieniołomów z chytrym uśmiechem. Pewnie chcą porozmawiać na osobności z naszym przyjacielem.

Nie słyszeliśmy ani Wilga, ani Farnstala, gdy rozmawiali z człowiekiem z Muros, ale jego słyszeliśmy. Słyszano go chyba aż w Muros.

- Czy zrobił się już uczciwy? - zapytał Darral uśmiechniętych łobuzersko dwóch „negocjatorów”, gdy wrócili do miasteczka.

- Jest teraz uczciwy jak nowonarodzony baranek - odparł Farnstal - Może za sprawą tego, że w połowie naszej dyskusji zrobił się bardzo religijny.

- Religijny?
- Okrutnie dużo się modlił pod koniec, prawda, Wilgu?
- Tak, to wyglądało na modlitwę - przyznał Wilg.

Tego wieczoru świętowaliśmy jeszcze dłużej i weselej niż po zakończeniu aukcji. Pieniądze to miła rzecz, ale czasem jeszcze milej wyrównać rachunki. Darral stał się bohaterem Annath i nasza pozycja była teraz ugruntowana na dobre. Nie myślę, abym przez te wszystkie lata czuła się bardziej bezpieczna. Mówiąc obrazowo, nareszcie znalazłam „swoją grotę w górach”.

W 3380 roku, gdy już od czterech lat byliśmy w Annath, matka odezwała się do mnie:

- Będziesz musiała wrócić do Nyissy, Pol.

- Znowu? - burknęłam. - Myślałam, że wszystko tam załatwiłam.

- Następna Sałmissra zasiadła na tronie i Angarakowie od nowa knują.

- Chyba polecę do Rak Cthol i zamienię Ctuchika w ropuchę - mruknęłam ponuro.

- To nie Ctuchik. Tym razem to znowu Zedar. Zdaje się, że Ctuchik i Zedar prowadzą jakąś niejasną rozgrywkę, wygra ten, który podburzy Sałmissrę.

- Ale nuda. Wezwę ojca, aby mnie zastąpił tutaj. Potem pospieszę do Nyissy i załatwię to raz na zawsze.

Nie byłam zbyt uprzejma dla ojca, gdy przyjechał. Zbyłam jego protesty, odmówiłam odpowiedzi i stanowczy tonem wyjaśniłam mu, co ma robić. Chyba byłam trochę zbyt obcesowa. W moim głosie za bardzo pobrzmiwały tony rozkazów „Siad!”, „Waruj!”.

Po dotarciu do Sthiss Tor nie zwracałam sobie głowy nietoperzami ani innym przebraniem. U pałacowych wrót oznajmiłam, kim jestem, i powiedziałam, że chcę się zobaczyć z Sałmissrą. Kilku eunuchów próbowało mi zagrozić drogę, ale dali spokój, gdy zaczęłam ich przemieszczać w różne strony. Jedni znaleźli się na krokwiach pod sufitem, inni w okolicznej dżungli – niezmiernie zdziwieni, jak się tam dostali. Potem przybrałam postać ogra, która tak mi się przydała na drodze południowej Sendarii kilka tysięcy temu, i nagle zostałam sama na korytarzu wiodącym do sali tronowej Sałmissry. Wróciłam do własnej postaci i weszłam do środka. Zedar był z obecną Sałmissrą. Wyglądał okropnie, wymizerowany, w zniszczonym ubraniu, wzrok miał błędny. Pięć wieków, które spędził w grocie, pilnując swego mistrza, nie wyszło mu na dobre. Spojrzał na mnie zdumiony.

- Polgarda?! - wykrzyknął. Ktoś najwyraźniej mu mnie opisał. - To naprawdę ty?

- Cudownie cię znowu widzieć – skłamałam - A kto pilnuje zwłok Toraka? Może Ctuchik?

- Nie gadaj głupot. - Zmarszczył czoło i uniósł pytająco brew. - Znasz mnie? Czy myśmy się kiedykolwiek spotkali.

- Nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawić stary, ale miałam przywilej - jeśli to właściwe słowo - być obecną przy twojej rozmowie z Jednookim pod Vo Mimbre.

- To niemożliwe! Nie wyczułem twojej obecności.

- Rzeczywiście, nie wyczułem. Pewnie nie wiesz jak to zrobić. Twój mistrz nie wyuczył cię dostatecznie. Możemy przejść do sprawy? Jestem zbyt zajęta, nie mogę co pokolenie przybywać na te cuchnące błota, by prostować sprawy. - Potem spojrzałam wprost na królową Wężowego Ludu. Oczywiście bardzo przypominała Sally, ale były pewne różnice. Nie było w

niej śladu przymilnej czułości Sally. Ta Salmisra była zimna, twarda jak stal. - Nie będę marnować czasu, Salmisro. Wiesz, co z tobą zrobię, jeśli będziesz mieszać się do spraw Pogromcy Boga, prawda? Masz swoje własne sposoby na wejrzenie w przyszłość, więc dobrze wiesz, co się stanie. Królowa przymrużyła oczy w szparki.

- Groźby, Polgardo? Grozisz mi w mej własnej sali tronowej?

- To nie groźba, Salmisro. To przedstawienie faktów. Gdy mnie następnym razem zobaczysz, tak się właśnie stanie.

- Issa mnie obroni.

- Jeśli właśnie się obudzi, co jest mało prawdopodobne. Pragniesz nieśmiertelności, Salmisro. Mogę ci to załatwić. Nie spodoba ci się ta za bardzo, ale mogę sprawić, abyś żyła wiecznie. Choć zapewne nie będziesz chciała oglądać się w lustrze. Zedar i Ctuchik, a może nawet Urvon - wciąż będą mieć cię Torakiem, dopóki się nie zestarzejesz, ale ja bym im nie wierzyła, moja droga. Torak kocha tylko siebie. W jego sercu nie ma miejsca na nikogo innego, oczywiście z wyjątkiem mnie. A jeśli się nad tym głębiej zastanowić, to nawet mnie nie kocha. Chce jedynie mnie zdobyć i sprawić, bym oddawała mu hołd. Dlatego przegrał pod Vo Mimbre. - Uśmiechnęłam się do Zedara. - Czyż nie tak właśnie było, Zedarze? Torak doskonale wiedział, że nie powinien wyjść w pole trzeciego dnia, prawda? Ale wyszedł. Teraz leży w grocie w Cthol Murgos jak trup. Związałeś się z ułomnym, Zedarze, i w końcu będziesz musiał ponieść tego konsekwencje.

Potam, zupełnie nagle, miałam wizję. Dokładnie zobaczyłam, jaki los czeka brata mego ojca. Był zbyt straszliwy, by o nim myśleć. W tej samej chwili zrozumiałam, że Zedar znajdzie i dostarczy nam tego, który zastąpi ludzkości Toraka. W końcu zrozumiałam absolutną konieczność istnienia Zedara. Ofiaruje ludzkości największy skarb, jaki kiedykolwiek otrzymała, a w zamian zostanie pogrzebany żywcem. Myślę, że Zedar również pochwycił przeblysłk tej wizji, ponieważ bardzo pobladał.

Spojrzałam ponownie na królową Wężowego Ludu.

- Przyjmij moją radę, Salmisro. Nie daj się wciągnąć Ctuchikowi ani Zedarowi w żadne gierki. Choćby nie wiem co obiecywali, nie mogą zajewnić ci uczucia Toraka. Oni nie mają na Toraka wpływu. Jest zupełnie na odwrót, co więcej, Torak nawet nie lubi swych uczniów. Zedar przekonał się o tym pod Vo Mimbre, prawda, Zedarze? Mogłeś zniknąć, rozwiązać się w powietrzu niczym smuga dymu, bo złamałeś zasady, ale to Toraka nie martwiło, prawda? Wyrzekłeś się miłości jednego boga dla obojętności drugiego. Bardzo marny wybór, stary.

Na jego twarzy pojawił się wyraz przemożnego żalu pomieszanego z absolutną bezradnością. Niemal zrobiło mi się wstyd.

- Miło było z wami porozmawiać - powiedziałam. - Mam nadzieję, że sprawa się wyjaśniła. Teraz oboje rozumiecie, co zrobię z wami, jeśli nadal będziecie się mieszać do nie swoich spraw. Niech rada ma wam za przewodnika będzie, szlachetni, albowiem jeśli nie poprzestaniecie, następne nasze spotkanie miłe nie będzie.

Tak sobie to rzuciłam. Pomyślałam, że to ładnie, archaicznie brzmi. Najwyraźniej mam coś z natury ojca, ponieważ często odczuwani pociąg do melodramatyizmu. Może to dziedziczna skaza.

Potem opuściłam Sthiss Tor, ale nie wróciłam od razu do Annath. Kilka tygodni spędziłam w górach Tolnedry, zastanawiając się nad tą nagłą wizją, którą miałam w sali tronowej Salmissy. Wiedziałam, że Zedar będzie tym, który odnajdzie Erionda, choć wówczas jeszcze imienia Erionda nie znałam. Zaczynałam wyczuwać silny zapach „manipulowania”. Spotykałam się z czymś takim już poprzednio i wiedziałam, że „manipulowanie” matki ma inny zapach niż ULa. Tym razem zapach był jednak całkiem inny. Nie poznawałam go i to mnie nieco denerwowało. Nowy gracz najwyraźniej włączył się do gry. Teraz oczywiście go poznaję. W końcu powinnam, skoro wychowałam tego nowego gracza w tej właśnie chatce.

Pewnego dnia muszę o tym z Eriondem porozmawiać. Chyba będę chciała dotrzeć do sedna tych przelotnych wizyt. Jeśli miały ważny powód, to wszystko w porządku, ale jeśli to było tylko dla zabawy, ktoś się nieźle ode mnie nasłucha.

Byłam również bardzo niezadowolona z tego, co najwyraźniej będę musiała uczynić Salmisrze. Obie wiedziałyśmy, że to się stanie, ale najwyraźniej ktoś ją przekonał, że nie będę w stanie tego zrobić. Moją jedyną pocięgą było, że gdy przyzwyczai się do myśli o tym, to nie będzie aż taka nieszczęśliwa. Nyissa jest o wiele lepsza z nią, w jej obecnej postaci, na tronie. Rozważałam to na wszelkie sposoby, ale nic nie mogłam zrobić, aby zapobiec dopełnieniu się przeznaczenia. W końcu dałam za wygraną i wróciłam do Annath.

oczywiście ojciec zrzędził, ale nie przejęłam się tym zbyt, ponieważ już wiedziałam większość z tego, co usiłował mi powiedzieć.

Zima minęła. Ojciec powędrował rozejrzeć się po świecie, bo ponownie odezwał się w nim duch włóczęgi. Mogłam Staremu Wilkowi powiedzieć, że wszystko nadal jest na swoim miejscu, ale on musiał się o tym przekonać na własne oczy.

Ja wybrałam się do Algarii i nawiązałam kontakty z klanem, w którym już przyszła na świat Udera, dziewczynka przeznaczona na żonę Gerana. Odbyłam rozmowę z jej ojcem, wodzem klanu. W połowie lata zabrał swe stada i osiadł przy granicy, naprzeciwko Annath. Słowo „granica” niewiele tam znaczy. Jeśli wokół siebie widzisz drzewa to jesteś w Sendarii,

jeśli trawę, to jesteś w Algarii. Oczywiście składano sobie wizyty przez tę nieuchwytną linię demarkacyjną i w końcu Geran, który miał dziewięć lat, spotkał siedmioletnią Uderę. Nie było mnie przy tym, ale pomimo to usłyszałam ów dzwon. Wszystko toczyło się zgodnie z planem.

Kiedy Geran skończył dwanaście lat, ojciec zaczął zabierać go do kamieniołomu na naukę. Początkowo jak zwykle były siniaki, ból, odciski, z czasem mięśnie chłopca stwardniały, a on sam nabrał większej oprawy w rodzinnym rzemiośle. Życie w Annath płynęło spokojnie. Mieszkańcy zapadłej górskiej wioski w Sendarii zwykle nie byli nawet świadomi tego, kto był aktualnie ich królem, a śmierć krowy omawiano tam przez rok. Potem, w 5345 roku, do Annath przybył ojciec i bliźniaki.

- Ruszamy w podróż, Pol - powiedział ojciec. - Beltira i Belkira zastąpią cię, a w tym czasie poznasz pewnych ludzi, o których czytaliśmy w Kodeksie Mrińskim przez ostatnie trzy tysiące lat.

Nie protestowałam. Miałam już trochę dość sielskiej izolacji. Przekroczyliśmy granicę z Algarią i spotkałam się z chłopcem o ponurym obliczu, Hettarem.

- Wydaje mi się, że z nim będziemy mieć problemy, ojczu - prorokowałam, gdy wyjechaliśmy z obozu Cho-Rama.

- Całkiem możliwe, Pol - przyznał.

- Pewnie trzeba go będzie przykuć do pala, gdy podrośnie. Nie przepadam za Murgami, ale Hettar jest o krok od uczynienia z nienawiści do nich religijnego nakazu.

- Murgowie zabili jego rodziców, Pol.

- Tak. Powiedział mi o tym. Ale pewnego dnia on zostanie królem Algarów i ta jego paląca nienawiść może nam przysporzyć kłopotów.

- Poradzę sobie z nim, Pol.

- Oczywiście, że sobie poradzisz - odparłam. - Dokąd wybieramy się teraz?

- Do Boktoru. Trzymaj nerwy na wodzy. Książę Kheldar to bardzo przebiegły młody człowiek.

- On ma dopiero dziesięć lat, ojczu.

- Wiem, ale już potrafi mnie zadziwić.

Kheldar był czarujący, wyjątkowo uprzejmy i całkowicie pozbawiony skrupułów. O dziwo, nawet go polubiłam. Potem udaliśmy się do Trelheim w Chereku, by spotkać się z Barakiem i jego kuzynem, następcą tronu, Anhegiem. Na ich widok naszło mnie dziwne uczucie. Wydawało mi się, że Anrak, kuzyn Rivy, powrócił, by mnie prześladować. Barak i Anheg byli Cherekami z krwi i kości, a wiecie, co to oznacza. Obaj byli wyjątkowo

inteligentni. Choć udawało im się to dobrze ukrywać. Zrobiła się już późna jesień i wróciliśmy z ojcem do Annath.

- Z innymi możemy porozmawiać następnego lata, Pol - powiedział. - Chciałem, abyś najpierw poznała Alornów. Oni najprawdopodobniej przysporzą nam kłopotów.

- Myślałam, że lubisz Alornów, ojczu.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Spędzasz z nimi wiele czasu.

- Muszę spędzać z nimi czas, Pol. Każdy Alorn to chodząca katastrofa. Pięć tysięcy lat temu Mistrz kazał mi uważać na Alornów i okazało się to zajęciem bardzo czasochłonnym. Kazał mi to robić, więc robię, ale tego nie lubię.

- Poczciwina z ciebie, ojczu.

Następnej wiosny usłyszałam głos matki.

- Czas, byś wróciła do szkoły, Pol - oznajmiła mi.

- Słucham?

- Będiesz musiała nauczyć się igrania z ludzką pamięcią.

- Czy możesz bardziej precyzyjnie określić owo „igrać”, mamu?

- Chcę, abyś poćwiczyła zmuszanie ludzi do zapominania pewnych spraw, tak jak to robiłaś, gdy zaczynałyśmy twoją naukę, a potem nauczysz się, jak zastępować te wspomnienia wyobrażeniami spraw, które nigdy nie miały miejsca.

- Czy naprawdę potrafimy coś takiego?

- Tak, potrafimy. Ludzie robią to samym sobie cały czas. To sposób na zmianę rzeczywistości. W pamięci wędkarza ryba, której nie zdołał złapać, z upływem czasu rośnie coraz bardziej.

- Wiem, sama to zauważyłam. Jak mam się za to zabrać?

Jej wyjaśnienia były dość zawiłe, dotyczyły osobliwości ludzkiej pamięci. Jeśli dobrze się temu przyjrzeć, to tylko połowa z tego, co pamiętamy, wydarzyła się naprawdę. Zmieniamy wspomnienia, aby lepiej wyglądać we własnych oczach i oczach innych. Jeśli zaś to, co uczyniliśmy, nie było zbyt godne pochwały, łatwo zapominamy, że kiedykolwiek się wydarzyło. Ludzkie poczucie rzeczywistości jest w najlepszym razie bardzo słabe. Nasze wyimaginowane życie jest zwykle o wiele miłsze. W ramach ćwiczeń manipulowałam, bardzo ostrożnie, ze wspomnieniami pewnych ludzi z Annath i zwykle nie było to trudne.

- Po co się tego uczę, mamu? - zapytałam po kilku tygodniach.

- Kodeks Mriński wspomina dość oględnie o pewnych ludziach. Lepiej się im przyjrzeć i upewnić się, że rzeczywiście będą po naszej stronie.

- Wszyscy z Królestw Zachodu będą po naszej stronie, mamó.
- W tym rzecz, Pol. Ci ludzie nie są z zachodu. Oni żyją w Gar og Nadrak.

ROZDZIAŁ

TRZYDZIESTY ÓSMY

- Nie pokażę się w tym publicznie, mamó!
- Wyglądasz bardzo ładnie, Pol. Ten strój podkreśla twoją figurę.
- To samo osiągnę, niczego na siebie nie wkładając! Nie pokażę się ludziom w czymś, co opina mnie jak druga skóra!

- Czegoś tu jednak brakuje.
- Zauważyłaś. Ale jesteś spostrzegawcza!
- Bądź miłsza. Już wiem. Zapomniałam o sztyletach.
- Sztylety?
- Zwykle cztery, dwa za pasem i po jednym wetkniętym za cholewki butów.
- Po co mi aż tyle sztyletów?

- To nadracki zwyczaj, Pol. W ten sposób nadrackie kobiety dają do zrozumienia mężczyznom, że patrzeć mogą do woli, ale ręce powinni trzymać przy sobie.

Bliźniaki zastąpili mnie w Annath aż do przybycia ojca, a mama w lesie urządziła mi szkolenie na temat osobliwości zwyczajów i strojów nadrackich. Ubranie, w które mnie wystroiła, składało się z wysokich czarnych butów, dopasowanych czarnych skórzanych spodni i jeszcze bardziej dopasowanej czarnej skórzanej kamizelki. Ten prosty strój mógłby się wydawać bardzo męski, ale gdy go na siebie włożyłam, zrozumiałam, że nikt nie będzie miał wątpliwości co do mojej płci. Natychmiast pojęłam również, dlaczego nadrackie kobiety potrzebują sztyletów - wielu sztyletów.

- Czy Nadrakowie rozumieją, co oznaczają sztylety? - zapytałam.
- Zwykle... jeśli są trzeźwi. Często jednak bywają w wesołym nastroju i trzeba im to i owo przypominać. Kilka ran zwykle przywołuje ich do porządku.

- Próbujesz być dowcipna?
- Gdzieżby tam!

Zażyczyłam sobie pojawienia się ulgoskich noży. Jeśli chcecie kogoś zastraszyć, pokażcie mu ulgoski nóż. Widok zakrzywionego, poząbkowanego ostrza zwykle przyprawia ludzi o lekkie mdłości.

- One są straszne, Pol!
- A nie o to chodziło? Chcę mieć pewność, że nikt nie upije się na tyle w mej obecności, by próbować awansów.

- Zdajesz sobie sprawę, że one obniżą twoją cenę?

- Cenę?

- Kobiety Nadraków są własnością, Pol. Wszyscy o tym wiedzą.

- Ach, tak. Czy jeszcze o czymś zapomniałaś mi powiedzieć?

- Będziesz musiała nosić obrożę gustownie ozdobioną drogocennymi kamieniami, jeśli będziesz odpowiednio kosztowna. Nie przejmuj się łańcuchem. Kobiety Nadraków przyczepiają go do obroży tylko przy oficjalnych okazjach. Zatrzymamy się gdzieś w drodze do YarNadrak, abyś mogła przyjrzeć się tańcowi nadrackich kobiet. Musisz się tego nauczyć.

- Umiem już tańczyć, matko.

- Nie tak, jak robią to w Gar og Nadrak. Nadracka kobieta swym tańcem prowokuje każdego mężczyznę na sali. Dlatego niezbędne jej te sztylety.

- Po co zatem tańczy, skoro to wywołuje tego rodzaju problemy?

- Zapewne ją to bawi, Pol. Lubi doprowadzać mężczyzn do szaleństwa.

Zdałam sobie sprawę, że nadrackie kobiety w konkurencji łamania serc doszły do absolutnej skrajności. Ta podróż mogła być bardzo interesująca.

Potem przybrałyśmy z matką postać sokoła i poleciałyśmy na północny wschód, do kraju Nadraków. Dwaj mężczyźni, których szukaliśmy, mieszkali w stolicy, Yar Nadrak, ale matka zaproponowała, abyśmy zatrzymały się w bezimiennej osadzie w nieprzebytych lasach Gar og Nadrak, aby przyjrzeć się występowi nadrackiej tancerki, Ayalli.

Z osady biła byle jakość, tak typowa dla Gar og Nadrak. Domy były zbudowane z bali i płótna. Żaden z nich nawet w przybliżeniu nie trzymał kątów i pionów. Były krzywe i koślawe, ale to nie przeszkadzało traperom i poszukiwaczom złota, którzy od czasu do czasu przybywali tu z lasu, gdy stęsknili się za cywilizacją. Przeleciałyśmy z matką nad osadą i przysiadłyśmy na parapecie okna, wysoko na tylnej ścianie miejscowej oberży.

- Właściciel Ayalli nazywa się Kablek, Pol - powiedziała matka. - Do niego należy ta oberża, Ayalla zaś jest rodzajem zabezpieczenia dla jego interesów. Tańczy tu każdego wieczoru i to przyciąga klientów. Kablek bogaci się dzięki niej. Rozcieńcza piwo tak, że nawet nie chce się już pienić, i liczy sobie za nie ceny niebotyczne.

- Przypomina Tolnedranina.

- Tak, rzeczywiście, tyle że nie ma żadnej ogłady.

Tłum w oberży Kableka był bardzo hałaśliwy, ale porządku pilnowało kilku barczystych mężczyzn z solidnymi pałkami. Przerywali walki na noże, ale zezwalali bić się na pięści, chyba że uczestnicy zaczęli niszczyć meble. Kablek i jego pomocnik sprzedawali ogromne ilości piwa aż do późnego wieczora, a potem stali bywalcy zaczęli skandować:

„Ayalla, Ayalla, Ayalla!”, waląc pięściami w stoły i tupiąc. Kablek odczekał kilka minut, nalewając piwo wszystkim chętnym, po czym wdrapał się na długi kontuar i krzyknął:

- Ostatnia szansa, panowie! Chodźcie po piwo. W czasie tańca nie będziemy sprzedawać!

Goście przypuścili szturm na kontuar. Potem, gdy wszyscy mieli już pełne kufle, Kablek uniósł rękę, prosząc o ciszę.

- Oto rytm! - oznajmił i zaczął klaskać w dłonie, trzy wolne klaśnięcia, a potem cztery szybkie. - Nie pomylcie się, ludzie. Ayalla tego nie lubi, a potrafi naprawdę szybko sięgnąć po swoje noże.

Odpowiedział mu trochę nerwowy śmiech. Aktor zawsze lubi trzymać widzów w napięciu... ale nożami? Potem, z zawodowym dramatyzmem, w jasno oświetlonym wejściu pojawiła się Ayalla. Musiałam przyznać, że jest oszałamiająco piękna. Miała kruczoczarne włosy, błyszczące czarne oczy i zmysłowe usta. Była niewolnicą, ale nawet tolnedrański imperator nie dorównywał jej majestatem. Dosłownie brała w posiadanie wszystko, i wszystkich, na co spojrzała. Jej strój, jeśli coś tak zwiewnego można nazwać strojem, zrobiony był z jasnego, malloreńskiego jedwabnego szyfonu, który szeleścił przy każdym ruchu. Pozostawiał odsłonięte ramiona i kończył się tuż nad wysokimi butami z miękkiej skóry, z których wystawały rękojeści sztyletów.

Widownia przywitała ją gorąco, ale Ayalla sprawiała wrażenie nieco znudzonej. Wyraz jej twarzy uległ jednak zmianie, gdy goście zaczęli wybijać ten kuszący rytm. Zaczęła tańczyć wolno, jakby niewprawnie, ale potem przyspieszyła. Jej stopy zdawały się wprost migać, gdy wirowała wokół sali w takt przejmującego rytmu.

- Oddychaj, Pol! - usłyszałam głos matki. - Zaczynam widzieć plamy przed naszymi oczyma.

Uwolniłam wstrzymywany nieświadomie oddech. Występ Ayalli nawet mnie zauroczył.

- Ma talent, prawda? - powiedziałam.

Ayalla zwolniła taniec i znieruchomiła w wyzywającej pozie. Dłonie trzymała na rękojeściach sztyletów, jasno dając do zrozumienia, co zrobi z każdym, kto będzie na tyle głupi, by odpowiedzieć na prowokację.

Bogowie! To wyglądało na świetną zabawę!

- No i co, Pol? - zapytała matka. - Myślisz, że sobie dasz radę?

- To może wymagać pewnej praktyki - przyznałam. - Ale nie za długo. Dobrze wiem, co ona robi. Jest bardzo dumna z tego, że jest kobietą, prawda?

- W istocie.

- Oto właśnie chodzi w jej tańcu i z tym zdecydowanie dam sobie radę. Stawianie kroków nie jest w zasadzie ważne. Liczy się osobiste podejście do tego, co się robi, a ja mam swój własny punkt widzenia na te sprawy. Daj mi tydzień, mam, a będę lepszą tancerką od niej.

- Nie jesteś zbyt pewna siebie?

- Zaufaj mi. Dokąd teraz?

- Do stolicy. Będziesz musiała wybrać sobie właściciela, a potem zacniemy.

Większość z was zapewne nie zna osobliwości nadrackiego społeczeństwa. Kobiety są tu własnością, ale nie w tym samym sensie jak konie, buty czy wozy. Kobieta nadracka wybiera sobie właściciela, a jeśli jest niezadowolona z wybranka, może odwołać się do swych sztyletów, by przekonać go, aby sprzedał ją komuś, kogo bardziej lubi - i zawsze dostaje do ręki połowę swej ceny. Kobieta nadracka, która potrafi zadbać o swoje interesy, może zbić fortunę. Yar Nadrak to pełne moskitów, cuchnące smołą miasto zbudowane na podmokłym kawałku terenu ogniem wydartego lasom - i to są jego zalety. Nie było sensu dalej zwlekać, więc wróciłam do własnej postaci i przywdziałam strój ze skóry, który przygotowała mi matka. Dumnym krokiem minęłam bramę miasta, znad której spoglądała na mnie wypolerowana maska Toraka. Obecność tego okropnego symbolu prawdopodobnie przyczyniła się do późniejszych wypadków.

- Nie spiesz się tak, skarbie - powiedział podpity strażnik, chwytając mnie za ramię.

Postanowiłam z miejsca ustalić pewne zasady. Przewróciłam go, potem przy dusiłam do ziemi, jedno kolano wbijając mu w brzuch. Wyciągnęłam zza pasa ulgoski nóż i przysunęłam zębate ostrze do jego gardła.

- Jakie jest twoje ostatnie życzenie? - zapytałam.

- Co ty wyprawiasz?! - wycharczał.

- Szykuję się do poderżnięcia ci gardła - wyjaśniłam cierpliwie. - Dotknąłeś mnie, a nikt nie dotyka Polanny bezkarnie. Wszyscy o tym wiedzą. Weź się w garść. Nim się obejrzysz, będzie po wszystkim.

- To był przypadek! - pisał. - Nie chciałem cię dotknąć!

- Przykro mi. Nie wiedziałam. Trzeba było bardziej uważać.

- A zatem mi wybaczysz?

- Oczywiście, że ci wybaczę, głuptasku. Nadal muszę ci poderżnąć gardło, ale naprawdę jest mi przykro.

Co miałam teraz zrobić? Z pewnością na wszystkich wokół mnie zrobiło to piorunujące wrażenie, ale jak miałam się wycofać, nie zabijając tego głupca?

- Polanna! Zostaw go! - Głos był basowy, męski i zdawał się dochodzić gdzieś z tyłu. Jednak nikogo za mną nie było, a mówiący nie był mężczyzną. To matka pospieszyła mi z pomocą.

- Ale on mnie dotknął! - zaprotestowałam.

- Pomylił się. Daruj mu życie.

- Zostałam obrażona. Nie mogę tego puścić płazem.

- Nie mamy na to czasu, Polanno. Draśnij go lekko i przestań na tym. Odrobina krwi zmyje obrazę. Nie musisz napełniać nią rynsztoku z byle przypadku.

Dałam za wygraną. Zacięłam moją przerażoną ofiarę w brodę, wstałam i wsunęłam sztylet do pochwy. Potem wkroczyłam do miasta. Nikt chyba nawet nie zauważył, że byłam sama.

- Trochę przesadziłaś, Pol - powiedziała matka kwaśno.

- Nieco mnie poniosło.

- Polanna? Skąd wzięłaś to imię?

- Właśnie przyszło mi na myśl. Pomyślałam, że brzmi z nadracka.

- Z nadracka?!

- Daj spokój, mamó. Znajdźmy mi właściciela.

Nigdy przedtem nie szukałam sobie właściciela, a to niezupełnie to samo, co wyszukiwanie sobie pary butów czy porcji wołowiny. W końcu zdecydowałyśmy się na Gallaka, bogatego handlarza futrami. Był wystarczająco bogaty, by mieć konieczne kontakty i nie mieszkał w szopie. Jak większość Nadraków, był szczupły i miał przebiegłe oczy. Problem był jedynie w tym, że bardziej interesowały go pieniądze niż uroki życia, z kobietami włącznie. Z tego powodu trochę więcej wysiłku kosztowało nas umieszczenie w jego umyśle pewnych wspomnień, ale poradziłyśmy sobie, grając na jego chciwości. Roztoczyłyśmy w jego myślach wizję zysku, jaki osiągnie z odsprzedania mnie, i to wystarczyło.

Pewnej nocy wśliznęłam się do jego domu, porzrzucałam wokół trochę swoich drobiazgów, a jeden z jego zapasowych pokoi przerobiłam na swoją sypialnię. O świcie rozpałiłam pod kuchnią i zaczęłam przygotowywać śniadanie. Potem weszłam do jego sypialni.

- Śniadanie gotowe - powiedziałam. - Wstawaj. Gallak przeciągnął się i ziewnął.

- Dzień dobry, Polanno - powiedział jak gdyby nigdy nic. - Dobrze spałaś? - Wyraźnie pamiętał, że kupił mnie około sześciu tygodni temu w wiejskiej oberży. Na tyle długo byłam już obecna w jego myślach, że zdążył mnie poznać.

Zjadł śniadanie, pochwalił moją kuchnię, co w swoim mniemaniu czynił zawsze, gdy przyrządzałam mu posiłek. Potem sprawdził moją obrozę, upewniając się, że jest zamknięta, życzył mi miłego dnia i wyszedł do pracy. Stanowiłam teraz integralną część jego życia i skąd mógłby wiedzieć, że zobaczył mnie po raz pierwszy tego ranka.

- Zatem teraz - powiedziała matka po jego wyjściu - poszukamy człowieka o imieniu Yarblek. On będzie później dość ważny, więc warto go poznać.

- Nie mam całkowitej swobody poruszania się, mam - przypomniałam jej.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Jestem niewolnicą, mam. Nie mogę włóczyć się po ulicach.

- Nie rozumiesz jednego, Pol. Gallak jest twoim właścicielem, nie panem. Jesteś własnością, nie niewolnicą.

- A jaka to różnica?

- Wielka, Pol. Twoja obroza daje ci absolutną wolność. Jest dla każdego znakiem, że jeśli ci dokuczy, Gallak będzie musiał go zabić. Masz więcej wolności niż jako księżna Erat. Możesz chodzić, gdzie ci się podoba i nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty. Nadrackie kobiety są najbardziej wolne na świecie - pod tym względem ustępują tylko wilczycom.

- Cóż za fascynujący pogląd.

Yarblek miał dopiero piętnaście lat, a był już w Yar Nadrak dobrze znany, mimo to nie mogłam go znaleźć. Poszukiwania zawiodły mnie do najpodlejszych dzielnic miasta. Najwyraźniej wieść o wydarzeniu przy bramie już się rozeszła, ponieważ rozmaite podejrzone typki schodziły mi z drogi. Widocznie opis mojej osoby towarzyszył tym opowieściom, więc szubrawcy z Yar Nadrak natychmiast mnie rozpoznawali. Trudno jednak zdobyć informacje, gdy nikt nie chce z tobą rozmawiać, więc wybrałam jednego z łotrzyków i wskazałam palcem.

- Ty - powiedziałam rozkazująco - chodź tu.

- Ja nic nie zrobiłem! - zaprotestował.

- Nie powiedziałam, że zrobiłeś. Podejdź tutaj.

- Muszę?

- Tak. - Wskazałam ulicę przed sobą. - Tutaj - poleciłam mu. - Natychmiast.

- Tak, Polanno. W tej chwili. - Niemal pędem rzucił się przez ulicę, a gdy zatrzymał się we wskazanym przeze mnie miejscu, przezornie schował ręce za siebie, by uniknąć jakichkolwiek nieporozumień.

- Szukam Yarbleka. Znasz go?

- Każdy zna Yarbleka, Polanno.

- To dobrze. Gdzie go mogę znaleźć?

- Zwykle przesiaduje w Szczurzej Norze, to taka oberża w pobliżu wschodniej bramy. Jeśli go tam nie będzie, właściciel oberży powinien wiedzieć, gdzie go znaleźć.

- Dziękuję. Widzisz? Wcale nie bolało, prawda?

- Zdaje się, że nie krwawię... jeszcze. - Potem w jego oczach pojawił się błysk ciekawości. - Naprawdę pocięłaś strażnika tymi swoimi piłami, które nosisz zamiast noży?

- Oczywiście, że nie. Tylko go drasnęłam.

- Podejrzywałem, że to wyolbrzymili. Wcale mi nie wyglądasz na taką żądną krwi. - Potem mrugnął do mnie. - Nikomu o tym nie powiem. Sterroryzowałaś szubrawców z całej dzielnicy. Tym łotrom nogi trzęsą się na twój widok.

- Miły z ciebie chłopak - powiedziałam, klepiąc go po policzku. Potem ruszyłam błotnistą ulicą w kierunku wschodniej bramy miasta. Szczurza Nora pasowała do swej nazwy. Wszędzie było pełno pajęczyn, a podłodze bardziej przydałaby się szufla niż miotła. Podeszłam do chwiejnego, rozklekotanego kontuaru.

- Który z tych pijaczków nazywa się Yarblek? - zapytałam gościa po drugiej stronie szynkwasu.

- To tamten młodzik w kącie. Próbuje odespać wczorajsze pijaństwo. Masz zamiar go zabić?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Przecież cię poznaję, Polanno. Gadają, że zabijasz ludzi za samo spojrzenie na ciebie.

- Bzdura. Dzisiaj jeszcze nikogo nie zabiłam... jak na razie. A teraz wybac mi, muszę zamienić kilka słów z Yarblekiem.

Yarblekowi do obudzenia wystarczyła jedna trzeszcząca deska. Ręka śmignęła mu do sztyletu, nim jeszcze otworzył oczy. Potem spojrzął na mnie zuchwale.

- Siadaj, skarbie - zaprosił mnie, podsuwając nogą stołek. - Jesteś nowa, no nie? Chyba nie widziałem cię tu przedtem. Postawić ci coś do picia?

- Nie jesteś trochę za młody na przesiadywanie w oberżach, panie Yarbleku? - zapytałam, siadając na podsuniętym stolku.

- Ja nigdy nie byłem młody, skarbie. Już urodziłem się dorosły. Ssałem mocne piwo, a pierwszego człowieka zabiłem, jak miałem siedem lat. - I tak dalej, i dalej. Chełpił się tym, ile potrafi wypić, ilu ludzi zabił i ile kobiet nie potrafiło się mu oprzeć. Wcale się nie spodziewał, że uwierzę w te kłamstwa. Starał się raczej mnie zabawić. Był to nieokrzesany, zarozumiały wyrostek, ale wiele znaków wskazywało, że jest nieprzeciętnie przebiegły i jeśli nie popełni

jakichś poważniejszych głupstw, dożyje wieku dorosłego, a wówczas poradzi sobie z tym, co przeznaczone mu jest zrobić w przyszłości. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że w końcu zacznę robić interesy z księciem Kheldarem i stanie się najbogatszym człowiekiem na świecie. Po jakimś czasie jego przechwałki już mnie znudziły.

- Wyglądasz na zmęczonego, Yarbleku - zasugerowałam.

- Nigdy nie jestem zbyt zmęczony na rozmowę z piękną kobietą - powiedział, po czym powieki mu opadły i zaczął chrapać.

Zapewne to nawet nie było konieczne, biorąc pod uwagę jego stan, ale dla pewności wymazałam z jego pamięci wspomnienie tego spotkania - a także z pamięci człowieka za kontuarem.

- Mamo! - zawołałam w myślach, gdy opuściłam Szczurzą Norę.

- Słucham, Pol?

- Znalazłam Yarbleka. Jest jeszcze dość młody, ale bardzo obiecujący... jeśli dożyje.

- Wiem z bardzo dobrego źródła, że dożyje, Pol. Czy możemy mu zaufać?

- Zapewne nie powinnyśmy, ale spróbujmy.

- Zostaniemy tu jakiś czas. Będziesz mogła obserwować, jak sobie radzi.

- Kim jest ten drugi, z którym powinnam się spotkać?

- Nowy król, Drosta lek Thun.

- Jak bardzo nowy?

- Koronowano go w 5342 roku. Ma teraz dwadzieścia lat.

- Spodziewamy się pomocy od króla Angaraków?

- To nie ja podejmuję decyzje, Pol. Masz porozmawiać z królem Drosta i dociec, dlaczego zdecyduje się, być może, na zmianę stron.

- Trudno chyba będzie dostać się do jego pałacu.

- Myślę, że Gallak nam w tym pomoże.

- Porozmawiam z nim dziś wieczorem.

Prawdopodobnie o wiele trudniej było mi się przystosować do warunków życia w domu Gallaka niż jemu do mojej obecności. Musiałam ciągle pamiętać, że on jest przekonany, iż mieszkam pod jego dachem od sześciu tygodni.

- Jak ci minął dzień, Polanno? - zapytał uprzejmie przy kolacji.

- Jak zwykle - odparłam. - Byłam na bazarze i odwiedziłam kilka straganów. Nic jednak nie kupiłam.

- Potrzebujesz pieniędzy?

- Nie. Czy spotkałeś kiedyś króla Drostę?

- Kilka razy. Dlaczego pytasz?
- Z ciekawości. Jaki to człowiek?
- Młody. Może pewnego dnia dorośnie... mam nadzieję, że przed osiemdziesiątką.
- Nie rozumiem, co masz na myśli.
- Jego wysokość bardzo lubi kobiety - wyjaśnił Gallak z niesmakiem.
- Nie widzę w tym nic złego.

- Ale jedynie to zaprzęta mu myśli. Nasz król nie zwraca uwagi na nic innego. Wątpię, aby znał imiona swych doradców.

- Głupiec.

- On nie jest głupi, Polanno. Prawdę powiedziawszy, jest bardzo bystry, ile kobiety go opętały. Mózg przestaje mu zupełnie pracować, gdy kobieta zaczyna tańczyć. Nie zrozum mnie źle. Lubię dobry taniec jak każdy inny mężczyzna, ale Drosta zaczyna się ślinić, jeszcze zanim tancerka zrobi pierwszy gest, i ślini się naprawdę. To młodzieniec o paskudnym obejściu, a ślinienie wcale nie przydaje mu uroku. Wkrótce na tron w Drasni ma wstąpić nowy król i Drosta powinien skoncentrować się na renegocjacji umów handlowych, ale doradcy nie mogą wyciągnąć go z burdeli na dość długo, by spotkał się z drasiiańskimi posłami.

- Wstrząsające - mruknęłam.

- Też tak uważam. Czy możemy rozmawiać o czym innym? Już na samą myśl o tym rozpustniku cierpnie mi skóra.

To mi dało do myślenia i następnego ranka, gdy Gallak poszedł oszukić paru ludzi, rozpoczęłam ćwiczenia. Nie potrzebowałam pokoju pełnego mężczyzn, by wybijali mi tempo, ponieważ miałam je w swojej głowie. Rozsunęłam meble i jedną myślą całą ścianę zamieniłam w lustro. Potem zabrałam się do pracy. Obserwując taniec Ayalli zauważyłam, że kluczem do naprawdę znakomitego występu jest wyzywająca poza, nie kroki. Wczesnym popołudniem zaczęłam chwytac, o co chodzi.

Ćwiczyłam zawzięcie przez dwa tygodnie. Niektóre z ruchów w natrackich tańcach wprawiały mnie w zakłopotanie, wiedziałam, że będę musiała się przemóc, jeśli chciałam występować. O dziwo, stwierdziłam, że lepiej się czuję, ściskając w dłoniach sztylety. Potrafiłam wówczas przybierać pozy, o jakich Ayalla nigdy nie marzyła. Musułam jeszcze tylko przestać się rumienić. Mój taniec nawet dla mnie był szokujący i o to pewnie chodziło.

Zima przyszła i minęła, a Gallak i ja żyliśmy sobie spokojnie. On spędzał dni na oszukiwaniu klientów, ja ćwiczyłam taniec. Oczywiście, nie tańczyłam tylko dla przyjemności. Uwagi Gallaka o charakterze króla Drosty podpowiedziały mi doskonały

sposób na zbliżenie się do króla Nadraków. Na wiosnę wiedziałam, że jeśli Drosta obejrzy mój taniec, zaślini się cały, nim jeszcze dojdę do połowy występu. Gdy śniegi na ulicach Yar Nadrak topniały, zaczęłam wykazywać niepokój. Całą zimę byliśmy w pewnym sensie uwięzieni w domu, więc Gallak z ochotą zgodził się na odrobinę życia towarzyskiego.

Życie towarzyskie w Gar og Nadrak jest dość skromne, polega głównie na odwiedzaniu oberży. Nie przepadam za oberżami, ale tu chodziło o interesy. Przebrałam się przed wyjściem z domu. Zapewne mogłam wystąpić ubrana w skóry, ale nie wywarłabym wówczas takiego wrażenia. Usiedliśmy z Gallakiem przy stole w oberży Pod Odyńcem. Wypiłam nawet parę kufli owocowego w smaku, nadrackiego piwa. Prawdę powiedziawszy, byłam trochę zdenerwowana. Ludzie w oberży już sobie podpili i późnym wieczorem kobieta, będąca własnością konkurenta Gallaka w handlu futrami, została zachęcona przez swego właściciela do tańca. Właściciel oberży przyjął na siebie wybijanie tempa i kobieta zaczęła tańczyć. Nie mogła równać się z Ayalla, ale nie była zła. Jej występ zakończyły gromkie brawa. W myślach, nawet na niego nie patrząc, podjudziłam nieco mego właściciela.

- Moja Polanna potrafi lepiej tańczyć - oznajmił głośno.

- Cały Gallak - prychnął właściciel tancerki. - Zawsze musi być lepszy od innych.

- Załóż się z nim - szepnęłam do Gallaka.

- Naprawdę potrafisz tańczyć? - odszepnął z lekkim powątpiewaniem.

- Oczy ci wyjdą z orbit - zapewniłam go.

- A zatem spróbujemy. - Nie wydawał się jednak zbyt pewny. -Dobrze, Rasaku - odezwał się do swego konkurenta - chcesz się o to założyć? - Sięgnął do sakiewki. - Stawiam dziesięć sztuk złota, że Polanna jest lepsza od twojej Eyany. Nasi przyjaciele zdecydują, która jest lepsza.

- Dziesięć? Wydajesz się bardzo pewny siebie, Gallaku.

- Wystarczająco pewny, aby postawić pieniądze. Czyżbyś się wahał, Rasaku?

- W porządku. Niech będzie dziesięć.

Tłum pokrzykiwał zachęcająco i tupał. Potem wszyscy zaczęli wybijać rytm.

Wzięłam głęboki oddech, wstałam i zdjęłam wierzchnie okrycie. Mój kostium wzorowany był na stroju, który miała na sobie Ayalla. Zauważyłam, że Rasakowi nieco zrzęda mina, gdy zobaczył moje zwiewne jedwabie. W porządku, nie róbmy z tego sprawy. Dawno już wyrosłam z młodzieńczej nieśmiałości. Przez ponad sześć miesięcy tańczyłam całymi godzinami, więc byłam gotowa do boju... obrazowo mówiąc.

Zatańczyłam. Czułam pewien niepokój przed publicznym występem - to się chyba nazywa trema u zawodowych aktorów - ale gdy zaczęłam, niepokój zmienił się w podniecenie

i zatańczyłam jeszcze lepiej niż w ciągu długich godzin ćwiczeń. Nic tak nie zachęca do lepszego występu jak widownia. Dali się porwać.

Zakończyłam swój występ nieprzyzwoicie wyzywającą pozą. Zapadła pełna oszołomienia cisza. Tłum był mój! Brawa i okrzyki były absolutnie ogłuszające, a Rasak nawet nie poddawał sprawy pod głosowanie. Zapłacił bez mrugnięcia okiem.

Potem często tańczyłam. Gallak, który zawsze myślał głównie o interesach, dostrzegł okazję do wykorzystania mojego talentu w czasie pertraktacji. Różni dostawcy lub odbiorcy coraz częściej słyszeli: „Polanna dla nas zatańczy, gdy będziesz rozważał moją ofertę”.

Większość moich występów miała miejsce w oberżach, więc nieuniknione było, iż wcześniej czy później będę musiała zademonstrować swą wprawę w posługiwaniu się nożami, by przypomnieć pewnym widzom, aby trzymali ręce przy sobie. Pewnego dnia Gallak prowadził negocjację z zezowatym Kreblarem. Ich targi znalazły się w impasie. Wówczas Gallak sięgnął po swoją broń - czyli mnie. zaproponował, abym zatańczyła dla nich i gości oberży, w której prowadzono negocjacje. Kreblar wypił o kilka kufli za dużo i uznał, że tańczę tylko dla niego. Taniec zakończyłam oparta wyzywająco o stół, przy którym siedzieliśmy. Wówczas on wkroczył do akcji. Zezowate oczy błyszczały mu, utkwione w ścianie za mną. Brutalnie chwycił mnie za ramię.

- Doskonała dziewczyna! - prawie ryknął. - Daj całusa! - dodał i zaczął mnie obłapiać.

Bardzo przydało mi się chirurgiczne wykształcenie. Wyrzuciłam kolano i kopnęłam go w brodę, wyciągając jednocześnie nóż zza cholewki buta. Głowa odskoczyła mu do tyłu, ale ja zignorowałam odsłonięte gardło i zgrabnie cięłam go przez pierś, rozumując, że żebra nie pozwolą ostrzu noża się zagłębić.

Kreblar wrzasnął przesywając i z przerażeniem patrzył, jak krew tryska mu spod rozciętej koszuli.

- Nie trzeba było tego robić - strofowałam go, nawet nie podnosząc głosu. Wytarłam nóż w kołnierz jego koszuli, schowałam do cholewki, a potem popatrzyłam na gości w oberży. - Czy ktoś ma może igłę i nitkę? - zapytałam. - Będziemy brodzić we krwi, jeśli zaraz nie pozszywam biedaka.

Szewc dał mi szydło i dratwę, a ja kazałam Gallakowi i trzem innym rozciągnąć Kreblara na stole i przytrzymać go. Potem, nucąc sobie pod nosem, zgrabnie zaszyłam rozcięcie biegnące od pachy do pachy przez pierś Kreblara. Zupełnie nie zważałam na jego krzyki.

Nie jestem pewna dlaczego, ale wydaje mi się, że szycie bardziej ostudziło krew patrzącym niż sama rana. Ludzkie reakcje bywają zabawne. Z czasem moja sława rozeszła się

po całym Yar Nadrak i, tak jak się spodziewałam, Gallak w końcu otrzymał zaproszenie, „by wpadł do pałacu i zabrał z sobą Polannę”. Godziny moich ćwiczeń i publicznych występów w końcu się opłaciły. Pałac króla Drosty znajdował się w centrum Yar Nadrak i był jedynym kamiennym budynkiem w całym mieście. Nadrakowie nie mają wielkiej wprawy w murowaniu, więc pałac był równie koślawy jak wszystkie budynki w mieście. Gdy weszliśmy z Gallakiem do sali tronowej, zobaczyłam jedynego Grolima, jakiego spotkałam podczas całego mojego tam pobytu. Ostrożnie zbadałam jego umysł i odkryłam, że właściwie żadnego umysłu tam nie ma. Był co prawda Grolimem, ale nie posiadał szczególnych darów i przez ostatnie dziesięć lat nie trzeźwiał. Można powiedzieć, że Torak nie otaczał Nadraków szczególną troską.

Król Drosta był dość młody jak na zsiadającego na tronie i chyba uznawał, że jego głównym obowiązkiem jest dbanie o własne uciechy. Był chudy, niemal wycieńczony, a jego twarz pokrywały wstrętne czerwone krosty i głębokie blizny. Włosy miał proste, czarne i dość rzadkie, a jego drogie żółte ubranie nie grzeszyło czystością. Ponieważ prezentacja na dworze była oficjalną okazją, do obroży przypięłam łańcuch, za który Gallak mnie prowadził, jak było we zwyczaju. Miałam na sobie kostium do tańca, ukryty pod błękitną peleryną. Gallak pokłonił się królowi.

- Nazywam się Gallak, wasza wysokość - powiedział. - Posłałeś po mnie, panie?

- A, Gallak - odezwał się Drosta piskliwie. - Czekaliśmy na ciebie. - Potem zmierzył mnie od stóp po głowę obraźliwym spojrzeniem. - A więc to ta słynna Polanna. Jest na co popatrzeć. - Zaśmiał się nerwowo. - Chciałbyś ją sprzedać, Gallaku?

- Ależ... nie, wasza wysokość.

Uznałam, że to mądra decyzja, ponieważ Gallaka dzieliła od moich noży jedynie długość łańcucha.

- A może chciałbyś mi ją pożyczyć? - Drosta pomyślał chyba, że to zabawne, gdyż roześmiał się na całe gardło.

- To będzie moja decyzja, Drosto - oświadczyłam chłodno - i wątpię, abys miał dość pieniędzy.

- Dumna jesteś, co? - powiedział.

- Wiem, ile jestem warta - odparłam, wzruszając ramionami.

- Mówią, że jesteś tancerką.

- Nie mylą się.

- Dobrą jesteś tancerką?

- Lepszej nie widziałeś. - Skromność nie leżała w nadrackiej naturze, ale chyba nawet jak na nadracką chełpliwość przebrałam nieco miarę.

- Będziesz mi musiała to udowodnić, Polanno.

- Jak sobie życzysz. Zanim jednak zaczniemy, zechciej na to zerknąć. - Sięgnęłam pod okrycie i wyciągnęłam sztylety.

- Straszysz mnie? - zapytał z wyrzutem.

- Nie miałam takiego zamiaru, tylko uprzedzam, co się z tobą stanie, jeśli nie potrafisz nad sobą zapanować.

- Chyba nigdy jeszcze nie widziałem noża z takim zakrzywionym końcem. Po co ten haczyk?

- Hakami wyciąga się różne rzeczy... rzeczy, które ludzie wolą trzymać w środku. - Spojrzałam z podziwem na nóż. - Czy nie jest piękny? Został zaprojektowany tak, aby bardziej bolało wyciąganie niż wbijanie. Król lekko pozieleniał na twarzy.

- To straszna kobieta, Gallaku - zwrócił się do mego właściciela. - Jak ty z nią wytrzymujesz?

- Ona dla mnie jest miła, wasza wysokość - odparł Gallak. - Nauczyła mnie dobrych manier. Co więcej, najlepiej gotuje w całym Gar og Nadrak.

- Prawdę powiedziawszy, najlepiej na całym świecie, Gallaku - poprawiłam go. - No cóż, Drosto, to jak będzie? Chcesz, żebym dla ciebie zatańczyła czy wolisz kolację?

- Najpierw taniec, Polanno - powiedział, łypiąc przy tym pożądliwie okiem. - Zobaczmy, czy twój taniec zaostrzy mi apetyt. - Potem rozejrzał się po zatłoczonej sali tronowej. - Zróbcie tej dziewczynie trochę miejsca! Sprawdźmy, czy jest taka dobra, jak jej się wydaje!

Uznałam to za wyzwanie, więc podczas tańca odrzuciłam swe zwykłe opory i dodałam kilka elementów, których nigdy jeszcze publicznie nie prezentowałam.

Nie, nie będę ich opisywać... przez wzgląd na dzieci.

Król Drosta cały drżał, gdy podeszłam po swoją pelerynę, a na jego twarzy malował się wyraz niemal nabożnej czci.

- Na zęby Toraka! - zaklął. - Nigdy nie widziałem czegoś takiego!

- Mówiłam ci, że jestem najlepsza.

- Na pewno nie chcesz jej sprzedać? - zapytał Gallaka błagalnym tonem.

- Uważam, że moim patriotycznym obowiązkiem jest odmówić jej tobie, wasza wysokość - odparł mój właściciel. - Słyszałem, że łatwo ulegasz nadmiernemu podnieceniu i

pewnego dnia mogłoby cię ponieść. Musiałbym być niespełna rozumu, by sprzedać ci Polannę, gdy nie masz jeszcze następcy tronu.

- Nie zabiłabyś mnie przecież, prawda, Polanno? - zapytał Drosta z nadzieją w głosie.

- Okropnie mi przykro, ale zasady są zasadami, sam rozumiesz. Oczywiście postarałabym się uczynić to jak najbardziej bezboleśnie, ale moje noże nie zostały zaprojektowane do szybkiego działania ani do czystej roboty. Zwykle robi się przy tym dużo bałaganu.

- Okrutna jesteś, Polanno. Wystawiasz mnie na pokusę nie do odparcia, a potem mówisz, że wyprujesz ze mnie flaki, jeśli po ciebie sięgnę.

- Bardzo zgrabnie to ująłeś. Co chciałbyś na kolację, wasza wysokość?

Gallak, Drosta i ja przenieśliśmy się potem do kuchni, gdzie przyrządziłam im kolację.

- Mam kłopoty, Gallaku - powiedział Drosta w zamyśleniu, odsuwając się nieco z krzesłem od stołu.

- Jakie? - zapytał Gallak.

- Czy znasz wielu ludzi w Drasni?

- Sam nigdy nie byłem za granicą, ale mam swoich ludzi w Boktorze.

- Niedługo będą tam mieli nowego króla, wiesz?

Gallak kiwnął głową.

- Stary szybko się kończy. Następca tronu nazywa się Rhodar.

Jest gruby, ale umysł ma bystry.

- Chciałbym nawiązać z nim kontakty. Mógłby mi pomóc rozwiązać pewien problem.

- O jaki to problem chodzi?

- Ma na imię Taur Urgas i zasiada na tronie w Rak Goska.

- Chodzi o Murgów?

- Zawsze chodzi o Murgów, Gallaku. Świat byłby o wiele przyjemniejszy bez Murgów. Taur Urgas jest szalony. Oczywiście, to nic nadzwyczajnego w Cthol Murgos. Cała ta rasa jest szalona, ale Taur Urgas wyniósł swoje szaleństwo na wyżyny sztuki. Próbuję też nawiązać jakieś kontakty z Zakathem z Mallorei. To tamtejszy następca tronu, dość cywilizowany człowiek. Mam nadzieję, że dostrzeże korzyści płynące z posiadania sprzymierzeńca na zachodnim kontynencie. Wcześniej czy później Taur Urgas spróbuje zjednoczyć zachodnich Angaraków, a ja wolałbym się nie kłaniać temu szalonemu Murgowi.

- A czy nie obrazisz Taura Urgasa, sprzymierzając się z Zakathem?

- Nie dbam o to. Jeśli będę miał po swojej stronie Malloreę, niewiele będzie mógł zrobić. Mam rozległe terytorium, Gallaku, ale słabo zaludnione. Jeśli Murgowie pomaszerują na północ, to nas połkną. Muszę się z kimś sprzymierzyć! - Uderzył pięścią w stół.

- Dlatego chcesz nawiązać kontakty z Rhodarem? – wtrąciłam się.

- Oczywiście. Sprzymierzyłbym się nawet z Morindimami, jeśliby to na coś się zdało. Masz kogoś zaufanego na tyle, by zaniósł ode mnie wiadomość Rhodarowi?

- Nikogo, komu mógłbym na tyle zaufać, wasza wysokość. W tym momencie poczułam natchnienie, choć muszę przyznać, że miałam pewne przeczucie co do jego pochodzenia.

- Mieszka tu pewien młodzieniec, podobno bardzo przebiegły, choć jeszcze się nawet nie goli regularnie. Jest trochę nieokrzesany, ale bystry i chwytą wszystko w lot. Nie miał czasu dorobić się sławy, więc po krótkim przeszkoleniu będzie z niego doskonały wysłannik.

- Jak się nazywa? - zapytał Drosta.

- Yarblek.

- Ach, ten - powiedział Gallak. - Słyszałem o nim. Samochwała, ale chyba nie oczekuje, by ludzie wierzyli w jego przechwałki. - Zastanowił się chwilę. - Wiecie, że to może się powieść. Mógłbym go w śląc niepostrzeżenie do Boktoru. Kilka razy do roku wysyłani tam karawany, więc ukryję Yarbleka pomiędzy poganiaczami. - Nagle pstryknął palcami. - To jest myśl! Znam człowieka z drasniańskiej ambasady. Nazywa się Javelin. Podaje się za urzędnika, ale jestem pewny, że to szpieg. Porozmawiam z nim, a on przekaze wieść do Boktoru, że Yarblek wiezie wiadomość od ciebie dla Rhodara. To powinno zapewnić Yarblekowi wstęp do pałacu.

Drosta obgryzał paznokcie.

- Muszę się z nim zobaczyć - powiedział. - Gdzie go znajdę?

- Przesiaduje w oberży Szczurza Nora, wasza wysokość - pospieszyłam z informacją. - To w dzielnicy złodziei, w pobliżu wschodniej bramy.

- Poślę po niego. - Spojrzał na mnie. - Ile ma lat, Polanno?

- Piętnaście.

- Bardzo młody.

- Łatwiej się będzie uczyć. Taur Urgas jeszcze nie wyruszył, więc mamy trochę czasu.

- Co racja, to racja - przyznał Drosta. - Młodszych łatwiej ukształtować niż tych, którzy już obrali swoją drogę w życiu.

- I zwykle pracują za niewielkie wynagrodzenie - dodał Gallak. - Jeśli nadasz mu jakiś tytuł... „specjalny wysłannik” lub coś w tym rodzaju, to może nawet będzie pracował za darmo.

- Cudowny pomysł! - wykrzyknął z entuzjazmem Drosta.

- To był wspaniały wieczór - powiedział Drosta oglądałem występ najlepszej tancerki w moim królestwie, która pomogła mi rozwiązać problem, który nie dawał mi spokoju od kiedy wstąpiłem na tron.

- A jeszcze nawet nie spróbowałeś mojej kolacji -

- Czy będzie równie udana jak ten wieczór?

- Zapewne jeszcze lepsza - obiecałam.

Matka wysłała mnie do Gar og Nadrak, bym wybrała charakter Yarbleka i Drosty, ale ja zrobiłam trochę więcej. Nie tylko sama się z nimi spotkałam, ale doprowadziłam również do ich spotkania. Oroście Yarblek się spodobał od pierwszego wejrzenia, ale myślę, że jego entuzjazm nieco ostygł, gdy Yarblek odkrył, ile naprawdę jest wart dla króla. Nie dam za to głowy, ale wydaje mi się, że wkrótce po spotkaniu z Silkiem Yarblek zaczął podnosić ceny za swoje usługi.

- Czy o to ci właśnie chodziło, mamó? - zapytałam w myślach, gdy wróciliśmy z Gallakiem do domu.

- W przybliżeniu. Szybka jesteś, Pol. Zetknięcie tych dwóch ze sobą było aktem czystego geniuszu.

- Mnie też się to spodobało. Skoro mamy posłużyć się nimi w przyszłości, uznałam, że wygodniej będzie, jeśli już się z sobą zwiążą. Chyba moje zadanie tutaj dobiegło końca?

- Myślę, że wszystko już załatwiłaś.

- Więc teraz zastanówmy się, jak mam wydostać się z miasta. Wymazywanie pamięci każdego, kto mnie tu widział, byłoby niezmiernie pracochłonne.

- Wezwij ojca. Nie robi teraz nic pożytecznego, a jego stertę złotych sztabek pokrywa coraz grubsza warstwa kurzu. Niech tu przyjedzie i odkupi cię od Gallaka. Przyda mu się trochę ruchu, a poza tym zbyt się przywiązał do swego złota, nie sądzisz?

- To straszne, mamó! -Tyle tylko byłam w stanie z siebie wydusić, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

- Cieszę się, że to pochwalasz - odparła pogodnie.

Odczekałam kilka tygodni, obserwując postępy w realizacji mego „planu Yarbleka”, a ponieważ wszystko się toczyło we właściwym kierunku, udałam się do ambasady Drasni, aby porozmawiać z margrabią Khendonem, znanym jako Javelin. Urzędnik zaprowadził mnie do jego biura i natychmiast zostałam przyjęta.

- Polanno - przywitał mnie Khendon uprzejmym skinieniem głowy. - Jestem zaszczycony twoją wizytą. Czy mogę ci służyć?

- Zdaje mi się, że znasz mego ojca, margrabio - powiedziałam, szukając ostrożnie wzrokiem otworów do podglądania. Ostatecznie szpiegowanie to przemysł narodowy Drasni.

- Chyba nie, Polanno. Od niedawna jestem w Yar Nadrak, więc nie znam jeszcze wielu Nadraków.

- Mój ojciec nie jest Nadrakiem, margrabio. Do tej pory nie ustaliliśmy, z jakiego narodu się wywodzi. W każdym razie znajduje się teraz w sendarskiej wiosce górskiej, Annath, a ja muszę przekazać mu wiadomość. To dość delikatna sprawa, więc natychmiast pomyślałam o tobie. Służba wywiadowcza Drasni słynie ze swej umiejętności dochowywania tajemnicy.

- I z odkrywania ich - dodał, patrząc na mnie znacząco. - Zaczynam podejrzewać, że nie jesteś zwykłą nadracką tancerką, Polanno.

- Nie, nie jestem zwykłą. Jestem najlepsza.

- Nie to miałem na myśli. Nie jesteś z Nadraków, to po pierwsze. Twoje oczy mają inny kształt.

- Porozmawiam z nimi o tym. Chcę, abyś dostarczył wiadomość memu ojcu do Annath. Powiadom go, że zakończyłam swą misję w Yar Nadrak, więc powinien przyjechać tutaj i wykupić mnie od mego właściciela, handlarza futrami, Gallaka.

- Wyjaw mi imię twego ojca, Polanno. Z pewnością w końcu sam bym go wytropił, ale szybciej będę mógł działać, jeśli od razu poznam jego imię.

- Ależ ze mnie głuptas! Przepraszam, Khendonie. - Zerknęłam na niego figlarnie. - Powinieneś wrócić do akademii, aby odświeżyć wiadomości. Czuję się dotknięta, że nie rozpoznałeś mnie w momencie, gdy stanęłam w drzwiach.

Wówczas Khendon przyjrzał mi się uważniej, ignorując skórzane odzienie i sztylety. Potem zamrugał i poderwał się na nogi.

- Wasza miłość - powiedział z głębokim ukłonem. - Nawet mury drżą w twojej dostojnej obecności.

- Twoją ambasadę zbudowali nadraccy robotnicy, Khendonie. Byle kichnięcie wprawia te mury w drżenie.

- Nadrakowie budują niestarannie, prawda? - przyznał. - Pewne rzeczy zaczynają teraz pasować... Sprawa z Yarblekiem to twój pomysł, prawda?

- Spostrzegawczy jesteś, margrabio. Musiałam zadbać o nawiązanie kontaktów pomiędzy Yarblekiem i królem Drostą, a także pomiędzy Drostą i księciem Rhodarem. To będzie miało poważny wpływ na coś bardzo ważnego, co wydarzy się w przyszłości. Nie zadawaj pytań, Javelinie, ponieważ nie uzyskasz odpowiedzi. Mam dość kłopotów z

pilnowaniem, aby ojciec nie manipulował przyszłością, więc nie potrzebuję, abys jeszcze i ty mącił mi wodę. - Podsunęłam mu liścik, który napisałam i opieczętowałam tego ranka. - Zadbaj, aby mój ojciec go dostał. Nie próbuj nawet otwierać listu. Napisałam jedynie, by przyjechał i mnie wykupił. Cel Wszechświata będzie ci wdzięczny za twą przysługę.

- Pozbawiasz mnie całej przyjemności.

- Zrób, co ci kazano, i nie zadawaj pytań, Javelinie. Wszystko zostanie ci wyjawione w godzinie przeznaczenia. Javelin natychmiast podchwycił ten temat.

- Posłuszny będę w tej materii słowom waszej miłości - odparł z przesadną dwornością.

- Jednakowoż, czy zyczysz sobie tego pani, czy nie, odważę się na kilka domysłów.

- Domyślaj się do woli, drogi chłopcze, ale nie maczaj w tym palców. - Wstałam z krzesła. - Wspaniale mi się z tobą rozmawiało, stary - dodałam beztrąsko. - Przypomnij memu ojcu, aby zabrał dużo pieniędzy do Yar Nadrak. Będzie trochę zaskoczony, gdy odkryje, ile naprawdę jestem warta.

Javelin odłożył na bok wszystkie sprawy i wybrał się do Annath osobiście. W końcu byłam żywą legendą. Czasami to męczące, ale ma też i swoje dobre strony. Oczywiście ojciec nie spieszył się z przybyciem do Yar Nadrak. Ojciec z niczym się prawie nie spieszy. Kiedy się żyło siedem tysięcy lat, czas chyba traci znaczenie. Poza tym całkiem możliwe, że miał pewne trudności z podjęciem decyzji wykupienia mnie. Bardzo lubił złoto, które wydobyli z przodkiem Yarbлека ze strumienia w pobliżu Morindimu, i trudno było mu się pogodzić z koniecznością podzielenia się nim z kimś obcym. W końcu jednak zdał egzamin - nie przejęzyczyłam się, to był test - i przybył do Yar Nadrak z sakwami pełnymi złota. Najwyraźniej coś dla niego byłam warta.

Wyczułam jego obecność, gdy był kilka mil od miasta i tego ranka udałam się wraz z Gallakiem do miejsca jego pracy. Gallak miał skład, ale oczywiście większość interesów załatwiał w oberży. A gdzież by indziej? Oczekałam, aż stary włóczęga był o trzy drzwi od oberży, a potem oznajmiłam Gallakowi, że mam ochotę zatańczyć. Pomyślałam, że miło będzie przywitać tak ojca w Yar Nadrak i pokazać, że warta jestem ceny, którą za mnie zapłaci. Wszedł nie zauważony. Ojciec to świetnie potrafi. Zdziwił się nieco, gdy zobaczył, co robię. Zdecydowanie przyciągnęłam jego uwagę. Dla jego uciechy trochę jeszcze ubarwiłam swój występ. Goście zaczęli zagrzewać mnie brawami, a w oczach ojca pojawił się wojowniczy błysk. Ależ on był kochany! Nadal o mnie się martwił, tak jak przed ślubem Beldaran. Minęły trzy tysiąclecia, a on się nic nie zmienił od czasu, gdy miałam szesnaście lat. Zakończyłam taniec przy ogłuszającym aplauzie, a potem wróciłam do stołu Gallaka. Ojciec przepchał się przez tłum, usiłując jak najlepiej ukryć swój wojowniczy nastrój.

- Masz niezłą kobietę, przyjacielu - zauważył. - Nie chciałbyś jej sprzedać?

Wymienili jeszcze kilka uprzejmości, a potem przeszli do targów.

Ojciec zaczął od ceny obraźliwie niskiej, więc jaż kolei podałam absurdalnie wysoką. Potem ojciec podniósł swoją ofertę, a Gallak obniżył moją. Zaczęłam się już denerwować, gdy ojciec uparcie odmawiał zapłacenia więcej niż dziesięć sztabek złota. O co mężczyznom chodzi z tą liczbą dziesięć? Nie ma przecież w niej nic magicznego, prawda?

Pod koniec jeszcze raz poparłam Gallaka. Ostateczna cena nie była w istocie ważna. Chciałam tylko przepchnąć mego ojca poza tę dziesiątkę. Jedenaście by mnie zadowoliło, ale Gallak był stanowczy i w końcu stanęło na dwunastu. To cena wzbudzająca szacunek. Ojcowskie sztabki złota ważyły po dziesięć uncji. Sto dwadzieścia uncji złota - z czego sześćdziesiąt dla mnie - nie było złą ceną. Opuściliśmy z ojcem Yar Nadrak późnym latem. Pojechaliliśmy na zachód w zwykłym tempie ojca, które wahało się pomiędzy wolnym spacerem a staniem, więc nim dotarliśmy do podnóża wysokich gór, które formują kręgosłup kontynentu, zrobiła się jesień. Ojciec trochę przyspieszył, lecz było już za późno. Zima od tysiącleci zaskakiwała ojca, a on nadal czuł się tym urażony. Ledwie weszliśmy na wschodnie zbocze, gdy rozpętała się śnieżycy. Wyła wokół naszego prowizorycznego szałasu przez trzy dni. Jestem dumna, że udało mi się powstrzymać przed użyciem słów „mitrężenie czasu” w ciągu owych trzech dni. Potem wyruszyliśmy ponownie, ale daleko nie zaszliśmy, ponieważ śnieg był do pasa, a zasyły jeszcze głębsze.

- Nie ma rady, ojciec - powiedziałam. - Będziemy musieli zmienić postać i pofrunąć dalej.

Odmówił, bo „w okolicy mogą być Grolimowie”. Przecież gdybyśmy się zmienili w sokoły, zdążylibyśmy dolecieć do Drasni, nim jakiś Grolim zbliżyłby się do nas na pięć mil. Trudno, brnęliśmy więc przez śnieg i zdążyliśmy przebyć z milę, nim nadsięgnęła kuzynka pierwszej śnieżycy, zmuszając nas do zbudowania kolejnego schronienia. Wichura trwała całą noc. Rankiem następnego dnia usłyszeliśmy, jak ktoś woła w kierunku naszego szałasu:

- Hej, tam w obozie! Wchodzę. Nie denerwujcie się.

Był stary, chyba nawet starszy od mego ojca. Włosy i brodę miał srebrzyście białe, niemal świecące, twarz chował w wysokim futrzanym kołnierzu, a jego futrzana czapka sprawiała niemal zawadiackie wrażenie.

- Wpakowaliście się w kłopoty, co? - zauważył żartobliwie, gdy wczółgał się do naszego schronienia.

- Myśleliśmy, że przetrzymamy zawieję - odparł ojciec z pewną rezygnacją.

- Mała szansa. Te góry to ojczyzna śniegów. Tutaj one mieszkają. Dokąd zmierzacie?

- Do Drasni.

- Za późno wyruszyliście... za późno. Tej zimy nie dotrzecie do Drasni. - Westchnął. - Zdaje się, że nie ma rady. Przezimujcie u mnie. Mam jaskinię o jakąś milę stąd. Zbierzcie rzeczy i weźcie z sobą konie. Zniosę jakoś towarzystwo przez zimę.

Ojciec przyjął zaproszenie odrobinę za szybko.

- Nie mamy wyboru, Pol - mruknął do mnie, gdy pakowaliśmy rzeczy do sakw przy siodłach.

Postanowiłam nie dyskutować, ale mieliśmy wybór - wciąż taki sam, odkąd opuściliśmy Yar Nadrak. Albo ojciec postanowił go ignorować, albo „zachęcono” go, aby o nim zapomniał. Całą zimę nad tym myślałam. Jaskinia była całkiem wygodna, dość obszerna, czysta i porządnie utrzymana. Starzec wprowadził nas przez wąskie wejście, pokazał, gdzie umieścić konie, i rozpałił ogień. Jego osioł wkrótce zaprzyjaźnił się z naszymi końmi. Osioł bardziej przypominał psa niż juczne zwierzę. Stary poszukiwacz złota pozwalał mu kręcić się po całej jaskini, co tej zimy przysporzyło mi sporo kłopotów. Osioł zawsze wchodził mi w drogę, bo był ciekawy, co robię. Ciągłe trącał mnie pyskiem. Nadstawiał łeb, by drapać go po uszach. Polubiłam go nawet, ale denerwowałam się, gdy budził mnie sapaniem. W dodatku upierał się, by oglądać mnie w kąpieli. Wiem, że to idiotyczne, ale jego wzrok zawsze przyprawiał mnie o rumieńce. Ojciec i starzec całą zimę spędzili na rozmowach o niczym. Najwyraźniej polubili się, choć niewiele mieli z sobą wspólnego. Po jakimś czasie zaczął mnie prześladować zapach manipulacji. Nie przypuszczam, aby to miało jakieś ogromne znaczenie, ale najwyraźniej musieliśmy spędzić zimę z tym samotnym starcem. Najbardziej uderzyło mnie, że zapewne nikt na całym świecie nie był bardziej wolny od niego. Potem, za każdym razem, gdy moje życie stawało się nie do zniesienia, wracałam myślami do tej śnieżnej zimy i sływał na mnie błogi spokój. Może po to właśnie musieliśmy tam pozostać. W końcu do gór zawitała wiosna i ruszyliśmy z ojcem w dalszą drogę.

- Dopatrzyłeś się w tym jakiegoś sensu, ojcze? - zapytałam, gdy odjechaliśmy już kilka mil.

- W czym, Pol? - zapytał, udając błogie niezrozumienie. Poddałam się.

- Nieważne - westchnęłam.

Po tygodniu dotarliśmy do Boktoru, w którym nadal panowała atmosfera niepewności. Poprzedniej zimy kraj spustoszyła zaraza, choroba, która uderza znienacka, zabija jedną trzecią ludności, po czym znika równie nagle, jak się pojawiła. Gdybym tak nie spieszyła się do Annath, mogłabym zbadać tę chorobę w nadziei znalezienia na nią lekarstwa. Ludzkość dziesiątkując choroby i ja jako lekarz uważam to za osobistą obrazę. Z filozoficznego punktu

widzenia jednak zmuszona jestem przyznać, że ludzkość jest zbyt płodna i musi być jakiś środek kontrolowania populacji, a na dłuższą metę choroby są bardziej humanitarne od wojen czy klęsk głodu. Czyż to nie posępna wizja? Ta zaraza zabrała wielu Drasnian, a pośród nich i króla. Zostaliśmy z ojcem w Drasni na tyle długo, by wziąć udział w koronacji następcy tronu, Rhodara. Przepętałam dość oględnie przyszłego króla i z zadowoleniem odkryłam, iż rzeczywiście odwiedził go, sprawiający wrażenie zarozumiałca, młody Nadrak imieniem Yarblek. Po koronacji Rhodara ojciec sprzedał nasze konie i kupił łódź wiosłową.

- Dalej popłyniemy przez bagna - powiedział swym nie znoszącym sprzeciwu tonem.

- Co takiego?! - Jasno dawałam do zrozumienia, co myślę o jego decyzji.

- O tej porze na Wielkim Trakcie Północnym panuje duży ruch, Pol - wyjaśniał ojciec. - W tłumie mogą skrywać się wrogowie. - Nadal nawet nie rozważył najbardziej logicznego wyjścia. Choć była wiosna, czas migracji wodnego ptactwa, w powietrzu nie było wcale tłoczno. Tak więc popłynęliśmy na te cuchnące mokradła. Jestem pewna, że komary bardzo ucieszył nasz widok. Po przepłynięciu pierwszej mili nastrój wyraźnie mi się pogorszył.

Komary nie były jedynymi stworzeniami zamieszkującymi mokradła. Żółwie przyglądały się nam z gądką obojętnością, ale błotniaki, małe zwierzęta wodne spokrewnione z wydrami, swawoliły wokół naszej łodzi. Ich popiskiwanie niemal przypominały chichot. Najwyraźniej błotniakom wydało się szalenie zabawne to, że ludzie dobrowolnie przybyli na mokradła.

Padalo. Płynęliśmy kanałem o spokojnym prądzie, wijącym się pośród trzcin. Za kolejnym zakrętem ujrzeliśmy schludną, pokrytą strzechą chatkę, która była domem Yordai, więdźmy z bagien. Opowieści o Yordai krążyły od ponad trzystu lat i, jak się okazało, były bardzo przesadzone. Domeną więdźm są dusze i oczywiście pogoda. My się tym nie zajmujemy. Najlepiej chyba da się to ująć w stwierdzeniu, że więdźmy skupiają się na szczegółach, a my - na całokształcie. To oczywiście wielkie uproszczenie, ale wyjaśnia podstawowe zasady.

Błotniaki ostrzegły Yordai o naszym przybyciu i czekała w drzwiach chaty, gdy ojciec skierował dziób łodzi na błotnisty brzeg porośniętej drzewami wysepki.

Nie powitała nas zbyt serdecznie.

- Wejździe, bo pada. - Wysiedliśmy z łodzi.

- Więc ty jesteś Yordai - powiedziałam do tej starej, ale nadal pięknej kobiety.

- A ty pewnie jesteś Polgarda - odparła.

- Znacie się? - spytał zaskoczony ojciec.

- Ze słyszenia, Stary Wilku - powiedziałam. - Yordai nazywają wiedźmą z bagien. Jest wyrzutkiem, a to jedyne miejsce w Drasni, w którym jest bezpieczna.

- Pewnie dlatego że drewno jest za mokre, by palić ludzi na stosie - dodała. - Wejdźcie do środka.

Wnętrze chatki było niezwykle schludne. Na palenisku płonął ogień, a na stole stały polne kwiaty w wazonie. Brązowa suknia Yordai przypominała mi suknię, jaką matka nosiła w czasie naszego spotkania w grotach Ulgo. Yordai jednak utykała, a matka nie.

Bez słowa zabrała nasze mokre ubranie i rozwiesiła je przy ogniu, a nam dała koce.

- Siadajcie. Strawy wystarczy dla wszystkich. - Z garnka pachniała delikatnie przyprawiona zupa rybna. Widać Yordai doskonale gotowała.

- Wiedziałaś o naszym nadejściu, prawda? - zapytałam.

- Naturalnie. W końcu jestem wiedźmą. Wtem wszedł jeden z błotniaków i zaczął jej coś mówić swym świergotliwym głosem.

- Tak - odpowiedziała Yordai - wiem.

A zatem to była prawda! Słyszałam niestworzone opowieści o zdolnościach Yordai do porozumiewania się ze stworzeniami z bagien.

- Nie powinnaś się wtrącać w ich życie - powiedziałam.

- Nie robię im krzywdy - odparła - a o wiele milej rozmawia się z nimi niż z ludźmi.

Ta piękna kobieta nosiła w sobie jakąś straszliwą urazę, której nie potrafiłam dokładnie uchwycić. Życie nie obeszło się z nią delikatnie, to wiedziałam, ale było coś jeszcze, czego nie potrafiłam zrozumieć. Zaintrygowała mnie bardzo, szczególnie z lekarskiego punktu widzenia. Lekarze potrafią uleczyć ludzkie dolegliwości, ale problem w tym, że ja tak naprawdę nie wiedziałam, co jej dolega. Postanowiłam więc się tego dowiedzieć. Nie daję łatwo za wygraną, chyba już to zauważyliście?

Po posiłku wysłałam cichą, lecz stanowczą myśl do mego ojca.

- Wyjdź!

- Słucham?

- Wyjdź na dwór. Muszę zostać z Yordai sama. Nieco sposepniał.

- Idę odwrócić łódź - rzekł. - Po co deszcz ma do niej padać. Wstał i wyszedł. Wyglądał śmiesznie w swoim kocu.

- Pomogę ci przy zmywaniu - powiedziałam do naszej gospodyni. Drobne prace domowe zwykle zbliżają kobiety do siebie, ale Yordai uparcie opierała się przed otwarciem przede mną serca. Wysłałam więc delikatną badającą myśl, a wtedy odkryłam źródło jej goryczy. Oczywiście był to mężczyzna. Źródłem damskich problemów niemal zawsze są

mężczyźni. To była bardzo prozaiczna sprawa. W wieku piętnastu lat Yordai zakochała się bez pamięci i skrycie. Człowiek ten był trochę od niej starszy i, mówiąc bez ogródek, głupi jak but. Mieszkali w wilgotnej wiosce na skraju bagnisk. Yordai w bardzo niekonwencjonalny sposób starała się zdobyć serce tego głupca. Wykorzystywała swoje dary, by pomagać sąsiadom. Niestety, jej ukochany był bardzo religijny, w najgorszy z możliwych sposobów. W głębi swej grubiańskiej duszy tęsknił za „wykorzeniem obrzydliwych czarów” i to on poprowadził tłum, który chciał ją spalić na stosie. Musiała uciec na bagna, porzucając nadzieję na miłość, małżeństwo i dzieci. Dlatego właśnie - nawet po trzystu latach - przebywała na mokradłach, całą swą miłość przelewając na błotniaki. Oto cała historia głębokiego, ale niewłaściwie ulokowanego uczucia, które nadal płonęło w jej sercu.

- Moja kochana - powiedziałam z oczyma pełnymi łez.

Spojrzała na mnie zaskoczona i nagle zdała sobie sprawę, że podstępnie wniknęłam do jej umysłu. Jej pierwszą reakcją był gniew na moją nieproszoną wizytę, ale potem uświadomiła sobie, że zrobiłam to ze współczucia. W końcu byłam czarodziejką, więc nie miałam żadnych uprzedzeń do czarów. Jej mur obronny runął i rzewnie zapłakała.

Przytuliłam ją do siebie, gładząc jej włosy i mrużąc uspokajająco. Nic więcej nie mogłam zrobić. Wiedziałam, co jej dolega, ale nie potrafiłam jej pomóc.

Deszcz przestał padać. Włożyliśmy suche już ubrania i ruszyliśmy w dalszą podróż. Długo myślałam o twych dwóch spotkaniach, gdy ojciec przepychał nas przez bagna. Zarówno w Nadraku, jak i w Boktorze ojciec wynajdował bardzo nieprzekonujące wykrety, by nie lecieć prosto do Annath. Ojciec zawsze potrafił znaleźć jakąś wymówkę, by uniknąć pracy, ale tym razem swymi wykretami doprowadził do tego, że musiał się nieźle napocić podczas górskiej przeprawy czy teraz przy wiosłach. Było to na tyle niezwykle, że zaraz zwróciło moją uwagę. Z jakiegoś powodu mieliśmy spotkać się ze starcem w górach Nadraku i z Yordai na bagniskach. W końcu dałam za wygraną. Nie stanowiliśmy z ojcem centrum wszechświata i może owe spotkania miały na celu dobro kogoś innego.

Oczywiście wiem, czyje dobro miały na celu - teraz wiem. Yordai i poszukiwacz złota mieli stać się nauczycielami Gariona, a my z ojcem byliśmy ledwie widzami. To takie oczywiste, że dziwię się, że wam to umknęło.

Dotarliśmy do Brodu Aldura, a potem ruszyliśmy wzdłuż wschodniego podnóża gór Sendarii, aż trafiliśmy na mało uczęszczaną drogę biegnącą doliną ku Annath. Było późne popołudnie, gdy znaleźliśmy się przy kamieniołomie. Czekał tam na nas Geran, najmłodszy spadkobierca tronu Rivy. Gdy wyruszałam do Gar og Nadrak, żegnałam chłopca, teraz witałam młodzieńca. Cóż, czasami chłopiec zmienia się w młodzieńca w ciągu jednej nocy.

W odróżnieniu od innych moich siostrzeńców Geran miał ciemne, niemal czarne włosy, a oczy ciemnoniebieskie. Nie był co prawda bardzo wysoki, ale i tak bardzo przypominał Rivę.

- Ciocia Pol! - wykrzyknął z pewną ulgą. - Bałem się, że nie zdążysz wrócić na wesele.

- Czyje wesele, mój drogi? - Nie wiem, czemu o to spytałam. Zdawałam sobie przecież sprawę, o czyje wesele chodzi.

- Moje, oczywiście - odparł. - Pobieramy się z Uderą w przyszłym tygodniu.

- No, no, coś takiego - mruknęłam tylko.

Wiejskie wesela zwykle angażują całą wiejską społeczność -szczególnie rodziny panny i pana młodego. Młodzi często byli sąsiadami i razem dorastali. Tym razem jednak nie tylko pochodzili z różnych wiosek, ale jeszcze byli innych narodowości. Problemy, jakie z tytułu tych różnic wynikły, nie dotyczyły młodej pary, lecz ich matek. Alara z Olane się nie cierpiały. Ojciec Udery, Grettan, był wodzem klanu i to chyba uderzyło Olane do głowy. Nie tała, że według niej Udera popelnia mezalians. Alarze, która wiedziała, że jej syn jest następcą tronu Rivy, protekcyjność Olane działała na nerwy. Nieustannie musiałam jej pilnować, aby nie wyjawiała z dumą pozycji swego syna. To był dla mnie czas bardzo ciężkiej pracy. Pewnie gdybym była obecna przy kolejnych etapach zalotów, mogłabym to wszystko ukrócić jeszcze w zarodku, ale stało się już za późno. Doszło do stadium, gdy państwo młodzi zeszli na drugi plan. Animoszje pomiędzy Alarą i Olane były zaraźliwe; Sendarowie z Annath oraz Algarowie zaczęli patrzeć na siebie wilkiem.

- Mamy problem, panowie - zwróciłam się pewnego wieczoru do ojca i Darrala. - Ja dopilnuję, aby Alara i Olane nie skoczyły sobie do gardeł, ale wy zajmiecie się porządkiem na ulicach i w miejscowej oberży. Nie życzę sobie krwawych jatek w czasie uroczystości. Do was należy dopilnowanie, aby porachunki robili po ślubie.

- Mogę porozmawiać z Knappem, właścicielem oberży - rzekł z pewnym powątpiewaniem Darral. - Spróbuję go przekonać, aby zamknął lokal z powodu remontu. Ogólna bójka pewnie doszczętnie zniszczy mu oberżę.

Ojciec pokręcił głową.

- I tak mają już złe humory - powiedział. - Zamknięcie oberży jeszcze to pogorszy.

- To może zamknąć granicę? - Darral sięgał po środki ostateczne. - Grettan mógłby się na to zgodzić. Albo rozpedźmy ich stada. To dałoby Algarom zajęcie na jakiś czas.

- Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie, panowie - stwierdziłam. - Macie zadbać o spokój. To jest rozkaz, jeśli jeszcze tego nie zauważyliście.

Geran i Udera wydawali się zupełnie nieświadomi nie wypowiedzianej wojny pomiędzy ich matkami. Osiągnęli stan błogiej nieświadomości wszystkiego, co się wokół nich działo, co

jest zwykle dobrym wstępem do szczęśliwego małżeństwa. Widywałam już to oczywiście. Przed oczyma pojawiło mi się tamto popołudnie w Camaar. Wówczas straciłam siostrę. Geran i Udera nie zaszli tak daleko jak Beldaran i Riva, ale prawie.

Antagonizm pomiędzy Alarą i Olane nie znalazł na szczęście ujścia w otwartej wojnie, tylko we współzawodnictwie. Z fałszywymi uśmiechami przyklejonymi do twarzy kłóciły się o to, która dostarczy kwiaty. Uciełam to, oznajmiając, że ja się tym zajmę, ponieważ wy, panie, macie tyle innych zajęć. Poza tym ja mogę to zrobić o wiele mniejszym kosztem od was".

Potem Olane z zadowoloną miną pokazała suknię ślubną Udery i Alarę zaczęła zżerać zazdrość. Przetrzęsnęła całe Annath, aż w końcu znalazła dla syna staromodny kubrak w kolorze wypłowiałej purpury. Geran nie wyglądał w nim najlepiej, ale musiał się tak ubrać pokazać Olane. Porównałam suknię z kubrakiem i w duszy przyznałam obu paniom remis. Remis jednak nie satysfakcjonuje zwykle zawodników. Kolacja weselna, przygotowywana wspólnie, była zwycięstwem Olane. W końcu miała dostęp do nieograniczonych ilości mięsa. Mistrzem ceremonii ze strony Olane był kapłan Belara, Alary zaś miejscowy kapłan sendarski. Sendarowie są wyznawcami szeroko pojętego ekumenizmu, więc kapłan Alary mógł prosić o błogosławieństwo wszystkich siedmiu bogów. Nie wspominałam o ULu, obawiając się, że Alara mogłaby opóźnić wesele, dopóki nie skontaktuje się z Gorimem Ulgo. Alara i Olane przygadywały sobie z lodowatymi uśmiechami na twarzach, które z daleka czuć było fałszywą uprzejmością.

- Obaj! - zdecydowałam w końcu, kładąc kres tej licytacji.

- Nie rozumiem, Pol - powiedziała ze słodyczą Alara.

- Obaj kapłani poprowadzą uroczystość.

- Ale...

- Żadnych ale. Obaj kapłani, moje panie, i koniec. - Często musiałam tak wkraczać w ciąg tej nie wypowiedzianej wojny.

Gdy w końcu nadszedł dzień ślubu, byłam bardzo zmęczona. Postanowiłam zrobić sobie wakacje, jeśli uda mi się przetrwać wesele. Czułam, że jeśli jeszcze raz usłyszę „Ależ moja droga Olane..." lub „Ależ moja urocza Alaro...", to zacznę krzyczeć.

Uroczystość, ponieważ prowadziło ją dwóch kapłanów, ciągnęła się przez dwie godziny i goście, którzy z utęsknieniem wypatrywali uczyty weselnej, zaczęli się robić niespokojni.

Udera była oszałamiająco piękna, a Geran tak przystojny, że wszystkie miejscowe dziewczęta nie mogły sobie darować, iż pozwoliły mu wymknąć im się z rąk. Nie przysłuchiwałam się uważnie ceremonii, ale gdy sendarski kapłan poprosił Toraka, by

pobłogosławił ten związek, o mało nie wybuchłam śmiechem. Z pewnością ten związek najmniej miły był jego sercu.

Wreszcie uroczystość dobiegła końca, Geran z Uderą byli teraz mężem i żoną. Z trudem wytrzymali na weselnej kolacji, niecierpliwie czekając na chwilę, gdy będą mogli odejść do kamiennej chatki, którą Geran ze swym ojcem zbudowali na południowym końcu jedynej ulicy Annath. Mieli już plany na ten wieczór. Ojciec, Darral i Grettan zadbali o spokój przy kolacji, ale na tym koniec. Wszyscy towarzyszyliśmy młodej parze w drodze do ich nowego domu, a potem wróciłam do domu Darrala i położyłam się. Byłam zupełnie wyczerpana.

Mieszkańcy Annath i członkowie algarskiego klanu zachowywali się bardzo kulturalnie, więc bójkki zaczęły się dopiero po zachodzie słońca.

Następnego ranka ojciec opowiedział mi wiele zabawnych historii z weselnej biesiady. Zawsze przyjmuję jego opowieści z przymrużeniem oka, gdyż ojciec nie może się nigdy powstrzymać przed ich ubarwianiem.

- Złamał szczękę kapłanowi?! - wykrzyknęłam w pewnym momencie.

- Tak zgrabnie jak ty gałązkę. - Ojciec uśmiechnął się. - Trafił go w sam środek brody. Oczywiście kapłan się tego nie spodziewał. W Algarii ludzie nie biją kapłanów Belara. Nie będzie mógł przez jakiś czas odprawiać tych długich nabożeństw, przynajmniej dopóki nie zagoi mu się szczeka. Potem, gdy Knapp próbował przenieść bójkę przed oberżę, jakiś łotr puknął go w głowę stołkiem.

- Puknął?

- Taki dźwięk się przy tym rozległ... „puk!”. Właśnie taki. Knapp padł jak długi, a igraszki trwały dalej, aż rozwalili mu oberżę. Westchnęłam.

- Nie mogę doczekać się dnia wypoczynku. Pójdę opatrzeć rannych.

- Wyzdrowieją, Pol. To była przyjazna walka. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, by sięgnąć po nóż.

- Złamane kości trzeba nastawić, ojczu.

- Nie możesz naprawić wszystkiego, Pol.

- Ty wymyśliłeś to prawo? Możesz go przestrzegać, ale ja nie muszę. Jakie masz plany?

- Chyba wrócę do Doliny Aldura. Chamdar jest w Tolnedrze, ale z pewnością jego Grolimowie i Dagashi wędzą w całej Sendarii. Nie chcę zwrócić ich uwagi na to miejsce, obawiam się, że łatwo mnie rozpoznać.

- Mądra decyzja. Pozdrów ode mnie bliźniaki.

- Zrobię to.

Do południa opatrywałam różnorakie rozcięcia, stłuczenia, otarcia i złamania, a potem odwiedziłam nowożeńców. Oczywiście przyjęli mnie uprzejmie, ale odniosłam wrażenie, że już mieli plany na resztę dnia, więc wróciłam do domu i położyłam się spać.

Po kilku dniach Alara na tyle pozmieniała swe wspomnienia ze ślubu, iż pamiętała, że dzień ten był jej absolutnym triumfem. No cóż, nikomu to nie szkodziło, a skoro była dzięki temu szczęśliwsza...

Położenie chatki Gerana na południowym końcu miasteczka było trochę niewygodne, ale to on wybrał miejsce. Jego matka była osobą dość zaborczą. Oczywiście wszyscy ją kochaliśmy, ale czasami zachowywała się dziwnie. Zapewne powinnam zwrócić na to baczniejszą uwagę. Mniej więcej wtedy, kiedy odbył się ślub, Taur Urgas uknuł ów szalony spisek zamachu na życie cesarza Mallorei, Zakatha. W jego planie brała udział ukochana Zakatha, która znalazła się pomiędzy ofiarami, gdy wszystko wyszło na jaw. Od tamtego czasu Zakathem zawładnęła obsesja wytępienia całej murgoskiej rasy, cel zapewne godny pochwały, ale kolidujący z innymi ważnymi sprawami. Taur Urgas był szalony, a Zakath wcale od niego nie lepszy. Cho-Ram ostatnio wyleczył Taura Urgasa z szaleństwa, a Cyrady, wyrocznie z Kell, uleczyły Zakatha. Jednak użyły całkowicie innych metod.

Nie zdawałam sobie w pełni sprawy z tego, jak moje odizolowanie w Annath odsunęło mnie od bieżących spraw, dopóki ojciec nie zajrzał do mnie wiosną 5349 roku i nie opowiedział mi o waśniach pomiędzy Angarakami. Wiejskie życie ma pewien urok. Świat może się skończyć, a wieść o tym dopiero po kilku latach dotrze do miejsca takiego jak Annath.

Potem, jesienią tego samego roku, naszą rodziną wstrząsnęła tragedia. Był zwykły jesienny dzień. Liście brzoź i osik mieniły się kolorami. Geran z ojcem jak zwykle poszli do pracy w kamieniołomach. Tuż przed obiadem południowa ściana kamieniołomu nagle oberwała się i runęła na dno wyrobiska, przygniatając Darrala. Wypadki oczywiście się zdarzają, a kamieniołomy nie należą do najbezpieczniejszych miejsc pracy, ale jak się okazało, śmierć mego siostrzeńca nie była wypadkiem. To była pierwsza oznaka, że Chamdar lub Murgo Asharak, jeśli wolicie - odnalazł nas. Żal po śmierci Darrala niemal mnie obezwładnił. Ojciec zdążył przybyć do Annath na pogrzeb, ale ja prawie zupełnie go zignorowałam. Nie miałam nastroju na banalne kazania. Siedziałam w swoim pokoju przez dwa tygodnie, a gdy w końcu wyszłam, ojca już nie było. Alara poruszała się sztywno po swej kuchni, lecz nie zwróciłam na to uwagi. Zaczęłam jadać posiłki w swoim pokoju, ponieważ nie chciałam z nikim rozmawiać, nawet z tymi, którzy dzielili ze mną żalobę. Gdy w końcu wyszłam, odkryłam, że Alara zrobiła się dziwna. Byłam przekonana, że sobie z tym

poradzę, ale myliłam się. Żaden lekarz nie powinien leczyć chorób we własnej rodzinie, ponieważ obiektywizm jest podstawą medycznej praktyki, a któż potrafi być obiektywny względem własnej rodziny? Spóźniłam się, a gdy już postawiłam diagnozę, było za późno. Oczywiście mogło być za późno już od samego początku, ponieważ szaleństwo Alary miało źródło na zewnątrz. Pewnego popołudnia, kilka dni po moim wyjściu z odosobnienia, zobaczyła mnie ze łzami w oczach.

- Skaleczyłaś się? - zapytała z troską, nie wydawała się jednak specjalnie zainteresowana odpowiedzią.

Przyjrzałam się jej uważniej. Twarz miała spokojną i to powinno mnie od razu zaniepokoić.

- Zagoi się, moja droga - powiedziała pocieszającym tonem. - Czas przygotować kolację. Darral wkrótce wróci z pracy i będzie głodny.

To niemal natychmiast sprowadziło mnie na ziemię. Widywałam już takie stany u innych po śmierci kogoś bliskiego. Czasami ludzki umysł robi dziwne rzeczy we własnej obronie. Jeśli coś jest zbyt straszne, człowiek nie dopuszcza do siebie myśli o tym. W umyśle Alary Darral nadal żył i niedługo miał wrócić do domu na kolację. Można sobie z tym niezwykłym stanem radzić na dwa sposoby. Moje własne wewnętrzne problemy sprawiły, że wybrałam zły.

- Zapomniałaś, Alaro? - spytałam. - Darral wyjechał w interesach. Chce poszukać więcej chętnych na tegoroczną aukcję kamienia.

- Czemu mi o tym nie powiedział? - Wydawała się lekko urażona. Zdecydowałam się na wybieg. Uderzyłam się w czoło.

- To moja wina - skłamałam. - Przyszedł dziś rano do domu, gdy ty byłaś u Udery. Powiedział, że w Erat jest pewien budowniczy, z którym chciałby porozmawiać, i że wróci za kilka tygodni. Ktoś jechał wozem w tamtą stronę i zaproponował, że go podwiezie. Musiał wy ruszyć natychmiast. Potem jedna z naszych sąsiadek zachorowała więc byłam zajęta i zapomniałam ci powiedzieć o wyjeździe Darrala. Bardzo mi przykro, Alaro.

- Ależ nic nie szkodzi, Pol. - Nagle pojaśniała. - Mam myśl. Teraz, gdy Darral jakiś czas nie będzie nam się plątał pod nogami, możemy zabrać się za jesienne porządki. Wszystko będzie lśniło do jego powrotu. Wiedziałam już, że popełniłam błąd, ale było za późno. „Podróż w interesach” tylko podsyciła złudzenie Alary i sprawiła, że trudniej będzie ją uleczyć.

- Przygotuj nam lekką kolację, moja droga - zaproponowałam. - Muszę pójść do Udery.

- Dobrze, Pol. Tylko nie siedź za długo.

Pobiegłam na drugi koniec Annath do przysadzistej chaty, którą zbudował Geran. Geran był sumiennym budowniczym, chciał, by jego budowle stały wiecznie, więc jego chata przypominała trochę fortecę. Zapukałam do solidnych drzwi.

Otworzyła mi urocza i jasnowłosa Udera. Rozejrzałam się szybko wokół, by upewnić się, czy jesteśmy same.

- Czy coś się stało, ciociu Pol? - zapytała.

- Mamy problem.

- Jaki?

- Alara traci zmysły.

- O bogowie!

- To nie jest niebezpieczne... jeszcze. Nie majaczy, ale wymazała zupełnie ze swej pamięci śmierć Darrala. Tego popołudnia powiedziała mi, że oczekuje go na kolacji.

- Och, ciociu Pol! - zawołała przestraszona lidera. - Co możemy zrobić?

- Musimy jej kłamać, Udero. Pod wpływem chwili wymyśliłam historyjkę o wyjeździe Darrala - aby pomóc jej przejść przez najgorszy czas - i teraz obawiam się, że musimy w to kłamstwo brnąć dalej. Upředź o tym Gerana, jak wróci do domu. Wszyscy będziemy musieli opowiadać Alarze to samo. Powiedziałam, że Darral zabrał się wozem, który jechał do Erat. Miał tam załatwić jakieś sprawy.

- W końcu jednak będziemy jej musieli powiedzieć prawdę, ciociu Pol.

- Nie jestem tego pewna, Udero. Podróż służbowa Darrala może się przedłużyć.

- Potrafisz...? - Udera zrobiła jakiś tajemniczy gest, który miał sugerować magię. Udera, jak to zwykle bywa, znacznie przeceniała to, co mogę dzięki swym „uzdolnieniom” zrobić.

- Nie sądzę, Udero. Umysł to bardzo skomplikowana maszyna. Naprawiając jedną część, drugą możesz zniszczyć. Za bardzo kocham Alarę, by na niej eksperymentować. Pewne mieszanki ziołowe mogłyby ją uczynić spokojną i szczęśliwą. Zdam się więc na nie, dopóki nie wymyślę jakiegoś bezpiecznego rozwiązania.

- Zdaję się na ciebie, ciociu Pol. - Udera zaśmiała się trochę smutno. - Bogowie wiedzą, że ja nie potrafię w niczym pomóc. Nie potrafię nawet drzazgi komuś wyciągnąć z palca... Chyba będziemy musieli odizolować Alarę od ludzi. Jedno nieopatrne słowo może zburzyć jej spokój.

- Popracuję nad tym - obiecałam jej. - Opowiedz o tym Geranowi i niech się nie wtrąca. To nieopatrne słowo, o którym wspomniałaś, może równie dobrze wyrwać się jemu, jak jakiemuś wiejskiemu plotkarzowi.

- Nie sędę, aby ci w czymś przeszkodził, ciociu Pol. Bada każdy cal tej ściany kamieniołomu, z której osunęły się głazy. Nie jest w stanie myśleć o niczym innym.

- Przynajmniej nie będzie mi wchodził w drogę. Ojciec wkrótce nas odwiedzi. Jeśli najpierw zajrzy tutaj, opowiedz mu o Alarze. Przestrzeż, że brodę mu powyrywam, jeśli się będzie wtrącał.

- Ciociu Pol!

- No dobrze, nie całą brodę. Wrócę już do domu. Jedna z nas będzie musiała od teraz stale przebywać z Alarą.

Ojciec przybył dwa dni później, ale nie chciałam z nim rozmawiać przy Alarze.

- Jestem zajęta, ojcze! - powiedziałam. - Idź porozmawiać z Geranem i Uderą. Oni opowiedzą ci, co się wydarzyło. Idź już! Ojciec oczywiście zupełnie mnie nie zrozumiał. Uznał, że traktuję go tak opryskliwie, bo wciąż nie otrząsnęłam się z żałoby. Mylił się. Musiałam poradzić sobie z czymś o wiele ważniejszym. Później tego dnia posłałam po Uderę, która została ze swoją teściową, a ja tymczasem poszłam porozmawiać z ojcem. Wyszliśmy na skraj lasu, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

- Jest kompletnie szalona? - zapytał ojciec, gdy opowiedziałam mu o stanie Alary.

- Tego nie powiedziałam, Stary Wilku. Powiedziałam tylko, że nie chce przyjąć do wiadomości śmierci męża.

- To mi wygląda na obłąkanie, Pol.

- Nie wiesz, o czym mówisz, ojcze. Obłąkanie rzadko bywa całkowite. Alara uparcie zaprzecza jednemu faktowi. Poza tym jest całkiem normalna.

- Twoja definicja normalności jest całkiem różna od mojej, Pol. Jak długo zamierzasz to ciągnąć?

- Jak długo będzie trzeba, ojcze. Nie zniszczę Alary, by zadośćuczynić twojej koncepcji rzeczywistości. Tęskni za mężem, to na razie jej cała choroba. Postaram się, by do końca życia była szczęśliwa, jeśli będę musiała.

- Ty tu jesteś ekspertem, Pol - odparł, wzruszając ramionami.

- Cieszę się, że to zauważyłeś. Czym się zajmujesz w tej chwili?

- Liczę dni i miesiące, Pol, jak każdy z nas. Cały wszechświat wstrzymuje oddech w oczekiwaniu, aż Udera zacznie tyć w pasie.

- Niedelikatnie to ująłeś.

- Niedelikatny ze mnie gość.

- Wiem, sama to zauważyłam.

Ojciec wkrótce wrócił do Doliny Aldura, a my rozpowiedziałyśmy wszystkim w Annath, że Alara nie czuje się dobrze i potrzebny jej absolutny spokój - „rozumiecie, ze względu na ostatnie przeżycia”. Mieszkanki Annath z powagą kiwały głowami i do naszego domu na północnym krańcu miasteczka przestali zaglądać goście. Dbaliśmy o to, aby Alara nigdy nie wychodziła z domu bez towarzystwa. Młoda żona Gerana ze zdumiewającą łatwością potrafiła zmienić temat rozmowy z przypadkowo napotkanymi ludźmi. Ochrona wątych pozorów normalności Alary stała się teraz naszym głównym zajęciem i nabierałyśmy w tym coraz większej wprawy. Udera jednakże miała jeszcze inne powinności, o które powinna zadbać. Co jakiś czas nachodził mnie niepokój, bo wciąż była po dziewczęcemu szczupła.

W 5351 roku Javelin odwiedził mego ojca i doniósł, że pomimo największych wysiłków drasnańskich wywiadowców Murgowi Asharakowi udało się wymknąć spod ich opieki. Przybył w okolice Annath tuż po weselu Gerana i Udery, by pomanipulować w strukturze geologicznej południowej ściany kamieniołomów. Ojciec natychmiast udał się do Tol Honeth, ale nie zdołał wytropić Chamdara. Rozszerzył poszukiwania na całą Tolnedrę, co dało mu zajęcie na następne kilka lat. W tym czasie ja wraz z Uderą na zmianę doglądałyśmy Alary, wzywając Gerana na zastępstwo, gdy już obie byłyśmy zupełnie wyczerpane. Alara dwa razy dziennie piła pewną miksturę, dzięki której nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu. Przydały się też moje ostatnio nabyte umiejętności w wymazywaniu jednych wspomnień i zastępowaniu ich innymi. Dopóki Alara nie wiedziała, ile naprawdę trwała owa „podróż” Darrala, pozostawała szczęśliwa. Posunęłam się nawet do tego, że kilka razy „zakurzyłam” dom - zwykle gdy spała lub poszła z wizytą do Ddery na drugi koniec miasta - abyśmy mogły cały tydzień spędzić na sprzątaniu domu. W ciągu jesieni 5353 roku gruntownie uporządkowałyśmy dom cztery razy, ale Alara pamiętała tylko ostatnie sprzątanie. Sprzątanie to powtarzająca się i nudna czynność, więc wspomnień o niej nie przechowujemy zbyt chętnie. Z pewnością znajdują się obłudnicy, których po przeczytaniu tego oburzy moje ciągle oszukiwanie biednej Alary. Tacy ludzie potajemnie czerpią rozkosz z zadawania cierpienia „w imię czyjegoś dobra”. Na ich miejscu nie krytykowałabym jednak moich metod postępowania z obłąkaną Alara. Mogłabym uznać, że dla ich dobra głowy powinni mieć przekręcone do tyłu. Nadeszło i minęło kolejne Zaranie, a Annath jak zwykle zostało odcięte od świata przez zimowe śnieżyce. Nasza mała rodzina nie świętowała zbyt hucznie. Wszyscy mieszkańcy wioski zdążyli już się zorientować, że Alara jest „trochę dziwna”, i życzliwie szanowali jej odosobnienie. Jednakże nie byli obojętni. Przy każdym spotkaniu wypytywali mnie i Uderę, jak Alara się czuje. Odpowiadałyśmy: „Jak zwykle”, na

co oni wzdychali i smutno kiwali głową. Mieszkańcy małych miasteczek potrafią być wścibscy, ale ich ciekawość wypływa z prawdziwej troski o sąsiadów. Stało się już dla mnie jasne, że Alara nigdy nie wyzdrowieje. Moja kombinacja ziół i „manipulacji pamięcią” pozwalała zachować jej względny spokój, a czasami nawet dawała biedaczce poczucie szczęścia. Tyle udało mi się osiągnąć. Nastąpiła wiosna 5354 roku. Zaczęły topnieć śniegi i rwące strumienie wypełniły się po brzegi. Pewnego ranka przyszła do mnie Udera z promiennym wyrazem twarzy.

- Chyba jestem w ciąży, ciociu Pol - oznajmiła.

- Najwyższy czas - powiedziałam.

Udera wydawała nieco urażona.

- To tylko żarty, Udero. - Przytuliłam ją. - Tak się cieszę!

- Ja również się cieszę - odparła. - Powiedz mi tylko, co zrobić żeby nie wymiotować każdego ranka.

- Zjedz coś, moja droga.

- Co takiego?

- Postaw sobie przed pójściem spać coś do jedzenia przy łóżku. Gdy obudzisz się rano, zjedz, nim wstaniesz z łóżka.

- Czy to poskutkuje?

- Zawsze skutkowało. Zaufaj mi, Udero. Na tym problemie medycznym znam się bardzo dobrze. Mam dużą praktykę. - Zmierzyłam spojrzeniem jej brzuch. - Nic jeszcze nie widać.

- Zdaje się, że stracę figurę - powiedziała z pewnym niepokojem. - Wkrótce wszystkie moje suknie staną się za ciasne.

- Uszyję ci kilka zgrabnych koszul, Udero.

- Co powiemy Alarze? - zapytała, spoglądając na drzwi sypialni teściowej.

- Muszę się nad tym zastanowić. - Delikatnie zbadałam ją myślą. - Trzy tygodnie powiedziałam.

- Trzy tygodnie co? Ciociu Pol, nie bądź taka tajemnicza.

- Jesteś w ciąży od trzech tygodni.

- A zatem to musiało być w czasie tej ostatniej śnieżycy.

- Nie rozumiem, moja droga.

- No cóż, nie było co robić tego popołudnia. - Rzuciła mi figlarny uśmiešek. - Czy mam mówić dalej, ciociu Pol? Zacerwieniłam się.

- Nie, Udero - powiedziałam. - Mniej więcej wiem, o co chodzi.

- Pomyślałam, że może jesteś ciekawa... z zawodowego punktu widzenia. Na pewno nie chcesz poznać wszystkich szczegółów, ciociu Pol?

- Udero! Przestań natychmiast! - Moja twarz płonęła.

- Dostałam cię tym razem, prawda, ciociu Pol? - powiedziała ze srebrzystym śmiechem. Cóż to była za urocza dziewczyna! Wprost za nią przepadałam.

Tej nocy skontaktowałam się w myślach z bliźniakami.

- Gdzie może być ojciec? - zapytałam.

- Był w Tolnedrze, gdy rozmawiałem z nim ostatnio, Pol - odparł Belkira. - Dużo podróżuje, więc trudno utrzymać się na jego tropie.

- Muszę przekazać mu wiadomość - powiedziałam. - Wokół jednak pełno nieprzyjaznych uszu, więc nie będę się wdawać w szczegóły.

- Jeśli to coś pilnego, możemy przybyć do ciebie, a potem go odszukać - zaproponował Beltira.

- Nie, sprawa nie jest aż tak pilna... jeszcze nie. Chodzi o to, że zaczęło się tu dziać coś, co potrwa przewidywalnie długo. - Uznałam, że bardzo zgrabnie to zaszyfrowałam. - Czy doszukaliście się czegoś nowego i ekscytującego w Kodeksie Mrińskim?

- Ostatnio niczego - odparł Belkira. - Wszystko wydaje się zamrożone.

- Nastąpiła wiosna, wujkowie - powiedziałam. - Wiosenna odwilż zwykle odsłania wiele rzeczy. - Byłam przekonana, że bliźniaki pochwycają znaczenie ukryte pod tą pozornie banalną uwagą.

- O, rzeczywiście - przyznał Beltira. - Teraz, gdy o tym wspomniałaś, też to zauważyłem. Jak długo już u ciebie jest wiosna?

- Około trzech tygodni. Śniegi zaczynają topnieć i niedługo wzejdą polne kwiaty.

Byłam pewna, że jeśli jakiś Grolim przypadkiem przysłuchuje się tej rozmowie, zachwycą go moje relacje o pogodzie.

- Zawsze lubiłem polne kwiaty - wtrącił Belkira.

- Ja również je lubię. Jeśli ojciec się odezwie, przekażcie mu moje pozdrowienia, dobrze?

- Oczywiście, Pol.

Byłam zadowolona ze sposobu, w jaki udało mi się powiedzieć im o stanie Udery, nie wyjawiając tego wprost. Jak się jednak okazało, nie doceniłam Chamdara. Po tym, co się wydarzyło w Annath, wspólnie z ojcem i wujkami odtworzyliśmy ruchy Chamdara w ciągu pięćdziesiątego czwartego wieku. Szczególnie ojciec podszedł do tego z obsesyjną skrupulatnością i właśnie on ostatecznie ustalił, że Chamdar przyczynił się do śmierci

Darrala. W jednej z hałaśliwych oberży w Muros przypadkiem natknął się na gadatliwego jegomościa, który wygrzebał z zakamarków pamięci pewne zdarzenie. Jakiś Murgo, odpowiadający rysopisowi Chamdara, rozpytywał o drogę do Annath w 5349 roku.

- To było w tym samym roku, w którym zdechł stary wół, Bodziec. Nazywałem go Bodziec, bo zawsze bódł mnie w oborze...

Ojciec nauczył się przesiewać nie tylko myśli, ale i obrazy z ludzkich umysłów, więc kiedy podpity gość mówił o tamtym zdarzeniu, ojciec rozpoznał Chamdara w jego rozmytych wspomnieniach. Chamdar rzeczywiście przejeżdżał przez Muros w 5349 roku i rzeczywiście

szukał Annath tuż przed śmiercią Darrala. Nie chciałem być obrońcą Chamdara w sądzie, ale nigdy nie mieliśmy zamiaru stawiać go przed sądem. Mieliśmy szybszy, bardziej pewny sposób na wymierzenie sprawiedliwości. Po upewnieniu się, że Udera jest w ciąży, omówiliśmy sprawę z Geranem i postanowiliśmy nie trzymać tego przed Alarą w tajemnicy. Uszczęśliwiła ją wieść, że wkrótce zostanie babcią i gdyby sprawy potoczyły się inaczej, mogłaby nawet odzyskać zdrowe zmysły.

Tej wiosny i lata w Annath panował spokój. Mężczyźni każdego ranka wychodzili do pracy w kamieniołomach, a kobiety gotowały, sprzątały, prały i plotkowały. Udera nabierała kształtów - powoli oczywiście - i coraz częściej marudziła zwyczajem wszystkich kobiet w ciąży: „Dlaczego to tak długo trwa?”. Ale była to całkiem normalna ciąża.

Pod koniec wiosny i na początku lata często rozmyślałam nad naszą sytuacją i postanowiłam, że po narodzinach dziecka ponownie musimy się przeprowadzić. Mieszkaliśmy w tym samym miejscu już od dwudziestu lat i uznałam, że nie powinniśmy pozostawać tu dłużej. Przeszukałam w myślach katalog miast i miasteczek Sendarii, skreślając wszystkie, w których już mieszkałam. Miejscowa ludność długo przechowuje w opowieściach wspomnienia wydarzeń sprzed kilku pokoleń. Zdecydowanie wolałam się nie natknąć na kogoś, kto potrafi wyłowić z pamięci pewne opowieści z odległej przeszłości. Czasami wystarczy, aby jakiś wałkoń powiedział do swych przyjaciół: „Zauważyliście, jak bardzo ona przypomina tę damę, która podobno mieszkała w Shadylane trzysta lat temu?”, i mój sekret wyszedłby na jaw. Ostatecznie wybrałam miasteczko Wala, leżące kilka mil na południe od głównej drogi z Muros do Camaar. Wieki całe nie mieszkałam w południowej Sendarii, a Wala było stosunkowo młodym miastem, założonym mniej niż dwieście lat temu.

W kwestii przenoszenia informacji zdaliśmy się z bliźniakami na członków klanu Udery, by ustrzec się przed wykryciem. W pobliżu nieprzyjaznych uszu nie należy krzyczeć - obrazowo mówiąc. Było późne lato, gdy odziany w skóry Algar przyniósł mi list od bliźniaków, informujący, że w końcu udało im się wytropić ojca. W istocie zdaje się, że to

Mandorallen go wytropił i przekazał wiadomość „o pewnej krewniaczce, która jest przy nadziei”. Mandorallen jest najlepszy w przekazywaniu tego rodzaju informacji, ponieważ nawet przez myśl by mu nie przeszło odgadywanie, co ona może oznaczać. Ojciec natychmiast wrócił do Doliny Aldura, ale, mądrze, jak mi się zdawało, postanowił nie pokazywać się w Annath. Nie wiedzieliśmy, gdzie jest Chamdar i ojciec nie chciał go na nas naprowadzić. Wobec tego udał się do środkowej Sendarii i robił tam wszystko, aby przyciągnąć uwagę Chamdara.

U schyłku jesieni stan Alary znacznie się pogorszył. Wiosną i latem tak była przejęta ciężą Udery, że wydawała się czasami całkiem normalna. Potem, gdy liście zaczęły opadać, ubzdurała sobie nagle, że Darral zgubił się gdzieś w okolicznych górach. Teraz wiem, kto zaszczeplił jej ten bzdurny pomysł, ale wówczas zbiło mnie to zupełnie z tropu. Nie mogłam nawet na chwilę spuścić jej z oka. Wystarczyło, że się odwróciłam, a już jej nie było. Często, po godzinach poszukiwań, znajdowałam ją wędrującą bez celu po okolicznym lesie i wołającą męża. Te żalose nawoływania rozdzierały mi serce. Patrząc z perspektywy czasu, muszę przyznać, że Chamdar nie był zwykłym Grolimem. Wyjątkowo dobrze potrafił się ukrywać. Nigdy nie wyczułam jego obecności. Co więcej, on znał mnie lepiej, niż byłam skłonna przyznać. Wiedział na przykład, że zawsze pójdę do lasu za Alarą. Większość Grolimów nie miałaby najmniejszego pojęcia o mej miłości do członków rodziny, ponieważ miłość jest pojęciem Grolimom nieznanym. Chamdar nie tylko to rozumiał, ale również bardzo wprawnie wykorzystał do odciążenia mnie z Annath w krytycznym momencie. Tego roku zima przyszła wcześniej. Pierwsza śnieżycy przetoczyła się przez góry, nim jeszcze osiki zdążyły zrzucić liście, co zawsze czyniło las bardzo niebezpiecznym. Pod grubą warstwą wilgotnego śniegu łamały się gałęzie, a trudno brnąć przez zaspy usypane na stertach gałęzi. Po kilku ucieczkach Alary zaczęłam się poważnie zastanawiać nad poszukiwaniami jej z powietrza. Jednak zdecydowanie porzuciłam tę myśl. Nie było sensu oznajmiać miejsca mego pobytu każdemu znajdującemu się w pobliżu użytkownikowi magii, tylko po to, aby nie zmoczył sobie nóg. Z pewnością nie umknęła wam ironia tej sytuacji. Próbowałam się ukryć przed kimś, kto doskonale wiedział, gdzie jestem. Chamdar znał mnie na wylot. Za każdym razem gdy o tym myślę, krew zaczyna mi wrzeć. Gdybym to potrafiła, wskrzesiłabym Chamdara, abym mogła ponownie go podpalić. W dzień Zarania o zachodzie słońca Udera dostała fałszywych bólów porodowych. Jestem pewna, że to również była sprawka Chamdara. Jedna z sąsiadek przekazała mi wezwanie Gerana. Zajrzałam do Alary. Spała, więc ostrożnie sięgnęłam w głąb jej snu i go wzmocniłam. Potem zebrałam swoje instrumenty i pospieszyłam na drugi koniec miasteczka, by pomóc w przyjściu na świat najmłodszemu

członkowi mojej rodziny. Fałszywe bóle trwały przez kilka godzin, a potem wszystko minęło.

- Co się dzieje, ciociu Pol? - dopytywał się przestraszony Geran.

- Nic złego. To się często zdarza. Udera nie jest jeszcze w pełni gotowa, to wszystko.

- Chcesz powiedzieć, że ćwiczysz?

Nie słyszałam, by ktoś tak to określał, i ogromnie mnie to rozbawiło. Geran poczuł się jednak nieco urażony moim śmiechem.

- Nic jej nie jest, Geranie - zapewniłam go. - Akuszerki nazywają to fałszywym porodem. Zdarza się to na tyle często, że już nawet nadano temu nazwę. Prawdziwy poród zacznie się następnego dnia. Teraz będzie spała i ty też możesz spać spokojnie. Przez jakiś czas

nic się nie będzie działo.

Potem zamknęłam swoją torbę i ruszyłam przez śnieg do domu. A gdy wróciłam, Alary już nie było. W tym momencie powinnam zdać sobie sprawę, że Chamdar przełamał moją władzę nad umysłem Alary. Nikt nie budzi się sam, gdy każe mu spać. Od tygodnia było dość zimno, ale świeży śnieg nie spadł, więc całe miasteczko pełne było śladów stóp biegnących we wszystkich kierunkach. Poszukiwania skoncentrowałam na północy, ponieważ tam zwykle wyruszała Alara na swe daremne poszukiwania, ale i tym razem Chamdar był ode mnie sprytniejszy. Alara poszła na południe. Choć było to niebezpieczne, przeszukałam myślami pobliski las. Nadal nie mogłam jej znaleźć. To wydało mi się bardzo dziwne. Zataczałam coraz szersze kręgi, aż w końcu dotarłam na rozległą łąkę pod lasem. Były tam tropy jeleni, zajęcy i wiele ptasich, ale żadnych śladów ludzkich stóp. Zapadła głęboka noc, w mrocznym lesie panowało przejmujące zimno. Przeszukałam już północ i północny zachód. Ponieważ Annath leży na dnie wąwozu, strome zbocza blokują drogę na wschód i zachód. Do przeszukania pozostała już tylko południowa część wąwozu, a ja byłam od niej oddalona co najmniej o pięć mil. W tym momencie porzuciłam ostrożność i zmieniłam postać. Przestałam się przejmować, że zaalarmuję jakiegoś Grolima. Alarze groziło zamrożenie na śmierć. Musiałam ją znaleźć. Skąd miałam wiedzieć, że wkrótce po moim odejściu Udera zacznie rodzić naprawdę? Geran rozpaczliwie usiłował mnie odszukać, ale oczywiście bez powodzenia. Poród odebrała miejscowa akuszerka i Garion przyszedł na świat tuż po północy. Na szczęście poród nie był trudny. Udera jest w końcu Alornką, a alornskie kobiety wprost stworzone są do rodzenia dzieci. Odnalezienie Alary zajęło mi całą noc. Leżała u podnóża wysokiego urwiska około sześciu mil na południe od kamieniołomu. To wyjaśniało, dlaczego nie mogłam jej zlokalizować myślą. Umarła, nim jeszcze dowiedziałam się o jej

zniknięciu. Czulałam się kompletnie zdruzgotana po odnalezieniu jej ciała. Płakałam i rwałam sobie włosy z głowy, obwiniając się za to, co się stało. Wtem, w pierwszych blaskach wstającego dnia Zarania, dostrzegłam z przerażeniem nad Annath słup dymu. Przestałam płakać. Coś płonęło w miasteczku zbudowanym wyłącznie z kamienia!

Zduśliłam smutek, a potem wyczułam obecność ojca. Był o wiele bliżej pożaru ode mnie.

- Ojcze! - niemal krzyknęłam w myślach.

- Wracaj tu, Pol! - odparł ponuro. - Natychmiast! Nie mam najmniejszego pojęcia, jak przebyłam te mile dzielące zamrożone ciało Alary od płonącego domu Gerana. Wiedziałam jedynie, że dokonałam własnej translokacji, a to jest bardzo niebezpieczne w górach. Jeśli zdarzy się w takiej sytuacji napotkać na swej drodze szczyt, trzeba przez niego przeniknąć, nie omijać go. Wolałabym nie brać udziału w takich eksperymentach. Solidny, kamienny dom Gerana spowijały płomienie. Ojciec klęczał na podwórku nad małym zawiniątkiem.

- To był Chamdar! - krzyknął. Oczy płonęły mu mściwą pasją. - Coś ty zrobiła, Pol?! Czemu uciekłaś?!

To pytanie wbiło się we mnie niczym nóż i nawet teraz, po tylu latach, nadal czuję ten ból.

Spojrzałam na kamienny domek Gerana trawiony pożarem i łzy popłynęły mi z oczu.

- Czy jest jakaś nadzieja? - zapytałam ojca, choć znałam odpowiedź.

- Żadnej - odparł, ocierając własne oczy rozmyślnie szorstkim ruchem dłoni. - Oboje są martwi.

Cała moja rodzina zginęła jednej nocy i wiedziałam, że to była moja wina.

- Zawiodłam, ojcze! - krzyknęłam z udręką w głosie. - Zawiodłam!

- Nie ma na to czasu, Pol! - rzucił ostro. - Musimy zabrać stąd dziecko. Chamdar uciekł, ale może być w pobliżu.

- Czemu pozwoliłeś mu uciec? - zapytałam, nagle zdając sobie sprawę, że nie ja jedna zawiodłam tej nocy.

- Nie zostawił mi wyboru. Rzucił we mnie dzieckiem. Nic tu po nas, Pol. W drogę!

Pochyliłam się i z czułością podniosłam noworodka. Odsunęłam kocyk i spojrzałam po raz pierwszy na twarz Pogromcy Boga. To była bardzo zwyczajna twarzyczka, ale cały świat zawirował wokół mnie, gdy wejrzałam w te zaspane, błękitne oczęta. Pewnego dnia może rzeczywiście zabije boga, ale na razie był tylko zaspanym, osieroconym maleństwem. Przytuliłam go do serca. Chamdar będzie musiał pierwej mnie zabić, nim go dostanie.

- Powinniśmy nadać mu imię - powiedział ojciec. - Ludzie zaczną gadać, jeśli będziemy wołać na niego Pogromca Boga.

- On ma na imię Garion, ojcze. Postanowiliśmy tak z Uderą miesiąc temu.

- Garion? Nawet niezłe. Skąd je wzięłaś?

- Udera miała sen. Zdaje mi się, że mieliśmy tu do czynienia z manipulacją. Powiedziała mi, że jego prawdziwe imię będzie brzmiało „Belgarion”, ale dopóki nie dorośnie, powinniśmy nazywać go Garionem. - Nagle poczułam zimną wściekłość. - Chamdar musi odpowiedzieć za wiele win.

- O tak - odparł ojciec kamiennym głosem - i osobiście zatroszczę się o to, aby jego odpowiadanie trwało przynajmniej tydzień. Co się stało z Alarą?

- Także nie żyje, ojcze. Spadła z urwiska. Będziemy musieli ją pochować.

- Dodam jeszcze jeden tydzień! - Ojciec zazgrzytał zębami. - Jestem pewny, że potrafię wymyślić sposób na zachowanie Chamdara przy życiu przynajmniej tak długo.

- Doskonale! Zabiorę Gariona w bezpieczne miejsce. Ty goń Chamdara. Rób zapiski, ojcze. Chcę, abyś potem opowiedział mi wszystko z detalami. - Czułam przynajmniej równie wielką chęć zemsty jak ojciec.

- Nie ma mowy, Pol - rzekł ojciec z żalem głosem. - Najpierw muszę was ukryć. Jesteśmy przede wszystkim odpowiedzialni za to dziecko. Rozprawię się z Chamdarem, gdy będę pewny, że jesteście bezpieczni. Zostawiliśmy walący się już dom. Ruszyliśmy zaśnieżoną drogą biegnącą przy kamieniołomach, a potem skręciliśmy pomiędzy drzewa i poszliśmy ku urwisku, gdzie straciła życie Alara. Przykryliśmy jej ciało stertą kamieni. Nie mogliśmy nawet oznaczyć grobu. Jednakże ma ona nagrobek w moim sercu i pewna jestem, że zostanie

tam na zawsze. Ojciec ukradł kozę z leżącej na odludziu farmy, a ja zadbałam o butelkę do karmienia. Zapewne koza nie miałaby nic przeciwko karmieniu Gariona osobiście, uznałam jednak, że to nie byłoby właściwe. Na niziny powędrowaliśmy lasami. Ojciec starannie zacierał nasze ślady na śniegu. Gdyby to ode mnie zależało, pozostawiłabym te ślady i jeszcze rozpałiłabym ogniska, by przyciągnąć uwagę Chamdara lub kogoś z jego podwładnych. Czułam w sobie żądzę zemsty i pragnęłam krwi Angaraków. Nocowaliśmy w grotach lub pod powalonymi drzewami. Dotarcie do podnóża gór zajęło nam kilka dni i wyszliśmy na dość uczęszczaną drogę w pobliżu miejscowości Zewnętrzne Gralt. Nie weszliśmy do miasteczka, ale poszliśmy dalej ku memu domowi na brzegu jeziora Erat, dokąd zawsze się udawałam w razie kłopotów. Wszystko w domu było pokryte grubą

warstwą kurzu. Rozpaliłam ogień w kuchennym piecu, a ojciec wyszedł na dwór, aby skontaktować się z bliźniakami.

Wrócił, trzęsąc się z zimna. Na progu grzecznie otrzepał buty ze śniegu, z utęsknieniem spoglądając na rozpalony piec.

- Nawet o tym nie myśl - powiedziałam. - Musisz wydoić kozę. Jest w stajni. Przy okazji ją nakarm.

- Nie mógłbym tylko...?

- Nie, ojcze. Nie zdołam cię znowu postawić na nogi, gdy siądziesz przy piecu. Najpierw obowiązki.

Ojciec westchnął i wyszedł. Musiałam trochę się pokrzątać, więc włożyłam Gariona do szuflady komody. Otwarta szuflada do doskonałe miejsce dla niemowlaka, nie wiedzieliście o tym? Znalazłam kołyskę i trochę dziecięcych ubranek. Przez wieki w moim domu przyszło na świat sporo dzieci, a ja rzadko wyrzucałam coś, co mogłoby mi się potem przydać. Nim ojciec wrócił ze skopkiem pełnym ciepłego koziego mleka, Garion był ubrany, leżał w osiemsetletniej kołysce i trzymał grzechotkę, którą zrobiono wiele pokoleń temu.

- Tu jest zimniej niż w górach - zauważył ojciec, wyciągając dłonie nad piecem.

- Tylko tak się wydaje, ojcze. Udało ci się skontaktować z bliźniakami?

- Tak. Mam nadzieję, że zrozumieli, co miałem na myśli, mówiąc, że potrzebni mi są w różnym ogrodzie.

- Z pewnością.

- Zostanę tutaj, dopóki nie przybędą. Potem ruszę tropić Chamdara i rozprawić się z nim raz na zawsze. Już dawno powinienem go zabić.

- Zaczynasz mówić jak wujek Beldin.

- Podejście Beldina do różnych problemów może się wydać nieco prostackie, ale jest jednoznaczne. - Potem spojrzał na mnie ze smutkiem. - Zdecydowałaś, dokąd zabierzesz dziecko? Powinienem chyba znać nazwę tego miasta.

- Nie pojedę do żadnego miasta, ojcze, nie tym razem. Chyba poszukam jakiejś leżącej na odludziu farmy i tym razem postąpię inaczej.

- W jakiej sprawie?

- Zawsze uważałam za słuszną powiedzieć młodemu człowiekowi, kim naprawdę jest, aby w pełni rozumiał potrzebę ukrycia się w tłumie.

- I co w tym złego?

- Niektórzy nie byli dobrymi aktorami. Czasami ich ponosiło, pewnie dlatego że byli z tobą spokrewnieni.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Szarżujesz, ojczec. Przykro mi, ale tak właśnie jest. Ponosi cię. Zadbam więc, aby Garion nie musiał grać.

- Jak chcesz to osiągnąć?

- To proste, ojczec. Nie powiem mu, kim jest. Niech sam to odkryje. Wychowam go jak zwyczajnego wiejskiego chłopca, więc będzie wierzył, że jest zwyczajnym wiejskim chłopcem. Aktorstwo nie będzie mu potrzebne. Wystarczy, jak będzie sobą.

- To może być trochę ryzykowne, Pol. W końcu dowie się, kim jest. Kilkanaście razy na dzień dajesz to do zrozumienia.

- A więc nauczę się pilnować. Ojciec pokręcił uparcie głową.

- To się nie uda. W dziesiątkach ksiązek znajduje się twój dokładny opis.

- Książki niewiele znaczą dla kogoś, kto nie umie czytać.

- Pol! On będzie królem! Nie możesz posadzić na tronie analfabety!

- Dras poradził sobie całkiem nieźle, jak sobie przypominam.

- To było trzy tysiące lat temu, Pol. Wtedy świat był inny.

- Nie tak bardzo inny, ojczec. Jeśli tak bardzo cię to martwi, będziesz mógł go nauczyć czytać po koronacji.

- Ja? Dlaczego ja?

Rzuciłam mu bardzo wymowny uśmiezek i nie wracałam już do tego tematu.

Następnego ranka przybyli bliźniaki, aby przejąć wartownicze obowiązki ojca, a mój rodzic ruszył na poszukiwanie Murga Asharaka.

Resztę zimy spędziłam w kuchni z Garionem. Był tu duży żelazny piec, który mi całkowicie wystarczał. W innych pomieszczeniach były kominki, ładne, ale nie tak wydajne.

W ciągu tych długich miesięcy staliśmy się sobie z Garionem bardzo bliscy. Był uroczym dzieckiem. Delikatnie wybadałam jego budzący się dopiero umysł i wiedziałam, ile kłopotów przysporzy mi wychowanie tego chłopca.

W końcu nadeszła wiosna, a gdy błoto wyschło na wiejskich drogach, wybrałam sobie nierzucającą się w oczy suknię, kilka ubranek i drobiazgów dla Gariona i wszystko zawiązałam w podniszczony kocyk. Potem pożegnałam bliźniaki i ruszyłam w drogę. Tobolek przerzuciłam przez ramię, Gariona niosłam na rękach, a koza podążała moim śladem.

Późnym popołudniem dotarłam do wioski Górne Galt, która w niczym nie przypominała Zewnętrznej Galt. Udałam się do podrzędnego zajazdu i długo targowałam się o cenę pokoju jednoosobowego. Po nakarmieniu Gariona i położeniu go spać zeszedłam na dół, by zamienić parę słów z właścicielem zajazdu.

- Szukam pracy - powiedziałam.

- Przykro mi, ale nie mam wolnej posady.

- Nie o tym myślałam - powiedziałam. - Może znasz jakiegoś miejscowego farmera, który potrzebuje dobrego kucharza lub gospodyni?

Zmarszczył brwi i w zamyśleniu podrapał się po policzku.

- Spróbuj u Faldora - poradził. - Jeden z jego pracowników był tu w zeszłym tygodniu i opowiadał, że kucharka opuszcza się w obowiązkach. Posiłki zawsze są spóźnione i nie dogotowane. Zbliża się czas siewów, a jeśli w porze siewów lub żniw kuchnia źle pracuje, ludzie zaczynają szukać nowej pracy. Faldorowi przyda się nowa kucharka. Ma dużą farmę i sam nie obrobi pól.

- Gdzie znajdę jego farmę?

- Około dnia drogi stąd na zachód. Faldor to człowiek o dobrym sercu i nawet jeśli od razu cię nie zatrudni, z pewnością nie pozwoli tobie i twemu dziecku głodować. Pójdź drogą biegnącą na zachód ku traktowi do Medalii. Na południe od drogi jest tylko farma, więc jej nie przegapisz.

- Pójdę tam - zapewniłam. - Dziękuję za informacje. Następnego ranka wstał pogodny i jasny. Nakarmiłam Gariona i wyruszyłam drogą biegnącą na zachód, gdy tylko słońce wychyliło się nad horyzontu.

Późnym popołudniem ujrzałam dużą farmę. Schludne zabudowania znajdowały się w następnej dolinie, około pół mili na południe od drogi. Sprawiały wrażenie niemal budowli obronnej. Zdecydowanie mi się spodobały. Ruszyłam ku farmie, nieco zaintrygowana dźwiękiem, który bardzo przypominał miarowo bijący dzwon.

To oczywiście wyjaśnia, dlaczego przegapiłam odgłos swego osobistego dzwonu. Wspaniale ukrył się w dźwiękach wydawanych przez młot bijący w stalowe kowadło. Uderzenia młota miały równy, logiczny rytm. Kowal był młody, średniego wzrostu, wcale nie imponująco muskularny, choć ciężkie uderzenia młota wiele mówiły o jego sile. Miał na sobie zwyczajną tunikę i skórzany fartuch poznaczony brunatnymi plamami. Oczekałam, aż kowal się odwrócił i zanurzył podkowę w beczce z wodą, wzbijając przy tym kłęby pary.

- Przepraszam, panie kowalu - odezwałam się uprzejmie - wiesz może, gdzie mogłabym znaleźć farmera Faldora?

Odwrócił się i spojrzał na mnie. Spodobała mi się ta otwarta, uczciwa twarz.

- O tej porze dnia zapewne jest w kantorku, pani - odparł miło brzmiącym głosem.

- Dziękuję. A gdzie znajdę kantorek farmera Faldora? Kowal roześmiał się, a ja zauważyłam, że ma bardzo równe, białe zęby. Jego śmiech brzmiał szczerze. Ten człowiek od razu mnie ujął.

- A może po prostu wskażę pani drogę? - zaproponował, odkładając młot. - Nazywam się Durnik.

- A ja Pol - odparłam, skłaniając się lekko. - Cieszę się, że cię poznałam, panie Durniku.

- Ja też się cieszę, że poznałem cię, pani Pol - odparł, pochylając głowę w ukłonie. - Zaprowadzę cię do Faldora. Miejmy nadzieję, że dzisiaj kolumny liczb mu się zgadzają.

- Czyżby miał problemy z dodawaniem?

- Cały czas, pani Pol. Cały czas. Faldor jest bardzo dobrym farmerem i najlepszym pracodawcą w tej części Sendarii, ale arytmetyka nie jest jego mocną stroną. - Durnik wskazał główny budynek. - Jego pokoje są na górze, nad kuchnią i jadalnią. Nie zazdroszczę mu. Ostatnio z kuchni nie dochodzą apetyczne zapachy.

- Z tego właśnie powodu chciałam z nim rozmawiać, dobry Durniku.

- Jesteś może kucharką? - W jego brązowych oczach pojawiła się nadzieja.

- Potrafię ugotować wodę bez przypalenia, jeśli to masz na myśli.

- Bogom niech będą dzięki! - powiedział żarliwie. - Biednej Nali nawet to się już nie udaje. Wyobrażasz sobie, jak przypalona woda śmierdzi?

Oboje roześmieliśmy się, przechodząc podwórkiem do dużych kuchennych drzwi.

- Zaczekaj tutaj - przykazałam kozie, choć wiedziałam, że ruszy na zwiady, gdy tylko zniknę jej z oczu.

Kuchnia była dobrze zaprojektowana. Stoły do pracy były na środku, piece i piekarniki ciągnęły się pod ścianami, a w głębi były skrzynie na zapasy i spiżarnie. Jednakże panował tu straszny nieporządek. Było późne popołudnie, ale kolacji nawet nie zaczęto jeszcze przygotowywać. Kucharka spała na krześle przy piecu, podkuchenne wałęsały się bez celu. Nie ulegało wątpliwości, że pani Nala nie podchodzi poważnie do swego zajęcia.

Farmer Faldor był wysoki, szczupły, miał końską twarz z długim nosem i jeszcze dłuższą szczęką. Później się przekonałam, że był człowiekiem żarliwie religijnym, który traktował za obowiązek dbałość o dobro swych pracowników. Gdy go zobaczyłam po raz pierwszy, zmagął się z kolumnami liczb. Od razu wiedziałam, gdzie się pomylił, ale postanowiłam mu tego nie mówić.

- To jest pani Pol, Faldorze - przedstawił mnie Durnik. - Chce pracować w kuchni.

Faldor uprzejmie wstał i powitał mnie lekkim ukłonem.

- Czy masz duże doświadczenie w pracy w kuchni?

- O tak - odparłam. - Bardzo duże.
- W naszej kuchni stanowczo przydałaby się pomoc - powiedział z ponurą miną. - Nala była bardzo dobrą kucharką, ale się zestarzała. Nie jest już taka sprawna jak dawniej. Trudno jej się zabrać do pracy. Mocno przybrała na wadze.
- To ryzyko zawodowe, panie Faldorze.
- Nie bardzo rozumiem, pani Pol.
- Dobra kucharka musi próbować tego, co gotuje. Jeśli nie jest dość ostrożna, każde posmakowanie pójdzie jej w biodra. Ilu ludzie obecnie żywisz?
- Pięćdziesięciu trzech. Będzie więcej, gdy przyjdzie czas siewów. Poradzisz sobie w tak dużej kuchni?
- Z łatwością, panie Faldorze. Jeśli chcesz, przygotuję dziś kolację. Wtedy zdecydujesz, czy mnie zatrudnisz. Po co kupować kota w worku.
- Jesteś bardzo rozsądna, pani Pol - przyznał. Garion zaczął się wiercić. Przełożyłam go przez ramię i poklepałam po plecach.
- To twoje dziecko, pani Pol? - zapytał Faldor.
- Mój siostrzeniec. Jest sierotą.
- Jakie to smutne - westchnął.
- Tak. Będę ostrożnie obchodzić się z panią Nala, panie Faldorze - obiecałam. - Jak się domyślam, dobrze i wiernie tu służyła i nie wypada po prostu odsuwać jej na bok.
- Cieszę się, że to rozumiesz, pani Pol.
- Zakładam, że się wszyscy po zjedzeniu kolacji nie pochorujecie - zakończyłam z lekkim uśmiechem. - Ile osób pracuje w kuchni?
- Sześć, wliczając w to Nalę. Czy to wystarczy?
- Więcej niż trzeba, panie Faldorze. Gdzie mogłabym złożyć swoje rzeczy? Trochę już późno, więc lepiej zabiorę się za szykowanie kolacji, jeśli mamy coś zjeść przed północą.
- Zaprowadź Pol do wolnego pokoju po zachodniej stronie galerii, Durniku - zaproponował Faldor. Potem westchnął z pewną rezygnacją. - A ja wrócę do rachunków. Nic mi się nie zgadza.
- Podpowiem, że dwanaście dodać dziewięć jest dwadzieścia jeden, a nie dwadzieścia dwa - rzuciłam niewinnie. Faldor przeliczył na palcach.
- Zdaje się, że tak jest, pani Pol - rzekł niepewnie.
- Było zawsze do tej pory - powiedziałam i oboje z Durnikiem wyszliśmy.
- Czy on zawsze jest taki łatwowierny? - zapytałam, gdy schodziliśmy schodami.
- Co chcesz przez to powiedzieć, pani Pol?

- Nie spytał, gdzie pracowałam poprzednio i czy naprawdę znam się na gotowaniu. Nawet nie zapytał, skąd przyszłam.

- Pani Pol, tutejsza kuchnia to rozprzestrzeniająca się katastrofa, niczym pożar w stodole czy epidemia ospy. Faldor nie tyle jest łatwowierny, ile zdesperowany. Gdyby przyszedł tu Torak i podał się za kucharza, Faldor zatrudniłby go bez zastanowienia.

- Rozumiem. Chyba będę się musiała tym zająć.

Zostawiłam mój tobolek w pokoiku, który Durnik mi wskazał. Poprosiłam, żeby znalazł moją kozę i zaprowadził ją do obórki, a potem wróciłam do kuchni. Nala nadal spała, pomoce kuchenne bez ładu kręciły się tu i tam.

- Jestem nową pomocą kuchenną, moje panie - powiedziałam. - Nazywam się Pol i myślę, że chyba powinniśmy się wziąć do przygotowania kolacji, nie sądzicie?

- Nie możemy, pani Pol, dopóki Nala się nie obudzi - powiedziała zakatarzona dziewczyna. - Mogłaby się poczuć urażona.

- Ależ my tylko wszystko przygotujemy - skłamałam. - No wiecie, oskrobiemy marchewki, pokroimy warzywa, zagotujemy wodę.

- Cóż, to możemy zrobić - stwierdziła dziewczyna, wycierając nos rękawem. Spostrzegłam w tym momencie, że czeka mnie jeszcze długa droga. Brak kontroli ze strony Nali spowodował rozluźnienie dyscypliny w kuchni.

Uznałam, że gulasz będzie w tej sytuacji na kolację najlepszy. Nie było czasu na przygotowanie niczego bardziej pracochłonnego. Do innych pomocy kuchennych odnosiłam się grzecznie. Garionę odłożyłam do stojącego w kącie kosza na warzywa i zaczęłam od składania „propozycji” zwykle zaczynających się od słów: „Czy zechciałabyś...” lub: „Nie sądzisz, że...” czy też: „Nie powinniśmy może...”. Potem, gdy udało mi się wszystkie zapędzić do pracy, udałam się do spiżarni, by obejrzeć zapasy przypraw. Zdenerwowałam się. Oczywiście stały tam słoje na przyprawę, ale prawie wszystkie puste. Obejrzałam się czujnie za siebie, aby upewnić się, że nikt mnie nie obserwuje, a potem trochę pooszukiwałam.

Nala obudziła się, gdy zaczęłyśmy dusić mięso na gulasz.

- Co się tu dzieje? - zapytała z wyrzutem.

- Szykujemy wszystko do ugotowania kolacji, Nalo - wyjaśniła Enna, ta zakatarzona dziewczyna. - Pani Pol uznała to za dobry pomysł. Wiesz, jaki zły jest Faldor, gdy spóźnimy się z posiłkiem.

- Pani Pol? - zapytała Nala, spoglądając na mnie podejrzliwie.

- Przyszłam do pracy tego popołudnia, pani Nalo - powiedziałam i grzecznie dygnęłam.
- Enna powiedziała, że nie czujesz się najlepiej. Nie chciałyśmy ci przeszkadzać. Jak sądzisz, czy gulasz nada się na kolację?

Nala udała, że się nad tym zastanawia.

- Skoro tak uważasz, pani Pol - uznała z lekkim wzruszeniem ramion. A co innego mogła powiedzieć? Wszystko było przygotowane. Przyjrzałam się jej uważnie.

- Nie wyglądasz zdrowo, pani Nalo - powiedziałam z udanym niepokojem. Położyłam jej dłoń na czole. - Masz gorączkę. Trzeba będzie się tym zająć, gdy tylko wsadzimy bułeczki do pieca.

- Rzeczywiście czuję się trochę słabo, Pol - przyznała.

Oczywiście czuła się słabo. Dotykając dłoni właśnie podniosłam jej temperaturę. Naprawdę chciałam dostać tę pracę. Warzywa i podduszone mięso zostało wrzucone do wielkiego rondla, a potem przygotowałam miksturę z kuchennych ziół, by „zbić gorączkę” Nali. Następnie pochyliłam się nad rondlem z kolekcją swoich przypraw. Gulasz, który tego wieczoru podałam na kolację, był w mojej opinii zaledwie poprawny, ale Faldor i jego ludzie rzucili się na niego, jakby umierali z głodu, a niektórzy bułeczkami wybierali nawet ostatnie krople sosu z rondla.

- A niech to - powiedział Faldor, gładząc się po brzuchu. - Ale się objadłem!

- Nie tylko ty, Faldorze - przyznał Durnik. Potem wskazał na mnie. Stałam z Garionem na rękach w wejściu. - Powinniśmy ją zatrzymać.

- Aha - odparł Faldor. - Coś ci powiem, Durniku. Gdy tylko będziesz w stanie chodzić, skocz na drugą stronę podwórza i zamknij bramę. Nie damy chyba jej uciec, co?

Tak oto gulaszem załatwiłam sobie stałą pracę na farmie Faldora. Jak już wspominałam, gulasz nie był wcale nadzwyczajny, ale i tak przewyższał o kilka klas to, co podawała na stół Nala. Po kolacji przywołałam Ennę, bladą blondynkę z czerwonym nosem.

- Słucham, pani Pol? - powiedziała, podchodząc posłusznie.

- Jak długo masz katar?

- Od wielu tygodni.

- Tak też myślałam.

- To nie jest przeziębienie, pani Pol. Nic mnie nie boli ani nie mam gorączki.

- Nie, to nie jest przeziębienie. To wiosna, Enno, kwitną pewne rośliny, które ci nie służą. Uporajmy się z tym od razu.

- Jesteś lekarzem, pani Pol?

- Tak bym siebie nie nazwała, ale znam kilka domowych środków, to wszystko. Osuszmy ten twój nos. W końcu pracujemy przy jedzeniu... chyba rozumiesz, co mam na myśli.

Dziewczyna zachichotała i pociągnęła nosem. Nadal ze wszystkim zwracałyśmy się do Nali, lecz jej instrukcje stawały się coraz bardziej mętne. Pod koniec tygodnia to ja prowadziłam kuchnię, ale wciąż podsuwałam jej łyżkę z tym, co gotowałyśmy, do spróbowania. Nie było to dla mnie szczególną niewygodą, po prostu karmiłam ją łyżką. Po miesiącu Garion, ja i koza zadomowiliśmy się na dobre. Wysprzątałam i uporządkowałam naszą małą sypialnię, ale Garion i tak większość czasu spędzał w koszu na warzywa. Na farmie Faldora było mi dobrze. Ci ludzie byli Sendarami z krwi i kości, a w bardzo dosłownym sensie tego słowa to ja stworzyłam Sendarów, więc czułam się tak, jakbym wróciła do domu. Lato było w pełni, gdy wpadł do mnie wujek Beltira, ostentacyjnie prosząc o wskazanie drogi do Górnego Gralt. Wprowadziłam go za bramę i udawałam, że wskazuję drogę.

- Całą Sendarię przetrząsnęliśmy w poszukiwaniach ciebie, Pol - powiedział. - Minałbym tę farmę, gdybym nie zauważył twej kozy. Czemu nie utrzymywałaś z nami kontaktu?

- Staram się nie rzucać w oczy, dopóki ojciec nie wytropi Chamdara. Udało mu się?

- Nic nam o tym nie wiadomo. Teraz jest w Tolnedrze. Gdy ostatni raz z nami rozmawiał, był wraz z młodym księciem Kheldarem na świeżym tropie Murga Asharaka. Nie mieliśmy jednak kontaktu już od kilku tygodni, więc nie wiemy, czy mu się powiodło.

- W takim razie pozostanę w ukryciu, dopóki go nie znajdą i nie zaczną odsyłać po kawałku Ctuchikowi. Przekażcie ojcu, gdzie jestem, ale zróbcie to za pośrednictwem drasnianckiego wywiadu. Wolę, aby wieść o miejscu mego pobytu nie niosła się echem po górach.

Skinął głową.

- Sprawiasz wrażenie niemal szczęśliwej, Pol - zauważył.

- Lubię moją pracę i lubię ludzi mieszkających na tej farmie. Nie powiedziałabym jednak, że jestem szczęśliwa. Aczkolwiek to się może zmienić, gdy ojciec z Silkiem pozbęda się Chamdara.

- Kim jest Silk?

- To księżę Kheldar. Tak go przezywano w akademii. Wróć już do kuchni. Moje pomocnice mają dobre chęci, ale potrzebują stałego dozoru. Przekaż pozdrowienia wujkowi Belkirze.

- Przekażę, Pol. Wiesz, że cię kochamy.

- Ja również was kocham. Zmykaj.

- Tak jest, proszę pani - odparł i roześmieliśmy się oboje. Garion zaczął raczkować krótko po wizycie Beltiry i nagle moje życie zrobiło się o wiele bardziej ciekawe. Raczkujące dziecko w kuchni, gdzie są noże, tasaki, rondle z wrzątkiem i krzątają się ludzie, nie pozwala opiekunce się nudzić. Nigdy nie byłam pewna, gdzie się znajdował. Ależ był szybki! Wkrótce nauczyłam się zagarniać go nogą. Z pewnością często przypominałam akrobatę - jedną ręką wyrabiałam kruszonkę do ciasta, drugą doprawiałam sos do sałaty, a nogą zawracałam z drogi w kąt bardzo ruchliwego chłopczyka. Garion pewnie myślał, że to bardzo zabawne, ale mnie to nie bawiło. Doprawdy nie wyczekiwałam z utęsknieniem dnia, w którym zacznie chodzić, i coraz częściej myślałam o sprawieniu mu jakiejś smyczy. Czas zbiorów to na farmie najbardziej pracowita pora roku, a moja kuchnia nie była w tym względzie wyjątkiem. Zauważcie, że mogłam już nazywać ją moją kuchnią. Pani Nali nogi odmówiły posłuszeństwa, więc przeprowadziła się do swej najmłodszej córki, mieszkającej na północnym krańcu jeziora Medalia. W okresie zbiorów pracownicy Faldora musieli dostawać posiłki cztery razy dziennie, toteż ja i pomocnice miałyśmy zajęcie od wczesnych godzin, jeszcze przed wschodem słońca, do późnego wieczora. Myślę, że każdego na farmie ucieszył widok zjeżdżającego z pola ostatniego wozu załadowanego rzepą.

Po zbiorach, gdy wszystkie liście opadły już z drzew, odwiedził nas wędrowny bazarz, by wyżebrać kilka posiłków od Faldora. Był to nędznie ubrany powsinoga w butach nie od pary, przepasany sznurkiem. Włosy i brodę miał białe i krótko przystrzyżone, a palce chyba posmarowane klejem, ponieważ czego dotknął, przyklejało się mu do rąk. Wiedziałam, że nadchodzi, ponieważ wyczułam jego znajomą obecność, gdy był jeszcze pięć mil od bramy.

Nie, nie zastanawiałam się nad zamknięciem bramy przed jego przybyciem. W każdym razie nie bardzo serio. Oczywiście koza zaraz go poznała. Przeskoczyła przez bramkę w obórcę i pobiegła się z nim przywitać, żywo machając ogonkiem. Bazarz podrapał ją po uszach, a potem zapytał Durnika, gdzie może znaleźć „właściciela tego wspaniałego gospodarstwa”.

Przedstawił się Faldorowi, podając się za „największego bazarza w całej Sendarii”, co nawet mogło być prawdą, a potem zawitał w mojej kuchni. Swym niezaprzeczalnym wdziękiem oczarował moje pomocnice. Postarał się, by wyglądało to na próbę wkradnięcia się w moje łaski, gdy bawił się z Garionem. Nie obserwowałam go zbyt otwarcie, ale udało mi się dojrzeć łzy w jego oczach. To zauważalnie ociepliło moje uczucia względem Starego Wilka. Ojciec, choć starał się to ukryć, nie był wolny od sentymentów. Tego wieczoru za

kolację zapłacił opowieściami. Największym powodzeniem cieszyła się opowieść. „Jak Belgarath z czterema towarzyszami wykradli Klejnot Aldura jednookiemu bogowi Angaraków”. Robotnicy Faldora słuchali z zachwytem.

- Przyjacielu - powiedział Faldor, gdy ojciec skończył opowiadać - to było zupełnie zdumiewające! Opowiadałeś, jakbyś osobiście brał w tym udział!

Ledwie udało mi się zachować powagę, gdy to usłyszałam. Muszę jednak przyznać, że ojciec, jeśli się do tego przyłoży, przez całe godziny potrafi trzymać audytorium w napięciu i nigdy nie wydaje się znudzony słuchaniem własnego głosu. Potem, gdy Faldor i jego robotnicy poszli spać, a ja wyгнаłam swe pomocnice do łóżek, ojciec, Garion i ja mieliśmy kuchnię tylko dla siebie. Zgasiłam lampy, zostawiając tylko jedną, by swym przyćmionym blaskiem rozjaśniała mrok kuchni. Przygotowałam kilka rzeczy do jutrzejszego śniadania, a ojciec siedział w kącie ze śpiącym Garionem na kolanach. Kątem oka dostrzegłam ruch w wejściu do kuchni i odwróciłam się szybko. Stała tam moja koza. Jej złociste oczy połyskiwały w przyćmionym świetle.

- Wracaj do obory, gdzie twoje miejsce - poleciłam jej.

- Zostaw ją, Pol - powiedział ojciec. - Wykarmiła Gariona. Jest jak członek rodziny.

- Osobliwy pomysł - mruknęłam do siebie. Potem spojrzałam mu prosto w twarz. - No jak, Stary Wilku, dopadłeś w końcu Chamdara?

- Nawet się do niego nie zbliżyliśmy, Pol - przyznał z powagą. - Zaczynam myśleć o podróży do Rak Cthol i wyrwaniu Ctuchikowi wątroby.

- Czym ci się ostatnio naraził?

- Wysłała na zachód fałszywych Chamdarów.

- Mógłbyś mi to wyjaśnić?

- Zmienia zwyczajnych Murgów lub Grolimów, by wyglądali zupełnie jak Murgo Asharak. Drasniański wywiad stał się zupełnie bezużyteczny. Silk się okropnie zdenerwował, gdy powiedziałem, że śledził niewłaściwego człowieka. To była jedyna korzyść, jaka wynikła z całej sprawy.

- Niewiele.

- Nasz książę Kheldar ma o sobie bardzo wysokie mniemanie, Pol. Bardzo potrzebował sporej dawki pokory. Mina mu zrzedła, gdy powiedziałem, że tracił czas na podróbkę.

- Nie masz zatem najmniejszego pojęcia, gdzie może być prawdziwy Chamdar?

- Najmniejszego, Pol. Najmniejszego. Wybiorę się teraz do alornskich królestw, będę robić wokół siebie wiele hałasu i rozpuszczając plotki. Chamdar ma dostęp do wielkich ilości złota, więc oprócz Dagashi zapewne najął szpiegów, którzy stoją na każdym skrzyżowaniu

dróg od Val Alorn do Sthiss Tor. Alornowie wkrótce zaczną gadać o zabawnym staruszku, który opowiada różne historie. Alornom, aby zaczęli gadać, wystarczy postawić kilka kufli piwa, a żeby przestali -kilkanaście...Tyle mogę zrobić, by odciągnąć uwagę Dagashi i domorosłych szpiegów Chamdara od ciebie. Jesteś tu okropnie widoczna. Może lepiej wróc do swego domu nad jeziorem Erat.

- Nie, ojcze, zostanę tutaj. Niech Garion dorasta wśród ludzi. Pustelnik nie byłby najlepszym królem.

- I tobie się tu podoba, prawda, Pol? - zapytał przebiegle.

- To miejsce dobre jak każde inne, ojcze. Gdzie indziej mogłabym zapewne być równie szczęśliwa. Poza tym jeśli Garion będzie się tu wychowywał, wyrośnie na uczciwego człowieka, a uczciwość rzadko ostatnio gości na tronach.

- Naprawdę chcesz wtopić się w to wiejskie otoczenie, Pol?

- Być może, ojcze. Nadal nie doszłam do siebie po wydarzeniach w Annath, a stała praca i spokój pomagają w leczeniu cierpienia.

- To kolejny szczebel niżej na drabinie społecznej, Pol. Zaczęłaś jako księżna Erat, władałaś całym królestwem, a teraz jesteś tylko kucharką na odludziu. Nie wolałabyś zabrać Gariona do Sulturn czy Muros i oddać go do terminu, jak to czyniłaś z innymi dziećmi?

- Nie, ojcze. Garion nie jest taki jak inni. On będzie Dzieckiem Światła - jeśli już nim nie jest - i nie chcę zaśmiecać mu umysłu stolarką, kamieniarstwem czy robieniem butów.

- Nie rozumiem, jak utrzymanie chłopaka w ciemnocie może go przygotować na to, co go czeka.

- Ile miałaś lat, gdy natknąłeś się na wieżę Mistrza pewnej śnieżnej nocy siedem tysięcy lat temu?

- Niezbyt dużo. Piętnaście, najwyżej szesnaście.

- I wyszedłeś na ludzi - nie wspominam kilku złych nawyków - a byłeś zapewne głupszy, niż będzie Garion.

- A zatem zostaniesz tutaj?

- Tak, ojcze. Mam przeczucie, że Garion powinien tu dorastać. Nie będzie tu nikim ważnym, ale to jest właśnie to miejsce. Wiedziałam o tym, gdy po raz pierwszy je ujrzałam. Jest trochę odosobnione i okropnie prowincjonalne, ale są tu ludzie, których Garion absolutnie powinien poznać, a ja zrobię wszystko dla jego dobra, bez względu na to, ile to mnie będzie kosztowało.

- Garionie, mój chłopcze - powiedział ojciec wylewnie - jesteś chyba najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, mając ciocię Pol za opiekunkę. - Potem stary łobuz rzucił mi figlarne

spojrzenie i mrugnął. - Oczywiście nie licząc mnie. Troszczy się od tak dawna, że już nie pamiętam od kiedy. Chyba obaj mamy szczęście.

Spojrzałam czule na tego obszarpanego starca i gaworzące niemowlę i przypomniałam sobie, co niegdyś powiedział wujek Beltira. Wyjaśniał niepisaną grę, w którą graliśmy z ojcem od stuleci. Powiedział młodemu księciu Geranowi, że nasze kąśliwe uwagi nie są takie w istocie.

- To ich prywatny i osobliwy sposób na powtarzanie „kocham cię”. Oni nawet sami tego nie wiedzą, ale mówią to sobie przy każdym spotkaniu.

Zmuszona byłam przyznać, że bliźniaki i Beldin nas przejrzeni. Ponad trzy tysiące lat usiłowałam wykręcić się od przyjęcia tej prostej prawdy, ale w końcu stała się oczywista. Kochałam mego ojca. To było takie proste. Kochałam go, pomimo jego wielu wad. Gdy sobie to uświadomiłam, oczy wypełniły mi łzy szczęścia.

- Widzisz - usłyszałam głos matki. - To nie było wcale takie trudne, prawda?

Jej głos brzmiał tym razem nieco inaczej. Wydawał się dobiegać od kuchennych drzwi. Odwróciłam się gwałtownie i spojrzałam z niedowierzaniem na stojącą tam kobietę, która przyglądała mi się uważnie złocistymi oczyma.

- Ktoś musiał wykarmić dziecko, Pol - wyjaśniła matka. - Pomyślałam, że lepiej będzie zachować to w rodzinie. Nie wytrzymałam i parsknęłam śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło, Pol? - zapytał ojciec ze zdziwieniem.

- Nic, ojczu - odparłam. - Zupełnie nic.

EPILOG

To był szary, ponury, zimowy dzień na Wyspie Wiatrów. Jego wysokość następca tronu Rivy, książę Geran, spędził ten dzień na blankach Dworu Rivańskiego Króla. Lepił bałwany - a dokładniej mówiąc śniegowych żołnierzy. Wilk był z nim jak zawsze. Wilk nie uczestniczył w zabawie, ale przyglądał się z pyskiem opartym na złożonych łapach. We Dworze Rivańskiego Króla działo się wiele spraw, których Wilk nie rozumiał, ale był na tyle uprzejmy, aby nie robić z tego sprawy. Około południa dama dworu przyniosła na blanki czteroletnią siostrzyczkę Gerana, księżniczkę Beldaran.

- Jej wysokość powiedziała, że małej potrzeba świeżego powietrza - zwróciła się do Gerana. - Masz jej, panie, popilnować.

Książę Geran westchnął. Kochał siostrę, ale był zajęty pracą artystyczną, a żaden artysta nie lubi, by mu przeszkadzać, gdy czuje twórcze natchnienie. Księżniczka Beldaran była tak opatulona w futra, że ledwie mogła się ruszać. Nie uczestniczyła w artystycznych poczynaniach brata. Zajęła się robieniem śniegowych kulek. Z poważną miną oglądała każdą

z nich po skończeniu, wygładzała malutką dłonią, a potem rzucała w Gerana. Nie trafiała często, ale wystarczająco, aby mu przeszkadzać. Książę zaciskał zęby. Często ją ignorował. Stwierdził, że tak było ciszej. Głos Beldaran bardzo przypominał głos matki. „Wyrazisty”, jak ojciec go określał. Geran miał inne słowa na opisanie przenikliwego głosu siostry, ale ostrożność nakazywała nie używać ich przy matce. Poczł sporą ulgę, gdy hrabina po godzinie wróciła po Beldaran. Właśnie zamierzał wykańczać dzieło i naprawdę musiał się skoncentrować. Po głębszym zastanowieniu doszedł do wniosku, że marchewki jako nosy wyglądają komicznie, więc zastąpił je rzepami. Tak było o wiele lepiej, uznał. Pracował nad tymi śniegowymi rzeźbami od tygodnia. Siedmiu srogich, choć krągłych białych żołnierzy spoglądało groźnie z murów na port. Książę Geran był przekonany, że gdyby zima trwała wystarczająco długo, miałby pod swoją komendą cały regiment.

- Czy ten nie jest byczy? - zapytał Wilka, gdy wykończył siódmego żołnierza.

- Ktoś nie widzi w tym celu - zauważył uprzejmie Wilk. Geranowi wydało się, że wyczuwa w głosie przyjaciela nutę krytycyzmu. Wilk był czasami zbyt praktyczny.

Książę Geran odwołał się w tym momencie do rady dziadka.

- To taki zwyczaj - wyjaśnił.

- Aha - powiedział Wilk. - Zatem wszystko w porządku. Zwyczaje nie potrzebują celu.

W ciągu lata, które Geran spędził w Dolinie Aldura, dziadek nauczył go języka wilków. Było to konieczne, ponieważ dziadek z babcią rozmawiali wyłącznie w języku wilków. Geran dumny był ze swej umiejętności, choć Wilk czasami dziwnie na niego patrzył. Na język wilków składają się również ruchy uszami, a Geran uszami nie potrafił poruszać, więc pomagał sobie palcami. Wilkowi najwyraźniej wydawało się to trochę osobliwe.

Geran był bardzo dumny z Wilka. Inni chłopcy na Wyspie Wiatrów mieli zwykłe psy. Jednakże nie mogli z nimi rozmawiać. Wilk, jak Geran zauważył, miał do pewnych spraw osobliwe podejście i czasami trzeba było postępować bardzo ostrożnie, by go nie urazić. Wiedział, że wilki się bawią, ale wilcze zabawy to rodzaj udawanych zapasów. Wilk nie potrafił zrozumieć złożoności ludzkich zabaw, więc Geran często ratował się słowem „zwyczaj”. Młody książę rzadko myślał o pochodzeniu Wilka. Babcia znalazła Wilka jako osierocone szczenię w lesie w pobliżu Kell, w Mallorei, a Geran bardzo starał się zapomnieć wydarzenia w Mallorei. Czasami trapiły go senne koszmary, ale zdarzały się coraz rzadziej.

Wieczór zapadał nad miastem, gdy na mury przyszedł ojciec. Geran wiedział, że ojciec jest Rivańskim Królem i Suzerenem Zachodu, ale dla Gerana były to puste tytuły. Ojciec to po prostu ojciec.

- Ładni żołnierze - zauważył.

- Wyglądaliby lepiej, gdybyś mi pozwolił pożyczyć kilka rzeczy ze zbrojowni - powiedział z nadzieją w głosie Geran.

- Chciałbyś całe lato czyścić je z rdzy?

- O tym nie pomyślałem - przyznał Geran.

- Ktoś jest ciekaw, jak minął ci dzień - powiedział uprzejmie ojciec do Wilka.

- Był zadowolający - odparł Wilk.

- Ktoś jest zadowolony, iż tak to oceniasz.

Ojciec i Geran pilnowali się, aby nie rozmawiać w języku wilków przy mamie. Matka tego nie lubiła. Sądziła, że ludzie rozmawiający w języku, którego nie rozumiała, mówią o niej. Geran musiał przyznać, że często miała rację. Ludzie rzeczywiście sporo o niej rozmawiali.

- Miły miałeś dzień, skarbie? - zapytała matka, gdy ojciec z Geranem weszli do królewskich apartamentów, uprzednio sumiennie oczyściwszy buty ze śniegu na korytarzu. Wilk nie otrzepał łap, ale zdążył już wylizać lód spomiędzy pazurów, więc nie zostawiał mokrych śladów.

- Był po prostu byczy, mamó - odparł Geran. Wszyscy chłopcy, których znał, przy każdej okazji używali słowa „byczy”, a księżę nie chciał się wyróżniać.

- Twoja kąpiel jest gotowa, Geranie - powiedziała mama.

- Nie jestem brudny, mamó - odparł bez zastanowienia, po czym ugryzł się w język. Czemu zawsze zaczyna mówić, nim zastanowi się nad konsekwencjami?

- Nie obchodzi mnie, czy uważasz, że jesteś brudny! - powiedziała matka, a jej głos wzniósł się o kilka oktaw. - Masz się wykąpać! Ruszaj!

Westchnął i skinął głową. Miał siedem lat i Wilk uważał go niemal za dorosłego. W odczuciu Gerana należało mu się trochę szacunku, ale matka wciąż traktowała go jak małe dziecko.

Dawno już odkrył, że najlepiej robić dokładnie to, co mówiła. Nie tylko on to spostrzegł. Niepisaną zasadą całego zamku - całej Wyspy Wiatrów, prawdę powiedziawszy - było: „Nie wchodzić w drogę królowej”. Rivanie uwielbiali swoją królową, dbanie o jej szczęście było narodowym hobby, a pilnowanie, aby każdy rozumiał wagę tego zadania, było jednym z głównych obowiązków Kaila, Strażnika Rivy. Po dość pobieżnej kąpieli księżę Geran dołączył do reszty królewskiej rodziny w jadalni królewskich apartamentów. Przed wejściem upewnił się jednak, czy uszy ma wilgotne. Matka miała bzika na punkcie czystych uszu. Księżę Geran uważał, że dopóki słyszy, jego uszy są wystarczająco czyste, jednak pod koniec każdej kąpieli zanurzał głowę pod wodę, aby mama była zadowolona. Służąca

przyniosła mu kolację. Tego wieczoru była szynka, a tradycyjnie szynkę podawano ze szpinakiem. Za nic na świecie nie mógł zrozumieć, dlaczego mama uważała, że szpinak pasuje do szynki. Geran uważał, że szpinak nie pasuje do niczego. Co gorsza, Wilk również nie przepadał za szpinakiem, więc Geran nie mógł ukradkiem wrzucać szpinaku pod stół, tak jak kawałków pieczonej kozy, którą co jakiś czas podawano na królewskim stole. Nie przepadał za kozim mięsem, ale i tak wolał je o niebo od szpinaku.

- Jak ci smakuje, skarbie? - zapytała matka.

- Byczo, mamó - odparł szybko. - Naprawdę byczo. Królowa zrobiła zde gustowaną minę, słysząc jego słowa. Geran uznał, że matka nie ma wyrobionego poczucia stylu.

- Co mówił kapitan Gredlik? - zwróciła się do ojca.

Geran znał kapitana Gredlika, morskiego włóczęgę, i lubił go. Matka jednak nie przepadała za kapitanem. Geran wiedział, że żadna kobieta nie przepada za kapitanem Gredlikiem. Wszystkie uważały, że ma zbyt wiele złych nawyków. A co gorsza, wcale się tym nie przejmował.

- Cieszę się, że mi o tym przypomniałaś - rzekł ojciec. - Powiedział, że Velvet spodziewa się dziecka.

- Silka będzie ojcem?! - wykrzyknęła matka.

- Tak powiedział Gredlik.

- Zdaje się, że trzeba będzie zmienić definicję całej instytucji rodzicielstwa - roześmiała się matka.

- Wiadomo, jaką profesję będzie miało to dziecko, mając Silka i Velvet za rodziców - dodał ojciec.

Geran nie zrozumiał tej rozmowy, ponieważ właśnie próbował rozwiązać palący dylemat strategicznej natury. Po kąpieli ubrał się w szatę, która miała kieszenie, bardzo zgrabne, głębokie kieszenie, z pewnością wystarczająco duże, aby ukryć w nich cały szpinak z talerza, gdyby tylko znalazł okazję, by umieścić w nich to paskudztwo. Niestety, matka często przeszukiwała mu kieszenie bez ostrzeżenia. W ten sposób pewnego letniego dnia Geran stracił trzy garście doskonałych robaków na ryby. Zaczął niechętnie jeść, ale poprzysiągł sobie, że gdy wstąpi na tron, natychmiast wyda dekret zabraniający podawania szpinaku w jego królestwie. Na szczęście czekały go jeszcze piękne chwile tego dnia. Przez ostatnie miesiące matka czytała mu przed snem niezwykłą historię. Książkę tę napisała ciocia Pol, a on znał większość ludzi pojawiających się na jej kartach. Znał Baraka, Silka, Lelldorina, Mandoral na, Durnika, królową Poren, Hettara i Adarę. Książka cioci Pol była jak kronika rodzinna.

- Skończyłeś? - zapytała matka, gdy odłożył widelec.

- Tak, mam.

- A byłeś dzisiaj grzeczny?

Geran był ciekaw, co matka by zrobiła, gdyby powiedział, że nie był grzeczny. Roztropnie postanowił jednak tego nie sprawdzać.

- Bardzo grzeczny, mam - powiedział. - Niczego nie popsułem

- Zdumiewające. Teraz chciałbyś zapewne, abym ci poczytała.

- Jeśli to nie sprawi ci zbytniego kłopotu, mam. - Geran wiedział, że warto grzecznie się zachowywać, gdy się czegoś chce.

- Bardzo dobrze - powiedziała mama. - Wskakuj do łóżka, przyjdę, gdy tylko położę spać Beldaran.

Geran ucałował ojca na dobranoc i poszedł do swojej sypialni. W blasku świecy pospiesznie zlustrował pokój. Nie było najgorzej ale dla pewności największy bałagan wkopał pod łóżko.

- Ktoś jest ciekaw, czemu robisz to każdego wieczoru - powie dział Wilk.

- To nowy zwyczaj - odparł Geran, poruszając przy tym uszy palcami. - Ktoś wierzy, że gdy matka nie zobaczy, co leży pod legowiskiem, to nie będzie o tym mówić. Wilk wywiesił jęzor w wilczym śmiechu.

- Ktoś zauważył, że szybko się uczysz - powiedział. Potem wskoczył na łóżko, ziewnął i zwinął się w kłębek, tak jak zawsze to czynił.

Księżę Geran rozejrzał się i uznał, że pokój jest wystarczająco schludny. Jediną wadą cowieczornej lektury było to, że matka miała okazję do inspekcji. Usiłował jej wyjaśnić, że gdy ma rzeczy porzucane na podłodze, to natychmiast potrafi odnaleźć coś potrzebnego, ale gdy je poukłada, szuka godzinami, a potem wszystko i tak wraca na podłogę. Ona zaś za każdym razem cierpliwie go wysłuchiwała, a potem powtarzała: „Posprzątaj tę chlewnię”. Tylko raz wyraził opinię, że to zadanie poniżej jego godności, że służba powinna to zrobić. Do dziś wzdrygał się na wspomnienie reakcji matki. Wdrapał się na łóżko i ułożył kilka poduszek, aby matka mogła się na nich oprzeć w czasie czytania. Rozumował, że jeśli będzie jej wygodnie, to może poczyta dłużej. Potem wsunął się pod kołdrę, chowając nogi pod Wilka. Dzięki Wilkowi Geranowi nigdy nie marzły stopy.

Niedługo potem do pokoju weszła matka z książką cioci Pol pod pachą. Odruchowo podrapała Wilka za uchem. Wilk na chwilę otworzył złociste oczy i kilka razy machnął ogonem. Kiedyś powiedział Geranowi, że lubi matkę, ale wilki nie okazują zbyt demonstracyjnie uczuć, ponieważ są na to zbyt dumne. Matka wdrapała się na łóżko,

poprawiła poduszki, które jej przygotował Geran, a potem schowała nogi pod róg jego puchowej kołdry.

- Ciepło ci? - zapytała.

- Tak, mam. Jest byczo. Matka otworzyła książkę.

- Na czym skończyliśmy? - zapytała.

- Ciocia Pol szukała tej obłąkanej pani w śniegu - odparł Geran. - To działo się, gdy zasypiałem. Chyba beze mnie nie czytałaś? - zapytał z nagłą obawą w głosie.

- Geranie, skarbie, to jest książka. Nie skończy się ani nie zniknie po przeczytaniu. A skoro już o tym mówimy, jak tam twoje lekcje?

- Chyba dobrze - odparł z westchnieniem. - Książka, którą każe mi czytać nauczyciel, nie jest interesująca. To książka historyczna. Czemu muszę mieć tolnedrańskiego nauczyciela, mam? Czemu nie może mnie uczyć Alorn?

- Ponieważ Tolnedranie są lepszymi nauczycielami niż Alornowie, skarbie. - Królowa przekartkowała ostatnią część książki cioci Poi. - O, mam - powiedziała.

- Czy mogę o coś zapytać, zanim zaczniesz czytać, mam?

- Oczywiście.

- Ciocia Pol potrafi robić czary, prawda?

- Ona nie przepada za tym określeniem, Geranie, twój dziadek również.

- A zatem przy nich nie będę go używał. Skoro potrafi robić czary, to czemu nie machnęła ręką i nie zrobiła nic, aby ta obłąkana pani nie była już obłąkana?

- Myślę, że są rzeczy, których czary nie potrafią.

Książę Geran był wielce rozczerowany. Miał nadzieję, że odrobina ćwiczeń w sztukach magicznych bardzo by mu się przydała, gdy zostanie królem. Ministrowie zawsze się martwią o pieniądze, więc gdyby król mógł po prostu machnąć ręką i wypełnić nimi pokój, mogliby spokojnie pójść na ryby. Matka zaczęła czytać dalej opowieść cioci Pol o poszukiwaniach obłąkanej kobiety, a Geranowi wydawało się, że niemal widzi ośnieżoną górę i mroczny las wokół miasteczka Annath. Historia nie zakończyła się, pomyślnie.

- Nie cierpię, gdy bajki tak się kończą - powiedział.

- To nie jest bajka, Geranie. To się wydarzyło naprawdę, dokładnie tak jak opisała ciocia Pol.

- A kiedy dojdziemy do jakichś weselszych fragmentów?

- Może przestaniesz zadawać pytania i to sprawdzimy? Geranowi ta uwaga wydała się całkowicie niezasłużona. Matka zaczęła czytać dalej, ale po kilku minutach Geran uniósł rękę, jakby był w klasie.

- Mogę zadać jeszcze jedno pytanie, mamó?

- Słucham.

- Skąd dziadek wiedział, że Chamdar podpalił dom?

- Twój dziadek wie o różnych rzeczach, Geranie, nawet takich, o których wiedzieć nie powinien. Tym razem chyba powiedział mu o tym ten głos, który nosi w głowie.

- Chciałbym też mieć głos w głowie, który mówiłby mi o różnych rzeczach. Mogłoby to mnie uchronić od wielu kłopotów.

- Ja też bym tego chciała! - przyznała gorliwie mama. Potem wróciła do przerwanej lektury.

Gdy doszła do części opisującej dom cici Pol nad brzegiem jeziora Erat, Geran ponownie przerwał jej bez zastanowienia.

- Byłaś tam kiedyś, mamó?

- Kilka razy - odparła matka.

- Czy naprawdę dom jest tak duży, jak opisuje cicia?

- Bardzo duży. Pewnego dnia może cię tam zabierze, będziesz się mógł sam przekonać.

- To by było byczo, mamó! - zawołał podniecony.

- Dlaczego wciąż mówisz „byczo”?

- Wszyscy chłopcy w moim wieku tak mówią. To naprawdę dobre słowo. Wszyscy używają go cały czas.

- Ach, to jedno z tych wyrażeń...

- Słucham?

- Nieważne - odparła matka, po czym wróciła do lektury.

Księżciu Geranowi powieki zaczęły opadać, gdy opowieść doszła do farmy Faldora. Ta część nie była zbyt ciekawa i gdzieś w trakcie długiej rozprawy na temat gotowania gulaszu następca tronu Rivy odpłynął w sen. Królowa Ce'Nedra zorientowała się, że straciła słuchacza. Skrawkiem papieru założyła książkę. Opowieść cici Pol wypełniła wszystkie luki, które Ce'Nedra zauważyła w książce Belgaratha. Bogactwo legendarnych postaci budziło w królowej niemal lęk. Był tam Riva i Brand, który powalił boga. Była tam Beldaran, najpiękniejsza kobieta w historii. Asrana i Ontrose niemal złamali Ce'Nedrze serce. Książka cici Pol faktycznie zaprzeczyła dziełom biblioteki Wydziału Historii Uniwersytetu Tol Honeth i zastąpiła je opisem tego, co naprawdę się wydarzyło. Rivańska Królowa ponownie otworzyła książkę i przeczytała fragment, który lubiła najbardziej, milczącą scenę w kuchni na farmie Faldora, gdy Polgara, już nie księżna Erat, ale kucharka na sendarskiej farmie leżącej na odludziu, uprzytomniła sobie, że kocha ojca. Wrogość, którą hołubiła przez

stulecia, powoli wyparowała. Trzy tysiące lat toczyli ze sobą podjazdową wojnę, prawili sobie złościwości, a przez cały ten czas wilczyca Poledra cierpliwie czekała.

- Rozumiesz to Wilku, prawda? - szepnęła.

Wilk otworzył złociste ślepia i uderzył ogonem w łóżko.

To trochę zaskoczyło Ce'Nedrę. Wilk zdawał się znać jej myśli. Kim był? Postanowiła tego nie rozważać. Odkrycie, że Poledra zwyciężyła w tej grze, było jak na jeden wieczór wystarczające. Choć niechętnie, Rivańska Królowa musiała przyjąć do wiadomości, iż rodzina jej męża pochodzi jeszcze z czasów przed rozłupaniem świata i bez dwóch zdań jest najważniejszą rodziną w historii ludzkości. Gdy Ce'Nedra po raz pierwszy spotkała Gariona, traktowała go z pogardą jako niepiśmiennego sierotę, pomywacza z Sendarii. Pod każdym względem się myliła. Sama nauczyła czytać Gariona, ale zmuszona była przyznać, że uczył się nad podziw łatwo, wystarczyło otworzyć przed nim książkę. Nie mogła za nim nadążyć, gdy już nauczył się alfabetu. Rzeczywiście zmył kilka rondli i garnków w kuchni Faldora, ale był królem, nie pomywaczem. Nie był też Sendarem. Korzenie jego rodziny sięgały świtu czasu. Ce'Nedra gryzła się możliwością, że jej mąż może ją przewyższać rangą, ale on ją przewyższał we wszystkim. To naprawdę trudno było znieść Rivańskiej Królowej.

Westchnęła. Wiele niemiłych myśli kłębiło się jej w głowie. Spojrzała na swe odbicie w usmarowanym lustrze syna i delikatnie dotknęła palcami rudych włosów.

- No cóż - prychnęła - przynajmniej jestem ładniejsza od niego. Wtem zdała sobie sprawę, jak śmieszna to jest pociecha.

- Poddaję się - powiedziała, śmiejąc się w głos.

Zsunęła się z łóżka, otuliła kołdrą Gariona i ucałowała go delikatnie.

- Śpij dobrze, mój kochany mały książę - szepnęła. Potem podrapała Wilka po łbie.

- Ty też, drogi przyjacielu - powiedziała. - Opiekuj się naszym synem.

Wilk spojrzał na nią poważnie swymi spokojnymi, złocistymi ślepiami, po czym zrobił coś zupełnie niespodziewanego. Polizał ją po twarzy. Ce'Nedra zachichotała, wycierając policzek. Objęła Wilka i przytuliła. Chwilę później zdmuchnęła świeczkę, wyszła na palcach z komnaty i cicho zamknęła za sobą drzwi. Wilk leżał w nogach łóżka Gerana i dłuższy czas wpatrywał się swymi złocistymi oczyma w ogień dogasający w kominku. Potem westchnął z zadowoleniem, położył pysk na łapach i ponownie zasnął.